

Jednocześnie powieść wiktoriańska i literacki thriller. Ta diabelsko sprytnie skonstruowana, absolutnie wyjątkowa książka potwierdza, że Catton jest jedną z najjaśniejszych gwiazd wśród pisarzy – „THE BOOKSELLER”



ELEANOR CATTON

WSZYSTKO, CO LŚNI



Wszystko, co lśni

Φ

ELEANOR CATTON

Przełożył
Maciej Świerkocki

WYDAWNICTWO LITERACKIE

Spis treści

Karta redakcyjna

Dedykacja

Do Czytelnika

Spis postaci

I. KULA W KULI

Merkury w Strzelcu

Jowisz w Strzelcu

Mars w Strzelcu

Saturn w Wadze

Północ w Skorpionie

Księżycyca przybywa w Byku

Słońce w Koziorożcu

Medium coeli / Imum coeli

Prawdziwy węzeł w Pannie

Wenus w Koziorożcu

Koniunkcje

Merkury w Strzelcu

II. PRZEPOWIEDNIE

Ekliptyka

Baran w Trzecim Domu

Jowisz w Strzelcu

Merkury w Koziorożcu

Mniejsze zło

Słońce w Wodniku

Saturn w Wadze

Mars w Koziorożcu

Kardynałna ziemia

Miesiąc bez księżyca

Wenus w Wodniku

III. DOM SAMOZNISZCZENIA

Merkury w Wodniku

Słońce w Rybach

Saturn w Pannie

Wenus w Rybach

Jowisz w Koziorożcu

Rosnący Księżyc w Baranie

Mars w Wodniku

Nga potiki a Rehua / Dzieci Antaresa

Większe zło

Zrównanie dnia z nocą

IV. PAENGA-WHA-WHA

Pierwszy punkt w Baranie

Merkury w Rybach, Saturn w koniunkcji z Księżycem

Wenus to Gwiazda Poranna

Egzaltacja w Baranie

Dom Wielu Życzeń

Krzyż Południa

Via Combusta

Merkury zachodzi

Słońce i Księżyc w koniunkcji (Księżyc w nowiu)

V. SZCZYPTA KRUSZCU, TOWAR I FORSA

Srebro

Złoto

Miedź

Wu Xing

Żelazo

Cyna

Smoła

Dokładki do wagi

VI. WDOVA I ŻAŁOBA

Stała ziemia

Mars w Raku

Te-Ra-O-Tainui

Przypadkowa godność

Baran rządzony przez Marsa

Słońce w Bliźniętach

Skorpion rządzony przez Marsa

VII. MIEJSCE STAŁEGO POBYTU

Rak i Księżyc

Słońce Lwa

Wodnik i Saturn

Długie królowanie Jowisza

Przyrodzona godność

Ascendent

VIII. PRAWDA O AURORZE

Saturn w Pannie

Jowisz w Strzelcu

Nów – Księżyc w Lwie

Słońce w Lwie

Inny świt

IX. ZMIENNA ZIEMIA

Druga kwadra – Księżyc w Pannie

Słońce w Pannie

Częściowe zaćmienie Słońca

Papa-tu-a-nuku

X. KWESTIE SUKCESJI

Krzywda

Upadek

Descendent

XI. ORION ZACHODZI, KIEDY WSCHODZI SKORPION

Księżyc w Byku (w zasięgu Oriona)

Słońce w Skorpionie

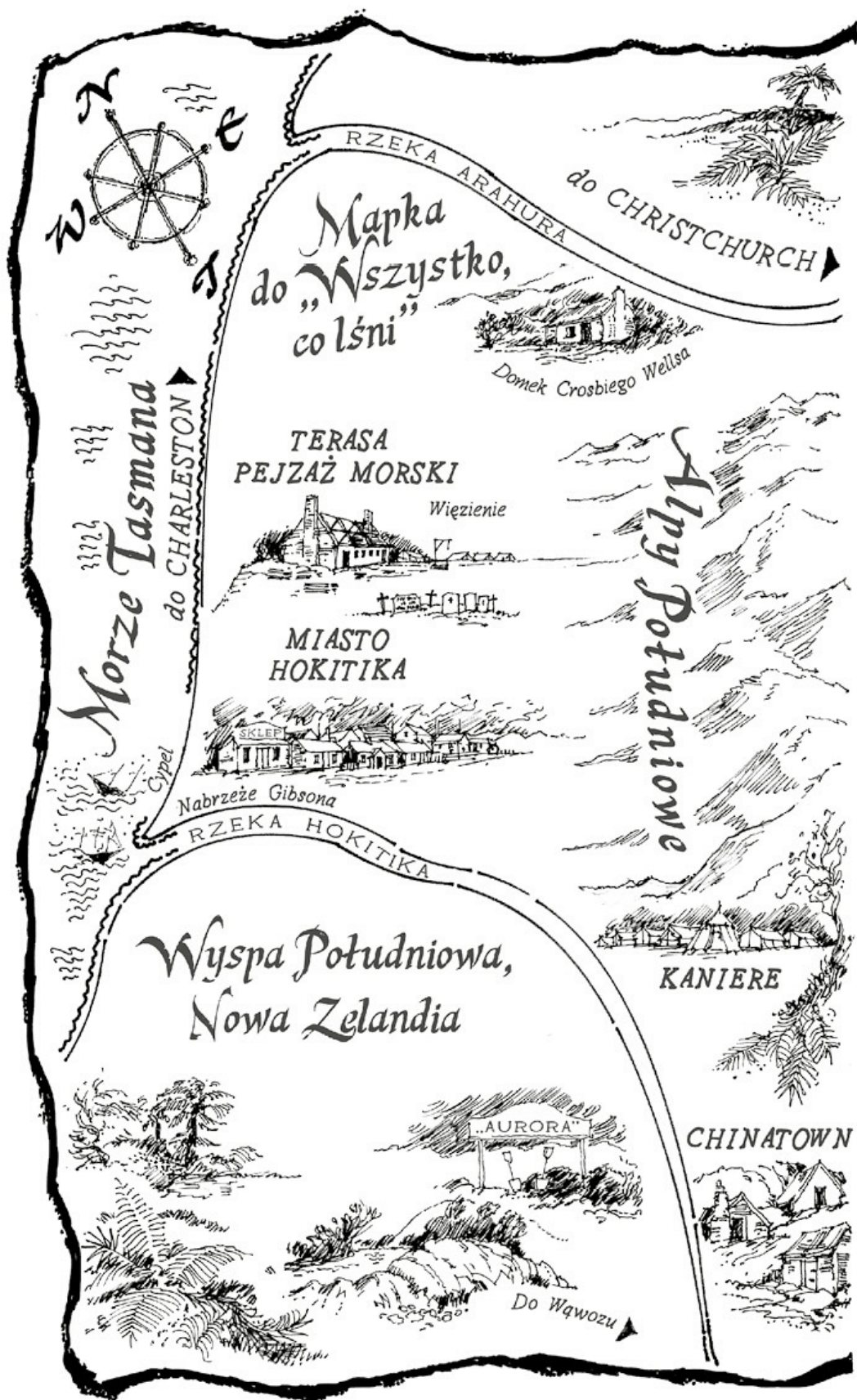
XII. STARY KSIĘŻYC W OBJĘCIACH MŁODEGO

Gwiazdy zodiaku

Podziękowania

Przypisy

*Dla Taty, który widzi gwiazdy,
i dla Jude'a, który słyszy ich muzykę*



Mapka do „Wszystko, co łśni”

RZKA ARAHURA do CHRISTCHURCH



Domek Crosbiego Welisa

TERASA PEJZAŻ MORSKI



Wieżenie

MIASTO HOKITIKA



Nabrzeże Gibsona

RZKA HOKITIKA

Wyspa Południowa, Nowa Zelandia

Alpy Południowe

KANIERE

CHINATOWN

Do Wąwozu

Morze Tasmana do CHARLESTON

Gypel

DO CZYTELNIKA

Pozycje gwiazd i planet zostały ustalone w tej książce według danych astronomicznych, co oznacza, że uwzględniliśmy zjawisko niebieskie znane jako precesja – skutek jego działania przesunęło się w czasie zrównanie wiosenne, czyli astrologiczny odpowiednik południka Greenwich. Do wiosennego (czyli na półkuli południowej jesienno) zrównania dnia z nocą dochodziło dawniej, kiedy Słońce znajdowało się w konstelacji Barana, będącego pierwszym znakiem zodiaku, obecnie zaś dzieje się to, gdy wchodzi w znak dwunasty, czyli w znak Ryb. Z tej przyczyny, jak zauważą czytelnicy niniejszej powieści, wszystkie znaki zodiakalne są z punktu widzenia naszej dzisiejszej wiedzy „spóźnione” o miesiąc. Zmiana ta nie jest wyrazem braku szacunku dla współczesnej wiedzy, pragniemy jednak zauważyć, że wspomniana nieścisłość stoi w sprzeczności z faktem materialnym, jakim był dziewiętnastowieczny nieboskłon. Co więcej, ośmielamy się przypuszczać, że upieranie się przy niej można by nazwać rybim, to znaczy charakterystycznym dla ludzi urodzonych w Erze Ryb, w epoce luster, nieustępliwości, instynktu, podwojenia i rzeczy ukrytych. Podoba nam się ta myśl, utwierdza nas bowiem w wierze w potężne i mądre oddziaływanie

nieskończonego nieba.

SPIS POSTACI

POSTACI GWIEZDNE:

Te Rau Tauwhare – poszukiwacz zielonego kamienia

Charlie Frost – bankowiec

Benjamin Löwenthal – dziennikarz i wydawca gazety

Edgar Clinch – hotelarz

Dick Mannering – bogacz, właściciel złotodajnych pól

Quee Long – przetapiacz złota

Harald Nilssen – agent handlowy

Joseph Pritchard – aptekarz

Thomas Balfour – agent spedycyjny

Aubert Gascoigne – urzędnik sądowy

Sook Yongsheng – samotny poszukiwacz złota

Cowell Devlin – kapelan

DOMY (ODPOWIADAJĄCE KOLEJNYM POSTACIOM GWIEZDNYM):

Domek Wellsa (Dolina Arahura)

Bank Rezerw (ulica Revella)

Redakcja „Czasu Zachodniego Wybrzeża” (ulica Rezedowa)

Hotel Ruszt (ulica Revella)

Kopalnia złota Aurora (Kaniere)

„Kuźnia Chinatown” (Kaniere)

Nilssen & Co. (Nabrzeże Gibsona)

Palarnia opium (Kaniere)

„Z Bogiem” (bark, port macierzysty: Port Chalmers)

Budynek sądu w Hokitika (sąd grodzki)

Fortuna Wędrowca (ulica Revella)

Więzienie Hokitika (terasa Pejzaż Morski)

POSTACI PLANETARNE:

ODDZIAŁYWANIE (POSTACI
PLANETARNYCH ORAZ TERRA FIRMA):

Walter Moody

Rozum

Lydia (Wells) Carver, z domu Greenway

Pożądanie

Francis Carver

Siła

Alistair Lauderback

Władczość

George Shepard

Ograniczenie

Anna Wetherell

Skrajna Zewnętrzność (dawniej Skrajna
Wewnętrzność)

Emery Staines

Skrajna Wewnętrzność (dawniej
Skrajna Zewnętrzność)

TERRA FIRMA:

Crosbie Wells

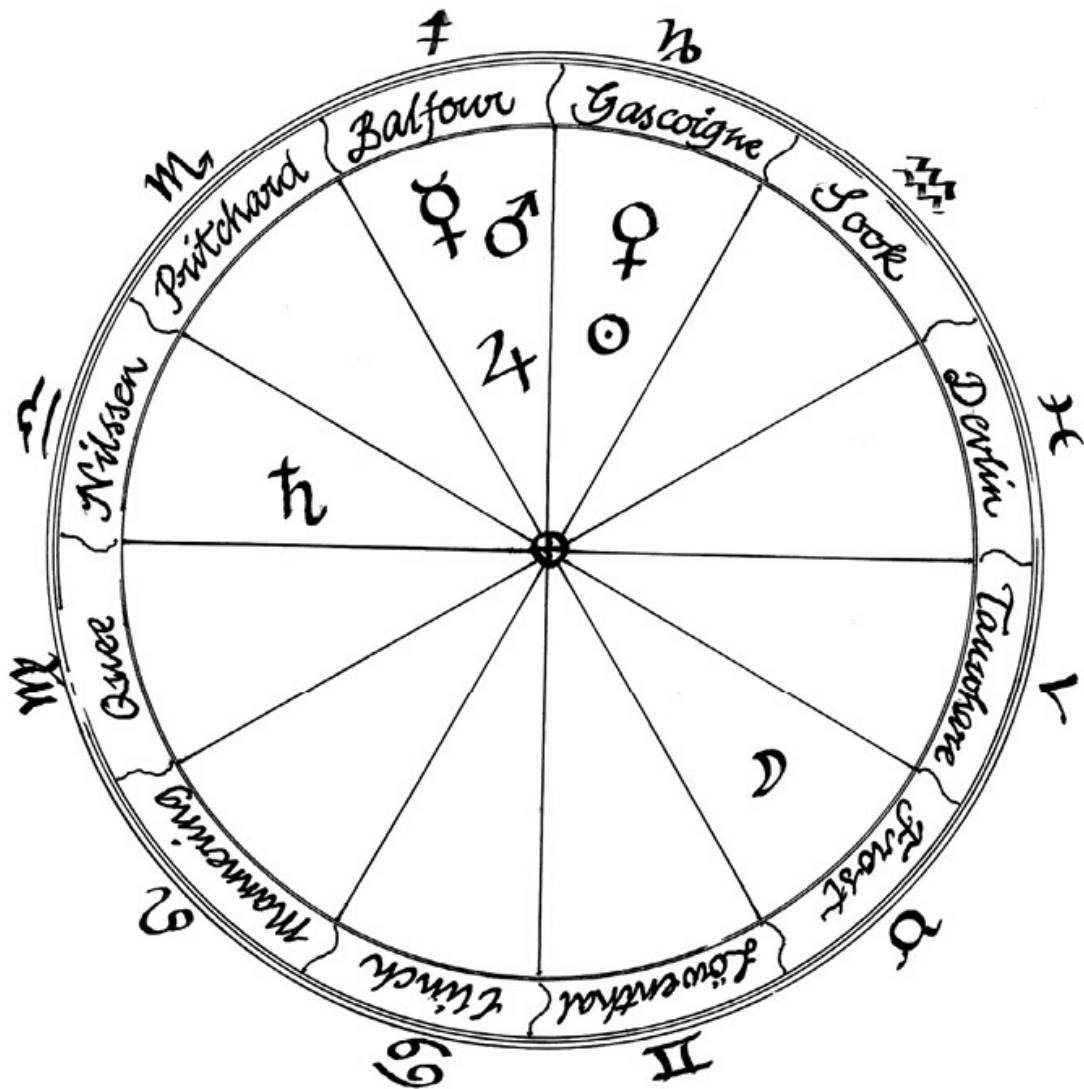
(zmarły)

CZĘŚĆ PIERWSZA

Kula w kuli

27 stycznia 1866

42°43'0"S / 170°58'0"E



MERKURY W STRZELCU

Rozdział, w którym do Hokitika przybywa nieznajomy, zostaje przerwana pewna tajna narada, Walter Moody ukrywa swoje najświeższe wspomnienie, a Thomas Balfour zaczyna snuć opowieść

Dwunastu mężczyzn zebranych w palarni hotelu Korona sprawiało wrażenie, jak gdyby spotkali się tu przypadkowo. Sądząc po ich zróżnicowanym zachowaniu i rozmaitych strojach – frakach, smokingach, surdutach typu Norfolk z rogowymi guzikami, żółtych moleskinowych spodniach, batystach i twillach – mogli być dwunastoma nieznajomymi w wagonie kolejowym, z których każdy zmierza do innej dzielnicy miasta, gdzie jest dość mgły i czasu, żeby ich rozdzielić. Teatralna samotność każdego z tych mężczyzn – jeden pochłonięty był lekturą gazety, drugi pochylał się, by strzepnąć popiół do kominka, a trzeci opierał rozczapierzoną dłoń na zielonym suknie, chcąc uderzyć kulę bilardową – składała się właśnie na takie ciężkie milczenie, jakie zalega późnym wieczorem w wagonie, zagłuszane jednak w tej hotelowej palarni nie przez cichy szmer i stukot kół pociągu, lecz przez werbel rzęsiściego deszczu.

Takie wrażenie odniósł pan Walter Moody, gdy przystanąwszy w progu, oparł się ręką o framugę. Nie zdawał sobie sprawy, że zakłócił jakieś prywatne spotkanie, albowiem zebrani zamilkli, słysząc jego kroki w korytarzu, a kiedy otworzył drzwi, każdy z dwunastu mężczyzn powrócił do swoich zajęć (w przypadku graczy w bilard odbyło się to nieco chaotycznie, zapomnieli bowiem, kto gdzie stał), tak starannie udając zaabsorbowanie własnymi sprawami, że żaden z nich nie podniósł nawet wzroku, gdy Moody wszedł do pokoju.

Staranność oraz zgodność, z którą go ignorowali, mogłyby obudzić ciekawość Moody'ego, gdyby czuł się dobrze fizycznie i psychicznie, tak się jednak złożyło, że dokuczały mu mdłości i niepokój. Wiedział, że rejs do zachodniego Canterbury w najgorszym razie może zakończyć się nawet śmiertelną katastrofą, płynął bowiem przez niekończące się, rozkołysane koryta białej wody i piany, sięgające aż do cmentarzyska rozbitych statków na piaszczystej łasze Hokitika. Nie był jednak przygotowany na tak niesłychane okropności w podróży, o której nadal nie miał siły rozmawiać, nawet sam ze sobą. Zawsze irytowały go własne ułomności – zarówno strach, jak i niedyspozycja sprawiały, że zamykał się w sobie – i z tego powodu, chociaż rzadko mu się to zdarzało, nie wyczuł, jaka atmosfera panuje w pokoju, do którego właśnie wszedł.

Wyraz twarzy Moody'go świadczył o przyrodzonej przytomności umysłu i skupieniu. Miał duże, szare oczy (prawie nie mrugał), a elastyczne, chłopięce usta układał zwykle tak, żeby znamionowały uprzejme zainteresowanie. Jego włosy miały tendencję do zwijania się w loki; dawniej opadały mu na ramiona, ale teraz chodził krótko ostrzyżony, z przedziałkiem na boku, a włosy miał gładko zaczesane i posmarowane ładnie pachnącą pomadą, która nadawała ich złocistej barwie ciemniejszy odcień oleju. Twarz miał kwadratową, nos prosty, cerę gładką. Liczył sobie niespełna dwadzieścia osiem wiosen, jego ruchy były nadal szybkie i precyzyjne,

a poza tym charakteryzował go świeży, szelmowski animusz, niebędący jednak oznaką łatwowierności ani sprytu. Przypominał dyskretnego i rozgarniętego lokaja, dlatego niejednokrotnie dopuszczali go do konfidencji ludzie wyjątkowo małomówni. Często proszono go też, by pośredniczył w kontaktach między osobami, które dopiero co poznał. Krótko mówiąc, aparycja zdradzała bardzo niewiele z charakteru Moody'ego i już na pierwszy rzut oka wzbudzała zaufanie.

Moody był świadomy korzyści, które zapewniał mu jego nieprzenikniony wdzięk. Jak większość szczególnie urodziwych ludzi, niezwykle bacznie studiował swoje odbicie w lustrze i w pewnym sensie najlepiej znał swoją powierzchowność – nawet kiedy przyglądał się sobie w wyobraźni, zawsze widział zespół cech zewnętrznych. Spędzał długie godziny we wnęce gotowalni, gdzie lustro potrajało jego odbicie na profil, półprofil i widok en face. Przypominał Karola I z obrazu van Dycka, miał jednak znacznie bardziej frapujące oblicze. Oddawał się tym osobistym oględzinom w odosobnieniu i chętnie by się ich wyparł, albowiem prorocy moralści naszych czasów głośno potępiają przyglądanie się swemu odbiciu, jak gdyby jaźń nie miała związku ze sobą i człowiek patrzył w lustro tylko po to, aby utwierdzić się w swojej arogancji, albo jak gdyby przyglądanie się sobie nie było aktem równie subtelnym, brzemienne w skutki i zmiennym jak każda więź pomiędzy bliźniaczymi duszami. Moody zaś starał się w swojej samofascynacji nie tyle sławić własną przystojność, ile nad nią zapanować. Niewątpliwie, gdy tylko łowił wzrokiem swoje odbicie w szybie okiennej czy w tafli szkła po zmroku, przebiegał go dreszcz satysfakcji, ale tylko taki, jaki mógłby odczuwać inżynier, który natrafia gdzieś na skonstruowany przez siebie mechanizm i widzi, że jest wspaniały, błyszczący, dobrze naoliwiony i pracuje dokładnie tak, jak zakładał jego twórca.

Moody widział siebie teraz w drzwiach palarni i wiedział, że sprawia wrażenie całkowicie opanowanego, chociaż niemal drżał na całym ciele z wyczerpania, brzemię grozy ciążyło mu w brzuchu jak ołów, miał poczucie, że ktoś go śledzi, wręcz tropi, i przepełniało go przerażenie. Po palarni rozejrzał się jednak z miną świadcząca o uprzejmej obojętności i szacunku. Sala wyglądała tak, jak gdyby ktoś po bardzo długim czasie przywołał ją w pamięci, kiedy wiele zostało już zapomniane (na przykład stojaki na drewno opałowe, przyzwoita półka nad kominkiem, zasłony), chociaż zachowały się w niej drugorzędne szczegóły, takie jak portrecik świętej pamięci księcia, małżonka królowej, wycięty z jakiegoś czasopisma i przybity gwoździami obuwniczymi do wychodzącej na podwórze ściany, rysa biegnąca przez środek stołu bilardowego, który przepiłowano na pół w porcie w Sydney, by łatwiej było przewieźć go przez morze, albo leżący na sekretarce stos starych, wymiętych gazet, w których niezliczone dłonie pozacierały już druk. Przez dwa okienka po bokach kominka widać było podwórze na tyłach hotelu – błotnisty plac, gdzie poniewierały się skrzynki i rdzewiejące beczki, oddzielony od sąsiednich parceli tylko przez zarośla i karłowate paprocie, a od strony północnej ograniczony szeregiem kurników o drzwiczkach pozamykanych na łańcuchy w obawie przed złodziejami. Za tymi peryferiami o nieostrych granicach widać było uginające się pod ciężarem prania sznury, biegnące między domami

przecznicę dalej na wschód, poukładane w kratkę szczapy surowego drewna, chlewy, stosy złomu, arkusze blachy, połamane płuczki do złota i rynnny, a wszystko to porzucone i w stanie względnego rozkładu. Zegar wybił już tę późną godzinę o zmierzchu, kiedy wszystkie barwy nagle wydają się tracić soczystość, a ponieważ padał też ulewny deszcz, podwórzec widziany przez szyby z marszczonego szkła wydawał się wyblakły i gasnący. Lampy spirytusowe nie zastąpiły jeszcze morskiego koloru umierającego dnia w palarni i swoim bladym światłem zdawały się podkreślać ogólną niewesołość wystroju.

Ta hotelowa sala stanowiła bowiem ponury widok dla kogoś, kto przywykł do swojego klubu w Edynburgu, gdzie wszystko było oświetlone w odcieniach czerwieni i złota, nabijane napami kanapy lśniły tłusto i przez to pasowały do zażywności zasiadających na nich dżentelmenów, i gdzie przy wejściu podawano gościowi miękki surdut, pachnący przyjemnie anyżkiem albo miętą, a potem wystarczył najmniejszy ruch palca w kierunku sznura od dzwonka, by dostać butelkę czerwonego wina na srebrnej tacy. Moody nie był jednak człowiekiem, dla którego niski standard hotelu stanowiłby powód do dąsów. Prymitywna prostota tego miejsca sprawiała jedynie, że chował się w sobie, jak bogacz, który kiedy natknie się na ulicy na żebraka, odchodzi spiesznie albo patrzy przed siebie szklistymi oczami. Łagodny wyraz twarzy Moody'ego nie uległ zmianie, kiedy się rozglądał, lecz każdy kolejny detal, taki jak piramidka brudnej stearyny wokół świecy czy smuga kurzu na szklance, powodował, że na widok palarni usztywniał się i wycofywał coraz bardziej w głąb siebie.

Tego rodzaju ucieczka, wprawdzie nieświadoma, spowodowana była nie tyle dość oczywistymi pretensjami, wynikającymi z zamożności (Moody był bowiem jedynie umiarkowanie bogaty i często dawał ubogim drobne, chociaż, co trzeba przyznać, nigdy bez rozkosznego dreszczyku, wynikającego z tej szczodrości), ile rozstrzęsieniem, które niepostrzeżenie starał się w tej chwili przezwyciężyć. Było to w końcu miasto poszukiwaczy złota, zbudowane między dżunglą a morzem na najbardziej wysuniętym na południe krańcu cywilizowanego świata, nie spodziewał się więc tu żadnych luksusów.

Prawdę powiedziawszy, niecałe sześć godzin wcześniej Moody był świadkiem tak niezwykłego i wstrząsającego zdarzenia na pokładzie barku, który przywiózł go z Portu Chalmers na ten dziki kawałek wybrzeża, że stawiało ono pod znakiem zapytania rzeczywistość jako taką. Ciągłe widział tę scenę w zapadłym zakątku pamięci niczym przez uchylone drzwi, odsłaniające smugę szarzejącego światła, a nie chciał w tej chwili znów przywoływać ciemności. Powstrzymanie owych drzwi przed szerszym otwarciem kosztowało go bardzo wiele wysiłku. W tak delikatnym stanie ciała i ducha każdą niekonwencjonalność czy niedogodność traktował niczym osobisty afront. Czuł się, jak gdyby cała ta ponura, rozciągająca się przed nim scena w palarni stanowiła wzmocnione echo ciężkiej próby, którą niedawno przeszedł, wycofywał się więc, by nie podążyć w duchu za tym skojarzeniem i nie powracać do przeszłości. Wzgarda była mu pod tym względem przydatna – dawała stabilne poczucie proporcji i słuszną rację, do której mógł się odwołać, by nabrać pewności siebie.

Uznał pokój za żałosny, nędzny i posępny, i w ten sposób uodpornił się w duchu na

jego wystrój, zwrócił uwagę na dwunastu obecnych w środku mężczyzn. Pomyślał, że stanowią jak gdyby karykaturę panteonu, i znowu poczuł się nieco spokojniejszy, gdy pozwolił sobie na ten koncept.

Zebrani byli ogorzali jak wszyscy osadnicy. Mieli białe, spierzchnięte wargi, a ich postawa i wygląd świadczyły o ubóstwie i braku życiowego szczęścia. Dwaj byli Chińczykami w płóciennych pantoflach i szarych, bawełnianych kaftanach. Za nimi stał tubylec, Maorys, o twarzy wytatuowanej w zielono-niebieskie zygzaki. Co do pozostałych, to Moody nie potrafił określić ich pochodzenia. Nie wiedział jeszcze, że poszukiwanie złota może przydać człowiekowi lat w ciągu kilku miesięcy. Rozejrzawszy się wokół, uznał, że chyba jest tu najmłodszy, ale kilku z obecnych było jego rówieśnikami, kompletnie pozbawionymi jednak blasku młodości. Już na całe życie mieli pozostać zrzędlivi i niespokojni, zachować ziemistą cerę i kaszleć pyłem w zbrązowiałe linie wnętrza swoich dłoni. Moody pomyślał, że nieznajomi są prostaccy, a może nawet dziwacznicy. Wziął ich przy tym za ludzi mało ważnych i nie zastanawiał się, dlaczego tak zawzięcie milczą. Chciał tylko napić się brandy, usiąść i zamknąć oczy.

Stał przez chwilę w progu, oczekując, że ktoś go powita, ale ponieważ nikt nie wykonał żadnego gestu pozdrowienia ani niechęci, zrobił kolejny krok naprzód i cicho zamknął za sobą drzwi. Niezdecydowanie skłonił się w stronę okna, a potem kominka, jak gdyby w ten sposób chciał się przywitać ze wszystkimi za jednym zamachem, po czym podszedł do stolika pod ścianą i zajął się przyrządzaniem koktajlu, nalewając alkohol z ustawionych tam właśnie w tym celu karafek. Wybrał cygaro, odciął jego koniuszek, wcisnął je między zęby, odwrócił się w stronę pokoju i jeszcze raz przypatrzył twarzom obecnych. Nikt nie zdradzał najmniejszego zainteresowania jego osobą. Odpowiadało mu to. Zasiadł w jedynym wolnym fotelu, zapalił i rozparł się wygodnie z cichym westchnieniem człowieka, który uważa, że chociaż raz w życiu naprawdę zasłużył sobie na tę codzienną przyjemność.

Jego zadowolenie nie trwało jednak długo. Ledwie zdążył wyciągnąć nogi i skrzyżować je w kostkach (na jego spodniach pozasychała białymi falami sól, co niebywale go irytowało), kiedy siedzący po jego prawej ręce mężczyzna wychylił się z fotela, wskazał Moody'ego niedopałkiem cygara i zapytał:

– Posłuchaj pan... Masz pan tu jakiś interes? W hotelu Korona?

Zabrzmiało to dosyć arogancko, ale Moody nic nie dał po sobie poznać. Uprzejmie skłonił głowę i wyjaśnił, że w rzeczy samej, wynajął pokój na piętrze, a przybył do miasta dzisiejszego wieczoru.

– Znaczy dopiero co zszedłeś pan na ląd?

Moody znowu się skłonił i potwierdził, że właśnie to miał na myśli. Nie chcąc, by nieznajomy uznał go za milczka, dodał, że przyплыł z Portu Chalmers i zamierza zająć się poszukiwaniem złota.

– To dobrze – odpowiedział mężczyzna. – To dobrze. Znowu znaleziono złoto tam dalej, nad brzegiem morza. Jest go mnóstwo. Usłyszysz pan, jak różni ludzie krzyczą o czarnoziemach, znaczy pod Charleston. To oczywiście będzie na północy... Charleston. Ale i w wąwozie zarobi pan na życie. Masz pan jakiegoś towarzysza czy przyjechałeś bez asysty?

– Jestem sam – odrzekł Moody.

– Żadnych znajomości! – powiedział mężczyzna.

– No cóż, po prostu zamierzam zbić fortunę bez niczyjej pomocy, to wszystko – odezwał się Moody, ponownie zdziwiony sposobem wysławiania się rozmówcy.

– Żadnych znajomości – powtórzył tamten. – I żadnych interesów. Nie masz pan tu żadnego interesu? W hotelu Korona?

Domaganie się podania dwukrotnie tej samej informacji było impertynencją, ale nieznajomy sprawiał wrażenie sympatycznego, a także roztargnionego, i ciągle bębnił palcami w kłapę swojej kamizelki. Moody pomyślał, że może po prostu wcześniej nie wyraził się dość jasno.

– Mam w tym hotelu tylko taki interes, żeby odpocząć – powiedział. – Przez kilka następnych dni będę się rozpytywał co do poszukiwań. Dowiem się, które rzeki są tu złotodajne, a które doliny wyeksploatowane. I przy okazji zaznajomię się z życiem poszukiwacza. Planuję pozostać w hotelu Korona przez tydzień, a potem podążę w głąb wyspy.

– Czyli że jeszcze nigdy nie szukałeś pan złota.

– Nie, proszę pana.

– I nigdy go pan nie widziałeś?

– Tylko u jubilera... Złote zegarki albo zapinki, ale czystego złota nie.

– Marzyłeś pan jednak właśnie o czystym złocie! Marzyłeś o nim... Marzyłeś, że kłęczysz w wodzie i wypłukujesz kruszec z piasku i kamyków!

– Wydaje mi się, że... No cóż, nie, właściwie to nie – odpowiedział Moody.

Napastliwy sposób wyrażania się nieznajomego zdawał mu się nieco kuriozalny, bo chociaż mężczyzna sprawiał wrażenie roztargnionego, to mówił z ożywieniem i tak energicznie, że niemal natarczywie. Moody rozejrzał się w nadziei, że uda mu się wymienić współczujące spojrzenie z którymś z pozostałych mężczyzn, ale nie zdołał zwrócić na siebie uwagi. Odkaszlnął i dodał:

– Wydaje mi się, że marzyłem raczej o tym, co przychodzi później... To znaczy o tym, do czego złoto może nas doprowadzić i czym się może stać.

Nieznajomy sprawiał wrażenie zadowolonego z tej odpowiedzi.

– Przeciwieństwo alchemii, ja tak to nazywam – oświadczył. – Chodzi mi o te poszukiwania. To przeciwieństwo alchemii. Rozumiesz pan... Przemiana, ale nie metali w złoto, tylko złota w coś innego.

– To udany koncept, szanowny panie – odparł Moody, dopiero znacznie później zdając sobie sprawę, że słowa nieznanego nieomal współbrzmiały z jego niedawną myślą o karykaturze panteonu.

– A pańskie poszukiwania... – odezwał się mężczyzna, żywo kiwając głową. – Pańskie poszukiwania... Pewnie będziesz się pan rozpytywał... Jakich łopat i jakich płuczek używać... Jakich map i w ogóle.

– Tak. Chcę robić wszystko jak należy.

Nieznanomy rzucił się z powrotem na oparcie fotela, najwyraźniej wielce rozbawiony.

– Mieszkać przez tydzień w hotelu Korona... Tylko po to, żeby zasięgnąć języka! – Parsknął krótkim śmiechem. – A potem spędzisz pan dwa tygodnie w błocie, żeby zwrócił się panu ten wydatek!

Moody zmienił położenie swoich skrzyżowanych nóg, tak że kończyzna, która wcześniej była pod spodem, znalazła się na wierzchu. Nie był w odpowiednim nastroju, by odpowiedzieć nieznanemu równie gwałtownie, odebrał jednak zbyt surowe wychowanie, by zastanawiać się nad nieuprzejmą repliką. Mógł po prostu przeprosić za swoje zmieszanie i przyznać, że źle się czuje, albowiem nieznanomy, który wciąż uderzał palcami w kłapę kamizelki i wydawał z siebie coraz głośniejszy, gulgoczący śmiech, wydał mu się całkiem sympatyczny, ale Moody nie miał w zwyczaju rozmawiać szczerze z obcymi, a tym bardziej przyznawać się do złego samopoczucia. Wziął się w garść i zapytał pogodniejszym tonem:

– A szanowny pan? Odnoszę wrażenie, że jest pan tu już dobrze zadomowiony?

– O tak – odparł nieznanomy. – Agencja spedycyjna Spedycja Balfoura. Widział pan naszą firmę? To zaraz za rzeźnią, świetna lokalizacja... Na ulicy Nadbrzeżnej, wie pan. Balfour to właśnie ja. Na imię mam Thomas. Panu też będzie potrzebne jakieś imię podczas poszukiwań, bo w wąwozie mówimy do siebie per ty.

– A zatem muszę się wprawiać w używaniu swojego imienia – rzekł Moody. – A brzmi ono Walter. Nazywam się Walter Moody.

– Tak, tylko że kopacze wcale nie będą mówić do pana Walter – odpowiedział Balfour, klepiąc się w kolano. – Może Szkocki Walt. Albo Oburęczny Walt. Albo Wally Samorodek. Ha!

– Na to ostatnie miano będę musiał sobie zasłużyć.

Balfour roześmiał się.

– Znaleźć bryłkę złota to żadna sztuka. Widziałem już kilka tak dużych jak damski

pistolecik. Jak damska... No, ale może mi pan wierzyć, na samorodku o wiele łatwiej jest położyć łapę.

Thomas Balfour był przysadzystym, krzepkim mężczyzną około pięćdziesiątki. Miał zupełnie siwe, długie włosy, zaczesane do tyłu i zwieszające mu się wokół uszu. Nosił bujną brodę, którą miał zwyczaj gładzić, kiedy coś go bawiło – i robił to właśnie w tej chwili, zadowolony ze swojego dowcipu. Moody pomyślał, że dobrobyt dobrze służy jego nowemu znajomemu, dostrzegł w nim bowiem wynikające z życiowego optymizmu – który został w końcu potwierdzony przez sukces – spokojne przekonanie, że mu się on należy. Balfour był bez marynarki. Fontaż, chociaż jedwabny i pięknej roboty, miał poplamiony jakimś sosem i rozluźniony pod szyją. Moody ocenił brodacza jako niegroźnego libertarianina i duchowego renegata, a poza tym człowieka wesołego oraz wylewnego.

– Jestem pańskim dłużnikiem – odezwał się Moody. – Nie wątpię, że to pierwszy z licznych miejscowych zwyczajów, o których nie mam pojęcia. Z pewnością popełniłbym błąd i przedstawiałbym się w wąwozie nazwiskiem.

To, że jego wyobrażenia na temat poszukiwaczy złota w Nowej Zelandii miały nieprecyzyjny charakter, było prawdą. Ich podstawę stanowiły bowiem jedynie ilustracje przedstawiające złotodajne pola Kalifornii: chaty z drewnianych bali, płaskodenne doliny i zapyłone wozy osadników. Odnosił niejasne wrażenie (choć nie wiedział dlaczego), że ta kolonia jest w jakimś sensie cieniem Wysp Brytyjskich, nieforemną, dziką odwrotnością siedziby i serca imperium. Gdy okrążał cypłe półwyspu Otago przed mniej więcej dwoma tygodniami, zdziwił się, oglądając na wzgórzu wielkie rezydencje, mola, ulice i ogrody uprawne, i dziwił się również teraz, widząc, jak jakiś dobrze ubrany dżentelmen podaje zapalki sztormowe Chińczykowi, a potem pochyła się nad nim, aby ponownie sięgnąć po swoją szklanę.

Moody ukończył Cambridge. Urodził się w Edynburgu, w rodzinie o skromnym majątku i z trojgiem służby domowej. Kręgi towarzyskie, w których obracał się w Trinity, a później w związku sędziów i adwokatów, zwanym Świątynią Wewnętrzną, wcale nie charakteryzowały się sztywnością typową dla parów, wśród których z punktu widzenia historii i pochodzenia jeden różni się od drugiego jedynie w niewielkim stopniu. Mimo to wykształcenie uczyniło z Moody'ego człowieka ograniczonego, gdyż nauczono go, że najlepszym sposobem zrozumienia danej społeczności jest patrzeć na nią z góry. U boku swoich kolegów ze studiów, noszących peleryny i upijających się winem reńskim, z całym typowym dla młodego wieku uniesieniem i energią bronił idei równości wszystkich klas społecznych, lecz niemal zawsze się dziwił, obserwując jej realizację. Nie wiedział jeszcze, że złotodajne pola to błoto i ryzyko; wszyscy są tam dla siebie obcy, podobnie jak obcy są ziemi, na której stoją; że płuczka sklepikarza może być pełna kruszcu, a płuczka prawnika pusta; i nie ma tam żadnych podziałów. Moody był o blisko dwadzieścia lat młodszy od Balfoura, toteż zwracał się do niego z szacunkiem, choć zdawał sobie sprawę, że Balfour jest człowiekiem o niższym statusie społecznym od niego, i zauważył, że otaczają go zaskakująco

różni ludzie, których stanu majątkowego i pochodzenia nie potrafił odgadnąć. Z tej przyczyny jego uprzejmość była nieco sztuczna i dlatego przypominał człowieka, który z racji tego, że nieczęsto rozmawia z dziećmi, nie ma pojęcia, co wypada mu powiedzieć w ich towarzystwie, dystansuje się więc od nich i traktuje je surowo, mimo że bardzo chciałby być dla nich miły.

Thomas Balfour wyczuwał tę protekcyjność i był nią zachwycony. Ludzie, którzy wysławiali się, jak to ujmował, „o wiele za gładko”, budzili w nim żartobliwy niesmak, a poza tym uwielbiał ich prowokować – nie do gniewu, to go bowiem nudziło, lecz do ordynarności. Uważał rezerwę Moody’ego za coś w rodzaju modnego wśród arystokracji kołnierzyka, który nieznośnie uwiera właściciela. Wszystkie konwenanse wyższych sfer widział podobnie – jako bezużyteczną ozdobę, bawiło go więc, że ogląda wprawia przybysza w takie zakłopotanie.

Balfour rzeczywiście pochodził ze skromnej rodziny, jak trafnie domyślił się Moody. Jego ojciec pracował w siodlarni w hrabstwie Kent i Thomas może przejąłby po nim ten zawód, gdyby ojca i stajni nie strawił pożar, kiedy chłopak miał zaledwie jedenaście lat. Dzieckiem był jednak niesfornym, nosił wystrzępione mankiety i odznaczał się niecierpliwością, która nie pasowała do marzycielskiego i nieco roztargnionego wyrazu twarzy, jaki przybierał na co dzień, toteż nie odpowiadałaby mu codzienna harówka w siodlarni. Poza tym, jak chętnie mawiał, koń nie dotrzyma kroku pociągowi, a zawód jego ojca nie przetrwał szybko zachodzących w świecie zmian. Balfour bardzo lubił myśleć, że znajduje się w awangardzie epoki. Gdy mówił o przeszłości, odnosiło się wrażenie, że każda wcześniejsza dekada jest niczym nędzna świeca, która już się wypaliła. Nie odczuwał żadnej nostalgii za swoim dzieciństwem – za ciemną cieczą w kadziach garbarskich, za wieszakami na skóry i sakwą z cielecej skórki, w której ojciec trzymał igły i szydło, i rzadko wspominał owe utensylia – chyba że dla porównania z nowszymi gałęziami przemysłu. Rudy metali: tu kryły się pieniądze. Kopalnie, stalownie i złoto.

Zaczynał od szkła. Po kilku latach terminowania założył własną, skromną fabrykę wyrobów szklanych, którą odsprzedał później za udział w kopalni węgla, ta zaś z czasem rozrosła się w całą sieć szybów i została sprzedana inwestorom z Londynu za poważną kwotę. Nie ożenił się. Na trzydzieste urodziny kupił sobie bilet w jedną stronę na kliperze, płynącym do Veracruz, pierwszego przystanku w dziewięciomiesięcznej podróży, prowadzącej dalej lądem na kalifornijskie złote pola. Blaski życia kopacza wkrótce dla niego przygasły, nie zgasły jednak bezustanny pośpiech i nadzieja, jaką dawały złoża. Za pierwszy znaleziony złoty piasek kupił akcje banku, wybudował trzy hotele w ciągu czterech lat i dobrze prosperował. Kiedy zabrakło złota w Kalifornii, sprzedał wszystko i popłynął do Wiktorii, ku nowej żyłce kruszcu, na nowy, nieznaną ląd, a stamtąd, ponownie słysząc zew, który niósł się nad oceanem niczym głos czarodziejskiej piszczałki na lekkim wietrze, wyruszył do Nowej Zelandii.

W ciągu szesnastu lat spędzonych w prymitywnych kopalniach złota Thomas Balfour poznał bardzo wielu ludzi podobnych do Waltera Moody’ego i trzeba mu oddać, że wbrew swojej naturze zachował przez cały ten czas ogromną serdeczność i szacunek dla takich wciąż

niewinnych, niedoświadczonych i niepoddanych jeszcze ciężkiej próbie mężczyzn. Jako ktoś, kto doszedł do wszystkiego własną pracą, Balfour był życzliwy i niezwykle wielkoduszny dla ambitnych. Podobały mu się przedsiębiorczość i poządlliwość. Moody przypadł mu do gustu po prostu dlatego, że porywał się na coś, o czym najwyraźniej bardzo niewiele wiedział, chociaż spodziewał się wielkiego zysku.

Tego wieczoru jednakże Balfour pochłonięty był swoimi sprawami. Przybycie Moody'ego stanowiło niejaką niespodziankę dla dwunastu zebranych w palarni mężczyzn, którzy poczynili znaczne starania, by nikt im nie przeszkadzał. Frontowy salon hotelu Korona został zamknięty na wieczór do prywatnego użytku, a pod markizą na ulicy stał chłopak, obserwujący przechodniów na wypadek, gdyby któremuś z nich przysłała ochota napić się tutaj, co było jednak mało prawdopodobne, albowiem palarnia w tym przybytku nie cieszyła się zbyt wielkim wzięciem z uwagi na klientelę oraz brak uroku i, prawdę mówiąc, często bywała pusta, nawet w weekendy, kiedy poszukiwacze złota wracali całymi gromadami z gór, by płacić złotym piaskiem za alkohol w miejscowych knajpach. Chłopak stojący na warcie był służącym Dicka Manneringa i miał przy sobie spory pęk darmowych biletów na operowy balkon. Przedstawienie – zatytułowane *Sensacje z Orientu* – było nowe i miało z góry zapewnione powodzenie, a we foyer czekały już skrzynki szampana, ufundowane przez samego Manneringa, by uczcić wieczorną premierę. Mając w pamięci tego rodzaju rozrywki i sądząc, że żaden statek nie zaryzykuje wejścia do portu po ciemku w tak słotny dzień (wszystkie jednostki, zapowiedziane na stronach żeglugowych gazety „Czas Zachodniego Wybrzeża”, do tej pory przybyły już na miejsce), zebrani w palarni nie pomyśleli, by zabezpieczyć się przed jakimś przypadkowym nieznanym, który mógł stanąć w hotelu na pół godziny przed zmrokiem, a co za tym idzie, byłby już mieszkańcem Korony w czasie, gdy chłopak Manneringa zajmował swoje miejsce pod ociekającym wodą okapem na ulicy.

Pomimo budzącej zaufanie fizjonomii i grzecznej rezerwy w obejściu Walter Moody był dla tych ludzi intruzem. Nie mieli pojęcia, jak skłonić go do wyjścia, nie dając mu do zrozumienia, że właśnie im przeszkodził, i nie ujawniając w ten sposób konspiracyjnego charakteru ich spotkania. Thomas Balfour przyjął na siebie zadanie wybadania Moody'ego jedynie dlatego, że przypadkowo siedział najbliżej niego, przy kominku – i należało uznać to za doprawdy szczęśliwy zbieg okoliczności, bo pomimo całej swojej buńczuczności i samochwalstwa Balfour był człowiekiem nieustępliwym i umiał obracać tego rodzaju rozmowy na swoją korzyść.

– No tak – odezwał się – tutejszych zwyczajów można się szybko nauczyć, a każdy musi zacząć od tego, co pan. To znaczy jak terminator, nie wiedząc zupełnie nic. Ale od czego się to u pana zaczęło, jeżeli mogę zapytać? Te sprawy interesują mnie prywatnie. Wie pan, ciekaw jestem, co sprowadza ludzi tu, na koniec świata. Co nimi kieruje.

Moody zaciągnął się cygarem i dopiero po chwili odpowiedział.

– W moim przypadku była to dość skomplikowana historia. Kwestia sporów rodzinnych, o których boleśnie byłoby mi opowiadać i z których powodu przypląnąłem tu sam.

– Och, ale pod tym względem nie jesteś pan tu sam – odparł pogodnie Balfour. – Każdy facet tutaj przed czymś ucieka, bądź pan tego pewien!

– Doprawdy? – Moody pomyślał, że to dość niepokojąca wiadomość.

– Każdy jest tu obcy – ciągnął Balfour. – Tak, oto sedno sprawy. Wszyscy skądś tutaj przyjechaliśmy. A co do rodziny, to znajdziesz pan dosyć braci i ojców w wąwozie.

– To miło, że dodaje mi pan otuchy.

Teraz Balfour uśmiechał się już szeroko.

– Interesujące określenie – powiedział, wymachując cygarem tak energicznie, że obsypał sobie płatkami popiołu całą kamizelkę. – Otucha!... Jeżeli to ma być otucha, to jesteś strasznym purytaninem, mój chłopcze.

Moody nie potrafił znaleźć stosownej odpowiedzi na tę uwagę, skłonił się więc raz jeszcze – a potem, jak gdyby chcąc dać odpór wszelkim purytańskim implikacjom, pociągnął spory łyk ze szklanki. Na ulicy podmuch wiatru przerwał jednostajną chłostę deszczu, bijącego teraz o szyby od strony zachodniej. Nadal się uśmiechając, Balfour przyjrzał się czubkowi swojego cygara. Moody włożył do ust własne, odwrócił się i lekko zaciągnął dymem.

W tej samej chwili jeden z pozostałych jedenastu milczących mężczyzn wstał, złożył czytaną przez siebie gazetę we czworo i podszedł do sekretery, by sięgnąć po inny tytuł. Miał na sobie czarny surdut ze stójką i białą koloratkę i Moody z niejakim zdumieniem skonstatował, że jest to strój duchownego. Wydało mu się to dziwne. Dlaczego osoba duchowna miałaby ochotę czytać gazety w palarni takiego zwyczajnego hotelu, i do tego późnym wieczorem w sobotę? I dlaczego miałaby przy tym siedzieć w tak milczącym towarzystwie? Moody przyglądał się, jak kapłan przegląda stos gazet i czasopism, odrzucając kilka wydań „Kolonisty” na rzecz „Argusa z Grey River”, którego wyciągnął, mrużąc z zadowoleniem, trzymając gazetę z dala od siebie i nachylając ją z uznaniem pod światło. Z drugiej strony, myślał dalej Moody, jak gdyby dyskutując sam ze sobą, prawdopodobnie wcale nie jest to takie dziwne: wieczór jest bardzo dżdżysty, toteż we wszystkich salach oraz tawernach w mieście panuje zapewne tłok, a być może ten duchowny musiał z jakiegoś powodu poszukać na pewien czas schronienia przed deszczem.

– Czyli poróżnił się pan ze swoją rodziną... – odezwał się Balfour, jak gdyby Moody obiecał mu jakąś ekscytującą opowieść, a potem zapomniał ją podjąć.

– Raczej uczestniczyłem w kłótni rodzinnej – poprawił go Moody. – I to nie ja ją zacząłem.

– Pewnie posprzeczał się pan ze swoim ojcem.

– To bolesna historia, szanowny panie. – Moody zerknął na niego, żeby uciszyć go surowym spojrzeniem, ale Balfour w odpowiedzi pochylił się bardziej do przodu, zachęcony powagą na twarzy Moody’ego i przekonany, że warto wysłuchać jego opowieści.

– Och, daj pan spokój! – powiedział. – Zrzuć ten ciężar z piersi.

– Takiego ciężaru nie można po prostu zrzucić, panie Balfour.

– Nigdy nie słyszałem o brzemieniu, którego nie można by się jakoś pozbyć, przyjacielu.

– Przepraszam, ale zmienię temat...

– Ależ pan mnie już zainteresował! Rozbudził pan moją ciekawość! – Balfour uśmiechał się do niego szeroko.

– Proszę, abyś pozwolił mi odmówić, panie – odpowiedział Moody. Starał się, by inni obecni w pokoju nie słyszeli wyraźnie ich rozmowy. – Proszę, niech pan pozwoli mi zachować tę historię dla siebie. Chodzi mi wyłącznie o to, żeby nie zrobić na panu złego wrażenia.

– Ale jak sam pan powiedział, to pan został skrzywdzony... Bo przecież nie pan wszczął tę kłótnię.

– Tak jest.

– No właśnie! Dlatego takich rzeczy nie musi pan trzymać dla siebie! – zawołał Balfour. – Czyż nie mam racji? Nie trzeba zachowywać poufności, jeśli to nie pan, tylko ktoś inny zachował się niegodziwie! Wie pan, nie trzeba wstydzić się za cudze... uczynki! – Balfour mówił bardzo głośno.

– Pan ma na myśli hańbę osobistą – odezwał się cicho Moody. – A mnie chodzi o hańbę, którą została okryta cała moja rodzina. Nie chcę szargać ojcowskiego nazwiska, albowiem ja też je noszę.

– Pański ojciec! Pamięta pan, co mówiłem? Że w wąwozie będzie miał pan nowych ojców na kopy! To nie jest tylko takie powiedzonko, tutaj to tradycja i konieczność... Tak już u nas jest! Pozwoli pan sobie powiedzieć, co uważa się za hańbę między poszukiwaczami złota. A więc wskazać fałszywe złoża, podobnie jak spierać się o granice swojej działki. Obrabować, oszukać albo zabić człowieka to też poważna sprawa. Ale hańba rodzinna! Opowiedz pan o niej bojowi hotelowemu, niech ją wykrzyczy, biegając tam i z powrotem po Drodze do Hokitika, to może zainteresuje przechodniów! Czymże jest hańba rodzinna, jeżeli się nie ma rodziny?

Balfour zakończył tę tyradę donośnym stuknięciem pustą szklanką o poręcz fotela. Rozpromienił się, patrząc na Moody'ego, i podniósł otwartą dłoń, jak gdyby chciał podkreślić, że wyraził się na tyle przekonująco, że nie potrzeba ani słowa więcej, choć nie miałyby nic przeciwko jakiemuś wyrazowi aprobaty. Moody ponownie odruchowo kiwnął głową i po raz pierwszy odpowiedział tonem zdradzającym zniecierpliwienie:

– To brzmi przekonująco, szanowny panie.

Wciąż rozpromieniony Balfour zbył komplement machnięciem ręki.

– Umiejętność przekonywania polega na sztuczkach i sprycie. A ja mówię wprost.

– Dziękuję panu.

– Tak, tak – odpowiedział przyjaźnie Balfour, który chyba doskonale się bawił. – Teraz jednak musi mi pan opowiedzieć o tej swojej kłótni rodzinnej, panie Moody, żebym mógł ocenić, czy pańskie nazwisko istotnie zostało splamione.

– Daruje pan – mruknął Moody. Rozejrzał się i spostrzegł, że duchowny powrócił na swoje miejsce i jest pochłonięty lekturą gazety. Siedzący obok niego mężczyzna o rumianej twarzy, cesarskich wąsiskach i rudych włosach najwyraźniej zasnął.

Thomas Balfour nie dał się zbić z tropu.

– Wolność i bezpieczeństwo! – zawołał, znowu machając ręką. – Czy nie do tego się to wszystko sprowadza? Widzi pan, ja już wiem, jaka będzie pańska argumentacja i jaką przybierze postać! Jeden człowiek wynosi wolność ponad bezpieczeństwo, drugi natomiast bezpieczeństwo nad wolność... Ojciec zapewnia rodzinie bezpieczeństwo, a syn pragnie wolności. Oczywiście, ojciec może być zbyt apodyktyczny, to się zdarza, syn zaś okazuje się rozrzutny... marnotrawny... Zawsze jednak się kłócą. Podobnie jak kochankowie – dodał, kiedy Moody nie skorzystał z okazji, żeby mu przerwać. – Z kochankami jest podobnie: ostatecznie zawsze będą się sprzeczać w kółko o to samo.

Ale Moody go nie słuchał. Zapomniał na chwilę o rosnącym słupku popiołu swojego cygara i ciepłej kałuży brandy na dnie szklanki. Zapomniał, że siedzi w hotelowej palarni, w mieście zbudowanym niecałe pięć lat temu na końcu świata. Błądził myślami i wrócił do tamtej nocy: zakrwawiony fontaż, zaciskająca się, jakby srebrzysta dłoń i wypowiedane raz po raz zdyszonym głosem imię: „Magdalena, Magdalena, Magdalena”. Ta scena powracała w jego wyobraźni błyskiem, nieproszona, niczym zimny cień przesuwany się po tarczy słońca.

Moody wypłynął z Portu Chalmers na pokładzie barku „Z Bogiem”, mocnego, chociaż niewielkiego statku o elegancko nachylonym dziobie i wielobarwnej, dębowej figurze dziobowej, przedstawiającej orła, symbol świętego Jana. Trasa podróży na mapie przypominała spinkę do włosów: bark wypłynął na północ, pokonał wąską cieśninę, dzielącą dwa morza, a potem zawrócił na południe, w kierunku złotodajnych pól. Bilet Moody’ego upoważniał go do zajęcia wąskiego miejsca pod pokładem, ale w ładowni śmierdziało i było tak ciasno, że prawie przez cały czas przesiadywał na górze, wciśnięty pod okrężnicę, przyciskając do piersi mokry, skórzany sakwojaż i stawiając kołnierz, żeby osłonić twarz przed kropelkami wody. Ponieważ siedział w kucki, tyłem do morza, prawie nie widział wybrzeża i żółtych równin na wschodzie, które powoli były zastępowane przez łagodnie pochylone, zielone wzgórza, nad którymi w błękitnej oddali zamajaczyły w końcu góry. Dalej na północ leżały butelkowej barwy fiordy – ciche, albowiem woda w nich była spokojna – na zachodzie zaś ciągnęły się warkocze potoków, które matowiały, napotykając brzeg morza, i ryły bruzdy w piasku.

Kiedy „Z Bogiem” okrążył północny cypel i ruszył na południe, barometr zaczął opadać. Gdyby Moody tak strasznie nie wymiotował i nie czuł się podle, może by się wystraszył i zaczął składać śluby w intencji ocalenia. Robotnicy portowi powiedzieli mu, że śmierć przez utopienie to dzuma Zachodniego Wybrzeża, dlatego to, czy będzie mógł powiedzieć o sobie, że jest szczęściarzem, okaże się na długo przed jego przybyciem na złotodajne pola i na długo, zanim po raz pierwszy przykłęnie, by nabrać kamieni do płuczki. Topiło się tu mniej więcej tylu podróżnych, ilu bezpiecznie dobijało do brzegu. Dowódca jego statku, niejaki kapitan Carver, ze swojego mostka na nadbudówce widział już tak wiele zmytych do wody szcurów lądowych, że jego statek słusznie można byłoby nazwać cmentarzem – a słowo to wypowiedano cicho, z namaszczeniem i szeroko otwartymi oczami.

Wiatr towarzyszący sztormowi początkowo nie był silny. Najpierw czuło się jak gdyby posmak miedzi w ustach i metaliczny ból, który zwiększał się w miarę, jak ciemniały i napływały chmury, a wicher uderzył w końcu w statek niczym otwartą dłońią w bezsensownej furii. Na pokładzie się zagotowało, roztańczyły się dziwaczne bicze światła i cieni, rzucane przez żagle, które pękały i napinały się w górze, i można było wyczuć strach marynarzy, walczących, by statek nie zboczył z kursu. Wszystko to przypominało koszmar, a kiedy bark coraz bardziej zbliżał się do złotodajnych pól, Moody’emu wydało się, że w pewien sposób on sam ściągnął na siebie ten piekielny sztorm niczym w upiornym śnie.

Walter nie był przesądny; bawiła go cudza zabobonność i niełatwo poddawał się złudnym wrażeniom. Lubił imponować innym, ale ta jego postawa nie wynikała z inteligencji, tylko raczej z doświadczenia, którego przed wyjazdem do Nowej Zelandii nie dałoby się nazwać bogatym. Jak dotąd nawiedzały go jedynie wątpliwości wykalkulowane i bezpieczne. Wiedział, co to podejrzliwość, cynizm i rachunek prawdopodobieństwa, lecz nigdy nie dotknęło go takie przerażające zniechęcenie, jakie przeżywa człowiek porzucający wiarę w siłę własnej nadziei. Nie doświadczył też następującego potem okropnego strachu i nigdy nie ogarnęła go monotonna pustka, która przychodzi na końcu. O tych rodzajach niepewności szczęśliwie nie wiedział nic – przynajmniej do niedawna. Jego wyobraźnia nie skłaniała się z natury ku fantazji i Moody rzadko teoretyzował, wyłącznie wtedy, gdy miał na widoku jakiś cel praktyczny. Własna śmiertelność stanowiła dla niego jedynie coś w rodzaju intelektualnej fascynacji, świecącej zimnym blaskiem – a ponieważ nie wyznawał żadnej religii, nie wierzył również w duchy.

Szczegółowa opowieść o tym, co wydarzyło się na ostatnim etapie podróży, należy do Moody’ego. Powinniśmy mu ją zatem pozostawić. Sądzymy, że na razie wystarczy powiedzieć, iż na pokładzie „Z Bogiem” znajdowało się ośmioro pasażerów, kiedy statek wychodził z portu w Dunedin, a gdy dobili do Zachodniego Wybrzeża, liczba ta zwiększyła się do dziewięciorga. Dziewiątym pasażerem nie było urodzone podczas rejsu dziecko ani podróżnik na gapę; nie był to też unoszący się na falach i trzymający kurczowo jakiejś deski rozbitek, krzyczący, żeby go wyciągnąć, którego wypatrzyłby marynarz z bocianiego gniazda. Lecz mówić o tym teraz oznaczałoby odebrać Walterowi Moody’emu jego opowieść, to zaś byłoby niesprawiedliwe, ponieważ adwokat nadal nie był w stanie dokładnie przypomnieć sobie

zjawy, którą widział na pokładzie, a tym bardziej osnuć wokół niej opowiadania dla cudzej przyjemności.

W Hokitika od dwóch tygodni bez litości padał deszcz. W pierwszej chwili w oczach Moody'ego miasto przypominało nieustannie zmiennokształtną plamę, która pojawiała się i znikwała, kiedy wiatr oddalał lub przybliżał mgłę. Wybrzeże i wyrastające nagle dalej turnie dzielił tylko wąski korytarz równiny, nieustannie bombardowany przez fale, które rozбивały się na plaży, a ten pas ziemi wydawał się jeszcze bardziej płaski i ograniczony ze względu na chmury, przecinające górskie szczyty nisko po bokach i tworzące szary sufit nad gęstym od dachów miastem.

Port leżał na południu, wciśnięty w krzywiznę ujścia bogatej w złoto rzeki, która pieniała się tam, gdzie napotykała słone morze. Tu, na wybrzeżu, rzeka była zatem brunatna i jałowa, wyżej jednak stawała się chłodna, biała i ponoć połyskliwa. Ujście wyglądało na spokojne – przypominało jezioro, gęste od masztów i opasyłych parowców, czekających na pogodniejszy dzień, gdyż marynarze wiedzieli, że nie należy ryzykować wejścia na piaszczystą łacę, czającą się pod wodą i zmieniającą swój kształt wraz z każdym przypiływem. Znaczna liczba widocznych na niej statków, które tam utknęły, stanowiła nieszczęsną spuściznę zagrożenia kryjącego się pod powierzchnią morza. W sumie spoczywało w tym miejscu ponad trzydzieści wraków, w tym kilka jednostek, które uległy katastrofie bardzo niedawno. Ich rozplątane kadłuby tworzyły osobliwą barykadę – wydawała się ona ponuro bronić miasta przed naporem otwartego morza.

Kapitan nie śmiał wprowadzić barku do portu, dopóki nie poprawi się pogoda, dlatego za pomocą sygnalizacji świetlnej wezwał szalupę, która miała przewieźć pasażerów po przewalających się nad mielizną bałwanach. Łódź obsługiwało sześciu wioślarzy, co do jednego przypominających posępnego Charona – patrzyli tępo przed siebie, nie odzywając się, gdy opuszczano pasażerów znad rozkołysanej burty „Z Bogiem” na specjalnym krzeselku. Strasznie było siedzieć potem w kucki w maleńkiej łódce i spoglądać w górę na niesamowite olinowanie mającego wyżej, chwiejącego się statku, który rzucał na dół ciemny cień – kiedy więc wioślarze zdjęli ostatnią cumę i odpłynęli na otwarte wody, Moody'emu zrobiło się lekko na duszy. Pozostali pasażerowie byli w dobrych humorach. Wołali coś o pogodzie i jak to cudownie, że przeżyli sztorm. Zastanawiali się nad każdym mijanym wrakiem, wykrzykując jego nazwę; mówili o złotych polach i o majątku, który na nich zbija. Ich radość wzbudzała w nim niechęć. Jakaś kobieta wcisnęła mu w bok flakonik z solami trzeźwiącymi – „Niech pan zażyje ukradkiem, bo inni też będą chcieli” – ale odtrącił jej rękę. Kobieta nie widziała na barku tego, co on.

Ulewa wydawała się wzmaczać, kiedy szalupa zbliżała się do brzegu. Fale rozbryzgujące się na drobne kropelki zalewały ich taką ilością wody, że Moody musiał ją wylewać, aby pomóc załodze, używając w tym celu skórzanego wiaderka, które bez słowa wcisnął mu jakiś wioślarz, pozbawiony wszystkich przednich zębów. Moody nie miał nawet tyle sił, żeby się wzdrygnąć. Woda uniosła ich nad piaszczystą łacę, po czym wpłynęli na fali o białej grzywie

w spokojne ujście rzeki. Nie zamykał oczu. Kiedy łódź dobiła do nabrzeża, wyskoczył z niej jako pierwszy. Był przemoczony do suchej nitki i tak mocno kręciło mu się w głowie, że potknął się na drabince, gwałtownie odpychając przy tym łódź na wodę. Zataczał się niczym uciekający przed kimś człowiek i zszedł na stały ląd, nieznacznie kulejąc.

Kiedy się odwrócił, ledwie widział kruchą łódkę, obijającą się na cumie o głązy na samym końcu nabrzeża. Bark dawno zniknął we mgle, która wisiała w powietrzu taflami niczym szkło mleczne, zasłaniając wraki, stojące na redzie parowce i ciągnące się dalej otwarte morze.

Moody chwiał się na nogach. Niewyraźnie zdawał sobie sprawę, że załoga wyciąga z łódki torby i walizki, pasażerowie biegają jak oparzeni, a tragarze i robotnicy portowi wykrzykują w deszczu komendy. Ten widok roztaczał się dla niego niby za zasłoną, a ludzi spowijał welon, jak gdyby podróż i wszystko, co z nią związane, pochłonęła już szara mgła jego niepewnych myśli – jak gdyby pamięć Moody’ego cofała się sama przed sobą, napotkawszy własne przeciwieństwo, czyli władzę zapomnienia, wyczarowując tę mgłę i ulewny deszcz niby coś w rodzaju widmowej tkaniny, która miała go osłonić przed niedawną przeszłością.

Nie tracił czasu. Odwrócił się i ruszył szybko plażą. Minął rzeźnię, latryny, chaty, które pełniły rolę wiatrochronów, stojące wzdłuż piaszczystej wargi wybrzeża oraz namioty uginające się pod ciemniejącym ciężarem wody, którą naniósł padający od dwóch tygodni deszcz. Szedł ze spuszczoną głową, mocno przyciskając sakwojaż do piersi, i nie widział rzeźni, wysokich szczytów budynków magazynowych ani dzielonych kamiennymi słupkami okien w oświetlonych biurach na ulicy Nadbrzeżnej, w których można było dostrzec poruszających się, zdeformowanych przez szyby pracowników. Kroczył z trudem dalej, brodząc po kostki w błocie, a kiedy wyrósł przed nim pretensjonalny fronton hotelu Korona, puścił się biegiem w jego stronę i rzucił swój sakwojaż, aby mocować się oburącz z drzwiami.

Hotel Korona, położony przy molo, był właściwie nieciekawym przybytkiem, który można byłoby polecić komuś tylko ze względu na lokalizację. Chociaż ta jego cecha była korzystna, to jednak trudno byłoby ją nazwać zaletą: tutaj, tak blisko jatek, woń krwawej rzezi mieszała się z kwaśnym, słonym zapachem morza, ciągle przywodząc na myśl zapomnianą chłodnię, w której zepsuł się surowy udziec. Z tego powodu Moody mógłby od razu wzgardzić tym hotelem i udać się na północ, na ulicę Revella, gdzie hotelowe fasady były szersze, jaśniały kolorami i zostały wzbogacone o portyki, a wysokie okna i misternie zdobione sufity zapewniały luksus i wygodę, do których przywykł jako człowiek zamożny... Wszystkie swoje zdolności poznawcze pozostawił jednak w rozkołysanym brzuchu barku „Z Bogiem”. Pragnął jedynie dachu nad głową i samotności.

Gdy tylko zamknął za sobą drzwi, tłumiąc odgłosy deszczu, od razu udzielił mu się spokój pustego foyer.

Wspomnieliśmy już, że Moody czerpał znaczne korzyści ze swojej aparycji i kierował się w tej kwestii rozsądkiem: nie zamierzał zawierać pierwszych znajomości w nieznanym mieście, wyglądając niczym człowiek dręczony przez upiory. Strzepnął wodę z kapelusza, przeczesał ręką włosy, tupnął najpierw jedną, a potem drugą nogą, by powstrzymać drżenie kolan, po czym jął energicznie ruszać ustami. Zrobił to wszystko szybko i bez żenady. Kiedy pojawiła się pokojówka, Moody przyglądał się jaskółkowej złączce w rogu biurka w recepcji, a jego twarz przybrała normalny wyraz niewinnej obojętności.

Pokojówka sprawiała wrażenie nieco tępej, miała bezbarwne włosy, a zęby równie żółte jak cerę. Wyrecytowała warunki, na których można było dostać pokój i wyżywienie, uczyniła Moody'ego lżejszym o dziesięć szylingów (które z ponurym brzękiem wrzuciła do zamykanej na klucz szuflady w biurku), a potem ciężkim krokiem zaprowadziła go na górę. Wiedział, że ciągnie za sobą strugę deszczówki i zostawił na podłodze w recepcji sporą kałużę, wcisnął więc dziewczynie sześć pensów. Wzięła je jakby z litości i zamierzała odejść, ale wtedy zaczęła nagle żałować, że nie była dla niego miłsza. Zarumieniła się i po krótkiej chwili zapytała, czy nie chciałby, żeby przyniesiono mu z kuchni kolację.

– Żeby pan wysuszył sobie wątpia – powiedziała, rozsuwając usta w żółtym uśmiechu.

Hotel Korona powstał niedawno i nadal widać w nim było surowe, świeże drewno miodowego koloru; na ścianach wzdłuż łączeń wciąż perliły się kropelki żywicy, a paleniska kominków były jeszcze czyste, bez popiołu i plam. Pokój Moody'ego umeblowany został niezwykle skąpo, jakby na potrzeby spektaklu teatralnego, w którym jedno krzesło udaje duży i bogaty dom. Leżąca na materacu poduszka okazała się cienka i wypchana czymś, co wyglądało na ścinki perkalu. Koce były trochę za duże, sięgały podłogi i dlatego łóżko jakby się skurczyło, tym bardziej że stało wciśnięte pod ostro nachylonym podstrzeszem. To ubóstwo sprawiało, że pokój wyglądał widmowo, na niewykończony, co mogłoby być niepokojące, gdyby widok przez matową szybę przedstawiał inną ulicę z innej epoki. Na Moody'ego jednak ta pustka działała jak balsam. Odstawił przemoczony sakwojazd na etażerkę przy łóżku, wyjął i wysuszył ubranie najlepiej, jak potrafił, wypił herbatę, zjadł cztery kromki ziarnistego razowca z szynką, wyjrzał przez okno na nieprzeniknioną ścianę deszczu, po czym postanowił odłożyć do jutra sprawę, które miał do załatwienia w mieście.

Pokojówka wsunęła mu pod czajnik z herbatą wczorajszą gazetę – niezwykle cienką jak na jej cenę, wynoszącą sześć pensów! Uśmiechnął się, biorąc dziennik do ręki. Miał słabość do prasy brukowej i z rozbawieniem stwierdził, że „Najatrakcyjniejsza tancerka” w mieście oferuje swoje usługi także jako „Najdyskretniejsza akuszerka”. Zaginionym poszukiwaczom złota poświęcona była cała szpalta („Jeśli przeczyta to EMERY STAINES albo ktoś, kto wie, gdzie on przebywa...”), a na jednej stronie widniały wyłącznie ogłoszenia o poszukiwanych do pracy barmankach. Moody przeczytał gazetę dwukrotnie, w tym informacje żeglugowe, ogłoszenia o tanich mieszkaniach do wynajęcia i kilka wydrukowanych w całości, niesłychanie nudnych przemówień, wygłoszonych w związku z kampanią wyborczą. Poczł się rozczarowany, bo „Czas Zachodniego Wybrzeża” przypominał mu gazetkę parafialną. Ale

czego się spodziewał? Że złotodajne pola to egzotyczna fantasmagoria, zbudowana z blasku i obietnic? Że poszukiwacze złota będą cieszyć się złą sławą cwaniaków? Że każdy człowiek okaże się tu mordercą i złodziejem?

Powoli złożył gazetę. Znow wrócił myślami na bark „Z Bogiem”, do tej zakrwawionej skrzyni w ładowni, i serce znowu zaczęło mu mocno bić.

– Dość tego – powiedział na głos i od razu zrobiło mu się głupio.

Wstał, odrzucając złożoną gazetę na bok. Tak czy owak, pomyślał, światło dnia już gaśnie, a nie lubił czytać po ciemku.

Wyszedł z pokoju i na dole znalazł pokojówkę we wnęce pod schodami, gdzie pastowała czernidłem buty do jazdy konnej, i zapytał, czy jest w hotelu salon, gdzie mógłby spędzić wieczór. Miał bardzo męczącą podróż i strasznie potrzebował szklaneczki brandy oraz jakiegoś spokojnego miejsca, gdzie mógłby dać odpocząć oczom.

Pokojówka była teraz miłsza – Moody pomyślał, że pewnie rzadko dostaje napiwki, co mogło okazać się korzystne w przyszłości, gdyby jej jeszcze kiedyś potrzebował. Dziewczyna wyjaśniła, że hotelowy salon został wynajęty na ten wieczór na zamknięte spotkanie. „Katolickiego Towarzystwa Pomocy”, dodała, znowu wyszczerzając się w uśmiechu, ale jeżeli chce, może go zaprowadzić do palarni.

Moody wzdrygnął się, powrócił do teraźniejszości i zobaczył, że Thomas Balfour wciąż mu się przygląda z wyrazem zaintrygowanego wyczekiwania.

– Bardzo przepraszam – powiedział zakłopotany Moody. – Zdaje się, że pogрузyłem się we własnych myślach... Na chwilę...

– A o czym pan myślał? – spytał Balfour.

O czym myślał? Tylko o tamtym fontaziu, błyszczącej srebrzyście dłoni i o kobiecym imieniu, wypowiedanym zdyszczym głosem w ciemności. Ta scena była niczym mały, zamknięty w swoich granicach świat, pomyślał Moody. Gdy wybiegł tam wspomnieniem, w świecie rzeczywistym mogło minąć Bóg wie ile minut – albowiem realnie istnieje zarówno ten ogromny świat falującego czasu i zmiennych przestrzeni, jak i ów mały, zastygły świat koszmaru i niepokoju, a jeden mieści się w drugim, niczym kula w kuli. Jakie to dziwne, że Balfour ciągle mu się przypatruje i że w tamtym czasie mijał czas rzeczywisty, który bez przerwy wirował wokół niego...

– O niczym konkretnym – odpowiedział. – Po prostu mam za sobą ciężką podróż i jestem bardzo zmęczony, to wszystko.

Jeden z bilardzistów stojących za jego plecami uderzył właśnie bilę: podwójne stuknięcie, aksamitny chlupot i okrzyki uznania ze strony innych graczy. Książk hałaśliwie potrząsnął gazetą, ktoś zakaszłał, a inny mężczyzna strzepnął niewidoczny pyłek z rękawa koszuli i przesunął się w fotelu.

– Pytałem pana o rodzinną kłótnię – powiedział Balfour.

– Ta kłótnia... – zaczął Moody i urwał. Nagle poczuł się tak wyczerpany, że nie miał siły mówić dalej.

– Sprzeczka – podsunął mu Balfour. – Między panem i pańskim ojcem.

– Przykro mi, ale jej szczegóły są delikatnej natury – odparł Moody.

– Poszło o pieniądze! Zgadłem?

– Pan wybaczy: nie. – Moody pogładził się po twarzy.

– Nie poszło o pieniądze! A zatem... o miłość! Jest pan zakochany... Ojcu nie podoba się jednak pańska wybranka...

– Nie, szanowny panie – odpowiedział Moody. – Nie jestem zakochany.

– To wielka szkoda – zauważył Balfour. – No cóż! Dochodzę do wniosku, że już pan jesteś żonaty!

– Nie jestem żonaty.

– Zatem zapewne jest pan wdowcem!

– Nigdy nie byłem żonaty, szanowny panie.

Balfour wybuchnął śmiechem i wyrzucił obie ręce w górę, by dać w ten sposób znak, że uważa powściągliwość Moody'ego za śmiesznie irytującą i kompletnie bezsensowną.

Kiedy Balfour się śmiał, Moody dźwignął się na rękach i odwrócił, by spojrzeć nad wysokim oparciem fotela na pokój za swymi plecami. Zamierzał jakoś wciągnąć w rozmowę pozostałych mężczyzn i może w ten sposób zniechęcić upartego Balfoura, ale nikt na niego nie patrzył. Odniósł niepokojące wrażenie, że tamci celowo unikają jego spojrzenia. Było mu niewygodnie, a w dodatku odwracając głowę, zachowywał się impertynencko, toteż z niechęcią przyjął poprzednią pozycję i znowu skrzyżował nogi w kostkach.

– Nie chcę pana rozczarować – odezwał się, gdy śmiech Balfoura ucichł.

– Rozczarować... Skądże! – zawołał Balfour. – Nie, nie. Będzie pan mógł zachować swoje tajemnice.

– Źle mnie pan rozumie. Moim celem nie jest coś ukrywać. To po prostu przykry dla mnie temat, i tyle.

– Och, ale tak to już bywa, panie Moody, kiedy jesteśmy młodzi – stwierdził Balfour. – Wie pan, przeszłość sprawia nam wtedy przykrość... Pragniemy ją od siebie odsunąć... I nigdy się nią nie dzielić... Znaczy z innymi ludźmi.

– To mądra uwaga.

– Mądra! I nic poza tym?

- Nie pojmuję, o co panu chodzi, panie Balfour.
- Postanowiłeś pan nie zaspokoić mojej ciekawości!
- Przyznaję, że jestem nią nieco zaskoczony.
- To jest miasto poszukiwaczy złota, szanowny panie! – odparł Balfour. – Tu trzeba być pewnym swoich towarzyszy... Trzeba im ufać, naprawdę!

To było jeszcze dziwniejsze. Po raz pierwszy, być może ze względu na coraz większe rozgoryczenie, pozwalające mu lepiej się skupić na scenie, w której brał udział, w Moodym obudziło się zainteresowanie. Dziwna cisza w palarni nie znamionowała raczej zebrania bractwa, którego członkowie wszystkim by się dzielili i ułatwiali sobie nawzajem życie... Co więcej, sam Balfour zdradził bardzo niewiele co do swojego charakteru i reputacji w mieście, paradoksalnie być może dlatego, by Moody nabrał do niego większego zaufania! Spojrzenie Moody'ego przesunęło się na tłuściocha siedzącego najbliżej paleniska – przymknięte powieki mężczyzny aż dygotały z wysiłku, udawał bowiem, że śpi. Potem Moody popatrzył na stojącego za nim blondyna, który przekładał kij bilardowy z jednej ręki do drugiej, choć wydawało się, że stracił ochotę do gry.

Coś tu jest nie tak – co do tego nabrał nagle pewności. Balfour odgrywał rolę reprezentanta pozostałych. Próbuje mnie wybadać, pomyślał Moody. Ale w jakim celu? W serii pytań Balfoura kryła się metoda, plan, zgrabnie zasłonięty wylewnym sposobem bycia, wielką uprzejmością i urokiem osobistym. Reszta obecnych słuchała tej rozmowy, udając, że beztrąsko przewraca strony swoich gazet albo drzemie. Kiedy Moody zdał sobie z tego sprawę, pokój nagle się rozjaśnił, jak w chwili kiedy chaotycznie rozproszone gwiazdy błyskawicznie układają się w naszych oczach w konkretną konstelację. Balfour nie wydawał się już Moody'emu tak wesoły i kordialny, jak początkowo sądził; teraz sprawiał wrażenie przemęczonego, spiętego, a nawet zdesperowanego, i Moody zadał sobie pytanie, czy gdyby mimo wszystko spełnił jego prośbę, nie przysłużyłoby mu się to lepiej niż odmowa.

Miał spore doświadczenie w sztuce poufności. Wiedział, że wyznając komuś jakiś sekret, nabywamy taktownego prawa do wysłuchania w swoim czasie tajemnic osoby, której się zwierzamy. Za tajemnicę należy się tajemnica, za opowieść – opowieść, a Moody był pewien, że wywrze na rozmówcę odpowiedni nacisk, gdy zacznie spokojnie oczekiwać jego uprzejmej odpowiedzi na swoje słowa. Dowie się więcej, udając, że otwiera się przed Balfourem, aniżeli jawnie go podejrzewając o podstęp – po prostu dlatego, że jeśli zwierzy mu się szczerze, z własnej woli i bez żadnej rezerwy, to Balfour poczuje się w obowiązku odwzajemnić jego zaufanie. Nie było żadnego powodu, dla którego Moody nie mógł mu opowiedzieć swojej historii rodzinnej, bez względu na to, jak bardzo poruszyłoby go jej wspomnienie, jeśli w ten sposób zdołałby zdobyć zaufanie Balfoura. Oczywiście nie miał zamiaru wyjawić, co się zdarzyło na pokładzie „Z Bogiem” – w tej kwestii jednak nie musiał niczego udawać, jako że Thomas Balfour przecież nie tę opowieść chciał usłyszeć.

Dlatego po przemyśleniu sprawy Moody zmienił taktykę.

– Widzę, że na pańskie zaufanie muszę dopiero zasłużyć – odpowiedział. – Nie mam nic do ukrycia, szanowny panie. Zaczynam swoją opowieść.

Balfour z ogromnym zadowoleniem rozparł się w fotelu.

– Opowieść, powiadasz pan! – zawołał, rozpromieniając się ponownie. – A zatem jestem zdziwiony, panie Moody, że nie dotyczy ona miłości ani pieniędzy!

– Obawiam się, że co najwyżej ich braku – odparł Moody.

– Braku... tak – rzekł Balfour, nadal się uśmiechając, i gestem poprosił Moody'ego, żeby kontynuował.

– Na początku muszę zaznajomić pana z historią mojej rodziny – powiedział Moody, po czym zamilkł na moment, mrużąc oczy i wydymając wargi.

Jego fotel zwrócony był w stronę kominka, toteż niemal połowa obecnych w palarni znajdowała się za nim – siedzieli albo stali, udając, że są czymś zajęci. Przez kilka chwil łaski niebios, którą sobie zapewnił, niby zbierając myśli, wodził spojrzeniem na lewo i prawo, by przyrzeć się słuchaczom, znajdującym się najbliżej, przy ogniu.

Tuż koło kominka siedział ów tłuścioch, który udawał, że śpi. Był to zdecydowanie najbardziej ekstrawagancko ubrany mężczyzna w pokoju: na jego piersi, pomiędzy kieszonką aksamitnej kamizelki a dekoltem koszuli z batystu, zwisał potężny łańcuch od zegarka, gruby niczym paluch jego właściciela, a do tej dewizki w regularnych odstępach przyczepione były grudki złota wielkości kłykci. Mężczyznę siedzącego obok Balfoura częściowo zasłaniał fotel, Moody widział więc tylko błyszczące czoło i lśniący czubek nosa. Człowiek ten miał na sobie wełniany surdut w jodełkę, w którym musiało mu być zdecydowanie za gorąco, bo zajmował miejsce blisko ognia, a krople potu na jego twarzy zdradzały, że tylko udaje swobodę. Nie palił cygara, ale bez przerwy obracał w dłoniach srebrną papierośnicę. Po lewej ręce Moody'ego – kolejny fotel, który stał tak blisko, że Moody słyszał nosowe pogwizdywanie oddechu sąsiada. Mężczyzna ów był ciemnowłosy, szczupłej budowy ciała i niezwykle wysoki. Siedział ze złączonymi kolanami, zgięty wpół, czytał gazetę i przez większość czasu udawał obojętność o wiele lepiej niż pozostali, chociaż miał nieco szklisty wzrok, jak gdyby jego oczy widziały druk nieostro; poza tym już od pewnego czasu nie przewrócił strony.

– Jestem młodszym z dwóch synów – zaczął w końcu Moody. – Mój brat, Frederick, jest ode mnie pięć lat starszy. Matka umarła, kiedy kończyłem szkołę... Wróciłem wtedy do domu, żeby ją pochować, i wkrótce ojciec ożenił się ponownie. Nie znałem wówczas jego drugiej żony. Była... Jest... cichą, kruchą, delikatną kobietą, która wszystkiego się boi i ma słabe zdrowie. Nie przypomina szorstkiego w obejściu ojca, który chętnie zagląda do kieliszka.

Byli źle dobraną parą; moim zdaniem oboje żałowali zawarcia tego małżeństwa, uznawszy je w końcu za pomyłkę, i przykro mi poinformować pana, że ojciec traktował swoją nową małżonkę bardzo źle. Trzy lata temu zniknął, zostawiając ją w Edynburgu bez środków do życia. Niewiele brakowało, aby zaczęła żebrać albo robić jeszcze gorsze rzeczy,

nieoczekiwanie znalazła się bowiem w wielkiej biedzie. Zwróciła się do mnie o pomoc... Listownie, ma się rozumieć... Bawiłem wtedy za granicą i natychmiast przyjechałem do domu. W pewnym sensie zostałem jej opiekunem, chociaż w ograniczonym zakresie. Podjąłem pewne kroki, na które się zgodziła, aczkolwiek z niejaką goryczą, ponieważ jej los zupełnie się odmienił. – Tu Moody zakaszłał sucho z pewnym zakłopotaniem. – Zapewniłem jej niewielkie dochody... Pracę, rozumie pan. Potem, chcąc znaleźć ojca, pojechałem do Londynu, gdzie wyczerpałem w końcu wszystkie możliwości ustalenia miejsca jego pobytu i wydałem bardzo dużo pieniędzy na poszukiwania. Wtedy zacząłem się wreszcie rozglądać za jakimś zajęciem, by dzięki swojemu wykształceniu zarabiać na życie, wiedziałem bowiem, że nie mogę dłużej bezpiecznie polegać na spadku po matce, a moja zdolność kredytowa w mieście poważnie się zmniejszyła.

Mój starszy brat nie wiedział nic o nędzy naszej macochy: kilka tygodni przed zniknięciem ojca wyjechał do Otago wraz z innymi poszukiwaczami złota. Miał przyrodzone skłonności do tego rodzaju kaprysów... Przypuszczam, że można byłoby go nazwać niespokojnym duchem, chociaż odkąd wyrosliśmy z wieku chłopięcego, nie byliśmy ze sobą blisko i przyznaję, że nie znam brata zbyt dobrze. Mijały kolejne miesiące, a nawet lata. Brat nie wracał i nie przysyłał żadnych wieści o sobie, a moje listy do niego pozostawały bez odpowiedzi. Prawdę mówiąc, do tej pory nie wiem, czy w ogóle je dostał. W końcu i ja wykupiłem bilet na statek płynący do Nowej Zelandii, by powiadomić brata o zmianie statusu naszej rodziny oraz, oczywiście jeśli byłby wciąż wśród żywych, być może dołączyć do niego na jakiś czas w charakterze poszukiwacza złota. Moja fortuna stopniała, dochody z dożywocia już dawno się wyczerpały i miałem ogromne długi. W Londynie studiowałem prawo w Świątyni Wewnętrznej. Mógłbym tam zostać i czekać, aż zostanę przyjęty do palestry... Ale nie mam serca do jurysprudencji. Nie mogłem się przymusić do dalszej nauki, popłynąłem więc do Nowej Zelandii.

Kiedy niecałe dwa tygodnie temu wylądowałem w Dunedin, dowiedziałem się, że blask złóż w Otago został niemal całkowicie przyćmiony przez nowe pola, odkryte tutaj, na Zachodnim Wybrzeżu. Wahałem się, nie wiedząc, dokąd najpierw się udać, a za swoje wątpliwości los nagrodił mnie w wyjątkowo nieoczekiwany sposób, spotkałem bowiem ojca.

Balfour mruknął coś pod nosem, lecz nie przerwał Moody'emu. Wpatrywał się w ogień z mądrą miną, z cygarem w ustach i obejmując palcami szklankę. Pozostała jedenastka siedziała równie nieruchomo. Gracze najwyraźniej porzucili bilard, bo Moody nie słyszał już postukiwania bil za swoimi plecami. W tej ciszy było jakieś napięcie, jak gdyby słuchacze czekali, aż Moody ujawni coś bardzo niecodziennego... albo jak gdyby obawiali się tego, co powie.

– Nasze spotkanie po latach nie było radosne – ciągnął Moody, zagłuszając bębnienie deszczu. Mówił dość głośno, by słyszał go każdy z obecnych w pokoju, ale nie aż tak, aby można było zgadnąć, że Moody wie, iż tamci go słuchają. – Był pijany i strasznie się rozgniewał, że go odnalazłem. Dowiedziałem się, że stał się nieprawdopodobnie bogaty i ożenił się po raz trzeci, z kobietą, która niewątpliwie nie wiedziała nic o jego wcześniejszym

życiu ani o tym, że ojciec ma już żonę. Było i nadal jest mi przykro to przyznać, wcale mnie to jednak nie zdziwiło. Moich stosunków z ojcem nigdy nie cechowała serdeczność i nie pierwszy raz przyłapałem go w podobnie dwuznacznej moralnie sytuacji... Choć powinienem tu bez zwłoki dodać, że ojciec po raz pierwszy wszedł w tak poważny konflikt z prawem.

Naprawdę zdumiałem się jednak dopiero, gdy zacząłem wypytywać o mojego brata. Ojciec powiedział mi bowiem, że Frederick od początku był na jego usługach. Razem wpędzili naszą macochę w nędzę i wyjechali pod biegun południowy jako wspólnicy. Nie czekałem na spotkanie z Frederickiem. Nie mogłbym znieść ich widoku, ruszyłem więc do wyjścia. Wtedy ojciec zrobił się agresywny. Próbował mnie zatrzymać. Uciekłem i od razu postanowiłem przyjechać tutaj. Miałem dość pieniędzy, aby wrócić bezpośrednio do Londynu, gdybym tylko chciał, popadłem jednak w takie przygnębienie, że... – Moody urwał nagle i zaczął w bezsilnym geście przebierać palcami. – Nie wiem – odezwał się po chwili. – Sądziłem, że ciężka praca poszukiwacza złota może mi dobrze zrobić na jakiś czas. A adwokatem być nie chcę.

Zapadła cisza. Moody pokręcił głową i pochylił się do przodu.

– To żałosna historia – odezwał się nieco raźniej. – Wstydzę się za swoją rodzinę, panie Balfour, ale nie zamierzam rozpamiętywać tych wydarzeń. Chcę zacząć wszystko od nowa.

– Żałosna, w rzeczy samej! – zawołał Balfour, wyciągając wreszcie cygaro z ust i wymachując nim na lewo i prawo. – Żal mi pana, panie Moody, chociaż zarazem pochwalam pańskie postępowanie. Wybrał pan jednak żywot poszukiwacza złota, czyż nie? To odrodzenie! Śmiem twierdzić: rewolucja! Człowiek zawsze może zacząć życie od nowa... zmieniając się całkiem... Zaiste, tak jest!

– Oto słowa otuchy – rzekł Moody.

– A pański ojciec... Domyślam się, że także zwie się Moody.

– Owszem. Ma na imię Adrian. Może pan o nim słyszał?

– Nie – odparł Balfour, po czym, widząc zawód na twarzy swojego rozmówcy, dodał: – Ale to właściwie nic nie znaczy. Jak już panu mówiłem, prowadzę firmę spedycyjną i ostatnimi czasy nie pozostaję w bliższej komitywie z poszukiwaczami złota. Byłem w Dunedin. Mieszkałem tam prawie trzy lata albo coś koło tego. Jeśli pańskiemu papie jednak się poszczęściło, to pewnie w głębi lądu. Wyżej, w górach. Mógł pojechać wszędzie, do Tuapeka, do Clyde, nie wiadomo. Ale... Niech pan posłucha, panie Moody, wróćmy do tego, co jest tu i teraz. Czy nie obawia się pan, że ojciec podąży pańskim śladem?

– Nie – odparł krótko Moody. – Dołożyłem starań, aby stworzyć wrażenie, że wyjechałem do Anglii, natychmiast, w tym samym dniu, w którym rozstałem się z ojcem. W porcie poznałem pewnego mężczyznę, który szukał statku do Liverpoolu. Powiedziałem mu, w jakiej sytuacji się znalazłem, i po krótkich pertraktacjach zamieniliśmy się dokumentami. On podczas kontroli biletów podał moje nazwisko, ja zaś przyjąłem jego tożsamość. Jeśli mój ojciec

będzie wypytywać o mnie w kapitanacie, celnicy pokażą mu odpowiednie papiery, z których wynika, że opuściłem już tutejsze wyspy i aktualnie znajduję się w drodze do domu.

– Ale pański ojciec i brat mogą mieć swoje powody, żeby przyjechać na wybrzeże. W poszukiwaniu złota.

– Niewykluczone – zgodził się z nim Moody. – Jednakże z tego, co wiem, znaleźli już dość złota w Otago.

– Dość złota! – Wyglądało na to, że Balfour lada moment znów wybuchnie śmiechem.

Moody wzruszył ramionami.

– No cóż – odrzekł zimno. – Oczywiście, przygotuję się na ich ewentualny przyjazd, lecz się go nie spodziewam.

– Nie... Naturalnie, naturalnie – powiedział Balfour, poklepując Moody'ego po ramieniu swoją wielką dłonią. – Porozmawiajmy teraz o przyjemniejszych sprawach. Co zamierzasz pan zrobić ze swoją zdobyczą, kiedy już uzbierasz przyzwoitą sumę? Wrócisz pan do Szkocji, żeby tam ją wydać?

– Taką mam nadzieję – odpowiedział Moody. – Słyszałem, że można się tu dorobić w cztery miesiące albo i szybciej, co oznaczałoby, że będę mógł wyjechać przed nadejściem najcięższych miesięcy zimowych. Czy pańskim zdaniem jest to prawdopodobne?

– Jak najbardziej – rzekł Balfour, uśmiechając się do węgli w kominku. – Jak najbardziej, zaiste... Tak, można się tego spodziewać. Czyli że nie ma pan żadnych znajomych w mieście? Nikogo, kto wyszedłby panu na spotkanie na molo, dołączyłby do pana... Żadnych kompanów z kraju?

– Nikogo, szanowny panie – zapewnił go Moody już po raz trzeci tego wieczoru. – Przypląnąłem tu sam i jak już powiedziałem, pragnę zbić majątek bez czyjejkolwiek pomocy.

– Och tak – powiedział Balfour. – Bez czyjejkolwiek pomocy... No cóż, przemawia przez pana pazerność, typowa w dzisiejszych czasach. Ale towarzysz poszukiwacza złota jest niczym jego cień... To także warto wiedzieć... Jak cień albo jak żona...

Ta uwaga wywołała rozbawienie w pokoju, chociaż nie zmanifestowało się ono w postaci głośnego śmiechu, a tylko cichych westchnień, które dobiegły do Moody'ego z kilku stron jednocześnie. Rozejrzał się wokół. Miał wrażenie, że napięcie ustąpiło i pod koniec jego opowiadania wszyscy odczuli ulgę. Pomyślał, że ci mężczyźni czegoś się obawiali, ale dzięki jego opowieści mogli odsunąć strach na bok. Po raz pierwszy przyszło mu do głowy, że ich niepokój może mieć związek z koszmarem, którego doświadczył na pokładzie „Z Bogiem”. Ta myśl wydała mu się dziwnie niemiła. Nie wierzył, aby jego intymne wspomnienie mógł zrozumieć ktoś inny, a tym bardziej by mógł się nim z kimś dzielić. (Potem doszedł do wniosku, że ból może pozbawić człowieka empatii, uczynić go samolubnym i skłonić do lekceważenia innych cierpiących. Zdumiał się, kiedy nawiedziła go ta refleksja).

Balfour uśmiechał się szeroko.

– Tak jest... Cień albo żona – powtórzył, kiwając z aprobatą głową i patrząc na Moody’ego tak, jak gdyby to był jego żart. Kilka razy pogładził brodę i roześmiał się krótko.

Faktycznie zrobiło mu się lżej na sercu. Utracone dziedzictwo, bigamia, kobieta z wyższych sfer zmuszona do pracy – Balfour pomyślał, że całe to zło należało do innego świata: świata salonów, biletów wizytowych i eleganckich sukni. Wydało mu się urocze, iż ktoś uznaje takie kaprysy losu za tragedie i że ten opanowany i jednocześnie zakłopotany młody człowiek – którego od urodzenia nauczono ufać, że jego szczęście nigdy się nie odmieni – przyznał się do nich. Żeby mówić o czymś takim tutaj, na krańcach cywilizowanego świata! W gazetach pisano, że Hokitika rozrasta się szybciej niż San Francisco, i to z niczego... z prastarej, gnijącej dżungli... z rzecznych bagien, nieustannie zmieniających bieg potoków i z mgły... ze zdradliwych, bogatych w kruszec wód. Tutaj ludzie, siedząc w kucki na ziemi, którą płukali, sami byli kowalami swojego losu. Balfour dotknął klapy swojej kamizelki. Opowieść Moody’ego była godna politowania i wzbudziła w nim pobłażliwe, ojcowskie uczucia – albowiem bardzo lubił, gdy mu przypominano, że jest człowiekiem nowoczesnym (przedsiębiorczym i nieskrępowanym więzami rodzinnymi), inni natomiast wloką się wciąż w jarzmie minionej epoki.

Rzecz jasna, był to werdykt, mówiący mniej o więźniu, a więcej o sędzi. Balfour niechętnie odwoływał się do filozofii, chyba że do najzdrowszego empiryzmu. Jego liberalne poglądy sprawiały, że zupełnie nie pojmował rozpaczy, będącej dla niego niczym niezmierny szyb górniczy, posiadający określoną głębokość, lecz nieskończenie szeroki i głuchy w swej samotności, w którym można było się poruszać jedynie po omacku i bez najmniejszego nawet zainteresowania. W gruncie rzeczy nie fascynowała go dusza ludzka, którą traktował jedynie jako pretekst dla większych, ciekawszych zagadek, zabawnych i pełnych przygód; o mrocznych stronach człowieczej duchowości nie miał żadnego zdania. Często powtarzał, że jedyną wewnętrzną pustką, na którą zwraca uwagę, jest głód, a chociaż śmiał się, wypowiadając te słowa, i wydawał się z nich bardzo rad, prawda wyglądała tak, że jego współczucie rzadko sięgało tam, gdzie się go spodziewano. Do przyszłości innych ludzi podchodził pobłażliwie, lecz roztrzaskane skorupy ich przeszłości przyprawiały go o zniecierpliwienie.

– Tak czy inaczej niech pan to zapamięta jako moją drugą radę, panie Moody – ciągnął. – Proszę sobie znaleźć jakiegoś przyjaciela. Tu wszędzie jest mnóstwo ludzi, którzy z radością powitają dodatkową parę rąk do pomocy. Tak się to właśnie robi... Trzeba sobie wybrać jakiegoś kompana, a potem utworzyć z nim zespół. Nigdy nie słyszałem, by komuś powiodło się tutaj w pojedynkę. Masz pan odpowiedni strój i tobolek?

– Obawiam się, że w tej kwestii jestem zdany na łaskę warunków atmosferycznych – odpowiedział Moody. – Mój kufer znajduje się wciąż na pokładzie. Pogoda była na tyle niesprzyjająca, że nie mogliśmy ryzykować pokonania mielizny, dlatego powiedziano mi, że mam się spodziewać swojego bagażu jutro po południu w komorze celnej. Przywiozła mnie tu

szalupa. Wypłynęła po nas nieliczna załoga, bardzo odważna, aby przewieźć pasażerów na ląd.

– O tak – odpowiedział teraz bardziej rzeczowo Balfour. – Tylko w ubiegłym miesiącu widzieliśmy w Hokitika trzy katastrofy statków, przechodzących przez tę łączę piachu. Przerazająca sprawa. Chociaż można na tym zarobić parę groszy. Gdy statki wchodzą do portu, ludzie nie zwracają na nie zbyt dużej uwagi, ale kiedy wypływają... Kiedy wypływają, wiozą złoto na pokładzie.

– Podobno wody przybrzeżne są w tym miejscu wyjątkowo zdradliwe.

– Wyjątkowo... O tak. I nic się na to nie poradzi, jeśli jednostka ma chociaż trochę ponad sto stóp długości. Nawet jeżeli buchnie parą i da całą naprzód, to nie wystarczy, by pokonała przeszkodę. Oglądamy wtedy kapitalne fajerwerki, iskry sypią się wszędzie. Ale wie pan... Nie chodzi tylko o parowce. Nie tylko o duże statki. Na łączę Hokitika może wpaść każdy, Walterze. Przy niesprzyjającej fali na naszej mieliźnie utknie nawet szkuner.

– Wierzę w to bez zastrzeżeń – odpowiedział Moody. – My płynęliśmy na barku... Niezbyt dużym, zwinnym i dość mocnym, żeby przetrzymać najstraszniejszy sztorm, a jednak kapitan nie zaryzykował wejścia do portu. Postanowił rzucić kotwicę na redzie i zaczekać do rana.

– Czy wasz statek nazywał się „Waterloo”? Jego port macierzysty to Chalmers. Kursuje regularnie na tej trasie.

– Nie, szczerze mówiąc, to był prywatny czarter – rzekł Moody. – Nazywa się „Z Bogiem”.

Adwokat nie wywołałby większego poruszenia, gdyby wyciągnął rewolwer z kieszeni. Rozejrzał się (wciąż ze spokojnym wyrazem twarzy) i spostrzegł, że teraz wszyscy obecni w pokoju przypatrują mu się już otwarcie. Kilku mężczyzn odłożyło gazety. Ci, którzy drzemali, otworzyli oczy, a jeden z bilardzistów postąpił krok w jego stronę, wchodząc w krąg światła lampy.

Również Balfour się wzdrygnął, słysząc nazwę statku, ale jego szare oczy spokojnie wytrzymały spojrzenie Moody’ego.

– Prawdę mówiąc, przyznaję, że ta nazwa nie jest mi obca, panie Moody – powiedział i jakby w jednej chwili pozbył się całej swojej dotychczasowej wylewności i zawadiactwa. – Nie jest mi obca. Chciałbym ustalić jednak także nazwisko kapitana, jeśli nie ma pan nic przeciwko temu.

Moody wpatrywał się w jego oblicze w poszukiwaniu czegoś bardzo konkretnego, czegoś, o czym wstydziłby się powiedzieć na głos – a mianowicie starał się domyślić, czy Balfour boi się duchów. Był pewien, że jeśli jego rozmówca nagle wyobrazi sobie albo przypomni ów nieziemski koszmar, który Moody widział na własne oczy na pokładzie „Z Bogiem”, to skutki takiego wspomnienia będą zauważalne aż za dobrze. Balfour jednak wyglądał po prostu na znużonego, jak człowiek, który dowiaduje się, że do miasta wrócił właśnie jeden z jego

wierzyieli, zaczyna więc obmyślać różne wymówki i sposoby ucieczki. Nie sprawiał wrażenia udręczonego ani przestraszonego. Moody był pewien, że każdy, kto widział to samo co on, będzie nosił w sobie piętno tego wspomnienia. A w Balfourze coś się jednak zmieniło – w jego zachowaniu pojawiła się jak gdyby przebiegłość, a spojrzenie na nowo nabrało ostrości. Moody ożywił się na widok tej przemiany i w przypiływie zaafierowania zrozumiał, że nie docenił agenta spedycyjnego.

– Wydaje mi się, że kapitan zwie się Carver – powiedział, cedząc słowa. – Francis Carver, jeżeli mnie pamięć nie myli. Jest to mężczyzna dość silny, o pełnym zadumy spojrzeniu i z białą blizną na policzku. Czy ten opis odpowiada człowiekowi, o którego panu chodzi?

– Tak jest. – Teraz dla odmiany Balfour przyglądał się obliczu Moody’ego. – Bardzo chciałbym się dowiedzieć, jak poznał pan pana Carvera – dodał po chwili. – Oczywiście jeżeli wybaczy mi pan to wścibstwo.

– Przepraszam, ale nie należę do kręgu jego znajomych – odparł Moody. – To znaczy jestem pewien, że nie wiedziałby, kim jestem, gdyby jeszcze kiedyś mnie zobaczył.

Zgodnie z przyjętą strategią postanowił zachowywać się w stosunku do Balfoura uprzejmie i bez niechęci, co dałoby mu później prawo żądać odpowiedzi na jego pytania. W sztuce dyplomacji Moody był prawdziwym geniuszem. Już jako dziecko instynktownie czuł, że zawsze lepiej jest powiedzieć częściową prawdę o choczko niż całą z ociąganiem. Pozorna współpraca była dość pożyteczna, choćby tylko dlatego, że wymagała wzajemności: przysługa za przysługę. Przestał się rozglądać, a w jego oczach i na twarzy odmalowała się szczerść, kiedy zwrócił się wyłącznie do Balfoura, jak gdyby zupełnie nie przejmując się jedenastoma pozostałymi mężczyznami.

– W takim razie – mówił dalej Balfour – zaryzykuję twierdzenie, że nabył pan bilet na statek u pierwszego oficera.

– Dałem mu pieniądze do ręki, szanowny panie.

– Umówił się z nim pan prywatnie?

– Wszystko obmyśliła załoga, za zgodą kapitana – odparł Moody. – Zapewne był to dla nich łatwy sposób zarobienia dodatkowego szylinga. Nie było żadnych koi. Wyznaczyli nam miejsca pod pokładem, kazali mieć się na baczności i nie pętać się im pod nogami. Warunki były więc oczywiście dalekie od ideału, ale jak pan wie, sytuacja zmusiła mnie do natychmiastowego opuszczenia Dunedin, a „Z Bogiem” był jedynym statkiem wypływającym w tym dniu, w którym chciałem wyjechać. Zanim dobiliśmy targu, nie znałem pierwszego oficera, żadnego z pasażerów ani nikogo z załogi.

– A ilu pasażerów obejmowała umowa?

Moody popatrzył Balfourowi prosto w oczy.

– Ośmioro – powiedział i wsunął cygaro do ust.

Balfour od razu podchwycił jego słowa.

– Znaczy pana i siedmioro innych? W sumie ósmioro?

Moody nie zdecydował się odpowiedzieć wprost.

– Lista pasażerów zostanie opublikowana w poniedziałkowej gazecie i naturalnie będzie się pan mógł z nią sam zapoznać – powiedział z wyrazem lekkiego niedowierzania, jak gdyby chciał zasugerować, że ciekawość Balfoura jest nie tylko zbędna, ale i niestosowna. – Oczywiście nie znajdzie pan tam mojego prawdziwego nazwiska – dodał po chwili. – Podróżowałem jako Philip de Lacy; był to człowiek, od którego kupiłem dokumenty w Dunedin. Urzędnicy mniemają, że Walter Moody znajduje się w tej chwili gdzieś na południowym Pacyfiku, zmierzając, jak sądzę, na wschód, w stronę przylądka Horn.

Wyraz twarzy Balfoura pozostawał chłodny.

– Proszę mi pozwolić zapytać jeszcze o jedno – odezwał się. – Chciałbym już tylko wiedzieć, czy ma pan jakieś powody, żeby myśleć o nim dobrze albo źle. Znaczy o panu Carverze.

– Nie wiem, czy jestem w stanie udzielić obiektywnej odpowiedzi na to pytanie, mam bowiem do dyspozycji tylko swoje prywatne podejrzenia i plotki. Uważam, że ten człowiek z jakiejś przyczyny musiał nagle opuścić Dunedin, gdyż pomimo nadchodzącego sztormu bardzo mu było spieszno podnieść kotwicę, nie mam jednak żadnej wiedzy o tym, co nakazywało kapitanowi ten pośpiech. Nie zostałem przedstawiony panu Carverowi, widywałem go tylko z daleka w czasie podróży, i to dość rzadko, bo prawie przez cały czas przesiadywał w swojej kabinie. Jak pan zatem widzi, moja opinia w tej kwestii nie jest wiele warta. A mimo to...

– A mimo to... – podjął Balfour, bo Moody zawiesił głos. Czekał.

– Będę z panem szczery, szanowny panie – dopowiedział Moody, patrząc mu prosto w oczy. – Znalazłszy się na pokładzie, dowiedziałem się czegoś o ładunku naszego statku, co kazało mi wątpić w uczciwość załogi. Jednego jestem pewien: nigdy nie chciałbym mieć wroga w kapitanie Carverze.

Ciemnowłosa mężczyzna po lewej ręce Moody'ego znieruchomiał.

– Powiedział pan, że jego statek przewoził coś dziwnego? – wtrącił, pochylając się do przodu.

Oho, pomyślał Moody. Już czas, żebym wykorzystał swoją przewagę. Potem zwrócił się do swojego nowego interlokutora.

– Proszę mi wybaczyć, jeśli nie rozwinę tego tematu. Nie chcę pana obrazić, szanowny panie, ale nie znamy się, a raczej ja nie znam pana, albowiem moja rozmowa z panem Balfourem dotarła przecież nie tylko do jego uszu. Znajduję się zatem w niekorzystnym położeniu, nie ze względu na siebie, mówiłem bowiem prawdę, lecz ze względu na was,

albowiem mogliście mnie poznać, nie przedstawiając mi się, i wysłuchać mojej opowieści zarówno bez zaproszenia, jak i bez odzewu. Nie mam nic do ukrycia w związku z tą czy jakąkolwiek inną swoją podróżą, wyznaję jednak – tu Moody odwrócił się znów do Balfoura – że boleśnie jest poddawać się takiemu nieubłaganemu przesłuchaniu, kiedy pytający sam nie mówi ani słowa o sobie.

Moody nie miał w zwyczaju wyrażać się tak napastliwie, ale przemawiał spokojnie i z godnością, a poza tym wiedział, że ma słuszość. Nawet nie mrugnął powieką, przypatrywał się tylko Balfourowi i z szeroko otwartymi oczami o łagodnym wejrzeniu czekał na jego odpowiedź.

Balfour zerknął na ciemnowłosego mężczyznę, który przed chwilą wtrącił się do rozmowy, a potem popatrzył na Moody'ego. Odetchnął, wstał z fotela, wrzucił niedopałek cygara do kominka i wyciągnął rękę.

– Trzeba dolać panu brandy, panie Moody – odezwał się cicho. – Proszę łaskawie pozwolić, że to zrobię.

Balfour podszedł w ciszy do kredensu, a w ślad za nim podążył ciemnowłosy, który kiedy się wyprostował, niemal dotykał głową niskiego sufitu palarni. Nachylił się nad Balfourem i zaczął mu szybko mruczeć do ucha. Balfour przytaknął i szepnął coś w odpowiedzi. Musiało to być jakieś polecenie, bo wysoki mężczyzna podszedł zaraz do stołu bilardowego, skinął na blondyna, po czym cicho przekazał mu rozkaz tamtego, a blondyn od razu energicznie pokiwał głową. Przyglądając się im, Moody poczuł, że wraca mu zwykły animusz. Brandy go pobudziła; rozgrzał się i wysuszył, a nic nie poprawiało mu humoru tak, jak zapowiedź usłyszenia jakiejś opowieści.

Zdarza się często, że kiedy człowiek znajduje się w trudnej sytuacji i musi zająć się jakimś nowym problemem, który prywatnie w ogóle go nie obchodzi, to wówczas drugi kłopot działa na pierwszy jak balsam. Moody właśnie tak się teraz poczuł. Po raz pierwszy, odkąd wysiadł z szalupy, był w stanie jasno myśleć o swojej niedawnej nieprzyjemnej przygodzie. Przypomniawszy sobie tę wciąż dręczącą go scenę – dźwigającego się na nogi trupa, jego zakrwawioną szyję, krzyk – i uznał ją za bajkową, sensacyjną. Wciąż był to widok straszny, ale teraz było mu jak gdyby łatwiej wytłumaczyć dlaczego. Jego historia ze statku w pewnym sensie nabrała wartości, którą Moody mógł obrócić w zysk, wymieniając ją na cudzą opowieść.

Widział, jak mężczyźni przekazują sobie szeptaną wiadomość. Mówili z wieloma różnymi akcentami, dlatego nie udało mu się zrozumieć żadnego z imion ani żadnej nazwy, które wymieniali – stało się jednak jasne, że sprawa dotyczy wszystkich obecnych w pokoju. Zmusił się do starannej i racjonalnej oceny sytuacji. Nieostrożność sprawiła, że już raz się pomylił tego wieczoru, nie dopuścił jednak do powtórnego błędu. Podejrzywał, że kroi się jakiś napad albo nieznajomi zawiązują przeciwko komuś przymierze. Może przeciwko panu Carverowi. Było ich dwunastu, co skojarzyło się Moody'emu z ławą przysięgłych... To jednak

niemożliwe, bo w grupie znajdowali się Chińczycy, a także krajowiec, Maorys. Czyżby Moody przerwał potajemne posiedzenie jakiejś rady? Ale jaka rada mogła się składać z członków o tak różnym pochodzeniu etnicznym, statusie majątkowym oraz pozycji społecznej?

Nie trzeba dodawać, że wyraz twarzy Waltera Moody'ego nie zdradzał, o czym myśli. Zrobił minę z jednej strony świadczącą o wielkim zaskoczeniu, a z drugiej przeproszącą, jak gdyby chciał zakomunikować, że dobrze zdaje sobie sprawę z kłopotu, jaki sprawia, chociaż nie ma pojęcia, na czym on polega. A ponieważ nie wie, jak ma się teraz zachować, gotowy jest przyjąć wskazówki od każdego z obecnych.

Na zewnątrz wiatr zmienił kierunek, posyłając wilgotny powiew przez komin, toteż węgle wzdęły się szkarłatem i przez krótką chwilę Moody wdychał słony zapach morza. Drgnienie w kominku jak gdyby obudziło tłuszciocha, który siedział najbliżej ognia. Dźwignął się z fotela, postępując z wysiłku, i poczłapał do pozostałych mężczyzn, zebranych wokół kredensu. Kiedy grubas odszedł, przy kominku oprócz Moody'ego pozostał już tylko mężczyzna w surducie w jodełkę. Po chwili człowiek ten się odezwał.

– Chciałbym się przedstawić, jeżeli nie ma pan nic przeciwko temu – powiedział. Otworzył gwałtownie papierośnicę i wyjął z niej papierosa. Mówił z francuskim akcentem, wyrażał się zaś zwięźle i uprzejmie. – Nazywam się Aubert Gascoigne. Mam nadzieję, że mi pan wybaczy, zdążyłem już bowiem poznać pańskie nazwisko.

– No cóż, tak się składa, że i mnie pańskie nazwisko nie jest całkiem obce – odparł Moody, który lekko wzdrygnął się ze zdumienia.

– A zatem już się znamy. – Gascoigne szukał zapalek i znieruchomiał z ręką w kieszeni na piersi niczym chwacki pułkownik, pozujący do portretu. – Ale zaintrygował mnie pan. Skąd pan mnie zna, panie Moody?

– Czytałem dzisiaj wieczorem pański tekst w piątkowym wydaniu „Czasu Zachodniego Wybrzeża”. Nie mylę się, prawda? Jeśli dobrze pamiętam, napisał pan opinię dla miejscowego sądu.

Gascoigne uśmiechnął się i wyciągnął zapalki.

– Teraz rozumiem. Dla pana jestem już nieświeżą wiadomością. – Oparł lewą stopę na kolanie prawej, wyciągnął zapalkę i zapalił ją o podeszwę buta.

– Proszę mi wybaczyć... – zaczął Moody, obawiając się, że obraził Gascoigne'a, lecz ten pokręcił głową.

– Nie czuję się urażony – powiedział Francuz, zapaliwszy papierosa. – A więc przyjeżdża pan do nieznanego miasta i jaki jest pański pierwszy ruch? Bierze pan wczorajszą gazetę i czyta biuletyn sądowy. Z jednej strony poznaje pan nazwiska ludzi, którzy łamią prawo, a z drugiej jego strażników. Ciekawa strategia.

– Nie było w tym żadnego wyrachowania – odrzekł skromnie Moody.

Nazwisko Gascoigne’a, urzędnika sądowego, pojawiło się na trzeciej stronie gazety, pod krótkim kazaniem, składającym się chyba tylko z jednego akapitu i poświęconym niegodziwości zbrodni. Tekst był poprzedzony spisem wszystkich aresztowanych w ostatnim miesiącu. (Nie zapamiętał żadnego z nazwisk z gazety i prawdę mówiąc, wbił sobie do głowy Gascoigne’a tylko dlatego, że jego dawny nauczyciel łaciny nazywał się Gascoyen i to podobieństwo przyciągnęło jego uwagę).

– Może i nie – odparł Gascoigne – ale lektura wprowadziła pana w sam środek naszych kłopotów. W pewną sprawę, która od dwóch tygodni jest na ustach wszystkich mężczyzn w Hokitika.

Moody zmarszczył brwi.

– Ma pan na myśli drobnych przestępców?

– Zwłaszcza jednego.

– Mam zgadnąć, o kogo chodzi?

Gascoigne wzruszył ramionami.

– To bez znaczenia. Ja mówię o tej dziwce.

Moody uniósł brwi. Spróbował sobie przypomnieć katalog aresztowanych... Tak, jedno z wymienionych tam nazwisk należało chyba do kobiety. Zastanawiał się, dlaczego każdy mężczyzna w Hokitika ma coś do powiedzenia na temat aresztowania jakiejś dziwki. Znalezienie odpowiednich słów zajęło mu dłuższą chwilę, a ku jego zdziwieniu Gascoigne zaczął się śmiać.

– Prowokuję pana – powiedział. – Nie powinien mi pan na to pozwalać. Oczywiście nie wymieniono przestępstwa, które popełniła, ale domyśliłby się pan, o co chodziło, gdyby czytał pan z odrobiną wyobraźni. Ta kobieta używa nazwiska Anna Wetherell.

– Nie jestem pewien, czy wiem, jak czytać z wyobraźnią.

Gascoigne znów się roześmiał, raptownie wydmuchując dym.

– Ale jest pan adwokatem, czyż nie?

– Tylko z wykształcenia – odparł sztywno Moody. – Nie zostałem jeszcze członkiem palestry.

– No to niech pan posłucha: w przemówieniach sędziowskich zawsze pojawiają się pewne niedomówienia – wyjaśnił Gascoigne. – „Dzentelmeni z Westlandu” to pierwszy trop. A „przestępstwa polegające na hańbie i poniżeniu” to drugi.

– Rozumiem – powiedział Moody, chociaż nie było to prawdą. Zerknął ponad ramieniem Gascoigne’a: tłuszcioch przysunął się do dwóch Chińczyków i pisał coś dla nich na kartce

w swoim notatniku, który podsunął im pod nos. – Ale może ta kobieta została niesłusznie oskarżona i dlatego wszyscy się nią tak zainteresowali?

– Och, nie trafiła do kryminału za prostytutkę – odrzekł Gascoigne. – Policji to w ogóle nie obchodzi. Dopóki mężczyzna zachowuje odpowiednią dyskrecję, przymykają oko.

Moody czekał. W sposobie wyrażania się Gascoigne'a było coś niepokojącego, bo z jednej strony jakby się pilnował, a z drugiej mówił, licząc pozornie na dyskrecję słuchacza. Moody doszedł do wniosku, że nie powinien mu ufać. Urzędnik sądowy mógł mieć jakieś trzydzieści kilka lat. Jego jasne włosy zaczynały siwieć nad uszami; nosił też jasny, zaczesany na boki wąsik, a surdut miał obcisły.

– Przecież policjant sam złożył jej propozycję, zaraz po tym, kiedy ją aresztował! – dodał po chwili Gascoigne.

– Kiedy ją aresztował? – zawtórował mu niczym echo Moody, który poczuł się jak głupiec. Wolałby, żeby Gascoigne wyrażał się mniej zagadkowo i zdradzał nieco więcej. Francuz sprawiał wrażenie człowieka kulturalnego (Thomas Balfour wydawał się przy nim tępym jak kołek prostakiem), była to jednak ogłada naznaczona smutkiem. Mówił niby człowiek rozgoryczony, dla którego doskonałość istniała jedynie jako wspomnienie, albowiem ją utracił i ubolewał nad tym.

– Skazano ją za próbę odebrania sobie życia – uzupełnił Gascoigne. – Jest w tym pewna symetria, nie sądzi pan? Oskarżono ją za to, że skazała na śmierć samą siebie.

Moody pomyślał, że nie wypada mu się zgodzić z tą opinią, a poza tym nie miał zamiaru podejmować takiego sposobu myślenia.

– A kapitan mojego statku, pan Carver? – zapytał, by zmienić temat. – Rozumiem, że ma on jakiś związek z tą kobietą?

– Och tak, jak najbardziej – odrzekł Gascoigne. Spojrzał na papierosa, którego trzymał w dłoni, jak gdyby nagle poczuł do niego obrzydzenie, i wrzucił go do ognia. – Carver zamordował własne dziecko.

Moody odchylił się do tyłu z przerażenia.

– Proszę?

– Oczywiście, stróże prawa nie są w stanie tego udowodnić – powiedział ponuro Gascoigne. – Ale ten człowiek to bestia. Ma pan zupełną słuszność, że chce go pan unikać.

Moody wbił w niego wzrok i znów nie wiedział, co odpowiedzieć.

– Każdego można kupić – dorzucił po chwili Gascoigne. – Jeden lubi złoto, drugi kobiety. A Anna Wetherell miała podwójną wartość, rozumie pan.

W tym momencie wrócił tłusciuch, ponownie napełniwszy swoją szklanę. Usiadł, popatrzył na Gascoigne'a, a potem na Moody'ego, i jakby z pewnym trudem dotarło do niego,

że powinien się przedstawić. Wyciągnął rękę do Moody'ego.

– Jestem Dick Mannering.

– Miło mi – odparł nieco odruchowo Moody.

Był dezorientowany. Żałował, że Gascoigne'owi przerwano akurat teraz, kiedy mógł go wypytywać dalej o dziwkę. Powrót do tego tematu byłby teraz z jego strony niedelikatnością. Tymczasem Gascoigne schronił się z powrotem w fotelu, przybrał nieprzystępny wyraz twarzy i znowu zaczął obracać papierośnicę w dłoniach.

– Tutejszy gmach Opery Księcia Walii to moje dzieło – dodał Mannering, rozsiadając się w fotelu.

– Wybornie – odrzekł Moody.

– To jedyna instytucja rozrywkowa w tym mieście. – Mannering postukał palcami o podłokietnik, zastanawiając się, co powiedzieć dalej. Moody spojrzał na Gascoigne'a, ale urzędnik sądowy wpatrywał się z kwaśną miną w swoje kolana. Powrót tłuściocha ewidentnie był mu mocno nie w smak, a przy tym nie widział powodu, by ukrywać swoje niezadowolenie. Moody zauważył z zakłopotaniem, że Mannering oblewa się wyjątkowo ciemnoczerwonym rumieńcem.

– Podziwiałem już wcześniej pańską dewizkę, trudno było jej nie zauważyć – odezwał się w końcu adwokat, zwracając się do Manneringa. – To złoto z Hokitika?

– Ładna, prawda? – odpowiedział Mannering, nie patrząc na swoją pierś i nie podnosząc ręki, aby dotknąć łańcuszka, który tak spodobał się Moody'emu. Grubas ponownie zabębnił palcami o podłokietnik. – Prawdę mówiąc, jest zrobiona z samorodków z Clutha. Pracowałem najpierw w Kawarau, w Dunstan, a potem w Clutha.

– Przyznaję, że nie znam tych nazw – rzekł Moody. – Domyślam się, że są to złoża w Otago?

Mannering przytaknął i zaczął się rozwodzić na temat wydobywania kruszcu przez przedsiębiorstwa górnicze, a także nad przydatnością pogłębiarek.

– Wszyscy są tu kopaczami? – zapytał Moody, kreśląc w powietrzu koło palcami, aby zaznaczyć, że chodzi mu o mężczyzn znajdujących się w palarni.

– Tylko Chińczycy, ma się rozumieć, nikt inny – powiedział Mannering. – Nas nazywa się tu świtą obozową, chociaż w większości zaczynaliśmy w wąwozie. Gdzie znajduje się najwięcej złota? W hotelach. W knajpach. Kopacze wyzbywają się złota, kiedy tylko je znajdą. Coś panu powiem: lepiej otworzyć interes, niż iść w góry. Niech pan się postara o licencję i sprzedaje grog.

– To chyba mądra rada, skoro sam pan za nią poszedł – rzekł Moody.

Mannering usiadł wygodniej w fotelu, wyraźnie zadowolony z tego komplementu.

Owszem, porzucił złoża złota i zatrudniał teraz kopaczy na procent, żeby pracowali na jego działkach. Pochodzi z Sussex. Hokitika to przyjemne miejsce, ale jest w nim mniej dziewcząt, niżby należało w mieście tej wielkości. Swoją operę zbudował na wzór teatru Adelphi na West Endzie. Uważa, że nic nie przebije dobrego jedzenia i rozrywki. Nie znosi pubów i nawet po małym piwie robi mu się niedobrze. Powodzie w Dunstan były straszne... straszne; trudno znieść deszcz w Hokitika. Powtórzy raz jeszcze, że nie ma nic lepszego niż śpiew na cztery głosy... Cztery głosy niczym cztery nitki w jednym kawałku jedwabiu.

– Wspaniale – mruknął Moody.

W trakcie monologu bogacza Gascoigne nie poruszył się ani razu, jeśli nie liczyć kompulsywnego rytmu jego szczupłych palców obracających srebrną papierośnicę. Mannering nie zwracał na urzędnika najmniejszej uwagi i prawdę mówiąc, kierował swoje słowa w jakiś punkt mniej więcej trzy stopy ponad głową Moody'ego, jak gdyby przybysz też nic go nie obchodził.

Szeptany dramat, który odbywał się w kącie, zaczął wreszcie dobiegać końca i rozgadany tłuścioch ucichł. Ciemnowłosy wrócił, po czym zajął swoje miejsce po lewej ręce Moody'ego, a za nim nadszedł Balfour, niosący dwie spore porcje brandy. Podał szklanekę adwokatowi, machnął ręką, kwitując jego podziękowania, i usiadł.

– Jestem panu winien wyjaśnienie, dlaczego tak arogancko pana przed chwilą wypytywałem, panie Moody – powiedział. – Nie musi pan zaprzeczać, tak właśnie było. Prawda wygląda tak... Prawda... No cóż, prawda, najkrócej mówiąc, wymaga dłuższej opowieści.

– Jeśli zechce pan uprzejmie wejść z nami w komitywę – dodał siedzący z drugiej strony Gascoigne, dość niegrzecznie okazując fałszywą uprzejmość.

Ciemnowłosy rzucił nagle:

– Czy ktoś z obecnych chciałby zgłosić sprzeciw?

Moody rozejrzał się, mrugając powiekami, lecz nikt się nie odezwał.

Balfour skinął głową; odczekał jeszcze chwilę, jak gdyby dołączając się taktownie do przedmówcy, a potem ciągnął dalej.

– Powiem panu bez zwłoki, że popełniono morderstwo. Ten pański łajdak, to znaczy Carver, którego nie będę nazywał kapitanem, jest zabójcą, choć niech mnie kule biją, jeżeli umiem powiedzieć, jak i dlaczego dopuścił się tej zbrodni. Po prostu wiem, że to zrobił, jestem tego równie pewien jak tego, że widzę teraz szklanekę w pańskiej ręce. A zatem jeśli uczyni mi pan ten zaszczyt i wysłucha opowieści o tym nikczemniku, to wtedy może... No cóż, może okaże się pan skłonny nam pomóc, zważywszy na sytuację, w jakiej się pan znalazł.

– Przepraszam, szanowny panie... – wtrącił Moody. Na wspomnienie morderstwa serce zaczęło mu walić jak młotem: być może zbrodnia, o której mówił Balfour, ma jednak coś

wspólnego ze zjawą z pokładu „Z Bogiem”. – A w jakiej sytuacji się znalazłem?

– Chodzi mu o to, że pański kufer jest wciąż na żaglowcu – powiedział ciemnowłosy. – Oraz o pańską umówioną wizytę w komorze celnej jutro po południu.

Balfour wyglądał na lekko zirytowanego i machnął ręką.

– Porozmawiamy o tym za chwilę – rzekł. – Ale najpierw bardzo proszę, by zechciał pan wysłuchać mojej opowieści.

– Wysłucham jej z największą przyjemnością – odpowiedział Moody, kładąc niewielki nacisk na pierwsze słowo, jak gdyby chciał ostrzec Balfoura, by nie spodziewał się ani nie wymagał od niego niczego więcej. Wydało mu się, że na bladej twarzy Gascoigne’a dostrzega szyderczy uśmieszek, ale w następnej chwili urzędnik znowu zrobił kwaśną minę.

– Oczywiście... oczywiście – rzekł Balfour, pojmując, w czym rzecz. Odstawił szklanę, splótł palce, po czym wyprostował je gwałtownie, aż zatrzeszczały stawy. – No dobrze. Postaram się więc przedstawić panu powód, dla którego się tutaj zebraliśmy.

JOWISZ W STRZELCU

Rozdział, w którym dyskutuje się o zaletach przytułku oraz o pewnym nazwisku; plany Alistaira Lauderbacka zostają pokrzyżowane, a agent spedycyjny mówi nieprawdę

Opowieść Balfoura – dosyć rozwlekła, ponieważ mu przerywano, i powolna z uwagi na liryczny styl – przybrała mocno niejasną postać i minęło kilka godzin, zanim Moody wreszcie dobrze zrozumiał, jakie to kolejne wydarzenia doprowadziły do potajemnej narady w hotelowej palarni.

Wtrącenia obecnych były zbyt męczące, a sposób opowiadania Balfoura nazbyt dygresyjny, aby zasłużyć sobie na wierne przytoczenie, dlatego wytniemy w tym miejscu niedoskonałości i nadamy wojskowy porządek niecierplivej kronice błędzących myśli agenta spedycyjnego. Zastosujemy własne, specjalne spoiwo do załatania szpar i dziur jego przyziemnych wspomnień i przywrócimy je do życia w postaci nowej konstrukcji, która w pamięci jednostki istnieje tylko jako ruina.

Zacniemy od tego, od czego zaczął Balfour, czyli od spotkania, do którego doszło w Hokitika rankiem tego samego dnia.

Φ

Zanim na Zachodnim Wybrzeżu rozpoczęła się gorączka złota – czyli gdy Hokitika nie była niczym więcej, jak brunatnym ujściem rzeki, otwartym na ocean, a złoto na jej plażach lśniło sobie spokojnie, niewidoczne dla ludzkiego oka – Thomas Balfour mieszkał w prowincji Otago i prowadził interesy w niewielkim, krytym gontem budynku na nabrzeżu w Dunedin, pod perkalowym szyldem z napisem „Balfour & Harnett, Agenci Spedycyjni”. (Pan Harnett od tamtej pory opuścił spółkę, w której miał tylko jedną trzecią udziałów, a teraz cieszył się kolonialną emeryturą w Auckland, z dala od mrozów Otago oraz mgły, która w chłodzie przed świtem wypełniała tutejsze doliny bielą). Korzystna lokalizacja firmy – usytuowano ją na centralnym nabrzeżu, skąd było widać dalekie krańce portu – zapewniała wysokie dochody, a wśród jej licznych klientów znajdował się niegdysiejszy gubernator Canterbury, olbrzym o dłoniach jak łopaty, mający reputację człowieka pewnego siebie, rzutkiego i energicznego.

Alistair Lauderback – tak bowiem nazywał się ów mąż stanu – robił coraz szybszą karierę. Urodził się w Londynie i zdobył wykształcenie prawnicze, zanim w 1851 roku przypłynął do Nowej Zelandii. Wyruszając w tę podróż, stawiał sobie dwa cele: po pierwsze, dorobić się majątku, po drugie, podwoić go. Takie ambicje dobrze pasowały do jego aspiracji politycznych, zwłaszcza w tak młodym kraju jak Nowa Zelandia. Lauderback zyskiwał tu na znaczeniu, i to szybko. W kręgach prawniczych podziwiano go jako człowieka, który potrafi skoncentrować się na danym projekcie i nie spocznie, dopóki go nie zrealizuje. Ze względu na te wspaniałe cechy charakterologiczne został członkiem Rady Prowincji Canterbury i poproszono go, by kandydował na gubernatora, którym wybrany został ogromną większością

głosów. Pięć lat po wylądowaniu w Nowej Zelandii sieć jego znajomości sięgała już zarówno członków rządu, jak i samego premiera Stafforda. Kiedy Lauderback po raz pierwszy zapukał do drzwi firmy Thomasa Balfoura, miał w butonierce świeży kwiat kowhai i stojący kołnierzyk, którego wybrzuszone końce (jak zauważył Balfour) zostały wykrochmalone kobiecą ręką, nie można więc było nazywać go pionierem. Wyglądało na to, że Lauderback osiadzie tu na zawsze i na długo zachowa swoje wpływy.

Jeśli chodzi o aparycję i postawę, to Lauderback był mniej przystojny, a bardziej imponujący. Miał bujną brodę jak Balfour, która wyrastała z jego policzków i podbródka niemal poziomo, nadając królewski wygląd twarzy, w której błyszcząły ciemne oczy. Był bardzo wysoki, a wskutek wrzecionowatej budowy ciała wydawał się jeszcze wyższy. Mówił głośno, dając wyraz swoim dążeniom i opiniom z otwartością, którą można byłoby określić jako pełną pychy (jeśli zaliczilibyśmy się do sceptyków) albo nieustraszoną (jeśli brakowałoby nam sceptycyzmu). Cierpiał na lekki niedosłuch, często więc przechylał głowę na bok i garbił się, kiedy kogoś słuchał – stwarzając przy tym tak przydatne w polityce wrażenie, że zawsze obdarza rozmówców baczną i łaskawą uwagą.

W czasie pierwszego spotkania Lauderback wypowiadał się z dużą pewnością siebie, dlatego wywarł silne wrażenie na Balfourze. Jego energia, jak mu powiedział, nie ograniczała się wyłącznie do sfery polityki. Lauderback był także armatorem, albowiem od dzieciństwa gorąco kochał morze. W sumie należały do niego cztery statki: dwa klipery, szkuner i bark, a na dwie z tych jednostek poszukiwał dowódców. Do tej pory je czarterował, ale związane z tym ryzyko było wysokie, pragnął więc raczej wynajmować statki jakiejś renomowanej żeglownej firmie spedycyjnej, którą byłoby stać na rozsądne ubezpieczenie. Lauderback wymienił nazwy swoich statków, od najstarszego do najmłodszego, jak gdyby to były dzieci: klipery zwały się „Cnota” i „Corona Australis”, szkuner „Dama Sali Balowej”, a bark „Z Bogiem”.

Przypadek zrządził, że w tym czasie Balfour & Harnett bardzo potrzebowali klipra o takich wymiarach i cechach, które im przedstawił Lauderback. Nie mieli zastosowania dla drugiego statku, który im zaproponował, barku „Z Bogiem”, był on bowiem za mały dla ich celów – ale żaglowiec „Cnota”, który poddano oględzinom i sprawdzianowi, bez większych problemów powinien sobie radzić z trwającą miesiąc podróżą na trasie Port Chalmers – Port Phillip. Balfour powiedział Lauderbackowi, że znajdzie mu dowódcę na „Cnotę”. Wykupi ubezpieczenie ze sporym rabatem i będzie odnawiał umowę najmu co rok.

Lauderback był rówieśnikiem Balfoura, a jednak począwszy od tego pierwszego spotkania, agent spedycyjny traktował Lauderbacka niemal jak syn ojca – zapewne wykazując się w ten sposób odrobiną próżności, albowiem cechy, które najbardziej podziwiał w Lauderbacku, kultywował także w sobie. Zrodziło się między nimi coś na kształt przyjaźni (która ze strony Balfoura była zbyt pełna podziwu, by kiedykolwiek mogła się rozwinąć w poufałość) i przez następne dwa lata „Cnota” kursowała bez przeszkód między Dunedin i Melbourne. Do pieczołowicie sporządzonej umowy ubezpieczeniowej nikt z nich już więcej

nie wracał.

W styczniu 1865 roku Robert Harnett ogłosił, że zamierza odejść na emeryturę, po czym sprzedał swoje udziały w firmie wspólnikowi i przeniósł się na północ, gdzie panował bardziej umiarkowany klimat, Balfour zaś z typowym dla siebie brakiem sentymentalizmu natychmiast pozbył się siedziby w porcie. Wiedział, że najlepsze czasy Otago ma już za sobą. Miejscowe doliny zostały już dokładnie przeorane i w rzekach wkrótce też miało zabraknąć kruszcu. Popłynął na Zachodnie Wybrzeże, nabył pas gołej ziemi w ujściu rzeki Hokitika, rozbił namiot i zaczął budować magazyn. Firma Balfour & Harnett zmieniła nazwę na „Spedycja Balfoura”, jej właściciel kupił sobie haftowaną kamizelkę i melonik, a wokół zaczęło powstawać miasto Hokitika.

Kiedy kilka miesięcy później na tutejszej redzie stanął bark „Z Bogiem”, Balfour przypomniał sobie tę nazwę i zidentyfikował właściciela żaglowca – Alistaira Lauderbacka. W geście uprzejmości złożył wyrazy uszanowania kapitanowi, Francisowi Carverowi, i odtąd utrzymywał z nim serdeczne stosunki, oparte na wspólnej znajomości z Lauderbackiem – choć Balfour w duchu uważał, że w panu Carverze jest coś bandyckiego, i uznał go za oszusta. Opinii tej hołdował bez przykrości. Z jednej strony nie lękał się niczyjej wytrwałości w dążeniu do celu – chyba że była to siła, jaką odznaczał się Lauderback: charyzmatyczna, a nawet czarodziejska – a z drugiej nie był w stanie polubić nikczemnika. Plotki, łączące polityka z panem Carverem, nie napawały go strachem ani nie trącały w jego sercu struny chłopięcego podziwu. Carver po prostu go nie interesował, nie tracił więc energii na próby zwolnienia kapitana „Z Bogiem”.

Pod koniec 1865 roku dowiedział się z gazety, że Alistair Lauderback zamierza ubiegać się w Westlandzie o mandat poselski, a kilka tygodni później dostał od niego list, w którym polityk raz jeszcze poprosił go o współpracę. Napisał, że w trakcie kampanii wyborczej w prowincji Westland chciałby sprawiać wrażenie człowieka z tamtych stron, i błagał Balfoura, by ten znalazł mu jakieś mieszkanie w centrum Hokitika, wyposażył je jak należy i pomógł mu przewieźć kufer z rzeczami osobistymi – podręcznikami prawa, dokumentami i tak dalej – które będą mu wówczas niezwykle przydatne jako politykowi. Zamaszystym, ozdobnym pismem przedstawił wszystkie aspekty swojej sprawy, Balfour zaś pomyślał, że mógł je tak opisać tylko człowiek, którego stać na marnowanie atramentu na rozmaite zakrętasz. (Uśmiechnął się na tę myśl, bo skwapliwie wybaczał Lauderbackowi jego liczne ekstrawagancje). Tymczasem Lauderback nie wybierał się do Hokitika statkiem. Postanowił podróżować drogą lądową i przebyć góry konno, by stanąć triumfalnie w Dolinie Arahura. Dzięki temu przyjechałby w te strony nie jako rozpieszczony polityk, podróżujący luksusowo w przedziale pierwszej klasy, lecz jako człowiek z ludu, obolały od siedzenia w siodle, ubłocony i zlany skapującym mu z czoła potem.

Zgodnie z prośbą Lauderbacka Balfour poczynił odpowiednie przygotowania. Wynajął politykowi kilkupokojowy apartament z oknami wychodzącymi na plażę Hokitika i wpisał go na listę wszystkich klubów, gdzie grano w kości oraz amerykańską odmianę bowls. Złożył

w sklepie zamówienie na gruszki, ser pleśniowy i kandyzowany imbir z Jamajki, wynajął cyrulika, a także zarezerwował prywatną lożę w operze na luty oraz marzec. Potem poinformował redaktora „Czasu Zachodniego Wybrzeża”, że Lauderback przybędzie z Canterbury przez górską przełęcz, i zasugerował, że ciepła wzmianka o tym odważnym przedsięwzięciu może stać się wyjątkowo korzystną rekomendacją dla gazety w oczach przyszłej administracji Lauderbacka, jeśli ten zdobędzie mandat posła z Westlandu, co było całkiem możliwe. Następnie Balfour wysłał list do Portu Chalmers, nakazując dowódcy klipra „Cnota” zabrać na pokład kufer Lauderbacka, kiedy zostanie przysłany z Lyttelton, i dostarczyć go do Hokitika w czasie kolejnego rejsu na Zachodnie Wybrzeże. Uporawszy się z tym wszystkim, zamówił gąsior ciemnego piwa w hotelu Ruszt, położył nogi na stole i wypił wszystko do dna, rozmyślając przy tym, że mógłby nawet polubić politykę... Przemówienia i kampanie wyborcze... Tak, doprawdy, mógłby w tym znaleźć przyjemność i satysfakcję.

Przybyciu Lauderbacka do Hokitika nie towarzyszyły jednak głośnie fanfary, jak to sobie wyobrażał były gubernator, kiedy listownie przedstawiał Balfourowi swoje plany. Jego wyprawa przez góry faktycznie przyciągnęła uwagę poszukiwaczy złota na Zachodnim Wybrzeżu, a nazwisko rzeczywiście zostało wyeksponowane w każdej gazecie i każdym dzienniku w mieście – lecz wcale nie z takich powodów, o jakich wcześniej myślał.

Oto, co zanotował dyżurny policjant w raporcie, opublikowanym następnego ranka w „Czasie Zachodniego Wybrzeża”:

Mniej więcej na dwie godziny przed dotarciem do miejsca przeznaczenia Lauderback i jego orszak przejeżdżali przypadkiem w pobliżu chaty pewnego samotnika. Od dawna nic nie jedli, a zapadała już noc, zatrzymali się więc, zamierzając poprosić o flaszkę wody i (jeśli gospodarz byłby gotów im usłużyć) gorący posiłek. Zapukali do drzwi; nikt nie odpowiedział, lecz światło lampy i wydobywający się z komina dym wskazywały, że w środku jednak ktoś jest. Drzwi nie były zamknięte na zasuwę i Lauderback wszedł do środka. Znalazł właściciela domku martwego, półleżącego bezwładnie na stole kuchennym. Były gubernator powiedział później policjantowi, że gospodarz musiał wyzionąć ducha tuż przed jego przybyciem, bo na piecu gotowała się resztką wody w czajniku. Wyglądało na to, że samotnik umarł z przepicia. W jednej ręce ścisnął wciąż niemal pustą butelkę whisky, a w izbie unosiła się silna woń alkoholu. Lauderback przyznał, że on i jego dwaj ludzie mimo wszystko posilili się w tym domu. Wypili herbatę i zjedli leżący na piecu podpłomyk, zanim wyruszyli w dalszą drogę. Ze względu na obecność zwłok w izbie nie zatrzymali się jednak w Dolinie Arahura dłużej niż pół godziny – na szczęście zmarły miał zamknięte oczy.

Na przedmieściach Hokitika nastąpiło kolejne opóźnienie w podróży. Zbliżając się już do centrum miasta, jeźdźcy natknęli się na jakąś kobietę, przemoczoną do nitki i leżącą bez zmysłów na środku gościńca. Żyła jeszcze, lecz była bliska śmierci. Lauderback domyślił się, że została otruta, nie zdołał jednak wyciągnąć z niej niczego poza jękami. Wysłał swoich asystentów po dyżurnego policjanta, wziął kobietę na ręce i wyniósł ją z błota. Oczekując na powrót towarzyszy, pomyślał, że kampania wyborcza zaczyna się dla niego dość ponuro – bo

jego nowymi znajomymi w mieście będą sędzia, koroner i wydawca „Czasu Zachodniego Wybrzeża”.

Przez pierwsze dwa tygodnie po tym przyjeździe, do którego doszło pod nieszczęśliwą gwiazdą, miasto nie interesowało się zbytnio nadchodzącymi wyborami. Można było odnieść wrażenie, że śmierć pustelnika i dalsze losy tej dziwki (jak bowiem dowiedział się wkrótce Lauderback, kobieta znaleziona przez niego na drodze trudniła się prostytutką) stanowiły dla miejscowych tematy, z którymi wybory nie mogą rywalizować. Podróż Lauderbacka przez góry została wspomniana tylko bardzo lakonicznie w „Czasie Zachodniego Wybrzeża”, w którym z drugiej strony poświęcono aż dwie szpalty na przybliżenie postaci zmarłego samotnika, Crosbiego Wellsa. Lauderback zachowywał jednak spokój i oczekiwał wyborów parlamentarnych tak samo opanowany jak zawsze, gdy czekał na wszystkie inne akty opatrności – oraz swoje zwycięstwa. Postanowił wygrać te wybory, a zatem na pewno tak się stanie.

W dniu przybycia Waltera Moody’ego do Hokitika – czyli tego ranka, kiedy podejmujemy opowieść Balfoura – agent spedycyjny siedział ze swoim starym znajomym w jadalni hotelu Pałac na ulicy Revella. Rozmawiali właśnie o takielunku. Lauderback miał na sobie garnitur z płowej, bardzo jasnej wełny, łatwo zmieniającej kolor pod wpływem wilgoci. Krople deszczu na jego ramionach jeszcze nie wyschły i przypominały epolety, a klapy marynarki pociemniały i straciły gładkość. Lauderback nie należał jednak do ludzi, którym takie czy inne niedoskonałości galanteryjne mogły odebrać wyniosłość – prawdę mówiąc, było wprost przeciwnie, bo w mokrym garniturze prezentował się jeszcze lepiej. Rano porządnie wyszorował ręce prawdziwym mydłem, posmarował włosy pomadą, jego skórzane kamasze lśniły niczym polerowany mosiądz, a butonierkę zdobiła gałązka bladych, miejscowych kwiatów, których nazwy Balfour nie znał. Po niedawnej podróży przez Alpy Południowe Lauderbackowi pozostały na policzkach zdrowe rumieńce i w sumie wyglądał naprawdę świetnie.

Siedzący po drugiej stronie stołu Balfour przypatrywał się politykowi, niezbyt uważnie słuchając, jak ten z ożywieniem broni liniowców żaglowych, podnosi dłonie, mające oznaczać grotzagiel i bezanżagiel, oraz posługuje się solniczką, która reprezentowała dziób statku. W normalnych okolicznościach Balfour byłby wielce zaangażowany w ten spór, ale na jego twarzy malowały się niepokój i roztargnienie. Postukiwał szklanką o blat, wiercił się na krześle i co kilka chwil podnosił rękę, aby mocno pociągnąć się za nos – ponieważ wiedział, że pomimo całej tej gadaniny o statkach rozmowa wkrótce zejdzie na temat „Cnoty” i ładunku, który szkuner miał dostarczyć na Zachodnie Wybrzeże.

Skrzynia z kufrem Alistaira Lauderbacka przybyła do Hokitika 12 stycznia, dwa dni przed zjawieniem się w mieście jej właściciela. Balfour dopilnował, by kufer przeszedł przez kontrolę celną, i kazał go przenieść do magazynu swojej firmy. O ile było mu wiadomo, polecenie to zostało wykonane. Niestety, niefortunnym zrzędzeniem losu (tym bardziej niefortunnym, że Balfour darzył Lauderbacka tak znaczną estymą) kufer przepadł później bez

śladu.

Agent spedycyjny przeraził się, odkrywszy jego zniknięcie, i poświęcił swój czas, by podjąć próbę odnalezienia zguby – chodził tam i z powrotem po nabrzeżu, pukał do każdych drzwi i wypytywał wszystkich sztauerów, tragarzy, marynarzy i celnika – ale jego wysiłki spełzły na niczym. Kufra nigdzie nie było.

Lauderback nie przespał dotąd jeszcze nawet dwóch kolejnych nocy w swoim apartamencie na piętrze hotelu Pałac, albowiem przez ostatnie dwa tygodnie odwiedzał obozowiska i osady na całym Zachodnim Wybrzeżu, odbywając swoją pierwszą podróż służbową, którego to obowiązku dopełnił dopiero właśnie tego ranka. Ponieważ do tej pory był zajęty i sądził, że „Cnota” wciąż znajduje się w drodze z Dunedin, nie interesował się kufrem – Balfour wiedział jednak, że kiedy padnie pytanie o bagaż, a na pewno do tego dojdzie, będzie musiał powiedzieć politykowi prawdę. Pociągnął tęgi łyk wina.

Na stole pozostały resztki ich „drugiego śniadania” – tak Lauderback określał wszystkie poranne bądź wieczorne posiłki, niespożywane o normalnej porze. Najadł się do syta i namawiał do wspólnego posiłku Balfoura, ten jednak kilkakrotnie odmawiał – nie był głodny, a zwłaszcza nie miał ochoty na marynowane cebulki i podroby jagnięce, gdyż na sam zapach tych potraw zawsze robiło mu się niedobrze. Żeby nie robić przykrości gospodarzowi, który opłacał ucztę z własnej kieszeni, wypił cały dzban wina, a do tego jeszcze kufel piwa – mógłby zatem powiedzieć, że dodawał sobie odwagi alkoholem, który jednak nie bardzo pomógł mu zapanować nad nerwami, a w dodatku przyprawił go o straszne mdłości.

– Jeszcze kawałek wątróbki? – zaproponował Lauderback.

– Doskonałe jedzenie – wybełkotał Balfour. – Doskonałe... Ale już się najadłem... Mój organizm... Dziękuję.

– To jagnię z Canterbury – rzekł Lauderback.

– Z Canterbury... Tak... Jest bardzo dobre.

– To górski kawior, Tom.

– Już się najadłem, dziękuję – powtórzył.

Lauderback przez chwilę przypatrywał się wątróbce.

– Właściwie to sam mogłem przypędzić tu stado owiec – powiedział, zmieniając temat. – Na górę i przez przełęcz. Pięć albo i dziesięć funtów od sztuki. Dalibóg, zbiłbym majątek na sprzedaży. Mogłeś mi powiedzieć, że każdy kawałek mięsa w tym mieście jest solony albo wędzony, przywiózłbym sobie wtedy obiady na cały miesiąc. Przyszłoby mi to z łatwością, gdybym miał choćby dwa psy.

– Nie ma w tym nic łatwego – powiedział Balfour.

– Założyłbym ubojnię – powiedział Lauderback.

– Ale straciłbyś owce, które skreśliłyby kark w bystrzynach rzecznych – powiedział Balfour. – A także te, które by się zabłąkały albo nie pozwoliłyby się pędzić. Weź też pod uwagę cały nieszczęsny czas, który musiałbyś poświęcić na liczenie, zaganianie i sprowadzanie zwierząt na dół. Mnie coś takiego by się nie uśmiechało.

– Nie ma zysku bez ryzyka – zareplikował polityk. – A ja i tak miałem fatalną podróż, mogłem więc przynajmniej trochę na koniec zarobić. Bóg jeden wie, że dzięki temu zostałem zapewne lepiej przyjęty w tych stronach.

– Może lepiej krowy – powiedział Balfour. – Krowy w stadzie są posłuszne.

– A tak ciągle tu zebrzę – kontynuował Lauderback, podsuwając Balfourowi półmisek z wątróbką.

– Już nie mogę – odparł Balfour. – Naprawdę nie mogę.

– W takim razie ty weź resztę, Jock, chłopie – powiedział Lauderback, zwracając się do swojego asystenta. (Mówił do pomocników po imieniu, albowiem obaj nosili nazwisko Smith; jeden nazywał się Jock, a drugi Augustus). – Zatkamy mu usta cebulką i nie będziemy musieli wysłuchiwać więcej gadaniny o tych utrapionych brygantynach, co, Tom? Zatkać mu usta?

Lauderback uśmiechnął się i nachylił z powrotem do Balfoura.

Ten ponownie pociągnął się za nos. Pomyślał, że to bardzo charakterystyczne zachowanie dla Lauderbacka, który zawsze zachęcał wszystkich do zgody na najbardziej trywialne tematy, starał się o konsensus, którego nic nie zapowiadało, i zanim się człowiek spostrzegął, już był po jego stronie i prowadził kampanię na jego rzecz.

– Tak... Cebulką – odezwał się Balfour, po czym, żeby nie rozmawiać więcej o statkach, dodał: – We wczorajszym „Czasie” była wzmianka o tej twojej dziewczynie na drodze.

– Jaka tam ona moja! – zawołał Lauderback. – Poza tym to w gruncie rzeczy było coś więcej niż wzmianka.

– Autor zachował się dość bezczelnie – ciągnął agent spedycyjny. – Próbował sugerować, że z powodu tej dziewczyny nagana należy się całemu miastu... Jak gdyby wszyscy mężczyźni byli winni temu, co się stało.

– A kto mu przyzna rację? – Lauderback lekceważąco machnął ręką. – To tylko jakiś urzędniczyna z prowincjonalnego sądu, który chce się wyżyć!

(Urzędnikiem, o którym Lauderback wyraził się tak niepocholebnie, był oczywiście Aubert Gascoigne; to właśnie jego zwięzła filipika w „Czasie Zachodniego Wybrzeża” miała zwrócić też uwagę Waltera Moody’ego mniej więcej dziesięć godzin później).

Balfour pokręcił głową.

– Sugerował, że odpowiadamy za to wspólnie. Wszyscy powinniśmy byli zachować się bardziej odpowiedzialnie.

– To mały urzędniczyna – powtórzył Lauderback. – Przez całe dni podpisuje czeki w imieniu swojego pryncypała. Ma swoje zdanie na każdy temat, ale nikt nie chce go słuchać.

– Mimo to...

– Żadne mimo to. Błahy tekścik i słabe argumenty. Nie ma potrzeby się nad tym zastanawiać. – Lauderback stuknął pięścią w stół jak sędzia, który uderza młotkiem, aby pokazać, że jego cierpliwość jest na wyczerpaniu.

Balfour rozpaczliwie pragnął zapobiec powrotowi poprzedniego tematu rozmowy, odezwał się więc pierwszy, zanim polityk znów zdążył otworzyć usta.

– No dobrze, a widziałeś się z nią? – zapytał.

Lauderback zmarszczył brwi.

– Z kim? Z tą dziewczyną? Z tą dziwką? Nie, nie widziałem jej od tamtego wieczoru. Chociaż słyszałem, że już doszła do siebie. Uważasz, że powinienem złożyć jej wizytę? Dlatego mnie o to spytałeś?

– Nie, nie – zaprzeczył Balfour.

– Człowiek o mojej pozycji nie może sobie pozwolić...

– Och nie. Ty nie możesz... Oczywiście...

– Co, jak podejrzewam, prowadzi nas z powrotem do tego artykułu. – W głosie Lauderbacka zabrzmiało dla odmiany zastanowienie. – Bo dokładnie o to chodziło autorowi. Że dopóki nie podejmie się pewnych działań... dopóki nie będzie przytułków dla ubogich, dopóki nie wprowadzimy tu żeńskich zakonów i tak dalej... Kto będzie odpowiadał za takie wypadki? Kto ponosi odpowiedzialność za taką dziewczynę jak ona, która nie ma nikogo w tym mieście?

Miało to być pytanie retoryczne, Balfour chciał jednak podtrzymać konwersację, odpowiedział więc:

– Nikt.

– Nikt! – Lauderback wyglądał na zdziwionego. – I mówi to chrześcijanin?

– Anna targnęła się na swoje życie... Rozumiesz, chciała się zabić! Za taki czyn odpowiada tylko ona.

– Nazywasz ją Anną! – zauważył z wyrzutem Lauderback. – Mówisz do niej po imieniu, a zatem powiedziałbym, że po części to ty odpowiadasz za opiekę nad nią!

– Nie zapaliła fajki tylko dlatego, że jest z kimś po imieniu.

– Zatrzasnąłbyś jej drzwi przed nosem, bo jest w szponach nałogu?

– Nie zatraskuję przed nią żadnych drzwi. Gdybym znalazł ją na drodze, jak ty,

postąpiłbym tak samo. Dokładnie tak jak ty.

– Uratowałbyś jej życie?

– Oddałbym ją w ręce policji!

Lauderback zbył to uściślenie machnięciem ręki.

– Noc w więzieniu, a potem co? – zapytał. – Kto się nią zaopiekuje, gdy znów zapali opium?

– Nikt nie obroni człowieka przed nim samym, jeśli ofiara sama chce zrobić sobie krzywdę, chyba to rozumiesz! – Balfour wpadł w złość. Nie lubił takich dyskusji.

Naprawdę, pomyślał, to tylko trochę lepsze od pogawędki o względnych plusach statków z osprzętem rejoyem. (Z drugiej strony Lauderback przez dwa ostatnie tygodnie był kiepskim, despotycznym rozmówcą, w dodatku na przemian wykrętnym i wymagającym. Balfour kładł takie jego zachowanie na karb zdenerwowania).

– Panu L. chodzi o spokój i opiekę nad duchem... O pociechę duchową – wtrącił Jock Smith, aby przyjść politykowi z pomocą, ale ten uciszył asystenta, unosząc otwartą dłoń.

– Zapomnij o samobójstwie. To osobny argument, a na dodatek ponury – powiedział. – Kto da jej szansę, Thomasie? Tak brzmi moje pytanie. Kto da tej nieszczęsnej dziewczynie chociażby jedną szansę na rozpoczęcie nowego życia?

Balfour wzruszył ramionami.

– Los po prostu rozdaje niektórym złe karty. Człowiek nie może jednak polegać na cudzym sumieniu. Trzeba radzić sobie z tym, co się ma, i dalej zмагаć się z życiem.

Wypowiadając te słowa, agent spedycyjny zmanifestował swoje nielitościwe przesady, czyli upór, maskowany wesołą wyrozumiałością – albowiem podobnie jak wielu innych przedsiębiorczych ludzi korzystał z życia oszczędnie i pragnął, żeby wszyscy postępowali tak samo.

Lauderback opadł na oparcie krzesła i spojrzał Balfourowi prosto w oczy.

– Dziwka – powiedział. – To właśnie chcesz powiedzieć, prawda? To tylko dziwka.

– Nie zrozum mnie źle: nie mam nic przeciwko dziwkom – odrzekł Balfour. – Nie podobają mi się jednak przytułki ani domy zakonne. Są okropne.

– Drażnisz się ze mną, jestem tego pewien! – stwierdził Lauderback. – Opieka społeczna to dowód postępu cywilizacyjnego... Ba, najwspanialszy z dowodów! Jeżeli mamy ucywilizować ten kraj... Zbudować tu drogi i mosty... Jeżeli mamy położyć podwaliny pod przyszłość tych wysp...

– To możemy zapewnić budowniczym coś, a raczej kogoś, kto będzie ich ogrzewać nocami w łóżku – dokończył za niego Balfour. – Przerzucanie kamieni to ciężka robota.

Jock i Augustus wybuchnęli śmiechem, ale Lauderback zachował powagę.

– Dziwka jest przejawem choroby moralnej, Thomasie. Trzeba nazywać rzeczy po imieniu i starać się zachować odpowiedni poziom, gdy stoi się na najdalszej rubieży cywilizowanego świata! – To ostatnie zdanie było dokładnym cytatem z ostatniego przemówienia wyborczego Lauderbacka. – Powtarzam: dziwka to przejaw choroby moralnej i tyle. Zły drenaż dobrych pieniędzy.

– A twoje lekarstwo to dobry drenaż dobrych pieniędzy, ale jednak drenaż, a pieniądz to zawsze pieniądz. Daj spokój przytułkom i nie próbuj robić z naszych dziewcząt zakonnice. Byłoby czego żałować, i to jak cholera, bo i tak nas, mężczyzn, jest tu znacznie więcej niż kobiet.

Lauderback parsknął.

– Liczniejsi i jak widzę, bardziej szczerwani.

– Brać odpowiedzialność za dziwki, też coś! – odparł Balfour. – Jeszcze trochę, a któraś z nich zasiądzie w parlamencie.

W odpowiedzi Augustus Smith pozwolił sobie na pewien ordynarny żart i wszyscy się roześmiali.

Kiedy śmiechy ucichły, odezwał się Lauderback:

– Nie rozmawiajmy więcej na ten temat. Omówiliśmy już tamten dzień ze wszystkich stron i perspektyw... Męczy mnie ta historia. – Zatoczył ręką koło na znak, że pragnie powrócić do poprzedniego wątku. – Wracając do żaglowców... Twierdzą po prostu, że to, jakie człowiek dostrzeże w nich korzyści, zależy wyłącznie od jego punktu widzenia. Jock traktuje problem z perspektywy byłego i dobrego marynarza, ja zaś armatora i dżentelmena. Widzę w wyobraźni plany ożaglowania, a on smołę, pakuły oraz wiatr.

Jock Smith zareagował na tę kpinę grzecznie, lecz z humorem, i dyskusja rozgorzała na nowo.

Równie szybko odżyła irytacja Thomasa Balfoura. Uważał, że wypowiedział się o przytułkach dowcipnie – Lauderback pochwalił jego ripostę! – i chciał pozostać przy tym temacie po to, aby skorzystać z okazji i znów udzielić mu ciętej odpowiedzi. Nie znał się jednak ani na takielunku, ani na jego zaletach – podobnie, pomyślał naburmuszony, jak Jock, Augustus, a nawet sam Lauderback. Polityk przywykł jednak rozpoczynać i kończyć rozmowy, kiedy przychodziła mu na to ochota, i zmieniał temat po prostu dlatego, że się nim nudził albo ktoś podważał jego autorytet.

Tego ranka Lauderback już trzykrotnie sprzeciwiał się zmianie tematu, za każdym razem wracając do swojej wielkopańskiej paplaniny o statkach. Gdy tylko Balfour zaczynał mówić o miejscowych problemach, polityk nieodmiennie oświadczał, że ma powyżej uszu bezsensownego rozwodzenia się o tym odludku Wellsie i miejscowej dziwce – chociaż,

prawdę mówiąc, pomyślał ze złością Balfour, właściwie nie rozmawiali szczegółowo o nim ani o niej, a już na pewno nie omówili ich przypadków ze wszystkich stron i perspektyw.

To ciche wzburzenie przebiegało według określonego, chociaż nieuświadomionego wzorca. Podziw Balfoura dla Lauderbacka był tak wielki, że agent spedycyjny wolał dać się upokorzyć, aniżeli skrytykować polityka, nawet kiedy nie zgadzali się ze sobą prywatnie – ponizenie zawsze jednak oczekuje sprzeciwu, a kiedy to nie następuje, zamienia się w irytację. Przez dwa tygodnie Balfour nie wspominał o spotkaniu Lauderbacka ze zmarłym Crosbiem Wellsem, chociaż okoliczności śmierci samotnika budziły w nim sporą ciekawość, i nie napomknął ani słowem o Annie Wetherell, dziwce znalezionej przez polityka na drodze. Zachowywał się tak, jak sobie tego życzył Lauderback, i czekał, aż były gubernator zacznie z kolei spełniać jego życzenia – chociaż było to wątpliwe, bo Lauderback na pewno nie miał po temu dość wielkoduszności. Balfour nie widział jednak wad w człowieku, którego tak bardzo podziwiał, dlatego tylko niecierpliwił się skrycie i zaczynał kaprysić. (Dodajmy tu pojednawczo, że dąsał się szalenie powierzchownie i wystarczyłoby jedno dobre słowo ze strony Lauderbacka, aby Balfourowi powrócił dobry humor).

Agent odsunął się z krzesłem nieco dalej od stołu, chcąc w ten dziecinny sposób pokazać gospodarzowi, że jest znudzony, po czym rozejrzał się po sali.

Ponieważ jedli o nietypowej porze, jadalnia była niemal pusta i Balfour zobaczył przez okienko do wydawania posiłków, że kucharz zdjął fartuch i z łokciami opartymi na stole układa pasjansa. Przy kominku siedział jakiś chłopak z wielkimi uszami i ssał pasek suszonego mięsa. Najwyraźniej posadzono go w tym miejscu, żeby miał oko na żelazka do prasowania, które grzały się na rusztowaniu nad ogniem, bo mniej więcej co pół minuty ślinił palec i przysuwał go do kozła, by sprawdzić, czy są gorące. Najbliższy stolik zajmował ksiądz – piegowaty, niezbyt przystojny jegomość o perkatym nosie i zwisającej dolnej wardze jak u nierozgarniętego dziecka. Samotnie zjadł śniadanie, a teraz popijał kawę i czytał jakąś broszurę. Bez wątpienia było to kazanie – które, jak pomyślał Balfour, miał wygłosić jutro – bo z wolna kiwał głową, jak gdyby wybijał rytm przemówienia.

Chłopak o dużych uszach poślinił znowu palec i podsunął go w stronę żelazek, ksiądz przewrócił stronicę, a kucharz wsunął jedną z kart pod klocek rzeźniczy. Balfour bawił się widelcem. Lauderback przerwał w końcu swoją diatrybę, żeby pociągnąć łyk wina, i agent spedycyjny skorzystał z okazji, żeby się wtrącić.

– Skoro już mowa o barkach, to widziałem kilka razy w tym roku, jak „Z Bogiem” przechodził przez tę piaszczystą łacnę – (W rzeczywistości mówili o brygantynach). – Jest twój, czyż nie? „Z Bogiem”?

Ale ku swemu zdziwieniu nie otrzymał odpowiedzi. Lauderback pochylił tylko głowę, jak gdyby chciał podumać w samotności nad tym niezwykle głębokim, filozoficznym pytaniem, które postawił mu Balfour.

– To diablo dobrze wyposażona jednostka – dodał agent spedycyjny. – Wspaniały statek.

Asystenci wymienili spojrzenia.

– Słowa pana Balfoura z pewnością potwierdzają naszą opinię, panie L. – odezwał się w końcu Augustus Smith, przerywając zaczarowaną ciszę. – Nawet bark prowadzi się lepiej niż brygantyna, można na nim pływać z mniejszą załogą i w ogóle nie wymaga tyle zachodu. Jock nie może temu zaprzeczyć.

– Tak – odpowiedział Lauderback, otrząsając się z zadumy i zwracając do Jocka. – Nie możesz temu zaprzeczyć.

Jock jadł i uśmiechnął się szeroko z pełnymi ustami.

– A właśnie, że zaprzeczę. Zabierzcie mi połowę takielunku zamiast połowy załogi, to i na brygantynie nie będzie wiele roboty. Zawsze przedkładam szybkość nad sterowność.

– Co powiesz na kompromis? – zapytał Augustus. – Barkentyna.

Jock pokręcił głową.

– Powtarzam: trzy maszty to o jeden za dużo.

– Ale barkentyna jest szybsza od barku. – Augustus dotknął łokcia Lauderbacka. – A twój „Wybryk Fantazji”? Miał sztaksel, prawda?

Balfour nie domyślił się, do czego zmierzają asystenci Lauderbacka (chcieli zmienić temat, który zaproponował agent spedycyjny), i wywnioskował, że być może polityk nie usłyszał go wyraźnie. Dlatego podniósł głos i spróbował ponownie.

– Twój „Z Bogiem”, powiadam. Regularnie pływa na tej trasie. Jest cholernie dobrze wyposażony. Widziałem kilka razy, jak przechodził nad mielizną. Wygląda na to, że jest i szybki, i sterowny. Daję słowo, to wspaniała jednostka.

Alistair Lauderback westchnął. Odchylił głowę do tyłu i spod zmrużonych powiek przyglądał się belkom stropowym, a na jego ustach igrał głupawy uśmiech. Jak później zrozumiał Balfour, był to uśmiech człowieka, który nieczęsto popada w zakłopotanie. (Wcześniej ani razu nie słyszał, by Lauderback przyznał się do jakiegokolwiek słabości).

Wciąż patrząc w sufit przymrużonymi oczami, Lauderback w końcu powiedział:

– Ten bark nie jest już moją własnością. – Mówił z niejakim wysiłkiem, jak gdyby uśmiech osłabił jego głos.

– A więc takie buty! – Balfour nie krył zdziwienia. – Pewnie zamieniłeś go na coś większego?

– Nie, po prostu go sprzedałem.

– Za złoto?

Lauderback odpowiedział dopiero po dłuższej chwili.

– Tak.

– A więc takie buty! – powtórzył Balfour. – Sprzedałeś go, ot, tak, po prostu. A kto go kupił?

– Kapitan.

– Ho, ho – rzekł Balfour, wzdychając żartobliwie. – To nie ma ci czego zazdrościć. Słyszeliśmy tutaj to i owo o tym jegomościu.

Lauderback nie odpowiedział. Nadal się uśmiechając, przypatrywał się nagim belkom stropu i szparom w suficie.

– Tak – kontynuował Balfour, rozpierając się na krześle i wsuwając kciuki pod klapy surduta. – Słyszeliśmy różne opowieści na jego temat. Francis Carver! Nie chciałbym mu wejść w drogę, bez dwóch zdań.

Lauderback ze zdziwieniem spuścił wzrok.

– Carver? – zapytał, marszcząc brwi. – Chodzi ci chyba o Wellsa.

– Mówisz o kapitanie „Z Bogiem”?

– Tak. Chyba że potem jeszcze go komuś odsprzedał.

– Krzepki facet. Ciemne brwi, ciemne włosy, złamany nos?

– Tak jest – powiedział Lauderback. – To Francis Wells.

– No cóż, nie chcę ci się sprzeciwiać, ale ten człowiek nazywa się Carver – oświadczył Balfour. – Może mylisz go z tym starcem, który...

– Nie – odparł Lauderback.

– Z tym odludkiem...

– Nie.

– Który już nie żyje... Z tym człowiekiem, którego znalazłeś przed dwoma tygodniami – nie ustępował Balfour. – Z umarlakiem. On, o czym wiesz, nazywał się Crosbie Wells.

– Nie – po raz trzeci, nieco głośniejszym głosem powtórzył Lauderback. – Nie pomyliłem nazwisk. Nazwisko Wells widniało na umowie kupna-sprzedaży barku, gdy ją podpisywałem. Ten człowiek nazywał się Wells.

Popatrzyli porozumiewawczo jeden na drugiego.

– Nic z tego nie pojmuję – powiedział w końcu Balfour. – Mam tylko nadzieję, że nie dałeś się wystrychnąć na dudka. Dziwny zbieg okoliczności, prawda? Frank Wells, Crosbie Wells...

Lauderback się zawahał.

– To niezupełnie zbieg okoliczności – zaprzeczył, starannie dobierając słowa. – Wydaje mi się, że oni byli braćmi.

Balfour wybuchnął śmiechem.

– Crosbie Wells i Frank Carver mieliby być ze sobą spokrewnieni? Nie wyobrażam sobie czegoś bardziej nieprawdopodobnego. Chyba że poślubili rodzone siostry, nie inaczej!

Na usta Lauderbacka powrócił głupi uśmieszek. Polityk zaczął trącać palcem jakiś okruch na stole.

– A kto ci o tym powiedział? – dodał Balfour, ponieważ Lauderback się nie odzywał.

– Nie wiem – odparł Lauderback.

– Może sam Carver, kiedy podpisywał z tobą umowę?

– Prawdopodobnie to było wtedy.

– No tak! Skoro tak mówisz... Ale sądząc po wyglądzie, nigdy bym w to nie uwierzył – rzekł Balfour. – Jeden jest wysoki i imponujący, a drugi to okropny łachmyta... i karzeł!

Lauderback zadrżał i odruchowo wykonał ruch ręką, jak gdyby chciał po coś sięgnąć.

– Crosbie Wells był łachmytą?

Balfour pokiwał głową.

– Widziałeś, jak wyglądał.

– Ale po śmierci... Za życia nie. To dziwne, ale wiesz, właściwie nie można powiedzieć, jak człowiek naprawdę wygląda, kiedy się nie porusza i już uleci z niego duch.

– Och – rzucił Balfour, zastanawiając się nad tą uwagą.

– Martwy człowiek przypomina dzieło sztuki – ciągnął Lauderback. – Rzeźbiarskiej. Zachwycasz się jej kształtem, myślisz o artyście. Gładka skóra. Piękna. Jak wosk albo marmur, chociaż z drugiej strony wcale nie, bo nie przyciąga światła jak figura woskowa i nie odbija go jak kamień. Malarz powiedziałby, że jest matowa. Bez połysku. – Lauderback niespodziewanie jakby bardzo się zawstydził i skończył, zadając Balfourowi pytanie dość niegrzecznym tonem: – Widziałeś kiedyś zmarłego?

Balfour próbował sobie z niego dworować („To niebezpieczne pytanie... Na złotodajnych polach...”), ale polityk czekał na odpowiedź, Balfour musiał więc w końcu przyznać, że nie.

– Nie powinienem był pytać, czy „widziałeś”, tylko czy znalazłeś się kiedyś w bezpośredniej bliskości niedawno umarłego – dodał Lauderback, mówiąc jak gdyby do siebie.

– Jock przytknął mu rękę do szyi – odezwał się Augustus Smith. – Prawda, Jock?

– No – odrzekł Jock.

– Kiedy tylko weszliśmy do środka – powiedział Augustus.

– Chciałem go obudzić – oświadczył Jock. – Nie wiedziałem, że nie żyje. Wyglądał, jakby spał. Ale ciekawa rzecz: miał wilgotny kołnierzyk. Od potu, wiecie, panowie... Jeszcze nie zdążył wyschnąć. Naszym zdaniem umarł najwyżej pół godziny wcześniej.

Jock powiedziała by coś więcej, ale Lauderback gwałtownym ruchem głowy nakazał mu milczenie.

– Nie rozumiem – powiedział Balfour. – Podpisał się jako Wells!

– Widocznie myślimy o dwóch różnych ludziach – odrzekł Lauderback.

– Carver ma na policzku bliznę, o, tutaj. Białą. W kształcie... sierpu.

Lauderback wyduł wargi, a potem pokręcił głową.

– Nie przypominam sobie blizny.

– Ale miał ciemne włosy? Był słusznej postury? Można by o nim powiedzieć, że jest nieokrzesany?

– Tak.

– Nie rozumiem – powtórzył Balfour. – Po co Carver miałby zmieniać nazwisko? No i że niby to bracia! Frank Carver... I Crosbie Wells!

Usta Lauderbacka poruszały się pod wąsiskami, jak gdyby przygryzał wargę. Po chwili odezwał się zmienionym głosem:

– Znałeś go?

– Crosbiego Wellsa? Ani trochę – odpowiedział Balfour i rozparł się na krześle, zadowolony, że zadano mu osobiste pytanie. – Budował tartak, daleko stąd, w Arahura... No cóż, widziałeś jego domek... Byłeś tam. Korzystał z usług mojej firmy, sprowadzał sprzęt i tak dalej, wiedziałem więc, jak wygląda. Niech spoczywa w pokoju. Miał znajomego Maorysa. Byli współnikami w tym tartaku.

– Czy wydał ci się... człowiekiem?

– Jakim człowiekiem?

– Po prostu: człowiekiem. – Ręka Lauderbacka znowu drgnęła. Zarumienił się i przeformułował pytanie. – Chodzi mi o to, jakim twoim zdaniem Crosbie Wells był człowiekiem.

– Nie miałem powodu, by się na niego skarżyć – odparł Balfour. – Pilnował swoich spraw, wiesz. Sądząc po akcencie, moim zdaniem urodził się w Londynie. – Urwał, a potem konspiracyjnie pochylił się naprzód. – Ma się rozumieć teraz, kiedy już nie żyje, ludzie gadają o nim różne rzeczy.

Lauderback nie zareagował na te słowa. Balfour pomyślał, że były gubernator zachowuje się bardzo dziwnie: zaniemówił, a nawet się zaczerwienił. Wyglądało na to, że chce, by Balfour odpowiedział mu na bardzo konkretne pytanie, a zarazem żeby się już więcej nie odzywał. Jego asystenci jakby stracili zainteresowanie rozmową – Jock bawił się kawałkiem wątróbki na talerzu, a Augustus odwrócił się i patrzył, jak deszcz siecze o szyby.

Balfour przyjrzał im się kątem oka. Byli satelitami Lauderbacka. Spali na materacach w jego pokoju, wszędzie mu towarzyszyli i przez cały czas starali się mówić i działać razem, jak gdyby dzielili nie tylko nazwisko, ale też tożsamość. Aż do dzisiejszego ranka Balfour uważał ich za sympatycznych, towarzyskich i bystrych facetów; sądził, że to pięknie, że są tak oddani Lauderbackowi, chociaż czasami denerwowała go ich nieustanna obecność u jego boku. Ale teraz? Spoglądał to na jednego, to na drugiego i uświadomił sobie, że nie wie, co o nich myśleć.

Lauderback prawie nic nie opowiadał Balfourowi o ostatnim etapie swojej podróży przez Alpy dwa tygodnie temu. Większość z tego, co agent spedycyjny wiedział o tamtej nocy, gdy polityk przybył do miasta, pochodziła z „Czasu Zachodniego Wybrzeża”, gdzie ukazała się skrócona wersja pisemnego zeznania, które Lauderback złożył na policji. Nie podejrzewano, aby miał jakiś związek ze zgonem Wellsa i niedosłą śmiercią Anny Wetherell. Raport koronera nie pozostawiał żadnych wątpliwości – Crosbie Wells umarł z przyczyn naturalnych, a lekarz udowodnił, że opium, które niemal spowodowało śmierć dziewczyny, należało do niej. Teraz jednak Balfour zastanawiał się, czy dziennikarze napisali prawdę.

Patrzył, jak Jock Smith przesuwa tam i z powrotem kawałek wątróbki. Było bardzo dziwne, że Lauderback tak nagle zaczął się interesować, jakiego rodzaju człowiekiem był Crosbie Wells – a jeszcze dziwniejsza wydała mu się myśl, że Crosbiego Wellsa, mężczyznę łagodnego, zwyczajnego i pozbawionego jakiegokolwiek znaczenia, mogłyby łączyć więzy krwi – i w ogóle jakiegokolwiek więzy! – z cieszącym się złą sławą Francisem Carverem. Balfour nie mógł w to uwierzyć. Pozostawała jeszcze sprawa owej dziwki na drodze. Czy był to tylko zbieg okoliczności, czy ta historia łączyła się jakoś z przedwczesną śmiercią Crosbiego Wellsa? Dlaczego Lauderback tak bardzo nie chciał wcześniej mówić o swojej bytności w domku Wellsa i spotkaniu z Anną Wetherell? Nie chciał – do tej pory...

– Czyli sprzedałeś swój bark Carverowi... Tylko że myślałeś, że Carver nazywa się Wells... A on ci powiedział, tak mimochodem, że ma gdzieś zachomikowanego brata imieniem Crosbie – stwierdził Balfour, częściowo po to, aby ożywić rozmowę, częściowo zaś, żeby powstrzymać swoje błędne myśli, w których rzucał nieuzasadnione oskarżenia na swojego przyjaciela.

– Teraz już nie pamiętam – odparł Lauderback. – To działo się prawie rok temu. Było, minęło.

– Ale potem natykasz się na niedawno zmarłego brata tego człowieka... Rok później! – powiedział Balfour. – I to ni mniej, ni więcej, tylko po drugiej stronie Alp... W miejscu,

w którym twoja noga nigdy wcześniej nie stała. To dosyć nieprawdopodobne, nie sądzisz?

– Tylko słaby umysł wierzy w zbiegi okoliczności – odpowiedział dość wyniośle Lauderback, który zwykł zachowywać się protekcyjnie, gdy ktoś na niego naciskał.

Balfour nie zwrócił uwagi na ten aforyzm.

– Które nazwisko było fałszywe? – zastanawiał się. – Carver? Czy Wells? – Zadając te pytania, obserwował uważnie polityka.

– Przynieść więcej wina, panie L.? – zapytał Augustus Smith.

Lauderback zabębnił palcami o stół.

– Tak. Przynieś nam jeszcze dzban wina.

– „Z Bogiem” podniósł kotwicę jakieś dwa tygodnie temu – mówił Balfour. – Pływa do Kantonu i z powrotem, prawda? Z herbatą? A zatem nie zobaczymy tu Carvera przez dłuższy czas.

– Nie mówmy już o tym – powiedział Lauderback. – Pomyliłem nazwiska. Na pewno popełniłem błąd. To nieistotne.

– Lepiej uważaj – ostrzegł go Balfour.

– Dlaczego? – spytał Lauderback.

– To może być istotne, biorąc pod uwagę, że posiadłość Wellsa wystawiono na sprzedaż. Jeżeli Crosbie miał brata, o którym nikt nic nie wiedział, to ważna wiadomość dla wdowy.

Na drżących wargach Lauderbacka ponownie zagościł uśmiech.

– Dla wdowy?

– No – potwierdził ponuro Balfour i już miał mówić dalej, ale Lauderback wtrącił pospiesznie:

– W domku nie było śladu po żonie zmarłego. Żadnego śladu. Wszystko wskazuje na to, że on... Ten człowiek... Mieszkał sam.

– Naprawdę? – Balfour znowu chciał rozwinąć swoją wypowiedź, ale Lauderback ponownie mu przerwał.

– Powiedziałaś, że to może mieć znaczenie... Wiadomość, że Wells miał brata. Ale majątek zawsze dziedziczy żona, chyba że zapis w testamencie był inny. Takie jest prawo! Dlaczego więc to, że miał brata, mogłoby być istotne? Nie rozumiem.

I tu Lauderback pochylił się ku swojemu gościowi.

– Bo nie znaleziono testamentu – rzekł Balfour. – W tym sęk. Crosbie Wells nie sporządził testamentu. Nikt nie wiedział, że w ogóle ma jakąś rodzinę. Kiedy umarł, nie było nawet wiadomo, kogo poinformować... Władze znały wyłącznie jego nazwisko, ale nie adres

domowy, nie mieli jego świadectwa urodzenia, nic. Dlatego ziemia i domek Wellsa wracają na własność Korony... A państwo ma oczywiście prawo je odsprzedać, spadek zostaje zatem wystawiony na aukcję i ktoś go kupuje już następnego dnia. Tutaj nic nie czeka długo na rynku, mówię ci. Ale zaraz potem, kiedy nie wysechł jeszcze atrament na umowie sprzedaży, zjawia się żona Wellsa! Wcześniej nikt nie miał zielonego pojęcia o jej istnieniu. Okazało się jednak, że ta kobieta ma świadectwo ślubu i podpisuje się jako Lydia Wells.

Lauderback wybałuszył oczy. Dopiero teraz Thomas Balfour zdołał skupić na sobie całą jego uwagę.

– Lydia Wells? – spytał Lauderback niemal szeptem.

Augustus Smith zerknął na Jocka.

– Było to w czwartek – odpowiedział Balfour, kiwając głową. – Sąd nie znajduje powodów, żeby zakwestionować jej dokumenty. Oczywiście odsyłają je do Dunedin w celu weryfikacji, ale coś jest nie tak, bo ta kobieta pojawia się tak nagle i chce położyć rękę na posiadłości, a Crosbie nigdy nie wspominał o żonie. I jeszcze jedno jest w tym podejrzane: bo, do diabła, jest kobietą z klasą. Jak to możliwe, że Crosbiemu Wellsowi udało się ożenić z taką damą... Ho, ho! To tajemnica, za rozwiązanie której osobiście gotów byłbym zapłacić.

– Widziałeś ją tutaj? Lydię? Jest w mieście?

W ustach polityka imię pani Wells zabrzmiało poufale; a więc, pomyślał Balfour, Lauderback ją zna. I na pewno zmarły też nie był mu obcy.

– No – powiedział głośno, starając się w niczym nie zdradzić swoich podejrzeń. – Przypląnęła w czwartek parowcem pocztowym. Wystrojona jak lalka, a zsunęła się po trapie niczym stary wilk morski. Przewiązała sobie suknię przez ramię i podtrzymywała ręką reformy. Widać jej było wszystkie zapinki i sprzączki. Niech mnie kule biją, jeżeli wiem, jak Crosbiemu Wellsowi udało się złowić taką lalę. Niech mnie kule biją.

Lauderback wciąż nie posiadał się ze zdumienia.

– Lydia Wells, żona Crosbiego Wellsa.

– No... Tak mówi ta kobieta. – Balfour przyglądał się przyjacielowi, a potem odstawił nagle szklanę. – Słuchaj no, panie Lauderback – powiedział, opierając dłoń na stole. – Zdaje się, że coś ukrywasz. Coś, co nie pozwala ci mówić wprost. Może byś się tym ze mną podzielił?

Wyłożona w tak prosty sposób prośba otworzyła tamę w sercu Alistaira Lauderbacka. Jak większość ludzi władzy, przywykłych do tego, że nieustannie towarzyszy im doskonała służba i rzadko przebywają w samotności, Lauderback myślał zazwyczaj o swoich asystentach w kategoriach praktycznych. Balfour był niewątpliwie dość sympatycznym facetem – sprytnym w interesach, nie wylewał za kołnierz i lubił się pośmiać – ale jego wartość jako człowieka sprowadzała się dla byłego gubernatora do roli, którą dla niego odgrywał, dlatego zdaniem

Lauderbacka agent spedycyjny nie był niezastąpiony. Z tego powodu polityk nigdy nie zadał sobie trudu, aby się dowiedzieć czegoś więcej o Balfourze, poznać jego myśli i uczucia.

Chwila, w której szef po raz pierwszy traktuje podwładnego jak człowieka – może nie jako równego sobie, ale przynajmniej jako istotę ludzką, mającą swoje słabości, fascynacje, realną przeszłość i niepewną przyszłość – zawsze jest intymna, niczym nieupiększona. Alistair Lauderback wyczuł właśnie tę nagość i zawstydził się. Zrozumiał, że Balfour ofiarował mu przyjaźń, on zaś przyjmował od niego tylko pomoc; ofiarował mu życzliwość, on zaś jedynie ją wykorzystywał. Odwrócił się do swoich asystentów.

– Panowie, chcę porozmawiać z Balfourem w cztery oczy. Idźcie stąd i zostawcie nas na chwilę samych.

Augustus i Jock wstali od stołu (Balfour, jak gdyby uważał asystentów za swoich rywali, z niezwykłym dla siebie zwycięskim błyskiem w oku stwierdził, że obaj wyglądają na bardzo zmieszanych), po czym bez słowa opuścili jadalnię. Kiedy wyszli, Lauderback odetchnął głęboko. Dolał sobie wina, ale zamiast się napić, trzymał szklankę i przyglądał się jej.

– Tęsknisz za Anglią, Tom? – zapytał.

– Za Anglią? – Balfour uniósł brwi. – Moja noga nie powstała w słonecznej Anglii od czasu... No tak. Kiedy ostatnio tam byłem, nie miałem jeszcze siwych włosów!

– Oczywiście – powiedział przeproszającym tonem Lauderback. – Mieszkałeś w Kalifornii. Zapomniałem. – Umilkł, karcąc się w duchu.

– Tu wszyscy zawsze mówią o ojczyźnie – stwierdził Balfour. – A mnie coś się widzi, że w tęsknocie jest rozkosz.

– Tak – odpowiedział bardzo cicho Lauderback. – Właśnie tak.

– Ale wiesz, większość chłopaków pozostaje jakby jedną nogą na statku – ciągnął Balfour, zachęcony aprobatą ze strony Lauderbacka. – Jak tylko zdobędą swoje złoto, wracają. Co robią? Kupują sobie nowe życie, znajdują narzeczoną, ustatkowują się. I czego teraz chcą? Znowu marzą o poszukiwaniu złota! O czasach, kiedy trzymali w dłoniach bryłki kruszcu! Ale kiedy mieszkali w tym kraju, gadali tylko o domu. O swoich matkach, puddingu z Yorkshire, o porządnym bekonie i tego rodzaju rzeczach. – Balfour stuknął szklanką o stół. – Anglia... Kochana, dobra ojczyzna. Tęsknisz za nią. Oczywiście, że tak. Ale nie wracasz.

Czekając, aż Lauderback odpowie, Balfour rozejrzał się. Było już dobrze po dziesiątej rano, ale gości na razie nie przybywało – chociaż należało się ich wkrótce spodziewać, przyszła bowiem sobota, i to sobota po całym tygodniu deszczu. Chłopak siedzący przy kominku zniknął, zabierając stojak z gorącymi żelazkami. Kucharz odłożył karty i piłował jakąś kość. Pomywacze wyszli ze swoich pokoi, ustawiali talerze i hałasowali. Ksiądz przy sąsiednim stoliku wciąż siedział nad kawą, która już dawno wystygła. Wpatrywał się w broszurę i wydymał wargi w skupieniu. Było oczywiste, że nie zwraca najmniejszej uwagi na swoich sąsiadów – lecz Balfour przysunął się wraz z krzesłem bliżej do Lauderbacka, żeby

polityk nie musiał mówić zbyt głośno.

– Lydia Wells jest właścicielką pewnego lokalu w Dunedin, którego nazwę chciałbym wymówić tylko raz, jeżeli nie miałbyś nic przeciwko temu – zaczął Lauderback. – A brzmi ona Dom Wielu Życzeń. W gruncie rzeczy jest idiotyczna. Pewnie o nim słyszałeś.

Balfour skinął głową, ale bardzo nieznacznie, co mogło oznaczać zarówno, że zna ten dom doskonale, jak i że nic o nim nie wie. Miejsce, o którym mówił Lauderback, było wyjątkowo dekadencją jaskinią hazardu, słynącą z wysokich stawek i tancerek.

– Jako właścicielka tego przybytku Lydia była... moją bliską znajomą – ciągnął Lauderback. – Nie łączyły nas pieniądze. Nikt nikomu nie płacił, musisz to zrozumieć. Bo taka jest prawda. – Chciał groźnie spojrzeć Balfourowi w oczy, ale agent spedycyjny miał spuszczoną głowę. – W każdym razie odwiedzałem ją, ilekroć bywałem w Dunedin – dodał Lauderback.

Czekał, aż Balfour się odezwie, odpowiedziało mu jednak milczenie. Po chwili kontynuował.

– No więc pamiętasz, Tom, że kiedy po raz pierwszy przyszedłem do twojego biura, „Z Bogiem” potrzebował kapitana. Nie chciałeś tego statku, a ja w późniejszych miesiącach miałem trochę kłopotów ze znalezieniem odpowiedniego człowieka, z którym mógłbym podpisać umowę. „Z Bogiem” stał wtedy w porcie w Dunedin. „Dama” wymagała kalfatażu i jak zapewne pamiętasz, brakowało mi funduszy na naprawy na „Cnocie”. Miałem wtedy najróżniejsze wydatki. W końcu podjąłem błyskawiczną decyzję i wynająłem „Z Bogiem” pewnemu facetowi nazwiskiem Raxworthy, który chciał ustanowić regularne połączenie między Australią i złożami złota w Otago. Służył w marynarce wojennej, choć oczywiście kiedy go poznałem, był już na emeryturze. Dowodził korwetą na Bałtyku w czasie wojny krymskiej i został za to odznaczony Krzyżem Wiktorii. Zwiedził cały świat. Mawiał, że gdyby ciągnął za sobą linę, mógłby nią opasać Ziemię. Zwolniono go ze służby z powodu podagry. Dokuczała mu na tyle, że jak już wspomniałem, przeszedł na emeryturę, ale nie zrezygnował całkiem z pływania. A „Z Bogiem” mu odpowiadał. To staroświecki jegomość, rozumiesz, a ten statek jest niczym staroświecka dziewczyna. Potem wróciłem do Akaroa i przez jakiś czas nie miałem kontaktu z Raxworthym, ale dosyć często przemierzałem wyspę wzdłuż i wszerz, a kiedy zawitałem do Dunedin następnym razem, wpadłem w tarapaty. Pojawił się małżonek Lydii. Okazało się, że ma męża, który wrócił do domu podczas mojej nieobecności.

Balfour zmrużył oczy.

– I to był Crosbie Wells?

– Nie. To był ten bydlak, którego znasz jako Carvera. Dla mnie nazywał się Wells. Francis Wells.

Balfour z wolna skinął głową.

– Ale teraz ta kobieta powiada, że jest żoną Crosbiego Wellsa. Ktoś tu kłamie.

– Tak czy inaczej...

– Kłamię co do małżeństwa albo co do nazwiska – powiedział Balfour.

– Wszystko jedno – rzekł Lauderback z rozdrażnieniem. – To nie jest takie istotne. Jeszcze nie. Musisz wysłuchać tej historii według uporządkowanych zdarzeń. Wtedy jeszcze nawet nie wiedziałem, że Lydia jest mężatką. W kasynie używała panińskiego nazwiska, rozumiesz. Zwała się wówczas Lydia Greenway, a nie Lydia Wells. Oczywiście kiedy pojawił się mąż, zrozumiałem, że nie znałem prawdy. Od razu próbowałem się wycofać i należycie opanować tę niezręczną sytuację, ale facet właściwie przyparł mnie do muru. Dopiero co zostałem gubernatorem, byłem członkiem rady prowincji. Sam też się niedawno ożeniłem i musiałem myśleć o swojej reputacji.

Balfour skinął głową.

– Zgrywał rogacza. Chciał zarobić parę funtów na boku. – Lauderback wykrzywił usta. – To nie było takie proste.

– Och, to stara sztuczka – rzekł Balfour, starając się wyrazić swoje współczucie – która oczywiście odwołuje się do strachu, skrywanego głęboko przez każdego mężczyznę, więc kiedy przychodzi szantaż, prawie przynosi ulgę. Zapłać, a nigdy więcej już o mnie nie usłyszysz, i tak dalej. Najczęściej dziewczyna również macza w tym palce. Pewnie ci powiedział, że spodziewa się dziecka.

Lauderback pokręcił głową.

– Nie. – Znów zaczął się przypatrywać szklance, którą trzymał w ręku. – Był o wiele sprytniejszy. Nie prosił o żadne pieniądze... ani w ogóle o nic. W każdym razie nie od razu. Ale powiedział mi, że jest mordercą.

Szafkowy zegar na kominku wybił kwadrans na pełną godzinę. Ksiądz przy sąsiednim stoliku podniósł wzrok, poklepał się po udzie i wyciągnął zegarek z kieszeni spodni, żeby wyregulować wskazówki. Nakręcił mechanizm kluczykiem, podniósł wieczko, przetarł chronometr serwetką i wsunął go z powrotem do kieszeni. Potem wrócił do swojej broszury, osłonił oczy dłońmi, żeby ograniczyć pole widzenia, i znów zajął się lekturą.

– Był bardzo spokojny, kiedy mi o tym mówił – rzekł Lauderback. – A nawet uprzejmy. Twierdził, że ktoś depta mu po piętach. Kompan tego człowieka, którego zamordował. Nie powiedział, kogo zabił ani dlaczego... Tylko że ktoś go ściga z powodu tego morderstwa.

– Wymienił jakieś nazwiska?

– Nie – rzekł Lauderback. – Ani jednego.

Balfour zmarszczył brwi.

– A jaka była twoja rola w tym wszystkim? Z tego, co słyszę, chodziło o cudzą zwadę albo o cudze przechwałki, ale w obu przypadkach nie miało to z tobą nic wspólnego.

Lauderback przysunął się bliżej.

– A oto sedno sprawy – odparł. – Carver powiedział mi, że mściciel naznaczył mnie jako jego kompana. I współnika. Że kiedy go dopadnie i przyjdzie odebrać mu życie... No to potem przyjdzie także po mnie.

– Że cię naznaczył? – powiedział Balfour. – Jak?

Lauderback wzruszył ramionami i rozparł się na krześle.

– Dokładnie to nie wiem. Oczywiście bywałem dość często w kasynie i pokazywałem się tu i ówdzie z Lydią. Może ktoś mnie szpiegował.

– Szpiegowanie to jedno – rzekł Balfour – ale jak ktoś może naznaczyć człowieka bez jego wiedzy? Zostałeś naznaczony, jak, powiedzmy, tatuażem, nic o tym nie wiedząc? Daj spokój! To tylko część twojej opowieści, panie Lauderback! Gdzie jest jej sedno?

Lauderback wyglądał na zmieszanego.

– No cóż – powiedział. – Wiesz, co to jest fingiel?

– Co?

– Fingiel. To kawałeczek szkła, kamień szlachetny albo małe lusterko, które wsuwa się w czubek cygara. Tytoń pali się wokół fingla z łatwością, a kiedy wsunąć cygaro do ust, o, tak, lusterka w ogóle nie widać. Takich fingli używają szulerzy. Oszust pali w czasie gry, a potem wyjmie cygaro z ust, w ten sposób, i trzyma je w ręku pod odpowiednim kątem, żeby w lusterku odbijały się karty innych graczy. Albo używa fingla, żeby pokazać swojemu współnikowi, jakie sam ma karty, jeżeli gra z partnerem. To machlojka.

Balfour udał, że bierze cygaro, rozczapierzył dwa palce, po czym wyciągnął rękę nad stołem.

– Ale chyba cholernie nieskuteczna – powiedział. – Może zawieść z bardzo wielu powodów! A gdybyś trzymał karty tuż przy piersi, to co? Albo gdybyś położył je na stole? Zobacz, jeżeli wyciągnę rękę w ten sposób... to przecież przysunąłbyś swoje karty bliżej, prawda? No powiedz... Odsunąłbyś się!

– Mniejsza o szczegóły – odparł Lauderback. – Rzecz w tym, że...

– I ponosi się tu głupie ryzyko – rzekł Balfour. – Bo jak można się wytłumaczyć z okrucha lusterka wciśniętego w koniuszek cygara?

– Chodzi o to... – odpowiedział Lauderback. – Nie zaprzataj sobie głowy detalami... Wells... to znaczy Carver, oświadczył, że ma na mnie właśnie taki fingiel.

Balfour ciągle zginał rękę w przegubie i łokciu, patrząc spod przymrużonych powiek na wymaginowane cygaro w swojej dłoni. Po chwili przestał i zacisnął ją w pięść.

– Co by znaczyło, że w taki czy inny sposób zagłąda ci w karty.

– Nie wiem tylko jak – przyznał Lauderback. – Wciąż tego nie wiem. Doprowadza mnie to do szału. – Sięgnął po dzban z winem.

Balfour zrobił sceptyczną minę. Co to za brednie? Niejasna wzmianka o zemście, żadnych nazwisk, brak kontekstu i jakieś bzdury o oszustwach szulerów? To za mało, żeby zasłużyć na szantaż. Najwyraźniej Lauderback wciąż coś przed nim ukrywa. Agent spedycyjny kiwnął głową, dając rozmówcy znak, by dolał mu wina do szklanki.

Lauderback odstawił dzban na stół i podjął swoją opowieść.

– Zanim poszedł, poprosił mnie o jedną rzecz. Tylko o jedną. Raxworthy’emu brakowało członka załogi na „Z Bogiem”. Dał nawet w tej sprawie ogłoszenie w gazecie, a Wells o nim słyszał.

– Carver.

– Tak, i Carver o nim słyszał. Zapytał, czy mógłbym go zaprotegować, bo zamierzał pójść rano na nabrzeże i się zgłosić. Poprosił mnie o tę przysługę w cztery oczy.

– Spełniłeś jego prośbę?

– Tak – odparł ciężko Lauderback.

– Może ma na ciebie jeszcze jeden fingiel – zasugerował Balfour.

– Co masz na myśli?

– Że teraz łączy was coś jeszcze. Ten statek.

Lauderback zastanawiał się nad tym przez chwilę, sprawiając wrażenie mocno przygnębionego.

– Tak – odpowiedział. – Ale co mogłem zrobić? Miał mnie w garści.

Balfour poczuł nagły przypływ współczucia do polityka i zaczął żałować swojego wcześniejszego złego humoru.

– No tak – odezwał się już łagodniej. – Miał cię w garści.

– Potem nic się nie działo. Absolutnie nic. Wróciłem do Canterbury i czekałem. Myślałem o tym cholernym finglu, aż o mało nie nawaliło mi serce. Przyznaję, że właściwie chciałem, aby Carver zginął... Miałem nadzieję, że mściciel go dopadnie i poznam jego nazwisko, zanim przyjdzie po mnie. Codziennie czytałem „Świadka Otago”, spodziewając się, że zobaczę nekrolog tego łotra, niech mi Bóg wybaczy. Ale nic się nie stało.

Niemal rok później, czyli prawie rok temu, było to może w lutym albo marcu, dostaję list. Jest to doroczny rachunek ze Spedycji Danfortha, wypełniony na moje nazwisko.

– Chodzi o Danfortha? Jema Danfortha?

– Tego samego – odpowiedział Lauderback. – Nigdy nic dla niego nie przewoziłem,

a w każdym razie nie rzeczy osobiste. Ale znam go, rzecz jasna. Wynajmuje część ładowni na barku „Z Bogiem” do przewozu swoich towarów.

– I od czasu do czasu na „Cnocie”.

– Tak... Od czasu do czasu też na „Cnocie”. Dobrze... No więc przyglądam się temu rachunkowi i widzę, że „Z Bogiem” wielokrotnie woził na swojej transtasmańskiej trasie różne ładunki na nazwisko Lauderback. Na moje nazwisko. Kilka razy, a były to rejsy na zachód przez Morze Tasmana, powtarzało się to samo: przewoźnik – Danforth, transportowiec – „Z Bogiem”, kapitan – James Raxworthy; rzeczy osobiste, wymiary standardowe, pełną opłatę wniósł Alistair Lauderback. Ja. Powiadam ci, krew ścięła mi się w żyłach. Widniało tam moje starannie wykaligrafowane nazwisko i kolumna malejących liczb.

Do zapłaty zostało zero funtów. Nic szczególnego. Zgodnie z rachunkiem przewozy były opłacane co miesiąc, gotówką. Ktoś zaaranżował to wszystko w moim imieniu i na dodatek płacił spore sumy. Przyjrzałem się szybko swoim finansom: nie brakowało mi pieniędzy, a już na pewno nie osiemdziesięciu czy dziewięćdziesięciu funtów za opłaty przewozowe. Zauważyłbym powolny odpływ takich kwot, bez względu na to, gdzie by do niego doszło. Coś tu było nie tak.

Wyjechałem do Dunedin najszybciej, jak mogłem, żeby przyrzeć się tej sprawie osobiście. Było to... chyba w kwietniu. Może w maju. Jakoś wczesną jesienią. Kiedy dopłynęliśmy do celu, od razu po zejściu na ląd pobiegłem na „Z Bogiem”. Stał na kotwicy, przycumowany do nabrzeża, ze spuszczonego trapem. Wszedłem na pokład, nie widząc żywej duszy. Oczywiście zamierzałem rozmówić się z Raxworthym, ale nigdzie go nie było. W forkasztele znalazłem jednak Wellsa.

– Carvera.

– Chciałem powiedzieć Carvera. Tak. Był sam. W jednej ręce trzyma policyjny gwizdek, a w drugiej pistolet, i powiada, że w każdej chwili może zagwizdać. Kapitanat portowy znajduje się zaledwie pięćdziesiąt jardów od miejsca, gdzie stoimy, a właz jest szeroko otwarty. Nie odpowiadam. Carver oświadcza, że w ładowni „Z Bogiem” znajduje się skrzynia opatrzona moim nazwiskiem i szereg dokumentów, które już od roku łączą mnie co miesiąc z tym ładunkiem. Wszystko jest legalne, odnotowane w papierach. Z punktu widzenia prawa to ja opłacam te przewozy od roku, z Melbourne i z powrotem, tam i z powrotem, i nic, co mógłbym powiedzieć, nie zdoła temu zaprzeczyć. No dobrze, pytam, a co jest w tej skrzyni? A on mi na to, że kobiece fatałaszki. Suknie. Sberta sukienek. Pytam, jakich sukienek. Carver uśmiecha się przerażająco i mówi: „Ależ panie Lauderback, od roku co miesiąc posyła pan po najmodniejsze damskie stroje, jakie się nosi w Melbourne! Dobrze pan dbałeś o swoją śliczną kochankę, Lydię Wells, naprawdę, i na dobitkę wszystko jest zapisane. Za każdym razem, kiedy kufer ląduje w Melbourne, wysyłają go do krawca na ulicy Bourke’a, najlepszego z najlepszych, rozumiesz pan, i potem, gdy kufer opuszcza Melbourne, jest znowu pełen

najwspanialszych fatałaszków, jakie można kupić na tej półkuli. Jesteś pan bardzo hojny, panie Lauderback”.

W głosie polityka już od jakiegoś czasu pobrzmiwało rozgoryczenie. Kontynuował:

– Ale jak to możliwe, że te przewozy zarejestrowano na moje nazwisko, pytam, a Carver się zdrowo uśmieł. Powiada, że w Dunedin Lydię Wells zna każdy szczur i wszyscy wiedzą, jak ona zarabia na chleb. Wystarczyło więc, że powiedziała pocziwemu Jemowi Danforthowi, że to niby ja stroję ją w te rozkloszowane suknie i kokardy, i poprosiła, aby nie wymieniał jej nazwiska, niby to z szacunku dla mojej nieszczęśliwej, zacnej żony! I Danforth dał jej wiarę, dlatego zapisywał przewozy na moje nazwisko. Płaciła gotówką, twierdząc, że to moje pieniądze, a mnie nikt nie pisnął ani słówka. Rozumiesz, wszyscy myśleli, że zachowują dyskrecję. Że oddają mi przysługę, do diabła, nie mówiąc na głos, co o mnie myślą jako chrześcijanie.

Ale to jeszcze nie koniec. Damskie fatałaszkę to nie wszystko, niech to lichy porwie. Tym razem, powiada Carver, w skrzyni jest coś więcej oprócz sukni. Pytam go co. Ukradzony majątek, odpowiada, czysty kruszec. Ukradzony komu, pytam. Pańskiemu uniżonemu słudze, odpowiada, i to przez jego własną żonę, Lydię Wells. Potem wybucha śmiechem, bo to oczywiście też jest łgarstwo: uknuli to razem. No dobrze, a skąd pan ma taki okazały majątek w czystym złocie, pytam, i wtedy Carver oświadcza, że jest właścicielem działki w okolicach Dunstan. Chcę się dowiedzieć, czy złoto zostało zadeklarowane, a on mówi, że nie. Niezadeklarowane, czyli nieoclone, a to oznacza, że przy przewozie tego ładunku, zostaną złamane przepisy celne, a w każdym razie stanie się tak, jeżeli „Z Bogiem” wyruszy zgodnie z rozkładem wraz z jutrzejszym odpływem.

No i teraz Carver pozwala mi zastanowić się przez chwilę nad tym wszystkim. Myślę więc. A wygląda na to, że przez dłuższy czas oszukiwałem męża i adorowałem jego żonę, którą uczyniłem swoją kochanką. Są na to dowody. Prawdopodobnie ukradłem też zdradzanemu mężowi znaczny majątek w złocie, które usiłuję teraz wywieźć. Wygląda na to, że zaaranżowałem całą tę historię po to, żeby zniszczyć i zrujnować Carvera. To cudzołóstwo, kradzież, a nawet spisek. Największy problem polega jednak na tym, że złoto nie zostało zgłoszone do oclenia. Grozi mi oskarżenie o złamanie ustawy celnej, unikanie zapłaty cła, o przemyt i tak dalej. Czeka mnie dożywotnie więzienie... a ja nie mam już przed sobą całego życia, Thomasie. Więc pytam go, czego chce, i wówczas Carver wreszcie odkrywa karty. Chce statku.

– Był już wtedy dobrym marynarzem?

– Tak. Pracuje pod rozkazami Raxworthy’ego i chce go usunąć. Wszystko sobie wykombinował: zwolnię kapitana jeszcze tego wieczoru, unieważnię umowę z załogą, podpiszę odpowiednie dokumenty i przekażę mu statek za darmo i bezwarunkowo. To zniewaga, pojmujesz. Śmieję się, mówię mu, że tego nie zrobię. Ale Carver ma ten przeklęty gwizdek i udaje, że zaraz wezwie komendanta portu.

– Poprosiłeś, żeby pokazał ci to złoto w skrzyni? – spytał Balfour. – Skąd wiedziałeś, że nie blefuje?

– Oczywiście, że go poprosiłem. Obejrzeliliśmy je. Och, przygotował wszystko bardzo starannie, pod tym względem muszę oddać mu sprawiedliwość. W skrzyni było pięć sukien w najmodniejszych fasonach ostatniego sezonu, tak jak mówił, gotowe do wysłania do krawca w Melbourne. Ale posłuchaj! Złoto nie leżało w skrzyni pod sukniami; zostało w nich zaszyte. Niewątpliwie zrobiła to Lydia, która sprawnie posługiwała się igłą i nitką. Nikt by nie odgadł, że coś w tych sukniach jest, gdyby ich nie podniósł i nie sprawdził, ile ważą. Ale celnik pewnie nie zadałby sobie trudu, by zrobić coś takiego, wiesz, chyba że ktoś dałby mu cynk, wtedy wiedziałby, gdzie szukać. Po otwarciu skrzyni, nawet gdybyś ją przetrząsnął, wyglądało na to, że zawiera tylko damskie stroje i nic więcej. Tak, to był bardzo sprytny plan.

– Pozwól, że sobie to uporządkuję – rzekł Balfour. – Gdyby statek odpłynął zgodnie z rozkładem...

– To Carver niby przypadkowo natknąłby się na tę skrzynię w ładowni i udawałby, że nigdy jej wcześniej nie widział. Pokazałby ją Raxworthy'emu, oburzony, zafrasowany i tak dalej. Ostatecznie były to suknie jego małżonki, a w dokumentach widniało moje nazwisko. Zażądałby wezwania do mnie policji pod zarzutem kradzieży, cudzołóstwa i naruszenia ustawy celnej, oskarżyłby mnie o wszystko. „Z Bogiem” nie opuściłby portu, zostałyby zawrócony, zanim dotarłby do końca mola. Wtedy przyszliby po mnie... zakuć mnie w kajdanki.

– Ale przecież... Gdyby tak się stało i zostałyby wezwana policja... to mógłbyś po prostu rzucić całą winę na Lydię Wells – powiedział Balfour. – A wtedy to niewątpliwie ona zostałaby wtrącona do więzienia...

– O tak, na pewno – odparł Lauderback, wpadając mu w słowo. – Ale nie zamierzałem ryzykować swojej wolności tylko dlatego, żeby przysporzyć kłopotów Lydii i mieć powody do satysfakcji! Gdyby cała ta utrapiona sprawa skończyła się w sądzie, Lydia i Carver z pewnością połączyliby siły przeciwko mnie i wówczas pani Wells zyskałaby sobie wielką sympatię publiczną... Ludzie mówiliby, że przejrzała na oczy, okazała skruchę, że stoi u boku swojego prawowitego małżonka i tym podobne brednie.

– Jeśli Carver rzeczywiście był jej prawowitym mężem – zauważył Balfour. – Bo dzisiaj wydaje się, że jest nim Crosbie Wells...

– Tak, tak – warknął Lauderback. – Ale przecież wtedy o tym nie wiedziałem. Nie mów mi, co i jak powinienem był zrobić, nie mogę tego znieść. Gra toczy się według własnych reguł.

– No cóż – odpowiedział Balfour, rozsiadając się wygodniej – jestem zdruzgotany.

– W końcu złamał mój opór – powiedział Lauderback i rozłożył ręce w geście kapitulacji. – Podpisałem papiery i przekazałem mu statek.

Balfour zastanawiał się przez chwilę.

– A gdzie był Raxworthy tego wieczoru?

– W tym cholernym kasynie – odrzekł Lauderback. – Nie wątpię, że bawił się tak dobrze, jak jeszcze nigdy w życiu, a Lydia Wells stała u jego boku i chuchała na jego kości do gry, żeby mu przynieść szczęście!

– Dopuścili go do tajemnicy?

– Nie sędzę – odrzekł Lauderback, kręcąc głową. – Zszedł tego wieczoru na ląd, bo była po temu marynarska okazja. W kasynie odbywała się wtedy jakaś oficjalna uroczystość. Nic niestosownego. A potem ani razu nie miałem wobec niego żadnych podejrzeń.

– Co robi teraz?

– Raxworthy? Jest sternikiem na „Duchu Tamizy”, do diaska, i nudzi się jak tygrys w klatce. Raxworthy nie cierpi parowców i jest na mnie wściekły.

– Wie o wszystkim?

Na twarzy Lauderbacka odmalowała się złość.

– Jak to: czy Raxworthy wie o wszystkim? Oczywiście, że nie! Jestem osobą publiczną. Jeśli ktoś by się o tym dowiedział, dla ciebie też nie byłoby to tajemnicą. Poszedłbym na dno.

Balfour zrozumiał, że opowieść zniecierpliwiała nagle samego opowiadającego, bo Lauderbackowi ponownie zrobiło się wstyd, że dał się wywieść w pole.

– Ale sprzedaż statku – powiedział po chwili Balfour – to jest wiedza publiczna. Donoszono o tym w prasie.

Lauderback zaklął.

– O tak. W gazecie piszą, że odsprzedałem ten przeklęty statek za naprawdę bardzo rozsądną cenę w czystym złocie. Oczywiście nie zobaczyłem nigdy ani pensa. Złoto pozostało w tej cholernej skrzyni, po czym „Z Bogiem” wypłynął następnego dnia do Melbourne i tam zabrano ją ze statku, zresztą jak co miesiąc przez ostatni rok. A potem skrzynia zniknęła. Nie mogłem nic zrobić w tej sprawie, żeby nie ściągnąć sobie na głowę potężnych kłopotów. Bóg jeden wie, gdzie to złoto jest teraz. A jakby tego było mało, Carver ma jeszcze statek.

Lauderback gniewnie bawił się podstawką pod dzbanek.

– Tak w przybliżeniu, ile naprawdę było warte złoto w tej skrzyni?

– Nie jestem poszukiwaczem, ale sądząc po ciężarze sukni, powiedziałbym, że co najmniej dwa tysiące funtów.

– I nigdy więcej nie widziałeś tego kruszcu?

– Nie.

– Ani o nim nie słyszałeś?

– Nie.

– A spotkałeś potem tę dziewczynę? Lydię Wells?

Lauderback zaśmiał się chrapliwie.

– Lydia Wells nie jest żadną dziewczyną. Nie wiem, kim albo czym ona jest, ale nie jest dziewczyną, Thomasie.

Były gubernator nie odpowiedział jednak na pytanie Balfoura.

– Wiesz, że ona jest teraz tu, w Hokitika – przypomniał mu Balfour.

– Wspominałeś o tym – odrzekł ponuro Lauderback i nie chciał powiedzieć nic więcej.

Jaką dziwną i nieujarzmioną bestią jest pochlebstwo! Jak nieprzewidywalnie podnosi łeb i wrywa się z pęt, które samo sobie nałożyło! Uwielbienie Balfoura dla Lauderbacka najpierw z łatwością przeszło w irytację, a teraz zmieniło się we wzbierającą coraz bardziej falę pogardy. Żeby stracić aż tyle... I to przez kochankę! Przez cudzą żonę!

Mimo wszystkich swoich skłonności do krytykanctwa pogarda jest uczuciem, które do pewnego stopnia rozjaśnia umysł. Thomas Balfour patrzył, jak jego przyjaciel opróżnia szklankę i pstrykając palcami, zamawia następną kolejkę. Agent spedycyjny był pełen pogardy, która po chwili ustąpiła miejsca nieufności, a następnie olśnieniu, albowiem niektóre elementy opowieści Lauderbacka wciąż do siebie nie pasowały. Bo co powiedzieć o śmierci Crosbiego Wellsa, który zmarł akurat wtedy, gdy były gubernator przyjechał do Hokitika? Lauderback musiałby jeszcze odnieść się do tego zbiegu okoliczności, tak jak musiałby wyjaśnić, dlaczego sądzi, że Carver i Wells byli ni mniej, ni więcej tylko braćmi! I co z Lydią Wells, która niespodziewanie zjawiała się w mieście, aby zażądać należnego jej spadku, przybyła zaś tak szybko po śmierci Crosbiego, że komendant portu na poły żartem zapytał, czy w miejskim urzędzie pocztowym zamontowano już może telegraf? Balfour był całkowicie pewny, że polityk nie powiedział mu całej prawdy, nie wiedział jednak, dlaczego coś przed nim ukrywa. Kogo chroni? Tylko siebie? Czy jeszcze kogoś innego?

Wzrok Lauderbacka nabrał ostrości.

– Wiesz, właśnie coś mi przyszło do głowy – powiedział, stukając palcem w blat stołu. – W sprawie Carvera. Jeżeli on naprawdę nazywa się Carver, to umowa sprzedaży statku jest nieważna. Nie można podpisywać dokumentów, posługując się cudzym nazwiskiem.

Balfour nie odpowiedział. Rozpraszała go jego nowa ocena osoby Lauderbacka i dramatycznie wielka przepaść wątpliwości, która niespodziewanie otwarła się między nimi.

– A nawet jeśli ten człowiek naprawdę nazywa się Wells, nawet jeżeli to jest prawda, to Lydia nie może być jednocześnie żoną dwóch mężczyzn, co? – dodał Lauderback, rozpromieniając się jeszcze bardziej. – Tak jak mówiłeś, albo ktoś tutaj kłamie co do małżeństwa, albo podaje nieprawdziwe nazwisko!

Pikolak przyniósł im kolejny dzban wina, który Balfour podniósł, żeby napełnić szklanki.

– Chyba że – odezwał się, nalewając wino – Lydia nie była żoną jednego i drugiego jednocześnie. Mogła się rozwieść ze swoim pierwszym mężem i poślubić jego brata.

Balfour słowo „brat” wypowiedział z naciskiem, ale Lauderback, poruszony tą nową ewentualnością, nie zwrócił na to uwagi.

– Nawet w takim wypadku, jeżeli Carver faktycznie nazywa się Carver, to jego podpis jest fałszywy, a umowa sprzedaży statku nieważna. Powiadam ci, Thomasie, mamy go, tak czy owak. Złapaliśmy Carvera w jego własne sidła.

Poczucie ulgi przydało mu brawury.

– Więc teraz ty chcesz go dopaść? – zapytał Balfour.

Lauderbackowi zaświeciły się oczy.

– Zdemaskuję go – oznajmił. – Zdemaskuję Francisa Carvera i odzyskam „Z Bogiem”.

– A co z tym mścicielem?

– Z kim?

– Z tym facetem, co to chciał dopaść Carvera. Który ma cię na finglu.

– Jak dotąd ani pisnął – odpowiedział Lauderback. – Carver pewnie wyszał to wszystko z palca.

– Chcesz powiedzieć, że Carver nikogo nie zabił? – zapytał lekceważąco Balfour. – Że nie jest mordercą?

– Jest łotrem, to na pewno – odparł Lauderback i wałnął pięścią w stół. – Łotrem i kłamcą! I złodziejem! Ale dopadnę go za to. Wtedy mi zapłaci.

– A wybory? – spytał Balfour. – Co z Caroline?

(Tak miała na imię żona Lauderbacka).

– Nie muszę ryzykować kariery ani żony – odparł pogardliwie Lauderback. – Mogę załatwić całą tę sprawę skrycie. Przyłapać go na tej umowie. Zaszantażować, jak on szantażował mnie. Odpowiedzieć mu jego własną bronią.

Balfour pogładził się po brodzie, wpatrując się w niego uważnie.

– No tak – przyznał.

– Carver najprawdopodobniej zniszczył swój egzemplarz umowy sprzedaży, jeśli był to dowód na to, że kłamał... Dlatego pewnie będę musiał złożyć swoją umowę u notariusza, żeby się zabezpieczyć.

– No tak – powiedział znów Balfour. – Może powinniśmy trochę zwolnić tempo.

Ale podniecony Lauderback aż podskoczył na krześle.

– Nie ma takiej potrzeby. Mogę zacząć już zaraz! – wykrzyknął. – Wiem dobrze, gdzie jest umowa. W moim kufrze, w tej skrzyni, która znajduje się pod twoją opieką.

Balfour poczuł ucisk w dołku i zrobił się czerwony na twarzy. Otworzył usta, żeby odpowiedzieć, ale obleciał go tchórz i zamknął je z powrotem.

– Czy „Cnota” już przyплыnęła i odpłynęła? – spytał Lauderback. – Wydaje mi się, że spodziewałeś się jej w ubiegłym tygodniu.

Balfourowi szumiało w uszach. Powinien był się przyznać, że skrzynia zniknęła, kiedy tylko został sam na sam z Lauderbackiem. Głupcze! – krzyczał na siebie w duchu. Ty głupcze! Ale czy nie może po prostu powiedzieć prawdy? Nikt nie jest winien temu, że skrzynia wyparowała. To przypadek, najprawdopodobniej jakaś pomyłka w papierach, a skrzynia prędzej czy później odnajdzie się w niespodziewanych okolicznościach... Może będzie trochę poobijana, ale cała. Lauderback z pewnością to zrozumie! Gdyby wyznał mu wszystko szczerze i spokojnie... gdyby się przyznał do błędu...

Ale wtedy serce podskoczyło Balfourowi w piersi. Musi istnieć jakiś związek między kufrem z opowieści Lauderbacka, tym wypakowanym damskimi sukniami, który przez rok co miesiąc pływał przez Morze Tasmańskie, i kufrem zawierającym rzeczy osobiste byłego gubernatora (w tym także ową oszukańczą umowę), który właśnie zniknął wraz ze skrzynią z nabrzeża w Hokitika. Taki związek istnieć po prostu musi, albowiem Balfourowi nigdy wcześniej nie zdarzyło się zgubić żadnej skrzyni transportowej i nigdy żadnej mu nie ukradziono, ani razu przez te wszystkie lata, które przepracował w branży spedycyjnej! Serce zabiło mu mocniej. Francis Carver już raz zaszantażował Lauderbacka, może zatem uczynił to po raz drugi! Prawdopodobnie Carver ukradł skrzynię z kufrem! W końcu w porcie w Hokitika wszyscy go znali...

Lauderback szukał wśród resztek jedzenia na stole jakiejś wystygłej już zakąski i nie zauważył zmiany w zachowaniu Balfoura, który rozważał w myślach to nowe podejrzenie.

– Czy „Cnota” już weszła do portu? – polityk powtórzył swoje pytanie bez zniecierpliwienia.

– Nie – odparł Balfour.

Wydawało się, że wokół tego kłamstwa zaciskają się ściany sali jadalnej.

– Jeszcze nie przyплыnęła? – spytał Lauderback. Znalazł oślizgłą cebulkę na talerzu Jocka Smitha i wsunął ją sobie do ust. – To znaczy, że wyprzedziłem własny klipper, i to konno! Tego się nie spodziewałem! Mam nadzieję, że nie zatonął?

Dobry humor wrócił mu całkowicie, a nawet zakręciło mu się w głowie. Taki balsam dla ducha to przedsmak zemsty!

– Nie – odpowiedział znów Balfour.

– Mówiłeś, że wciąż jest w drodze?

Balfour zawahał się na ułamek sekundy, po czym powiedział:

– No... Wciąż jest w drodze. Tak.

– Płynie na Zachodnie Wybrzeże z Dunedin, co? Czy wyżej i przez cieśninę?

Balfour oblewał się potem. Przyglądał się, jak jedzący Lauderback porusza ustami, i w końcu zdecydował się na drogę okrężną.

– Przez cieśninę.

– No cóż – stwierdził Lauderback, przełykając cebulkę – nic na to nie można poradzić. Nie w branży spedycyjnej. Ale dasz mi znać, jak tylko się zjawi, dobrze?

– No... Oczywiście. Tak. Dam ci znać.

– Czekam z niecierpliwością – powiedział Lauderback. Zawahał się. – Posłuchaj, Tom... Jest jeszcze jedna sprawa. Na pewno rozumiesz, że to, co powiedziałem ci dziś rano...

– Najwyższa dyskrecja – wypalił Balfour. – Nikomu nic nie powiem.

– Moja kampania zaczyna właśnie...

– Nie trzeba. – Balfour pokręcił głową. – Nie musisz tego mówić. Nie pisnę ani słowa.

– Porządny z ciebie chłop. – Lauderback odsunął się z krzesłem od stołu i klepnął się po udach. – No dobrze – powiedział. – Biedny Jock, biedny Augustus. Byłem dla nich niewymownie grubiański.

– Tak... biedny Jock, biedny Augustus – odpowiedział Balfour, pokazując gestem Lauderbackowi, że może odejść w każdej chwili, jeśli chce, ale polityk sam sięgał po płaszcz.

Serce Thomasa Balfoura biło teraz bardzo szybko. Nie znał wcześniej straszliwego napięcia, które ogarnia kłamcę, kiedy zaczyna rozumieć, że teraz jest już jak gdyby związany z wypowiedzianym przed chwilą fałszem, że od tej chwili musi łąać dalej, dokładać mniejsze kłamstewka do tego pierwszego i zamknąć się w samotnej kontemplacji własnego błędu. Odtąd będzie musiał nosić kłamstwo jak kajdany, dopóki nie znajdzie się skrzynia. Powinien ją odnaleźć jak najszybciej... i to bez wiedzy Lauderbacka, nie mówiąc już o jakiegokolwiek pomocy z jego strony.

– Moim zdaniem, panie Lauderback, powinieneś pan teraz pójść pobawić się trochę w polityka. Wiesz, uścisnąć kilka dłoni. Pograć w kości. Zagrać w bowls. Spędzić wieczór w teatrze i na razie zostawić to wszystko w spokoju.

– A ty?

– Przejdę się po nabrzeżu i trochę popytam. Co knuje Carver, gdzie się teraz podziewa.

Po twarzy Lauderbacka przemknął cień niepokoju.

– Wydawało mi się, że mówiłeś, że popłynął do Kantonu. Czy nie tak powiedziałaś? Że przewozi herbatę?

– Musimy się jednak co do tego upewnić – powiedział Balfour. – Musimy być gotowi. – Myślał o zaginionej skrzyni i o swoim nowym podejrzeniu, że mógł ją ukraść Francis Carver. (Tylko po co Carver miałby się mścić na Alistairze Lauderbacku po raz drugi, skoro pierwszy szantaż poszedł mu tak gładko?)

– Bądź dyskretny – powiedział Lauderback. – Bądź dyskretny, zasięgając języka.

– Nic prostszego – odparł Balfour. – Na Nabrzeżu Gibsona wszyscy mnie znają, a jak pamiętasz, sam przewoziłem sporo towarów na „Z Bogiem”. W każdym razie lepiej, żebym ja się tam rozpytywał, a nie ty.

– Tak... lepiej – powiedział Lauderback. – Tak. W porządku. Więc zrób to. – Skinął głową.

Prawdę mówiąc, Alistair Lauderback, jako człowiek majątny, był przyzwyczajony, że ludzie podejmują się dla niego takich misji, i nie zdziwił się, że Balfour postanowił poświęcić wolną sobotę na wyprostowanie cudzych spraw. Nie zastanawiał się też, czy agent spedycyjny nie będzie ryzykował własnej reputacji, łącząc swoje nazwisko z historią zdrady małżeńskiej, szantażu, morderstwa i zemsty, i ani przez chwilę nie pomyślał, w jaki sposób mógłby mu się zrewanżować. Odczuwał jedynie ulgę, został bowiem przywrócony niewidoczny porządek – ten sam, dzięki któremu każdego ranka czekało na niego na śniadanie jajko na miękko, a brudne naczynia znikają po prostu ze stołu. Zacisnął palcami węzeł krawata i wstał z krzesła, czując się jak nowo narodzony.

– I chyba powinieneś trzymać się z daleka od Lydii Wells – rzucił niedbale Balfour. – Po prostu dlatego, że...

– Oczywiście, oczywiście – odpowiedział Lauderback. Lewą ręką sięgnął po rękawiczki, a prawą podał Balfourowi na pożegnanie. – Dopadniemy tego skurwysyna, co?

Agent spedycyjny zrozumiał nagle, że Lauderback dobrze wie, jakiego figla ma na niego Frank Carver. Nie potrafił wyjaśnić, jak doszedł do tego nieoczekiwanego wniosku, ale domyślił się prawdy w jednej chwili.

– Tak – odrzekł, bardzo mocno ściskając dłoń Lauderbacka. – W końcu go dopadniemy.

MARS W STRZELCU

Rozdział, w którym Cowell Devlin robi nieciekawe pierwsze wrażenie, Te Rau Tauwhare proponuje informacje za pieniądze, a Charlie Frost nabiera pewnych podejrzeń; dowiadujemy się też, za jaką zbrodnię został skazany przed laty Francis Carver

Kiedy jakiś niespokojny duch, znajdujący się pod wpływem alkoholu, dostaje od kogoś zlecenie rozwikłania takiej czy innej zagadki, z początku oddaje się swoim obowiązkom skwapliwie i lojalnie, ale Thomasowi Balfourowi energii wystarczyło zwykle na bardzo krótko, jeżeli to nie on sam był autorem powierzonego mu zadania. Jego wyobraźnia ustępowała miejsca niecierpliwości, a optymizm – pewnego rodzaju ekstrawaganckiemu niedbalstwu. Chwytał się takiego czy innego pomysłu tylko po to, by go natychmiast porzucić, choćby wyłącznie dlatego, że nie był już dla niego nowy, i podejmował działania ze wszystkich stron jednocześnie. Nie była to wcale oznaka chimerycznego usposobienia, lecz raczej osobowości, hołdującej wyjątkowo autentycznemu i osobliwemu entuzjazmowi, która nie zaakceptuje żadnego fałszerstwa – cecha ta utrudniała jednak Balfourowi postępy w śledztwie.

Był już gotów wstać od stołu i wyjść z hotelu Pałac, gdy nagle przyszło mu do głowy, że szkoda zostawić na stole dzban do połowy pełen całkiem dobrego wina. Dlatego nalał sobie jego resztę do szklanki i podniósł ją do ust – a wtedy ponad jej brzegiem zauważył, że ksiądz, siedzący przy sąsiednim stoliku, odkłada swoją broszurę, splata dłonie i zaczyna mu się uważnie przyglądać.

Balfour odstawił szklankę niczym przyłapaną na kradzieży dziecko.

– Pochwalony – powiedział.

(Po zastanowieniu zdał sobie sprawę, że pora jest nieco zbyt wczesna, żeby się upić).

– Dzień dobry – odpowiedział ksiądz, a Balfour od razu poznał po jego akcencie, że jest Irlandczykiem, uspokoił się więc i pozwolił sobie na impertynencję. Znów podniósł szklankę, po czym pociągnął z niej duży łyk.

– Pański przyjaciel chyba jest szczęściarzem.

Duchowny miał wyjątkowo szpetne oblicze wiecznego chłopca, usta złożone w ciup, wyдутą dolną wargę i zęby przypominające ziarna zepsutej kukurydzy. Łatwo go było sobie wyobrazić w krótkich spodenkach i getrach, jak zajada kromkę chleba ze smalcem, taszcząc spięte starym paskiem ojca książki, które obijają mu się o nogi. Ale ksiądz miał już trzydzieści, a może czterdzieści lat.

Balfour zmrużył oczy.

– Nie przypominam sobie, żeby nasza rozmowa była przeznaczona dla księżowskich uszu.

Duchowny kiwnął głową, jak gdyby się z nim zgadzał.

– Rzeczywiście, nie była – powiedział. – I mam nadzieję, że nie była również przeznaczona dla nikogo innego.

– A co dokładnie miałoby to znaczyć?

– Tylko tyle, że nikt nie powinien mieć pożytku z niepomyślnych nowin, które podsłuchał. A już na pewno nie osoba stanu duchownego.

– Z niepomyślnych nowin? Wydawało mi się, że mówił ksiądz przed chwilą, że mój przyjaciel jest szczęściarzem.

– Jest szczęściarzem, bo ma koło siebie kogoś takiego jak pan – odparł duchowny, a Balfour się zarumienił.

– To wcale nie była spowiedź – odpowiedział gniewnie. – Choć wyglądało na to, że nasza rozmowa dotyczy tajemnicy, a ksiądz wysłuchał jej ukradkiem.

– Ma pan całkowitą słuszość, podkreślając różnicę między waszą rozmową a spowiedzią – ksiądz mówił wciąż miłym głosem. – Ale nie podsłuchiwałem was rozmyślnie.

– Rozmyślnie czy nierozmyślnie... Kto to może wiedzieć?

– Rozmawialiście bardzo głośno.

– Chodziło mi o to, że nikt nie może wiedzieć, czy ksiądz podsłuchiwał nas z premedytacją.

– Co do moich intencji, to obawiam się, że będzie pan musiał uwierzyć mi na słowo... Albo zaufać sutannie, jeżeli słowo nie wystarczy.

– Uwierzyć słowu i sutannie księdza? Po co? W co miałbym uwierzyć?

– Że nie chciałem was podsłuchiwać – odpowiedział cierpliwie duchowny. – I że umiem dochować tajemnicy, jeśli ktoś mnie o to poprosi.

– No to właśnie ktoś księdza prosi. Ja. I nie powinien ksiądz wspominać o szczęściu ani o złych nowinach. To tylko księże mniemania, nie coś, co ksiądz usłyszał.

– Ma pan rację. Naprawdę bardzo przepraszam.

– Bo wie ksiądz, nikt go nie pytał o zdanie. I nikogo to zdanie nie obchodzi.

– Naprawdę bardzo przepraszam. Będę milczał.

Balfour kiwnął palcem.

– Powinien ksiądz jednak zachować to dla siebie dlatego, że go o to poprosiłem, a nie ze względu na tajemnicę spowiedzi. Bo to nie była spowiedź.

– Rzeczywiście, nie była. Co do tego obaj się zgadzamy. – Po chwili, już zmienionym

głosem, duchowny dodał: – Tak czy inaczej spowiedź to obyczaj katolicki.

– Ale ksiądz jest przecież katolikiem. – Balfour nagle poczuł się strasznie pijany.

– Jestem wolnym metodystą – poprawił go wielebny bez urazy, ale tytułem łagodnej reprimendy dorzucił: – Niewiele da się powiedzieć o człowieku na podstawie jego akcentu, wie pan.

– Ksiądz ma irlandzki akcent – odpowiedział głupkowato Balfour.

– Mój ojciec pochodzi z hrabstwa Tyrone. Zanim tu przyjechałem, mieszkałem w Dunedin, a wcześniej w Nowym Jorku.

– Nowy Jork... To jest miasto!

Wielebny pokręcił głową.

– Miasto jak miasto – odpowiedział.

Balfour stracił rezon. Uznał, że po takiej ripocie nie może podtrzymywać tematu Nowego Jorku, ale nie wiedział, o czym jeszcze mógłby mówić, nie licząc tych spraw, o których już zabronił księdzu wspominać. Przez chwilę siedział naburmuszony, a potem zapytał:

– Zatrzymał się ksiądz tutaj?

– Znaczy w tym hotelu?

– No.

– Nie. Prawdę mówiąc, zalało mi namiot, dlatego jem śniadanie tu, gdzie mi nie kapie na głowę. – Rozczapierzył palce, wskazując resztki stojącego przed nim posiłku, który już dawno wystygł. – Jak pan widzi, przeciągałem konsumpcję, żeby jak najdłużej siedzieć pod dachem.

– Nie może ksiądz pójść do swojego kościoła?

Było to dosyć obcesowe pytanie, na które w dodatku Balfour znał odpowiedź, bo w tamtych czasach w Hokitika były tylko trzy kościoły. W obecności księdza czuł się jednak skrępowany, choć trudno byłoby mu dokładnie powiedzieć dlaczego, chciał więc zyskać nad nim przewagę, nie tyle wprawiając go w zakłopotanie, ile pokazując mu, gdzie jest jego miejsce.

Duchowny tylko się uśmiechnął, szczerząc drobne ząbki.

– Jeszcze go nie mam – odrzekł.

– Nigdy nie słyszałem o wolnych metodystach. To pewnie jakieś nowe wyznanie

– Nowa praktyka i struktura organizacyjna – odpowiedział ksiądz i znowu się uśmiechnął. – Ale, ma się rozumieć, stara doktryna.

Balfour pomyślał, że ksiądz jest chyba z siebie zadowolony.

– Domyślam się, że przyjechał tu ksiądz z misją – odezwał się. – Nawracania pogan.

– Widzę, że wysuwa pan wiele przypuszczeń – odparł wielebny. – I nie zadał pan jeszcze żadnego pytania, na które nie próbowałby pan sam udzielić odpowiedzi.

Ale Thomas Balfour nie odniósł się do tej uwagi życzliwie – nikt mu nie będzie mówił, jak powinien formułować własne myśli. Odsunął krzesło od stołu, dając do zrozumienia, że zamierza odejść.

– Odpowiadając jednak na pańskie pytanie – ciągnął ksiądz, gdy Balfour sięgał po płaszcz – to mam zostać kapelanem w nowym więzieniu na terasie Pejzaż Morski. Jednak dopóki nie zostanie ono wybudowane – wziął broszurę i uderzył nią w otwartą dłoń, jak gdyby chciał w ten sposób coś wyjaśnić – pozostaję studentem teologii, to wszystko.

– Teologii! – powiedział Balfour i wsunął ramiona w rękawy płaszcza. – Powinien ksiądz poczytać coś mocniejszego. Wybiera się ksiądz do piekielnej parafii.

– Mimo wszystko to też dzieci boże.

Balfour od niechcienia skinął głową i ruszył do wyjścia, kiedy nagle przysłała mu do głowy nowa myśl.

– Skoro mówił ksiądz o „niepomyślnych wieściach”, to idę o zakład, że podsłuchiwał nas ksiądz od dość długiego czasu.

– Tak – odrzekł z pokorą kapelan. – Podsłuchiwałem. Moją uwagę zwróciło pewne nazwisko.

– Carver?

– Nie. Wells. Crosbie Wells.

Balfour zmrużył oczy.

– Co ksiądz ma z nim wspólnego?

Kapelan zawahał się. Prawda wyglądała tak, że ani trochę nie znał Crosbiego Wellsa – a jednak przez dwa tygodnie, które minęły od śmierci tego człowieka, właściwie nie robił nic innego, tylko rozmyślał o nim i o okolicznościach jego śmierci. Po chwili milczenia przyznał, że przypadł mu smutny zaszczyt wykopania grobu Wellsa i odprawienia egzekwii nad jego trumną, gdy ją składano do ziemi – ale to wyjaśnienie nie zadowoliło Thomasa Balfoura. Agent spedycyjny nadal przyglądał się swojemu nowemu znajomemu z wyrazem ewidentnej nieufności; jeszcze bardziej zmrużył oczy, a kapelan (który zazwyczaj bardzo dobrze znosił badawcze spojrzenia) nagle się skrzywił i spuścił wzrok.

Nazywał się Cowell Devlin, o czym jakieś dziewięć godzin później miał się dowiedzieć Walter Moody. Przybył do Hokitika na kliperze „Cnota”, wynajmowanym i obsługiwanym przez firmę Spedycja Balfoura, który oprócz pasażerów różnego autoramentu przywiózł także drewno, żelazo, złączki, mnóstwo puszek z farbą, odzież, wyroby pasmanteryjne, kilka skrzyń

żywego inwentarza, znaczną ilość perkalu oraz zaginioną obecnie skrzynię z kufrem, w którym spoczywała umowa sprzedaży barku „Z Bogiem” Alistaira Lauderbacka. „Cnota” dotarła do Hokitika dwa dni przed nim, a zatem wielebny Cowell Devlin wylądował w tym mieście dwa dni przed śmiercią Crosbiego Wellsa.

Zaraz po zejściu na ląd ksiądz zgłosił się do Miasteczka Policyjnego, a naczelnik więzienia, George Shepard, bez zwłoki zaprzął go do pracy. Wprawdzie ksiądz miał oficjalnie podjąć obowiązki duszpasterskie dopiero po wybudowaniu nowego więzienia w Hokitika, wysoko na terasie „Pejzaż Morski”, wcześniej mógł się jednak przydać w komendzie i pomagać w codziennym zarządzaniu więzieniem tymczasowym, gdzie przebywało wówczas dziewiętnastu mężczyzn i dwie kobiety. Devlin miał im wpoić bojaźń bożą i zaszczerpić w ich niepokornych sercach odpowiedni szacunek do żelaznej konsekwencji prawa – a w każdym razie tak wyraził się naczelnik więzienia. (Devlin miał wkrótce odkryć, że on i Shepard różnią się zasadniczo, jeżeli chodzi o podejście pedagogiczne). Ksiądz został szybko oprowadzony po obozie i pochwalił sposób jego zarządzania, a potem zapytał, czy mógłby nocować w więzieniu, żeby spać wśród skazanych i dzielić z nimi chleb. Naczelnik przyjął tę propozycję z niesmakiem. Właściwie jej nie odrzucił, ale zawahał się, oblizał usta białym, suchym językiem, a potem zasugerował, że byłoby lepiej, gdyby Devlin wynajął pokój w jednym z licznych hoteli w Hokitika. Następnie ostrzegł kapelana, że jego irlandzki akcent może prowokować wrogie reakcje Anglików, a zawiedzione nadzieje na katolicką wrażliwość wywołają zapewne niechęć ze strony rodaków Devlina, Irlandczyków. W końcu naczelnik poradził mu, żeby uważał, jakie dobiera sobie towarzystwo, a jeszcze bardziej na to, co w nim mówi. W ten sposób powitał Devlina w Hokitika i zaraz się z nim pożegnał.

Cowellowi Devlinowi brakowało jednak pieniędzy, żeby przez kilka miesięcy opłacać pobyt w hotelu, a poza tym nie miał w zwyczaju ulegać pesymistycznym przewidywaniom obcych ludzi co do wrogich postaw wobec swojej osoby. Nie posłuchał rady Shepada i nie wziął sobie do serca jego ostrzeżeń. Nabył zwyczajny namiot górniczy, rozbił go mniej więcej pięćdziesiąt jardów od plaży w Hokitika i obłożył jego perkalowe boki kamieniami. Potem wrócił na ulicę Revella, kupił sobie małe piwo w najbardziej zatłoczonym hotelu, jaki tylko udało mu się znaleźć, i zaczął zawierać znajomości zarówno z Anglikami, jak i z Irlandczykami.

Cowell Devlin był pod każdym względem człowiekiem, który wszystko w życiu zawdzięczał samemu sobie – ponieważ jednak rzadko używa się takiego określenia wobec osób mających święcenia kapłańskie, powinniśmy wyjaśnić, dlaczego mimo to odwołujemy się do tego rodzaju opisu. Otóż nasz duchowny spędzał każdą chwilę, marząc i nieustannie przywołując w wyobraźni obraz przepelnionego spokojem człowieka, którym postanowił w końcu kiedyś zostać. Jego poglądy teologiczne również trzymały się tego samego wzorca: Devlin był pełnym nadziei wiernym swojego Kościoła, a licznym uczniom opowiadał o utopijnej przyszłości, o świecie, w którym nikomu na niczym nie będzie zbywało. W swoich wypowiedziach swobodnie łączył język prorocztwa z językiem snów. Zdaniem Cowella Devlina nie było żadnej sprzeczności między taką rzeczywistością, jaką on chciał widzieć, i taką, jaką

widzieli inni ludzie. Gdyby chodziło o kogoś innego, można by nazwać taką cechę ambicją, ale wizerunek swojej osoby, jaki wytworzył na własny użytek Devlin, był niewzruszony, a nawet zmitologizowany, i ksiądz już dawno uznał, że nie jest osobą ambitną. Jak można się zatem spodziewać, czasami z absolutnym rozmysłem udawał niewiedzę i często przechodził do porządku dziennego nad co bardziej przykrymi prawdami o naturze ludzkiej, przedkładając nad nie te, które dawały się uromantyczniać dzięki duchowym uniesieniom oraz wyobraźni. Devlin był w tym mistrzem. Był również znakomitym gawędziarzem, a w konsekwencji dobrym duszpasterzem. Jego wiara, podobnie jak portret własny, była wyczerpująca, zrównoważona i niemal prorocza w swoich manifestacjach – dlatego też, co zauważył Balfour, ksiądz sprawiał czasami wrażenie wielce zadowolonego z siebie.

O jedenastej wieczorem 14 stycznia – w dniu, kiedy Alistair Lauderback przybył do Hokitika – Cowell Devlin siedział po turecku na posadzce tamtejszego więzienia i rozmawiał z osadzonymi o świętym Pawle. Mniej więcej o zachodzie słońca zaczął padać deszcz i kapelan postanowił przedłużyć swój pobyt w miejscu pracy, mając nadzieję, że ulewa nie potrwa długo. Mieszkał w Hokitika dopiero od niedawna i nie wiedział jeszcze, jak uporczywa potrafi być niepogoda na Zachodnim Wybrzeżu. Naczelnik Shepard pracował w swoim prywatnym gabinecie, a jego małżonka położyła się już do łóżka. Większość więźniów nie spała. Słuchali kazania Devlina najpierw uprzejmie, a potem z prawdziwym zainteresowaniem, by w końcu, zachęceni przez kapelana, zacząć podawać mu przykłady ze swojego życia i dzielić się z nim przemyśleniami.

Devlin zastanawiał się, czy nie powinien się już udać na spoczynek i wyjść, mimo że wciąż padało, gdy na dziedzińcu rozległ się jakiś krzyk i po chwili usłyszeli uderzenie w drzwi. Naczelnik zerwał się na te hałasy i wybiegł z gabinetu w lnianej mycce na głowie i z karabinem w ręku, co mogło wyglądać śmiesznie, ale nie wyglądało. Devlin także wstał i podszedł do drzwi w ślad za Shepardem. Wyjrzeli na zewnątrz – i w padającym deszczu, tuż poza rzucanym przez lampę naczelnika kręgiem światła, ujrzeli dyżurnego policjanta, Ellisa Drake'a, który trzymał w ramionach jakąś kobietę.

Shepard otworzył drzwi szerzej i polecił funkcjonariuszowi, żeby wszedł do środka. Drake był człowiekiem niechlujnym i ograniczonym umysłowo, mówił nosowym głosem, a na dźwięk jego nazwiska ludziom nie przychodził na myśl sławny bohater mórza i oceanów, tylko zwyczajna kaczką, do której był wielce podobny.

Policjant wciągnął aresztantkę do więzienia, trzymając ją niewyszukanym chwytem strażackim, i bez ceremonii położył kobietę na posadzce. Potem zameldował przez nos, że ta dziwka popełniła występki przeciwko społeczeństwu lub przeciwko Bogu. Została znaleziona w stanie tak skrajnego odurzenia, że trudno było powiedzieć, czy jest jedynie potężnie zamroczona, czy może próbowała celowo wyrządzić sobie krzywdę. Drake miał jednak nadzieję (o czym wspominał, uchylając hełmu), że po kilku godzinach w więzieniu uda się wyjaśnić z nią tę kwestię. Trącił półprzytomną czubkiem buta, jak gdyby chcąc podkreślić swoje słowa, po czym dorzucił, że narzędziem jej przestępstwa było najprawdopodobniej

opium. Dziwka była od niego uzależniona i często widywano ją pod jego wpływem w miejscach publicznych.

Naczelnik Shepard wpatrywał się w Annę Wetherell i widział, jak aresztowana kurczowo zaciska dłonie. Devlin nie zamierzał być przesadnie gorliwy, czekał zatem na decyzję przełożonego, choć bardzo chciał przykłęknąć, dotknąć tej kobiety i sprawdzić, czy nie odniosła żadnych obrażeń. Próby samobójcze napawały go ogromnym smutkiem i uznawał je za najstraszniejszy zamach, jakiego ciało może dopuścić się wobec duszy. Wszyscy trzej patrzyli więc na dziwkę i przez chwilę nikt się nie odzywał. Potem Drake przyznał, że gdyby musiał zdecydować się na jakieś oskarżenie, to jego zdaniem dziewczyna usiłowała popełnić ohydniejszą z dwóch wspomnianych zbrodni, ale niech naczelnik lepiej poczeka, aż aresztowana dojdzie do siebie, a wtedy będzie mógł ją sam wypytać.

Zgodnie z tą sugestią Shepard podniósł pannę Wetherell, oparł ją o ścianę i zakuł w kajdany. Upewnił się, czy dziewczyna może swobodnie oddychać, po czym spojrzął na kieszonkowy zegarek i oświadczył, że jest już późno. Devlin zrozumiał aluzję, włożył więc kapelusz i płaszcz, ale wychodząc z więzienia, rzucił jeszcze przez ramię tęskne spojrzenie. Wolałby, żeby więźniarka została umieszczona w wygodniejszej pozycji, naczelnik jednak już życzył mu dobrej nocy i chwilę później drzwi za księdzem zamknęły się, po czym zostały zaryglowane.

Gdy kapelan wrócił następnego dnia do Miasteczka Policyjnego, Anna Wetherell wciąż była nieprzytomna; głowa opadła jej na bok, a usta miała nieznacznie rozchylone. Na jej skroni widniał granatowo-czerwony siniak. Miała też spuchnięty policzek: upadła czy ktoś ją uderzył? Devlin nie miał jednak czasu, żeby zbadać tę sprawę i wycisnąć z naczelnika więcej informacji na temat okoliczności aresztowania dziewczyny. Okazało się, że w nocy zmarł jakiś mężczyzna, i poproszono kapelana, aby towarzyszył lekarzowi do Doliny Arahura i pomógł mu zabrać ciało – a także by zechciał odmówić nad ciałem jedną czy dwie modlitwy. Shepard poinformował go, że nazwisko zmarłego brzmi Crosbie Wells. Według informacji uzyskanych przez naczelnika Wells umarł z przyczyn naturalnych, był bowiem w podeszłym wieku, schorowany i nadużywał alkoholu. Na tym etapie dochodzenia brakowało powodów, żeby podejrzewać zabójstwo. Wells, ciągnął dalej Shepard, żył samotnie. Nie będzie pamiętany jako dobry bądź też nikczemny człowiek, miał bowiem niewielu znajomych i nie pozostawił żadnej rodziny.

Kapelan i lekarz pojechali plażą na północ, a dotarwszy do ujścia rzeki Arahura, skręcili w głąb wyspy. Domek Crosbiego Wellsa, stojący trzy albo cztery mile w górę rzeki, był bardzo prymitywny – właściwie przypominał drewniane pudełko, nakryte spadzistym, blaszanym dachem – ale właściciel pozwolił sobie na wspaniały luksus w postaci szyby w oknie, w północnej ścianie domku, który był dobrze widoczny z Drogi do Christchurch, stał bowiem jakieś dwadzieścia stóp nad brzegiem rzeki, na wykarczowanej działce.

Ogólnie rzecz biorąc, dom wyglądał na opuszczony – a kiedy ciało zostało owinięte kocami i wyniesione z izby, zrobiło się w niej jeszcze bardziej pusto. Wszystko w środku

lepiło się od brudu i było powleczone warstwą kurzu. Materac pokrywały żółte plamy, a na poduszce widniały cętki pleśni. Zwisający spod sufitu poeć boczek był cały popękany i zeschnięty. Wszędzie walały się puste flaszki po alkoholu. Butelka na stole również była pusta, co wskazywało na to, że odludek opróżnił ją tuż przed śmiercią, a potem wsparł głowę na rękach i zasnął. W izbie unosił się jakby zwierzęcy zapach – woń samotności, pomyślał ze współczuciem Devlin. Przyklęknął przy piecu, wyciągnął z niego szufladę z popiołem – zamierzał bowiem rozpaść ogień pod kuchnią, aby w ten sposób rozproszyć ów jak gdyby trupi odór w izbie – i w tym momencie zobaczył kawałek papieru, tkwiący między kratownicą a dnem szuflady.

Wyglądało na to, że ktoś (prawdopodobnie sam Wells) próbował spalić jakiś dokument, zamknął jednak drzwiczki od pieca, nim papier zajął się ogniem. Kartka nadpaliła się tylko wzdłuż jednego boku, po czym zsunęła z rusztu paleniska do szuflady i była tylko trochę zwęglona. Devlin wyciągnął ją i starł z niej popiół. Tekst był nadal czytelny.

Dnia dzisiejszego, 11 października Roku Pańskiego 1865, PAN EMERY STAINES, niegdyś mieszkaniec Nowej Południowej Walii, przekazuje kwotę dwóch tysięcy funtów PANNIE ANNIE WETHERELL, niegdyś mieszkance Nowej Południowej Walii, czego świadkiem jest PAN CROSBIE WELLS, spisujący umowę.

Przy nazwisku Wellsa widniał chwiejny podpis, ale przy nazwisku tego drugiego mężczyzny było tylko puste miejsce. Devlin uniósł brwi. Umowa jest więc nieważna, albowiem świadek podpisał się na niej, zanim swój podpis złożyła jedna ze stron.

Devlin przypomniał sobie nazwisko „Anna Wetherell”: nosiła je ta odurzona opium dziwka, którą zeszłej nocy umieszczono w więzieniu. Przystanął na chwilę, marszcząc brwi, a potem nagle złożył umowę na pół i wsunął ją za koszulę, tak że czuł papier na skórze. I dalej rozniecał ogień. Po chwili wrócił lekarz (który karmił konie), po czym obaj usiedli i wypili herbatę, wyglądając przez okno na rzekę oraz ciągnące się dalej, spowite chmurami góry. Konie zjadają obrok z worków i tupały, a koc, który zasłaniał nosze ze spoczywającym na wozie ciałem Wellsa, pokryła warstewka srebrzystych paciorków deszczu.

Cowell Devlin nie umiał w pełni uzasadnić impulsu, każącego mu ukryć akt darowizny przed lekarzem, doktorem Gilliesem. Pomyślał, że być może popchnęła go do tego atmosfera spokoju w domku zmarłego. A może zatajenie znaleziska było oznaką szacunku albo jego ciekawość wzbudziło nazwisko Anny Wetherell, niedoszłej samobójczyni, znalezionej w stanie zamroczenia narkotycznego na Drodze do Christchurch, schował więc dokument, gdyż w jakiś niejasny sposób pragnął ją osłonić. Zastanawiał się nad każdym z tych przypuszczeń, popijając herbatę. Nie rozmawiał z lekarzem, który również pogrzyżył się w zadumie. Potem umyli kubki, zgasili ogień, zamknęli drzwi i wdrapali się z powrotem na wóz, by zawieźć swój nieszczęsny ładunek do Miasteczka Policyjnego w Hokitika, gdzie miała zostać przeprowadzona sekcja zwłok.

Dla wątpliwych moralnie postępów własnego autorstwa Cowell Devlin zazwyczaj nie szukał konkretnego uzasadnienia – zagłębiał się raczej w bezładne rozmyślania na temat swoich motywacji w ogóle. Charakterystyczne dla kapelana było również to, że właściwie nie widział żadnych powodów, by przyznać się do tej nieuczciwości – ani wtedy, kiedy się jej dopuścił, ani przez najbliższe czternaście dni, albowiem dopiero dwa tygodnie później, 27 stycznia, pokazał skradziony akt darowizny innej osobie. Devlin uważał się za pełnego cnót, a jego mniemanie w tej materii pozostawało niewzruszone nawet w obliczu faktów, które wskazywały, że jest inaczej. Ilekroć zachowywał się niestosownie albo wątpliwie moralnie, po prostu wyrzucał takie zdarzenie z pamięci i kierował swoje myśli gdzie indziej.

W drodze z Hokitika przytrzymał umowę otwartą dłonią na piersi, a kiedy otwierał usta, mówił wyłącznie o sile wielkich bałwanów, patrząc, jak morze pieni się bielą przy brzegu wzdłuż drogi. Lekarz nie odzywał się w ogóle. Gdy wreszcie powrócili do miasteczka i wnieśli ciało Crosbiego Wellsa do środka, Devlin bez entuzjazmu zastanawiał się, czy nie powiedzieć naczelnikowi Shepardowi, co zrobił, ale przeszkodziło mu kolejne zamieszanie, a potem nie miał już okazji, żeby się przyznać do przywłaszczenia dokumentu. Jak bowiem się okazało, Anna Wetherell zaczęła dochodzić do siebie.

Jej gałki oczne raptownie poruszały się pod powiekami; dziewczyna wysunęła język i wydawała mrukliwe odgłosy. Można było sądzić, że gorączka spadła, bo na nosie i czole aresztowanej pojawiły się kropelki potu, a pomarańczowy jedwab jej sukni wokół kołnierzyka i pod pachami przybrał brązowy kolor. Devlin osunął się przed nią na kolana. Ujął jej delikatne i chłodne dłonie w swoje ręce, po czym poprosił żonę Sheparda, żeby przyniosła wody.

Kiedy dziewczyna wreszcie się ocknęła, wyglądała tak, jak gdyby uszła z objęć samej śmierci. Odrzuciła głowę do tyłu, przewracała oczami i zaczęła charczeć. Prawdopodobnie widziała, gdzie się znajduje, lecz opium dokonało w jej organizmie takiego spustoszenia, że najwyraźniej nie miała dosyć sił, by chociaż wyrazić zdumienie. Niepewnie cofnęła dłonie, wyswobadzając je z uścisku Devlina, który odsunął się od niej. Zauważył, że natychmiast przycisnęła ręce do gorsetu, jak gdyby była ranna w brzuch i chciała powstrzymać krwawienie – tak pomyślał. Zagadnął ją, ale nie odpowiedziała, a po chwili znowu zamknęła oczy i odpłynęła w sen. Wtedy w jakimś innym więziennym pomieszczeniu wybuchnęła sprzeczka i wezwano Devlina, aby ją zażegnał. Przez resztę popołudnia zajmował się właśnie tym oraz innymi obowiązkami wynikającymi z jego stanowiska.

Pod koniec dnia przyjechał urzędnik sądowy, by zebrać kaucje od wszystkich tych przestępców, których było na nią stać. Na dźwięk jego głosu panna Wetherell uniosła spoconą głowę i skinęła na niego. (Urzędnik ten był kolejną nową twarzą w mieście, szczupłym i bardzo eleganckim mężczyzną o nazwisku Gascoigne). Dziewka spomiędzy żalonych fiszbinów swojej sukni wyciągnęła kilka monet i wcisnęła je w otwartą dłoń Francuza. Drżała na całym ciele, a na jej twarzy malował się wyraz wielkiego upokorzenia. Kaucja została przyjęta i odnotowana, a wówczas naczelnik Shepard zmuszony był zwolnić zatrzymaną, co też

bezzwłocznie uczynił. Devlin nie poszedł następnego dnia wysłuchać zeznań Anny Wetherell przed sądem, otrzymał bowiem polecenie wykopania grobu dla zmarłego pustelnika, Crosbiego Wellsa. Później dowiedział się, że Anna nie chciała się bronić i bez sprzeciwu zapłaciła zasądzoną grzywnę.

Dzień po pogrzebie odkryto w domku Crosbiego Wellsa majątek warty cztery tysiące funtów, czyli dwa razy tyle, ile wymieniono w nadpalonym akcie darowizny, który Devlin ukrył w końcu w swojej Biblii, pomiędzy Starym i Nowym Testamentem. Nadal jednak nie przyznał się do kradzieży i powiedział sobie, że pokaże Annie Wetherell dokument, kiedy chora nabędzie sił – gdy całą tę historię z samobójstwem, niemal zakończonym powodzeniem, będzie miała już za sobą. Tymczasem jednak uznał za rozsądne zachować informację na temat darowizny na własny użytek.

Teraz, siedząc w jadalni hotelu Pałac, wyciągnął rękę i położył ją na wyświechtanej okładce Biblii, na której widniał jedynie mały, złoty krzyż kanterberyjski, wytłoczony w skórze. Wyciągnięcie ręki było gestem obronnym, bo chociaż Devlin nie wiedział jeszcze, że ów apokryficzny akt darowizny, wciśnięty między Księgę Malachiasza i Ewangelię według św. Mateusza, okaże się niezwykle ważny zarówno dla Thomasa Balfoura, jak i dla wielu innych ludzi, uważał za konieczne mieć go blisko siebie. Zdawał sobie jednak sprawę, że ten dokument – świadectwo wręczenia daru, którego nikt nigdy nie dostał, i kodycył do nigdy nienapisanego testamentu – jest w pewnym sensie cenny, nie chciał się więc z nim rozstać, dopóki się nie dowie, jaka jest dokładnie jego wartość.

– Kopanie grobów – odezwał się Balfour, zdejmując z wieszaka swój melonik i przesuwając palcami wokół jego ronda. – Teraz będzie ksiądz musiał poczytać coś na ten temat.

– Nie znam żadnych rozpraw o kopaniu grobów – odpowiedział Devlin.

– Na potrzeby nowej parafii – mówił dalej Balfour, nie zwracając uwagi na jego słowa – będą tam stawiać szafot. – Włożył kapelusz, zsunął go kciukiem z czoła i odwrócił się, by wyjść. Przystanął przy drzwiach. – Nie wiem, jak się ksiądz nazywa – powiedział.

– I ja nie znam pańskiego nazwiska – odparował Devlin.

Zapadła cisza, a potem Balfour gruchnął śmiechem, uchylił kapelusza, żeby pokazać, że było mu miło, i wyszedł z sali.

Φ

Sobota była w Hokitika dniem krzątania i spotkań. Poszukiwacze złota wracali wtedy całymi stadami do miasta, którego populacja wzrastała pod koniec tygodnia do czterech tysięcy mieszkańców, i wypełniali hałaśliwe, rozpustne noclegownie oraz hotele przy ulicy Revella do granic możliwości. Urzędnicy sądowi zasypywani byli drobnymi skargami i podaniami o wystawienie pozwolenia na wydobycie kruszcu, pośrednicy dostawali mnóstwo weksli, a kupcy zamówienia od bogaczy oraz prośby o przedłużenie kredytu od biedaków.

Nabrzeże Gibsona przypominało pracowity ul; zdawało się, że z każdą godziną powstaje kolejny drewniany szkielet nowego domu; tu ktoś osadzał drzwi na zawiasach, tam właściciele nowo otwartych sklepów rozwieszali transparenty reklamowe, które wydymały się i chrzęściły na tasmańskim wietrze. W sobotę było widać każdą szprychę w olbrzymim kole fortuny – byli w mieście tacy, którzy szli w górę, tacy, którzy już osiągnęli szczyt, tacy, którzy się z niego staczali, tacy, co stoczyli się już na sam dół, i wreszcie tacy, którzy znaleźli spokój – toteż wieczorem każdy kopacz topił swoje smutki w alkoholu albo pił z radości.

Jednak tego dnia rześisty deszcz zniechęcił do wyjścia niemal wszystkich, z wyjątkiem tych, którzy mieli coś naprawdę pilnego do załatwienia, dlatego na ulicach Hokitika nie panował taki tłok jak zwykle. Balfour minął tylko kilku przemoczonych mężczyzn, siedzących w kucki pod hotelowymi markizami i kryjących w dłoniach papierosy, żeby nie pogasły. Nawet konie otaczała aura ponurej rezygnacji. Pyski miały okryte mokrymi workami z obrokiem; zwierzęta stały nieruchomo w zrytym błocie ulicy, a kiedy Balfour przechodził obok nich, w zmrużonych końskich oczach nie zabłysnęła nawet jedna iskierka.

Gdy skręcił w ulicę Revella, uderzyła go taka fala wiatru i deszczu, że musiał przytrzymać kapelusz. Jak zapowiadała „Prognoza pogody Saxby’ego”, owa niegodna zaufania wyrocznia, publikująca swoje przewidywania codziennie w „Czasie Zachodniego Wybrzeża”, potop miał się zakończyć za dzień albo za trzy – Saxby przepowiadał bowiem pogodę z niejakim rozmachem i pozostawiał sobie spory margines błędu, zarówno w przypadku prognozy optymistycznej, jak i pesymistycznej. Prawdę mówiąc, informacje w jego rubryce rzadko się zmieniały: ulewy stanowiły równie stały element pejzażu w Hokitika, jak mrozy i upały w Otago albo czerwony pył w górach. Balfour przyspieszył kroku, jeszcze ciaśniej otulając się płaszczem.

Na zadaszanej werandzie Banku Rezerw stało kilkunastu mężczyzn w grupkach po trzech i czterech. Widoczne za nimi szyby były zasnuwane szaroperłową parą. Balfour przyglądał się twarzom, mrużąc oczy, by przebić wzrokiem deszcz, ale nie zauważył nikogo znajomego. Postrzępiony pióropusz dymu przyciągnął jego wzrok na dół, ku jakiejś samotnej postaci: był to Maorys, siedzący w kucki pod okapem, oparty plecami o ścianę z belek. Krajowiec ćmił cygaro.

Na twarzy miał tatuaż, przypominający Balfourowi mapę wiatrów. Dwa szerokie wiry zaokrąglają policzki Maorysa, a znad jego brwi biegły w górę promieniste kreski, sięgające włosów. Ciasne zwoje po obu stronach nosa nadawały mu niemal dumny wygląd. Usta miał pomalowane na niebiesko. Nosił spodnie z serży i rozpiętą koszulę, odsłaniającą brzuch, a na jego brązowej piersi widniał ogromny, zielony wisior, przedstawiający topór ciesielski. Maorys już skończył palić i kiedy Balfour się do niego zbliżał, wyrzucił niedopałek cygara, który stoczył się po jakimś ulicznym wyboju, wpadł w mokrą trawę i znieruchomiał, wciąż dymiąc.

– To ty jesteś tym Maorysem – powiedział Balfour. – Kompanem Crosbiego Wellsa.

Krajowiec spojrzał na Balfoura, ale się nie odezwał.

– Powiedz nam jeszcze raz, jak się nazywasz? Twoje nazwisko.

– *Ko Te Rau Tauwhare toku ingoa.*

– A to ci dopiero! Podaj nam tylko nazwisko. – Balfour złożył dłonie, chcąc pokazać, że chodzi mu o mniejszą liczbę słów. – Tylko nazwisko.

– Te Rau Tauwhare.

– Tego też nie wymówię – stwierdził Balfour i pokręcił głową. – No tak... A jak cię nazywają przyjaciele? Twój biali przyjaciele? Jak cię nazywał Crosbie?

– Te Rau.

– Niewiele lepiej, co? – powiedział Balfour. – Wyszedłbym na idiotę, gdybym spróbował to wymówić, nie? A może nazwałbym cię Ted? To przyzwoite brytyjskie imię, pasowałoby do ciebie. Zdrobienie od Theodore’a albo od Edwarda, do wyboru. Edward jest ładnym imieniem.

Tauwhare nie odpowiedział.

– Ja jestem Thomas Balfour – przedstawił się agent spedycyjny, kładąc rękę na sercu. – A ty jesteś Ted. – Nachylił się i poklepał Tauwharego w czubek głowy.

Maorys wzdrygnął się, a zaskoczony Balfour szybko cofnął rękę i zrobił krok w tył. Zrobiło mu się głupio, wysunął więc nogę do przodu i wcisnął obie ręce w kieszenie kamizelki.

– *Tamati* – powiedział Tauwhare.

– Powtórz.

– W moim języku nazywasz się Tamati.

– Och – odpowiedział z wielką ulgą Balfour. Wyjął ręce z kieszeni, klasnął, po czym skrzyżował ramiona na piersi. – Znasz trochę angielski... to dobrze!

– Umieję bardzo dużo angielskich słów – powiedział Tauwhare. – Podobno bardzo dobrze znam wasz język.

– Crosbie cię trochę poduczył, co, Ted?

– To ja go uczyłem – odpowiedział Tauwhare. – Uczyłem go *korero Maori*! Jak ty mówisz: Thomas, to ja mówię: Tamati. Ty mówisz: Crosbie, a ja: *korero mai*!

Maorys uśmiechnął się szeroko, ukazując bardzo białe, kwadratowe zęby. Najwyraźniej powiedział coś śmiesznego, więc Balfour uśmiechnął się do niego w odpowiedzi.

– Nigdy nie miałem głowy do języków – zauważył, otulając się płaszczem. – Jeśli to nie angielski, to musi być hiszpański, tak zawsze mówił mój tata. Ale posłuchaj, Ted: przykro mi

z powodu śmierci twojego przyjaciela. Przykro mi z powodu śmierci Crosbiego Wellsa.

Twarz Tauwharego od razu przybrała wyraz śmiertelnej powagi.

– *Hei maumaharatanga* – powiedział.

– No tak – rzekł Balfour, który wolałby, żeby tubylec przestał mówić w swoim języku. – To wielka strata, cholera, naprawdę wielka. A teraz jeszcze ten galimatias... Całe to zawracanie głowy z jego majątkiem i tak dalej... I z jego żoną.

Popatrzył wyczekująco na Tauwharego, przebijając się wzrokiem przez padający wciąż deszcz.

– *He pounamu kakano rua* – powiedział Te Rau Tauwhare. Wskazującym i środkowym palcem dotknął wiszącego na swojej szyi wisiora. Balfour pomyślał, że może to jakiś talizman; wszyscy Maorysi je nosili. Topór Tauwharego był niemal wielkości jego dłoni i wypolerowany na błysk. Zrobiono go z jakiegoś ciemnozielonego kamienia, zmaconego smugami jaśniejszej zieleni; był zawieszony na wstążce w taki sposób, że wąska rękojeść topora wsuwała się w dołek pod obojczykiem Te Raua.

– Posłuchaj... – powiedział Balfour, próbując strzelać pytaniami na oślep. – Posłuchaj, Ted... Gdzie byłeś, kiedy to się stało? Gdzie byłeś, gdy umarł Crosbie?

(Może ten Maorys pomoże mu jakoś zacząć; może coś wie. Oczywiście nie było sensu wypytywać się za wiele w mieście, żeby nie wzbudzać podejrzeń, ale rozmowa z Tauwharem była bezpieczniejsza niż z większością innych mieszkańców, bo tubylec najprawdopodobniej nie miał zbyt wielu znajomych).

Te Rau Tauwhare zwrócił swoje ciemne oczy na Balfoura i przyjrzał mu się uważnie.

– Zrozumiałeś pytanie? – spytał Balfour.

– Tak – odparł Tauwhare.

Zrozumiał, że Balfour pyta go o śmierć Crosbiego Wellsa, chociaż sam nie przyszedł na jego pogrzeb – na ten haniebny, niewydarzony pogrzeb, pomyślał Tauwhare z gniewem i obrzydzeniem. Zrozumiał, że agent okazuje mu jedynie pozorne współczucie – nawet nie zdjął kapelusza. Chce pewnie wyciągnąć z tej rozmowy jakąś korzyść dla siebie, bo patrzył na niego tak chciwie, jak robią to zazwyczaj ludzie, którzy orientują się, że mogą od kogoś coś dostać, nie dając niczego w zamian.

– Tak, zrozumiałem pytanie.

Te Rau Tauwhare jeszcze nie ukończył trzydziestu lat. Miał muskularne ciało, nosił się z godnością i tryskał młodzieńczą energią. Chociaż otwarcie nie okazywał dumy, nie dawał po sobie poznać, że ktoś mu imponuje albo go onieśmiela. Była w nim jednak głęboko ukryta arogancja, twarda pewność siebie, która nie wymagała żadnego dowodu ani wytłumaczenia – bo mimo że cieszył się sławą wojownika i zajmował zaszczytną pozycję w swoim plemienu,

to nie wykreował własnego wizerunku na podstawie takich czy innych osiągnięć. Po prostu wiedział, że jego uroda i siła są niezrównane i że jest lepszy od wielu innych mężczyzn.

Taka samoocena niepokoiła go jednak, uważał bowiem, że wskazuje na jakąś duchową słabość. Tauwhare uświadomił sobie, że każdy, kto jest czegoś pewny na swój temat, musi być człowiekiem powierzchownym, i że ocena nie jest żadnym wykładnikiem prawdziwej wartości – a mimo to nie potrafił się wyzbyć pewności siebie. Martwił się tym. Bał się, że jest jedynie ozdobą, skorupą, w której brakuje mięsa, pustą muszlą małża; bał się, że jego samoocena oznacza próżność. Dlatego poświęcił się życiu duchowemu. Szukał mądrości przodków, żeby się nauczyć wątpić w siebie. Jak mnich stara się zapanować nad drugorzędnymi funkcjami ciała, tak Te Rau Tauwhare usiłował zapanować nad drugorzędnymi funkcjami woli – człowiek nie może jednak kontrolować swojej woli, nie dając jej jakiegось wyrazu. Dlatego Tauwhare nie potrafił znaleźć złotego środka pomiędzy uleganiem swoim impulsom oraz ich tłumieniem.

Iwi, do którego należał, nazywało się Poutini Ngai Tahu. Był to lud, który rządził niegdyś na całym zachodnim wybrzeżu Wyspy Południowej, od stromych fiordów na południu po palmy i kamieniste plaże na dalekiej północy. Przed sześciu laty Korona brytyjska kupiła ten szeroki pas ziemi za trzysta funtów, pozostawiając dla plemienia tylko rzekę Arahura, część jej brzegów i niewielki kawałek gruntu w Mawhera, w ujściu rzeki Grey. Wyniki negocjacji wydały się wtedy Maorysom niesprawiedliwe; obecnie wiedzieli już, że ten rzekomy zakup był pospolitym złodziejstwem. Dziesiątki tysięcy poszukiwaczy złota, którzy od tamtej pory napłynęli na Zachodnie Wybrzeże, wykupywało licencje na prowadzenie poszukiwań kruszcu za jednego funta, a ziemia kosztowała dziesięć szylingów za akr. Już same zyski z tych transakcji były pokaźne, a do tego dochodziło przecież jeszcze ukryte w rzekach i zmieszane z piaskiem złoto, którego ogólna wartość była tak kolosalna, że nie została dotąd oszacowana. Za każdym razem, kiedy Tauwhare rozmyślał o bogactwie należnym jego plemieniu, w piersi wzbierał mu gniew – tak przeraźliwy i dręczący, że przejawiał się w postaci bólu.

Crosbie Wells zapłacił więc pięćdziesiąt funtów Koronie, a nie ludowi Poutini Ngai Tahu, kiedy kupował z górą sto akrów ziemi we wschodniej części Doliny Arahura. W tej okolicy gęsto rosły drzewa totara, dające drewno o pięknym rysunku słoju, dobrze poddające się ostrzu noża, odporne na działanie soli i złe warunki atmosferyczne. Wells był zadowolony z tego zakupu. Najbardziej na świecie kochał ciężką pracę i płynące z niej korzyści – a także whisky, kiedy mógł ją dostać, oraz gin, jeżeli brakło whisky. Zbudował sobie jednoizbowy domek z widokiem na rzekę, wykarczował kawałek ziemi pod ogród i zaczął stawiać tartak.

Te Rau Tauwhare dosyć często przejeżdżał przez Dolinę Arahura, albowiem był poszukiwaczem *pounamu*, a rzeka Arahura była pełna tych skarbów: gładkich, mlecznoszarych kamieni, które po rozłupaniu odsłaniały szkliste, zielone i twardsze od stali wnętrza. Tauwhare był biegłym snycerzem, niektórzy twierdzili nawet, że znakomitym, ale prawdziwą, wyjątkową doskonałością wykazywał się jako poszukiwacz tego rzeczno-kamienia. Kamienie *pounamu* były równie matowe i zwyczajne na zewnątrz, jak kolorowe i błyszczące w środku,

a Tauwhare nie musiał ich zadrapywać ani rozbijać – wystarczył mu jeden rzut wprawno oka, by w stanie nienaruszonym przewieźć je do Mawhery, gdzie zdobycz można było uroczyście pobłogosławić i rozłupać.

Ziemia Crosbiego Wellsa przylegała do terytorium Poutini Ngai Tahu – chociaż powinniśmy raczej powiedzieć, że graniczyła z tym kawałkiem ziemi, na którym plemię to zostało niedawno uwięzione niczym w rezerwacie. W każdym razie nie minęło wiele czasu, nim Te Rau Tauwhare poznał Crosbiego Wellsa. Maorysa zwabiło stukanie, które rozchodziło się po dolinie, gdy Wells rąbał drewno na opał. Ich znajomość zaczęła się serdecznie i odtąd często się już spotykali; po pewnym czasie Tauwhare odwiedzał Crosbiego zawsze, gdy był w okolicy. Okazało się, że Wells przyswaja sobie z entuzjazmem maoryskie obyczaje i chłonie tubylczą wiedzę – dzięki temu odwiedziny Tauwharego w jego domku stały się tradycją.

Te Rau Tauwhare skwapliwie wykorzystywał każdą nadarzącą się okazję, żeby rozwodzić się nad tymi cechami, które najlepiej określały jego samego, a uwielbiał to robić szczególnie wtedy, gdy słuchacze schlebiali temu, w co sam w głębi duszy osobiście wątpił – czyli schlebiali *mauri*, jego duchowi, wierzeniom religijnym i mądrości.

Przez wiele miesięcy po ich pierwszym spotkaniu Crosbie Wells nieustannie wypytywał Tauwharego o jego wiarę – najpierw jako człowieka, potem Maorysa i wreszcie Maorysa z plemienia Ngai Tahu. Przyznał, że Tauwhare jest pierwszym nie-Europejczykiem, z którym rozmawia, a jego tak jawnie manifestująca się ciekawość przypominała głód. Trzeba wspomnieć, że Tauwhare nie dowiedział się wówczas zbyt wiele o Crosbie Wellsie, gdyż ten rzadko mówił o swojej przeszłości, a Maorys nie miał zwyczaju zadawać zbyt wielu pytań. Uważał jednak Crosbiego za bratnią duszę i często mu o tym mówił – ponieważ jak wszyscy z zasady pewni siebie ludzie, z zadowoleniem porównywał się do innych, uważając takie doszukiwanie się podobieństwa za najszczerzy z możliwych komplementów.

Rankiem po śmierci Wellsa Tauwhare przyszedł do niego i jak zwykle przywiózł mu w prezencie żywność – on dostarczał mięso, a Wells alkohol, i taki układ obu im odpowiadał. Zobaczył, że z podwórka przed domkiem odjeżdża jakiś wóz. Lejce trzymał lekarz z Hokitika, doktor Gillies, a obok niego siedział kapelan więzienny, Cowell Devlin. Tauwhare nie znał osobiście żadnego z nich, ale kiedy jego wzrok przesunął się na wóz, zauważył postać przykrytą złożonym kocem, spod którego wystawały znajomo wyglądające buty. Krzyknął i upuścił podarunek dla Wellsa. Kapelanowi zrobiło się żal tubylca, zaproponował więc, by odprowadził z nimi ciało przyjaciela do Hokitika, gdzie miało zostać przygotowane do pogrzebu, a następnie zakopane w ziemi. Na koźle nie było miejsca, ale Tauwhare mógł usiąść z tyłu na dyszlu: musiał jedynie uważać na nogi.

Hotelarze i sprzedawcy sklepowi stali w drzwiach wzdłuż całej ulicy Revella, kiedy wóz z turkotem wjechał do Hokitika i skręcił w główną ulicę. Niektórzy podbiegali, by lepiej przypatrzeć się Maorysowi, który posyłał im tępe i zrezygnowane spojrzenie. Jedną ręką lekko przytrzymał Wellsa za nogę w kostce, bo trup przesunął się i podskakiwał wraz z każdym przechyleniem wozu. Kiedy dotarli do Miasteczka Policyjnego, Tauwhare nie ruszył się.

Siedział i czekał, nie puszcżając nogi Wellsa, podczas gdy lekarz i kapelan się naradzali.

Miejscowy bednarz zgodził się zbić sosnową trumnę i przygotować drewniany nagrobek, na którym miał wyryć nazwisko Crosbiego Wellsa oraz datę jego urodzin i śmierci. (Nikt nie wiedział, kiedy dokładnie Wells się urodził, ale na stronie przedtytułowej w Biblii zmarłego widniał zapisany atramentem rok: 1809. Była to prawdopodobna data urodzin Wellsa, który w dniu śmierci miałby zatem pięćdziesiąt siedem lat, i właśnie tę datę wyrył potem bednarz na jego nagrobku). Naczelnik więzienia postanowił jednak, że zanim rzemieślnik zrealizuje oba zamówienia, zwłoki Crosbiego Wellsa należy położyć na muślinowym prześcieradle, na podłodze w jego prywatnym gabinecie, w Miasteczku Policyjnym.

Kiedy już ułożono ciało zmarłego z rękami skrzyżowanymi na piersiach, naczelnik wyprosił wszystkich z pokoju i zatrzasnął drzwi, aż zadrżał cały korytarz. Wewnętrzne ściany w jego domu były zrobione z wzorzystego perkalu, mocno naciągniętego i przybitego do drewnianego szkieletu, toteż kiedy budynek trzeszczał na wietrze albo kołysał się pod wpływem ciężkich kroków czy nagłego zatrzaśnięcia drzwi, ściany dygotały i falowały niczym woda w basenie – a ktoś, kto na nie patrzył w takiej sytuacji, nie mógł nie pomyśleć o szerokiej na dwa cale pustej przestrzeni, dzielącej dwie warstwy perkalu, o martwej przestrzeni wokół wewnętrznego szkieletu budynku, zakurzonej i pełnej tańczących wzorów, tworzonych przez cienie ludzi, którzy poruszali się w pokojach.

Tuawhare nalegał, żeby ktoś został przy Wellsie. Nie można było zostawić go samego na podłodze bez choćby jednej świeczki, w pokoju, gdzie nikt by przy nim nie czuwał, nie modlił się nad nim albo za niego – ani nie śpiewał. Tauwhare próbował tłumaczyć zasady *tangi* – właściwie były to rytuały, zbyt święte, aby można je wyjaśnić, a nawet uzasadnić. Po prostu należało postępować zgodnie z *tangi*, było to konieczne. Tauwhare twierdził, że duch nie opuszcza człowieka całkowicie, dopóki ciało nie zostanie pochowane. Istnieją odpowiednie pieśni i modlitwy...

Naczelnik udzielił mu reprimendy, nazywając go poganinem. Tauwhare się rozgniewał. Powiedział, że ktoś musi zostać z Wellsem do pogrzebu: „Ja z nim zostanę. Crosbie Wells był moim przyjacielem i bratem”. „Crosbie Wells – odparował naczelnik – był biały i o ile mi wiadomo, na pewno nie był twoim bratem. Pogrzeb odbędzie się we wtorek rano; jeśli chcesz się na coś przydać, możesz nam pomóc przy kopaniu grobu”.

Ale Tauwhare został. Czuwał na ganku, potem w ogrodzie, a później w alejce między domkiem naczelnika i obozem – i zewsząd go przepędzano. W końcu naczelnik wyłonił się z więzienia, trzymając w dłoni pistolet o długiej kolbie. Powiedział, że przysięga na Boga, że zastrzeli Tauwharego, jeśli zobaczy go w odległości mniejszej niż pięćdziesiąt jardów od Miasteczka Policyjnego, nim ciało Crosbiego Wellsa zostanie złożone w ziemi. Tauwhare wycofał się więc na pięćdziesiąt kroków, odliczając je dokładnie, i usiadł, opierając się o drewnianą fasadę banku Grey i Buller. Właśnie z tego miejsca czuwał nad ciałem swojego starego przyjaciela, przemawiając do niego czułymi słowami, teraz, tego ostatniego wieczoru, nim jego duch miał ostatecznie ulecieć.

- Kiedy Crosbie umarł, byłem w Arahura – odpowiedział Tauwhare.
- W dolinie? – spytał Balfour. – Byłeś tam, kiedy umarł?
- Zastawiałem pułapkę na kereru – odpowiedział Tauwahre. – Wiesz, co to jest kereru?
- Jakiś ptak, nie?
- Tak... Bardzo smaczny. Dobry jest duszony.
- Jasne.

Z melonika Balfoura zaczęła skapywać woda, zdjął go więc i otrzepał, uderzając rondem o nogę. Jego szary garnitur przybrał kolor mokrego węgla drzewnego, a koszula zrobiła się przezroczysta i było pod nią widać różowe ciało.

– Zastawiłem pułapkę przed zmrokiem, by złapać ptaki rano – powiedział Tauwahare. – Z grani widać dom Crosbiego. Z góry. Tamtego wieczoru do domu weszło czterech ludzi.

– Czterech? – zapytał Balfour, wkładając z powrotem melonik. – A nie trzech? Jeden był bardzo wysoki, na czarnym koniu. Przyjechało z nim dwóch innych, niższych, obaj na gniadych klaczach. To był Alistair Lauderback... i Jock, i Augustus. To oni znaleźli ciało, wiesz... To oni zawiadomili policję.

– Widziałem trzech ludzi na koniach, tak – rzekł Tauwhare, powoli kiwając głową. – Ale zanim przyjechali, widziałem też jednego, który przyszedł pieszo.

– Jeden człowiek, sam... No! Jesteś porządny facet, nie? – powiedział nagle poruszony Balfour. – Tak, do licha, porządny z ciebie gość, Ted!

– Nie zaniepokoiłem się, bo nie wiedziałem, że Crosbie Wells zmarł tej nocy – ciągnął Tauwhare. – Dowiedziałem się o tym dopiero rano.

– Jeden człowiek... wchodzi do domku, sam! – powiedział Balfour, który zaczął chodzić tam i z powrotem. – I to przed Lauderbackiem! Zanim przyjechał Lauderback!

– Chcesz wiedzieć, jak się nazywał?

Balfour obrócił się na pięcie.

– Wiesz, kto to był? – prawie krzyknął. – Tak, dobry Boże! Powiedz mi!

– Potargujemy się – odpowiedział natychmiast Tauwhare. – Ja podam swoją cenę, a ty swoją. Jeden funt.

– Potargujemy się?

– Jeden funt – rzekł Tauwhare.

– Zaczekaj. Widziałeś, jak jakiś człowiek wchodzi do domku Wellsa w dniu jego śmierci. W tym dniu, kiedy Wells umarł, dwa tygodnie temu? Naprawdę to widziałeś? I wiesz bez najmniejszych wątpliwości, kim był ten człowiek?

– Wiem, jak się nazywa – powiedział Tauwhare. – Znam go. Bez oszukaństwa.

– Tak – zgodził się Balfour. – Ale zanim ci zapłacę, chcę się upewnić, że naprawdę go znasz. Muszę się upewnić, że nie wodzisz mnie za nos. Czy to był potężny mężczyzna? O bardzo ciemnych włosach?

Tauwhare skrzyżował ręce na piersi.

– Gramy uczciwie – powiedział. – Bez oszukaństwa.

– Tak. Oczywiście, że gramy uczciwie.

– Potargujemy się. Ustaliłem swoją cenę na jednego funta. Teraz ty podaj swoją.

– Był potężny? Czy ten człowiek był potężny? Dobrze zbudowany? Upewniam się tylko, rozumiesz. Upewniam się, czy naprawdę wiesz. Potem zaczniemy się targować, bo mimo wszystko może mnie oszukujesz.

– Jeden funt – odpowiedział z uporem Tauwhare.

– To był Francis Carver, prawda, Ted? Nie mam racji? To był Francis Carver, ten kapitan? Kapitan Carver?

Balfour tylko zgadywał, ale udało mu się. Po twarzy Tauwharego przemknął cień urazy i Maorys odetchnął głośno.

– Powiedziałem: bez oszukaństwa – rzekł z przyganą w głosie.

– Ja nie oszukiwałem, Ted – odpowiedział Balfour. – Po prostu już o tym wiedziałem, tylko zapomniałem. Oczywiście, że Carver wybrał się tego dnia do domku Crosbiego Wellsa. To był on, prawda? Kapitan Carver? To jego widziałeś? Możesz mi powiedzieć... To żadna tajemnica, bo ja i tak już wiem.

Uważnie wpatrywał się w twarz Maorysa, żeby się upewnić, czy ma słuszość.

Tauwhare mocno zacisnął zęby i mruknął pod nosem:

– *Ki te tuohu koe, me maunga teitei.*

– No dobrze, Ted, oddałeś mi przysługę, do cholery, tego ci nie zapomnę – rzekł przemoczony już do nitki Balfour. – I wiesz co? Jeśli kiedykolwiek będę potrzebował jakiejś usługi, to przyjdę do ciebie, co? Dostaniesz wtedy funta za coś innego.

Tauwhare podniósł głowę.

– Potrzebujesz Maorysa – raczej oświadczył niż spytał. – Potrzebujesz Maorysa, to przyjdź do mnie. Nie biorę każdej roboty, ale ty potrzebujesz naszego języka, a ja cię wiele nauczę.

Nie wspomniał, że jest snycerzem. Nie sprzedawał *pounamu* i nie zamierzał tego robić, albowiem nie można wyznaczyć ceny za skarb, tak jak nie sposób kupić *mana* i dobić targu z bogiem. Złoto nie jest skarbem, o tym Tauwhare wiedział. Złoto było podobne do pieniędzy

w tym sensie, że nie miało pamięci i wciąż tylko podążało naprzód, oddalając się od przeszłości.

– Dobrze... Ale podasz mi rękę, co? – Balfour chwycił swoją moką dłońią suchą prawicę Tauwharego i potrząsnął nią energicznie. – Przyzwoity z ciebie człowiek, Ted... Przyzwoity człowiek.

Tauwhare nadal wyglądał jednak na mocno niezadowolonego i jak najszybciej wyrwał dłoń z uścisku Balfoura. Agent spedycyjny nagle pożałował swojego zachowania. Nie powinien robić sobie wroga z tego człowieka – nie teraz, kiedy jeszcze tyle należy w tej sprawie rozwiązać, pomyślał. Możliwe, że trzeba będzie później odwołać się do zeznań Tauwharego; prawdopodobnie Maorys zna stosunki łączące Crosbiego Wellsa i Francisa Carvera albo ich obu z Lauderbackiem, jeśli się nad tym bliżej zastanowić. Tak: lepiej go ułagodzić, może się jeszcze przydać. Balfour sięgnął do kieszeni. Na pewno ma jakieś drobne, da mu upominek. Maorysi lubią upominki. Znalazł szylinga i sześciopensówkę. Wyciągnął sześciopensówkę.

– Masz – powiedział. – Możesz to sobie wziąć, jeśli mnie nauczysz trochę po maorysku, tak jak uczyłeś Crosbiego Wellsa, co, Ted? Czyli ubijemy interes, tak jak chciałeś. Dobrze? Wtedy zostaniemy przyjaciółmi i nie będziesz mógł się na mnie skarżyć.

Wcisnął srebrną monetę w dłoń Tauwharego, który przyjrzał się sześciopensówce.

– A teraz powiedz mi – rzekł Balfour, zacierając rękę. – Co znaczy... Co znaczy Hokitika? Hokitika. Chodzi mi tylko o to jedno słowo. Powiedziałbym nawet, że to słona cena: sześć pensów za jedno słowo! Doskonała cena!

Te Rau Tauwhare westchnął. Hokitika. Znał znaczenie tej nazwy, ale nie był w stanie jej przełożyć. W przypadku maoryskiego i angielskiego często tak bywało: słowa jednego języka nigdy nie miały dokładnego odpowiednika w drugim, tak jak żadne ziło białego człowieka nie odpowiadało dokładnie *puha*, a żaden chleb białych właściwie nie przypominał *rewena pararoa*: jeśli nawet smak był podobny, to jedynie w przybliżeniu i zawsze trzeba było posiłkować się wyobraźnią, inaczej coś się traciło. Crosbie Wells to rozumiał. Te Rau Tauwhare nauczył go *korero*, w ogóle nie używając angielskiego: pokazywali sobie różne rzeczy palcami i robili odpowiednie miny, a kiedy Te Rau Tauwhare mówił coś, czego jego przyjaciel nie rozumiał, Wells pozwalał, by maoryskie dźwięki obmywały go niczym modlitwy, aż wreszcie znaczenia stawały się jasne i udawało mu się przejrzeć dane słowo.

– Hokitika – powiedział Balfour, ocierając z twarzy krople deszczu. – No mów, chłopie.

Tauwhare w końcu podniósł palec i zakreślił nim w powietrzu krąg, a kiedy dotarł do miejsca, od którego zaczął, wykonał ostry sztych, aby w ten sposób zaznaczyć miejsce powrotu. Pomyślał jednak, że człowiek nie może wyznaczyć żadnego punktu na kole, oznaczałoby to bowiem jego przerwanie, wtedy zaś koło przestałoby być kołem.

– Zrozum to tak – powiedział, żałując, że musi mówić po angielsku i opisać nazwę jedynie

w przybliżeniu. – W kółko. I z powrotem do początku.

Φ

W sobotę po południu w Banku Rezerw zawsze było pełno ludzi. Wszędzie stali poszukiwacze, trzymając w rękach złoto, chrzęściły szale wag, kiedy ważono i zapisywano ciężar kruszcu, młodszy urzędnicy biegali tam i z powrotem do archiwum, sprawdzali akty własności działek, pobierali podatki i przyjmowali opłaty. Wzdłuż ścian od strony ulicy stały cztery zakratowane boksy, w których siedzieli bankowcy. Nad nimi wisiała tablica w złożonych ramach, na której zapisywano, ile złota wpłynęło w danym tygodniu, ile pozyskano z każdego okręgu i ile dostarczono z okolic Hokitika. Za każdym razem, kiedy przyjmowano złoto na przechowanie albo je kupowano, urzędnik zmazywał liczby z tablicy i po chwili podawał nowy wynik. Zwykle towarzyszył temu pomruk uznania obecnych na sali, a czasami, kiedy równowartość w gotówce okazywała się niezwykle wysoka, rozlegały się rzęsiste brawa.

Gdy Balfour wszedł do banku, uwaga tłumu skupiona była nie na tablicy, lecz na długim, stojącym naprzeciwko niej stole, przy którym kupcy, łatwi do rozpoznania po jasnomiedzianych kabzach, noszonych na paskach od spodni, oglądali wystawiony na sprzedaż czysty kruszec. Kupujący pracowali powoli. Ważyli każdy samorodek w dłoni, drapali jego powierzchnię, sprawdzali, czy nie ma zanieczyszczeń, i przyglądali mu się przez lupę jubilerską. Jeśli złoto było płukane, filtrowali je przez trzciniowe sita, by sprawdzić, czy bryłki nie zostały uszkodzone przez piasek albo kamienie, a czasami rozsypywali garść błyszczących drobinek nad talerzami z rtęcią, żeby upewnić się, czy metale się przyciągają, tak jak powinny. Kiedy handlarz uznawał, że złoto jest czyste i można je wycenić, poszukiwacz, do którego należało, występował naprzód, a wtedy proszono go, by podał swoje nazwisko. Potem kalibrowano wagę, aby jej ramię zwisało równo nad blatem, następnie handlarz wsypywał złoto na szalę z lewej strony, na prawej zaś ustawiał kolejno owalne odważniki, aż wreszcie szale drgały, a ta, na której spoczywał majątek poszukiwacza, uwalniała się i unosiła.

Tego ranka w banku był tylko jeden handlarz – bogacz o wypomadowanych włosach, w bladej kurtce myśliwskiej i żółtym krawacie. Było to krzykliwe zestawienie i mogłoby nazbyt ryzykownie wskazywać, że jest człowiekiem zamożnym, gdyby prowadził interesy sam i bez ochrony. Ale na miejscu obecni byli także miejscowi strażnicy złota. Ta niewielka armia – uzbrojony, dziesięcioosobowy oddział piechoty – nadzorowała każdą transakcję kupna i sprzedaży złotego kruszcu. Następnie strażnicy przenosili złoto do opancerzonego wozu i pilnowali, by trafił bezpiecznie na morze. Stali za handlarzem i po obu stronach stołu, przy którym siedział. Każdy strażnik uzbrojony był w karabin Snider-Enfield kaliber 12 mm, czyli w masywną, lśniącą, najnowocześniejszą broń. Strzelała pociskami długimi jak palec dorosłego mężczyzny, zdolnymi roztrzaskać człowiekowi głowę na krwawą miazgę. Balfour podziwiał ten karabin, kiedy po raz pierwszy dostarczono go do miasta, ale na widok dziesięciu uzbrojonych ludzi w ciasnej sali ogarnęło go złe przeczucie. W środku było tak tłoczno, że wątpił, czy którykolwiek strażnik będzie miał dosyć miejsca, aby podrzucić

broń do ramienia, nie wspominając już o oddaniu strzału.

Przepchnął się wśród poszukiwaczy do boksów, w których siedzieli bankowcy. Mężczyźni w sali w większości byli tylko gapiami i rozstępowali się, żeby go przepuścić, dlatego Balfour bardzo szybko znalazł się przed zakratowanym boksem i stanął oko w oko z młodym człowiekiem w pasiastej kamizelce i fontaziu, starannie spiętym szpilką.

– Dzień dobry.

– Chciałbym się dowiedzieć, czy niejaki pan Francis Carver wykupił kiedyś pozwolenie na poszukiwanie kruszcu w Nowej Zelandii – powiedział Balfour. Zdjął kapelusz i ręką zaczesał mokre włosy do tyłu, co nie przyniosło mu żadnej widocznej korzyści, bo dłoń miał również mokrą i kosmyki przylepiły się do niej.

– Francis Carver... Kapitan Carver?

– Ten sam – odparł Balfour.

– Mam obowiązek zapytać, kim pan jest i dlaczego potrzebuje pan tej informacji.

Bankowiec mówił bez egzaltacji i łagodnym głosem.

– Ten człowiek jest właścicielem pewnego statku, a ja pracuję w branży spedycyjnej – odpowiedział gładko Balfour, wkładając z powrotem kapelusz. – Nazywam się Tom Balfour. Chcę rozkręcić nowy interes, handlować herbatą z Kantonu. Na razie jednak tylko się nad tym zastanawiam i pragnę wiedzieć o Carverze trochę więcej, zanim złożę mu ofertę współpracy. Chciałbym zdobyć informacje o tym, gdzie ulokował swój kapitał, czy kiedyś zbankrutował i tym podobne rzeczy.

– Może pan przecież sam zapytać o to pana Carvera – odpowiedział bankowiec tym samym pozbawionym agresji tonem, dlatego jego słowa nie zabrzmiały niegrzecznie, choć było w nich słychać sympatyczną niedbałość – jak gdyby urzędnik mijając na ulicy zepsuty wóz i rzucił całkiem uprzejmie, że ośkę da się naprawić w bardzo prosty sposób.

Balfour wyjaśnił, że Carver przebywa na morzu i nie ma z nim kontaktu.

To tłumaczenie chyba nie zadowoliło bankowca. Przyjrzał się Balfourowi i przyłożył palec do dolnej wargi. Najwyraźniej jednak nie mógł dłużej piętzyć kolejnych przeszkód i odmawiać spełnienia prośby petenta. Skinął głową, przyciągnął do siebie księgę rachunkową i wąskim, wyraźnym pismem sporządził w niej notatkę. Potem przyłożył do niej suszkę (Balfour pomyślał, że trochę niepotrzebnie, księga pozostała bowiem otwarta) i wytarł stalówkę kawałkiem miękkiej irchy.

– Proszę tu poczekać – powiedział.

Zniknął w niskich drzwiach, za którymi znajdował się jakby hol, i wkrótce wrócił, niosąc dużą, oprawną w skórę teczkę, opatrzoną na grzbiecie literą C.

Przyglądając się uważnie młodzieńcowi przez kraty, Balfour bębnił palcami, a urzędnik

rozluźnił zapinkę teczki i otworzył ją.

Jak bardzo różnił się ten młody człowiek od Maorysa, którego agent spedycyjny spotkał na ulicy! Mieli mniej więcej tyle samo lat, ale Tauwhare był umięśniony, spięty i dumny, a ten jegomość jak gdyby rozleniwiony – w jego ruchach było wręcz coś kociego. Poruszał się niby z obojętną rozkoszą, jakby nie widział powodu, żeby tracić siły na pośpiech, chociaż nie miał też po co ich oszczędzać. Był szczupły; długie, kręcone na końcach włosy o kasztanowym odcieniu związał tasiemką w koński ogon na karku, jak wielorybnik. Miał szeroką twarz i głęboko osadzone oczy, pełne wargi, bardzo krzywe zęby i dosyć duży nos. Te cechy sprawiały, że na jego obliczu malowała się zarówno szczerość, jak i nonszalancja – a nonszalancja jest formą elegancji, jeśli stawia wysokie wymagania rozmówcy i nie ujawnia źródła, z którego pochodzi. Dlatego Balfour uznał, że młody bankowiec jest bardzo elegancki.

– Proszę – powiedział w końcu urzędnik, pokazując palcem. – Widzi pan... Carswell, tutaj, a potem Cassidy. Pański człowiek nie figuruje w rejestrze.

– A zatem Francis Carver nie ma pozwolenia na poszukiwanie złota.

– Nie w Canterbury, nie. – Bankowiec zamknął teczkę z cichym, głuchym kłaśnięciem.

– A jeżeli wyrobił licencję w Otago?

– Obawiam się, że aby się tego dowiedzieć, będzie pan musiał pojechać do Dunedin.

Była to ślepa uliczka. W opowieści Lauderbacka złoto z kufra pochodziło (rzekomo, rzecz jasna) z Dunstan, czyli ze złoża w Otago.

– Nie przechowujecie danych poszukiwaczy z Otago? – zapytał rozczarowany Balfour.

– Nie.

– A jeśli Carver przyjechał tu z dokumentami wydanymi właśnie tam? Zostałby po tym jakiś ślad w rejestrze w komorze celnej? Z dnia jego przyjazdu?

– W komorze celnej nie – odparł bankowiec. – Ale jeśli Carver znalazł złoto, musiałyby je przed wyjazdem wycenić i zważyć. Nie wolno przewozić kruszcu do innej prowincji ani wywozić go z kraju, nie zgłaszając najpierw takiego zamiaru, wtedy więc przyszedłby do nas, a my poprosilibyśmy, żeby pokazał nam zezwolenie na poszukiwania. Potem zapisalibyśmy w tej księdze, że pracuje na podstawie dokumentów z Otago, ale na działce w Hokitika. A w tej księdze nic nie ma; dlatego zgodnie z tym, co powiedziałem przed chwilą, możemy bezpiecznie przyjąć, że pan Carver nie szukał złota nigdzie w okolicy. Czy robił to w Otago, nie mam pojęcia.

Bankowiec mówił z kontrolowanym niepokojem w głosie, charakterystycznym dla biurokraty, którego prosi się o to, żeby wyjaśnił petentowi jakiś przyziemny aspekt biurokratycznej maszyny, której sam jest częścią; jego niepokój był kontrolowany, albowiem urzędnikowi zawsze dodaje otuchy świadomość, że wie, o czym mówi, wynikał natomiast z tego, że konieczność udzielenia wyjaśnień wydawała mu się w jakiś nieokreślony sposób

dezawuować ten system, który go stworzył.

– W porządku – odpowiedział Balfour. – Jest jeszcze jedna sprawa. Chcę wiedzieć, czy Carver miał udziały w jakiejś spółce górniczej albo w prywatnej działce.

Łagodny wyraz twarzy bankowca zmącił grymas wątpliwości. Przez ułamek sekundy milczał i można było odnieść wrażenie, że znowu próbuje wymyślić jakiś powód, aby odmówić prośbie Balfoura, uznać ją za niecodzienną albo przycisnąć go i uzyskać odpowiedź na pytanie, dlaczego tak się tym interesuje. Zmierzył Balfoura łagodnym, lecz przenikliwym spojrzeniem – a agent spedycyjny, który zawsze czuł się zakłopotany, kiedy ktoś badawczo mu się przyglądał, nachmurzył się i zrobił wyjątkowo ponurą minę. Jednak podobnie jak wcześniej bankowiec zajął się obowiązkami, których spełnienia wymagało od niego zajmowane stanowisko. Znowu zapisał coś w księdze, wysuszył notatkę, a potem uprzejmie przeprosił Balfoura, albowiem musiał znów wyjść, by spełnić jego prośbę.

Gdy wrócił z listą akcji, wyraźnie wyglądał już na zmieszanego.

– Rzeczywiście, Francis Carver spekulował akcjami w tym okręgu. Trudno mówić o jakimś pakiecie akcji, chodziło tylko o jedną działkę. Wygląda na to, że była to umowa między osobami fizycznymi. Na jej podstawie Carver dostaje co kwartał pięćdziesiąt procent dochodu netto z tej właśnie działki.

– Pięćdziesiąt procent! – powiedział Balfour. – I tylko z jednej działki... To się nazywa pewnością siebie! Kiedy zakupił te akcje?

– W naszych dokumentach widnieje lipiec 1865 roku.

– Tak dawno! – Balfour nie krył zdumienia. (Pół roku temu! Ale to było już po sprzedaży „Z Bogiem”, czyż nie?) – A która to działka? Do kogo należy?

– Kopalnia nazywa się Aurora – odpowiedział bankowiec, bardzo starannie wymawiając tę nazwę. – Jej właścicielem i użytkownikiem jest...

– Emery Staines – skończył za niego Balfour, kiwając głową. – Tak, znam to miejsce. Leży wyżej, w okolicach Kaniere. Ależ to kapitalne wiadomości. Staines jest moim bliskim przyjacielem, a zatem pójdę i sam się z nim rozmówię. Dziękuję panu bardzo, panie...

– Frost.

– Wielkie dzięki, panie Frost. Szalenie mi pan pomógł.

Bankowiec spoglądał jednak na Balfoura z dziwnym wyrazem twarzy.

– Panie Balfour – powiedział – chyba pan jeszcze nie słyszał.

– Czy coś się stało Stainesowi?

– Tak.

Balfour zeszywniał.

– Nie żyje?

– Nie – odparł Frost. – Zniknął.

– Jak to? Kiedy?

– Przed dwoma tygodniami.

Balfour szeroko otworzył oczy.

– Przykro mi, że to ja muszę przekazać panu tę wiadomość... skoro jest pan jego bliskim przyjacielem.

Balfour nie zauważył zaczepnego tonu głosu bankowca.

– Zniknął! Przed dwoma tygodniami! I nikt nic nie mówi na ten temat? Dlaczego o tym nie słyszałem?

– Zapewniam pana, że wiele się o tym mówiło – odpowiedział Frost. – Od tygodnia publikowano codziennie w prasie ogłoszenie na ten temat w rubryce „Zaginieni”.

– Nigdy nie czytam ogłoszeń – stwierdził Balfour.

(Ależ tak, oczywiście: przez te ostatnie dwa tygodnie agent spedycyjny przebywał z Lauderbackiem, któremu ułatwiał kontakty na Zachodnim Wybrzeżu; nie chodził wieczorami do Koryntu, jak to miał w zwyczaju, by wypić kufel piwa z innymi członkami „świty obozowej”, gdy wymieniali lokalne wiadomości).

– Może mu się poszczęściło – Balfour zastanawiał się głośno. – Może w tym rzecz. Pewno Staines znalazł złotą żyłę gdzieś w buszu i nie chce tego rozgłaszać, dopóki nie wyznaczy granic swojej działki.

– Być może – odrzekł grzecznie bankowiec i nie chciał powiedzieć nic więcej.

Balfour przygryzł wargę.

– Zniknął! – powiedział. – Nie mogę tego zrozumieć!

– Ciekawe, czy ta wiadomość okaże się istotna dla pańskiego wspólnika – odparł Frost, wyglądając dłonią kartki otwartej księgi.

– A kim jest mój wspólnik? – zapytał z niejakim niepokojem Balfour, sądził bowiem, że bankowiec ma na myśli Alistaira Lauderbacka, którego nazwiska starał się nie wymieniać.

– Jak to? Pan Carver – odparł Frost, mrugając powiekami. – Pański przyszły wspólnik... Jak sam mnie pan przed chwilą poinformował, szanowny panie. Pan Carver prowadzi wspólne inwestycje z panem Stainesem, jeśli więc pan Staines nie żyje... – Bankowiec urwał, wzruszając ramionami.

Balfour zmrużył oczy. Frost zdawał się sugerować, wprawdzie niezbyt jasno, że Carver w jakimś sensie jest odpowiedzialny za zniknięcie Emery’ego Stainesa... chociaż nie miał na

to żadnych dowodów. Postawa urzędnika była całkowicie jasna, mimo że właściwie nie wyraził żadnej opinii, za którą można by mieć do niego pretensje. Z tonu jego głosu wynikało, że nie lubi Carvera, chociaż w tym, co mówił, kryło się też współczucie dla, być może, zmarłego. Balfour wyczuł w tej dwuznaczności tchórzostwo i omal nie wpadł w złość – ale wtedy przypomniał sobie, że przecież oszukuje urzędnika. Nie wchodzi w żaden interes z Carverem i nie musi go bronić w żadnej dyskusji.

Po chwili jednak młody Frost stłumił uśmiech na ustach i Balfour w nagłym przypiływie oburzenia zrozumiał, że młodzieniec z niego drwi. Ani przez chwilę nie uwierzył w jego bajeczkę! Wiedział, że Balfour nie wchodzi w żaden interes z Carverem i wymyślił to kłamstwo, aby ukryć prawdziwy cel swojej wizyty, potem zaś do obelżywego poniżenia dołożył jeszcze rozbawienie, gdyż zdemaskował Balfoura! Agentą spedycyjnego dotknęło to, że został zdekonspirowany, ale jeszcze bardziej to, że jest obiektem szyderstwa, w dodatku ze strony człowieka, który całymi dniami przesiaduje w boksie o powierzchni trzech stóp kwadratowych, podpisując czeki w imieniu swojego pryncypała. (Było to określenie, którego użył Lauderback, a Balfour podświadomie zapamiętał je i teraz wróciło do niego jako jego własne). Nagle, rozgniewany, pochylił się naprzód i chwycił kraty boksu.

– No dobrze – powiedział cicho. – Posłuchaj mnie pan. Nie będę współnikiem Carvera, tak jak i pan. Moim zdaniem ten człowiek to bandyta, oszust i tak dalej. Chcę go dopaść, do diabła. Muszę mieć na niego jakiś fingiel; coś, co mógłbym wykorzystać przeciwko niemu.

– Co to jest fingiel? – zapytał bankowiec.

– To głupie... Mniejsza o to – warknął Balfour. – Rzecz w tym, że szukam jakiegoś sposobu, żeby go dopaść. Oddać w ręce sprawiedliwości. Podejrzewam, że zagarnął sporą fortunę z cudzej działki. Wartą tysiące funtów. Ale to tylko przeczucie, a ja potrzebuję twardych dowodów. Muszę od czegoś zacząć, jasne? Ta historyjka o wspólnej inwestycji, którą panu przed chwilą sprzedałem, to kupa bzdur. Bzdury. – Gniewnie popatrzył na bankowca przez kraty. – No? – powiedział po chwili. – No i co?

– Absolutnie nic – odparł Frost. Uporządkował papiery na biurku i posłał Balfourowi zagadkowy uśmiech, który wykwitł na jego mocno zaciśniętych ustach. – To są pańskie sprawy. Mogę panu jedynie życzyć szczęścia, panie Balfour.

Φ

Wiadomość o zniknięciu Emery'ego Stainesa mocno wstrząsnęła Balfourem. Skrzynie przewozowe i szantaż to jedno, myślał, ale zniknięcie człowieka to zupełnie co innego. To poważna sprawa. Emery Staines był dobrym i o wiele za młodym poszukiwaczem złota, żeby umrzeć.

Balfour przystanął przed budynkiem sądu i przez chwilę głęboko oddychał. Grupa mężczyzn pod bankiem rozeszła się na lunch i nie było widać też Maorysa. Deszcz zelżał, zmienił się w uporczywy kapuśniaczek. Balfour rozglądał się po ulicy, nie bardzo wiedząc,

dokąd powinien pójść. Czuł się niebywale przygnębiony. Zniknął! – pomyślał. Ale przecież ludzie nie znikają tak po prostu! Widocznie chłopak został zamordowany. Nie było innego wytłumaczenia, skoro od dwóch tygodni nikt go nie widział.

Emery Staines był bez wątpienia najbogatszym człowiekiem na południe od „czarnych piasków”, czyli żyznych ziem rolnych, posiadaczem więcej niż kilkunastu działek, z których na kilku wydrążono szyby głębokie na co najmniej trzydzieści stóp. Balfour, który niezwykle podziwiał Stainesa, przypuszczał, że liczy on sobie dwadzieścia trzy albo dwadzieścia cztery lata – nie był na tyle młody, by nie zasłużyć na szczęście, ani na tyle stary, by można podejrzewać, że zdobył majątek w niezbyt uczciwy sposób. Zresztą prawdę mówiąc, tego rodzaju myśl nigdy nawet nie przyszła Balfourowi do głowy. Staines był przystojnym, dobrodusznym, szczerym i obiecującym mężczyzną, chociaż nigdy nie manifestował tych cech otwarcie; poza tym jawił się też jako człowiek z natury uprzejmy, optymistyczny i rozkosznie błyskotliwy. Już sama myśl o jego śmierci wydawała się okropna, a wyobrażenie sobie, że został zamordowany, było jeszcze gorsze.

W tym momencie dzwon w kaplicy wesleyańskiej wybił wpół do pierwszej, płosząc stado roztrzepotanych ptaków, które opuściły prymitywną dzwonnice i rozleciały się na wszystkie strony, ciemniejąc na tle nieba. Balfour, wsłuchując się w bicie dzwonu, nagle poczuł gwałtowny ból w skroni. Jego przytępione zmysły zaczynały się wyostrzać (na skutek działania alkoholu, który wypił dziś rano) i zdał sobie sprawę z ciężającej na nim odpowiedzialności za zaistniałą sytuację. Nie miał już ochoty zadawać nikomu pytań jako przedstawiciel Lauderbacka.

Otulił się płaszczem, odwrócił i ruszył w kierunku cypla Hokitika – było to miejsce, które traktował jak swój prywatny azyl. Lubił stać na piasku w paskudną pogodę, otulać się płaszczem i spoglądać w dal ponad kępą masztów stojących na kotwicy, kołyszących się zgodnym ruchem statków, poruszanych przez prąd rzeczny, morskie fale i wiatr; wyjąty tasmański wiatr, który zrywał korę z drzewa na brzegu, a także zginał i okaleczał krzewy. Balfour lubił wściekłą obojętność sztormów i odludne miejsca, bo właściwie nigdy nie czuł się samotny.

Kiedy zsunął się po błotnistym brzegu na nabrzeże, wiatr niespodziewanie ustał. Uśmiechając się, Balfour wbił wzrok we mgłę. Deszcz nie dawał żadnych szans, by można było zobaczyć jakiegokolwiek odbicie w szerokim ujściu rzeki – woda była szara i nieprzezroczysta niczym cynowy talerz. Gdy wiatr przycichł, rozchybotane maszty nieco zwolniły. Balfour przyglądał się im, a ich ciężkie kołysanie go uspokajało; w lewo, w prawo, w lewo, w prawo.

Nabrzeże zakręcało wokół ujścia rzeki, dochodząc do cypla – wąskiego palucha piasku, objanego z jednej strony przez białe fale otwartego oceanu, a z drugiej lizanego skłębionym nurtem rzeki, mieszającej się w tym miejscu ze słoną wodą i pozbawionej już złota. Tutaj, na spokojnej stronie cypla, od nabrzeża odchodziło krótkie molo. Balfour zeskoczył na nie, wylądował na płasko ustawionych stopach, a konstrukcja zadrżała pod jego ciężarem. Dwóch

sztauerów, równie przemoczonych jak on, siedziało na molo jakieś dwadzieścia stóp dalej. Drgnęli, usłyszawszy uderzenie, i odwrócili się.

– Czołem, chłopaki.

– Czołem, Tom.

Jeden z robotników trzymanym w ręku bosakiem o mosiężnym ostrzu próbował strącać mewy, nurkujące, aby zdobyć kolację na skałach poniżej, i teraz wrócił do tej próżniaczej zabawy. Drugi podliczał jej wyniki.

Balfour podszedł do robotników od tyłu i przez chwilę nikt się nie odzywał. Wszyscy patrzyli, jak zacumowane statki kołyszą się na boki, i mrużyli oczy, by przebić wzrokiem deszcz.

– Wiecie, na czym polega problem? – odezwał się po chwili Balfour. – Że tutaj każdy może zacząć życie od początku. Stać się nowym człowiekiem. A swoją drogą, czym jest przybrane nazwisko? Czym w ogóle jest nazwisko? Można je sobie wziąć, jak bierze się samorodek. Ten będzie się nazywać Wells... A tamten Carver...

Jeden ze sztauerów rozejrzał się wokół.

– Poróżniłeś się z Francisem Carverem?

– Nie, nie. – Balfour pokręcił głową.

– Z kimś nazwiskiem Wells?

Balfour westchnął.

– Nie... Nie poróżniliśmy się – powiedział. – Chcę się tylko dowiedzieć tego i owego, to wszystko. Ale po cichu... Ukradkiem.

Mewa wróciła. Sztauer zamachnął się na nią bosakiem, ale chybił.

– Mało żeś jej nie wbił haka w skrzydło – powiedział drugi. – Ta by była piąta.

Balfour zauważył, że robotnicy rzucili kwadratowy suchar na kamienie w dole.

Sztauer, który odezwał się pierwszy, skinął Balfourowi głową i zapytał:

– Chcesz dopaść Carvera czy tego drugiego?

– Ani jednego, ani drugiego – powiedział Balfour. – Nieważne. Nieważne. Nie poróżniłem się z Francisem Carverem, zapamiętaj to sobie.

– Zapamiętam – odpowiedział sztauer, a potem dodał: – Ale powiem ci tyle, że jeśli chcesz jakieś brudy na niego, i to po cichu, to powinienesz zapytać się naczelnika.

Balfour patrzył, jak kołująca mewa podfruwa coraz bliżej.

– Naczelnika? Sheparda? Dlaczego?

– Dlaczego? Bo Carver siedział u Sheparda – odparł sztauer. – Na wyspie Cockatoo, przez całe dziesięć lat. Roboty przymusowe. Kopał tam suchy dok, a Shepard go pilnował. Chcesz brudu na Carvera, to idę o zakład, że naczelnik Shepard ci go dostarczy.

– Na Cockatoo? – spytał z zainteresowaniem Balfour. – Nie wiedziałem, że Shepard był tam policjantem.

– A był. I potem, kiedy Carver zostaje zwolniony, Sheparda przenoszą do Nowej Zelandii, czyli że naczelnik jedzie za nim! To się nazywa mieć pecha.

– Gorszego już być nie może – przytaknął kolega sztauera.

– Skąd o tym wiesz? – spytał Balfour.

Sztauer zwrócił się do swojego kompana.

– Tej twarzy na pewno nie chciałbym zobaczyć nigdy więcej... Mojego strażnika więziennego, co to go widywałem codziennie przez dziesięć lat... No, a tu, kiedy tylko wychodzę na wolność...

– Skąd o tym wiesz? – nie ustępował Balfour.

– Terminowałem tam w porcie – odparł sztauer. – Hej, teraz trafiłem w dychę!

Właśnie dziabnął mewę bosakiem w grzbiet.

– Nie wiesz przypadkiem, za co go wsadzili? Co, chłopcze?

– Za kontrabandę – odparł natychmiast sztauer.

– Co przemycił?

– Opium.

– Jak to? Do Chin? Czy z Chin?

– Nie umiem powiedzieć.

– Ale kto go wsadził? Chyba nie królewscy?

Sztauer zastanawiał się, a potem wzruszył ramionami.

– Właściwie to nie wiem – powiedział. – Wydawało mi się, że to była jakaś historia z opium. Ale może tylko tak słyszałem.

Po chwili Balfour pożegnał robotników i poszedł dalej cyplem. Kiedy już się od nich oddalił, stanął na szeroko rozstawionych nogach i spojrzął na ryczący, biały ocean – ponad podnośnikami i rolkami powleczonymi smarem, ponad drewnianą latarnią morską na drugim czubku cypla i ponad ciemnymi kadłubami statków, które osiadły na mieliźnie.

– A więc tak! – mruknął do siebie. – To już jest coś... To już coś, doskonale! Czyli że Carver to musi być prawdziwe nazwisko! Nie mógłby używać przybranego, nie tutaj,

w Hokitika, pod nosem naczelnika, bo przecież odsiadywał u niego wyrok, siedział w jego więzieniu! – Balfour podkreślił wąsa. – Ale jest jedna zagadka. Dlaczego ten człowiek, na litość boską, twierdził, i to w dodatku na piśmie, że nazywa się Francis Wells?

SATURN W WADZE

Rozdział, w którym Joseph Pritchard wykłada swoją teorię spisku, George Shepard składa wyrachowaną propozycję, a Harald Nilssen niechętnie zgadza się odwiedzić Aha Quee'ego

W tym momencie rolę narratora przejął od Balfoura ktoś inny – a sam agent spedycyjny podkreślił ową zamianę, zapalając nowe cygareto, napełniając znów szklanekę i wołając z entuzjazmem: „Jeżeli gdzieś się pomyliłem, chłopcy, to sami powiedzcie, jak było!”.

Ten okrzyk skierowany został najwyraźniej pod adresem dwóch osób: siedzącego po lewej ręce Moody'ego Josepha Pritcharda, ciemnowłosego mężczyzny, którego zduszone, pełne napięcia milczenie, jak wkrótce przekonał się Moody, można było porównać jedynie z jego powolnym, stłumionym i pełnym napięcia sposobem mówienia, oraz do innego z obecnych, o którym nie mieliśmy jeszcze powodu wzmiankować.

Kiedy Moody pojawił się w palarni, człowiek ten grał w bilard, a Balfour z admiracją wskazał go cygarem i przedstawił jako Harald Nilssena, urodzonego w Christianii, a ostatnio mieszkającego w Bath, niepokonanego mistrza gry w tryszaka i diabła dobrego strzelca. Nilssen sprężyście pochylił się do przodu i aby ubarwić te pochwały, dodał, że posiada ładowany dolufowo muszkiet marki Enfield, najlepszą broń Imperium Brytyjskiego i jedyną, jakiej raczył kiedykolwiek dotknąć. Zarówno Pritchard, jak i Nilssen aż się palili, by złapać Balfoura za słowo – Nilssen z uwagi na próżność, nie mógł bowiem odgrywać jednej z głównych ról w żadnej sensacyjnej opowieści, nie będąc w niej jednocześnie głównym aktorem; Pritchard natomiast po prostu chciał być precyzyjny.

Dlatego zostawimy Thomasa Balfoura na molo, gdy stoi z rękami w kieszeniach i mrużąc oczy, wpatruje się w deszcz, zwrócimy nasze spojrzenie jakieś dwieście jardów dalej na północ i skupimy je na Dziedzińcu Aukcyjnym przy Nabrzeżu Gibsona – tam gdzie za mównicą widać niepomalowane drzwi z napisem „Nilssen & Co., Agenci Handlowi”, prowadzące do prywatnego gabinetu.

Z szacunku dla harmonii obracających się sfer czasu podejmiemy naszą opowieść dokładnie w chwili, w której przerwał ją Balfour – czyli w Hokitika, w sobotę, 27 stycznia, pięć minut na trzynastą.

Φ

W sobotę po południu Harald Nilssena można było zwykle znaleźć w jego biurze, gdy siedział przed stosem umów, testamentów oraz konosamentów i mniej więcej co dziesięć minut klepał się po kieszonce na piersi, by po raz kolejny wyciągnąć z niej srebrny zegarek. Wyczekiwał niecierpliwie pory lunchu, który spożywał codziennie, z medyczną systematycznością, w Niezrównanym. Nilssen polecał ten zwyczaj każdemu, kto chciał go słuchać, wierzył bowiem niezłomie w lecznicze właściwości ciemnego sosu, ciastek i angielskiego piwa; prawdę mówiąc, rekomendował je często i osobiście dawał przykład ku

pożytkowi ludzi niebędących takimi wizjonerami jak on. Czerpał wyjątkową przyjemność z dyskusji, pod warunkiem że należały do gatunku sporów absurdalnych i hipotetycznych, i wprost uwielbiał głosić rozmaite bezsensowne, abstrakcyjne teorie w niewielkim, ale oddanym kręgu znajomych, których dobierał według swojego gustu. Tę jego cechę umacniali w nim czule jego przyjaciele, uważający go za człowieka zabawnego i duszę towarzystwa; gardzili nią natomiast ludzie mu niechętni, którzy sądzą, że jest egzaltowany i egotyczny – ich głosy brzmiały jednak w uszach Nilssena niewyraźnie, a nie podejmował żadnych starań, żeby je lepiej usłyszeć.

Harald Nilssen słynął w Hokitika z elegancji. Tego popołudnia miał na sobie sięgający kolan frak z jedwabnymi kłapami w kolorze węgla, ciemnoczerwoną kamizelkę, szarą muszkę i pasiaste, kaszmirowe spodnie. Jego jedwabny kapelusz, wiszący teraz na wieszaku za biurkiem, był tego samego koloru co frak, a niżej stała laska ze srebrnym okuciem i wygiętą rączką. Kostiumu tego (albowiem Nilssen tak traktował swoje stroje: niczym kostiumy, które można wzbogacać dla lepszego efektu) dopełniała fajka z dużą, okrągłą główką i obgryzionym ustnikiem, chociaż jego miłość do niej wynikała nie tyle z rozkoszy palenia, ile z możliwości podkreślenia za jej pomocą swoich wypowiedzi. Często trzymał niezapaloną fajkę w zębach i mówił kącikiem ust niczym komik, wygłaszający jakąś kwestię na stronie. Odpowiadało mu to porównanie, albowiem jeśli był dumny ze swoich występów parodystycznych, to dlatego, że bardzo dobrze mu się udawały. Dzisiaj jednak mahoniowa główka fajki była ciepła, a Nilssen pykał z niej z niejakim zdenerwowaniem. Pora lunchu już minęła, ale nie myślał o swoim pustym brzuchu ani o rumianolicy barmance z Niezrówanego, która zwracała się do niego per Harry i zawsze zostawiała mu najlepsze kawałki zapiekanki. Agent handlowy spod zmarszczonych brwi spoglądał na żółtą fakturę leżącą na jego biurku. Nie był w biurze sam.

W końcu wyciągnął fajkę z ust, podniósł głowę, by spojrzeć w oczy człowieka, który siedział naprzeciwko niego, i odezwał się cicho:

– Nie uczyniłem nic złego. Nie naruszyłem prawa.

Mówił tylko z bardzo nieznacznym norweskim akcentem; po trzydziestu latach życia w Bath można było go właściwie wziąć za Brytyjczyka.

– Chodzi o to, kto na tym zyskuje – powiedział Joseph Pritchard. – Sędzia będzie szukał właśnie kogoś takiego. A zdaje się, że ty sporo zarobiłeś na śmierci tego człowieka.

– Najzupełniej legalnie sprzedając jego majątek! Podjąłem się tej transakcji, kiedy zmarły już spoczywał w ziemi!

– W ziemi... Ale był jeszcze ciepły, jak mi się wydaje.

– Crosbie Wells zapisał się na śmierć – powiedział Nilssen. – Nie było powodów, żeby wszczynać śledztwo. Nie znaleziono niczego podejrzanego. Był pijakiem i odludkiem, a kiedy otrzymałem dotyczące go papiery, wydawało mi się, że majątek okaże się niewielki. Nie miałem pojęcia o złotodajnej działce.

– Twierdzisz, że przypadkowo zrobiłeś dobry interes.

– Twierdzę, że nie naruszyłem prawa.

– Ale ktoś je naruszył – odpowiedział Pritchard. – Ktoś za tym stoi. Kto wiedział o tej działce? Kto wyczekał, aż Crosbie Wells znajdzie się sześć stóp pod ziemią, by sprzedać jego ziemię po cichu i tak szybko, że nawet nie wystawił jej na aukcję? Kto zawiadomił prasę? I kto podrzucił mu pod łóżko moje laudanum?

– Mówisz: podrzucił...

– Bo ktoś je tam podrzucił, nie inaczej – rzekł Pritchard. – Mogę na to przysiąc. Ja nie sprzedałem mu nigdy ani kropli. Mam pamięć do twarzy, Haraldzie. Nigdy nie sprzedałem Crosbiemu Wellsowi ani kropelki laudanum.

– No to jesteśmy w domu! Możesz to udowodnić! Pokaż swoje rejestry i rachunki...

– Musimy patrzeć dalej niż tylko na nasz udział w tej sprawie! – odpowiedział Pritchard. Kiedy mówił z pasją, ściszał głos, zamiast go podnosić. – Obu nas kojarzy się z tą historią. Jeśli cofniemy się odpowiednio daleko w przeszłość, znajdziemy jej autora. To wszystko układa się w całość.

– Sugerujesz, że ktoś to zaplanował?

Pritchard wzruszył ramionami.

– Wygląda mi to na morderstwo – powiedział.

– Raczej na spisek, mający na celu doprowadzenie do śmierci ofiary – poprawił go Nilssen.

– Co za różnica?

– Różnica leży w zarzutach. Jeżeli zostalibyśmy oskarżeni o zawiązanie spisku w celu zamordowania Crosbiego Wellsa, zostalibyśmy skazani za zamiar, a nie za czyn. Wiesz przecież, że Wells nie zginął z niczyjej ręki.

– Tak nam powiedziano – rzekł Pritchard. – Ma pan zaufanie do koronera, panie Nilssen? Czy sam pan weźmiesz szpadel w swoje ręce i wykopiesz ciało tego samotnika?

– Przestań, to okropne.

– Powiem ci tylko tyle: znalazłbyś więcej niż jedno ciało w tym grobie.

– Przestań, powiedziałem!

– Znalazłbyś w nim jeszcze Emery'ego Stainesa – ciągnął nieubłaganie Pritchard. – Co, u diabła, się z nim stało, jeśli nie został zabity? Myślisz, że rozpułynał się jak mgła?

– Oczywiście, że nie.

– Wells umarł, a Staines zniknął. Jeden w odstępie kilku godzin od drugiego. Dwa dni

później Wells zostaje pochowany... A gdzie najlepiej ukryć trupa, jeśli nie w cudzym grobie?

Joseph Pritchard zawsze doszukiwał się ukrytych motywów i podskórnej prawdy; spiski go urzekały. Formułował swoje sądy tak jak inni przypuszczenia, bo potrzebował wiary niczym powietrza i karmił swoje przekonania z niemal erotycznym zapałem nałogowca. A jego uniesienia obejmowały także samoocenę. Ilekroć coś mąciło wody umysłu Pritcharda, rzucał się w nie i płynął w dół, mocno i z premedytacją pracując nogami, jak gdyby chciał osiągnąć kamiennych głębin swoich mrocznych fantazji – jak gdyby chciał się utopić.

– To bezużyteczne domysły – powiedział Nilssen.

– Zostali pochowani razem – powiedział Pritchard i wyprostował się. – Założę się o swoje życie, że tak.

– Jakie znaczenie mają twoje przypuszczenia albo zakłady? – wypalił Nilssen. – Ty go nie zabiłeś. Nikogo nie zabiłeś. Za to morderstwo odpowiada ktoś inny.

– Ale ktoś bez wątpienia chce rzucić podejrzenie na mnie. I ktoś bez wątpienia zrobił z ciebie cholernego idiotę, bo zostałeś wystrychnięty na dudka!

– To jedynie pozory.

– Ława przysięgłych przywiązuje do nich wagę.

– Daj spokój – odezwał się dość słabym głosem Nilssen. – Nie myślisz naprawdę, że ława przysięgłych...

– Okaże się potrzebna? Nie bądź osłem. Emery Staines jest królem Hokitika, jakkolwiek dziwnie by to brzmiało. Jego nazwisko znają nawet ludzie, którzy nie potrafili rozpoznać komisarza policji, stojącego w szeregu pijaków podczas okazania. Nie ma najmniejszych wątpliwości, że śledztwo zostanie wszczęte. Będzie dochodzenie, nawet jeśli Staines spadł ze schodów i skręcił kark w obecności dwunastu świadków. Wystarczy cię dowodu, który połączy go ze sprawą Crosbiego Wellsa, czyli ciało Stainesa, bo je w końcu znajdą, i bum, już jesteś wplątany. Należysz do spisku. Stajesz przed sądem. I co wtedy powiesz na swoją obronę?

– Że nie jestem... Że nie należeliśmy do żadnego spisku...

Nilssen uległ jednak swojej bezsilności i urwał.

Pritchard nie przerywał milczenia, tylko wpatrywał się uporczywie i wyczekująco w swojego gospodarza. W końcu Nilssen podjął rozmowę, starając się wyrażać spokojnie i pragmatycznie:

– Nie wolno nam niczego ukrywać. Musimy sami zgłosić się do sędziego...

– I zaryzykować, że postawi nam zarzuty? – Pritchard jeszcze bardziej ściszył głos. – Człowieku, nawet nie wiemy, kto jeszcze jest w to wszystko zamieszany! Jeżeli Stainesa zamordowano... Posłuchaj, nawet jeśli nie wierzysz w resztę tego, co mówię, to musisz

przyznać, że jego zniknięcie w takiej chwili stanowi cholernie podejrzany zbieg okoliczności. Jeżeli go zamordowano, a przyjmijmy, że tak właśnie było, no to ktoś w mieście musi o tym wiedzieć.

Nilssen spróbował odpowiedzieć zadziornie.

– Ja na pewno nie będę stał obojętnie i czekał nie wiadomo na co, z pętlą na szyi...

– Nie proponuję, żebyśmy stali i czekali.

Agent handlowy lekko się przygarbił.

– Więc co mamy robić?

Pritchard wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Wspomniałeś o jakiejś pętli... No dobrze, to spróbuj zobaczyć, dokąd prowadzi jej koniec.

– Myślisz, że do tego bankowca?

– Do Charliego Frosta? Może.

Nilssen przybrał minę wyrażającą sceptycyzm.

– Charlie nie jest oszustem. Był równie zaskoczony jak wszyscy, kiedy wypłynęła sprawa tego skarbu.

– Zaskoczenie łatwo jest udawać. A ten jegomość, który kupił ziemię? Ten Clinch z hotelu Ruszt. Ktoś musiał dać mu cynk.

Nilssen pokręcił głową.

– Nie mogę w to uwierzyć.

– Może jednak powinieneś spróbować.

– Tak czy owak Clinch nie zyskuje na tym ani pensa, skoro wdowa zgłosiła roszczenia do spadku – odpowiedział Nilssen, marszcząc brwi. – To raczej nią powinieneś się martwić.

Pritchard jednak nie miał nic do powiedzenia o wdowie.

– Clinch nie zyskuje na tym ani pensa... Może nie po Crosbiem Wellsie – powiedział. – Zastanów się jednak nad tym: Staines puścił Clinchowi hotel Ruszt w dzierżawę, prawda?

– Do czego zmierzasz?

– Tylko do tego, że nikt nie żałuje śmierci wierzyciela.

Nilssen zrobił się czerwony na twarzy.

– Clinch nie odebrałby nikomu życia. Żaden z nich by tego nie zrobił. Charlie Frost? Daj spokój, Jo! On jest płochliwy jak mysz.

– Nie można sądzić po wyglądzie człowieka, do czego jest zdolny. A już na pewno nie można powiedzieć na podstawie wyglądu, czego się dopuścił.

– Takie spekulacje... – zaczął Nilssen, nie wiedział jednak, jaką formę powinien przybrać jego sprzeciw, i znowu popadł w milczenie.

Nilssen nie znał bliżej zaginionego poszukiwacza złota, Emery’ego Stainesa – chociaż gdyby go o to zapytano, odpowiedziałby coś wręcz przeciwnego, ponieważ miał skłonności do przyznawania się do bliskich znajomości, kiedy mu pochlebiały, a Staines był dokładnie tego rodzaju osobą, z którą chciałby pozostawać w zażyłości. Nilssen uwielbiał wszystko, co wzbudzało w nim zachwyty, a nic nie olśniewało go bardziej niż osobowość człowieka, którego ogromnie podziwiał. Emery Staines, młody i pewny siebie, był z samej swojej natury osobą budzącą zazdrość. Przywołując go teraz w pamięci, Nilssen musiał zgodzić się z Pritchardem, że potajemny i dobrowolny wyjazd Stainesa z Hokitika w środku nocy był wysoce nieprawdopodobny. Jego działki wymagały nieustannej opieki i nadzoru, a Staines zatrudniał ponad pięćdziesiąt osób – jego nieobecność kosztowałyby go zatem więcej niż kilka pensów, pomyślał Nilssen, a dług rósłby codziennie. Nie: Pritchard ma rację. Stainesa porwano albo – co było o wiele bardziej prawdopodobne – został zamordowany, a jego ciało dobrze ukryto.

Najnowsza plotka głosiła, że Emery’ego Stainesa widziano ostatnio na ulicy Revella, mniej więcej o zachodzie słońca 14 stycznia; szedł w kierunku południowym, w stronę swojego domu. Co się z nim stało potem, tego nie wiedział nikt. Następnego dnia o ósmej rano przyszedł do niego cyrulik, który zastał drzwi otwarte. Twierdził, że pościel na łóżku znajdowała się w nieładzie, jak gdyby ktoś w niej niedawno spał, chociaż kominiek był zimny. Wszystkie cenne przedmioty leżały natomiast nietknięte na swoim miejscu.

O ile Nilssen wiedział, Emery Staines nie miał żadnych wrogów. Był niezwykle pogodnym i otwartym człowiekiem i posiadał rzadki dar, dzięki któremu potrafił się zachowywać wielkodusznie, a zarazem skromnie. Dorobił się bogactwa i choć w Hokitika mieszkało wielu bogaczy, większość z nich okazała się znacznie mniej sympatyczna. Oczywiście młodzi krezusi należeli do niecodziennych wyjątków i może to właśnie wiek Stainesa wzbudził zawiść jakiegoś starszego mężczyzny, któremu się gorzej powiodło. Ale zawiść, myślał Nilssen, stanowiła dość słaby motyw morderstwa, jeśli, ma się rozumieć, Stainesa faktycznie zabito.

– Co mogłoby popchnąć kogoś do wejścia w zatarg ze Stainesem? – zapytał Nilssen. – Na pierwszy rzut oka widać, że ten chłopak ma szczęście... Jest jak król Midas.

– Szczęście nie jest cnotą.

– Czyli że zamordowano go dla pieniędzy?

– Zostawmy na chwilę sprawę Stainesa. – Pritchard pochylił się naprzód. – To ty zagarnąłeś sporą część fortuny Crosbiego Wellsa.

– Tak... Mówiłem ci już, że dziesięć procent – odpowiedział Nilssen, pochylając znowu

głowę nad leżącą przed nim na biurku żółtą fakturą. – To była prowizja od sprzedaży jego majątku, wiesz, ale teraz, kiedy wdowa zgłosiła prawo do spadku, umowa jest nieważna. Będę musiał zwrócić te pieniądze, bo majątku Stainesa nie należało sprzedawać.

Nilssen dotknął palcem brzegu faktury. Podpisał ten dokument oraz jego kopię dwa tygodnie temu przy tym samym biurku – i bardzo się obawiał, składając wówczas podpis. Sprzedaż majątku po zmarłych nigdy nie była dochodowym interesem w Hokitika, ale jego firma nie prosperowała i Nilssen był zdesperowany. Jakie to hańbiące (myślał wtedy), że przejechał pół świata tylko po to, żeby zobaczyć własne niepowodzenie – by walczyć jedynie o resztki ze stołu ludzi bogatszych i mających więcej szczęścia od niego. Nazwisko na rachunku – Crosbie Wells – nic dla Nilssena nie znaczyło. Z tego, co wiedział, Wells był po prostu samotnikiem, nieszczęsnym, znikowanym człowiekiem, który co wieczór upijał się do nieprzytomności i nie miał żadnych marzeń. Podpisując fakturę, Nilssen był rozgoryczony i wyczerpany nerwowo. Wiedział, że będzie musiał wypożyczyć konia, poświęcić cały dzień i pojechać... Dokąd? Do zapomnianej przez Boga i ludzi Doliny Arahura, by przejrzeć majątek pozostały po zmarłym, tak jak włóczęga przepatruje rynsztok w poszukiwaniu czegoś do zjedzenia.

A potem zaczął znajdować złoto w puszcze z mąką, w pudełku z prochem, w komorze na mięso, w miechach, w popękanej miednicy na starej umywalni – i wszędzie było lśniące, ciężkie i miękkie. Jego prowizja wyniosła nieco ponad czterysta funtów; po raz pierwszy w życiu był zamożny. Mógł się spakować i popłynąć do Sydney, mógł wrócić do domu, mógł zacząć wszystko od nowa, mógł się ożenić. Nie miał jednak czasu się tym nacieszyć, bo w dniu, kiedy wreszcie wypłacono mu prowizję, zjawiała się pani Wells, sprzedaż posiadłości została podważona w ciągu kilku godzin, wdowa zgłosiła swoje prawa do spadku, a majątek Wellsa przejął bank. Jeśli apelacja wdowy zostanie uwzględniona – a na pewno tak będzie – to Nilssen będzie zmuszony do zwrotu całej prowizji. Czterysta funtów! To więcej, niż wynosiły jego roczne dochody. Przebiegł palcem wzdłuż faktury i odczuł ukłucie wzburzenia. Zapragnął, jak już wiele razy w ubiegłym tygodniu, aby los zesłał mu kogoś, kogo mógłby obarczyć winą za swojego pecha.

Ale Pritchard kręcił głową: nie interesował go testament zmarłego ani konsekwencje prawne jego podważenia.

– Na razie dajmy temu spokój – powiedział. – Przypomnij sobie ten domek. Widziałeś skarb na własne oczy?

– Sam go znalazłem – odpowiedział Nilssen z nutą dumy w głosie i nieco uspokoił się na to wspomnienie. – Ach... Szkoda, że nie mogłeś tego zobaczyć... Gdybym przetopił go na złotą blachę, mógłbym nią pokryć cały stół bilardowy razem z nogami i w ogóle. Było ciężkie jak diabli. I takie błyszczące.

Pritchard się nie uśmiechnął.

– Mówiłeś, że to nie był złoty piasek ani samородki, mam rację?

Nilssen westchnął.

– Tak jest. Złoto zostało przetopione na sztabki.

– Przetopione – powiedział Pritchard, kiwając głową. – A do tego potrzeba odpowiedniego sprzętu i umiejętności. Więc kto był tym przetapiaczem? Chyba nie sam Wells.

Nilssen milczał. O tym nie pomyślał. Pewny siebie, arogancki sposób, w jaki Pritchard przedstawiał swoją argumentację, uważał za nieprzyjemny, musiał jednak przyznać, że aptekarzowi udało się już znaleźć kilka powiązań, które umknęły jego uwadze. Zaciągnął się dymem z fajki.

Nie wiedział za dobrze, jak wygląda praca na złotonośnych polach. Sam próbował szukać kruszcu tylko raz i to zajęcie wydało mu się okropne – musiał taszczyć wiadrami wodę z rzeki, żeby płukać piasek i opędzać się od komarów, które wchodziły mu pod kurtkę i przyprawiały o takie szaleństwo, że omal nie zaczynał podrygiwać. Potem bolały go plecy i piekły palce, a stopy miał obrzmiałe i opuchnięte jeszcze przez kilka dni. Na tę szczyptę złotego piasku, który uniósł ze sobą, zawiązaną w chusteczkę, nakładano kolejne podatki, po czym okazało się, że waży zaledwie drobny ułamek uncji, przyniosła mu więc w końcu pięć brudnych szylingów i niesamowite rozczarowanie, bo taka suma ledwo wystarczyła na pokrycie kosztów wynajmu konia oraz podróz do wąwozu i z powrotem. Więcej nie kusił szczęścia. Z natury był i chciał być człowiekiem renesansu, sprawiającym obiecujące wrażenie we wszystkim, czego się imał; jeśli nie udało mu się opanować takiego czy innego rzemiosła za pierwszym podejściem, rezygnował z dalszych prób. (Nie brakowało mu w tej kwestii poczucia humoru i często wspominał tamten krótki epizod w wąwozie Hokitika, wyolbrzymiając doznane niewygodę i wyśmiewając się bez troski ze swojej delikatnej konstytucji fizycznej – lecz taka interpretacja była zarezerwowana wyłącznie dla niego i Nilssen wstydził się, kiedy ktoś inny oceniał go, by tak powiedzieć, z tej samej perspektywy albo gdy się z nim zgadzał).

Teoria, którą przedstawił mu Joseph Pritchard, do pewnego momentu wyglądała całkiem logicznie. Ktoś – być może więcej niż jedna osoba – musiał wiedzieć o fortunie ukrytej w posiadłości Crosbiego Wellsa. Okazała się ona zbyt duża, a sprzedaż nieruchomości odbyła się zbyt ukradkowo i szybko, by można odrzucić taką ewentualność. Co więcej, fiołka laudanum, znaleziona w bezpośredniej bliskości ciała zmarłego, wydawała się wskazywać, że ktoś – być może ten sam człowiek – przebywał w domku tuż przed śmiercią samotnika albo zaraz potem, zapewne w niecznych zamiarach. Ampułka została zakupiona w aptece Pritcharda i nosiła etykietę z jego własnoręcznym podpisem – a zatem jej posiadacz był najprawdopodobniej mieszkańcem Hokitika, który podążał na północ, w stronę miasta, a nie kimś obcym, znajdującym się w drodze na południe. Takie założenie wykluczało udział w sprawie owych dygnitarzy, którzy pierwsi odkryli zwłoki Wellsa i przynieśli wiadomość o jego śmierci do miasta.

Nilssen osobiście nie uważał, żeby Pritchard miał słuszość, podejrzewając nabywcę posiadłości, Edgara Clincha, oraz bankowca Frosta. Nie przypuszczał, by oni maczali palce

w morderstwie Emery'ego Stainesa, ale wydawało mu się, że Clinch zapewne dostał od kogoś poufną wiadomość, skoro kupił domek i ziemię Wellsa w takim pośpiechu, i musiał o niej wiedzieć także Charlie Frost. Nilssen mógł się też zgodzić, że dla bezstronnego obserwatora jego rola w tej sprawie, chociaż odegrana całkowicie niewinnie, wygląda niewątpliwie podejrzanie. W końcu to on znalazł złoto, odnotował w swoim rejestrze obecność fiołki laudanum wraz z innymi rzeczami osobistymi Wellsa (Nilssen przygotowywał spis wszystkich przedmiotów, które można było sprzedać) i to on zarobił na tej transakcji czterysta funtów.

Jednak poza takimi refleksjami (a były to ostatecznie jedynie niepozbawione wątpliwości przypuszczenia i impresje) Nilssen niczego więcej nie był pewien. Pritchard argumentował, że do zniknięcia Emery'ego Stainesa nie doszło przypadkowo, była to jednak zaledwie hipoteza. Aptekarz dowodził, że Staines został zamordowany, ale to były tylko jego domysły. Sugerował, że ciało młodego bogacza pochowano w grobie Wellsa, co znowu było wyłącznie domniemaniem – i wreszcie wysunął tezę, że zamieszanie prawne wokół posiadłości Wellsa zostało zaplanowane jako coś w rodzaju zasłony dymnej w celu zmylenia tropów; to zaś, pomyślał Nilssen, to już po prostu czysta fantasmagoria. Pritchard nie potrafił wytłumaczyć, w jaki sposób laudanum znalazło się pod łóżkiem Wellsa, nie umiał też podać motywów ani wskazać prawdopodobnego podejrzanego... a jednak Nilssen nie mógł całkowicie odrzucić jego hipotez, chociaż bardzo nie podobał mu się sposób, w jaki aptekarz je przedstawia.

Nilssen nie podzielał jego ekstatycznych uniesień, dotyczących zgłębiania tajemnic: poszukiwanie prawdy nie było dla niego taką obsesją jak dla jego gościa. Pritchard robił się bardzo dziwny, gdy opowiadał o swoich zainteresowaniach, o eliksirach, które warzył i których sam kosztował w swoim piwnicznym laboratorium, jak również o żywicach i proszkach, które kupował i sprzedawał w słojach z mlecznego szkła. Jest w nim coś zimnego i bezdusznego, myślał Nilssen, przekształcając swoją nieprzychylność w estetyczny niesmak, co często mu się zdarzało.

W końcu – w aurze irytacji, którą tworzył wokół siebie zawsze, gdy cudza argumentacja ujawniała braki w jego własnej – agent handlowy wyciągnął fajkę z ust i powiedział:

– No tak... Może Wells miał jakiegoś znajomego w banku. Killarneya... albo kogoś z Kompanii...

– Nie. – Pritchard trzepnął dłonią w biurko i rozczapierzył palce. Czekał, aż Nilssen się pomyli, i miał już przygotowaną replikę. – To robota Chińczyka. Założę się o każde pieniądze. Chińska świątynia w Kawarau zawsze była pełna ludzi bez zezwoleń, którzy pożyczali sobie licencje na wydobywanie. Wiesz, wszyscy Chińczycy są do siebie tak podobni, że nikt ich nie rozróżnia, podobnie jak ich nazwiska, kiedy wymawia je obcokrajowiec, nie-Chińczyk. W Chinatown wszyscy pracują na czarno. Gdyby to była sprawka Kompanii, wyglądałoby to...

– Czyściej? – zapytał z nadzieją w głosie Nilssen.

– Przeciwnie. Kiedy człowiek musi zatrzeć po sobie ślady... Kiedy musi skorzystać z wejścia dla domokrażców zamiast z drzwi frontowych, jak zwykle, to powinien się

zabezpieczyć, ponieść pewne ofiary. Rozumiesz? Człowiek z wewnątrz jest zmuszony liczyć się z pionkami... Ze wszystkimi elementami układu. A człowiek z zewnątrz może od razu chwycić byka za rogi.

Nilssen wyjątkowo nie znosił właśnie tego rodzaju powiedzonek. Ponownie spojrzął na fakturę.

– Kuźnia w Chinatown – powiedział Pritchard. – Zapamiętaj sobie moje słowa. Piece obsługuje tam tylko jeden facet. Nazywa się Quee.

– Porozmawiasz z nim? – zapytał Nilssen.

– Właściwie miałem nadzieję, że ty to zrobisz. Ja chwilowo pozostaję w konflikcie z Chińczykami.

– Wolno zapytać dlaczego?

– Och... Po prostu interesy źle idą. Tajemnice handlowe. Opium – powiedział Pritchard. Odwrócił dłoń grzbietem do dołu i pozwolił jej osunąć się na kolano.

Nilssen zmarszczył brwi.

– Sprowadzasz opium z Chin?

– Dobry Boże, nie – powiedział Pritchard. – Z Bengalu. – Zawahał się na chwilę. – To raczej spór natury osobistej. Z powodu tej dziwki, która o mało nie umarła.

– Z powodu Anny – stwierdził Nilssen. – Anny Wetherell.

Pritchard nachmurzył się. Nie chciał wypowiadać jej nazwiska. Odwrócił głowę i przyglądał się, jak pod okapem na okiennych szybach gromadzą się pęczniejące krople deszczu.

Zanim zaskoczony Nilssen znów się odezwał, wpadło mu do głowy, że może aptekarz ją kocha: Annę Wetherell, dziewczkę. Rozwagał tę ewentualność i cieszył się nią. Dziewczyna była niesamowita – poruszała się ze znużoną, morderczą ospałością, jak urażony łąbędź – ale miała zbyt wybuchowy charakter jak na kobietę, co nie bardzo mu się podobało. Natomiast jej uroda (prawdę mówiąc, Nilssen nie nazwałby Anny piękną; piękno rezerwował dla dziewcz i aniołów) wydawała mu się nazbyt szykowna jak na jego gust. Poza tym Anna była palaczką opium; jego nadużywanie dawało się zauważyć na twarzy dziewczyny w postaci nieustannego grymasu, a w jej zachowaniu jako bezgraniczne zmęczenie. Już samo uzależnienie narkotykowe było dosyć nieprzystojne, a teraz Anna podjęła jeszcze próbę samobójczą. Tak, pomyślał Nilssen, to właśnie jest taka dziewczyna, w której Pritchard mógłby się zakochać. Spotykałiby się w ciemnościach, a ich randki odbywałyby się gorączkowo i byłyby z góry skazane na niepowodzenie.

Tu agent handlowy się mylił, chociaż jego domysły zawsze miały charakter samospełniającej się przepowiedni. Wybierał takie dowody, które najlepiej odpowiadały jego

poczuciu przyzwoitości, a z drugiej strony trzymał się zasad, których słuszności najłatwiej było dowieść. Często mówił o cnocie, dlatego wydawał się człowiekiem o krzepiących i optymistycznych poglądach, lecz jego wiara w cnotę terminowała u mniej giętkiego mistrza niż optymizm. Kredyt zaufania, że użyjemy tego popularnego zwrotu, można było dostać albo nie, a Nilssen nazbyt pysznił się swoim intelektem, aby oddawać się w szpony jakichkolwiek hipotez. Wyobrażał sobie, że kryształowe formy wysokiej abstrakcji zostały powleczone ochronną emalią; uwielbiał się im przyglądać i zachwycać ich połyskiem, ale nigdy nie myślał, by zdjąć je z rzeźbionej, dębowej półki i poczuć w dłoniach ich przyjemną fakturę. Do wniosku, że Pritchard kocha się w Annie, doszedł po prostu dlatego, że miło mu było się nad tym zastanowić, zbadać ten przypadek z bliska, a następnie powrócić do przekonania, które żywił przez cały czas: że Pritchard to dziwny człowiek, Anna jest stracona i nigdy nie wolno się zakochiwać w dziewczynach.

– Tak, no właśnie – mówił Pritchard. – Rozumiesz, wściekli się. Żółtek, który prowadzi tę jaskinię hazardu w Kanierie... Nazywa się Ah Sook... Poszedł do Toma Balfoura, kiedy dziewczyna się rozchorowała. Był bardzo zmartwiony, rozumiesz. Powiedział Tomowi, że chce przejrzeć moją dokumentację i sprawdzić ostatnią dostawę.

– Dlaczego nie przyszedł bezpośrednio do ciebie? – spytał Nilssen.

Pritchard wzruszył ramionami.

– Pewnie myślał, że coś kombinuję – odparł.

– Sądził, że ją otrujęś? Z premedytacją?

– Tak. – Pritchard pochylił głowę.

– I co powiedział Tom? – spytał Nilssen, żeby sprowokować go do odpowiedzi.

– Pokazał moją dokumentację Ahowi Sookowi. Udowodnił, że jestem czysty.

– Papiery masz w porządku?

– Tak – uciał Pritchard.

Nilssen zauważył, że obraził gościa, i odczuł dreszczyk nieprzyzwoitej przyjemności. Zaczynał odrzucać tezę, że obaj zostaną uznani za spiskowców, jeśli (albo kiedy) ewentualne morderstwo Emery'ego Stainesa wyjdzie na jaw – bo wydało mu się, że Pritchard jest o wiele bardziej zaplątany w tę aferę niż on. Nilssen nie miał i nie chciał mieć nic wspólnego z opium. Ten narkotyk był trucizną, plagą i zmieniał ludzi w głupców.

– Słuchaj – powiedział Pritchard, kładąc dłonie na blacie biurka – musisz skłonić tego całego Quee'ego, żeby z tobą pogadał. Sam bym się tym zajął, gdybym mógł. Próbowałem w kasynie, ale Sook nie chce mnie widzieć. A ten Quee jest w porządku. To przyzwoity jegomość. Zapytaj go o ten skarb – czy to jego złoto, a jeżeli tak, to w jaki sposób znalazło się w domku Wellsa. Możesz tam pójść dzisiaj po południu.

Nilssena drażniło to, że Pritchard rozkazuje mu w ten sposób.

– Nie rozumiem, dlaczego sam nie możesz porozmawiać z Quee’em, skoro to nie z nim się poróżniłeś.

– Jestem w kropce. Powiedzmy, że muszę siedzieć cicho.

Nilssen w duchu powiedział coś innego.

– Co, u licha, mogłoby skłonić cholernego kitajca, żeby ze mną rozmawiał? – zapytał już na głos, w końcu ratując się impertynencją, i odsunął żółtą fakturę na bok.

– Ty przynajmniej nie jesteś dla nich stroną w sporze – odpowiedział Pritchard. – Chyba nie dałeś żadnemu z nich powodów, by mieli sądzić inaczej?

– Znaczy żadnemu obywatelowi Państwa Niebieskiego, czyli Chin? – Nilssen pyknął z fajki. Prawie cały jego tytoń zmienił się już w popiół. – Nie.

– „Ah” wymawia się jak A: Ah Quee. „Ah” znaczy u nich „pan”. – Pritchard urwał na chwilę, przyglądając się Nilssenowi, a potem dodał: – Pomyśl o tym w ten sposób: jeżeli nas ktoś wrabia, to być może jego też.

Jeszcze nie skończył, kiedy rozległo się pukanie do drzwi. Był to urzędnik, który przyniósł wiadomość, że w poczekalni czeka George Shepard.

– George Shepard, naczelnik więzienia? – zapytał Nilssen z lekkim drżeniem w głosie, rzucając szybkie spojrzenie Pritchardowi. – Powiedział, czego chce?

– Mówił, że chodzi o korzystny interes, zyskowy dla obu stron – odparł urzędnik. – Mam go wprowadzić?

– Pójdę już – powiedział Pritchard i natychmiast wstał. – Więc znajdziesz go? Tego Quee’ego? Powiedz, że tak.

– Mam jechać aż do Kaniere? – zapytał Nilssen, myśląc o swoim lunchu i barmance w Niezrównanym.

– To tylko godzina piechotą – odpowiedział Pritchard. – Ale upewnij się, czy rozmawiasz z odpowiednią osobą. Ten, którego szukasz, to gość niski, bardzo szczupły, gładko ogolony. Poznasz jego domek po kominie, który wieńczy kuźnię. Będę czekał na wiadomość od ciebie... – I z tymi słowy aptekarz wyszedł.

Φ

Gabinet Nilssena wydawał się za mały, żeby pomieścić zgiętego w sztywnym, powitalnym ukłonie potężnego George’a Sheparda. Agent handlowy mimo woli lekko odchylił się do tyłu na krześle, ale chcąc zamaskować ten odruch, gwałtownie wstał, wyciągnął rękę do gościa i zawołał:

– Pan Shepard! Tak, tak, proszę. Nie miałem jeszcze przyjemności współpracować

z szanownym panem... Lecz żywię prawdziwą nadzieję, że będę się mógł na coś przydać... W najbliższej przyszłości... Jeśli mi pan pozwoli. Proszę siadać.

– Ja pana oczywiście znam – odparł Shepard, przyjmując zaoferowane mu krzesło.

Widząc, że Nilssen pali, sięgnął do kieszeni po swoją fajkę. Nilssen podsunął mu kapciuch z tytoniem i sztormowe zapalniczki, po czym zapadła krótka cisza, kiedy Shepard nabił fajkę wrzosem o płytce główce, ubił tyton i zapalił zapalniczkę. Między ustnikiem a cybuchem fajkę naczelnika ozdobił elegancki, bursztynowy kołnierzyk. Shepard pociągnął z niej kilkakrotnie, aż uznał, że tyton dobrze się rozpałił, po czym rozparł się na krześle, rzucając teatralne spojrzenie najpierw na lewo, a potem na prawo, jak gdyby chciał się przekonać, czy siedzi symetrycznie w stosunku do płaszczyzn pokoju.

– Ze słyszenia – dorzucił, należał bowiem do ludzi, którzy zawsze kończą rozpoczętą wypowiedź, kiedy już zaczną myśleć. Wypuścił dym z ust. – Ten jegomość, który właśnie wyszedł – powiedział. – Jak on się nazywa?

– Jo Pritchard, szanowny panie... Joseph. Prowadzi aptekę na ulicy Collingwooda.

– Oczywiście.

Shepard urwał, zastanawiając się, jak ma przedstawić sprawę, z którą przyszedł. Białe światło dnia, padające na biurko Nilssena pod kątem, unieruchamiało kłęby fajkowego dymu, który wisiał nad jego głową, zatrzymując wszystkie wijące się serpentynami nitki w powietrzu, tak jak kamień kwarcu przechowuje i eksponuje kręte żyłki złota. Nilssen czekał. Jeżeli zostanie skazany, więzić mnie będzie ten człowiek, myślał.

Nominacja George'a Shepada na stanowisko naczelnika więzienia w Hokitika nie napotkała większego sprzeciwu ze strony ludzi, którzy mieszkali na terenach, gdzie sięgała jego władza, i prowadzili tam poszukiwania złotego kruszcu. Shepard był człowiekiem zimnym i budzącym respekt. Poruszał się powoli, co wydawało się nieustannie podkreślać szerokość jego barów i ciężar ramion. Chodził długimi, stawianymi z namysłem krokami, a kiedy się odzywał (co zdarzało się rzadko), przemawiał głębokim, majestatycznym basem. Był ponurakiem i w ogóle nie dawał się lubić, lecz w jego zawodzie surowość jawiła się jako cnota i wyborcy zgadzali się co do tego, że nigdy nie zarzucono mu braku obiektywizmu ani stronniczości.

Jeśli Shepard był obiektem bezzasadnych plotek, to opierały się one wyłącznie na domniemaniach i niemal zawsze dotyczyły jego relacji z żoną. Ich życie małżeńskie wydawało się przebiegać w całkowitym spokoju, z ponurą determinacją ze strony Shepada i lękliwą nieśmiałością ze strony jego małżonki. Sama mówiła o sobie „pani George”, i to wyłącznie szeptem. Jej twarz nosiła zdeorientowany, wystraszony wyraz umęczonego zwierzęcia, które widzi pręty klatki tam, gdzie ich nie ma, i przypada do ziemi na każdy gwałtowny ruch. Pani George rzadko ośmielała się wychodzić poza drzwi więzienia, nie licząc nieczęstych demonstracji posłuszeństwa obywatelskiego, kiedy czerwona na twarzy, dreptała po ulicy

Revella śladem naczelnika Sheparda. Dopiero po czterech miesiącach od chwili ich zamieszkania w Hokitika mieszkańcy dowiedzieli się, że pani Shepard ma własne imię – Margaret – chociaż użycie go w jej obecności traktowała jako tak okropną napastliwość, że nie widziała innego wyjścia poza ucieczką.

– Przychodzę do pana w interesach, panie Nilssen – zaczął Shepard, trzymając główkę fajki w zaciśniętej dłoni na wysokości piersi. – Nasze obecne więzienie nie jest wiele lepsze od zagrody. W mieszkaniu mam za mało światła i powietrza. Żeby je wywietrzyć, uchylamy drzwi na łańcuchu, a ja siadam za progiem z karabinem na kolanach. Tak dalej być nie może. Brakuje nam także środków, by radzić sobie z... co bardziej doświadczonymi przestępcami. I co bardziej wyrafinowanymi przestępstwami. Takimi jak, powiedzmy, morderstwo.

– Nie... tak, tak – odpowiedział Nilssen. – Oczywiście.

Nastąpiła pauza, po czym Shepard kontynuował:

– Jeżeli wybaczy mi pan pesymistyczne nastawienie, moim zdaniem nadchodzą gorsze czasy dla Hokitika. Miasto znalazło się w momencie przełomu. W górach wciąż panuje prawo poszukiwaczy złota, a tutaj... Cóż, nadal jesteśmy tylko zapleczem Canterbury, wkrótce staniemy się jednak klejnotem w jego koronie. Westland się podzieli, a Hokitika rozkwitnie, ale kiedy zacznie się rozwijać, w mieście trzeba będzie zaprowadzić ład.

– W jakim sensie?

– Będziemy musieli pogodzić dzicz z cywilizacją – odparł Shepard.

– Ma pan na myśli tubylców? Plemiona maoryskie?

Nilssen powiedział to z niejaką porywcznością, żywił bowiem romantyczne upodobanie do tego, co nazywał życiem plemiennym. Kiedy mocne łodzie Maorysów przepływały szybko przez Wąwóz Bullera – widywał je z daleka – pogrążał się w pełnym grozy zachwycie. Wojownicy wydawali mu się straszni, ich kobiety nieodgadnione, a obyczaje przerażające i prymitywne. Fascynacja Nilssena bliższa była strachu niż szacunku, chętnie jednak do tego strachu powracał. Prawdę mówiąc, pierwszy impuls, żeby popłynąć do Nowej Zelandii, Nilssen odczuł w trakcie przypadkowego spotkania z pewnym doświadczonym marynarzem w przydrożnej karczmie w pobliżu Southampton, który chełpił się (nieco na wyrost, jak się potem okazało) swoją znajomością prymitywnych ludów z mórz południowych. Marynarz ów był Holendrem i nosił krótką kurtkę, tak zwaną biodrówkę. Handlował żelaznymi gwoździami, które wymieniał na orzechy kokosowe. Pozwalał wyspiarskim kobietom kłaść ręce na swojej białej piersi i raz podarował małemu tubylcowi węzeł żeglarski. („Jaki węzeł?”, dopytywał Nilssen, pochylając się ku Holendrowi; była to ósemka, której Nilssen nie znał, dlatego marynarz nakreślił palcem w powietrzu jej spleciony, kwietny kształt).

Ale Shepard pokręcił przecząco głową w odpowiedzi na pytanie Nilssena.

– Nie używam słowa „dzicz” w odniesieniu do tubylców – powiedział. – Mam na myśli tę ziemię. Poszukiwanie złota to paskudne zajęcie, bo wykonujący je człowiek zaczyna myśleć

jak złodziej, a tutejsze warunki są na tyle podłe, że kopacze popadają w jeszcze większą desperację.

– Ale sam proces wydobywania kruszcu można uszlachetnić.

– Być może... Kiedy zabraknie złota w rzekach. Kiedy zamiast poszukiwaczy będziemy mieli tamy, włóki i kopalnie firmowe... Kiedy wykarczujemy lasy... może wtedy.

– Nie wierzy pan w siłę władzy? – Nilssen zmarszczył brwi. – Wie pan, że Westland dostanie wkrótce mandat w parlamencie?

– Widzę, że nie wyrażam się dość jasno – odpowiedział Shepard. – Pozwoli pan, że zacznę jeszcze raz?

– Bezwzględnie.

Naczelnik odezwał się natychmiast, nie zmieniając ułożenia ciała ani tonu głosu:

– Kiedy mamy do wyboru dwa kodeksy prawne, człowiek zawsze będzie stosował jeden z nich przeciw drugiemu – powiedział. – Weźmy kogoś, kto uważa, że jest słuszne i sprawiedliwe wnieść skargę do sądu przeciwko swojej dziewczynie, spodziewając się, że prawo zadziała, nie tykając przy tym jego osoby. Sąd jednak odmawia rozpatrzenia sprawy, a może nawet stawia skarżącemu zarzut utrzymywania stosunków z tą dziewczyną, i teraz ten człowiek ma pretensje zarówno do wymiaru sprawiedliwości, jak i do niej. Prawo nie odpowiada za poczucie sprawiedliwości poszukiwacza złota, mężczyzna więc sam wymierza sprawiedliwość i dusi dziewczynę. Dawniej rozstrzygnąłby ten konflikt od razu, używając pięści. Takie było prawo poszukiwaczy. Dziewka zginęłaby albo uszła z życiem, ale tak czy owak poszukiwacz działałby na własną rękę. Dziś jednak... dzisiaj kopacz czuje się całkowicie uprawniony, by wskazać, że sprawiedliwość mogła zostać wystawiona na szwank, i podejmuje działania, opierając się na tej przesłance. Ma dwa powody do gniewu, a jego wściekłość znajduje dwa różne ujścia. Przykłady takich zachowań widzę codziennie.

Shepard rozsiadł się wygodniej i ponownie włożył fajkę do ust. Był spokojny, ale bardzo uważnie wpatrywał się w gospodarza swoimi bladymi oczami.

Nilssen nigdy nie tracił okazji, by wysunąć jakieś własne przypuszczenie.

– Tak, ale idąc za pańskim tokiem rozumowania, domyślam się, że chyba nie proponuje nam pan przyjęcia prawa poszukiwaczy złota?

– Prawo kopaczy jest zarówno filisterskie, jak i niegodziwe – odpowiedział spokojnie naczelnik Shepard. – Nie jesteśmy dzikusami, tylko ludźmi cywilizowanymi. Nie uważam, że nasze prawo jest ułomne, chciałbym tylko zwrócić uwagę na to, co się dzieje, kiedy dzikus spotyka cywilizowanego człowieka. Cztery miesiące temu więźniowie i więźniarki osadzeni w moim zakładzie byli pijakami i drobnymi złodziejaskami. Dzisiaj widzę pijaków i drobnych złodziei, którzy wyrażają swoje oburzenie i mniemają, że mogą mówić o sprawiedliwości, jak gdyby zostali skazani niesprawiedliwie. I jest w nich złość.

– Ale... jeszcze raz... żebyśmy doszli do jakiegoś wniosku – odezwał się Nilssen. – Jeżeli dziwka została uduszona, a poszukiwacz dał już upust swej wściekłości, to przecież prawo przypuszczalnie wtedy powraca, aby potępić zabójcę? I chyba w końcu zostaje on sprawiedliwie ukarany?

– Jeżeli wokół zbiorą się kompani tego człowieka, by bronić jego praw poszukiwacza złota, to nie – odparł Shepard. – Każdy trzyma się swojego kodeksu praw najmocniej wtedy, kiedy zostaną one naruszone, panie Nilssen, a nie ma nic brutalniejszego na tym świecie niż banda rozwścieczonych mężczyzn. Pracuję w więzieniu od szesnastu lat.

Nilssen odchylił się na oparcie krzesła.

– Tak – powiedział. – Rozumiem, do czego pan zmierza. Niebezpieczeństwo stanowi ów przypominający zmierzch albo świt moment przejściowy między starym i nowym światem.

– Musimy pozbyć się starego świata – zdecydował Shepard. – Nie będę tolerował dziwek ani mężczyzn, którzy je odwiedzają.

Autobiografii Sheparda – która gdyby została kiedyś napisana, byłaby sztywna, pełna upomnień i oszczędna w słowach – brakowało tego niezbędnego rozdziału, w którym młody bohater szaleje, bawi się na całego i zaczyna błędzić, bo od dnia ślubu naczelnik nie widział w swojej wyobraźni nic poza nieco kanciastą postacią pani George, której zwyczaje były mu tak znane i przebiegały z taką regularnością, że mógłby nastawiać zegarek według jej rytmu dnia. Jego zachowanie było zawsze nienagane i z tej przyczyny Shepard miał niewielkie zdolności empatyczne. Profesja Anny Wetherell nie interesowała go ani trochę, a poza tym nie miał żadnych czułych ani wstydliwych wspomnień z dzieciństwa, które zmiękczyłyby jego serce na myśl o niuansach jej rzemiosła. Patrząc na nią, widział jedynie cały katalog nierozważnych czynów, swawolne usposobienie i poważny brak nadziei na przyszłość. To, że dziwka może targnąć się na swoje życie, nie wydało mu się niczym nadzwyczajnym ani smutnym – w tym konkretnym przypadku zapewne uznałby zgon za litościwe zrządzenie losu. Ostatecznie życiem panny Wetherell kierowała wola opiumowego smoka: narkotyki będący sługą skretyniałego króla, Anna zaś była gotowa do końca strzec jego tronu pełnymi zazdrości oczami.

Chcąc oddać sprawiedliwość naczelnikowi, trzeba powiedzieć, że z siedmiu cnót kardynalnych skłaniał się ku czterem. Był dobrze zaznajomiony z chrześcijańską doktryną miłosierdzia, ale traktował ją tylko jako artykuł wiary, który należy studiować i któremu trzeba być posłusznym. Nie mamy zamiaru deprecjonować jego wyznania, twierdząc, że miłosierdzie jest darem, o który człowiek musi sam najpierw poprosić, by wiedzieć, jak go potem dawać innym – a naczelnik Shepard nigdy w życiu nie odczuwał potrzeby, żeby o ten dar prosić. Modlił się za duszę panny Wetherell jak za wszystkich ludzi podległych jego władzy, lecz modlitwy naczelnika stanowiły raczej wyraz jego obowiązkowości niż nadziei. Wierzył, że dusza zamieszkuje ciało, a w związku z tym jego zbezczeszczenie to zamach na duszę. Jeśli miarę tak pryncypialnej teologii przyłożyć do zwykłej dziwki, jej ocena może wypaść tylko

mocno niekorzystnie, a Anna Wetherell była jedną z najbardziej niedożywionych, zmalretowanych i nieszczęśliwych kobiet, jakie Shepard kiedykolwiek widział. Nie chciał jej potępienia, chociaż w duchu wierzył, że nie może być zbawiona.

Życie panny Wetherell oraz metoda, jaką chciała je ostatecznie zakończyć, nie interesowały Sheparda, podobnie jak walory cielesne dziewczyny. Pod tym względem naczelnik różnił się od większości mężczyzn w Hokitika, którzy (o czym siedem godzin później Gascoigne miał wspomnieć Moody'emu) przez dwa tygodnie nie rozmawiali właściwie o niczym innym. Kiedy wyczerpali temat jej ducha, rzucili się na ciało i dzięki temu mogli dyskutować o dziewczynie przez długi czas.

Fajka Nilssena zgasła. Postukał główką o blat, żeby opróżnić ją z popiołu, a potem zaczął ponownie nabijać fajkę tytoniem.

– Moim zdaniem Alistair Lauderback chce zmian – powiedział, rozwiązując wolną ręką rzemyki kapciucha. – Oczywiście, będzie mógł je przeprowadzić tylko pod warunkiem, że zostanie wybrany.

Shepard nie odpowiedział od razu.

– Śledził pan przebieg kampanii?

Zajęty kapciuchem Nilssen nie zauważył wahania naczelnika. Kiedy Shepard wszedł, Nilssen obawiał się swojej reakcji, a nawet miał się na bacności, należał jednak do ludzi, którzy rzadko trwają w zakłopotaniu. Prawnicze teorie Sheparda pobudziły i zadowolily jego intelekt, znów poczuł się zatem w pełni panem swego rozumu. Czasochłonne rytuały towarzyszące nabijaniu fajki – rozwiązywanie cienkich, sfatygowanych rzemyków, wciąganie kwaskowego zapachu tytoniu – jak gdyby uporządkowały jego doznania zmysłowe.

– Oczywiście – odparł, nawet nie podnosząc wzroku. – Codziennie czytałem jego przemówienia, i to niezwykle uważnie. Lauderback bawi teraz w Hokitika, prawda?

– Tak – potwierdził Shepard.

– Moim zdaniem wejdzie do parlamentu – powiedział Nilssen, rozcierając w palcach szczyptę tytoniu. – Wspiera go „Czas Lyttelton”.

– Pan ceni Lauderbacka?

– Jego propozycje to tunele i kolej, prawda? – Nilssen chciał się upewnić. – Postęp, cywilizacja i takie rzeczy. A zauważyłem, że pański sposób myślenia ładnie pasuje do tego, co głosił Lauderback w czasie kampanii wyborczej. – Zapalił zapałkę.

Shepard chciał odpowiedzieć, a potem się zawahał.

– Nie mam w zwyczaju wyłuszczać swoich poglądów politycznych w cudzym gabinecie, jeżeli nie zostanę o to poproszony, panie Nilssen.

– Och... No to proszę – odezwał się Nilssen uprzejmie, potrząsając zapałką, żeby ją

zgasić.

– Za pozwoleniem, powiem jednak tylko to, co następuje – rzekł poblady Shepard, kiwając swoją wielką głową. – Ja również sądzę, że Lauderback dostanie mandat posła i zostanie gubernatorem. Przemawia za nim silna osobowość. A poza tym o charakterze i umiejętnościach Lauderbacka oczywiście dobrze świadczą jego związki z palestrą oraz radą prowincji.

– No i byłaby to dla niego reelekcja, rzecz jasna – wpadł mu w słowo Nilssen, który bardzo często miał w zwyczaju wyłuszczać swoje poglądy polityczne w cudzych gabinetach i na chwilę zapomniał, że pozwolił gościowi powiedzieć to, co myśli. – Jest już znany.

– Jest znany... W swoich kręgach – powiedział Shepard. – Pozostaje lojalny wobec Canterbury, a jego tunele i koleje, żeby wykorzystać pańskie sformułowanie, to tunel Lyttelton i planowana linia kolejowa między Christchurch i Dunedin. Jako gubernator wpompuje brakujące jeszcze fundusze w ten tunel i w tę linię kolejową... Musi to zrobić, ma się rozumieć, żeby dotrzymać obietnic złożonych w czasie kampanii.

– Może pan mieć rację co do tego, że zostanie gubernatorem, ale czy również parlamentarzystą? Będzie reprezentować Westland...

– Lauderback kandyduje z Westlandu tylko ze względu na swój elektorat – odpowiedział Shepard. – Nie mam o to do niego pretensji... Dostanie mój głos, panie Nilssen... Ale Lauderback nie zna życia poszukiwaczy złota.

Nilssen zrobił taką minę, jak gdyby znów chciał mu przerwać, toteż Shepard parł dalej, lekko podnosząc głos.

– I teraz dochodzę do kwestii, która skłoniła mnie do rozmowy z panem. Otóż uzyskałem poparcie komisarza w sprawie rozpoczęcia prac nad nowym więzieniem, z dala od Miasteczka Policyjnego, na terasie na północ od miasta. Pamięta pan, że drogę do Hokitika wytyczyła kiedyś kompania skazańców? Zamierzam teraz postąpić tak samo: wykorzystam pracę rąk moich osadzonych, aby zbudować nowe więzienie na terasie Pejzaż Morski.

Ten pomysł odpowiadał poczuciu sprawiedliwości Nilssena, który w odpowiedzi uśmiechnął się do naczelnika.

– Jednak jak już pan zauważył – ciągnął Shepard – Alistair Lauderback skupia się na komunikacji. Przemawiając przed radą, zaproponował wykorzystanie więźniów do pracy nad budową i utrzymaniem drogi do Christchurch. Szlak przez Alpy ciągle jest zdradliwy i nie nadaje się dla konnych jeźdźców, a tym bardziej dla powozów.

– Czy to gubernator ma ostatnie słowo w tej kwestii? – spytał Nilssen. – Czy nie jest tak, że więźniów może zatrudnić jedynie pan?

– Niestety – odrzekł Shepard. – Ja mogę ich tylko przetrzymywać za kratami.

Wszedł pracownik Nilssena, niosąc kawę na drewnianej tacy. Był mocno poruszony, bo

jego chlebodawca nieczęsto miewał gości, a nigdy nie przyjmował tak zagadkowych i kontrowersyjnych osób jak Pritchard (słynący z tego, że handluje opium) albo Shepard (znany ze swojej żony). Urzędnik starannie ustawił dzbanek z kawą i spodeczki na tacy, którą niósł wysoko, zgiąwszy ręce w łokciach i sztywno wyprostowany. Nilssen skinął głową z aprobatą – w tej firmie nie było zwyczaju, żeby pracownicy usługiwali szefowi, ale Nilssen ucieszył się z efektu, jaki ten widok musiał zrobić na gościu.

Urzędnik postawił tacę na kredensie i zaczął nalewać kawę. Miał nadzieję, że Nilssen i Shepard podejmą rozmowę na nowo jeszcze podczas jego obecności w pokoju, próbował więc łać płyn powoli i odczuł wyrzuty sumienia, widząc drobinki cykorii, dodane do kawy ze względu na oszczędność, które teraz, powleczone ohydłą warstewką piasku, wydawały się go ostrzegać, że może się to wszystko źle dla niego skończyć.

Siedzący z tyłu Shepard odezwał się:

– Nawiasem mówiąc, panie Nilssen... Co panu wiadomo o Emerym Stainesie?

Na chwilę zapadła cisza.

– Wiem, że gdzieś przepadł – odparł Nilssen.

– Przepadł, tak. Nie widziano go od prawie dwóch tygodni. To bardzo dziwne.

– Nie znam go dobrze – rzekł Nilssen.

– Nie?

– To tylko mój znajomy, ale nie przyjaciel.

– Ach.

Nilssen sprawiał takie wrażenie, jak gdyby miał zaraz odkaszląć, po czym wybuchnąć:

– Skończyłeś już, Albercie?!

Urzędnik odstawił dzbanek z kawą.

– Czy mam zostawić tacę, proszę pana?

– Tak, tak... Idź już. – Nilssen, biorąc z rąk urzędnika filiżankę, wylał niewielką ilość kawy na spodeczek, po czym hałaśliwie postawił naczynie przed sobą. Drugą filiżankę Albert próbował podać Shepardowi, który nawet po nią nie sięgnął, tylko bez słowa wskazał biurko.

– Powiem bez ogródek – rzekł Shepard, kiedy rozczarowany urzędnik zamknął za sobą drzwi. – Zamierzam rozpocząć pracę nad więzieniem natychmiast, jeszcze przed wyborami, żeby budowa trwała już na dobre, kiedy Lauderback obejmie swój urząd. Zdaję sobie sprawę, że z boku może się wydawać, jakobyem podejmował te starania po to, aby zniwelować sukces jego kampanii, ale przychodzę prosić pana o pomoc jako przedsiębiorcę. I o dyskrecję.

– Czego panu potrzeba? – spytał ostrożnie Nilssen.

– Materiałów budowlanych. I może dziesięciu albo dwudziestu zdrowych ludzi, którzy mogliby zabrać się już do wykopów fundamentowych – odpowiedział Shepard, sięgając do kieszonki na piersi. – Mogę zaproponować panu taką prowizję, jaką otrzymuje pan standardowo. Ziemia pod budowę została już zakupiona, a lokalizacja oficjalnie zaakceptowana. Oto projekt architektoniczny.

– To oryginał? Czy kopia? – Nilssen wziął papiery z potężnej dłoni Shepada i rozłożył je.

– Oryginał. Nie ma żadnej kopii – odpowiedział Shepard. – Oczywiście zawsze noszę te dokumenty przy sobie.

– Oczywiście – zgodził się z nim Nilssen, sięgając po binokle.

– Przychodzę do pana jedynie po części dlatego, że ma pan opinię osoby kompetentnej – ciągnął Shepard – zamiast iść do Cochran, Morrisona czy jakiegoś innego pańskiego konkurenta, który aktualnie, proszę mi wybaczyć, radzi sobie nieco lepiej w interesach niż pan.

Nilssen podniósł wzrok.

– Proszę pozwolić, że będę mówił szczerze – rzekł Shepard. – Wiem, że to krępujące, spróbuję więc wyłożyć rzecz możliwie najdelikatniej. Otóż doszły mnie słuchy, że od sprzedaży posiadłości pana Crosbiego Wellsa otrzymał pan prowizję w wysokości aż kilkuset funtów.

Nilssen drgnął, ale Shepard podniósł rękę, żeby go uspokoić.

– Proszę się nie tłumaczyć, zanim mnie pan wysłucha – powiedział naczelnik. – Powiem wszystko, co wiem. Ciało tego człowieka spoczywało przed pochówkiem w Miasteczku Policyjnym, a ponieważ zmarły nie miał żadnej rodziny ani przyjaciół, czuwaliśmy nad zwłokami na terenie więzienia. Dostałem smutnego zaszczytu dokonania oględzin zwłok i byłem obecny, kiedy lekarz sprawdzał, czy Wells nie odniósł jakichś obrażeń. Doktor Gillies doszedł do wniosku, że przyczyną śmierci był alkohol, a ja, który znam się na tych sprawach tylko trochę, mogłem jedynie zgodzić się z jego oceną. Gillies starannie zbadał jednak również treść żołądka i jelit zmarłego, która zawierała nie tylko resztki jedzenia i alkohol, ale i ślady laudanum, chociaż nie było go tyle, żeby wzbudzić niewczesne podejrzenia. Nie wierzę, że Crosbie Wells został otruty, i uważam, że jedyną trucizną, jaką spożył tego dnia, był alkohol.

Jeszcze zanim skończyliśmy czuwanie przy zwłokach, ziemia i tartak Wellsa zostały sprzedane. Jak pan wie, ziemię odzyskał bank, który odsprzedał ją niemal natychmiast niejakiemu panu Edgarowi Clinchowi. Wprawdzie transakcja ta była całkowicie legalna, ale to jednak ciekawe, że posiadłość tak szybko przeszła z rąk do rąk. Rozumiem, że wezwano wtedy pana, żeby opróżnił pan domek i sprzedał rzeczy osobiste zmarłego, za co miał pan otrzymać wynagrodzenie proporcjonalne do wartości majątku. Przyjął pan to zlecenie i szybko odkrył dużą ilość złota (Gdzie było ukryte? W pojemniku na mąkę?), wycenionego w sumie na cztery tysiące funtów. W sam raz „na bilet do domu”, jak mawia się w tych stronach. Z kolei pan, panie Nilssen, powinien był zainkasować swoją prowizję, która w tej sytuacji równała

się naprawdę sporej kwocie. Sprawa skomplikowała się jednak, kiedy na łód w Hokitika zeszła wdowa po Wellsie, po czym ujawniła swoją tożsamość. Spóźniła się o tydzień na pogrzeb męża, ale nie było za późno, żeby oprotestować sprzedaż jego majątku, jak również wszystkie transakcje, do których doszło później w wyniku tej sprzedaży.

Jak już mówiłem, nie wierzę, aby Crosbie Wells został otruty. Nie wierzę też jednak, że zgromadzone w jego domku złoto należało do niego, a tym bardziej do wdowy. Przyjazd wdowy po Wellsie dodaje niezwykłości tej historii, która jak na mój gust i bez tego jest już dość osobliwa. – Naczelnik zamilkł na chwilę. – Czy powiedziałem do tej pory coś, o czym pan już wie albo co uważa pan za nieprawdę? Nie musi pan odpowiadać na to pytanie, jeśli pan nie chce.

– Zamierza mnie pan szantażować? – zdołał wykrztusić Nilssen.

– Absolutnie nie. Ale zgodzi się pan ze mną, że sprawa pachnie znową albo spiskiem.

– Tak. Zgadzam się.

– Nie jestem detektywem i wyznaję, że nie mam żadnych skłonności do takiego działania. Nie dbam prawie wcale o to, ile pan wie. Muszę jednak zbudować nowe więzienie i jestem pewien, że obaj mamy sposobność na tym zyskać.

– Proszę mi ją przedstawić, szanowny panie.

– Wdowa po Wellsie zgłosiła apelację, żeby oprotestować sprzedaż majątku po swoim zmarłym mężu – powiedział Shepard. – Oczywiście, zanim jej wniosek zostanie rozpatrzony, minie kilka miesięcy, a tymczasem pieniądze będą spoczywać na przechowaniu w banku. Spodziewam się, że ostatecznie sprzedaż zostanie unieważniona, a jeśli nie dojdzie do odkrycia jakiegoś większego spisku, wdowa przejmie na własność także męzowski skarb. Nawiasem mówiąc, w ciągu kilku ostatnich miesięcy miałem przyjemność kilkakrotnie gawędzić z Crosbiem Wellsem, który na pewno nigdy nie wspominał, że jest żonaty, ani mnie, ani nikomu innemu, z kim zdarzyło mi się rozmawiać.

Nilssen oczami wyobraźni ujrzał kota, który schował pazury i trąca łapą jakiegoś małego gryzonia. Nie był winowajcą – nie uczynił nic złego – a jednak miał poczucie winy. Czuł się w coś wplątany, jak gdyby dopuścił się jakiegoś strasznego zła przez sen i stwierdził po przebudzeniu, że jego materac jest umazany krwią. Był pewien, że naczelnik może go zdemaskować w każdej chwili, chociaż nie wiedział jeszcze, jaką zbrodnię popełnił. Jakiego to określenia użył Pritchard? Że obu ich „kojarzy się” z tą historią. Tak... Nilssen boleśnie odczuwał, że tak właśnie jest.

Jako młody chłopiec ukradł kiedyś cenny guzik z pełnej skarbów szkatułki, należącej do jego kuzyna. Był to mosiężny guzik od mankietu kurtki mundurowej, na którym wygrawerowano biegnącego, zwinnego lisa z otwartym pyskiem i postawionymi uszami. Guzik był wypukły i bardziej zaśnieżony z jednej strony, jak gdyby jego właściciel lubił gładzić krawędź palcem i z biegiem czasu zmatowił błyszczącą ozdobę. Kuzyn Magnus miał

krzywicę i pałakowate nogi. Było wiadomo, że niedługo umrze, nie musiał więc dzielić się swoimi zabawkami z innymi dziećmi. Nilssen jednak tak bardzo pożałował guzika, że pewnej nocy, kiedy Magnus spał, podkraść się do szkatułki, otworzył ją i przywłaszczył sobie upragniony skarb. Przez pewien czas chodził po ciemnym pokoju dzieciennym, ważył na dłoni skradziony przedmiot, gładził lisa palcem i czuł, że mosiądz robi się cieplejszy od jego dotyku – aż wreszcie coś go naszło, niezupełnie wyrzuty sumienia, ale jak gdyby narastające zmęczenie, pustka, odłożył zatem guzik tam, skąd go wziął. Kuzyn Magnus nigdy się o niczym nie dowiedział. Nikt się nie dowiedział. Jednak przez długie miesiące, lata, a nawet dziesięciolecia, jeszcze długo po śmierci kuzyna Magnusa, ta kradzież tkwiła w sercu Nilssena niczym drzazga. Widział pokój dziecienny w świetle księżyca za każdym razem, kiedy wymawiał imię swojego kuzyna. Rumienił się niby to bez powodu, a czasami szczypał się albo przeklinał, kiedy wracało do niego to wspomnienie. Albowiem chociaż człowieka sądzi się po jego czynach, po tym, co powiedział i jak postąpił, to on sam sądzi się po tym, co byłby gotów zrobić, powiedzieć lub uczynić – jest to jednak osąd nieprecyzyjny, nie tylko z uwagi na zasięg i granice jego wyobraźni, lecz także ze względu na nieustannie zmieniającą się ocenę własnych wątpliwości i szacunku do samego siebie.

– W moim przekonaniu nadejdzie co najmniej kwiecień, zanim sprzedaż zostanie skutecznie unieważniona – mówił Shepard z tą samą niezmaconą powagą jak przedtem. – Proponuję, żeby w tym czasie, a właściwie natychmiast, zainwestował pan całą swoją prowizję w budowę mojego więzienia.

Nilssen ze zdumieniem uniósł brwi.

– Ale to nie są moje pieniądze – powiedział już po raz drugi tego popołudnia. – Prowizja została mi cofnięta de iure, choć jeszcze nie de facto, lecz kiedy apelacja zostanie rozstrzygnięta na korzyść wdowy, a sprzedaż posiadłości unieważniona, będę musiał oddać wszystko co do grosza.

– Rada okręgu może zafundować panu oprocentowaną pożyczkę na tę kwotę – zauważył Shepard. – Ostatecznie więzienie powstanie z funduszy publicznych, kiedy dostanie więc pan wezwanie do zwrotu prowizji, wyjmę pieniądze z banku i oddam je panu. Spiszemy umowę i będzie pan mógł postawić swoje warunki. Pańska inwestycja jest bezpieczna.

– Skoro macie pieniądze publiczne, to po co w ogóle proponuje mi pan coś takiego? – spytał Nilssen. – Po co wam te czterysta funtów?

– Dysponuje pan gotówką, która zostanie zainwestowana prywatnie – odparł Shepard. – Rada zaakceptowała fundusze na budowę, ale jeszcze ich nie wypłaciła, dlatego zanim je podzielą na kolejne transze i wpłacą na konto więzienia, będę musiał czekać, aż trzydziestu bankowców przesunie moją umowę na trzydziestu biurkach najpierw w jedną, a potem w drugą stronę. Wtedy przyjdzie marzec albo kwiecień i będzie już po wyborach.

– I Lauderback dostanie swoich więźniów – powiedział Nilssen.

– Tak, a poza tym do tego czasu przepuści jeszcze więcej pieniędzy z budżetu okręgu.

– Doskonale – rzekł Nilssen. – Przypuśćmy, że się zgodzę i dostanie pan swoje więzienie. Ale była mowa o tym, że obaj będziemy mieli z tego korzyści.

– No tak – odparł Shepard, mrugając powiekami. – Bo pan dostanie pracę, panie Nilssen. Otrzyma pan standardową prowizję od robocizny, żelaza, drewna, gwoździ i wszystkich innych tego rodzaju drobiazgów. Legalny zysk, oto jakie będzie pan miał korzyści.

Nilssen nie mógł temu zaprzeczyć (z pewnością minęło sporo czasu, odkąd dostał zlecenie pachnące podobnym zarobkiem), ale sposób, w jaki Shepard złożył mu tę propozycję, wielce go niepokoił. Naczelnik użył słowa „morderstwo” i uznał je za zbrodnię „wyrafinowaną”; zczekał na Alberta, żeby mieć świadka, kiedy pytał o Emery’ego Stainesa, a z kolei gdy opowiadał o sprawie Wellsa, odegrał przedstawienie, by mu nie przerywano, albowiem bał się, że Nilssen zapłacze się w zeznaniach, mówiąc za dużo albo za szybko – to zaś oznaczało, że sądził, iż Nilssen naprawdę miałby się z czego tłumaczyć. Traktował gospodarza jak winnego.

– A jeśli odrzucę pańską ofertę? Co wtedy?

Shepard rozsunął usta w uśmiechu, co rzadko mu się zdarzało, więc efekt tego grymasu okazał się dość makabryczny.

– Uparł się pan uznać moją ofertę za szantaż – odpowiedział. – Nie rozumiem dlaczego.

Nilssen nie był w stanie wytrzymać spojrzenia naczelnika przez dłuższy czas.

– Udzielę panu pożyczki i zaoferuję swoje usługi – rzekł w końcu cichym głosem, przysuwając do siebie projekt architektoniczny. – Niech pan będzie tak dobry i zaczeka chwilę, a ja sporządzę w tym czasie listę potrzebnych materiałów budowlanych.

Shepard pochylił głowę i w końcu sięgnął po filiżankę kawy, stygnącej przed nim na biurku. Z wielką ostrożnością wziął do ręki spodeczek. Porcelana w jego ogromnej łapie wydawała się niebywale krucha, jak gdyby zaraz miał zacisnąć pięść i jednym ruchem zgnieść naczynie. Wypił kawę, po czym odstawił filiżankę dokładnie w to samo miejsce, które zajmowała przedtem. Następnie włożył fajkę z powrotem do ust, skrzyżował ręce na piersi i czekał. W gabinecie słychać było tylko nierytmiczne skrobanie pióra Nilssena.

– Wypiszę panu czek w poniedziałek rano – odezwał się w końcu Nilssen, notując ostatnią kwotę. – W poniedziałkowej gazecie możemy dać ogłoszenie, że poszukujemy statku transportowego. Informację wyślę bezpośrednio do Löwenthala. Zasugeruję, żeby robotnicy spotkali się tutaj, na Dziedzińcu Aukcyjnym, punktualnie o dziesiątej, by można było wciągnąć ich na listę. Przy okazji będą mogli przeczytać gazetę i puścić w obieg wiadomość o budowie. Jeśli pogoda pozwoli, w poniedziałek po południu będziemy mogli rozpocząć prace ziemne.

Oczy Sheparda zwęziły się, tworząc szparki.

– Wspomniał pan Löwenthala? Bena Löwenthala, tego Żyda?

– Tak – odparł Nilssen, mrugając powiekami. – Możemy ogłosić informację o budowie i poszukiwaniu transportowca tylko w jego dzienniku. Jeżeli pan chce, moglibyśmy wydrukować ulotkę i broszurkę, ale tutaj wszyscy czytają „Czas”.

– Mam nadzieję, że inwestycja pańskiej prowizji w budowę pozostanie wyłącznie między nami. Rozumiemy się?

– Tak, szanowny panie. – Na chwilę zapadła cisza. – Przysięgam – dodał Nilssen i od razu pożałował tych słów.

– Może powinniśmy dołączyć taką klauzulę do naszej umowy – powiedział lekko Shepard. – Dla świętego spokoju.

– Może mi pan zaufać, będę dyskretny – zapewnił Nilssen, znowu się rumieniąc.

– W rzeczy samej, mam nadzieję, że tak – rzekł naczelnik, wstając. Wyciągnął rękę na pożegnanie.

Agent handlowy też wstał i obaj panowie uścisnęli sobie dłonie.

– Panie Shepard – odezwał się nagle Nilssen, kiedy naczelnik podchodził już do drzwi. – To, o czym pan mówił wcześniej... O dzicy i cywilizacji, o starym i nowym świecie...

Shepard przyjrzał mu się beznamiętnie.

– Tak?

– Ciekaw jestem, jak pański sposób myślenia ma się do tego wszystkiego... Do posiadłości, skarbu i wdowy po Wellsie.

Shepard długo nie odpowiadał.

– Skarb, wystarczający na „bilet do domu”, to szansa na rozpoczęcie wszystkiego od nowa, panie Nilssen – odezwał się w końcu. – Człowiek, który znajdzie odpowiednio dużą bryłkę złota, może kupić sobie nowe życie, a cywilizowany świat nie daje mu na to nadziei.

Φ

Nilssen siedział w biurze jeszcze długo po wyjściu Sheparda, wciąż rozważając jego propozycję. W sercu agenta handlowego zaczynały kiełkować wątpliwości. Miał wrażenie, że coś mu gdzieś umknęło, jak gdyby znalazł zawiązaną na supełek chusteczkę, zwiniętą w kłębek i wciśniętą w kieszonkę starej kamizelki, i za nic na świecie nie mógł odszukać w pamięci, o czym ów węzełek miałby przypominać – o jakiej sprawie do załatwienia, o jakim obowiązku. Nie pamiętał nawet, gdzie był wtedy, kiedy zawiązywał tę chusteczkę i wsuwał ją do kieszonki. Bębnił palcami po blacie biurka, bawił się klapą surduta. O szyby siekł deszcz. Szare cienie w pokoju przesunęły się gdzie indziej, a słońce powoli zniknęło za chmurą.

Nagle Nilssen wstał, podszedł do drzwi i uchylił je nieznacznie.

– Albercie! – zawołał przez szparę.

- Tak, proszę pana! – odkrzyknął Albert z sekretariatu.
- Crosbie Wells... Ten zmarły.
- Słucham pana.
- Przypomnij mi, kto go znalazł.
- Kilka osób, szanowny panie – odparł Albert.
- Pamiętasz, jak do tego doszło?
- Pisali o tym w gazetach... Jeśli pan chce, mogę znaleźć ten artykuł.
- Powiedz mi po prostu, co pamiętasz.
- Grupa jeźdźców zatrzymała się na odpoczynek i znalazła ciało zmarłego niedawno pana Wellsa... Tak mi się wydaje. Siedział przy kuchennym stole.
- Podano jakieś nazwiska? – Ale Nilssen już wiedział, o kogo chodzi. Oparł głowę na framudze drzwi i zrobiło mu się słabo.
- To był ten jegomość, który ubiega się o mandat posła z Westlandu – odpowiedział Albert. – Ten z Canterbury. Poznał go pan w zeszłym tygodniu w hotelu Gwiazda. Nazywa się Alistair Lauderback.

Φ

Jakieś dziesięć minut później Nilssen stanął w sekretariacie, uderzając kapeluszem o udo z tak donośnym trzaskiem, że urzędnik aż podskoczył na krześle. Agent handlowy trzymał w ręce laskę, potrząsając nią groźnie, jak gdyby zamierzał jej użyć w charakterze pałki. Był bardzo błady.

– Czy mam kierować ewentualnych klientów do Niezrównanego?! – zawołał za nim Albert, gdy Nilssen ruszył do drzwi.

– Nie... Daj mi spokój. Powiedz, żeby poczekali. Albo niech lepiej przyjdą w poniedziałek – warknął Nilssen, nie odwracając się. Wyszedł przez stróżówkę na nabrzeże, lecz nie zatrzymał się, gdy dotarł do swojej ulubionej jadłodajni na rogu. Owinął się ciasniej płaszczem i skierował w głąb lądu, w stronę Kaniere i złotodajnych pól.

PÓŁNOC W SKORPIONIE

Rozdział, w którym aptekarz wyrusza na poszukiwanie opium, czytelnik poznaje w końcu Annę Wetherell, a Pritchard traci cierpliwość i padają dwa strzały

Po wyjściu z biura Nilssena Joseph Pritchard nie wrócił od razu do swojego laboratorium przy ulicy Collingwooda, tylko poszedł do hotelu Ruszt, jednego z sześćdziesięciu czy siedemdziesięciu hoteli stojących przy ulicy Revella, na jej najbardziej tłoczonym i ruchliwym odcinku. W tym właśnie przybytku (którego fronton dzięki kanarkowym ozdobom i fałszywym żaluzjom wyglądał zawsze wesoło, nawet w deszczu) urzędowała zwykle panna Anna Wetherell, a chociaż nie miała w zwyczaju przyjmować gości o tej godzinie, to z kolei Pritchard prowadził swoje interesy wyłącznie według własnego harmonogramu, z nikim się nie licząc. Aptekarz wbiegł na górę po schodach i szarpnął drzwi, nawet skinieniem głowy nie pozdrowiwszy poszukiwaczy złota, siedzących rzędem na tarasie z nogami na poręczy, strugających kołki, czyszczących sobie paznokcie i plujących tytoniem w błoto. Przyglądali mu się z niejakim rozbawieniem, kiedy przeniknął do recepcji jak cień – ale gdy drzwi zamknęły się za nim z trzaskiem, stwierdzili, że ten facet niewątpliwie bardzo chce wyjaśnić jakąś sprawę.

Pritchard nie widział Anny od kilku tygodni. Słyszał o jej próbie samobójczej jedynie z trzeciej ręki, od Dicka Manneringa, który z kolei powtarzał opowieść Aha Sooka, Chińczyka, prowadzącego palarnię opium w Kaniere. Anna często trudniła się swoim rzemiosłem w chińskiej dzielnicy w Kaniere i dlatego znano ją powszechnie jako Annę Chińczyka. Miano to szkodziło jej popularności w pewnych kręgach, choć w innych pomagało. Pritchard nie należał do żadnego z owych dwóch obozów – nie bardzo interesował się życiem prywatnym obcych ludzi – toteż nie odczuwał ekscytacji ani obrzydzenia, dowiedziawszy się, że dziwka jest ulubienicą Aha Sooka i jej niedoszły zgon nieomal przyprawił go o histerię. (Mannering nie mówił po kantońsku, znał jednak garść ideogramów, jak na przykład „metal”, „chcieć” i „umrzeć”, co wystarczyło, by mógł prowadzić rozmowy piktograficzne z pomocą swojego notesu, zapisanego już tak gęsto i tak poplamionego od częstego użycia, że bogacz potrafił nawet czynić wielce wyrafinowane aluzje retoryczne, po prostu przeglądając go i wskazując palcem zapis jakiejś kłótni, ugody albo umowy sprzedaży na odpowiedniej stronie).

Pritcharda gniewało to, że Anna sama się z nim nie skontaktowała. W końcu był aptekarzem i jedynym dostawcą opium do palarni Zachodniego Wybrzeża, przynajmniej na południe od Grey River – a w kwestiach przedawkowania uważał się za eksperta. Dziewczyna powinna była się do niego odezwać i zasięgnąć jego rady. Pritchard nie wierzył, by Anna usiłowała odebrać sobie życie. Był pewien, że ktoś ją zmusił do zażycia narkotyku lub czegoś do niego dosypał, chcąc jej wyrządzić krzywdę. Próbował dotrzeć do resztek tej bryłki opium z chińskiej palarni, żeby je przebadać na obecność trucizny, ale Ah Sook wpadł w zbyt wielką złość, by spełnić taką prośbę, i powiadomił aptekarza (znowu przez Manneringa), że już nigdy nie będzie z nim handlował. Pritchard przyjął tę groźbę obojętnie – sprowadzał do Hokitika mnóstwo towarów i sprzedaż opium stanowiła tylko niewielki procent jego dochodów – nie

zaspokoił jednak jeszcze swojej ciekawości zawodowej i dlatego musiał wypytać dziewczynę osobiście.

Kierownika nie było, kiedy Pritchard wszedł do hotelowej recepcji, gdzie panowała niepokojąca cisza. Gdy oczy aptekarza przywykły do ciemności, ujrzał lokaja Clincha, opierającego się o biurko i czytającego stary egzemplarz „Przywódcy”; bezgłośnie wymawiał poszczególne słowa i wskazywał je palcem, którym wodził pod każdą kolejną linijką. Na blacie widać było tłustą plamę w miejscu, gdzie palec wypolerował drewnianą powierzchnię na błysk. Lokaj spojrział na aptekarza i skinął głową. Pritchard rzucił mu szylinga, którego tamten zręcznie złapał w locie jedną ręką i z głośnym plaśnięciem wcisnął monetę w grzbiet drugiej.

– Reszka! – zawołał chłopak, kiedy Pritchard wchodził już na schody.

Aptekarz parsknął śmiechem. Potrafił być bezwzględny, kiedy coś działało mu na nerwy, a był podminowany. Na korytarzu panowała cisza, przyłożył jednak ucho do drzwi pokoju Anny Wetherell i nasłuchiwał przez chwilę, zanim zapukał.

Harald Nilssen trafnie odgadł, że Pritcharda łączy z Anną Wetherell bardziej burzliwy związek niż jego, mylił się wszakże, sądząc, że aptekarz się w niej podkochuje. Prawdę mówiąc, Pritchard miał do głębi tradycyjny gust, nawet jeśli chodziło o młode kobiety. Prędzej zakochałby się w mleczarce niż w dziwce – bez względu na to, jak pospolitej urody mogłaby być ta pierwsza i jaka piękna ta druga. U kobiet cenił czystość i prostotę, zwyczajny strój, łagodny głos, uległość oraz skromne ambicje – czyli odwrotności własnych cech charakteru. Idealna kobieta dla Pritcharda byłaby jego dokładnym przeciwieństwem: znałaby się na tym, w czym on nie był biegły, i wykazywałaby się opanowaniem tam, gdzie on tracił cierpliwość. Stałaby się dla niego jakby zwierchnikiem, byłaby promieniem światła, pociechą, błogosławieństwem. A Anna Wetherell przy wszystkich swoich ekscesach i nałogach była zbyt podobna do aptekarza. Właściwie wcale nie czuł do niej za to nienawiści – tylko było mu jej żal.

Kiedy w towarzystwie podnoszono temat słabej płci, Pritchard na ogół wykazywał się powściągliwością. Nie lubił rozmawiać o kobietach z innymi mężczyznami – jego zdaniem takie konwersacje zawsze były błazeńskie i chełpliwe. Zachowywał milczenie, dlatego jego znajomi uważali go za człowieka o ogromnej ogładzie, a kobiety, gdy mu się przyglądały, dochodziły do wniosku, że jest osobą zagadkową i poważną. Był w miarę przystojny, miał dobry zawód i można by go uznać za bardzo dobrą partię, gdyby mniej pracował, a nieco częściej udzielał się towarzysko. Pritchard nie cierpiał jednak dużych zgromadzeń w mieszanym gronie, gdy od każdego mężczyzny wymaga się, żeby był kimś w rodzaju reprezentanta swojej płci, przez co panowie, obserwowani bacznie przez wszystkich obecnych, przedstawiają im swoje zalety nieco filuternie. W tłumie Pritchard robił się milkliwy i skłonny do gniewu. Wolał mniej liczne towarzystwo i miał kilku przyjaciół, wobec których był wręcz wściekle lojalny, podobnie jak on sam na swój sposób zachowywał lojalność wobec Anny. Łącząca go z nią zażyłość wynikała głównie z tego, że mężczyzna nigdy

nie ma obowiązku rozmawiać o swoich dziwkach z kolegami: dziwka to sprawa prywatna jak posiłek, który się spożywa samemu. Właśnie takiego odosobnienia aptekarz szukał w Annie. Była jego samotnością – i kiedy spotykał się z panną Wetherell, trzymał ją na dystans.

Pritchard kochał naprawdę tylko raz w życiu – ale minęło już szesnaście lat, odkąd Mary Menzies stała się Mary Firkin i wyjechała do Georgii, by tam na czerwonej ziemi pośród krzewów bawełny prowadzić coraz gnuśniejsze życie (jak sądził Pritchard), na które składały się zamożność i bezchmurne niebo. Nie wiedział, czy umarła, czy jej pan Firkin ciągle jest wśród żywych; czy ma dzieci i czy te dzieci żyją, a może zabrała je śmierć, podobnie jak nie wiedział, czy jeśli się zestarzała, to ładnie. W jego myślach była wciąż Mary Menzies. Gdy widział ją po raz ostatni, miała dwadzieścia pięć lat. Przyszła w prostej perkalowej sukience, drukowanej w gałązki, jej włosy były spięte na skroniach, a na przegubach i palcach dziewczyny brakowało jakichkolwiek ozdób. Siedzieli w boksie przy oknie; było to ich pożegnalne spotkanie.

„Josephie... – powiedziała Mary. Zapisał później jej słowa w notatniku, by nigdy ich nie zapomnieć. – Josephie, ty chyba nigdy nie pogodziłeś się z dobrem. To doskonale, że się ze mną nie kochałeś, bo teraz będziesz myślał o mnie czule, a w przeciwnym wypadku wcale by tak nie było”.

Pritchard usłyszał szybkie kroki za drzwiami.

– Och, to ty. – Anna powiedziała mu na powitanie tylko tyle. Była rozczarowana, gdyż najprawdopodobniej spodziewała się kogoś innego. Pritchard wszedł do środka, nic nie mówiąc, i zamknął za sobą drzwi, a Anna weszła w krąg szachownicy światła pod oknem.

Była w żałobie, ale sądząc po staroświeckim kroju jej wyblakłej sukni (rozkloszowana spódnica, wąski stan), Pritchard doszedł do wniosku, że nie została uszyta specjalnie dla niej: dostała ją od kogoś albo, co było bardziej prawdopodobne, kupiła używaną. Zauważył, że rąbek sukni został częściowo odpruty, a dwucalowy pas jego ciemniejszej czerni ociera się o podłogę. Kurwa w żałobie stanowiła dziwny i trochę zaskakujący widok – niczym dandys duchowny albo wąsate dziecko, pomyślał Pritchard.

Przyszło mu do głowy, że rzadko widywał Annę inaczej niż w świetle lampy albo księżycy. Miała jasną, niemal przezroczystoniebieską cerę i ciemne sińce pod oczami, jak namalowane farbami wodnymi na papierze, który nie był dość gruby, żeby wchłonąć wilgoć, dlatego kolory się rozmazywały. Twarz Anny była kanciasta, jak powiedziałyby pewnie matka Pritcharda. Miała wyjątkowo proste brwi i spiczasty podbródek, nos zaś szczupły, żeby nie powiedzieć: ostry. Rzeźbiarz mógłby go oddać czterema uderzeniami dłuta – dwoma po bokach, jednym z góry i jednym od dołu. Jej usta były wąskie, a oczy wprawdzie duże, ale dziewczyna zazwyczaj patrzyła nimi na świat podejrzliwie, rzadko posyłając uwodzicielskie spojrzenia. Policzki miała wklęsłe, a szczękę zarysowaną wyraźnie niczym krawędź bębna pod mocno naciągniętą skórą.

Przed rokiem była brzemienna. Cięża rozgrzała jej jakby woskowe policzki i nadała

pulchność patykowatym ramionom – i Anna spodobała się w tym stanie Pritchardowi. Miała zaokrąglony brzusek oraz nabrzmiałe piersi, ukryte pod kuponami batystu i tiulu – tkanin, które jak gdyby przydawały dziewczynie miękkości i zwiewności. Jednak jakiś czas po wiosennej równonocy, kiedy wieczory zaczynały robić się coraz dłuższe, dni jaśniejsze, a szkarłatne słońce całymi godzinami wisało nisko nad Morzem Tasmańskim, zanim zsuwało się wreszcie w czerwone fale, dziecko umarło. Ciało zostało zawinięte w perkal i pochowane w płytkim grobie na terenie Pejzaż Morski. Pritchard nie rozmawiał z Anną o tej śmierci. Nie odwiedzał dziewczyny regularnie, a kiedy do niej przychodził, nie zadawał pytań; zapłakał jednak w samotności, gdy usłyszał o tym, co się stało. W Hokitika prawie nie było dzieci – najwyżej troje czy czworo – i aż chciało się ich widzieć tu więcej, tak jak usłyszeć znajomy akcent albo zobaczyć na horyzoncie ukochany statek, który przypominałby człowiekowi o domu.

Czekał, aż Anna odezwie się pierwsza.

– Nie możesz zostać – powiedziała. – Jestem umówiona.

– Nie zabawię długo. Chciałem się tylko dowiedzieć o twoje zdrowie.

– Och! – wypaliła. – Mam dosyć pytań o zdrowie... Dosyć!

Zdziwiła go gwałtowność jej odpowiedzi.

– Długo u ciebie nie byłem.

– Zgadza się.

– Ale widziałem cię na głównej ulicy. Zaraz po Nowym Roku.

– To niewielkie miasto.

Przysunął się do niej bliżej.

– Pachniesz morzem.

– Nieprawda. Nie kąpałam się w morzu od kilku tygodni.

– No to jakby burzą. Pachniesz jak ktoś, kto przychodzi z zadymki śnieżnej i wnosi ze sobą do środka woń zimna.

– Co ty robisz?

– Jak to: co robię?

– Dlaczego mówisz w taki poetycki sposób?

– Poetycki?

(W rozmowach z kobietami Pritchard miał niedobry zwyczaj odpowiadać pytaniem na pytanie. Przed laty skarżyła się na to Mary Menzies).

– Sentymentalny. Wyszukany. Nie wiem. Nieważne. – Anna skubnęła mankiet rękawa

sukni. – Wróciłam już do zdrowia – dodała. – A następne pytanie możesz sobie darować. Nie zamierzałam popełnić samobójstwa. Chciałam wypalić fajkę, jak zwykle, potem zasnęłam, a kiedy się obudziłam, byłam w więzieniu.

Pritchard odłożył kapelusz na szafę.

– I ludzie prześladują cię od tamtej pory.

– Bezustannie.

– Biedactwo.

– Współczucie jest jeszcze gorsze.

– No tak – powiedział Pritchard. – Ja nie zamierzam ci współczuć. Będę dla ciebie okrutny.

– Nic mnie to nie obchodzi.

Wydawało mu się, że Anna mówi z żalem w głosie, który go złościł. Zamierzał okazać swój gniew, ale przypomniał sobie, że ma coś do załatwienia.

– Kim jest twój klient? – zapytał, żeby ją podrażnić.

Podeszła do okna i zdziwiona prawie odwróciła się do Pritcharda.

– Co?

– Powiedziałaś, że masz spotkanie. Z kim?

– Nie ma żadnego klienta. Wybieram się z pewną damą oglądać kapelusze.

Pritchard parsknął.

– Wiesz, słyszałem to i owo o honorze dziwki. Nie musisz kłamać.

Przyjrzała mu się jak gdyby z dużej odległości – jakby był dla niej jedynie znakiem na horyzoncie, odległą, niknącą plamką.

– Oczywiście, jeszcze o tym nie wiesz – powiedziała z wolna, jak do dziecka. – Na pewien czas skończyłam z prostytutką.

Aptekarz uniósł brwi, a potem zaśmiał się, chcąc pokryć zdziwienie.

– Stałaś się uczciwą kobietą, co? Kapelusze i podokienne boksy w restauracjach, nie? Będziesz nosić rękawiczki na ulicy?

– Tylko dopóki pozostanę w żałobie.

Ta odpowiedź, udzielona otwarcie i cichym głosem, sprawiła, że poczuł się głupio, ponieważ się roześmiał, i zrobiło mu się przykro na sercu.

– A co na to Dick? – zapytał, mając na myśli pracodawcę Anny, pana Manneringa.

Anna odwróciła głowę w stronę okna.

– Nie jest zadowolony.

– No pewnie!

– Nie chcę z tobą o tym rozmawiać, Jo.

Pritchard zjeżył się.

– O co ci chodzi?

– O nic. O nic szczególnego. Po prostu dosyć mam myślenia o nim.

– Traktował cię jak bestia?

– Nie – powiedziała Anna. – Właściwie nie.

Pritchard znalazł się na dziwkach. Jedne się mizdrzyły, udawały zdumienie i mówiły piskliwymi, pretensjonalnymi głosami, a inne były biuściaste i chętne do pomocy. Bez względu na porę roku nosiły bufiaste rękawy do łokci i zwracały się do mężczyzn per chłopcze. Zdarzały się też pijaczki, chciwe i skomlące, o czerwonych, zrogowaciałych palcach oraz wodnistym spojrzeniu – a wreszcie były i takie, do których należała Anna, nieodgadnione, na przemian kryształowo czyste i fałszywe. Ich postawa wyrażała eleganckie cierpienie, nieszczęście tak doskonałe i absolutne, że przejawiało się jako godność, spokój. Anna Wetherell okazała się kimś więcej niż tylko mroczną tajemnicą – była samym mrokiem, jego czarną opończę. Pritchard pomyślał, że jest jak milcząca wyrocznia, nieznająca mądrości, a tylko niegodziwość, albowiem bez względu na to, jakie zło można popełnić, powiedzieć albo zobaczyć na świecie, Anna z pewnością widziała już coś gorszego.

– Dlaczego nie przyszedł do mnie? – zapytał w końcu, pragnąc ją o coś oskarżyć.

– Kiedy?

– Kiedy zachorowałam.

– Siedziałam w więzieniu.

– To potem.

– Jaki byłby pożytek z mojej wizyty?

– Mogłabyś sobie oszczędzić wielu kłopotów – odpowiedział krótko. – Mogłbym udowodnić, że w opium była trucizna, gdybyś pozwoliła mi zeznawać.

– Wiedziałaś, że było zatrute?

– Domyślałam się tego. Bo jak inaczej, Ann? Chyba że...

Anna podeszła do łóżka i zacisnęła dłoń na żelaznej gałce jego ramy. Kiedy dziewczyna się poruszyła, ponownie poczuł zapach morza. Intensywność tego doznania zaskoczyła go. Musiał się powstrzymać, żeby nie pójść za nią i nie wdychać jej aromatu. Poczuł woń soli,

żelaza i ciężki, metaliczny posmak brzydkiej pogody... Niskie chmury, pomyślał, i deszcz. Nie tylko zapach morza: także statku, smołowanych lin, zakurzonej wilgoci wyszorowanego drewna tekowego, nasączonych olejem żagli, stearyny. Pritchard zaczął się ślinić.

– Otruli mnie... – powiedziała Anna, zerkając na niego. – Kto?

(Być może była to pamięć jego zmysłów, zaledwie przypadkowe echo, które nagle zalewa człowieka, a potem równie szybko znika. Odsunął od siebie tę myśl).

– Musiało ci to przyjść do głowy – odpowiedział, marszcząc brwi.

– Pewnie tak. Nic nie pamiętam.

– Zupełnie nic?

– Tylko jak siadałam, żeby zapalić fajkę. Jak rozgrzewałam szpilkę. A później już nic.

– Uważałem, że nie planowałaś popełnić samobójstwa. Nie chciałaś sobie zrobić krzywdy. Tak myślałem.

– No tak. Ale od czasu do czasu każdy o tym myśli.

– Oczywiście... Od czasu do czasu – odpowiedział nieco za szybko. Poczul się osaczony i cofnął się o pół kroku.

– Ja się w ogóle nie wyznaję na truciznach – stwierdziła.

– Gdybym zdołał zbadać resztę tej bryłki opium, mógłbym ci powiedzieć, czy ktoś czegoś do niego nie dodał – rzekł Pritchard. – Dlatego przyszedłem. Chciałem się dowiedzieć, czy mogę od ciebie odkupić chociaż okruszynę, żeby się jej przyjrzeć. Ah Sook nie chce ze mną rozmawiać.

Anna zmrużyła oczy.

– Chcesz zbadać moje opium czy się go pozbyć?

– Co to ma znaczyć?

– Może zacierasz ślady.

Pritchard zaczerwienił się z oburzenia.

– Jakie ślady? – Anna nie odpowiedziała, więc aptekarz powtórzył: – Jakie ślady?

– Ah Sook uważa, że to ty dodałeś trucizny do opium – odezwała się w końcu, zerkając na Pritcharda.

– Doprawdy? To cholernie okrutna droga, by móc zobaczyć cię martwą.

– A jeżeli to Aha Sooka chciałeś zobaczyć martwego?

– I stracić go jako partnera w interesach? – Pritchard ściszył głos. – Posłuchaj, nie twierdzę, że czuję do nich jakieś braterskie uczucia czy coś w tym rodzaju, ale nie mam też nic

przeciwko Chińczykom. Słyszysz? Nie mam powodu, żeby im źle życzyć. Najmniejszego.

– Znowu ktoś pociął jego namiot na działce. W zeszłym miesiącu. Wszystkie jego lekarstwa zostały zniszczone.

– I co? Myślisz, że to ja?

– Nie.

– No to o co chodzi? – zapytał Pritchard. – Powiedz mi, Ann. O co?

– Ah Sook uważa, że kierujesz organizacją przestępczą.

– I truję kitajców? – parsknął Pritchard.

– Tak – odrzekła Anna. – I wiesz, to wcale nie jest takie głupie.

– Czyżby? Przyjęłaś jego punkt widzenia, tak?

– Tego nie powiedziałam. To nie ja uważam, że...

– Myślisz, że jestem gderliwym starcem – powiedział Pritchard. – Wiem, że tak. Jestem gderliwym starcem, Anno. Ale nie mordercą.

Pewność siebie, towarzysząca ostatnim słowom dziwki, zniknęła równie szybko, jak się przed chwilą pojawiła, by dodać jej animuszu. Teraz Anna znów się cofnęła, wróciła pod okno, podniosła rękę do koronkowych frywolitek u swojego kołnierzyka i zaczęła je skubać. Pritchard złagodniał. Rozpoznał ten gest; nie jako gest Anny, ale dziewczyny – kobiecy gest.

– No tak, mniejsza z tym – powiedział, próbując doprowadzić do pojednania. – Mniejsza z tym.

– Nie jesteś taki stary – odpowiedziała.

Pragnął jej dotknąć.

– No i jest jeszcze sprawa tego laudanum... Afera wokół Crosbiego Wellsa – dodał. – Ciągle o tym myślę.

– O jakim laudanum mówisz?

– O fiołce, którą znaleziono pod łóżkiem tego odludka. Jest moja.

– Była zakorkowana czy nie?

– Zakorkowana. Ale wypełniona tylko do połowy.

Anna wyglądała na zainteresowaną.

– Jest twoja... Czy to znaczy, że należy do ciebie osobiście, czy że ktoś ją kupił w twojej aptece?

– Ktoś ją u mnie kupił – powiedział Pritchard. – I nie był to Crosbie. Nigdy nie sprzedałem mu ani kropli laudanum.

Anna w zadumie dotknęła ręką do policzka.

– To dziwne.

– Stary Crosbie Wells. – Pritchard usiłował mówić wesołym głosem. – Kiedy żył, nikt nigdy o nim nie myślał... A teraz taka historia.

– Crosbie... – zaczęła Anna, ale nagle rozplakała się.

Pritchard nie zrobił żadnego ruchu, nie podszedł do niej, nie przytulił jej, nie zaoferował pociechy. Patrzył, jak dziewczyna szuka chusteczki w rękawie, i czekał, splótszy ręce za plecami. Nie płakała nad Crosbiem Wellsem. Nawet go nie znała. Płakała nad sobą.

Oczywiście, pomyślał Pritchard, to musiało być dla niej nieprzyjemne: stanąć przed sądem grodzkim za próbę samobójstwa, być nagabywaną przez mężczyzn różnego autoramentu, zostać obsmarowaną w „Czasie”, stanowić temat rozmów przy śniadaniu i między kolejnymi partyjkami bilardu, jak gdyby jej dusza była publiczną własnością, wspólną sprawą.

Patrzył, jak Anna czyści nos i smukłymi palcami niezdarnie chowa chusteczkę. To nie było tylko wycieńczenie: doskwierał jej smutek z jakiegoś innego powodu. Wydawała się nie tyle udręczona, ile załamana.

– Nieważne – powiedziała w końcu, gdy odzyskała panowanie nad sobą. – Nie zwracaj na mnie uwagi.

– Gdybym mógł obejrzeć chociaż okruszynę – powiedział Pritchard.

– Czego?

– Tamtej bryłki opium. Odkupię ją od ciebie. Nie pozbędę się jej... Możesz dać mi tylko kawałeczek, rozumiesz. Nie musisz mi oddawać całego narkotyku.

Pokręciła głową i Pritchard zauważył w tym gwałtownym ruchu coś dziwnego. Pokonał dzielącą ich przestrzeń trzema szybkimi krokami i złapał dziewczynę za rękaw.

– Gdzie ono jest? – zapytał. – Gdzie opium?

Wyrwała mu się.

– Wypaliłam resztkę tamtej bryłki wczoraj wieczorem, jeżeli już musisz wiedzieć.

– Nie zrobiłaś tego... Nie mogłaś!

Pritchard poszedł za nią, chwycił ją za ramiona i odwrócił, tak że stała twarzą do niego. Wsunął kciuk pod brodę Anny i przechylił jej głowę do tyłu, by spojrzeć dziwce w oczy.

– Kłamiesz – powiedział. – Jesteś przytomna.

Odrząciła jego dłoń i wyswobodziła się.

– Oddałaś ją Sookowi? On ją zabrał?

– Wypaliłam ją. Jak zwykle.

– Przestań, Anno. Nie kłam.

– Nie kłamię.

– Zużyłaś bryłkę zatrutego opium, a oczy masz przejrzyste jak poranek?

Zmrużyła powieki.

– Skąd wiesz, że było zatrute?

– Nawet jeśli nie było...

– Ty wiesz, że było zatrute? Jesteś tego pewien?

– Nic nie wiem o tej sprawie, do diabła, i nie podoba mi się twój ton – warknął Pritchard. – Chcę tylko dostać odrobinę narkotyku, żeby mu się przyjrzeć, na litość boską!

Anna znowu się ożywiła.

– A kto zatrzał opium, Jo? Kto usiłował mnie zabić? Jak myślisz?

Pritchard machnął ręką.

– Może Ah Sook.

– Obwiniasz swojego oskarżyciela? – Zaśmiała się. – Tak zachowuje się człowiek, który jest winny!

– Usiłuję ci pomóc! – odparł z wściekłością Pritchard. – Pomóc!

– Nie trzeba mi pomocy! – zawołała Anna. – I nie masz komu pomagać! Powtarzam ostatni raz: nie chciałam popełnić samobójstwa, Josephie, a w opium nie było żadnej trucizny, do diabła!

– To wytłumacz mi, dlaczego wylądowałaś półżywa na środku Drogi do Christchurch!

– Nie potrafię!

Po raz pierwszy w trakcie tej rozmowy Pritchard zobaczył prawdziwe emocje na jej twarzy: strach, wściekłość.

– Tamtego wieczoru wypaliłaś fajkę... Taką jak zwykle?

– I paliłam codziennie, odkąd wpłaciłam kaucję.

– Dzisiaj też?

– Nie. Wypaliłam resztkę wczoraj wieczorem. Powiedziałam ci już.

– O której?

– Późno. Może o północy.

Pritchard miał ochotę splunąć.

– Nie rób ze mnie wariata. Nieraz widziałem cię pod wpływem opium i widziałem, gdy przestawało działać. W tej chwili jesteś trzeźwa jak zakonnica.

Anna zmarszczyła twarz.

– Jeżeli mi nie wierzysz, to idź stąd.

– Nie. Nie pójdę.

– Niech cię diabli wezmą, Jo Pritchardzie!

– To ciebie niech diabli wezmą.

Anna znowu wybuchnęła płaczem. Pritchard odwrócił się. Gdzie ona może to mieć? Podszedł do szafy, otworzył ją i zaczął przeszukiwać. Sukienki na wieszaku. Halki. Reformy, w większości postrzępione i poplamione. Chusteczki, szale, gorsety, pończochy, trzewiki. Niczego nie znalazł. Przeszedł do komody, na której na popękany porcelanowy talerz stała lampa spirytusowa – pewnie jej lampa opiumowa – a obok leżały watomane rękawiczki, grzebień, poduszczyk na igły i szpilki, mydło w otwartym opakowaniu oraz różne słoiczki z kremami i pudrami. Brał te rzeczy do ręki i gwałtownie odkładał je z powrotem.

– Co robisz? – spytała Anna.

– Ukryłaś opium... Tylko nie chcesz mi powiedzieć dlaczego!

– To moje rzeczy.

Roześmiał się.

– Pamiątki, tak? Cenne upominki? Antyki?

Wyciągnął szufladę z komody i wysypał na podłogę jej zawartość – kaskada grzechoczących świecidełek. Monety, drewniane szpulki nici, ozdobne guziki, nożyce krawieckie. Po podłodze potoczyły się trzy korki od szampana. Pędzel do golenia – pewnie go komuś ukradła. Zapałki, druty. Bilet na statek do Nowej Zelandii. Zwitki tkanin. Lusterko w srebrnej ramce. Pritchard zaczął przetrząsać cały ten stos. Znalazł fajkę Anny... Powinno gdzieś tu być także małe pudełko do kompletu albo może niewielki kapciuch, w którym spoczywać będzie bryłka opium w woskowanym papierze niczym kupione w sklepie toffi. Zaklął.

– Ty bydlaku – powiedziała Anna. – Jesteś wstrętny.

Nie zwracał na nią uwagi, tylko podniósł fajkę.

Była chińska, bambusowa, mniej więcej długości przedramienia Pritcharda. Główka znajdowała się jakieś trzy cale od końca; wystawała jak klamka i była przymocowana do bambusa za pomocą metalowego siodełka. Pritchard zważył fajkę w dłoniach, trzymając ją niczym flecista instrument, a następnie powąchał. Wokół brzegu główki widać było ciemny

osad, jak gdyby ktoś palił tę fajkę, i to niedawno.

– Zadowolony? – zapytała.

– Uważaj, co mówisz. Gdzie szpilka?

– Tam. – Wskazała szmatkę, leżącą wśród żałosnych, porozrzucanych drobiazgów, przebitą długą szpilką do kapelusza, poplamioną na czubku na czarno. Pritchard ją też powąchał. Następnie wsunął szpilkę do główki fajki i powiercił w środku.

– Złamiesz ją.

– To oddam ci przysługę.

(Pritchard nie mógł znieść nałogu Anny – ale dlaczego? Sam zażywał opium wielokrotnie. Prawdę mówiąc, palił je w Kanierze, z Ahem Sookiem, w maleńkiej chatce, którą Sook obwiesił wschodnimi tkaninami, chcąc zlikwidować przeciągi, by nie mrugały w nich jego bezcenne lampy).

W końcu Pritchard odrzucił fajkę na bok, aż główka uderzyła o podłogę i zadźwięczała.

– Bydlak – powiedziała znów Anna.

– Więc jestem bydlakiem, tak?

Gwałtownie podbiegł do niej, właściwie nie mając zamiaru jej skrzywdzić, chciał ją tylko chwycić za ramiona i potrząsnąć, żeby wreszcie powiedziała mu prawdę. Był jednak niezgrabny i Anna wyrwała mu się, a nozdrza Pritcharda po raz trzeci tego popołudnia wypełniły się aromatycznym, słonym zapachem oceanu, a także, co było przecież niemożliwe, metalicznym posmakiem zimna – jak gdyby w twarz uderzył go wiatr, a w górze zatrzepotał żagiel przed zbliżającym się sztormem. Aptekarz ustąpił.

– Odejdź – powiedziała. Zakrywała twarz rękami, na poły zaciskając dłonie w pięści. – Nie żartuję, Josephie. Nie pozwolę, żebyś nazywał mnie kłamczuchą. Cofnij się i wyjdź.

– Będę cię nazywał kłamczuchą, do diabła, jeśli będziesz kłamać.

– Odejdź.

– Gdzie schowałaś opium?

– Odejdź!

– Nie odejdę, dopóki nie dowiem się, gdzie to jest! – wrzasnął. – Powiedz mi, ty nic niewarta, cholerna dziwko!

Zdesperowany, znowu się na nią rzucił. Zobaczył błysk w jej oczach. Po chwili sięgnęła za dekolt i wyciągnęła damski jednostrzałowy rewolwer. Był mały, niewiele dłuższy niż dłoń Pritcharda, ale z odległości dwóch kroków mógł mu strzaskać pierś. Aptekarz instynktownie podniósł ręce do góry. Anna musiała odwrócić broń, bo lufa skierowana była w jej podbródek. Dziewczyna była jednak rozgorączkowana i wtedy doszło do trzech zdarzeń

jednocześnie: Pritchard cofnął się i potknął o brzeg rattanowego dywanu, za jego plecami gwałtownie otworzyły się drzwi, ktoś krzyknął, a Anna, słysząc hałas, wykonała półobrót, postąpiła krok naprzód i postrzeliła się w pierś.

Huk wystrzału zabrzmiał głucho, wręcz niedosłyszalnie, niczym trzask żągla gniezdnego wysoko nad pokładem. Jak gdyby prawdziwy strzał został oddany gdzieś o wiele dalej, a ten dźwięk był tylko jego odbiciem, echem. Pritchard zatoczył się jak błędny i odwrócił tyłem do Anny, by stawić czoło temu, kto wszedł do pokoju. Aptekarz miał mętlik w głowie; zarejestrował mgliście, że przybyłym jest Aubert Gascoigne, nowy urzędnik sądowy. Pritchard nie znał go zbyt dobrze. Jakieś trzy tygodnie temu Francuz odwiedził go w laboratorium z prośbą o realizację recepty na dolegliwości jelitowe i Pritchard pomyślał teraz właśnie o tym, chociaż w takiej chwili był to absurd. Zastanawiał się, czy jego mikstura pomogła Gascoignowi tak, jak obiecał.

Przez ułamek sekundy nikt się nie poruszał... A może czas nie mijał w ogóle. Potem Gascoigne zaklął, skoczył naprzód i upadł na ranną dziwkę. Szarpnął jej głowę do tyłu, a rewolwer ze stukotem upadł na bok... Na białym dekolcie nie było jednak widać żadnych obrażeń... Nie było śladów krwi... A Anna oddychała. Raptownie podniosła ręce do gardła.

– Ty idiotko... Idiotko! – krzyknął Gascoigne, w którego głosie słychać było szloch. Rozerwał frywolitkowy kołnierzyk. – Ślepy nabój, tak? Kula z wosku, co? Myślałaś, że znowu nam napędzisz stracha? Co ty sobie myślisz? W co ty grasz, do diabła?

Ręka Anny błędziła przy szyi i piersiach, dotykała i opukiwała palcami. Dziewczyna miała szeroko otwarte oczy.

– Ślepy nabój? – zapytał Pritchard. Pochylił się i podniósł broń.

Lufa była gorąca, a w powietrzu unosił się zapach prochu, Pritchard nie zauważył jednak łuski ani żadnego otworu po kuli. Ściana za plecami Anny była biała i gładka jak przed chwilą. Obaj mężczyźni rozglądali się po pokoju, spoglądając też na Annę. Dzwinka przypatrywała się swoim piersiom. Pritchard wyciągnął rękę; rewolwer zwisał mu idiotycznie z palca wskazującego i Gascoigne wziął od niego broń. Otworzył ją wprawnym ruchem i zajrzał do zamka, po czym zwrócił się do Anny.

– Kto załadował rewolwer? – zapytał.

– Ja – odpowiedziała oszołomiona. – Mogę ci pokazać zapasowe naboje.

– Pokaż. Pokaż mi je.

Podniosła się i podeszła do etażerki, stojącej koło łóżka. Po chwili wróciła z blaszanym pudełkiem, w którym w kawałku brązowego papieru grzechotało siedem nabojów. Gascoigne dotknął ich palcem, po czym oddał broń Annie.

– Zrób to tak jak wtedy. Dokładnie w ten sam sposób.

Bezmyślnie skinęła głową. Złamała lufę i włożyła nabój do komory. Potem prawidłowo

zamknęła z trzaskiem lufę, odciągnęła kurek i oddała naładowany rewolwer Gascoigne'owi. Pritchard pomyślał, że Anna wyglądała na przerażoną – była oszołomiona, poruszała się jak automat. Gascoigne wziął od niej broń, cofnął się o kilka kroków, wycelował i strzelił w zagłówek łóżka. Wystrzał zabrzmiał dokładnie tak samo jak przedtem, tylko tym razem Pritchard usłyszał zaniepokojony pomruk i szybkie kroki piętro niżej, a potem wszyscy spojrzeli w miejsce, gdzie uderzyła kula. Na środku poduszki widniał idealnie okrągły otwór, nieco pociemniały z gorąca na krawędziach – wzbił się z niego kłęb pierza i pyłu, który spłynął na dół w rzadziutkiej mgle. Gascoigne postąpił krok naprzód i odrzucił poduszkę na bok. Zaczął obmacywać zagłówek palcami, jak Anna wcześniej okolice szyi w poszukiwaniu rany, i po chwili stęknął z zadowoleniem.

– Jest? – zapytał Pritchard.

– Ledwo ją zadrapała – powiedział Gascoigne, badając głębokość otworu końcem palca. – Te damskie rewolwery nie są wiele warte.

– Ale gdzie... – Pritchard był zdezorientowany. Poczł, że język nie mieści mu się w ustach.

– Co się stało z pierwszą kulą? – spytał Gascoigne, mówiąc to, co chciał powiedzieć Pritchard. Wszyscy wpatrywali się w drugi, spłaszczony nabój, który urzędnik sądowy trzymał w ręce. Potem Gascoigne i Anna popatrzyli na siebie – i Pritchardowi wydało się, że wymienili porozumiewawcze spojrzenia.

Jakie to żałosne widzieć, jak nasza dziwka i inny mężczyzna spoglądają na siebie znacząco! Pritchard chciał potraktować ją z pogardą, ale nie mógł: poczuł się jak uderzony obuchem, dosłownie otumaniony. Dzwoniło mu w uszach.

Anna odwróciła się do niego.

– Zejdiesz na dół? – spytała. – Powiedz Edgarowi, że bawiłam się rewolwerem albo że go czyściłam i wypalił przypadkowo.

– Edgara nie ma w recepcji – odparł Pritchard.

– No to powiedz lokajowi. Po prostu ich o tym powiadom. Nie chcę, żeby ktokolwiek tu przychodził. Nie potrzebuję żadnego zamieszania. Proszę cię, zrób to.

– Dobrze, zrobię – rzekł Pritchard. – A potem...

– A potem powinieneś sobie pójść. – Anna była stanowcza.

– Chcę dostać to, po co przyszedłem. – Aptekarz mówił cicho, zerkając w bok na Gascoigne'a, który jednak dyskretnie odwrócił od nich głowę.

– Nie mogę ci pomóc, Josephie. Nie mam tego, czego chcesz. Proszę cię, idź.

Pritchard znów spojrział jej w oczy. Były zielone, z ciemniejszą obwódką wokół tęczówki, a źrenice miała otoczone promienistymi, kryształowoszarymi plamkami. Minęło kilka

miesiący, odkąd widział kolory w jej oczach; odkąd widział jej źrenicę jako punkt, ziarenko, nie zaś niewyraźny, zmatowiony od snu krążek czerni. Nie była odurzona – nie miał co do tego żadnych wątpliwości. Może i jest kłamczuchą, nawet złodziejką; może go oszukuje. No i ten Gascoigne, to on był z nią umówiony. Oto jej kolejna tajemnica. Kolejne łgarstwo. Umówiła się z pewną damą, żeby pójść oglądać kapelusze, akurat!...

Okazało się jednak, że Pritchard nie jest w stanie znów wpaść w gniew. Zawstydział się i poczuł, jak gdyby to on był intruzem, który zakłócił intymną scenę między Anną i Gascoignem w jej prywatnych pokojach. Wstyd, który ogarnął Pritcharda, był niezwykle prymitywny i dziecinny; zalał go falą goryczy i dławiał w gardle.

W końcu aptekarz obrócił się na pięcie i ruszył do wyjścia. W drzwiach położył dłoń na klamce i zamykając je za sobą powoli, przypatrywał się Gascoigne'owi i Annie przez zwężającą się szparę.

Francuz poruszył się, jeszcze zanim drzwi zostały całkiem zamknięte. Raptownie odwrócił się do Anny i otworzył ramiona, żeby ją uściskać, a dziwka objęła go, wtulając swój błądy policzek w jego wygiętą szyję. Gascoigne podniósł ją – zwiśla bezwładnie w jego rękach, ledwo dotykając podłogi palcami stóp. Przyciskał dziewczynę do siebie, pochylał głowę i wtulił twarz w jej włosy. Miał zaciśnięte zęby i otwarte oczy. Oddychał głośno przez nos.

Podglądającego ich przez szparę Pritcharda ogarnęło poczucie osamotnienia. Zrozumiał, że nigdy nie kochał i nie był kochany. Zamknął drzwi najciszej, jak potrafił, i podreptał w dół po schodach.

Φ

– Czy mogę panu przerwać, by zadać jedno pytanie?

– Tak, oczywiście.

– Może mi pan pokazać, jak panna Wetherell trzymała wtedy rewolwer?

– Oczywiście. Jej kciuk znajdował się tutaj. Stałem bokiem do niej, mniej więcej tu, gdzie siedzi teraz pan Mannering, pod takim kątem, a ona była na wpół odwrócona, w ten sposób.

– A gdyby rewolwer wypalił tak, jak się wam wydawało, to jakie obrażenia najprawdopodobniej odniosłaby panna Wetherell?

– Gdyby miała szczęście, kula przebiłaby jej ramię. Gdyby miała pecha, cóż, pewnie trafiłaby ją trochę niżej. Może w serce. To było z lewej strony... Oczywiście naprawdę dziwne jest to, że nawet gdyby to był ślepy nabój, powinna trafić ją łuska, a proch oparzyć albo chociaż osmalić. Za nic nie mogliśmy dojść, jak to się stało.

– Dziękuję. Przepraszam, że przeszkodziłem.

– Czy jest coś, czym chciałby się pan z nami podzielić, panie Moody?

– Uczynię to zaraz, jak tylko usłyszę resztę tej historii.

- Muszę powiedzieć, szanowny panie, że ma pan niezwykle dziwną minę.
- Nic mi nie jest, naprawdę. Proszę mówić dalej.



Było jeszcze wczesne popołudnie, kiedy Pritchard wrócił do swojej apteki na ulicy Collingwooda, choć wydawało mu się, że powinno się już zmierzchać, bo tylko późna pora mogłaby wytłumaczyć, dlaczego jest tak zmęczony. Wszedł przez sklep i spędził bezmyślną chwilę, prostując paski do ostrzenia brzytwy o kanty półek oraz ustawiając buteleczki tak, żeby stały w równym szeregu na samym brzeжку gabloty wystawowej – dłużej jednak nie mógł już tego wytrzymać. Wywiesił kartkę na drzwiach, informującą klientów, żeby się zgłosili w poniedziałek, zamknął aptekę na klucz i poszedł do swojego laboratorium.

Na biurku miał kilka zamówień na różne medykamenty, ale spojrzał na formularze, właściwie ich nie widząc. Zdjął marynarkę, powiesił ją na wieszaku koło pieca i z przyzwyczajenia włożył fartuch. Potem już tylko stał i patrzył w pustkę.

Słowa Mary Menzies sparaliżowały go – były jego prorocstwem i przekleństwem. „Nigdy się nie pogodziłeś z dobrem” – pamiętał i zanotował je sobie, nadając im w ten sposób rangę prawdy. Stał się człowiekiem, którego Mary odrzuciła – bo przecież odrzuciła go, wyjeżdżając. Teraz Pritchard miał trzydzieści osiem lat i nigdy nikogo nie kochał, a inni mężczyźni mieli kochanki lub żony. Aptekarz dotknął długim palcem szyjki stojącej przed nim na biurku buteleczki z jakimś lekarstwem na receptę. Mary miała dziewiętnaście lat. W jego myślach wciąż nazywała się Menzies.

Przypomniało mu się, co mówił jego ojciec: jeżeli dasz psu złe imię, to taki pies będzie zły przez całe swoje życie. („Zapamiętaj to sobie, Josephie”. Ojciec jedną rękę trzymał na ramieniu Pritcharda, a drugą obejmował nowo narodzonego szczeniaka; następnego dnia Pritchard nazwał pieska Cromwell, a ojciec tylko raz skinął na to głową). Wspominając jego słowa, aptekarz pomyślał: Czy właśnie to zrobiłem samemu sobie? Czy wyznaczyłem swój los? Czy to ja jestem tym źle nazwanym psem z powiedzonka ojca? Były to jednak pytania retoryczne.

Usiadł i położył dłonie płasko na stole laboratoryjnym. Myślami powrócił do Anny. Zgodnie z tym, co mówiła, nie miała zamiaru popełnić samobójstwa, i Pritchard sądził, że powiedziała prawdę. Wiodła nędzny żywot, ale miała swoje przyjemności i nie należała do osób gwałtownych. Pritchard uważał, że ją zna. Nie potrafił sobie wyobrazić, aby mogła targnąć się na własne życie. A przecież... Jak to ona powiedziała? Że od czasu do czasu każdy o tym myśli. Tak, zgodził się z nią w duchu z ciężkim sercem Pritchard. Od czasu do czasu.

Anna była doświadczoną palaczką opium. Zażywała narkotyk niemal codziennie i była przyzwyczajona do jego działania na swoje ciało i umysł. Pritchard nigdy nie widział, żeby odurzyła się do tego stopnia, by nie można jej było docucić przez ponad dwanaście godzin. Wątpił, by coś takiego mogło się stać przypadkiem. Cóż, jeśli naprawdę nie zamierzała ze

sobą skończyć, jak go zapewniała, to pozostawały tylko dwie możliwości: albo została przez kogoś otruta, wykorzystana w jakimś niecnym celu, a potem porzucona na Drodze do Christchurch, albo (tu Pritchard powoli kiwnął głową) blefuje. Tak. Kłamała na temat tej bryłki, równie dobrze mogłaby zatem także skłamać, że przedawkowała. Tylko po co? Kogo kryje? I w jakim celu?

Lekarz z Hokitika potwierdził, że Anna istotnie zażyła bardzo dużą dawkę opium wieczorem 14 stycznia: jego oświadczenie w związku z tą sprawą zostało opublikowane w „Czasie Zachodniego Wybrzeża” dzień po procesie Anny. Czy mogło jej się udać oszukać lekarza albo nakłonić go, żeby rozpowszechnił fałszywą diagnozę? Pritchard zastanawiał się nad tym. Anna przebywała w więzieniu przez ponad dwanaście godzin i w tym czasie z pewnością poszturchiwali ją i obmacywali najróżniejsi mężczyźni, czego świadkiem było wiele osób. Prawie na pewno nie udałoby się jej nabrać ich wszystkich. Prawdziwej utraty przytomności nie można udawać, pomyślał. Nawet dziwka nie może być tak dobrą aktorką.

No dobrze: więc może opium zostało jednak zatrute. Odwrócił dłonie grzbietem do dołu i przyglądał się liniom papilarnym na opuszkach swoich palców – jego lewa ręka stanowiła lustrzane odbicie prawej. Gdy stykał ze sobą palce obu dłoni, tworzyły idealnie podwójne odbicie, jak wówczas kiedy człowiek dotyka czołem lustro. Nachylił głowę, chcąc się bliżej przypatrzeć swoim liniom papilarnym. On sam z pewnością nie dodał niczego do opium i w gruncie rzeczy nie podejrzewał Chińczyka o coś takiego. Sook lubił Annę. Nie, to niemożliwe, żeby Sook Yongsheng chciał wyrządzić jej krzywdę. Cóż, to by oznaczało, że narkotyk musiał zostać zatruty albo zanim Pritchard kupił go w hurcie, albo później, gdy Anna wzięła bryłkę od Aha Sooka, żeby wypalić ją w domu.

Wszystkie opiaty dostarczał Pritchardowi niejaki Francis Carver i aptekarz zaczął o nim myśleć. Carver siedział kiedyś w więzieniu i dlatego nie cieszył się dobrą opinią, ale wobec Pritcharda zawsze był grzeczny i uczciwy, aptekarz nie miał zatem powodu myśleć, że Carver mógłby chcieć zaszkodzić jemu czy jego interesom. Co do tego, czy źle życzył Chińczykom, Pritchard nie miał pojęcia – ale kapitan nie dostarczał im towaru bezpośrednio. Sprzedawał go Pritchardowi i tylko jemu.

Poznał Carvera w kasynie na ulicy Revella mniej więcej przed siedmioma miesiącami. Pritchard był zapalonym hazardzistą i właśnie zbierał siły przed kolejną rundą gry w kości, podliczając w myślach, ile już przegrał, gdy obok niego usiadł jakiś człowiek z blizną na twarzy. Pritchard zapytał go uprzejmie, czy lubi grę w kości i co sprowadza go do Hokitika. Wkrótce pograżyli się w rozmowie. Kiedy po jakimś czasie aptekarz powiedział mu, czym się zajmuje, rysy Carvera wyostrzyły się. Odstawił swojego drinka i wyjaśnił, że od dawna współpracuje z pewnym dawnym pracownikiem Kompanii Wschodnioindyjskiej, który jest w Bengalu nadzorcą plantacji maku, służącego do wytwarzania opium. Jeśli zatem Pritchard potrzebuje tego narkotyku, Carver może mu zagwarantować dostawę towaru o niezrównanej jakości, bez ograniczeń. W tamtym czasie Pritchard nie miał w ogóle zapasu opium, jeśli nie liczyć słabych roztworów laudanum, które kupił od jakiegoś znachora, bez wahania

podziękował zatem Carverowi, uściślił mu dłoń i umówił się z nim na spotkanie rano, by ustalić warunki transakcji.

Od tamtej pory Carver sprzedał aptekarzowi już w sumie trzy funty opium. Nie chciał dostarczać więcej niż funt na raz, a to dlatego (jak szczerze wyjaśnił), że bardzo oszczędnie wyzbywał się swoich zapasów i nie mógł dopuścić do tego, aby Pritchard odsprzedawał hurtowe ilości narkotyku innym handlarzom, w ten sposób zarabiając dodatkowo na pośrednictwie. (Choć oczywiście sprzedając towar Ahowi Sookowi, Pritchard zarabiał właśnie jako pośrednik – Carver nie wiedział jednak o umowie aptekarza z Chińczykiem, bo rzadko bywał w Hokitika, a Pritchard nie zadał sobie trudu, by się do niej przyznać). Zbrylone opium przychodziło zawinięte w papier i wciśnięte do blaszanej puszki, przypominającej pojemnik na herbatę.

Pritchard sięgnął po leżący na stole laboratoryjnym gwóźdź i zaczął sobie czyścić nim paznokcie, zauważając przy tym, że są już dosyć długie.

Czy Carver naprawdę ośmieliłby się zatruć opium przed odsprzedaniem go właścicielowi wielkiej apteki? Pritchard mógł sproszkować narkotyk i wykorzystać go do produkcji laudanum, odsprzedawać go w kawałkach wielu klientom, a wreszcie – sam wypalić całe opium. To prawda, że Carvera łączyła pewna nieprzyjemna historia z Anną, której wyrządził kiedyś wielką krzywdę. Ale nawet jeśli chciałby ją zabić, pozorując przedawkowanie, to nie miał żadnej gwarancji, że zatruta bryłka trafi do rąk dziewczyny. Pritchard skrzywił w palcach kuleczkę brudu. Nie: to absurd myśleć, że ktoś mógłby wpaść na pomysł, w którym było tyle niewiadomych. Carver jest chamem i łotrem, ale nie głupcem.

Odrzuciwszy tę teorię, aptekarz zaczął rozważać drugą możliwość: narkotyk został zatruty dopiero po tym, jak Anna Wetherell dostała swoje opium od Aha Sooka, by wypalić je spokojnie w domu. Może ktoś zakradł się do jej pokoju w hotelu Ruszt i tam dodał trucizny do narkotyku. Ale znów – po co w ogóle zawracać sobie głowę zatrutowaniem opium? Dlaczego nie zabić dziwki w bardziej konwencjonalny sposób, czyli udusić ją albo pobić?

Pokonany Pritchard wrócił myślami do tego, o czym instynktownie wiedział, że jest prawdą. Był przekonany, że Anna Wetherell nie powiedziała mu wszystkiego o wydarzeniach czternastego stycznia. Wiedział, że ktoś niedawno palił opium w tej fajce, którą schowała w pokoju. Wiedział, że sama przestała zażywać narkotyk – widząc jej oczy i ruchy, nie miał wątpliwości, że pod tym względem dziewczyna jest czysta jak łąza. Dlatego zdaniem Pritcharda wszystko to mogło prowadzić tylko do jednego wniosku.

– Niech to licho porwie – szepnął. – Ona kłamie... i to dla jakiegoś mężczyzny.

Popołudnie mijało mu na takich rozmyślaniach.

Ponieważ nie miał nic lepszego do roboty, sięgnął po niezrealizowane zamówienia i zaczął nad nimi pracować. Nie zdawał sobie sprawy z upływu czasu i dopiero na skutek cichego pukania do drzwi powrócił do rzeczywistości. Odwrócił się – zauważając z niewyraźnym

zdziwieniem, że światło już mocno przygasło i zbliża się zmierzch – a potem zobaczył Alberta, niższego rangą pracownika Nilssena, jak ze speszoną miną stoi w progu, wstrzymując oddech. W ręku trzymał list.

– O, jest coś od Nilssena – powiedział Pritchard, podchodząc do Alberta.

Zupełnie zapomniał o swojej rozmowie z agentem handlowym i o skierowanej do niego prośbie, żeby odszukał przetapiacza, Quee’ego, i wypytał go o sztabki złota znalezione w posiadłości Crosbiego Wellsa. Aptekarz kompletnie zapomniał też o zmarłym – o jego majątku, wdowie oraz o zaginionym panu Stainesie. Jak cicho kręci się świat, kiedy człowiek rozmyśla w samotności.

Pritchard szukał w kieszeni fartucha sześciopensówki.

– Nie trzeba, łaskawy panie... – wyjąkał Albert, czerwieniąc się, po czym podniósł dłonie, chcąc pokazać, że za wynagrodzenie wystarczy mu zaszczyt doręczenia przesyłki.

Prawdę powiedziawszy, Albert był pewien, że równie ekscytującego popołudnia nie przeżył jeszcze nigdy w życiu. Jego chlebodawca, który wrócił z Kaniere mniej więcej przed półgodziną, znajdował się w stanie takiego poruszenia, że o mało nie wyrwał drzwi z zawiasów. List, który Albert przyniósł Pritchardowi, Nilssen napisał z taką pasją jak kompozytor pracujący nad symfonią w aliansie ze swoją żoną. Zakleił wiadomość nierówno, oparzył się woskiem, zaklął, a potem wcisnął krzywo złożony i pofałdowany list Albertowi, mówiąc chrapliwym głosem: „Pritchard... Zanieś to jak najszybciej Pritchardowi”. W zaciszu poczekalni aptekarza, tuż przed wejściem do laboratorium, Albert odgiął brzegi listu tak, by utworzyły coś w rodzaju tuby, a potem zajrzał do środka i odczytał kilka słów, choć wydawało mu się, że popełnia w ten sposób wyjątkowo poważne przestępstwo. I przeszył go dreszcz na myśl, że jego pracodawca knuje coś złego.

– Doskonale, no to... dzięki – powiedział Pritchard, biorąc list od posłańca. – Czy masz zanieść Nilssenowi odpowiedź?

– Nie, łaskawy panie – odparł chłopak. – Ale pan Nilssen kazał mi zaczekać i zobaczyć, jak pali pan ten list po przeczytaniu.

Pritchard parsknął śmiechem. To bardzo charakterystyczne dla agenta handlowego: najpierw się dąsał, narzekał, jakie to wszystko jest zagmatwane, potem marudził, a następnie usiłował zdjąć ze swoich barków wszelką odpowiedzialność – ale kiedy tylko stawał się aktywnym uczestnikiem wydarzeń, zaczynał czuć się ważny i potężny, zawsze urządzał teatr, odstawiał przedstawienie spod znaku płaszcza i szpady i rozkoszował się nim chełpliwie.

Pritchard cofnął się o kilka kroków (Albert zrobił rozczarowaną minę), złamał pieczęć, wygładził kartkę na biurku w laboratorium i pochylił się nad nią.

odwiedziłem Quee'ego, tak jak o to prosiłeś. Miałeś rację co do tego złota, to on je przetopił, chociaż przysięga, że nie wie, jak się znalazło u Wellsa. Ta dziwka jest w to jakoś zamieszana, może już o tym wiesz, chociaż nie jesteśmy w stanie rozwikłać tej zagadki – ani znaleźć jej autora, jak się wyraziłeś. Wygląda na to, że po trosze wszyscy są w pewien sposób uwikłani w tę sprawę. Za wiele by o tym pisać, zaproponowałem więc naradę. Chińczykom też. Spotkamy się w sali na tyłach hotelu Korona, o świcie. Dopilnuję, żeby nikt nam nie przeszkadzał. Nie mów o tym nikomu, nawet tym, którym ufasz i którzy są ustosunkowani, a mogą pewnego dnia zasiąść obok nas na ławie oskarżonych. Bądź tak dobry i zniszcz ten list...

H.N.

KSIĘŻYCA PRZYBYWA W BYKU

Rozdział, w którym Charlie Frost formułuje pewne domysły, a Dick Mannering przypina swoją kaburę, po czym udajemy się w górę rzeki, na złotonośne działki w Kanierie

Poranna wizyta Thomasa Balfoura w Banku Rezerw Nowej Zelandii z kilku powodów wzbudziła ciekawość bankowca, dlatego kiedy tylko Balfour wyszedł, pan Frost natychmiast postanowił samemu zasięgnąć języka tu i ówdzie. Ciągłe trzymał w ręku dokumentację udziałów w kopalni złota Aurora, której właścicielem i kierownikiem był zaginiony poszukiwacz kruszcu, Emery Staines. Aurora, myślał Frost, postukując smukłym palcem w dokument. Aurora. Pamiętał, że niedawno widział gdzieś tę nazwę – tylko gdzie? Po chwili wstał ze stołka i podreptał do gabloty, stojącej naprzeciwko jego boksu, w której tkwił szereg oprawnych w skórę ksiąg, opatrzonych na grzbietach napisem „Kwartalna stopa zwrotu”. Wybrał księgi za trzeci i czwarty kwartał ubiegłego roku i wrócił za biurko, by przejrzeć dane z kopalni.

Charlie Frost nie był osobą powszechnie znaną, bo nie za bardzo miał się czym pochwalić – był człowiekiem cichym, ubierał się skromnie, wyglądał łagodnie i bez względu na to, jak go prowokowano, na ogół nie miał ochoty zakłócać nikomu spokoju. Kiedy się odzywał, mówił powoli i starannie dobierał słowa. Rzadko śmiał się na głos, a chociaż poruszał się ospale i spokojnie, zawsze wydawał się zachowywać czujność, jak gdyby nieustannie pamiętał o jakiejś zasadzie *savoir-vivre*'u, której inni mężczyźni już nie przestrzegali. Nie lubił się przyznawać do swoich preferencji ani przemawiać przez dłuższy czas i nigdy nie zdradzał swoich zamiarów w rozmowach. Co nie znaczy, że nie snuł żadnych planów albo że miał nieliczne preferencje; przeciwnie, jego życie prywatne regulowały wyjątkowo niezmiennie rytuały, ambicje zaś Frost miał niebywale konkretne. Po prostu nauczył się, że warto wyglądać niepozornie. Poznał ukrytą siłę bezpretensjonalności (była potężna, wzbudzała bowiem zainteresowanie otoczenia) i posługiwał się nią niczym wielki strateg, chociaż jednocześnie szalenie dbał o to, aby ukrywać ten talent. Przy pierwszym spotkaniu z nim wszyscy nieznajomi bez wyjątku odnosili wrażenie, że Charlie Frost raczej reaguje, niż działa, że jest człowiekiem, który podlega innym w interesach, jest uwodzony w miłości i pozostaje niezłomnie umiarkowany we wszystkich swoich przyjemnościach.

Frost liczył sobie zaledwie dwadzieścia cztery lata i urodził się w Nowej Zelandii. Jego ojciec był wysokim rangą pracownikiem w rozwiązanej już Kompanii Nowozelandzkiej, który wysiadłszy na ląd u ujścia rzeki Hutt, gdzie znalazł wielką połąć równinnej ziemi, którą można było podzielić i sprzedać, natychmiast posłał do kraju po swoją żonę.

Frost nie był dumny z miejsca swoich urodzin, albowiem jak na białego człowieka miał rzadko spotykane obywatelstwo i uważał je za upokarzające. Nie opowiadał żadnych historii ze swojego dzieciństwa, które spędził na bagnistej równinie Doliny Hutt, czytając w kółko wyświechtany ojcowski egzemplarz *Raju utraconego*, jedyną książkę oprócz Biblii, którą

posiadali jego rodzice. (Jako ośmiolatek potrafił wyrecytować z pamięci wszystkie monologi Pana Boga, Syna Bożego i Adama, chociaż nie Szatana, którego uważał za awanturnika, i nie Ewy, która wydawała mu się słaba i nudna). Nie miał nieszczęśliwego dzieciństwa, mimo że czuł się nieszczęśliwy, kiedy je wspominał, a mówiąc o Anglii, zachowywał się tak, jak gdyby bardzo tęsknił za tym krajem i nie mógł się doczekać, kiedy do niego powróci.

Po rozwiązaniu Kompanii Nowozelandzkiej Frost senior znalazł się na skraju bankructwa i w niesławie. Zwrócił się więc o pomoc do swojego jedyne go syna. Charlie Frost dostał pracę jako skryba w Wellington, a wkrótce zaproponowano mu posadę w banku w dzielnicy Lambton, w którym zarabiał wystarczająco dużo, aby utrzymać rodziców i zapewnić im zdrowe oraz stosunkowo wygodne życie. Kiedy w Otago zostało odkryte złoto, Frost przeniósł się do banku w Lawrence, obiecując ojcu i matce, że co miesiąc będzie przysyłał do domu prywatną pocztą większą część swoich zarobków – i dotrzymywał słowa. Ani razu nie odwiedził jednak Doliny Hutt i nie zamierzał tam wracać. Charlie Frost na ogół budował swoje relacje z ludźmi, kierując się kategoriami zysku i stopy zwrotu, i nie zaprzętał sobie głowy cudzymi sprawami, jeżeli uznał, że spełnił swój obowiązek. Pracował teraz w Hokitika (ponieważ podążył szlakiem gorączki złota z Lawrence na Zachodnie Wybrzeże) i wcale nie myślał już o swoich rodzicach, najwyżej raz w miesiącu, gdy pisał do nich list. Miał trudne zadanie, bo listy jego ojca były gwałtowne, zwięzłe i poniżające dla autora, a listy matki pełne zdziwionego milczenia. Smuciło to Charliego Frosta, ale nie na długo. Po napisaniu i wysłaniu odpowiedzi ciął listy rodziców na paski, których używał do zapalania cygar. Kroił papier wzdłuż, aby maksymalnie wykorzystać jego potencjał, i palił fidybusy z niewzruszoną obojętnością.

Przeglądał stopy zwrotów, aż znalazł dział dotyczący Kaniere i wąwozu Hokitika. Rejestr prowadzono alfabetycznie, a Aurora była na drugim miejscu, pod działką, której jak na Zachodnie Wybrzeże nadano dosyć optymistyczną nazwę: Cztery Pory Roku. Frost nachylił się bliżej nad kartką, żeby odczytać liczby, i chwilę później zamruczał ze zdziwieniem.

Zaledwie w miesiąc po nabyciu działki Aurora doskonale dawała sobie radę, przynosząc zyski w wysokości niemal stu funtów, które jednak już w sierpniu spadły bardzo znacząco, aż wreszcie – Frost uniósł brwi – zmalowały właściwie do zera. W ostatnim kwartale dochody wyniosły jedynie dwanaście funtów. Tylko funt tygodniowo! Było to bardzo dziwne, zważywszy, jak głęboką i obiecującą kopalnią była Aurora. Funt tygodniowo – ależ to z trudem wystarczyłoby na pokrycie kosztów jej utrzymania, pomyślał Frost. Pochylił się nad księgą jeszcze niżej. Z dokumentów wynikało, że działkę obsługiwał tylko jeden człowiek. Nosił chińskie nazwisko, a zatem robocizna byłaby tania... Ale mimo to, pomyślał Frost, kopaczowi trzeba przecież płacić dniówki.

Charlie Frost zmarszczył czoło. Według informacji udziałowych Emery Staines przejął kopalnię Aurora późną jesienią ubiegłego roku. Wyglądało na to, że kilka tygodni później odsprzedał pięćdziesiąt procent udziałów cieszącemu się złą sławą Francisowi Carverowi, ale zaraz po przeprowadzeniu tej transakcji, jak wynikało z dokumentów, złota na działce

zaczęło nagle brakować. Albo Aurora nieoczekiwanie stała się nierentowna, właściwie nic niewarta, albo ktoś bardzo skutecznie się postarał, by na to wyglądało.

Frost zamknął księgę i przez chwilę stał w bezruchu, zastanawiając się. Obrzucił spojrzeniem tłum w banku: poszukiwacze złota w charakterystycznych kapeluszach, których połowa runda była zgięta w dół, inwestorzy i strażnicy z plecionymi epoletami na ramionach. Nagle przypomniał sobie, gdzie widział już to nazwisko.

W okienku swojego boksu umieścił kartkę z informacją, że stanowisko jest zamknięte.

– Bierzesz dzień wolny? – zapytał jeden z kolegów.

– Chyba tak – odrzekł Frost, mrugając powiekami. – Nie myślałem, że tak zrobię, zamierzałem wrócić do banku po lunchu.

– Zamykamy o drugiej, a dzisiaj nie będzie już kupna, jak skończymy z tymi tutaj – powiedział drugi bankowiec. Wyprężył grzbiet i poklepał się rękami po brzuchu. – A więc chyba do zobaczenia już w poniedziałek, Charlie!

– No tak! – mruknął Frost, zaglądając do swojego kapelusza, jak gdyby nagle się zdumiał, że trzyma go w ręce. – To bardzo miło z twojej strony. Bardzo ci dziękuję.

Φ

Dick Mannering był sam w swoim biurze, gdy Frost zapukał do drzwi. Na ten odgłos pies Manneringa – suczka rasy collie – wypadł spod biurka w eksplozji radosnej energii i rzucił się na gościa, otwierając swoją czerwoną mordkę i bijąc ogonem w podłogę.

– Charlie Frost! Akurat ciebie się nie spodziewałem! – wykrzyknął Mannering, odsuwając krzesło. – Wejdz, wejdz... I zamknij drzwi. Mam przeczucie, że cokolwiek zamierzasz mi powiedzieć, nie jest przeznaczone dla cudzych uszu.

– Siad, mała – Frost zwrócił się do psa, łapiąc go za pysk, patrząc mu w oczy i drapiąc za uszami. Zadowolona suka opadła na cztery łapy i podreptała z powrotem do swojego pana, gdzie odwróciła się, położyła, wsparła łeb na łapach i przyglądała się Frostowi żalonym wzrokiem spod futrzastego czoła.

Zamknął drzwi, spełniając prośbę Manneringa.

– Jak się masz, Dick?

– Jak się mam? – Mannering rozłożył ręce. – Jestem zaintrygowany, Charlie. Wiesz o tym? Ostatnio zrobiłem się szalenie ciekawski. Interesuje mnie cała kupa różnych spraw. Wiesz, że Staines się nie pokazał... Nigdzie. Poszliśmy nawet do wąwozu z Hollie, choć marny z niej pies myśliwski. Dałem jej do powąchania jego chusteczkę i od razu poleciała przed siebie, ale szybko wróciła z niczym. Tak, jestem bardzo zaintrygowany. Naprawdę mam nadzieję, że przynosisz jakieś wiadomości. Albo chociaż opowieść o jakimś skandaliku, jeżeli nie masz żadnych informacji. Daję słowo, to były naprawdę niezwykle dwa tygodnie! Zdejmij płaszcz...

Tak... Och, nie przejmuj się deszczem. To tylko woda, a jeden Pan Bóg wie, że powinniśmy się byli już do niej przyzwyczać.

Pomimo tych słów otuchy Frost powiesił płaszcz uważnie, tak by nie dotykał okrycia Manneringa i żeby woda nie skapywała na jego piękne czarne buty, stojące pod wieszakiem. Były wypolerowane i tkwiły w nich szwskie kopyta. Potem bankowiec z niejaką ostrożnością zdjął kapelusz.

– Psia pogoda – powiedział.

– Siadaj, siadaj – odrzekł Mannering. – Napijesz się brandy?

– Jeśli ty się napijesz, to ja też – odparł Frost, który zawsze odpowiadał w ten sposób, gdy częstowano go czymś do jedzenia lub picia. Usiadł, kładąc otwarte dłonie na kolanach, i zaczął się rozglądać.

Biuro Manneringa mieściło się nad foyer Opery Księcia Walii. Ponad pasiastą markizą teatru rozciągał się stąd piękny widok na ulicę Revella i dalej, na otwarty ocean, widoczny między fasadami domów w postaci niebieskoszarej, czasami zielonkawej, a dzisiaj wskutek deszczu także białozółtej smugi, woda przybrała bowiem barwę nieba.

Urządzenie gabinetu świadczyło o zamożności Manneringa, bowiem nie tylko zarządzał operą, lecz również czerpał zyski ze stręczycielstwa, był szulerem, udziałowcem w różnych przedsięwzięciach i bogaczem, właścicielem wielu złotodajnych pól. We wszystkim, czym się zajmował, odznaczał się cudowną smyką do robienia pieniędzy, zwłaszcza gdy mógł zarobić na cudzych słabościach i grzeszkach: było to wyraźnie widać po wystroju biura. Ściany wyłożono tapetą, szafki były olejowane, a podłogę pokrywał gruby turecki dywan. Ceramiczne popiersie w stylu rzymskim służyło jako popatrująca spode łba podpórka na książki. W pudełku pod oknem tkwiły trzy czarne motyle wielkości dłoni dziecka. Za biurkiem wisiał gustowny pejzaż akwarelowy w złotej ramie, przedstawiający wysoki klif, ukośne promienie słońca i tylko nieznacznie zarysowane liście o fioletowym odcieniu, a w mglistej dali bladą falę tęczy, wyłaniającej się z chmury. Charlie Frost pomyślał, że to bardzo piękne dzieło sztuki, które wyjątkowo dobrze świadczy o guście właściciela. Zawsze się cieszył, kiedy przychodził mu do głowy jakiś powód, żeby odwiedzić swojego starszego wiekiem znajomego, bo wtedy mógł usiąść w fotelu – w tym, w którym właśnie siedział – przyglądać się temu obrazowi i wyobrazić sobie, że jest w jakimś wspaniałym i bardzo odległym miejscu.

– Tak, ostatnie dwa tygodnie to było naprawdę coś – mówił Mannering. – A teraz odeszła jeszcze moja najlepsza kurwa, oświadczając mi, że jest w żałobie! Cholerne z nią utrapienie, powiadam ci. Zaczynam już myśleć, że może straciła rozum. To dla mnie prawdziwy cios, bo tracę najlepszą dziwkę. Prawdziwy cios. Wiesz, że to ona była z Emerym tej nocy, kiedy zniknął?

– Panna Wetherell... I pan Staines? – Frost zacisnął dłonie na przypominających kształtem

zwoje poręczach fotela i zaczął przesuwać palcami po ich rzeźbionych rowkach.

Dla Charliego Frosta piękno oznaczało mniej więcej tyle samo, ile wytworność. W jego pojęciu kobieta idealna to taka, która pracuje nad sobą, jest biegła w sztuce haftowania, gra na pianinie i suszy w książkach liście. Śpiewa słodko, czyta cicho i waha się, zanim wypowie jakąkolwiek opinię. Jest czarującym i bezcennym bibelotem, a najbardziej na świecie uwielbia być kochaną. Anna Wetherell nie miała żadnej z tych cech, choć trzeba przyznać, że w niczym nie przypominała owej fantastycznej postaci z wyobrażeń Frosta, co nie znaczy, że nic go nie obchodziła albo że nie miał z nią przyjemności, podobnie jak inni mężczyźni. Wyobrażając sobie teraz Annę i Stainesa razem, poczuł lekkie zażenowanie – prawie niesmak.

– O tak – rzekł Mannering, wyciągając kryształowy korek z szyjki karafki i mieszając brandy. – Wykupił ją na całą noc i niech szlag trafi konstabla czy tego kogoś, kto tam wtedy przyszedł i zapukał do drzwi! A Staines zabrał ją do swojego domu! On nie będzie korzystał z podłych hoteli! Wiedział, kogo chce. Oświadczył, że to musi być ona, nie Kate ani Lizzie, tylko Anna. A potem rano ona ledwie zipie, a jego nigdzie nie ma. Łamię sobie nad tym głowę, Charlie. A Anna oczywiście nie jest mi żadną pomocą. Powiada, do cholery, że nie pamięta kompletnie nic z tego, co się stało, nim doszła do siebie w więzieniu, i kiedy patrzę na głupi wyraz jej twarzy, mam ochotę nawet w to uwierzyć. To moja najlepsza kurwa, Charlie... Niech diabeł porwie ten jej narkotyk, niech diabeł go sobie weźmie. Chcesz cygaro?

Frost przyjął zaoferowane mu cygaro, a Mannering schylił się, by przytknąć fidybus do węgli. Papierek był jednak za krótki, spalił się zbyt szybko i Mannering oparzył sobie palce. Klnąc, wrzucił go do paleniska i musiał skrócić kolejny fidybus z kawałka bibuły, minęło więc jeszcze kilka chwil, nim obaj zapalili.

– Ale to wszystko nic w porównaniu z twoimi kłopotami – dodał Mannering, siadając.

Frost zrobił zbolaną minę.

– Moje kłopoty, jak się wyraziłeś, zostały przewyciężone.

– Moim zdaniem wcale nie – rzekł Mannering. – Bo w czwartek przyjechała przecież ta wdowa i teraz o aferze gada całe miasto! Powiem ci, jak to wygląda z mojego punktu widzenia. Otóż wydaje się bardzo prawdopodobne, że wiedziałeś, że złoto podrzucił ktoś odludkowi do chatki, a kiedy umarł, dopilnowałeś, do diabła, by jak najszybciej sfinalizować jej sprzedaż.

– To nieprawda – odpowiedział bankowiec.

– Wygląda na to, że jesteście współnikami i tkwicie w tym razem po uszy, Charlie – ciągnął Mannering. – Ty i Clinch. Wiesz, że sprowadzą sędziego. Przyślą kogoś z Sądu Najwyższego. Tego rodzaju sprawy nie przysychają tak po prostu. Wszyscy zostaniemy w to wmieszani, będą nas pytać, gdzie byliśmy w nocy 14 stycznia i tak dalej, więc lepiej ustalmy, jak zeznawać, zanim do tego dojdzie. O nic cię nie oskarżam, po prostu mówię, jak to wygląda z mojej perspektywy.

W słowach Manneringa często pojawiała się władcza, autorytarna i absolutna nuta, był bowiem niezachwianie pewny siebie. Nie umiał widzieć świata inaczej niż jako jego władca i uwielbiał perorować. Pod tym względem był radykalnym przeciwieństwem swojego gościa, który trochę go irytował, albowiem chociaż Mannering wolał przebywać w towarzystwie osób mu uległych, to ci, o których sądził, że nie są godni jego uwagi, wzbudzali w nim rozdrażnienie. Był bardzo wielkoduszny wobec Charliego Frosta, zawsze częstował go brandy i cygarami i dawał mu bilety na balkon na wszystkie przedstawienia, ale od czasu do czasu cicha rezerwa młodzieńca działała mu na nerwy. Mannering miał zwyczaj wyznaczać swoim akolitom role i klasyfikować ich tak, jak klasyfikuje się ludzi podług ich zawodów, nadając im miano „doktora” albo „kaprała”. Te etykiety, którymi posługiwał się wyłącznie w myślach, nigdy na głos, definiowały ludzi wyłącznie na podstawie relacji łączących ich z Manneringiem, który traktował wszystkich właśnie w ten sposób: jako własne odbicie, naturalnej wielkości albo pomniejszone.

Jak już wspomnieliśmy, Mannering cierpiał na poważną otyłość. W wieku dwudziestu lat był już zażywny, a jako trzydziestolatek miał spore brzuszysko. Kiedy dobił do czterdziestki, zrobił się niemal idealnie okrągły i ku swojej konsternacji musiał prosić o pomoc, kiedy chciał dosiąść konia lub z niego zejść. Zamiast przyznać, że tusza przeszkadza mu w codziennym życiu, Mannering winił podagrę, na którą wprawdzie nigdy nie był chory, ale której nazwa brzmiała, jego zdaniem, niewątpliwie arystokratycznie. Bardzo lubił, kiedy ludzie brali go za arystokratę, co zdarzało się niezwykle często, nosił bowiem gęste bokobrody, miał jasną cerę i lubił kosztowne stroje. Tego dnia spał fontaż złotą szpilą, a jego kamizelka (której guziki były dość mocno napięte) pyszniła się karbowanymi kłapami.

– W niczym nie tkwimy razem – odpowiedział Frost. – W ogóle nie wiem, o co ci chodzi.

Mannering pokręcił głową.

– Widzę, że znaleźliście się w kropce, Charlie... Widzę! Ty i Clinch. Jeśli dojdzie do procesu, a wiesz, że to może się zdarzyć, to będziesz musiał wyjaśnić, dlaczego sprzedaż domku przeprowadzono tak szybko. To podstawowa kwestia, w której musicie się zgadzać. Nie sugeruję wam krzywoprzysięstwa, po prostu twierdzę, że wasze zeznania będą musiały brzmieć zgodnie. Czego szukasz? Pomocy? Potrzebujesz alibi?

– Alibi? – powiedział Frost. – A po co, na Boga?

– Nie udawaj – odpowiedział Mannering, po ojcowsku grożąc Frostowi palcem. – Nie mów mi, że czegoś nie knuliście. Wystarczy popatrzeć, jak szybko przeprowadzono sprzedaż majątku Wellsa!

Frost popił brandy.

– Nie powinniśmy rozmawiać o tym tak beztrósco. Nie w sytuacji, w której chodzi też o innych ludzi.

(To była kolejna z jego strategii: zawsze niechętnie wyjawiać tajemnice).

– Do diabła z innymi ludźmi! – wykrzyknął Mannering. – Do diabła z tym, co powinniśmy, a czego nie powinniśmy robić! O co tutaj chodzi? Przyznaj się!

– Powiem ci. Ale nie złamałem prawa – odpowiedział Frost nie bez zadowolenia, bo właściwie bardzo lubił oznajmiać, że nie jest niczemu winny. – Transakcja była całkowicie legalna i absolutnie prawidłowa.

– W takim razie jak to wytłumaczysz?

– Co?

– Jak doszło do tego wszystkiego!

– Łatwo to wyjaśnić – odparł spokojnie Frost. – Kiedy Crosbie Wells umarł, Ben Löwenthal dowiedział się o jego śmierci niemal od razu, bo poszedł zrobić wywiad z tym politykiem natychmiast, gdy ten pojawił się w mieście. Chciał rano dać do gazety dodatek specjalny. A ten jegomość od polityki... Nazywa się Lauderback, Alistair Lauderback... No więc ten facet przyjechał wtedy właśnie prosto z chatki Wellsa. To on znalazł nieżywego Crosbiego i oczywiście opowiedział o wszystkim Löwenthalowi.

– Szczwany Żyd – powiedział Mannering z niejaką rozkoszą. – Żydzi zawsze potrafią się znaleźć we właściwym czasie i miejscu, co?

– Chyba tak – odparł Frost, bo nie chciał ani potwierdzić, ani zaprzeczyć. – Ale jak już mówiłem, Löwenthal dowiedział się o śmierci Wellsa jako pierwszy, jeszcze zanim do domku przyjechał koroner.

– Löwenthalowi nie przyszło jednak do głowy, by kupić ten majątek – powiedział Mannering. – Żeby kupić ziemię Wellsa.

– Nie. Ale wiedział, że Clinch szuka okazji do inwestycji, poszedł mu więc na rękę i podzielił się z nim tą informacją. To znaczy powiedział mu, że posiadłość Wellsa będzie wkrótce wystawiona na sprzedaż. A Clinch przyszedł do mnie następnego ranka, przyniósł wadium i zgłosił chęć kupna tej ziemi. To wszystko.

– Na pewno nie – rzekł Mannering.

– Zapewniam cię, że tak – powiedział Frost.

– Potrafię czytać między wierszami, Charlie – odparł Mannering. – Poszedł mu na rękę? Z dobroci swojego miłosiernego serca, tak? Na pewno nie on. Na pewno nie Löwenthal. To był cynk, i to o cholernie wielkim skarbie. Zaplanowali to razem, Löwenthal i Clinch. Założę się o swój kapelusz.

– Jeżeli nawet tak było – odpowiedział Frost, wzruszając ramionami – to ja na pewno nic a nic o tym nie wiem. I mówię ci, że sprzedaż domku odbyła się całkiem legalnie.

– Legalnie, powiada mi bankowiec! Ale nie odpowiedziałeś jeszcze na moje pytanie. Dlaczego to się stało tak cholernie szybko?

Frost był nieporuszony.

– Po prostu dlatego, że nie stała nam na przeszkodzie papierkowa robota. Crosbie Wells nic nie miał, żadnego długu, ubezpieczenia ani spraw, które trzeba by załatwić. Żadnych dokumentów.

– Nie miał dokumentów?

– Przynajmniej nie było ich w domku. Nie znaleziono świadectwa urodzenia, biletu ani licencji na poszukiwanie złota. Niczego.

Mannering przekręcił cygaro w palcach.

– Nie miał dokumentów – powtórzył. – Jak myślisz dlaczego?

– Nie wiem. Może je zgubił.

– Jak można zgubić swoje dokumenty?

– Nie wiem – odparł znów Frost. Nie lubił, kiedy próbowano go przymusić, żeby wyraził swoją opinię.

– Może ktoś je spalił. Pozbył się ich.

Frost lekko zmarszczył brwi.

– Kto?

– Ten facet od polityki – powiedział Mannering. – Lauderback. On pierwszy był na miejscu, może jest jakoś w to zamieszany i powiedział Löwenthalowi o tej fortunie ukrytej w domku. Prawdopodobnie ją znalazł, poinformował o niej Löwenthala, a ten Clincha! Ale to głupie – dodał bogacz, obalając własną hipotezę. – Bo co on by z tego miał? I nie byłoby z tego nic dla Żyda. Chyba że każdy dostał gdzieś po drodze swoją działkę...

– Nikt nie dostał żadnej działki – odpowiedział Frost. – Skarb spoczywa na przechowaniu w banku. Nikt go nie może tknąć. Przynajmniej dopóki nie wyjaśni się ta historia z wdową.

– O tak... Wdowa – powiedział Mannering z widomą przyjemnością. – To dopiero ciekawe! Co ty o tym sądzisz? Jest moją znajomą, wiesz? Znajomą. Panieńskie nazwisko Greenway. Nie znałem jej wcześniej jako pani Wells. Dla mnie była dotąd panią Greenway. Jak podoba ci się ta kobieta, Charlie?

Frost wzruszył ramionami.

– Dokumenty świadczą na jej korzyść – powiedział. – Jeśli świadectwo ślubu okaże się autentyczne, to sprzedaż zostanie unieważniona, a majątek przypadnie jej. Teraz wszystko jest w rękach biurokratów.

– Ale ja spytałem, czy ona ci się podoba.

Frost sprawiał wrażenie zirytowanego.

– Ma piękną figurę – powiedział. – Uważam, że jest bardzo atrakcyjna. – W kącik ust wcisnął cygaro i przygryzł je zębami, przez co wyglądał tak, jakby się krzywił.

– Atrakcyjna to ona jest, owszem – powiedział radośnie Mannering. – Och, jaka atrakcyjna! Gra na mężczyznach niczym na fortepianie, a jaki ma repertuar, słowo daję! Przypuszczam, że to się właśnie przydarzyło temu biednemu, staremu Crosbiemu Wellswi. Ograła go jak wszystkich.

– Nie potrafię zrozumieć ich związku – przyznał Frost. – Co taki starzec jak Crosbie Wells miałby do zaoferowania... No, nawet przeciętnej kobiecie, nie mówiąc już o piękności? Nie pojmuję, co ona w nim widziała, choć oczywiście doskonale wiem, co on widział w niej.

– Zapominasz o majątku Wellsa – zauważył Mannering, kiwając palcem. – Pieniądze to najsilniejszy ze wszystkich afrodyzjaków! Lydia na pewno wyszła za starego Crosbiego dla pieniędzy, które on potem ukrył, a jej nie pozostało nic innego, jak czekać, aż Wells umrze. Jak można to inaczej wytłumaczyć? Zjawiła się po jego śmierci tak szybko, jak gdyby to sobie zaplanowała, wiesz. Och, Lydia Wells to chytra sztuka! Ma oko na pensa, a kładzie rękę na funkcie. Nie złożyłaby nawet zwykłego podpisu, jeśli nie miałyby z tego jakiejś korzyści.

Frost nie odpowiedział od razu, bo reakcja Manneringa przypomniła mu, po co właściwie przyszedł, i pragnął zebrać myśli, zanim wyłuszczy sprawę. Po chwili jednak Mannering zaśmiał się krótko i walnął pięścią w stół.

– Oto w czym rzecz! – zawołał z wielkim zadowoleniem. – Wiedziałem! Wiedziałem, że tak czy owak znalazłeś się w potrzasku... I wiedziałem, że cię wykurzę z ukrycia! No więc, co to jest? Jakie przestępstwo popełniłeś? Na czym polega twój problem? Wydało się, Charlie, widzę to po twojej minie. Chodzi o coś, co ma związek z tym skarbem, czy tak? O coś, co ma związek z Crosbiem Wellsem.

Frost łyknął brandy. Właściwie nie popełnił żadnego przestępstwa, a jednak miał pewien problem, który rzeczywiście wiązał się ze skarbem, jak również z Crosbiem Wellsem. Spojrzenie Frosta prześlizgnęło się ponad ramieniem Manneringa ku oknu i bankowiec znieruchomiał na chwilę, kontemplując widok i zastanawiając się, jak najlepiej wyłożyć sprawę, z którą przyszedł.

Kiedy skarb znaleziony w domku Wellsa został wyceniony przez bank, Edgar Clinch wręczył Frostowi bardzo piękny prezent w uznaniu jego roli w ułatwieniu sprzedaży – czek opiewający na trzydzieści funtów. Otrzymała suma miała nagły i odurzający wpływ na Charliego Frosta, albowiem swoje dochody przeznaczal w głównej mierze na utrzymanie rodziców, z którymi nigdy się nie widywał i których nie kochał. W takiej gorączce ekscytacji, jakiej dotąd nie zaznał w swoim życiu, Frost postanowił wydać całą tę kwotę, i to za jednym zamachem. Nie powiadomił rodziców o swoim łucie szczęścia i wykorzystał owe trzydzieści funtów na własne potrzeby, co do grosza. Wymienił zatem czek na trzydzieści lśniących suwerenów, za które nabył jedwabną kamizelkę, skrzynkę whisky, zestaw oprawnych w skórę książek historycznych, rubinową szpilkę do surduta, pudełko smakowitych importowanych

słodczy i zestaw chusteczek do nosa z monogramem wyhaftowanym na wizerunku róży.

Lydia Wells przybyła do Hokitika kilka dni po tym cudownym uśmiechu losu, a zaraz po przyjeździe odwiedziła Bank Rezerw, gdzie ogłosiła zamiar unieważnienia sprzedaży domku męża oraz jego ruchomości. Frost wiedział, że gdyby anulowanie zostało uznane, musiałby zwrócić owe trzydzieści funtów. Nie mógł odsprzedać jedwabnej kamizelki do sklepu, chyba że już jako używaną. Książki i szpilkę mógł zastawić, ale tylko za ułamek ich wartości. Skrzynkę whisky tymczasem już otworzył, słodczy zjadł, a jaki idiota zechciałby kupić chusteczki z cudzym monogramem? Zważywszy wszystko, miałby szczęście, gdyby udało mu się odzyskać połowę tego, co wydał. Musiałby udać się do jednego z licznych w Hokitika lichwiarzy i błagać o pożyczkę, a potem dźwigałby ten dług miesiącami, może nawet latami – a co najgorsze, musiałby ujawnić całą tę aferę swoim rodzicom. Na myśl o tym robiło mu się słabo.

Nie przyszedł jednak do Manneringa po to, by przyznać się do tego upokorzenia.

– Nie mam żadnych problemów – odparł krótko, spoglądając z powrotem na gospodarza. – Ale domyślam się, że może je mieć ktoś inny. Bo widzisz, ja wcale nie wierzę, że ten skarb należał do Crosbiego Wellsa. Uważam, że został skradziony. – Pochylił się do przodu, by strzepnąć popiół z cygara, i zauważył, że zgasło.

– A niby komu? – zapytał Mannering.

– Właśnie o tym muszę z tobą porozmawiać – powiedział młody bankowiec. Przełożył cygaro do prawej ręki, bo miał w kieszeni sztormowe zapalniczki i chciał je wyciągnąć. – Coś mi przyszło do głowy dzisiaj po południu i chciałem to z tobą omówić. Chodzi o Emery’ego Stainesa.

– Och, nie mam wątpliwości co do tego, że jest w to zamieszany – powiedział Mannering, opierając się wygodniej w fotelu, gdy Frost zaczął powtórnie zapalać cygaro. – Zniknął tego samego dnia, kiedy Wells umarł! Nie ma wątpliwości, że maczał w tym palce. Nie żywię zbyt wielkich nadziei co do naszego przyjaciela Emery’ego, powiadam ci. My, poszukiwacze złota, mamy takie powiedzenie, że tego, komu zbyt długo sprzyja szczęście, spotyka pech. Słyszałeś to? No, a Emery Staines był największym szczęściarzem, jakiego znałem i jakiego zapewne kiedykolwiek poznam. Ten chłopak z pucybuta stał się milionerem, i to bez niczyjej pomocy. Założę się, że został zamordowany, Charlie. Zamordowany nad rzeką albo na plaży, a jego ciało wrzucono do wody. Żaden mężczyzna nie lubi patrzeć, jak smarkacz zbija majątek przed trzydziestką, szczególnie jeśli jego pieniądze są czyste. Ten, kto go zabił, był o dwadzieścia lat od niego starszy i należał do grona jego znajomych. Starszy co najmniej o dwadzieścia lat. Może się założymy?

– Wybacz, ale nie – powiedział Frost, bardzo nieznacznie kręcąc głową.

– No tak – odrzekł rozczarowany Mannering. – Ty się nie zakładasz, co? Należysz do ludzi rozsądnych. Nigdy nie rzucaj moneta, chyba że do własnej kiesy.

Frost nie odpowiedział. Poczł się nieswojo, przypomniał sobie bowiem o tych trzydziestu funtach, które niedawno tak rozrzutnie wydał.

– Ale nie kaź mi czekać! – zawołał po chwili Mannering i trochę się zawstydził, ponieważ ta uwaga zabrzmiała bardziej arogancko, niż zamierzał. – Wyrzuć to wreszcie z siebie! Co ci przyszło do głowy?

Charlie Frost opowiedział mu, czego dowiedział się rano: że Frank Carver miał połowę udziałów w kopalni złota Aurora i on oraz Emery Staines byli właściwie współnikami.

– Tak... Chyba coś o tym słyssałem – odpowiedział mgliście Mannering. – Ale to długa historia, a kopalnia należy do Stainesa. Dlaczego mi o tym mówisz?

– Bo działka, na której stoi Aurora, ma związek z aferą wokół Crosbiego Wellsa.

Mannering zmarszczył brwi.

– Jaki?

– Powiem ci.

– Więc zrób to.

Frost przez chwilę ćmił cygaro.

– Majątek Wellsa przeszedł przez bank – powiedział w końcu. – Przez moje ręce.

– Tak?

Dick Mannering nie mógł znieść, kiedy ktoś inny zbyt długo skupiał na sobie uwagę, i zwykle wpadał takim osobom w słowo, najczęściej po to, żeby je zachęcić, aby jak najszybciej i jak najkrótszą drogą zmierzały do konkluzji.

Frost jednak nie pozwalał się poganiać.

– No cóż – powiedział. – Ciekawa rzecz. To złoto zostało już wcześniej przetopione, i to nie przez kogoś z Kompanii. Zrobiono to po cichu.

– Przetopione... Tak szybko! – powiedział Mannering. – O tym nie słyssałem.

– Bo nie mogłeś – odparł Frost. – Każde złoto, które trafia do banku, musi zostać przetopione, nawet jeśli zrobiono to już wcześniej. Rzecz polega na tym, żeby nie przepuścić jakiegoś tombaku czy pozłacanego ołowiu i całe bankowe złoto było tej samej próby. No więc Killarney przetopił to złoto ponownie, jeszcze zanim dokonano jego wyceny, i kiedy znów ujrzało światło dzienne, było już w sztabkach, opatrzonych pieczęcią Banku Rezerw. Nikt spoza banku nie mógł wiedzieć, że kruszec został już raz przetopiony wcześniej, oczywiście z wyjątkiem tego człowieka, który ukrył skarb w domku Wellsa. Och, no i tego agenta handlowego, który znalazł złoto i przywiózł do banku.

– Kto to był? Cochran?

– Harald Nilssen. Ten z Nilssen & Co.

– A dlaczego nie Cochran?

Frost przerwał, żeby się zaciągnąć.

– Nie wiem – odrzekł w końcu.

– Co ten Clinch wyprawia? Po co wplątywać jeszcze jedną osobę w tę aferę? – zapytał Mannering. – Przecież na pewno mógł sam uprzątnąć domek. Po co wciągał do tej zabawy jeszcze Haralda Nilssena?

– Clinchowi się nawet nie śniło, że w domku tego odludka będzie coś cennego, powiadam ci – rzekł Frost. – Zdębiał, kiedy znaleziono ten skarb.

– Zdębiał, doprawdy?

– Tak.

– To twoje czy jego określenie?

– Jego.

– Zdębiał – powtórzył Mannering.

– No, a Nilssenowi wspaniale się to opłaciło. Dostał prowizję w wysokości dziesięciu procent wartości majątku znalezionej w domku. To był jego szczęśliwy dzień. Stał się bogatszy o czterysta funtów!

Mannering wciąż miał sceptyczną minę.

– No, mówże dalej – powiedział. – Wspomniałeś, że to złoto było przetopione.

– Dlatego mu się przyjrzałem – odpowiedział Frost. – Przed przetopieniem zawsze sporządzamy krótkie opisy kruszcu, bez względu na to, czy jest w bryłkach, czy w jakiejś innej postaci. Robi się to także nawet wtedy, kiedy złoto zostało przetopione wcześniej przez kogoś innego, nie w banku. Musimy odnotować, jak wyglądało, kiedy do nas trafiło. Ze względów... – Frost urwał. Zamierzał powiedzieć „ze względów bezpieczeństwa”, co jednak nie miałyby większego sensu. – Ze względu na zdrowy rozsądek – dokończył niezbyt sensownie. – W każdym razie przyjrzałem się tym złotym kwadracikom, zanim Killarney włożył je do tygła, i wtedy zauważyłem, że kimkolwiek był przetapiacz, wypisał na spodzie każdej sztabki jedno słowo.

Frost zamilkł.

– No, jakie to było słowo? – przynaglał go Mannering.

– Aurora – odrzekł Frost.

– Aurora.

– Tak jest.

Mannering zrobił się nagle bardzo czujny.

– Ale potem wszystkie sztabki zostały ponownie przetopione – powiedział. – Na sztabki bankowe, przez waszego człowieka, w banku.

Frost skinął głową.

– A później zamknięto je w skarbcu, tego samego dnia, kiedy agent handlowy wziął już swoją prowizję i wszystkie podatki zostały zapłacone.

– Więc nie ma żadnego dowodu, że była tam ta nazwa – rzekł Mannering. – Czy dobrze cię rozumiem? Nazwa zniknęła.

– Zniknęła, tak – potwierdził Frost. – Ale oczywiście zanotowałem ją sobie, została oficjalnie odnotowana. Zapisałem to w swoim notatniku, jak już powiedziałem.

Mannering odstawił szklanę.

– No dobrze, Charlie. Ile chcesz za to, żeby ta kartka zniknęła? Albo i cały notes, dlaczego nie? Ile chcesz za drobne niedopatrzenie z twojej strony? Za kroplę wody, za niewielki płomyczek?

Frost nie krył zdziwienia.

– Nie rozumiem – powiedział.

– Po prostu odpowiedz na moje pytanie. Możesz sprawić, żeby ta kartka zniknęła?

– Mógłbym – odrzekł Frost. – Ale nie tylko ja widziałem ten napis, wiesz. Widział go Killarney. I Mayhew. A także jeden z kupców, chyba Jack Harmon. Wyjechał teraz do Greymouth. Każdy z nich mógł o tym wspomnieć, jeden Bóg wie komu, a ten napis był oczywiście bardzo dziwny. Takich rzeczy łatwo się nie zapomina.

– Do diabła – powiedział Mannering, znowu uderzając pięścią w stół. – Do diabła, do diabła, do diabła!

– Ale nie rozumiem – powtórzył Frost. – O co tu chodzi?

– Co jest z tobą, Charlie?! – wybuchnął nieoczekiwanie Mannering. – Mówisz mi o tym dopiero po dwóch tygodniach! Coś ty robił przez ten czas? Siedziałeś po prostu na tyłku? No co?

Frost odchylił się do tyłu.

– Przyszedłem się z tobą dzisiaj zobaczyć, bo pomyślałem, że dzięki tej informacji łatwiej będzie znaleźć pana Stainesa – odparł z godnością. – Trzeba wziąć pod uwagę, że te pieniądze najwyraźniej należą do niego, a nie do Crosbiego Wellsa!

– Psiakrew. Mogłeś mi to powiedzieć dwa tygodnie temu. Albo potem, wszystko jedno kiedy.

– Ale ja połączyłem Stainesa z tą sprawą dopiero dzisiaj rano! Skąd miałem wiedzieć o Aurorze? Nie kontroluję wszystkich kont bankowych ani wpływów. Nie miałem powodu...

– Dostałeś swoją dolę – przerwał mu Mannering i wycelował palec we Frosta. – Masz część tego skarbu.

Frost się zaczerwienił.

– To mało stosowna uwaga.

– Dostałeś dolę z majątku Crosbiego Wellsa czy nie?

– No... Nieoficjalnie...

Mannering zaklął.

– I tak po prostu siedziałeś cicho, co? – zapytał. Rozparł się na fotelu i pełnym obrzydzenia gestem wrzucił niedopałek do ognia. – Dopóki nie pojawiła się wdowa, a ty nie zostałeś przyparty do muru. Teraz natomiast odsłaniasz karty, co ma wyglądać tak, jakbyś robił mi łaskę! No niech mnie kule biją, Charlie. Niech mnie piorun strzeli!

Frost zrobił urażoną minę.

– Nie – powiedział. – To wcale nie dlatego. Po prostu złożyłem to wszystko do kupy dopiero dzisiaj rano. Naprawdę. Do banku przyszedł Tom Balfour z tą swoją bzdurną historyjką o Francisie Carverze. Poprosił, żebym znalazł jego rejestr udziałowca, i dowiedziałem się...

– Czego?

– Że Carver wykupił część udziałów w Aurorze wkrótce po jej nabyciu przez pana Stainesa. Nie wiedziałem o tym do dzisiejszego ranka.

– A co zacząłeś mówić o Tomie Balfourze?

– Kiedy pan Balfour wyszedł, znalazłem dokumenty Aurory i zauważyłem, że zyski kopalni zaczęły spadać prawie natychmiast, kiedy Carver wykupił w niej część udziałów. Dopiero wtedy przypomniałem sobie o tej nazwie na przetopionym złocie i dodałem dwa do dwóch. Naprawdę.

Mannering podniósł głos.

– A czego Tom Balfour chce od Francisca Carvera?

– Pragnie go oddać w ręce sprawiedliwości.

– Na jakiej podstawie?

– Powiedział, że Carver ukradł jakąś fortunę z cudzej działki czy coś w tym rodzaju. Ale był niezwykle powściągliwy i zaczął od kłamstwa.

– Hm.

– Od razu cię o wszystkim poinformowałem – ciągnął Frost, wciąż mając nadzieję na pochwałę. – Wszedłem wcześniej z banku, żeby natychmiast do ciebie przyjść. Kiedy tylko sobie to wszystko poukładałem.

– Kiedy wszystko sobie poukładał! – wykrzyknął Mannering. – Ty nie dysponujesz wszystkimi kawałkami tej układanki, Charlie. Nie wiesz, jak wygląda co najmniej połowa z nich.

Frost poczuł się urażony.

– Co to ma znaczyć?

Ale Mannering nie odpowiedział.

– Johnny Quee – powiedział. – Johnny Quee, ten cholerny żółtek. – Wstał tak gwałtownie, że fotel przewrócił się i uderzył o ścianę, a nieposiadająca się z radości suka wstała i zaczęła dyszeć.

– Kto? – spytał Charlie Frost, zanim sobie przypomniał: Quee był tym kopaczem, który pracował w Aurorze. Jego nazwisko pojawiało się na dokumentach w banku.

– Mój chiński problem, a teraz, jak się obawiam, także twój – rzekł ponuro Mannering. – Jesteś ze mną czy przeciwko mnie, Charlie?

Frost spojrział na swoje cygaro.

– Oczywiście, że z tobą. Nie rozumiem, dlaczego musisz zadawać takie pytanie.

Mannering przeszedł przez pokój, otworzył gablotę, w której znajdowały się dwa karabiny, kilka sztuk broni krótkiej oraz wielki pas, ozdobiony dwiema kaburami z kozłej skóry i skórzanymi frędzlami, po czym zaczął zapinać to dość absurdalne akcesorium na swoim wydatnym brzuchu.

– Powinieneś nosić broń... Czy może już masz ją przy sobie?

Frost lekko się zaczerwienił. Pochylił się i zgasił cygaro. Nie spieszył się, długo zgniatał niedopałek w popielniczce, a potem jeszcze rozcierał nim popiół na drobniuteńki, czarny pył.

Mannering tupnął nogą.

– Posłuchaj mnie! Jesteś uzbrojony czy nie?

– Nie – odrzekł Frost, porzucając wreszcie niedopałek w popielniczce. – Chcę być z tobą całkowicie szczerzy, Dick: ja nigdy nie strzelałem.

– To nic trudnego – powiedział Mannering. – Strzelać jest równie łatwo, jak oddychać. – Wrócił do gabloty i zdjął ze stojaka dwa ładne rewolwery czarnoprochowe.

Frost bacznie mu się przyglądał.

– Będę bardzo kiepskim sekundantem – odezwał się po chwili, usiłując zachować spokój

w głosie – jeśli mi nie powiesz, o co się pokłóciliście, bo wtedy nie będę miał żadnych możliwości, żeby zakończyć ten spór.

– Nieważne, nieważne – odpowiedział Mannering, sprawdzając rewolwery. – Zamierzałem powiedzieć, że mam wojskowego colta, którego mógłbyś użyć, ale tak sobie teraz myślę, że... Cholernie długo się go ładuje, a nie ma co zawracać sobie głowy nabojami i prochem. Nie na takim deszczu i jeśli się tego wcześniej nie robiło. Poradzimy sobie. Poradzimy.

Frost popatrzył na pas Manneringa.

– Niesamowity, co? – powiedział Mannering bez uśmiechu. Wcisnął rewolwery do kabur, podszedł do drewnianego wieszaka i zdjął z niego palto. – Nie martw się. Widzisz, jak włożę i zapnę płaszcz, to nikt nie będzie wiedział, że mam broń. Powiadam ci, gotuje się we mnie krew, Charlie. Ten cholerny żółtek! Gotuje się we mnie krew.

– Nie mam pojęcia dlaczego – rzekł Frost.

– Wystarczy, że on wie.

– Zaczekaj chwilę. Pozwól mi... Powiedz mi tylko tyle: co ty właściwie chcesz zrobić?

– Napędzimy Chińczykowi stracha – odpowiedział bogacz, wsuwając ręce w rękawy płaszcza.

– W jaki sposób? – spytał Frost, który z drzeniem serca zauważył, że Mannering użył liczby mnogiej. – I na jakiej podstawie?

– Ten Chińczyk pracuje dla Aurory – powiedział Mannering. – To jego robota, Charlie. To on przetopił to złoto.

– Ale jaki ty masz do niego żal?

– Nie tyle żal, ile urazę.

– Och! – powiedział nagle Frost. – Nie podejrzewasz chyba, że to on zabił pana Stainesa?

Mannering wydał odgłos zniecierpliwienia, który brzmiał niemal jak jęk. Zdjął z wieszaka płaszcz Frosta i rzucił mu go. Bankowiec złapał okrycie, nie ruszył się jednak, aby je włożyć.

– Chodźmy – powiedział Mannering. – Marnujemy czas.

– Na litość boską! – wybuchnął teraz Frost. – Mógłbyś zrobić mi tę grzeczność i wyrażać się jaśniej. Muszę wiedzieć, co knujesz, jeśli mamy dokonać inwazji na Chinatown, do cholery!

(Pozałował tych słów niemal od razu – albowiem w żadnym wypadku nie chciał dokonywać inwazji na Chinatown, bez względu na to, czy wiedziałby, co Mannering zamierza).

– Nie ma czasu – powiedział Mannering. – Powiem ci wszystko po drodze. Włóż płaszcz.

– Nie – odrzekł Charlie Frost, ku swojemu zdziwieniu konstatując, że stać go na delikatną stanowczość i nieustępliwość. – Wcale ci się nie spieszy, jesteś tylko podekscytowany. Powiedz mi wszystko teraz.

Mannering zatrząsał się, trzymając kapelusz w dłoni.

– Ten Chińczyk pracował kiedyś dla mnie – odpowiedział w końcu. – Kopał w Aurorze, zanim odsprzedałem ją Stainesowi.

Frost zamrugał powiekami.

– Aurora była twoja?

– A kiedy Staines ją ode mnie odkupił, żółtek został u niego i kopał dalej – powiedział Mannering, kiwając głową. – Jest na umowie, wiesz. Nazywa się Johnny Quee.

– Nie wiedziałem, że Aurora należała do ciebie.

– Połowa ziemi stąd do Grey należała kiedyś albo teraz należy do mnie – odpowiedział Mannering, nieznacznie wypinając pierś. – Ale mniejsza z tym. Zanim w mieście pojawił się Staines, Quee i ja trochę się posprzeczailiśmy. Nie, właściwie to nie była kłótnia. Ja po prostu robię pewne rzeczy po swojemu, a żółtki po swojemu. Oto co się stało: otóż co tydzień zabierałem cały urobek Quee’ego, oczywiście już po wycenie, i rozrzucałem kruszec z powrotem na działce.

– Co takiego?

– Rozrzucałem kruszec z powrotem na działce.

– Karmiłeś złotem swoją własną ziemię! – powiedział Frost, robiąc zdumioną minę.

Charlie Frost nie był zbyt dobrym znawcą natury ludzkiej, a w konsekwencji często odnosił wrażenie, że ludzie go oszukują. Zagadkowa aura, która najczęściej otaczała jego wypowiedzi, nie była sztuczna – chociaż bankowiec dobrze zdawał sobie sprawę z tego, jakie przynosi skutki – wynikała zaś głównie z jego całkowitej ślepoty na przeżycia i doświadczenia życiowe innych. Frost nie umiał wsłuchać się w siebie jak w kogoś obcego, nie potrafił patrzeć na świat cudzymi oczami ani analizować cudzych osobowości, a jeśli już podejmował taką próbę, to chyba w tym celu, aby porównywać je – odczuwając zawiść lub politowanie – ze swoją. Był skrytym hedonistą, wiecznie tkwiącym w kokonie własnych zmysłów i zawsze mającym na względzie to, co już posiadał, oraz to, co miał dopiero zdobyć, a jego subiektywizm był absolutny. Charlie Frost nigdy nie bywał bezpośredni i nie przedstawiał swoich osobistych motywacji publicznie, dlatego uważano go na ogół za wysoce obiektywnego myśliciela, obdarzonego bezstronnym i zrównoważonym umysłem. Wcale jednak taki nie był. Zdziwienie, które okazywał w tej chwili, nie stanowiło demonstracji jego oburzenia, a w gruncie rzeczy nawet dezaprobaty: Frost po prostu został zaskoczony, ponieważ nie potrafił dostrzec w Manneringu nikogo więcej niż człowieka o godnym zazdrości majątku i w pożałowania godnym stanie zdrowia, który zawsze dysponował cygarami najwyższej

jakości i w którego karafce najwyraźniej nigdy nie było widać dna.

Mannering wzruszył ramionami.

– Nie jestem ani pierwszym, ani ostatnim człowiekiem na ziemi, który chce zarobić – odpowiedział.

– Wstydź się – rzekł Frost.

Dla Manneringa wstyd jednak był uczuciem, które może towarzyszyć wyłącznie niepowodzeniu. Nie odczuwał żadnych wyrzutów sumienia, jeśli w swoim mniemaniu nie poniósł porażki.

– No dobrze, więc masz na ten temat własne zdanie – mówił dalej. – Posłuchaj jednak, jak do tego doszło. Działka jako taka była bezużyteczna. Niewiele więcej warta niż hałda odpadów. Kiedy ją kupiłem, zakopałem w ziemi czysty kruszec wart może jakieś dwadzieścia funtów, rozrzucając to złoto po całej działce, a potem nakazałem Quee’emu kopać. Quee, owszem, znajduje złoto. Pod koniec tygodnia idzie je zważyć do obozowej filii banku, jak wszyscy. Pamiętaj, że było to jeszcze, zanim powstała straż bankowa. Dawno temu, kiedy banki otwierały swoje tymczasowe placówki wzdłuż rzeki, a kupujący pracowali sami. Więc kiedy przychodzi kolej na moją działkę i ważą moje złoto, kasjerzy pytają mnie, czy chcę je od razu u nich zostawić. Powiadam, że nie, jeszcze nie, zabiorę je z powrotem w stanie czystym. Sprzedaję im jakąś bajeczkę, że chcę zatrzymać kruszec dla pewnego indywidualnego kupca, który wywiezie jego większą ilość, kiedy już ją uzbiera. W każdym razie była to jakaś tego rodzaju historia, teraz już dokładnie tego nie pamiętam. No więc po zważeniu złota i zapisaniu jego wartości zabieram wszystko z powrotem, czekam, zakradam się pod osłoną ciemności na działkę i rozrzucam kruszec po raz drugi wśród żwiru i kamieni.

– Nie mogę w to uwierzyć – powiedział Frost.

– Możesz mi wierzyć albo nie, jak chcesz – odparł Mannering. – Oczywiście trzeba jednak oddać sprawiedliwość Chińczykowi, bo sytuacja powtórzyła się cztery albo pięć razy, a Quee co tydzień wracał mniej więcej z podobną ilością złota. Znajdował wszystko bez względu na to, jak rozrzucałem żwir i kamienie, jak głęboko w piasku osiadały samorodki, jaka była pogoda i tak dalej. Harował jak wół. Jedno można powiedzieć o Chińczykach: kiedy przychodzi do porządnej, staroświeckiej roboty, nie można im niczego zarzucić.

– Ale nie powiedziałeś mi, co robisz.

– Oczywiście, że nie. – Mannering się zdumiał. – Przyznać się do swoich grzechów? Nie! Ale mniejsza z tym. Z pozoru wyglądało na to, że kopalnia przynosi jakieś dwadzieścia funtów tygodniowo. Tylko że nikt nie wiedział, że to jest w kółko tych samych dwadzieścia funtów! Dlatego Aurora wyglądała na dobrą, przynoszącą stały dochód działkę.

Mannering zaczął swoją opowieść tonem niejakiego zniecierpliwienia, lecz nie potrafił długo powstrzymać naturalnej skłonności do gadulstwa, a poza tym sprawiało mu przyjemność, że może dać świadectwo własnej inteligencji. Rozluźnił się i opowiadał dalej,

uderzając rondem swojego kapelusza o udo.

– Potem Quee zaczął się jednak czegoś domyślać – powiedział Mannering. – Widocznie mnie obserwował albo może po prostu przejrzał moje zamiary. I co zrobił? Chytry lis! Zaczął co tydzień przetapiać złoty piasek w swoim małym tygielku i zanosił złoto do placówki banku już w jednofuntowych sztabkach, mniej więcej tej wielkości. A takiego złota nie można już rozrzucić wśród kamieni!

Pomyślałem sobie, że to nic nie szkodzi. Miałem wiele innych działek na sprzedaż i te przynosiły mi sporo kruszcu. Mogłem podmieniać złoto, zacząłem więc składać w banku sztabki Quee’ego jako zysk z kopalni Sen o Anglii, a co tydzień podsypywałem trochę złota w Aurorze, tak jak dotychczas, tylko że używałem kruszcu ze Snu o Anglii. Rozumiesz? Wcześniej Aurora przynosiła dwadzieścia funtów tygodniowo, musiała więc utrzymać to wydobyte, bo inaczej wyglądałoby na to, że zyski z działki zaczynają topnieć, a wtedy nie zarobiłbym na jej odsprzedaży.

Ale z czasem Quee domyślił się i tego – ciągnął Mannering, podnosząc głos. – Przeklęty diabeł, zaczął wyciskać nazwę działki, Aurora, na tych swoich kwadratowych sztabkach, tego złota nie mogłem zatem składać na koncie Snu o Anglii, nie wywołując zdziwienia co najmniej kilku osób. Dasz wiarę? Co za bezczelny typ!

– Niesłychane – odpowiedział Frost, który wciąż czuł się jawnie oszukany.

– No, tak czy owak tak to wyglądało – powiedział Mannering. – Oto moja historia. I wtedy pojawił się Emery.

– I?

– I co?

– No... I co się stało?

– Wiesz co. Sprzedałem mu Aurorę.

– Ale powiedziałaś, że ta działka do niczego się nie nadawała!

– Tak.

– Sprzedałeś mu bezwartościową działkę!

– Tak.

– Przecież to twój przyjaciel – powiedział Charlie Frost, który od razu pożałował swoich słów. Jakie to żalosne – upominać kogoś takiego jak Mannering, mówiąc mu o przyjaźni! Dick był mężczyzną w kwiecie wieku. Bogaty, dobrze ubrany, a także posiadał największy i najpiękniejszy budynek na ulicy Revella. Z jego dewizki zwieszały się złote samorodki. Na każdy posiłek jadł mięso. Znał setki, tysiące kobiet, a może nawet więcej. Cóż mogli go obchodzić przyjaciele? Frost poczuł, że oblewa się rumieńcem.

Mannering przez chwilę przyglądał się młodszemu koledze, a potem powiedział:

– Przejdźmy do sedna, Charlie. Fortuna warta cztery tysiące funtów, przetopiona na sztabki z napisem Aurora, pojawiła się w domku zmarłego. Nie wiemy dlaczego i nie wiemy jak, ale wiemy, kto to zrobił. Tym kimś jest mój stary przyjaciel Quee z Kanierie. Jasne? Dlatego musimy pojechać do Chinatown, by zadać mu kilka pytań.

Frost pomyślał, że Mannering nadal coś przed nim ukrywa.

– Ale co z samym skarbem? – zapytał. – Skąd on się wziął? Jeśli Aurora jest bezwartościowa, to skąd wzięło się to całe złoto? A jeżeli nie jest bezwartościowa, to kto fałszuje księgi, by wyglądało na to, że jest nic niewarta?

Bogacz włożył kapelusz.

– Wiem tylko tyle, że mam rachunki do wyrównania – powiedział, przebiegając palcem wskazującym i kciukiem tam i z powrotem wokół ronda. – Nikt nie wystrychnie Dicka Manneringa na dudka więcej niż raz, a mnie się wydaje, że temu żółtkowi prawie udało się oszukać mnie dwukrotnie. Chodź. Czy może masz pietra?

Nikt nie lubi być nazywany tchórzem, zwłaszcza ten, kto się naprawdę boi.

– Nie mam żadnego pietra – odparł zimno Frost.

– To dobrze – rzekł Mannering. – W takim razie przepraszam. Chodźmy.

Frost zarzucił płaszcz.

– Mam tylko nadzieję, że nie dojdzie do bójki.

– To się jeszcze zobaczy – powiedział Mannering. – To się zobaczy. Chodź, Holly! Chodź, mała! Jazda! Mamy coś do załatwienia w wąwozie Hokitika!

Φ

Kiedy Frost i Mannering wyszli z gmachu opery, głęboko wciskając kapelusze na głowy, by osłonić się przed deszczem, Thomas Balfour skręcał właśnie w ulicę Rezedową, mniej więcej trzy przecznice dalej na południe. Ostatnie półtorej godziny spędził w Deutsches Gasthaus na ulicy Obozowej, gdzie fura kiszonej kapusty, kiełbaska, sos mięsny, miejsce przy kominku i chwila nieprzerwanego namysłu pomogły mu na nowo skupić się na sprawach Alistaira Lauderbacka. Wyszedł z gospody z nowymi siłami i od razu skierował się do redakcji „Czasu Zachodniego Wybrzeża”.

Żaluzje w wykuszowym oknie były opuszczone, a drzwi frontowe zamknięte. Balfour położył dłoń na klamce – zamknięte na klucz. Zaciekawiony poszedł na tył budynku, do niewielkiego apartamentu, gdzie mieszkał redaktor gazety, Benjamin Löwenthal. Agent spedycyjny przez chwilę zatrzymał się pod drzwiami, a ponieważ nic nie słyszał, ostrożnie przekręcił klamkę.

Drzwi otworzyły się lekko i Balfour zobaczył Löwenthala, który siedział przy stole

z rękami na kolanach, jak gdyby czekał, aż agent spedycyjny wejdzie do mieszkania i wyrwie go z zadumy. Redaktor wstał pospiesznie.

– Tom – powiedział. – O co chodzi? Czy coś się stało? Dlaczego nie zapukałeś?

Stół, przy którym siedział Löwenthal, był właściwie stołem laboratoryjnym, którego sfatygowaną, krostową powierzchnię pstrzyły plamy po farbie drukarskiej i chemikaliach. Dziś jednak blat został uprzątnięty ze wszystkich narzędzi i nakryty haftowanym obrusem. Na środku stał talerzyk, na którym paliła się świeca.

– Och – powiedział Balfour. – Przepraszam, Ben. Witaj. Przepraszam. Nie chciałem ci przeszkodzić w... Rozumiesz, nie chciałem ci przeszkodzić.

– Ale jesteś naprawdę mile widziany! – powiedział Löwenthal, widząc, że Balfour nie przynosi mu żadnych niepomysłnych nowin, tylko po prostu wpadł na pogawędkę. – Wejź, nie stój na deszczu.

– Nie chciałem ci przerywać...

– Niczego nie przerwałeś. Wchodź, wchodź. I zamknij drzwi!

– Właściwie nie przychodzę w interesach – poinformował go przepaszająco Balfour, który wiedział, że szabat jest dla Löwenthala dniem wypoczynku. – Po prostu chciałem o czymś porozmawiać.

– Rozmowa z tobą nigdy nie jest pracą – odparł wielkodusznie Löwenthal, po czym powtórzył już po raz czwarty: – Ale musisz wejść.

Balfour wszedł wreszcie do środka i zamknął drzwi. Löwenthal znów usiadł i splótł ręce.

– Długo myślałem, że wydawanie gazety to idealne zajęcie dla Żyda. Bo widzisz, gazeta nie wychodzi w niedzielę, a zatem szabat wypada idealnie. Żal mi moich chrześcijańskich konkurentów, bo oni muszą w niedzielę składać gazetę i babrać się w farbie drukarskiej, żeby wszystko było gotowe na poniedziałek. Nie mogą odpoczywać. Właśnie o tym myślałem, kiedy przyszedłeś. Tak, powieś płaszcz. Siadaj, proszę.

– Ja osobiście jestem anglikaninem – odpowiedział Balfour, który podobnie jak wielu jego współwyznawców, czuł się bardzo nieswojo w obecności symboli religijnych. Przyjrzał się świecy Löwenthala z niejaką ostrożnością, jak gdyby gospodarz położył na stole włosienicę albo kolczasty, druczany pas, zwany *cilice*.

– Co ci leży na wątrobie, Tom?

Benjamin Löwenthal wcale nie był niezadowolony, że ktoś mu przeszkodził w jego cotygodniowych praktykach, albowiem religia mojżeszowa należała do wyznań, które dają swoim wiernym pewność siebie, nie miał więc skłonności do samozwątpienia. Często dopuszczał się drobnych naruszeń szabat i nie robił sobie z tego powodu wyrzutów, był bowiem świadom różnicy między obowiązkiem, którego człowiek boi się nie spełnić,

a obowiązkiem, który wynika z miłości. Wierzył w bystrość swoich sądów i ufał, że ilekroć łamie jakieś zasady, czyni to ze słusznych powodów. Poza tym (co trzeba przyznać) właściwie nie mógł już dłużej tkwić w jednym miejscu po dwóch godzinach szczerzej modlitwy, jako że był niespokojnym duchem i nie potrafił długo wytrzymać bez jakiejś podniety z zewnątrz.

– Posłuchaj – powiedział po chwili Balfour, opierając dłonie na stole. – Właśnie usłyszałem, co się stało z Emerym Stainesem.

– Ach! – rzekł zaskoczony Löwenthal. – Dopiero teraz? Może po prostu chowałeś głowę w piasek!

– Byłem zajęty – odpowiedział Balfour, powtórnie obrzucając świecę spojrzeniem. Od czasów chłopięcych nie mógł spokojnie usiedzieć przed żadną świecą, zawsze chciał jej dotykać, wsunąć palec w płomień i trzymać go w nim tak długo, aż czernieje, kształtować miękkie brzegi świeczki, gdzie stearyna była ciepła, zanurzyć palec w płynnym żarze, a potem wyjąć go szybko, by tłuszcz utworzył na czubku żółtą czapeczkę, która białałaby i kurczyła się, stygnąc.

– Zbyt zajęty, żeby słuchać nowin? – zapytał Löwenthal, drażniąc się z nim.

– Mam gościa w mieście. Pewnego polityka.

– Och tak, czcigodnego Lauderbacka – odpowiedział Löwenthal i rozparł się na krześle. – No cóż, mam nadzieję, że on czyta moją gazetę, nawet jeśli ty tego nie robisz! Poświęciliśmy mu sporo miejsca na naszych łamach.

– Tak... Na łamach – odpowiedział Balfour. – Ale posłuchaj, Ben, chciałem ci zadać pytanie. Wstąpiłem dziś rano do banku i usłyszałem, że ktoś daje ogłoszenia do gazety. Skierowane do pana Stainesa... Błaga go, żeby wrócił. Czy wolno mi zapytać, kto je umieścił?

– Oczywiście – odparł Löwenthal. – Ogłoszenia mają charakter publiczny. A poza tym ta kobieta podała pod ogłoszeniem numer swojej skrytki pocztowej, co zapewne widziałeś. Musisz tylko udać się na pocztę i przyjrzeć się skrzynkom, a ujrzysz jej nazwisko.

– To kobieta?

– Tak, i zdziwisz się – powiedział Löwenthal. – Jedna z naszych cór Koryntu! Zgadnij która.

– Lizzie? Lizzie Irlandka?

– Anna Wetherell.

– Anna? – spytał Balfour.

– Tak! – rzekł Löwenthal, który teraz uśmiechał się szeroko, miał bowiem manierę człowieka dobrze poinformowanego i bardzo lubił, gdy pozwalano mu odgrywać tę rolę. – Nie domyśliłbyś się tego, co? Przyszła do mnie dwa dni po zniknięciu pana Stainesa. Próbowałem ją namówić, żeby odczekała, aż minie trochę więcej czasu. Wydawało mi się, że

płacić za ogłoszenie z prośbą o czyjś powrót to strata pieniędzy, skoro zaginionego nie ma zaledwie od dwóch dni. Powiedziałem jej, że prawdopodobnie poszedł do wąwozu albo pojechał brzegiem morza do Grey. Że może wrócić jutro! Tak jej powiedziałem, ale była nieugięta. Stwierdziła, że Staines nie wyjechał, tylko zniknął. Dała mi to do zrozumienia bardzo wyraźnie, użyła dokładnie tych słów.

– Zniknął – powtórzył jak echo Balfour.

– Biedna dziewczyna tego samego ranka stanęła przed sądem – powiedział Löwenthal. – W ubiegłym roku prześladował ją prawdziwy pech. Kochana z niej dziewczyna, Tom... Bardzo kochana.

Balfour zmarszczył brwi: nie lubił, gdy ktoś mu mówił, że Anna Wetherell jest kochaną dziewczyną.

– Trudno mi to sobie wyobrazić – powiedział na głos i pokręcił głową. – Trudno mi ich sobie wyobrazić razem. Pasują do siebie jak garbaty do ściany.

– Garbaty do ściany – powtórzył jak echo Löwenthal, który lubił cudzoziemskie wyrażenia. – Które z nich jest garbate? Pewnie Staines, jak sądzę, przez pracę w tej swojej kopalni!

Balfour sprawiał takie wrażenie, jakby go nie słyszał.

– Czy Anna w jakikolwiek sposób dała ci do zrozumienia, dlaczego szuka Stainesa?...

– Oczywiście, chciała się z nim jakoś skontaktować – powiedział Löwenthal. – Ale chyba nie o to mnie pytałeś.

– Chodziło mi tylko o to... – Balfour jednak urwał.

– Chyba nie ma się czemu dziwić, Tom! – Löwenthal uśmiechnął się. – Jeśli ten gość okazał jej chociaż odrobinę uczucia, to... No wiesz.

– Co?

Wydawca i redaktor w jednej osobie cmoknął.

– No cóż, chyba musisz przyznać, że w porównaniu z panem Stainesem obaj jesteście już mocno posiwiali.

Balfour spojrział na niego spode łba. A co znaczy odrobina siwizny? Siwe włosy dodają mężczyźnie godności.

– Mam jeszcze jedno pytanie – powiedział, zmieniając temat. – Co wiesz o człowieku nazwiskiem Francis Carver?

Löwenthal uniósł brwi.

– Niewiele. Choć naturalnie słyszałem o nim rozmaite historie. O takich ludziach zawsze słyszy się jakieś opowieści.

– Tak – odpowiedział Balfour.

– A co ja wiem o Carverze? – Löwenthal zamyślił się nad tym pytaniem. – No cóż, wiem, że pochodzi z Hongkongu. Jego ojciec był jakimś finansistą, miał coś wspólnego z kupiectwem. Ale ich drogi najwyraźniej się rozeszły, bo Francis nie jest już związany z macierzystą firmą. Pracuje na własny rachunek, zgadza się? Jest handlowcem. Być może rozstał się z ojcem, kiedy Francisa skazano na więzienie.

– Ale co ty o nim myślisz? – naciskał Balfour.

– Chyba nie mam o nim najlepszego zdania. Najpierw jest synem bogacza, a potem skazańcem, ale równie dobrze można by zmienić kolejność. Wydaje mi się, że przejął najgorsze cechy obu tych środowisk, krezusów i przestępców. Jest bandytą, ale sprytnym. Albo inaczej mówiąc, prowadzi dostatnie, chociaż nikczemne życie.

(Taka charakterystyka była typowa dla Benjamina Löwenthala, który zawsze starał się zająć stanowisko tłumacza między dwiema ścierającymi się siłami. Oceniając innych, Löwenthal najpierw wskazywał tkwiące w nich zasadnicze sprzeczności, a potem wyjaśniał, w jaki sposób można je teoretycznie połączyć i jak robi to on, Löwenthal. Był skazany na to, by widzieć dwoistość we wszystkim, nawet we własnym mniemaniu o dualizmie świata, i w rezultacie musiał przyjąć surowy, osobisty kod imperatywów kategorycznych jako środek obrony przed rzeczywistością, w której dostrzegał jedynie różnice i zmienność. Ten jego kod postępowania był flegmatyczny, refleksyjny i bardzo zasadniczy. Stanowił dla niego jedyny punkt oparcia, z którego mógł obserwować wszystkie te nigdy niekończące się dualizmy, i polegał na nim całkowicie. Do codziennych zajęć podchodził ze spokojem, do religii z poczuciem humoru, a w interesach wykazywał się elastycznością – ale co do swoich imperatywów, to nie mógł się mylić i nigdy nie miał ochoty z nich rezygnować).

– Carver ostatnio napytał mi trochę biedy – ciągnął dalej. – Mniej więcej dwa tygodnie temu wypłynął z portu przed czasem, w dodatku w środku nocy. No cóż, była niedziela, dlatego wiadomości żeglugowe zostały opublikowane już w wydaniu sobotnim. Ale ponieważ „Z Bogiem” nie miał odpłynąć tego dnia i wyszedł na morze dobrze po zachodzie słońca, jego odejścia nie odnotowano w dzienniku w komorze celnej. A jako że nikt mi nic o tym nie powiedział, nie poinformowaliśmy o wypłynięciu barku również w gazecie. Zupełnie jakby statek w ogóle nie opuścił miejsca postoju! Komendant portu bardzo się zdenerwował.

– To było w poprzednią niedzielę? – spytał Balfour. – Czyli w dniu przyjazdu Lauderbacka?

– Chyba tak. Czternastego.

– Ale Carver był tej samej nocy w Dolinie Arahura!

Löwenthal spojrział na niego bystro.

– Kto ci to powiedział?

– Pewien Maorys. Nazywa się Taj czy tak jakoś. Dość młody jegomość, nosi taki wielki, zielony wisior. Rozmawiałem z nim dziś rano na ulicy.

– Na jakiej podstawie tak twierdził?

Balfour wyjaśnił, że Te Rau Tauwhare i Crosbie Wells byli wielkimi przyjaciółmi i że tego dnia, kiedy odludek umarł, Tauwhare widział, jak Francis Carver wchodzi do jego domku. Balfour nie wiedział, czy Wells już wtedy nie żył, ale Tauwhare zapewnił go, że Carver pojawił się w domku przed Lauderbackiem – a Lauderback, jak sam twierdził, przyjechał niedługo po zgonie samotnika, bo kiedy wszedł do środka, na piecu gotowała się w czajniku woda, która jeszcze nie zdążyła wyparować. Rozsądek wskazywał więc na to, że Francis Carver znalazł się w domku, nim Wells wyzionął ducha, a może nawet (co Balfour uświadomił sobie z zimnym dreszczem) był świadkiem jego śmierci.

Löwenthal pogładził wąsy.

– To bardzo ciekawa wiadomość – stwierdził. – „Z Bogiem” wypłynął późnym wieczorem, dobrze po zachodzie słońca, a zatem Carver musiał wrócić z Doliny Arahura prosto do Hokitika, od razu udał się na statek i podniósł kotwicę, a wszystko to przed świtem. Moim zdaniem takie zachowanie świadczy o wielkim pośpiechu.

– Wydaje mi się to dziwne – rzekł Balfour, który myślał o swojej zaginionej skrzyni.

– A kiedy wziąć pod uwagę, że Staines zniknął mniej więcej w tym samym czasie...

– I jest jeszcze Anna – zauważył Balfour, wpadając mu w słowo. – Właśnie wtedy omal nie postradała życia, bo przecież Lauderback znalazł ją, jak pamiętasz, na drodze.

– Aha – rzekł Löwenthal. – Kolejny zbieg okoliczności.

– Ktoś taki jak ty mógłby powiedzieć, że tylko słaby umysł wierzy w zbiegi okoliczności – odparł Balfour. – Ale ja twierdzę... Twierdzę, że szereg zbiegów okoliczności nie może być zbiegiem okoliczności. Cały szereg!

– Zaiste, nie – zgodził się Löwenthal.

– No, a młody Staines... – odezwał się po chwili Balfour. – To wielka szkoda. Nie ma co udawać, Ben, on na pewno został zamordowany. Nikt nie znika tak po prostu. Może biedacy, ale nie ludzie majątni.

– Hm... – Löwenthal nie myślał jednak o Stainesie. – Zastanawiam się, co Carver robił u Wellsa w Dolinie Arahura. I przed czym uciekał, jeżeli już o to chodzi. Albo do czego. – Zastanawiał się przez chwilę, a potem wykrzyknął: – Na litość boską, ale Lauderback chyba nie ma nic wspólnego z Carverem, co!?

Balfour odetchnął głęboko.

– No, to naprawdę jest ciekawe pytanie – powiedział z wyraźnym i bardzo wielkim wahaniem. – Nadużyłbym jednak zaufania Lauderbacka, gdybym ci o tym powiedział.

Złamałbym dane słowo. – Ponownie popatrzył na knot świecy w nadziei, że przyjaciel sprowokuje go, by mówił dalej.

Niestety, zasady moralne Löwenthala nie zezwalały na tego rodzaju gwałt, jakiego się spodziewał Balfour. Wydawca przez chwilę przyglądał się beznamiętnie agentowi, po czym odchylił się na oparcie krzesła i zmienił temat.

– A wiesz, że nie jesteś pierwszym gościem, który przychodzi do mojego biura i pyta mnie o to ogłoszenie w gazecie? – odezwał się ożywiony Löwenthal. – To dotyczące Emery’ego Stainesa.

Balfour podniósł wzrok, rozczarowany, a zarazem zdziwiony.

– Jak to? Kto jeszcze tu był?

– W środku tygodnia przyszedł jakiś człowiek. W środę. A może we wtorek. Irlandczyk. Duchowny, ale nie katolik; zdaje się, metodysta. Ma zostać kapłanem nowego więzienia.

– Wolny metodysta – odpowiedział Balfour. – Poznałem go dziś rano. Dziwnie wygląda. Bardzo szpetne zęby. Ale dlaczego interesował się tą sprawą?

– Tylko że nie mogę sobie przypomnieć, jak on się nazywał – mruknął Löwenthal, przykładając palec do ust.

– Dlaczego ten człowiek interesował się Stainesem? – spytał znowu Balfour, ponieważ sam też nie znał nazwiska kapłana i nie mógł podpowiedzieć redaktorowi.

Löwenthal splótł dłonie i oparł je na stole.

– No, było to dosyć dziwne – powiedział. – Najwyraźniej ten człowiek pojechał z koronerem do domku Crosbiego Wellsa po ciało zmarłego.

– Tak... A potem go pochował – rzekł Balfour, kiwając głową. – Sam mu wykopał grób.

– Devlin – powiedział Löwenthal, uderzając ręką w stół. – Tak się nazywa: Devlin. Nie mogę sobie jednak przypomnieć imienia. Daj mi jeszcze chwilę.

– Mniejsza o to. Pytałem, co on ma wspólnego ze Stainesem?

– Nie wiem dokładnie – przyznał Löwenthal. – Z naszej krótkiej rozmowy wniosłem, że chciał bardzo pilnie rozmawiać z panem Stainesem. O śmierci Crosbiego Wellsa albo o czymś, co było z nią związane, ale nie jestem w stanie powiedzieć ci nic więcej. Nie pytałem.

– To szkoda – powiedział Balfour. – Bo mamy tutaj wielką niewiadomą, rozumiesz.

– Ależ Tom, wyrażasz się jak detektyw! – rzekł z nieoczekiwanym uśmiechem Löwenthal.

Balfour się zarumienił.

– Wcale nie. Próbuję tylko coś ustalić.

– Próbujesz coś ustalić... Dla swojego przyjaciela Lauderbacka, który kazał ci poprzysiąc milczenie!

Balfour przypomniał sobie, że duchowny podsłuchał też rano opowieść Lauderbacka, i ta myśl wywołała w nim niepokój, bo przyszło mu do głowy, że w tym punkcie tkwi naprawdę wielka niewiadoma. Na honor, Lauderback naprawdę powinien był bardziej uważać, poruszając takie prywatne sprawy w miejscu publicznym!

– No cóż – odpowiedział, poirytowany. – Czy to nie dziwne? Ten jegomość... Devlin...

– Cowell Devlin – rzekł Löwenthal. – Tak się nazywał. Wiedziałem, że sobie przypomnę. Cowell Devlin. Tak jest: szpetne uzębienie.

– Kimkolwiek on jest, już go gdzieś widziałem – powiedział Balfour. – Dlaczego ten człowiek tak nagle zainteresował się Emerym Stainesem? Ni stąd, ni zowąd. Czy to nie wydaje ci się podejrzane?

– Och, nawet bardzo – odparł Löwenthal, nadal się uśmiechając. – Ale zdaje się, że zrobiło ci się naprawdę gorąco, Tom.

Balfour rzeczywiście był czerwony jak burak.

– To przez Lauderbacka... – zaczął.

Löwenthal pokręcił głową.

– Nie, nie... Nie będę cię zmuszał, żebyś złamał słowo – powiedział. – Tylko się z tobą droczyłem. Zmieńmy temat. Nie będę już o nic pytał.

Ale Thomas Balfour właśnie bardzo chciał, by Löwenthal go pytał. Był więcej niż gotowy nadużyć zaufania Alistaira Lauderbacka i miał nadzieję, że udając, iż w żaden sposób nie może zdradzić sekretu polityka, skłoni Löwenthala, by zaczął go o to błagać. Löwenthal jednak najwyraźniej nie grywał w takie gry. (Może nie chciał, a może nie wiedział, że mógłby sobie na coś takiego pozwolić). Balfour poczuł się stłamszony. Żałował, że od razu nie usiadł i nie opowiedział szczerze wszystkiego, co wiedział o szantażu, jakiego dopuścił się Carver na Lauderbacku, oraz o zemście, którą planował polityk. A teraz będzie musiał wyjść, niczego się właściwie nie dowiedziawszy – bo nie mógł przecież w tej chwili zaproponować, że zacznie opowiadać, skoro redaktor zapewnił go, że nie chce o niczym wiedzieć!

Przerwiemy opowieść w tym miejscu, aby zauważyć, że Balfour niepotrzebnie sam się ocenzurował – albowiem gdyby opowiedział całą historię Lauderbacka, to, co zdarzyło się 27 stycznia, mogłoby mieć dla niego całkiem odmienne skutki, podobnie jak dla wielu innych osób. Dzięki pewnym szczegółom historii Lauderbacka Löwenthal przypomniałby sobie coś, czego nie miał żadnego powodu pamiętać przez wiele miesięcy – i to wspomnienie wielce by pomogło Balfourowi w śledztwie w sprawie Carvera, gdyż przynajmniej częściowo pozwoliłoby wyjaśnić, dlaczego ten w tajemniczych okolicznościach przyjął nazwisko Wells.

Stało się jednak tak, że Balfour historii Lauderbacka nie opowiedział, a pamięć

Löwenthala nie została pobudzona, więc agent spedycyjny, wstając od poplamionego stołu, nie miał innego wyjścia, jak tylko podziękować swojemu przyjacielowi i pożegnać go, czując, podobnie jak redaktor, że ich rozmowa okazała się dość rozczarowująca, albowiem najpierw tylko rozbudziła jego nadzieje, a potem je rozwiąła. Löwenthal wrócił zatem do cichej kontemplacji swojej wiary, a Balfour wyszedł na błącko ulicy Revella, gdzie dzwony wybijały właśnie wespół do czwartej; dzień płynął dalej.

Płynie jednak również kula zewnętrzna – nieograniczona teraźniejszość, która zawiera w sobie ograniczoną przeszłość. Niniejsza historia, pełna aluzji i wyrazistych powtórzeń, opowiadana jest bowiem Walterowi Moody’emu – a Benjamin Löwenthal, który też jest w palarni hotelu Korona, słyszy jej fragmenty po raz pierwszy i nagle przypomina sobie coś, co stało się jakieś osiem miesięcy wcześniej. Kiedy Thomas Balfour przerywa, żeby się napić, jak w tej chwili, Löwenthal okrąży stół bilardowy, wysuwa się do przodu i podnosi rękę na znak, że chce się wtrącić. Balfour się zgadza, Löwenthal zaczyna więc relacjonować swoje wspomnienie, które niedawno do niego wróciło. Mówi ściszym głosem i z powagą człowieka, który ma do przekazania bardzo ważne wieści.

A oto jego opowieść:

Pewnego ranka w czerwcu 1865 roku do biura Löwenthala przy ulicy Rezedowej wszedł jakiś ciemnowłosy mężczyzna z blizną na policzku i poprosił o umieszczenie ogłoszenia w „Czasie Zachodniego Wybrzeża”. Löwenthal zgodził się, wyjął pióro i spytał, o jakie ogłoszenie chodzi. Mężczyzna odparł, że zaginęła jego skrzynia. Był gotów zapłacić dwadzieścia funtów, jeżeli zostanie mu zwrócona, a nawet pięćdziesiąt, jeśli się okaże, że jej nie otwierano. Nie powiedział, co było w środku, ujawnił jedynie tyle, że jej zawartość jest dla niego wiele warta z przyczyn osobistych. Był gburowaty i wyrażał się bardzo pospolicie. Kiedy Löwenthal zapytał go o nazwisko, nie odpowiedział, wyciągnął tylko z kieszeni świadectwo urodzenia i położył je na biurku. Löwenthal spisał nazwisko – pan Crosbie Francis Wells – i w końcu zapytał, gdzie tamten chciałby dostawać wiadomości, gdyby jego zguba się odnalazła. Mężczyzna podał jakiś adres przy Nabrzeżu Gibsona, a Löwenthal zanotował go, wystawił rachunek, pobrał opłatę, po czym życzył swojemu klientowi dobrego dnia.

Można by zapytać (i prawdę mówiąc, Moody faktycznie o to spytał), jak Löwenthal może pamiętać tę wizytę tak dokładnie, biorąc pod uwagę, że dopiero sobie o niej przypomniał, prawie osiem miesięcy później, a nie miał dotąd żadnej sposobności, aby potwierdzić niektóre jej szczegóły. Po pierwsze, skąd może być taki pewny, że człowiek, który dał to ogłoszenie, rzeczywiście miał na twarzy bliznę, po drugie, że było to w czerwcu ubiegłego roku, i po trzecie, że nazwisko na świadectwie urodzenia bez żadnych wątpliwości brzmiało Crosbie Francis Wells?

Odpowiedź Löwenthala była uprzejma, lecz dość rozwlekła. Wyjaśnił Moody’emu, że „Czas Zachodniego Wybrzeża” został założony 29 maja 1865 roku, mniej więcej miesiąc po przybyciu Löwenthala do Nowej Zelandii. Pierwszy nakład liczył zaledwie dwadzieścia

egzemplarzy – osiemnaście dla osiemnastu hoteli w Hokitika, jeden dla nowo wybranego magistratu i jeden dla samego Löwenthala. (Miesiąc później, po zakupie parowej maszyny drukarskiej, gazeta wychodziła już w dwustu egzemplarzach, a teraz, w styczniu 1866 roku, Löwenthal drukował ich niemal tysiąc i zatrudniał dwóch pracowników). Chcąc się pochwalić, że „Czas” był pierwszą codzienną gazetą w Hokitika, oprawił jej pierwszy egzemplarz i powiesił za szkłem u siebie w poczekalni. Dlatego właśnie znał dokładną datę założenia gazety, gdyż widział ją każdego ranka oprawioną na ścianie. Człowiek, o którym mowa, wyjaśniał Löwenthal, na pewno przyszedł do niego już w czerwcu, albowiem parową maszynę drukarską dostarczono mu 1 lipca, on zaś ogłoszenie tego mężczyzny z blizną drukował jeszcze na starej, ręcznej maszynie.

Jak to możliwe, że ten fakt tak dobrze wrył mu się w pamięć? Otóż po złożeniu tekstu Löwenthal zauważył, że dwa cale kwadratowe (wymiary standardowego ogłoszenia, za które zapłacił człowiek z blizną) nie wystarczą na umieszczenie anonsu, który był o jedno słowo za długi, by zmieścić się w kolumnie. Jeśli Löwenthal nie przetasowałby starych ogłoszeń i całkowicie nie zmienił układu gazety, musiałyby zostawić na szpalcie coś, co składacze nazywają samotnikiem – co oznacza, że ostatnie słowo w ogłoszeniu (czyli „Wells”) pozostałoby samotnie na górze trzeciej kolumny, wywołując niepożądane, a nawet mylące skojarzenia w umyśle czytelnika. Kiedy Löwenthal zorientował się, że popełnił błąd, człowiek z blizną dawno już opuścił jego gabinet, a wydawca nie miał ochoty wychodzić na ulicę, żeby go odnaleźć. Dlatego zaczął szukać jakiegoś słowa, którego mógłby się pozbyć z ogłoszenia, i wreszcie postanowił wyciąć drugie imię ogłoszeniodawcy, brzmiące „Francis”. Dzięki temu uniknął pozostawienia „samotnika” i nie zepsuł układu szpalty.

„Czas Zachodniego Wybrzeża” ukazał się wcześniej rano następnego dnia, a człowiek z blizną wrócił jeszcze przed południem. Upierał się, że jest sprawą wyjątkowo ważną, by jego drugie imię znalazło się w ogłoszeniu – choć nie powiedział dlaczego. Był wielce oburzony, że Löwenthal zmienił treść anonsu bez jego wiedzy, i wyraził swoje niezadowolenie równie gburowato i ordynarnie, jak poprzedniego dnia, kiedy prosił redaktora o pomoc. Löwenthal przeproszał go wylewnie i wydrukował ogłoszenie powtórnie – a potem jeszcze pięć razy, albowiem mężczyzna zapłacił za cały tydzień. Wydawca uznał jednak, że biorąc pod uwagę zaistniałe okoliczności, siódme ogłoszenie wydrukuje za darmo.

Dlatego, wyjaśnił Löwenthal Moody’emu, ma pewność zarówno co do daty tego wydarzenia, jak i pełnego brzmienia nazwiska ogłoszeniodawcy: Crosbie Francis Wells. Dobrze pamiętał tę sprawę: człowiek interesu, wspominający początki swojego przedsiębiorstwa, zawsze zachowuje w pamięci swój pierwszy błąd, a jeśli poważnie traktuje pracę, niełatwo zapomina niezadowolonego klienta.

Pozostawała więc jedynie kwestia opisu wyglądu tego mężczyzny – skąd bowiem Löwenthal mógł mieć pewność, że człowiek, o którym opowiadał, istotnie wyróżniał się blizną na policzku, której na pewno nie miał odludek, znany jako Crosbie Wells, a którą niewątpliwie ma były więzień, znany jako Francis Carver?

Löwenthal przyznał, że tego nie może być całkowicie pewien. Być może na historię z ogłoszeniem nałożyło mu się wspomnienie jakiegoś innego człowieka z blizną. Pragnął jednak dodać, że ma na ogół dobrą pamięć i przywołując tego mężczyznę w wyobraźni, wciąż bardzo wyraźnie go widzi. Jest przekonany, że mężczyzna nosił cylinder, który ścisnął w dłoniach, kiedy się odzywał, jak gdyby chciał go sprasować w arkusz pilśni. Nie może się przecież mylić co do takiego szczegółu! Löwenthal oświadczył dalej, że gotów jest założyć się o znaczną kwotę, że człowiek, którego pamięta, naprawdę miał na policzku bliznę w kształcie sierpa, a także świadectwo urodzenia, wystawione na nazwisko Crosbie Francis Wells. Z drugiej strony wydawca przyznał się, że nigdy w życiu nie widział Crosbiego Wellsa, tego odludka, i nie może wiedzieć, jak on wyglądał, ponieważ nie zachował się ani jeden portret czy też inny wizerunek zmarłego.

Ta informacja, jak możecie sobie wyobrazić, wzbudziła w palarni hotelu Korona prawdziwą kakofonię uwag i przypuszczeń, a opowieść nie została podjęta na nowo jeszcze przez jakiś czas. My pozostawimy jednak zebranych w czasie teraźniejszym i ruszemy dalej naprzód w przeszłość.

Φ

Niesprzyjająca aura nie powstrzymała kursowania promów między ujściem rzeki Hokitika i Kaniere, chociaż pływały rzadziej, a przewoźnicy, nie mając kogo przewozić i nic szczególnego do roboty, siedzieli w otwartym magazynie przy nabrzeżu, palili papierosy i grali w wista. Wyglądało na to, że nie będą zbyt szczęśliwi, jeśli przyjdzie im porzucić karty i wyjść na deszcz, i zażądali opłaty, która była wyrazem ich niezadowolenia z tego powodu. Jednak Mannering od razu się na nią zgodził, musieli zatem odłożyć talię, zgasić papierosy i zacząć zsuwać łódź po rampie do wody.

Kaniere leżało zaledwie cztery milę w górę rzeki i tę odległość można było pokonać błyskawicznie w drodze powrotnej, kiedy wiosłarze nie musieli walczyć z rwącym nurtem – ale podróż w głąb łądu z łatwością mogła potrwać nawet godzinę, w zależności od siły prądu rzecznej, wiatru oraz siły przyprływu bądź odpływu. Poszukiwacze złota, krążący między Kaniere i Hokitika, zazwyczaj przemieszczali się dyliżansem lub pieszo, dyliżans już jednak odjechał, a pogoda zniechęcała Manneringa i Frosta do spaceru.

Mannering zapłacił za prom i już po chwili razem z Frostem zajął miejsce na dziobie malowanej dingi (właściwie była to szalupa, ściągnięta z jakiegoś rozbitego statku). Między nimi ulokowała się Holly. Siedzący po bokach wiosłarze odepchnęli się od brzegu piórami wiosła, mocno na nie natarli i wkrótce łódź posuwała się już w górę rzeki.

Mannering i Frost, zwrócenii przodem do wiosłujących, wyglądali jak para nieco przerośniętych, dobrze ubranych sterników, a odległość między nimi zmniejszała się za każdym razem, kiedy wiosłarze pochylali się naprzód, by znów pociągnąć za wiosła. Dlatego przyjaciele nie rozmawiali o sprawie, którą płynęli załatwić, bo uczyniliby wiosłarzy swoimi powiernikami. Mannering paplał bezustannie o pogodzie, Ameryce Północnej i Południowej,

ziemi, szkle, śniadaniu, płukaniu złota, miejscowym drewnie, bałtyckim teatrze wojennym oraz życiu na złotodajnych polach. Frost, który cierpiał na chorobę morską, w ogóle się nie poruszał, tylko od czasu do czasu wyciągał rękę i ocierał krople wody, zbierającej się pod rondem jego kapelusza – a na gadaninę Manneringa reagował nie inaczej, jak tylko wydając nieartykułowane, potakujące dźwięki przez zaciśnięte zęby.

Prawdę mówiąc, Frost był bardzo przestraszony, a z każdym kolejnym uderzeniem wiosła, unoszącym łódź coraz bliżej wąwozu, bał się jeszcze bardziej. Co go naszło, na Boga, żeby stwierdzić, że nie ma pietra, skoro był w wielkim strachu? Mógł przecież spokojnie powiedzieć, że powinien wrócić, bo czekają na niego w banku! A teraz kołysał się w głębokiej na trzy cale, brązowej wodzie zalegającej na dnie łodzi, drżał, był bez broni i nieprzygotowany jak źle dobrany sekundant w cudzym pojedynku – i po co to wszystko? Co on miał do tego Chińczyka, Quee’ego? Jaką żywił do niego urazę? Nigdy w życiu nawet go nie widział! Tu Frost wyciągnął rękę, żeby zetrzeć wodę z ronda kapelusza.

Rzeka Hokitika wiła się po równinie, pokrytej jednakowo okrągłymi i wygładzonymi kamyczkami. Brzegi porastały ciemne krzewy, których listowie w deszczu wydawało się niemal czarne. Nad leżącymi dalej górami płynęły zmieniające ciągle kształt chmury. Spoglądając w tamtą stronę, odnosiło się wrażenie, że odległość do gór można odmierzyć w kilku krokach: wysokie drzewa kahikatea, wznoszące się nad krzewami, rysowały się na pierwszym planie zielenią, potem błękitem i wreszcie szarością na grzbietach gór, gdzie stapiały się kolorystycznie z mgłą. Alpy tonęły w chmurach, chociaż w pogodny dzień (jak zauważył Mannering) byłyby dobrze widoczne jako ostra, biała grań na tle nieba.

Łódź płynęła dalej. Minęło ich jedno czółno, sunące szybko w dół rzeki. Wiozło brodatego geodetę i dwóch maoryskich przewodników, którzy dość skwapliwie uchyliłi kapeluszy, a Mannering odwzajemnił to powitanie. (Frost nie chciał ryzykować i nie poruszył się). Potem nie było już nic, tylko przesuwające się w rytm uderzeń wiosła brzegi rzeki i siekący deszcz. Mewy, które towarzyszyły im od ujścia, straciły zainteresowanie łodzią i wycofały się. Mniej więcej po dwudziestu minutach mężczyźni wypłynęli zza zakrętu, a wtedy, tak jak lampa nagle rozświetla zatłoczony pokój, otoczyły ich hałas i ruch.

Miasteczko namiotowe w Kaniere leżało między Hokitika i działkami w głębi wyspy. Teren wokół osady był dość płaski i dosłownie zryty koronką potoków oraz strumieni, niosących kamienie i piargi z gór do morza. Zawsze słyszało się tu płynącą wodę – jako daleki ryk, plusk, chlupot albo szmer. Jak ujął to jeden z pierwszych miejscowych mierniczych, gdziekolwiek na Zachodnim Wybrzeżu była woda, znajdowało się też złoto – a woda była tu wszędzie, skapywała z paproci i gałęzi, spulchniała mchy i porosty, zwieszające się z drzew, wypełniała pozostawione przez ludzi odciski stóp w piasku, wzbierała.

W oczach Frosta obóz w Kaniere stanowił okropny widok. Namioty poszukiwaczy złota, stojące w krzywych szeregach, ugiwały się pod ciężarem nieustającego deszczu, a kilka z nich w ogóle się zawaliło. Łączyły je liny, ciężkie od flag i mokrego prania. Kilka namiotów zostało wzmocnionych prymitywnymi murami z łupków i gliny, i te wyglądały solidniej. Jacyś

pomysłowi osadnicy powiesili na drzewie drugą płachtę namiotową, stanowiącą dodatkową osłonę. Do pni przybito malowane tabliczki, zachwalające najróżniejsze rozrywki oraz alkohole. (Na złotodajnych polach wystarczyło mieć namiot i butelkę, żeby otworzyć tawernę i sprzedawać grog, chociaż właściciel takiego przybytku zapłaciłby grzywnę albo nawet trafił do więzienia, gdyby wpadł w ręce stróżów prawa. Większość alkoholu sprzedawanego w ten sposób pędzona była w obozie. Charlie Frost skosztował nawet kiedyś bimbru z Kaniere, ale zaraz wypluł go z obrzydzeniem. Napój był oleisty, kwaśny i pływały w nim jakieś farfocle; bankowiec uważał ponadto, że pachniał jak emulsja fotograficzna).

Frost nie mógł się nadziwić, że deszcz nie zapędził poszukiwaczy do namiotów. W rzeczy samej, wydawało się, że aura nie popsuła im nastrojów. Zebrali się grupkami na brzegu rzeki – jedni stali po kolana w wodzie i płukali złoto w miskach, inni potrząsali płuczkami, a jeszcze inni czyścili swoje naczynia, kąpali się, prali, wyplatali liny albo siedzieli i cerowali odzież. Wszyscy nosili ubrania typowe dla poszukiwaczy złota – z moleskinu, serży i twillu. Niektórzy mieli przytroczone do pasa sakwy, ufarbowane na bardzo jasny szkarłat zgodnie z piracką modą tamtych czasów, a większość wcisnęła na głowę charakterystyczne kapelusze z dającym się zagiąć do góry, ale teraz opuszczonym rondem. Ciągłe pokrzykiwali coś do siebie w czasie pracy, najwyraźniej nie zwracając uwagi na deszcz. Poza tymi nawoływaniami dało się słyszeć normalne odgłosy towarzyszące pracy: dźwięczne uderzenia siekier, śmiech, pogwizdywanie. W powietrzu wisiał niebieski dym, który rozwiewał się nad rzeką w leniwych podmuchach wiatru. Gdzieś z dala spośród drzew dobiegał dźwięk akordeonu, a z jeszcze większej odległości głośny aplauz.

– Cicho tu, co? – powiedział Mannering. – Nawet jak na niedzielę.

Frost wcale nie uważał, żeby było cicho.

– Prawie nikogo nie widać – powiedział znów Mannering.

Frost widział dziesiątki, a może i setki ludzi.

Rozciągająca się przed nimi panorama stanowiła dla Charliego Frosta pierwszy widok Kaniere, albo i więcej – pierwszy widok okolic Hokitika, albowiem przez siedem miesięcy, odkąd przepłynął piaskową łacę Hokitika, ani razu nie wybrał się w głąb lądu i nawet wzdłuż brzegu nie był nigdzie dalej niż na wysokiej terasie Pejzaż Morski. Chociaż często narzekał na brak środków finansowych, w głębi duszy dobrze zdawał sobie sprawę, że raczej nie ma natury poszukiwacza przygód. Zobaczył, jak pewien mężczyzna wciąga gałąź do wątego ogniska na brzegu, po czym wrzuca ją w ciemne łoże popiołów; czarny dym spowił go z sykiem i mężczyzna zaczął strasznie kaszleć, jak gdyby chciał wypluć płuca, jak ktoś, komu nie pozostało już wiele czasu na tym świecie. Widząc to, Frost poczuł się całkowicie usprawiedliwiony w swoim konserwatyzmie. Stwierdził w duchu, że Kaniere to nieszczęsna, nędzna, zapomniana przez Boga dziura.

Łódź wpłynęła na płyciznę, ocierając się kilem o kamienie. Siedzący z przodu wioślarz wyskoczył i wyciągnął szalupę z wody, żeby Mannering i Frost mogli wygramolić się na

brzeg, nie mocząc obuwia; zbyteczna uprzejmość – buty i tak już mieli przemoczone. Pies przeskoczył przez burzę i rzucił się brzuchem na wodę.

– Na honor – rzekł Mannering, kiedy z trudem wy dostał się na kamienisty brzeg i wyprostował grzbiet. – Powinienem być zmienić spodnie. To nie jest dobry dzień na elegancki strój, co, Charlie? Każdy dandys wyjdzie dziś na głupka. Na honor!

Zauważył, że Frost ma kwaśną minę, i chciał go rozweselić – bo wprawdzie uważał, że widok odrobiny surowego życia tylko dobrze zrobi bankowcowi (w postawie Frosta było coś kołtuńskiego, a to w najwyższym stopniu irytowało Manneringa), chciał jednak, żeby chłopak miał o nim dobre mniemanie. Mannering lubił rywalizację, a spośród wielu wyimaginowanych trofeów, o które współzawodniczył każdego dnia, było i takie, na którym widniały wygrawerowane nazwiska wszystkich jego współpracowników. Gdyby kiedykolwiek musiał wybierać między cudzą karierą i służalczością, wybrałby służalczość, bez względu na jej cenę. Nie zamierzał traktować łagodnie Frosta, który z kolei miał dosyć miękki charakter, i zawsze dbał o to, żeby chłopak wiedział, gdzie jest jego miejsce. Nie był jednak człowiekiem na tyle pysznym, by dobrotliwie nie wyciągać ręki do bankowca – tym bardziej że dobroć jest czymś, czego pragniemy wszyscy.

Ale Frost nie zareagował. Z przerażeniem przyglądał się trójkątnemu, perkalowemu namiotowi, w którym ledwie zmieściłoby się na leżąco trzech ludzi, zwieńczonym tabliczką z odręcznym napisem „Hotel”. Jeszcze bardziej przeraził go widok jakiegoś poszukiwacza złota, który rozpiął spodnie i na oczach wszystkich ulżył sobie na nadbrzeżne kamienie. Bankowiec cofnął się i wtedy ku swojemu zaskoczeniu usłyszał śmiech. Dwóch kopaczy, siedzących pod drewnianą markizą nie dalej niż dziesięć jardów od miejsca przybicia promu, obserwowało przyjazd pasażerów. Najwyraźniej przerażenie Frosta wydało im się niezwykle zabawne, bo jeden z nich uchylił kapelusza, a drugi zasalutował szyderczo.

– Przyjechałeś filować?

– E tam, Bob. On przyjechał zrobić pranie w rzece. Tylko że zapomniał najpierw pobrudzić ubranie!

Mężczyźni znów się zaśmiali, a Frost odwrócił się, czerwony na twarzy. To prawda, że jego życie toczyło się w bliźniaczych kręgach obowiązku i przyzwyczajenia. To prawda, że nie był podróżnikiem ani spekulantem. To prawda, że rano wyszczotkował płaszcz, a kamizelkę miał czystą. Nie wstydził się tego. Ale dzieciństwo spędził tam, gdzie innych dzieci nie było, dlatego nie rozumiał, jak jeden człowiek może dokuczać drugiemu. Gdyby ktoś zaczął się z niego wyśmiewać, nie wiedziałby, jak na to zareagować. Poczł gorąco na twarzy i ucisk w krtani, zdołał więc tylko przywołać na usta nienaturalny uśmiech.

Wioślarze tymczasem zgodzili się przewieźć Manneringa i Frosta z powrotem do Hokitika za dwie godziny (aż dwie, pomyślał Frost z drżeniem serca), a potem ciągnęli losy, żeby ustalić, który z nich zostanie pilnować łodzi. Pechowiec usiadł, rozczarowany, a reszta, pobrzękując monetami, zniknęła pośród drzew.

Dwaj siedzący naprzeciwko kopacze wciąż się śmiali.

– Poproś go o szczyptę tabaki – odezwał się pierwszy z nich do swojego kompana.

– Poproś, żeby ci powiedział, jak często pisuje do domu... Znaczą się do Mayfair.

– Poproś, żeby powiedział, czy umie zakasać rękawy powyżej łokcia.

– Poproś, żeby powiedział, ile zarabia jego ojciec. Na pewno się ucieszy.

Frost pomyślał, że to strasznie niesprawiedliwe – bo nigdy nie był w Mayfair, jego ojciec klepał biedę, a on sam był prawdziwym Nowozelandczykiem, przyszedł bowiem na świat na tej ziemi! (Chociaż „Nowozelandczyk” brzmiał w jego uszach dziwacznie, bo przecież nie mówiło się „Angliczyk”). Zarabiał niewiele, jeśli wziąć pod uwagę, że lwia część jego dochodów trafiała co miesiąc do kieszeni ojca. Ale co do ubrania, które miał na sobie, to kupił je za własne pieniądze, i sam wyczyścił sobie rano płaszcz! Poza tym bardzo często podwijał rękawy koszuli powyżej łokci. Mankiety miał zapięte, podobnie jak kopacze, a koszulę nabył w sklepie galanteryjnym w Hokitika, jak oni. Chciał im to wszystko powiedzieć, ale przyklęknął tylko i wyciągnął otwarte dłonie do psa, żeby je polizał.

– Możemy już iść? – zwrócił się półgłosem do Manneringa.

– Za chwilę.

Mannering schował pugilares do wewnętrznej kieszeni, a teraz bawił się guzikami płaszcza – bo nie mógł się zdecydować, czy zapiąć wszystkie z wyjątkiem dolnego, dzięki czemu miałyby bardzo łatwy dostęp do swoich rewolwerów, czy wszystkie z wyjątkiem najwyższego, a wówczas broń pozostałaby zakryta przed wzrokiem niepowołanych.

Frost rzucił mu jeszcze jedno nerwowe spojrzenie, unikając wzroku kopaczy siedzących pod markizą. Trakt wiodący z miejsca, gdzie przybiła łódź, rozwidlał się i ciągnął między drzewami – jedna jego odnoga biegła na wschód, w stronę jeziora Kaniere, a druga na południe, w kierunku wąwozu Hokitika. Na południowym brzegu rzeki leżała kolorowa pstrokaczna działek i kopalni, w tym także kopalnia Aurora. Frost nie wiedział o tym i prawdę powiedziawszy, gdyby ktoś go poprosił, żeby wskazał północ, chyba nie potrafiłby tego zrobić. Rozglądał się za jakimś drogowskazem, który skierowałby ich do Chinatown, ale żadnego nie znalazł, a w tłumie kopaczy nie dostrzegł ani jednego Chińczyka.

– Tędy – powiedział Mannering, jak gdyby czytał mu w myślach, i wskazał głową na wschód. – W górę rzeki. To niezbyt daleko.

Frost przytrzymał psa między nogami i zaczął miętosić jego mokre futro, bardziej po to, by dodać sobie otuchy, niż dla psiej przyjemności.

– Czy nie powinniśmy... przygotować sobie jakiegoś planu działania? – ośmielił się zapytać, zerkając spod zmrużonych powiek na Manneringa.

– Nie – rzekł Mannering, przypinając pas nieco wyżej na brzuchu.

– Plan nie jest nam potrzebny?

– Quee nie używa broni, a ja mam dwa rewolwery. Nie potrzebuję żadnego innego planu.

Frost nie zaznał ukojenia dzięki tej odpowiedzi. Puścił Holly, która natychmiast uciekła, po czym wstał.

– Chyba nie zastrzelisz bezbronного człowieka?

Mannering zdecydował się jednak na górny guzik.

– No – powiedział. – Tak będzie najlepiej. – Obciągnął płaszcz.

– Nie słyszałeś, co powiedziałem?

– Słyszałem – rzekł Mannering. – Przestań się martwić, Charlie, bo w ten sposób tylko ściągniesz na siebie uwagę.

– Mógłbyś mi odpowiedzieć, skoro nie chcesz, żebym się martwił. – Głos Frosta był dość przenikliwy.

– Posłuchaj – odparł Mannering, odwracając się twarzą do niego – płaciłem Chińczykom przez ostatnie pięć lat, żeby pracowali na moich działkach, i jeśli czegoś się przez ten czas nauczyłem, to tego, że gonią za opium niczym samotny poszukiwacz za kurwą, wszyscy, bez wyjątku. O tej porze w sobotę każdy żółtek po tej stronie Alp będzie leżał bez sił z opiumowym smokiem w oczach. Mógłbyś wejść do Chinatown i zgarnąć ich wszystkich jedną ręką, drugą mając związaną za plecami. Jasne? Nie będziemy musieli używać siły. Nie będziemy potrzebowali broni. Jest tylko na pokaz. Wszystko ostatecznie działa na naszą korzyść, Charlie. Człowiek odurzony opium przelewa się przez ręce jak woda. Zapamiętaj to sobie. Do niczego się nie nadaje. Jest jak dziecko.

SŁOŃCE W KOZIOROŻCU

Rozdział, w którym Gascoigne wspomina pierwsze spotkanie z dziewczyną, którą rozpruwa kilka szwów, wyczerpanie zbiera swoje żniwo, a Anna Wetherell ma pewną prośbę

Podglądając Annę i Gascoigne'a przez szparę w drzwiach, Joseph Pritchard ujrzał jedynie to, czego sam najbardziej pragnął – miłość i szczerze współczucie. Pritchard był osamotniony i jak większość samotnych ludzi wszędzie dokoła widział szczęśliwe pary. W tym momencie – kiedy Anna owinęła się wokół Gascoigne'a, a on otoczył ją ramionami, wziął na ręce i wtulił policzek w jej włosy – aptekarz, stojący z bezwładną ręką na zimnej klamce, nie zaznałby żadnego ukojenia, gdyby dowiedział się, że Aubert Gascoigne i Anna Wetherell są tylko i po prostu przyjaciółmi. Samotności nie da się uśmierzyć w drodze stopniowania cudzego uczucia i nawet ich przyjaźń wydawałaby się Pritchardowi upragnionym cukierkiem za szybą – zacząłby się ślinić choćby na widok najmniejszej oznaki wzajemnej życzliwości tych dwojga i uświadomiłby sobie, że czegoś mu brakuje.

Domysły na temat Gascoigne'a aptekarz opierał w istocie na bardzo ograniczonej znajomości z Francuzem – właściwie na podstawie zaledwie jednej rozmowy. Sądząc po wyniosłej postawie i nieskazitelnej elegancji jego stroju, Pritchard przypuszczał, że Gascoigne zajmuje jakieś eksponowane stanowisko w sądzie, chociaż miał tam, po prawdzie, niewiele obowiązków. Jego głównym zadaniem było codzienne zbieranie kaucji w więzieniu w Miasteczku Policyjnym. Poza tym zapisywał wysokość opłat, wystawiał rachunki za zezwolenia na wydobywanie złota, notował skargi, a od czasu do czasu załatwiał różne sprawy dla komisarza. Zajmował zatem niską pozycję w sądowej hierarchii, ale był nowy w mieście, cieszył się więc, że ma pracę, a przy tym był pewien, że już niedługo przestanie przynosić do domu pensję godną co najwyżej lokaja.

Gascoigne bawił w Hokitika dopiero niecały miesiąc, gdy po raz pierwszy spotkał Annę Wetherell, półleżącą na podłodze w więzieniu George'a Sheparda. Oparta plecami o ścianę, ręce trzymała na kolanach. Miała otwarte oczy, które błyszczały gorączką, a włosy wyslizgnęły się jej z objęć spinki i przykleiły do mokrego policzka. Gascoigne przyklęknął przy dziewczynie i impulsywnie wyciągnął do niej dłoń. Chwyciła ją i przyciągnęła do siebie jeszcze bliżej, żeby nie zobaczył go naczelnik, który siedział przy drzwiach z karabinem na kolanach.

– Mogę zapłacić kaucję... Zdobędę ją... – powiedziała cicho. – Ale musi mi pan zaufać. I nie może mu pan powiedzieć, skąd ją wezmę.

– Komu? – Gascoigne również zniżył głos do szeptu.

Anna ruchem głowy wskazała naczelnika Sheparda, nie przestając patrzeć Gascoigne'owi w oczy. Zaciśnęła mocniej palce i przesunęła jego dłoń na swoją pierś. Był zaskoczony, niemal wyrwał rękę z jej uścisku, ale po chwili zrozumiał, że chciała, by czegoś dotknął.

Suknia wokół jej żeber była czymś wypchana. Gascoigne pomyślał, że to jakaś kolczuga, chociaż nigdy nie dotykał kolczugi.

– Złoto – szepnęła Anna. – To jest złoto. Na fiszbinach, w podszewce i wszędzie dokoła. – Ciemne oczy dziewczyny przesuwały się prosząco po jego twarzy. – Złoto – powtórzyła. – Nie wiem, skąd się tam wzięło. Było już w sukni, kiedy doszłam do siebie... Ktoś je w nią wszył.

Gascoigne zmarszczył brwi, próbując zrozumieć, co do niego mówi.

– Chce pani zapłacić swoją kaucję złotem?

– Mogę je wyjąć – szepnęła. – Ale nie tutaj. Nie bez noża. Jest zaszyte.

Ich twarze niemal się ze sobą stykały. Francuz poczuł słodki posmak opium w oddechu dziewczyny – niczym śliwkowy cień.

– Należy do pani?

Po twarzy Anny przemknął wyraz rozpacz.

– A co to za różnica? To przecież jak pieniądze, nie?

Z kąta rozległ się głos Sheparda.

– Czy ta dziwka pana zatrzymuje, panie Gascoigne?

– Nie, nie – odparł Gascoigne.

Anna puściła go, więc wyprostował się i cofnął o krok. Wyciągnął z kieszeni pugilares, udając nonszalancję i stanowczość. Zważył go w dłoni.

– Może pan przypomnieć panie Wetherell, że nie przyjmujemy obietnic wpłacenia kaucji – powiedział Shepard. – Albo da nam pieniądze tu i teraz, albo pozostanie w więzieniu, dopóki ktoś ich dla niej nie zdobędzie.

Gascoigne przyglądał się Annie. Nie miał powodów, aby spełnić prośbę tej kobiety, i nie miał powodów wierzyć, że ów twardy pancerz wokół jej gorsetu jest, jak twierdziła, ze złota. Wiedział, że musi natychmiast donieść na nią naczelnikowi, ponieważ usiłowała mu przeszkodzić w wykonywaniu obowiązków służbowych. Powinien był rozerwać jej gorset nożem myśliwskim, który nosił za cholewą – bo jeżeli miała przy sobie złoto, to z pewnością nie należało do niej. Była kurwą. Została zatrzymana za to, że leżała w miejscu publicznym, odurzona narkotykami. Miała brudną suknię. Cuchnęła opium, a pod jej oczami widniały fioletowe sińce.

Gascoigne patrzył na nią jednak ze współczuciem. Z natury kierował się w życiu rycerskim kodeksem etycznym i bardzo współczuł ludziom znajdującym się w rozpaczliwej sytuacji, a proszący ból, widoczny w szeroko otwartych oczach Anny, rozbudził zarówno jego litość, jak i ciekawość. Gascoigne wierzył, że sprawiedliwość powinna być synonimem, nie zamiennikiem łaski. Wierzył też, że miłosierdzie odpowiada najpierw przed instynktem, a dopiero potem przed takim czy innym prawem. W nagłym przypływie litości – bo to uczucie

zawsze zalewało go jak potop – wzruszył się, postanowił spełnić prośbę dziewczyny i wziąć ją pod swoją obronę.

– Panno Wetherell – powiedział. (Nie znał wcześniej jej nazwiska, dopóki nie wymienił go naczelnik). – Pani kaucja została wyznaczona na jednego funta i jednego szylinga. – Trzymał pugilares w lewej, a księgę rachunkową w prawej ręce. Zamarkował gestem, że przekłada rejestr do lewej ręki, po czym używając księgi niczym tarczy, wyciągnął z pugilaresu dwie monety, które wcisnął sobie w lewą dłoń. Następnie przełożył pugilares i księgę do prawej ręki, a lewą wyciągnął przed siebie, zasłaniając kciukiem to, co leżało na środku. – Czy dysponuje pani taką sumą? Czy wystarczą pani te pieniądze, które pokazała mi pani zaszyte w gorsecie? – Mówił głośno i wyraźnie, jak gdyby zwracał się do osoby niespełna rozumu albo do dziecka.

Przez chwilę nie rozumiała, o co mu chodzi. Potem wcisnęła palce między fiszbinę gorsetu i, oczywiście, nic z nich nie wyciągnęła, ale wsunęła zaciśniętą dłoń w rękę Gascoigne’a, który zaraz podniósł kciuk, skinął głową, jak gdyby zadowolony ze spoczywających w jego dłoni monet, po czym zapisał kaucję w księdze rachunkowej. Wrzucił pieniądze z głośnym brzękiem do pugilaresu, a potem podszedł do kolejnego więźnia.

Ten dobry uczynek, tak niecodzienny w więzieniu George’a Sheparda, nie był niczym niezwykłym dla Gascoigne’a. Lubił się zaprzyjaźniać z przedstawicielami niższych klas społecznych, z dziećmi, żebrakami, zwierzętami, nieładnymi kobietami i mężczyznami, o których wszyscy zapomnieli. Zawsze okazywał uprzejmość tym, którzy się jej nie spodziewali. Kiedy spotykał człowieka stojącego niżej na drabinie społecznej, nigdy nie był dla niego niegrzeczny, natomiast wobec przedstawicieli klas wyższych zachowywał dystans. Nie był nietaktowny, ale sprawiał wrażenie zmęczonego i zadumanego, a nawet znudzonego. Taka postawa, chociaż niebędąca wyrazem żadnej przemyślanej strategii, zyskiwała mu zwykle wielki szacunek i zapewniała miejsce wśród dziedziców ziemi i majątku, zupełnie jak gdyby zamierzał skończyć wśród nich.

W ten sposób Albert Gascoigne, syn niezamężnej angielskiej guwernantki, wychowany na poddaszach paryskich czynszówek, wiecznie chodzący w używanych ubraniach, skazany na ciągłe dźwiganie wiadra z węglem, na przemian strofowany i ignorowany, wyrósł z czasem na człowieka o niewielkiej, ale zasługującej na szacunek fortunie. Udało mu się uciec od swojej przeszłości – choć z jednej strony nie można byłoby go nazwać człowiekiem ambitnym, a z drugiej niezwykłym szczęściarzem.

Charakter Gascoigne’a stanowił osobliwy zlepek cech typowych dla ludzi zarówno z wyższych, jak i niższych klas. Karmił swój umysł z taką samą samodyscypliną, z jaką dbał teraz o stroje, czyli posługiwał się metodą wyrafinowaną, lecz nieco anachroniczną. Była w nim namiętność do książek i nauki, którą odznaczają się wszyscy samoucy – ponieważ jednak namiętność ta miała korzenie zarówno osobiste, jak i cnotliwe, skłaniała się zarazem ku pobożności i pogardzie. Gascoigne był bardzo sentymentalny, nie tęsknił jednak za własną przeszłością, lecz za minionymi epokami – do swojej współczesności podchodził cynicznie,

a przyszłości się bał i bardzo ubolewał nad zepsuciem świata. W sumie przywodził na myśl dobrze trzymającego się starszego dżentelmena (choć w rzeczywistości miał zaledwie trzydzieści cztery lata), będącego już w okresie komfortowego, lecz widocznego schyłku życia, z czego doskonale zdawał sobie sprawę i co w zależności od nastroju bawiło go lub przepełniało melancholią.

Gascoigne był bowiem wyjątkowo chimeryczny. Fala współczucia, która kazała mu skłamać dla Anny, opadła niemal od razu i zmieniła się w czarną rozpacz, gdy dziwka wyszła na wolność; jego pomoc mogła ostatecznie okazać się bezskuteczna – bo może została okazana niewłaściwej osobie, była prawdopodobnie niesłuszna, a nade wszystko egoistyczna. Egoizm stanowił największą obawę Gascoigne'a. Nie mógł ścierpieć w sobie jego widomych oznak, tak jak człowiek obdarzony instynktem rywalizacji nie może ścierpieć żadnych przejawów słabości, która nie pozwoliłaby mu osiągnąć samolubnego celu. Był jednak niesłychanie dumny z tej swojej cechy, uwielbiał moralizować, kiedy o niej mówił, a ilekroć irracjonalność takiego zachowania stawała się nazbyt ewidentna, by mógł ją ignorować, dostawał niezwykle egoistycznego ataku złości.

Anna wyszła za nim z więzienia, a Gascoigne na ulicy zaproponował jej niemal obcesowo, żeby przysła do niego i wyjaśniła mu na osobności, co się z nią stało. Zgodziła się potulnie i poszli dalej razem w deszczu, ale urzędnikowi już nie było jej żal. Jego zwykle szybko budzące się współczucie ustąpiło miejsca zmartwieniu i zwątpieniu – bo koniec końców dziewczyna podjęła nieudaną próbę samobójczą i zapewne była obłąkana, jak ostrzegł go naczelnik, podpisując nakaz zwolnienia Anny z aresztu.

Teraz, dwa tygodnie później, w hotelu Ruszt – gdzie obejmował ją i trzymał mocno rękę nieco powyżej jej krzyża, Anna zaś wciskała przedramiona w jego pierś i owiewała jego obojczyk swoim wilgotnym oddechem – myśli Gascoigne'a ponownie krążyły wokół podejrzenia, że może po raz drugi usiłowała odebrać sobie życie. Ale gdzie jest kula, która powinna była utkwic w jej mostku? Czyżby dziewczyna wiedziała, że rewolwer wypali w tak dziwny sposób, kiedy przyłożyła sobie lufę do piersi i odciągnęła kurek? Skąd mogłaby to wiedzieć?

„Wszyscy mężczyźni chcą, żeby ich dziewczki były nieszczęśliwe”, tak właśnie powiedziała Anna tamtej nocy, kiedy została wypuszczona z więzienia i przysła z Gascoignem do domu, gdzie razem rozpruli jej suknię na kuchennym stole. Za oknami lał deszcz, a w świetle świecy z knotem z sitowia odleglejsze zakamarki izby stawały się niewyraźne. „Wszyscy mężczyźni chcą, żeby ich dziewczki były nieszczęśliwe” – a jak on na to zareagował? Odpowiedział coś lakonicznego, najprawdopodobniej dosadnie.

Teraz natomiast Anna postrzeliła się albo próbowała postrzelić. Gascoigne trzymał ją w objęciach jeszcze długo potem, gdy Pritchard zamknął drzwi; ścisnął ją mocno i wdychał słony zapach jej włosów. Ten zapach dodawał mu otuchy, spędził bowiem wiele lat na morzu.

I był żonaty. Z Agathe Gascoigne – którą poznał pod panińskim nazwiskiem Agathe

Prideaux. Przypominała elfa, była inteligentna, lubiła się z nim przekomarzać i chorowała na gruźlicę – wiedział o tym, kiedy się jej oświadczył, ale ta przeszkoda wydawała mu się jakby nieistotna, możliwa do pokonania. Choroba była bardziej świadectwem jej delikatności aniżeli zapowiedzią przyszłych nieszczęść, płuca Agathe nie chciały się jednak zagoić. Wyjechali na południe, aby mogła leczyć się klimatycznie, i umarła na otwartym morzu gdzieś u wybrzeży Indii – to, że Gascoigne nie wiedział dokładnie gdzie, było dla niego straszne. Przerazające było też to, jak wygięło się jej ciało, gdy uderzyło o powierzchnię wody; odgłos przypominał mu klaśnięcie. Agathe kazała mu obiecać, że nie zamówi trumny i nie będzie brał na nią miary, jeżeli umrze, zanim dotrą do miejsca przeznaczenia. Powiedziała, że jeśli zejdzie z tego świata, to chce być pochowana na sposób marynarski: owiną ją w hamak i zszyją go na okrętkę. Ponieważ był to jej hamak – szkarłatny kwiat, który ściemniał już na brąz – Gascoigne ukląkł i ucałował go, choć wydawało mu się to makabryczne. Potem popłynął dalej i przerwał podróż dopiero, kiedy skończyły mu się pieniądze.

Anna była cięższa niż Agathe – bardziej kanciasta, dobrze zbudowana, ale (jak pomyślał) żywi chyba zawsze wydają się postawniejsi tym, którzy myślami wciąż pozostają przy zmarłych. Przesunął dłonią po plecach dziewczyny. Wodзил palcami wzdłuż jej gorsetu – podwójny szew oczek, przez które zostały przewleczone tasiemki.

Po wyjściu z więzienia zboczyli nieco z trasy i udali się do gmachu sądu, żeby Gascoigne mógł pozostawić w depozycie pugilares z kaucjami i dołączyć rachunki za nie do akt, które powinny być gotowe na rano. Anna patrzyła cierpliwie i bez zainteresowania, jak Gascoigne robi, co do niego należy: wydawała się pogodzona z tym, że oddał jej wielką przysługę, dlatego w zamian była mu posłuszna i milczała. Z przyzwyczajenia nie szła obok niego na ulicy, lecz kilka jardów z tyłu, aby Gascoigne mógł oświadczyć, że jej nie zna, gdyby natknęli się na jakiegoś funkcjonariusza policji.

Kiedy dotarli do domku (Gascoigne miał bowiem cały, chociaż niewielki domek tylko dla siebie – była to jednoizbowa chatka, zbita z desek i stojąca jakieś sto jardów od plaży), urzędnik nakazał Annie poczekać pod markizą na ganku, a sam w tym czasie narąbał na podwórku szczap na opał. Szybko uporał się z pniakiem, chociaż czuł się nieco zakłopotany, bo dziewczyna wbijała w niego swoje ciemne oczy, kiedy rąbał drewno. Nim twarde polana zdążyły namoknąć w deszczu, wziął ich całe narzędzie i pomknął z powrotem do wejścia, a Anna odsunęła się, żeby go przepuścić.

– To żaden pałac – odezwał się głupio; biorąc bowiem pod uwagę średni poziom życia w Hokitika, jego domek przypominał pałac.

Anna nie skomentowała jego słów, tylko przeszła przez próg i wkroczyła w ciemny zaduch domku. Gascoigne dorzucił drew do paleniska i wrócił zamknąć drzwi. Zapalił lampę naftową, postawił ją na stole i przyklęknął, by rozpałić ogień – doskonale zdając sobie sprawę w trakcie tej czynności, że dziewczyna w milczeniu przygląda się pokojowi. Był skąpo umeblowany. Jedyнным eleganckim elementem wystroju był fotel z uszakami, obity grubą tkaniną w różowe i żółte pasy. Gascoigne kupił go dla siebie, kiedy tylko został właścicielem

tego domku, i ustawił dumnie na środku izby. Zastanawiał się teraz, jakie domniemania powstają w głowie dziewczyny, jaki Anna tworzy sobie obraz na podstawie tej niezbyt okazałej konstelacji sprzętów. Wąski materac, na nim potrójnie złożony koc. Miniatura z portretem Agathe, wisząca na gwoździu nad wezłowiem. Szereg muszli na parapecie okiennym. Blaszany czajnik na piecu. Biblia z w większości nieporozcinanymi stronami, wyjąwszy Księgę Psalmów i listy apostołskie. Kraciasta puszka na herbatniki, w której Francuz przechowywał listy od matki, papiery i pióra, a przy łóżku pudło z połamanymi świecami, trzymającymi się tylko na sznurkach knotów.

– Dbam o czystość w domu. – To wszystko, co powiedziała.

– Mieszkam sam. – Gascoigne wskazał kufer, stojący w nogach łóżka. – Otwórz to.

Poluzowała klamry i z trudem podniosła wieko. Wskazał jej zwój ciemnego lnu, który podniosła, a wtedy na jej kolana zsunął się rąbek czarnej sukni Agathe, tej z wystrzępionym kołnierzykiem, której tak nienawidził.

(„Ludzie będą mnie mieli za pokutnicę, ale czerń to kolor spokoju i dyskrecji. Kobieta powinna nosić spokojne stroje” – powiedziała wesoło Agathe).

– Włóż ją – polecił Gascoigne, patrząc, jak Anna wygładza materiał nad kolanem. Agathe była niższa – trzeba będzie odpruć zakładkę. Nawet wtedy jednak dziwka odsłaniałaby nogi aż trzy cale nad kostką, a może nawet ostatnią obręcz krynoliny. Byłoby to straszne, ale Gascoigne pomyślał, że żebraczka nie może wybrzydzać, a Anna była tego dnia żebraczką. Odwrócił się z powrotem do ognia i zaczął przesypywać popiół.

Była to jedyna suknia Agathe, która wciąż pozostawała w posiadaniu Gascoigne’a. Reszta, zapakowana w pachnącą kamforą skrzynię z cedrowego drewna, zaginęła, kiedy parowiec wszedł na mieliznę – kajuty zostały najpierw splądrowane, a potem zalane wodą, gdy statek w końcu przewrócił się na bok i zamknęło się nad nim morze. Dla Gascoigne’a ta strata była błogosławieństwem. Miał miniaturę Agathe i tylko tyle chciał zatrzymać. Oddał cześć jej pamięci, był jednak młodym człowiekiem; nadal płynęła w nim gorąca krew i zamierzał zacząć życie na nowo.

Kiedy Anna się przebrała, ogień już buzował. Gascoigne zerknął kątem oka na suknię. Leżała na dziewczynie równie źle, jak na jego zmarłej żonie. Anna zauważyła, że Francuz na nią patrzy.

– Teraz będę mogła chodzić w żałobie – powiedziała. – Nigdy dotąd nie miałam czarnej sukni.

Nie zapytał, po kim nosi żałobę ani kiedy ten ktoś umarł. Napełnił czajnik wodą i postawił go na piecu.

Aubert Gascoigne wolał sam inicjować rozmowy, niż dostosowywać się do tematu i tempa wybranego przez kogoś innego. Wystarczało mu już to, że siedzi w towarzystwie, milczał więc tak długo, dopóki nie ogarniała go potrzeba, żeby coś powiedzieć. Obdarzona intuicją dziwki

Anna Wetherell najwidoczniej domyśliła się, że Gascoigne ma taką cechę. Nie zmuszała go do rozmowy, nie przyglądała mu się ani za nim nie chodziła, kiedy zaczął się zajmować zwykłymi wieczornymi sprawami: pozapalał świece, włożył świeże papierosy do papierośnicy i zmienił obuwie na domowe. Anna podniosła swoją obszytą złotą lamówką suknię i przeniosła ją przez cały pokój na stół. Suknia była ciężka. Zdaniem Anny złoto dodawało tkaninie jakieś pięć funtów wagi, próbowała więc na tej podstawie obliczyć wartość kruszcu. Monarchia brytyjska kupowała czyste złoto po mniej więcej trzy suwereny za uncję, na funt składało się szesnaście uncji, a złoto ważyło zdaniem dziewczyny co najmniej pięć funtów. Ile to będzie razem? Próbowała wyobrazić sobie kolumnę zsumowanych liczb, ale wyniki widziała niewyraźnie.

Kiedy Gascoigne dorzucił drew do ognia na wieczór i wsypał herbatę na sitko, by zanurzyć je we wrzątku, Anna przyjrzała się sukni. Ktokolwiek zaszył w niej złoto, najwyraźniej umiał się obchodzić z igłą i nitką. Pomyślała, że była to zapewne jakaś kobieta – albo marynarz. Złoto zostało zaszyte starannie wzdłuż fiszbinów gorsetu oraz w falbankach i rozłożone równo dokoła. Nie zauważyła wcześniej, że suknia jest cięższa, bo często nosiła ołowiany śrut wokół krynoliny, żeby spódnica nie podnosiła się na wietrze.

Gascoigne podszedł do dziewczyny od tyłu. Wyjął swój nóż myśliwski, żeby rozciąć gorset, ale zabierał się do tego jak rzeźnik i Anna chrząknęła, strapiona.

– Proszę to zostawić – powiedziała. – Nie wie pan, jak to zrobić. Niech pan pozwoli, że ja się tym zajmę.

Zawahał się, a potem podał jej nóż i cofnął się, żeby popatrzeć. Pracowała powoli, bo chciała zachować fason i kształt sukni. Najpierw odpruła zakładkę, a potem zaczęła się posuwać ku górze, wzdłuż każdej falbanki, wyskubując nitki czubkiem ostrza i wytrząsając złoto z zaszewek. Kiedy dotarła do gorsetu, zrobiła niewielkie nacięcie pod każdym z fiszbinów, a potem wsunęła palce w te otwory, żeby wyciągnąć ułożony w maleńkie stosiki kruszec, umieszczony między prętami. To właśnie te gruzłowate wybrzuszenia skojarzyły się Gascoigne'owi w więzieniu z kolczugą.

Złoto wytrząśnięte z fałdów sukni wspaniale lśniło. Anna zebrała je i położyła na środku stołu. Uważała, żeby przeciąg nie zmiótł złotego piasku. Za każdym razem, kiedy dorzucała jego nową garść albo nowy samorodek, nakrywała stos kruszcu rękami, jak gdyby chciała je ogrzać w jego blasku. Gascoigne przypatrywał się dziewczynie. Marszczył brwi.

Wreszcie skończyła i wyjęła całe złoto z sukni.

– Proszę – powiedziała, biorąc do ręki bryłkę wielkości mniej więcej jednej trzeciej kciuka Gascoigne'a i przesuwając ją w jego kierunku. – Funt i jeden szyling. Nie zapomniałam.

– Nie tknę tego złota – powiedział Gascoigne.

– Plus zapłata za suknię żałobną – dodała Anna, oblewając się rumieńcem. – Nie potrzebuję jałmużny.

– Możesz potrzebować – rzekł Gascoigne. Usiadł na skraju łóżka i sięgnął do kieszonki na piersi. Otworzył srebrną papierośnicę, wyłuskał z niej papierosa i zapalił go uważnie. Odwrócił się do Anny dopiero wtedy, gdy kilka razy już się głęboko zaciągnął.

– Dla kogo pracujesz, panno Wetherell? – zapytał.

– Chodzi panu o to, kto się opiekuje dziewczynami? Mannering.

– Nie znam.

– Wiedziałyby pan, o kogo chodzi, gdyby go pan zobaczył. Jest bardzo gruby. Do niego należy Opera Księcia Walii.

– Widziałem tu jednego grubasa. – Gascoigne ssał papierosa. – Jest uczciwym pracodawcą?

– Łatwo wpada w gniew, ale na ogół zapewnia dobre warunki.

– Daje wam opium?

– Nie.

– A wie, że je palisz?

– Tak.

– Kto ci je sprzedaje?

– Ah Sook – odrzekła Anna.

– Kto to jest?

– To tylko żółtek. Kapelusznik. Ma palarnię w Kaniere.

– Chińczyk, który wyrabia kapelusze?

– Nie – odparła Anna. – Użyłam miejscowej gwary. Kapelusznik to człowiek, który szuka złota w pojedynkę.

Gascoigne na chwilę przestał zadawać jej pytania, żeby spokojnie ćmić papierosa.

– Ten kapelusznik... – powiedział po jakimś czasie – prowadzi palarnię w Kaniere.

– Tak.

– I ty do niego chodzisz.

– Tak.

– Sama. – Gascoigne powiedział to oskarżycielskim tonem.

– Najczęściej tak. – Anna patrzyła na niego spod przymrużonych powiek. – Czasami kupuję narkotyk na zapas, żeby palić w domu.

– A skąd on sprowadza opium? Pewnie z Chin.

Pokręciła głową.

– Sprzedaje mu je Jo Pritchard. Ten aptekarz. Ma sklep przy ulicy Collingwooda.

– Znam pana Pritcharda. No, ale ciekawi mnie, dlaczego interesujesz się Chińczykami, skoro możesz kupować towar bezpośrednio od pana Pritcharda?

Anna nieznacznie się wyprostowała – a może po prostu zadrżała, Gascoigne nie był tego pewien.

– Nie wiem – odpowiedziała.

– Nie wiesz – rzekł Gascoigne.

– Nie.

– Kaniere to kawał drogi, żeby się zaciągnąć dymem opiumowym. Tak mi się wydaje.

– Chyba tak.

– A jak daleko jest apteka pana Pritcharda? Niecałe dziesięć minut drogi od hotelu Ruszt. Idąc szybkim krokiem, można by tam dotrzeć w jeszcze krótszym czasie.

Wzruszyła ramionami.

– Dlaczego chodzisz do Chinatown w Kaniere, panno Wetherell?

Gascoigne wyraził w tych słowach niezadowolenie. Sądził, że zna odpowiedź na to pytanie, ale chciał, żeby to ona mu jej udzieliła.

Miała kamienną twarz.

– Może mi się tam podoba.

– Ach – powiedział. – Może ci się tam podoba.

(Na litość boską! Co go naszło? Co go obchodzi, że ta dziwka kupuje opium u jakiegoś Chińczyka? Co go obchodzi, czy jeździ do Kaniere sama, czy w towarzystwie? To kurwa! Spotkał ją po raz pierwszy dopiero dzisiaj wieczorem!) Gascoigne poczuł przyływ oszołomienia, a zaraz potem złość, i zaczął szukać schronienia w papierosie.

– Mannering – odezwał się, wydmuchując dym. – Ten grubas. Mogłabyś od niego odejść?

– Kiedy spłacę dług.

– Ile mu jesteś winna?

– Sto funtów – odrzekła Anna. – Może trochę więcej.

Suknia leżała między nimi jak trup obdarty ze skóry. Gascoigne spojrział na połyskujące złoto, a Anna powiodła wzrokiem za jego spojrzeniem.

– Oczywiście staniesz przed sądem – powiedział Gascoigne, wpatrując się w kruszec.

– Po prostu znalazłam się w stanie odurzenia narkotykowego w miejscu publicznym – stwierdziła Anna. – Ukażą mnie grzywną, to wszystko.

– Staniesz przed sądem – powtórzył Gascoigne. – Za próbę samobójstwa. Naczelnik mi to powiedział.

Wbiła w niego wzrok.

– Za próbę samobójstwa?

– A czy nie usiłowałaś odebrać sobie życia?

– Nie! – Anna aż podskoczyła. – Kto tak twierdzi?

– Dyżurny policjant, który cię aresztował wczoraj wieczorem – odparł Gascoigne.

– To bzdury.

– Obawiam się, że tak napisał w raporcie. Będziesz musiała przyznać się do winy albo utrzymywać, że jesteś niewinna.

Anna przez chwilę się nie odzywała, a potem wybuchnęła:

– Każdy mężczyzna chce, żeby jego dziewczyna była nieszczęśliwa! Każdy!

Gascoigne wydmuchnął wąski strumień dymu.

– Większość dziewczek jest nieszczęśliwa – powiedział. – Wybacz, po prostu mówię, jak jest.

– Jak mogą oskarżyć mnie o próbę samobójczą, nie pytając najpierw, czy ja...? Jak mogą? Gdzie są...?

– Dowody?

Gascoigne przyglądał się jej z żalem. Anna niedawno otarła się o śmierć i było to dobrze widać na jej twarzy i ciele. Miała woskową cerę, a włosy bez życia, ciężkie, przetłuszczone. Odruchowo skubała palcami rękawy swojej sukni. Kiedy urzędnik obrzucił ją badawczym spojrzeniem, Annę przeszył dreszcz, wstrząsając jej ciałem jak fala.

– Naczelnik boi się, że jesteś obłąkana – wyznał.

– Odkąd przed kilkoma miesiącami przyjechałam do Hokitika, nie zamieniłam ani jednego słowa z naczelnikiem Shepardem – powiedziała Anna. – Jesteśmy sobie całkowicie obcy.

– Wspominał, że niedawno straciłaś dziecko.

– Straciłam! – odparła Anna głosem pełnym obrzydzenia. – Straciłam! To higieniczne określenie.

– Ty byś użyła innego?

– Tak.

– Ktoś ci odebrał dziecko?

Przez twarz Anny przemknął wyraz okrucieństwa.

– Ktoś wybił je kopniakami z mojego łona – powiedziała. – I był to rodzony ojciec tego dziecka! Ale naczelnik Shepard o tym pewnie nie wspomniał.

Gascoigne milczał. Nie skończył jeszcze palić, odrzucił jednak niedopałek, przydeptał go obcasem i sięgnął po następnego papierosa. Anna usiadła z powrotem. Położyła ręce na swojej rozciągniętej na stole sukni i zaczęła ją gładzić. Gascoigne podniósł wzrok na sufit, a Anna patrzyła na złoto.

Był to dla niej, kobiety raczej negatywnej i rzadko mówiącej o sobie, bardzo nietypowy wybuch. Jej profesja, chociaż zabrzmiało to paradoksalnie, wymagała od niej wyjątkowej skromności. Musiała zachowywać się miło, nawet kiedy nikomu nie była winna sympatii, a na jej uprzejmość nikt sobie nie zasłużył. Mężczyźni, którym świadczyła usługi, rzadko się nią interesowali. Jeżeli w ogóle coś mówili, to o innych kobietach – o dziewczynach, które od nich odeszły, o żonach, które porzucili, o swoich matkach, siostrach, córkach, opiekunkach. Patrząc na Annę, dopatrywali się w niej tych kobiet, chociaż jedynie częściowo, szukali w niej bowiem również samych siebie – z jednej strony była odbiciem ciemności, a z drugiej świeciła światłem odbitym. Jej niedola i marność były dla nich – o czym wiedziała – niezwykle krzepiące.

Wyciągnęła palec, żeby pogładzić jeden ze złotych samorodków na stole. Wiedziała, że powinna podziękować Gascoigne'owi w konwencjonalny dla siebie sposób za to, że zapłacił za nią kaucję: zaryzykował, okłamując naczelnika, nie zdradzając jej tajemnicy i zapraszając ją do siebie. Wyczuwała, że Gascoigne czegoś chce. Był dziwnie niespokojny. Jego pytania brzmiały gwałtownie, a nawet arogancko, co z pewnością wskazywało na to, że ma nadzieję na nagrodę, a kiedy Anna zabierała głos, rzucał jej szybkie, gniewne spojrzenie, po czym odwracał wzrok, jak gdyby jej odpowiedzi mocno go irytowały. Wzięła grudkę do ręki i obracała ją w dłoni. Samorodek miał nierówną, bąbelkową powierzchnię i były w nim nawet wgłębienia, jak gdyby próbowano go przetopić w tyglu.

– Wydaje mi się, że wczoraj wieczorem ktoś czekał, aż wypalisz fajkę – odezwał się po chwili Gascoigne. – Odczekał, aż stracisz przytomność, a potem zaszył to złoto w twojej sukni.

Zmarszczyła brwi, patrząc nie na Gascoigne'a, lecz na leżącą na jej dłoni bryłkę.

– Po co?

– Nie mam pojęcia – odpowiedział Francuz. – Z kim byłaś wczoraj wieczorem, panno Wetherell? I ile ten człowiek był gotów ci zapłacić?

– Niech pan posłucha – powiedziała Anna, puszczając jego pytanie mimo uszu. – Powiada pan, że ktoś zdjął ze mnie suknię, starannie zaszył w niej ten złoty piasek, a potem znów mnie w nią ubrał i zasnuował pełen złota gorset tylko po to, żeby porzucić mnie na środku drogi?

– To brzmi nieprawdopodobnie – zgodził się Gascoigne i zmienił taktykę. – W takim razie odpowiedz mi na inne pytanie: od kiedy masz tę suknię?

– Od wiosny. Kupiłam ją z drugiej ręki, od handlarza przy ulicy Tankreda.

– Ile w ogóle masz sukni?

– Pięć... Nie, cztery – odrzekła Anna. – Ale w tamtych się nie sprzedają. Prostytuuję się tylko w tej jednej, wie pan, ze względu na kolor. Miałam jeszcze sukienkę do połogu, ale została zniszczona, kiedy... Kiedy umarło moje dziecko.

Na chwilę zapadła cisza.

– Czy całe to złoto zaszyto w niej od razu? – zapytał Gascoigne. – Czy raczej ktoś wszywał ci je po trochu? Pewnie w żaden sposób nie da się tego ustalić.

Anna nie odpowiedziała. Po chwili Gascoigne napotkał jej spojrzenie.

– Z kim byłaś wczoraj wieczorem, panno Wetherell? – powtórzył pytanie, którego tym razem Anna nie mogła zignorować.

– Z mężczyzną nazwiskiem Staines – odpowiedziała cicho.

– Nie znam go – rzekł Gascoigne. – Był z tobą w palarni opium?

– Nie! – zaprzeczyła zaskoczona. – Nie byłam w palarni, tylko u niego w domu. W jego łóżku. Wyszłam w nocy, żeby zapalić fajkę, a potem nic nie pamiętam.

– Wyszłaś z jego domu?

– Tak... I wróciłam do Rusztu, gdzie mieszkam. To była niezwykła noc i jakoś dziwnie się czułam. Chciałam zażyć opium. Pamiętam, jak zapalałam fajkę, a potem ocknęłam się w więzieniu i było już jasno.

Zadrżała i nagle mocno objęła się ramionami. Gascoigne pomyślał, że dziewczyna przemawia z pełnym ożywienia zmęczeniem, takim, jakie przychodzi po pierwszym rumieńcu miłości, kiedy jaźń zrywa cumy i omal nie tonąc, poddaje się strasznej fali. Ale nie poświęcała się dla miłości; to nie mogła być miłość. Gascoigne nie mógł tłumaczyć romantycznym uczuciem jej fioletowych sińców pod oczami, wychudzenia ani tej marzycielskiej dezorientacji, z jaką się wyrażała. Mimo to, pomyślał, jest coś niesamowitego w tym, że w wyniszczeniu spowodowanym przez opium tak wyraźnie odbijają się skutki miłosnych uniesień.

– Rozumiem – powiedział głośno. – Więc zostawiłaś go, jak spał?

– Tak – potwierdziła Anna. – Spał, kiedy wychodziłam...

– I miałaś na sobie tę suknię. – Wskazał leżący między nimi pomarańczowy łań.

– Zawsze ją noszę.

– Zawsze?

– Kiedy pracuję.

Gascoigne nie odpowiedział, ale bardzo nieznacznie zmrużył oczy i zacisnął wargi, by dać jej do zrozumienia, że chodzi mu po głowie jedno pytanie, którego nie może zadać ze względów przyzwoitości. Anna westchnęła. Postanowiła, że nie wyrazi swojej wdzięczności w zwykły sposób, tylko zwróci mu całą sumę w gotówce rano.

– Niech pan posłucha – powiedziała. – Jest tak, jak powiedziałam. Usnęliśmy, obudziłam się, chciałam zażyć opium, wyszłam, udałam się do siebie, zapaliłam fajkę i niczego więcej nie pamiętam.

– Zauważyłaś coś dziwnego w swoim pokoju, kiedy wróciłaś? Coś, co wskazywałoby na przykład na to, że ktoś tam wcześniej był?

– Nie. Drzwi zastałam zamknięte, jak zawsze. Otworzyłam je kluczem, weszłam, zamknęłam za sobą, usiadłam, zapaliłam fajkę i odtąd nic nie pamiętam.

Męczyło ją to, że musi opowiadać w kółko o zdarzeniach tamtego dnia – a wkrótce miało ją to męczyć jeszcze bardziej, gdy okazało się, że Emery Staines zniknął owej nocy i od tamtej pory nikt go nie widział. Anna Wetherell była wypytywana w tej sprawie, znalazła się w krzyżowym ogniu pytań, szydzono z niej i nie dawano jej wiary, choć powtarzała swoją opowieść tak długo, aż przestała wydawać się jej znajoma i sama straciła do siebie zaufanie.

Gascoigne nie znał Stainesa, bo przybył do Hokitika dopiero niedawno, ale obserwując teraz Annę, nagle zaczął się nim bardzo interesować.

– Czy pan Staines mógł chcieć ci zrobić krzywdę? – zapytał.

– Nie! – odparła natychmiast.

– Ufasz mu?

– Tak – powiedziała cicho. – Jak...

Ale nie dokończyła tego porównania.

– Jest twoim kochankiem? – spytał po chwili Gascoigne.

– To najbogatszy człowiek w Hokitika – powiedziała Anna, czerwieniąc się. – Jeśli do tej pory nic pan nie wie o tym mężczyźnie, to niedługo pan o nim usłyszysz. Emery Staines. Większość tego miasta należy do niego.

Spojrzenie Gascoigne'a przesunęło się na lśniący stos złota na stole, ale tym razem było sarkastyczne, bo najzamożniejszemu człowiekowi w Hokitika ten skarb wydawałby się zapewne bardzo skromny.

– Jest twoim kochankiem? – powtórzył. – Czy klientem?

Anna zawahała się.

– Klientem – odpowiedziała znów trochę ciszej. Gascoigne pochylił głowę z szacunkiem, jak gdyby dziewczyna właśnie poinformowała go, że Staines wyzionął ducha.

– To poszukiwacz złota – mówiła dalej pośpiesznie. – Zbił majątek na złocie. Ale pochodzi z Nowej Południowej Walii, jak ja. Prawdę mówiąc, w drodze do Nowej Zelandii przepłynęliśmy Morze Tasmana na tym samym statku, na „Pomyślnym Wietrze”.

– Rozumiem – rzekł Gascoigne. – No tak. Skoro jest bogaty, to może to jego złoto.

– Nie. – zaniepokoiła się Anna. – Nie zrobiłby czegoś takiego.

– Czyli czego? Nie okłamałby cię?

– Nie zrobiłby tego...

– Nie wykorzystałby cię jako jucznego zwierzęcia? Nie kazałby ci przemycać złota bez twojej wiedzy?

– Niby dokąd miałabym je przemycać? – zapytała Anna. – Ja nie wyjeżdżam. Nigdzie się nie wybieram.

Gascoigne zaciągnął się papierosem.

– Wyszłaś z jego łóżka w nocy, tak? – powiedział po chwili.

– Zamierzałam wrócić – rzekła Anna. – I odespać opium.

– Domyślałam się, że wyszłaś bez jego wiedzy.

– Ale chciałam wrócić.

– I opuściłaś jego dom, pomimo że ci zapłacił, żebyś została z nim do rana.

– Powiadam panu, że wyszłam tylko na chwilę.

– Ale potem straciłaś przytomność.

– Może zemdlałam.

– Sama w to nie wierzysz.

Anna Wetherell przygryzła wargę.

– Och, to jest bez sensu! – wykrzyknęła po chwili. – To złoto jest bez sensu i opium też. Skąd ja się tam wzięłam? Na zimnie, zupełnie sama, w pół drogi do Arahura!

– Nie wątpię, że wiele z tego, co się dzieje wokół człowieka, który znajduje się pod wpływem opium, wydaje się bez sensu.

– Tak – odpowiedziała. – Tak, to prawda.

– Wolałbym jednak usłyszeć to od ciebie, ponieważ ja sam nigdy w życiu nie zażywałem tego narkotyku – rzekł Gascoigne.

Czajnik zaczął szumieć. Gascoigne wcisnął papierosa w kącik ust, owinął dłoń kawałkiem serży i zdjął imbryk z pieca. Kiedy zalewał herbaciane liście wodą, zapytał:

– A ten twój żółtek? On miał to opium w rękach, prawda?

Anna potarła twarz jak zmęczony niemowlak: nieporadnie.

– Nie widziałam się wczoraj z Ahem Sookiem – powiedziała. – Jak już panu mówiłam, wypaliłam fajkę w domu.

– Fajkę napełnioną jego opium! – Gascoigne odstawił czajnik na półkę nad piecem.

– Tak... Chyba tak. Ale równie dobrze można by powiedzieć, że było to opium Pritcharda.

Gascoigne usiadł z powrotem.

– Pan Staines na pewno się zastanawia, co się z tobą stało, dlaczego tak nieoczekiwanie opuściłaś jego łóżko w nocy i nie wróciłaś. Zauważyłem jednak, że nie przyszedł dzisiaj zapłacić za ciebie kaucji... Ani on, ani twój pracodawca.

Mówił głośno, chcąc ożywić zmęczoną Annę, a kiedy rozstawiał filiżanki, stuknął jej spodkiem o stół i przesunął go w stronę dziewczyny tak gwałtownie, aż zarysował blat.

– To moja sprawa – powiedziała Anna. – Pójdę go przeprosić, kiedy tylko...

– Kiedy tylko zdecydujemy, co począć z tym skarbem – dokończył za nią Gascoigne. – Tak, powinnaś podjąć w tej kwestii jakąś decyzję.

Nastrój Gascoigne'a znów się zmienił; urzędnik sądowy nagle poczuł się okropnie rozdrażniony. Nadal nie widział żadnego jasnego wytłumaczenia, dlaczego ktoś miałby wszyć złoto w suknię Anny i jak to się stało, że dziewczyna straciła przytomność, a nawet czy te dwa wydarzenia miały ze sobą jakikolwiek związek. Był zirytowany, ponieważ nie mógł tego zrozumieć. Chcąc złagodzić swój zły nastrój, stał się szydery, bo taka postawa dawała mu przynajmniej pozory kontroli nad sytuacją.

– Ile to jest warte? – spytała teraz Anna, wyciągając rękę, żeby znów dotknąć kruszcu. – W przybliżeniu, oczywiście. Ja nie mam oka do takich spraw.

Gascoigne zdusił niedopałek na spodeczku.

– Moi zdaniem, kochanie, powinnaś zadać sobie raczej pytania: „kto?” i „dlaczego?”, a nie „ile?” – odpowiedział. – Czyje to złoto? Z czyjej działki pochodzi? I dokąd miało trafić?

Φ

Postanowili tamtego pierwszego wieczoru, że schowają skarb. Uzgodnili, że jeśli ktokolwiek będzie pytać Annę, dlaczego zamieniła swoją starą sukienkę na tę czarną, poważniejszą, to całkiem szczerze odpowie, że wprawdzie nieco zbyt późno, ale chce chodzić w żałobie po śmierci swojego nienarodzonego dziecka i że wyciągnęła tę nową suknię z kufra, który morze wyrzuciło na cyplu Hokitika. Wszystko to było prawdą. Gdyby ktokolwiek chciał

zobaczyć jej starą suknię albo gdyby pytał, gdzie Anna ją przechowuje, dziewczyna miała natychmiast poinformować o tym Gascoigne'a – albowiem pytający niewątpliwie musiałyby wiedzieć o złocie ukrytym w falbankach, wiedziałyby zatem także, skąd owo złoto pochodzi, a może nawet dokąd miało trafić.

Po ustaleniu szczegółów tego planu Gascoigne opróżnił swoją kraciastą puszkę na herbatniki, razem przesyłali do niej złoto, owinęli ją w koc i schowali do worka na mąkę, który gospodarz zawiązał potem sznurkiem. Poprosił, by worek na razie pozostał u niego pod łóżkiem, dopóki nie dowiedzą się czegoś więcej. Anna najpierw miała wątpliwości, Gascoigne przekonał ją jednak, że skarb będzie u niego najbezpieczniejszy: nigdy nie przyjmował gości, domek pozostawał w ciągu dnia zamknięty, a nikt nie miał najmniejszego powodu przypuszczać, że urzędnik ukrywa u siebie złoto – ostatecznie był nowy w Hokitika i nie miał tu ani wrogów, ani przyjaciół.

Następne dwa tygodnie minęły Annie niczym niewyraźny sen. Po powrocie do domu Stainesa okazało się, że młodzieniec zniknął bez śladu. Kilka dni później dziewczyna usłyszała też o śmierci Crosbiego Wellsa i odkryła, że do tego wydarzenia doszło również wtedy, kiedy leżała bez przytomności na drodze. Niedługo potem dowiedziała się, że w domku Wellsa znaleziono ogromną fortunę, której pochodzenie trzeba było jeszcze ustalić, i że ziemię zmarłego kupił hotelarz, Edgar Clinch, zarządca hotelu Ruszt, należącego do Emery'ego Stainesa i będącego aktualnym miejscem zamieszkania Anny.

Gascoigne nie rozmawiał z nią wprost o żadnym z tych zdarzeń, nie chciała bowiem dać się pociągnąć za język w sprawie Emery'ego Stainesa i nie miała nic do powiedzenia o Crosbie Wellsie poza tym, że nigdy go nie poznała. Gascoigne wyczuł, że Anna opłakuje zniknięcie Stainesa, lecz nie był w stanie stwierdzić, czy uważa, że zaginiony żyje. Szanując jej uczucia, przestał poruszać ten temat – kiedy rozmawiali, mówili o innych sprawach.

Ze swojego wysokiego okna na piętrze hotelu Ruszt Anna obserwowała, jak kopacze wloką się tam i z powrotem w deszczu po ulicy Revella. Siedziała w swoim pokoju i codziennie wkładała czarną suknię Agathe Gascoigne. Nikt nie zapytał, dlaczego zmieniła swój strój, i nie uczynił żadnej aluzji, która mogłaby sugerować, że wie o zaszytym w jej sukni złocie, schowanym teraz bezpiecznie pod łóżkiem Gascoigne'a. Ten, kto odpowiadał za wszycie złota w suknię, z jakiegoś powodu nie chciał się ujawnić i odkryć swoich kart.

Dzień po pogrzebie Crosbiego Wellsa Anna stanęła przed sądem za próbę odebrania sobie życia, jak to przewidział Gascoigne. Odmówiła odpowiedzi na jakiegokolwiek pytania i w końcu została ukarana za niedoszłą zbrodnię grzywną w wysokości pięciu funtów – a następnie sędzia porządnie skarcił ją za to, że marnuje czas poważnej instytucji.

Φ

Wszystko to przebiegało Gascoigne'owi przez głowę, kiedy stał teraz w hotelu Ruszt z Anną Wetherell, którą przyciskał do piersi, przesuwając palcami po oczkach jej gorsetu na plecach. W identyczny sposób obejmował Agathe – dokładnie tak samo, jedną rękę kładł jej

ukośnie pod łopatką, a drugą nakrywał bark, Agathe zaś wciskała się w niego łokciami, zawsze – bo najpierw podnosiła ręce, żeby się zasłonić w momencie uścisku. Jakie to dziwne, że teraz ją wspominał. Pomyślał, że można znać tysiąc kobiet, przez długie lata mieć co noc inną dziewczynę, ale prędzej czy później nowe kochanki będą już tylko przypominać dawne i człowiek będzie musiał się błąkać, zagubiony, w refleksyjnym labiryncie nieskończonych porównań, ciągle niezadowolony i wiecznie zawracając.

Anna trzęsa się jeszcze po szoku, którego doznała wskutek niefortunnego wystrzału. Gascoigne odczekał, aż zaczęła spokojnie oddychać, co nastąpiło dopiero jakieś trzy, cztery minuty potem, gdy na schodach ucichły kroki Pritcharda. Dopiero wtedy, gdy poczuł, że dziewczynie częściowo wracają siły, szepnął:

– Co w ciebie wstąpiło, u licha?

Ale Anna tylko pokręciła głową, ocierając się o niego.

– To był ślepy nabój? Ślepa kula?

Znów pokręciła głową.

– Może ty i ten aptekarz... Może to wy coś razem uknuliście.

To ją oburzyło. Odepchnęła go od siebie otwartymi dłońmi i głosem pełnym obrzydzenia powiedziała:

– Ja i Pritchard?

Gascoigne ucieszył się, widząc ją ożywioną, nawet w złości.

– No to czego on od ciebie chciał?

Anna omal nie wyznała mu prawdy, lecz nagle ogarnął ją wstyd. Gascoigne był dla niej taki miły przez te ostatnie dwa tygodnie, że nie miała siły mu powiedzieć, co się stało z opium. Nie dalej jak wczoraj wyraził radość, że skończyła z niewolniczym nałogiem, wychwalał jej siłę woli, przytomność wzroku i podziwiał ją. Nie miała serca, by wyprowadzić go z błędu, wczoraj ani dziś.

– Stary Jo Pritchard – powiedziała, odwracając oczy – czuł się samotny, to wszystko.

Gascoigne wyciągnął swoją papierośnicę i stwierdził, że on też drży.

– Zostało ci jeszcze trochę brandy? – zapytał. – Chciałbym na moment usiąść, jeśli nie masz nic przeciwko temu. Muszę się pozbierać.

Ostrożnie odłożył niegroźny już rewolwer na etażerkę, stojącą przy łóżku Anny.

– Przydarzają ci się różne rzeczy – stwierdził – których nie jesteś w stanie wytłumaczyć. Których nikt nie jest w stanie wytłumaczyć. Nie jestem pewien...

Mimo wszystko urwał swoją wypowiedź. Anna podeszła do kredensu po brandy, a Gascoigne usiadł na łóżku, żeby zapalić papierosa – i wtedy przez chwilę zastygli jak

w żywym obrazie, takim, na podstawie którego robi się grafiki i sprzedaje je potem na jarmarkach jako scenki z epoki: on siedział z rękami na kolanach i zwieszoną głową, z papierosem między palcami, ona natomiast stała z ręką na biodrze, przerzuciwszy ciężar ciała na jedną nogę, i nalewała mu brandy. Ale Anna i Gascoigne nie byli kochankami, a to nie był ich pokój.

Gascoigne głęboko się zaciągnął i zamknął oczy.

Chcąc podnieść go na duchu, Anna powiedziała:

– Z wielką niecierpliwością czekam na moją niespodziankę, panie Gascoigne.

Nie okłamała bowiem Josepha Pritcharda, gdy powiedziała mu, że jest z kimś umówiona – idzie z pewną damą oglądać kapelusze. Otóż Gascoigne załatwił jej konsultacje z pewną znawczynią mody, za które najwyraźniej zapłacił, chociaż nalegał przy tym, żeby szczegóły spotkania, jak również tożsamość owej kobiety, pozostały do końca tajemnicą. Anny nikt nigdy wcześniej nie prosił, aby zechciała poczekać na niespodziankę, i ta perspektywa napełniała ją zarówno radością, jak i przerażeniem, chociaż bardzo ładnie podziękowała Francuzowi za jego uprzejmość i troskę.

Ponieważ Gascoigne nie zareagował, Anna usiłowała go naciskać.

– Czy ta kobieta od pana czeka na dole?

W końcu Francuz otrząsnął się z zadumy. Westchnął.

– Nie. Mam cię stąd zabrać i zaprowadzić do niej. Wynajmuje mieszkanie w Wędrowcu, ale może poczekać dziesięć minut. – Gascoigne przesunął ręką po twarzy. – Twoje kapelusze także mogą poczekać.

– Czego nie jest pan pewien?

– Słucham?

– Powiedział pan przed chwilą: „Nie jestem pewien...”, ale nie skończył pan zdania.

Przez dwa ostatnie tygodnie rozmawiali ze sobą swobodnie, jak to często bywa między ludźmi, którzy wspólnie przeszli ciężką próbę, lecz Anna wciąż zwracała się do niego per pan, nigdy po imieniu. Gascoigne nie nalegał, aby mówiła do niego mniej formalnie, bo w gruncie rzeczy lubił, kiedy ludzie przestrzegali dobrych manier, a poza tym pochlebiało mu, gdy słyszał swoje nazwisko.

– Nie jestem pewien, co mam o tym myśleć – odezwał się w końcu. Wziął od niej szklankę, ale nie pił. Nagle zrobiło mu się niesłychanie smutno.

Aubert Gascoigne odczuwał niepokój nieco bardziej dotkliwie niż inni ludzie. Kiedy ogarniało go zdenerwowanie, jak wskutek niewytłumaczalnego wystrzału z rewolweru Anny, najczęściej poddawał się wybuchom potężnych emocji – przerażeniu, rozpacz, złości i żalowi. Chwytał się tych uczuć, ponieważ kierowały one jego złość na zewnątrz i w pewnym

sensie regulowały ciśnienie, które rozsądzało go od środka. Cieszył się reputacją człowieka silnego, umiejącego zachować zdrowy rozsądek w sytuacjach krytycznych, jak tego popołudnia, ale na ogół załamywał się, gdy kryzys udało się już zażegnać albo odsunąć w czasie. Nadal dygotał na całym ciele, a to nerwowe drżenie ogarnęło go dopiero wtedy, kiedy wypuścił dziwkę z objęć.

– Jest coś, o czym chciałabym z panem porozmawiać – rzekła po chwili Anna.

Gascoigne okrężnym ruchem dłoni zamieszał brandy w szklance.

– Tak.

Anna podeszła raz jeszcze do kredensu i sobie też nalała alkoholu.

– Spóźniam się z czynszem. Jestem im winna już za trzy miesiące. Edgar wręczył mi dziś rano upomnienie.

Zamilkła raptownie, odwróciła się i wbiła w niego wzrok. Gascoigne właśnie się zaciągał papierosem. Nabrał pełno powietrza i dymu do płuc, a jego pierś widocznie się wyduła. Zrobił rękami gest, mający oznaczać: „Ile?”.

– Dziesięć szylingów tygodniowo, z wyżywieniem i kąpielą w każdą niedzielę – odpowiedziała Anna. (Gascoigne wydmuchnął dym). – Za trzy miesiące... To będzie... Nie wiem... Sześć funtów.

– Za trzy miesiące – powtórzył jak echo Gascoigne.

– Wpadłam w tarapaty przez tę grzywnę – powiedziała Anna. – Pięć funtów dla sądu. To moje miesięczne zarobki. Dlatego jestem spłukana.

Czekała.

– Przecież czynsz płaci chyba za ciebie twój alfons – powiedział Gascoigne.

– Nie – odparła Anna. – Nie płaci. Załatwiam te sprawy bezpośrednio z Edgarem.

– Czyli z kierownikiem hotelu.

– Tak: z Edgarem Clinchem.

– Clinch? To ten człowiek, który kupił posiadłość Crosbiego Wellsa.

– Jego domek.

– Ależ Clinch został przecież właścicielem olbrzymiej fortuny! Co go obchodzi sześć funtów?

Anna wzruszyła ramionami.

– Po prostu kazał mi je zdobyć. Natychmiast.

– Może się boi decyzji sądu – powiedział Gascoigne. – Obawia się, że będzie musiał

wszystko oddać, kiedy apelacja zostanie uwzględniona.

– Nie przyznał się, dlaczego chce tych pieniędzy – dodała Anna. (Nie słyszała jeszcze o nieoczekiwanym przyjeździe wdowy po Wellsie w czwartek po południu, a zatem nie wiedziała, że sprzedaż posiadłości zmarłego odludka może zostać unieważniona). – Ale on nie blefuje, sam mi to powiedział.

– Nie możesz go... jakoś ugłaskać? – spytał Gascoigne.

– Może pan sobie darować owo „jakoś” – odparła wyniośle Anna. – Jestem w żałobie. Umarło moje dziecko. Nie będę więcej pracować na ulicy.

– Mogłabyś znaleźć sobie jakieś inne zajęcie.

– Dla mnie nie ma innej pracy. Potrafię jeszcze tylko szyć, ale w tym mieście nie potrzeba krawcowych. Za mało tu kobiet.

– Zostają cerowanie i łatanie – odpowiedział Gascoigne. – Skarpetki i guziki. Zszywanie postrzępionych kołnierzyków. W obozie zawsze jest coś do zacerowania.

– Z tego nie ma pieniędzy – powiedziała Anna.

Znów wbiła w niego wzrok – wyczekująco, jak pomyślał Gascoigne, i ta interpretacja na chwilę wzbudziła w nim złość. Schował się za kolejnym kłębem dymu. To nie on jest odpowiedzialny za to, że Anna nie ma pieniędzy. Od czasu nocy spędzonej w więzieniu ani razu nie wyszła na ulicę, a swoje zyski czerpała wcześniej z nierządu, jest zatem oczywiste, że brakuje jej gotówki. No i ta żałoba! Nikt jej do tego nie zmuszał. Rozpacz jej raczej nie obezwładniała – na litość boską, przecież to dziecko nie żyje od trzech miesięcy. Brak odpowiedniego stroju też nie powinien być specjalną przeszkodą. Mogła zarabiać równie łatwo w czarnej sukni Agathe, jak i w tej pomarańczowej, w której zazwyczaj chodziła, bo miała stałych klientów w Hokitika, a na Zachodnim Wybrzeżu brakowało dziwek. Poza tym, pomyślał Gascoigne, co to za różnica? W ciemności i tak nie można odróżnić kolorów.

Ten wybuch irytacji nie wynikał z tego, że Gascoigne nie znał litości. Wiedział, czym jest ubóstwo, bo sam, począwszy od swoich młodych lat, wielokrotnie popadał w długi. Pomógłby Annie, i to chętnie, gdyby zdecydowała się poprosić go o pomoc w jakiś inny sposób. Ale jak większość ludzi nadwrażliwych, Gascoigne nie znosił wrażliwości u innych. Kiedy ktoś zadawał mu pytanie, oczekiwał szczerości i otwartości, a wymagał ich tym bardziej rozpaczliwie, kiedy wpadał w złość. Rozumiał, że dziwka ima się sposobu, żeby coś uzyskać, i takie jej zachowanie go irytowało, ponieważ wiedział, że jest to strategia, a także dlatego, iż doskonale zdawał sobie sprawę, o co Anna za chwilę go poprosi. Wydmuchnął smugę dymu.

– Edgar zawsze był dla mnie bardzo dobry – ciągnęła Anna, kiedy stało się jasne, że Gascoigne nie zamierza odpowiedzieć. – Ale ostatnio bywa w złym humorze. Nie wiem, co mu jest. Próbowałam go błagać, ale na próżno. – Umilkła na chwilę. – Gdybym mogła tylko...

– Nie.

– Choćby najmniejszą drobinę... Więcej nie potrzebuję – zapewniła. – Wystarczy tylko jeden samorodek. Mogłabym mu powiedzieć, że znalazłam go w strumieniu albo gdzieś na drodze... ktoś mi zapłacił złotem... Kopacze czasami tak robią. Albo że to od jednego z tych chłopców z zagranicy. Umieć dobrze kłamać.

Gascoigne pokręcił głową.

– Nie wolno ci tknąć tego złota.

– Ale jak długo jeszcze? – spytała Anna. – Jak długo?

– Dopóki się nie dowiesz, kto ci je zaszył w gorsecie! – warknął Gascoigne. – I ani chwili wcześniej!

– A co mam teraz zrobić? Jak zapłacę czynsz?

Gascoigne zmierzył ją surowym spojrzeniem.

– Anno Wetherell – oznajmił – nie jesteś pod moją opieką.

To ją uciszyło, chociaż w oczach dziewczyny błysnęło niezadowolenie. Rozglądała się wokół, żeby coś zrobić, szukała jakiejś przyziemnej czynności, którą mogłaby się zająć. W końcu przyklękła, by podnieść swoje drobiazgi, które porozrzucił Pritchard. Ze złością zgarnęła je ręką i gwałtownie wrzuciła do pustej szuflady komódki.

– Ma pan rację, nie jestem pod pańską opieką – powiedziała po chwili. – Odpowiem jednak na to, że ten skarb nie należy do pana i nie może go pan przechowywać i strzec tak, jak się panu podoba!

– Ale to złoto nie należy też do ciebie, panno Wetherell.

– Było w mojej sukni. Nosiłam je na sobie. To ja ryzykowałam.

– Zaryzykowałabyś znacznie więcej, gdybyś je wydała.

– To co mam robić?! – zawołała Anna. – Czy już na całe życie pozostanę kurwą? Wygląda na to, że to jedyne wyjście dla mnie!

Patrzyli na siebie gniewnie.

Dałbym ci złotego suwerena, pomyślał Gascoigne, gdybyś poszła ze mną.

– Ile masz czasu na spłatę? – zapytał.

Anna wściekle zwinęła kawałek wstążki w kłębek, zanim odpowiedziała.

– Nie wiem. Oświadczył tylko, że muszę zdobyć te pieniądze albo będę musiała się stąd wynieść.

– Chcesz, żebym z nim porozmawiał? – spytał Gascoigne, zarzucając przynętę, bo wiedział, że Anna wcale nie chce, by odbył rozmowę z Clinchem.

– I co by mu pan powiedział? – odparła, wrzucając kłębek wstążki do szuflady. – Ubłaga go pan, żeby pozwolił mi zostać w hotelu jeszcze tydzień? Miesiąc? Kwartał? Co to za różnica? Wcześniej czy później będę musiała mu zapłacić.

– Obawiam się, że każdy dług ma to do siebie, że kiedyś trzeba go spłacić – zauważył lodowato Gascoigne.

– Żałuję, że dwa tygodnie temu nie wiedziałam, że sam będzie pan dla mnie takim wierzycielem – powiedziała jadownicie Anna – bo wtedy nigdy nie przyjąłabym pańskiej pomocy.

– Chyba zawodzi cię pamięć. Przypomnę ci więc, że sama poprosiłaś mnie o pomoc i tylko dlatego ci jej udzieliłem.

– Ma pan na myśli to? Ten zapleśniały łachman? To ma być pomoc? Wolałabym panu oddać tę sukienkę... I zatrzymać złoto!

– To ja wyostałem cię z więzienia, Anno Wetherell, wiele przy tym ryzykując... A ta suknia, jeżeli o tym nie wiesz, należała do mojej zmarłej żony – oświadczył Gascoigne. Upuścił niedopałek na podłogę i starł go obcasem na proch. Anna otwierała już usta, żeby się odciąć, Francuz więc szybko dodał: – Obawiam się, że nie jesteś w odpowiednim nastroju, aby przyjąć moją niespodziankę.

– Jestem w doskonałym nastroju.

– Niespodziankę, którą przygotowałem dla ciebie z najczystszej miłości i dobrej woli... – ciągnął, jeszcze bardziej podnosząc głos.

– Panie Gascoigne...

– Albowiem uważałem, że może ci dobrze zrobić, jeśli wyjdiesz z domu i trochę się rozerwiesz – zakończył. Był bardzo blady. – Powiem mojej znajomej, że jesteś w depresji i nie chcesz pokazywać się publicznie.

– Nie jestem w depresji – odrzekła Anna.

– Moim zdaniem jesteś. – Gascoigne opróżnił szklanę, po czym odstawił ją na nocny stolik Anny, na wysokości poduszki, w której ział pojedynczy, poczerniały na brzegach otwór. – A teraz zostawię cię samą. Przykro mi, że twój rewolwer nie wystrzelił tak, jak sobie tego życzyłaś, i że prowadzisz życie ponad stan. Dziękuję ci za brandy.

MEDIUM COELI / IMUM COELI

Rozdział, w którym Gascoigne podnosi kwestię długu Anny, a Edgar Clinch mu się nie zwierza

Kiedy Gascoigne przechodził przez foyer hotelu Ruszt, drzwi otworzyły się gwałtownie i szybkim krokiem wyłonił się z nich hotelarz, pan Edgar Clinch. Gascoigne zwolnił, by nie musieli się minąć w zbyt bliskiej odległości, ale Clinch uznał, że urzędnik sądowy zawahał się z innego powodu, dlatego przystanął nagle tuż za progiem, zagradzając drogę Gascoigne'owi. Drzwi za plecami kierownika hotelu zatrzasnęły się głucho.

– Czy mogę panu w czymś pomóc? – zapytał.

– Dziękuję, nie – odpowiedział grzecznie Gascoigne i kręcił się w miejscu przez chwilę, czekając, aż Clinch się odsunie, bo wtedy Francuz mógłby wyjść, nie ocierając się o niego.

Trzaśnięcie drzwi zaalarmowało jednak lokaja.

– Ejże! Panie! – zawołał do Gascoigne'a, wychodząc ze swojego pokoiku pod schodami. – Co to były za strzały? Jo Pritchard wyglądał jak śmierć, kiedy zszedł na dół. Jak gdyby zobaczył ducha.

– To nieporozumienie – oświadczył krótko Gascoigne. – Po prostu nieporozumienie.

– Strzały? – zapytał Edgar Clinch, który nie ruszył się sprzed drzwi.

Był wysokim, czterdziestotrzyletnim mężczyzną o piaskowych włosach i niewinnym, sympatycznym wyrazie twarzy. Nosił cesarskie, wypomadowane na końcach wąsy – wspaniałą ozdobę, która nie siwiała tak szybko jak jego włosy, również wypomadowane, uczesane z przedziałkiem na środku i przycięte na wysokości płatków uszu. Miał policzki przypominające kształtem jabłka, czerwonawy nos i delikatny profil. Jego oczy były osadzone tak głęboko, że wydawały się całkowicie zamykać, kiedy się uśmiechał – a robił to dosyć często, o czym świadczyły kurze łapki wokół jego oczu. W tej chwili jednak marszczył brwi.

– Siedziałem na dole w recepcji – oświadczył lokaj. – A ten pan tam był i wszystko widział. Wbiegł na górę, kiedy usłyszał krzyki. Rewolwer wypalił chwilę po jego wejściu do pokoju. Później rozległ się jeszcze jeden strzał. Już miałem iść na górę, by sprawdzić, co się dzieje, kiedy schodzi Jo Pritchard i powiada, że bym się nie martwił. Mówi, że ta dziwka czyściła rewolwer, który przypadkowo wypalił. Ale to tłumaczy tylko pierwszy strzał.

Edgar Clinch przesunął wzrok z powrotem na Gascoigne'a.

– To ja strzelałem za drugim razem – oświadczył urzędnik sądowy ze źle skrywaną irytacją. Nie lubił, kiedy zatrzymywano go gdzieś wbrew jego woli. – Wystrzeliłem na próbę, ponieważ uznałem, że pierwszy strzał został oddany podczas czyszczenia lufy.

– Z jakiego powodu strzelano? – zapytał hotelarz.

– Sprawa już została załatwiona.

– Jo Pritchard... Dobierał się do niej?

– Na dole można było odnieść takie wrażenie – powiedział lokaj.

Gascoigne rzucił mu zabójcze spojrzenie, po czym zwrócił się do Clincha.

– Nikt nie wyrządził dziwce żadnej krzywdy – stwierdził. – Jest cała i zdrowa, a jak już powiedziałem, sprawa została załatwiona.

Clinch zmrużył oczy.

– To dziwne, jak wiele rewolwerów wypala w trakcie ich czyszczenia – zauważył. – Dziwne, ilu kurwom wpada do głowy, aby czyścić broń, kiedy znajdują się w męskim towarzystwie. Niezrozumiałe jest też to, ile razy doszło już do czegoś takiego w moim hotelu.

– Obawiam się, że nie mogę tego skomentować – oświadczył Gascoigne.

– A ja myślę, że pan może – powiedział Edgar Clinch, który rozstawił nogi nieco szerzej i skrzyżował ręce na piersiach.

Gascoigne westchnął. Nie był w nastroju do agresywnej demonstracji władzy, sprawowanej przez kierownika hotelu.

– Co się stało? – zapytał Clinch. – Czy Annie coś się stało?

– Proponuję, aby zapytał ją pan o to osobiście i zaoszczędził nam obu trochę czasu – odparł Gascoigne. – Może pan to uczynić z łatwością. Anna jest na górze.

– Nie lubię, kiedy ktoś robi ze mnie głupca w moim hotelu.

– Nie wiedziałem, że robię z pana głupca.

Wąsy Clincha drgnęły niebezpiecznie.

– Ma pan jakiś problem?

– Chyba nie – odparł Gascoigne. – A pan?

– Moim problemem jest Pritchard. – Clinch jak gdyby splunął tym nazwiskiem.

– Nie musi mi pan o tym mówić – odpowiedział Gascoigne. – Pritchard to nie mój człowiek. – Francuz poczuł się osaczony. Nie było sensu starać się przemówić do rozsądku komuś, kto i tak wiedział swoje. Bo Edgar Clinch, jak można było sądzić, szukał zwady.

– To niewątpliwie prawda. – Gascoigne'owi przyszedł z pomocą lokaj, który też zauważył, że jego szef przesadza.

Hotelarz zrobił się strasznie czerwony na twarzy, a nogawka jego spodni drżała, jak gdyby unosił i opuszczał ciężar ciała na pięcie, co bezsprzecznie oznaczało, że jest rozgniewany. Tymczasem lokaj wyjaśnił pojednawczym tonem, że Gascoigne jedynie przerwał sprzeczkę między Pritchardem i Anną i że nie było go w hotelu, kiedy kłótnia się zaczęła.

Clinch nie był postacią zbyt imponującą, nawet kiedy przyjmował postawę bojową, jak w tej chwili: wydawał się raczej niespokojny niż przerażający. Jego gniew, chociaż demonstracyjny, czynił go jakby bezsilnym. Był zaabsorbowany swoimi emocjami – stawał się ich sługą, nie władcą. Przyglądając mu się, Gascoigne myślał raczej o dziecku przygotowującym się do awantury niż o szykującym się do starcia wojownika – choć oczywiście sprowokowane dziecko wcale nie byłoby mniej niebezpieczne.

Clinch nadal stał mu na drodze. Było jasne, że nie będzie zachowywał się rozsądnie. Ale może uda mi się go uspokoić, pomyślał Gascoigne.

– Co panu zrobił Pritchard, panie Clinch? – zapytał, myśląc, że jeśli podsunie mu sposobność, aby się wypowiedział, hotelarz da upust gniewowi i odzyska panowanie nad sobą.

Odpowiedź Clincha była jak gdyby zduszona i niewyraźna.

– Co Pritchard zrobił Annie! – zawołał. – To on karmi ją tym narkotykiem, który ją zabija... To on go sprzedaje!

Niewątpliwie nie było to w pełni zadowalające wytłumaczenie: między tą parą musiało być coś więcej. Chcąc sprowokować Clincha, Gascoigne powiedział lekceważącym głosem:

– Tak... Ale czy kiedy ktoś się upije, wini pan oberżystę?

Clinch zignorował to retoryczne pytanie.

– Joseph Pritchard – oznajmił – karmiłby ją tym opium jak oseska, gdyby mógł. Właśnie tak. I pan się ze mną zgadza, panie Gascoigne.

– Ach... Więc pan mnie zna! – odpowiedział Gascoigne z ulgą w głosie, a po chwili dodał: – Zgadza się z panem?

– Pańskie kazanie we wczorajszym „Czasie”. Nawiasem mówiąc, to cholernie ciekawa opinia, cholernie dobry tekst – odpowiedział Clinch. – (Poczęstował Gascoigne’a komplementem i wydawało się, że łagodnieje, ale po chwili znowu przybrał mroczny wyraz twarzy). – Powinien był to przeczytać Pritchard. Wie pan, skąd on je bierze? To ohydne świństwo? Ten wyciąg z makówek? Wie pan? Od Francisa Carvera, od nikogo innego!

Gascoigne wzruszył ramionami, bo to nazwisko nic mu nie mówiło.

– To ten przeklęty Francis Carver ją skopał... Skopał, pobił Annę... A to było jego dziecko! Jego dziecko w jej brzuchu! Zabił własne nasienie!

Clinch właściwie krzyczał, a Gascoigne nagle bardzo się zainteresował jego słowami.

– Co pan mówi? – zapytał, podchodząc bliżej. Anna wyznała mu, że jej nienarodzone dziecko zostało zabite przez własnego ojca, a teraz wydawało się, że ten sam człowiek ma jakiś związek z opium, przez które dziewczyna o mało nie umarła!

Ale Clinch zwrócił się teraz do swojego lokaja.

– Słuchaj no – powiedział – jeżeli Pritchard tu wróci, a mnie akurat nie będzie, liczę, że ty go stąd wyrzucisz. Słyszysz?

Clinch był niebywale podenerwowany.

– Kto to jest Francis Carver? – spytał Gascoigne.

Hotelarz odchrząknął i splunął na podłogę.

– To śmieć. Morderczy śmieć. Jo Pritchard jest tylko łajdakiem, ale Carver to diabeł wcielony. Diabeł we własnej osobie.

– Są przyjaciółmi?

– Przyjaciółmi to za dużo powiedziane – odparł Clinch. – Nie są przyjaciółmi. – Wymierzył palec w lokaja. – Słyszałeś? Jeśli Jo Pritchard wejdzie na te schody... Jeśli postawi nogę choćby na pierwszym stopniu, możesz z nim zrobić, co zechcesz!

Najwyraźniej hotelarz przestał uważać Gascoigne'a za zagrożenie, bo odsunął się przed drzwi, zrywając kapelusz z głowy, i urzędnik sądowy mógł w każdej chwili wyjść. A jednak Gascoigne się nie ruszył – czekał, aż Clinch powie coś więcej, co ten zresztą uczynił, kiedy przygładził już włosy i powiesił kapelusz na wieszaku.

– Francis Carver jest przemytnikiem – powiedział. – „Z Bogiem”, tak nazywa się jego statek. Może widział go pan na kotwicy. To trójmasztowy bark.

– Co łączy Carvera z Pritchardem?

– Oczywiście opium! – odparł zniecierpliwiony Edgar Clinch, który najwyraźniej niezbyt lubił, kiedy go o cokolwiek wypytywano. Znów zmarszczył brwi, patrząc na Gascoigne'a, i wydawało się, że ogarnia go nowa fala podejrzeń. – Co pan robił w pokoju Anny?

– Nie wiedziałem, że Anna Wetherell jest pańską pracownicą, panie Clinch – odpowiedział Gascoigne tonem uprzejmego zdziwienia.

– Anna Wetherell znajduje się pod moją opieką – rzekł Clinch, po raz drugi przygładzając włosy. – Mieszka tutaj, to część naszej umowy, i mam prawo wiedzieć, co się z nią dzieje, jeśli coś się wydarza na moim terenie i jeżeli w grę wchodzi broń palna. Możesz iść: masz dziesięć minut. – Ostatnie słowa hotelarz skierował do swojego lokaja, który czmychnął do jadalni, żeby zjeść lunch.

Gascoigne złapał się za kłapy surduta.

– Pewnie się panu wydaje, że Anna ma szczęście, mieszkając w tym hotelu, bo pan się nią opiekuje – powiedział.

– Myli się pan – rzekł Clinch. – Wcale mi się tak nie wydaje.

Gascoigne urwał, zdumiony.

– Opiekuje się pan wieloma takimi dziewczynami jak ona? – zapytał delikatnie.

– Obecnie tylko trzema – odrzekł Clinch. – Dick ma na nie oko. To wszystko dziewczyny z klasą, a Dick nie obniża poziomu swoich usług. Kiedy ktoś chce dziwki za szylinga, idzie w Zaulek Trypra, żeby tam coś złapać. A Dickowi nie wystarczą drobne, tu trzeba mieć parę funtów albo nic się nie dostanie. Czy to Dick skierował pana do Anny?

Chodziło mu zapewne o Dicka Manneringa, pracodawcę Anny Wetherell. Zamiast odpowiedzi Gascoigne zamruczał tylko niewyraźnie. Nie miał ochoty opowiadać o tym, jak się poznali z Anną.

– No, ale powinien pan do niego pójść, jeżeli chciałby pan wychędożyć jakąś inną dziewczkę – kontynuował Clinch. – Jest pulchna Kate, Sal z kręconymi włosami i piegowata Lizzie. Mnie nie ma pan o co pytać. Ja się tym nie zajmuję, nie prowadzę ksiąg rachunkowych i tak dalej. Dziewczyny przychodzą tutaj tylko na noc. – Spostrzegł, że ta informacja wzbudziła pewne niedowierzanie Gascoigne'a, i dodał: – Chodziło mi dokładnie o to, co powiedziałem, wie pan. Nie próbowałem owijać niczego w bawełnę. Nie mogę przyjmować w hotelu nocnych klientów, bo straciłbym licencję. Jak ktoś chce mieć dziewczynę na całą noc, musi sobie sam wziąć ten problem na głowę... We własnym pokoju.

– To zacny przybytek – rzekł uprzejmie Gascoigne, robiąc szeroki gest ręką.

– Nie należy do mnie – odpowiedział Clinch z pogardliwą miną. – Ja tylko go dzierżawię. Na całej ulicy, od rogu Weld do Stafford, wszystko jest w dzierżawie. Ten hotel należy do jegomościa nazwiskiem Staines.

– Emery Staines? – Gascoigne nie krył zdumienia.

– Dziwnie... – powiedział Clinch. – Dziwnie się czuję, dzierżawiąc hotel od faceta dwa razy młodszego ode mnie. Ale tak to już jest we współczesnym świecie: wszystko stoi na głowie, a każdy patrzy swego.

Gascoigne odniósł wrażenie, że Clinch wyraża się jakby w nieco wymuszony sposób. Określenia, których używał, wydawały się poniekąd pożyczone, a hotelarz wypowiadał je nienaturalnie. Ton jego głosu zdradzał, że ma się na baczności, a nawet że jest zaniepokojony; jakby broni się przed nieżyczliwą opinią Gascoigne'a, choć oczywiście taka obrona nie mogła być skuteczna.

Nie ufa mi, pomyślał Gascoigne, po chwili dodając w duchu: Cóż, ja jemu też nie.

– Ciekawy jestem, co się stanie z tym hotelem, jeśli pan Staines nie wróci? – zapytał.

– Zostanę na stanowisku – odparł Clinch. – Może kupię Ruszt. – Podeszedł do biurka, przez chwilę mocował się z szufladą, a potem powiedział: – Niech pan posłucha... Uzna mnie pan za nudziarza, ale zapytam raz jeszcze: co pan robił w pokoju Anny?

Na twarzy Clincha pojawił się niemal błagalny wyraz.

– Rozmawialiśmy trochę o pieniądzach – rzekł Gascoigne. – Anna nie śmierdzi groszem, ale o tym już pan chyba wie.

– Nie śmierdzi groszem! – parsknął Clinch. – Też mi powiedzonko! Niech mi pan wierzy, ona cuchnie pieniędzmi na odległość.

Czy było to zawołane odniesienie do złota zaszytego w sukni Anny, czy po prostu chamska aluzja do jej profesji? W Gascoigne nagle obudziła się czujność.

– Dlaczego miałbym wierzyć panu, a nie Annie? – zapytał. – Ona utrzymuje, że nie ma grosza przy duszy, a pan uważa za stosowne żądać od niej sześciu funtów, które ma panu jak najszybciej spłacić!

Clinch szeroko otworzył oczy. A więc Anna przyznała się Gascoigne’owi, że zalega z czynszem. Poskarżyła się na niego – i to z goryczą, sądząc po wrogości w głosie Francuza. Była to bolesna myśl. Clinchowi nie podobało się, że Anna rozmawia o nim z innymi mężczyznami.

– To nie jest pański interes – powiedział cicho.

– Przeciwnie – odrzekł Gascoigne. – Anna zwróciła mi uwagę na tę sprawę. Błagała mnie.

– Ale dlaczego? – zapytał Clinch. – Dlaczego?

– Pewnie dlatego, że ma do mnie zaufanie – odpowiedział Gascoigne z nutą okrucieństwa.

– Chodziło mi o to, dlaczego miałaby błagać właśnie pana?

– Chciała, żebym jej pomógł.

– Ale dlaczego właśnie pan? – zapytał znowu Clinch.

– Co to znaczy: dlaczego właśnie ja?

Teraz Clinch prawie krzyknął.

– Dlaczego Anna zwróciła się z tą prośbą akurat do pana?!

Oczy Gascoigne’a zabłysły.

– Rozumiem, że prosi mnie pan, abym określił wyraźnie, jakie nas łączą stosunki.

– Nie muszę o to pytać – odparł Clinch, śmiejąc się chrapliwie. – Znam przecież odpowiedź na to pytanie!

W Gascoigne wezbrała wściekłość.

– Jest pan impertynencki, panie Clinch – powiedział.

– Impertynencki! – powtórzył Clinch. – Kto tu jest impertynencki? Dziwka nosi żałobę i to wszystko. Temu pan nie zaprzeczy!

– Anna nie może spłacić swoich obecnych długów właśnie dlatego, że jest w żałobie,

a pan mimo wszystko upiera się, żeby ją wykorzystać.

– Wykorzystać!...

– Odniosłem wrażenie, że ona się pana boi – powiedział zimno Gascoigne, chociaż w gruncie rzeczy nie była to prawda.

– Anna się mnie nie boi – odparł hotelarz, który w tej chwili wyglądał na wstrząśniętego.

– Co panu zależy na tych sześciu funtach? Albo czy Anna zapłaci jutro, czy w przyszłym roku? Pan właśnie zarobił na swój „bilet do domu”. Trzyma pan tysiące funtów w banku! A mimo to dzieli pan włos na czworo, żądając czynszu od dziwki niczym lichwiarz z Limehouse!

Clinch się najeżył.

– Dług to dług.

– Diabła tam – rzekł Gascoigne. – Nie tyle dług, ile zadra.

– Co to ma znaczyć?

– Jeszcze nie wiem – powiedział Gascoigne – ale zaczynam sądzić, że dla dobra Anny powinienem spróbować się tego dowiedzieć.

Clinch znowu poczerwieniał.

– Nie powinien pan tak do mnie mówić – oznajmił. – Nie powinien pan... W moim hotelu!

– Zachowuje się pan tak, jakby był pan jej stróżem! Gdzie się pan podziewał tamtego popołudnia, gdy groziło jej niebezpieczeństwo? – zapytał Gascoigne, który zaczynał się nieco rozzuchwalać. – I gdzie pan był, kiedy bliska śmierci Anna znalazła się na środku Drogi do Christchurch?

Tym razem jednak Clinch nie podkulił ogona, słysząc te zarzuty, a wręcz przeciwnie, można było sądzić, że usztywnił swoje stanowisko. Odpowiedział Gascoigne'owi spojrzeniem, znów zaciskając zęby.

– Nikt nie będzie dawał mi rad w sprawie Anny – powiedział. – Nie wie pan, ile ona dla mnie znaczy. Nie pozwolę się pouczać.

Wpatrywali się w siebie niczym dwa psy bojowe, które rozdziela rów, po czym dali sobie do zrozumienia, iż obaj doceniają przeciwnika, i milcząco zgodzili się, że są sobie godni. Albowiem Gascoigne i Clinch nie różnili się zbytnio temperamentem i nawet dzielące ich różnice tworzyły swoistą harmonię – Gascoigne był tu jak gdyby wyższą oktawą o wyraźniejszym i weselszym dźwięku, Clinch przypominał zaś dudniącą, basową nutę.

Charakter Edgara Clincha przywodził na myśl koło. Hotelarz był zarówno niezwykle pieczołowity we wszystkim, co robił, jak i niepewny rezultatów swoich działań – a cechy te, ponieważ w pewnym sensie kłóciły się ze sobą, sprawiały, że ich posiadacz znajdował się

zawsze w stanie ciągłego niepokoju. Clinch opiekował się tymi, których kochał, tylko po to, by żądać od nich możliwie największego uznania za swoją troskliwość – ale z drugiej strony takie żądanie napełniało go wstydem, albowiem umiał niuansować swoje postępowanie i wątpił w jego wartość, a w konsekwencji wycofywał roszczenia, wzmagął starania i wszystko zaczynało się od nowa, okazywało się bowiem, że wzмага się również jego potrzeba uznania. Z tego powodu Clinch pozostawał w nieustannym ruchu, podobnie jak kobieta, która żyje w jarzmie rytmów Księżyca.

Znajomość hotelarza z Anną Wetherell zaczęła się właśnie dzięki temu. Kiedy Anna przyjechała tu po raz pierwszy z Dunedin, Clinch był zauroczony, dotąd nie znał bowiem równie niezwykłej i udręczonej kobiety, i poprzysiął sobie, że nie spocznie, dopóki nie pokocha jej cały świat. Zarezerwował dla niej najlepszy pokój i dogadzał jej na wszystkie sposoby, lecz bardzo go zabolalo, gdy spostrzegł, że Anna nie dostrzega jego wysiłków – a kiedy nie zauważyła również, że to go boli, wpadł w gniew. Z jednej strony nie udało mu się go podtrzymać, z drugiej zaś złość nie była dla niego oparciem – Clinch nie żywił się nią, chociaż mężczyźni czasami karmią się swoją wściekłością. To uczucie tylko go osłabiło, pozostawiając w nim większą pustkę niż przedtem, i jeszcze większe pragnienie miłości.

Gdy Anna przyплыnęła do Hokitika, już była w ciąży, chociaż jej brzuch jeszcze się nie zaokrąglił, a figura nie zdradzała, że dziewczyna znajduje się w stanie błogosławionym. Clinch poznał ją na Nabrzeżu Gibsona, gdzie została wysadzona z łodzi; bark „Z Bogiem” rzucił bowiem kotwicę kilkaset jardów od brzegu. Dzień był pogodny i jaśniejący z zimna. Ujście rzeki lśniło przeraźliwie, a wokół rozbrzmiewał śpiew ptaków. Nawet w tej chwili Clinch poczuł, że jest w stanie przypomnieć sobie wszystkie szczegóły tamtego spotkania. Widział szeroką aureolę czepka Anny i trzepoczące na wietrze końce wstążek; widział jej trzewiki z cholewką do kostek, rękawiczki zapięte na guziki, torebkę. Widział też fioletowy połysk jej sukni – jak się potem dowiedział, została pożyczona od Dicka Manneringa, impresaria, któremu Anna miała płacić za nią codziennie, dopóki nie będzie jej stać na zakup własnej. W tym przeraźliwym kolorze nie było dziewczynie do twarzy; miała w nim ziemistą cerę, a jej spojrzeniu brakowało życia. Edgar Clinch uważał jednak, że Anna roztacza wokół blask. Rozpromieniony ujął ją za rękę i mocno uściskał. Powitał nowo przybyłą w mieście, podał jej ramię i zaproponował spacer, na który się zgodziła. Nakazawszy tragarzom zanieść jej kufer do hotelu Ruszt, Clinch wypiął pierś i ruszył z Anną Wetherell w dół po ulicy Revella niczym małżonek, asystujący swojej królowej.

Mieszkał wtedy w Hokitika dopiero niecały miesiąc. Nie znał jeszcze Dicka Manneringa, choć słyszał jego nazwisko. Na spotkanie pasażerów ze statku Anny wyszedł po południu, chociaż nie był umówiony z bogaczem ani z dziwką. (Mannering musiał pozostać dłużej w Dunedin i wrócił do Hokitika dopiero w następnym tygodniu, a zresztą i tak wolał płynąć parowcem niż statkiem żaglowym). W ładną pogodę Clinch po prostu często stawał na czubku cypla i witał kopaczy wysiadających na brzeg. Ścisnął im dłonie, uśmiechał się i zapraszał wszystkich, żeby zatrzymali się u niego, w hotelu Ruszt – dodając mimochodem, że zaoferuje mocno okazyną cenę, ale jedynie tym, którzy skorzystają z jego propozycji w ciągu następnej

pół godziny.

Podczas krótkiego spaceru z Nabrzeża Gibsona do hotelu Clinch bardzo wyraźnie poczuł, że Anna delikatnie ściska go pod łokciem. Kiedy dotarli do drzwi, okazało się, że dziewczyna musi się na nim wesprzeć. Błagał ją, by pozwoliła mu zaprosić się na lunch w jadalni. Przyjęła zaproszenie, wzbudzając w sercu Clincha spazm wybawienia, w którego wyniku wynajął jej swój najlepszy i największy pokój.

Zapłaciła za mieszkanie promesą od Dicka Manneringa, którą Clinch w nagłym przypływie wielkoduszności przyjął bez szemrania. Nim przyszło mu do głowy, że dziewczyna jest niewątpliwie przedstawicielką najstarszego zawodu świata, zdążył już ulokować w niej swoje uczucia głęboko i nieodwracalnie. Gdy tydzień później do Hokitika zjechał Mannering, przedstawił się Clinchowi jako pracodawca Anny, a następnie wynegocjował warunki, na mocy których za cotygodniową opłatą dziwka otrzymywała także dyskretną ochronę, dwa posiłki dziennie i cotygodniową kąpiel. Ta ostatnia była kosztownym luksusem, który miał zostać cofnięty (jak poinformował go w zaufaniu Mannering), kiedy Anna będzie już znana w mieście, ale przez pierwszych kilka tygodni należało zapewnić jej poczucie dostatku i dogadzać.

Clinch był więcej niż szczęśliwy, że mógł co tydzień napełniać miedzianą balie, choć była to ciężka robota. Uwielbiał zerkać na świeżo wykąpaną Annę, kiedy pojawiała się na schodach z mokrymi włosami. Uwielbiał przechodzić koło niej w jadalni w niedzielne wieczory i wdychać bijący od niej mleczny zapach mydła. Gdy wychodziła z kąpieli, uwielbiał wylewać mętną od brudu wodę do rynsztoka, a przyglądając się, jak spływa, spieniona, miał nadzieję, że Anna obserwuje go ze swego okna na piętrze.

W miłości Clinch zawsze próbował matkować kobiecie, albowiem w naturze ludzkiej leży dawać coś, czego sami najbardziej pragniemy – a Edgar Clinch najbardziej na świecie chciał mieć matkę, która umarła, kiedy był niemowlęciem, i którą wskrzesił w swoich myślach jako boginię jaśniejszej cnoty. Oblicze owej cnoty było jednak niewyraźną plamą, widywaną mglistym wieczorem przez okno. Jednak wszystkie jego zachody miłosne odbywały się jakby pod złą gwiazdą, wymagały bowiem od obiektu uczuć subtelnej intuicji, której sam nie miał. Był beznadziejnym i pod każdym względem nieudanym romantykiem: pomimo jego codziennych zabiegów Anna Wetherell nie miała najmniejszego pojęcia, że hotelarz kocha ją namiętnie całym swoim samotnym i zropaczonym sercem. Była dla niego grzeczna i utrzymywała całkiem przyzwoity porządek w pokoju, ale nigdy nie szukała jego towarzystwa, rozmowy ograniczała zaś do najbanalniejszych tematów. Nie trzeba dodawać, że jej obojętność tylko rozniecała w nim płomień zauroczenia i unosiła go wyżej, przez co palił się dłużej i czerwieńszym blaskiem. Kiedy Mannering po miesiącu zasugerował, że ekstrawagancji, jaką była jej kąpiel, powinno się zaprzestać, Clinch po prostu przestał uwzględniać tę pozycję na comiesięcznym rachunku Anny. W każdą niedzielę wystawiał miedzianą balie, własnoręcznie napełniał ją wodą i wyciągał ręczniki.

Przez pierwszych kilka miesięcy wydawało się, że nic nie osłabi uwielbienia, które żywił

dla Anny. Jej profesja go nie odstręczała, chociaż martwił się, że tak często grozi jej niebezpieczeństwo. Kiedy się dowiedział, że jest opiumistką i zażywa narkotyk prawie codziennie, znowu raczej zasmucił się i przeraził, niż poczuł do niej niechęć. (Powtarzał sobie, że opium jest bardzo modne i on sam bierze przecież laudanum, kiedy nie może spać, a jaka jest w końcu różnica pomiędzy opium w postaci roztworu i opium do palenia?) Co żałośniejsze aspekty życia Anny nie odpychały od niej Clincha, lecz przysparzały mu smutku, dlatego jeszcze bardziej pragnął dla niej szczęścia.

Kiedy stało się jasne, że Anna spodziewa się dziecka z innym mężczyzną, smutek Clincha zaczął graniczyć z niepokojem. Zastanawiał się, czy powinien teraz wyjawic jej swoje uczucia. Może zaproponuje dziewczynie małżeństwo, a kiedy dziecko się urodzi, zaadoptuje je, będzie się nim opiekował i stworzą coś w rodzaju rodziny.

Dumał nad tą kwestią pewnego popołudnia w środku zimy, kiedy usłyszał głucho uderzenie i stłumiony krzyk, dobiegające z hotelowej werandy. Otworzył okno (rozpalał właśnie ogień w kominkach, w pokojach na piętrze) i zobaczył, że Anna przewróciła się na schodach, prowadzących do frontowych drzwi. Przyglądał się jej, a ona powoli podniosła rękę i po omacku zaczęła szukać poręczy.

Zbiegł na dół, przeszedł przez recepcję i otworzył drzwi, żeby wpuścić dziewczynę. W tym czasie Anna już się podźwignęła i podeszła bliżej. Kiedy Clinch wyszedł na zewnątrz, dziewczyna, która właśnie miała sięgnąć kluczem do zamka, zatoczyła się na hotelarza i wyciągnęła rękę, żeby nie upaść, po czym ciężko objęła go za szyję. Wtuliła twarz w jego kołnierzyk, tak że jej nos i usta dotknęły szyi Clincha. Wyglądało na to, że zwisa na nim bezwładnie. Hotelarz mruknął coś ze zdziwieniem, a potem całkowicie znieruchomiał. Wydawało mu się, że jeśli się odezwie albo poruszy za szybko, czar tej chwili pryśnie i dziewczyna mu ucieknie. Rozejrzał się wokoło ponad jej ramieniem. Było blade, jasne, niedzielne popołudnie i na ulicy panował spokój. Nikt ich nie widział, nikt nie obserwował. Clinch chwycił Annę w pasie – dyszał i oddychał głęboko – a potem jednym szybkim ruchem przyciągnął ją jeszcze bliżej, podniósł i wycisnął pocałunek na jej policzku, od którego długo nie odrywał ust. Potem dźwignął dziewczynę jeszcze wyżej, wrócił z nią do recepcji, zatrzasnął drzwi czubkiem buta, przekręcił klucz w zamku i zaniósł ją na górę.

Kąpiel dla Anny została przygotowana w pokoju naprzeciwko schodów, gdzie na półce nad kominkiem czekały na nią żeliwne, przykryte pokrywkami garnki z wodą. Clinch ułożył Annę na kanapie koło balii i usiadł obok. Serce biło mu szybko. Cofnął się i spojrzał na dziewczynę. Miała zamknięte oczy i była nie w pełni świadoma.

Od tamtego czasu minęło wiele miesięcy. Anna oddała Manneringowi fioletową suknię i kupiła kilka nowych sukienek, lepiej dopasowanych do jej figury. Tego dnia nie włożyła tej pomarańczowej, z turniurą, w której zazwyczaj uprawiała swój zawód – bo dziwki w Hokitika ubierały się do pracy w jaskrawe kolory, a kiedy nie pracowały, chodziły w pastelach. Anna miała na sobie zapiętą aż po szyję kremową, muślinową sukienkę z klapami, przywodzącymi na myśl żakiet do jazdy konnej, a jej ramiona otulał niebieski, trójkątny szal. Na tej podstawie,

a także widząc, że jest niemal nieprzytomna od opium, Edgar Clinch wydedukował, że wróciła właśnie z Chinatown. Gdy się tam wybierała, podróżowała incognito, i właśnie w sukniach o pastelowych kolorach.

Drżącymi palcami Clinch zsunął szal z ramion Anny i pozwolił mu opaść na ziemię. Następnie rozwiązał kokardę z tyłu sukni dziewczyny i zabrał się do tasiemek jej gorsetu, pracując powoli i systematycznie. Jego palce wymacywały ukryte guziczki i kolejno zdejmowały z nich pętelki. Dziewczyna nie zmieniła pozycji, a kiedy spróbował zdjąć jej suknię przez głowę, podniosła ramiona niczym małe dziecko. Potem hotelarz odpiął krynolinę i wyciągnął z niej Annę, a konstrukcja opadła, uderzając o podłogę z grzechotem sprzączek. Clinch znowu położył dziewczynę na kanapie – była teraz rozebrana do halki – i przykrył ją szalem. Następnie wstał i napełnił balię wodą. Anna leżała z policzkiem wtulonym w grzbiet dłoni, a jej pierś wznosiła się i opadała gwałtownym, śpiącym oddechem. Gdy woda była gotowa, Clinch wrócił do dziewczyny, szepcząc słowa otuchy. Ściągnął jej halkę przez głowę, wziął nagą Annę na ręce, przyklęknął i posadził ją w balii.

Jęknęła cicho, kiedy dotknęła wody, ale nie otworzyła oczu. Clinch posadził ją tak, że opierała się mocno o miedziany brzeg, nie mogła się więc ześlizgnąć i utopić. Odgarnął jej włosy z policzka i przesunął kciukiem po twarzy. Zamoczył sobie rękawy aż po łokcie, wsadzając dziewczynę do balii. Cofnął się, rozłożył ręce, by nie zamoczyć innych części garderoby, spojrzał na Annę i natychmiast poczuł się zarówno bardzo samotny, jak i zadowolony.

Po chwili przysiadł i podniósł muślinową suknię, chcąc ją strzepnąć i przewiesić przez oparcie kanapy. Nie wyobrażał sobie, że ta sukienka może być taka ciężka – przecież to jedynie muślin i nitka, bo krynolina została odczepiona, a zniknęły także reformy oraz halka! Dlaczego zatem suknia waży aż tyle? Zaczął ją obmacywać i wyczuł pod palcami coś dziwnego. Wywrócił sukienkę na lewą stronę – co to, czyżby wzdłuż szwu ciągnęły się ciężarki? Wypukłości w dotyku przypominały kamyki. Wcisnął palec pod szew i poczuł, jak nitka pęka, a potem wepchnął palec wskazujący i kciuk w tunel zakładki. Wyglądało na to, że coś w nim zaszyto. Ku swojemu zdumieniu hotelarz wyciągnął z sukni szczyptę czystego złota.

Anna ciągle spała, wsparta policzkiem o brzeg balii, a Clinch z bijącym sercem przesuwał palcami wzdłuż wszystkich szwów, od falbanek po dekolt. W sukni zaszytych było kilkanaście uncji, a może nawet kilka funtów najczystszej złota! Co takiego robiła Anna w Chinatown, że wróciła niemal całkowicie zamroczone opium, a ponadto w sukni, w której zaszyto taką ilość kruszcu? Zapewne przenosi gdzieś złoto – na pierwszy rzut oka można by powiedzieć, że je przemycza. Tylko gdzie, do Chinatown? To nie miałoby sensu. Najwidoczniej ona je stamtąd wnosi. Może w zamian za opium!

Umysł Clincha pracował teraz bardzo szybko. Przypominał sobie, że podróżni często próbują nielegalnie wywozić złoto zaszyte w ubraniach, żeby uniknąć cła, choć było to ryzykowne, bo gdyby taki przemytnik został złapany na gorącym uczynku, groziły mu wysokie grzywny, a nawet więzienie. Anna nie była jednak poszukiwaczką – na litość boską, przecież

to kobieta! – złoto nie mogło zatem należeć do niej. Jakiś mężczyzna musiał jej ufać na tyle, by ukrywać swoje złoto w jej sukni, a z kolei Anna widocznie na tyle ufała owemu mężczyźnie, że była gotowa dla niego ryzykować.

Wtedy zrozumiał: Mannering. Prawie każdy Chińczyk z Kaniere siedział u niego w kieszeni – wszyscy pracowali na jego działkach w zamian za coś w rodzaju pensji. Poza tym Mannering był pracodawcą Anny. Ależ oczywiście! O Manneringu było wiadomo, że gra nieczysto, jak chyba każdy alfons. A czy Mannering nie powtarzał ciągle, że Anna Wetherell jest najlepszą kurwą na świecie?

Clinch odwrócił się do Anny i ze zdumieniem stwierdził, że ma otwarte oczy i wpatruje się w niego.

– Jak woda? – zapytał niemądrze, wygładzając fałdę sukni, żeby ukryć złoto, które trzymał w dłoni.

W odpowiedzi zamruczała z rozkoszy, ale jednocześnie skromnie zgięła nogę w kolanie i skrzyżowała ręce na piersiach. Jej wydęty brzusek był idealnie okrągły i unosił się w mętnej wodzie wysoko niczym jabłko w wiadrze.

– Wróciłaś z Kaniere piechotą? – spytał Clinch. Anna nie mogłaby przejść przecież czterech mil, skoro z trudem jest w stanie utrzymać głowę w pionie i ledwie stoi!

Znowu mruknęła, tym razem dwutonowo, co miało oznaczać odpowiedź przeczącą.

– No to jak to było? – spytał Clinch.

– Przejeżdżał tamtędy Dick – wymamrotała, mieląc słowa w ustach jak melasę.

Clinch podszedł bliżej.

– Dick Mannering przejeżdżał przez Chinatown?

– Mmm. – Znow zamknęła oczy.

– I podwiózł cię, tak?

Ale Anna już nie odpowiedziała – głowa opadła jej z powrotem na brzeg balii, a skrzyżowane ręce zsunęły się z piersi, wpadły do wody, zniknęły pod nią, po czym się wynurzyły. Zapadła w sen.

Clinch ciągle trzymał w palcach złoty piasek. Starannie rozwiesił suknię na oparciu krzesła i wsunął złoto do kieszeni, rozcierając je kciukiem, by rozsypać złote drobinki, jak gdyby solić gulasz.

– Zostawię cię samą, żebyś się mogła wykapać – powiedział i wyszedł z pokoju.

Ale zamiast wrócić na dół, poszedł szybko korytarzem do pokoju Anny i bez trudu wsunął swój uniwersalny klucz do zamka. Wszedł do środka i zbliżył się do komody, w której trzymała ubrania. Miała pięć sukni, wszystkie kupione jako używane, a pochodzące z parowca

towarowego, który osiadł na piaszczystej mieliźnie. Clinch najpierw zajął się suknią, w której Anna się prostytuowała. Sprawnie opukał palcami wszystkie szwy i obmacał turniurę. Podobnie jak suknia muślinowa, ta też okazała się dosłownie wypchana złotem! Wziął do ręki drugą, trzecią i czwartą – w każdej było zaszyte złoto. Dokonał w myślach obliczeń i doszedł do wniosku, że Anna Wetherell zgromadziła w tych pięciu sukniach prawdziwą fortunę.

Usiadł na jej łóżku. Anna nigdy nie chodziła do Chinatown w pomarańczowej sukni, Clinch był tego całkowicie pewien, a jednak i w niej zaszyto mnóstwo złota, tak jak w pozostałych. Nie chodzi zatem wyłącznie o układ z Chińczykami, jak początkowo sądził! To chyba operacja wykraczająca poza granice Chinatown, a może nawet poza granice Hokitika. Clinch pomyślał, że ktoś szykuje niezły szwindel.

Rozważył inne możliwości. Czyżby Mannering wykorzystywał Annę jako jucznego osła, żeby wnosiła złoto z wąwozu, sama nic o tym nie wiedząc? Nie byłoby to wcale takie trudne, pomyślał Clinch – wystarczyło dać jej fajeczkę opium i poczekać, aż zaśnie, po czym można było wszyć złoto w suknię, grudka po grudce. Może... Ale nie: to absurd – Mannering nie podejmowałby tak kolosalnego ryzyka, nie zapewniwszy sobie zaufania dziwki. Dziewczyna nosi na sobie setki, a może nawet tysiące funtów, na litość boską, więc musi o tym wiedzieć. Mannering nie był głupcem, kiedy szło o pieniądze, i nigdy nie powierzyłby takiej wielkiej fortuny zwyczajnej kurwie, gdyby się w pewien sposób nie zaasekurował. Anna musiała mu dać jakąś rękojmię; może ma wobec niego dług, pomyślał Clinch, albo takie czy inne zobowiązania. Ale czy ona, u licha, może mu dać coś, co stanowiłoby zabezpieczenie dla tak wielkiego majątku w złotym kruszcu?

Nagle rozwścieczony Clinch wbił otwarte dłonie w kołdrę. Mannering! Co za bezczelność! Żeby dopuszczać się takiego oszustwa, kiedy Anna mieszka pod dachem Clincha i posila się przy jego stole! A jeżeli przyjdzie policja? Co będzie, jeśli przeszukają jej pokój? Kto poniesie wtedy konsekwencje? Clinch pomyślał, że należy mu się co najmniej jakiś udział w zyskach – Mannering powinien być mu o tym wszystkim powiedzieć! Chińczycy też niewątpliwie znali tę tajemnicę. Było to irytujące. Może wiedziało o tym całe Hokitika. Hotelarz zmełł w ustach przekleństwo. Oby Dick Mannering, pomyślał rozżłoszczony, zgnił w piekle.

Usłyszał plusk wody w sąsiednim pokoju – widocznie Anna wyszła już z balii – i zaczął się szybko zastanawiać, czy powinien skonfiskować te suknie, zatrzymać jako okup, zanim się dogada z Manneringiem. Mógłby poczekać, dopóki Anna nie dojdzie do siebie, żeby ją wypytać o tę sprawę, i zmusić do przyznania się – do przeprosin. Zabrakło mu jednak odwagi. Edgara Clincha zawsze krępowały złe przeczucia. Chociaż odczuwał je boleśnie, jego smutki rzadko przybierały inną formę aniżeli cichych myśli.

Z ciężkim sercem wyszedł z pokoju dziewczyny, wrócił na dół i odryglował drzwi wejściowe.

– Proszę przyjąć moje szczerze przeprosiny – powiedział Gascoigne.

Clinch zamrugał powiekami.

– Za co?

– Za insynuacje, jakoby miał pan na względzie coś innego niż wyłącznie dobro panny Wetherell.

– Och – odpowiedział Clinch. – Tak. No to dziękuję.

– Do widzenia – rzekł Gascoigne.

Clinch był rozczarowany tym pożegnaniem. Właściwie miał nadzieję, że Francuz zostanie dłużej, przynajmniej dopóki lokaj nie wróci z lunchu, i omówią sprawę złota między sobą. Zawsze ubolewał, gdy musiał kończyć rozmowę na mniej niż grzecznej nucie, a prawdę mówiąc, bardzo chciał porozmawiać z Gascoignem o długu Anny, choć w pierwszej chwili nieżyczliwie odniósł się do Francuza na wspomnienie tych pieniędzy, które była mu winna. Nie chciał wczoraj po południu stracić cierpliwości w rozmowie z nią – ale dziewczyna okłamała go, powiedziała, że nie ma szylinga przy duszy, a przecież nosiła w sukienkach setki, tysiące funtów! Suknie wisiały wciąż na swoim miejscu. Sprawdzał co jakiś czas, czy nikt nie wyjął z nich kruszcu. Dlaczego to on, Clinch, musi ponosić koszty codziennego utrzymania dziewczyny, skoro Anna ma dostęp do tak wielkiego skarbu? Dlaczego ma rozwiązywać jej kłopoty, skoro panna Wetherell coś przed nim ukrywa, a nawet kłamie mu prosto w oczy? Długie miesiące milczenia napełniły go ogromną goryczą i to zniechęcenie dojrzało w jednej chwili, zmieniając się w urazę.

Zrobił krok do przodu, a nawet wyciągnął rękę, żeby powstrzymać Gascoigne'a. Chciał go błagać, żeby nie wychodził, bo nagle rozpaczliwie zapragnął towarzystwa. Ale jakie mógł podać powody, żeby przekonać Francuza do zostania? Grając na zwłokę, zapytał:

– Dokąd się pan wybiera?

To pytanie rozeźliło Gascoigne'a. Jakże okropne bywa życie na końcu świata! Od wszystkich się tu wymaga, żeby mówili o swoich prywatnych sprawach, zupełnie inaczej niż w Paryżu czy Londynie, gdzie na każdym rogu odczuwa się luksus obcości i człowiek może być naprawdę sam.

– Jestem umówiony – uciął.

– Z kim? W jakiej sprawie?

Gascoigne westchnął. Takie pytania nudziły go niewymownie. Clinch niemal się nadąsał, jak gdyby złościło go to, że Francuz wychodzi! A przecież poznali się zaledwie dziesięć minut temu.

– Idę z pewną damą oglądać kapelusze – powiedział.

PRAWDZIWY WĘZEŁ W PANNIE

Rozdział, w którym Quee'emu po trzykroć ktoś przeszkadza, Charlie Frost nie ustępuje, a Sook Yongsheng ku zdumieniu wszystkich wymienia nazwisko podejrzanego

W chwili kiedy Gascoigne wyszedł od Edgara Clincha, dość niegrzecznie zatraskując za sobą drzwi hotelu Ruszt, Dick Mannering i Charlie Frost wysiadali z promu na kamienny brzeg w Kaniere. W to samo miejsce zbliżał się też szybko agent handlowy Harald Nilssen, który podróżował na piechotę – właśnie minął drewniany drogowskaz, głoszący, że od osady dzieli go zaledwie pół mili. Zachęciło go to, żeby jeszcze zwiększyć tempo marszu. Przyspieszył więc, bez przerwy ścinając laską mokrą trawę na poboczu gościńca. Wszyscy trzej zmierzali oczywiście do Chinatown, aby zażądać rozmowy z Quee'em Longiem, który został właśnie po raz pierwszy – chociaż nie ostatni tego dnia – zaskoczony wizytą bardzo niespodziewanego gościa.

„Chinatown” było trochę mylącą nazwą jak na garść namiotów i kamiennych chat, stojących w górze rzeki, kilkaset jardów od działek w Kaniere, bo chociaż wszyscy pochodzili tu z Kantonu, a większość z Kwangchow, trudno było powiedzieć, żeby tworzyli miasto, bo w owym „Chinatown” mieszkało wtedy najwyżej piętnastu Chińczyków.

W ich niewielkim gronie siedziba Quee'ego Longa wyróżniała się pięknym kominem z wypalanej gliny. Ceglany piec, z którego wystawał ów komin, został pomyślany jako mały piec hutniczy, wyposażony pod wysoką glinianą półką w żeliwną komorę i stojący na środku jedynej izby w domu. Na tej półce Quee Long sypiał w nocy, grzejąc się dzięki cegłom, które zatrzymywały ciepło ognia, palonego w piecu za dnia. Kiedy przetapiał kruszec po siedmiu dniach pracy, wypełniał piec węglem drzewnym, bo chociaż było to drogie paliwo, dawało więcej ciepła niż koks. Tego dnia jednak tygiel i miechy poszły na bok, a w piecu piętrzył się ułożony w koronkę stos palącego się powoli drewna.

Quee Long był mężczyzną o piersi niczym beczka, mocno zbudowanym i obdarzonym użyteczną siłą. Kąciki oczu miał zaokrąglone tam, gdzie sięgały nosa, lecz z drugiej strony, przy skroniach, tworzyły niemal szpice. Twarz Longa kształtem przypominała właściwie idealny kwadrat. Kiedy się uśmiechał, odsłaniał mocno wybrakowany garnitur zębów – stracił dwa siekacze, podobnie jak środkowe trzonowce w dolnej szczęce. Jego szczerbaty uśmiech przywodził na myśl dziecko, któremu wypadają zęby mleczne. Takie porównanie mogłoby przyjść do głowy samemu Longowi, który odznaczał się krytycznym spojrzeniem, był błyskotliwy, a czasami inteligentnie złośliwy, zwłaszcza pod swoim adresem. Ilekroć mówił o sobie, odmalowywał obraz zniekształcony, który wprawdzie miał mieć wydźwięk humorystyczny, zdradzał jednak przewrażliwienie autora na własnym punkcie. Quee Long mierzył bowiem wszystkie swoje czyny według osobistych norm perfekcji i trudił się w jej służbie. W rezultacie właściwie nigdy nie był w pełni zadowolony z żadnego ze swoich wysiłków ani z ich wyników i zasadniczo miał skłonność do pesymizmu. Takich szczegółów

w jego charakterze nie dostrzegali poddani Korony Brytyjskiej, z których języka Quee Long znał może osiemdziesiąt albo sto słów, wśród swoich rodaków słynął jednak z cynicznego poczucia humoru, melancholii i upartej wytrwałości w służbie nieprzekupnych ideałów.

Long przyjechał do Nowej Zelandii na umowę o pracę. W zamian za pokrycie kosztów podróży tam i z powrotem do Kwangchow zgodził się oddawać większość swoich zysków ze złotodajnych pól do wspólnej kasy. Warunki kontraktu, który podpisał, mocno uderzały go po kieszeni, nie były bowiem elastyczne ani dogodne, ale Quee pozostawał solidnym robotnikiem. Jego marzeniem – wprawdzie mało realnym – było powrócić do Kwangchow, mając w kieszeni dokładnie siedemset sześćdziesiąt osiem szylingów, albowiem taka suma, jak to sobie obliczył, wystarczyłaby mu już do końca życia. (Wybrał ją z powodów wróżebnych – wypowiedziana w dialekcie kantońskim, brzmiała bowiem tak samo jak „wieczna fortuna” – oraz praktycznych, albowiem Longowi zawsze pracowało się najlepiej, kiedy potrafił sobie wyobrazić, że kiedyś osiągnie zamierzony cel).

Jego ojciec, Quee Zuang, pracował w Kwangchow jako strażnik miejski. Przez całe swoje życie zawodowe chodził tam i z powrotem po miejskich murach, nadzorując otwieranie i zamykanie bram i pilnując, żeby wymiana odźwiernych odbywała się zgodnie z przepisami. Było to odpowiedzialne, choć monotonne zajęcie, i w dzieciństwie Quee Long był całkiem słuszenie dumny ze stanowiska ojca. W czasie niedawnych wojen handlowych względny prestiż zawodowej pozycji Quee’ego Zuanga jednak przybladł. Kiedy Kwangchow zostało w 1841 roku napadnięte przez wroga, mieszkańcy wyglądali ratunku w miejskich fortyfikacjach – co przyniosło im jedynie nieszczęście. W fortach zaroilo się od brytyjskich żołnierzy, tak licznych, że daleko przewyższających siły Qingu, i chińska obrona została przełamana. Brytyjczycy opanowali miasto, a Quee’ego Zuanga wraz z wieloma jego towarzyszami wzięto do niewoli – wypuszczono ich dopiero pod warunkiem, że w Kwangchow zgodzą się otworzyć port w celach handlowych.

Naturalny wstyd, który odczuwał Quee Long z powodu wielokrotnych kapitulacji rodzinnego miasta (albowiem w następnych latach Brytyjczycy zdobywali je nie mniej niż cztery razy), został po stokroć pomnożony przez ten, który odczuwał z powodu swojego ojca. Stary Quee Zuang załamał się bowiem wskutek doznanej hańby i wkrótce po zakończeniu drugiej wojny opiumowej zmarł. Nim odszedł z tego świata, śmierć w postaci lufy brytyjskiego karabinu zaglądała mu w oczy trzykrotnie.

Quee Long nie lubił sobie wyobrazać, co pomyślałby teraz jego ojciec, gdyby go zobaczył. Quee Zuang oddał swój honor i życie, broniąc Chin przed niedorzecznymi żądaniami Brytyjczyków – a teraz, niecałe osiem lat po jego śmierci, Quee Long mieszkał tu, w Nowej Zelandii, czerpiąc zyski dokładnie z tej sytuacji, której nadejście jego ojciec i ojczyzna bezskutecznie próbowali powstrzymać.

Long spał na obcej ziemi, poszukiwał złota (złota, nie srebra) i oddawał większą część swoich codziennych zysków brytyjskiej firmie, do której zarządu nigdy nie będzie mógł wstąpić. Kiedy sumował sobie wszystkie takie zdrady i oszustwa, jego złe samopoczucie

brało się nie tyle z synowskiego wstydu, ile raczej z przenikliwego poczucia, że nie posiada żadnych praw obywatelskich. Spoglądając wstecz na jeden długi kryzys, jakim było jego życie (tak właśnie bowiem je widział, jak gdyby zawsze stał przed jakimś wyborem, ale nie umiał go określić, gdyż ambiwalencja takiej decyzji nie miała dla niego prawdziwego początku i dostrzegalnego końca), Quee Long nieodmiennie odnosił wrażenie, jak gdyby nic go z niczym nie łączyło: z pracą, z pragnieniami jego ojca oraz z sytuacją, w której jego kraj i rodzina zostali pohańbieni. Wciąż był w takim stanie, że nie wiedział, jak się powinien czuć.

W jednej sprawie pozostał jednak wierny cieniowi swojego ojca. Nie zażywał opium i nie mógł ścierpieć, kiedy robiono to w jego obecności albo kiedy po narkotyk sięgali ludzie, których kochał. Dla Longa opium było symbolem ogromu niewybaczalnego barbarzyństwa, jakim kierował się Zachód wobec jego cywilizacji, a także pogardy, w której Europejczycy mieli życie Chińczyków w obliczu swoich zachodnich, martwych celów, zysku i chciwości. Opium stanowiło ostrzeżenie dla Chin. Było ciemną stroną ekspansji Zachodu – jej mrocznym dopełnieniem, jak jin stanowi dopełnienie jang. Quee Long powtarzał często, że człowiek bez pamięci nie umie przewidywać, potem zaś dodawał żartobliwie, że przytaczał tę maksymę już wielokrotnie wcześniej i jest zdecydowany powtarzać ją dalej w identycznym brzmieniu. Zdaniem Quee’ego Longa każdy Chińczyk, który bierze fajkę do ręki, jest zdrajcą i głupcem. Ilekroć mijał palarnię opium w Kaniere, odwracał głowę i spluwał.

Dlatego może nieco dziwić, że człowiekiem, z którym Quee Long rozmawiał w tej właśnie chwili, był nie kto inny, tylko Sook Yongsheng, właściciel palarni w Kaniere – ten sam, który przed dwoma tygodniami sprzedał Annie Wetherell feralną bryłkę opium, niemal przyczyniając się w ten sposób do jej śmierci. (Pełen zakazów kodeks moralny Quee’ego Longa nie obejmował Anny Wetherell, która odwiedzała go często po wypaleniu fajeczki opium właśnie w Kaniere, kiedy wskutek działania narkotyku stawała się bezwładna, leciała przez ręce i nic nie mogła mówić, tylko pojękiwała. Long nigdy nie widział narzędzi, za pomocą których się odurzała – choć czerpał znaczne korzyści z jej nałogu – ale gdyby Anna kiedykolwiek wyciągnęła fajkę w jego obecności, wytrąciłby ją z jej dłoni. W każdym razie tak sobie w duchu powtarzał. Za tym mglistym przekonaniem kryła się inna, jeszcze bardziej niewymowna nadzieja: że w przypadku pożalowania godnego uzależnienia Anny kosmiczna sprawiedliwość w taki czy inny sposób została już wymierzona).

Sook Yongsheng i Quee Long nie byli przyjaciółmi. Kiedy ten pierwszy zadzwonił do drzwi Quee’ego Longa dziś po południu, błagając rodaka o pomoc i gościnność, ten przyjął go nie bez zdenerwowania. O ile Quee Long wiedział, łączyły ich tylko trzy rzeczy: miejsce urodzenia, język oraz upodobanie do tej zachodniej dziwki. Quee Long domyślał się, że Sook Yongsheng chce z nim rozmawiać właśnie o tym trzecim łączącym ich ogniwie, bo Anna Wetherell była ostatnio obiektem wielu spekulacji i opinii. Dlatego zdziwił się jeszcze bardziej, gdy jego gość oznajmił, że interesuje go dwóch mężczyzn: pierwszy nazywał się Francis Carver, a drugi Crosbie Wells.

Sook Yongsheng był młodszy od Quee’ego Longa może o dziesięć lat. Miał ledwo

widoczne brwi, wygięte w taki kształt, który sugerował łagodne zdumienie. Jego oczy były duże, nos szeroki, a usta pięknie wygięte jak łuk Kupidyna. Aczkolwiek przemawiał z wielkim ożywieniem, twarz słuchającego Aha Sooka pozostawała niemal całkiem nieruchoma i z tego powodu często uważano go za mędrca. On również chodził gładko ogolony i nosił warkoczyk – chociaż, prawdę mówiąc, Sook Yongsheng żywił silną niechęć do Mandżurów, a cesarstwo dynastii Quing niewiele go obchodziło. Jego fryzura nie odzwierciedlała jednak przynależności etnicznej, lecz przyzwyczajenie z czasów młodości. Podobnie jak gospodarz miał na sobie długą, szarą, bawełnianą koszulę, proste spodnie i czarny, wełniany płaszcz z paskiem.

Quee Long nigdy nie słyszał o Francisie Carverze ani o Crosbii Wellsie, ale poważnie skinął głową, odsunął się z przejścia, powitał gościa w swoich progach i poprosił, żeby Sook Yongsheng usiadł w najlepszym miejscu, czyli najbliżej ognia. Wyjął najbardziej wyszukane potrawy, jakie miał, nalał wody na herbatę do czajnika i przeprosił za skromność poczęstunku. Handlarz opium czekał w milczeniu, aż gospodarz skończy krzątać się wokół swoich obowiązków, a potem skłonił się głęboko, zaczął komplementować wspaniałą hojność Aha Quee'ego i skosztował wszystkich dań, które przed nim stanęły, chwalać każde z nich. Kiedy tym formalnościom stało się zadość, Sook Yongsheng wyłuszczył Longowi prawdziwy cel swojej wizyty, wyrażając się, jak zawsze, w stylu pełnym wigoru, poetyckiej przesady i używając przysłów, które były piękne, ale nie zawsze jasne.

Najpierw zauważył na przykład, że na dużym drzewie muszą znaleźć się jakieś uschłe gałęzie, że najlepsi żołnierze nigdy nie są usposobieni wojowniczo i nawet dobre drewno opałowe może zniszczyć piec – uwagi te zostały jednak wypowiedziane szybko jedna po drugiej i brakowało im jakiegokolwiek związku, dlatego właściwie zdezorientowały Quee'ego Longa. Zmuszony wyczerpać umysł, odparł dosyć kwaśno, że wagę sprzedaje się zawsze z odważnikami, i tym kolejnym przysłowiem zasugerował, iż jego gość nie mówi do rzeczy.

Z tej przyczyny musimy się tu wtrącić i streścić opowieść Sooka Yongshenga w taki sposób, aby dochować raczej wierności wydarzeniom, nie zaś stylowi jego opowieści.

Φ

Ah Sook rzadko bywał w mieście. Trzymał się głównie swojej chatki w Kaniere, umeblowanej jak salon. Stały tu kanapy, wszędzie leżały poduszki, ściany zaś obite były tkaninami, które wchłaniały i tłumiły ciężki dym, dobywający się z rur, z przypalanych naczyń, lamp spirytusowych i pieca. Palarnia opium sprawiała wrażenie pewne i niewzruszone, które wzmagał jeszcze unoszący się tu ciepły zaduch, i Ah Sook z czasem uzależnił się od tego luksusu. Mimo to przez ostatnie dwa tygodnie odwiedził ujście rzeki nie mniej niż pięciokrotnie.

Rankiem 14 stycznia (jakieś dwanaście godzin przed rzekomą próbą samobójczą Anny Wetherell) Ah Sook otrzymał wiadomość od Josepha Pritcharda, że długo oczekiwany

transport opium właśnie przybył do apteki i jest już do kupienia. Zapasy Aha Sooka były na wyczerpaniu, Chińczyk włożył więc czapkę i nie zwlekając, wyruszył do Hokitika.

W aptece Pritcharda kupił półfuntowy blok wysuszonego mleczka makowego, płacąc za niego kruszcem. Na ulicy, kiedy już bezpiecznie schował owinięte w papier opium na dno sakwy, poczuł coś jak gdyby zapowiedź lata i radość, którą rzadko budziły w nim poranki w Hokitika. Świeciło słońce, a wiatr od Morza Tasmana niósł słoną ostrość w powietrzu. Liczni przechodnie zdawali się bardzo weseli, a kiedy Ah Sook przechodził przez jezdnię i zrobił krok nad rynsztokiem, mijający go kopacz uchylił kapelusza i uśmiechnął się. Zachęcony tym przypadkowym gestem, Chińczyk postanowił wstrzymać się z powrotem do Kaniere. Zamierzał zrobić sobie specjalny prezent i spędzić godzinę lub więcej na ulicy Tankreda, by przejrzeć wystawione tu na sprzedaż skrzynie, wydobyte z okolicznych wraków. A potem, pomyślał, może nawet kupi kawałek mięsa u rzeźnika i ugotuje w domu zupę.

Na rogu przystanął jednak jak wryty, a jego radosny nastrój zaraz prysnął – bo oto na końcu ulicy stał pewien człowiek, którego Ah Sook nie widział już od ponad dziesięciu lat i którego, jak sądził do tej chwili, nie miał więcej oglądać.

Od czasu ich ostatniego spotkania ów stary znajomy Aha Sooka bardzo się zmienił. Jego dumna twarz została oszpecona, a dziesięć lat w więzieniu dodało muskulatury piersiom i ramionom tego człowieka. Stał jednak w znajomej postawie, lekko przygarbiony i wsparty grzbietami dłoni pod boki, jak za dawnych lat. (Jakie to dziwne, myślał później Ah Sook, że ludzkie gesty pozostają te same, chociaż człowiek zmienia się, więdnie i poddaje się naporowi czasu, jak gdyby to one były prawdziwym naczyniem, wazonem, kryjącym kwiat ciała. Ponad wszelką wątpliwość stał przed nim Francis Carver, choć biodra miał podane lekko do przodu, a plecy przygarbione. Każdy inny mężczyzna wyglądałby w takiej postawie niedbale, Carver sprawiał jednak tak poważne, mroczne i imponujące wrażenie, że mógł sobie pozwolić na lekceważenie zasad noszenia się, którym inni musieli być posłuszni z uwagi na swoją nijakość). Carver odwrócił się, by spojrzeć w dół ulicy, i Ah Sook odskoczył na bok, gdzie nie mógł być widoczny. Oparł się o szorstkie sosnowe bale ściany sklepu spożywczego i odczekał chwilę, aż serce znów zaczęło mu bić wolniej.

Quee Long nie wiedział wszystkiego o tym, co łączy Francisa Carvera z Sookiem Yongshengiem, ale Ah Sook nie podał mu jeszcze wtedy wszystkich szczegółów ich znajomości. Wyjaśnił tylko, że Carver jest mordercą i on, Sook Yongsheng, poprzysiągł z zemsty odebrać Carverowi życie. Powiedział mu o tym niemal beztrosko, jak gdyby wszyscy ludzie mieli w zwyczaju zaprzysięgać zemstę swoim wrogom – jednak prawdę mówiąc, źródłem owej beztroski było cierpienie, Ah Sook nie lubił bowiem rozwódzić się nad nieszczęśliwymi detalami swej przeszłości. Quee Long wyczuł, że nie jest to dobry moment, by mu przerywać, skinął więc tylko głową – odnotował jednak odnośne informacje i postanowił je sobie zapamiętać.

Ah Sook opowiadał dalej.

Przez kilka chwil stał, przyciskając czoło do szorstkiej ściany sklepu. Gdy unormował już oddech, podkradł się bliżej i wyrztał znów zza węgła na Carvera – albowiem spojrzeć nareszcie w tę twarz, widzianą w najbardziej mściwych snach, jest wyjątkowo rzadką i gorącą rozkoszą – który śnił mu się od niemal piętnastu lat. Ah Sook nie musiał odnawiać w sobie nienawiści do niego, odnawiał ją bowiem samotnie każdej nocy, ale na widok Carvera ogarnęła go teraz nagła, nieznana i niepohamowana wściekłość: nigdy nie nienawidził tego człowieka bardziej niż w tej chwili. Gdyby miał przy sobie broń, zabiłby go na miejscu, strzelając mu w plecy.

Carver rozmawiał z jakimś młodym Maorysem, choć sądząc po ich postawie, Ah Sook domyślił się, że nie znają się bliżej: stali w pewnej odległości jeden od drugiego, bardziej jak współpracownicy niż przyjaciele. Nie słyszał dobrze ich rozmowy, ale na podstawie jej szybkości i staccato wywnioskował, że o coś się targują; Maorys bardzo stanowczo gestykułował i kręcił przecząco głową. W końcu chyba uzgodnili cenę i Carver wyciągnął pugilares, po czym odliczył kilka monet na otwartą dłoń tamtego. Najwidoczniej kapitan kupił od niego jakąś informację, ponieważ teraz to tubylec przemawiał dłużej, przesadnie gestykułując. Carver powtórzył to, co od niego usłyszał, żeby dobrze sobie wszystko zapamiętać. Następnie Maorys skinął głową na zgodę i mówił coś jeszcze przez chwilę. Później uścisnęli sobie ręce i rozeszli się – krajowiec skierował się na wschód, w stronę gór, Carver zaś na zachód, w kierunku ujścia rzeki i nabrzeży.

Ah Sook zastanawiał się, czy nie śledzić kapitana z bezpiecznej odległości, ale zdecydował, że tego nie zrobi; nie chciał na siłę doprowadzać do ponownego spotkania z tym człowiekiem, dopóki nie będzie na to całkowicie gotowy. Nie nosił broni, a domyślał się, że Carver ma przy sobie co najmniej nóż, może nawet broń palną, więc zaczepianie go w takiej niekorzystnej sytuacji byłoby głupotą. Dlatego Ah Sook poszedł śladem Maorysa, który wracał do Doliny Arahura zbudować pułapkę na ptaki, bo w sklepie spożywczo-pasmanteryjnym w Hokitika kupił wcześniej kilka jardów mocnej linki wędkarskiej i kawałek suchara, zamierzając pokruszyć go na przynętę.

Chińczyk dogonił Maorysa na następnej ulicy i szarpnął go za rękaw. Błagał, żeby tubylec powiedział mu, o czym rozmawiał z Carverem, i wyciągnął monetę, chcąc udowodnić, że jeśli będzie to konieczne, zapłaci za informację. Te Rau Tauwhare przez chwilę przyglądał mu się nieprzeniknionym wzrokiem, po czym wzruszył ramionami, przyjął pieniądze i udzielił Sookowi wyjaśnień.

Powiedział, że kilka miesięcy temu Francis Carver zaproponował mu wynagrodzenie w bręczącej monecie za wszelkie wiadomości dotyczące człowieka nazwiskiem Crosbie Wells. Wkrótce po złożeniu tej oferty Carver wrócił do Dunedin, a Tauwhare do Greymouth, a ich drogi więcej się nie zeszły. Los zrządził jednak, że Tauwhare poznał człowieka, którego szukał Carver, i bardzo blisko się z nim zaprzyjaźnił. Pan Wells, dodał Tauwhare, mieszka w Dolinie Arahura. Kiedyś był poszukiwaczem złota, ostatnio zaś oddał się projektowi budowy tartaku.

(Tauwhare mówił powoli, silnie gestykulując. Najwyraźniej był przyzwyczajony do komunikowania się za pomocą gestów oraz min i po każdym kolejnym zdaniu przerywał, aby się upewnić, że został właściwie zrozumiany. Ah Sook przekonał się, że doskonale rozumie Maorysa, choć angielszczyzna nie była ojczystym językiem żadnego z nich. Szeptem powtórzył wszystkie nazwy własne: Dolina Arahura, Te Rau Tauwhare, Crosbie Wells).

Tauwhare tłumaczył dalej, że więcej nie widział Carvera aż do dzisiejszego ranka – 14 stycznia. Wypatrzył kapitana na nabrzeżu w Hokitika mniej niż pół godziny temu i przypomniał sobie o propozycji, którą Carver złożył mu kilka miesięcy wcześniej, zwęszył okazję do łatwego zarobku. Podszedł więc do Carvera i oświadczył, że za odpowiednią cenę może mu przekazać informacje na temat Crosbiego Wellsa, jeśli kapitan jest nimi nadal zainteresowany – a rychło okazało się, że tak. Ustalili wysokość wynagrodzenia (dwa szylingi) i kiedy Tauwhare miał już pieniądze w ręku, powiedział Carverowi, gdzie mieszka Crosbie Wells.

W tym, co do niego dotarło z opowieści Tauwharego, Ah Sook nie znalazł niczego, co mogło mu się bezpośrednio przydać, ale bardzo uprzejmie podziękował Maorysowi za informacje i pożegnał się z nim. Potem wrócił do Kaniere, gdzie przed drzwiami wejściowymi do swojego domu zastał Annę Wetherell, którą siedziała na słońcu i czekała na niego. W nagłym przypływie czułości (wspomnienia dawnych kłopotów dostarczały teraz Ahowi Sookowi poczucia odkupienia) sprezentował jej pół uncji opium, które odciął z bloku, zakupionego rankiem u Pritcharda. Dziewczyna zawinęła podarek w kwadratowy kawałek płótna i wcisnęła go za wstążkę swojego kapelusza. Potem Ah Sook zapalił lampę i położyli się razem. Zbudziło ich dopiero chłodniejsze powietrze wraz z nadejściem zmierzchu – wtedy Anna wyszła, a Ah Sook zaczął myśleć o kolacji.

Przetapiacz Ah Quee, któremu Sook opowiadał to wszystko w szalonym tempie, zwrócił uwagę, że równie szybko zmienia się też jego stosunek do gościa. Ah Quee nigdy nie darzył go zbyt wielką estymą, bo Sook zawsze chodził odziany w czarodziejskie cienie swojego cuchnącego dymu, unikał towarzystwa i przepuszczał niewielkie zarobki w kasynie, gdzie rzucał kości w milczeniu i niezbyt elegancko spluwał na podłogę. Przyglądając się jednak teraz Ahowi Sookowi, Ah Quee miał wrażenie, że popełnił błąd, oceniając go z tak bezwzględny krytycyzmem. Człowiek, który siedział przed nim, wydawał mu się teraz... Jaki? Cnotliwy? Kimś z zasadami? Nie były to odpowiednie określenia. Przemawiał z przejęciem, a w jego żarliwości była pewna słodycz, może nawet naiwność. Ku swojemu zdumieniu Ah Quee zdał sobie sprawę, że wcale nie darzy Aha Sooka niechęcią. Pochlebiało mu, że Sook potrzebuje jego towarzystwa – oraz zaufania – tego popołudnia, a ponieważ sprawiało mu to przyjemność, zrobił się sympatyczny. Co więcej, nie domyślił się jeszcze celu wizyty Yongshenga, siedział więc jak zaczarowany jego opowieścią. Na razie zapomniał, że nie pochwała profesji Sooka, i nie zwracał uwagi na mdlący zapach dymu, który gość wniósł do jego domu na ubraniu i we włosach.

Ah Sook urwał, żeby zjeść garść twarogu. Powiedział po raz wtóry, że mu smakuje, po

czym podjął swoją opowieść na nowo.

Wieczorem 14 stycznia, zaraz po spotkaniu Francisa Carvera z Crosbiem Wellsem, „Z Bogiem” podniósł kotwicę, o czym Ah Sook miał nie wiedzieć jeszcze przez kilka dni. Pozostał w Kaniere, gdzie zajął się logistycznym przygotowaniem zaplanowanej zbrodni. Lubił ceremonialność i życzył sobie, aby śmierć Carvera nastąpiła w odpowiedni sposób; nie dysponował jednak bronią palną i o ile wiedział, nie posiadał jej również żaden z jego rodaków. Będzie musiał dyskretnie kupić rewolwer i samodzielnie nauczyć się z niego strzelać, ale wydał właśnie całe złoto na opium, zakupione w aptece Pritcharda, a zatem nie miał pieniędzy. Czy powinien poprosić któregoś ze swoich rodaków o pożyczkę? Zastanawiał się nad tym, gdy z Hokitika nadeszła kolejna nieoczekiwana nowina: Anna Wetherell usiłowała popełnić samobójstwo.

Ah Sook bardzo się zmartwił na tę wiadomość, ale po namyśle doszedł do wniosku, że to nie może być prawda i widocznie ostatnia dostawa opium dla Pritcharda została zatruta. Organizm Anny był już przyzwyczajony do narkotyku, a drobny ułamek uncji nie mógł spowodować utraty przytomności na wiele godzin, i to do tego stopnia, że dziewczyny nie można było docucić. Następnego ranka Ah Sook wrócił więc do Hokitika i poprosił o jak najszybszą rozmowę z agentem handlowym Pritcharda, Thomasem Balfourem.

Tak się złożyło, że właśnie tego ranka (16 stycznia) Balfour dowiedział się o zaginięciu z nabrzeża w Hokitika skrzyni, zawierającej rzeczy osobiste Alistaira Lauderbacka. Z tego powodu agent spedycyjny był lakoniczny i mocno rozkojarzony. Tak, firma Spedycja Balfoura podpisała umowę z Pritchardem, ale sam Balfour ma niewiele wspólnego z towarem, który przewozi. Może Ah Sook powinien skontaktować się raczej z dostawcą Pritcharda? To człowiek o nieco prymitywnym wyglądzie, mocno zbudowany, gburowaty i z blizną na policzku. Nazywa się Francis Carver. Czy Ah Sook cokolwiek o nim słyszał?

Ah Sook ze wszystkich sił starał się opanować zaskoczenie. Zapytał, od jak dawna Carver i Pritchard są wspólnikami. Balfour odparł, że nie wie, ale ponieważ Carver nieczęsto pokazuje się w Hokitika od wiosny zeszłego roku, sądzi, że prowadzą wspólne interesy co najmniej od tego czasu. To dziwne, ciągnął Balfour, że Ah Sook nigdy nie spotkał Carvera, skoro obaj wiedzą nawzajem o sobie! (Sądząc po minie Aha Sooka, było to absolutnie oczywiste). Choć może nie aż tak dziwne, bo Carver bardzo rzadko zapuszcza się w głąb wyspy, a Ah Sook do miasta. Czy znał Carvera z Kantonu? Tak? No cóż, w takim razie to niewątpliwie wielka szkoda, że się rozminęli! Tak, rozminęli się, bo pan Carver niedawno podniósł kotwicę. Dokładnie dwa dni temu. Jaka szkoda! Najprawdopodobniej popłynął bowiem do Kantonu, a w takim razie przez dłuższy czas nie wróci do Hokitika.

Gdy Ah Sook dotarł do tego miejsca swojej opowieści, woda w czajniku już się zagotowała. Ah Quee zdjął go z pieca i zalał herbatę, aby naciągnęła. Sook Yongsheng milczał, patrząc, jak herbaciane listki opadają na dno jego miseczki i tam pozostają. Podjął opowiadanie dopiero po dłuższej chwili.

Przyjmując za dobrą monetę przypuszczenia Balfoura – że Carver wyjechał z Hokitika do Kantonu i nie będzie go przez kilka miesięcy – Ah Sook ponownie wrócił do Kaniere, żeby obmyślić swój kolejny ruch. Ten Maorys, Tauwhare, powiedział mu, że tuż przed swoim wyjazdem Francis Carver chciał się czegoś dowiedzieć o człowieku nazwiskiem Crosbie Wells. Być może więc jemu, Sookowi, udałoby się skontaktować z owym Crosbiem Wellsem i zadać mu kilka pytań. Z krótkiej rozmowy z Tauwharem Chińczyk zapamiętał, że Wells mieszka w Dolinie Arahura, kilka mil od wybrzeża, w górze rzeki. Pojechał tam i ku swojemu ponownemu rozczarowaniu, jeszcze większemu niż przedtem, przekonał się, że domek jest pusty, odludek zaś nie żyje.

W następnym tygodniu Ah Sook niezwykle uważnie śledził historię majątku Wellsa, rozsądnie podejrzewając, że śmierć samotnika ma związek z wyjazdem Carvera. Ta sprawa zajmowała go niemal przez osiem dni, czyli prawdę mówiąc, do tego właśnie ranka, 27 stycznia, kiedy dokonał dwóch ogromnie zaskakujących odkryć.

Już, już miał wyjawić gospodarzowi powód swojej wizyty, kiedy powietrze rozdarł strzał z pistoletu – Ah Sook drgnął, przestraszony – a z polanki przed domem Aha Quee’ego dobiegło ich obu wołanie:

– Wyłaż, ty wstrętny żółtku! Wyłaż i stawaj jak mężczyzna!

Ah Sook spojrzał w oczy Aha Quee’ego. „Kto?“, zapytał milcząco, a Ah Sook w odpowiedzi wydał z niesmakiem wargi: „Mannering”. W jego oczach czaił się jednak strach.

Chwilę później jutowa zasłona odsunęła się gwałtownie i w drzwiach stanął Mannering, zasłaniając sobą całe wejście. W ręku trzymał rewolwer.

– Siedzicie tu sobie w kuźni, co? I knujecie? Obaj maczacie w tym palce? Miałem o tobie lepsze mniemanie, Johnny Sooku! Że też ty się babrzesz w takim łajnie! Żółte niebezpieczeństwo... Na Boga!

Wszedł do chaty – nie aż tak groźnym krokiem, jak by sobie tego życzył, powała była bowiem bardzo niska i musiał się pochylać – po czym otoczył Aha Quee’ego mocarnym ramieniem. Przystawił mu do skroni lufę swojego smith & wessona i Ah Quee nagle znieruchmiał.

– No dobrze – powiedział Mannering. – Słucham. Co łączy cię z Crosbiem Wellsem?

Ah Quee przez chwilę ani drgnął. Potem pokręcił głową – bardzo ostrożnie, bo wciąż czuł lufę na skroni. Nie zna człowieka, zwanego Crosbiem Wellsem, wie o nim tylko tyle, ile właśnie powiedział mu Ah Sook, czyli że ten mężczyzna był odludkiem, mieszkał w Dolinie Arahura i niedawno umarł. Tymczasem do izby wślizgnął się blady Charlie Frost, a kilka chwil później w podskokach wpadła za nim Holly. Miała zupełnie mokrą sierść. Obiegła niewielki pokój, dysząc, rozochociona, i zaszczekała chrapliwie kilka razy, ale nikt nie zadał sobie trudu, żeby ją uciszyć.

– No więc – powiedział Mannering, bo Ah Quee nic nie odpowiadał – w takim razie zażyję cię z drugiej mańki, zgoda? Powiedz mi, Johnny Quee, co u Crosbiego Wellsa robiło warte cztery tysiące funtów złoto z kopalni Aurora?

Ah Quee wydał odgłos, świadczący o zmieszaniu. Złoto z kopalni Aurora? – pomyślał. Nie ma przecież tam żadnego złota! Aurora to pusta działka, bez jakiegokolwiek wartości. I kto jak kto, ale Mannering na pewno o tym wie!

– Było ukryte w blaszance na mąkę – warknął Mannering. – Ktoś wcisnął je też w miechy. Wrzucił do czajnika. Ukrył w szafce na mięso. Rozumiesz mnie? Czyste złoto warte cztery tysiące funtów!

Ah Quee zmarszczył brwi: bardzo słabo znał angielski, ale wiedział, co to znaczy „złoto”, czym jest Aurora i ile to jest „tysiąc”, toteż wydawało mu się oczywiste, że Mannering chce odzyskać coś, co mu zginęło. Widocznie chodzi o złoto z sukien Anny, pomyślał Ah Quee. O złoto, które odkrył pewnego popołudnia, gdy podniósł falbankę jej sukni i okazało się, że jest ciężka jak kamień, pełna bryłek kruszcu. Każdego tygodnia wysysał z niej potem to złoto, wyciągając jedną nitkę po drugiej, kiedy dziewczyna spała na ceglanej półce nad jego piecem hutniczym; jej coraz bardziej rosnący, półkolisty brzuch wznosił się i opadał z każdym oddechem, a ona pomrukiwała tylko, czując klucie jego igły. Przetapiał ten metal przez długie tygodnie i miesiące od chwili jego odkrycia, a każdą kwadratową sztabkę oznaczał nazwą działki, z którą wiązała go umowa – nazwą Aurora – po czym zanosił złoto do tymczasowej filii banku znajdującej się w Kaniere...

– Cztery tysiące funtów! – wykrzyknął Mannering. (Holly zaczęła szczeakać). – A ta cała Aurora to przecież pusta działka, do cholery! Kupa śmiecia, niech ją szlag trafi! Wiem o tym! Jest i zawsze była pusta, więc powiedz mi prawdę. Znalazłeś złoto w Aurorze? Trafiałeś na jakąś żyłę? Przetopiłeś złoto i ukryłeś je w domku Crosbiego Wellsa? Powiedz mi, niech cię diabli! Cicho bądź, Holly! Cicho!

Ah Quee był związany umową o pracę wyłącznie z działką Aurora – nie mógł czerpać zysków z innych źródeł, a jedynie z kruszcu znalezionej na tym spłachciu ziemi. Po przetopieniu złota z sukien Anny i opatrzeniu wszystkich sztabek napisem Aurora zanosił je do tymczasowej filii banku, gdzie było ważone i deponowane. Ale gdy w pierwszym tygodniu stycznia opublikowano stopę zwrotu z Aurory za ostatni kwartał, Ah Quee ku swojemu niebotycznemu zdumieniu zauważył, że złoto w ogóle nie zostało odnotowane na koncie tej działki – bo ktoś je ukradł z bankowego sejfu.

Mannering wcisnął mocniej rewolwer w skroń Aha Quee’ego i znów nakazał mu mówić, dorzucając kilka przekleństw, zbyt ordynarnych, by można je przytoczyć.

Ah Quee oblizwał wargi. Nie mówił na tyle dobrze po angielsku, aby móc wypowiedzieć się do końca, gorączkowo poszukiwał więc tych kilku angielskich słów, które znał.

– Pechowo – odezwał się w końcu. – Bardzo pechowo.

– Racja, masz pecha jak diabli! – wrzasnął Mannering. – Ale zaraz będziesz miał większego. – Uderzył Aha Quee’ego w twarz kolbą rewolweru, a potem lufa wróciła na poprzednie miejsce, zmuszając Chińczyka do bolesnego przechylenia głowy. – Zastanów się lepiej, czy los ci sprzyja, Johnny Quee. A jeżeli nie, to pomyśl, co powinieneś zrobić, żeby się odmienił. Zastrzelę cię. Zrobię ci dziurę we łbie w obecności dwóch świadków. Naprawdę.

Charlie Frost zaczął się nagle strasznie denerwować i to on odezwał się teraz pierwszy.

– Przestań – powiedział.

– Siedź cicho, Charlie.

– Nie będę siedział cicho. Odłóż ten rewolwer.

– Za nic w świecie.

– On nie wie, o co ci chodzi!

– Idź do diabła!

– Ale to prawda!

– Mówię jedynym językiem, który Quee rozumie.

– Przecież masz ten swój notes!

Rzeczywiście. Po chwili, jak gdyby przystając na propozycję Frosta, Mannering przestał celować z rewolweru w skroń Aha Quee’ego. Nie schował jednak broni do kabury, tylko znieruchomiał na chwilę, waząc rewolwer w dłoni, po czym znów go podniósł, mierząc jednak tym razem nie do Quee’ego, ale do Aha Sooka, który z nich dwóch lepiej znał angielski. Celując prosto w twarz Sooka Yongshenga, Mannering powiedział:

– Chcę wiedzieć, czy w Aurorze odkryto jakąś bonanzę, i lepiej niech Long mówi prawdę. Zapytaj go o to.

Ah Sook przekazał pytanie Manneringa po kantońsku Ahowi Quee’emu, który udzielił wyczerpującej odpowiedzi. Przetapiacz przedstawił całą historię działki Aurora, na której Mannering rozsypywał kiedyś złoto i którą kupił od niego Staines. Wyjaśnił, dlaczego najpierw postanowił przetapiać swoje cotygodniowe zbiory, a potem opatrywać sztabki nazwą kopalni, z którą wiązała go umowa. Zapewnił Aha Sooka, że o ile mu wiadomo, Aurora jest nic niewarta i przez sześć miesięcy dostarczała jedynie brudnego piasku, co wystarczało zaledwie na jej utrzymanie. Mannering przestępował z nogi na nogę, popatrując spode łba, a Holly przez cały czas krążyła po izbie z mordą wykrzywioną jakby w szerokim uśmiechu, uderzając swoim kosmatym ogonem o podłogę. Charlie Frost opuścił rękę, żeby suka mogła ją polizać.

– Nie ma samorodków – przetłumaczył Ah Sook, kiedy Ah Quee skończył. – Nie ma bonanzy. Ah Quee mówić, że Aurora to pusta działka.

– W takim razie jest cholernym kłamcą – powiedział Mannering.

– Dick! – odezwał się Frost. – Przecież sam powiedziałaś, że Aurora to lipa!

– Oczywiście, że tak! – zakrzyknął Mannering. – Tylko skąd, do diabła, wzięło się to całe złoto, przetopione przez tego obrzydliwego poganina, i to w tej izbie, tutaj? Jest w zмовie z Crosbiem Wellsem? Zapytaj go!

Pogroził rewolwerem Ahowi Sookowi, który upewnił się, czy na pewno dobrze zrozumiał odpowiedź Aha Quee’ego, a potem odpowiedział:

– On nie znać Crosbiego Wellsa.

Ah Sook spokojnie mógłby się podzielić z Manneringiem swoimi informacjami – informacjami, które sprowadziły go dzisiejszego popołudnia do chaty Aha Quee’ego w poszukiwaniu jego rady – ale nie spodobało mu się, że Mannering przesłuchuje ich w ten sposób; uważał więc, że bogacz nie zasługuje na pomoc.

– W takim razie co stało się ze Stainesem? – Mannering zwrócił się do Aha Sooka, a jego wściekłość zaczynała graniczyć z desperacją. – Co z Emerym Stainesem? Aha: znasz to nazwisko, prawda, Johnny Quee? Oczywiście, że znasz! Gadaj! Gdzie on jest?

Ah Sook przekazał Ahowi Quee’emu i to pytanie, jak przedtem.

– On nie wieciec – powiedział znowu Ah Sook, kiedy Ah Quee skończył.

Mannering wybuchnął złością.

– On nie wieciec?! On nie wieciec?! On nie wieciec wielu rzeczy, Johnny Sooku, nie sądzisz?

– Nie odpowie ci, jeżeli będziesz go dalej pytał w ten sposób! – zawołał Frost.

– Siedź cicho, Charlie.

– Nie będę siedział cicho!

– To nie twój interes, do diabła. Przeszkadzasz mi.

– To będzie mój interes, jeżeli poleje się krew – odpowiedział Frost. – Odłóż broń.

Ale Mannering ponownie wymierzył lufę rewolweru w Aha Sooka.

– No i co? – warknął. – Przestań robić takie głupie miny, bo własnoręcznie przefastryguję ci buźkę. A teraz pytam ciebie... Nie, nie jego, nie Johnny’ego Quee’ego. Pytam ciebie, Sook. Co wiesz o Stainesie?

Spojrzenie Aha Quee’ego przesuwawało się kolejno po wszystkich obecnych.

– Pan Staines być miły człowiek – odpowiedział grzecznie Ah Sook.

– Miły człowiek, doprawdy? A zechciałbyś mi powiedzieć, gdzie ten miły człowiek teraz się podziewa?

– On wyjechać – odparł Ah Sook.

– Czyżby? – powiedział Mannering. – I tak po prostu zwinął namiot, co? Zostawił wszystkie swoje działki? Opuścił wszystkich znajomych?

– Tak – potwierdził Ah Sook. – Było o tym w gazecie.

– Powiedz mi, dlaczego... – zaczął Mannering. – Dlaczego Staines miałby zrobić coś takiego?

– Nie wiem – odparł Ah Sook.

– Rozgrywacie to ciągle bardzo głupio... Obaj – stwierdził Mannering. – Zapytam po raz ostatni i powoli, żebyście mnie dobrze zrozumieli. Niedawno do tej gry weszła ogromna fortuna. Była ukryta w domku pewnego człowieka, który umarł. Została przetopiona w całości, co do ostatniej okruszyny, i oznaczona na sztabkach nazwą „Aurora”. To jest podpis mojego starego przyjaciela Quee’ego, a jeśli temu zaprzeczy, to niech się smaży w piekle. A teraz posłuchajcie, czego chcę się dowiedzieć. Czy to złoto naprawdę pochodziło z Aurory, czy nie? Zapytaj go. Tak czy nie.

Ah Sook powtórzył pytanie Ahowi Quee’emu, który mając na względzie powagę sytuacji, postanowił powiedzieć prawdę. Owszem, znalazł bonanzę, ale nie w Aurorze, choć kiedy przetapiał złoto, opatrzył sztabki nazwą tej kopalni, aby mieć pewność, że zyski, a przynajmniej część z nich, powrócą do niego. Wyjaśnił, że chociaż może zabrzmie to dziwnie, złoto znalazł u Anny Wetherell, wszyte w jej suknię. Odkrycia tego dokonał pół roku temu i po namyśle doszedł do wniosku, że Anna przemycła dla kogoś złoty kruszec z działki. Wiedział, że panna Wetherell pracuje dla Manneringa oraz że Mannering już raz sfałszował swoje księgi rachunkowe, dlatego można było dojść do zasadnej konkluzji, że Mannering wykorzystuje Annę, aby wnosić złoto z wąwozu i w ten sposób uniknąć płacenia podatków.

– Co on gada? – zapytał Mannering. – Co odpowiedział?

– Mówił strasznie długo – zauważył Frost.

Była to prawda – ale teraz zdumiewał się Ah Sook. Więc Anna Wetherell ukrywała przy sobie złoty skarb? Ta Anna, której Mannering nie pozwalał nawet nosić torebki ze strachu przed złodziejami? Nie mógł w to uwierzyć!

Ah Quee ciągnął dalej.

Nie mógł zapomnieć swojego wcześniejszego konfliktu z Dickiem Manneringiem, gdyż to za jego sprawą był zmuszony pozostawać na służbie w nic niewartej kopalni, a oto nadarzyła mu się okazja zarówno do zemsty, jak i do odzyskania wolności. Dlatego Ah Quee zaczął zapraszać do siebie Annę Wetherell co tydzień, zawsze gdy znajdowała się pod wpływem opium, bo kiedy wychodziła od Aha Sooka, była bardzo senna i otumaniona. Najczęściej kilka chwil po przyjściu zasypiała, gdyż ciepło pieca kołysało ją do snu. Było to na rękę Ahowi Quee’emu, ponieważ kiedy dziewczyna leżała już wygodnie na murowanej półce nad piecem,

on rozpruwał jej suknię, używając w tym celu igły z nitką. Maleńkie samorodki zastępował ołowianymi ciężarkami, żeby Anna po przebudzeniu nie zauważyła nagle, że jej suknia jest lżejsza – a jeśli panna Wetherell poruszała się przez sen, Quee podsuwał jej do ust kieliszek mocnego alkoholu i zachęcał, żeby go wypić.

Próbował opisać, w jaki sposób złoto zostało zaszyte w falbankach sukni Anny, ale ponieważ Mannering wciąż otaczał go ramieniem, Chińczyk nie był w stanie wzbogacić swojego opisu gestykulacją. Dlatego chcąc przedstawić, jak wszyto kruszec w gorset i turniurę, przeszedł do metafor – powiedział, że zaszyte złoto „przypominało zbroję”, i Ah Sook, któremu poetyckie sformułowania zawsze sprawiały przyjemność, uśmiechnął się. Ah Quee dodał, że Anna była właścicielką czterech sukni, a jego zdaniem w każdą z nich wszyto czyste złoto o wartości mniej więcej tysiąca funtów. Ah Quee pracował tak długo, aż opróżnił wszystkie, przetopił każdą odrobinę kruszcu na sztabki i opatrzył je nazwą działki, z którą był związany umową o pracę – jak gdyby zdobył to złoto zupełnie uczciwie i zgodnie z prawem w żwirowni Aurory. Przez pewien czas, dodał na koniec, był ogromnie szczęśliwy, bo wiedział, że gdy spłaci kaucję, będzie mógł w końcu wrócić do Kwangchow, i to jako człowiek zamożny.

– No i co? – Mannering zwrócił się do Aha Sooka, tupiąc z niecierpliwości. – Co to za historia? Co on gada?

Ale Ah Sook zapomniał, że powinien tłumaczyć, i ze zdumieniem wpatrywał się w Aha Quee’ego. Była to dla niego niewiarygodna historia! Tysiące funtów... Anna całymi miesiącami nosiła ukryte przy sobie złoto, warte kilka tysięcy. Był to majątek, dzięki któremu co najmniej dwunastu ludzi mogłoby rzucić pracę i odtąd żyć w luksusie. Za taką sumę Anna mogłaby sobie kupić całe nabrzeże... I jeszcze coś by jej zostało na drobne wydatki! Ale gdzie jest teraz ten majątek?

Za chwilę Ah Sook zrozumiał.

– *Sei qin* – wyszeptał. A zatem skarb, który Ah Quee ukradł z sukni Anny, znalazł się w końcu wskutek zrządzenia losu albo czyjś kaprysu w posiadaniu Crosbiego Wellsa, tego samotnika. Tylko z czego wynikało to zrządzenie losu? I czyja to była wina?

– Mów po angielsku! – wrzasnął Mannering. – Mów po angielsku, do diabła!

Nagle wielce podekscytowany Ah Sook zapytał Aha Quee’ego, w jaki sposób fortuna znalazła się w domku Wellsa. Ah Quee odparł z goryczą, że tego nie wie. Do dzisiejszego popołudnia nie słyszał nawet nazwiska Crosbiego Wellsa. O ile się nie myli, ostatnią osobą, która dotykała przetopionego skarbu, był aktualny właściciel Aurory, Emery Staines – o którym nie było wiadomo, gdzie aktualnie przebywa. Ah Quee wyjaśnił, że to Staines zawoził zyski z Aurory, z tymczasowej filii banku w obozie do Banku Rezerw pod koniec każdego miesiąca, i najwyraźniej nie dopełnił tego obowiązku.

– Wszystko, co tutaj słyszę, to niezrozumiały bełkot i brednie – rzekł Mannering. – Jeżeli

mi nie wyjaśnisz, o co w tym wszystkim chodzi, Johnny Sooku, to powiadam ci, że...

– Skończyli rozmawiać – powiedział Frost. – Po prostu poczekaj chwilę.

Ah Sook zmarszczył brwi. Czyżby Emery Staines naprawdę okradł własny sejf tylko po to, aby schować przetopiony skarb w domku pustelnika, leżącym dwanaście mil stąd? Gdzie tu jest jakiś sens? Po co Staines miałby kraść własny majątek i oddawać go w obce ręce?

– Liczę do pięciu – powiedział już siny na twarzy Mannering. – Pięć!

Ah Sook popatrzył wreszcie na Manneringa i westchnął.

– Cztery!

– Ja powiedzieć – rzekł Ah Sook, unosząc otwarte dłonie. Ale musiałby wyjaśnić Manneringowi tak wiele... A Sook znał mało angielskich słów, w których mógłby zawrzeć swoje tłumaczenie! Myślał przez chwilę, próbując sobie przypomnieć, jak nazywa się po angielsku „zbroja”, chcąc ocalić poetycką metaforę, której użył Ah Quee. W końcu Yongsheng odchrząknął i powiedział:

– Bonanza nie być z Aurory. Anna nosić sekretna zbroja ze złota. Quee Long znaleźć ta sekretna zbroja, którą nosić Anna. Quee Long próbować złożyć złoto ze zbroja w bank jako złoto z Aurory. A potem Staines ukraść złoto Quee Longa.

Dick Mannering oczywiście zrozumiał to wszystko opacznie.

– Czyli że skarb nie pochodził z Aurory – powtórzył. – Emery trafił gdzieś na złotą żyłę, ale utrzymywał to w tajemnicy, dopóki tego skarbu nie znalazł Quee. Potem Quee próbował złożyć złoto w banku na koncie Aurory, a pan Staines mu je zabrał.

Było to pomieszanie z poplątaniem! Ah Sook zaczął szybko mówić do Aha Quee’ego po kantońsku, co Mannering zinterpretował najwyraźniej jako potwierdzenie swoich tez.

– Gdzie jest w tej chwili pan Staines? Przestań mu zadawać inne pytania i zapytaj o to. Gdzie jest w tej chwili pan Staines?

Ah Sook urwał posłusznie i powtórzył pytanie. Tym razem Ah Quee odpowiedział tonem, w którym pobrzmiwało autentyczne zmartwienie. Powiedział, że nie rozmawiał z Emerym Stainesem od grudnia, ale bardzo pragnie się z nim zobaczyć, bo dopiero na początku stycznia, kiedy opublikowano kwartalne wyniki Aurory, zorientował się, że został oszukany. Majątek, który znalazł w sukniach Anny, wbrew jego planom nie trafił na konto działki, i Ah Quee był pewien, że za to niedopatrzenie odpowiada pan Staines. Jednak zanim Quee się tego domyślił, pan Staines zniknął. A co do tego, gdzie może być w tej chwili, nie ma najmniejszego pojęcia.

Ah Sook odwrócił się do Manneringa i po raz drugi powiedział:

– On nie wiedzieć.

– Słyszałeś, Dick? – zapytał Charlie Frost z kąta pokoju. – On nie wie.

Mannering puścił jego słowa mimo uszu. Trzymał wciąż rewolwer wymierzony w twarz Aha Sooka i rzekł:

– Powiedz mu, że jeżeli nie będzie ze mną grał uczciwie, to cię zabiję. – Potrząsnął bronią, aby podkreślić wagę swoich słów. – Albo Johnny Quee gada, albo Johnny Sook zginie. Powiedz mu o tym. No już.

Ah Sook pokornie przekazał tę groźbę Ahowi Quee’emu, który nie odpowiedział. Nastąpiła przerwa, w czasie której wszyscy sprawiali takie wrażenie, jakby się spodziewali, że jeden z nich się odezwie, po czym Mannering błyskawicznie wyciągnął prawą rękę, popchnął Aha Quee’ego, chwycił go za warkoczyk i mocno szarpnął w tył, wciąż mierząc z rewolweru do Aha Sooka. Ah Quee ani pisnął, ale w jego oczach natychmiast pojawiły się łzy.

– Chińczyka nikomu nie będzie brakowało – zwrócił się Mannering do Aha Sooka. – A już na pewno nie w Hokitika. Ciekaw jestem, jak twój przyjaciel wyjaśniłby to komisarzowi. „Pechowo”, pewnie tak by powiedział. „Sook umrzeć; bardzo pechowo”. A co odpowiedziałby na to komisarz? – Mannering okrutnie pociągnął Aha Quee’ego za włosy. – Odpowiedziałby: „Johnny Sook? To ten kapelusznik, który sprzedaje opium, prawda? Ten, co prawie każdego popołudnia leży z opiumowym smokiem w oczach? Ten, co sprzedaje zatrutą smólkę żółtkom i bezużytecznym kurwom? Nie żyje? No to co! Dlaczego, na Boga, uważasz, że może to mnie obchodzić?”.

Nigdy wcześniej nie wyrażał się tak jadowicie, bo Mannering i Ah Sook utrzymywali poprawne stosunki, ale jeśli nawet Ah Sook rozgniewał się lub poczuł urażony, to nie dał tego po sobie poznać. Odpowiedział Manneringowi spojrzeniem szklistych oczu i nie mrugnął ani nie spuścił z niego wzroku. Ah Quee, który wciąż wyciągał szyję do tyłu, tak że pod skórą rysowały się jego napięte mięśnie, również pozostał w bezruchu.

– Nie otruć – powiedział Ah Sook po chwili. – Ja nie otruć Anna.

– Powiem ci coś – rzekł Mannering. – Trujesz Annę codziennie.

– Dick – odezwał się z rozpaczą w głosie Frost – to właściwie nie ma nic do rzeczy...

– Do rzeczy?! – wrzasnął Mannering. Wycelował rewolwer mniej więcej o stopę od głowy Aha Sooka i wystrzelił. Rozległ się huk. Yongsheng krzyknął z przerażenia i wyrzucił rękę w górę, a po chwili dobiegł ich jakby szmer, gdy z dziury wybitej przez kulę posypały się drobinki gruzu. – To ma wiele do rzeczy! Anna Wetherell leży plackiem w obskurnej melinie u tego człowieka – wskazał lufą Aha Sooka – przez sześć dni w tygodniu. Z kolei ten facet – tu bogacz wściekle pociągnął za włosy Aha Quee’ego – nazywa Stainesa złodziejem. Najwyraźniej odkrył jakąś tajemnicę, która ma coś wspólnego z tym złotem i z bonanzą. Wiem na sto procent, że Anna Wetherell była z Emerym Stainesem tamtej nocy, gdy zniknął, czyli kiedy to dziwnym trafem skarb pojawił się w bardzo niezwykłym miejscu, a Anna postradała zmysły, do cholery! Niech to diabli, Charlie, nie każ mi mówić do rzeczy!

W następnej chwili wszyscy czterej zabrali głos jednocześnie.

– *Li goh sih hai ngh wiuh...* – powiedział Ah Quee.

– Jeżeli jesteś taki pewny co do Aurory... – odezwał się Frost.

– *Ngor moh zou chor yeh...* – stwierdził Ah Sook.

– Ktoś musiał dać to złoto Crosbiemu Wellsowi! – oświadczył Mannering.

W tym momencie zza pleców Charliego Frosta dobiegł ich kolejny głos:

– Co tu się wyprawia, na litość boską?

Był to agent handlowy Harald Nilssen. Pochylił się w niskim progu chaty i rozejrzał zdumiony. Skoczył na niego pies, obwąchując brzegi jego surduta i mankiety. Nilssen wyciągnął rękę i podrapał Holly za uszami.

– Co tu się wyprawia? – zapytał powtórnie. – Na litość boską, Dick, słyszałem cię z odległości pięćdziesięciu kroków! A wszyscy obywatele Państwa Niebieskiego wyglądają przez okna!

Mannering ścisnął warkoczyk Aha Quee’ego jeszcze mocniej.

– Harald Nilssen! – zawołał. – Świadek oskarżenia! Właśnie pana mi tu brakowało do pomocy.

– Cicho bądź – odpowiedział Nilssen, zmuszając Holly, żeby opadła na podłogę, i kładąc jej rękę na łbie, aby ją uspokoić. – Cicho! Za chwilę ściągniesz tu jakiegoś policjanta. Co ty robisz?

– Ty byłeś w domku Crosbiego – ciągnął Mannering, nie ścisząc głosu. – Widziałeś, że złoto zostało przetopione, prawda? Ten żółty diabeł chce nas wystrychnąć na dudków!

– Tak – odrzekł Nilssen, który nieco bezsensownie usiłował zetrzeć deszczówkę ze swojego płaszcza. – Widziałem, że złoto zostało przetopione. Prawdę mówiąc, dlatego tutaj jestem. Ale mogłeś mnie o to zapytać po cichu. Wiesz chyba, że mamy widownię!

– Widzisz? – Mannering zwrócił się do Aha Quee’ego. – Oto jest jeszcze jeden człowiek, który tu przyszedł, by zmusić cię do gadania! Jeszcze jeden, który ci przyłoży broń do głowy!

– Przepraszam – powiedział Nilssen – ale nie przyszedłem nikomu przykładać broni do głowy. I jeszcze raz pozwolę sobie zapytać, co ty wyprawiasz. Bo o cokolwiek ci chodzi, twoje zachowanie budzi niesmak.

– Nie docierają do niego żadne racjonalne argumenty – powiedział Frost, który bał się, że zostanie wplątany w tę paskudną historię.

– Niech Dick sam odpowie! – warknął Nilssen. – Co tu się dzieje?

Pominiemy odpowiedź Manneringa na to pytanie, albowiem była ona zarówno

nieprecyzyjna, jak i gniewna; pominiemy również dyskusję, która wywiązała się w dalszej kolejności, a w której trakcie Mannering i Nilssen dowiedzieli się, że obaj przybyli do Chinatown w tym samym celu. Frost, który wyraźnie wyczuł, że agent handlowy podejrzewa go o jakieś machlojki w związku ze sprzedażą posiadłości Wellsa, zachowywał dosyć ponure milczenie.

Wyjaśnienia zajęły trochę czasu i dopiero dziesięć minut później tematem rozmowy stał się z powrotem przetapiacz Ah Quee, którego Mannering nadal trzymał za kark, zmuszając Chińczyka do siedzenia w bardzo niewygodnej i upokarzającej pozycji. zaproponował, żeby w ogóle odciąć Quee'emu warkoczyk, pragnąc mu udowodnić, że jest ważną sprawą tu przyszedł – a mówiąc te słowa, ciągnął go za włosy z ewidentną przyjemnością, jak gdyby ważył łup w dłoni. Jednakże kodeks etyczny Nilssena nie pozwalał na takie upokorzenia, tak jak jego kodeks estetyczny nie dopuszczał brzydoty, toteż agent ponownie dał wyraz swojej dezaprobacie i wywołał kłótnię z Manneringiem, przez którą uwolnienie Aha Quee'ego opóźniło się jeszcze bardziej, a Holly zaczęła szaleć z buntowniczej i niepomamowanej radości.

W końcu Charlie Frost, którego do tej pory reszta towarzystwa skutecznie ignorowała, zasugerował, że może Chińczycy po prostu nie zrozumieli dobrze, o co chodzi Manneringowi. zaproponował więc, aby ponownie przedłożyć jego pytania Ahowi Sookowi, tym razem na piśmie – w ten sposób, jak powiedział, będą mogli mieć pewność, że nic im nie umknie w tłumaczeniu. Nilssen dostrzegł pewien sens w tym pomysłem i go zaakceptował. Mannering był wprawdzie rozczarowany, znajdował się jednak w mniejszości i szybko został zmuszony, żeby się zgodzić. Puścił Aha Quee'ego, schował rewolwer do kabury i wyciągnął z kamizelki notes, żeby napisać pierwsze pytanie po chińsku.

Mannering nie bez powodu był dumny ze swojego notatnika. Jego stroniczki zostały zaprojektowane na wzór elementarza, a chińskie ideogramy widniały pod ich angielskimi odpowiednikami. Poza tym Mannering opracował też indeks, dzięki któremu chińskie znaki można było pogrupować tak, by tworzyć dłuższe słowa. Nie zapisywał tłumaczeń fonetycznie, toteż czasami notes raczej wywoływał zamieszanie, niż mu zapobiegał, ale zasadniczo stanowił sprytne i pomocne narzędzie konwersacyjne. Mannering wsunął koniuszek języka w kącik ust, jak zawsze, kiedy czytał albo pisał, i zaczął przeglądać notes.

Ale nim znalazł pytanie, którego szukał, Ah Sook udzielił mu na nie odpowiedzi. Kapelusznik, który siedział koło pieca, odchrząknął i wstał – a kiedy i on się podniósł, chatka wydawała się naprawdę małą.

– Znać sekret Crosbiego Wellsa – powiedział.

Tego właśnie dowiedział się rano w Kaniere i po to przyszedł do Aha Quee'ego – żeby porozmawiać na ten temat.

– Co? – spytał Mannering. – Co?

– On był w Dunstan – powiedział Ah Sook. – Na polach Otago.

Rozczarowany Mannering załamał ręce.

– Też mi wiadomość! – warknął. – Co to za sekret, że Crosbie Wells był w Dunstan! I to kiedy? Dwa... Trzy lata temu! Poza tym i ja mieszkałem w Dunstan! Całe Hokitika tam mieszkało!

– Nie spotkałeś w Dunstan Wellsa, co? – Nilssen zwrócił się do Manneringa.

– Nie – odparł Mannering. – Nigdy go nie poznałem. Ale znam jego żonę. Z czasów, kiedy mieszkałem w Dunedin.

Nilssen zrobił zdziwioną minę.

– Znałeś jego żonę? Tę wdowę?

– Tak – odpowiedział krótko Mannering, nie zadając sobie trudu, aby udzielić bardziej wyczerpujących wyjaśnień, i przewrócił kartkę. – Ale nie znałem Crosbiego. Nie żyli ze sobą w zgodzie. A teraz uciszcie się wszyscy. Muszę mieć chwilę spokoju, bo inaczej nie słyszę własnych myśli.

Φ

– Dunstan – rzekł Walter Moody, gładząc się po brodzie kciukiem i palcem wskazującym.

– To złotodajne pole w Otago.

– W centralnym Otago.

– Dunstan najlepsze lata ma za sobą. Teraz pracują tam już tylko firmy wydobywcze. Ale w swoim czasie to był prawdziwy klejnot.

– Już drugi raz dziś wieczorem ktoś wspomina nazwę tego pola – powiedział Moody. – Nie myślę się?

– Ani trochę, panie Moody.

– Powoli. Co to ma znaczyć, że pan Moody się nie myli?

– Bo złoto, którego użyto, żeby szantażować pana Lauderbacka, pochodziło właśnie z pól Dunstanu. Tak mówił Lauderback.

– Dokładnie. Tak twierdził Lauderback – odpowiedział Moody i skinął głową. – Zastanawiam się, czy wierzę w szczerą intencję pana Lauderbacka, który tak beztrąsko wymienił dzisiaj rano nazwę tej kopalni w przytomności pana Balfoura.

– Co pan chce przez to powiedzieć, panie Moody?

– Nie wierzy mu pan? Znaczący Lauderbackowi?

– Gdybym nie wierzył panu Lauderbackowi, zachowałbym się wysoce irracjonalnie, bo ja

go przecież nie znam – powiedział Moody. – Doskonale zdaję sobie sprawę, że fakty istotne dla tej opowieści przekazywane są mi z drugiej, a w niektórych wypadkach z trzeciej ręki. Weźmy na przykład owo złotodajne pole w Dunstan. Wygląda na to, że Francis Carver wspomniał o nim panu Lauderbackowi, który z kolei opowiedział o tym spotkaniu panu Balfourowi, ten zaś następnie zrelacjonował mi ową rozmowę dzisiejszego wieczoru! Zapewne wszyscy zgodzicie się ze mną, że w takim razie musiałbym być głupcem, gdybym uznał słowa pana Balfoura za prawdę.

Moody jednak nietrafnie ocenił swoją widownię, kwestionując tak drażliwe pojęcie, jakim jest prawda, bo w pokoju dał się słyszeć wybuch oburzenia.

– Co? Nie ufa pan człowiekowi tylko dlatego, że opowiedział tę historię swoimi słowami?

– Nie byłbym w stanie opowiedzieć tego wszystkiego prawdziwiej, panie Moody!

– A co więcej mógłby panu powiedzieć Balfour, jeśli nie to, co powiedziano jemu?

Moody był zaskoczony.

– Nie uważam, aby jakakolwiek część waszej opowieści została zmieniona albo zatajona – odparł, tym razem nieco ostrożniej, spoglądając po otaczających go twarzach. – Chciałem jedynie zauważyć, że nikt nie powinien brać cudzej prawdy za własną.

– A to dlaczego? – Takie pytanie padło z kilku stron na raz.

Moody umilkł na chwilę. Zastanawiał się.

– Świadek w sądzie przysięga mówić prawdę – odezwał się w końcu. – To znaczy przysięga mówić to, co jemu wydaje się prawdą. Zgadza się też przyjąć jej dwa kryteria. Jego zeznanie musi zawierać, po pierwsze, całą prawdę, a po drugie, tylko prawdę, ale jedynie owo drugie kryterium ma jakąś konkretną granicę, gdyż pierwsze, oczywiście, zakłada znaczną dowolność. Określając rzecz bardziej precyzyjnie: kiedy mówimy „cała prawda”, mamy na myśli wszystkie fakty i impresje, które są istotne dla rozważanej sprawy. To zaś, co nieistotne, nie tylko jest nieważne, lecz w wielu wypadkach może nas prowadzić na manowce. Szanowni panowie... – Ten zwrot Moody’ego zabrzmiał wszelako dość dziwnie, biorąc pod uwagę, jak mieszane towarzystwo znalazło się w palarni. – Ja ze swej strony uważam, że żadne „całe prawdy” nie istnieją, są tylko prawdy mające związek ze sprawą, prawdy trafne, celne... A celność, zgodzicie się ze mną, jest zawsze kwestią punktu widzenia. Nie wierzę, by któryś z was w jakikolwiek sposób dopuścił się dzisiaj wieczorem krzywoprzysięstwa. Tuszę, że powiedzieliście mi prawdę i tylko prawdę. Patrzycie jednak na sprawę z wielu bardzo różnych perspektyw, dlatego musicie mi wybaczyć, ale nie mogę traktować waszej opowieści jako całości.

Po tych słowach zapadła cisza i Moody zorientował się, że sprawił przykrość zebrany.

– Oczywiście, przemawiam jak impertynent, bo przecież nie skończyliście jeszcze opowiadać – dodał już ciszej, patrząc po swoich słuchaczach. – Nie powinienem był się

wtrącać. Powtarzam, nie chciałem nikogo urazić. Proszę, mówcie dalej.

Φ

Charlie Frost z zainteresowaniem przypatrywał się Ahowi Sookowi.

– Dlaczego to powiedziałaś, panie Sook? – zapytał. – Dlaczego powiedziałaś, że znasz sekret Crosbiego Wellsa?

Ah Sook zwrócił spojrzenie na Frosta i przyjrzał mu się uważnie.

– Crosbie Wells trafić wielka żyła w Dunstan. Mnóstwo bardzo duże samorodki. Mieć wielkie szczęście.

Nilssen odwrócił się.

– Crosbie Wells natrafił na złotą żyłę?

Również Mannering podniósł teraz wzrok.

– Co? Na żyłę? Ile znalazł?

– W Dunstan – powiedział znów Sook Yongsheng, nadal patrząc na Frosta. – Mieć wielkie szczęście. Wielka bonanza. On bardzo bogaty.

Nilssen zrobił krok naprzód, co poniekąd zirytowało Frosta, bo w końcu to on sprowadził przesłuchanie na te nowe tory – ale Nilssen i Mannering najwidoczniej już zapomnieli o Froście.

– Kiedy to było? – dopytywał się Nilssen. – Kiedy?

– Dwa. – Ah Sook podniósł dwa palce.

– Dwa lata temu! – wykrzyknął Mannering.

– Ile? Ile kruszcu? – spytał Nilssen.

– Warte wiele tysięcy funtów.

– Ile? Cztery? – Nilssen podniósł cztery palce. – Cztery tysiące?

Ah Sook wzruszył ramionami; nie wiedział.

– Skąd o tym wiesz, panie Sook? – spytał Frost. – Skąd pan wie, że pan Wells trafił w Dunstan na swój „bilet do domu”?

– Ja pytać strażnik – odpowiedział Ah Sook.

– Nie ufał bankom! – powiedział Mannering. – Co ty na to, Charlie? Nie ufał bankom!

– Którego strażnika pan pytał? Z firmy Gilligana? Czy od Gracewooda i Spearsa? – zapytał Nilssen.

– Od Gracewooda i Spearsa.

– Czyli Crosbie Wells trafił w Dunstan na złotą żyłę, a potem wynajął firmę Gracewood i Spears, żeby przetransportowali mu skarb z pola? – spytał Frost.

– Tak – odpowiedział Ah Sook. – Bardzo dobrze.

– W takim razie Wells przez cały czas siedział na fortunie! – zauważył Nilssen, kręcąc głową. – To naprawdę były jego pieniądze! A nikt z nas w to nie wierzył.

Mannering wskazał Aha Quee’ego.

– A co z nim? – zapytał. – Wiedział o tym?

– Nie – odrzekł Ah Sook.

Rozzłoszczony Mannering wybuchnął.

– Więc diabła tam, co to wszystko ma do rzeczy! Pamiętajcie, że to była jego robota... To, co znalazło się w domku Crosbiego, to była jego robota! Złoto zostało przetopione jego ręką!

– Może Crosbie Wells działał w porozumieniu z nim – zasugerował Frost.

– Czy tak? – zapytał Nilssen, który wskazał Aha Quee’ego i dodał: – Czy Quee działał w porozumieniu z Crosbiem Wellsem?

– On nie znać Crosbiego Wellsa – odpowiedział Ah Sook.

– Och, na rany Chrystusa... – rzucił Mannering.

Harald Nilssen przenosił badawczy wzrok z jednego Chińczyka na drugiego, jak gdyby ich oblicza mogły mu powiedzieć, czy działali w zмовie. Nilssen podchodził do Chińczyków bardzo podejrzliwie, bo wcześniej nie znał osobiście żadnego przedstawiciela tej nacji. Jego przekonania nie były wynikiem empirii – która, co więcej, często wprost im przeczyła – a jednak żadne dowody przeciwne jego tezom nie były w stanie ich zmienić. Już dawno temu uznał, że Chińczycy są dwulicowi, zatem dla niego już zawsze tacy będą, bez względu na wszystko, co mogłoby przeczyć takiemu założeniu. Patrząc teraz na Aha Quee’ego, przypomniał sobie teorię spiskową, którą wcześniej tego dnia przedstawił mu Joseph Pritchard: „Jeżeli nas ktoś wrabia, to może jego też”.

– Za tym stoi ktoś jeszcze – powiedział. – Ktoś jeszcze maczał w tym palce.

– Tak – odpowiedział Ah Sook.

– Kto? – spytał skwapliwie Nilssen.

– Nie wyciągniesz z niego ani jednego sensownego słowa – odezwał się Mannering. – Szkoda sobie strzępić język, mówię ci.

Ale kapelusznik udzielił im odpowiedzi, która zdumiała wszystkich obecnych w izbie:

– Te Rau Tauwhare.

WENUS W KOZIOROŻCU

Rozdział, w którym wdowa przedstawia swoją teorię fortuny, nadzieje Gascoigne'a okazują się płonne i dowiadujemy się czegoś nowego o Crosbiiem Wellsie

Po wyjściu z hotelu Ruszt Aubert Gascoigne bezzwłocznie udał się na drugą stronę ulicy, do hotelu Wędrowiec, który można było poznać po malowanej tabliczce, zwieszającej się z wystającej krokwi na dwóch krótkich łańcuszkach. Na tabliczce nie było ani słowa; przedstawiała jedynie sylwetkę mężczyzny, idącego przed siebie z podniesioną głową, rękami ugiętymi w łokciach i tłumoczkim, jaki mógłby nosić Dick Whittington^[1]. Sądząc po zawadiackiej pozie nieznanego, można było dojść do wniosku, że Wędrowiec przeznaczony jest wyłącznie dla mężczyzn – tym bardziej że wszędzie dało się tu zauważyć znaczące oznaki kobiecej nieobecności, takie jak mosiężna spluwaczka na werandzie, wygodka w zaułku, a także niedostatek zasłon w oknach. Były to jednak raczej przejawy skąpstwa niż jakichś zasad, albowiem w hotelu Wędrowiec nie dyskryminowano nikogo ze względu na płeć i prowadzono niezmienną politykę, polegającą na tym, aby nie zadawać przybyłym żadnych pytań, niczego im nie obiecywać i pobierać od nich możliwie jak najniższe opłaty za nocleg. W tej sytuacji człowiek oczywiście musiał przygotować się na spore niewygody – a w każdym razie tak rozumowała pani Lydia Wells, jedna z obecnych gości Wędrowca, którą bez przesady można było nazwać niemałym geniuszem skąpstwa.

Lydia Wells zawsze wydawała się przybierać nieco kuszące pozy, aby ze śmiechem dać się z nich potem wypłoszyć, kiedy ktoś nadchodził. Gascoigne na przykład zastał ją w salonie hotelu Wędrowiec wyciągniętą na kanapie – pantofel kołysał się na wielkim palcu jej stopy, głowę miała wspartą na poduszce, jedną rękę odrzuconą do tyłu, a w drugiej ścisnęła książkę kieszonkowego formatu. Wszystko to razem sprawiało wrażenie, jak gdyby wdowa miała lada moment zemdleć pod wpływem lektury. Zaróżowione policzki i podekscytowana mina zostały spreparowane zaledwie na kilka chwil, zanim niczego niepodejrzewający Gascoigne wszedł do pokoju – i zgodnie z intencjami Lydii odpowiedziały mu, że jest całkowicie pochłonięta jakąś wyjątkowo lubieżną fabułą.

Kiedy Francuz zapukał we framugę (wyłącznie ze względów grzecznościowych, drzwi były bowiem otwarte), Lydia Wells podniosła się, otworzyła szeroko oczy i zaczęła się piskliwie śmiać. Zamknęła książkę z trzaskiem, po chwili jednak odrzuciła ją na otomanę w taki sposób, żeby gość mógł wyraźnie dojrzeć okładkę i tytuł.

Gascoigne uklonił się. Podnosząc głowę, na dłużej zatrzymał swoje spojrzenie na Lydii, rozkoszując się jej widokiem – pani Wells była bowiem niezwykle piękną kobietą i patrzyło się na nią z przyjemnością. Miała zapewne około czterdziestu lat, chociaż równie dobrze mogła być dojrzałe wyglądającą trzydziestolatką lub pięćdziesięciolatką o młodzieńczym wyglądem – nie chciała zdradzić swojego wieku. Weszła już jednak w ten nieokreślony okres, który zawsze przyciąga uwagę swoją nieuchwytnością, bo kiedy zachowywała się jak

dziewczyna, to tę dziewczęcość dostrzegało się tym wyraźniej ze względu na jej wiek, natomiast kiedy zachowywała się mądrze, to owa mądrość robiła tym większe wrażenie, ponieważ dysponowała nią kobieta tak jeszcze młoda. W jej rysach dało się zauważyć coś lisiego: miała lekko skośne oczy i zadarty nos, który przywodził na myśl czujne, a zarazem ciekawskie zwierzę. Jej usta były pełne, a zęby, które niekiedy odsłaniała w uśmiechu, delikatnie ukształtowane i równe. Włosy miała koloru jasnej miedzi, takiego, który mężczyźni nazywają rudym, a kobiety kasztanowatym i który ciemnieje w ruchu niczym płomień. Tego dnia była uczesana w kok, misternie spleciony z warkoczy i zakrywający zarówno jej kark, jak i czubek głowy. Nosila pasiastą suknię z szarego jedwabiu, w ponurym odcieniu, chociaż nie można było jej nazwać suknią żalobną, tak jak miny Lydii nie dałoby się w tej chwili nazwać kobiecą czy dziewczęcą. Suknia wyróżniała się wysokim, zapinanym kołnierzykiem i była ozdobiona koronkowym mankietem, turniurą oraz bufiastymi rękawami, których balonikowe kształty podkreślały pełny biust wdowy, jednocześnie optycznie zwężając jej figurę w pasie. Dłonie, wystające z tych ogromnych rękawów – w tej chwili zaciśnięte, żeby wyrazić radość na widok stojącego w progu Gascoigne’a – wydawały się niezwykle drobne i kruche, niczym ręce lalki.

– Monsieur Gascoigne – powiedziała, smakując to nazwisko na języku i przeciągając je – przyszedłeś sam!

– Przynoszę pani wyrazy ubolewania – odparł.

– Przynosisz mi je, a jednocześnie zadajesz dotkliwy ból. – Lydia przyjrzała mu się od stóp do głów. – Niech zgadnę: migrena?

Gascoigne pokręcił głową i tak zwięźle, jak potrafił, opowiedział o wypadku Anny – o tym, jak broń przypadkowo wypaliła jej w dłoni. Mówił prawdę. Lydia wydawała różne dźwięki, oznaczające niepokój, i zasypywała gościa pytaniami, na które odpowiadał szczegółowo, chociaż z ogromnym znużeniem, przejawiającym się w drzeniu jego głosu. W końcu zlitowała się nad Gascoigne’em, zaproponowała mu krzesło i coś do picia, on zaś przyjął obie te propozycje ochoczo i z ulgą.

– Obawiam się, że mam jedynie gin – powiedziała.

– Gin z wodą mi wystarczy. – Gascoigne usiadł w fotelu, stojącym najbliżej kanapy.

– Jest cuchnący – zauważyła z zadowoleniem Lydia. – Będziesz musiał zrobić dobrą minę do złej gry. Powinnam była przywieźć skrzynkę jakiegoś alkoholu z Dunedin, ale pomyślałam, że byłoby to głupie. A tymczasem wciąż nie dostałam w tym mieście ani kropli porządnego trunku.

– Anna ma w swoim pokoju flaszkę hiszpańskiej brandy.

– Hiszpańskiej? – Lydia wydawała się zainteresowana.

– Jerez de la Frontera – odpowiedział Gascoigne. – Z Andaluzji.

– Na pewno strasznie bym się rozsmakowała w hiszpańskiej brandy – powiedziała Lydia Wells. – Ciekawe, skąd ona ją ma.

– Szkoda, że nie przyszła, bo mogłaby pani sama o tym opowiedzieć – odrzekł nieco mechanicznie Gascoigne, ale gdy Lydia wsunęła stopę z powrotem w pantofel, podciągając spódnice, żeby pokazać swoje pulchne, osłonięte pończochami łydki, pomyślał, że w gruncie rzeczy nie bardzo tego żałuje.

– Tak, na pewno pysznie byśmy się razem bawiły – powiedziała Lydia. – Ale naszą wyprawę z łatwością można przełożyć na później, uwielbiam czekać na wycieczki do miasta. Chyba że chciałbyś pójść na zakupy ze mną zamiast Anny? Być może jesteś namiętym amatorem damskich kapeluszy!

– Mógłbym udawać namiętność – odparł Gascoigne, a Lydia znów się zaśmiała.

– Namiętności – odpowiedziała cicho – nie da się udawać. – Podeszła do kredensu, gdzie na drewnianej tacy stały butelka w niewyszukanym kształcie i trzy szklanki. – Wiesz, nie dziwię się – dodała, odwracając dwie z nich i pozostawiając trzecią do góry nogami.

– Chodzi pani o ten rewolwer? Nie dziwi pani to, że Anna znowu próbowała odebrać sobie życie?

– Och, na litość boską, nie... Nie to mam na myśli. – Lydia urwała, biorąc butelkę do ręki. – Nie dziwię się, widząc cię tutaj samego.

Gascoigne oblał się rumieńcem.

– Postąpiłem tak, jak mnie o to prosiłaś, pani – odpowiedział. – Nie podałem twojego nazwiska, powiedziałem, że to jest niespodzianka. Że pójdziemy z pewną damą obejrzyć kapelusze. Annie spodobał się ten pomysł i na pewno by przyszła, gdyby nie ta historia z rewolwerem. Tak się zdenerwowała, że potem nie nadawała się już zupełnie do wyjścia.

Wydawało mu się, że papie bez sensu. Wdowa Wells – jakaż z niej piękna kobieta! A jak elegancko odchyła się na niej ta koronkowa turniura!

– Okazałeś wielką uprzejmość, zaspokajając moje głupie zachcianki – powiedziała Lydia, żeby go uspokoić. – Powiadam ci, kobieta w moim wieku lubi od czasu do czasu zabawić się w dobrą wróżkę. Powymachiwać trochę czarodziejską różdżką i czynić czary na pożytek młodszych dziewcząt. Nie, nie... Wiedziałaś, że to nie ty zepsułaś mi niespodziankę. Po prostu miałam przeczucie, że Anna nie przyjdzie. Ja miewam przeczucia, Aubercie.

Podła Gascoigne'owi szklanę, rozsiewając ostry, a zarazem mglisty zapach świeżo krojonej cytryny, albowiem rano wymoczyła paznokcie w soku cytrynowym, którym się także natarła.

– Nie zdradziłem pani tożsamości, zgodnie z tym, co obiecałem – powtórzył Gascoigne, który z niewiadomego powodu pożądał nieustannego uznania ze strony Lydie.

- Oczywiście – zgodziła się z nim. – Oczywiście! Nie mógłbyś tego zrobić!
- Jestem jednak pewien, że gdyby Anna wiedziała, że to pani...
- Przybiegłaby tu... W mgnieniu oka!
- Przybiegłaby.

(To przekonanie, powtórzone dosyć słabym głosem, opierało się na zapewnieniu Lydii, że ona i Anna kiedyś bardzo blisko się przyjaźniły. Właśnie na podstawie tego zapewnienia Gascoigne zgodził się na ową „niespodziankę”, której chciała Lydia i dzięki której panie spotkałyby się ponownie, z miejsca odnawiając zażyłe stosunki – chociaż Gascoigne rzadko godził się na takie propozycje i rzadko robił coś dla kogoś, kto z łatwością mógłby to coś zrobić sam. Wpływanie na ludzi wprawiało go na ogół w zakłopotanie: wolał być manipulowany, niż manipulować. Jednakże, co za chwilę stanie się całkiem jasne, podkochiwał się trochę w Lydii Wells, a jego niemądre uczucie do niej było dosyć silne, by popchnąć go nie tylko do działania wbrew sobie, ale i do zmiany własnych przyzwyczajęń).

- Biedna Anna Wetherell – powiedziała Lydia. – Ta dziewczyna to chodzący pech.
- Naczelnik Shepard uważa, że jest obłąkana.
- Naczelnik Shepard! – Lydia Wells roześmiała się wesoło. – No cóż, on jest prawdziwym ekspertem w tych sprawach. Może ma słuszość.

Gascoigne właściwie nie wyrobił sobie własnego zdania o naczelniku Shepardzie, którego w zasadzie nie znał, ani o jego pomyłonej żonie, której nie znał wcale.

Wrócił myślami do Anny. Zaczynał już żałować, że przed chwilą rozmawiał z nią tak ostro w hotelu Ruszt. Nigdy nie potrafił gniewać się długo na nikogo i zawsze wystarczał mu nawet najkrótszy antrakt, aby zaczął czynić sobie wyrzuty .

– Biedna Anna – zgodził się z Lydią. – Ma pani rację, przedstawia żałosny widok. Nie stać jej na czynsz, a kierownik planuje wyrzucić ją z hotelu. Anna nie zamierza jednak pogwałcić zasad, które przyjęła w żałobie, i nie wróci na ulicę. Nie chce okazać braku szacunku swojemu nieszczęsnemu, zmarłemu dziecku. Jak zatem pani widzi, znalazła się w potrzasku. Żałosny widok.

Gascoigne przemawiał zarówno z podziwem, jak i litością.

Lydia aż podskoczyła.

– Och, Anna musi zamieszkać razem ze mną! Musi! – zawołała w taki sposób, jak gdyby już od pewnego czasu próbowała przekonać do tego Gascoigne’a, a nie wystąpiła z tą propozycją dopiero przed chwilą. – Może spać w moim łóżku jak siostra... Może nawet ma siostrę gdzieś daleko stąd. Może tęskni za nią. Och, Aubercie, Anna musi zamieszkać ze mną. Poproś ją o to, bardzo mi na tym zależy.

– Myśli pani, że zechciałaby tu z panią zamieszkać?

– Biedna Anna mnie uwielbia – odrzekła stanowczo Lydia. – Jesteśmy bardzo bliskimi przyjaciółkami. Jak dwie gołąbeczki... W każdym razie tak było przed rokiem w Dunedin. Ale czas i przestrzeń to nic w obliczu prawdziwego uczucia. Odnajdziemy się ponownie. Musimy jakoś do tego doprowadzić. Powinieneś ją namówić, żeby się do mnie przeniosła.

– Pani wielkoduszność jest godna podziwu... Chociaż może zarazem nieco przesadna – odpowiedział Gascoigne, uśmiechając się do niej pobłaźliwie. – Wie pani, czym Anna się zajmuje. Ta jej splamiona reputacja... Poza tym ona nie ma pieniędzy.

– Och, bzdura. Na złotodajnych polach zawsze można zarobić – rzekła Lydia Wells. – Może pracować dla mnie. Bardzo chciałabym mieć pokojówkę. Damę do towarzystwa, jak mawiają panie z wyższych sfer. Za trzy tygodnie kopacze nie będą pamiętać, że w ogóle była dziwką! Bywam nieustępliwa, kiedy się na coś uwezmę, a uparłam się na pokojówkę.

– No tak. – Gascoigne spojrział na swoją szklankę i poczuł się zmęczony. – Czy mam wrócić na drugą stronę ulicy i spytać Annę o zgodę?

Lydia zamruczała jak kotka.

– Nie rób nic, dopóki nie poczujesz, że na pewno chcesz to zrobić. Sama do niej pójde. Dzisiaj wieczorem.

– Ale wtedy Anna nie będzie miała niespodzianki – stwierdził Gascoigne. – A pani tak bardzo na tym zależało.

Lydia pociągnęła go za rękaw.

– Nie – odrzekła stanowczo. – To biedactwo miało już dość niespodzianek. Najwyższy czas, żeby ktoś o nią zadbał, wówczas może się trochę uspokoi. Wezmę ją pod swoje skrzydła. Będę ją rozpieszczać!

– Naprawdę dotrzyma pani wszystkich tych obietnic? – zapytał z uśmiechem Gascoigne. – Nachodzi mnie taka wizja: trzyma pani w ręku lampę, chodzi od łóżka do łóżka i czyni dobro...

– Dobrze, że użyłeś tego słowa – powiedziała Lydia.

– Dobro?

– Nie, wizja. Och, Aubercie, mam całe mnóstwo nowin.

– O posiadłości? – spytał Gascoigne. – Tak szybko?

Gascoigne właściwie nie rozumiał, jakie stosunki łączyły Lydię Wells i jej nieżyjącego męża, Crosbiego. Wydawało mu się dziwne, że mieszkali tak daleko, setki mil od siebie – Lydia w Dunedin, Crosbie zaś w głuszy Doliny Arahura, gdzie żona ani razu go nie odwiedziła. Przyjechała tu dopiero teraz, prawie dwa tygodnie po śmierci męża. Gascoigne jedynie z najbardziej konwencjonalnych powodów grzecznościowych nie wypytywał Lydię wprost o to małżeństwo, albowiem był go ciekawy, a Lydia nie sprawiała wrażenia osoby, która boleśnie cierpi po stracie małżonka. Ilekroć wymieniano jego imię, odpowiadała

niejasno, strojąc głupie miny.

Tym razem jednak pokręciła głową.

– Nie, nie, nie – odpowiedziała. – Moje wiadomości nie mają z tym nic wspólnego! Musisz mnie zapytać, co porabiałam od czasu, kiedy się ostatnio widzieliśmy... A ściśle rzecz biorąc, czym się zajmowałam dzisiaj rano. Dosłownie wszystko mnie boli, tak bardzo chcę, żebyś mnie o to zapytał. Nie mogę uwierzyć, że jeszcze tego nie zrobiłeś.

– Więc niech mi pani powie, o co chodzi, proszę.

Lydia usiadła, wyprostowała się i bardzo szeroko otworzyła swoje szare oczy, aż zabłyśły.

– Kupiłam hotel – powiedziała.

– Hotel! – powtórzył ze zdziwieniem Gascoigne. – Który?

– Ten, w którym jesteśmy.

– Ten hotel?...

– Na pewno uważasz, że miewam swoje kaprysy! – Lydia klasnęła w dłonie.

– Myślę, że jest pani przedsiębiorcza, odważna i bardzo piękna – odpowiedział Gascoigne. – I że to nie wszystko. Proszę mi powiedzieć, dlaczego kupiła pani ten hotel.

– Zamierzam urządzić tutaj coś innego! – odrzekła Lydia. – Wiesz, że jestem kobietą światową. Przez prawie dziesięć lat prowadziłam interes w Dunedin, a przedtem w Sydney. Jestem prawdziwą kobietą interesu, Aubercie! Jeszcze mnie nie widziałeś w moim żywiole, ale kiedy zobaczysz, przyznasz, że jestem wyjątkowo przedsiębiorcza.

Gascoigne rozejrzał się.

– Co chciałaby pani tu urządzić?

– Nareszcie dochodzimy do mojej wizji – odpowiedziała Lydia, pochylając się ku swojemu gościowi. – Widziałeś w porannej gazecie zapowiedź tego seansu? Którego data i miejsce mają jeszcze zostać potwierdzone?

– Och, niechże pani da spokój! Nie!

Lydia uniosła brwi.

– Och, to ty daj spokój. Co ma znaczyć „nie”?

– Wirujące stoliki i duchy? – Gascoigne uśmiechnął się. – Seans spirytystyczny to zabawne głupstwo, ale żaden interes! Nie powinna pani próbować czerpać korzyści z takich salonowych sztuczek! Prości ludzie ogromnie się denerwują, kiedy dochodzą do wniosku, że ktoś ich oszukuje i pozbawia uczciwie zarobionych pieniędzy. Poza tym takich praktyk nie pochwała Kościół.

– Mówisz tak, jak gdyby wywoływanie duchów nie było sztuką! Jak gdyby cały spirytyzm

był pospolitym oszustwem – powiedziała Lydia Wells, na której dezaprobata Kościoła najwyraźniej nie wywarła najmniejszego wrażenia. – Królestwo zjawisk paranormalnych nie jest żadną sztuczką, Aubercie. Eter to nie oszustwo.

– Och, niechże pani da spokój – powtórzył Gascoigne. – Mówi pani o formie rozrywki, a nie o wieszczej wyroczni. Nie posuwajmy się do wzmianek o królestwach.

– A zatem jesteś cynikiem! – Wdowa udała rozczarowanie. – Nigdy bym tego o tobie nie powiedziała. Powiedziałabym może, że nie masz złudzeń lub jesteś niedowiarkiem, choć w głębi duszy wrażliwym.

– Jeżeli jestem cynikiem, to zarazem ekspertem – rzekł wyniośle Gascoigne. – Uczestniczyłem już w kilku seansach spirytystycznych, pani Wells. Jeżeli wyrażam się o nich lekceważąco jako o głupim przesądzie, to nie bez pewnego doświadczenia w tym względzie.

Zawahała się... a potem jej pulchna dłoń wystrzeliła naprzód i znowu pociągnęła gościa za rękaw.

– Ale zachowuję się niegrzecznie, bo ten temat wyraźnie panią fascynuje – zauważył Gascoigne, opamiętując się.

– Nie o to mi chodzi. – Lydia przez chwilę gładziła jego mankiet, a później równie szybko cofnęła rękę. – Masz mnie nie nazywać panią Wells... Wkrótce już nią nie będę.

Gascoigne pochylił głowę.

– Chce pani, by zwracać się do niej, używając jej panińskiego nazwiska? – zapytał, myśląc w duchu, że jeżeli tak, to byłoby to pragnienie wysoce niestosowne.

– Nie, nie. – Lydia zagryzła wargę, po czym pochyliła się do niego bliżej i szepnęła: – Wychodzę za mąż.

– Za mąż?

– Tak... Tak szybko, jak mi starczy śmiałości. Ale to tajemnica.

– Nie chce pani, abym o tym wiedział?

– Nikt nie powinien o tym wiedzieć.

– Czy nie poznam imienia pani ukochanego?

– Nie. Nie podam go ani tobie, ani nikomu innemu. To mój tajemny romans – odpowiedziała Lydia i zachichotała. – Spójrz na mnie... Jestem jak trzynastolatka, która szykuje się do ucieczki z domu ze swoim chłopakiem! Nie mam nawet odwagi nosić pierścionka od niego, chociaż jest bardzo zacny. To rubin z Dunstan, osadzony w obrączce z dunstańskiego złota.

– Powinienem chyba pani pogratulować – zauważył Gascoigne dość serdecznie, chociaż znów z pewną rezerwą, bo ta wiadomość właściwie uczyniła jego nadzieje płonnymi.

Wydawało mu się, że jego możliwości się wyczerpały, że ktoś zgasił światło, że zatrzasnęły się drzwi. Trzeba przyznać, że Gascoigne marzył o tym, by Lydia Wells pewnego dnia została jego kochanką, właściwie od chwili, gdy ujrzał ją po raz pierwszy. Wyobrażał ją sobie w swoim domku, widział, jak potrząsa rudymi lokami, stojąc przy jego łóżku, i patrzył, jak dokłada rankiem drew do pieca, otulona flanelowym szlafrokiem. Wyobrażał sobie, jak uderzają mu do głowy pierwsze dni ich zalotów, widział budowę domu, w którym mieliby wspólnie zamieszkać, i mijające lata. Marzył o tym wszystkim bez żadnego wstydu ani zakłopotania, a nawet nie zdając sobie sprawy, jak daleko błędzą jego myśli. Wydawało mu się to naturalne: Lydia jest przecież wdową, a on wdowcem. Oboje byli obcy w nieznanym sobie mieście i nawiązali ze sobą serdeczne stosunki, nie było więc takie nieprawdopodobne, że mogą się w sobie zakochać.

Teraz jednak, kiedy dowiedział się, że Lydia jest zaręczona, powinien porzucić swoje marzenie – a żeby to uczynić, musiał przyjąć je do wiadomości i uznać, że było głupie. Z początku uważał się nad sobą, ale gdy tylko zaczął o tym myśleć, okazało się, że płytkość jego żalu napawa go rozbawieniem.

– Nie posiadam się ze szczęścia – odpowiedziała wdowa.

Gascoigne znów się uśmiechnął.

– Więc jak mam się do pani zwracać, skoro nie mogę zwać pani panią Wells?

– Och, Aubercie – rzekła wdowa – jesteśmy najlepszymi przyjaciółmi, nie musisz mnie o to pytać. Powinieneś mi oczywiście mówić po imieniu: Lydia.

(Wtrącimy się na chwilę, żeby skorygować tę uwagę i zauważyć, że Aubert Gascoigne i Lydia Wells wcale nie byli najlepszymi przyjaciółmi, bo, prawdę mówiąc, znali się zaledwie od trzech dni. Gascoigne spotkał wdowę w czwartek po południu, gdy Lydia przyjechała do sądu zapytać o majątek swojego zmarłego męża – majątek, który został tymczasem znaleziony i złożony w banku. Gascoigne przyjął podanie pani Wells z prośbą o unieważnienie sprzedaży posiadłości, a kiedy zajmował się petentką, wdał się z nią w rozmowę. Wdowa powróciła do sądu w piątek rano, a wtedy Gascoigne, ośmielony zainteresowaniem, z jakim Lydia wydawała mu się przyglądać, nalegał usilnie, by pozwoliła zabrać się na lunch. Przyjęła to zaproszenie z kokietyjnym zdumieniem, a Gascoigne wziął jej parasolkę i zaprowadził kobietę na drugą stronę ulicy, do jadłodajni Maxwella, gdzie zamówił dwa talerze krupniku, najlepsze białe pieczywo oraz niewielką karafkę wytrawnego sherry, po czym posadził swoją nową znajomą na najlepszym miejscu, przy oknie.

Szybko się okazało, że Lydia Wells i Aubert Gascoigne mają sporo wspólnych tematów do rozmów i w ogóle wiele ich łączy. Pani Wells była niezmiernie ciekawa wszystkiego, co działo się w mieście od śmierci jej męża, a temat ten naturalnie doprowadził Gascoigne'a do Anny Wetherell i jej dziwnego, bliskiego spotkania ze śmiercią na Drodze do Kaniere. Lydię Wells zdumiało to tym bardziej, albowiem, jak wyjaśniła, znała Annę Wetherell, która w ubiegłym roku mieszkała przez kilka tygodni w jej pensjonacie w Dunedin, nim wyjechała

zarabiać na życie na złotodajnych polach w Hokitika, i przez ten czas bardzo się zaprzyjaźniły. To właśnie podczas tej rozmowy Lydia wymyśliła swoją „niespodziankę”. Gdy tylko uprzątnięto naczynia po lunchu, wysłała Gascoigne’a do hotelu Ruszt, gdzie Francuz poinformował Annę Wetherell, że jutro o drugiej po południu zabierze ją na tajemniczą wycieczkę na zakupy).

– Skoro się zaręczyłaś i zaczynasz prowadzić nowy interes, to może mam słuszną nadzieję, że twój pobyt w Hokitika nie potrwa krótko? – odezwał się Gascoigne.

– Nadzieję trzeba mieć zawsze – powiedziała Lydia Wells, która dysponowała sporym zapasem takich konwencjonalnych powiedzonek i po wygłoszeniu jednego z nich lubiła dramatycznie zawieszać głos.

– Czy mam też rację, sądząc, że dokonałaś swojej inwestycji z pomocą narzeczonego? Może to jakiś bogacz!

Ale wdowa roześmiała się.

– Niczego ze mnie nie wyciągniesz, Aubercie!

– Właściwie wydawało mi się, że chcesz, żebym spróbował.

– Tak... Ale właśnie tylko, żebyś spróbował – odparła Lydia Wells. – Nie chcę, żeby ci się to udało!

– Mniemam, że jest to typowo kobieca postawa – powiedział oschle Gascoigne.

– Być może – odrzekła wdowa z cichym śmiechem. – Ale kobiety to roztropna płeć... I wydaje mi się, że nie chciałbyś, żeby było inaczej.

Tu nastąpiła dosyć uszczypliwa wymiana komplementów – gra, w której wdowa i wdowiec okazali się wyjątkowo godnymi siebie przeciwnikami. Zamiast przytaczać tę uczuciową rozmowę, zdecydujemy się przemówić ponad nią i raczej opisać bardziej szczegółowo coś, co w innym wypadku można byłoby wziąć za poważną słabość w charakterze Francuza.

Gascoigne był oczarowany Lydią Wells i bardzo podziwiał wyrafinowaną błyskotliwość w jej sposobie wysławiania się i w zachowaniu – ale nie miał do niej zaufania. Nie wyrządził krzywdy Annie Wetherell, bo opowiadając o niej Lydii, nie wspomniał nic o złocie, które znalazł w zeszłym tygodniu w pomarańczowej sukni, a które spoczywało teraz pod jego łóżkiem w worku na mąkę. Poza tym Gascoigne przedstawił wydarzenia z 14 stycznia tak, jak gdyby wierzył, że Anna naprawdę próbowała targnąć się na swoje życie, wyczuwał bowiem, że dopóki nie znajdzie się jakieś lepsze wyjaśnienie, rozsądniej będzie nie zwracać większej uwagi na liczne tajemnice tamtego wieczoru. Wiedział doskonale, że Anna nie ma pojęcia, co się z nią działo w nocy – albo żeby ująć to inaczej, kto ukradł jej tę noc – i nie chciał narażać dziewczyny na żadne niebezpieczeństwo. Trzymał się „oficjalnej” wersji, głoszącej, że panna Wetherell usiłowała popełnić samobójstwo i została znaleziona bez przytomności

w pożałowania godnym stanie na poboczu drogi. Dlatego kiedy z kimś rozmawiał na ten temat, przyjmował właśnie taki punkt widzenia, nie musiał się więc jakoś specjalnie wysilać, by podtrzymać go i w tym przypadku.

Tego natomiast, że naprawdę dał się zauroczyć Lydii Wells, zamiast od razu nabrać pewnych podejrzeń co do jej licznych zachcianek, nie możemy tak łatwo usprawiedliwić. Widzimy wyraźnie, że wdowa zaczęła go pociągać, jeszcze zanim się dowiedział, po co przyszła do sądu – a nawet zanim mu się przedstawiła. Teraz jednak wiedział już, że związek Lydii z mężem był bardzo zagadkowy. Wiedział też, że o ów tajemniczy skarb, który znaleziono w domku zmarłego, toczy się spór prawny. Zdawał sobie sprawę, że nie powinien ufać wdowie i że kiedy jest przy niej, całe jego serce zalewa czyste, jasne uwielbienie. Rozum nie może się mierzyć z pożądaniami, bo kiedy odczuwamy je czysto i potężnie, staje się ono właśnie czymś w rodzaju rozumu. Wspaniała Lydia miała rzadki wdzięk i urok rodem ze Starego Świata – Gascoigne wiedział o tym tak dobrze, jak gdyby zostało to dowiedzione logicznie, jak gdyby był to fakt. Był przekonany, że jej chytre, kocie rysy zostały tu przeniesione w stanie nienaruszonym z dawniejszej, lepszej epoki. Wiedział, że jej kształtnych nadgarstków i kostek u nóg nie da się z niczym porównać, a jej głos...

Ale to wystarczy, wszystko jest już jasne, powinniśmy więc powrócić do przerwanej sceny.

Gascoigne odstawił szklanekę.

– Uważam, że to dobrze, że wychodzisz za mąż – mówił. – Jesteś zdecydowanie nazbyt czarująca, by pozostawać wdową.

– Ale może – odrzekła Lydia Wells – jestem też zdecydowanie nazbyt czarująca, aby ponownie wyjść za mąż?

– Absolutnie nie – odparował Gascoigne. – Jesteś właśnie dosyć czarująca, by mieć nowego męża. Mężczyźni w ogóle żenią się tylko dla takich kobiet jak ty. Dzięki wam myśl o małżeństwie wydaje się całkiem znośna.

– Aubercie – odpowiedziała. – Ty pochlebco.

– Chciałbym ci się przypodobać jeszcze bardziej i poprosić, żebyś opowiedziała mi coś więcej o tym, na czym się znasz, a co tak mimowolnie przed chwilą zdeprecjonowałem – rzekł Francuz. – Dalej więc, Lydio, opowiadaj o duchach i o mocach eteru, a ja ze wszystkich sił będę się starał zachować naiwność i nadzieję, całkowicie odrzucając sceptycyzm.

Jaka ona jest śliczna w tym przytłumionym świetle popołudnia, które otacza jej ramię niczym woalka! I jaki cudowny cień wypełnia ten rowek pod jej dolną wargą!

– Po pierwsze, mylisz się, sądząc, że prości ludzie nie zechcą mi zapłacić za przepowiadanie przyszłości – powiedziała wdowa, podnosząc się z miejsca. – Mężczyźni stają się niezwykle przesadni, gdy stawka jest wysoka, a złotodajne pola to wielkie ryzyko, jak również wielkie wygrane. Kopacze zawsze dobrze zapłacą za taką czy inną podpowiedź...

Przecież słowo „fortuna” właściwie nie schodzi im z ust! Spróbują szczęścia wszędzie, jeśli tylko uznają, że w ten sposób zdobędą przewagę na złotodajnych polach. A zresztą kim jest spekulant, jeśli nie Cyganką, tylko inaczej ubraną?

Gascoigne roześmiał się.

– Wątpię, czy wielu spekulantom spodobałoby się to porównanie – odparł. – Ale tak, rozumiem, do czego zmierzasz, Lydio: że mężczyźni zawsze zapłacą chętnie za dobrą radę. Czy będą jednak ufać w skuteczność twojej? W jej skuteczność w praktyce, o to mi chodzi. Obawiam się, że byłaby to niezwykła odpowiedzialność, ponieważ musiałybyś wziąć na swoje barki brzemień dowodów! A skąd możesz wiedzieć, czy nie udzielisz komuś fałszywych wskazówek?

– Cóż za makabrycznie nieciekawe pytanie – odpowiedziała Lydia Wells. – Wydaje mi się, że wątpisz, czy znam się na rzeczy.

Temu Gascoigne faktycznie nie dowierzał, ale chciał być grzeczny i ustąpił.

– Nie wątpię, tylko nic na ten temat nie wiem. Ciekawi mnie to.

– Przez dziesięć lat prowadziłam kasyno – odpowiedziała wdowa. – I przez cały ten czas moje koło fortuny jedynie raz zatrzymało się na wielkiej wygranej. A to dlatego, że zacięła się blokada na trzpieniu, gdyż dostał się tam piasek. Koło miałam wyważone w taki sposób, by strzałka wskazywała zawsze nagrodę najbliższą wielkiej wygranej. Podjęliśmy też inny środek ostrożności, smarując tłuszczem kołki najbliższe wygrywającego numeru, i strzałka zawsze w ostatniej chwili prześlizgiwała się dalej, chociaż z takim trudem i tak dręcząco niepewnie, że gracze nie potrafili się opanować, tylko tłoczyli się, by rzucić nowego szylinga za drugi obrót kołem.

– Ależ Lydio! – powiedział Gascoigne. – To diablo nieuczciwe!

– Wcale nie.

– Ależ tak! To oszustwo!

– Odpowiedz mi na jedno pytanie: Czy nazwiesz owocarza oszustem dlatego, że najlepsze jabłka układa w głębi wozu, by ludzie wybrali najpierw te nadpsute?

– Trudno porównywać te dwa przykłady – odparł Gascoigne.

– Bzdura. Można je porównać doskonale. Owocarz dba o swoje dochody, bo jeśli umieściłby najlepsze jabłka z przodu, to nikt nie kupiłby nadpsutych, aż wreszcie zgniłyby do reszty i trzeba byłoby je wyrzucić. Sprzedawca zapewnia więc sobie stały zysk, prowokując klienta, żeby kupił owoc, który jest nadpsuty tylko nieznacznie, tak że prawie tego nie widać. Jeżeli mam zarabiać, to również muszę zadbać o swoje zyski, i robię to dokładnie w taki sam sposób. Kiedy hazardzista wraca do domu z zaledwie niewielką wygraną, powiedzmy, z pięcioma funtami, i poczuciem, że mało brakowało, a stałby się bogaczem, to tak, jak gdyby wrócił z lekko nadpsutym jabłkiem. Nie wygrał dużo, ma miłe wspomnienie bardzo pięknego

wieczoru i świadomość, że mógł przeżyć coś absolutnie ekstraordynaryjnego! Jest mniej lub bardziej szczęśliwy, podobnie jak ja.

Gascoigne znowu się zaśmiał.

– Hazard to jednak grzech – powiedział. – A nadpsute jabłko nie. Wybacz, nie chcę być nudny, ale wydaje mi się, że twój przykład został odpowiednio wyważony na twoją korzyść, podobnie jak twoje koło fortuny.

– Oczywiście, że hazard jest grzechem – odpowiedziała pogardliwie wdowa. – Naturalnie, to straszliwy grzech i plaga, bo doprowadza ludzi do ruiny i tak dalej. Tylko co mnie to obchodzi? Spróbuj powiedzieć owocarzowi, że nie lubisz jabłek! Odpowie ci, że to nie ma znaczenia, jest bowiem wielu ludzi, którzy je bardzo lubią!

Gascoigne zasalutował jak wojskowy.

– Przekonałaś mnie, że umiesz przekonywać – powiedział. – Jesteś siłą, z którą należy się liczyć, Lydio! Żal mi tego biedaka, który wygrał główną nagrodę... Musiał potem przyjść do ciebie i zażądać wypłaty.

– Och tak... Ale ja wcale mu nie zapłaciłam.

Gascoigne nie dowierzał własnym uszom.

– Nie wywiązałaś się z płatności? We własnym kasynie?

Potrząsnęła przecząco głową.

– Dlaczego miałabym się nie wywiązać? Ja mu po prostu dałam inną możliwość. Powiedziałam, że może mieć te sto funtów w czystym złocie albo może wziąć mnie. Nie jako dziwkę – dodała, widząc minę Gascoigne'a. – Jako żonę, głuptasie. To był właśnie Crosbie. Dokonał wyboru. Teraz już wiesz jakiego.

Gascoigne otworzył usta ze zdumienia.

– Crosbie Wells.

– Tak – odparła wdowa. – Pobraliśmy się wtedy jeszcze przed świtem. No co, Aubercie? Na pewno nie miałam stu funtów do wydania. Nigdy mi się nie śniło, że koło fortuny zatrzyma się chociaż raz na wielkiej wygranej. Wyważyłam je tak, by nigdy do tego nie doszło! Nie mogłabym się wypłacić. Zostałabym zupełnie zrujnowana. Bez grosza. Nie możesz się tak dziwić!

– Przyznaję, że trochę się dziwię – powiedział Gascoigne, chociaż było to zdziwienie pełne podziwu. – Jak to możliwe? Czy znałaś go chociaż trochę?

– Naturalnie, że nie – odparła Lydia Wells. – Ależ ty masz staroświeckie poglądy.

Gascoigne się zaczerwienił.

– Nie o to mi chodziło – powiedział i dodał szybko: – Jeżeli w ten sposób mogłaś

zapobiec swojej ruinie finansowej, jak powiadasz...

– Oczywiście byliśmy strasznie źle dobrani i po miesiącu nie mogliśmy na siebie patrzeć. Można się było tego spodziewać. Tak, biorąc pod uwagę okoliczności, nie mogliśmy się spodziewać niczego więcej.

Gascoigne zastanawiał się, dlaczego nie wystąpili o rozwód, lecz nie mógł o to zapytać, nie urażając poczucia wdowiej przyzwoitości, skinął więc tylko głową.

– A zatem widzisz, że ja w tych sprawach jestem szalenie nowoczesna – dodała Lydia. – Ale na pewno się ze mną zgodzisz, że powinnam była zachować ostrożność i nalegać na separację, nie rozwód! Sam byłeś kiedyś żonaty, panie Gascoigne!

Zauważył, jak kokieteryjnie użyła jego nazwiska, i uśmiechnął się.

– Tak – odpowiedział. – Ale nie rozmawiajmy o przeszłości, mówmy o tym, co jest teraz, o przyszłości i o tym wszystkim, co będzie. Powiedz, jakich zmian zamierzasz dokonać w hotelu.

Lydia ucieszyła się, że przyszła pora na jej solowy występ. Zerwała się i splatając dłonie niczym chórzystka, wyszła zza otomany. Odwracając się na pięcie, powiodła spojrzeniem po salonie – popatrzyła na okno o kamiennych słupkach, na ściany pokryte cienką warstwą tynku i na wytartą flagę Union Jack, niewątpliwie pochodzącą z jakiegoś rozbitego statku, przypiętą pionowo do ściany naprzeciwko okna.

– Oczywiście zmienię nazwę – powiedziała. – Hotel przestanie nazywać się Wędrowiec. Od tej pory będzie się zwał Fortuna Wędrowca.

– Jest jakaś poezja w tej nazwie.

To jej sprawiło przyjemność. Odeszła kilka kroków od kanapy i rozłożyła szeroko ramiona.

– Będę miała zasłony... Nie znoszę pokoiów bez zasłon... I wstawię tu takie nowoczesne kanapy z pojedynczym oparciem. W salonie będzie boks z wahadłowymi drzwiami, przypominający konfesjonał, i to nawet bardzo. Salonik od frontu zmieni się w coś w rodzaju poczekalni, ale seanse będę oczywiście urządzać tutaj. Och, mam najróżniejsze pomysły. Będę przepowiadała przyszłość, sporządzała kosmiczne wykresy urodzin i stawiała tarota. Na piętrze... Ale co ci jest? Wciąż jesteś sceptyczny, Aubercie!

– Nie jestem już sceptykiem! Wyrzekłem się swoich poglądów – powiedział Gascoigne, wyciągając się, by chwycić Lydię za rękę. Jego ruch był po części spowodowany tym, że Francuz usiłował ukryć uśmiech. (Był sceptykiem na wskroś, a słysząc, jak Lydia powtarza dźwięczne R w nazwie „tarot”, nie mógł opanować chęci wybuchnięcia śmiechem). Ściskając jej dłoń, dodał: – Bardzo chciałbym dostać nagrodę za to, że się nawróciłem.

– W tych kwestiach to ja jestem ekspertem, a ty laikiem – odrzekła Lydia Wells. – Powinieneś o tym pamiętać, chociaż masz nie najlepsze zdanie na temat świata zjawisk

paranormalnych.

Jej ręka zawisła między nimi bezwładnie niczym dłoń kobiety, która podaje komuś ozdobione pierścionkami palce do ucałowania, i Gascoigne stłumił pożądanie, by przyciągnąć je do swoich ust.

– Masz rację – powiedział, ściskając znów wdowę za rękę. – Masz całkowitą rację.

Puścił jej dłoń, a Lydia wycofała się w stronę kominka.

– Nagrodzę cię w ten sposób, że zdradzę ci pewną wiadomość, ale pod warunkiem że potraktujesz mnie całkowicie serio. Tak serio, jak potraktowałbyś mężczyznę.

– Oczywiście – mruknął Gascoigne, zrobił poważną minę i oparł się wygodnie.

– No to posłuchaj – powiedziała Lydia Wells. – W przyszłym miesiącu nie będzie widać księżyca.

– Ojej! – powiedział Gascoigne.

– To znaczy chodzi mi o to, że luty to krótki miesiąc, będziemy zatem mieli jedną pełnię tuż przed pierwszym, a potem zaraz po dwudziestym ósmym... A zatem w lutym nie będzie pełni Księżyca.

Gascoigne uśmiechnął się do niej.

– Czy tak jest zawsze? Co roku?

– Absolutnie nie – odpowiedziała Lydia. – To bardzo rzadkie zjawisko. – Przesunęła palcem po gipsowym gzymsie.

– Rzadkość implikuje pewną wartość, czyż nie? Albo niebezpieczeństwo?...

– Coś takiego zdarza się tylko raz na dwadzieścia lat – ciągnęła Lydia, ustawiając prosto zegar kominkowy.

– A co zapowiada to zdarzenie, Lydio? Co zapowiada miesiąc bez pełni Księżyca?

Lydia Wells zwróciła się do niego i podparła pod boki.

– Odpowiem ci, jeżeli dasz mi szylinga.

– Jeszcze nie – powiedział, śmiejąc się. – Na razie nie mam dowodu, że naprawdę znasz się na rzeczy. Będę musiał poddać cié próbie, zanim rozstanę się z jakąś sumą pieniędzy albo z czymkolwiek innym, co pochodzi z tego świata. Dzisiaj będzie pochmurno... Zajrzę jednak do poniedziałkowych gazet i sprawdzę fazy Księżyca.

Wdowa popatrzyła na niego nieprzeniknionym wzrokiem.

– Nie myślę się – powiedziała. – Mam almanach i doskonale się w nim orientuję. Teraz księżyca przybywa nad chmurami. W poniedziałek w nocy będzie pełnia, ale we wtorek księżyca zacznie ubywać i w przyszłym miesiącu nie będziemy mieli pełni.

KONIUNKCJE

Rozdział, w którym nie najlepsze wrażenia powracają, mnożą się zaproszenia, a przeszłość toczy się naprzód, by dotknąć teraźniejszości

Wielebny Cowell Devlin pozostał w jadalni hotelu Pałac aż do późnego popołudnia, kiedy poczuł, że robi się ociężały i powolny i nie rozumie już nic z tego, co czyta. Uznawszy, że potrzeba mu świeżego powietrza, dopił kawę, schował swoje broszury, zapłacił rachunek, postawił kołnierz, żeby osłonić się przed deszczem, i ruszył plażą na północ. Popołudniowe słońce świeciło jasno zza chmur, nadając pejzażowi srebrzysty blask, który wysysał kolor z morza i podkreślał cętki białego światła na piasku. Wydawało się, że w powietrzu błyszczą krople deszczu, a wiatr, wiejący chłodem od oceanu, niósł ze sobą miły, rdzawy zapach. Wszystko to znacznie przyczyniło się do rozproszenia apatii Devlina. Jego policzki zaróżowiły się i zaczął się uśmiechać, otwartą dłonią mocno wciskając na głowę kapelusz o szerokim rondzie. Postanowił wykorzystać spacer najlepiej, jak się da, i wrócić do Hokitika górną terasą Pejzażu Morskiego, gdzie miało stanąć więzienie i gdzie miał mieszkać sam Devlin.

Gdy dotarł na szczyt wzgórza, odwrócił się, lekko dysząc, i zdziwił się, spostrzegłszy, że ktoś podąża jego śladem. Był to jakiś ubrany tylko w oblepiającą go, przemoczoną twillową koszulę i spodnie młody człowiek, który bardzo szybko wspinał się ścieżką, wiodącą na terasę. Szedł ze zwieszoną głową i nie dało się go od razu rozpoznać. Devlin zorientował się, kto to jest, dopiero kiedy intruz znalazł się w odległości dwudziestu jardów od niego. Ależ to ten tubylec z Doliny Arahura, pomyślał: Maorys, przyjaciel świętej pamięci Crosbiego Wellsa.

Cowell Devlin nie szkolił się na misjonarza i nie wyjechał do Nowej Zelandii, żeby nawracać tubylców. Zdziwił się bardzo, kiedy się dowiedział, że Nowy Testament został przetłumaczony na maoryski około dwudziestu lat przed jego przyjazdem na wyspę, a jeszcze bardziej zdumiało go to, że przekład ten jest ogólnie dostępny w sklepie papierniczym przy ulicy Króla Jerzego w Dunedin, i to za bardzo rozsądną cenę. Przewracając kartki maoryskiej Biblii, Devlin zastanawiał się, jak bardzo święty tekst został uproszczony i jakim kosztem. Nieznane słowa w prymitywnym języku tubylców wydawały mu się infantylne, złożone z powtarzających się sylab i bełkotu niczym nonsensowna paplanina dziecka. Chwilę później jednak skarcił się w duchu – bo czymże jest i jego angielskie Pismo, jeśli nie przekładem? Nie powinien być taki nierozważny ani pyszny. Chcąc odpokutować za swoje niewypowiedziane wątpliwości, wyciągnął notes i starannie wynotował niektóre kluczowe sformułowania z maoryskiego tekstu. „He aroha te Atua. E Aroha ana tatou ki a ia, no te ea ko ia kua matua aroha ki a tatou. Ko Ahau te huarahi, te pono, te ora. Hone 14:6”, a potem ze zdumieniem dodał: „Z listów apostoelskich Paora”. Tłumacz zmienił nawet imiona.

Maorys podniósł wzrok. Gdy zauważył Devlina, stojącego na szczycie, zatrzymał się i obaj mężczyźni przyglądali się sobie w milczeniu z odległości kilku jardów.

Nagły powiew wiatru pochylił kępkę trawy niedaleko miejsca, gdzie stał Devlin,

i zdmuchnął mu włosy ze skroni.

– Dzień dobry! – zawołał.

– Dzień dobry – odparł Maorys, mrużąc nieco oczy.

– Widzę, że brzydka chwilowo pogoda nie zniechęca żadnego z nas do spaceru!

– Tak.

– Szkoda tylko, że nie ma dobrego widoku – dodał Devlin, robiąc szeroki gest ręką, by objąć spowity chmurami, rozciągający się przed nimi pejzaż. – Gdy chmury wiszą nisko, krajobraz nie różni się tu od żadnego innego na świecie, nie sądzi pan? Tuszę jednak, że kiedy się rozwieją, przeniesiemy się nagle zupełnie gdzie indziej!

Z terasy, słusznie nazwanej Pejzażem Morskim, roztaczał się jedyny w swoim rodzaju widok na ocean, wydający się z tej wysokości równą, monotonną powierzchnią, szerokim pasem jednakowego koloru, nad którym wisiało tylko o jeden odcień od niego jaśniejsze niebo. Nie było stąd jednak widać linii brzegowej, a to ze względu na stromiznę urwiska, którego skraj wisiał bezpośrednio nad gliniastokamiennym osypiskiem, i nijakość tego widoku, podzielonego na trzy części – ziemną, wodną i powietrzną – i pozbawionego drzew, które złamałyby jego horyzontalność, jak również form, które mogłyby zmiękczyć ukształtowanie terenu, niepokoiła zmysły do tego stopnia, że człowiek szybko zaczynał odczuwać potrzebę odwrócenia się tyłem do oceanu, a przodem do leżących na wschodzie gór, przesłoniętych dzisiaj ruchomą zasłoną białych chmur. Pod terasą gęstwina dachów Hokitika ustępowała szerokiej, brunatnej równinie rzeki i szaremu łukowi cypla, za którym wybrzeże ciągnęło się na południe, ginąc w wilgotnych oparach i oddali, aż wreszcie całkowicie połykała je mgła.

– To dobry punkt widokowy – rzekł Maorys.

– Bez wątpienia. Chociaż muszę przyznać, że jeszcze nie widziałem w tym kraju widoku, który by mi się nie podobał. – Devlin szedł kilka kroków niżej i wyciągnął rękę. – Witam. Nazywam się Cowell Devlin. Niestety, nie pamiętam jednak pańskiego nazwiska.

– Te Rau Tauwhare.

– Te Rau Tauwhare – powtórzył z powagą Devlin. – Jak się masz? – Tauwhare nie znał tego wyrażenia i zamilkł, żeby się nad nim zastanowić, a w tym czasie Devlin ciągnął dalej. – Przypominam sobie natomiast, że byłeś bliskim przyjacielem Crosbiego Wellsa.

– Jedynym przyjacielem – poprawił go Tauwhare.

– Ach... Cóż, jeśli człowiek ma chociaż jednego przyjaciela, powinien się uważać za szczęściarza.

Tauwhare nie odpowiedział od razu. Po chwili dodał:

– Uczyłem go maoryskiego. *Korero*.

Devlin skinął głową.

– Dzielieś z nim swój język. Dzielieś z nim opowieści swojego ludu. Na takim fundamencie buduje się piękną przyjaźń.

– Tak.

– Nazywałeś Crosbiego Wellsa swoim bratem – ciągnął Devlin. – Pamiętam, użyłeś właśnie tego słowa tamtego wieczoru w Miasteczku Policijnym. W przeddzień pochówku.

– To tylko przenośnia.

– Owszem, ale kryjące się za nią uczucie jest bardzo piękne. Po co to powiedziałaś, jeśli nie po to, żeby po prostu dać do zrozumienia, że ten człowiek był dla ciebie kimś ważnym i że kochałeś go jak rodzzonego brata? Moim zdaniem „brat” to inaczej „miłość”. Miłość, którą decydujemy się komuś podarować, i to z przyjemnością.

Tauwhare zastanowił się nad tym, a potem stwierdził:

– Niektórych braci sobie nie wybieramy.

– Ach – odpowiedział Devlin. – Rzeczywiście, nie. Nie wybieramy sobie krewnych, co? Nie wybieramy rodziny. Tak, tu przeprowadziłeś ładne rozróżnienie. Bardzo ładne.

– A dwaj bracia zrodzeni z tych samych rodziców mogą bardzo się od siebie różnić – ciągnął Tauwhare, zachęcony pochwałą kapelana.

Devlin roześmiał się.

– Znów masz rację – powiedział. – Bracia mogą być bardzo niepodobni do siebie. Wiesz, ja miałem tylko siostry. Cztery, wszystkie starsze. Zrobiły sobie ze mnie swojego pieścioszka. – Urwał, aby dać Tauwharemu okazję do podania mu jakichś informacji o swojej rodzinie, ale Maorys powtórzył tylko to, co powiedział już wcześniej o braciach, i wydawał się cieszyć swoją mądrością.

– Ciekaw jestem, Te Rau, czy mogę cię zapytać o coś, co ma związek z Crosbiem Wellsem – odezwał się nagle Devlin.

Nie zapomniał bowiem opowieści, którą usłyszał dziś rano w jadalni hotelu Pałac. Ten polityk, Alistair Lauderback, z jakiegoś tajemniczego powodu był przekonany, że zmarły Crosbie Wells i szantażysta Francis Carver są braćmi, chociaż najwyraźniej nosili różne nazwiska. Lauderback nie powiedział jednak, dlaczego tak uważa. Może Tauwhare, jako wielki przyjaciel Wellsa, wie coś na ten temat.

Tauwhare zmarszczył brwi.

– Nie pytaj mnie o skarb – powiedział. – Nic o nim nie wiem. Byłem już przesłuchiwany przez sąd, policję i naczelnika więzienia. Nie chcę powtarzać raz jeszcze tych samych odpowiedzi.

– Och nie... Nie interesuje mnie skarb – wyjaśnił Devlin. – Chciałem cię tylko zapytać o człowieka nazwiskiem Carver. Francis Carver.

Tauwhare zeszywniał.

– Dlaczego?

– Słyszałem, że to stary znajomy pana Wellsa. Najwyraźniej są między nimi jakieś stare, niezłatwione sprawy. Coś o... charakterze kryminalnym.

Tauwhare nie odpowiedział. Zmrużył oczy.

– Czy wiesz coś na ten temat? – spytał Devlin.

Kiedy rankiem 14 stycznia Te Rau Tauwhare za dwa szylingi powiedział Francisowi Carverowi, gdzie mieszka Crosbie Wells, nie sądził, że naraża swojego przyjaciela na niebezpieczeństwo. W propozycji Carvera ani w sposobie jej przedstawienia nie było nic niezwykłego. Ludzie często proponują nagrody za informacje o swoich bliźnich, którzy zaginęli na złotodajnych polach, i to nie tylko o braciach, ale i o ojcach, wujach, synach, dłużnikach, współnikach oraz kompanach. Oczywiście, w gazecie była strona poświęcona osobom zaginionym, ale nie każdy kopacz umiał czytać, a jeszcze mniej z nich miało czas i chęć, aby codziennie śledzić, co się dzieje na świecie. Taniej, a czasem skuteczniej było zaproponować nagrodę za informację ustną. Tauwhare zgarnął dwa szylingi z prawdziwym zadowoleniem, a kiedy później tego samego wieczoru widział, jak Carver idzie do domku Wellsa, puka i wchodzi do środka, nie wpadło mu do głowy, żeby coś podejrzewać. Postanowił, że spędzi noc na górskim grzbiecie w pobliżu swych siodeł na ptaki, by Carver i Wells mogli po latach spotkać się w spokoju. Maorys przypuszczał, że Carver jest dawnym współnikiem Wellsa z czasów, kiedy samotnik mieszkał w Dunedin, i nie wykraczał poza to przypuszczenie.

Jednak rankiem Wellsa znaleziono bez życia, a w dniu jego pogrzebu ktoś zauważył pod łóżkiem zmarłego fiołkę po laudanum. Kilka dni później okazało się, że statek Carvera, „Z Bogiem”, 14 stycznia wypłynął w nocy z portu niezgodnie z rozkładem rejsów i pod osłoną ciemności. Tauwhare był przerażony. Wszystko wskazywało na to, że Francis Carver odegrał jakąś rolę w śmierci pustelnika – a jeśli była to prawda, to Te Rau Tauwhare dał mu po temu odpowiednie wskazówki, poinformował go bowiem bez ogródek, gdzie można znaleźć Wellsa! Jeszcze straszniejsze było jednak to, że Tauwhare otrzymał zapłatę za zdradę.

Poczucie samokontroli, tak istotne dla jego samooceny, nie pozwalało Tauwharemu na czyny nierozumne. Świadomość, że zdradził przyjaciela dla pieniędzy, przyprawiała go o głęboki wstyd, przejawiający się w pełnym obrzydzenia oburzeniu, skierowanym jednocześnie zarówno do wewnątrz, jak i na zewnątrz. Po pogrzebie Wellsa był w bardzo ponurym nastroju; zgrzytał zębami, szarpał się za włosy i na każdym kroku przeklinał Francis Carvera.

Pytanie Devlina spowodowało powrót złego nastroju u Maorysa. Jego oczy zabłyśły,

podniósł głowę.

– Jeśli była między nimi jakaś niezłatwiona sprawa, to już jej nie ma – powiedział z gniewem.

– Oczywiście – zgodził się Devlin, podnosząc otwarte dłonie, żeby uspokoić Tauwharego. – Ale posłuchaj mnie: słyszałem, że to byli bracia. Crosbie Wells i Carver. Może to tylko metafora, jak ty to ująłeś, ale chciałem się upewnić co do tego.

Tauwhare był zaskoczony. Chcąc ukryć swoje zdumienie, zmierzył kapelana bardzo posępnym spojrzeniem spode łba.

– Wiesz coś na ten temat?

– Nie – odpowiedział Tauwhare, wypluwając to słowo.

– Wells nigdy ci nie wspominał o człowieku nazwiskiem Carver?

– Nie.

Widząc, że Tauwhare ma zepsuty humor, Devlin postanowił spróbować innego podejścia.

– A jak Crosbie Wells dawał sobie radę z językiem maoryskim?

– Nie tak dobrze, jak ja z angielszczyzną – odpowiedział Tauwhare.

– W to nie wątpię! Doskonale mówisz po angielsku.

Tauwhare podniósł głowę.

– Jeździłem z mierniczymi. Przeprowadziłem wielu ludzi przez góry.

– Wiesz, wydaje mi się, że dostrzegam w tobie bratnią duszę, Te Rau – powiedział kapelan, uśmiechając się. – Dzielimy się naszymi opowieściami i językiem z innymi, widzimy w ludziach braci. Moim zdaniem wcale tak bardzo się od siebie nie różnimy...

W tym miejscu Devlin mówił wiedziony raczej kaprysem niż przenikliwością. Lata pracy kapłańskiej nauczyły go, że zawsze najlepiej jest zacząć od jakiegoś wspólnego punktu, łączącego ludzi, albo go wymyślić, jeśli taki nie istniał. Nie były to właściwie nieuczciwe praktyki, ale jest prawdą, że Devlin nie byłby w stanie opisać bliżej swojego rzekomego podobieństwa do Tauwharego, gdyby został do tego zmuszony, i musiałby się pograć w ogólnikach.

– Nie jestem człowiekiem Boga – odrzekł Tauwhare, marszcząc brwi.

– A przecież Bóg jest w tobie – zauważył Devlin. – Wierzę, że masz skłonności do modlitwy, Te Rau, skoro tu dzisiaj przyszedłeś, aby oddać cześć swojemu drogiemu przyjacielowi na jego grobie... Czyli w istocie po to, by się za niego pomodlić.

Tauwhare pokręcił głową.

– Nie modlę się za Crosbiego. Ja go pamiętam.

– To nic nie szkodzi – powiedział Devlin. – Wspomnienie to dobry początek. – Uśmiechając się lekko, kapelan zetknął opuszki palców obu rąk i przechylił złożone w ten sposób dłonie w dół, przyjmując swoją charakterystyczną postawę duchownego. – Modlitwy często zaczynają się od reminiscencji. Kiedy wspominamy tych, których kochaliśmy, i gdy za nimi tęsknimy, to oczywiście mamy nadzieję, że gdziekolwiek przebywają, są bezpieczni i szczęśliwi. Ta nadzieja zmienia się w życzenie, a ilekroć wypowiadamy jakieś życzenie, nawet w duchu, staje się ono suplikacją. Być może nie wiemy, z kim rozmawiamy, i prosimy, zanim uświadomimy sobie, kto nas słucha, a może nawet jeszcze zanim uwierzemy, że słuchacz w ogóle istnieje. Ja jednak uważam, że to naprawdę piękny początek – pamiętać o tych, których kochaliśmy. Kiedy dobrze wspominamy ludzi, życzymy im zdrowia, szczęścia i wszystkiego najlepszego. Tak wyglądają modły chrześcijańskie. Chrześcijanin patrzy dalej, Te Rau: najpierw kocha innych, a dopiero potem siebie. Dlatego ma wielu braci, podobnych i mniej podobnych do niego. Albowiem zgodzisz się chyba, że ludzie nie różnią się zbyt wiele między sobą, jeśli spojrzeć na człowieka z punktu widzenia gatunku.

(Z punktu widzenia gatunku rzeczywiście widzimy, że Te Rau Tauwhare i Cowell Devlin mają ze sobą dużo wspólnego pod wieloma względami, chociaż najistotniejsze z nich pozostaną niezauważone i nieskomentowane. Żaden z obu mężczyzn nie jest dość wścibski, żeby zakłócić dumny spokój umysłu drugiego i naprawdę dotrzeć do jego wnętrza – na zawsze pozostaną więc jedynie blisko siebie, pierwszy niejako w akcie autoekspresji, drugi zaś jako świadectwo tegoż).

– Oczywiście, modlitwa nie zawsze musi być suplikacją – dodał Devlin. – Niektóre modły wyrażają zadowolenie, a inne podziękowania. Ale w każdym dobrym uczuciu kryje się nadzieja, Te Rau, nawet w takim, w którym jest pamięć przeszłości. Człowiek, który się modli, człowiek dobry, zawsze ma nadzieję i zawsze jest optymistą. Modlitwa daje człowiekowi nadzieję.

Tauwhare, który słuchał tego kazania pełen wątpliwości, skinął tylko głową.

– To mądre słowa – dodał i zrobiło mu się żal rozmówcy.

Ogólnie rzecz biorąc, idea modlitwy Tauwharego ograniczała się do modłów skrajnie rytualizowanych i oratorskich. Wymuszona cześć obrzędów *whaikorero* wywoływała w nim, podobnie jak wszystkie rytuały związane z przemówieniami i ceremoniałem, poczucie ważności i spokoju, jakiego nie potrafiłby i nie chciał wytworzyć sam. Było to zupełnie inne uczucie niż miłość do rodziców i krewnych, której doświadczał jako intymne, gwałtowne drgnienie serca, i inne aniżeli duma z samego siebie, którą odczuwał jako stłumione podniecenie, radosna pewność, że żaden człowiek nigdy mu nie dorówna i nawet nie będzie miał odwagi spróbować się z nim zmierzyć. Uczucie to było głębsze niż naturalna dobroć, ogarniająca go na widok matki, rozłupującej małże nad brzegiem morza i wkładającej ich śliskie mięso do szerokiego, lnianego koszyka – choć wiedział, patrząc na nią, że jego synowska miłość jest dobra i całkowicie czysta. Było też głębsze niż szlachetne zmęczenie, które ogarniało go po całym dniu wypełniania *rua kumara* słodkimi ziemniakami, zrywki

drewna albo wyplatania *harakeke* tak długo, aż zaczynały go piec obtarte koniuszki palców. Te Rau Tauwhare był człowiekiem, dla którego prawdziwa religia to akt miłości, a ołtarz tej religii jest tylko jeden, i nie mogą go zastąpić żadne bożki.

– Pójdziemy razem na grób? – zapytał Devlin.

Nagrobek na mogile Crosbiego Wellsa zaczął już ulegać działaniu morskiego klimatu. Od śmierci pustelnika minęły zaledwie dwa tygodnie, ale drewniana tabliczka zdążyła napuchnąć wilgocią i jej powierzchnię pokrył szron czarnej pleśni. Kontury wyrytych przez bednarza liter zmiękły, a cienka warstwa farby zmieniła kolor z białego na ciemny, żółtoszary, sprawiając wrażenie – które nie całkiem rozwiewała data śmierci Wellsa – jak gdyby leżący tu człowiek nie żył już od bardzo dawna. Mogiły nie porosły jeszcze mech ani trawa, a ziemia pomimo deszczu wyglądała na jałową – nie jak niedawno skopana, tylko jak zaskorupała, której nie da się już teraz rozkopać.

Większość epitafiów na cmentarzu stanowiły błogosławieństwa z Ewangelii według świętego Mateusza albo często cytowane wersety z Księgi Psalmów. Zalecenia wysuwane wobec zmarłych, żeby spali i odpoczywali w pokoju, nie dodawały otuchy, jak mogłoby to się zdarzyć w jakiejś pełnej żywopłotów, brukowanej parafii o dziesięć tysięcy mil stąd.

Crosbie Wells trafił na wieczny spoczynek w towarzystwie osób zaginionych i topielców, bo na cmentarzu na Pejzażu Morskim stało na razie zaledwie kilkanaście nagrobków, a większość z nich upamiętniała rozbite albo zaginione na morzu statki: „Glasgow”, „Dunedin”, „Nowa Zelandia” – jak gdyby całe miasta i narody zmierzały na Zachodnie Wybrzeże tylko po to, żeby wejść na mieliznę, zatonać albo zniknąć. Po prawej stronie grobu samotnika wznosił się nagrobek na cześć brygantyny „Dąb”, pierwszego statku, który zatonął u ujścia rzeki Hokitika, o czym informował groźny, ostrzegawczy napis na zielonkawym kamieniu. Z lewej strony z kolei stał drewniany nagrobek, niewiele większy niż tabliczka, na którym nie było żadnego nazwiska, tylko niepodpisana, poetycka sentencja: „MÓJ CZAS JEST W TWOICH RĘKACH”. Niezbyt daleko od cmentarza była parcela, na której miało powstać więzienie George’a Shepada. Fundamenty budynku zostały już wyznaczone i wymierzone, a ich granice wytyczono na ziemi białą ołowianą farbą.

Tauwhare przyszedł na Pejzaż Morski po raz pierwszy od dnia pochówku Wellsa, uroczystości, która odbyła się w obecności niewielkiej i mało nią zainteresowanej grupki osób, a także pomimo bardzo rzęskiego deszczu. Biorąc to pod uwagę oraz ogólny pośpiech, z jakim udzielono zmarłemu ostatnich błogosławieństw, pogrzeb Wellsa zdawał się obejmować wszelkie możliwe niedogodności i smutki. Nie trzeba dodawać, że Te Rau Tauwhare nie został zaproszony do wzięcia udziału w ceremonii pochówku – a prawdę mówiąc, George Shepard przykazał mu specjalnie, złowieszczco wygrażając swoim potężnym paluchem, żeby siedział cicho przez cały czas, z wyjątkiem chwili, gdy kapelan powie „amen”. Tauwhare jednak ostatecznie nie dołączył do chóru żałobników, bo błogosławieństwo Devlina całkowicie zagłuszyła ulewa. Maorysowi pozwolono jednak pomóc opuścić trumnę do bagnistego dołu i wrzucić do niego trzydzieści, czterdzieści, a może nawet pięćdziesiąt szufli

mokrej ziemi. Wolałby zrobić to sam, gdyż żałobnicy pośpiesznie zasypali dół i Tauwharemu wydawało się, że wszystko zakończyło się za szybko. Mężczyźni postawili kołnierze, aby osłonić uszy, zapięli płaszcze, zebrali uwalane ziemią narzędzia i podreptali gęsiego błotnistą drożyną ku ciepłu i światłu miasta Hokitika, gdzie zrzucili palta, wytarli twarze do sucha i zmienili zabłocone buty.

Tauwhare podszedł do grobu przyjaciela w milczeniu, a Devlin, ze splecionymi rękami i spokojnym wyrazem twarzy, podążył za nim. Maorys przystanął jakieś pięć czy sześć stóp przed drewnianym nagrobkiem i spojrzął na mogiłę jak na łożę śmierci z progu komnaty: jak gdyby fizycznie bał się do niej wejść.

Tauwhare nigdy nie widział Crosbiego Wellsa poza Doliną Arahura, a już na pewno nigdy nie widział go tutaj, na tej zapomnianej, pustoszonej przez niebiosy terasie. Czyż Wells nie powtarzał niezliczoną ilość razy, że chce dożyć końca swoich dni w samotnej Dolinie Arahura? To bez sensu, że pochowano go tutaj, pośród ludzi, którzy nie byli jego braćmi, na ziemi, na której nie pracował i której nie kochał – a jego najdroższy, miły domek stoi pusty i opuszczony kilkanaście mil stąd! To w tamtej ziemi powinien był spocząć Crosbie. To tamta ziemia powinna była obrócić jego śmierć w żyzne życie. Bezwzględnie należało pogrzebać go w Arahura, pomyślał Tauwhare. Może na brzegu polanki... Albo tuż przy jego maleńkim ogródku... Albo po północnej stronie domku, w plamie słońca.

Te Rau Tauwhare podszedł bliżej – wkroczył do wymyślonej komnaty i podszedł do wymyślonego łóżka. Ogarnęło go poczucie winy. Czy powinien był się jednak przyznać kapelanowi, że to on, Tauwhare, przyczynił się do śmierci Crosbiego? Tak, przyzna się, a Devlin będzie się za niego modlił jak za chrześcijanina.

Tauwhare przykucnął, ostrożnie położył dłoń na mokrej ziemi, w miejscu, gdzie okrywała serce Crosbiego, i pozostawił ją tam przez dłuższą chwilę.

– Płacz przychodzi z wieczora, a rankiem okrzyki radości – powiedział Devlin.

– *Whatu ngarongaro he tangata, toitu he whenua.*

– Niech Bóg ma go w swojej opiece. Niech Bóg ma nas w swojej opiece, kiedy modlimy się za Crosbiego Wellsa.

Dłoń Tauwharego wyłobiła zagłębienie w ziemi, a widząc to, Maorys podniósł nieco rękę i czubkami palców zatarł ślad.

Φ

W redakcji „Czasu Zachodniego Wybrzeża” przy ulicy Rezedowej szabat Benjamina Löwenthala dobiegał właśnie końca. Charlie Frost zastał go siedzącego przy stole, gdy kończył jeść kolację.

Löwenthal nie był tak zadowolony z widoku Frosta, jak wcześniej tego popołudnia z wizyty Balfoura, albowiem trafnie odgadł, że bankowiec przyszedł porozmawiać

o posiadłości Crosbiego Wellsa, a ten temat dawno już go znużył. Uprzejmie powitał jednak młodzieńca w kuchni i poprosił go, by usiadł.

Frost ze swojej strony nie przeprosił za to, że przerwał Löwenthalowi modły, nie należał bowiem do ludzi bywających w świecie i nie zorientował się, że wydawca się modli. Usiadł przy poplamionym farbą drukarską stole, sądząc, że to bardzo dziwne, iż Löwenthal ugotował sobie taką wykwinną kolację tylko po to, by spożyć ją samotnie. Świecę uznał za objaw ekscentryczności i spojrzął na nią tylko raz.

– Przychodzę w sprawie posiadłości – powiedział.

Löwenthal westchnął.

– W takim razie przynosisz niedobre nowiny – odrzekł. – Powinienem być się tego domyślić.

Frost krótko streścił mu to, co wydarzyło się po południu w Chinatown, dość szczegółowo opisując konflikt Manneringa z Ahem Quee'em.

– A gdzie te złe nowiny? – zapytał Löwenthal, kiedy bankowiec skończył.

– Obawiam się, że wymieniono także twoje nazwisko – rzekł Frost, starając się zachować delikatnie.

– W jakim kontekście?

– Padła taka sugestia, że może ten jegomość, Lauderback, wykorzystał cię w charakterze pionka wtedy wieczorem, 14 stycznia – powiedział jeszcze delikatniej Frost. – Bo tamtego wieczoru, kiedy zmarł nasz odludek, Lauderback od razu przyszedł do ciebie i wszystko ci opowiedział. Być może... To tylko domysły... odwiedził cię, gdyż miał w tym jakiś cel.

– To absurd – odrzekł Löwenthal. – Skąd Lauderback mógłby wiedzieć, że pójde prosto do Edgara Clincha? Na pewno nigdy nie wymieniałem przy nim jego nazwiska... A Lauderback nie powiedział mi nic nadzwyczajnego.

Frost rozłożył ręce.

– No cóż, po prostu układamy listę podejrzanych, a pan Lauderback na niej figuruje.

– Kto jeszcze?

– Pewien człowiek nazwiskiem Francis Carver.

– Ach – westchnął Löwenthal. – I kto jeszcze?

– Oczywiście wdowa po Wellsie.

– Oczywiście. I kto jeszcze?

– Panna Wetherell i pan Staines – powiedział Frost.

Twarz Löwenthala była nieprzenikniona.

– Stosujecie szeroką taksonomię – zauważył. – Mów dalej.

Frost wyjaśnił następnie, że kilku mężczyzn postanowiło spotkać się po zmroku w hotelu Korona, aby wymienić się informacjami i dokładnie przedyskutować sprawę. W tej grupie mieli się znaleźć wszyscy, którzy byli po południu w chacie Quee’ego Longa, a także Edgar Clinch, nabywca posiadłości Wellsa, i Joseph Pritchard, którego laudanum znaleziono w domku pustelnika po jego śmierci. Harald Nilssen poręczył za Pritcharda, on zaś, Frost, za Clincha.

– Poręczyłeś za Clincha? – spytał Löwenthal.

Frost potwierdził i dodał, że z radością poręczy także za Löwenthala, jeśli ten zechciałby wziąć udział w spotkaniu.

Löwenthal odsunął krzesło od stołu.

– Wezmę w nim udział – odpowiedział, wstając i odchodząc, by przynieść pudełko zapalek z półki koło drzwi. – Ale jest jeszcze ktoś, kto moim zdaniem powinien do nas dołączyć.

Frost zrobił zaniepokojoną minę.

– Kto taki?

Löwenthal wybrał zapalną i zapalił ją o framugę drzwi.

– Thomas Balfour – powiedział, przechylając dREWienko i przyglądając się, jak biegnie po nim płomyk. – Uważam, że informacje, które może nam podać, będą niezwykle przydatne w naszej dyskusji... Rzecz jasna, jeśli zechce się nimi podzielić. – Löwenthal ostrożnie wsunął zapalną w kinkiet, wiszący nad stołem.

– Thomas Balfour – powtórzył Frost.

– Thomas Balfour, agent spedycyjny – potwierdził Löwenthal. Manipulował pokrętełkiem, żeby rozszerzyć szparę, po czym rozległ się syk i klosz rozjarzył się pomarańczowoczerwonym płomieniem. – Był u ciebie dzisiaj rano, prawda? Wydaje mi się, że wspomniał, że widział się z tobą w banku.

Frost zmarszczył brwi.

– Tak, był u mnie – powiedział. – Ale zadawał naprawdę wyjątkowo dziwne pytania, a ja, prawdę mówiąc, w ogóle nie byłem pewien, o co mu chodzi.

– Właśnie w tym rzecz – odrzekł Löwenthal, gasząc zapalną. – Cała ta sprawa ma jeszcze inny wymiar, i Tom o tym wie. Powiedział mi dziś po południu, że Alistair Lauderback zna jakiś sekret... Coś ważnego. Oczywiście może nie zechcieć nadużyć zaufania Lauderbacka, bo w rozmowie ze mną nic więcej nie ujawnił, ale jeśli zapytam go o to w kontekście naszego zebrania... No cóż, zrobi, co zechce. Niech sam zadecyduje. Może kiedy już wszyscy się wypowiedzą, postanowi mówić.

– Mówić – powtórzył Frost. – W porządku. Ale czy można mu ufać, kiedy będzie słuchał?

Löwenthal milczał przez chwilę, skubiąc wypaloną zapałkę między kciukiem i palcem wskazującym.

– Powiedz mi, czy się mylę, ale sądząc z twojego zaproszenia, wywnioskowałem, że ma to być spotkanie ludzi niewinnych... Nie spiskowców, konspiratorów ani oszustów.

– Właśnie tak – rzekł Frost. – Mimo to...

– A jednak pytasz, czy można ufać Tomowi – ciągnął Löwenthal. – Ty przecież chyba nie dysponujesz żadnymi informacjami, które mogłyby cię obciążyć? Nie wiesz o niczym takim, czym nie chciałbyś się podzielić głośno i swobodnie z grupą niewinnych ludzi, których łączy wspólna sprawa?

– Oczywiście, że nie – odpowiedział, czerwieniąc się, Frost. – Mimo to musimy zachować ostrożność...

– Ostrożność? – spytał Löwenthal. Odrzucił zapałkę na stos szczap kominkowych i potarł czubki palców. – Zaczynam wątpić w twoje dobre intencje, panie Frost. Zaczynam się zastanawiać, czy mimo wszystko nie chodzi o jakiś spisek.

Przez dłuższą chwilę spoglądali na siebie, ale Frost okazał się słabszy od Löwenthala – spuścił głowę i skinął nią jeden raz, a na policzki wystąpił mu pałący rumieniec.

– Powinieneś zaprosić pana Balfoura... Oczywiście – rzekł. – Z pewnością tak.

Löwenthal cmoknął. Potrafił się zachowywać jak nauczyciel, gdy ktoś naruszał jego kodeks etyczny, a reprimendy, które dawał intruzom, zawsze były surowe i skuteczne. W tej chwili spoglądał na młodszego kolegę z miną pełną żalu. Frost zaczerwienił się jeszcze płomienniej, jak uczeń, i chcąc sobie poniekąd powetować porażkę, odezwał się nieco nieodpowiedzialnie:

– Są jednak pewne szczegóły, dotyczące sprzedaży tego domku, które jeszcze nie dostały się do wiadomości publicznej. To znaczy chodzi mi o to, że pan Clinch nie chciałby, aby o nich wiadano.

Spojrzenie Löwenthala stało się niemal palące.

– Pozwól, że wyrażę się bardzo jasno – powiedział. – Ufam twojej dyskrecji, tak jak ty mojej i tak jak obaj ufamy dyskrecji pana Clincha. Zachowanie dyskrecji to wcale nie to samo co zachowanie tajemnicy, panie Frost. Osobiście nie uważam, by któryś z nas zatajał jakieś informacje w sensie prawnym. A ty?

Frost odpowiedział głosem, w którym brzmiała udawana beztroska.

– No cóż, podejrzewam, że możemy tylko mieć nadzieję, że pan Clinch jest tego samego zdania. – W ten nieco głupi sposób spodziewał się wkraść w łaski Löwenthala, komplementując jego mądrość, ale wydawca pokręcił na to głową.

– Panie Frost – powiedział. – Jesteś niedyskretny. A niedyskrecję odradzam.

Benjamin Löwenthal pochodził z Hanoweru, miasta, które od czasu jego wyjazdu z Europy wpadło w ręce Prusaków. (Ze swoim wąsem morsa i łysiną Löwenthal przypominał z wyglądu Ottona von Bismarcka, ale ich podobieństwo nie wynikało z naśladownictwa, albowiem Löwenthalowi nigdy nie przyszło do głowy, żeby się do kogoś upodobniać). Był starszym synem kupca tekstylnego, człowieka, którego życiowe ambicje skupiały się całkowicie na zapewnieniu wykształcenia obu swoim potomkom. Ku bezmiernemu zadowoleniu starca udało mu się osiągnąć ten cel. Kiedy tylko chłopcy ukończyli studia, ich rodzice zapadli na grypę i – jak dowiedział się później Löwenthal – umarli oboje tego samego dnia, kiedy księstwo Hanoweru oficjalnie przyznało Żydom prawa obywatelskie.

Było to kluczowe wydarzenie w życiu młodego Löwenthala. Wprawdzie nie był przesądny, a co za tym idzie, nie przywiązywał większej wagi do tego, że do obu tych zdarzeń doszło jednocześnie, łączył je jednak jakoś w swoim umyśle, zarazem mocno się od nich dystansując, ponieważ oba przypadły na ten sam dzień. W owym czasie zaproponowano mu staż dziennikarski w gazecie „Die Henne” w Ilmenau i była to okazja, do skorzystania z której niewątpliwie namawialiby go oboje rodzice. Ponieważ jednak Turynia nie nadała jeszcze oficjalnie praw obywatelskich Żydom, Löwenthal uważał, że okazałby brak szacunku wobec pamięci matki i ojca, gdyby zgodził się na tę propozycję. Był rozdarty wewnętrznie. Hodował w sobie wyolbrzymiony lęk przed katastrofą i nazbyt szczegółowo analizował swoje zachowanie – zawsze miał wiele powodów do działania, i to skrajnie zracjonalizowanych. Pominiemy tu jego motywacje, wspominając jedynie, że nie zdecydował się na wyjazd do Ilmenau, ale i nie pozostał w Hanowerze. Zaraz po śmierci rodziców opuścił Europę, aby już nigdy do niej nie powrócić. Hanowerski interes po ojcu przejął brat Benjamina, Heinrich, a Löwenthal z dyplomem w ręku popłynął przez Atlantyk do Ameryki, gdzie przez długie miesiące, lata i dekady powtarzał sobie w myślach tę historię, dokładnie tymi samymi słowami i ciągle w ten sam sposób.

Powtarzalność to najlepsza fortyfikacja. Z czasem jego koncepcja opowieści o przeszłości utrwaliła się i stała nienaruszalna (z uwagi na swoją solidność). Löwenthal stracił zdolność mówienia o własnym życiu w jakikolwiek inny sposób niż ten, który przyjął – a zakładał, że jest człowiekiem moralnym, który stoi w obliczu paradoksu, a przy tym postępuje, postępował i będzie postępować słusznie. Jego zdaniem wszystkie wybory, których dokonywał, były moralnie słuszne. Nie umiał już rozróżniać między osobistymi preferencjami i imperatywem moralnym, a nawet nie zgadzał się już z twierdzeniem, że takie rozróżnienie w ogóle jest możliwe. Właśnie dlatego tak swobodnie karciał teraz Charliego Frosta.

Bankowiec spuścił głowę.

– Potrafię zachować dyskrecję – odpowiedział cicho. – Nie musisz się mną martwić.

– Sam pójdę rozmówić się z Tomem – rzekł Löwenthal, pokonując kuchnię w dwóch krokach i przytrzymując drzwi, żeby Frost mógł wyjść. – Dziękuję za zaproszenie. Zobaczmy

się dzisiaj wieczorem w Koronie.

Φ

Po powrocie z Kaniere Dick Mannering od razu udał się do hotelu Ruszt, gdzie zastał Edgara Clincha, siedzącego samotnie przy biurku w swoim prywatnym gabinecie. Bogacz usiadł bez zaproszenia, przez jakiś czas mówił o tym, co wydarzyło się tego popołudnia, i bardzo szybko przedstawił zaproponowaną naradę, która miała się odbyć tego wieczoru. Kierując się rozsądkiem, panowie postanowili spotkać się na gruncie neutralnym, a palarnia hotelu Korona, jako najmniej atrakcyjny pokój w najmniej popularnym hotelu w mieście, wydawała się wszystkim bardzo sensownym wyborem. Mannering przemawiał z wielką swadą, albowiem pomysł tajnej narady bardzo mu się spodobał. Zawsze chciał zostać członkiem jakiegoś stowarzyszenia, które miałyby swoją tajemną historię, feudalną hierarchię i zasady. Po chwili jednak zdał sobie sprawę, że hotelarz chyba nie słucha go nazbyt uważnie. Clinch położył dłonie płasko na biurku, jak gdyby bronił się przed utratą równowagi na wietrze, a w czasie długiej przemowy Manneringa ani razu nie zmienił położenia ciała, choć jego wzrok niespokojnie krążył po pokoju. Jego zwykle rumiana twarz była bardzo blada i drżał mu wąż.

– Na honor, wyglądasz, jakby coś cię trapiło – powiedział w końcu dość posepnie Mannering, był bowiem pewien, że cokolwiek tak zaprzęta myśli Clincha, na pewno nie jest równie ekscytujące jak popołudnie w Chinatown albo perspektywa tajnej narady, na której mieli omawiać zdumiewające zniknięcie pewnego bardzo zamożnego człowieka.

– Była tu ta wdowa – odezwał się słabym głosem Edgar Clinch. – Powiedziała, że ma jakąś sprawę do Anny. Poszła na górę... i niecałe pół godziny później zeszła z powrotem, prowadząc Annę ze sobą.

– Lydia Wells?

– Lydia Wells – powtórzył jak echo Clinch, a jej nazwisko zabrzmiało w jego ustach jak przekleństwo.

– Kiedy?

– Przed chwilą. Wyszły razem, tuż przed twoim przyjściem. – Tu hotelarz znów umilkł.

Mannering odchrząknął niecierpliwie.

– Nie każ się prosić o więcej.

– One się znają! – wybuchnął Clinch. – Znają się, Lydia i Anna! To bliskie przyjaciółki!

Ta rewelacja nie była żadną nowiną dla Manneringa, będącego częstym gościem w Domu Wielu Życzeń w Dunedin, gdzie widywał obie kobiety razem. Prawdę mówiąc, to właśnie tam, w Domu Wielu Życzeń, Mannering po raz pierwszy najął Annę Wetherell do pracy. Wzruszył ramionami.

– W porządku – powiedział. – W czym problem?

– Trzymają ze sobą jak złodziejki – odezwał się Clinch ponuro. – Naprawdę jak złodziejki, Dick. To właśnie chciałem powiedzieć.

– Która z nich miałyby być tą złodziejką?

– Uknuły to wszystko razem! – zawołał Clinch.

Doprawdy, pomyślał Mannering, Clinch potrafi być okropnie irytujący, kiedy jest wzburzony. Wtedy w ogóle nie można go zrozumieć.

– Masz na myśli apelację wdowy? – zapytał.

– Wiesz, o czym mówię – rzekł Clinch. – Ty wiesz.

– Co? – spytał Mannering. – Chodzi ci o skarb? Co?

– Ale nie o skarb Wellsa, tylko o ten drugi.

– Jaki drugi?

– Przecież wiesz!

– Przeciwnie. Nie mam zielonego pojęcia.

– Mówię o sukniach Anny!

Clinch po raz pierwszy wspomniał w tej chwili o złocie, które znalazł w ubraniach Anny ostatniej zimy, kiedy zaniósł dziewczynę na górę, złożył ją w balii, wziął do ręki suknię, poczuł, że jest bardzo ciężka na szwach, rozerwał nitkę wokół zakładki i wyciągnął z niej lśniąca szczyptę kruszcu. Brzemię tej długo skrywanej tajemnicy nadało jego wybuchowi niemal nutę szaleństwa, Clinch nadal był bowiem pewien, że bogacz jest zamieszany w jakiś spisek, chociaż nie udało mu się domyślić, czego właściwie ten spisek miałby dotyczyć.

Mannering mimo wszystko sprawiał wrażenie zdezorientowanego.

– Co? – zapytał. – Co to wszystko ma znaczyć?

Clinch popatrzył na niego spode łba.

– Nie udawaj głupiego.

– Przepraszam, ale nic takiego nie robię – odpowiedział Mannering. – O czym ty mówisz, Edgarze? Co wspólnego mają stroje tej dziwki z jakimkolwiek aspektem naszej sprawy?

Edgara Clincha, kiedy przyglądał się Manneringowi, przeszył dreszcz zwątpienia. Zdumienie bogacza wydawało mu się absolutnie autentyczne. Nie zachowywał się jak ktoś, kogo zdemaskowano. Czyżby to miało oznaczać, że nic nie wiedział o złocie ukrytym w sukniach Anny? Czyżby Anna działała w porozumieniu z jakimś innym mężczyzną – za plecami Manneringa? Clinch także był zdumiony. Postanowił zmienić temat.

– Chodziło mi o tę jej suknię żałobną – powiedział nieporadnie. – Tę z tym głupim kołnierzykiem, którą uparła się nosić przez ostatnie dwa tygodnie.

Mannering machnął ręką.

– Po prostu zachowuje się pobożnie – powiedział. – Zadziera nosa. To minie.

– Nie jestem tego taki pewien – odparł Clinch. – Bo widzisz, w zeszłym tygodniu kazałem jej spłacić długi, zanim rzuci pracę na ulicy... Posprzeczaaliśmy się i chyba się rozgniewałem, i w końcu zagroziłem, że ją wyrzucę z hotelu.

– Co to ma wspólnego z Lydią Wells? – spytał zniecierpliwiony Mannering. – Poniosło cię, no dobrze, ale co to ma wspólnego z naszymi sprawami?

– Lydia Wells spłaciła właśnie dług Anny – odpowiedział Clinch, odrywając w końcu dłoń od blatu i ukazując lekko wilgotny od potu, lecz wciąż sprężysty czek na sumę sześciu funtów. – A Anna przeniosła się do hotelu Wędrowiec. Na czas nieokreślony. Mówi, że dostała nową pracę. Nie zamierza już być dziwką.

Mannering przyjrzał się czekowi i milczał przez chwilę.

– Ale to jest jej dług wobec ciebie – zauważył w końcu. – To tylko pieniądze za czynsz. Mnie winna jest sto funtów... A nawet więcej! Ma problemy finansowe... Poważne problemy... I odpowiada za nie przede mną, do diabła! Nie przed tobą, a już na pewno nie przed tą cholerną Lydią Wells! Ale co ty masz na myśli, mówiąc, że nie zamierza już być dziwką?

– Dokładnie to, co powiedziałem – odparł Edgar Clinch. – Skończyła z tą profesją. Tak mówi.

Mannering zrobił się fioletowy na twarzy.

– Nie wolno po prostu porzucić pracy ot, tak sobie. Nieważne, czy jesteś dziwką, rzeźnikiem czy piekarzem, do cholery! Nie można sobie tak po prostu odejść... Nie wtedy, kiedy wisi nad tobą dług!

– To właśnie...

– Mówiła, że nie będzie pracować, dopóki jest w żałobie! – wykrzyknął Mannering, wstając gwałtownie. – Tylko przez pewien czas! Daj babie rękę, a odgryzie ci całe ramię, do cholery! No, ale ja sobie na coś takiego nie pozwolę! Nie kiedy Anna jest mi winna sto funtów! Na pewno nie!

Clinch przyglądał się niechętnie bogaczowi.

– Kazała ci powiedzieć, że pieniądze dla ciebie ma Aubert Gascoigne – oświadczył. – I że zostały ukryte pod jego łóżkiem.

– A kim, u diabła, jest ten Obur Gaskuon?

– To urzędnik sądowy – odpowiedział Clinch. – Ten, który przyjmował apelację wdowy

w sprawie majątku Crosbiego Wellsa.

– Aha! – rzekł Mannering. – Czyli znów wracamy do tej sprawy, co? Szlag mnie trafi!

– Jest jeszcze coś – dodał Clinch. – Pan Gascoigne był dzisiaj po południu w pokoju Anny i padły tam jakieś strzały. Dwa strzały. Wypytywałem go potem o to, a on kontratakował, wspominając ten dług. Poszedłem na górę, żeby zobaczyć, co się stało. W poduszce Anny jest dziura. Na samym środku. Wychodzi z niej wyściółka.

– Dwie dziury?

– Tylko jedna.

– I wdowa to widziała – powiedział Mannering.

– Nie – odrzekł Clinch. – Ona przyszła później. Ale kiedy pan Gascoigne wychodził, wspomniał, że zamierza rozmawiać z pewną damą... A dwie godziny później zjawiała się Lydia Wells.

– Co to za drugi skarb? – spytał nagle Mannering. – Powiedziałaś, że jest jeszcze jeden.

– Myślałem... – Clinch spuścił oczy. – Nie. Nieważne. Pomyliłem się. Zapomnij o tym.

Mannering marszczył brwi.

– Jakie zobowiązania ma Lydia Wells wobec Anny, że spłaca jej długi? – spytał. – Co jej z tego przyjdzie?

– Nie wiem – odparł Clinch. – Ale dziś po południu wyglądało na to, że obie panie pozostają ze sobą w wielkiej zażyłości.

– Zażyłość... To nie jest zysk.

– Nie wiem – powtórzył Clinch.

– Trzymały się pod rękę? Były w dobrych humorach? Tak?

– Tak – odpowiedział Clinch. – Trzymały się pod łokcie... A kiedy wdowa mówiła, Anna pochylała się do niej.

Zamilkł, rozpamiętując ten widok.

– I pozwoliłeś jej odejść! – szczerzył nagle Mannering. – Pozwoliłeś jej odejść... Nie pytając mnie... Nie wzywając? To moja najlepsza dziewczyna, Edgarze! Wiesz o tym, nie muszę ci tego mówić! Inne nie dorastają jej do pięt!

– Nie mógłbym jej zatrzymać – odpowiedział Clinch, robiąc kwaśną minę. – Co miałbym zrobić? Zamknąć ją w pokoju? Poza tym ty byłeś wtedy w Kaniere.

Mannering podskoczył na krześle.

– A zatem „Anna Chińczyka” nie jest już Anną wszystkich innych mężczyzn! – Bogacz

trzepnął kapeluszem o udo. – Zachowuje się tak, jak gdyby to było takie proste... Prawda? Rzuca swój zawód! Jak gdyby można po prostu obudzić się któregoś dnia i podjąć taką decyzję!...

Ale Edgar Clinch nie miał ochoty nawiązywać do tej retorycznej wypowiedzi. Medytował z żalem nad tym, że jutro jest niedziela, pierwsza od wielu miesięcy, kiedy nie będzie z niecierpliwością oczekiwał chwili, w której napełni wodą balię dla Anny.

– Może powinieneś pójść do pana Gascoigne’a i porozmawiać z nim o tych pieniądzach.

– Wiesz, co mnie irytuje, Edgarze? – powiedział Mannering. – Nowiny z drugiej ręki. Złości mnie zbieranie resztek po innych i to, że dowiaduję się tego wszystkiego od ciebie. Co Anna chce, żebym zrobił? Mam zapukać do drzwi człowieka, którego właściwie nie znam? Co miałbym mu powiedzieć? „Przepraszam pana, wydaje mi się, że ma pan pod łóżkiem mnóstwo pieniędzy, które jest mi winna Anna Wetherell!” To byłby brak szacunku. Brak szacunku, dokładnie tak. Nie, jeżeli o mnie chodzi, to ta dziewczyna ciągle dla mnie pracuje. Pozostaje dziwką, bez wątpienia, a jej dług wobec mnie jest bez wątpienia nadal niespłacony.

Clinch skinął głową. Jego energia wyczerpała się i teraz chciał już zostać sam. Podniósł czek, złożył go i schował do portfela, który nosił na wysokości serca.

– Jak powiedziałeś, o której godzinie ma się odbyć to dzisiejsze spotkanie?

– O zachodzie słońca – odpowiedział Mannering. – Ale może ty zechciałbyś przyjechać nieco wcześniej lub później, żebyśmy wszyscy nie tłoczyli się razem. Bo okazuje się, że sporo osób uważa, że ktoś ponosi winę za to, co się stało.

– Nie mogę powiedzieć, żebym sobie cenił hotel Korona – powiedział Clinch, na poły sam do siebie. – Mam wrażenie, że oszczędzali na szkle. Okna od frontu powinny być szersze... A wejście należałoby zadaszyć.

– No, ale będzie tam spokojnie, a tylko to się liczy.

– Tak.

Mannering włożył kapelusz.

– Gdybyś mnie zapytał w zeszłym tygodniu, kto ponosi winę za to całe szaleństwo, przypuszczałbym, że ten Żyd. Gdybyś zapytał mnie o to samo wczoraj, podejrzewałbym, że wdowa. Dziś po południu powiedziałbym, że Chińczycy. A teraz? Wiesz, Edgarze, niech mnie diabli wezmą, ale postawiłbym na dziwkę. Zapamiętaj moje słowa: Anna Wetherell doskonale wie, dlaczego te pieniądze znalazły się u Crosbiego Wellsa i co się stało z Emerym Stainesem, niech spoczywa w pokoju, chociaż na pewno mówię to przedwcześnie. Próba samobójcza, dobre sobie. Strój żałobny, też coś. Anna siedzi w tym po same uszy razem z Lydią Wells i obie coś kombinują.

Sook Yongsheng i Quee Long w identycznych pilśniowych kapeluszach o szerokich rondach, wełnianych pelerynach i brezentowych kaloszach maszerowali po Drodze do Kaniere w stronę Hokitika. Zapadał zmierzch, a z jego nadejściem gwałtownie obniżyła się temperatura i woda w kałużach wzdłuż drogi zmieniała kolor z brązowego na lśniąco błękitny. Ruch był niewielki, jeśli nie liczyć przejeżdżających od czasu do czasu wozów albo samotnych konnych, zmierzających w stronę ciepłego i rozświetlonego miasta, leżącego jeszcze jakieś dwie mile dalej, chociaż słysząc było już przytłumiony, monotonny szum oceanu i głośniejszy od niego, rozlegający się od czasu do czasu krzyk jakiegoś morskiego ptaka, zew wzbijający się niczym cienki, nieważki płatek ponad odgłosy deszczu.

Chińczycy rozmawiali w narzeczu kantońskim.

– W Aurorze nie ma złota – mówił Ah Quee.

– Skąd możesz być tego pewien?

– Działka jest pusta. Jak gdyby już ją kiedyś ktoś przekopał.

– Przekopana ziemia potrafi zaskoczyć – odparł Ah Sook. – Znam wielu ludzi, którzy żyją z pozostawionych w niej resztek.

– Znasz wielu Chińczyków, którzy żyją z resztek – poprawił go Ah Quee. – A potem ci, którzy nie mieli równie bystrych oczu, biją ich, a nawet zabijają.

– Pieniądze to brzemię – odpowiedział Ah Sook. Było to przysłowie, które często przytaczał.

– Brzemię, które ciąży zwłaszcza biedakom – zauważył Ah Quee i kątem oka zerknął na towarzysza. – Tobie też ostatnio interes idzie słabo.

– Owszem – odparł spokojnie Ah Sook.

– Dziwka straciła apetyt na dym.

– Tak. Nie umiem sobie tego wytłumaczyć.

– Może znalazła innego dostawcę.

– Może.

– Nie wierzysz w to.

– Nie wiem, w co mam wierzyć.

– Podejrzewasz aptekarza.

– Tak. I kilka innych osób.

Ah Quee zadumał się na chwilę, a potem powiedział:

– Nie sądzę, żeby ten skarb, który znalazłem, należał kiedykolwiek do Anny.

– Nie – zgodził się Ah Sook. – Może i nie. Ostatecznie nie zauważyła przecież kradzieży.

Ah Quee spojrział na niego.

– Uważasz, że dopuściłem się kradzieży?

– Nie chciałbym uchybić twojej czci... – zaczął Ah Sook, ale się zawahał.

– Twoja sugestia sprzeciwia się intencjom, Sooku Yongshengu.

Ah Sook pochylił głowę.

– Wybacz mi. Jestem głupi, a moja głupota lśni jaśniej niż moje intencje.

– Nawet głupcy mają własne zdanie – powiedział Ah Quee. – Powiedz, czy w twoich oczach jestem złodziejem?

– O kradzieży można mówić wtedy, gdy chce się ją zataić – odpowiedział w końcu mało przekonująco kapelusznik.

– Mówiąc coś takiego, uchybiasz czci wielu ludzi, nie tylko mojej!

– Jeśli mówię nieprawdę, odszczekam swoje słowa.

– Mówisz nieprawdę – oświadczył oschle Ah Quee. – Kiedy ktoś znajduje samorodek na polu, to nie rozgłasza tego, tylko ukrywa bryłkę i nic nie mówi kolegom. Tutaj, na złotodajnych polach, każdy chce zachować taką rzecz w sekrecie. Tylko głupiec opowiada o swoich znaleziskach. Ty też nie zachowałbyś się inaczej, Sooku Yongshengu, gdybyś trafił na skarb.

– Ale złoto, o którym mówisz, nie zostało znalezione na polu – powiedział Ah Sook. – Znalazłeś swój skarb w sukni pewnej kobiety. To jej go odebrałeś, a nie ziemi.

– Ta kobieta nie wiedziała, co na sobie nosi! Była niczym ktoś, kto obozuje nad płynącą złotem rzeką, ale niczego nie widzi i nie podejrzewa.

– Złoto w rzece nie należy jednak do nikogo. I nie należy też do rzeki.

– Sam powiedziałaś, że to złoto nie mogło być własnością Anny!

– Własnością Anny nie... Ale co powiesz o prawie własności krawca, które je tam zaszył? W jakim celu ukrył taką sumę w fałdach kobiecej sukni?

– Nie wiedziałem nic o żadnym krawcu – odparł płomiennie Ah Quee. – Czy kiedy znajdujesz na drodze srebrnego pensa, pytasz, kto go wybił? Nie, po prostu pytasz, kto go ostatnio miał w rękach! Nie jestem złodziejem dlatego, że wziąłem coś, co ktoś zgubił.

– Zgubił?

– Zgubił – rzekł Ah Quee. – Nikt się dotąd nie zgłosił po ten skarb. Ktoś ukradł go przede mną i ktoś go ukradł po mnie.

– Wybacz mi – powiedział Ah Sook. – Pojmuję swoją pomyłkę.

– Dziwka to nie to samo co konkubina – dodał Ah Quee, który zaczynał się już gorączkować. Najwyraźniej od dosyć dawna myślał, jak powinien bronić się w tej sprawie. – Kurwa nie może stać się kobietą godną szacunku. Nie może zdobyć bogactwa. Cały prestiż i wszystkie zyski należą do alfonsa, nigdy do kurwy. Tak, jedyną osobą, która naprawdę ciągnie korzyści z jej profesji, jest ten, kto stoi za nią z pugilaresem w jednej ręce i rewolwerem w drugiej. Ja nie okradłem Anny! Cóż mogłem jej ukraść? Ona nic nie ma. To złoto nigdy nie należało do niej.

Usłyszeli z tyłu tętent kopyt i odwrócili się. Dwóch bardzo nisko pochylonych w siodle jeźdźców pędziło cwałem w kierunku Hokitika. Konie były spienione, a jeźdźcy nie żalowali im harapów, by zmusić je do jeszcze szybszego biegu. Chińczycy odsunęli się, żeby ich przepuścić.

– Wybacz mi – odezwał się znów Ah Sook, kiedy przejechali. – Myliłem się. Nie jesteś złodziejem, Quee Longu.

Znowu ruszyli naprzód.

– Prawdziwym złodziejem jest pan Staines – zauważył przetapiacz. – Najpierw kradł z premedytacją, a potem uciekł bez żadnych wyrzutów sumienia. Byłem głupi, że mu zaufałem.

– Staines jest w zмовie z Francisem Carverem – odpowiedział Ah Sook. – Dowodzą tego dokumenty Aurory. Ten alians wystarczy, by wątpić w jego uczciwość.

Ah Quee zerknął w bok, na swego towarzysza.

– Nie znam tego twojego Francisa Carvera – powiedział. – Nigdy wcześniej nie słyszałem jego nazwiska.

– To kupiec – odparł Ah Sook beznamiętnie. – Poznałem go w Kwangchow, kiedy byłem chłopcem. Zdradził moją rodzinę, a ja poprzysiągłem pozbawić go za to życia.

– Tyle to już wiem – powiedział Ah Quee. – Chciałbym wiedzieć coś więcej.

– To żałosna historia.

– W takim razie będę słuchał ze współczuciem. Ktoś, kto zdradził jednego z moich rodaków, zdradził także mnie.

Na te słowa Ah Sook zmarszczył brwi.

– Pomszczę tę zdradę – powiedział.

– Chodziło mi tylko o to, że musimy sobie pomagać, Sooku Yongshengu.

– Dlaczego mówisz „musimy”?

– Życie Chińczyka jest w tym kraju tanie.

– Na złotodajnych polach życie w ogóle jest tanie.

– Mylisz się – odrzekł Ah Quee. – Widziałeś dzisiaj, jak ktoś mnie uderzył, ciągnął za włosy, obrażał i groził mi śmiercią... I wszystko to bez żadnych konsekwencji. Nikt ich nie wyciągnie, bo w Hokitika każdy prędzej weźmie stronę Manneringa niż moją. Dlaczego? Ponieważ jestem Chińczykiem, a on nie. Ty i ja musimy sobie pomagać, Ahu Sooku. Musimy. Prawo zjednoczyło się przeciwko nam, powinniśmy zatem zdobyć jakieś środki, żeby móc się zjednoczyć przeciwko prawu.

Ah Sook nigdy dotąd nie słyszał takiej opinii, milczał więc przez chwilę, rozważając ją w myślach. Ah Quee zdjął kapelusz, uderzył go kilkakrotnie otwartą dłonią i włożył z powrotem na głowę. Gdzieś w pobliskich zaroślach odezwał się miodożer szmaragdowy, wydając swój charakterystyczny, pożądlivy, donośny krzyk, który został podjęty przez drugiego ptaka, potem przez trzeciego i tak dalej, aż okoliczne drzewa ożyły na chwilę śpiewem.

Sook Yongsheng mieszkał i pracował samotnie, bo chciał, a nie dlatego, że musiał. Nie był gburowaty z natury i prawdę mówiąc, nie miał trudności z nawiązywaniem przyjaźni ani z ich pogłębianiem, kiedy już je nawiązał – po prostu wolał odpowiadać sam przed sobą. Nie lubił odpowiedzialności, zwłaszcza kiedy jej od niego oczekiwano albo gdy zmuszano go do jej przyjęcia – a doświadczenie nauczyło go, że przyjaźń niemal zawsze przechodzi w długie, poczucie winy i oczekiwania. Ludzie, których nazywał swoimi bliskimi, niczego nie żądali, a dawali wiele. Dlatego przez życie Aha Sooka przewinęło się wiele dobrodusznych postaci i bardzo niewiele takich, o które jakoś szczególnie by się troszczył. Odznaczał się wrażliwością społecznika awangardzisty, z nikim niezwiązanego, pewnego siebie i – przynajmniej jego zdaniem – niemal powszechnie nierozumianego. To poczucie niedowartościowania ze strony całego świata z czasem miało się przerodzić w coś w rodzaju prywatnej demagogii. Ah Sook był pewien, że swoim spojrzeniem ogarnia właściwie wszystko i rzadko uważał za konieczne tłumaczyć się przed innymi. Ogólnie rzecz biorąc, jego przekonania były projekcjami prostszego, lepszego świata, w którym lubił mieszkać w wyobraźni – przedkładał bowiem niepokalany żar własnej samotności nad wszelkie inne zobowiązania towarzyskie, toteż w większym gronie trzymał się na ogół na uboczu. Nie można powiedzieć, by całkiem nie zdawał sobie sprawy z tych skłonności, jako że był człowiekiem wysoce refleksyjnym i poddawał swoje postępowanie wyjątkowo szczegółowej, rygorystycznej i kontemplacyjnej autoanalizie, przyglądał się jednak własnemu umysłowi podobnie jak prorok swym niecodziennym wizjom – to znaczy z rewerencją oraz nieodmiennym przekonaniem, że jego przeznaczeniem jest być zwiastunem kosmicznej *raison d'être*, kosmicznego planu.

– Opowieść o moich relacjach z Francisem Carverem ma wiele początków, żywię jednak nadzieję, że będzie miała jedno zakończenie.

– Opowiedz mi o Carverze – odpowiedział Ah Quee.

Harald Nilssen zamknął drzwi swojego biura, mieszczącego się na nabrzeżu, usiadł przy biurku i nie zdejmując kapelusza ani płaszcza, pospiesznie napisał liścik do Josepha Pritcharda. List był gorączkowy, a nawet niechlujny, ale agent handlowy nie miał ochoty go poprawiać. Nie czytając powtórnie tego, co napisał, osuszył atrament i złożył kartkę, po czym zalał ją woskiem, w którym odcisnął okrągłą pieczęć firmy Nilssen & Co. Później przywołał Alberta i kazał mu na jednej nodze dostarczyć przesyłkę do apteki Pritcharda przy ulicy Collingwooda.

Kiedy Albert wyszedł, Nilssen odwiesił kapelusz, zamienił przemoczony płaszcz na suchy szlafrok i sięgnął po fajkę, ale nie poczuł się pewniej, nawet kiedy już zapalił, usiadł, położył nogi na biurku i skrzyżował je w kostkach. Zrobiło mu się chłodno. Był lekko spocony, a jego serce nie chciało zwolnić. Wcisnął fajkę w kącik ust, jak lubił, i zaczął rozmyślać o przedmiocie swojego niepokoju, czyli o obietnicy, którą złożył wcześniej tego dnia George'owi Shepardowi, naczelnikowi więzienia Hokitika.

Nilssen zastanawiał się, czy nie powinien dzisiejszego wieczoru zerwać przysięgi milczenia i podzielić się szczegółami propozycji Shepada z uczestnikami narady. Sprawa była niewątpliwie istotna dla późniejszej dyskusji, zwłaszcza dlatego, że dotyczyła procentu od skarbu Crosbiego Wellsa, ale też dlatego, jak podejrzewał Nilssen, że niechęć Shepada do tego polityka, Lauderbacka, nie wynikała jedynie z kwestii przymusowej pracy więźniów, z problemów więziennictwa i budowy dróg. Jeśli wziąć pod uwagę, że Alistair Lauderback jako pierwszy znalazł martwego Crosbiego Wellsa... No, pomyślał Nilssen, to staje się jasne, że naczelnik Shepard jest tak samo zamieszany w spisek wokół samotnika jak wszyscy! Ale ile wiedział Shepard... i komu służył, nie licząc własnych korzyści? Czy wiedział o skarbie ukrytym w domku Crosbiego Wellsa? A tak nawiasem mówiąc, czy wiedział o nim również Lauderback? Zamyślony Nilssen skrzyżował nogi odwrotnie i zmienił położenie fajki w ustach, trzymając główkę między kciukiem i palcem wskazującym. Jakkolwiek by na to patrzeć, pomyślał, nie da się zaprzeczyć, że George Shepard wie znacznie więcej, niż mówi.

Harald Nilssen przywykł do tego, że zwraca na siebie uwagę, budził zaś autorytet dzięki swojej błyskotliwości, elokwencji i temu, że udawał osobę z poczuciem humoru. Bardzo szybko się nudził, jeśli z jakiegoś powodu musiał znaleźć się na peryferiach zatłoczonego pokoju. Próżność agenta handlowego wymagała ciągłej stymulacji i nieustannych dowodów, że jego wciąż trwająca kreacja samego siebie jest projektem, nad którym w pełni panuje. Złościł się teraz, myśląc, że potraktowano go jak naiwniaka – nie dlatego, że sądził, iż nie zasługuje na takie obejście (wiedział doskonale, że jest łatwowierny i często sam z tego żartował), ale dlatego że nie rozumiał, jaki Shepard mógłby mieć w tym cel.

Pyknął z fajki, wyobrażając sobie przyszłe więzienie, przytułek, a także szafot oraz szubienice, wznoszące się wysoko nad zapadnią. Wszystko to miałyby zostać wybudowane z jego prowizji i upoważnienia.

Niech diabli porwą naczelnika Shepada, pomyślał nagle. Właściwie nie był wcale zobowiązany, żeby dochować jego tajemnicy – ba, nie wiedział nawet zbyt dobrze, co ona

kryje! Podzieli się prośbą Sheparda z uczestnikami narady dzisiejszego wieczoru, a na dodatek powie im jeszcze o swoich podejrzeniach co do niego. Nie był na razie związany żadną umową, która zmuszałaby go do milczenia, i nie podpisał się jeszcze na żadnym dokumencie. Zresztą czy miałyby to jakieś znaczenie? Więzienie nie jest prywatną własnością naczelnika. Należy do całego miasta. Więzienie budują władze, i to w imieniu tych obywateli, którzy przestrzegają prawa.

Po chwili Nilssen usłyszał, że w przyległym pokoju otwierają się i zamykają drzwi. Podskoczył. Był to Albert, który wracał z apteki Josepha Pritcharda. Miał bardzo mokry surdut, a kiedy wszedł do biura, wniósł ze sobą zapach ziemi i deszczu.

– Spalił ten list? – zapytał niespokojnie Nilssen. – Widziałeś, jak go pali? Co tam masz?

– Odpowiedź Pritcharda – odezwał się Albert, unosząc złożoną kartkę.

– Powiedziałem, żeby nie odpisywał! Powiedziałem wyraźnie!

– Tak – rzekł Albert. – I powtórzyłem mu to... Lecz mimo to odpisał.

Nilssen przyjrzał się kartce.

– A czy przynajmniej spalił mój list?

– Tak – odrzekł Albert, po czym zawahał się.

– Co? Co?

– No... – zaczął Albert. – Bo kiedy mu powiedziałem, żeby go spalił, to zaczął się śmiać.

Nilssen zmrużył oczy.

– Dlaczego?

– Nie wiem – odparł Albert. – Ale pomyślałem sobie, żeby lepiej panu o tym powiedzieć. Chociaż może to nieważne.

Nilssenowi zaczął drgać mięsień pod okiem.

– Śmiał się, czytając mój list? Wtedy, kiedy go czytał?

– Nie. Wcześniej. Kiedy powiedziałem, żeby go spalił.

– Wydało mu się to zabawne, tak?

– Śmiał się z tego, że kazał mu go pan spalić – odpowiedział Albert, kiwając głową i przesuwając brzegi kartki między palcami. Bardzo chciał zapytać swojego chlebodawcę, o co tyle zamieszania, ale nie wiedział, jak postawić to pytanie, nie narażając się na reprymendę. – Chce pan przeczytać odpowiedź? – zapytał.

Nilssen wyciągnął rękę.

– Daj – zażądał. – Nie czytałeś jej, co?

– Nie – odparł Albert z urażoną miną. – Jest zapieczętowana.

– O tak, w rzeczy samej – powiedział Nilssen. Wziął kartkę od Alberta, odwrócił ją i przełamał pieczęć. – Na co czekasz? – spytał, zanim rozłożył list. – Możesz już iść.

– Do domu? – zapytał Albert, w którego głosie pobrzmiwał ogromny żal.

– Tak... Do domu, idioto – odpowiedział Nilssen. – I możesz przed wyjściem zostawić klucz na biurku.

Ale chłopak jeszcze się ociągał.

– W drodze powrotnej, kiedy przechodziłem koło Opery Księcia Walii, zauważyłem, że dzisiaj jest premiera nowego przedstawienia – rzucił. – To spektakl zagraniczny. Pan Mannering rozdaje bilety za darmo, bo to premiera, wziąłem więc jeden dla pana. – Albert wypowiedział to wszystko jednym tchem, po czym skrzywił się i odwrócił wzrok.

Nilssen nie otworzył jeszcze listu od Pritcharda.

– Jakie to przedstawienie? – zapytał.

– *Sensacje z Orientu* – odparł chłopak. – Bilet jest na balkon, miejsce z przodu i w środku. Najlepsze. Specjalnie o nie poprosiłem.

– Ty z niego skorzystaj – powiedział Nilssen. – Idź sam. Nie chcę biletu do teatru. A teraz już zmykaj.

Chłopak przesunął podeszwą po desce podłogowej.

– Dla siebie też wziąłem bilet – odpowiedział. – Pomyślałem... Zobaczyłem, że to na sobotę... A wyścigi zostały przełożone...

Nilssen pokręcił głową.

– Nie mogę iść dzisiaj do teatru – powiedział.

– Och – rzekł Albert. – Dlaczego?

– Kiepsko się czuję.

– Tylko na pierwszy akt – powiedział chłopak. – Podobno będzie szampan. Szampan dobrze robi na złe samopoczucie.

– Zabierz Henry'ego Fullera.

– Pod drzwiami dla aktorów widziałem jedną damę z parasolką.

– Weź Henry'ego.

– To była Japonka – powiedział ponuro Albert. – Nie wyglądała na ucharakteryzowaną aktorkę, tylko na prawdziwą Japonkę. Henry Fuller jest daleko, nad brzegiem morza. Dlaczego nie chce pan iść?

- Jestem bardzo chory.
- Nie wygląda pan na chorego. Pali pan fajkę.
- Jestem pewien, że znajdziesz kogoś, kto z tobą pójdzie – rzekł Nilssen z rosnącą irytacją. – Idź do hotelu Gwiazda i pomachaj tym biletem. Co ty na to?

Albert przez chwilę wpatrywał się w deski podłogowe i poruszał ustami. W końcu westchnął i powiedział:

- No cóż, w takim razie zobaczymy się chyba w poniedziałek, panie Nilssen.
- Tak, chyba tak, Albercie.
- Do widzenia.
- Do widzenia. Będziesz mi musiał opowiedzieć wszystko o tym przedstawieniu. Dobrze?
- Może będziemy mogli pójść na nie jeszcze raz – rzekł Albert. – Tylko że ten bilet jest na dzisiaj. Ale może jeszcze kiedyś się wybierzemy.
- Tak – odpowiedział Nilssen. – W przyszłym tygodniu, kiedy poczuję się lepiej.

Odczekał, aż jego rozczarowany podwładny wyjdzie z pokoju i cicho zamknie za sobą drzwi. Potem rozłożył list Pritcharda i podszedł do okna, gdzie było widniej.

H. – Potwierdzam swoje przybycie. Ale posłuchaj: dziś po południu wydarzyło się coś dziwnego u Anny. W użyciu była broń palna. Wyjaśnię wszystko osobiście. Widział to A.G., urzędnik sądowy. Może powinienes z nim porozmawiać, skoro już się bawisz w detektywa. W cokolwiek zamieszana jest Anna, to jestem pewien, że A.G. o tym wie. Ufasz mu? Bo ja nie mogę tego powiedzieć o sobie: cóż, na razie ciągle na dwoje babka wróżyła, jak to się mówi. Zniszcz ten list!

J.S.P.

Φ

Thomas Balfour wrócił późnym popołudniem do hotelu Pałac, zamierzając odnaleźć Cowella Devlina – kapelana, który tego ranka podsłuchiwał jego rozmowę z Lauderbackiem. Chciał go przeprosić za swoje wcześniejsze grubiańskie zachowanie, ale także (co uważał zresztą za pilniejsze) zapytać o znajomość duchownego z zaginionym poszukiwaczem złota, Emerym Stainesem – był bowiem pewien, że wizyta Devlina w redakcji „Czasu Zachodniego Wybrzeża” miała jakiś związek ze sprawą Crosbiego Wellsa.

Devlina nie było jednak w hotelu Pałac. Personel kuchenny poinformował Balfoura, że kapelan opuścił jadalnię przed kilkoma godzinami. Nie było go też w namiocie na plaży, w więzieniu w Miasteczku Policyjnym ani w żadnym kościele, sklepie czy sali bilardowej. Na nabrzeżu również go nie było. Zniechęcony Balfour włóczył się przez kilka godzin po Hokitika i już miał się poddać i wrócić do domu, kiedy wreszcie zauważył Devlina na ulicy Revella. Jego kapelusze i płaszcze były przemoczone, a obok kapelana kroczył jakiś mężczyzna, znacznie

wyższy i potężniejszy od niego. Balfour przeszedł na drugą stronę ulicy. Zamierzał już podnieść rękę i zatrzymać Devlina, kiedy rozpoznał jego towarzysza: był to ten Maorys, z którym rozmawiał wcześniej tego dnia i wobec którego również zachował się w niewybaczalnie impertynencki sposób.

– Powitać! – zawołał. – Wielebny Devlin. Nie do wiary! Właśnie pana szukałem! Czołem, Ted. Cieszę się, że i ciebie widzę.

Tauwhare nie odwzajemnił powitania, ale Devlin się uśmiechnął.

– Widzę, że dowiedział się pan już, jak się nazywam – powiedział kapelan. – Obawiam się jednak, że ja nadal nie znam pańskiego nazwiska.

Balfour wyciągnął rękę.

– Tom Balfour – odparł, rozpromieniając się, i panowie uścisnęli sobie dłonie. – Tak. Poszedłem spotkać się z Benem Löwenthałem w redakcji „Czasu” i rozmawialiśmy trochę o panu. Prawdę mówiąc, próbowałem pana znaleźć przez kilka ostatnich godzin. Chciałem o coś zapytać.

– A zatem nasze spotkanie jest podwójnie szczęśliwe – rzekł Devlin.

– Moje pytanie dotyczy Emery’ego Stainesa – Balfour wpadł mu w słowo. – Bo widzi pan, słyszałem, że pan się o niego rozpytuje. Że chce pan wiedzieć, kto zamieścił w gazecie to ogłoszenie, żeby go nakłonić do powrotu. Ben powiedział mi, że pan do niego wpadł, a ja chciałbym wiedzieć, dlaczego pan się o niego wypytuje... Znaczy o Stainesa... I co pana z nim łączy.

Cowell Devlin zawahał się. Prawda wyglądała oczywiście tak, że nazwisko Emery’ego Stainesa było jednym z trzech widniejących na akcie darowizny, który wyciągnął z szuflady na popiół w piecu Crosbiego Wellsa dzień po jego śmierci. Nie pokazał go nikomu i postanowił tego nie robić, dopóki nie dowie się czegoś więcej o podpisanych na nim osobach. Czy powinien okłamać Balfoura? Nie lubił fałszu, ale może mógłby powiedzieć częściową prawdę? Przygryzł wargę.

Balfour zauważył wahanie kapelana i uznał je za wyrzut. Podniósł rękę do góry.

– Patrzcie tylko na mnie! – zawołał. – Pytam o takie rzeczy na ulicy! W dodatku w taką pogodę, kiedy wszyscy coraz bardziej mokniemy! Posłuchajcie, może coś zjemy razem? Coś gorącego. Nie ma sensu rozmawiać pod gołym niebem... Nie kiedy po obu stronach ulicy stoją ciepłe hotele, gdzie można się dobrze zabawić.

Devlin zerknął na Tauwharego, który wprawdzie nie lubił Balfoura, ale mocno się rozjaśnił na propozycję posiłku.

Balfour zakaszłał, a potem grzmotnął się pięścią w pierś i skrzywił twarz.

– Rano nie byłem sobą... Puściły mi nerwy. Nie byłem sobą. Przepraszam... I chcę wam to

wynagrodzić, obu panom. Postawię wam coś do zjedzenia, a potem napijemy się jak przyjaciele. Chodźcie. Pozwólcie się przeprosić człowiekowi, skoro was o to błaga.

Wkrótce cała trójka zasiadła w kącie sali u Maxwella. Balfour, który lubił odgrywać rolę szczodrego gospodarza, zamówił trzy miski klarowanego rosółu, pieczywo, grubą kaszanę, żółty ser, sardynki w oleju, marchewki polane roztopionym masłem, garniec duszonych ostryg i pół gąsiora ciemnego piwa. Przewidując nie wspominał o Crosbie Wellsie i Emerym Stainesie, dopóki obaj jego goście nie najedli się i nie napili. Mówił natomiast o wielorybnictwie, o którym wszyscy trzej mieli wyjątkowo romantyczne wyobrażenie i wiele do powiedzenia. Kiedy jakieś czterdzieści pięć minut później znalazł ich tam Benjamin Löwenthal, stanowili już bardzo wesołą kompanię.

– Ben! – zawołał Balfour na widok podchodzącego do nich Löwenthala. – A twój szabat?

Balfour był wstawiony już drugi raz tego dnia.

– Kończy się wraz ze wzejściem pierwszej gwiazdy – odparł krótko Löwenthal, po czym zwrócił się do Tauwharego: – Zdaje się, że nie zostaliśmy sobie przedstawieni. Jestem Benjamin Löwenthal, wydaję „Czas Zachodniego Wybrzeża”.

– Te Rau Tauwhare – odparł Maorys i mocno uścisnął dłoń wydawcy.

– Jest znany też jako Ted – powiedział Balfour. – Był bardzo blisko z Crosbie Wellsem.

– Doprawdy? – Löwenthal zwrócił się do Tauwharego.

– Te Rau był jego najlepszym przyjacielem – rzekł Devlin.

– Byli sobie bliżsi niż bracia – dodał Balfour.

– No to w takim razie mam sprawę do was trzech – powiedział Löwenthal.

Benjamin Löwenthal nie był upoważniony do tego, aby rozszerzyć krąg zaproszonych do hotelu Korona o Devlina i Tauwharego, ale jak już zauważyliśmy, potrafił być bardzo groźny, kiedy ktoś naruszał wyznawane przez niego zasady etyczne, a Charlie Frost obraził go po południu, sugerując, że zebranie powinno się ograniczyć tylko do kilku wybranych osób. Löwenthal czuł potrzebę naprawienia tego, co uważał za moralny błąd Frosta, przekazał więc zaproszenie na spotkanie Tauwharemu i Devlinowi, traktując je jako coś w rodzaju mglistej reprimendy dla bankowca.

– Kapitalnie – rzekł Balfour. – Przysuń sobie krzesło.

Löwenthal usiadł, złożył dłonie i cichym głosem wyjaśnił cel spotkania, które miało się odbyć tego wieczoru. Na udział w nim Balfour zgodził się natychmiast, Tauwhare ponuro, a Cowell Devlin po długiej chwili namysłu. Kapelan myślał o akcie darowizny, który wyciągnął z pieca samotnika, a obecnie przechowywał w Biblii, między Starym i Nowym Testamentem. Postanowił przynieść ją ze sobą na naradę i pokazać darowiznę zebrany, jeśli tylko uzna to za stosowne i znajdzie po temu odpowiedni moment.

Z komina domu Gascoigne'a wydobywał się dym, a na pukanie Manneringa drzwi szybko się otworzyły i wyrzał z nich gospodarz. W ręku trzymał świeżo zapalonego papierosa, a swój sądowy surdut zamienił już na koszulę i wełnianą kamizelkę.

– Tak? – zapytał.

– Wiem z pewnego źródła, że przechowuje pan w tym domu pieniądze – rzekł Dick Mannering. – Są moje, przyszedłem je odebrać.

Aubert Gascoigne popatrzył na niego, włożył papierosa do ust, zaciągnął się i wydmuchnął dym ponad ramieniem Manneringa, w deszcz.

– Kim jest to źródło pewnych informacji? – spytał łagodnym głosem.

– Panna Anna Wetherell, która powiedziała o tym panu Edgarowi Clinchowi – odparł Mannering.

Gascoigne oparł się o framugę.

– A co sobie myślała panna Anna Wetherell, która powiedziała o tym panu Edgarowi Clinchowi? Że co pan robi, kiedy dostanie pan tę pewną informację?

– Nie mędrkuj pan – powiedział Mannering. – Nie rób pan tego. Powiem to tylko raz: nie cierpię mędrkowania. Anna powiada, że pieniądze ukryte są pod łóżkiem.

Gascoigne wzruszył ramionami.

– Cóż, jeśli przechowuję skarb dla Anny, to dlatego, że jej to obiecałem. Nie widzę także najmniejszego powodu, abym miał złamać tę obietnicę i przekazać pieniądze komuś innemu tylko dlatego, że ten ktoś twierdzi, że to jego własność. A Anna na pewno nie wspominała mi, że mam spodziewać się gościa.

– To naprawdę moje pieniądze.

– Jak to możliwe?

– To dług – powiedział Mannering. – Anna jest mi je winna.

– Dług to prywatna sprawa – odpowiedział Gascoigne.

– Dług można bardzo łatwo upublicznić. Jak by się to panu podobało, gdybym rozgłosił, że trzyma pan u siebie czyste złoto warte ponad sto funtów? Powiem panu, co by się wtedy stało: drzwi pańskiego domu zostałyby wyważone jeszcze przed północą, przed świtem złodziej byłby pięćdziesiąt mil stąd, a przed upływem doby już by pan nie żył. Doprawdy, nic łatwiejszego... Tym bardziej że nie ma pan służby i mieszka pan samotnie.

Gascoigne zrobił bardziej ponurą minę.

– Jestem strażnikiem tego złota i nie przekażę go nikomu bez zgody panny Wetherell.

Mannering uśmiechnął się.

– Uznaję to za przyznanie się do winy.

– A ja uznaję pańskie słowa za dowód braku logiki – odrzekł Gascoigne. – Dobranoc. Jeśli Anna chce odzyskać swoje pieniądze, może przyjść po nie sama.

Zrobił taki ruch, jak gdyby chciał zamknąć drzwi, ale Mannering przesunął się do przodu i wyciągnął rękę, powstrzymując Francuza.

– To dziwne, prawda?

– Co jest dziwne? – Gascoigne popatrzył na niego spode łba.

– To dziwne, że zwykła dziwka wykłada nagle dość złota, żeby spłacić wszystkie swoje długi, a potem chowa całą tę sumę pod łóżkiem człowieka, który mieszka w Hokitika od tak niedawna, że przed chwilą się dowiedział, jak ta kurwa się nazywa.

– To niebywale dziwne.

– Może powinienem się przedstawić.

– Wiem, kim pan jest – odpowiedział Gascoigne. – I czym się pan zajmuje.

Mannering rozpiął płaszcz i odsłonił swoje rewolwery.

– A wiesz pan, co to jest? I co tym można zrobić?

– Tak – odrzekł z zimną krwią Gascoigne. – To są rewolwery perkusyjne, z których każdy może wystrzelić sześć kul w równe sześć sekund.

– Właściwie to mogą wystrzelić po siedem kul – zauważył Mannering. – To druga generacja rewolwerów Smith & Wesson. Po siedem nabojów w każdym. Ale co do tych sześciu sekund, to ma pan rację.

Gascoigne znów zaciągnął się papierosem.

Mannering położył dłonie na kaburach.

– Muszę zwrócić się do pana z prośbą, żeby zaprosił mnie pan do swojego domu, panie Gascoigne.

Francuz nie odpowiedział, ale po chwili zdusił papierosa na framudze, upuścił niedopałek i gestem wyrażającym przesadną uprzejmość pokazał Manneringowi, żeby wszedł do środka. Mannering rozejrzał się po kątach pokoju, znacząco zatrzymując wzrok na dłużej na łóżku Gascoigne'a. Kiedy gospodarz zamknął drzwi, bogacz przystąpił do ataku i zapytał:

– Komu pan ufa?

– Nie jestem pewien, czy dobrze rozumiem pytanie – powiedział Gascoigne. – Chce pan, żebym podał panu listę moich przyjaciół?

Mannering popatrzył na niego gniewnie.

– Oto moje pytanie – powiedział. – Czy ufa pan Annie?

– Tak – odparł Gascoigne. – Oczywiście do pewnego stopnia. – Usiadł w pasiastym fotelu z szerokim oparciem, ale nie zrobił żadnego ruchu, który można było uznać za zaproszenie gościa do zajęcia miejsca siedzącego.

Mannering splótł ręce na plecach.

– A zatem gdyby pan wiedział, że Anna jest w coś zamieszana, nie powiedziałaby mi pan o tym.

– No cóż, to oczywiście zależałoby od okoliczności – odpowiedział Gascoigne. – O jakim „czymś” pan mówi?

– Kłamie pan dla niej?

– Zgodziłem się przechować dla niej ten skarb – powiedział Gascoigne. – Ukryłem go pod łóżkiem. Ale o tym już pan wszystko wie, podejrzewam więc, że powinienem odpowiedzieć, że nie.

– Dlaczego ufa jej pan tylko do pewnego stopnia?

Gascoigne bezwładnie wsparł nadgarstki na bocznych oparciach fotela i rozsiadł się swobodnie niczym król na tronie. Wyjaśnił, że zaopiekował się Anną, kiedy przed dwoma tygodniami zwolniono ją z więzienia, i od tamtej pory się z nią zaprzyjaźnił. Było mu jej żal, bo uważał, że ktoś ją wykorzystuje i wyrządza jej w ten sposób krzywdę, chociaż nie może powiedzieć, żeby sam był z nią specjalnie blisko, i nigdy nie płacił dziewczynie za możliwość cieszenia się jej towarzystwem. Czarna suknia, dodał, należała dawniej do jego zmarłej żony. Podarował ją dziwce w geście dobroczynności, ponieważ jej stara suknia, w której się prostytuowała, uległa zniszczeniu podczas pobytu w więzieniu. Nie spodziewał się, że Anna będzie przestrzegać żałoby, kiedy dostanie tę suknię, i prawdę mówiąc, był raczej rozczarowany takim obrotem spraw, albowiem uważa pannę Wetherell za wyjątkowo piękną przedstawicielkę słabej płci i bardzo chciałby mieć z nią przyjemność w konwencjonalny sposób.

– Ta opowieść nie tłumaczy, jak złoto znalazło się pod pańskim łóżkiem – powiedział Mannering.

Gascoigne wzruszył ramionami. Czuł się zbyt zmęczony i rozzłoszczony, by kłamać.

– Tego ranka, kiedy umarł Crosbie Wells, Anna ocknęła się w więzieniu i okazało się, że ma przy sobie znaczną ilość złota – powiedział. – Ktoś zaszył je w jej sukni, wokół gorsetu. Nie miała pojęcia, skąd się tam wzięła taka ilość kruszcu, i oczywiście mocno się przestraszyła. Poprosiła mnie o pomoc. Pomyślałem, że najlepiej będzie ukryć skarb, bo nie wiedzieliśmy, kto i po co go zaszył. Jeszcze nie wyceniliśmy tego złota, ale zaryzykowałbym twierdzenie, że całość jest warta dobrze ponad sto funtów, a najprawdopodobniej nawet

znacznie więcej. To, panie Mannering, jest cała prawda, w każdym razie jeżeli chodzi o mnie.

Mannering milczał. Takie wytłumaczenie wydawało mu się kompletnie bez sensu.

– Muszę powiedzieć – dodał Gascoigne – że jest pan wobec mnie naprawdę niesprawiedliwy, zakładając moją winę i nie pytając o to, czy jestem niewinny. Bardzo mi się nie podoba, że zajmuje mi pan czas i nachodzi mnie w tak wojowniczy sposób.

– Możesz dać pan sobie spokój z taką gadaniną – odpowiedział Mannering. – Wojowniczy sposób! Czy przystawiłem panu rewolwer do głowy? Czy zagroziłem panu użyciem przemocy?

– Nie... Ale poczułbym się lepiej, gdyby zechciał pan zdjąć pas z rewolwerami.

– Mam zdjąć swój pas? – Mannering przybrał pogardliwy wyraz twarzy. – I pewnie jeszcze położyć go na środku stołu, żeby każdy z nas siedział w jednakowej odległości od niego, aż wreszcie pan się na niego rzuci, a ja nie zdążę, bo jestem zbyt ociężały! Nie dam się na to nabrać. Widziałem już takie sztuczki.

– A zatem przedłożę panu inną prośbę – powiedział Gascoigne. – Proszę, aby pańska wizyta w moim domu trwała jak najkrócej. Jeżeli ma pan jeszcze jakieś pytania, niech je pan zada teraz, chociaż powiedziałem już panu wszystko, co wiem o tym złocie.

– Posłuchaj pan – rzekł stanowczo Mannering, nieco zaskoczony, że tak szybko stracił przewagę nad Gascoigne'em. – Nie chciałem, aby nasza znajomość rozpoczęła się od nieporozumienia.

– Oczywiście, że właśnie tego pan chciał – odparł Gascoigne. – Może teraz pan tego żałuje, ale takie były pańskie intencje.

Mannering zaklął.

– Niczego nie żałuję! – zawołał. – Absolutnie niczego!

– To tłumaczy, dlaczego jest pan spokojny.

– Coś panu powiem... – odezwał się Mannering, ale nie zdołał dodać już nic więcej, bo w tym momencie ktoś zapukał energicznie do drzwi.

Gascoigne natychmiast wstał. Mannering, który nagle się zaniepokoił, cofnął się o kilka kroków i wyciągnął rewolwer z kabury. Trzymał broń na wysokości uda, żeby nie było jej widać, i skinął głową Gascoigne'owi, pokazując, aby podniósł haczyk.

W progu stał Harald Nilssen. Kapelusz miał zsunięty na tył głowy, a laskę dzierżył pod dość zawadiackim kątem. Skłonił się i już miał się przedstawić Gascoigne'owi, kiedy ponad jego ramieniem dostrzegł stojącego w dziwnej pozie Manneringa, który jedną rękę trzymał sztywno przy udzie. Nilssen wybuchnął śmiechem.

– No cóż – powiedział – zdaje się, że depczę ci po piętach, Dick. Wszędzie, dokąd dziś idę, zastaję ciebie, zawsze mnie wyprzedzasz! Czołem, panie Gascoigne! Nazywam się Harald Nilssen, miło mi pana poznać. Mam nadzieję, że w niczym nie przeszkodziłem.

Gascoigne skłonił się dwornie, chociaż zachowywał chłodny wyraz twarzy.

– Ależ nie – odparł. – Niech pan wejdzie, bardzo proszę.

– Przyszedłem porozmawiać o Annie Wetherell, widzę jednak, że Dick ubiegł mnie w ostatniej chwili! – powiedział wesoło Nilssen, wycierając buty.

Gascoigne zamknął drzwi i zapytał:

– Co chciał pan wiedzieć o Annie?

Mannering odezwał się jednocześnie z Francuzem:

– Spokojnie, panie Nilssen.

Nilssen odpowiedział Gascoigne'owi.

– No cóż, chodzi mi o dosyć dziwną sprawę, może więc nie powinienem mówić o niej przy wszystkich. Proszę jednak posłuchać: nie chcę panu przeszkadzać. Mogę przyjść jeszcze raz, kiedy nie będzie pan zajęty, nie ma problemu.

– Nie, proszę – powiedział Gascoigne. – Pan Mannering już wychodzi, sam mi to właśnie powiedział.

Manneringa rozzłościło to, że Nilssen i Gascoigne wyłączają go w taki sposób z rozmowy.

– Z jaką sprawą przychodzisz? – zwrócił się do Nilssena.

Nilssen złożył mu szybki ukłon.

– Sytuacja jest niezwykle delikatna. Naprawdę panów przepraszam.

– Do diabła z delikatnością – powiedział Mannering. – Nie musisz przede mną niczego ukrywać, na litość boską, obaj jesteśmy zamieszani w tę historię! Chodzi ci o wdowę? Czy o złoto?

Nilssen nic nie rozumiał.

– Mówisz o skarbie Wellsa? – Zapytał, po czym zwrócił się do Gascoigne'a. – A zatem pan też został wplątany w tę sprawę?

Gascoigne nieoczekiwanie zaczął sprawiać wrażenie rozbawionego.

– Wygląda na to, że jestem przepytywany ze wszystkich stron naraz – powiedział. – Czy pan także ma przy sobie broń, panie Nilssen? Doprawdy, powinien się pan przyznać, jeśli tak.

– Nie jestem uzbrojony – odrzekł Nilssen. Zerknął na Manneringa i teraz zobaczył rewolwer w jego ręku. – Po co ci to? Co ty wyprawiasz?

Ale Mannering nie odpowiedział – przez chwilę znalazł się niczym w pułapce między tym, co chciał ukryć przed Nilssenem, a tym, co chciał ukryć przed Gascoigne'em. Zawahał się, żałując, że wspomniał o wdowie i o złocie.

– Pan Mannering właśnie pokazywał mi swój rewolwer Smith & Wesson drugiej generacji – odpowiedział Gascoigne, jak gdyby po prostu podtrzymując rozmowę. – Podobno do tego bębena wchodzi siedem kul.

– Aha – powiedział Nilssen, ale zrobił podejrzliwą minę. – A dlaczego?

Odpowiedź znów uwięzła Manneringowi w gardle. Z jednej strony nie chciał, by Nilssen wiedział o złocie ukrytym pod łóżkiem Gascoigne’a, a z drugiej – żeby Gascoigne dowiedział się o aferze z Crosbiem Wellsem, o Ahu Quee’em, o Ahu Sooku, o opium i o tym wszystkim, o czym mieli rozmawiać wieczorem w hotelu Korona.

– Sytuacja jest naprawdę delikatna – powiedział Gascoigne, wspierając starszego ze swoich gości, i pochylił się w stronę Nilssena. – Mogę powiedzieć jedynie, że pan Mannering ma bardzo dobre źródło informacji w Annie Wetherell, która przekazała mu je za pośrednictwem pana Edgara Clincha.

– Niech pan przestanie gadać – powiedział Mannering, któremu wreszcie rozwiązał się język. – Jakie masz wieści o Annie, Nilssen? Po co tu przyszedłeś?

Nilssen nie zrozumiał jednak intencji Manneringa, który nakłaniał go, by mówił o tym wszystkim przy Gascoigne. Przypomniał sobie, że w liście Pritcharda znalazła się jakaś wzmianka o rewolwerach, Annie, a pośrednio także o Edgarze Clinchu – bo Pritchard pisał przecież, że po południu doszło w pokojach Anny w hotelu Ruszt do jakiegoś dziwnego wydarzenia. Oczywiście! – pomyślał nagle Nilssen. Przez „delikatną sytuację” obaj na pewno rozumieją to samo.

– Słuchajcie, panowie – powiedział, podnosząc rękę. – Uważam, że ostatecznie mówimy o tej samej sprawie. Jeżeli pan Gascoigne zna już tajemnicę, to możemy poczekać, aż wszyscy zaproszeni przybędą na naradę, i wtedy każdy podzieli się z nami swoją wersją. Dzięki temu nie będziemy musieli opowiadać tego wszystkiego dwa razy. Czy obu panów spotkam w hotelu Korona?

Mannering wypuścił powietrze z płuc.

– Obawiam się, że nie znam żadnej tajemnicy i nie zostałem zaproszony na naradę w Koronie – odezwał się po chwili Gascoigne.

Zapadła cisza. Gascoigne spojrzał najpierw na Nilssena, a potem na Manneringa. Mannering popatrzył na Gascoigne’a, a później na Nilssena. Z kolei Nilssen z bardzo przepraszającym wyrazem twarzy przyglądał się Manneringowi.

– Narobiłeś bigosu – zauważył bogacz. Zaklął, schował rewolwer, po czym wymierzył palec w Gascoigne’a. – No dobrze – powiedział. – Nie ma co... Chociaż niech mnie diabli porwą, jeśli będziesz pan tam mile widziany, i niech mnie szlag trafi, jeśli nie będę miał pana na oku do końca dzisiejszego wieczoru i potem. Proszę włożyć płaszcz. Idzie pan z nami.

MERKURY W STRZELCU

Rozdział, w którym Walter Moody zastanawia się nad przedstawioną mu zagadką i dowiadujemy się, co mu się przydarzyło w czasie podróży z Dunedin, a posłaniec przynosi nieoczekiwane wieści

W palarni hotelu Korona zapadła cisza – cisza, która przez chwilę wydawała się paraliżować oddech wszystkich obecnych i unieruchamiać dym, unoszący się kłębammi z fajek, papierosów, cygar i cygaretek.

Było już po północy. Ciemność zaokrągliła kąty pokoju, a stożki światła, rzucanego przez lampy spirytusowe, wydawały się teraz stabilne i ciepłe, chociaż wcześniej były chwiejne i chłodne. Z ulicy dochodziły odgłosy sobotniej nocy – akordeon, odległe nawoływania, a od czasu do czasu także okrzyki radości oraz stukot końskich kopyt. Przestało padać, chociaż chmury jeszcze się nie rozwiały, a Księżyc, znajdujący się w fazie między kwadrą i pełnią, widać było jedynie w postaci kwadratowej łaty światła na nisko wiszącym niebie.

– To wszystko – powiedział Thomas Balfour. – To wszystko. Do tego miejsca doszliśmy.

Moody zamrugał powiekami i rozejrzał się wokół. Opowieść Balfoura, chociaż przerywana i chaotyczna, rzeczywiście usprawiedliwiała obecność wszystkich mężczyzn znajdujących się w sali. Pod oknem siedział Maorys, Te Rau Tauwhare, który za życia Crosbiego był jego wiernym przyjacielem, chociaż w końcu mimo woli go zdradził. W najdalszym kącie palarni zasiadał Charlie Frost, bankowiec, który przeprowadził sprzedaż domu i ziemi Wellsa, a miejsce naprzeciwko niego zajmował dziennikarz i wydawca, Benjamin Löwenthal, który o śmierci samotnika dowiedział się zaledwie kilka godzin później. Edgar Clinch, nabywca posiadłości Wellsa, siedział na kanapie koło stołu bilardowego, gładząc wąs dwoma palcami. Przy kominku rozparł się Dick Mannering, alfons, właściciel teatru i bliski współpracownik Emery’ego Stainesa, za nim zaś ulokował się Ah Quee, jego wróg. Agent handlowy, Harald Nilssen, który w domku Crosbiego Wellsa znalazł nie tylko wielki skarb, ale i zakorkowaną, opróżnioną do połowy fiolkę laudanum, zakupioną w aptecce Josepha Pritcharda, stał obok z kijem bilardowym w ręku. Pritchard siedział oczywiście najbliżej Moody’ego, a miejsce po jego drugiej stronie zajmował Thomas Balfour, zausznik polityka nazwiskiem Lauderback, którego skrzynia przewozowa niedawno zaginęła. W fotelu obok Balfoura zasiadał Aubert Gascoigne, który wpłacił kaucję za Annę Wetherell i znalazł inny, mniejszy skarb, ukryty w jej pomarańczowej sukni, w jakiej zwykle się prostytuowała. Za Francuzem schował się Ah Sook, handlarz opium, właściciel palarni w Kaniere i dawny znajomy Francisa Carvera, który tego popołudnia odkrył, że Crosbie Wells był kiedyś bogaty. Dalej, oparty o stół bilardowy, stał z rękami skrzyżowanymi na piersi ostatni uczestnik spotkania, kapelan Cowell Devlin, który odprowadził ciało odludka na miejsce ostatniego spoczynku na terasie Pejzaż Morski.

Zdaniem Moody’ego była to diabelnie przypadkowa zbieranina. Tych dwunastu ludzi łączył jedynie ich związek z wydarzeniami z 14 stycznia, kiedy Anna Wetherell o mało nie

rozstała się z tym światem, gdy umarł Crosbie Wells, Emery Staines zniknął, Francis Carver odplłynął w siną dal, a Alistair Lauderback przybył do Hokitika. Moody'ego uderzyło to, że żadnej z tych osób nie było w palarni. Brakowało również strażnika służby więziennej, naczelnika Shepada, podobnie jak przebiegłej wdowy, Lydii Wells.

Moody'ego zastanowiła jeszcze jedna myśl – w nocy 14 stycznia on sam postawił po raz pierwszy stopę na nowozelandzkiej ziemi. Kiedy opuszczał parowiec, który przywiózł go z Liverpoolu do Dunedin, spojrzął w niebo i odczuł, jak obce jest to miejsce, w którym się teraz znajdował. Niebo było tu jakby odwrócone, gwiazdozbiory nieznane, a Gwiazdę Polarną miał pod nogami, zupełnie zasłoniętą. Z początku szukał jej jak głupi, chcąc ustalić szerokość geograficzną na podstawie nachylenia swojej zeszywniałej ręki, jak kiedy był chłopcem, mieszkającym po drugiej stronie globu. Znalazł Oriona – był odwrócony, kołczan miał pod sobą, a miecz zwisał mu z pasa do góry nogami. Wielki Pies dyndał niczym martwe zwierzę na rzeźnickim haku. Moody pomyślał, że jest w tym coś bardzo smutnego, jak gdyby starożytne mity nie miały tutaj znaczenia. Po dłuższym czasie odnalazł Krzyż Południa i spróbował przypomnieć sobie sposób na zlokalizowanie bieguna, ponieważ tu, w czerni antypodów, gdzie wszystko stało na głowie i było zdeformowane, brakowało jakiegokolwiek wskazującej go gwiazdy. Czy trzeba było wykorzystać poprzeczkę krzyża, czy pal? Nie mógł sobie tego przypomnieć. Do znalezienia Krzyża Południa wykorzystywało się jakiś algorytm: długość palca, jakieś równanie. Kwestia kilku cali. Denerwowało go w najwyższym stopniu, że nie ma tu żadnej gwiazdy, która wskazywałaby biegun.

Wpatrywał się w kominek, w którym węgle już dawno obróciły się w popiół. Thomas Balfour bynajmniej nie przedstawił swojej historii chronologicznie, a jego opowieść stała się jeszcze bardziej zawiłana wskutek niezliczonych wtrąceń, wyjaśnień i powtórzeń, a wszystkie one goniły jedno za drugim w nieskończone koła. Tworzyły niesłychanie zawiły obraz – i zobaczyć go w całości było bardzo trudno! Moody zwrócił się w myślach ku wszystkiemu, co słyszał tego wieczoru, próbując uporządkować opowiedziane wydarzenia w takiej kolejności, w której do nich doszło.

Mniej więcej dziewięć miesięcy temu były skazaniec, Francis Carver, skutecznie oszukał Alistaira Lauderbacka i odebrał mu jego statek „Z Bogiem”. Jakiś czas później wskutek niewyjaśnionych komplikacji Carver stracił skrzynię, dzięki której zmusił polityka do uległości. W tej skrzyni znajdował się kufer, zawierający czyste złoto, warte mniej więcej cztery tysiące funtów, zaszyte starannie w pięć sukni. Szwaczką była kobieta nazwiskiem Lydia Wells, która w owym czasie udawała żonę Francisa Carvera.

Cztery tysiące funtów to mnóstwo pieniędzy, gdy okazało się więc, że kufer przepadł, Carver oczywiście zechciał je odzyskać. Popłynął do Hokitika, najprawdopodobniej domyślając się, że skrzynia została dostarczona tam przez pomyłkę, po czym dał ogłoszenie w „Czasie Zachodniego Wybrzeża”, oferując wysoką nagrodę temu, kto zwróci mu nienaruszoną zgubę. Zapłacił za ogłoszenie jako Crosbie Francis Wells – okazał nawet świadectwo urodzenia, aby potwierdzić swoją fałszywą tożsamość – chociaż i wcześniej,

i później wszyscy znali go pod nazwiskiem Francis Carver. Jak dotąd nie było wiadomo, dlaczego szantażując Lauderbacka, Carver musiał podszyć się pod kogoś innego. Nie było również wiadomo, skąd świadectwo urodzenia Crosbiego Wellsa, jeśli było autentyczne, znalazło się wtedy w posiadaniu Carvera.

Prawdziwy, myślał Moody, albo inny Crosbie Wells mieszkał wówczas samotnie w Dolinie Arahura, kilka mil na północ od Hokitika. Nie należał do ludzi cieszących się złą sławą i miał niewielu znajomych. Przed śmiercią był mało znany w Hokitika, a ci, którzy się z nim zetknęli, nie mieli powodów przypuszczać, by był człowiekiem zamożnym lub znaczącym. To Ah Sook, który zbadał okoliczności jego śmierci, odkrył, że Wells przed kilkoma laty trafił na żyłę złota w Dunstan, która przyniosła mu skarb w wysokości kilku tysięcy funtów. Najwyraźniej z jakiegoś powodu Wells chciał jednak utrzymać tę informację w sekrecie.

Francis Carver zamieścił swoje ogłoszenie w „Czasie” na początku czerwca (co precyzyjnie określił Benjamin Löwenthal). Podczas pobytu w Hokitika Carver zaoferował Te Rau Tauwharemu nagrodę za jakiegokolwiek informacje o człowieku nazwiskiem Crosbie Wells. Maorys nie znał jednak nikogo o takim nazwisku i wyglądzie, a skrzynia się nie znalazła, Carver powrócił więc do Dunedin z pustymi rękami.

Anna Wetherell również przybyła do Hokitika na pokładzie „Z Bogiem”. Miała wtedy na sobie szkarłatną, „roboczą” suknię, wypożyczoną od swojego nowego pracodawcy, Dicka Manneringa. Kiedy po kilku tygodniach od przyjazdu do miasta dowiedziała się, że z jakiegoś rozbitego statku wydobyto kufer z pięcioma sukniami, zakupiła je wszystkie.

Można było przypuszczać, że nie wiedziała o zaszytym w nich skarbie ani o ich pochodzeniu. Nigdy nie powiedziała nikomu o ukrytym złocie i nic nie wskazywało na to, by kiedykolwiek próbowała je wypruć. Moody zaczął się nad tym zastanawiać. Czy Anna naprawdę mogła nic nie wiedzieć na ten temat? Paliła opium, dlatego może nie zauważyła, że suknie ważą więcej, niż powinny, co kobieta, niebędąca pod wpływem narkotyku, zapewne by spostrzegła – ale z drugiej strony, jak zaświadczył Gascoigne, była dawną znajomą Lydii Wells i być może poznała, że są to suknie Lydii. Cóż, pomyślał Moody, jakkolwiek sprawy się miały, Anna od tamtej pory ciągle nosiła ten skarb na sobie, wyjąwszy cztery tygodnie we wrześniu i październiku, kiedy była już wyraźnie brzemienna i musiała wkładać specjalną suknię ciężową.

Kiedy zarządca hotelu, w którym mieszkała, Edgar Clinch, odkrył zaszyty w sukniach skarb, doszedł do wniosku, że alfons Dick Mannering wykorzystuje Annę, aby szmuglować czysty kruszec ze złotodajnych pól i w ten sposób unikać odprowadzenia podatku do banku. Myśl o takim sprzysiężeniu szalenie przygnębiła Clincha, nie miał jednak powodów, aby nalegać na rozmowę na ten temat z żadną ze stron.

Hotelarz nie był jednak jedynym człowiekiem, który przez przypadek natrafił na skarb ukryty w sukniach Anny, ani jedynym, który nie domyślał się, co to może znaczyć. Kopacz

Quee Long też odkrył ten sekret – prawdę mówiąc, mniej więcej w tym samym czasie – i doszedł dokładnie do takiego samego wniosku jak Clinch. Ah Quee wiedział z autopsji, że Mannering jest więcej niż zdolny do oszustwa, albowiem bogacz już kiedyś go zwiódł, postanowił więc pobić go teraz jego własną bronią. Zaczął wyciągać złoto z sukni Anny i przetapiać kruszec na sztabki, które opatrywał nazwą kopalni Aurora – po to, żeby zysk szedł na konto jego działki, którą w tym czasie nabył młody poszukiwacz złota, Emery Staines.

Wydłubywanie złota z sukni trwało kilka miesięcy. Ilekroć Anna odwiedzała chatę Aha Quee’ego w Chinatown w Kaniere, zawsze była półprzytomna po zażyciu opium; Ah Quee mógł zatem usuwać złoto za pomocą igły i nici bez jej wiedzy, gdy spała. Kiedy wybierała się do Chinatown, dziewczyna nie wkładała pomarańczowej sukni, w której zwykle uprawiała nierząd. Dlatego w tej sukni złoto pozostało zaszyte jeszcze długo po tym, jak Ah Quee wydobyl skarb z pozostałych czterech.

Nikt nie wiedział, w jaki sposób ani dlaczego przetopione przez Aha Quee’ego złoto zostało ukradzione ze skarbca w obozowej filii banku. Na podstawie uzyskanych dotąd informacji można było sądzić, że złodziejem jest zaginiony poszukiwacz złota, Emery Staines – który, co ciekawe, nie miał motywu do kradzieży, był bowiem bajecznie bogaty i jak powszechnie sądzono, sprzyjało mu wprost niebywałe szczęście. Dlaczego miałby kraść złoto własnemu pracownikowi? I dlaczego miałby je ukrywać w cudzym domku, tak daleko od należących do niego działek? Cóż, myślał Moody, bez względu na powody, którymi mógł się kierować ten młody człowiek, jedno było pewne – Staines nigdy nie złożył zysków Aha Quee’ego na koncie Aurory, jak wymagało tego prawo. Było to wielce zastanawiające, ponieważ gdyby owo przetopione złoto zostało umieszczone w banku, z dnia na dzień zmieniloby Aurorę z nieprzynoszącej dochodów, pustej działki w kopalnię, której właściciel mógłby pozwolić sobie na „bilet do domu”.

Emery Staines był także w bardzo dziwny sposób powiązany z aktem darowizny, który Cowell Devlin znalazł w piecu Crosbiego Wellsa – bo wprawdzie na dokumencie nie było jego podpisu, ale widniało na nim jego nazwisko. Akt ten wydawał się wskazywać, że Emery Staines i Crosbie Wells byli jakby współnikami i ukryty skarb miał być z jakiegoś powodu darem Emery’ego Stainesa dla Anny Wetherell. Sprawa była jednak jeszcze bardziej zagmatwana, bo jakkolwiek by na to patrzeć, złoto nie należało do Stainesa, nie mógł go zatem rozdawać!

Anna nosiła w swoim łonie dziecko – dziecko Francisa Carvera – poczęte jeszcze przed jej przyjazdem do Hokitika. Wiosną ciąża wreszcie stała się widoczna, pannie Wetherell nie było jednak dane urodzić, albowiem w połowie października Carver wrócił do Hokitika, spotkał się z Anną i dotkliwie ją pobił, czego nienarodzone dziecko nie przeżyło. Opisując później tę scenę Edgarowi Clinchowi, Anna sugerowała, że Carver dokonał zbrodni z zimną krwią.

Moody przerwał w tym momencie swoją chronologiczną rekapitulację, aby zamyślić się nad owym smutnym wypadkiem. Chociaż o śmierci dziecka panny Wetherell wspominało tego

wieczoru kilka razy, wydawało się, że nikt z obecnych nie wiedział dokładnie, jak doszło do feralnego nieporozumienia między Anną i Carverem. Ze względu na wrodzoną delikatność Moody nie naciskał na przekazanie mu dalszych informacji na ten temat, lecz zastanawiał się, jaką rolę w całej tej historii odgrywa związek Anny i Carvera. Czy Francis Carver naprawdę chciał zabić dziecko, a jeżeli tak, to co mogło go skłonić do tak haniebnego czynu? Oczywiście nikt z obecnych nie był w stanie odpowiedzieć na to pytanie z jakąkolwiek obiektywną pewnością – zebrani mogli najwyżej powtórzyć to, co im przedstawiono jako prawdę.

(Jakże niedocieczone są myśli nieobecnych! I jak nieuchwytna jest motywacja ich zachowań! Albowiem Francis Carver mógł wyprzeć się ojcostwa z zimną krwią i zabić własne dziecko z czystej nienawiści, choć mogła to być również bestialska profilaktyka, a także zwyczajny wypadek – nie sposób było się tego dowiedzieć inaczej, niż pytając bezpośrednio zainteresowanego. Nawet Anna Wetherell, która wskazała Carvera jako mordercę, mogła mieć wiele powodów, żeby kłamać).

Zastanowiwszy się nad tym, Moody kontynuował swoje résumé.

Te Rau Tauwhare, który przypadkowo natknął się na Carvera rankiem 14 stycznia, przypomniał sobie propozycję, którą ten złożył mu przed rokiem. Zaproponował, że za dwa szylingi powie Carverowi, gdzie mieszka Crosbie Wells. Panowie uścisnęli sobie dłonie, Maorys poinformował Carvera, gdzie może znaleźć Wellsa, a kapitan jeszcze tego samego dnia udał się do Doliny Arahura – wieczorem, który dla Crosbiego miał się okazać ostatni. Prawdopodobnie Carver był świadkiem śmierci odludka, a może wyszedł z domku na kilka chwil, zanim do tego doszło, ale tak czy owak przyjechał do Wellsa z fiolką laudanum, którego ślady znaleziono później w żołądku denata podczas sekcji zwłok. Po tym spotkaniu Carver wrócił do Hokitika, ściągnął załogę na „Z Bogiem”, podniósł kotwicę i odpłynął jeszcze dobrze przed świtem. Z Hokitika nie popłynął do Kantonu (jak przypuszczał Balfour), lecz do Dunedin, co mógł potwierdzić sam Moody, albowiem dwanaście dni później wsiadł na statek Carvera w Porcie Chalmers.

Alistair Lauderback, który wszedł do domku Wellsa wkrótce potem, jak Carver go opuścił, znalazł pustelnika martwego przy kuchennym stole z głową wspartą na rękach. Pojechał do Hokitika, gdzie udzielił wywiadu redaktorowi i wydawcy, Benjaminowi Löwenthalowi, który zamierzał zamieścić dodatek polityczny w poniedziałkowym „Czasie”. Dowiedziawszy się od Lauderbacka, że Crosbie Wells nie żyje, Löwenthal wywnioskował, że posiadłość zmarłego wkrótce zostanie wystawiona na sprzedaż. Rano poinformował zarządcę hotelu, Edgara Clincha, że może do tego dojść, gdyż wiedział, że Clinch chce zainwestować w ziemię i szuka po temu okazji. Hotelarz natychmiast zaniósł wadium do banku, a Charlie Frost, bankowiec, ułatwił mu zakup posiadłości zmarłego.

Następnie Clinch wynajął Haralda Nilssena, żeby ten opróżnił domek odludka i pozbył się jego rzeczy. Nilssen wywiązał się z powierzonego mu zadania – i ku swojemu zdumieniu znalazł bez wątpienia wielki skarb, którego części ukryte zostały we wszystkich możliwych schowkach w jedynej izbie domku. Po oczyszczeniu kruszcu jego wartość wyceniono w banku

na nieco ponad cztery tysiące funtów, a że Nilssenowi wypłacono prowizję w wysokości dziesięciu procent, pozostało z tego trzy tysiące sześćset. Z sumy tej pokryte zostały również związane ze śmiercią i pochówkiem Wellsa podatki, opłaty oraz inne koszty, w tym trzydzieści funtów, które otrzymał w prezencie Charlie Frost. Reszta – będąca nadal pokaźną fortuną – znajdowała się obecnie w depozycie w Banku Rezerw. Clinch jednak najprawdopodobniej nie miał zobaczyć ani pensa z tej sumy, jako że Lydia Wells, która tajemniczym sposobem przybyła z Dunedin kilka dni po pogrzebie, złożyła wniosek o unieważnienie zakupu posiadłości przez Clincha, dowodząc, że ziemia, domek oraz cały znajdujący się w nim majątek ruchomy należą prawnie do niej.

Oczywiście złoto znalezione w domku Crosbiego nie stanowiło całości skarbu, o który toczyła się gra. Ah Quee wybebeszył jedynie cztery z pięciu sukien Anny, a ostatnią część majątku, zaszytą w pomarańczowej, „kurewskiej” sukni dziewczyny, znalazła ona sama zaledwie dwa tygodnie wcześniej, gdy obudziła się w więzieniu, do którego trafiła, straciwszy świadomość po przedawkowaniu opium. Założyła, zresztą całkiem rozsądnie, że złoto zostało zaszyte bardzo niedawno, nie pamiętała bowiem, co się z nią działo przez ostatnich dwanaście godzin przed aresztowaniem, a i po przebudzeniu się w więzieniu była jeszcze mocno oszołomiona. Poprosiła o pomoc Gascoigne’a, po czym wspólnie wyciągnęli kruszec z pomarańczowej sukni i ukryli go w worku na mąkę pod jego łóżkiem.

Kiedy Anna wróciła do hotelu Ruszt w czarnej sukni, która należała kiedyś do nieżyjącej żony Gascoigne’a, w Edgarze Clinchu odżyły dawne podejrzenia. Był pewien – i tym razem miał rację – że zmiana stroju Anny ma związek z ukrytym złotem, i zauważył z goryczą, że jej „kurewska” pomarańczowa suknia gdzieś zniknęła. Bardzo gniewało go to, że Anna twierdziła, jakoby nie była w stanie spłacić swoich długów wobec niego, bo wiedział przecież, że ma złota w bród – a ponieważ złość wzięła nad nim górę, rozmawiał z dziewczyną bez litości i podał termin, w którym musiałyby opuścić hotel, gdyby nie udało się jej spłacić długu.

Groźba Clincha nie przyniosła jednak takiego skutku, jakiego się spodziewał, bo Anna Wetherell wkrótce oddała mu całą należność, chociaż nie zapłaciła złotem z sukni ani dzięki dochodom ze swojej legalnej pracy. Spłaciła zaległą sumę tego popołudnia, pożyczwszy sześć funtów od wdowy po Crosbie Wellsie, Lydii Wells – natomiast dług Anny wobec Manneringa, który zdaniem bogacza wynosił znacznie ponad sto funtów, z nawiązką pokryłoby złoto, które panna Wetherell wypruła wraz z Gascoigne’em ze swojej pomarańczowej sukni. Potem Anna wyprowadziła się z hotelu Ruszt na dobre. Lydia Wells zaproponowała jej, by zamieszkała z nią w Fortunie Wędrowca, gdzie panna Wetherell nie zamierzała dłużej żyć jak dziwka.

Czy Lydia Wells wiedziała, że zaginiona skrzynia Carvera wylądowała w Hokitika, że Anna kupiła znajdujące się w niej suknie i że skarb z domku Crosbiego Wellsa był tym samym skarbem, którym Carver szantażował polityka nazwiskiem Lauderback mniej więcej przed dziesięcioma miesiącami? Odpowiedź na to pytanie zależała od Anny. A co wiedziała ona

sama o własnej roli w tej niezwykle zawikłanej aferze? Oraz ile byłaby gotowa zdradzić Lydii Wells? Nie dało się wykluczyć, że Anna nie orientowała się, iż suknie należały kiedyś do jej dawnej przyjaciółki. W takim razie pani Wells nie wiedziała, że ma je teraz Anna, ta bowiem aktualnie nadal chodziła w czarnej sukni, będącej niegdyś własnością zmarłej żony Gascoigne'a, a ślubowała nosić żałobę jeszcze przez jakiś czas. Oczywiście, myślał Moody, gdyby tylko Anna otworzyła szafę w swoim pokoju, wdowa od razu rozpoznałaby sukienki... Biorąc jednak pod uwagę, że były w nich zaszyte ołowiane ciężarki, które umieścił tam dla niepoznaki przetapiacz Quee, pani Wells mogłaby się nie domyślić na pierwszy rzut oka – bądź też od pierwszego dotknięcia – że złoty skarb został zastąpiony bezwartościowym ołowiem. Clinch już dał się na niego nabrać i Moody był ciekawy, czy wdowa nie spłaciła długu Anny właśnie na podstawie takiego domniemanego zabezpieczenia.

Jeżeli jednak Anna była świadoma, że tych pięć sukni należało kiedyś do Lydii Wells, to na pewno przez cały czas zdawała sobie sprawę, że jest w nich ukryta fortuna, wiedziała zatem także o szantażowaniu Lauderbacka i o wymuszonej sprzedaży „Z Bogiem” dziesięć miesięcy wcześniej. W świetle tych faktów, pomyślał Moody, okoliczności, w których gwałtowną śmiercią zginęło dziecko Anny, nieoczekiwanie jawią się jako bardzo istotne dla wszystkich omawianych na spotkaniu tajemnic, albowiem związek Anny z Francisem Carverem, podobnie jak jej stosunek do Lydii Wells, był kwestią, o której nikt z obecnych nic nie wiedział.

Moody z roztargnieniem przesunął palcem wokół brzegu szklanki. Musi istnieć jakieś lepsze wyjaśnienie dla tego wszystkiego niż skomplikowany zbieg okoliczności. Co powiedział Balfour kilka godzin temu? Że szereg przypadków nie może być przypadkiem? Czymże zaś jest pojedynczy przypadek, myślał Moody, jeśli nie zatrzymanym w czasie momentem w sekwencji zdarzeń, które należy dopiero wyjaśnić?

– W każdym razie taki był nasz udział w tej historii – dodał Balfour nieco przeproszającym tonem. – To nie jest zbyt dobra odpowiedź, panie Moody, ale wyjaśnia, co nas tu sprowadziło dziś wieczorem. Tłumaczy, jak już powiedziałem, powody, dla których zebraliśmy się w tym hotelu.

– Pan Moody dostał chyba więcej, niż chciał – zauważył Dick Mannering.

– Zawsze tak jest, kiedy się mówi prawdę – odparł Balfour.

Moody przyglądał się po kolei twarzom wszystkich zebranych. O żadnym z nich nie dałoby się powiedzieć, że jest winny, podobnie jak nie można byłoby orzec, że jest w zasadzie niewinny. Ci ludzie byli ze sobą... związani? Zaangażowani w tę samą sprawę? Wplątani w nią? Moody zmarszczył brwi. Miał poczucie, że brakuje mu właściwego słowa, by opisać ich wzajemne relacje. Pritchard użył określenia „spisek”... Ale nie bardzo pasowało ono Moody'emu, bo udział tych osób w całej tej historii był wielce przypadkowy, a każda z nich miała ewidentnie inny związek z opisanymi wyżej wydarzeniami. Nie – prawdziwi spiskowcy, ci, którzy faktycznie pociągali za sznurki, to niewątpliwie osoby, których brakowało w palarni, zarówno mężczyźni, jak i kobiety; ci, którzy mieli jakieś tajemnice i usiłowali ukryć je przed

światem!

Moody zaczął więc myśleć o nieobecnych.

Francis Carver, jak to już wielokrotnie stwierdzono tego wieczoru, na pewno jakoś był wplątany w tę sprawę. Sądząc choćby po opowieści Lauderbacka, był notorycznym intrygantem o skłonnościach do szantażu. Co więcej, odwiedził Crosbiego Wellsa w dniu jego śmierci, a może nawet widział, jak umiera. Nie należy zapominać o jego złej reputacji, ale nie trzeba również nazbyt pochopnie dawać jej wiary, myślał Moody: Carver nie może stać za wszystkim naraz, a już z pewnością nie byłby w stanie opracować planu na tyle skomplikowanego i szeroko zakrojonego, aby skierować podejrzenia jednocześnie na dwunastu ludzi.

Była też Lydia Wells, rzekoma żona Wellsa i Carvera, dawna kochanka Alistaira Lauderbacka, a teraz (z czego zwierzyła się niedawno Gascoigne'owi) potajemna narzeczona mężczyzny, który pozostawał wciąż anonimowy. Podobnie jak Carver, pani Wells dowiodła, że jest zdolna do najbardziej bezwzględnych szantaży i do wyjątkowo wyrafinowanych kłamstw. Poza tym była już kiedyś współpracowniczką Carvera. Zasadność jej roszczeń do majątku Crosbiego Wellsa ma zostać ustalona przez prawo w swoim czasie... Chociaż, pomyślał Moody, nawet jeśli jej żądania są uzasadnione, to sposób ich zgłoszenia był w najlepszym razie co najmniej nieuprzejmy, w najgorszym zaś po prostu okrutny. Pojął, że nie ufa Lydii Wells bardziej niż Francisowi Carverowi – choć była to myśl nierozsądna, albowiem Moody nie poznał pani Wells, a nawet nigdy jej nie widział. Znał ją jedynie z opowieści, do tego wyjątkowo beładnej i wielowątkowej.

Potem Moody skierował myśli ku Annie Wetherell i Emery'emu Stainesowi – którzy byli ze sobą wieczorem, 14 stycznia, na kilka godzin, zanim Anna straciła przytomność, a Emery zniknął. Co naprawdę wydarzyło się tamtego wieczoru i jaką rolę świadomie bądź nieświadomie odegrali Anna i Emery w sprawie Crosbiego Wellsa? Z pozoru wyglądało na to, że Emery Staines miał w życiu mnóstwo szczęścia, Anna zaś nie miała go ani trochę – a jednak panna Wetherell przeżyła spotkanie ze śmiercią, podczas gdy Staines najprawdopodobniej nie. Moody'ego zastanawiało to, że każdy z obecnych na swój sposób spoglądał na Stainesa zawistnym okiem i był piekielnie zazdrosny o Annę. Nikt nie miał tyle szczęścia jako poszukiwacz złota, co Staines, a Anna, jako obozowa dziwka, była własnością wspólną, którą dzielili się wszyscy.

Pozostali mu jeszcze polityk i naczelnik więzienia. Moody analizował ich postępowanie razem. Alistair Lauderback, podobnie jak jego antagonistą, George Shepard, był przedstawicielem władzy, człowiekiem chronionym przed ostatecznymi konsekwencjami swoich czynów, dlatego że wszelkie zachcianki polityka zazwyczaj spełniali i wykonywali inni ludzie. Analogii było zresztą więcej. Lauderback miał wkrótce ubiegać się o mandat z okręgu Westland, a Shepard rozpocząć budowę więzienia i przytułku na terenie Pejzaż Morski. Lauderbacka łączył osobisty związek z Lydią Wells, która była jego kochanką, gdy prowadziła kasyno, natomiast Shepard znał Francisca Carvera, który siedział u niego

w zakładzie karnym w Sydney.

Moody uporządkował w myślach te nieobecne w palarni postaci w trzy pary: wdowa i przemytnik, polityk i naczelnik, poszukiwacz złota i dziwka. Sprawilo mu to przyjemność, albowiem lubił porządek i każdy modelowy układ czy wzorzec dodawał mu otuchy. Nieomal kapryśnie zastanawiał się, jaką rolę odegrał on sam w tej dziwnej plątaninie współzależności, którą dopiero należało rozwikłać. Zastanawiał się również, czy i on tworzy z kimś parę w tym gronie. Czy takim partnerem dla niego jest może Crosbie Wells? Czy jego odpowiednikiem miałyby być nieboszczyk? Moody niespodziewanie przypomniał sobie zjawę na barku „Z Bogiem” i mimo woli wstrząsnął nim dreszcz.

– Ciekawe, o czym pan myśli – powiedział Harald Nilssen i Moody zdał sobie sprawę, że zebrani już od jakiegoś czasu czekają, aż się odezwie.

Wszyscy patrzyli na niego mniej więcej z taką samą miną, wyrażającą pełne nadziei oczekiwanie i – w zależności od temperamentu – zdradzającą, tłumiaczą albo otwarcie okazującą emocje. A zatem ja mam to wszystko rozgryźć, pomyślał Moody. Mam odegrać rolę detektywa.

– Nie popędzajcie go – dodał Harald Nilssen, zwracając się do wszystkich obecnych w sali, chociaż to on zachęcał przed chwilą Moody’ego, żeby przerwał milczenie. – Niech sam zdecyduje, kiedy się odezwać.

Okazało się jednak, że Moody’emu zabrakło języka w gębie – spoglądał po zebranych, nie wiedząc, co powiedzieć.

Po upływie kolejnej chwili Pritchard pochylił się do przodu, kładąc swój smukły palec na poręczy fotela adwokata.

– Proszę posłuchać – powiedział. – Mówił pan, panie Moody, że znalazł coś w ładowni „Z Bogiem”. Coś, co kazało panu zwątpić w uczciwość kapitana. Co to było?

– Może ta skrzynia? – spytał Balfour.

– Opium? – odezwał się Mannering. – Czy to miało coś wspólnego z opium?

– Nie popędzajcie go – odezwał się znów Nilssen. – Niech odpowiada, jak i kiedy chce.

Kiedy Walter Moody wchodził tego wieczoru do palarni, nie miał zamiaru zdradzać nikomu, co mu się przydarzyło podczas rejsu z Dunedin. Ledwie był w stanie przyznać się sam przed sobą do tego, co widział, a więc tym trudniej było mu to w miarę zrozumiałe wytłumaczyć innym. Zauważył jednak, że w kontekście opowieści, którą przed chwilą usłyszał, jego niedawne przeżycia mogą się w jakiś sposób przyczynić do wyjaśnienia zagadki.

– Szanowni panowie – powiedział wreszcie – dostąpiłem tego wieczoru zaszczytu, albowiem obdarzyliście mnie zaufaniem, i dziękuję, że podzieliliście się ze mną tym, co się wam przydarzyło. W zamian mam do zaoferowania własną historię. Myślę, że w kilku

miejskach okaże się ona dla was interesująca, chociaż obawiam się, że uda mi się najwyżej zastąpić stawiane przez was pytania innymi.

– Tak, tak – powiedział Balfour. – Kolej na pana, panie Moody. Prosimy.

Moody posłusznie wstał i odwrócił się plecami do kominka, ale od razu poczuł się bardzo głupio i zaczął żałować, że nie pozostał w pozycji siedzącej. Splótł dłonie na plecach i kilka razy zakołysał się na piętach, zanim zaczął mówić.

– Najpierw chciałbym wam powiedzieć, że chyba mam pewne wieści o Emerym Stainesie – odezwał się w końcu.

– Dobre czy złe? – zapytał Mannering. – On żyje? Widział go pan?

Za każdym razem, kiedy Mannering otwierał usta, Aubert Gascoigne robił coraz kwaśniejszą minę. Nie wybaczył jeszcze i nie miał zamiaru wybaczyć bogaczowi jego grubiańskiego zachowania tego popołudnia. Gascoigne wyjątkowo źle znosił upokorzenia i bardzo długo potrafił chować urazę, a na wtrącenie ze strony Manneringa syknął głośno przez zęby z dezaprobatą.

– Nie jestem tego pewien – odparł Moody. – Muszę pana przestrzec, panie Mannering, muszę przestrzec was wszystkich, że moja opowieść zawiera kilka szczegółów, które... Jak to powiedzieć?... Nie prowadzą bezpośrednio do żadnej racjonalnej konkluzji. Mam nadzieję, że mi wybaczycie, że nie opowiedziałem wcześniej o mojej podróży. Przyznaję, że sam nie wiedziałem, co mam o niej myśleć.

Wszyscy w pokoju znieruchomieli.

– Pamiętacie zapewne, że mój rejs z Dunedin na Zachodnie Wybrzeże był bardzo burzliwy, jak również, mam nadzieję, że bilet, który zakupiłem w takim pośpiechu, nie zapewniał mi normalnej koi, lecz po prostu wąskie miejsce w ładowni. Było w niej ciemno choć oko wykol i cuchnęło – zupełnie nie nadawała się do przewozu ludzi. Dlatego kiedy przyszedł sztorm, wyszedłem na pokład, na którym spędziłem zresztą niemal całą podróż. Początkowo sztorm sprawiał wrażenie czegoś niewiele groźniejszego niż krótkotrwały atak złej pogody, bo po prostu zaczęło trochę wiać i padać. Kiedy jednak jął nabierać siły, ogarniał mnie stopniowo coraz większy niepokój. Ostrzegano nas, że morze w okolicach Zachodniego Wybrzeża jest bardzo burzliwe i podczas każdej podróży na złotodajne pola Śmierć gra tam w kości z Koszmarem. Obleciał mnie strach. Miałem przy sobie sakwojaż. Chciałem go znieść z powrotem do ładowni, sądząc, że jeśli fala zmyłaby mnie za burtę, to ocaleją moje dokumenty, dzięki którym zostałbym symbolicznie pochowany pod swoim prawdziwym nazwiskiem, jak należy. Jak pamiętacie, marynarzom w porcie podałem fałszywą tożsamość. Pokazałem im papiery należące do kogoś innego. Myśl o tym, że na moim pogrzebie może być o mnie mowa pod innym nazwiskiem...

– To straszne – powiedział Clinch.

Moody skłonił się.

– Rozumiecie, panowie. No cóż, wlokłem się więc po pokładzie, ściskając sakwojaż w rękach, i z niejakim trudem otworzyłem właz dziobowy, ponieważ wiał silny wiatr, a statkiem rzucało już na wszystkie strony. W końcu z trudem zdołałem unieść klapę i zrzuciłem sakwojaż do ładowni, ale niezbyt celnie. Zawadził zapinką o krawędź pokładu, otworzył się i wszystko z niego wypadło, musiałem więc zejść na dół po drabince pod pokład, żeby pozbierać rzeczy, a to zajęło mi sporo czasu. W środku było bardzo ciemno, ale z każdym podskokiem i przechyłem po ładowni przesuwiał się promień światła, który wpadał do wnętrza przez otwarty właz niczym przelotne spojrzenie. W powietrzu unosiła się jakaś diabelska woń. Spętane pasami i łańcuchami skrzynie stękały, wydając iście piekielne odgłosy. W ładowni było kilka skrzyń pełnych gęsi, a także stado kóz. Nieszczęsne zwierzęta beczały, ryczały i głośno manifestowały swój strach w każdy możliwy sposób. Zacząłem zbierać swoje rzeczy najszybciej, jak mogłem, nie chciałem bowiem pozostać na dole ani chwili dłużej, niż było to konieczne. W całej tej otaczającej mnie kakofonii dźwięków usłyszałem jednak jeszcze coś innego – ze skrzyni leżącej najbliżej dochodziło jak gdyby stukanie... Wściekłe i tak donośne, że przewyższało pozostałe hałasy.

Na twarzy Balfoura pojawił się wyraz najwyższej czujności.

– Brzmiało to tak – ciągnął Moody – jakby w skrzyni był uwięziony człowiek, który miota się na wszystkie strony. Krzyknąłem: „Halo!” i podszedłem bliżej, z trudem, ponieważ statkiem strasznie już rzucało, po czym usłyszałem, że ktoś ze skrzyni woła raz po raz: „Magdalena, Magdalena, Magdalena!”. Wtedy nabrałem pewności, że w środku jest właśnie człowiek, a nie szczur czy jakieś inne zwierzę. Spróbowałem wyrwać gwoździe z pokrywy, pracując najszybciej, jak się tylko dało, i w końcu udało mi się ją otworzyć. Wydaje mi się, że było około drugiej po południu – dodał Moody z lekkim naciskiem. – A w każdym razie jakieś cztery albo pięć godzin przed naszym przybyciem do portu w Hokitika.

– Magdalena – powiedział Mannering. – To Anna.

Gascoigne wyglądał na rozwścieczonego.

– Proszę mi wybaczyć. – Moody spojrzał na bogacza. – Obawiam się, że nie pojmuję. Czy panna Wetherell na drugie imię ma właśnie Magdalena?

– Imieniem Magdalena zwykle określa się dziwki – wyjaśnił Mannering.

Moody pokręcił głową, chcąc pokazać, że nadal nie rozumie.

– Tak jak o psie zazwyczaj mówi się burek, a o krowie krasula.

– Ach... Tak, teraz wiem, o co panu chodzi – powiedział Moody, myśląc w duchu, że Mannering mógł podać jakieś bardziej atrakcyjne przykłady, skoro sam zajmował się stręczycielstwem.

– Być może... – cedził słowa Benjamin Löwenthal – być może moglibyśmy zaryzykować twierdzenie, oczywiście zachowując rozsądne wątpliwości, że człowiekiem ukrytym w owej skrzyni był Emery Staines.

– Który czuł wyjątkową miętę do Anny, to na pewno – zgodził się Mannering.

– Staines znika, kiedy Carver podnosi kotwicę! – zauważył Balfour, pochylając się do przodu. – I to tego samego dnia, gdy ginie moja skrzynia! Oczywiście, oto jest odpowiedź! Staines chowa się w skrzyni... Carver ją kradnie... I odpływa!

– Ale po co? – spytał Pritchard.

– Nie widział pan przypadkiem dokumentów przewozowych tej skrzyni, co? Jej konosamentu?

– Nie, nie widziałem – odparł krótko Moody. Nie skończył jeszcze opowiadać, a nie lubił, kiedy przerywano mu w połowie występu. Jednak urzeczona publiczność w palarni już nie wiedzieć który raz tego wieczoru zmieniła się w szepczącą po kątach hałastrę, bo każdy z obecnych wypowiadał swoje przypuszczenia i wyrażał zdziwienie.

– Emery Staines... Na statku Carvera! – mówił Mannering. – Oczywiście, powstaje pytanie, czy sam się tam ukrył, bo to jest jedna możliwość, czy też dostał się na pokład przez przypadek, bo to możliwość druga. Niewykluczone też, że Carver go schwytał i z pełną świadomością postanowił uwięzić w skrzyni transportowej, to jest możliwość trzecia.

Nilssen pokręcił głową.

– Pamiętacie chyba, co powiedział pan Moody... Że wieko było zabite! Staines nie mógłby tego zrobić od wewnątrz!

– Równie dobrze można byłoby nazwać tę skrzynię trumną. Jak by w niej oddychał?

– Między sosnowymi deskami są szpary...

– Ale na pewno nie na tyle szerokie, żeby oddychać normalnie!

– A twoja skrzynia, Tom: czy zmieściłby się do niej dorosły mężczyzna?

– Tak w ogóle to jakiej wielkości są skrzynie transportowe?

– Nie zapominajcie, że Carver i Staines byli współnikami.

– Są wielkości wozu do przewożenia beczek z piwem. Musiałeś je widzieć, stoją jedna na drugiej na nabrzeżu. W takiej skrzyni mógłby się wygodnie ułożyć dorosły człowiek.

– Wspólnicy, będący właścicielami nic niewartej działki!

– To jednak niezwykle, że Staines miałby ciągle znajdować się w tej skrzyni w drodze powrotnej z Dunedin. Czy to nie jest dziwne? Wydaje się wręcz wskazywać, że Carver nie wiedział, że Staines jest na pokładzie.

– Powinniśmy pozwolić panu Moody'emu skończyć.

– Oto jak należy potraktować współnika! Zamknąć go w skrzyni, żeby się udusił!

W tej bezładnej wymianie domysłów nie brali udziału tylko dwaj Chińczycy, Quee Long

i Sook Yongsheng. Siedzieli wyprostowani, jakby połąnli kij, z wielką powagą wpatrując się w Moody'ego, jak zresztą przez cały wieczór. Moody napotkał spojrzenie Aha Sooka i chociaż wyraz twarzy Chińczyka się nie zmienił, Walter odniósł wrażenie, że maluje się na niej coś w rodzaju współczucia, jak gdyby Ah Sook chciał mu powiedzieć, że doskonale rozumie jego zniecierpliwienie.

Nieznajomość angielskiego nie pozwoliła Ahowi Sookowi opowiedzieć zebranim o jego związkach z Francisem Carverem i w rezultacie pozostali uczestnicy spotkania nie poznali szczegółów ich niegdysiejszej współpracy – wiedzieli tylko o tym, że Carver popełnił kiedyś jakieś morderstwo, a Ah Sook postanowił się na nim zemścić. Moody przyglądał mu się, wbijając swoje blade oczy w jego ciemne źrenice. Zastanawiał się, co obaj Chińczycy powiedzieli reszcie zgromadzonych. Ah Sook przyznał tylko, że znał Carvera w dzieciństwie, i nie zdradził nic więcej. Moody domyślał się, że Chińczyk ma około czterdziestu pięciu lat, co oznaczało, że urodził się we wczesnych latach dwudziestych. Być może zatem poznał się z Carverem w czasie wojen w Chinach.

– Panie Moody – powiedział Cowell Devlin. – Pozwoli pan, że zadamy mu pewne pytanie. Czy pańskim zdaniem człowiekiem w tej skrzyni mógł być Emery Staines?

W pokoju natychmiast zapadła cisza.

– Nie znałem pana Stainesa, nie mogę zatem wiedzieć, czy to był on. Ale przypuszczam, że tak – odpowiedział oficjalnym głosem Moody.

Pritchard przeprowadzał w myślach jakieś kalkulacje.

– Gdyby Staines leżał w tej skrzyni od chwili, kiedy Carver wypłynął do Dunedin, to by oznaczało, że spędził trzynaście dni bez wody i powietrza.

– Pechowa liczba – mruknął ktoś, a Moody zauważył, że w tej chwili w palarni znajdowało się trzynastu mężczyzn. Tym trzynastym był on.

– Czy to możliwe? Trzynaście dni? – spytał Gascoigne.

– Bez wody? Raczej nie. – Pritchard pogładził się po brodzie. – Ale bez powietrza to oczywiście zupełnie niemożliwe.

– Może jednak nie leżał w skrzyni od wypłynięcia z Hokitika – zasugerował Balfour. – Może zapakowano go do niej w Dunedin, chociaż czy trafił tam z własnej woli, czy zmuszono go do tego siłą...

– Nie skończyłem jeszcze opowiadać – odezwał się Moody.

– Tak – rzekł Mannering. – Całkowita racja! Pan Moody jeszcze nie skończył. Powściągnijcie języki.

Domysły ustały. Moody znowu zakołysał się na piętach i po chwili podjął opowiadanie.

– Kiedy już ustaliłem, że w tej skrzyni naprawdę znajduje się człowiek, pomogłem mu

z niej wyjść. Przyszło mi to z trudem, był bowiem bardzo osłabiony i ledwo oddychał. Wydawało się, że zużył wszystkie siły na to pukanie od środka. Rozpiąłem mu kołnierzyk, a nosił także fontaź, i kiedy to zrobiłem, zaczął krwawić z piersi.

– Skaleczył go pan niechcący? – spytał Nilssen.

Tym razem jednak Moody nie odpowiedział, tylko zamknął oczy i ciągnął dalej jak w transie.

– Krwi było coraz więcej... Bulgotała, jakby płynęła z pompy. Nieznajomy chwycił się za pierś, usiłując powstrzymać upływ krwi, i przez cały czas szlochając, powtarzał: „Magdalena, Magdalena”... Przyglądałem mu się z przerażeniem, szanowni panowie. Nie byłem w stanie nic powiedzieć. Hałas...

– Zranił się o deski skrzyni? – natarczywie powtórzył pytanie Nilssen.

– Krew dosłownie lała się z niego strumieniami – odpowiedział Moody, otwierając oczy. – To z pewnością nie było skaleczenie, proszę pana. Ja sam raczej nie mogłem go zadrapać, najwyżej paznokciem, które, jak panowie widzicie, obcinam bardzo krótko. Poza tym powtarzam, że krew zaczęła z niego uchodzić dopiero po dłuższej chwili, kiedy wyszedł już ze skrzyni i usiadł. Myślałem, że może nosił szpilkę do krawata, ale nie. Fontaź zawiązany miał na węzeł.

Pritchard zmarszczył brwi.

– A zatem musiał zostać ranny już wcześniej – powiedział. – Zanim otworzył pan skrzynię. Może nawet przed pojawieniem się pana w ładowni.

– Może – odrzekł bez przekonania Moody. – Obawiam się, że moje rozumienie tego zdarzenia jest nieco mniej...

– Jakie?

– No cóż – powiedział Moody, zbierając się w sobie. – Pozwólcie, że ujmę to w następujący sposób. Rana tego człowieka wydawała mi się... nienaturalna.

– Nienaturalna? – zapytał Mannering.

Moody sprawiał wrażenie zmieszanego. Wierzył w analityczne możliwości rozumu; wierzył w logikę z takim samym spokojnym przekonaniem, z jakim ufał we własną zdolność jej postrzegania. Z jego punktu widzenia prawdę można było udoskonalić, a doskonała prawda jest zawsze nieskończenie piękna i absolutnie jasna. Wspominaliśmy już, że Moody był niewierzący – a zatem nie dostrzegał prawdy w tajemnicy, w tym, co niewytłumaczalne i niewyjaśnione, w owych mglistych oparach, utrudniających człowiekowi obserwację naukową niczym prawdziwe chmury, które właśnie zasłoniły niebo nad Hokitika.

– Wiem, że brzmi to dziwnie, ale właściwie nie jestem nawet pewien, czy ten człowiek ze skrzyni w ogóle jeszcze żył. W półmroku ładowni... i... – Moody urwał, po czym dodał

bardziej chrapliwym głosem: – Pozwólcie, że powiem tak: nie jestem pewien, czy w ogóle powinienem zwać tę istotę człowiekiem.

– A czym mogłaby być? – zapytał Balfour. – Czym, jeśli nie człowiekiem?

– Zjawą – odparł Moody. – Jakiegoś rodzaju widziadłem. Duchem. To głupio brzmi, wiem o tym. Być może Lydia Wells byłaby w stanie opisać to lepiej ode mnie.

Nastąpiła chwila ciszy.

– Co było potem, panie Moody? – spytał Frost.

Adwokat zwrócił się do bankowca.

– Obawiam się, że potem zachowałem się jak tchórz. Odwróciłem się, chwyciłem sakwojaż i wbiegłem po drabince na górę. Zostawiłem go tam, ciągle krwawiącego.

– Nie przypuszczam, żeby zauważył pan konosament na skrzyni... – stwierdził Balfour, ale Moody nie zareagował na te słowa.

– Czy wtedy widział go pan po raz ostatni? – spytał Löwenthal.

– Tak – odrzekł z ciężkim sercem Moody. – Nie ośmieliłem się powtórnie zejść do ładowni... A kiedy wylądowaliśmy w Hokitika, pasażerów przewoziła na brzeg łódka. Jeżeli ten mężczyzna nie był zjawą... Jeżeli był to Emery Staines... to wciąż przebywa na pokładzie „Z Bogiem”, jeszcze w tej chwili. Oczywiście podobnie jak Francis Carver. Są niedaleko brzegu, tuż za ujściem rzeki, i czekają na przyływ. Ale może wszystko mi się to zwidziało. Ten człowiek, ta krew... Nigdy wcześniej nie miałem halucynacji, ale... No cóż, widzicie, że niczego nie jestem pewny. Wtedy jednak nie miałem żadnych wątpliwości, że ujrzałem ducha.

– Bo może faktycznie tak było – powiedział Devlin.

– Może – odrzekł Moody, pochylając głowę jak w ukłonie. – Przyjmę takie wyjaśnienie jako prawdziwe, jeśli znajdą się po temu wystarczająco nieodparte dowody. Proszę mi jednak wybaczyć, jeżeli przyznam, że jest to wytłumaczenie fantastyczne.

– Duch czy nie duch, wygląda na to, że wreszcie zbliżamy się do jakiegoś rozwiązania – odezwał się Löwenthal, który wyglądał na bardzo zmęczonego. – Jutro rano, kiedy pan Moody uda się na nabrzeże po swój kufer...

Wypowiedź Löwenthala została jednak przerwana. Drzwi palarni nagle się otworzyły i tak gwałtownie uderzyły o ścianę, że wszyscy w pokoju drgnęli, zaskoczeni. Odwrócili się jednocześnie i zobaczyli w progu zdyszanego chłopaka, służącego Manneringa, który trzymał się za bok.

– Światła – wyrzucił z siebie.

– Co się stało? – zapytał Mannering, podnosząc się. – Jakie światła? Co się stało?

– Światła na cyplu – odpowiedział chłopak, ciągle trzymając się za bok, bo z trudem łapał

oddech.

– Mów, o co chodzi!

– Nie mogę... – Chłopak zaczął kaszleć.

– Dlaczego, na Boga, biegleś?! – krzyknął Mannering. – Miałeś stać na zewnątrz! Miałeś stać w jednym miejscu, niech cię diabli porwą! Nie płacę ci za to, żebyś urządzał sobie jakieś spacer!

– To „Z Bogiem” – zdołał wykrztusić chłopak.

Wszyscy w pokoju nagle znieruchomieli.

– „Z Bogiem”? – szczechnął Mannering, wybałuszając oczy. – Co się z nim stało? Gadaj, ty idioto!

– Światła nawigacyjne na cyplu – odpowiedział chłopak. – Zgasły... na wietrze... i przypływ...

– Co się stało?

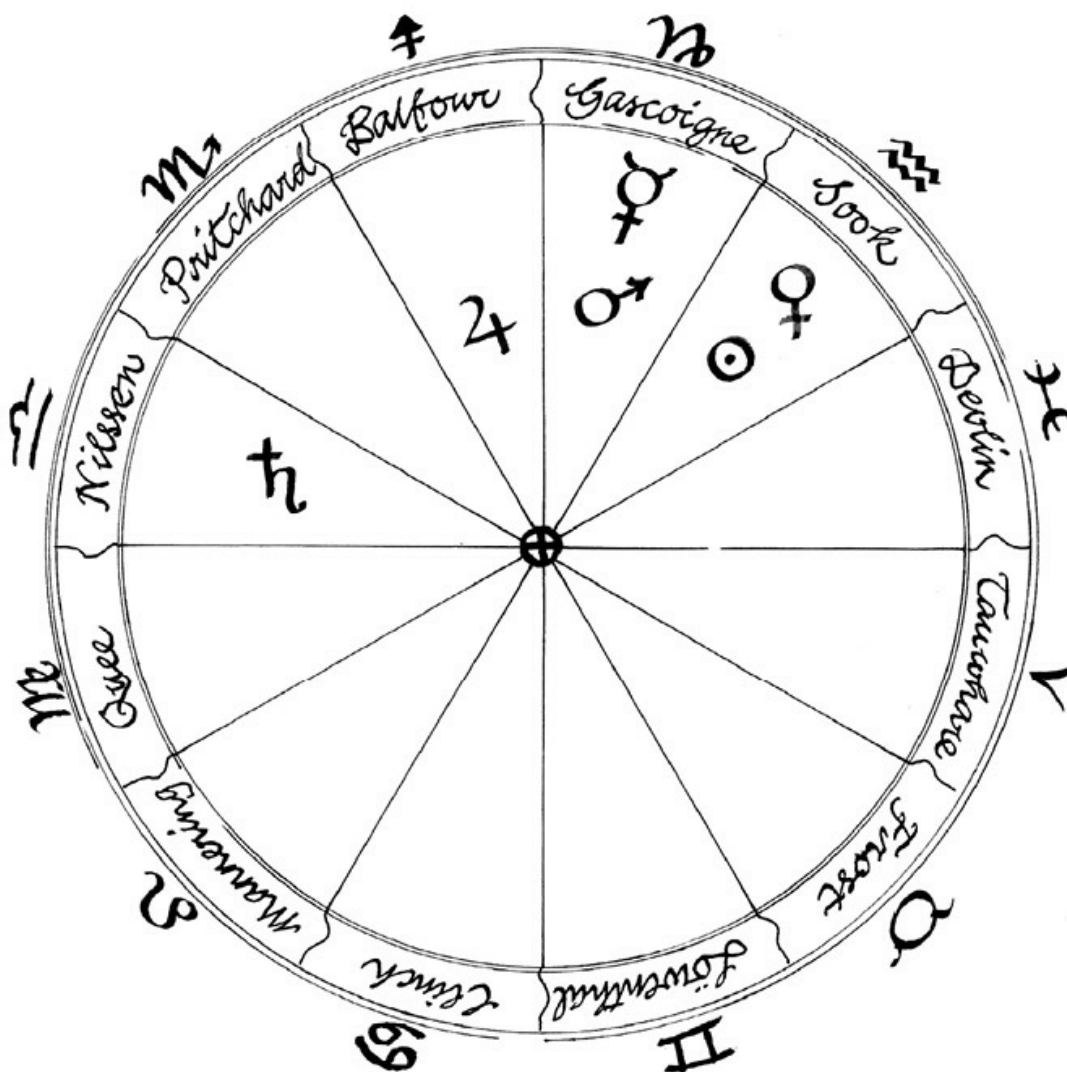
– „Z Bogiem” się rozbił – odrzekł chłopak. – Zatonął na tej piaszczystej łasze... Przewrócił się na bok niecałe dziesięć minut temu. – Chrapliwie zaczerpnął tchu. – Pękł na nim grotmaszt... a potem statek wywrócił się do góry dnem, woda wdarła się do środka przez włazy i pociągnęła go na dno. Już jest po barku, szanowny panie. Już po nim. Rozbił się.

CZĘŚĆ DRUGA

Przepowiednie

18 lutego 1866 roku

42°43'0"S / 170°58'0"E



EKLIPTYKA

Rozdział, w którym zmieniają się pewne zależności, o czym niezbitcie zaświadcza nasze oblicze

Minęły trzy tygodnie, odkąd Walter Moody po raz pierwszy postawił stopę na piasku Hokitika, odkąd w hotelu Korona zebrała się tajna rada i bark „Z Bogiem” znalazł się pośród innych statków rozbitych na piaszczystej łasze. Gdy któryś z dwunastu uczestników narady wita się teraz z innymi, czyni to porozumiewawczo, jak kiedy wolnomularz spotyka członka swego cechu w świetle dnia i wymienia z nim zarazem wymowne i poważne spojrzenie. Dick Mannering skinął głową Cowellowi Devlinowi na głównej ulicy Kaniere, Harald Nilssen dwukrotnie uchylił kapelusza na widok Thomasa Balfoura, a Charlie Frost wymienił poranne pozdrowienia z Josephem Pritchardem, stojąc w kolejce po śniadanie w taniej jadłodajni. Wspólny sekret zawsze wzmacnia nową przyjaźń, podobnie jak przekonanie, że winny jest ktoś spoza kręgu przyjaciół – zauważmy więc, że ludzie z hotelu Korona zjednoczyli się nie tyle z uwagi na swoje wspólne poglądy, ile na złe przeczucia, których źródło leży głównie poza kręgiem osób biorących udział w spotkaniu. Przyjrząwszy się bliżej z różnych punktów widzenia Alistairowi Lauderbackowi, George’owi Shepardowi, Lydii Wells, Francisowi Carverowi, Annie Wetherell i Emery’emu Stainesowi, uczestnicy narady w hotelu Korona zaczęli stawać się coraz bardziej podatni na sugestie, chociaż nic nie zostało udowodnione, nikt nie stanął przed sądem i nie wypłynęła na jaw żadna nowa informacja. Zapatrywania zainteresowanych przybrały mniej realistyczną postać, ich hipotezy stały się mniej praktyczne, a rady bardziej oderwane od rzeczywistości. Niepotwierdzone podejrzenie z czasem staje się uporczywe, zwodnicze i pada ofiarą zmienności naszych nastrojów, nabierając cech pospolitego przesądu – a mężczyźni z hotelu Korona, których wzajemny związek został właśnie zszyty jasną nitką czasu i ruchu, nie są przecież odporni na wpływy zewnętrzne, podobnie jak wszyscy ludzie.

Planety zmieniły bowiem położenie na wirującym płótnie niebios, pełnym gwiazd. Słońce przesunęło się o jedną dwunastą po nachylonym kole swojej ekliptyki, a wraz z tym jego ruchem nastaje nowy porządek świata, nowa perspektywa całości. Gdy Słońce stało w znaku Koziorożca, byliśmy wycofani, wymagający i wyniośle zdystansowani. Patrząc na człowieka, szukaliśmy sposobów, żeby go ulepszyć, opłakiwaliśmy jego porażki i mierzyliśmy zdolności. Nie potrafiliśmy sobie wyobrazić, kim mógłby się stać, gdyby został zmuszony sprzeniewierzyć się swojej naturze, albo jeszcze lepiej: gdyby sprzeniewierzył się sam sobie, nie ulegając przy tym jakiegokolwiek pokusie. Prawda nie istnieje jednak inaczej niż relatywnie, a na stosunki niebieskie składają się ruchome koła, pochylone osie i wirujące tarcze – jest to mechaniczna orkiestracja, która zmienia się z każdą chwilą, nigdy się nie powtarza i nie stoi w bezruchu. Nie znajdujemy się już pod ochroną klasztoru reminiscencji. Teraz spoglądamy przed siebie, przez fantazmat własnych przeświadczeń: widzimy świat tak, jak mógłby wyglądać, gdyby udało nam się go udoskonalić, i wyobrażamy sobie, że go zamieszkujemy.

BARAN W TRZECIM DOMU

*Rozdział, w którym Te Rau Tauwhare wybiera się na poszukiwanie pracy,
a propozycje Löwenthala zostają odrzucone*

Drzwi redakcji na ulicy Rezedowej Te Rau Tauwhare zastał otwarte i podparte wieszakiem na kapelusze, a z wnętrza dobiegało go pogwizdywanie. Wszedł bez pukania i skierował się na zaplecze, gdzie redaktor, Benjamin Löwenthal, siedział przy stole, pracując nad poniedziałkowym wydaniem gazety „Czas Zachodniego Wybrzeża”.

W lewej ręce Löwenthal trzymał stalowy wierszownik, mniej więcej wielkości uczniowskiej linijki, a prawą wybierał i zręcznie układał w nim maleńkie kostki czcionek, skierowane wybrzuszeniami na zewnątrz. Zadanie to wymagało nie tylko umiejętności czytania od prawej do lewej, lecz także do góry nogami, albowiem tekst w wierszowniku był zarówno lustrzanym odbiciem druku, jak i odwrócony. Kiedy wers był gotowy, Löwenthal wsuwał go w formę, na płaską, stalową tacę, nieco większą od stronicy gazety. Pod wierszami umieszczał cienkie paski ołowiu, by zaznaczyć odstęp między nimi, a od czasu do czasu także wypukłą mosiężną linijkę, chcąc uzyskać wyraźne podkreślenie. Kiedy wsunął ostatni wers do formy, obłożył tacę drewnianymi klinami i wbił je na miejsce drewnianym młotkiem, żeby się dobrze trzymały. Następnie wyrównał czcionki w wierszowniku kawałkiem szerokiej deski, albowiem wszystkie czcionki powinny znajdować się na tej samej wysokości. W końcu zamoczył wałek w kuwecie z farbą drukarską i pokrył wierszowniki cienką warstwą połyskliwej czerni. Pracował szybko, aby farba nie zdążyła wyschnąć, po czym nakrył czcionki drzącą stronicą gazetowego papieru. Zawsze drukował pierwsze strony ręcznie, bo wtedy przed wsunięciem formy pod prasę drukarską mógł wyszukać błędy na odbitkach. Z przypadku czy niedbalstwa popełniał ich jednak niewiele, z natury był bowiem niemal maniakałnym perfekcjonistą.

Powitał Tauwharego bardzo ciepło.

– Wydaje mi się, że nie widziałem pana od tamtej nocy, kiedy zatonął „Z Bogiem”, panie Tauwhare – powiedział. – Czy to możliwe?

– Tak – odrzekł obojętnie Maorys. – Byłem na północy. – Tauwhare zerknął na stół Löwenthala: kaszty pełne czcionek, garnki z farbą drukarską i ługiem, szczotki, pincety, drewniane młotki, ołowiane i mosiężne klocki, miska pokrytych już plamkami jabłek, nóż do owoców.

– Dopiero co pan wrócił, tak?

– Dziś rano.

– Cóż, chyba wiem dlaczego.

Tauwhare zmarszczył brwi.

– Skąd pan może wiedzieć?

– Jak to? Na seans spirytystyczny naszej wdowy! Czy nie mam racji?

Tauwhare przez chwilę milczał, a potem podejrzliwym głosem zapytał:

– Co to jest seans spirytystyczny?

Löwenthal zachichotał. Odłożył wierszownik, przeszedł na drugą stronę izby i wziął do ręki sobotnią gazetę, która leżała złożona przy umywalce.

– Proszę – powiedział. Otworzył ją na drugiej stronie, stuknął ubrudzonym farbą palcem w ogłoszenie i podał Tauwharemu. – Powinien pan się tam zjawić. Nie na samym seansie, na to potrzeba specjalnego biletu, ale na poprzedzającym seans przyjęciu.

Ogłoszenie zajmowało dwie kolumny. Wydrukowano je tłustym, osiemnastopunktowym drukiem, który Löwenthal rezerwował zwykle dla tytułów oraz wyjątkowo ważnych nagłówek, i obwiedziono grubą, czarną ramką. Dawny hotel Wędrowiec, obecnie Fortuna Wędrowca, którego właścicielką i kierowniczką była pani Lydia Wells, wdowa po Crosbie Wellsie, zamieszkała wcześniej w mieście Dunedin, miał otworzyć swe podwoje dla publiczności po raz pierwszy właśnie tego wieczoru. Chcąc uczcić tę okazję, pani Wells, znane medium, zgodziła się zorganizować pierwszy seans spirytystyczny w Hokitika. Mieli w nim wziąć udział nieliczni, elitarni goście, bilety zostałyby zaś rozdysponowane według zasady „kto pierwszy, ten lepszy”. Przedstawienie poprzedzał jednak „wieczór napitków i hipotez”, otwarty dla wymagającej publiczności, którą ogłoszenie zachęcało do licznego przybycia i otwarcia umysłów.

Jeśli chodzi o to ostatnie zalecenie, to zapewne łatwiej byłoby je wypowiedzieć, niż zrealizować, gazeta informowała bowiem, że celem seansu ma być ujawnienie – dzięki nadzwyczaj wrażliwemu instrumentowi, jakim była sama pani Wells – pewnych duchowych wibracji, których interpretacja otworzyłaby kanał łączności między tym a tamtym światem, umożliwiając medium nawiązanie kontaktu z umarłymi. Jeśli chodzi o szeroki asortyment zmarłych, to pani Wells szczególnie starannie i z wielką pewnością siebie wybrała jednego z nich; zamierzała mianowicie przywołać cień pana Emery’ego Stainesa, który nie powrócił wciąż do Hokitika, choć po pięcioletniej nieobecności nadal nie znaleziono jego ciała.

Wdowa nie sprecyzowała, o co chce zapytać ducha pana Stainesa, ale powszechnie sądzono, że przede wszystkim spróbuje się dowiedzieć, w jaki sposób młodzieniec stracił życie. Każde profesjonalne medium powie wam, że duch osoby zamordowanej jest o wiele rozmowniejszy aniżeli duch człowieka, który zszedł z tego świata śmiercią naturalną – a Lydia Wells, czego nie musimy chyba dodawać, była w tych sprawach specjalistką naprawdę wysokiej klasy.

– Co to jest seans spirytystyczny? – zapytał znów Tauwhare.

– To kompletna głupota – odpowiedział pogodnie Löwenthal. – Lydia Wells ogłosiła całemu Hokitika, że porozumie się z duchem Emery’ego Stainesa, i więcej niż połowa mieszkańców naszego miasta trzyma ją za słowo. Sam seans to po prostu przedstawienie.

Lydia wejdzie w trans, co będzie wyglądało tak, jak gdyby dostała spazmów albo wylewu, a potem powie kilka słów męskim głosem i sprawi, że niespodziewanie poruszają się zasłony w oknach albo zapłaci jakiemuś chłopcu pensa, aby wszedł do komina i krzyczał coś przez otwór. To tandetny teatr. Oczywiście wszyscy wrócą do domów przekonani, że nawiązali kontakt z duchem zmarłego. Powiedział pan, że gdzie był?

– W Mawhera – odrzekł Tauwhare. – W Greymouth. – Wciąż przypatrywał się gazecie ze zmarszczonymi brwiami.

– O panu Stainesie nic pewnie tam nie wiadomo.

– Nie.

– Tutaj też nie. Przykro mi to mówić, ale właściwie tracimy już nadzieję. Może poznamy jednak jakieś wskazówki dzisiejszego wieczoru. Prawdziwym powodem moich podejrzeń, pojmuję pan, jest pewność pani Wells, że pan Staines nie żyje. Jeżeli ona o tym wie, to co jeszcze jest jej wiadomo i skąd? Och, panie Tauwhare, przez ostatnie dwa tygodnie ludzie pytlowali jak najęci. Nie opuściłbym tego przyjęcia za nic w świecie. Bardzo żałuję, że nie udało mi się zdobyć biletu.

Wdowa postanowiła bowiem ograniczyć liczbę uczestników seansu do zaledwie siedmiu osób, jako że siódemka to cyfra magiczna, roztaczająca mroczną, tajemniczą aurę, i Löwenthal, który stawiał się w Fortunie Wędrowca mniej więcej za piętnaście dziewiąta, ku swojemu ogromnemu żalowi dowiedział się, że wszystkie miejsca zostały już zajęte. (Spośród uczestników narady w hotelu Korona jedynie Charlie Frost i Harald Nilssen zdołali kupić bilety). Löwenthal i wielu innych rozczarowanych mieszkańców musieli zadowolić się obecnością na „wieczorze napitków i hipotez” i wyjść przed oficjalnym przeprowadzeniem seansu. Löwenthal próbował odkupić bilet za podwójną cenę od kogoś ze szczęśliwej siódemki, ale bez powodzenia. Frost i Nilssen odmówili wprost, chociaż Nilssen obiecał, że kiedy będzie po wszystkim, opowie wydawcy dokładnie o przebiegu seansu, Frost zaś zaproponował, by Löwenthal pomógł mu opracować jakąś strategię rozpoznawczą przed spektaklem.

– Trzy szylingi za wejście – podpowiedział Löwenthal, bo nie był pewien, czy Tauwhare umie czytać i czy nie kryje się ze swoim analfabetyzmem.

– Trzy szylingi? – odpowiedział Maorys, podnosząc wzrok, była to bowiem wyjątkowo wysoka opłata jak na wieczorną zabawę. – Za co?

Löwenthal wzruszył ramionami.

– Lydia Wells wie, że może wyznaczyć taką cenę, jaka jej się podoba, i tak właśnie robi. Może pokryje pan w ten sposób koszty brandy, jeśli będzie pan pił odpowiednio szybko, bo wdowa urządziła to w ten sposób, że płaci się tylko za pierwszego drinka, a za następne już nie. Ale ma pan słuszność, to rozbój w biały dzień. Oczywiście, co drugi gość aż przebiera nogami, by porozmawiać z Anną. To ona jest prawdziwą atrakcją imprezy: jej prawdziwym

magnesem! Wie pan, że od trzech tygodni prawie nie widuje się panny Wetherell za progiem Fortuny Wędrowca. Bóg jeden wie, co się z nią działo w tym czasie.

– Chciałbym zamieścić u pana ogłoszenie – rzekł Tauwhare. Rzucił gazetę na biurko, dość niegrzecznie, aż ześlizgnęła się po formie drukarskiej.

– Oczywiście – odpowiedział z dezaprobatą Löwenthal i sięgnął po ołówek. – Przygotował pan treść?

– Maoryski przewodnik, bardzo doświadczony, z biegłą znajomością angielskiego, znający okolicę i miejscowe zwyczaje, oferuje swoje usługi geodetom, poszukiwaczom złota, badaczom i tak dalej. Sukces i bezpieczeństwo gwarantowane.

– Geodetom, poszukiwaczom złota, badaczom – powtórzył Löwenthal, pisząc. – Sukces i bezpieczeństwo. Tak, bardzo dobrze. A potem podpiszę to pańskim nazwiskiem, tak?

– Tak.

– Będzie mi też potrzebny adres. Zatrzyma się pan w mieście?

Tauwhare zawahał się. Planował wrócić do Doliny Arahura tego wieczoru i spędzić noc w opustoszałym domku Crosbiego Wellsa, nie chciał jednak zdradzać tego Löwenthalowi, biorąc pod uwagę jego bliską znajomość z Edgarem Clinchem, człowiekiem, do którego oficjalnie należała teraz posiadłość.

Edgar Clinch był częstym obiektem rozmyślań Tauwharego od czasu spotkania w hotelu Korona przed trzema tygodniami, albowiem pomimo wszystkich przeprowadzonych w ostatnim dziesięcioleciu transakcji między Maorysami i Pakehami – czyli białymi – Te Rau Tauwhare uważał wciąż Dolinę Arahura za swoją własność i zawsze bardzo się złościł, ilekroć jakikolwiek kawałek ziemi, należący do Te Tai Poutini, kupowany był dla zysku zamiast pod uprawę. O ile Tauwhare wiedział, Clinch nie mieszkał dłużej w Arahura przed sprzedażą domku, a od czasu, kiedy go zakupił, nawet nie zadał sobie trudu, żeby obejść posiadłość, która obecnie według prawa należała do niego. Po co ją kupił? Czy zamierzał się tam osiedlić? Chciał uprawiać ziemię? Ścinać tamtejsze drzewa? Zbudować tamę na rzece? A może wykopać szyb w ziemi i wydobywać złoto? Na razie z pewnością nie zrobił z domkiem Crosbiego nic poza tym, że ogołocił go ze wszystkiego, co tylko mógł sprzedać – i nawet to zrobił przez pełnomocnika. Była to czysta dywidenda, niewymagająca żadnych zdolności, miłości ani długich godzin cierpliwej pracy, zatem można było ją zmarnować, albowiem powstała z marności i w marność miała się obrócić. Tauwhare nie potrafił szanować człowieka, który traktował ziemię jak coś w rodzaju waluty. Ziemi nie da się bić w żadnej mennicy! Na ziemi można tylko żyć i ją kochać.

Te Rau Tauwhare nie był hipokrytą w takich sprawach. Przemierzył każdy cal Zachodniego Wybrzeża pieszo, wozem, konno i w czółnie. Potrafił wyobrazić sobie pas tych ziem jak na bogato ilustrowanej mapie: na dalekiej północy Mohikinui i Karamea, gdzie mchy były bujne i wilgotne, listowie woskowate, splecione krzewy pachniały ziemią, a spadłe z palm nikau

liście wyglądały jak wielorybie ogony. Dalej na południu płynęła przypominająca brązową emalię rzeka Taramakau; ciągnęły się tam też ząbkowane wieże gór w Punakaiki. Po północnej stronie Hokitika leżały bagniste równiny, na których niezmiennie snuły się dymne opary wilgoci, niemal mżawki. W tej okolicy były także nieckowate jeziora, milczące, gęste od zieleni doliny i kręte flanki lodowców, pomarszczonych błękitem i szarością. Dalej wznosił się grzebień wysokich Alp, a na końcu, na dalekim południu, Okahu i Mahitahi – szerokie, łupkowe plaże, usiane kośćmi potężnych drzew, nieustannie smagane przez fale i ryczący wiatr. Za Okahu wybrzeże stawało się strome i nieprzebyte. Tauwhare wiedział, że jeszcze dalej leżą głębokie wody południowych fiordów, gdzie słońce wcześniej zachodzi za wyrastającymi niespodzianie wierzchołkami gór, woda przybiera więc tam szerniawy kolor zaśniedziałego srebra, a cienie rozlewają się niczym oleiste kałuże. Tauwhare nigdy nie widział Piopiotahi, słyszał jednak opowieści o niej i kochał ją, była to bowiem ziemia Te Tai Poutini.

Tak wyglądała wstęga Zachodniego Wybrzeża – a w samym jej sercu płynęła rzeka Arahura, *taongam wahi tapu, he matahiapo i te iwi!* Jeśli Arahura była równikiem Tauwharego – przebiegała bowiem przez sam środek ziem Te Tai Poutini – to domek Crosbiego, usytuowany w dolinie mniej więcej w pół drogi między górami i oceanem, stanowił dla niego południk. A jednak nie mógł wziąć domku w posiadanie; nie mogło wziąć go w posiadanie jego *hapu*, podobnie jak jego *iwi*. Nim ciało Crosbiego Wellsa powierzono ziemi, setki jej akrów w Dolinie Arahura kupił pewien żądny zysku Pakeha i przysiągł na swój honor, że nabył ją uczciwie. Powiedział, że nie dokonał oszustwa, a już na pewno nie złamał żadnych praw.

– Stanie pan w jakimś hotelu? – zapytał Löwenthal. – Albo noclegowni? Wystarczy mi tylko nazwa.

– Nie mam adresu w mieście – powiedział Tauwhare.

– No cóż – rzekł Löwenthal, przychodząc mu z pomocą. – W takim razie napiszę, żeby oferty składać w siedzibie wydawcy gazety przy ulicy Rezedowej. Co pan na to? Może pan przyjść do mnie później w tym tygodniu i spytać, czy ktoś odpowiedział na pańskie ogłoszenie.

– Tak będzie dobrze – rzekł Tauwhare.

Löwenthal czekał na jakieś wyrazy wdzięczności, ale Maorys milczał.

– Doskonale – dodał chłodno po chwili wydawca. – Sześć pensów za tydzień na łamach. Za dwa tygodnie dziesięć, za miesiąc szyling i sześć pensów. Oczywiście płatne z góry.

– Tydzień – powiedział Tauwhare, ostrożnie wysypując na dłoń zawartość swojego pugilaresu. Niewielki stos pensów i ćwierćpensówek dowodził niezbitcie, że Maorys potrzebuje pracy. Od czasu spotkania w hotelu Korona jego jedyny dochód stanowił srebrny szyling, którego wygrał przed dwoma tygodniami w zawodach atletycznych. Po zapłaceniu Löwenthalowi ledwo wystarczyłoby mu na jedzenie przez kilka kolejnych dni.

Löwenthal przyglądał się, jak Te Rau Tauwhare odlicza monety, a potem już uprzejmiejszym głosem powiedział:

– Niech pan posłucha, panie Tauwhare: jeśli brakuje panu gotówki, może zechce pan udać się na cypel. Na Nabrzeżu Gibsona potrzebują robotników. Może pan nie słyszał, ale przed godziną odezwał się dzwon. Widzi pan, „Z Bogiem” wreszcie wyciągnięto z wody i poszukują ludzi, którzy wyładują towar z wraku.

Dwa holowniki od trzech tygodni wciągały bark na płytsze wody, po czym statek podniesiono na ułożone wzdłuż brzegu rolki i w końcu właśnie tego dnia przy porannym odpływie „Z Bogiem” wydobyły z wody szkockie konie, chodzące w kołowrocie. W tej chwili jednostka leżała na cyplu poza zasięgiem fal niczym strzaskany olbrzym, chociaż raczej taki, który runął z nieba, niż został wyrzucony przez morze. Löwenthal, zajrzawszy po drodze na cypel, pomyślał, że „Z Bogiem” wygląda tak, jakby spadł z wielkiej wysokości i roztrzaskał się na miejscu. Wszystkie trzy maszty miał złamane u podstaw, a bez żagli i olinowania wydawał się obdarty. Po wyładowaniu towarów i zdemontowaniu różnych urządzeń statek miał zostać pocięty i sprzedany na złom oraz części zamienne.

– A skoro już o tym mowa – ciągnął dalej Löwenthal – to dobrze, żeby ktoś z nas był przy rozładowywaniu towarów. Wie pan, z uwagi na tę skrzynię Toma... I na to, co pan Moody podobno widział w ładowni, cokolwiek by to było. Mógłby pan być naszymi oczami i uszami, panie Tauwhare. Ma pan idealny pretekst, jeśli brakuje panu pieniędzy, a szuka pan uczciwej pracy. Nikt nie będzie pytać, skąd pan przychodzi.

Tauwhare pokręcił jednak głową. Poprzysiął sobie w duchu, że już nigdy, przenigdy i pod żadnym pozorem nie będzie robił interesów z Francisem Carverem.

– Nie imam się każdej pracy – powiedział, kładąc sześć pensów na kontuarze.

– Niech pan pójdzie na „Z Bogiem” – nalegał Löwenthal. – Nikt nie będzie pana o nic pytał. Ma pan doskonały pretekst.

Tauwhare nie lubił jednak przyjmować cudzych rad, nawet jeśli stały za nimi dobre intencje.

– Zaczekam, aż trafi mi się praca z mierniczymi – powiedział.

– To może pan długo czekać.

Maorys wzruszył ramionami.

– Niewykluczone.

Löwenthal zaczął tracić cierpliwość.

– Nie rozumie pan – powiedział. – Ma pan okazję oddać przysługę nam, a przy okazji i sobie. Bez biletu nie dostanie się pan na przyjęcie u wdowy, a z pustą sakiewką biletu pan nie kupi. Proszę pójść na Nabrzeże Gibsona, popracować tam dzień i pomóc w ten sposób

nam wszystkim.

– Nie chcę iść na przyjęcie.

Löwenthal nie wierzył własnym uszom.

– A to dlaczego, u licha?

– Bo powiedział pan, że to jest głupie. Że to teatr.

Na chwilę zapadło milczenie, a potem Löwenthal spytał:

– Wie pan, że sprowadzili śledczego? Niejakiego pana Johna Fellowesa z policji w Greymouth. Został wyznaczony do wyjaśnienia sprawy Crosbiego Wellsa.

Tauwhare wzruszył ramionami.

– Zbiera już informacje – ciągnął Löwenthal – żeby się zorientować, czy trzeba rozpocząć śledztwo. Przygotowuje raport dla sędziego Sądu Najwyższego, a Sąd Najwyższy oznacza morderstwo, panie Tauwhare. Oskarżenie o morderstwo.

– Ja nie maczałem palców w tym morderstwie – odpowiedział Tauwhare.

– Może i nie, ale obaj wiemy, że jest pan w to zamieszany, tak samo jak my wszyscy. Niech się pan zgodzi! Pan Moody zobaczył coś pod pokładem „Z Bogiem” i ma pan doskonałą okazję, żeby się dowiedzieć, co to było.

Ale Tauwhare nie dbał o to, co pan Moody widział albo czego nie widział.

– Zaczekam na uczciwą pracę – powtórzył.

– Obowiązuje pana pewna lojalność.

Na te słowa Tauwhare oburzył się.

– Nie złamałem przysięgi – powiedział.

Löwenthal wyciągnął rękę, nakrył stosik pensówek dłonią i zgarnął je do kieszeni fartucha.

– Nie chodzi mi o ludzi z hotelu Korona – powiedział. – Myślę o pańskim dobrym przyjacielu, Crosbiem Wellsie. Ostatecznie mówimy o wdowie po nim. O jego wdowie, jego spadku i jego pamięci. Oczywiście zrobi pan, co pan zechce, ale ja na pańskim miejscu postarałbym się być dzisiaj na tym przyjęciu.

– Po co? – Tauwhare pogardliwie wypluł te słowa.

– Po co? – powtórzył Löwenthal, podnosząc znowu wierszownik. – A po co okazywać lojalność przyjacielowi? Po prostu wydaje mi się, że jest mu pan to winien, skoro sprzedał pan Wellsa takiemu człowiekowi jak Francis Carver.

JOWISZ W STRZELCU

Rozdział, w którym Thomas Balfour zapomina na chwilę o dyskrecji, stare tematy wracają, a Alistair Lauderback pisze skargę

Alistair Lauderback nie był w Hokitika od środy rano, głównie dlatego, że wrak „Z Bogiem” było widać w całej okazałości z jego apartamentów w hotelu Pałac, a widok tego statku dręczył go bezustannie. Gdy zaproponowano, aby wygłosił przemówienie w ratuszu w Greymouth i przeciął wstęgę na nowym szybie górniczym w okolicach Kumara, ciepło i bez namysłu przyjął oba zaproszenia. W chwili kiedy do niego dołączamy – czyli gdy Tauwhare wychodzi od Löwenthala – Lauderback przedziera się szybkim krokiem przez bagna Kumara ze sportowym karabinem marki Sharps na ramieniu i sakwą śrutu w dłoni. Obok niego podąża jego przyjaciel, Thomas Balfour, podobnie uzbrojony i zarumieniony ze znacznego wysiłku. Cały ranek spędzili na polowaniu, a teraz wracali do koni, uwiązanych na skraju doliny i widocznych z oddali jako biała i czarna plamka na tle nieba.

– Ależ to był dzień! – wykrzyknął Lauderback, mając na myśli zarówno swoje doznania, jak i Balfoura. – Wspaniały, do diabła! Właściwie to nawet można prawie mu wybaczyć deszcz, prawda? Zwłaszcza jeśli na koniec wychodzi słońce, jak teraz.

Balfour roześmiał się.

– Wybaczyć: może. Ale nie zapomnieć. Przynajmniej ja tego nie potrafię.

– To wspaniały kraj – rzekł Lauderback. – Spójrz na te barwy! Nowozelandzkie kolory obmywane przez nowozelandzki deszcz.

– A my jesteśmy nowozelandzkimi patriotami – rzekł Balfour. – Ten widok jest cały nasz, panie Lauderback. Wystarczy chcieć go chłonąć.

– W rzeczy samej – powiedział Lauderback. – Jesteśmy patriotami natury!

– Niepotrzebna nam flaga – odpowiedział Balfour.

– Mamy ogromne szczęście. Pomyśl, jak niewielu ludzi widziało to, co my. Pomyśl, jak niewielu ludzi stąpało po tej ziemi.

– Na pewno było ich więcej, niż nam się wydaje – zauważył Balfour – skoro ptaki nauczyły się odfruć na nasz widok.

– Za bardzo pochlebiasz tym stworzeniom, Tom – rzekł Lauderback. – Ptaki są bardzo głupie.

– Przypomnę ci o tym, kiedy następnym razem wrócisz do domu z dwiema kaczkami i długą opowieścią o tym, jak udało ci się je złapać w sidła.

– Dobrze. Ale mimo wszystko każę ci jej wysłuchać.

Thomas Balfour powitał tę żartobliwą wymianę zdań z wielkim zadowoleniem. Przez trzy

ostatnie tygodnie Lauderback stanowił wyjątkowo nieciekawe towarzystwo, a agent spedycyjny już od dawna miał dosyć jego chimerycznych nastrojów, polityk bywał bowiem na przemian wybuchowy, złośliwy i zgorzkniały. Ilekroć rozwiewały się jego nadzieje, zachowywał się jak dziecko, a po zatonięciu „Z Bogiem” zmienił się i zaczął zachowywać mało elegancko. Ciągłe poszukiwał towarzystwa tłumów, ponieważ pragnął, żeby bezustannie ktoś przy nim był i mu usługiwał. Nie chciał zostawać sam ani przez chwilę i protestował, kiedy musiał się obejść bez towarzystwa. Jego wizerunek publiczny się nie zmienił – na mównicy był wylewny i przekonujący – ale prywatnie zrobił się z niego najprawdziwszy tetryk. Wystarczyło byle głupstwo, a zaraz wpadał w złość i jawnie szydził ze swoich dwóch oddanych adiutantów, którzy kładli jego zmienne nastroje na karb męczącego życia politycznego i nie próbowali z nimi walczyć. W ostatnią niedzielę dostali wolny dzień, nie mieli bowiem własnych karabinów, a Lauderback nie chciał im pożyczyć swoich. Dlatego postanowili spędzić czas nieobecności swojego pana i mistrza w kaplicy w Kumara, na jego polecenie rozmyślając nad swoimi grzechami.

Alistair Lauderback był nad wyraz przesądny i uważał, że jego los odmienił się tej nocy, kiedy przybył do Hokitika i znalazł ciało odludka, Crosbiego Wellsa. Zastanawiając się nad wszystkimi nieszczęściami, które spotkały go od tamtej pory – a zwłaszcza nad zatonięciem „Z Bogiem” – patrzył na Westland niechętnie, jak gdyby cały ten przeklęty okręg uczestniczył w spisku, mającym na celu skompromitowanie jego sukcesów i ambicji. Zniszczenie „Z Bogiem” traktował jako dowód, że dla niego ta ziemia jest przeklęta. (Nie było to takie irracjonalne, jak można by sądzić, albowiem zdradzieckie przemieszczenia piaszczystej łąchy Hokitika powodowane były głównie przez muł i kamienie, spływające rzeką z położonych wyżej złotonośnych działek, a teraz już niepostrzeżenie zatykające ujście i nieustannie tworzące zmienne wzory, nad którymi władzę miały wyłącznie pływy. „Z Bogiem” w gruncie rzeczy dokonał więc żywota na odpadach z tysiąca złotonośnych działek, a zatem za katastrofę statku odpowiedzialni byli w pewnym sensie wszyscy mieszkańcy Hokitika).

Kilka dni po zatonięciu barku Thomas Balfour przyznał, że skrzynia z dokumentami i rzeczami osobistymi Lauderbacka zniknęła z Nabrzeża Gibsona wskutek jakiejś pomyłki, chociaż nie udało się ustalić, kto za nią odpowiada. Lauderback przyjął tę wiadomość ze smutkiem, ale bez większego zainteresowania. „Z Bogiem” został zniszczony, polityk nie miał więc jak szantażować Francisa Carvera. Tym bardziej że chciał to zrobić tylko po to, żeby odzyskać swój ukochany statek – a umowa kupna-sprzedaży, spoczywająca w kufrze wśród przedmiotów osobistego użytku, teraz była już bezużyteczna.

Ostatnio Lauderback zaczął grywać wieczorami w kości, hazard był bowiem słabością, której się oddawał, zwłaszcza kiedy miał jakiś powód do wstydu albo gdy opuszczało go szczęście. Oczywiście zażądał, by Jock i Augustus Smith towarzyszyli mu w tej grzesznej rozrywce, gdyż nie potrafił samotnie zasiąść do stołu. Zgodzili się posłusznie, ale zawsze obstawiali bardzo zachowawczo i wcześniej wycofywali się z gry. Z kolei Lauderback grał z ponurą determinacją człowieka, dla którego zwycięstwo będzie oznaczać niesłychanie wiele, uważał więc zarówno na swoje żetony, jak i na whisky, którą popijał bardzo powoli, żeby

przeciągnąć wieczór do samego rana.

– Nie zamierzasz chyba wracać dziś po południu, co? – zapytał Balfoura z naciskiem, w którym krył się wyrzut.

– Zamierzam – odparł Balfour. – To znaczy wracam. Chcę być w Hokitika już w porze podwieczorku.

– Odłóż powrót o ten jeden dzień – poprosił Lauderback. – Pojedź ze mną dzisiaj do Guernsey na kości. Nierozważnie byłoby wracać samemu. Muszę zostać, żeby rano przeciąć wstęgę, ale będę z powrotem w Hokitika jutro około południa. Nawet przed południem.

Balfour pokręcił głową.

– Nie dam rady. Jutro z samego rana odbieram transport. W poniedziałek.

– Na pewno nie musisz przy tym być... To tylko transport!

– Och, ale potrzebuję trochę czasu, żeby podreperować swoje finanse – odparł Balfour z szerokim uśmiechem. – Mam o dwanaście funtów mniej niż w środę, a wiesz, te pieniądze trafiły do twojej kieszeni. Po jednym funcie na każdą ściankę jednej kostki do gry.

(Balfour ukrywał prawdziwy powód swojego pośpiechu. A chodziło mu o to, że chciał pojawić się na wdowim przyjęciu pełnym „napojów i hipotez”, które miało się odbyć tego wieczoru w recepcji Fortuny Wędrowca. Nie rozmawiał o pani Wells z Lauderbackiem, odkąd polityk wypowiedział się przed nim w jadalni hotelu Pałac, gdyż uznał za rozsądne pozwolić Lauderbackowi poruszyć ten temat samemu i na jego warunkach. Lauderback również jednak unikał wspomnienia o pani Wells, chociaż Balfour uważał, że w jego milczeniu kryją się napięcie i desperacja, jak gdyby w każdej chwili gotów był dać za wygraną i wykrzyknąć jej imię).

– To mi przypomina moje lata szkolne – rzekł Lauderback. – Dostawaliśmy jedno uderzenie batem za każde oczko na kości, jeśli przyłapali nas na grze, a jedna kość to dwadzieścia jeden oczek. Nigdy nie zapominam o tym trywialnym fakcie.

– Nie zostanę tu po to, żeby przegrać dwadzieścia jeden funtów, jeżeli o to ci chodzi.

– Powinieneś zostać – upierał się Lauderback. – Jeszcze jedną noc. Naprawdę powinieneś.

– Spójrz na tę cudowną paproć – poprosił Balfour. Była naprawdę wspaniała, zwinięta idealnie równo niczym klucz wiolinowy. Agent spedycyjny dotknął liścia lufą karabinu.

Niedawna zmiana w zachowaniu Lauderbacka miała mocno destrukcyjny wpływ na jego przyjaźń z Thomasem Balfourem. Agent spedycyjny był pewien, że Lauderback nie powiedział mu całej prawdy o swoich dawnych interesach z Francisem Carverem i Crosbiem Wellsem, a ponieważ poczuł się dotknięty tym brakiem zaufania, nie miał najmniejszej ochoty pośredniczyć w niecznych knowaniach polityka. Kiedy Lauderback mówił, że jest

rozczarowany Westlandem, jego piaszczystymi łąkami, zimnym mięsem na obiad, jednorazowymi kołnierzykami, papugowaniem, niemiecką musztardą, premierem, ościstymi rybami, ostentacją, niewygodnym obuwiem oraz deszczem, Balfour reagował z mniejszą energią i podziwem, niż zrobiliby to zaledwie przed miesiącem. Mówiąc wprost, Lauderback stracił przewagę i obaj o tym wiedzieli; były gubernator nie chciał jednak przyznać, że ich przyjaźń ochłodziła, i nadal zwracał się do Balfoura jak zwykle – czyli niekiedy wyniośle, zawsze teatralnie i bardzo rzadko pokornie. Natomiast Balfour, który sam potrafił być wyniosły, jeśli się o to postarał, wciąż darzył go niechęcią.

Po chwili odwiązali konie, osiodłali je i wolnym truchtem ruszyli do Kumara. Jechali już jakiś czas, kiedy Lauderback znów podjął przerwany wątek.

– Rozmawialiśmy o tym, że w drodze powrotnej zatrzymamy się razem na terasie – powiedział. – Żeby przyjrzeć się fundamentom więzienia.

– Tak – powiedział Balfour. – Będziesz mi musiał opowiedzieć, jak wyglądają.

– Czyli wygląda na to, że pojedę sam.

– Sam! Z Jockiem i Augustusem! Nie sam, tylko samotrzeć.

Lauderback zmienił pozycję w siodle, najwyraźniej wielce urażony.

– Jak się nazywa ten naczelnik więzienia? – zapytał po chwili. – Sheffield?

Balfour rzucił mu ostre spojrzenie.

– Shepard. George Shepard.

– Tak, Shepard. Ciekaw jestem, czy on nie ma chrapki na posadę sędziego. Doskonale sobie radził, zarządzając budżetem komisarza... Żeby ruszyć z budową, i to tak szybko. Naprawdę poradził sobie bardzo dobrze.

– Pewnie tak. Spójrz na tę! – Balfour czubkiem szpicruty wskazał kolejną paproć, bardziej pomarańczową niż pierwsza i bardziej puchatą. – Jaki ma ładny kształt – dodał. – A jak się porusza, co? Jak gdyby tkwiła w bezruchu. To jest myśl!

Ale Lauderback nie pozwolił się zdekoncentrować pięknym kształtom paproci.

– Oczywiście, siedzi w kieszeni komisarza – dodał polityk, mówiąc wciąż o George'u Shepardzie. – I jak rozumiem, jest starym przyjacielem naszego sędziego.

– Może więc zachowają całą sprawę w rodzinie.

– To pachnie względami ambicjonalnymi. Nie sądzisz? Mam na myśli więzienie. Naczelnik realizuje ten projekt z wielkim poświęceniem. Zaangażował się w sprawę. I sporo na niej zyskał.

Lauderback, sam będąc człowiekiem podejmującym trudne zadania, podejrzliwie odnosił się do cudzych ambicji, ale Balfour tylko parsknął w odpowiedzi.

– O co ci chodzi? – spytał Lauderback.

– O nic. – (Ale nie była to prawda! Agent spedycyjny nie znosił, kiedy niezasłużenie obdarzano kogoś moralnymi pochwałami, choćby i mocno zawołowanymi).

– O co ci chodzi? – powtórzył Lauderback. – Parsknąłeś.

– Bo podlicz sobie to wszystko – rzekł Balfour. – Drewno na szafoty. Żelazo na ogrodzenie. Kamień na fundamenty. I dwudziestu robotników na jednej dniówce!

– Co?

– Jaki tam budżet komisarza! – zawołał Balfour. – Te pieniądze pochodzą z innego źródła... Z innego źródła! Podlicz sobie to wszystko!

Lauderback spojrział na niego.

– Więc to jest prywatna inwestycja? To chcesz powiedzieć?

Balfour wzruszył ramionami. Doskonale wiedział, że George Shepard finansował budowę więzienia z prowizji Haralda Nilssena, uzyskanej ze sprzedaży posiadłości Crosbiego Wellsa, ale na naradzie w hotelu Korona obiecał zachować to w tajemnicy, a nie lubił łamać danego słowa.

– Czyli powiadasz, że to prywatne pieniądze? – nie ustępował Lauderback.

– Posłuchaj – odrzekł Balfour. – Nie chcę łamać przyrzeczeń ani nikomu się narażać, ale powiem ci tyle: jeżeli zatrzymasz się na tej terasie, to powinienes trochę tam powęszyc. Ani słowa więcej. Powęsz, może coś znajdziesz.

– Dlatego wracasz wcześniej do domu? – spytał Lauderback. – Żeby nie zobaczyć się z Shepardem? Chodzi o coś między wami?

– Nie! – odpowiedział Balfour. – Nie, nie. Po prostu dostałem poufną informację, to wszystko.

– Poufną informację? Od kogo?

– Nie mogę powiedzieć.

– Daj spokój, Tom! Nie traktuj mnie z góry. Co miałeś na myśli?

Balfour zastanawiał się przez chwilę, patrząc spod przymrużonych powiek na pofałdowane zbocza na wschodnim krańcu doliny. Jego koń był nieco niższy od czarnej kłaczki Lauderbacka, a ponieważ Balfour był niższy od polityka, zawsze siedział co najmniej o stopę niżej od niego, nawet kiedy się prostował, jak w tej chwili.

– To zdrowy rozsądek, nic więcej – zauważył. – Nad fundamentami pracuje dwudziestu robotników naraz? Płatność gotówką za wszystkie materiały budowlane? Funduszy z rady miejskiej tak się nie wydaje. Sam dobrze o tym wiesz! Shepard ewidentnie płaci gotówką.

– Co przez ciebie przemawia? – spytał Lauderback. – Zdrowy rozsądek? Czy może dostałeś cynk?

– Zdrowy rozsądek!

– Więc nie dostałeś cynku.

– Owszem, dostałem – odpowiedział zapalczywie Balfour. – Ale sam mogłem się tego wszystkiego domyślić.

– Więc po co ktoś ci go dał?

– Co?

– Cynk!

Balfour popatrzył na Lauderbacka spode łba.

– Nie rozumiem, co masz na myśli – powiedział. – W twoich słowach nie ma żadnego sensu.

Ale Lauderback właśnie mówił z sensem i Balfour dobrze o tym wiedział.

– Sensu to nie ma w tym, że to właśnie tobie ktoś daje cynk o więzieniu, Tom! – odpowiedział polityk. – Co firmę Spedycja Balfoura obchodzą fundusze publiczne i sposób ich wydawania? Co cię obchodzi prywatna inwestycja, jeżeli nie jest przykrywką do innej działalności?

Balfour pokręcił głową.

– Nie zrozumiałeś mnie.

– Może ma to coś wspólnego z którymś ze skazańców – domyślał się Lauderback. – Prywatna inwestycja... W zamian za...

– Nie, nie – odparł Balfour. – Nie o to tutaj chodzi.

– Więc o co?

Kiedy Balfour nie odpowiedział natychmiast, Lauderback dodał:

– Posłuchaj: jeżeli to są prywatne fundusze, to sprawa staje się częścią kampanii wyborczej i powinienem o niej wiedzieć. Warto się przyjrzeć wszystkiemu, co trafia na biurko komisarza tuż przed wyborami, a ten cały Shepard najwyraźniej się z czymś spieszy. Na moje oko wygląda, że ma jakieś polityczne zamiary, a ja chcę wiedzieć jakie. Skoro to wszystko kwestia zdrowego rozsądku, to powiedz mi po prostu wszystko, co wiesz. A jeśli ktoś mnie potem o to zapyta, będę udawał, że sam do tego doszedłem.

Balfourowi ta propozycja wydała się rozsądna. Jego sympatia do Lauderbacka nie wyparowała całkiem przez ostatni miesiąc, pragnął więc pozostać w łaskach polityka bez względu na to, że zmienił o nim opinię. Nie zaszkodzi powiedzieć mu, skąd pochodzą

pieniądze Sheparda... Nie zaszkodzi, zwłaszcza jeżeli Lauderback mógłby potem udawać, że sam się tego domyślił!

Balfoura ucieszyła także nieoczekiwana czujność, malująca się w oczach Lauderbacka, oraz skwapliwość, z jaką wypytywał swojego młodszego kolegę. Nie lubił, kiedy jego rozmówca pograżał się w zadumie, i ta nagła zmiana nastroju polityka przypominała Balfourowi dawnego Lauderbacka z czasów Dunedin, Lauderbacka, który przemawiał jak generał i nosił się jak król, który zbił fortunę, a potem ją podwoił, który znał premiera i nigdy nie ośmieliłby się błagać nikogo, aby pozostał na jedną noc więcej w Kumara po to, żeby on, Lauderback, nie musiał zanosić swoich smutków do kasyna samotnie. Takiego dawnego Alistaira Balfour darzył sympatią i nadal go lubił, pochlebiało mu więc, że polityk prosi go o informacje.

A zatem po dłuższym milczeniu Balfour powiedział swojemu staremu znajomemu, co wie o więzieniu: że budowa finansowana jest za pieniądze będące częścią majątku znalezionego w domku Crosbiego Wellsa. Nie wyjaśnił, dlaczego i w jaki sposób doszło do takiego układu, i nie zdradził, kto dał mu cynk o sprzedaży. Przyznał natomiast, że do inwestycji doszło z inicjatywy George'a Sheparda dwa tygodnie po śmierci Crosbiego Wellsa, a naczelnik bardzo chciał utrzymać tę sprawę w tajemnicy.

Ale Lauderback nie na darmo studiował prawo. Był sprytnym inkwizytorem, zwłaszcza kiedy wiedział, że nie mówi mu się całej prawdy. Zapytał o wysokość tych prywatnych udziałów, a Balfour odparł, że przekraczają nieco czterysta funtów. Wtedy Lauderback zainteresował się od razu, dlaczego suma inwestycji to dokładnie dziesięć procent majątku, znalezionego w domku Wellsa, a kiedy Balfour nie odpowiadał na to pytanie, polityk jeszcze bardziej niepokojąco szybko domyślił się, że jest to standardowa wysokość prowizji od sprzedaży i Nilssen zainwestował ją chyba w budowę więzienia.

Balfour był przerażony, że były gubernator domyślił się tego tak szybko, i zaczął się z nim spierać, twierdząc, że Harald Nilssen nie jest niczemu winien.

Lauderback zaśmiał się.

– Zgodził się! Oddał mu swoją prowizję!

– Bo Shepard miał go w garści. Nie można mieć pretensji do Nilssena. To, co zrobił naczelnik, to był niemal szantaż, naprawdę. Nie powinieneś robić z tego afery, słowo daję, dla dobra pana Nilssena.

– Prywatny inwestor, i to w ostatniej chwili! – zawołał Lauderback. (Harald Nilssen, którego widział dotąd tylko raz w hotelu Gwiazda w Hokitika jakiś miesiąc temu, nie bardzo go interesował. Wydał mu się prowincjuszem, nieco zbyt mocno polegającym na swojej wiernej publiczności, złożonej z trzech czy czterech osób, i trochę zbyt gadatliwym po alkoholu; dlatego spisał go na straty jako zadowolonego z siebie nudziarza, który nigdy niczego nie osiągnie). Były gubernator stanął w strzemionach. – To jest sprawa polityczna,

Tom... Och tak, to sprawa polityczna, bez wątplenia! Wiesz, co chce zrobić Shepard? Próbuje rozpocząć budowę więzienia, zanim przedstawiciel okręgu dostanie mandat poselski, i korzysta z prywatnych pieniędzy, żeby przyspieszyć budowę. Oho! Możesz być spokojny, na pewno będę miał coś do powiedzenia na ten temat w „Czasie”.

Balfoura jednak to specjalnie nie uspokoiło, tym bardziej że wcale nie szukał spokoju. Znow sprzeciwił się Lauderbackowi, który po krótkich targach zgodził się nie wymieniać nazwiska Nilssena w tekście.

– Chociaż nie mogę wyświadczyć podobnej uprzejmości George’owi Shepardowi – dodał i roześmiał się raz jeszcze.

– Nie wydaje mi się, żebyś go chętnie widział na fotelu sędziego – odpowiedział Balfour, zastanawiając się, czy Lauderback sam nie ma chrapki na ten wysoki urząd.

– Dla fotela sędziego nie uściskałbym ani jednej dłoni! – odparował Lauderback. – Tu chodzi o pewne zasady, na tym się koncentruję.

– O jakie zasady? – spytał Balfour, który na chwilę się pogubił. Lauderback na pewno chciał zostać sędzią, bo przed chwilą sam o tym wspomniał, i to w dodatku wyjątkowo gderliwie.

– Ten człowiek jest złodziejem! – zawołał Lauderback. – Pieniądze należą do Crosbiego Wellsa, martwego czy umarłego, to nieważne. George Shepard nie ma prawa wydawać cudzych pieniędzy według swojego widzimisię i nie obchodzi mnie, na co one idą!

Balfour milczał. Aż do tego momentu Lauderback ani razu nie wspomniał o fortunie znalezionej w domku Wellsa i nie wyraził zainteresowania tym, jak miała zostać użyta. Nie napomknął też o zamieszanu natury legalistycznej, które powstało wokół praw wdowy do posiadłości jej zmarłego męża. Balfour zakładał, że to milczenie ma związek z udziałem Lydii Wells w całej tej sprawie, albowiem Lauderback ciągle tak się wstydził dawnych upokorzeń, że nie wspominał o niej – teraz jednak wyglądało na to, że rzucił się do obrony Crosbiego Wellsa, a w kwestii jego majątku ma już dobrze wyrobione zdanie. Balfour popatrzył na niego, po czym odwrócił wzrok. Czy polityk odgadł, że znaleziony w domku Wellsa majątek to złoto, które Carver wykorzystał przed rokiem, żeby go szantażować? Wzbudziło to ciekawość Balfoura, postanowił więc sprowokować swojego rozmówcę.

– A co to za różnica? – spytał beztrąsko agent spedycyjny. – Ten majątek najprawdopodobniej już komuś wcześniej ukradziono. Na pewno nie należał do Crosbiego Wellsa. Skąd ktoś taki jak on mógłby wziąć cztery tysiące funtów? Wszyscy wiedzą, że był nicponiem, a stąd już krótka droga do kradzieży.

– Nie ma na to żadnych dowodów... – zaczął Lauderback, ale Balfour mu przerwał.

– Więc jakie to ma znaczenie, jeśli ten ktoś odbierze swoje pieniądze, kiedy złodzieja nie będzie już na tym świecie? O to cię chciałem zapytać. To złoto najprawdopodobniej było trefne od samego początku.

– Jakie to ma znaczenie?! – wybuchnął Lauderback. – To właśnie są zasady. Powtarzam: to są zasady. Nie można popełniać przestępstwa, żeby złapać przestępcę. Co z tego, że jeden złodziej ukradł coś drugiemu? Kradzież to zawsze przestępstwo, jakkolwiek by na nią patrzeć i jakkolwiek by ją usprawiedliwiać! Nie opowiadaj bzdur.

A zatem Lauderback naprawdę jest obrońcą Crosbiego Wellsa i wydaje się, że na dodatek wielce rozzłoszczonym. Ciekawe.

– Ale ty dostajesz ten przytułek, o który tak zabiegałeś – powiedział Balfour, nadal dość obojętnie, jak gdyby rozmawiali o jakimś głupstwie. – Pieniądze nie zostaną zmarnotrawione, tylko użyte do budowy gmachu użyteczności publicznej.

– Nie obchodzi mnie, czy naczelnik Shepard napycha sobie kieszenie, czy buduje ołtarz – warknął Lauderback. – To wymówka. To jak... Jak powiedzieć, że cel uświęca środki. A ja nie akceptuję takiego myślenia.

– I nie chodzi o byle gmach publiczny – ciągnął Balfour, jak gdyby Lauderback przed chwilą nic nie powiedział. – Jednak dostaniesz wreszcie swój przytułek! Nie udawaj, że nie pamiętasz naszej rozmowy w Pałacu. „A gdzie miałyby się udać kobieta?” „Jedyna szansa, żeby zmienić swoje życie”: nie pamiętasz? No więc właśnie wkrótce nadarzy nam się taka szansa! Dzięki George’owi Shepardowi!

Lauderback zrobił wściekłą minę. Doskonale pamiętał, jak trzy tygodnie temu mówił o potrzebie budowy przytułku, ale nie lubił, kiedy ktoś przytaczał mu jego słowa – chyba że po to, by go skomplementować.

– To brak szacunku dla zmarłych – odpowiedział krótko. – I tyle, nie powiem nic więcej.

Ale Balfour nie pozwolił się tak łatwo zniechęcić.

– Zaraz!... – zawołał, jak gdyby dopiero teraz przyszło mu to do głowy. – Złoto, które Francis Carver wykorzystał, żeby zdobyć „Z Bogiem”, a które zostało wszyte w...

– To co?

– No... Nigdy go już potem nie widziałeś, tak? I nic o nim nie słyszałeś. A mniej więcej taka właśnie suma pojawia się w domku Wellsa zaledwie rok później. Nieco ponad cztery tysiące funtów. Może to ten sam skarb.

– Bardzo możliwe – odparł Lauderback.

– Ciekawe, skąd się tam wziął.

– Faktycznie, to ciekawe.

Ich drogi rozeszły się pod Złotym Lwem. Lauderback najwyraźniej nie chciał już, żeby Balfour został w Kumara do jutra, bo pożegnał się ze swoim przyjacielem bardzo zwięźle i bez żalu.

Agent spedycyjny wyruszył do Hokitika mocno zafrasowany. Obiecał nic nie mówić

o Nilssenie ani o żadnym uczestniku spotkania z hotelu Korona i nie dotrzymał tego przyrzeczenia. A w dodatku za co? Co zyskał, łamiąc swoje słowo, przysięgę? Owładnięty obrzydzeniem do samego siebie, wbił pięty w boki klaczy, zmuszając ją do cwału. W tym tempie dojechał do rzeki Arahura, gdzie musiał zsiąść i przeprowadzić konia na drugi brzeg, uważnie lawirując na płyciźnie, tam gdzie na piasku rozlewał się strumień słodkiej wody.

Lauderback nie patrzył za odjeżdżającym przyjacielem. W myślach zaczął już układać list; wydymał wargi w skupieniu i marszczył brwi. Zaprowadził konia do stajni, wcisnął stajennemu sześciopensówkę i od razu udał się na piętro do apartamentu. Kiedy był już sam, zamknął drzwi od wewnątrz, przeciągnął biurko w jasną niczym diament plamę światła pod oknem, przysunął sobie krzesło, usiadł i wyjął czystą ćwiartkę papieru. Zastanawiał się jeszcze przez kilka chwil, przytknąwszy pióro do ust, wyprostował rękę, potrząsając mankietem rękawa koszuli, pochylił się i napisał:

INWESTYCJA ZZA GROBU?

Do wydawcy gazety „Czas Zachodniego Wybrzeża”

18 lutego 1866 roku

Szanowny panie,

byłoby chyba dobrze, gdyby pan GEORGE SHEPHERD opublikował na waszych łamach pełną listę osób pracujących przy budowie więzienia Hokitika na terasie Pejzaż Morski. Należałoby też podać zestawienie wszystkich zamówionych w tym celu przez miasto usług budowlanych i uważnie im się przyjrzeć. Ujawnić, ile pieniędzy zostało przyznanych na ten cel z funduszy publicznych w wyniku głosowania, jakie subwencje wpłynęły już tytułem zaliczki na konto wykonawców i ile jeszcze pieniędzy będzie potrzeba (jeśli w ogóle), aby dokończyć budowę lub doprowadzić budynek do stanu używalności.

Taka publikacja mogłaby pomóc zatrzeć złe wrażenie, które zdaniem niżej podpisanego wywołał pan Shepherd, poważnie naruszając zasady dobrego zachowania, albowiem wstępne prace budowlane przy wznoszeniu więzienia Hokitika sfinansowane zostały z prywatnej dotacji, przyjętej bez zgody Rady Prowincji, Komisji Robót Publicznych Westlandu, Rady Miejskiej, a nawet samego inwestora – inwestycji dokonano bowiem mniej więcej dwa tygodnie po jego śmierci! Czynię tu aluzję do pana CROSBIEGO WELLSA, o którego posiadłości rozwodzono się szeroko w tej gazecie. Rozumiem, że ten dar (jak można by go nazwać) został wyprowadzony z domku pana Wellsa już po jego śmierci, a później przeznaczony na budowę więzienia bez podania tego do wiadomości publicznej. Jeśli się mylę, to ktoś skoryguje mój błąd, tymczasem jednak domagam się bezzwłocznych wyjaśnień od samego pana Shepherd.

Tuszę, że przezroczyść jego postępowania w tej sprawie jest pożądana nie tylko ze względu na charakter instytucji, którą pragnie zbudować, oraz na wysokość wchodzącej w grę sumy pieniędzy, lecz także dlatego, że przezroczyść finansowa w zarządzaniu funduszami publicznymi jest kwestią ogromnej wagi. Zwłaszcza że ten nierozwinięty region naszej prowincji jest bardzo bogaty w złoto i dlatego pada smutną ofiarą prymitywnych pokus korupcyjnych.

Mam duży szacunek dla intencji pana Shepherd &c, że zainicjowali ten projekt, jestem bowiem pewien, że działają w interesie osadników oraz respektują prawo kolonialne. Zwracam się tylko z prośbą o przywrócenie mi wiary, że wszystkie prywatne darowizny na rzecz przedsięwzięć publicznych muszą być

transparentne ze względu na interes społeczny, oraz o przyjęcie moich zapewnień Ciebie, Szanowny Panie, i całą prowincję Westland, że pozostaję z szacunkiem, &c

PAN ALISTAIR LAUDERBACK, RADNY PROWINCJI, PARLAMENTARZYSTA

Usiadł wygodnie i odczytał list na głos, dźwięcznie, niczym na próbie przed ważnym wystąpieniem, a potem zadowolony złożył kartkę i wsunął ją do koperty, którą zaadresował na nazwisko redaktora i wydawcy „Czasu Zachodniego Wybrzeża”, opatrując ją adnotacją „Pilne” oraz „Polecony”. Zakleił list, sięgnął do kieszonki kamizelki i spojrzął na zegarek: była już prawie druga po południu. Jeśli Augustus Smith od razu wyruszy stąd do Hokitika, znajdzie Löwenthala, zanim poranne poniedziałkowe wydanie gazety trafi do korekty. Lepiej szybciej niż później, pomyślał Lauderback i udał się na poszukiwanie swojego asystenta.

MERKURY W KOZIOROŻCU

Rozdział, w którym Gascoigne powtarza swoje teorie, a Moody mówi o śmierci

Walter Moody kończył właśnie jeść lunch w jadalni Maxwella, kiedy otrzymał wiadomość, że ładunek z barku „Z Bogiem” został nareszcie przeniesiony na ląd, a jego kufer dostarczono do pokoju w hotelu Korona.

– No! – zawołał, podając dwupensówkę posłańcowi, który natychmiast czmychnął. – To wreszcie wyjaśnia, czym była ta moja zjawa, czyż nie? Gdyby Emery Staines znajdował się na pokładzie, jego ciało zostałoby znalezione w ładowni.

– Wątpię, żeby odbyło się to tak gładko – rzekł Gascoigne.

– Chodzi panu o to, że mogliby nie zgłosić znalezienia zwłok?

– Chodzi mi o to, że może wcale go nie znaleźli – powiedział Gascoigne. – Człowiek, nawet ranny, mógł się przedostać do włazu... A wrak nie znalazł się całkowicie pod wodą. Moim zdaniem jest o wiele bardziej prawdopodobne, że Stainesa zmyła fala.

W ciągu trzech ostatnich tygodni Moody nawiązał bardzo serdeczną zażyłość z Aubertem Gascoigne'em, odkrywając, że Francuz zyskuje z każdą kolejną rozmową – Gascoigne potrafił bowiem bardzo zręcznie przystosować się do każdej sytuacji towarzyskiej i skutecznie zabiegać o cudze względy, jeśli tylko chciał – a postanowił zdobyć względy Moody'ego z taką determinacją, że gdyby ten zdawał sobie z niej sprawę, mógłby się trochę wystraszyć. Uważał jednak Francuza za człowieka wykształconego i wyrafinowanego i cieszył się, że spotkał intelektualistę, z którym mógł konwersować na równej stopie. Prawie codziennie chodzili razem na lunch, a wieczorami palili cygara w Gwieździe Orderu Podwiązki, gdzie grali także w jednej parze w wista.

– Obstajesz więc przy swojej pierwotnej teorii – zauważył Moody – że Staines się utopił, a nie zginął na statku.

– Chyba że udało się ukryć jego zwłoki – powiedział Gascoigne. – Może wołał o ratunek i w rezultacie zginął, bo przywiązali mu do nóg coś ciężkiego, a potem wyrzucili go za burtę. Jak wiesz, Carver wiosłował na wrak ładnych kilka razy, było więc dość okazji, żeby kogoś utopić.

– To także jest możliwe – odpowiedział Moody, składając kartkę na pół, a potem na czworo i przeciągając paznokciem wzdłuż każdego zagięcia. – Pozostaje jednak taki problem, że niczego nie wiemy w tej sprawie na pewno, a jeśli masz rację, twierdząc, że Staines utonął, wszystko jedno, przypadkiem czy wskutek działania osób trzecich, to nigdy się o tym nie dowiemy. Cóż za licha zbrodnia... Nie mamy ciała ani mordercy!

– Tak, to jest licha zbrodnia – zgodził się z nim Gascoigne.

– A my jesteśmy lichymi detektywami – rzekł Moody, chcąc chyba w ten sposób postawić

kropkę nad i, ale Gascoigne, który sięgał właśnie po sosjerkę, w żaden sposób nie dał do zrozumienia, że ma chęć zamknąć temat.

– Śmiem twierdzić, że będzie nam okropnie głupio – powiedział, polewając resztki posiłku sosem – kiedy Staines znajdzie się na dnie wąwozu ze skręconym karkiem i bez żadnych potłuczeń.

Moody przysunął swój nóż bliżej widelca.

– Obawiam się, że właściwie wszyscy życzymy sobie, żeby pan Staines został zamordowany... Nawet ja i ty, którzy go nie znaliśmy. Nam nie wystarczyłby skręcony kark.

Surdut Moody'ego wisiał na oparciu jego krzesła. Zdawał sobie sprawę, że byłoby nieuprzejmością sięgnąć za siebie i włożyć go, kiedy jego przyjaciel jeszcze nie skończył lunchu, ale dowiedział się wreszcie, że odzyskał swój kufer, i bardzo chciał już wyjść i go zobaczyć. Nie tylko nadal nie wiedział, czy jego odzienie przetrwało katastrofę, ale przez trzy tygodnie nie zmieniał surduta i spodni.

Gascoigne zachichotał.

– Biedny pan Staines – powiedział takim tonem, jakby się zgadzał z Moodym. – A jak umiejętnie pani Wells go wykorzystuje! Gdyby to mój duch został wezwany na seans, na który bilet kosztuje jednego szylinga... No cóż, to wiesz, byłbym przerażony. Nie wiedziałbym, jak mam rozumieć takie zaproszenie.

– A gdyby to mnie wezwano, odczułbym ulgę i zgodziłbym się od razu – rzekł Moody. – Śmiem twierdzić, że życie pozagrobowe jest przeraźliwie nudne.

– Na jakiej podstawie tak uważasz?

– Człowiek myśli o śmierci przez całe życie. Bez tej rozrywki, moim zdaniem, wszyscy strasznie byśmy się nudzili. Nie mielibyśmy przed czym uciekać, czego unikać i nad czym się zastanawiać. Czas przestałby mieć znaczenie.

– Ciekawie byłoby podglądać żywych – odpowiedział Gascoigne.

– Przeciwnie, wydaje mi się, że czulibyśmy się wtedy bardzo samotnie – rzekł Moody. – Patrzylibyśmy na świat, nie mogąc go dotknąć czy zmienić, i znalibyśmy całą dawną i niedawną przeszłość.

Gascoigne posolił to, co miał na talerzu.

– Słyszałem, że w tradycji nowozelandzkich tubylców dusza człowieka po śmierci zamienia się w gwiazdę.

– To najlepszy argument, żeby zostać tubylcem, jaki dotąd słyszałem.

– Wytatuujesz sobie twarz i włożysz spódniczkę z trawy?

– Może i tak.

– Chciałbym to zobaczyć – odpowiedział Gascoigne, podnosząc znowu widelec. – Jeszcze bardziej niż chciałbym cię widzieć, jak wkładasz australijski kapelusz, wysokie buty i zaczynasz szukać złota! Na razie nie mogę uwierzyć nawet w to, że to zrobisz.

Moody zakupił torbę, płuczkę i strój poszukiwacza złota z moleskinu i serży, ale nie licząc kilku apatycznych wycieczek do Kaniera, właściwie nie interesował się płukaniem złota. Nie czuł się jeszcze całkowicie gotowy, by zacząć nowe życie jako poszukiwacz, i postanowił go nie rozpoczynać, dopóki sprawa Emery’ego Stainesa i Crosbiego Wellsa nie zostanie zamknięta. Zdecydował się na to pod pretekstem konieczności, chociaż prawdę mówiąc, nie mógł zrobić nic innego, niż czekać na jakieś nowiny w ich sprawie i podobnie jak Gascoigne snuć domysły na podstawie tego, co już wiedział.

Dwukrotnie przedłużał swój pobyt w hotelu Korona i po południu 18 lutego miał to właśnie zrobić po raz trzeci. Edgar Clinch zaprosił go, by przeniósł się do hotelu Ruszt, sugerując, że może chciałby zająć pokój wynajmowany wcześniej przez Annę Wetherell, który stał teraz pusty. Piękny widok, rozciągający się nad dachami Hokitika aż po ośnieżone Alpy na wschodzie, zostałyby zmarnowane, gdyby ten pokój zajął zwykły kopacz, a jako dżentelmen, Moody znajdzie przyjemność w harmonii natury, której kto inny najprawdopodobniej by nie dostrzegł. Moody jednak z szacunkiem odmówił: właściwie polubił Koronę, chociaż była dość obskurna, a poza tym nie chciał się zbyt spoufalać z Edgarem Clinchem, wciąż istniała bowiem spora szansa, że sprawa majątku, ukrytego w domku Crosbiego Wellsa, trafi na wokandę, a wtedy Clinch – razem z Nilssenem, Frostem i wieloma innymi – zostanie niewątpliwie wezwany na przesłuchanie. Trzynastu mężczyzn poprzysięgło na swój honor, że zachowa w tajemnicy przebieg narady w hotelu, Moody nie lubił jednak polegać na cudzym honorze, nie ufał bowiem żadnym manifestacjom uczciwości, chyba że swojej. Spodziewał się, że z czasem przynajmniej jeden z pozostałych dwunastu mężczyzn złamie dane słowo i w oczekiwaniu, kiedy do tego dojdzie, postanowił trzymać się od nich z daleka.

Przedstawił się Alistairowi Lauderbackowi, odkrywając, że ponieważ obaj studiowali prawo, mają kilku wspólnych znajomych, adwokatów i sędziów z Londynu, których polityk na przemian wychwalał, oczerniał lub lekceważył, wygłaszając swoje zdanie z taką pewnością siebie, która nie przewidywała wtrąceń ani odpowiedzi. Moody słuchał go uprzejmie, odniósł jednak niepocholebne wrażenie i opuścił miejsce ich pierwszego spotkania, nie zamierzając rozmawiać z Lauderbackiem ponownie. Zrozumiał, że byłemu gubernatorowi nie zależy na dobrej opinii nikogo, kto nie ma odpowiednich koneksji, z jakich mógłby skorzystać także on sam, Lauderback.

Było to w znacznej sprzeczności z tym, czego się spodziewał. Prawdę mówiąc, Moody bardzo się zdziwił, stwierdziwszy, że jego sympatia ciąży z natury raczej ku naczelnikowi więzienia, George’owi Shepardowi, niż ku zajmującemu się polityką Lauderbackowi. Moody poznał Sheparda w przelocie, na zgromadzeniu publicznym na ulicy Revella, ale podziwiał go za to, że panował nad sobą i był niezmiennie uprzejmy, chociaż czasami wyrażał tę uprzejmość zimno i bezdusznie. Przywołanie osoby Sheparda przez uczestników narady z hotelu Korona

wynikało w takiej mierze z jego roli w tej sprawie, w jakiej przywołanie osoby Lauderbacka było wynikiem współczucia – co tylko pokazuje, pomyślał Moody, że jeden człowiek nigdy nie powinien ufać drugiemu w ocenie skłonności i dyspozycji trzeciego. Temperament to tak naprawdę wybuchowe połączenie percepcji i okoliczności. Moody zrozumiał teraz, że nie poznałby prawdziwego Shepada na podstawie opowieści Nilssena, tak samo jak nie poznałby prawdziwego Nilssena na podstawie opowieści Shepada.

– Czy wiesz... – powiedział teraz, postukując palcem w złożony list – że do dzisiejszego popołudnia prawie wierzyłem, że Staines jednak żyje? Może byłem głupi, ale naprawdę sądziłem, że on był na tym wraku, i uważałem, że w końcu się odnajdzie.

– Tak – odpowiedział Gascoigne.

– Ale teraz wydaje mi się, że Staines na pewno umarł. – Moody w zamyśleniu postukał znów palcami w kartkę. – I niewątpliwie zniknął bez śladu na zawsze. Do diabła, że też nic nie wiemy! Oddałbym każde pieniądze za miejsce na seansie u naszej wdowy dzisiejszego wieczoru.

– To nie jest tylko jej wieczór – powiedział Gascoigne. – Nie zapominaj, że ma jej towarzyszyć asystentka.

Moody pokręcił głową.

– Nie wydaje mi się, żeby to było przedsięwzięcie panny Wetherell.

– Wymieniono ją w gazecie z nazwiska – przypomniał Gascoigne. – I nie tylko to, bo wspomniano też, jaką ma pełnić funkcję. Będzie asystować wdowie.

– No cóż, terminowała u niej wyjątkowo krótko – stwierdził dość kwaśno Moody. – A to sprawia, że powstaje wątpliwość co do jakości szkolenia... Albo co do poziomu jego przedmiotu.

Gascoigne uśmiechnął się szeroko na te słowa.

– Czyż tryb życia dziwki to nie jest pierwszy stopień wtajemniczenia? – zapytał. – Może szkoliła się przez całe życie.

Takie rozmowy zawsze wprawiały Moody'ego w zakłopotanie.

– Jej dawny tryb życia w ścisłym sensie tego słowa jest wtajemniczeniem – zgodził się z Francuzem, prostując plecy – ale sztuka kobiecości jest naturalna. Nie można jej porównywać do wywoływania duchów zmarłych.

– Och, jestem pewien, że sztuczki, stosowane w obu tych profesjach, są do siebie podobne – odparł Gascoigne. – Dzwinka jest kochanką perswazji, tak jak przekonująca musi być wyrocznia, abyśmy dali jej wiarę... I nie zapominaj, że uroda oraz pewność siebie są zawsze przekonujące, bez względu na kontekst, w którym się pojawiają. Los Anny właściwie nie odmienił się tak bardzo. Możesz ją dalej nazywać Magdaleną!

– Maria Magdalena nie była jasnowidząca – powiedział sztywno Moody.

– Nie była – zgodził się Gascoigne, nadal z szerokim uśmiechem. – Ale to ona pierwsza znalazła otwarty grób. To ona przysięgała, że ktoś odtoczył kamień. Warto też wspomnieć, że o wniebowzięciu jako pierwsza wspomniała również kobieta, a choć się zarzekała, że mówi prawdę, nikt jej z początku nie wierzył.

– No cóż, dzisiaj wieczorem Anna Wetherell będzie przysięgać na grób innego człowieka – rzekł Moody. – A nas tam nie będzie, abyśmy mogli nie dać jej wiary. – Przesunął nóż i widelec, żeby sztucce leżały jeszcze równiej, i modlił się w duchu o nadejście kelnera, który sprzątnąłby już jego nakrycie.

– Ale za to wcześniej czeka nas przyjęcie – zauważył Gascoigne, chociaż wesołość zniknęła z jego głosu.

On też był wielce rozczarowany, że wdowa wyłączyła go ze spotkania ze zmarłymi. To wykluczenie irytowało go jeszcze bardziej niż Moody'ego, uważał bowiem, że jako pierwszy przyjaciel Lydii w Hokitika, powinien mieć zarezerwowane miejsce na seansie. Lydia Wells ani razu nie przyszła jednak do niego z wizytą od tamtego popołudnia 27 stycznia i ani razu nie przyjęła go u siebie, nawet na herbatę.

Moody nie poznał jeszcze żadnej z obu pań osobiście. Widział je tylko w przelocie, jak zawieszały zasłony we frontowych oknach dawnego hotelu Wędrowiec – ich ciemne sylwetki przypominały papierowe lalki na tle tafli szkła. Na ten widok przeszła go dziwna, niezwykła u niego nostalgia, nie miał bowiem w zwyczaju zazdrościć kobietom relacji z kobietami i właściwie w ogóle nie myślał o płci pięknej z większym zainteresowaniem. Ale gdy przechodząc przed zacienionym frontonem Fortuny Wędrowca, zobaczył, jak przesuwają się za zniekształcającą ich postaci szybą, bardzo zapragnął wiedzieć, o czym rozmawiają i co spowodowało, że Anna zaczerwieniła się, przygryzła wargę i przesunęła dłonią po policzku, jak gdyby sprawdzając, czy jest rozpalony. Chciał wiedzieć, dlaczego Lydia się uśmiechnęła, otrzepała dłonie i odwróciła się, pozostawiając Annę z pełnym naręczem tkaniny oraz szpilkami wpiętymi na przodzie sukni.

– Moim zdaniem słusznie wątpisz w rolę Anny w tym wszystkim... A w każdym razie rozumiem, że masz wątpliwości – ciągnął Gascoigne. – Kiedy po raz pierwszy rozmawiałem z nią o Stainesie, odniosłem wrażenie, że darzy go wielką estymą. Wydawało mi się, że może jej się podoba. A teraz wygląda na to, że chce zarobić pieniądze na jego śmierci!

– Nie możemy być pewni, w jakim stopniu panna Wetherell uczestniczyła w spisku – powiedział Moody. – Wszystko zależy od tego, czy wiedziała o ukrytej w sukniach fortunie, a co za tym idzie, czy zdawała sobie sprawę z tego, że Carver szantażuje Lauderbacka.

– O pomarańczowej sukni nikt nie wspomniał ani słowem – zauważył Gascoigne. – Można by pomyśleć, że pani Wells bardziej zaangażowałaby się w jej odzyskanie, gdyby Anna poinformowała ją, że suknia spoczywa ukryta pod moim łóżkiem.

– Prawdopodobnie panna Wetherell uważa, że złoto zostało wypłacone panu Manneringowi, jak sobie tego życzyła.

– Tak, zapewne – odrzekł Gascoigne. – Ale czy nie uważasz, że w takim wypadku pani Wells złożyłaby wizytę Manneringowi, chcąc odzyskać suknię? Łączą ich jakieś uczucia: ona i Mannering to para starych przyjaciół z czasów kasyna gry. Nie: myślę, że jest o wiele bardziej prawdopodobne, że pani Wells nic nie wie o tej pomarańczowej sukni, a także o pozostałych.

– Hm..

– Mannering nie tknie tego złota – kontynuował Gascoigne. – Będzie się bał, że to wywoła lawinę, a ja na pewno nie zaniosę skarbu do banku. Pozostanie więc tam, gdzie jest. Pod moim łóżkiem.

– Dokonałeś wyceny?

– Tak, ale nieoficjalnie. Odwiedził mnie pan Frost, żeby obejrzeć złoto. Jego zdaniem jest warte jakieś sto dwadzieścia funtów.

– No cóż, dla dobra panny Wetherell mam nadzieję, że nie zwierzyła się z tego pani Wells – powiedział Moody. – Aż boję się pomyśleć, jak wdowa mogłaby zareagować na taką rewelację. Nie wątpię, że winiłaby Annę za stratę fortuny.

Gascoigne odłożył nagle widelec.

– Coś mi przyszło do głowy. Pieniądze z tych sukni „zmieniły się” w pieniądze z domku Wellsa, jeśli więc apelacja wdowy zostanie uznana i pani Wells dostanie w spadku majątek, przypadnie jej wszystko z wyjątkiem tego złota, które zaszyto w pomarańczowej sukni. Tak czy owak znajdzie się w punkcie wyjścia.

– Z mojego doświadczenia wynika, że ludzie rzadko są zadowoleni, kiedy się znajdują w punkcie wyjścia – rzekł Moody. – Jeżeli dobrze oceniam Lydię Wells, to moim zdaniem będzie ogromnie rozgoryczona, że Anna znalazła się w posiadaniu tych strojów, bez względu na intencje panny Wetherell oraz na to, jak skończy się ta sprawa.

– Mamy jednak względną pewność, że Anna nie wiedziała o złocie w swoich sukniach. W każdym razie jeszcze do bardzo niedawna.

– Panie Gascoigne – powiedział Moody, podnosząc rękę. – Pomimo młodego wieku wiem sporo o płci pięknej i mogę panu oświadczyć kategorycznie, że kobiety nie lubią, kiedy inne kobiety noszą ich ubrania, nie zapytawszy wpierw właścicielki o pozwolenie.

Gascoigne roześmiał się. Podniesiony na duchu przez to żartobliwe stwierdzenie, w dobrym nastroju i z nowym przypływem energii znów zajął się lunchem.

Chociaż oświadczenie Moody’ego było trafne, trzeba zauważyć, że to, co – jak się wyraził – wiedział o płci pięknej, można było nazwać wiedzą empiryczną tylko w tym sensie,

że została ona uzyskana na podstawie uważnej obserwacji nieżyjącej już matki Waltera, macochy i dwóch ciotek po kądzieli. Mówiąc wprost, Moody nigdy jeszcze nie miał kochanki i nie znał się na kobietach – wiedział najwyżej, jak należy się do nich zwracać i jak o nie dbać, jeśli się jest siostrzeńcem albo synem. Pomimo naturalnych słabości, które dotyczą każdego młodzieńca w wieku dojrzewania, kompasik światowych doświadczeń Moody’ego był niewiele większy od dziurki od klucza, przez którą, metaforycznie rzecz ujmując, dostrzegał jedynie mroczną komnatę dorosłości. Miał, co prawda, znakomitą sposobność, aby powiększyć ten otwór, a nawet żeby po prostu otworzyć drzwi i wejść do najintymniejszego i najbardziej samotnego z pokoi... Odrzucał jednak tego rodzaju okazje z takim samym zakłopotaniem i sztywnym ugrzecznieniem, z jakim unikał teraz retorycznych zaczepek Gascoigne’a.

Kiedy skończył dwadzieścia jeden lat, finał pewnej hulaszcznej nocy w Londynie zaprowadził go, jak to zazwyczaj bywa, typowymi w takich sytuacjach sposobami i drogami na oświetlony przez latarnie plac w pobliżu Targowiska Smithfield. Na tym placu, jak twierdzili kumple Moody’ego z uniwerku, urzędowały najelegantsze kurwy, które łatwo było poznać po zapinanych na mosiężne guziki czerwonych kurtkach à la Garibaldi, w tamtych latach najmodniejszych w Paryżu i z tego powodu wzbudzających niepokój angielskich dam. Chociaż wojskowy krój tych kurtek nadawał dziwkom zawadiacki i bezczelny wygląd, to udawały nieśmiałość, odwracając się do mężczyzn, żeby zerkać na nich ponad swoimi krągłymi ramionami, strojąc różne miny, chichocząc i obciągając palce u stóp. Przyglądając się tym prostytutkom, Moody nagle posmutniał. Nie mógł nie myśleć o ojcu – bo ileż to razy w młodości natykał się na niego w jakimś ciemnym kącie domu i widział, że na ojcowskich kolanach siedzi jakaś zupełnie obca kobieta? Sapała nienaturalnie, kwiczała jak świnia albo mówiła coś piskliwym, dziwnym głosem i zawsze pozostawiała po sobie tę samą piżmową woń: zapach teatru. Kumple Moody’ego zrzucali się po suwerenie i ciągnęli słomki o to, kto będzie wybierał pierwszy, ale Walter w milczeniu opuścił plac, zatrzymał dorożkę, wrócił do siebie i położył się spać. Był potem dumny, że nie uległ słabościom ojca. Będzie lepszym człowiekiem. A przecież mogło to być takie łatwe – rzucić suwerena, wyciągnąć słomkę i wybrać jedną z tych pań w czerwonej kurtce, by udać się z nią następnie do ciemnej nawy bocznej w kościele! Jego koledzy sądzili, że Walter myśli o kapłaństwie, i zdziwili się, kiedy kilka lat później wstąpił do Świątyni Wewnętrznej, aby rozpocząć aplikację adwokacką.

Dlatego Moody w rozmowach z Gascoigne’em, Clinchem, Manneringiem, Pritchardem i innymi nowymi znajomymi mógł dobrze udawać niewiedzę, kiedy mówili o Annie Wetherell i o estymie, którą ją darzyli jako kurwę. Jego celnie mierzone, mrukliwe uwagi, typu „naturalnie”, „oczywiście” i „dokładnie tak”, jak również bezruch, w jaki popadał, ilekroć ktoś wymieniał imię Anny, oznaczały dla rozmówców tylko tyle, że Moody czuje się zakłopotany, gdy mówi się o co intymniejszych stronach natury ludzkiej, a takie prywatne sprawy zachowuje dla siebie, podobnie jak wielu ludzi z wyższych sfer. Wiadomo, że jedną z ważniejszych cech dyskrecji jest to, iż może kryć się pod nią najpospolitsza i najnikczemniejsza głupota, a Walter Moody był z pewnością wyjątkowo dyskretny. Prawda

wyglądała jednak tak, że nie zamienił nigdy nawet dwóch zdań z kobietą uprawiającą zawód
Anny Wetherell, dlatego nie wiedziałby, jak zwracać się do dziwki ani na jaki temat zagaić
z nią rozmowę, gdyby nadarzyła mu się po temu okazja.

– I oczywiście powinno nas cieszyć to, że kufer panny Wetherell nie powędrował za nią do
Fortuny Wędrowca – powiedział.

– A nie powędrował? – spytał zdumiony Gascoigne.

– Nie. Suknie z wszytym ołowiem pozostały w Ruszcie razem z jej fajką, lampką
opiumową i innymi rzeczami osobistymi. Nie przysłała po nie.

– A pan Clinch nie poruszał tego tematu?

– Nie – odparł Moody. – Moim zdaniem jest to pocieszające, bo jakkolwiek rolę
odegrała panna Wetherell w zniknięciu pana Stainesa i jakkolwiek rolę ma odegrać na tym
idiotycznym seansie dziś wieczorem, możemy domniemywać, że nie zwierzyła się pani Wells
ze wszystkiego. Ja w każdym razie czerpię z tego pociechę.

Rozejrzał się w poszukiwaniu kelnera, bo Gascoigne skończył jeść i Moody chciał już jak
najszybciej zapłacić, by wrócić do Korony i nareszcie rozpakować swój kufer.

– Chcesz już wyjść – zauważył Gascoigne, wycierając usta serwetką.

– Wybacz mi niegrzeczne zachowanie – odpowiedział Moody. – Nie zmęczyłem się twoim
towarzystwem, tylko spieszno mi odzyskać moje rzeczy. Nie zmieniałem surduta od kilku
tygodni, a nadal nie wiem, w jakim stanie znajduje się mój kufer po tym sztormie. Możliwe, że
straciłem wszystkie dokumenty i całą garderobę.

– No to na co czekamy? Chodźmy stąd, natychmiast – odpowiedział Gascoigne, dla
którego takie wyjaśnienie było nie tylko całkowicie racjonalne, ale przyniosło mu coś
w rodzaju ulgi. Francuz bardzo się bał, że jego towarzystwo może być męczące, i zawsze
ogromnie się martwił, kiedy ktoś, kogo szanował, wydawał się przy nim znudzony. Uparł się,
że zapłaci za nich obu, opędzając się od Moody'ego niczym wielkodusznemu guwernantka od
swojej podopiecznej, i kiedy już uregulował rachunek, przyjaciele wyszli na ruchliwą
i hałaśliwą ulicę Revella, którą przechodziła właśnie grupa wesołych kopaczy. Jadący za nimi
konno geodeta krzyknął do nich coś i ściągnął lejce, a w górze odezwał się jedyny dzwon
w kaplicy wesleyańskiej, który uderzył najpierw raz, potem drugi. Przekrzykując rozmaite
hałasy – chrzęst kół powozu, trzask brezentu, śmiech, walenie młotkiem, przeraźliwe wołanie
kobiety do jakiegoś mężczyzny – przyjaciele bardzo ciepło uścisnęli sobie na pożegnanie
dłonie i się rozstali.

MNIEJSZE ZŁO

Rozdział, w którym podważa się pewne kluczowe fakty, Francis Carver zachowuje się niegrzecznie, a Löwenthal zostaje sprowokowany i mówi to, co myśli

Kiedy do „Czasu Zachodniego Wybrzeża” przychodziły listy pełne płomiennych oskarżeń, Löwenthal miał w zwyczaju kontaktować się ze wszystkimi zainteresowanymi stronami przed przygotowaniem gazety do druku. Uważał, że godzi się uczciwie uprzedzić każdego, iż grożą mu cięgi w prasie, albowiem opinia publiczna w Hokitika była niezwykle surowa, niczym sąd powszechny, i łatwo było w tym mieście stracić reputację z dnia na dzień. Każdego, nad kim wisało takie zagrożenie, Löwenthal zapraszał zatem najpierw do zamieszczenia odpowiedzi na stawiane mu zarzuty.

Pospieszny i nieco chaotyczny list Alistaira Lauderbacka, oskarżający naczelnika Sheparda o nadużycie swej władzy, nie był tu żadnym wyjątkiem i przeczytawszy go, wydawca od razu usiadł, żeby sporządzić jego kopię. Zamierzał ją podać do druku, a oryginał zabrać do Miasteczka Policyjnego i pokazać samemu naczelnikowi, bo Shepard na pewno zechciałby się bronić przynajmniej w kilku punktach, a było jeszcze dość wcześnie, by Löwenthal zdążył zamieścić jego odpowiedź na list polityka w poniedziałkowym wydaniu „Czasu”.

Zmarszczył brew, wyciągając przybory do pisania. Wiedział, że informacja o prywatnej inwestycji w przedsięwzięcie Sheparda mogła pochodzić tylko od jednego z dwunastu ludzi obecnych na spotkaniu w hotelu Korona, co oznaczało, niestety, że któryś z nich złamał obietnicę milczenia. O ile Löwenthal wiedział, jedynym spośród nich, który w ogóle znał Lauderbacka bliżej, był przyjaciel polityka, Thomas Balfour. Dziennikarz z ciężkim sercem wyciągnął czystą kartkę, odkręcił kałamarz i umoczył pióro. Tom, pomyślał z wyrzutem. Tom. Pokręcił głową i westchnął.

Kończył przepisywać ostatni akapit listu Lauderbacka, gdy wzdrygnął się na głos dzwonka. Wstał natychmiast, odłożył pióro na bibułę i przeszedł do drukarni, a mięśnie jego twarzy rozluźniały się po drodze w powitalnym uśmiechu, który niemal niedostrzegalnie zastygł na widok człowieka w drzwiach.

Przybysz był w szarym płaszczu o aksamitnych klapach i aksamitnych, podwiniętych mankietach. Tkanina, z której uszyto okrycie, okazała się gęsta, lśniąca i przypominała focze futro, przybierając jakby oleisty odcień, kiedy mężczyzna się poruszał. Fontaż miał zawiązany wysoko pod szyją, a klapy jego kamizelki o szerokim kołnierzu były nieco podniesione po bokach, co optycznie poszerzało mężczyznę w barach i pogrubiało mu kark. W jego rysach było coś ciężkiego – jak gdyby twarz wykuto z kamienia – coś pierwotnego i szorstkiego, czego nie da się wygładzić. Miał szerokie usta, przypłaszczony nos i lekko wystające, kwadratowe czoło, a jego lewy policzek przecinała cienka, srebrzysta blizna, sięgająca spod oka daleko aż po kącik ust.

Wahanie Löwenthala było tylko chwilowe. Po chwili rzucił się naprzód, wytarł dłonie

w fartuch i uśmiechnął się szeroko. Gdy miał już czyste ręce, wyciągnął je do gościa i powiedział:

– Panie Wells! Jak dobrze pana znów widzieć. Witamy z powrotem w Hokitika!

Francis Carver zmrużył oczy, ale nie połknął przynęty.

– Chciałbym dać ogłoszenie – powiedział.

Nie wkroczył w prywatną przestrzeń Löwenthala, pozostał przy drzwiach, w odległości ośmiu stóp od niego.

– Oczywiście, oczywiście. I proszę pozwolić, że powiem, że jestem zarówno zaszczycony, jak i zadowolony – oto po raz drugi wybrał pan moje usługi! Byłoby mi bardzo przykro, gdybym stracił klienta przez swoje niedbalstwo.

Carver i tym razem nic nie odpowiedział. Nie zdjął kapelusza i nie zdradzał po temu żadnej ochoty.

Dziennikarz nie przestraszył się jednak jego arogancji i dodał z radosnym uśmiechem:

– Ale nie mówmy o dawnych czasach, panie Wells, lecz o dniu dzisiejszym! Proszę powiedzieć, w czym mogę panu pomóc.

Przez twarz Carvera przemknął wreszcie błysk irytacji.

– Panie Carver – poprawił Löwenthala. – Nie nazywam się Wells.

Zadowolony Löwenthal złożył dłonie. Palce wskazujący i środkowy na prawej ręce miał prawie czarne, uwalane farbą drukarską, toteż splótłszy dłonie, uzyskał na nich dziwny, pasiasty deseń, jak gdyby należały do dwóch zupełnie różnych istot, czarnej i płowej.

– Być może myli mnie pamięć – odezwał się znowu – ale naprawdę wydaje mi się, że dobrze pana pamiętam. Był pan u mnie prawie przed rokiem, prawda? Miał pan ze sobą świadectwo urodzenia. Dał pan ogłoszenie w sprawie zaginionej skrzyni, za której zwrot zaoferował pan jakąś nagrodę. Pamiętam, że były pewne wątpliwości w związku z pańskim nazwiskiem, pomyliłem się w druku, opuściłem drugie imię, a pan powrócił rano do mojego biura, by skorygować ten błąd. Wydaje mi się, że świadectwo urodzenia było wystawione na Crosbiego Francisa Wellsa. Ale przepraszam... Czyżbym wziął pana za kogoś innego?

Carver i tym razem nie odpowiedział.

– Wszyscy zawsze mi mówią, że mam wyjątkowo dobrą pamięć – dodał po chwili Löwenthal.

Był impertynencki i ryzykował... Ale może uda mu się wyprowadzić Carvera w pole. Oblicze wydawcy pozostawało przyjemnie obojętne – czekał, aż jego gość się odezwie.

Löwenthal wiedział, że Carver mieszka w hotelu Pałac, bo stamtąd kierował smutną operacją wyciągnięcia wraku „Z Bogiem” na brzeg. Zabieg ten niewątpliwie zostałyby

przeprowadzony skrycie i byłby obwarowany licznymi ograniczeniami dla osób niepowołanych, gdyby Carver starał się ukryć ciało zamordowanego człowieka na pokładzie zatopionego statku. Wszyscy, w tym ten agent spedycyjny, Thomas Balfour, donosili jednak, że Carver działa całkowicie jawnie. Złożył spis przewożonych ładunków w kapitanacie portu, spotkał się z delegatami firm przewozowych z Hokitika, żeby się z nimi rozliczyć, i kilka razy osobiście popłynął na wrak w towarzystwie cieśli okrętowych, handlarzy starzyzną i tak dalej.

– Nie nazywam się Wells – odpowiedział w końcu Carver. – Występowałem wtedy w cudzym imieniu. Teraz to już nieważne.

– Bardzo przepraszam – odezwał się Löwenthal bez mrugnięcia okiem. – A zatem to pan Crosbie Wells zgubił skrzynię... A pan pomagał mu ją odzyskać.

Nastąpiła chwila ciszy.

– Tak.

– No to mam nadzieję, że się to panu udało! Mniemam, że skrzynia została w końcu zwrócona właścicielowi?

Zirytowany Carver gwałtownie podniósł głowę.

– Nieważne – odpowiedział. – Już mówiłem.

– Zachowałbym się niegrzecznie, gdybym nie złożył panu wyrazów współczucia, panie Carver.

Carver przyglądał się Löwenthalowi.

– Było mi bardzo przykro, kiedy dowiedziałem się o śmierci pana Wellsa – ciągnął Löwenthal. – Nigdy nie miałem przyjemności go poznać, ale wszyscy mówili, że był z niego przyzwoity gość. Och... Mam nadzieję, że to nie ode mnie się pan o tym dowiaduje... To znaczy o tym, że pański znajomy nie żyje.

– Nie – powiedział Carver.

– Miło mi to słyszeć. Gdzie się panowie poznali?

Błysk irytacji w oczach Carvera powrócił.

– Byliśmy starymi przyjaciółmi.

– W Dunedin? Czy może jeszcze wcześniej?

Carver nie wyglądał, jakby miał ochotę odpowiadać, dlatego Löwenthal ciągnął dalej.

– No cóż, to pewnie wielka pociecha wiedzieć, że odszedł tak spokojnie.

Carver skrzywił się, a po chwili wybuchnął.

– Co to znaczy: spokojnie?!

– Umrzeć we śnie... we własnym domu? Moim zdaniem to najlepsza śmierć, jakiej tylko można sobie życzyć. – Löwenthal miał wrażenie, że zdobywa teren. – Tylko wielka szkoda, że nie było wtedy przy nim małżonki.

Carver wzruszył ramionami. Cokolwiek tak go przed momentem wzburzyło, najwyraźniej zgasło równie nagle.

– Małżeństwo to prywatna sprawa – odrzekł.

– Zgadza się z szanownym panem w stu procentach – powiedział Löwenthal i uśmiechnął się. – Zna pan chociaż trochę panią Wells?

Carver wydał nieartykułowany odgłos.

– Bo ja miałem przyjemność ją poznać, ale tylko przelotnie – ciągnął niezrażony Löwenthal. – Zamierzałem pójść dzisiaj wieczorem do Fortuny Wędrowca. Jestem oczywiście sceptykiem, ale z otwartą głową. Czy mogę się spodziewać pańskiej obecności?

– Nie – odrzekł Carver. – Nie może pan.

– Zapewne pański sceptycyzm przewyższa nawet mój!

– Nie mam żadnego zdania na temat seansów spirytystycznych. Może przyjdę, a może nie.

– W każdym razie mniemam, że pani Wells z radością powitała pański powrót do Hokitika – powiedział Löwenthal, prowadząc coraz ryzykowniejszą grę w tej rozmowie. – Tak... Jestem pewien, że na pewno bardzo się ucieszyła na wieść o pana powrocie.

Teraz Carver wyglądał już wyraźnie na zdenerwowanego.

– A dlaczego? – ciągnął Löwenthal. – Otóż ze względu na całe to zamieszanie wokół posiadłości jej męża, oczywiście! Bo przecież procedura prawna została wstrzymana właśnie z powodu świadectwa urodzenia pana Wellsa! Nikt nie wie, gdzie się podziało.

Löwenthal powiedział to głośniejszym głosem, niż zamierzał, i martwił się przez chwilę, że może zagrał zbyt ryzykownie. To, o czym mówił, było prawdą, a co więcej, znaną już publicznie. Apelacja pani Wells w sprawie o unieważnienie sprzedaży posiadłości jej męża nie została dotąd rozpatrzona przez sąd, ponieważ nie zachowały się żadne dokumenty, które mogłyby potwierdzić tożsamość zmarłego. Lydia Wells przybyła do Hokitika kilka dni po pogrzebie, a zatem nie mogła zidentyfikować zwłok. Poza ekshumacją (sąd prosił w tej kwestii wdowę o wybaczenie) wydawało się nie być innego sposobu, by udowodnić, że odludek zmarły w Dolinie Arahura i pan Crosbie Wells, który podpisał się na świadectwie ślubu z Lydią, to ten sam człowiek. Biorąc pod uwagę znaczną wielkość spadku, sąd uznał za stosowne odłożyć posiedzenie do chwili, kiedy będzie można dojść do jakichś bardziej definitywnych wniosków, a pani Wells bardzo grzecznie podziękowała sędziemu za takie orzeczenie. Zapewniła, że odznacza się wyjątkowo niezłomną, iście kobiecą cierpliwością i będzie czekać tak długo, jak potrzeba, aż jej dług (tak wyrażała się o swoim spadku) zostanie spłacony.

Carver jednak nie dał się sprowokować. Zmierzył tylko wydawcę spojrzeniem od stóp do głów, a potem z gburowatą obojętnością powiedział:

– Chcę zamieścić ogłoszenie w „Czasie”.

– Oczywiście – odparł Löwenthal. Serce biło mu szybko. Przysunął sobie kartkę i zapytał:

– Co pragnie pan zaoferować na sprzedaż?

Carver wyjaśnił, że kadłub „Z Bogiem” zostanie wkrótce rozebrany, wcześniej jednak chciałby sprzedać różne części wyposażenia statku na piątkowej aukcji, którą ma poprowadzić firma Glasson & Rowley, Złomowanie. Przekazał Löwenthalowi bardzo lakoniczne instrukcje co do treści ogłoszenia: przed aukcją nikomu nie wolno sprzedać ani jednej części statku, nikt z kupujących nie dostanie żadnych przywilejów, a firma aukcyjna nie będzie prowadzić z nikim korespondencji. Wszelkie pytania mają być kierowane drogą pocztową do pana Francisa Carvera, zamieszkałego w hotelu Pałac.

– Jak pan zauważył, wszystko starannie notuję – powiedział Löwenthal. – Nie popełnię błędu i nie pomnę niczego w pańskich danych osobistych. Nie tym razem! Ciekawe... Pan i Crosbie Wells nie byliście chyba spokrewnieni?

Carver znów skrzywił twarz.

– Nie.

– Co prawda, Francis to pospolite imię – zauważył Löwenthal. Zapisywał właśnie nazwę hotelu Carvera i po kilku sekundach, kiedy podniósł głowę, okazało się, że kapitan ma jeszcze kwaśniejszą minę niż przedtem.

– A jak pan się nazywa? – spytał Carver, podkreślając w ten sposób, że Löwenthal nawet mu się nie przedstawił.

Kiedy dziennikarz odpowiedział mu na to pytanie, Carver z wolna skinął głową, jak gdyby chciał sobie dobrze zapamiętać jego nazwisko.

– To zamknij się pan wreszcie, do kurwy nędzy, panie Löwenthal.

Wydawca był zaszokowany. Przyjął pieniądze za ogłoszenie i wypisał Carverowi pokwitowanie już w milczeniu – pisał bardzo powoli i starannie, ale pewnie. Po raz pierwszy został obrażony we własnym biurze i był tym tak wstrząśnięty, że nie potrafił zareagować od razu. Ale po chwili niczym triumfalny ryk zaczęła narastać w nim najpierw radość, a potem napięcie. Dotknięty, Löwenthal zamieniał się niemal w gladiatora. Poczł się wojowniczo i zwycięsko; był wręcz zadowolony, jak gdyby w pobliżu zabrzmiało długo oczekiwane wezwanie do walki, choć tylko on odbierał jego rezonans, uderzający o żebra i huczący we krwi.

Carver wziął pokwitowanie. Odwrócił się i skierował do wyjścia bez słowa pożegnania, nawet nie dziękując Löwenthalowi. Była to nieuprzejmość, która wzburzyła dziennikarza do

tego stopnia, że nie mógł się już powstrzymać.

– Ma pan czelność, żeby się tu pokazywać po tym, co pan zrobił!

Carver znieruchomiał z ręką na klamce.

– Po tym, co zrobił pan Annie – dodał Löwenthal. – To ja ją wtedy znalazłem, wie pan? Była cała we krwi. Nie traktuje się kobiety w ten sposób, kimkolwiek by była, zwłaszcza jeśli jest brzemienna i wkrótce ma urodzić!

Carver milczał.

– Omal nie skończyło się to podwójnym morderstwem. Zdaje pan sobie z tego sprawę? – Löwenthal poczuł, że jego gniew narasta i przechodzi we wściekłość. – Widział ją pan, kiedy goiły się jej sińce? Czy wie pan, że przez dwa tygodnie chodziła o lasce? Bez niej w ogóle nie mogłaby się poruszać! Wiedział pan o tym?

– Nie miała czystych rąk – odezwał się w końcu Carver.

Löwenthal o mało się nie zaśmiał.

– Co? To znaczy, że to ona pozostawiła pana w kałuży krwi, tak? To ona pobiła pana do nieprzytomności? Jak to się mówi: oko za oko?

– Tego nie powiedziałem.

– A może to ona zabiła pańskie dziecko? I dlatego pan z zemsty zabił dziecko Anny? – Löwenthal prawie krzyczał. – Przyznaj się, człowieku! Przyznaj się!

Ale Carver był nieporuszony.

– Chodziło mi o to, że Anna to nie jest jakiś wstydlivy kwiatusek.

– Wstydlivy kwiatusek! Zaraz mi pan powie, że sama jest sobie winna! Że jej się należało!

– Tak – odrzekł Francis Carver. – Dostała to, co jej się należało.

– Ma pan niewielu przyjaciół w Hokitika, panie Carver – powiedział Löwenthal, wskazując go ciemnym od farby palcem. – Anna Wetherell jest może zwykłą dziwką, ale uwielbia ją w tym mieście zbyt wielu mężczyzn, by zdołał ich pan powstrzymać nawet z użyciem broni. Niech pan o tym nie zapomina. Jeżeli coś się jej stanie... Muszę pana ostrzec... Jeśli stanie się jej jakaś krzywda...

– Z mojej strony nic jej nie grozi – odparł Carver. – Nie mam więcej nic wspólnego z tą kobietą. Wyrównałem rachunki.

– Rachunki! – Löwenthal splunął na podłogę. – Ma pan na myśli dziecko? Własne dziecko? Które umarło, zanim zdążyło choć raz zaczerpnąć powietrza? I pan to nazywasz rachunkami!

Carver nagle spojrział na niego z wielkim rozbawieniem.

– Własne dziecko? – powtórzył.

– Mówię to panu, chociaż pan o to nie pytał! – zakrzyknął Löwenthal. – Pańskie dziecko nie żyje. Słyszysz mnie pan? Pańskie dziecko umarło, zanim przyszło na świat! Zginęło z pańskiej ręki!

Carver zaśmiał się chrapliwie, jak gdyby musiał odkrztusić jakieś paskudztwo.

– Ta kurwa nigdy nie nosiła mojego dzieciaka. Kto to panu powiedział?

– Anna – odparł Löwenthal, którego po raz pierwszy przeszył dreszcz. – Zaprzecza pan?

Carver znów się roześmiał.

– Nie tknąłbym tej dziewczyny nawet bosakiem – odpowiedział i zniknął, zanim Löwenthal zdążył odpowiedzieć.

SŁOŃCE W WODNIKU

*Rozdział, w którym Sook Yongsheng składa kolejną niespodziewaną wizytę,
Lydia Wells ma proroczą wizję, a Anna zostaje sama*

Anna Wetherell nie odwiedzała palarni opium w Kaniere od 14 stycznia po południu. Pół uncji świeżego narkotyku, który Sook Yongsheng jej wtedy podarował, powinno jej było wystarczyć na nie dłużej niż dwa tygodnie, gdyby używała go jak zwykle. Ale minął już miesiąc, a Anna ani razu nie wróciła do Kaniere, aby wypalić fajkę ze swoim dawnym kompanem lub uzupełnić zapasy. Ah Sook w żaden sposób nie umiał sobie tego wytłumaczyć.

Kapelusznikowi bardzo brakowało wizyt dziwki. Każdego popołudnia na próżno czekał, aż pojawi się na skraju polanki, jeszcze poza granicami Chinatown w Kaniere, z czepkiem zwisającym na plecach, i każdego popołudnia przeżywał rozczarowanie. Domyślał się, że pewnie przestała w ogóle zażywać opium – albo postanowiła zaopatrywać się bezpośrednio u aptekarza. Ta druga możliwość powinna być boleśnieszka dla Aha Sooka, bo nadal podejrzewał, że Joseph Pritchard odegrał jakąś rolę w przedawkowaniu, do którego doszło czternastego wieczorem, i dalej uważał, chociaż wiele dowodów świadczyło o czymś przeciwnym, że Pritchard chciał z jakiegoś powodu zabić Annę. Ale prawdę mówiąc, Chińczykowi trudniej było pogodzić się z tą pierwszą możliwością. Po prostu nie mógł – nie chciał – uwierzyć, że udało się jej raz na zawsze wyzwolić z nałogu.

Bardzo lubił Annę i sądził, że ona lubi jego. Wiedział jednak, że ich bliskość oznacza nie tyle wspólne życie, ile wspólną izolację. Żaden związek nie jest równie bliski jak między narkomanem i jego narkotykiem i zarówno Chińczyk, jak i panna Wetherell bardzo dotkliwie odczuwali swoją samotność. Ah Sook nie mógł ścierpieć, że jest niewolnikiem opium, a im bardziej go nienawidził, tym bardziej narastało jego pożądanie, któremu nadawał w myślach obrzydliwą postać. Anna również nie znosiła swojego nałogu. Zaczęła go nienawidzić jeszcze mocniej, kiedy urósł jej brzuch i coraz rzadziej pracowała w Hokitika, spędzała bowiem wtedy całe dni i tygodnie w świetle zmierzchu jedynie w towarzystwie opium; ten niezmiernie się jej dłużyący czas jak gdyby roztopiał się na brzegach i robił niewyraźny, a potem umarło jej dziecko i nałóg Anny stał się tak rozpaczliwy, że nie próbował go zrozumieć nawet Ah Sook. Nie wiedział, jak poroniła, i nie zapytał o to.

W palarni w Kaniere nigdy nie rozmawiali. Nie rozmawiali, gdy zapalali lampę, kładli się i czekali, aż opium rozmięknie i zacznie bulgotać w fajce. Czasami Anna najpierw napełniała fajkę Aha Sooka i podtrzymywała ją dla niego, kiedy wciągał dym, wypuszczał go i odpływał – po to, żeby obudzić się po jakimś czasie i znaleźć Annę wyciągniętą obok niego, delikatną i spoconą, z mokrymi włosami przylepionymi do policzka. W ceremonii palenia opium to, że nie rozmawiali, było ważne, i Ah Sook cieszył się, iż przyjęli ten zwyczaj bez żadnych pertraktacji albo próśb. Tak jak o akcie małżeńskim nie mówi się głośno z przyczyn zarówno świeckich, jak i religijnych, ten fajkowy rytuał był dla nich sacrum, świętym rytuałem, niewymownym i upokarzającym, ale także ekstatycznym i boskim: jego świętość

leżała w bezbożności, a bezbożność wynikała ze świętości. Jakaż była to bowiem poważna radość, kiedy czekało się w milczeniu, aż opium się rozpuści, kiedy pożałowało się go boleśnie, ze wstydem, w zadziwieniu, kiedy czuło się jego słodki zapach, kiedy przeciągało się igłę przez smólkę, gasiło płomień, kiedy oboje się kładli, wciągali dym i czuli, jak cudownie przenika ich wszystkie członki, palce u rąk i nóg, a nawet skórę na głowie! I ach, jak czule przyglądał się Annie Ah Sook, kiedy się budzili.

Tego popołudnia, gdy miał się odbyć seans (czyli w niedzielę, co było absolutnie świadomą prowokacją ze strony pani Wells), Ah Sook siedział w prostokacie słońca, wpadającego do chaty przez otwarte drzwi, czyszcząc główkę fajki, nucąc cicho i rozmyślając o Annie. Zajmował się tym prawie od godziny i główka była już od dawna czysta. Nóż Aha Sooka nie wydłubywał z niej więcej czerwonego osadu, pozostawionego przez spalone i skawalone opium. Długi cybuch też był drożny. Zbyteczne ruchy Chińczyka odpowiadały jednak jego niepotrzebnym, powtarzającym się myślom i pomagały mu odzyskać pewność siebie.

– *Ah Quee faat sang me si aa?*

Z przeciwnej strony polanki przypatrywał mu się Tong Wei, gładko ogolony trzydziestolatek. Ah Sook nie odpowiedział. Przysiągł z nikim nie rozmawiać o naradzie w hotelu Korona ani o poprzedzających ją wydarzeniach.

Młodzieniec nie dawał za wygraną.

– *Keoihai mai bei yan daa gip aa?*

Ah Sook nie odpowiedział i po chwili Tong Wei zrezygnował, pomrukując coś z niezadowoleniem, po czym oddalił się w kierunku rzeki.

Jeszcze długo po odejściu młodzieńca Ah Sook siedział bez ruchu, a potem nagle wyprostował się, zaklął i złożył nóż. Czekanie na nią, myślenie o niej i codzienne domysły to piekło. Nie zniesie tego dłużej. Pójdzie do Hokitika jeszcze dzisiaj i zażąda spotkania z Anną. Uda się tam zaraz. Schował fajkę i przybory, wstał i wszedł do chaty po płaszcz.

Rozumiał tylko trochę z tego, o czym mówiono w palarni hotelu Korona przed trzema tygodniami. Nie dostał pomocy od swojego krajana, bo Ah Quee znał angielski jeszcze słabiej, a nikt z pozostałych uczestników niczego mu nie wytłumaczył. Biali ludzie łatwo tracili cierpliwość, kiedy Chińczycy prosili ich o wyjaśnienia. Balfour opowiadał o wiele za szybko i nazbyt poetycko, by mogło go łatwo zrozumieć ucho cudzoziemca, toteż zarówno Ah Sook, jak i Ah Quee wyszli ze spotkania, tylko częściowo wiedząc, o czym była na nim mowa.

Dlatego umknęło im kilka ważnych spraw. Ah Sook nie miał pojęcia, że Anna Wetherell wyprowadziła się z hotelu Ruszt i zamieszkała z Lydią Wells. Nie wiedział też, że Francis Carver jest kapitanem statku „Z Bogiem”, który zatonął na łasze Hokitika. Kiedy zebranie dobiegło końca, czyli tuż po północy, Ah Sook nie poszedł z innymi na cypel Hokitika, żeby się przyjrzeć wrakowi – nie interesowały go katastrofy morskie, a ponieważ nie lubił

przebywać samotnie na ulicach Hokitika po zmroku, wrócił do Kaniere i nie ruszał się stamtąd do tej pory. Dlatego nadal sądził, że Francis Carver wyjechał prawie miesiąc temu do Kantonu i nie wróci do Hokitika jeszcze przez jakiś czas. Thomasowi Balfourowi, który zupełnie zapomniał, że podał Ahowi Sookowi tę mylną informację, nie przyszło nawet na myśl, żeby ją sprostować.

Kiedy dzwon w kaplicy wybił wpół do czwartej, Ah Sook wchodził po schodach na werandę hotelu Ruszt. W recepcji powiedział, że chce się widzieć z Anną Wetherell, wymawiając jej nazwisko zarówno z powagą, jak i satysfakcją, jak gdyby spotkanie zostało ustalone wiele miesięcy wcześniej. Wyciągnął szylinga, żeby pokazać, że chce zapłacić za przywilej rozmowy z dziwką, a potem skłonił się głęboko i z szacunkiem. Pamiętał Edgara Clincha z tej tajnej narady, a hotelarz wydał mu się wtedy przyzwoitym i rozsądnym człowiekiem.

Ale Clinch pokręcił tylko głową. Kilka razy wskazał świeżo pobielony budynek Fortuny Wędrowca po drugiej stronie ulicy Revella i wyrzucał z siebie potok słów. Ah Sook nie zrozumiał, więc Clinch wyciągnął go na zewnątrz za łokieć, wskazał dom naprzeciwko i wyjaśnił, już wolniej, że Anna teraz tam mieszka. Ah Sook w końcu dojrzał jakiś ruch za szybą dawnego hotelu i zauważył dziewczynę. Zadowolony, skłonił się Clinchowi po raz drugi, wyjął szylinga z jego dłoni i schował go do kieszeni. Potem przeszedł na drugą stronę ulicy, wszedł po schodach na werandę Wędrowca i energicznie zapukał do drzwi.

Anna była chyba w recepcji, bo otworzyła już po kilku chwilach. Jak często ostatnio to jej się zdarzało, wystąpiła w stroju roztargnionej pokojówki, z miną znamionującą złość i dezaprobatę, i oparła się ręką o framugę, by w razie czego od razu zatrzaskać drzwi. (Przez ostatnie trzy tygodnie przyjmowała wielu gości, głównie zamyślonych kopaczy, którym brakowało jej teraz wieczorami w Złotym Samorodku. Błagali, żeby pozwoliła postawić sobie kieliszek szampana, brandy albo małe piwo i poszła z nimi „pogwarzyć” do jednej z jasno oświetlonych karczm na ulicy Revella, ale ich prośby nie przynosiły skutku – panna Wetherell kręciła odmownie głową i zamykała drzwi). Kiedy w tej chwili zobaczyła jednak, kto stoi na progu, otworzyła je szerzej i wydała okrzyk zaskoczenia.

Ah Sook też się zdziwił i przez chwilę tylko się jej przyglądał. Od kilku tygodni musiał ją sobie jedynie wyobrażać, a teraz stoi przed nim! Czy naprawdę aż tak się zmieniła, czy może on ma po prostu słabą pamięć i dlatego Anna wydaje mu się zupełnie inną kobietą niż ta, z którą spędził tyle wspaniałych popołudni, kiedy chłodne zimowe światło wpadało ukośnie do środka przez kwadratowe okno, a dym opiumowy kłębił się w ich żyłach? Miała na sobie nową suknię, czarną, bardzo mocno wydekoltowaną. Ale to nie tylko nowa suknia, pomyślał Ah Sook. To całkiem inna kobieta.

Nie była odurzona. Jej policzki pałały nowym blaskiem, a oczy miała jaśniejsze, większe i czujniejsze. Leniwe ruchy stały się niewidoczne, podobnie jak lekka mgiełka senności, otulająca ją zawsze niczym batystowy welon. Zniknęły wieloznaczny półuśmieszek, drżenie w kąciку ust, zdumienie i dezorientacja, bo dawniej często wyglądała tak, jak gdyby

dostrzegła coś niezwykłego, czego nie widzi nikt inny. W następnej chwili zdumienie Aha Sooka ustąpiło rozgoryczeniu. A więc to prawda. Anna uwolniła się od smoka opium. Wyleczyła się. Udało jej się coś, co on próbuje zrobić od przeszło dziesięciu lat, wciąż pozostając niewolnikiem tego bezkształtnego zwierza, jakim jest narkotyk.

Anna lekko zacisnęła palce na framudze, jak gdyby chcąc zachować równowagę.

– Niestety, nie możesz wejść. Nie możesz wejść, Ahu Sooku.

Chińczyk odczekał chwilę, zanim się uklonił, ufał bowiem swojemu pierwszemu wrażeniu i chciał, żeby trwało. Anna była o wiele chudsza niż dawniej. Wyraźnie widział kości jej nadgarstka; poza tym miała zapadnięte policzki.

– Dzień dobry – powiedział.

– Czego chcesz? – szepnęła. – Tak, dzień dobry. Wiesz, że już nie zażywam opium. Wiesz o tym?

Przyglądał się jej uważnie.

– Od trzech tygodni – dodała, jak gdyby chcąc go przekonać. – Nie palę od trzech tygodni.

– Jak? – spytał Ah Sook.

Pokręciła głową.

– Musisz mnie zrozumieć. Nie jestem już taka jak dawniej.

– Czemu ty już nie przychodzić do Kaniere? – spytał Ah Sook.

Nie wiedział, jak jej powiedzieć, że za nią tęskni. Że każdego popołudnia przed jej wizytą ładnie układał poduszki na kanapie, robił porządki, upewniał się, czy jest schludnie ubrany i czy ma zawiązany warkoczek. Że kiedy patrzył, jak Anna śpi, radość po prostu często aż go dławiała. Że czasem wyciągał rękę i pozwalał jej krążyć nie dalej niż cal od jej piersi, jak gdyby był w stanie przekroczyć zadymioną przestrzeń, dzielącą go od niej, i poczuć, jak gładka jest jej skóra. Że czasami ona wypalała fajkę, a on czekał i dopiero potem palił sam, by móc obserwować dziewczynę i utrwalić jej obraz w swoich myślach – by móc ją zapamiętać.

– Nie mogę już cię odwiedzać – powiedziała Anna. – Nie powinieneś tu być. Nie mogę cię odwiedzać.

Ah Sook przyglądał się jej ze smutkiem.

– Koniec palenia?

– Koniec – powiedziała Anna. – Koniec z paleniem, koniec z Kaniere.

– Dlaczego?

– Nie potrafię tego wytłumaczyć... Nie tutaj. Przestałam palić, Ahu Sooku. Stanowczo rzuciłam opium.

– Brakować ci pieniędzy? – spytał Ah Sook, usiłując zrozumieć, co Anna do niego mówi. Wiedział, że dziewczyna ma ogromne długi. Była winna mnóstwo pieniędzy Dickowi Manneringowi, a jej dług rósł codziennie. Może już jej nie stać na narkotyki, brakuje jej czasu na wyprawę do Kaniere – może już nie jest w stanie sobie na to pozwolić.

– Nie chodzi o pieniądze – powiedziała Anna.

Właśnie wtedy jakaś kobieta z głębi domu zawołała Annę ze zniecierpliwieniem, acz zarazem łaskawie, pragnąc się dowiedzieć, kim jest gość i czego sobie życzy.

Anna odwróciła głowę na bok, ale nie spuściła oczu z twarzy Aha Sooka.

– To tylko żółtek, którego znam z dawnych lat! – zawołała. – Nic ważnego.

– No, a czego on chce?

– Niczego! Ma coś do sprzedania.

Zapadła cisza.

– Ja ci przynosić... Tutaj? – zapytał Ah Sook. Złożył dłonie i wyciągnął je do dziewczyny, pokazując, że chce sam dostarczać jej narkotyki.

– Nie – szepnęła Anna. – Nie, nie możesz tego zrobić. To nie ma sensu. Po prostu... Chodzi o to, że opium już na mnie nie działa.

Ah Sook nie zrozumiał.

– Ostatni kawałek – powiedział, mając na myśli opium, które dał jej tamtego popołudnia, kiedy omal nie straciła życia. – Ostatni kawałek... Pechowy?

– Nie... – zaczęła Anna, ale zanim zdołała powiedzieć coś więcej, w korytarzu rozległy się szybkie kroki i po chwili u boku Anny pojawiła się kobieta.

– Dzień dobry. Co pan sprzedaje? Możesz odejść, Anno... – Dziewczyna natychmiast usunęła się z drzwi.

Ah Sook też zrobił krok w tył, ale raczej dlatego, że się zdumiał, niż dlatego, że był posłuszny – bo ujrzał Lydię Greenway po raz pierwszy od prawie trzynastu lat. Ostatni raz widział ją... Kiedy to było? W sądzie w Sydney. Ona siedziała na sali, a on na ławie oskarżonych. Była czerwona na twarzy i chłodziła się haftowanym wachlarzem z drewna sandałowego, którego zapach dolatywał nawet do ławy oskarżonych – i w przypływie emocji Ah Sook przypomniał sobie rodzinny magazyn na nabrzeżu w Kwangchow oraz skrzynki właśnie z drewna sandałowego, w które przed wybuchem wojen opiumowych kupcy pakowali zwoje jedwabiu. Lydia miała na sobie jasnozieloną suknię, dobrze to pamiętał, i obszyty koronką czepek. Przez cały proces przybierała niezmiennie ponurą minę. Jej zeznanie okazało się krótkie i dorzeczne. Ah Sook nie zrozumiał z niego ani słowa, wyjąwszy chwilę, gdy wskazała go sądowi. Kiedy został uniewinniony od zarzutu morderstwa, Lydia nie okazywała żadnych uczuć. Po prostu wstała w milczeniu i wyszła, nie odwracając się za siebie. Od tamtej

chwili minęło ponad dwanaście lat! Ponad dwanaście lat – a przecież jest teraz tutaj, potwornie obecna, potwornie niezmienną! Jej włosy są miedziane, jak zwykle. Ma świeżą skórę, prawie niepomarszczoną. Była pulchna i miała wydatny biust, stanowiąc fizyczne przeciwieństwo Anny.

Chwilę później jej twarz złagodniała – było to niezwykle, bo Lydia na ogół po mistrzowsku dobierała odpowiednie miny i nie lubiła okazywać zaskoczenia – a teraz szeroko otworzyła oczy.

– Znam tego człowieka – powiedziała zdumiona, podnosząc rękę do szyi. – Znam go.

Anna spojrzała na Aha Sooka, potem na panią Wells, a potem znów na Chińczyka

– Jak to możliwe? – spytała. – Chyba nie z Kaniere!

Na górnej wardze Aha Sooka pojawiła się warstewka potu. Nie odezwał się jednak, tylko skłonił. Może kobiety pomyślą, że nie rozumie. Odwrócił się z powrotem do Anny, wyczuwając, że jeśli przez choćby jedną chwilę dłużej będzie patrzył w oczy Lydii Greenway, to wdowa po Crosbie Wellsie przypomni sobie, gdzie się spotkali. Wciąż widział kątem oka, że mu się przypatruje.

Anna też zmarszczyła brwi.

– Może myślisz o kimś innym – zwróciła się do pani Wells. – Chińczyków często trudno jest odróżnić.

– Tak... Być może – powiedziała pani Wells, ale wciąż uważnie przypatrywała się Ahowi Sookowi. Nie wiedział, czy już sobie przypomniła, skąd go zna. Zastanawiał się, co powiedzieć Annie, ale w głowie miał pustkę.

– Czego chcesz, Aha Sooku? – spytała Anna. Nie odezwała się niegrzecznie, lecz tęsknie, a w jej oczach pojawił się błagalny, niemal lękliwy wyraz.

– Jak go nazwałaś? – zapytała szybko pani Wells.

– Ah Sook – odparła Anna. – To chyba znaczy „pan Sook”. Handluje opium w Kaniere.

– Ach! – Spojrzenie Lydii natychmiast się zaostrzyło. – Opium!

A więc już wie. Przypomniła sobie, kim on jest.

Ah Sook natychmiast zmienił taktykę. Zwrócił się do Anny i oświadczył:

– Ja cię kupić. Najwyższa cena.

Wdowa wybuchnęła śmiechem.

– Och – powiedziała Anna, oblewając się ciemnym rumieńcem. – Nie. Nie możesz tego zrobić. Chyba nikt ci o tym nie powiedział, ale skończyłam również z prostytutką. Nie jestem już dziwką. Nie sprzedaję się. Nie jestem na sprzedaż.

– A kim ty teraz być? – spytał Ah Sook.

– Panna Wetherell jest moją asystentką – odpowiedziała pani Wells, Ah Sook nie wiedział jednak, co znaczy „asystentka”. – Teraz mieszka tutaj.

– Teraz mieszkam tutaj – dodała jak echo Anna. – Już nie zażywam opium. Rozumiesz? Ja... Ja już nie palę. Rzuciłam.

Ah Sook był zaskoczony.

– No to do widzenia – powiedziała Anna. – Dziękuję, że wpadłeś.

Ręka pani Wells wystrzeliła nagle do przodu, a jej mleczna dłoń mocno ścisnęła przedramię Aha Sooka.

– Musi pan przyjść na seans dziś wieczorem – powiedziała.

– On nie ma biletu – rzekła Anna.

– Akcent orientalny. – Pani Wells nie zwracała uwagi na jej słowa. – Będzie pasować w sam raz! Powtórz mi jego nazwisko.

– Ah Sook.

– Och tak – powiedziała pani Wells. – Pomyśl tylko: orientalny akcent na naszym wieczornym seansie!

– Czy seans spirytystyczny to zwyczaj orientalny? – spytała z niedowierzaniem w głosie Anna.

Ah Sook nie rozumiał, ale wiedział, co znaczy „orientalny” i domyślił się, że jest tematem rozmowy obu pań, a także przyczyną chciwości, która nagle wypełzła Lydii na twarz. Był zdumiony, że zmieniła się tak mało przez ponad dziesięć lat, a Anna tak bardzo przez miesiąc. Spoglądając na dłoń Lydii, zaciśniętą mocno na jego przedramieniu, ze zdziwieniem zauważył złotą obrączkę na jej palcu.

– Pani Carver – powiedział, wskazując obrączkę.

Wdowa uśmiechnęła się, tym razem szerzej.

– Zdaje mi się, że jest w nim coś z proroka – powiedziała do Anny. – Jak ci się podoba taki koncept?

– Co masz na myśli, mówiąc „pani Carver”? – Anna zwróciła się do Aha Sooka, marszcząc czoło.

– Żona Carvera – powiedział Ah Sook, choć jego odpowiedź niewiele jej wyjaśniła.

– On uważa, że jesteś żoną Carvera – powiedziała Anna.

– Tak mu się tylko roi – odparła pani Wells, po czym zwróciła się do Aha Sooka. – Nie jestem panią Carver. Mój mąż nie żyje. Zostałam wdową.

– Nie pani Carver?

– Pani Wells.

Oczy Aha Sooka otworzyły się szeroko.

– Pani Wells – powtórzył.

– To bardzo dobrze, że on tak słabo mówi po angielsku – Lydia zwróciła się do Anny, jak gdyby kontynuowała zwykłą rozmowę. – Dzięki temu nie będzie się rozpraszał. Nie straci spokoju. Jaki jest przystojny! Moim zdaniem świetnie się nam nada.

– Zna Carvera – powiedziała Anna.

– Nie wątpię – odparła lekceważąco pani Wells. – Kapitan Carver ma wielu złotych znajomych. Spodziewam się, że prowadzili ze sobą interesy w Hokitika. Niech pan wejdzie do salonu, panie Sook. – Chwyciła go za ramię jeszcze mocniej. – Proszę. Tylko na chwilę. Niech pan nie będzie dzieckiem, nie zrobię panu krzywdy!

– Francis Carver... w Guangdong? – spytał Ah Sook.

– Tak, bawi w Kantonie. Owszem, to jest wielce prawdopodobne – odpowiedziała pani Wells, biorąc pytanie Aha Sooka za stwierdzenie. – Kapitan Carver mieszkał w Kantonie. Przez wiele lat. Proszę wejść do salonu.

Wprowadziła Chińczyka, wskazując mu kąt pokoju.

– Będzie pan siedział na poduszce, o tam – powiedziała. – I obserwował otaczających pana ludzi, dodając naszemu mistycznemu seansowi chłodnej rozwagi. Nazwiemy pana Wyrocznią Wschodu... Albo Żywym Posągiem Orientu... Albo Duchem Dynastycznym... Albo jakoś tak. Co wolisz, Anno? Posąg czy Wyrocznię?

Anna nie miała żadnych preferencji. Było dla niej jasne, że Lydia Wells i Ah Sook się znają, a ich wspólne dzieje mają jakiś związek z Francisem Carverem i że wdowa nie chce o tym mówić. Dziewczyna wolała jednak zachować ostrożność, wiedziała, że nie należy drążyć tego tematu, spytała więc tylko:

– A co on będzie tu robić?

– Po prostu nas obserwować!

– Tak, ale w jakim celu?

Wdowa machnęła ręką.

– Nie widziałas tego przedstawienia w Operze Księcia Walii? Bilety na spektakle z wątkiem orientalnym sprzedają się najlepiej.

– Wiesz, Ah Sook nie jest anonimowy w Hokitika – powiedziała Anna. – Ktoś go rozpozna.

– Ciebie też! – zauważyła pani Wells. – Ale to nie będzie miało najmniejszego znaczenia.

– Nie wiem. Nie byłabym tego taka pewna.

– Anno Wetherell – odezwała się pani Wells z udawaną irytacją. – Pamiętasz zeszły czwartek, kiedy zaproponowałam, żeby powiesić nad schodami szkic przedstawiający Il Bagatto? Nie chciałaś, mówiąc, że grafikę zasłoni cień podestu, padający z poddasza, a ja mimo to ją powiesiłam i światło okazało się doskonałe?

– Tak – powiedziała Anna.

– No właśnie – rzekła pani Wells i roześmiała się.

Ah Sook nie zrozumiał z tego ani słowa. Odwrócił się do Anny i bardzo nieznacznie zmarszczył brwi, żeby jej pokazać, że musi mu wytłumaczyć, w czym rzecz.

– Chodzi o seans spirytystyczny – powiedziała Anna, ale na próżno. Ah Sook pokręcił głową. Nie znał tych słów.

– Spróbujmy – wtrąciła się pani Wells. – Niech pan podejdzie... Proszę podejść do kąta. Anno, daj panu poduszkę, żeby usiadł. A może stołek byłby bardziej ascetyczny? Nie, poduszka: wtedy będzie mógł usiąść po turecku jak człowiek Wschodu. Tak, proszę tu podejść... Bliżej... bliżej... Tutaj.

Popchnęła Aha Sooka na poduszkę i zrobiła kilka szybkich kroków w tył, by przyjrzeć się Chińczykowi z drugiej strony pokoju, po czym z zadowoleniem skinęła głową.

– Tak – powiedziała. – Widzisz, Anno? Czy nie wygląda pięknie? Jaką on ma uroczą minę! Ciekawe, czy możemy go poprosić, żeby zapalił fajkę, bo kłęby dymu wokół jego głowy wyglądałyby naprawdę ładnie. Choć z drugiej strony od dymu robi mi się niedobrze.

– On jeszcze się nie zgodził – zauważyła Anna.

Pani Wells sprawiała wrażenie nieco zirytowanej, ale nie próbowała się spierać z Anną, tylko podeszła z uśmiechem do Aha Sooka i przypatrzyła mu się, wsparta pod boki.

– Zna pan Emery’ego Stainesa? – zapytała, wyraźnie wymawiając to nazwisko. – Emery Staines? Zna go pan?

Ah Sook skinął głową. Znał Emery’ego Stainesa.

– No – powiedziała pani Wells. – To dziś go tu sprowadzimy. Dzisiaj wieczorem. I będziemy z nim rozmawiać. Z Emerym Stainesem... Tutaj. – Wskazała podłogę ręką pachnącą cytryną.

Po twarzy Aha Sooka przemknął promyk zrozumienia. Doskonale: widocznie poszukiwacz został znaleziony, i to żywy! To była dobra wiadomość.

– Bardzo dobrze – powiedział.

– Dzisiaj wieczorem – rzekła pani Wells. – Tutaj, w Fortunie Wędrowca. W tym pokoju.

Przyjęcie zacznie się o siódmej, seans o dziesiątej.

– Dzisiaj wieczorem – powtórzył Ah Sook, przyglądając się Lydii.

– Dokładnie. Pan też tu będzie. Pan przyjdzie. Usiądzie pan tak jak teraz. Tak? Och, Anno, czy on mnie rozumie? Nie wiem, ma takie posągowe oblicze. Teraz się domyślasz, skąd ten pomysł przyszedł mi do głowy... To Żywy Pomnik!

Anna powoli wyjaśniła Ahowi Sookowi, że Lydia prosi go, by przyszedł wieczorem na spotkanie z Emerym Stainesem. Kilka razy użyła określenia „seans spirytystyczny”, a Ah Sook, który nie miał okazji, by kiedykolwiek go słyszeć, wywnioskował z kontekstu, że chodzi o zaproszenie na jakieś wyreżyserowane zebranie albo spotkanie, na którym będzie także Emery Staines. Skinął głową, by pokazać, że zrozumiał. Następnie Anna wyjaśniła mu, że pani Wells chce, żeby wróciwszy do Wędrowca dziś wieczorem, zajął miejsce w kącie, na poduszce, dokładnie tam, gdzie siedzi teraz. Zaproszenia otrzymali też inni goście. Będą siedzieć w koło, a Emery Staines stanie pośrodku pokoju.

– Rozumie, co mówisz? – spytała pani Wells. – Rozumie?

– Tak – odrzekł Ah Sook, a potem zwrócił się do niej, żeby pokazać, że wszystko do niego dotarło. – Seans spirytystyczny z Emerym Stainesem, dziś wieczorem.

– Doskonale – powiedziała pani Wells, uśmiechając się tak, jak można by się uśmiechnąć do nad wiek rozwiniętego dziecka, które właśnie wyrecytowało jakiś sonet, czyli z nieco nieufnym i sztucznym podziwem. – Dziwka w żałobie oraz mistyk ze Wschodu – ciągnęła. – To doskonale! Na samą myśl przechodzi mnie dreszcz! Oczywiście seanse spirytystyczne nie należą do tradycji wschodniej – dodała, odpowiadając na wcześniejsze pytanie Anny. – Ale czy nie powtarzałam ci codziennie przez ostatnie dwa tygodnie, że w tej branży odpowiedni entourage to połowa sukcesu? Ah Sook bardzo nam się przyda.

Anna odwróciła wzrok i powiedziała niefrasobliwym tonem:

– Oczywiście należy mu się jakieś wynagrodzenie.

Wdowa obrzuciła ją bardzo chłodnym spojrzeniem, ale panna Wetherell nie patrzyła na nią, więc tego nie zauważyła. Po chwili twarz pani Wells znów się wypogodziła.

– Oczywiście! – powiedziała. – Ale powinnaś go zapytać, ile jego zdaniem należy mu się za tak lekką pracę. Zapytaj go, Anno, bo widzę, że jesteś jego bliską przyjaciółką.

Anna spełniła jej prośbę, tłumacząc Ahowi Sookowi, że wdowa zamierza mu wypłacić honorarium za jego wkład w wieczorny seans spirytystyczny. Ah Sook, który jeszcze nie rozumiał, że Emery Staines będzie na nim obecny wyłącznie duchem, uznał to za wspaniałą propozycję. Słusznie podszedł jednak podejrzliwie do oferty Lydii i dał temu wyraz. Doszło do nieco absurdalnych negocjacji i Chińczyk w końcu zgodził się, bardziej dla dobra Anny niż dla siebie, na wynagrodzenie w wysokości jednego szylinga.

Ah Sook nie był głupcem. Doskonale zdawał sobie sprawę, że nie bardzo zrozumiał, co

zajdzie dziś wieczorem. Wydawało mu się bardzo dziwne, że Anna kładzie taki nacisk na to, że Emery Staines będzie stał na środku pokoju w otoczeniu gości, i dziwił się jeszcze bardziej, że wdowa jest mu skłonna wypłacić honorarium za nic. Doszedł do wniosku, że zagra po prostu w jakimś przedstawieniu (i, rzeczywiście, niewiele się pomylił), po czym uznał, że bez względu na to, jakie będzie musiał znieść w związku z tym upokorzenie, na pewno opłaci mu się przyjść, bo będzie okazja pomówić z panem Stainesem. Przyjął zaproszenie wdowy i obietnicę zapłaty, pewien, że jego wątpliwości z czasem wyjaśnią się same.

Na tym targi dobiegły końca. Ah Sook spojrział na Annę. Przez chwilę patrzyli sobie w oczy, Ah Sook spokojnie, a Anna – jak mu się wydawało – z chłodną rezerwą, do której kapelusznik zupełnie nie był u niej przyzwyczajony. Ale czy to w ogóle była rezerwa? Może po prostu nie przywykł do jasności wejrzenia dziewczyny, którego nie spowijał już gęsty welon opium? Tak bardzo się zmieniła. Gdyby jej dobrze nie znał, mógłby powiedzieć, że ma wyniosłe spojrzenie – tak jakby teraz, odkąd przestała być dziwką, sądziła, że stoi w hierarchii społecznej o szczebel wyżej nad Chińczykami. Ah Sook postanowił potraktować je jako sygnał, że powinien już wyjść, wstał więc z poduszki. Obliczył, że ma dość czasu, żeby wrócić pieszo do Kaniere i przyjść znów do Hokitika przed zachodem słońca, bo chciał poinformować swojego pobratymca, Quee’ego Longa, że Emery Staines będzie tego wieczoru w Fortunie Wędrowca na ulicy Revella. Wiedział, że Ah Quee od dawna pragnie porozmawiać ze Stainesem, gdyż pragnie wypytać młodego poszukiwacza o sprawę złota z Aurory. Quee bardzo się ucieszy, że Staines żyje.

Ah Sook skłonił się wdowie, a potem Annie, która odpowiedziała delikatnym dygnięciem. Nie było w nim jednak tęsknoty ani żalu i odwróciła się zaraz, by poprawić koronkę na poręczy fotela.

– Wróci pan dzisiaj na seans. Wieczorem – powiedziała Lydia Wells. – Powiedzmy, około szóstej.

– O szóstej – powtórzył Ah Sook i wskazał poduszkę, z której właśnie wstał, aby zademonstrować w ten sposób, że rozumie. Ostatni raz zerknął na Annę, a potem Lydia Wells chwyciła go pod ramię i wyprowadziła do recepcji. Wyciągnęła rękę, otworzyła drzwi i wtedy wewnątrz zalało nagle światło dnia.

– Do widzenia – powiedział Ah Sook i przekroczył próg.

Ale wbrew jego oczekiwaniom wdowa nie zamknęła drzwi. Sięgnęła po szal, narzuciła go sobie na ramiona i wyszła na werandę za Ahem Sookiem.

– Wychodzę. Będę z powrotem mniej więcej za godzinę.

Anna rzuciła jej zdumione spojrzenie z salonu, a potem zrobiła obojętną minę. Sztywno skinęła głową i podeszła do drzwi, żeby je zamknąć po wyjściu pani Wells.

– Do widzenia – powiedziała, opierając rękę na framudze. – Do widzenia, Ahu Sooku.

Zeszli po schodach na ulicę, gdzie się rozstali: Ah Sook poszedł na południe, w stronę

rzeki, a Lydia Wells na północ. Po kilku krokach wdowa obejrzała się za siebie, jak gdyby chciała przyrzeć się domowi od strony ulicy.

Anna skoczyła, by zaryglować drzwi, nadal trzymała jednak rękę na klamce i nie przekręciła jej. Po chwili uchyliła drzwi ponownie, bardzo cicho i ostrożnie, i wyjrzała przez szparę. Lydia wciąż szła szybkim krokiem. Otworzyła drzwi nieco szerzej. Czy pani Wells zawróci? Przecież na pewno dlatego wyszła w takim pośpiechu – żeby porozmawiać na osobności z człowiekiem, którego ewidentnie znała! Ale po chwili Ah Sook skręcił za róg na Nabrzeże Gibsona i zniknął, a Lydia Wells niemal w tym samym momencie przeszła przez przydrożny kanał i wbiegła na schody... Anna zmrużyła oczy: gdzie? Do dwupiętrowego budynku koło Sklepu Żelaznego i Hurtowni Tiegreena? Czy to nie jakiś bar? Najwyraźniej ktoś tam stał na ganku, bo Lydia zatrzymała się, żeby zamienić z tym kimś kilka słów, i dopiero potem zniknęła w środku – a kiedy drzwi się za nią zamykały, panna Wetherell dostrzegła błysk jasnoniebieskiej farby i rozpoznała ten dom. A zatem Lydia Wells poszła złożyć komuś wizytę towarzyską. Ale komu? Anna pokręciła głową z zadziwieniem. No tak, pomyślała, w każdym razie na pewno nie jest to zwyczajny kopacz. Musi to być ktoś znaczny, albowiem zatrzymał się w hotelu Pałac.

SATURN W WADZE

Rozdział, w którym Harald Nilssen wycofuje się z umowy, święta księga zostaje otwarta, Cowell Devlin jest skonfundowany, a George Shepard układa plan

Harald Nilssen właśnie zaparzył sobie popołudniową herbatkę i już miał usiąść z książką nad talerzykiem cukrzonych herbatników, kiedy pocztylion przyniósł mu wezwanie. Było od George'a Shepada i zostało oznaczone jako pilne, chociaż naczelnik nie sprecyzował dlaczego. Idzie jednak niewątpliwie o jakiś wyjątkowo ważny szczegół, pomyślał rozdrażniony Nilssen: o kamyk w fundamentach więzienia albo o kroplę kawy na jego planach architektonicznych. Westchnął, nałożył na czajnik obcisły, kraciasty kapturek, zmienił sweter na surdut i sięgnął po laskę. Doprawdy, to w bardzo złym guście zawracać człowiekowi głowę w niedzielne popołudnie. Dalibóg, pracuje przecież przez sześć dni w tygodniu. Należał mu się chociaż dzień odpoczynku bez George'a Shepada, który nie zatruwałby mu życia prośbami o rachunki, podanie wysokości zarobków robotników zatrudnionych na budowie albo ofertami zakupu przedmiotów ocalałych z wraku. Wykorzystanie poczty miejskiej stanowiło dodatkową zniewagę – bo Shepard nawet nie zadał sobie trudu, żeby pokonać tych pięć głupich przecznic między Miasteczkiem Policyjnym a Nabrzeżem Gibsona, tylko uparł się, by Nilssen przyszedł do niego niczym poddany do pana! Agent handlowy był zatem w bardzo złym nastroju, kiedy zamknął drzwi swojego biura i ruszył po ulicy Revella w przekrzywionym na bok kapeluszu i płaszczu z rozwianymi połami.

W Miasteczku Policyjnym drzwi otworzyła mu pani George. Z wielce żalną miną wprowadziła Nilssena do jadalni i zanim zdążył powiedzieć choć jedno miłe słowo, uciekła, zamykając za sobą drzwi tak mocno, że delikatna, perkalowa ścianka zadrżała, a Nilssenowi wydało się przez chwilę, że znajduje się na morzu.

Naczelnik siedział u szczytu stołu. Pałaszował zimny obiad, na który składały się mięsiwa w galarecie, puddingi o różnych smakach, ale jednakowej konsystencji, a także wiejski razowiec. Trzymał się bardzo prosto, kiedy nabierał jedzenie na widelec, i nie zaproponował Nilssenowi, by usiadł.

– A więc to tak – powiedział Shepard, przełknąwszy, kiedy drzwi się zamknęły. – Powiedziałeś pan komuś o naszej umowie. Złamałeś słowo. Komu pan o tym mówiłeś?

– Co? – zapytał Nilssen.

Shepard powtórzył pytanie, a Nilssen ponownie się zdziwił, tylko nieco piskliwiej.

Wyraz twarzy Shepada pozostawał chłodny.

– Niech mnie pan nie okłamuje, panie Nilssen. Alistair Lauderback ma opublikować jutro jakiś szkalujący mnie list. Twierdzi, że w więzienie w Hokitika zainwestowano część majątku znalezionego w posiadłości Crosbiego Wellsa. Nie wiem, skąd ma tę informację, i chciałbym się tego dowiedzieć. I to natychmiast.

Nilssen zawahał się. Jak to możliwe, że Alistair Lauderback wie o jego prowizji? Widocznie ktoś z hotelu złamał słowo! Może Balfour? Balfour i Lauderback byli ze sobą blisko, a Nilssen nigdy nie widział Lauderbacka z żadnym innym uczestnikiem spotkania. Tylko jaki powód mógłby mieć Balfour, żeby go zdradzić? Nilssen nigdy nie chciał zrobić mu krzywdy. A może to Löwenthal? Możliwe, skoro list ma się ukazać w gazecie. Nilssen nie mógł jednak uwierzyć, aby to właśnie Löwenthal złamał przysięgę milczenia, podobnie jak nie wierzył, by miał to zrobić Balfour. Patrzył, jak Shepard nabiera galaretkę, kiszony ogórek i siekane mięso z puddingu, i nie wiadomo dlaczego (bo przecież nie był głodny) zaczął się ślinić.

– Komu pan o tym powiedział? – spytał powtórnie Shepard. – Ostrzegam, że moja cierpliwość jest na wyczerpaniu i więcej pana o to nie zapytam. – Pochylił się nad swoją kompozycją na widelcu i zaczął jeść.

Nilssen nie wiedział, co mu odpowiedzieć. Oczywiście, prawda wyglądała tak, że powiedział o ich umowie aż dwunastu osobom – Walterowi Moody'emu i jedenastu innym mężczyznom na spotkaniu w palarni hotelu Korona. Nie może się jednak przyznać, że zdradził tę tajemnicę aż dwunastu ludziom! Czy powinien udawać, że nie powiedział nikomu? Było przecież oczywiste, że przed kimś musiał się wygadać, skoro o sprawie wiedział Lauderback! Myśli kłębiły mu się w głowie jak szalone.

– Nie mam pojęcia, jak to się mogło stać – odpowiedział zrozpaczony. – Nie wiem.

Shepard pracowicie nabierał następny kęs.

– Sam pan poszedł do Lauderbacka? – zapytał, wpatrując się uważnie w swój obiad. – Czy najpierw do kogoś innego i dopiero potem ta osoba powiedziała o tym jemu?

– W życiu nie zamieniłem z Lauderbackiem więcej niż pięciu słów – odpowiedział Harald Nilssen z wielkim oburzeniem.

– No to z kim pan rozmawiał? – Shepard podniósł wzrok, leniwie trzymając sztućce.

Nilssen nie odpowiedział. Zaczął się pocić.

– Widzę, że przestrzega pan kodeksu honorowego poszukiwaczy złota – zauważył z dezaprobatą Shepard. – No cóż, przynajmniej jest pan lojalny wobec kogoś innego, panie Nilssen.

Znów zajął się swoim obiadem i nie odzywał się, jak wydawało się Nilssenowi, przez bardzo długi czas. Naczelnik miał na sobie niedzielny, czarny garnitur. Poły surduta odrzucił na poręcz fotela, żeby się nie wygniotły w czasie jedzenia. Spodnie o wysokim stanie i kamizelka bez kołnierzyka nadawały mu pełen dezaprobaty, pogrzebowy wygląd, a jego szeroki fontaź – już nieco niemodny, co Nilssen odnotował z lekką uszczypliwością, gdyż sam miał fontaź cienki i luźno zawiązany, zgodnie z obowiązującą modą – wydawał się podkreślać niezyczliwą minę Sheparda. Nawet jego zimny posiłek był purytański w swojej prostocie. Nilssen zjadł pół gotowanego kurczaka z piure z rzepy z masłem i dużą ilością białego sosu.

Poza tym wypił jeszcze pół karafki bardzo zacnego wina.

W innej części domu zegar wybił kwadrans po pełnej godzinie. Pani George kręciła się za rachitycznymi ścianami, drepcząc z pokoju do pokoju, a Shepard nadal interesował się wyłącznie jedzeniem. Nilssen czekał, aż naczelnik sprzątnie ostatnią okruszynę z talerza, bo podejrzewał, że kiedy skończy jeść, może zacznie mówić. Kiedy się okazało, że to płonna nadzieja, odezwał się dość potulnie:

– No i co pan zrobi?

– Zacznę od tego, że zwolnię pana ze wszystkich obowiązków związanych z budową więzienia – odparł Shepard, ocierając usta serwetką. – Nie pozwolę, żeby pracował dla mnie ktoś, kto nie dotrzymuje słowa.

– Zainwestowane pieniądze zostaną mi zwrócone? – zapytał Nilssen.

– Ależ nie – odrzekł Shepard. Rzucił serwetkę na talerz. – Prawdę mówiąc, uważam to za wyjątkowo nierozsądną prośbę, biorąc pod uwagę, że prace są już zaawansowane.

Nilssen poruszył ustami.

– Rozumiem – powiedział w końcu.

– Nie złamie pan kodeksu etycznego poszukiwaczy złota?

– Nie.

– Nie do wiary.

– Bardzo mi przykro.

Shepard odsunął talerz i ożywił się.

– List pana Lauderbacka zostanie opublikowany jutro w „Czasie”. Mam tu egzemplarz sygnałny.

Nilssen zauważył otwarty list na stole, koło talerza naczelnika, i podszedł bliżej, wyciągając rękę.

– Mogę?...

Shepard nawet na niego nie spojrział.

– Ten list – ciągnął dalej naczelnik, nieznacznie podnosząc głos – nie wymienia pana z nazwiska. Powinien pan wiedzieć, że osobiście napiszę dzisiaj do redakcji, aby naprawić to niedopatrzenie. Mój list zostanie opublikowany pod tekstem Lauderbacka jako oficjalna odpowiedź na zarzuty.

Nilssen spróbował znowu.

– Mogę ją przeczytać?

– Będzie pan mógł przeczytać ten tekst jutro w gazecie, jak każdy mieszkaniec Westlandu. – Shepard powiedział to z niebezpiecznym naciskiem.

– W porządku – odpowiedział Nilssen i cofnął rękę. – Rozumiem.

Shepard dopiero po chwili dodał:

– Chyba że jest coś, co chciałby mi pan powiedzieć.

– Tak – odparł Nilssen głosem pełnym smutku i obrzydzenia.

– Tak?

– Tak... Jest pewna sprawa.

Biedny Harald Nilssen! Myśli, że może odzyska zaufanie naczelnika przez ponowne naruszenie norm etycznych, jak gdyby druga zdrada mogła unieważnić pierwszą! Zgodził się w panice, popadał bowiem w skrajne przygnębienie, gdy nie czuł się szanowany. Nie cierpiał wiedzieć, że ktoś go nie lubi, bo właściwie nie widział różnicy między cudzą niechęcią i tym, że po prostu może być potencjalnie nielubiany. Każda rana, którą otrzymywał, była zadana jego jaźni. Nilssen ubierał się modnie dla celów samoobrony, wyrażał się z afektacją i czynił się centralną postacią każdej swej opowieści. Budował własną osobowość wokół siebie jak tarczę, bo bardzo dobrze wiedział, że w gruncie rzeczy jest słaby.

– Proszę, niech pan mówi dalej – rzekł Shepard.

– Chodzi o... – Nilssen miotał się w rozterce. – O panią Wells.

– Ach tak – powiedział Shepard. – Jak to?

– Była kiedyś kochanką Lauderbacka.

Shepard uniósł brwi.

– Alistair Lauderback przyprawiał rogi Crosbiemu Wellsowi?

Nilssen zastanawiał się.

– Tak, chyba tak. Chociaż to oczywiście zależałoby od tego, kiedy Crosbie i Lydia się pobrali, oczywiście.

– Niech pan mówi dalej.

– Chodzi o to... Chodzi o to... Że go szantażowano... Znaczący Lauderbacka... A Crosbie Wells wziął okup. To właśnie był ten majątek w jego posiadłości.

– Jak doszło do tego szantażu? I skąd pan o nim wie?

Nilssen się zawahał. Nie ufał wyrazowi twarzy naczelnika, na której odmalowały się nagle wielka chciwość i napięcie.

– Ktoś mi powiedział.

– Kto?

– Pan Staines – odpowiedział Nilssen, wybierając człowieka, któremu przynajmniej na krótką metę wyrządzał najmniejszą krzywdę.

– Czy Staines był szantażystą?

– Nie wiem – odparł Nilssen, na chwilę zbity z tropu. – To znaczy tak, może tak.

– Jest pan po jego stronie czy przeciwko niemu?

– Ja... Nie wiem.

Shepard wyglądał na zirytowanego.

– To co pan ma na niego? – zapytał. – Musi pan coś mieć na niego, jeżeli nie jest pan pewien swojego oskarżenia.

– Znalaziono akt darowizny – powiedział z nieszczęśliwą miną Nilssen. – W piecu Crosbiego Wellsa. Papier był trochę nadpalony, jakby ktoś próbował go zniszczyć. Znalazł go kapelan, kiedy pojechał do domku po ciało, dzień po śmierci odludka. Nie powiedział panu o tym, zachował to dla siebie. Nie powiedział też doktorowi Gilliesowi.

Shepard nie zdradzał żadnych emocji.

– O jakim akcie darowizny pan mówisz?

Nilssen krótko zreferował mu szczegóły umowy. Wbił wzrok w punkt położony mniej więcej trzy stopy na lewo od twarzy naczelnika i dziwnie mrużył oczy, bo w jego piersi narastała rozpacz, gotowa rozsadzić go od wewnątrz. Chciał zapewnić Sheparda o swojej lojalności, zdradzając mu tajemnicę, a teraz zauważył, że tylko potwierdził w ten sposób swoją nielojalność i bezwartościowość. A jednak – mimo że czuł się nieszczęśliwy – w rozmowie o konspiracyjnym spotkaniu w hotelu Korona było coś przynoszącego mu niesłychaną ulgę. Poczł się tak, jak gdyby ktoś zdjął mu z ramion wielki ciężar, zastępując go jednak straszną nieważkością. Zerknął na naczelnika i odwrócił wzrok.

– Czy to Devlin był pańskim informatorem? – spytał Shepard. – Powiedział pan Devlinowi o tej inwestycji... A czy on powiedział Lauderbackowi?

– Tak – odrzekł Nilssen. – Tak jest.

Ależ z niego łajdak... Żeby oskarżać duchownego? Ale to nie całkiem było kłamstwo... Poza tym lepiej oskarżyć jednego człowieka niż całą dwunastkę.

– To znaczy – dodał – ja jedynie przypuszczam, że kapelan powtórzył to Lauderbackowi. Nie wiem. Nigdy o niczym nie rozmawiałem z Lauderbackiem... Tak jak już panu mówiłem.

– A więc to Devlin jest człowiekiem Lauderbacka... – rzekł Shepard.

– Nie jestem tego pewien – odpowiedział Nilssen. – Ani trochę.

Shepard skinął głową.

– No dobrze, panie Nilssen – powiedział, wstając zza stołu. – To chyba oznacza koniec naszej rozmowy.

Nilssen spłoszył się jeszcze bardziej, słysząc, że naczelnik go odprawia.

– Ta kwestia z darowizną – powiedział. – Chodzi tylko o to, że jeśli zamierza pan wspomnieć o niej wielebnemu...

– Wydaje mi się, że chyba mu o tym powiem, tak.

– No właśnie... Czy mógłby pan nie wymieniać przy tym mojego nazwiska? – spytał Nilssen z wyrazem najczystszy przygnębienia na twarzy. – Bo widzi pan... Mogę panu powiedzieć, gdzie on go trzyma... To znaczy ten akt darowizny... I w ten sposób sam pan może go znaleźć, a ja nie spalę za sobą żadnych mostów. Zgadza się pan?

Shepard przyglądał mu się bez litości.

– Gdzie Devlin trzyma dokument?

– Nie odpowiem, dopóki nie da mi pan słowa.

Shepard wzruszył ramionami.

– Dobrze.

– Daje pan słowo?

– Na honor, nie wspomnę pańskiego nazwiska kapelanowi – warknął Shepard. – Gdzie trzyma akt darowizny?

– W swojej Biblii – odparł ze smutkiem Nilssen. – W Biblii, pomiędzy Starym i Nowym Testamentem.

Φ

Odkąd budowa więzienia ruszyła pełną parą, Cowell Devlin i George Shepard nie widywali się zbyt często, tylko wieczorami, kiedy Shepard wracał z placu budowy na terasie Pejzaż Morski, żeby pisać listy i prowadzić rachunki. Devlin, któremu wydawało się, że atmosfera w starym Miasteczku Policyjnym znacznie się poprawiła pod nieobecność Sheparda, nie szukał większej poufałości z naczelnikiem. Gdyby musiał wyrazić swoją opinię o jego charakterze, przyznałby może po dłuższej chwili, że żałuje i ubolewa nad tym, iż Shepard jest taki sztywny i traktuje otaczający go świat z tak wyraźną niechęcią. Po kolejnej chwili mógłby dodać, że dobrze życzy naczelnikowi, lecz nie spodziewa się, aby ich stosunki mogły się dalej rozwinąć – na razie zaś były ściśle profesjonalne i niezbyt ciepłe.

Dziś jednak przyszła niedziela, a zatem budowa na terasie została wstrzymana. Shepard spędził cały ranek w kaplicy, a popołudnie w swoim gabinecie w Miasteczku Policyjnym, które w wielkim pośpiechu opuszczał właśnie Harald Nilssen. Devlin niedawno powrócił

z obozu w Kaniere, a teraz był w więzieniu i wygłaszał do osadzonych kazanie na temat uczenia się modlitw na pamięć. Zabrał ze sobą swoją podniszczoną Biblię, jak zawsze kiedy wychodził z namiotu, chociaż charakter jego dzisiejszego kazania był taki, że wcale nie miał powodu jej otwierać. Kiedy Shepard przyszedł do więzienia, Biblia spoczywała zamknięta na krześle u boku Devlina.

Naczelnik poczekał na przerwę w dyskusji, która nastąpiła już po kilku chwilach, a to dzięki jego obecności w sali. Devlin zwrócił ku niemu twarz i pytające spojrzenie, Shepard zaś powiedział:

– Dzień dobry, wielebny ojciec. Proszę mi podać Biblię, dobrze?

Devlin zmarszczył brwi.

– Moją Biblię?

– Jeżeli nie ma ksiądz nic przeciwko temu.

Kapelan położył dłoń na książce.

– Może mnie pan po prostu zapyta o to, czego szuka – powiedział. – Szczyćę się dość dobrą znajomością Pisma.

– Nie wątpię. A jednak przeglądanie tej książki to dla mnie przyjemność – odparł Shepard.

– Ale pan przecież ma własną!

– Oczywiście – zgodził się Shepard. – Jednak teraz właśnie modli się moja żona, więc nie chciałbym jej przeszkadzać.

Przez chwilę Devlin zastanawiał się nad wyciągnięciem z Biblii skradzionego aktu darowizny – dokument był jednakże nadpalony, co naczelnik z pewnością by skomentował. Poza tym kapelan znajdował się wśród więźniów – gdzie mógłby schować ten papier?

– A czego dokładnie pan szuka? – zapytał. – Jakiegoś konkretnego wersu? Czy przypowieści...

– Jak na sługę bożego strasznie strzeże ksiądz tej swojej Biblii – warknął Shepard. – Na litość boską, człowieku! Chcę ją tylko przejrzeć! Zabroni mi ksiądz tego?

W tej sytuacji Devlin musiał dać mu książkę. Shepard podziękował, zabrał ją ze sobą i zamknął drzwi.

Kazanie Devlina o uczeniu się modlitwy na pamięć przewrotnie pasowało do tego, co działo się przez najbliższe pół godziny, bo kapelan z jakby rytualną regularnością wyobrażał sobie gabinet naczelnika, który siedzi za biurkiem i przewraca cienkie kartki Biblii wielkimi, białymi dłońmi. Devlin nie domyślił się, że Shepard może wiedzieć o akcie darowizny, ukrytym między Starym i Nowym Testamentem, nie był bowiem podejrzliwy z natury, a w przeciwieństwie do wielu innych ludzi przekonanie, że został zdradzony, nie sprawiało mu żadnej przyjemności. Minuty wlokły się z wolna, a kapelan łudził się, że Shepard ograniczy

lekturę do starszych partii tekstu. Miał nadzieję, że naczelnik zwróci mu księgę i nie znajdzie nadpalonego dokumentu, który powróci do niego nienaruszony. Doskonale wiedział, że wiara Sheparda ma ściśle lewicki, ortodoksyjny charakter, a zatem nadzieja, że ograniczy się do przejrzenia Pięcioksięgu, Księgi Kronik albo Księgi Królów, nie była pozbawiona podstaw. Wydawało mu się mało prawdopodobne, by Shepard preferował pomniejszych proroków... Mimo to Ewangelie też były jego zwyczajową lekturą, zwłaszcza w niedzielę. Było więc całkiem możliwe, że tam zajrzy, bez względu na powody, a wtedy prawie na pewno znajdzie ukryty dokument.

W końcu popołudniowa dyskusja dobiegła końca i Devlin z dosyć przerażoną miną opuścił osadzonych, pozostających pod jego duchową opieką. Dyżurny policjant skinął mu na pożegnanie głową, tłumiąc ziewnięcie. Devlin wyszedł i nad budynkiem więzienia zapadła cisza. Kapelan przeciął dziedziniec, wszedł po schodkach na ganek domku naczelnika i zapukał do drzwi.

Shepard niskim głosem poprosił go, żeby wszedł. Devlin przeszedł przez obity perkalem korytarz do gabinetu. Drzwi były otwarte. Kapelan od razu zobaczył, że jego Biblia leży otwarta na biurku, a na niej, na widoku, spoczywa nadpalony kawałek papieru.

Dnia dzisiejszego, 11 października Roku Pańskiego 1865, PAN EMERY STAINES, niegdyś mieszkaniec Nowej Południowej Walii, przekazuje kwotę dwóch tysięcy funtów PANNIE ANNIE WETHERELL, niegdyś mieszkance Nowej Południowej Walii, czego świadkiem jest PAN CROSBIE WELLS, spisujący umowę.

Shepard skrzyżował ręce na piersi i czekał, aż jego gość się odezwie.

– Ja to znalazłem – powiedział Devlin. – Ale ten dokument nikomu się nie przyda.

– Nikomu się nie przyda? – zapytał uprzejmie Shepard. – A dlaczego, na Boga, ksiądz tak twierdzi?

– Ten akt nie ma znaczenia – odpowiedział Devlin. – Nie podpisał go darczyńca, a zatem jest nieważny.

Cowell Devlin, jak wszyscy ludzie, którzy nie dostrzegają własnych wad, nie przyznałby się za nic, że źle się zachował. Ilekroć go oskarżano, że w jakiejś sprawie postąpił niewłaściwie, robił się bardzo kostyczny i protekcyjny.

– Rzeczywiście – zgodził się Shepard. – Jest nieważny.

– Nie jest wiążący, to chciałem powiedzieć – rzekł Devlin, lekko marszcząc czoło. – Nie jest wiążący w sensie prawnym.

Shepard nawet nie mrugnął.

– To trochę szkoda, nie uważa ksiądz?

– A to niby dlaczego?

– Gdyby podpisał go Emery Staines... Wtedy połowa majątku znalezionej w domku Crosbiego Wellsa należałaby do Anny Wetherell! Byłby to ciekawy obrót spraw, czyż nie?

– Ale majątek w domku odludka nie należał nigdy do Emery'ego Stainesa.

– Nie? – zapytał Shepard. – Niech mi ksiądz wybaczy. Wydaje się ksiądz tego pewniejszy niż ja.

Cowell Devlin bardzo dobrze wiedział, że złoto w domku Crosbiego Wellsa pochodziło z czterech sukien, zaszytych przez Lydię Wells, a kupionych później przez Annę Wetherell. Wiedział, że kruszec został oczyszczony i przetopiony przez Aha Quee'ego, ale że zaraz potem ukradł je Staines i nie wiadomo kiedy ukrył w domku Wellsa. Nie mógł jednak przyznać się do tego Shepardowi.

– Nie ma powodu sądzić, że to złoto było własnością Emery'ego Stainesa – odparł.

– Poza tym, że pan Staines zniknął w dniu śmierci pana Wellsa, a pan Wells, jak powszechnie wiadomo, nie był człowiekiem zamożnym. – Shepard stuknął palcem w dokument. – I to by się zgadzało, wielebny ojcze. Bo pismo wskazuje na to, że właścicielem kruszcu był jednak Staines, który chciał pół majątku, dokładnie połowę, dać zwykłej prostytutce. Ośmieliłbym się przypuszczać, że Crosbie Wells jako spisujący umowę świadek dostał ten majątek na przechowanie, gdy zaskoczyła go śmierć.

Była to rozsądna hipoteza. Devlin pomyślał, że może Shepard ma rację w tym ostatnim względzie, chociaż oczywiście mylił się w pierwszym.

– Ma pan rację, ale jak już mówiłem, dokument jest nieważny. Pan Staines się nie podpisał.

– Domyślam się, że znalazł ksiądz ten papier w domku Crosbiego Wellsa, w dniu, kiedy pojechał ksiądz po jego zwłoki.

– Tak jest – potwierdził Devlin.

– Skoro tak go ksiądz starannie pilnował, to mniemam, że zdaje sobie ksiądz też sprawę z tego, jaką on ma wartość. Dla pewnych osób. Na przykład dla Anny Wetherell. Na podstawie takiej darowizny mogłaby zostać najbogatszą kobietą po tej stronie Alp Południowych!

– Nie – odpowiedział Devlin. – Akt jest niepodpisany.

– Ale gdyby został podpisany – upierał się Shepard.

– Emery Staines nie żyje – stwierdził Devlin.

– Doprawdy? – zapytał naczelnik. – A to ci ambaras. Kolejny pewnik, co do którego mamy różne zdania.

Cowell Devlin nie dał się jednak tak łatwo zapędzić w kozi róg.

– Obietnica wielkiego bogactwa to niebezpieczna rzecz – powiedział, zwyczajem duchownych splatając ręce na wysokości pępka. – To pokusa, która nie ma sobie równych, pokusa ogromnej władzy i ogromnych szans życiowych, a tego chcą wszyscy ludzie. Gdyby panna Wetherell dowiedziała się o istnieniu tego aktu, zaczęłyby sobie robić fałszywe nadzieje. Zaczęłyby marzyć o ogromnej władzy i już nie wystarczałoby jej życie, które prowadziła do tej pory. Tego się obawiałem. Dlatego postanowiłem zachować tę informację dla siebie, przynajmniej do chwili kiedy znajdzie się albo Emery Staines, albo jego zwłoki. Jeśli znajdą się zwłoki, zniszczę ten dokument. Ale jeśli Staines żyje, pójdę do niego, pokażę mu ten papier i zapytam, czy życzy go sobie podpisać. Sam powinien o tym zdecydować.

– A jeżeli Staines nigdy się nie odnajdzie? – zapytał naczelnik. – Co wtedy?

– Podjąłem tę decyzję ze współczucia, panie Shepard – rzekł stanowczo Devlin. – Bardzo się obawiałem, co może się stać z biedną panną Wetherell, gdyby akt darowizny dostał się do wiadomości publicznej albo wpadł w niepowołane ręce. Jeśli pan Staines się nie znajdzie, wtedy niczyje nadzieje nie zostaną rozwiane, nie poleje się krew i nikt nie straci wiary. Według mojego osądu to niemała łaska. A pan jak uważa?

Blade oczy Shepada zwilgotniały, co oznaczało, że intensywnie myśli.

– „Czego świadkiem jest pan Crosbie Wells, spisujący umowę” – mruknął naczelnik.

– Tak czy inaczej – dodał Devlin – jest mało prawdopodobne, by ktoś miał dać tyle pieniędzy prostytutce. To chyba jakiś żart albo oszustwo.

Shepard zrobił nagle rozbawioną minę.

– Ksiądz wątpi w jej talenty?

– Źle mnie pan zrozumiał – odparł spokojnie Devlin. – Chodziło mi o to, że bardzo rzadko się zdarza, aby mężczyzna darował dwa tysiące funtów dziwce. To znaczy, żeby uczynił to w akcie darowizny... I dał jej całą sumę naraz.

Shepard zamknął z trzaskiem Pismo Święte, więząc skradziony dokument między jego stronicami. Jedną ręką oddał księgę kapelanowi, a drugą sięgnął po pióro, jak gdyby sprawa przestała go już interesować.

– Dziękuję, że pożyczył mi ksiądz Biblię – powiedział i skinął głową, co miało znaczyć, że Devlin może odejść. Potem pochylił się nad księgą rachunkową i zaczął podliczać przychody i wydatki.

Kapelan kręcił się przez chwilę z Biblią w ręku. Wystawał z niej nadpalony dokument, dzielący księgę na dwie nierówne części.

– A co pan o tym myśli? – zapytał w końcu. – Jaka jest pańska opinia na ten temat?

Shepard nie przerywał pisania.

– Na jaki temat?

– Na temat tej umowy!

– Myślę, że ksiądz ma rację: to chyba jakiś żart albo oszustwo – odpowiedział Shepard. Zatrzymał palec przesuwający się po stronicy, by zapamiętać, gdzie skończył, po czym wyciągnął drugą rękę i umoczył pióro w kałamarzu.

– Och – westchnął Devlin. – Tak.

– Tak jak ksiądz twierdzi, umowa jest nieważna – powiedział swobodnie Shepard i postukał stalówką o brzeg kałamarza, żeby strzepnąć nadmiar atramentu.

– Tak.

– Świadek nie żyje na pewno, darczyńca prawie na pewno.

– Tak.

– Ale jeśli ksiądz chce usłyszeć odpowiedź z pierwszej ręki, to może uda się ksiądz dziś wieczorem do Fortuny Wędrowca wraz ze wszystkimi tymi bezbożnikami.

– Żeby porozmawiać z panem Stainesem?

– Żeby porozmawiać z Anną – odparł naczelnik z ostrą dezaprobatą. – A teraz jeśli wielebny ojciec pozwoli, mam sporo pracy.

Kiedy Devlin zamknął za sobą drzwi, Shepard odłożył pióro, podszedł do biblioteczki i wyciągnął z niej teczkę, z której wyjął kawałek papieru. Był to jedyny egzemplarz umowy, którą podpisał trzy tygodnie temu z Haraldem Nilssenem, zobowiązującym się w niej, że nie powie nikomu o swoich czterystu funtach zainwestowanych w budowę więzienia. Shepard zapalił zapalkę o bok szafki i przytknął płomyk do kartki, którą trzymał ostrożnie za róg i przechylał, aż wreszcie zajęła się ogniem, a podpisy stały się nieczytelne. Kiedy nie mógł już utrzymać dokumentu, odrzucił go na podłogę i patrzył, jak kurczy się w szare nic, po czym rozrzucił popiół czubkiem buta.

Usiadł z powrotem za biurkiem, wyciągnął czystą kartkę spod księgi rachunkowej, wziął pióro do ręki i umoczył je w kałamarzu. Następnie powolnym, starannym pismem skreślił list:

DAR SUMIENIA

Do Wydawcy „Czasu Zachodniego Wybrzeża”

18 lutego 1866 roku

Szanowny panie,

piszę w odpowiedzi panu ALISTAIROWI LAUDERBACKOWI, radnemu prowincji i posłowi, który rzuca szkodliwe kalumnie na niżej podpisanego, a co za tym idzie, także na wszystkich jego

współpracowników, w tym na Komitet Robót Publicznych Westlandu, Radę Miejską, Biuro Komisarza, Zarząd Hokitika &c. Skorygowanie pomyłek pana Lauderbacka, dotyczących uczciwości, przyzwoitości i faktów, jest moim obowiązkiem.

Budowa przyszłego Więzienia Hokitika rzeczywiście w znacznej mierze została wsparta dotacją, którą wpłacił na ten cel jeden z mieszkańców Westlandu. Pan Harald Nilssen z firmy Nilssen & Co. przekazał Radzie Miejskiej kwotę mniej więcej czterystu funtów, która zgodnie z jego osobistymi zaleceniami miała zostać wykorzystana dla publicznego dobra. Powyższa suma pochodziła z prowizji, którą pan Nilssen otrzymał za swoją uczciwą pracę. Jak sugeruje pan Lauderback, była to część fortuny znalezionej w posiadłości pana Crosbiego Wellsa, do której pan Nilssen, agent handlowy, miał prawo jako do wynagrodzenia za efektywnie wykonaną usługę. Pan Lauderback na pewno doskonale pamięta, że w języku prawniczym „dotacja” to nie to samo co „inwestycja”, albowiem dotacja nie powoduje takich zależności jak między dłużnikiem i wierzycielem. Mówiąc prostym językiem, dotacji nie trzeba oddawać. Rozumiejąc, że dotacja pana Nilssena jest wyjątkowo szlachetnym i altruistycznym aktem dobroczynnym, pan Lauderback powinien także zdawać sobie sprawę, że nigdzie nie zostało złamane prawo i nie naruszono jakichkolwiek przepisów.

Uważam, że najpoważniejszym i najtrwalszym świadectwem postępu cywilizacyjnego są roboty publiczne, cieszę się więc, że więzienie Hokitika doskonale mieści się w ich ramach. Gdyby moje wyjaśnienie nie wydało się panu Lauderbackowi dość przejrzyste, proszę go uprzejmie, aby zechciał ujawnić wyborcom coś, co do tej pory ukrywał a mianowicie, że utrzymywał niegdyś intymne stosunki z panią Lydią Wells, wdową po Crosbie Wellsie. Oczekuję, że pan Lauderback ujawni wszystkie fakty na ten temat, i pozostaję z szacunkiem, &c

GEORGE M. SHEPARD

Skończywszy, naczelnik wysuszył list, sięgnął po czystą kartkę i przepisał pismo, tworząc, prawdę powiedziawszy, jego tak wierną kopię, że trzeba byłoby przyglądać się obu wersjom przez dłuższy czas, by zauważyć choć najdrobniejszą różnicę. Następnie złożył kartki, zapieczętował je i swoją pracowitą dłonią napisał na nich dwa różne adresy. Gdy tylko wysechł воск, zadzwonił po panią George i poprosił, by już po raz drugi tego dnia wezwała miejskiego pocztyniona, ona zaś szybko spełniła to polecenie.

Pocztynion okazał się piegusem o bujnej, jasnej czuprynie.

– Ta przesyłka idzie do Löwenthala, do „Czasu” – powiedział Shepard. – I ją dostarczysz najpierw. A ten list jest dla Haralda Nilssena na Dziedzińcu Aukcyjnym przy Nabrzeżu Gibsona. Jasne?

– Mam coś przekazać adresatom? – spytał młodzieniec, chowając listy do kieszeni.

– Tylko panu Nilssenowi. Przekaż mu, że spodziewamy się go jutro rano w pracy. Zapamiętasz? Powiedz mu tak: żadnych skarg, żadnych pretensji, żadnych pytań.

MARS W KOZIOROŻCU

Rozdział, w którym Gascoigne znajduje wspólny język z Francisem Carverem, Sook Yongsheng działa na podstawie fałszywego wrażenia, a Quee Long daje mścicielowi pewną radę

Aubert Gascoigne cierpiał na coś, co można by nazwać miłością szczura lądowego do statków. W ciągu ostatnich trzech tygodni kilka razy wybierał się na cypel Hokitika, by medytować nad uszkodzonym kadłubem „Z Bogiem” i nanosić na mapę zmianę jego pozycji, gdy przyciągano go coraz bliżej brzegu. Teraz kiedy wrak został ostatecznie wydobyty na piasek, Gascoigne miał o wiele lepszą sposobność, żeby mu się przyjrzeć i okiem szczura lądowego ocenić skalę uszkodzeń, jakich doznał statek. Przyszedł właśnie w to miejsce, kiedy rozstał się z Moodym. Tego niedzielnego popołudnia nie miał innych zajęć, przeczytał już bowiem gazety, nie chciało mu się pić, a dzień był zbyt słoneczny i radosny, żeby go spędzić w domu.

Przez jakiś czas siedział oparty plecami o latarnię morską. Przyglądał się, jak robotnicy odzyskują z wraku ładunek i wszystkie wartościowe przedmioty, i obracał w palcach pokryty zielonymi cętkami kamyk. Obok stał zbudowany przez niego własnoręcznie zameczek o wałach i parapetach z płaskich kamyków, wetkniętych w kopczyki piasku. Kiedy jakiś czas po piątej wiatr nagle zmienił kierunek, wciskając mu kołnierzyk w szyję i wywołując dreszcz, który przebiegł Gascoigne’owi wzdłuż kręgosłupa, postanowił już pójść. Wstał, otrzepał się i zastanawiał, czy zniszczyć swój zamek kopniakiem, czy raczej pozostawić go w stanie nienaruszonym, gdy mniej więcej pięćdziesiąt jardów dalej spostrzegł jakiegoś mężczyznę. Stał on na szeroko rozstawionych nogach, a ramiona trzymał skrzyżowane na piersiach, jak gdyby z dezaprobatą. Z jego postawy, podobnie jak i ponurego stroju, można było wnioskować, że jest to wyjątkowo zawzięty i posępny człowiek. Nieznacznie odwrócił głowę, a wtedy Gascoigne na chwilę dostrzegł szklistą połyskliwość jego blizny.

Gascoigne i Francis Carver nigdy się oficjalnie nie spotkali, chociaż oczywiście Gascoigne dobrze znał złą reputację, jaką cieszył się kapitan, głównie dzięki podkoloryzowanej relacji Anny Wetherell, która przeszło miesiąc wcześniej opowiedziała mu, jak Carver zamordował jej nienarodzone dziecko. Już sama ta opowieść okazała się dla urzędnika sądowego więcej niż wystarczająca, by unikać kapitana, lecz niechęć Gascoigne’a była tego rodzaju, że potrzebował się w niej utwierdzić raczej osobiście niż publicznie. Czerpał prawdziwą przyjemność z nawiązania przyjaznych stosunków z człowiekiem, którym prywatnie miał powody pogardzać, gdyż bardzo podobało mu się przeświadczenie, że jego szacunek dla innych to prywatna fontanna, studnia, którą może zamulić albo z której może pić dla swojej prywatnej przyjemności, kiedy tylko zechce.

Podszedł do Carvera, już po drodze uchylając kapelusza.

– Przepraszam, szanowny panie. Czy to pan jest kapitanem tej jednostki?

Francis Carver przyjrzał mu się i po chwili skinął głową.

– Byłem.

Biała blizna na jego policzku wybrzuszała się z jednego końca, jak gdyby krawcowa wbiła w tym miejscu igłę przed zakończeniem pracy. Niewidzialna, widmowa igła tkwiła tuż przy kąci kapitańskich ust, które wydawała się unosić, bezskutecznie próbując zastąpić surowy wyraz twarzy Carvera uśmiechem.

– Pozwoli pan, że się przedstawię. Nazywam się Aubert Gascoigne – powiedział Francuz, wyciągając rękę. – Jestem urzędnikiem w sądzie grodzkim.

– Urzędnikiem? – Carver przyjrzał mu się jeszcze raz. – Jakim urzędnikiem? – Słabo i niechętnie uściśnął dłoń Gascoigne'a, po czym szybko cofnął rękę.

– Bardzo niskiego szczebla – odparł Gascoigne bez minoderii. – Zajmuję się głównie drobnymi sprawami, nic wielkiego, chociaż na nasze biurka trafia czasami jakiś wniosek o wypłatę ubezpieczenia. Na przykład w sprawie tego statku. – Wskazał wrak parowca, leżącego na boku tuż za ujściem rzeki, jakieś pięćdziesiąt jardów od miejsca, w którym stali. – Udało nam się nawet załatwić tę sprawę, choć z trudem. Kapitan się bardzo ucieszył, bo groził mu pięćsetfuntowy dług.

– Ubezpieczenie – powiedział Carver.

– Między innymi, tak. Mam w tej dziedzinie doświadczenia osobiste – dodał Gascoigne, wyciągając papierośnicę – bo mój teść, ojciec mojej zmarłej żony, był ubezpieczycielem żeglugowym.

– W jakiej firmie?

– U Lloyda... W Londynie. – Gascoigne otworzył z trzaskiem srebrne pudełeczko. – Przyglądałem się przez tych kilka tygodni, jak idzie robota na „Z Bogiem”, i jestem zadowolony, że w końcu został wyciągnięty z wody. Ależ to była operacja! Gigantyczny wysiłek, jeżeli wolno mi pochwalić załogę za kawał dobrej roboty... I pochwalić szanownego pana, który nią kierował.

Carver przyglądał mu się przez chwilę, po czym odwrócił wzrok z powrotem na bark „Z Bogiem”. Wbił wzrok w swój zdewastowany statek i zapytał:

– Czego pan chce?

– Na pewno nie chcę pana obrazić – odparł Gascoigne, który trzymał już papierosa w palcach, ale na chwilę znieruchomiał z uniesionymi ku niebu otwartymi dłońmi. – Na pewno nie chcę też w żaden sposób wtrącać się w pańskie prywatne sprawy. Po prostu obserwowałem, jak przebiega proces wyciągania statku na brzeg. To rzadki przywilej oglądać taką jednostkę na suchym lądzie. Tu naprawdę można się jej dobrze przyjrzeć.

Carver nie odrywał spojrzenia od statku.

– Chodziło mi o coś innego: czy chce mi pan coś sprzedać?

Gascoigne zapalał papierosa i przez chwilę nie odpowiadał.

– Ależ nie – odezwał się w końcu, wydmuchując kłęb białego dymu przez ramię. – Nie jestem związany z żadną firmą ubezpieczeniową. Można by powiedzieć, że moje zainteresowanie ma charakter osobisty. Ciekawość.

Carver nie odpowiedział.

– Lubię przesiadywać na plaży w niedzielę – dodał Gascoigne. – W ładną pogodę. Ale jeśli moja prywatna ciekawość wydaje się panu obraźliwa, niech mi pan o tym powie.

Carver wyprostował plecy.

– Nie chciałem być niegrzeczny.

Gascoigne skwitował te przeprosiny machnięciem ręki.

– Niemiło jest oglądać piękny statek na mieliźnie.

– Piękny to on jest, owszem.

– Wspaniały. To fregata, czyż nie?

– Bark.

Gascoigne mruknął coś z uznaniem.

– Brytyjski?

Carver przytaknął ruchem głowy.

– Te osłony, które pan tam widzi, są miedziane.

Francuz z roztargnieniem kiwnął głową.

– Tak, piękna jednostka... Naprawdę mam nadzieję, że była ubezpieczona.

– Bez ubezpieczenia nie można zakotwiczyć w żadnym porcie – powiedział Carver. – Ubezpieczenie obowiązuje wszystkie jednostki, inaczej nie pozwolą statkowi przybić do brzegu. Sądziłem, że powinieneś pan to wiedzieć, jeśli rzeczywiście wznajesz się choć trochę na ubezpieczeniach.

Mówił to głuchym i pełnym pogardy głosem, zdając się nie dbać o to, jak jego słowa mogą zostać zinterpretowane, zapamiętane albo wykorzystane.

– Oczywiście, oczywiście – powiedział wyniośle Gascoigne. – Chodziło mi o to, że cieszę się, że nie jest pan zrujnowany. Jestem po pana stronie.

Carver parsknął.

– Jak to się wszystko skończy, będę stratny tysiąc funtów – powiedział. – Wszystko, co pan teraz ogląda, kosztuje. A płacę z własnej kieszeni.

Gascoigne odczekał chwilę, zanim zapytał:

– A co z A&U?

– Nie wiem.

– Z asekuracją i ubezpieczeniem – wyjaśnił Gascoigne. – Od nadzwyczajnego ryzyka.

– Nie wiem – powtórzył Carver.

– Nie należy pan do związku armatorów?

– Nie.

Gascoigne z powagą przechylił głowę na bok.

– Ach tak – powiedział. – A zatem sam pan za to wszystko odpowiada... – Wskazał szerokim gestem wyciągnięty na brzeg kadłub, dźwigniki, konie, holowniki, rolki i kołowrót.

– Tak – odparł Carver, nadal bez emocji. – Za wszystko, co pan tu widzi. I muszę wypłacić każdemu o gwineę więcej, niż jest wart, tylko za to, że stoi, zawiązuje albo rozwiązuje sznurowadła i zwołuje narady w sprawie innych narad, na których wszyscy gędzą, aż im brakuje tchu. Dlatego jestem stratny tysiąc funtów.

– Przykro mi – powiedział Gascoigne. – Papierosa?

Carver przyjrzał się papierośnicy.

– Nie – odrzekł po chwili. – Dzięki. Nie palę.

Gascoigne głęboko się zaciągnął i myślał przez chwilę.

– Wygląda jednak na to, że chce mi pan coś sprzedać – rzekł znów Carver.

– Papierosa? – zaśmiał się Gascoigne. – Proponowałem go za darmo. Jestem wolnym człowiekiem i mogę robić, co chcę.

– To chyba raczej jednak ja jestem wolny... Od nałogu, skoro odmówiłem – odpowiedział Carver, a Gascoigne znów się zaśmiał.

– Niech mi pan powie, kiedy pan kupił ten statek?

– Ciągłe pan o coś pyta – rzekł Carver. – Po co?

– No tak, to właściwie nie jest ważne – odparł Gascoigne. – Miałoby to znaczenie tylko wtedy, gdyby kupił pan statek mniej niż rok temu. Mniejsza z tym.

Francuz wzbudził jednak zainteresowanie Carvera, który spojrzał na niego i powiedział:

– Mam go dziesięć miesięcy. Od maja.

– Aha! – powiedział Gascoigne. – No cóż. To bardzo ciekawe. To może działać na pańską korzyść, wie pan.

– Jak?

Ale Gascoigne nie odpowiedział od razu, tylko zmrużył oczy i udał, że pogrąża się w zadumie.

– Czy ten, kto go panu sprzedał, miał zwyczajną polisę? Inaczej mówiąc, czy przejął pan polisę od poprzedniego właściciela, czy wykupił pan własną?

– Niczego nie wykupywałem – odpowiedział Carver.

– A czy sprzedający był prawdziwym armatorem? Czy miał na przykład więcej statków niż „Z Bogiem”?

– Miał jeszcze kilka – rzekł Carver. – Klipery. Frachtowce.

– Parowe?

– Żaglowe – odparł Carver. – Dlaczego pan pyta?

– A jak pan mówił, skąd płynęliście, gdy wszedł pan na mieliznę?

– Z Dunedin. Powiesz mi pan wreszcie, do czego prowadzą te pytania?

– Zaledwie z Dunedin – powiedział Gascoigne, kiwając głową. – Tak. A teraz jeśli wybaczy mi pan ostatnią impertynencję, zastanawiam się, czy mógłbym zapytać o okoliczności dotyczące samej katastrofy. Mniemam, że nie było mowy o zaniedbaniu obowiązków albo czymś w tym rodzaju, co doprowadziło do zatonięcia statku...

Carver pokręcił głową.

– Był odpływ, ale znajdowaliśmy się daleko od brzegu – odparł. – Rozwinąłem sześćdziesiąt pięć stóp łańcucha i sięgnął dna, rzuciłem więc dwie kotwice i dołożyłem jeszcze dwadzieścia stóp łańcucha. Rozkazałem załodze trzymać statek na tej dość luźnej smyczy i czekać do rana, ale zanim którykolwiek z nas zmiarkował, co się święci, leżeliśmy już bokiem do cypla. Padało, księżyc był w chmurach. Wiatr zgasił światło latarni. Nikt nie mógł nic zrobić. Nie było żadnych zaniedbań. Nie pod moim dowództwem.

Była to niezwykle długa przemowa jak na Francisa Carvera. Na końcu skrzyżował ręce na piersiach i przybrał nieodgadniony wyraz twarzy. Potem spojrział na Gascoigne'a i zmarszczył brwi.

– Posłuchaj mnie pan – powiedział. – A co to pana tak interesuje? Lepiej niech mi pan powie wszystko wprost. Nie znoszę krętaczy.

Gascoigne przypomniał sobie, że ten człowiek zabił własne dziecko. Ta myśl wydała mu się dziwnie ekscytująca.

– Przyszło mi do głowy coś, co mogłoby panu trochę pomóc.

Mars na czole Carvera jeszcze się pogłębił.

- A kto powiada, że potrzebuję pomocy?
- Ma pan rację – odrzekł Gascoigne. – Jestem arogancki.
- Proszę jednak mówić dalej – rzekł Carver.
- No więc tak... Jak już wspominałem, mój teść pracował w ubezpieczeniach żeglugowych. Specjalizował się właśnie w A&U.
- Powiedziałem panu, że nie mam niczego takiego.
- Tak – odpowiedział Gascoigne. – Ale jest spora szansa, że człowiek, który sprzedał panu ten statek... Jak on się nazywa?
- Lauderback – powiedział Carver.
- Gascoigne urwał, okazując zdumienie.
- Chyba nie ten polityk!
- Tak.
- Alistair Lauderback? Ależ on jest teraz w Hokitika... Ubiega się o mandat poselski z Westlandu!
- Niech pan mówi dalej o tym A&U.
- Tak – odrzekł Gascoigne, kręcąc głową. – No właśnie. Prawdopodobnie pan Lauderback, skoro miał kilka statków, należał do jakiegoś związku armatorów. Jest więc też spora szansa, że uiścił roczną opłatę do wspólnego funduszu, zwanego A&U, jako dodatkowe ubezpieczenie, mające nieco inny charakter niż to, co ja i pan moglibyśmy nazwać zwyczajną polisą.
- Żeby chronić ładunek?
- Nie – odpowiedział Gascoigne. – A&U działa raczej jako wspólny fundusz, do którego armatorzy wpłacają co roku pewną kwotę, aby móc korzystać z tych pieniędzy na wypadek jakiejś katastrofy, o której zwyczajni ubezpieczyciele nie chcą nawet słyszeć. Chodzi o takie koszty, jakie pan teraz ponosi. Na przykład o usunięcie wraku. Możliwe, że „Z Bogiem” miał takie dodatkowe ubezpieczenie, choć zmienił się jego właściciel.
- Jak to? – Carver zadał to pytanie bez najmniejszego zainteresowania.
- No, jeśli A&U zostało wykupione przed kilku laty, a to jest pierwszy poważniejszy wypadek, jakiemu uległ ten statek, to pan Lauderback może mieć pewne zobowiązania wobec „Z Bogiem”. Rozumie pan, A&U nie działa jak normalne ubezpieczenie... Nie ma akcjonariuszy, właściwie nie stoi też za nim żadna firma. Nikt nie próbuje na nikim zarabiać. To raczej coś w rodzaju spółdzielni, w której wszyscy są armatorami. Każdy płaci co roku tyle, ile powinien, aż wreszcie w funduszu znajduje się tyle pieniędzy, że można pokryć potrzeby wszystkich członków. Od tego momentu wszystkie statki są ubezpieczone,

przynajmniej do chwili, gdy zdarzy się coś złego i ktoś musi sięgnąć do tych zasobów, dlatego pojęcie „zobowiązania finansowego” dobrze tu pasuje.

– Znaczy, że to jest coś jak gdyby prywatne konto – powiedział Carver. – Z pieniędzmi przeznaczonymi na „Z Bogiem”.

– Dokładnie tak.

Carver zamyślił się nad tą wiadomością.

– Jak miałbym się dowiedzieć o to ubezpieczenie?

Gascoigne wzruszył ramionami.

– Mógłby się pan rozpytać. Przynależność do związku musi być gdzieś zarejestrowana, a armatorzy muszą być wymienieni z imienia i nazwiska. Oczywiście zakładając, że Lauderback faktycznie należy do związku armatorów... Chociaż śmiem twierdzić, że jest to wysoce prawdopodobne.

Prawdę mówiąc, było to więcej niż prawdopodobne, bo pewne. Alistair Lauderback rzeczywiście dysponował polisą na asekurację i ubezpieczenie dla wszystkich swoich statków do wysokości niemal tysiąca funtów, a Carver miał prawo skorzystania z tych pieniędzy, aby zapłacić za usunięcie wraku z cypla Hokitika, jeśli złożyłby taką prośbę do połowy maja, kiedy to minąłby rok od dnia sprzedaży statku i prawne zobowiązania Lauderbacka wobec „Z Bogiem” już by ustały. Gascoigne wiedział to wszystko z całą pewnością, ponieważ osobiście się o to dowiadywał, najpierw w biurach Spedycji Balfoura, potem w archiwach „Czasu”, następnie w kapitanacie portu, a później w Banku Rezerw. Wiedział, że Lauderback należy do małej spółdzielni armatorów, zwanej Grupą Garrity’ego – na cześć jej najbardziej prominentnego członka, Johna Hinchera Garrity’ego, który był (jak się dowiedział Gascoigne) entuzjastycznym wielbicielem epoki żaglowców, chociaż jej zmierzch nadchodził nieuchronnie, i który, tak się złożyło, był również posłem do parlamentu na mocy decyzji wyborców z Heathcote na wschodzie kraju – i bardzo bliskim przyjacielem Lauderbacka.

Powinniśmy tu wyjaśnić, że Gascoigne poczynił te ustalenia na rzecz osobnego śledztwa, które nie miało absolutnie nic wspólnego z ubezpieczeniami żegludowymi czy z Johnem Hincherm Garritym. Rozpoczął je wieczorem 27 stycznia i w sumie spędził wiele długich godzin w kapitanacie, ślęcząc nad starymi dziennikami okrętowymi i wiadomościami żegludowymi. Pracował też z Löwenthałem, czytając zdezaktualizowane biuletyny polityczne w takich gazetach, jak „Przywódca”, „Świadek Otago”, „Codzienny Krzyż Południa” i „Czas Lyttelton”. Poza tym przejrzał wszystkie archiwa sądowe, związane z mianowaniem George’a Shepada na naczelnika, utworzeniem tymczasowego posterunku policji oraz przyszłym budynkiem więzienia. Szukał czegoś bardzo konkretnego: choćby jednego dowodu, który pozwoliłby mu połączyć jakoś Shepada z Lauderbackiem, Lauderbacka z Crosbiem Wellsem albo Crosbiego Wellsa z Shepardem – a może nawet skojarzyć ich wszystkich trzech. Francuz był właściwie zupełnie pewien, że przynajmniej jedna z tych par odgrywa ważną rolę

w całej zagadce – jak dotąd nie odkrył jednak niczego pożytecznego.

Wiadomość, że „Z Bogiem” był ubezpieczony od nadzwyczajnych katastrof, też nie okazała się jednak przydatna, albowiem ubezpieczeniowa historia Lauderbacka nie miała znaczenia dla sprawy Crosbiego Wellsa i nie była związana z George’em Shepardem ani z budowanym właśnie przez niego więzieniem. Gascoigne rzeczywiście miał jednak doświadczenie w dziedzinie ubezpieczeń żeglugowych, jak przyznał Francisowi Carverowi. Nie skłamał też, mówiąc, że interesuje go ten temat, bo zajmował się nim zawodowo jego były teść; w dawnych latach w jego domu często poruszano takie sprawy podczas rodzinnych rozmów w salonie. Urzędnik sądowy z zaciekawieniem odnotował, że Lauderback należy do Grupy Garrity’ego, i odłożył tę informację w pamięci ad acta, by przyjrzeć się jej lepiej w późniejszym czasie.

Aubert Gascoigne wiedział, że Francis Carver to bestia, i nie chciał zjednywać sobie jego przyjaźni. Uważał jednak, że mieć go po swojej stronie to może być dobry pomysł, dlatego zagadnął teraz kapitana.

Carver wciąż myślał o asekuracji i ubezpieczeniu.

– Potrzebowałbym zgody Lauderbacka – powiedział – żeby domagać się wypłaty z tytułu polisy. Pewnie musiałyby mi coś podpisać.

– Może i tak – odparł Gascoigne. – Ale to, że minęło zaledwie dziesięć miesięcy, od kiedy „Z Bogiem” zmienił właściciela, chyba jest coś warte. To może być podstawa pańskiego roszczenia. – (Bo istotnie, byłaby to podstawa roszczenia). – A swoją wartość może mieć też to, że przejął pan po Lauderbacku polisę standardową. Bo jeśli dziedziczy pan całość, to dziedziczy pan też jej wszystkie części, czyż nie? – (Oczywiście, że tak). Gascoigne zakończył swoją wypowiedź, robiąc szeroki gest. – Żeglował pan po wodach nowozelandzkich, a zatem, jeśli jak pan mówi, nie było żadnych zaniedbań z waszej strony, to bardzo możliwe, że będzie mógł pan złożyć wniosek o wypłatę odszkodowania.

Gascoigne dobrze zgłębił problem ubezpieczeń. Carver skinął głową, jakby był pod wrażeniem.

– W każdym razie powinien pan się bliżej przyjrzeć tej sprawie – zauważył Francuz, wyczuwając, że zasiał już w kapitanie ziarno ciekawości. – Może pan na tym zaoszczędzić sporo grosza. – Przesunął papierosa w palcach, spoglądając na osypujący się popiół i dając Carverowi okazję przypatrzenia się swemu rozmówcy, nie będąc jednocześnie przez niego obserwowanym.

– A co pan będzie z tego miał? – spytał po chwili Carver.

– Absolutnie nic – odparł Gascoigne. – Jak powiedziałem, pracuję w sądzie grodzkim.

– To może ma pan kogoś znajomego w A&U.

– Nie. Nie mam. To nie działa w ten sposób, już panu mówiłem. – Gascoigne odrzucił

niedopałek na skały poniżej latarni.

- Jest pan po prostu człowiekiem, który informuje obcych o kruczkach prawnych.
- Wygląda na to, że tak – powiedział Gascoigne.
- A potem odchodzi.

Gascoigne uchylił kapelusza.

- Uznaję to za sygnał do pożegnania – odpowiedział. – Do widzenia... Kapitanie?...
- Carver – odparł były kapitan, tym razem bardzo mocno ściskając dłoń Gascoigne'a. – Nazywam się Frank Carver.
- A ja Aubert Gascoigne – przypomniał mu Gascoigne z miłym uśmiechem. – Można mnie znaleźć w gmachu sądu, gdyby mnie pan kiedyś potrzebował. No to... Powodzenia ze statkiem.
- Dobrze – powiedział Carver.
- To naprawdę wspaniała jednostka.

Odchodząc, Gascoigne był bardzo zaskoczony swoim zachowaniem. Nie odwracał się i patrzył prosto przed siebie. Wiedział, że ciemne oczy Carvera śledzą go, jak idzie, zbacza na nabrzeże i dochodzi aż do południowego krańca ulicy Revella, gdzie skręcił za róg i zniknął kapitanowi z oczu.

Φ

Sook Yongsheng, który szedł do Kaniere rozmówić się ze swoim rodakiem Quee'em Longiem, był w tym momencie zatopiony w myślach. Ręce miał splecione na plecach, wzrok wbity tępo w ziemię. Ledwo zauważał mijanych po drodze ludzi, obładowane wozy i nielicznych konnych, zmierzających w stronę wąwozu – wszyscy byli bez kapeluszy i w samych koszulach, ciesząc się bladym, letnim słońcem, które z uwagi na to, jak rzadko się pojawiało, zdawało się świecić opatrnościowym, dobrotliwym światłem. Nastrój na drodze do Kaniere był wesoły. Zza drzew od czasu do czasu dobiegały strzępy jakiegoś hymnu, śpiewanego chórem a capella w prymitywnej kaplicy, wzniesionej na terenie jednego z obozowisk w głębi wyspy. Ah Sook nie zwracał na to uwagi. Jego dzisiejsze spotkanie z Lydią Greenway – obecnie Lydią Wells – bardzo go wytrąciło z równowagi, więc żeby jakoś zrekompensować sobie ten niepokój, odtwarzał w myślach swoje życie – czyli ściśle rzecz biorąc, mówił to samo sobie, co Ahowi Quee'emu przed trzema tygodniami.

Kiedy Francis Carver po raz pierwszy poznał rodzinę Sooka, miał zaledwie dwadzieścia lat, toteż Ah Sook, który był wówczas dwunastoletnim chłopcem, naturalnie wielce go podziwiał. Carver był małomównym, zamyślonym młodzieńcem, urodzonym w Hongkongu w rodzinie brytyjskiego kupca i wychowanym na morzu. Biegłe znał dialekt kantoński, chociaż nie kochał Chin i zamierzał je opuścić, gdy tylko dostanie własny statek pod dowództwo – często wspominał o tych swoich ambicjach. Pracował dla oddziału spółki kupieckiej Dent &

Co., mieszczącego się w Kwangchow, w której jego ojciec był ważną figurą i odpowiadał za nadzór nad transportem towarów do i z magazynów, stojących wzdłuż Rzeki Perłowej. Jeden z nich należał do ojca Sooka Yongshenga, Sooka Chuna-Yuena.

Sook Yongsheng rozumiał bardzo niewiele z operacji finansowych ojca. Wiedział, że magazyn Sooka służy jako punkt łącznikowy dla kupujących, z których większość stanowiły firmy brytyjskie, że Dent & Co. to na pewno najwspanialsza i najlepiej ustosunkowana z tych firm i że ojciec jest bardzo dumny ze swoich z nią kontaktów. Wiedział, że klienci ojca płacą za towary czystym srebrem, co było kolejnym powodem do dumy dla Sooka Chun-Yuena. Yongsheng wiedział też, że jego ojciec nienawidzi opium i bardzo szanuje cesarskiego komisarza, Lina Tse-Hsu, nie miał pojęcia jednak, dlaczego to takie ważne; mimo wszystko był lojalnym synem i przyjmował ojcowskie poglądy bez komentarza, sądząc, że są zarówno szlachetne, jak i mądre.

W lutym 1839 roku magazyn Sooków został przeszukany przez cesarskich żołnierzy. Były to w zasadzie działania rutynowe, ale groźne dla ojca Aha Sooka, albowiem na mocy dekretu komisarza Lina każdemu Chińczykowi handlującemu opium groziła kara śmierci. Sook Chun-Yuen serdecznie powitał żołnierzy w swoim magazynie, gdzie wśród herbaty znaleziono około trzydziestu czy czterdziestu skrzynek z opium o wadze blisko pięćdziesięciu funtów każda. Protesty Sooka Chun-Yuena nie zdały się na nic. Wyrok został wykonany bez sądu i natychmiast.

Ah Sook nie wiedział, co ma o tym wszystkim myśleć. Naturalna wiara w uczciwość ojca kazała mu uznać, że ktoś go wrobił, lecz równie naturalna wiara w bystrość ojcowskiego rozumu kazała mu wątpić, czy Chun-Yuen dałby się tak wystawić. Nie miał jednak czasu dłużej dumać nad tą sprawą, bo tydzień po egzekucji ojca w Kwangchow wybuchła wojna. Obawiając się o bezpieczeństwo własne i matki, która niemal postradała zmysły z rozpacz, Ah Sook zwrócił się do jedyne go człowieka, któremu nauczył się ufać: do młodego przedstawiciela firmy Dent & Co., Francisa Carvera.

Okazało się, że pan Carver jest więcej niż szczęśliwy, że może wziąć rodzinny interes Sooków w dzierżawę i przyjąć na siebie cały ciężar organizacji i zarządzania przedsiębiorstwem – przynajmniej, jak powiedział, dopóki Ah Sook nie podźwignie się z rozpacz, a chińskie wojny domowe nie wygasną albo się nie zakończą. Żeby okazać chłopcu swoją łaskawość, Carver zapytał, czy nie ma ochoty dalej zajmować się eksportem, aby w ten sposób uczcić niedawno zhańbioną pamięć nieżyjącego ojca. Gdyby Ah Sook zechciał, Carver mógłby mu znaleźć pracę pakowacza – uczciwe, szlachetne, chociaż podrzędne zajęcie, dzięki któremu jakoś przetrwa wojnę. Ta propozycja w najwyższym stopniu zadowalała Aha Sooka, który kilka godzin po tej rozmowie został pracownikiem Francisa Carvera.

Przez następne piętnaście lat Ah Sook owijał porcelanę słomą, pakował bele drukowanego jedwabiu w papier, wkładał puszki z herbatą do pudełek, załadowywał i rozładowywał pakunki, zabijał gwoździami wieka skrzyń, naklejał etykiety na kartony i inwentaryzował różne pięknie wykonane i niemające żadnego przeznaczenia przedmioty, zwane ogólnie w spisie

towarów chińszczyzną. W tym okresie rzadko widywał Carvera, który często przebywał na morzu, ale ich spotkania, jeśli już do nich dochodziło, miały nieodmiennie serdeczny charakter. Lubili przesiadywać razem na nabrzeżu, dzielić się butelką alkoholu i patrzeć na ujście rzeki, jak woda zmienia się z brązowej w niebieską, srebrzystą, a na końcu czarną, aż wreszcie Carver wstawał, klepał Aha Sooka po ramieniu, wyrzucał pustą flaszkę do rzeki i odchodził.

Latem 1854 roku Carver wrócił do Kwangchow po kilkumiesięcznej nieobecności i poinformował Aha Sooka, już blisko trzydziestoletniego, że ich umowa przestanie wreszcie obowiązywać, albowiem życiowa ambicja młodego Anglika, aby pewnego dnia dowodzić statkiem handlowym, została w końcu spełniona. Firma Dent & Co. postanowiła ustanowić regularne połączenie handlowe z Sydney i złotodajnymi polami Wiktorii, a ojciec Carvera wycarterował dla niego piękny kliper „Palmerston”. Był to poważny awans i Carver nie mógł go nie przyjąć. Powiedział, że przychodzi pożegnać się z rodziną Sooków oraz całą epoką w swoim życiu.

Pożegnanie Carvera Ah Sook przyjął ze smutkiem. W tamtym czasie jego matka również już nie żyła, a wojny opiumowe doprowadziły do nowego powstania w Kwangchow. Było krwawe i wściekłe: zapowiadało wojnę, a może nawet upadek cesarstwa. Zmiany wisiąły w powietrzu. Kiedy Carver wyjechał, magazyn został sprzedany, a jego zależność od Dent & Co. zniesiona. Ah Sook musiałby całkowicie zmienić swoje dotychczasowe życie, dlatego pod wpływem nagłego impulsu poprosił Carvera, by zabrał go ze sobą. Mógłby spróbować szczęścia na złotodajnych polach Wiktorii, dokąd popłynęło już wielu jego rodaków. Może, powiedział, udałoby mu się rozpocząć wszystko od nowa, jak oni. Chiny nie miały mu już niczego do zaoferowania.

Carver zgodził się bez entuzjazmu. No dobrze, Ah Sook może z nim popłynąć, ale będzie musiał sam zapłacić za bilet i nie wolno mu pętać się załozde pod nogami. „Palmerston” miał przerwać podróż w Sydney na dwa tygodnie, by wyładować i załadować towar w Porcie Jackson przed dalszym rejsem do Melbourne, na południe. Przez te dwa tygodnie Ah Sook musi się zajmować sam sobą i w żaden sposób nie wolno mu zawracać głowy Carverowi – który zaczął się tytułować kapitanem. Kiedy „Palmerston” zawinie do Portu Phillip, rozejdą się w przyjaźni, jak obcy, którzy nic nie są sobie winni i niczego od siebie nie oczekują, potem zaś już nigdy się nie spotkają. Ah Sook zgodził się na te warunki. W gorączce nagłego podniecenia rozstał się ze swoim skromnym dobytkiem, zamienił skąpe oszczędności na funty i kupił normalny bilet w najwyższej klasie, na jaką mu Carver pozwolił (w trzeciej). Jak się szybko okazało, Chińczyk był jedynym pasażerem na statku.

Podróż do Sydney minęła im spokojnie. Wracając do niej teraz w myślach, Ah Sook pamiętał ją tylko jako nieruchomą, mdlącą mgiełkę, która powoli nabierała ostrości, niczym atak migreny. Kiedy statek powoli podchodził do szerokiej, niskiej gardzieli portu, Ah Sook, osłabiony i niedożywiony po wielu tygodniach na morzu, zwlókł się wreszcie z koi i wyszedł na pokład. Tutejsze światło wydało mu się bardzo dziwne. Uważał, że w Chinach jest rzadsze,

bielsze, czystsze; światło australijskie było bardzo żółte, jego jasność zaś wydawała się gęstsza, jak gdyby słońce nieustannie szykowało się tu do zachodzenia, nawet rano i w południe.

Kiedy zacumowali w Porcie Darling, kapitan nie odczekał ani chwili, żeby jego rozkołysany, marynarski chód stał się pewniejszy, tylko od razu zszedł po trapie „Palmerstona” na nabrzeże, po czym zniknął w portowym burdelu, nawet nie oglądając się za siebie. Załoga ruszyła zaraz jego śladem, więc Ah Sook szybko został sam. Opuścił statek, zapamiętał, gdzie stoi, i skwapliwie udał się na zwiedzanie okolicy – postanawiając, nieco naiwnie, poznać trochę kraj, w którym miał odtąd mieszkać.

Angielszczyzna Aha Sooka była kiepska, po prostu dlatego, że zawsze rozmawiał z Carverem po kantońsku, a innych anglojęzycznych znajomych nie miał. Bez powodzenia wypatrywał skośnookich twarzy w porcie. Ruszył dalej do miasta i wiele godzin wędrował ulicami, szukając choćby szyldu albo znaku, który mógłby zrozumieć. Nie znalazł ani jednego. Poszedł wtedy do komory celnej, gdzie wyjął jeden z banknotów, które miał schowane za wstążką kapelusza: może znają tu mowę pieniędzy, skoro nie może się porozumieć po kantońsku. Celnik uniósł brwi, ale zanim zdążył się odezwać, ktoś wyrwał Ahowi Sookowi kapelusz z ręki. Chińczyk odwrócił się na pięcie i zobaczył bosonogiego chłopca, który oddalał się biegiem. Wzburzony Ah Sook zaczął krzyczeć i rzucił się za nim w pościg, chłopak był jednak szybki i dobrze znał labirynt portu – kilka chwil później rozplątał się w powietrzu.

Ah Sook szukał złodzieja jeszcze długo po zmierzchu. Kiedy wreszcie zrezygnował i wrócił na nabrzeże, celnicy tylko pokręcili głowami i rozłożyli ręce. Wskazywali w stronę miasta i wyrzucali z siebie potoki słów. Ah Sook nie rozumiał, na co pokazują i co mówią. Poczuł, że zbiera mu się na płacz. Za wstążką kapelusza miał wszystkie swoje pieniądze, nie licząc banknotu, który trzymał w drugiej ręce, właściwie był więc całkowicie spłukany. Zrozpaczony zdjął but, włożył ostatni banknot w wytarty przez piętę dołek, wzuł ten but i ruszył z powrotem do portu. Jest jednak w Sydney jeden człowiek, który mówi po kantońsku, pomyślał.

Do burdelu Ah Sook zbliżał się ostrożnie. Ze środka dobiegały dźwięki pianina o nieznanym mu brzmieniu. Uznał, że muzyka jest jakby ciężka i kojąca. Wahał się na progu, niepewny, czy zapukać, kiedy gwałtownie otworzyły się drzwi i stanął w nich jakiś mężczyzna.

Ah Sook uklonił się i próbował jak najgrzeczniej wytłumaczyć, że pragnie rozmawiać z człowiekiem, który nazywa się Carver i jest kapitanem statku „Palmerston”, na co stojący w progu mężczyzna odpowiedział potokiem niezrozumiałych dla Aha Sooka słów. Ten jednak nie ustępował, powtarzając nazwisko Carvera bardzo powoli i starannie. Dostał tę samą odpowiedź co wcześniej. Potem Sook otwartą dłonią próbował pokazać, że chce wyminąć nieznanego i wejść do środka, by porozmawiać z Carverem. Był to błąd. Mężczyzna wielkim łapskiem chwycił Aha Sooka za kołnierz koszuli, podniósł go i dosłownie wyrzucił na ulicę. Ah Sook upadł, kalecząc się boleśnie w nadgarstek i udo. Nieznajomy podwinął rękawy i zszedł ze schodków. Ostatni raz zaciągnął się cygarem, jednym ruchem ręki odrzucił

niedopałek na nabrzeże, a potem wyszczerzył zęby w uśmiechu i przyjął postawę bokerską. Ah Sook bardzo się zdenerwował. Też podniósł ręce, ale po to, by pokazać, że nie zamierza się bić i błaga o litość. Nieznajomy krzyknął coś przez ramię, chyba wydając rozkaz, i po kilku chwilach w drzwiach burdelu pojawił się drugi mężczyzna, o znacznie szczuplejszym obliczu i bardziej haczykowatym nosie. Człowiek ten podbiegł do Aha Sooka, podniósł go i przytrzymał mu ręce za plecami, nie pozwalając Chińczykowi na zasłonięcie twarzy ani torsu. Mężczyźni rozmawiali przez chwilę. Ah Sook szamotał się, ale nie zdołał się wyrwać. Pierwszy mężczyzna uniósł ręce na wysokość twarzy i przestępował lekko z nogi na nogę. Podchodził bliżej i cofał się kilka razy, aż wreszcie skoczył naprzód i zaczął bić Aha Sooka pięściami po głowie i brzuchu. Nieznajomy, stojący za Ahem Sookiem, powiedział coś, jakby zakrakał. Pierwszy mężczyzna stęknął w odpowiedzi i cofnął się, ale jedynie po to, by ponownie rzucić się na Chińczyka i wymierzyć mu kolejną serię ciosów. Całą sytuacją zainteresowali się wkrótce także biesiadnicy w domu publicznym, którzy wysypali się na ulicę, przynosząc ze sobą odgłosy zabawy.

W wejściu do burdelu stanął Francis Carver. Był bez surduta, w wygniecionej koszuli i niebieskim fontaziu, zawiązanym na niedbały węzeł. Lekko podparł się pod boki i z irytacją przyglądał się bójce. Ah Sook spojrzał mu w oczy.

– *Mh goi bong ngoh!* – zawołał, a usta miał pełne krwi. – *Mh goi bong ngoh!*

Francis Carver potraktował go jak powietrze i w żaden sposób nie okazał, że cokolwiek rozumie. Któryś z biesiadników odezwał się, a Carver odpowiedział mu po angielsku, odwracając wzrok.

– *Pang yao! Ho pang yao!* – wołał Ah Sook.

Ale Carver więcej na niego nie spojrzał. W drzwiach obok niego stanęła po chwili jeszcze jakaś miedzianowłosa kobieta, owijając się wokół jego ramienia. Kapitan objął ją w pasie, przyciągnął bliżej i szepnął coś do niej. Roześmiała się, po czym oboje weszli z powrotem do środka.

Niedługo potem drugi mężczyzna nie miał już siły podtrzymywać bezwładnego Aha Sooka i upuścił go, najwyraźniej skarżąc się, że krew opryskała mu surdut i mankiety. Pierwszy nieznajomy zaczął kopać ofiarę, lecz chyba nie było to tak zajmujące jak sport, który uprawiał przed chwilą, więc gapie szybko stracili zainteresowanie widowiskiem i rozeszli się. Pierwszy mężczyzna pożegnał Aha Sooka kopniakiem w żebra, zadany czubkiem buta, i również wrócił do burdelu, z którego dało się słyszeć narastający śmiech, a potem ktoś zaczął grać na pianinie nową melodię.

Poobijany Ah Sook podczołgał się na łokciach i kolanach w zaułek, żeby się ukryć. Leżał w cieniu; żebra bolały go za każdym razem, kiedy wciągał powietrze do płuc. Obserwował przesuwane się tu i tam maszty statków. Wszedł księżyc. Po pewnym czasie usłyszał zbliżające się kroki latarnika na nabrzeżu, a potem syk i cichy huk, kiedy zapaliła się latarnia gazowa. Ciemność poszarzała. Bał się, że ma połamane wszystkie żebra. Nad czołem czuł

lepką wilgoć, jakby gąbkę. Jego lewe oko zamknęło się. Nie był pewien, czy starczy mu sił, by wstać.

Otworzyły się tylne drzwi burdelu i bruk został zalany żółtym światłem. W zaułku dały się słyszeć szybkie kroki. Ah Sook usłyszał brzęk blaszanej miski, stawianej na kamieniach, a potem poczuł na czole dotyk chłodnej ręki. Otworzył prawe oko. Klęczała przed nim jakaś młoda kobieta o wąskiej, trójkątnej twarzy i wystających zębach. Szeptala coś, czego nie rozumiał, zamoczyła szmatkę w ciepłej wodzie i zaczęła obmywać mu twarz z krwi. Ukoił go jej głos. Miała na sobie wykrochmalony fartuszek, jak kelnerka – widocznie pracuje w tym domu, pomyślał. Jego domysł potwierdził się po chwili, kiedy ktoś z burdelu zawołał nieznaną, bo wtedy zamruczała, odłożyła szmatkę i uciekła.

Minęło kilka godzin. Pianino przestało grać i hałasy z domu publicznego zaczęły cichnąć. Ah Sook zasnął na chwilę, a kiedy się przebudził, wokół panowała cisza. Kelnerka wróciła. Tym razem przyniosła puszkę, którą trzymała pod pachą, jakieś przybory zawinięte w szmatkę i lampę spirytusową. Przykłęka przy rannym, ostrożnie stawiając lampę na bruku i wzmacniając pokręteł siłę płomienia, tak że klosz rozjarzył się bielą. Ah Sook odwrócił głowę najdelikatniej, jak mógł, i z niejakim zdziwieniem zauważył, że na puszcze widnieje jego nazwisko, napisane po chińsku. Drgnął, przestraszony, na co kobieta zareagowała dziwnie – uśmiechnęła się, skinęła głową i przyłożyła palec do ust na znak, że powinni zachować tajemnicę. Otworzyła puszkę, zaczęła szukać czegoś wśród herbaty i wyciągnęła z niej niewielką kwadratową paczuszkę, owiniętą w papier. Uśmiechnęła się do niego. Ah Sook nic nie rozumiał. Pomimo bólu odwrócił głowę w prawo, by zobaczyć, co kobieta wyjmuje z zawiniątka, i ujrzał krótką, brzydką fajkę, a obok igłę, nóż i blaszane pudełko. Ponownie odwrócił się, spoglądając pytająco na kobietę, ta była jednak zajęta przykręcaniem knota lampy, nabijaniem fajki i żywicznego opium. Kiedy narkotyk rozpuścił się całkowicie i zagotował, a wąs białego dymu wzbił się z wąskiej główki, kelnerka przystawiła ustnik do warg Aha Sooka. Był zbyt zmęczony, żeby jej odmówić. Wciągnął dym i trzymał go w ustach.

W jego piersi nastał świt, płynne światło. Wypełniał go idealny spokój. Ból głowy i piersi zniknął, tak jak woda, która przesącza się przez jedwab. Opium, pomyślał tępo. Opium. To było wspaniałe. Narkotyk był nadzwyczajny. To cud, lekarstwo. Znowu podała mu fajkę, a on wysysał ją już teraz chciwie, jak żebrak zupę z łyżki. Nie przypominał sobie, żeby stracił przytomność, lecz kiedy otworzył znów oczy, było już jasno, a kelnerka zniknęła. Leżał podparty między dwiema skrzyniami na tyłach budynku, okryty kocem – drugi, zwinięty, podłożono mu pod głowę. Ktoś – może ta kelnerka – musiał go tu przyciągnąć. Czy jednak sam się tu dostał? Tego nie pamiętał. Znów strasznie bolała go głowa, powrócił też ból w piersiach. Z domu publicznego dochodziły plusk wody i brzęk noży.

Potem Ah Sook przypomniał sobie pudełeczko opium, ukryte w puszcze herbaty. A więc Dent & Co. płaciło za towary w opium – bo w Wielkiej Brytanii już nie było srebra, a Chiny złota nie potrzebowały. Jak mógł być taki głupi? Francis Carver szmugłował narkotyk do Chin, wykorzystując rodzinny magazyn Sooków jako punkt przerzutowy. Francis Carver zdradził

jego ojca. Francis Carver odwrócił się od niego i udawał, że nie rozumie krzyków Aha Sooka. Yongsheng leżał bez ruchu na boku w zaułku. Wzbierała w nim śmiertelna pewność.

Przez następny tydzień kobieta o wystających zębach karmiła go, poila i znieczulała. Przychodziła kilka razy dziennie, zawsze pod jakimś pretekstem: a to nakarmienia świni, a to wylania brudnej wody po praniu czy rozwieszenia bielizny na sznurze. Po zapadnięciu zmroku zjawiała się z fajką i pozwalała mu palić, aż ból ustępował, a Ah Sook zasypiał. Wszystkie te zabiegi przeprowadzała w milczeniu i obserwujący ją Ah Sook również nic nie mówił. Był ciekawy, kim ta kobieta jest. Pewnego dnia przysłała z podbitym okiem. Podniósł rękę, żeby dotknąć siniaka, kelnerka jednak zmarszczyła brwi i odwróciła się.

Po kilku dniach Ah Sook zdołał wstać samodzielnie, chociaż nie bez bólu, a po tygodniu mógł powoli obejść podwórko. Wiedział, że „Palmerston” ma cumować w Sydney zaledwie przez dwa tygodnie i wkrótce odpłynie na południe, do Wiktorii, na tamtejsze złotonośne pola. Nie dbał już o to, czy dotrze do Melbourne. Chciał tylko spotkać się z Carverem sam na sam, zanim kliper odpłynie.

Odkąd „Palmerston” zacumował w porcie, Carver nie spędził na pokładzie ani jednej nocy. Nocował w burdelu, w towarzystwie miedzianowłosej kobiety. Ah Sook widział co wieczór, jak Carver idzie po nabrzeżu, wymachując rękami i powiewając połami surduta. Opuszczał burdel dopiero wczesnym popołudniem, a miedzianowłosa bardzo często towarzyszyła mu do wyjścia przez zaułek, by tam pożegnać się z nim na osobności. Ah Sook dwukrotnie widział ich spacerujących w porcie, dobrze po zmierzchu. Rozmawiali jak ludzie bliscy sobie. Gdy jedno z nich coś mówiło, drugie pochylało się, aby uważnie słuchać, a kobieta zawsze trzymała Carvera pod ramię i przytulała się do niego.

Ósmego dnia po pobiciu Aha Sooka była niedziela i wieczorna zabawa w burdelu skończyła się na długo przed północą, zgodnie z prawem, nakazującym zachowanie ciszy nocnej. Ah Sook podkraść się do budynku od frontu i ujrzał Carvera w środkowym oknie na piętrze, wspartego ręką o framugę i wyglądającego w ciemność. Yongsheng widział, jak ruda kobieta podeszła do niego od tyłu i pociągnęła go za rękaw w głąb pokoju, i wtedy stracił go z oczu. Kryjąc się w cieniu, Ah Sook zbliżył się do okna, pod którym stał kuchenny stół, i otworzył je. Wszedł do środka. W kuchni nikogo nie było. Rozejrzał się w poszukiwaniu broni i w końcu wyciągnął ze stojaka nóż z kościaną rękojeścią, przeznaczony do rozbierania mięsa. Nigdy nie posługiwał się żadną bronią w walce przeciwko drugiemu człowiekowi, ale ciężki nóż w dłoni dodawał mu pewności siebie. Ruszył dalej i w półmroku znalazł schody.

Na górze było troje drzwi, wszystkie zamknięte. Nasłuchiwał przy pierwszych (cisza), przy drugich (stłumione szuranie) i wreszcie przy trzecich, za którymi usłyszał grzmiący męski głos, skrzypienie krzesła i cichą kobiecą odpowiedź. Usiłował ocenić, jak usytuowane jest okno, przy którym przed kilkoma chwilami widział Carvera. Czy te trzecie drzwi mogą prowadzić do środkowego pokoju? Czy to by się zgadzało? Tak, bo stał w odległości dziesięciu stóp od schodów, a kiedy przywoływał w pamięci fasadę burdelu, to tamto okno od skrajnej ściany budynku dzieliło co najmniej dwanaście stóp. No, chyba że drugie drzwi

prowadzą do większego pokoju, a trzecie do małego, to oczywiste. Ah Sook przyłożył ucho do dziurki od klucza. Usłyszał, że mężczyzna podnosi głos i wypowiada kilka słów po angielsku, ostro i dosadnie, jak gdyby był bardzo niezadowolony. To na pewno Carver, pomyślał Ah Sook. To może być tylko on. Ogarnięty nagłą wściekłością, otworzył drzwi jednym szarpnięciem... Nie był to jednak Carver, lecz ten sam człowiek, który tak pobił Yongshenga niewiele ponad tydzień temu. Kobieta o wystających zębach siedziała mu na kolanach, on zaś zaciskał jedną rękę na jej szyi, a drugą na piersi. Ah Sook cofnął się, zdumiony, a rozgniewany mężczyzna aż ryknął, zepchnął kobietę z kolan i gwałtownie wstał.

Wyrzucił z siebie potok słów, których Ah Sook nie rozumiał, i sięgnął po rewolwer, leżący na nocnym stoliku koło łóżka. W tej samej chwili kobieta wsunęła rękę za dekolt i wyciągnęła z za niego damski pistolecik. Mężczyzna wymierzył i pociągnął za spust – Ah Sook przestraszył się – ale mechanizm się zaciął, bo w zamku tkwiła łuska. Kiedy mężczyzna przechylił rewolwer, żeby się jej pozbyć, kobieta podbiegła do niego i przystawiła mu lufę pistoleciku do skroni. Rozdrażniony, spróbował ją odepchnąć; rozległ się trzask i mężczyzna osunął się na podłogę. Ah Sook znieruchomiał. Kobieta rzuciła się naprzód, zabrała martwemu rewolwer i zamieniła go na swoją broń. Potem wepchnęła ciężki rewolwer w rękę Ahowi Sookowi, zacisnęła jego palce na lufie i pokazała gestem, by wyszedł stąd, i to szybko. Zdezorientowany Yongsheng odwrócił się na pięcie. W jednej ręce miał rewolwer, w drugiej nóż. Kobieta chwyciła go za ramię, przyciągnęła z powrotem i pokazała, by poszedł w drugą stronę, w kierunku schodów dla służby po drugiej stronie korytarza, w którym zniknęła. Od strony schodów główne dobiegały kroki i jakiś stukot.

Po ucieczce z burdelu Ah Sook wyrzucił nóż i rewolwer do wody i patrzył, jak broń szybko znika mu z oczu, tonąc. W domu rozległy się przeraźliwy krzyk i stłumione nawoływania.

Nim dotarł do końca nabrzeża, usłyszał za sobą kroki. Po chwili został uderzony w plecy i upadł twarzą na ziemię. Jęknął, bo żebra wciąż miał porządnie obolałe, i poczuł, że ktoś brutalnie skuwa mu ręce na plecach. Nie opierał się, kiedy został podniesiony, podprowadzony do słupka do pętania koni i popchnięty. Ten, kto go pojmał, przykuł więźnia drugimi kajdankami do żelaznego kółka, i tam też Ah Sook czekał, dopóki nie przyjechał wóz policyjny, by zabrać go do więzienia.

Stawianych mu po angielsku pytań Ah Sook nie rozumiał ani w ząb i w końcu przesłuchujący go policjanci mieli tego dosyć. Nie zapewniono mu łaski, jaką byłaby dla niego pomoc tłumacza, a kiedy mówił: „Carver”, kręcili tylko głowami. Zamknęli go w ciasnej celi z pięcioma innymi aresztantami. Po pewnym czasie uznano, że sprawa jest warta procesu, który miał się rozpocząć za mniej więcej sześć tygodni. Wtedy „Palmerstona” dawno nie było już w porcie, a Carver najprawdopodobniej zniknął na zawsze. Ah Sook przeżył następne sześć tygodni w stanie niesłychanego zdenerwowania, a zarazem w depresji, i rankiem w dniu rozpoczęcia procesu zbudził się w takim stanie, jak gdyby nadszedł dzień jego egzekucji. Czy mógł mieć jakąś nadzieję, że się obroni? Skażą go i powieszają jeszcze

przed końcem miesiąca.

Rozprawa toczyła się w języku angielskim i siedzący na ławie oskarżonych Ah Sook właściwie zupełnie niczego z niej nie rozumiał. Zdumiał się, kiedy po kilku godzinach przemówień i zaprzysiężeń na miejsce dla świadków został wprowadzony skuty kajdankami Francis Carver. Ah Sook zastanawiał się, dlaczego tylko tego świadka pozbawiono wolności. Wstał, kiedy Carver wchodził, i zawołał do niego po kantońsku. Spotkali się wzrokiem – i wtedy w nagłej ciszy Ah Sook spokojnie i wyraźnie zapowiedział, że pomści śmierć swojego ojca. Carver przegrał ten honorowy pojedynek i pierwszy odwrócił wzrok.

Dopiero znacznie później Ah Sook dowiedział się, co zaszło w trakcie procesu. Człowiek, o którego zamordowanie został oskarżony, nazywał się Jeremy Shepard, a kobietą o wystających zębach, dzięki której Ah Sook wrócił do zdrowia, była jego żona, Margaret. Miedzianowłosa zwała się Lydia Greenway. Była właścicielką burdelu Saloon pod Białym Koniem w Porcie Darling. W dniu rozprawy Ah Sook nie znał jeszcze tych nazwisk. Dopiero dzień po swoim uniewinnieniu znalazł stary egzemplarz „Herolda z Sydney” i zapłacił pewnemu kantońskiemu kupcowi, by przetłumaczył mu to, co napisano na stronach sądowych gazety o procesie – który wskutek swej sensacyjnej natury zajmował aż trzy kolumny, prawie całą stronę.

Jak donosił „Herold z Sydney”, prokurator oparł oskarżenie na trzech założeniach. Po pierwsze, Ah Sook miał bardzo dobry powód, aby żywić niechęć do Jeremy’ego Sheparda, bo ten pobił go do nieprzytomności na tydzień przed zabójstwem. Po drugie, Ah Sook został zatrzymany podczas ucieczki z Saloonu pod Białym Koniem zaraz potem, gdy usłyszano strzał, co oczywiście czyniło go głównym podejrzanym. I po trzecie, Chińczykom w ogóle nie należy ufać, bo są z natury wrogo nastawieni do białych.

Obrona w obliczu tych zarzutów zachowała się dość apatycznie. Adwokat argumentował, że jest nieprawdopodobne, aby Ah Sook, o wiele mniejszy i lżejszy od Sheparda, mógł zbliżyć się do niego na tyle, żeby przyłożyć mu pistolet do głowy, a zatem nie można wykluczyć również samobójstwa. Gdy prokurator wtrącił, że według zeznań przyjaciół samobójstwo byłoby zdecydowanie wbrew naturze Jeremy’ego Sheparda, obrońca ośmielił się wystąpić z opinią, że żaden człowiek na świecie nie jest całkowicie niezdolny do odebrania sobie życia, lecz sędzia udzielił mu po tej uwadze ostrej reprimendy. Prosząc wysoki sąd o wybaczenie, adwokat mimo wszystko dokończył swój wywód, sugerując w podsumowaniu, że może Sook Yongsheng uciekł z Białego Konia ze strachu, bo przecież chwilę wcześniej padł strzał. Kiedy obrońca usiadł, prokurator nie starał się nawet ukryć szyderczego uśmiešku, a sędzia głośno westchnął.

Na końcu prokurator wezwał na świadka Margaret Shepard, wdowę po Jeremym Shepardzie, i wtedy właśnie proces przybrał zdumiewający obrót. Margaret Shepard zajęła miejsce dla świadków i zdecydowanie nie zgodziła się z wersją, którą sugerował jej swoimi pytaniami prokurator. Stwierdziła, że Sook Yongsheng nie zamordował jej męża. Wie, że to prawda, z bardzo prostego powodu: widziała samobójstwo Sheparda na własne oczy.

To zaskakujące wyznanie wzbudziło taki gwar w sali, że sędzia musiał wezwać publiczność do zachowania spokoju. Ahowi Sookowi, któremu przetłumaczono to wszystko dopiero później, nie śniło się nawet, że ta kobieta zaryzykuje własne bezpieczeństwo, by uratować mu życie. Kiedy sąd zezwolił na dalsze przesłuchanie Margaret Shepard, prokurator zapytał, dlaczego dotąd ukrywała tę niezwykle ważną informację. Pani Shepard odparła, że bardzo bała się męża, który bił ją i wyzywał codziennie, co potwierdzić może niejedyn świadek. Zupełnie straciła ducha i dopiero teraz znalazła w sobie dość odwagi, aby powiedzieć głośno, co się stało. Sędzia nie miał wyboru: musiał uniewinnić Aha Sooka od zarzutu morderstwa i wypuścić go na wolność. Ogłoszono, że Jeremy Shepard, niech Bóg ma go w swojej opiece, odebrał sobie życie – chociaż z teologicznego punktu widzenia boska opieka nad Shepardem wydawała się mało prawdopodobna.

Pierwszą rzeczą, którą zrobił Ah Sook po zwolnieniu z więzienia, było zasięgnięcie języka w sprawie Francisa Carvera. Dowiedział się ze zdumieniem, że „Palmerston” został zatrzymany w Porcie Sydney kilka tygodni temu po rutynowej kontroli na pokładzie. Strażnicy uznali, że Francis Carver naruszył prawo i oskarżyli go o przemyt, złamanie przepisów i niezapłacenie cła. Zgodnie z raportem, który wpłynął do policji portowej, w ładowni statku znaleziono szesnaście młodych kobiet z Kwangchow; wszystkie były poważnie niedożywione i przerażone. „Palmerston” został zajęty, kobiety odesłano z powrotem do Chin, Carvera osadzono w więzieniu, a firma Dent & Co. formalnie zerwała z nim współpracę. Skazano go na dziesięć lat więzienia na Wyspie Cockatoo. Karę zaczął odsiadywać zaraz po wyroku.

Ahowi Sookowi nie pozostawało nic innego, niż czekać, aż Carver odsiedzi swoje, popłynął więc do Wiktorii i zaczął szukać złota. Nauczył się trochę angielskiego, poznał kilka fachów i coraz otwarciej marzył, aby pomścić ojca i zabić Carvera. W lipcu 1864 roku napisał na Wyspę Cockatoo z pytaniem, dokąd udał się Carver po odbyciu kary. Odpowiedź nadeszła trzy miesiące później – wynikało z niej, że skazany popłynął do Dunedin, do Nowej Zelandii, na parowcu „Sparta”. Ah Sook kupił bilet na statek do tego miasta, ale w Dunedin trop się nagle urwał. Szukał, szukał – i nic. W końcu uznał się za pokonanego, a sprawę za przegraną. Wykupił pozwolenie na poszukiwanie złota w Nowej Zelandii i bilet w jedną stronę na Zachodnie Wybrzeże, gdzie osiem miesięcy później natknął się przypadkiem na Carvera: stał na ulicy, miał świeżą bliznę na twarzy, był jeszcze szerszy w barach niż kiedyś i odliczał pieniądze na dłoń Te Rau Tauwharego.

Φ

Ah Sook zastał Aha Quee’ego siedzącego po turecku na kamienistej półce, kilka stóp od palika, wyznaczającego południowo-wschodni kraniec Aurory. Trzymał płuczkę i potrząsał nią rytmicznie, zginając ręce w przegubie pewnym ruchem człowieka, który ma już wprawę w płukaniu złota. W kąciку ust trzymał zapalonego papierosa, chociaż wydawało się, że go nie pali, a kiedy się poruszał, popiół sypał mu się na tunikę. Przed Longiem stało drewniane korytko z wodą, a obok żelazny tygiel z przypłaszczonym dzióbkiem.

Ah Quee zawsze pracował w ten sam sposób. Najpierw wytrząsał z płuczki największe kamienie i grudy ziemi, utrzymując jednostajne tempo, bo dzięki temu mniejsze drobiny zbierały się stopniowo na dnie naczynia. Potem nachylał się, wsuwał koniec płuczki do zmętniałej wody i zdecydowanym ruchem przechylał płuczkę ku sobie, przekręcając ją i tworząc w środku wir, obracający się w prawo. Złoto jest cięższe niż kamienie, opada zatem na dno. Potem zbierał kożuszek mokrego żwiru z powierzchni, a pod nim pozostawał mu już czysty kruszec, pobłyskujący kropelkami wody – punkcikami światła w ciemności. Wyciągał te błyszczące drobinki palcami i starannie przenosił je do tygla. Następnie ponownie napełniał płuczkę ziemią i kamieniami i powtarzał wszystko od początku, bez jakiegokolwiek zmiany, aż wreszcie słońce zniknęło za wierzchołkami drzew na zachodzie.

Aurora leżała w sporej odległości od rzeki i morza i ta niedogodność stanowiła częściowo o jej niskiej atrakcyjności jako kopalni złota. Ah Quee musiał każdego ranka nosić wodę z rzeki na działkę, bez wody bowiem nie mógłby pracować. Kiedy jednak znajdowało się w niej już dużo piachu i mułu, trudno było mu wypatrzeć złoto, musiał więc wracać nad rzekę i nabierać znowu wody do kubłów. Można było poprowadzić tu kanał z nad rzeki albo wykopać studnię, ale właściciel działki od początku postawił sprawę jasno i zapowiedział, że nie będzie wprowadzał żadnych udogodnień. Nie miałyby to sensu. Dwa akry ziemi, składające się na Aurorę, ledwie zarabiały na swoje utrzymanie; działka była monotonna, kamienista i niezadrzewiona. Stos przesianej ziemi i kamyków za plecami Aha Quee’ego, świadczący o długich godzinach jego samotnej pracy, był długi i niski – przypominał kopiec pogrzebowy, pod którym nie złożono żadnego nieboszczyka.

Ah Quee podniósł głowę, gdy Ah Sook się zbliżył.

– *Neih hou.*

– *Neih hou, neih hou.*

Spojrzenie, którym obdarzyli się nawzajem, nie było tylko przelotne – przyglądali się sobie bez wrogości, ale też bez życzliwości. Po chwili Ah Quee wyciągnął z ust niedopałek i rzucił go na kamienie.

– Urobek dzisiaj niewielki – powiedział po kantońsku.

– Tysięczne wyrazy współczucia – odparł Ah Sook, również w swoim ojczystym języku.

– Tutaj urobek zawsze jest niewielki.

– Zasługujesz na więcej szczęścia.

– Doprawdy? – spytał Ah Quee, który był rozdrażniony.

– Tak – rzekł Ah Sook. – Pracowitość powinna zostać nagrodzona.

– W jakich proporcjach? I w jakiej walucie? To są puste słowa.

Ah Sook złożył dłonie.

– Przynoszę ci dobre wieści.

– Dobre wieści i pochlebstwa – zauważył Ah Quee.

Kapelusznik nie zwrócił uwagi na ten dodatek.

– Emery Staines powrócił – powiedział.

Ah Quee zastygł w bezruchu.

– Och – westchnął. – Widziałeś go?

– Jeszcze nie – rzekł Ah Sook. – Podobno przybędzie do Hokitika dziś wieczorem i zatrzyma się w hotelu na ulicy Revella, gdzie zaplanowano dla niego uroczystość powitalną. Zostałem na nią zaproszony i w geście dobrej woli przekazuję też zaproszenie tobie.

– Kim jest gospodarz?

– To Anna Wetherell... I wdowa po tym zmarłym, Crosbiem Wellsie.

– Dwie kobiety – powiedział sceptycznie Ah Quee.

– Tak – rzekł Ah Sook. Zawahał się, a potem wyznał, czego się dzisiaj dowiedział: że wdowa po Crosbiem to ta sama kobieta, która prowadziła Saloon pod Białym Koniem w Porcie Darling, zeznawała przeciwko Ahowi Sookowi na jego procesie i była kiedyś kochanką jego wroga, Francisa Carvera. Dawniej nazywała się Lydia Greenway, teraz jest znana jako Lydia Wells.

Ah Quee potrzebował dłuższej chwili, żeby przetrwać tę informację.

– To pułapka – powiedział w końcu.

– Nie – rzekł Ah Sook. – Przyszedłem tu z własnej woli, a nie dlatego, że ktoś mi kazał.

– To pułapka, w którą masz wpaść ty – powtórzył Ah Quee. – Jestem tego pewien. Niby dlaczego miałby cię zapraszać na tę dzisiejszą uroczystość z jakiegoś innego powodu? Nie jesteś powiązany z panem Stainesem. Co ty możesz mieć do roboty na przyjęciu, wydanym z okazji jego powrotu?

– Mam grać rolę w sztuce. Będę siedział na poduszce i udawał posąg. – Zabrzmiało to głupio, szybko więc ciągnął dalej: – To coś w rodzaju teatru. Otrzymam wynagrodzenie za udział w spektaklu.

– Dostaniesz wynagrodzenie?

– Tak. Jako aktor.

Ah Quee przyglądał mu się uważnie.

– A jeśli ta Lydia Greenway wciąż jest w zмовie z Carverem? Byli kiedyś kochankami. Może już go zawiadomiła, że będziesz dzisiaj wieczorem na przyjęciu.

– Carver przebywa na morzu.

– Nawet jeżeli tak, to Lydia zawiadomi go najszybciej, jak będzie mogła.

– Jeśli do tego dojdzie, będę na niego gotów.

– Jak chcesz się przygotować?

– Będę gotów – powtórzył z uporem Ah Sook. – Na razie to nieważne. Carver jest na morzu.

– Ta kobieta jest z nim sprzymierzona... A ty poprzysiągłeś mu zemstę, o czym Lydia Greenway z pewnością pamięta. Na pewno nie życzy ci dobrze.

– Będę miał się na baczności.

Ah Quee westchnął. Wstał, otrzepał się, a potem znieruchomiał, mocno wciągając powietrze przez nos. Zrobił kilka kroków, które dzieliły go od Aha Sooka, i chwycił go rękami za ramię.

– Cuchniesz opium – powiedział. – Chwiejesz się na nogach. Czuję ten smród z odległości dwudziestu kroków!

Ah Sook rzeczywiście wstąpił po drodze do swojej palarni w Kaniere, żeby wypalić popołudniową fajeczkę, czego skutki wciąż były wyraźnie widoczne, nie lubił jednak, kiedy ktoś go karcił. Wyrwał się z uścisku Aha Quee’ego i odpowiedział kwaśno:

– Mam słabość do opium.

– Słabość! – zawołał Ah Quee i splunął. – To nie jest słabość, tylko hipokryzja. Powinieneś się wstydzić.

– Nie traktuj mnie jak dziecko.

– Nałogowiec to dziecienniwały dorosły.

– A zatem jestem dziecienniwały – rzekł Ah Sook. – Ciebie nic to nie powinno obchodzić.

– Bardzo mnie to obchodzi, jeśli miałbym ci dzisiaj towarzyszyć.

– Nie potrzebuję twojej ochrony.

– Jeżeli tak uważasz, to się mylisz.

– Mylę się... I jestem hipokrytą! – powiedział Ah Sook z udawanym zdumieniem. – To już dwie obelgi, a ja byłem dla ciebie taki uprzejmy!

– Zasługujesz na obelgi – odpowiedział Ah Quee. – Zażywasz ten sam narkotyk, który zabił twojego ojca, i jeszcze masz czelność odgrywać jego obrońcę! Upierasz się, że został zdradzony... A przecież to ty zdradzasz go za każdym razem, kiedy zapalasz fajkę!

– Francis Carver zabił mojego ojca – odrzekł Ah Sook, cofając się o krok.

– Twojego ojca zabiło opium – powiedział Ah Quee. – Spójrz tylko na siebie. – Ah Sook potknął się o wystający korzeń i niewiele brakowało, żeby się przewrócił. – Piękny z ciebie mściciel, Sooku Yongshengu. Nawet nie masz siły stać!

Wściekły Ah Sook wysunął rękę przed siebie, by złapać równowagę, podciągnął się i podszedł do Aha Quee’ego. Żrenice oczu miał ciemne i łagodne.

– Wiesz, jak to się zaczęło – powiedział. – Najpierw dali mi opium jako lekarstwo. Nie zacząłem zażywać narkotyku z własnej woli. A teraz ma nade mną moc, nic na to nie mogę poradzić.

– Miałeś dość czasu, żeby rzucić nałóg – odpowiedział Ah Quee. – Przed procesem przez kilka tygodni siedziałeś w więzieniu, czy nie?

– To była za krótka przerwa, abym mógł pozbyć się głodu narkotykowego.

– Głód! – rzekł z pogardą Ah Quee. – Cóż to za żalosne określenie. Nic dziwnego, że nie znalazło się w twojej opowieści. Nic dziwnego, że wolisz takie wielkie słowa, jak „honor”, „obowiązek”, „zdrada” i „zemsta”.

– Moja opowieść...

– Twoja opowieść, tak jak ją przedstawiasz, zatrzymuje się o wiele dłużej na krzywdach, których doznałeś osobiście, niż na hańbie, która dotknęła twoją rodzinę. Powiedz mi, Sooku Yongshengu, czy mścisz się na człowieku, który zabił twojego ojca, czy na człowieku, który nie chciał ci pomóc w Saloonie pod Białym Koniem?

Ah Sook był zszokowany.

– Wątpisz w moją motywację – powiedział.

– To nie jest twoja motywacja – rzekł Ah Quee. – To niemożliwe! Popatrz tylko na siebie. Ledwo się trzymasz na nogach.

Zamilkli. Z pobliskiej doliny dobiegł stłumiony wystrzał z broni palnej, a potem daleki krzyk.

W końcu Ah Sook skinął głową.

– Do widzenia – powiedział.

– Dlaczego się ze mną żegnasz?

– Wyraziłeś się jasno – rzekł Ah Sook. – Potępiasz mnie. Brzydzisz się mną. Mimo to pójdę dzisiaj na uroczystość do wdowy.

Wprawdzie Ah Quee łatwo wpadał w gniew, nie mógł jednak znieść, gdy jawił się w jakimś sporze jako niegodziwiec. Pokręcił głową, mocno wciągnął powietrze przez nos i powiedział:

– Pójdę z tobą. Bardzo chcę porozmawiać z panem Stainesem.

– Wiem – odrzekł Ah Sook. – Przyszedłem w dobrej wierze, Quee Longu.

Kiedy Ah Quee znowu się odezwał, zrobił to cichym głosem.

– Człowiek wie, co ma w sercu. Niesłusznie podałem w wątpliwość motywację twojego postępowania.

Ah Sook na chwilę zamknął oczy.

– Kiedy dojdziemy do Hokitika, będę już całkiem przytomny.

Ah Quee skinął głową.

– Wtedy to będziesz musiał być przytomny – powiedział.

KARDYNALNA ZIEMIA

Rozdział, w którym Walter Moody dokonuje zdumiewającego odkrycia, wyjaśnia się kilka nieporozumień i pokazuje się symetria

Pożegnawszy się z Gascoigne'em, Walter Moody od razu wrócił do hotelu Korona, gdzie już dostarczono jego kufer. Otworzył drzwi jednym szarpnięciem, szybko pokonał recepcję, po czym wbiegł po schodach na piętro, przeskakując po dwa stopnie naraz. Na górze niezdarnie próbował wsunąć klucz w zamek i głośno zaklął. Nagle zapałał absurdalną niecierpliwością, by spojrzeć na swoją własność – poczuł, że ponowne spotkanie z ukochanymi przez niego rzeczami na nowo urealni jego związek z przeszłością, który od czasu zatonięcia „Z Bogiem” wydawał mu się mocno nierzeczywisty.

Ostatnio Moody coraz częściej wracał myślami do swojego spotkania z ojcem w Dunedin. Z perspektywy czasu żałował pośpiechu, z jakim zakończył tę smutną scenę. To prawda, że ojciec go zdradził, ale Moody mógłby mu przebaczyć. Mógł zostać i wysłuchać, jaką rolę w tej historii odegrał Frederick. Nie widział się z bratem podczas pobytu w Dunedin, albowiem uciekł ze spotkania z ojcem, zanim ten zdążył wezwać Fredericka, nie wiedział zatem, czy Frederick jest zdrowy, żonaty i szczęśliwy. Nie wiedział, jak powiodło mu się w Otago i czy zamierza dożyć swoich dni w Nowej Zelandii. Nie wiedział, czy jego ojciec i brat szukali kruszcu razem, czy każdy z nich związał się z innymi poszukiwaczami złota, albo może pracowali tylko na własną rękę. Ilekroć Moody zadawał sobie te pytania, ogarniało go przygnębienie. Powinien był postarać się wtedy o rozmowę z bratem. Ale czy Frederick by tego chciał? Moody nie znał odpowiedzi nawet na to pytanie. Od czasu przyjazdu do Hokitika trzykrotnie zabierał się, żeby do niego napisać, ale po opatrzeniu listu nagłówkiem i datą siedział nieruchomo.

Klucz wreszcie obrócił się w zamku. Moody pchnął drzwi, wszedł do pokoju – i zatrzymał się. Na środku rzeczywiście stał kufer, lecz nigdy wcześniej nie widział go na oczy. Jego był prostokątny i pomalowany na czerwono, ten zaś okazał się czarny, miał żelazne uchwyty oraz dużą, kwadratową klamrę, w którą w charakterze zabezpieczenia wsunięto metalowy pręt. Wypukłe wieko zostało zbite z listewek, kufer przypominał więc przewróconą na bok beczkę. Na wieku było kilka nalepek, jedna z napisem „Southampton”, druga „Lyttelton”, a trzecia ze standardową dla takiego bagażu informacją „Niepotrzebne w podróży”. Moody od razu się domyślił, że właściciel kufra podróżował zawsze pierwszą klasą.

Zamiast zadzwonić na pokojówkę i poinformować ją o pomyłce, zamknął drzwi na zasuwę i szybko przykleknął przed nieznanym kufrem. Odblokował klamrę, podniósł wieko i pod spodem zobaczył przyklejoną kartkę:

„WŁASNOŚĆ PANA ALISTAIRA LAUDERBACKA,
RADNEGO PROWINCJI, POSŁA DO PARLAMENTU”.

Moody odetchnął i kucnął. A to ci dopiero nieporozumienie! A zatem kufer Lauderbacka rzeczywiście znajdował się na pokładzie „Z Bogiem”, jak podejrzewał Balfour. To znaczy, że skrzynię przewozową faktycznie zabrano chyba przez pomyłkę z nabrzeża w Hokitika. Kufer Moody’ego, podobnie jak Lauderbacka, nie miał wygrawerowanego nazwiska właściciela i właściwie brakowało mu jakichkolwiek znaków szczególnych – jedynie wewnątrz opatrzony został kawałkiem skóry z nazwiskiem i adresem, zaszytym pod podszewką pokrywy, od spodu. Kufry zostały zapewne zamienione: własność Moody’ego dostarczono do apartamentów Lauderbacka w hotelu Pałac, a kufer polityka trafił do hotelu Korona.

Moody zastanawiał się przez chwilę. Lauderbacka w tym momencie nie było w Hokitika. Według „Czasu Zachodniego Wybrzeża” prowadził kampanię wyborczą na północy i miał wrócić dopiero jutro po południu. Moody podjął nagle decyzję – zrzucił surdut, pochylił się, pozostając na klęczkach, i zaczął przeglądać rzeczy polityka.

Walter Moody nie miał do siebie pretensji o naruszenie cudzej prywatności i nie widział powodu, żeby przyznawać się do tego występkę. Odznaczał się wyjątkowo flegmatyczną umysłowością, chłodną, gdy angażował się w sprawy osobiste, bystrą i nadzwyczaj racjonalną. Charakteryzowała go jednak także pewna wada, dość często spotykana u osób o wysokiej inteligencji – otóż dar intelektu Moody traktował jako coś w rodzaju wyrafinowanej licencji na dobre zachowanie – bo dzięki niej po prostu nie mógł się zachować niewłaściwie w żadnej sytuacji. Uważał, że jego zobowiązania moralne przynależą do całkowicie innego zbioru niż klasa zasad i norm, wyznawanych przez ludzi gorszych od niego, toteż rzadko odczuwał wstyd czy skrępowanie, chyba że w bardzo ogólnikowym sensie.

Przeglądał kufer Lauderbacka szybko i metodycznie, biorąc każdy przedmiot do ręki, a potem odkładając go starannie na miejsce. W kufrze znajdowały się głównie artykuły papiernicze – papeteria, pieczęcie, księgi rachunkowe, podręczniki prawnicze i wszystko to, co jest niezbędne na biurku posła. Ubrania i rzeczy osobiste Lauderbacka zostały najprawdopodobniej spakowane gdzie indziej, bo jedyną częścią garderoby w tym cedrowym kufrze była wełniana apaszka, owinięta wokół dość brzydkiej, mosiężnej świnki, służącej jako przycisk do papieru. Z kufra bił zapach morza, solanki, chociaż nie tyle słony, ile kwaśny, ale zawartość była ledwo wilgotna. Na szczęście dla Lauderbacka, kufer uniknął pełnego zanurzenia.

Na spodzie spoczywała skórzana teczka. Moody otworzył ją i wyciągnął plik papierów – same umowy, rachunki i faktury. Po kilku chwilach poszukiwań znalazł umowę sprzedaży barku „Z Bogiem” i wyciągnął ją spomiędzy innych – ostrożnie, by nie pokruszyć i nie oderwać pieczęci.

Jak trzy tygodnie temu zaświadczył Lauderback, umowę podpisał niejaki Francis Wells. Również data sprzedaży potwierdzała opowieść polityka: statek zmienił właściciela w maju 1865 roku, czyli przed dziewięcioma miesiącami.

Moody pochylił się, by spojrzeć na podpis nabywcy. „Francis Wells” podpisał się swoim fałszywym nazwiskiem z rozmachem. Z lewej strony dużej litery F postawił wielki, zapętlony zakrętas, tak duży, że wyglądał na jakąś literę. Moody zmrużył oczy i przyjrzał mu się z boku. Ależ oczywiście, pomyślał, prawdę mówiąc, ten zawijas może być z łatwością literą C, pochyloną tak, że dotyka litery, następującej po niej. Baczniej przypatrzył się podpisowi. Między C i F widniała nawet kropka, którą, jeśli patrzeć nieuważnie, można byłoby wziąć za kleksik. Sugerowało to, że Carver celowo podpisał się niestarannie i niewyraźnie, tak że podpis dawało się odczytać zarówno jako „Francis Wells”, jak i „C. Francis Wells”. Litery wyglądały na lekko rozedrgane, jak to często bywa, kiedy człowiek pisze bardzo powoli, pragnąc osiągnąć zamierzony efekt.

Moody zmarszczył brwi. W czerwcu zeszłego roku Francis Carver był w posiadaniu świadectwa urodzenia Crosbiego Wellsa, dokumentu, który dowodził (jak oświadczył Benjamin Löwenthal), że Crosbie Wells na drugie imię miał Francis. Ależ tak, pomyślał Moody, to przecież oczywiste: Francis Carver ukradł świadectwo urodzenia Crosbiego Wellsa, chcąc się pod niego podszyć. Podpis na umowie na pewno celowo został złożony niewyraźnie. Jeśli Carver miałby zostać postawiony przed sądem pod zarzutem przyjęcia fałszywej tożsamości, mógłby zaprzeczyć, że podpisał dokument.

Czy wspólne imię, Francis, to po prostu szczęśliwy dla niego zbieg okoliczności? A może świadectwo urodzenia Wellsa zostało sfałszowane już post factum? Moody doszedł do wniosku, że drugie imię bardzo łatwo dodać do właściwie każdego dokumentu i można przecież użyć w tym celu atramentu o jaśniejszym odcieniu albo w jakiś sposób rozjaśnić dopisek, by ukryć, że został wprowadzony później. Dlaczego jednak Carver mógłby chcieć sfałszować swoją tożsamość, zwłaszcza na umowie kupna-sprzedaży? W jaki sposób posłużenie się cudzym nazwiskiem mogło mu przynieść korzyść?

Moody powtórzył sobie to, co wiedział o sprawie. Francis Carver wykorzystał tożsamość Crosbiego Wellsa, kiedy rozmawiał z Benjaminem Löwenthałem w biurze „Czasu Zachodniego Wybrzeża” w czerwcu... Nie przedstawił się jednak tym nazwiskiem, kiedy miesiąc wcześniej stanął twarzą w twarz z Alistairem Lauderbackiem. Z nim rozmawiał jako Francis Wells... A potem celowo podpisał się niewyraźnie. Pamiętając, że Lauderback z jakiegoś tajemniczego powodu sądził, że Crosbie Wells i Carver byli braćmi, Moody mógł tylko przypuszczać, że Carver udawał brata Crosbiego Wellsa w kontaktach z Lauderbackiem. Co do tego, czemu miałby się zachować w ten sposób, nie miał jednak pojęcia.

Przez dłuższą chwilę przypatrywał się umowie, usiłując zapamiętać jej szczegóły, a potem odłożył ją z powrotem do teczki, wcisnął do kufra na swoje miejsce i kontynuował metodyczny przegląd jego zawartości.

W końcu uznał, że w kufrze nie ma już niczego interesującego, dlatego nieco odruchowo przesunął palcami wokół krawędzi wieka i nagle zamruczał pod nosem ze zdumienia. Między perkalową podszewką a drewnianym wiekiem tkwiła cienka, kwadratowa paczuszka. Pochylił się niżej i wymacał proste rozcięcie w tkaninie, mniej więcej wielkości jego dłoni. Perkal

został tu delikatnie obrębiony, żeby się nie strzepił. Był kraciasty, rozcięcie zaś sprytnie ukryto pośród pionowych pasków kratki, biegnących równoległe do brzegu wieka. Moody wsunął palce w tę kieszeń i wyciągnął z niej kwadratowy pakunek, który wcześniej wyczuł. Był to plik przewiązanych sznurkiem listów.

W sumie było ich około piętnastu. Wszystkie zostały zaadresowane do Lauderbacka prostym, niewyrobnym charakterem pisma. Adwokat przez chwilę przypatrywał się węzłowi oraz długości pętli zawiązanego na kokardkę sznurka. Potem rozwiązał go, odrzucił sznurek i wygładził wygniecione listy na kolanie. Po datach stempla pocztowego poznał, że są ułożone w odwrotnej kolejności chronologicznej, przy czym najnowsza przesyłka znajdowała się na wierzchu. Przetasował korespondencję, wybrał pierwszy list do Lauderbacka i zaczął czytać. Po chwili serce podeszło mu do gardła.

Dunedin, marzec 1852

Szanowny panie,

jesteś moim bratem, chociaż mnie nie znasz. Twój ojciec spółdził bastarda i to ja nim jestem. Wychowałem się jako CROSBIE WELLS i wziąłem nazwisko po księdzu z mojej parafii, nie znając swojego ojca, ale wiedząc, że jest kurwi syn. Dzieciństwo spędziłem w burdelu w Newington, zwanym KLEJNOT. Prowadziłem skromne życie, na jakie mnie było stać, bo nie jestem majętnym człowiekiem. Nie cierpiałem, jednak zawsze pragnęłem spotkać ojca, żeby wiedzieć, jak on wygląda & usłyszeć jego głos. W końcu moje modły zostały wysłuchane, bo dostałem list od ojca. Napisał, że od początku wiedział o moim istnieniu. Spodziewał się, że wkrótce odejdzie z tego świata & wyznał, że nie zostawi mi nic w testamencie, bo boi się zbrukać swoje nazwisko, do listu dołączył jednakże 20 funtów & błogosławieństwo. Nie podpisał się, ale zacząłem się rozpytywać o służę, co przyniósł mi list od niego & wysledziłem jego powóz, chociaż był tylko wynajęty dla DOMU GLENÓW, znaczy się dla domu twojego ojca, coś i ty w nim mieszkał. Kupiłem płaszcz, ogoliłem się i wziąłem dorożkę, żeby do was pojechać, ale szanowny panie, nie mogłem zadzwonić do drzwi. Wróciłem do siebie zdenerwowany & wystraszony & potem niespodziewanie zobaczyłem w wiadomościach żeglugowych, że ALASTAIR LAUDERBACK, prawnik, wyrusza z najbliższym odpływem do kolonii. Myślałem, że to mój ojciec, bo nie wiedziałem jeszcze, że ma syna i że ten syn może się nazywać tak samo jak on. Statek odpłynął, ale dopilnowałem następnego. Wylądowałem w Dunedin & zacząłem się rozpytywać, jak tylko żem mógł. Poszłem na twoje publiczne przemówienie, co to je wygłaszałeś w deszczu na nabrzeżu, kiedy kapitan portu dał ci w prezencie zegarek kieszonkowy & wyglądałeś na bardzo zadowolonego. Kiedy cię zobaczyłem, od razu zmiarkowałem, że się pomyliłem & że nie jesteś moim ojcem, lecz bratem. Byłem zbyt przygnębiony, żeby się w onczas z tobą spotkać, a teraz jesteś w Lyttelton, dokąd nie mogę pojechać, bo nie stać mnie na bilet. Szanowny panie, piszę z prośbą jak modlitwa. Wydałem 20 funtów ojca na tę podróż & inne potrzeby & nie mam środków, żeby wrócić do domu. Sprzedałem płaszcz, ale przyniósł mi niewiele więcej niż połowę tego, co za niego zapłacił, bo handlarz mi nie uwierzył, że jest dobrej jakości. Teraz mam tylko kilka groszy przy duszy. Ty jesteś dygnitarzem, szanowny panie, człowiekiem polityki, filozofii & prawa. Nie muszę się z tobą spotykać, ale błagam o wsparcie, bo wierzę, żeś jest dobrym chrześcijaninem, a ja na zawsze pozostanę twoim bratem

CROSBIE WELLS

Pod nazwiskiem zapisano adres do korespondencji i numer skrytki pocztowej w Dunedin.

Moody odłożył list z bijącym sercem. Czyli że Lauderback i Crosbie Wells są braćmi. A to ci dopiero niespodzianka! Lauderback nie wspomniał jednak o tym pokrewieństwie sędziemu, kiedy powiedział, że przybył do umierającego Crosbiego Wellsa o pół godziny za późno. Nie przyznał się też do tego swojemu przyjacielowi, agentowi spedycyjnemu Thomasowi Balfourowi. Jaki miał powód, żeby zataić tożsamość swojego brata, pochodzącego z nieprawego łoża? Może wstyd? Czy chodziło o coś więcej?

Moody wziął paczuszkę i przeszedł pod okno, gdzie było widniej. Otworzył następny list i nachylił go w stronę światła.

Dunedin, wrzesień 1852

Szanowny panie,

minęło sześć miesięcy, odkąd zem napisał po raz pierwszy & boję się, że twoje milczenie oznacza, że cię obraził. Nie za dobrze pamiętam, jakem się wyrażał, ale to pamiętam, że w tym liście nazwałem się twoim bratem & może to sprawiło ci przykrość. Imaginuję sobie, że cię boli wiedzieć, że twój ojciec nie był ideałem. Imaginuję sobie, że chciałbyś, co by było z nim inaczej. Jeśli powyższe to prawda, to błagam o wybaczenie. Szanowny panie, przez tych kilka miesięcy zubożałem jeszcze bardziej. Zapewniam cię, że jako kurwi syn, znam żebracze życie, ale błagać o pomoc po raz drugi to doprawdy hańba. Mimo to piszę w rozpacz. Jesteś człowiekiem zamożnym. Wszystko, o co proszę, to tylko cena biletu trzeciej klasy & potem nie będziesz już musiał się ze mną kontaktować. Ja tu w Dunedin oszczędzam każdy grosz, jak mogę. Próbowałem się najmować jako robotnik, ale raczej się do tego nie nadaję. Powalały mnie odmroźliny & gorączka & inne choroby wywołane zimmem. Nie pracowałem tak regularnie, jak bym chciał. Moje pragnienie poznania naszego ojca, Alastaira Lauderbacka seniora, nie zmniejszyło się & jestem świadom, że mijają dni, bo jakom ci już pisał, ojciec wyznał mi w liście, że jest bliski śmierci. Chciałbym z nim pomówić chociaż raz przed smutnym końcem, co byśmy mogli się na siebie popatrzeć & porozmawiać jak ludzie. Proszę cię na kolanach, szanowny panie, iż byś mi kupił bilet powrotny do domu. Przysięgam, że wtedy już więcej byś o mnie nie usłyszał. Jestem nikim więcej jak tylko twoim wdzięcznym przyjacielem

CROSBIE WELLS

Moody prawie od razu wziął następny list. Wolną ręką sięgnął po krzesło i osunął się na nie, nie przerywając lektury.

Dunedin, styczeń 1853

Szanowny panie,

zadaję sobie pytanie, jak mam rozumieć twoje milczenie. Mniemam, że dostajesz moją korespondencję, aleć z jakiegoś powodu i dla jakichś zasad nie chcesz odpowiedzieć ani okazać odrobiny współczucia nieślubnemu dziecku twojego ojca. Nie dyktowałem tych listów. Piszę je własnoręcznie, szanowny panie, & potrafię też czytać & chociaż sobie pochlebiam, to powiem ci, że ojciec Wells, ksiądz z mojej parafiji, nie jeden raz wspominał, że jest wyjątkowo błyskotliwym chłopcem. Mówię to wszystko, co by wyjaśnić, że

żaden ze mnie łotr, chociażem jest ubogi. Życzysz sobie może jakich dowodów, że jestem nieślubnym synem twego ojca. Może myślisz, że cię próbuję ocyganić. Na mój honor, tak nie jest. Od czasu, kiedym napisał ci ostatni list, moje potrzeby i pragnienia się nie zmieniły. Nie chcę żyć w tym kraju, szanowny panie, nigdy nie szukałem takiego życia. Za 20 funtów powróciłbym do Anglii i nigdy więcej nie wypowiedziałbym twojego imienia. Szczerze oddany

CROSBIE WELLS

Dunedin, maj 1853

Szanowny panie,

wiem z miejscowych gazet, żeś został gubernatorem dumnej prowincji Canterbury. Zająłeś to stanowisko & oddałeś honorarium na cele dobroczynne. Szlachetny to gest, panie, lecz ja przyglądałem mu się ze smutkiem. Zastanawiałem się, czy pomyślałeś o mnie, kiedy oddawałeś te 100 funtów. Nie mam pieniędzy na podróż do Lyttelton, gdzie mieszkasz, a tym bardziej na powrót do domu. Nigdy nie czułem się bardziej samotny niż w tym zapomnianym przez Boga i ludzi kraju, na pewno to zrozumiesz, boś przecie sam jest Brytyjczyk. Mamy tutaj pełzającą wilgoć i mróz w domu, prawie co rano jak się budzę, to znajduję taką lodową obwódkę na nogach. Nie nadaję się do pionierskiego życia na pograniczu & co dzień płaczę nad sytuacją, w której się znalazłem. Szanowny panie, w tym roku udało mi się zaoszczędzić tylko dwa funty, dziesięć szylingów i cztery pensy & teraz te cztery pensy poszły na papier i marki pocztowe. Błagam cię o pomoc jako człowiek w potrzebie

CROSBIE WELLS

Dunedin, październik 1853

Szanowny panie,

piszę w wielkim strapieniu. Mam już pewność, że nigdy mi nie odpiszesz & chociażem kurwi syn, toć jestem nazbyt dumny, coby cię znowu prosić. Grzesznik ze mnie jako i z naszego ojca, jabłko zawsze pada niedaleko od jabłoni, jak mówi znane przysłowie. Ale w młodości mnie uczono, że dobroczynność to najpierwsza z cnót & taka, którą należy praktykować zwłaszcza wtedy, kiedy jej komu brakuje. Ty, szanowny panie, nie postępujesz jak chrześcijanin. Doprawdy sędzę, że gdyby nasza sytuacja się odwróciła, nie zachowywałbym takiego okrutnego milczenia jak ty. Bądź spokojny, nie będę cię prosić jeszcze raz o wsparcie, ale chciałbym, byś wiedział o moim strapieniu. Śledziłem twoją karierę na łamach „Świadka Otago” & wiem, że jesteś człowiekiem dużego majątku & znaczenia. Ja nie mam ani jednego, ani drugiego, ale pomimo mojego nędznego położenia z dumą zwę się chrześcijaninem & gdybyś był w potrzebie, szanowny panie, to wyróciłbym kieszenie na nice, coby ci pomóc, jako twój brat. Nie spodziewam się, że mi odpowiesz, i może umrę szybko, i nigdy więcej się z tobą nie skontaktuję. Choć to prawdopodobne, to z dumą pozostaję bardzo ci szczerze oddany

CROSBIE WELLS

Dunedin, styczeń 1854

Szanowny panie,

muszę cię przeprosić za ten list, com go ostatnio napisał z rozgoryczeniem & chcąc cię obrazić. Matka mnie ostrzegała, iżbym nigdy nie chwycił za pióro w gniewie & teraz widzę, jak mądre były jej słowa. Oczywiście nie poznałeś nigdy mojej matki, ale w swoim czasie była bardzo piękna. Zwała się SUE BUTCHER, niechaj spoczywa w pokoju, chociaż używała też inszych nazwisk, lepiej pasujących do jej profesji & lubiła wymyślać sobie nowe dla przyjemności. Nasz ojciec szczególnie ją lubił, jak powiadała, ze względu na piękny kolor jej oczu. Nie jestem do niej podobny, tylko trochę. Zawsze mówiła, że jest podobny do ojca, chociaż on nigdy już nie wrócił do tego burdelu, kiedy się urodziłem & jak wiesz, nigdy go nie poznałem. Mówiono mi, że prostytutka to choroba społeczna, na którą składa się z jednej strony męska lubieżność, a z drugiej kobiece zepsucie & chociaż wiem, że to opinia ludzi mądrzejszych ode mnie, to nie tłumaczy, dlaczego pamiętam matkę tak, a nie inaczej. Miała piękny głos & rankiem uwielbiała śpiewać najróżniejsze hymny, coś, co i ja lubiałem. Moim zdaniem była dobra & ciężko pracowała & chociaż była znana jako flirciara, miała bardzo duże powodzenie. Jakie to dziwne, że mamy różne matki, lecz jednego ojca. To pewnie znaczy, że jesteśmy do siebie podobni tylko w połowie. Ale wybac mi te próżne rozważania & proszę, przyjmij moje przeprosiny & zapewnienie, że pozostaję twój

CROSBIE WELLS

Dunedin, czerwiec 1854

Szanowny panie,

może to i słusznie, że nie odpowiadasz. Zachowujesz się po prostu tak, jak może człowiek o twojej wysokiej pozycji & bo musisz brać pod uwagę swoją reputację. Wydaje mi się, że chociaż to brzmi dziwnie, jestem całkiem rad z twojego milczenia. Zapewniłem sobie skromne dochody & przyzwoite mieszkanie & „urządza się”, jak to się tutaj mówi. Latem Dunedin bardzo się zmienia. Słońce rozjaśnia góry & wodę & bardzo dobrze znoszą rzeński klimat. Jakie to dziwne, że znalazłem się po drugiej stronie kuli ziemskiej. Zdaje mi się, że jest tak daleko od Anglii, że dalej już nie można. Zdziwisz się, kiedy powiem, że mimo wszystko nie zamierzam wracać już do domu. Umyśliłem sobie, że pochowają mnie w nowozelandzkiej ziemi. Może jest ciekawy, co wpłynęło na zmianę mojej decyzji, no to ci powiem. Widzisz, w Nowej Zelandii wszyscy pozostawili dawne życie za sobą & wszyscy są tu pod pewnym względem równi. Oczywiście owczarze z Otago są tu baronami, tak jak byli nimi w szkockich górach, ale i tacy jak ja mają tutaj szansę na awans. Bardzo mnie to cieszy. Ludzie na ulicy nierzadko uchylają kapelusza na powitanie, nie bacząc na pozycję człowieka, którego pozdrawiają. Może nie jest to nic dziwnego dla ciebie, ale dla mnie to coś cudownego. Osadnictwo czyni nas wszystkich braćmi & dodając tę uwagę, pozostaję szczerze ci oddany

CROSBIE WELLS

Dunedin, sierpień 1854

Szanowny panie,

mam nadzieję, że mi wybaczysz te listy. Nie mam innych korespondentów & dni mijają mi na rozmyślaniach o tobie. Zacząłem trochę filozofować i myśleć, co mogłoby się stać, gdybyś mnie poznał wcześniej albo ja ciebie. Nie wiem, ile masz lat, więc nie wiem, czyś ty jest starszy, czy ja. Na mój rozum różnica jest znacząca & ponieważ to ja jestem bastard, myślę, że jest młodszy, ale oczywiście tak nie musi być. W burdelu były inne dzieci, kilka dziewczynek, co to zostały dziwkami, kiedy dorosły & jeden chłopiec, który umarł na ospę, jak byłem jeszcze bardzo mały, ale ja z tych dzieci był zawsze najstarszy & chciałem

mieć brata, którego mógłbym podziwiać. Z wielkim smutkiem rozmyślałem o tym, że nie wiem, czy masz rodzeństwo, czy nasz ojciec miał inne nieślubne dzieci i czy rozmawiał o mnie z tobą. Gdybym był w Londynie, chodziłbym do Domu Glenów przy każdej okazji & zaglądałbym przez ogrodzenie & podglądałbym ojca, którego, jak pamiętasz, nigdy nie widziałem. Mam ciągle jego list, gdzie pisze, że o mnie wiedział & że mnie widział, i ciekaw jestem, co o mnie myślał & co może myśleć o życiu, które tu prowadzę. Ale może ojciec już nie żyje. Nie chcesz być moim bratem, to żeś mi jasno dał do zrozumienia, lecz może jesteś dla mnie kimś w rodzaju księdza, a moje listy są niczym spowiedź. Taka myśl dodaje mi otuchy, bo z dumą cię powiadamiam, że zostałem bierzmowany jak należy. Spodziewam się jednak, żeś ty jest członkiem Kościoła anglikańskiego. Twój

CROSBIE WELLS

Dunedin, listopad 1854

Szanowny panie,

czy czujesz się tak, jakbyś mnie znał albo jak gdybyś mógł mnie rozpoznać w tłumie? Ostatnio do mnie dotarło, że ja wiem, jak wyglądasz, ale ty mnie nigdy nie widziałeś. Nie jesteśmy niepodobni fizycznie, chociaż wydaje mi się, że jestem szczuplejszy & mam ciemniejsze włosy & ludzie pewnie by powiedzieli, że ty masz łagodniejsze rysy, bo ja często bywam ponury. Ciekaw jestem, czy chodzisz & myślisz o mnie & czy szukasz mnie w twarzach albo sylwetkach innych ludzi, kiedy cię mijają na ulicy. Ja tak robiłem codziennie, jak byłem młody & zawsze marzyłem o moim ojcu, & próbowałem go sobie wyobrazić na podstawie twarzy wszystkich, których znałem. Jaka to pociecha myśleć o tym, co łączy nas jako braci, mieszkających na krańcu świata. Dziś ciągle wspominam cię w myślach. Szczerze oddany

CROSBIE WELLS

Następny list był znacznie nowszy, a atrament, którym go napisano, jaśniejszy. Moody spojrział na datę i zauważył, że Crosbie Wells poprzedni list wysłał prawie dziesięć lat wcześniej.

Dunedin, czerwiec 1862

Szanowny panie,

odnawiam korespondencję, żeby z wielką dumą cię poinformować, iż piszę do ciebie jako człowiek żonaty. Narzeczeństwo było bardzo krótkie, chociaż wydaje mi się, że ta sztuka została odegrana tak, jak nakazuje zwyczaj. W ostatnich miesiącach szukałem złota w wąwozach w Lawrence i chociaż nabrałem doświadczenia, jeszcze nie trafił na żyłę. Pani Wells, jak muszę ją teraz nazywać, to piękna przedstawicielka płci niewieściej & z dumą będę chodził z nią pod rękę. Teraz jest z niej coś jakby twoja szwagierka. Chciałbym wiedzieć, czy może masz już szwagierkę, czy pani Wells jest pierwsza. Przez jakiś czas nie będę więcej pisał, bo muszę wrócić do Dunstan, żeby pracować na utrzymanie żony. Ciekaw jestem, co myślisz o gorączce złota. Słyszałem ostatnio jakiegoś polityka, który nazwał złoto moralną plagą. To prawda, że w czasie poszukiwań widziałem dużo upodlenia i zwyrodnienia, lecz człowiek bywa podły, także zanim natrafi na żyłę złota. Widzi mi się, że większość *politicos* przeraża myśl, że tacy ludzie jak ja mogą się wzbogacić. Serdecznie

CROSBIE WELLS

Kawarau, listopad 1862

Szanowny panie,

przeczytałem w gazetach, żeś się ostatnio ożenił, przyjmij więc moje najlepsze gratulacje. Nie widziałem portretu twojej żony CAROLINE, z domu GOUGH, ale podobno to bardzo piękna kobieta. Jestem szczęśliwy, gdy myślę, że oboje spędzimy święta Bożego Narodzenia jako mężczyźni żonaci. Wrócę z Lawrence na zimę do swojej żony, która mieszka w Dunedin & nie przyjeżdża na złotodajne pola, bo nie znosi błota. Nie mogę się przyzwyczaić do Bożego Narodzenia w lecie & uważam, że te święta w ogóle lepiej pasują do zimniejszych miesięcy. Może bluźnię, mówiąc w ten sposób o Bożym Narodzeniu, ale tuszę, że tu, w Nowej Zelandii, wiele rzeczy nie zachowuje swojego znaczenia i wydaje się tylko spłwiałym reliktem innych czasów. Myślę o tym, że dostaniesz ten list & żeby go odczytać, usiądziesz może przy kominku albo pochylisz się bliżej nad lampą. Pozwól mi wyobrazić sobie takie szczegóły, dla mnie to zawsze wielka przyjemność myśleć o tobie. Zapewniam cię, że chociaż z daleka, ale pozostaję ci naprawdę oddany

CROSBIE WELLS

Dunstan, kwiecień 1863

Szanowny panie,

przez cały tydzień cierpiałem na melancholię, zastanawiając się, czy nasz ojciec, Alistair Lauderback, już zmarł, czego się spodziewam. Londyn wydaje mi się teraz tylko snem. Przypominam sobie dym & mgłę & w ogólności nie mogę ufać pamięci. Tytułem eksperymentu w zeszłym tygodniu usiadłem & spróbowałem narysować na piasku mapę Southwark. Nie bardzo mogłem sobie przypomnieć kształt Tamizy & nie pamiętałem nazw ulic. Czy z tobą jest tak samo? Czytałem z niejakim zdumieniem w „Świadku Otago”, że teraz uważasz się za dumnego kanterberyjczyka. Ja czuję się na wskroś Anglikiem. Twój

CROSBIE WELLS

Kawarau, listopad 1863

Szanowny panie,

chętnie myślę, że lubisz dostawać listy ode mnie, ale zadowolam się bardziej prawdopodobną myślą, że wcale ich nie czytasz. Tak czy siak pisanie to dla mnie pociecha i nadaje jakiś kształt moim dniom. Przeczytałem z zainteresowaniem, żeś zrezygnował z funkcji gubernatora. Tu, wśród poszukiwaczy, rozeszła się pogłoska, że wkrótce, kiedy Otago wyschnie, gorączka złota ogarnie też Canterbury & właściwie zastanawiam się, czy wtedy nie pożałujesz, że zrezygnowałeś z takiego wysokiego stanowiska. Zyski, jakie można mieć z przynoszącego dochód złotonośnego pola, poruszały niejednego kopacza w Kawarau. Ziemia jest tutaj gorzysta & słońce na niebie oślepia. Słońce spaliło mnie już tyle razy, że noszę na szyi piętno od kołnierzyka & chociaż jest bolesne, nie czekam z niecierpliwością na zimę, która w tych górach będzie naprawdę sroga. Czy jeśli w Canterbury zostanie odkryte złoto, znów będziesz ubiegał się o gubernatorstwo? To właściwie nie jest zwyczajne pytanie, tylko wyraz mojego zainteresowania twoim życiem. W tym duchu

kreślę się z oddaniem

CROSBIE WELLS

Kawarau, marzec 1864

Szanowny panie,

piszę, aby donieść ci o czymś bardzo ważnym i doprawdy zdumiewającym. Przebywałem w Dunstan, gdzie za sprawą nieprawdopodobnego szczęścia natrafiłem na działkę, która dosłownie świeci się od kruszcu! Jestem teraz bogaty, chociaż nie wydałem jeszcze ani grosza, bom widział zbyt wielu ludzi, którzy wyrzucili swoje złoto na kapelusze & płaszcze tylko po to, żeby je oddać potem do lombardu, kiedy ich los znowu się odmienił. Nie powiem ci, ile zarobiłem, bo boję się, że ten list wpadnie w niepowołane ręce, ale napiszę tyle, że to ogromna suma nawet wobec twojej znacznej pensji & mniemam, że teraz to ja jestem bogatszym z braci, przynajmniej jeśli chodzi o gotówkę. A to dobry kawał! Z takim majątkiem mógłbym wrócić do Londynu & założyć sklep, ale będę dalej szukać złota, albowiem sądzę, że moje szczęście jeszcze się nie wyczerpało. Nie zadeklarowałem na razie tego kruszcu i postanowiłem wynieść go z pól pod prywatną strażą, bo jak mi mówią, to najbezpieczniejsza droga. Bez względu na odmianę mojego losu pozostaję jak zawsze twój

CROSBIE WELLS

Zachodnie Canterbury, czerwiec 1865

Szanowny panie,

jak zauważysz po stemplu, nie jestem już mieszkańcem prowincji Otago, bo jak to się mówi, wziąłem tylek w troki. Ty zapewne nie miałeś specjalnych powodów, żeby się zapuszczać na zachodnią stronę gór, więc powiem ci, że zachodnie Canterbury bardzo się różni od trawiastego południa. Wschód słońca nad brzegiem morza to szkarłatne чудо & ośnieżone szczyty mają kolor nieba. Krzewy są wilgotne & splątane & woda bardzo biała. To samotne miejsce, chociaż niezupełnie, bo ciągle śpiewają ptaki & to jest bardzo przyjemne, taka niezmienność. Jak już się pewnie domyślasz, dawne życie pozostawiłem za sobą. Z żoną żyję w separacji. Powinienem ci powiedzieć, że ukrywałem wiele w listach do ciebie, bo bałem się, że gdybyś poznał gorzką prawdę o moim małżeństwie, mógłbyś źle o mnie myśleć. Nie będę cię kłopotał szczegółami mojej ucieczki w to miejsce, gdyż to żałosna historia & przypominam ją sobie ze smutkiem. Dmucham na zimne, bom sparzył się dwa razy i chociaż inni mężczyźni mogą się pochwalić lepszymi wynikami, mnie to wystarczy i mogę powiedzieć, że dostałem nauczkę. Ale dość na ten temat, wolę mówić o tym, co jest teraz & o przyszłości. Nie zamierzam już dłużej szukać złota, chociaż zachodnie Canterbury aż błyszczy się od kruszcu & ludzie codziennie zbijają tutaj fortuny. Nie, nie będę już poszukiwaczem & nie pozwolę, żeby znów mi ukradziono majątek. Spróbuję za to zająć się handlem drewnem. Poznałem wspaniałego człowieka, Maorysa nazwiskiem Terou Tow-Faray. W jego ojczystym języku to znaczy Gminny Dom Lat. Jakie nieciekawe nazwiska mamy my, Brytyjczycy, w porównaniu z nimi! Wydaje mi się, że mogłaby to być linijka z jakiegoś wiersza. Tow-Faray to szlachetny dzikus pierwszej klasy & szybko się zaprzyjaźniamy. Wyznaję, że ponowne przebywanie wśród ludzi podnosi mnie na duchu. Twój &c

CROSBIE WELLS

Zachodnie Canterbury, sierpień 1865

Szanowny panie,

przeczytałem w gazetach, że Westland ma dostać mandat w parlamencie & że to ty ubiegasz się o niego. Z dumą muszę powiedzieć, że mam teraz prawo głosu, szanowny panie, albowiem mój domek w Dolinie Arahura nie jest wynajęty, lecz należy do mnie & jak wiesz, jeśli człowiek posiada ziemię, może głosować. Oddam swój głos na ciebie & wypiję za twój sukces. Tymczasem dni mijają mi na ścinaniu drzew totara tysiącami uderzeń mojego skromnego topora. Ty jesteś ziemianinem, panie, masz Dom Glenów w Londynie, a jak przypuszczam, też jakieś wyborcze mieszkanie w pięknym Akaroa, ja jednak nigdy dotąd nie byłem właścicielem ani skrawka ziemi. Formalnie, choć nie faktycznie jestem z panią Wells od blisko trzech lat, ale przez cały ten czas pracowałem na złotodajnych polach & nie miałem stałego adresu, a ona mieszkała w mieście. Chociaż obecna samotność bardzo mi odpowiada, nie jestem przyzwyczajony do życia w jednym miejscu. Może się spotkamy albo zobaczymy, kiedy przyjedziesz do Hokitika w czasie kampanii wyborczej. Nie obawiaj się, że cię skrzywdzę albo wyjawię tajemnicę grzechu naszego ojca. Nie powiedziałem o tym nikomu, tylko pozostającej ze mną w separacji żonie, lecz ona ma taki charakter, że traci zainteresowanie każdą nowiną, jeśli nie może wyciągnąć z niej korzyści dla siebie. Nie bój się mnie. Wystarczy, że przyślesz mi w liście wysłanym na adres zwrotny znak X. Jeśli tak uczynisz, będę wiedział, że nie chcesz się ze mną spotkać & powinienem trzymać się od ciebie z daleka & przestać pisać & rozmyślać o tobie. Zastosuję się do tego z przyjemnością, bo pozostaję wielce ci oddany

CROSBIE WELLS

Zachodnie Canterbury, październik 1865

Szanowny panie,

nie otrzymałem listu ze znakiem X, za co dziękuję. Dziś twoje milczenie dodaje mi otuchy, choć wcześniej mnie smuciło. Jak zawsze pozostaję twój

CROSBIE WELLS

Zachodnie Canterbury, grudzień 1865

Szanowny panie,

zauważyłem w „Czasie Zachodniego Wybrzeża”, że zamierzasz podróżować do Hokitika lądem & będziesz przejeżdżać przez Dolinę Arahura, chyba że celowo wybierzesz raczej jakąś okrężną drogę. Mam prawo głosu i jako wyborca byłbym zaszczycony, mogąc powitać polityka w moim skromnym domu. Opiszę ci go, żebyś mógł mnie odwiedzić albo ominąć moją posiadłość, jak będziesz sobie życzył. Dom jest kryty blachą & stoi trzydzieści jardów od brzegu rzeki Arahura, po stronie południowej, na polance, a tartak zbudowałem jakieś dwadzieścia jardów dalej na południowy wschód. Dom jest niewielki, z oknem & kominem z wypalanej cegły. Poza tym wygląda zwyczajnie. Może zobaczę, jak przejeżdżasz, nawet jeśli się nie zatrzymasz. Nie będę się ciebie spodziewał ani miał choćby nadziei na spotkanie, ale życzę ci przyjemnej podróży na zachód i zwycięskiej kampanii wyborczej, i zapewniam, że pozostaję z największym podziwem

CROSBIE WELLS

Był to ostatni list, sprzed ponad dwóch miesięcy – i został napisany na niecały miesiąc przed śmiercią Wellsa.

Moody odrzucił kartkę i chwilę siedział bez ruchu. Zazwyczaj nie palił w samotności, rzadko miewał więc przy sobie tytoń, teraz jednak bardzo chciał się zająć jakąś kompulsywną i powtarzalną czynnością. Zastanawiał się zatem przez chwilę, czy nie zadzwonić na służbę i nie kazać sobie przynieść papierosa lub cygara. Nie mógł jednak znieść myśli o rozmowie z kimkolwiek, nawet gdyby miała się ograniczyć do wydania komuś polecenia, zadowolił się więc ponownym przetasowaniem listów i uszeregowaniem ich w pierwotnej kolejności. Najnowszy list położył z powrotem na wierzchu.

Z wielokrotnie powtarzanych aluzji do milczenia Lauderbacka było jasne, że polityk nie odpowiedział na ani jeden list od swojego przyrodniego brata z nieprawego łoża, czyli od „kurwiego syna” swojego ojca. Alistair Lauderback milczał przez trzynaście lat! Moody pokręcił głową. Trzynaście lat! Mimo że listy Crosbiego były takie tęskne i szczere, mimo że bastard tak bardzo pragnął poznać swego brata i chociaż raz go zobaczyć. Co szkodziłoby Lauderbackowi – czciogodnemu Lauderbackowi – napisać do niego w odpowiedzi kilka słów? Wysłać bratu banknot, by biedaczysko mógł kupić bilet do domu? Nie odpowiadając ani razu, polityk zachował się wyjątkowo gruboskórnie! A jednak (przyznał Moody) przechowywał listy Wellsa. Zatrzymał je i czytał wielokrotnie, bo najstarsze z nich były już bardzo pomięte, jako że składano je i rozkładano wiele razy. No i Lauderback pojechał wszak do domku Crosbiego Wellsa w Dolinie Arahura – przybył jednak o pół godziny za późno.

Wtedy Moody przypomniał sobie coś jeszcze. Lauderback wziął sobie Lydię Wells na kochankę! Zrobił kochankę z żony swojego brata!

– Ten człowiek nie ma sumienia – powiedział Moody na głos.

Zerwał się i zaczął krążyć po pokoju. To niebywale gruboskórne! Nieludzkie! Zaczął kalkulować w myślach. Crosbie Wells bawił na polach w Dunstan i w Kawarau... i przez cały ten czas jego brat, z którym tak chciał się spotkać, przebywał w Dunedin, gdzie przyprawiał mu rogi! Czy Lauderback naprawdę nie zdawał sobie sprawy, że Lydia jest związana z jego przyrodnim bratem? Było to raczej mało prawdopodobne, bo nosiła przecież nazwisko męża!

Moody się zatrzymał. Nie, pomyślał. Lauderback wyraźnie powiedział Balfourowi, że przez cały czas swojego związku z Lydią nie wiedział, że jest mężatką. Kiedy się spotykali, używała panińskiego nazwiska: Greenway. Dopiero kiedy Francis Carver wyszedł z więzienia – i zaczął używać nazwiska Wells – Lauderback odkrył, że Lydia jest zamężna, nazywa się Lydia Wells, on zaś, Lauderback, przyprawiał rogi jej mężowi. Moody zaczął przeglądać stos listów, aż w końcu znalazł ten z sierpnia minionego roku. Tak: Crosbie Wells bardzo jasno dał bratu do zrozumienia, że powiedział żonie o swoim nieślubnym pochodzeniu. A zatem Lydia Wells od samego początku romansu z Lauderbackiem wiedziała, że polityk ma brata z nieprawego łoża – a co więcej, wiedziała, że jest to dla Lauderbacka niezwykle bolesna i intymna sprawa, nie odpowiadał bowiem na listy Crosbiego i nie odpisał mu ani

razu. Być może, pomyślał Moody, Lydia sama odszukała Lauderbacka właśnie z zamiarem wykorzystania tej wiedzy.

Ależ ta kobieta to po prostu pasożyt i nic więcej! Chciała wykorzystać obu braci... Zniszczyć ich! Bo teraz jeszcze jedno stało się oczywiste: majątek, z którego powodu Lauderback był szantażowany, wcale nie pochodził z działki Carvera. Cała ta kwota została ukradziona Crosbiemu Wellsowi – to on natrafił na złotą żyłę na polach w Dunstan, o czym świadczyły jego listy! A zatem Lydia Wells zdradziła tajemnicę Wellsa Francisowi Carverowi, z którego pomocą postanowiła później ukraść złoto Wellsowi i zaszantażować Lauderbacka, aby oboje mogli się wzbogacić, a także zostać dumnymi posiadaczami barku „Z Bogiem”. Lauderback najwyraźniej wstydził się brata z nieprawego łoża, o czym pani Wells jako jego kochanka musiała wiedzieć z pierwszej ręki – i najwyraźniej opracowała plan, polegający na wykorzystaniu wstydu polityka jako punktu oparcia.

Wtem serce zabiło Moody’emu mocniej. To był ten fingiel – poufna informacja, dzięki której Francis Carver mógł szantażować Lauderbacka i zapewnić sobie jego milczenie w kwestii sprzedaży „Z Bogiem”. Carver używał bowiem nazwiska Wells, a to kazało Lauderbackowi podejrzewać, że on i Crosbie są braćmi: „kurwimi synami”, wychowanymi w tym samym burdelu... Urodzonymi, być może, przez tę samą matkę! Wells przyjął cudze nazwisko i wcale nie było nieprawdopodobne, że ma jeszcze jakieś rodzeństwo ze strony matki, skoro była prostytutką. Doskonały sposób gry na uczuciach Lauderbacka i zmuszenia go do wyłożenia kart!

Crosbie Lauderback, pomyślał nagle Moody, odczuwając przypływ empatii do odludka. Wyobraził sobie, jak Wells umiera w swoim domku w Arahura, trzymając w ręce pustą butelkę, z głową wspartą na stole, z zamkniętymi oczami. Okrutne jest koło fortuny... Jakie stalowe serce musiał mieć Lauderback, by zachowywać milczenie w obliczu tych emocjonalnych próśb Wellsa! I jakie to żalosne, że Crosbie Wells obserwował potem przez ponad dziesięć lat, jak jego brat robi karierę, przechodząc z Rady Prowincji aż do parlamentu krajowego, podczas gdy on męczył się samotnie, w wilgoci i na mrozie.

A jednak Moody nie potrafił całkowicie potępić Lauderbacka. W końcu jednak odwiedził przyrodniego brata... chociaż nie wiadomo, z jakim zamiarem. Być może chciał jakoś nadrobić trzynaście lat milczenia. Może chciał go przeprosić albo po prostu zobaczyć, wypowiedzieć jego imię i uścisnąć mu dłoń.

Moody miał łzy w oczach. Zaklął, chociaż bez przekonania, i dość mocno potarł twarz grzbietem dłoni, odczuwając gorzkie powinowactwo z tym odludkiem, człowiekiem, którego nigdy nie widział i nigdy nie miał już poznać. Istniało bowiem pewne straszliwe podobieństwo między położeniem Crosbiego Wellsa i Moody’ego. Obaj zostali porzuceni przez swoich ojców, a poza tym Crosbie Wells wyjechał na południową półkulę w poszukiwaniu brata, podobnie jak Moody – i został tu wzgardzony, zrujnowany i skazany na samotną śmierć.

Moody wygładził brzegi listów, które trzymał w ręku. Powinien był zadzwonić na pokojówkę już godzinę temu i zażądać, aby usunięto ten kufer z jego pokoju – jeśli będzie zwlekał dłużej, wzbudzi podejrzenia. Zastanawiał się, co powinien zrobić. Nie miał czasu, żeby przepisać całą korespondencję. Czy powinien włożyć listy z powrotem za podszewkę kufra? Czy powinien je ukraść? Przekazać je odpowiednim władzom w Hokitika? Z pewnością są istotne dla sprawy, a gdyby wezwano do niej sędziego Sądu Najwyższego, stałyby się bardzo cenne.

Przeszedł przez pokój, usiadł na łóżku i zaczął się zastanawiać. Mógł wysłać te listy Löwenthalowi i kazać mu je opublikować co do jednego, po kolei i w całości, w „Czasie Zachodniego Wybrzeża”. Mógł je także wysłać do George’a Shepada, naczelnika więzienia, błagając go o radę. Mógł je pokazać w zaufaniu swojemu przyjacielowi, Gascoigne’owi. Mógł wezwać dwunastu mężczyzn z hotelu Korona i poprosić ich o opinię w tej sprawie. Mógł wysłać listy do komisarza, sprawującego nadzór nad kopalniami złota – albo jeszcze lepiej, do miejscowego sądu. Tylko po co? Co by z tego wyniknęło? Kto by skorzystał na tej informacji? Postukał czubkami palców jednej ręki o opuszki palców drugiej i westchnął.

W końcu pozbierał listy, związał je sznurkiem na kokardkę, dokładnie tak samo jak przedtem, i włożył za podszewkę kufra. Wcisnął stalowy pręt w klamrę, wytarł wieko i odsunął się, by sprawdzić, czy wszystko wygląda tak, jak kiedy zobaczył kufer po raz pierwszy. Potem włożył kapelusz i płaszcz – jak gdyby dopiero co wrócił do domu z jadłodajni Maxwella – i zadzwonił na służbę. Gdy pokojówka w końcu przyczłapała na górę, adwokat tonem wielkiego zniecierpliwienia powiedział, że dostarczono mu niewłaściwy kufer. Pozwolił go sobie otworzyć i przeczytał nazwisko na spodzie pokrywy: kufer należy do pana Alistaira Lauderbacka, nieznanego mu człowieka, który z pewnością nie mieszka w hotelu Korona i nosi nazwisko zupełnie niepodobne do nazwiska Moody. Należy przypuszczać, że jego kufer dostarczono do hotelu pana Lauderbacka – chociaż on, Moody, nie wie, gdzie to jest. Zamierza spędzić popołudnie w sali bilardowej na ulicy Stafforda i oczekuje, że podczas jego nieobecności w hotelu błąd zostanie naprawiony, jest bowiem sprawą najwyższej wagi, aby jak najszybciej odzyskał swoją własność – zamierza iść na wieczór pełen „napojów i hipotez” do Fortuny Wędrowca i pragnie to uczynić w odpowiednim stroju. Przed wyjściem z pokoju Moody dodał jeszcze, że jest szalenie niezadowolony.

MIESIĄC BEZ KSIĘŻYCA

Rozdział, w którym Fortuna Wędrowca wreszcie otwiera się dla publiczności

Szyld wiszący nad wejściem do Fortuny Wędrowca został przemalowany – teraz dziarski młodzieniec z tłumoczką wędrował pod rozgwieżdżonym niebem. Jeśli gwiazdy tworzyły jakąś konstelację nad głową namalowanej postaci, to Mannering jej nie rozpoznał. Zerknął w górę na szyld tylko na chwilę, kiedy wchodził po schodach na werandę, zauważając w trakcie tej czynności, że kołatka została wypolerowana, okna umyte, wycieraczka wymieniona na nową, a przy drzwiach widniała nowa wizytówka:

PANI LYDIA WELLS, MEDIUM, SPIRYTYSTKA UJAWNIA TAJEMNICE, PRZEPOWIADA PRZYSZŁOŚĆ

Kiedy zapukał, usłyszał kobiece głosy, a potem szybkie kroki – ktoś wchodził po schodach na górę. Czekał w nadziei, że przyjmie go Anna.

Rozległ się brzęk zdejmowanego łańcucha. Mannering dotknął palcami węzła fontazia pod szyją i wyprostował się, patrząc na swoje słabe odbicie w szybie.

Drzwi się otworzyły.

– Dick Mannering!

Mannering był rozczarowany, ale nie dał tego po sobie poznać.

– Pani Wells! – zawołał. – Dobry wieczór, słowo daję.

– Mam nadzieję, że będzie dobry. Ale jest jeszcze wcześnie. – Lydia uśmiechnęła się. – Spodziewałabym się, że kto jak kto, ale pan wie, że przyjść przed czasem na przyjęcie to okropna gafa. Jak nazwałaby to moja matka? Barbarzyństwem.

– Czy przyszedłem za wcześnie? – spytał Mannering, sięgając do kieszonki po zegarek i udając zdziwienie. Doskonale wiedział, że stawił się przed czasem: chciał się pojawić przed innymi gośćmi, żeby mieć okazję porozmawiać z Anną sam na sam. – Och tak... patrzcie tylko – dodał, przyglądając się spod zmrużonych powiek zegarkowi. Wzruszył ramionami i wcisnął go z powrotem do kieszonki kamizelki. – Widocznie zapomniałem go nakręcić dziś rano. No cóż, ale już jestem... I pani też. Ubrana uroczyście. Bardzo pięknie, naprawdę bardzo pięknie.

Była w żałobie, chociaż jej strój został „upiększony”, jak mogłaby to określić, na wiele różnych sposobów, a upiększenia te stały w niejkiej sprzeczności z ponurą czernią sukni. Stanik miała haftowany lśniącą nitką w pnącza i róże, a na jej piersi pomrukiwały i połyskiwały ozdobne desenie. Jedną czarną różę nosiła też przyczepioną do czarnej opaski,

wsuniętej niczym mankiet na pulchne, białe przedramię, a drugą we włosach za uchem.

Nadal się uśmiechała.

– I co ja mam teraz zrobić? – zapytała. – Postawił mnie pan w okropnej sytuacji, panie Mannering. Nie mogę pana zaprosić, bo gdybym to uczyniła, to zachęciłabym go tylko do tego, żeby przychodzić przed czasem przy innych okazjach, wkrótce więc zaczęłyby pan sprawiać podobne kłopoty ludziom z towarzystwa w całym mieście. Nie mogę też jednak po prostu wyrzucić pana na ulicę, bo wtedy oboje zasłużymy na miano barbarzyńców. Pan za swoje zuchwalstwo, ja zaś za niegościnnność.

– Wydaje mi się, że jest trzecie wyjście – powiedział Mannering. – Niech pani pozwoli mi przez całą noc stać na progu, dopóki będzie się pani zastanawiać, a kiedy już się pani zdecyduje, okaże się, że jednak przyszedłem na czas.

– To kolejne barbarzyństwo – rzekła pani Wells. – Pańska popędliwość.

– Nie widziała mnie jeszcze pani w gniewie, pani Wells.

– Nie?

– Nigdy. Przy pani zawsze zachowuję się jak człowiek cywilizowany.

– Ciekawe, przy kim zachowuje się pan jak dzikus.

– To nie jest istotne – rzekł Mannering. – Ważne jest to, jak daleko mogę się posunąć.

Zapadła krótka cisza.

– Jakże wspaniale musiał się pan czuć – powiedziała po chwili pani Wells.

– Kiedy?

– Przed chwilą – odparła Lydia. – Kiedy pan to powiedział. Na pewno czuł się pan wspaniale.

– Ma pani pewien styl, pani Wells. Zapomniałem o tym.

– Mam styl?

– Tak... Specyficzny. – Mannering sięgnął do kieszeni. – Oto opłata za wstęp. Nawiasem mówiąc, to rozbój w biały dzień. Nie można żądać trzech szylingów za wieczór w Hokitika, nawet gdyby wywoływała pani ducha Heleny Trojańskiej. Klienci tego nie zaakceptują, chociaż nie powinienem udzielać pani rad. Poczynając od dzisiaj, zaczynamy ze sobą rywalizować. Niech pani nie myśli, że nie wiem, o co chodzi: gdy chłopcy zaczną w sobotnie wieczory wywracać kieszenie, na placu boju pozostanie w końcu tylko Opera Księcia Walii albo Fortuna Wędrowca. Należę do ludzi, którzy zauważają swoich rywali, i przyszedłem tu dzisiaj, żeby się pani przyjrzeć.

– Kobieta lubi, gdy ktoś się jej przygląda – odrzekła pani Wells. Przyjęła pieniądze, a potem szeroko otworzyła drzwi. – W każdym razie jest pan beczelnym kłamcą – dodała, gdy

Mannering wszedł na korytarz. – Gdyby zapomniał pan nakręcić zegarek, nie przyszedłby pan za wcześnie, tylko by się pan spóźnił.

Zamknęła drzwi na łańcuch.

– Chodzi pani w żałobie – zauważył Mannering.

– Naturalnie – odparła. – Niedawno owdowiałam.

– Coś pani powiem. Duchy nie widzą czerni. Założę się, że nie wiedziała pani o tym. Na pewno nie! Właśnie dlatego na pogrzeby ubieramy się na czarno. Gdybyśmy wkładali kolorowe stroje, przyciągalibyśmy uwagę umarłych, a w czerni duchy nie mogą nas zauważyć.

– Cóż za czarujące głupstwo – powiedziała pani Wells.

– A wie pani, co to znaczy? To znaczy, że pan Staines nie będzie mógł pani zobaczyć. Nie w tej sukni. Dla niego pozostanie pani całkiem niewidzialna.

Roześmiała się.

– Ojej. No, ale chyba już nic się nie da zrobić. Teraz jest już za późno. Będę musiała odwołać całe przyjęcie.

– A Anna? – spytał Mannering. – W jakich kolorach wystąpi dzisiaj wieczorem?

– Prawdę mówiąc, w czerni, albowiem i ona nosi żałobę – odparła pani Wells.

– W takim razie już po pani – odpowiedział Mannering. – I po tym całym pani przedsięwzięciu. A wszystko z powodu sukni. To jak nasypać piasku w tryby maszyny. Przegra pani z powodu własnych sukien!

Pani Wells już się nie uśmiechała.

– Okazuje mi pan brak szacunku, wyśmiewając oznaki mojej żałoby.

– Pani też okazuje mi brak szacunku, pani Wells.

Przez chwilę przyglądali się sobie, usiłując odczytać, co kryją ich twarze.

– Mam ogromny szacunek dla oszustów – odezwał się po chwili Mannering. – I powinienem go mieć, bo przecież sam się do nich zaliczam! Ale przepowiadanie przyszłości... To kiepskie kręactwo, pani Wells. Przykro mi to powiedzieć tak bez ogródek, ale to prawda.

Lydia nadal miała nieufną minę.

– Jak to? – spytała jednak beztrąsko.

– Bo przepowiadanie przyszłości jest zwyczajną błagą – odrzekł twardo Mannering. – Niech mi pani poda nazwisko człowieka, który będzie grał przeciwko mnie. Niech mi pani pomoże wygrać następane rozdanie w pokera. Niech mi pani wskaże zwycięzcę wyścigów w przyszłym tygodniu. Nie zrobi pani tego, prawda? Nie, bo tego pani nie potrafi.

- Widzę, że lubi pan wątpić, panie Mannering.
- Mam spore doświadczenie w tej zabawie, to dlatego.
- Tak – powiedziała wdowa, wciąż mu się przyglądając. – Pan uwielbia wątpić.
- Proszę mi wskazać zwycięzcę wyścigów w przyszłym tygodniu, a nigdy już wątpić nie będę.

– Nie potrafię.

Mannering rozłożył ręce.

– No właśnie.

– Nie potrafię, bo kiedy prosi mnie pan o coś takiego, wcale pan nie chce, abym przepowiedziała pańską przyszłość. Prosi mnie pan, bym dała panu niezaprzeczalny dowód swoich umiejętności, a tego nie mogę zrobić. Jestem wróżką, nie logikiem.

– Mimo to kiepska z pani wróżka, skoro nie wie pani, co będzie w przyszłą niedzielę.

– Jedna z pierwszych rzeczy, których trzeba się nauczyć w tym zawodzie, brzmi tak, że nic z przyszłości nie jest nieodwracalne – powiedziała pani Wells. – Powody są bardzo proste: przyszłość klienta zawsze się zmienia, gdy się ją przepowiada.

– I wzbogaca się pani za pomocą takich argumentów.

Nieznacznie uniosła głowę.

– Gdyby był pan dżokejem w przyszłotygodniowych wyścigach konnych, przyszedłby pan do mnie i chciał się dowiedzieć, czy ma pan szansę wygrać... Cóż, to byłaby inna historia. Jeślibym powiedziała, że pańskie szanse rysują się bardzo marnie, zapewne pojechałby pan słabo, bo czułby się pan zgnębiony, ale gdyby przepowiednia była dla pana przychylna, pojechałby pan pewny siebie, a zatem osiągnąłby pan dobry wynik.

– W porządku... Nie jestem dżokejem – odpowiedział Mannering. – Ale jestem graczem, który postawił pięć funtów na klacz imieniem Irlandka, taka jest prawda, i proszę panią, żebyś mi przepowiedziała przyszłość, bez względu na to, czy będzie dobra, czy zła. Co pani przewiduje?

Uśmiechnęła się.

– Wątpię, czy pański los odmieniłby się wskutek wygrania lub utraty pięciu funtów, panie Mannering. Zresztą tak czy owak wciąż szuka pan dowodów moich zdolności. Proszę wejść do salonu.

Wnętrze Fortuny Wędrowca ani trochę nie przypominało obskurnego przybytku, w którym pani Wells przyjęła trzy tygodnie temu Auberta Gascoigne'a. Zamówiła nowe zasłony, meble i kilkadziesiąt rolek tapety w przykuwające uwagę cierniste róże. Na ścianach powiesiła wiele grafik za szkłem, kazała pomalować schody, umyć okna i wytapetować oba frontowe

pokoje. Znalazła pulpit, gdzie mogła położyć swój almanach, oraz kilka osłoniętych szalami lamp, które poustawiała w dawnych pomieszczeniach hotelowych w taki sposób, by stworzyć bardziej tajemniczą atmosferę. Mannering otworzył usta, chcąc skomentować tę przemianę, lecz nagle zaniemówił ze zdziwienia.

– Ależ to pan Sook – powiedział po chwili. – I pan Quee!

Chińczycy odpowiedzieli mu przeciągłym spojrzeniem. Jeden siedział po lewej, a drugi po prawej stronie kominka, obaj z nogą założoną na nogę. Ich twarze pokrywała gruba warstwa szminki.

– Zna pan tych ludzi? – spytała Lydia Wells.

Mannering opamiętał się.

– Tylko z widzenia – odpowiedział. – Wie pani, prowadzę wiele interesów z Chińczykami, a twarze tych chłopców są dobrze znane w Kanierze. Jak się macie, panowie?

– Dobry wieczór – odrzekł Ah Sook, a Ah Quee nic nie odpowiedział. Właściwie nie było widać wyrazu ich twarzy pod szminką, która jakby wyolbrzymiała rysy Chińczyków, wydłużała im kąciaki oczu i podkreślała krągłość policzków.

Mannering odwrócił się do pani Wells.

– Więc i oni wezmą udział w seansie, czy tak? Zatrudnia ich pani?

– Ten przyszedł tutaj dzisiaj po południu – wyjaśniła pani Wells, wskazując Aha Sooka. – Wpadłam więc na pomysł, że jego obecność może dodać smaczku naszemu dzisiejszemu seansowi. Zgodził się i ostatecznie oddał mi jeszcze większą przysługę, bo przyprowadził kolegę. Na pewno się pan zgodzi, że dwóch Chińczyków to znacznie lepiej niż jeden. Lubię mieć w pokoju oś symetrii.

– Gdzie jest Anna? – spytał Mannering.

– Och... Na górze – odpowiedziała pani Wells. – Prawdę mówiąc, to pan podsunął mi ten pomysł, panie Mannering. Pańskie *Sensacje z Orientu*. Nic nie sprzedaje się równie dobrze, jak bilety na imprezy z orientalną nutą! Widziałam pańskie przedstawienie dwukrotnie, raz z galerii, a raz z parteru.

Mannering zmarszczył brwi.

– Kiedy zejdzie Anna?

– Dopiero gdy zacznie się seans.

Mannering drgnął.

– Co? Nie zejdzie na przyjęcie? Nie będzie jej na przyjęciu?

Pani Wells odwróciła się, by ustawić szklanki na kredensie.

– Nie.

– A to dlaczego? – spytał Mannering. – Wie pani, że wielu mężczyzn aż przebiera nogami z niecierpliwości, żeby z nią porozmawiać. Wydają swoje tygodniowe zarobki tylko po to, by dostać się za próg, a wszystko to jedynie ze względu na Annę. Byłaby pani szalona, gdyby trzymała ją pani na górze.

– Musi się przygotować do seansu. Nie mogę pozwolić, aby coś zakłóciło jej równowagę duchową.

– Koszałki-opałki – powiedział Mannering.

– Słucham? – odrzekła pani Wells, odwracając się.

– Powiedziałem, że to koszałki-opałki. Nie pozwala jej pani zejść z jakiegoś innego powodu.

– Co pan sugeruje?

– W Annie Wetherell straciłem najlepszą dziewczynę – oświadczył Mannering. – Trzymałem się od niej z daleka, z szacunku Bóg wie do czego, a teraz liczyłem na to, że będę miał okazję z nią porozmawiać. Nie ma czegoś takiego jak zachwiana równowaga duchowa, oboje o tym wiemy.

– Czuję, że muszę panu przypomnieć, że na tym polu brak panu fachowej wiedzy.

– Fachowej wiedzy! – rzekł Mannering z pogardą. – Trzy tygodnie temu Anna nie odróżniała równowagi duchowej od własnego łokcia. To bzdury, pani Wells. Proszę ją zawołać.

Pani Wells się cofnęła.

– Muszę też panu przypomnieć, panie Mannering, że jest pan gościem w moim domu.

– To nie żaden dom, tylko miejsce pracy. Zapłaciłem pani trzy szylingi, bo byłem pewny, że Anna będzie na przyjęciu.

– Prawdę mówiąc, nie dawałam takich gwarancji.

– Proszę mnie posłuchać! – powiedział Mannering, który naprawdę zaczynał wpadać w gniew. – Udzielę pani jeszcze jednej rady, pani Wells, i to za darmo. Jeśli chodzi o rozrywkę, trzeba dać publiczności dokładnie to, za co zapłaciła, bo jeżeli nie, to poniesie pani konsekwencje. Widzowie będą oburzeni. W gazecie napisano, że Anna będzie obecna.

– W gazecie napisano, że będzie obecna na seansie jako moja asystentka.

– Co pani na nią ma?

– Naprawdę nie rozumiem, o co panu chodzi.

– Dlaczego się na to zgodziła? Zostać na górze... sama i w ciemności?

Pani Wells puściła to pytanie mimo uszu.

– Panna Wetherell uczyła się stawiać tarota, w której to sztuce wykazała się niejaką biegłością. Kiedy uznam, że osiągnęła w niej mistrzostwo, zacznę ogłaszać swoje usługi w „Czasie Zachodniego Wybrzeża” i wtedy będzie pan u nas mile widziany, podobnie jak wszyscy mieszkańcy Hokitika. Wówczas będzie mógł pan się z nią umówić.

– I słono zapłacę za ten przywilej, czy tak?

– Ależ oczywiście – odparła pani Wells. – Ciekawe, że spodziewał się pan czegoś innego.

Ah Sook popatrzył na panią Wells, na Aha Quee’ego i na Manneringa.

– To oburzające – rzekł Mannering.

– Może już nie chce pan wziąć udziału w przyjęciu – zasugerowała pani Wells. – Jeśli tak, wystarczy, że mi pan o tym powie, a zwrócę panu pieniądze za wstęp.

– Jaki ma pani w tym cel? Po co ją trzymać na górze?

– Niech pan da spokój, panie Mannering! – Wdowa zaśmiała się. – Jak już pan zauważył, pracujemy w tej samej branży. Chyba nie muszę panu tego tłumaczyć.

– Nie, proszę to wytłumaczyć – powiedział Mannering. – No, dalej. Proszę.

Pani Wells jednak niczego mu nie wytłumaczyła. Przez chwilę patrzyła na niego, a potem zapytała:

– Po co przyszedł pan na to przyjęcie?

– Żeby porozmawiać z Anną. I ocenić moją rywalkę. Panią.

– Pierwszego ze swoich zamiarów pan nie zrealizuje, jak już wyjaśniłam, drugi zaś niewątpliwie już pan zrealizował. A skoro tak, to nie widzę powodów, by miał pan tutaj zostać.

– Zostanę – rzekł Mannering.

– Dlaczego?

– Żeby mieć na panią oko.

– Rozumiem. – Pani Wells spojrzała na niego. – Wydaje mi się, że jest jeszcze jeden powód, dla którego postanowił pan przyjść na dzisiejsze przyjęcie. Powód, którego mi pan dotąd nie podał.

– Ach tak? A jakież to powód? – spytał Mannering.

– Obawiam się, że mogę tylko zgadywać.

– No to już, niechaj pani zgaduje. To pani specjalność, prawda? Proszę przepowiedzieć moją przyszłość.

Lydia przechyliła głowę na bok, mierząc go spojrzeniem, a potem powiedziała nagle zdecydowanym tonem:

– Nie. Wydaje mi się, że tym razem zachowam swoją przepowiednię dla siebie.

Mannering zachwiał się na nogach, a pani Wells po chwili roześmiała się dźwięcznie i wyprostowała, krzyżując ręce na piersiach. Przeprosiła Manneringa, tłumacząc, że wynajęła dwie barmanki z Gwiazdy Orderu Podwiązki, aby usługiwały gościom tego wieczoru, ale dziewczyny nie zostały jeszcze odpowiednio poinstruowane. Są w kuchni, wykazały się wielką cierpliwością i pani Wells nie może ścierpieć, aby czekały na nią choć chwilę dłużej. Poprosiła Manneringa, żeby nalał sobie drinka z karafki na kredensie i się rozgościł, po czym wyszła z pokoju, pozostawiając bogacza, który czerwony na twarzy, patrzył za oddalającą się gospodynią.

Kiedy zamknęły się za nią drzwi, Mannering przypuścił atak na Aha Sooka.

– No, a co ty powiesz, co?

– Przyszedłem zobaczyć Emery’ego Stainesa.

– Pewnie masz do niego parę pytań.

– Tak.

– Do żywego albo umarłego – powiedział Mannering. – Wszystko jedno, prawda, panie Sook? Na tym etapie to już wszystko jedno.

Począł do kredensu i nalał sobie naprawdę mocnego drinka.

Φ

W Katolickim Towarzystwie Ubezpieczeniowym, mieszczącym się na ulicy Collingwooda, pani Wells wynajęła dwuosobowy zespół, złożony ze skrzypka i flecisty. Muzycy przyjechali nieco przed siódmą z instrumentami owiniętymi w aksamit, a wdowa skierowała ich na koniec korytarza, gdzie ustawiono dwa krzesła, przodem do drzwi. Skrzypek i flecista znali tylko skoczne melodie, jak gigi i hornpipy, ale pani Wells rozpromieniła się na myśl, że mogliby odegrać swój repertuar na cztery albo tak wolno, jak pozwoli im na to oddech i zgranie, by mogli się lepiej dostroić do atmosfery wieczoru. Grali więc powoli; gigi brzmiały złowrogo, a hornpipy zrobiły się smutne. Nawet Mannering, którego zły nastrój nie poprawił się po podwójnym brandy i radosnych zabiegach ze strony barmanek z Gwiazdy Orderu Podwiązki, musiał przyznać, że efekt był zdumiewający. Kiedy do drzwi zapukali pierwsi goście, muzycy grali właśnie *Sześć pensów gotówki* w boleśnie ślimaczym tempie, które nie nastrajało do tańca i świętowania, lecz kojarzyło się raczej z pogrzebami, chorobą i bardzo niepomyślnymi wiadomościami.

Do ósmej wieczorem dawny hotel zapełnił się już po brzegi, a powietrze było gęste od dymu.

– Widział pan kiedyś sztukmistrza na targowisku? Widział pan człowieka grającego w trzy kubki? No cóż, wszystko to jest sztuka odwracania uwagi, panie Frost. Tacy ludzie mają na to swoje sposoby. Ktoś opowiada żart, rozlega się jakiś hałas albo dzieje się coś nieoczekiwanego, a kiedy odwraca pan głowę, tamci podmieniają kubki, podrzucają kulkę do jednego z nich, wyjmują ją z niego albo coś w tym rodzaju. Nie muszę panu mówić, że nic tak nie rozprasza uwagi mężczyzny jak kobieta, a dzisiaj będzie pan miał do czynienia aż z dwiema.

Frost spojrział z zakłopotaniem na Pritcharda, a potem odwrócił wzrok: bał się trochę aptekarza i nie podobało mu się, że ten tak góruje nad nim wzrostem. A Pritchard stał teraz na tyle blisko niego, że kiedy się odzywał, Frost czuł na sobie jego ciepły oddech.

– To co mam robić, żeby się nie dać nabrać? – zapytał.

– Niech pan ma oczy otwarte – odpowiedział Pritchard. – Nilssen obserwuje Annę, a pan powinien obserwować wdowę, rozumie pan? Niech pan nie spuszcza oka z Lydii Wells, bez względu na to, co się będzie działo. Jeżeli poprosi pana, jak to się często zdarza, żeby pan zamknął oczy albo patrzył w inną stronę, niech pan tego nie robi.

Frost odczuł ukłucie irytacji na te słowa. Zastanawiał się, jakie prawo ma Joseph Pritchard do tego, żeby rozdzielać obowiązki innym gościom na seansie, na który nawet nie dostał zaproszenia. I dlaczego to jemu przydzielił wdowę, a Nilssenowi Annę? Nie zgłosił jednak tych wątpliwości na głos, bo właśnie zbliżała się do nich barmanka z karafką na tacy. Obaj panowie napełnili szklanki, podziękowali i patrzyli, jak dziewczyna lawiruje dalej wśród gości.

Kiedy tylko odeszła, Pritchard zaczął na nowo z takim samym zapałem jak poprzednio.

– Staines musi się gdzieś znaleźć – powiedział z uporem. – Człowiek nie może tak po prostu zniknąć bez śladu. Co wiemy na pewno? Uporządkujmy nasze wiadomości. Anna była ostatnią osobą, która widziała Stainesa żywego. Wiemy, że kłamała na temat tego opium, mówiąc, że sama wypaliła owe pół uncji, bo osobiście widziałem, że łąże bez zmruczenia oka. Teraz zaś dowiadujemy się, że będzie usiłowała przyzwać Stainesa z zaświatów.

Frostowi przyszło nagle do głowy, że surdut Pritcharda bardzo źle na nim leży i że aptekarz ma niewyprasowany krawat, a jego koszula już niemal się przeciera. No, pomyślał Frost, i chyba musi mieć bardzo tępą brzytwę, skoro ogolił się tak niedokładnie, że na jego twarzy widać tu i ówdzie płatki zarostu. Te krytyczne uwagi, wygłoszone w duchu, nieoczekiwanie dodały mu pewności siebie.

– Nie bardzo pan ufa Annie, co, panie Pritchard?

Pritchard zrobił taką minę, jak gdyby zaskoczyła go ta teza.

– Jest dość powodów, żeby jej nie ufać – odparł zimno. – Jak już przed chwilą panu wyliczyłem.

– Ale tak osobiście – odpowiedział Frost. – Jako kobiecie. Tuszę, że nie ma pan wysokiego mniemania o jej uczciwości.

– Mówisz pan o uczciwości kurwy! – wybuchnął Pritchard, chociaż nie kontynuował tej myśli.

– Jestem ciekawy, co pan o niej sądzi, to wszystko – dodał Frost.

Pritchard spoglądał na niego tępym wzrokiem.

– Nie – odezwał się w końcu. – Nie ufam Annie. Nie ufam jej ani trochę. Nawet nie jestem w niej zakochany. Chciałbym być. Czy to nie dziwne? Chciałbym się w niej kochać.

Frost zmieszał się.

– To raczej nie jest warte trzech szylingów, co? – zapytał, mając na myśli przyjęcie. – Muszę powiedzieć, że spodziewałem się czegoś więcej.

Pritchard też sprawiał wrażenie zakłopotanego.

– Niech pan tylko pamięta, żeby podczas seansu trzymać oczy otwarte i obserwować panią Wells.

Odwrócili się od siebie, udając, że przypatrują się twarzom licznych gości, i przez chwilę obaj mieli identyczny wyraz twarzy. Przybrali zdystansowaną, nieco rozczarowaną minę człowieka, który krytycznie porównuje rozgrywające się wokół niego widowisko do innych, zarówno realnych, jak i wymyślonych przedstawień, odegranych i odgrywanych gdzie indziej.

Φ

– Panie Balfour, czy mogę porozmawiać z panem chwilę na osobności?

Balfour podniósł wzrok. Stał przed nim Harald Nilssen, jak zwykle wymuskany, w eleganckiej, granatowej kamizelce. Agent spedycyjny ujrzał na jego twarzy zastygły grymas, świadczący o tym, że postanowił zadać mu trudne pytanie, i poczuł ciężar w piersi.

– Oczywiście... Naturalnie, naturalnie – odpowiedział. – Może pan ze mną porozmawiać! Oczywiście, że tak! Ma się rozumieć!

Jak głupio zachowują się ludzie, pomyślał, kiedy wiedzą, że za chwilę zostaną upokorzeni. Ruszył za Nilssenem przez tłum.

Kiedy już nikt w salonie nie mógł ich usłyszeć, Nilssen przystanął raptownie.

– Przejdę od razu do rzeczy – powiedział, odwracając się na pięcie.

– Tak – odrzekł Balfour. – Od razu do rzeczy. Tak zawsze jest najlepiej. Jak się panu podoba na przyjęciu?

Z bawialni dobiegł wybuch śmiechu, a potem pisk jakiejś oburzonej kobiety.

– Bardzo – odpowiedział Nilssen.

– Ale nie ma ani śladu Anny.

– Nie.

– No i te trzy szylingi – stwierdził Balfour. – Co to za cena! Za takie pieniądze powinniśmy wypić, ile się da. Czyż nie? – Zajrzał do swojej szklanki.

– Przejdę od razu do rzeczy – powtórzył Nilssen.

– Tak – odrzekł Balfour. – Proszę.

– Pan Lauderback dowiedział się jakimś sposobem o mojej prowizji – zaczął Nilssen. – Jutro wydrukuję w gazecie list na ten temat. Wiesz tam psy na Shepardzie i tak dalej. Ale ja tego listu jeszcze nie widziałem.

– Ojej – powiedział Balfour. – Ojej... Tak, rozumiem. Rozumiem. – Zaczął energicznie kiwać głową, nie patrząc jednak przy tym na Nilssena. Stali niemal ramię przy ramieniu, Nilssen przemawiał więc do wiszącej w ramach na ścianie grafiki, a Balfour do boazerii.

– Naczelnik Shepard napisał odpowiedź – ciągnął Nilssen, wciąż zwracając się do grafiki – która ma się ukazać jutro pod listem Lauderbacka. I tę odpowiedź czytałem, bo Shepard przesłał mi ją dzisiaj po południu.

Streścił zwięźle replikę naczelnika, a wtedy niepokój Balfoura rozpląnął się na chwilę w czystym zdumieniu.

– No cóż, jestem wstrząśnięty – powiedział, po raz pierwszy patrząc Nilssenowi prosto w oczy. – To naprawdę jadowita bestia. Trudno mi sobie wyobrazić, że naczelnik Shepard mógłby zrobić coś takiego. Powiedzieć, że to wszystko odbyło się z pańskiej inicjatywy... I że ta inwestycja to niby dotacja! Jestem wstrząśnięty! Przyparł pana do muru, co? Ależ z niego pewny siebie diabeł! Co za żmija!

– Czy to pan powiedział panu Lauderbackowi o mojej prowizji? – zapytał Nilssen.

– Nie! – odpowiedział Balfour.

– Nie wspomniał pan o niej nawet mimochodem?

– Nie! – odpowiedział Balfour. – Ani trochę!

– W porządku – odparł ciężko Nilssen. – Dzięki. Przepraszam, że zawracałem panu głowę. Pewnie powiedział mu o tym ktoś inny z naszego grona.

Balfour drgnął.

– Z naszego grona? Chodzi panu o jednego z uczestników spotkania w hotelu Korona?

– Tak – odparł Nilssen. – Ktoś musiał złamać przysięgę. Bo ja na pewno nie powiedziałem panu Lauderbackowi ani słowa i jestem pewien, że nikt poza naszą zaprzysiężoną dwunastką nic nie wie o inwestycji.

Balfour sprawiał wrażenie przerażonego.

– A pański pomocnik? – zapytał.

Nilssen pokręcił głową.

– To może ktoś z banku.

– Nie. To była prywatna umowa, a Shepard ma jej jedyny egzemplarz. – Nilssen westchnął. – Niech pan posłucha – powiedział. – Przepraszam, że obciążyłem pana takim podejrzeniem... Że zapytałem o to i w pana zwątpiłem. Wiedziałem jednak, że jest pan człowiekiem Lauderbacka, i dlatego musiałem się upewnić.

– Oczywiście, że tak! Naturalnie!

Nilssen ponuro skinął głową i przez otwarte drzwi salonu zerknął na tłum gości w środku. Popatrzył na Pritcharda, górującego o głowę nad innymi mężczyznami w pokoju, na Devlina, który rozmawiał z Clinchem, na Löwenthala, rozmawiającego z Frostem, i na Manneringa, napełniającego szklankę ze stojącej na kredensie karafki i śmiejącego się beztrosko z czyjegós dowcipu.

– Niech pan uważa – powiedział nagle Balfour. – Powiedział pan, że Shepard w swoim liście wspomina o Lauderbacku i Lydii Wells.

– Tak – odparł z zakłopotaniem Nilssen. – Właściwie podał informację o ich romansie do wiadomości publicznej, stwierdzając, że Lauderback powinien powiedzieć prawdę o ich związku. To jest...

– Ale skąd, na litość boską, Shepard w ogóle wie o ich romansie? – przerwał mu Balfour. – Nie wydaje mi się, żeby Lauderback...

– To ja mu o tym powiedziałem – wybuchnął Nilssen. – Złamałem przysięgę. Och, panie Balfour... Lauderback przyparł mnie do muru... Wiedział, że coś ukrywam, a ja pękłem. Nie byłem w stanie myśleć odpowiednio szybko. Ma pan prawo być na mnie wściekły. Ma pan do tego prawo. Nie będę protestował.

– Nie ma o czym mówić – odpowiedział Balfour, któremu to wyznanie przyniosło dziwną ulgę.

– Ale teraz Lauderback będzie wiedział, że nie dochował pan jego tajemnicy – ciągnął żałośnie Nilssen. – Jutro rano wszyscy w prowincji Westland dowiedzą się, że pani Wells była kochanką polityka, który może nawet stracić mandat poselski, a wszystko to z mojej winy. Jest mi ogromnie przykro... Naprawdę, bardzo przepraszam.

– Co jeszcze mu pan powiedział? – spytał Balfour. – Powiedział mu pan o Annie? O szantażu? O sukniach?

– Nie! – odrzekł Nilssen, który wyglądał na zaszokowanego. – Nie powiedziałem mu też nic o Carverze. Powiedziałem tylko, że pani Wells była kochanką Lauderbacka, to wszystko.

Ale naczelnik Shepard powtórzył to teraz w gazecie.

– No cóż, to nic nie szkodzi – zauważył Balfour, poklepując Nilssena po ramieniu. – Nic nie szkodzi! Przecież naczelnik Shepard mógł się o tym dowiedzieć z innego źródła. Jeśli Lauderback mnie o to zapyta, odpowiem, że nigdy nie wspomniałem Shepardowi o tej sprawie, i będzie to prawda.

– Okropnie mi przykro – rzekł Nilssen.

– Nie ma się czym przejmować – powiedział Balfour, znów klepiąc go plecach. – Nie ma czym.

– No tak, to miło z pana strony, że tak pan uważa.

– Z radością panu pomogę.

– Nadal jednak nie wiem, kto wydał mnie Lauderbackowi – powiedział po chwili Nilssen. – Chyba będę musiał się rozpytywać dalej.

Westchnął i znowu się odwrócił, by przyjrzeć się twarzom gości.

– Wie pan co, panie Nilssen? – powiedział Balfour. – Coś mi przyszło do głowy. À propos... À propos... No, właściwie to à propos... niczego. Proszę posłuchać. Kiedy następnym razem dostanę jakąś robotę... Wie pan, kiedy coś wylądaje na moim biurku, chyba nie pójde do pana Cochran. Zdaje pan sobie sprawę, że on prowadzi moje interesy od dawna, ale owszem, zastanawiam się, czy nie przyszła już pora na zmiany. Założę się, że kiedy się wygrzebiemy z tej afery, wszyscy będziemy potrzebowali kogoś, na kim będziemy mogli się oprzeć. Będziemy szukać kogoś, komu możemy zaufać. Więc, jak powiadam, w przyszłości to pan będzie prowadził moje interesy.

Nie patrzył na Nilssena, tylko zaczął przeszukiwać kieszenie surduta w poszukiwaniu cygara.

– To bardzo miło z pana strony – odpowiedział Nilssen. Przyglądał się Balfourowi jeszcze przez krótką chwilę, a potem się odwrócił, powoli kiwając głową. Balfour znalazł cygaro, zsunął z niego opaskę, odgryzł czubek i włożył je do ust. Potem potarł zapalną, przechylił ją pod ostrym kątem, by płomyk się rozpałił, i przytknął go do cygara. Pyknął z niego trzy razy, wydymając policzki, a następnie zgasił zapalną, wyciągnął cygaro z ust i obrócił je, żeby tytoń zaczął się mocniej żarzyć.

Φ

– Panie Clinch.

– Tak – odrzekł Clinch. – O co chodzi?

– Mam pytanie – powiedział Tauwhare.

– No to niech pan pyta.

– Dlaczego kupił pan domek Crosbiego Wellsa?

Hotelarz stęknął.

– Tylko nie to – powiedział. – Nie rozmawiajmy na ten temat. Nie dzisiaj.

– Dlaczego?

– Po prostu daj pan spokój – warknął Clinch. – Jestem w złym humorze. Nie będę rozmawiał o cholernym Crosbie Wellsie.

Przyglądał się wdowie, która chodziła od jednego gościa do drugiego. Krynolina jej sukni była tak szeroka, że gdziekolwiek przechodziła Lydia Wells, tłum się rozstępował, a ona pozostawiała za sobą jak gdyby pusty korytarz.

– Ma okrutną twarz – zauważył Tauwhare.

– Tak – rzekł Clinch. – Mnie też się tak wydaje.

– Nie jest przyjaciółką Maorysów.

– Nie, chyba nie. Ani Chińczyków, co bardzo dobrze widać. Ani, w co nie wątpię, żadnego innego mężczyzny w tym pokoju. – Clinch opróżnił szklankę. – Jestem w złym humorze, panie Tauwhare – powtórzył. – A wie pan, co robię, jak jestem w złym humorze? Piję.

– To dobrze – rzekł Tauwhare.

Clinch sięgnął po karafkę.

– Napije się pan jeszcze?

– Tak.

Clinch napełnił dwie szklanki.

– Tak czy inaczej – powiedział, odstawiając karafkę na kredens – apelacja zostanie uwzględniona, sprzedaż unieważniona, odzyskam swoją kaucję i na tym się skończy. Domek nie będzie już należał do mnie, tylko do pani Wells.

– Dlaczego go pan kupił? – nie ustępował Tauwhare.

Clinch odetchnął ciężko.

– To nawet nie był mój pomysł – oznajmił. – To pomysł Charliego Frosta. „Kup trochę ziemi – powiedział – wtedy nikt nie będzie o nic pytał”.

Tauwhare milczał. Czekał, aż Clinch dokończy odpowiedź na jego pytanie, co ten po chwili zrobił.

– Rozumował w następujący sposób – zaczął. – Nie trzeba zezwolenia na poszukiwania, jeśli prowadzi się je na swojej ziemi. I jeśli właściciel znajdzie na niej złoto, należy ono do

niego, czyż nie? Na tym polegał ten pomysł... To znaczy jego pomysł, nie mój. Nie mogłem odnieść tych sukni do banku, nie mając zezwolenia na poszukiwanie złota. Zapytaliby mnie, skąd pochodzi kruszec, i znalazłbym się w kropce. Lecz gdybym miał własną ziemię, nikt o nic by mnie nie pytał. Wie pan, nie wiedziałem wtedy o Johnnym Quee. Myślałem, że w sukniach przez cały czas jest złoto, czysty kruszec. Dlatego zacząłem oszczędzać na wadium. Charlie powiedział, żebym poczekał, aż pojawi się na sprzedaż posiadłość po jakimś zmarłym albo aż dojdzie do podziału czyjegoś majątku. Musisz wykorzystać jedno albo drugie, powiedział, jeżeli chcesz być czysty. Więc kiedy ziemia Wellsa została wystawiona na sprzedaż, kupiłem ją od razu, myśląc, że... Sam nie wiem. Oczywiście już następnego dnia Anna wróciła do domu z więzienia w innej sukni, a potem, kiedy się wyprowadziła, odkryłem, że złoto z innych zostało ukradzione. To, co wyczuwałem w zaszewkach pod palcami, to były tylko ołowiane ciężarki. Cały plan wziął w łeb. Zostałem z ziemią, której nie chcę, i bez pieniędzy, a Anna... No cóż. Wie pan, co się z nią stało.

Tauwhare zmarszczył czoło.

– Arahura to bardzo święte miejsce... – zaczął.

– Tak, tylko że prawo jest prawem – powiedział Clinch, machając ręką, by uciszyć Maorysa. – Jeśli chce pan odkupić ten domek, to naprawdę bardzo proszę, ale nie ze mną powinien pan wtedy rozmawiać, tylko z nią.

Obaj popatrzyli na drugą stronę pokoju, na panią Wells.

– Problem z pięknymi kobietami polega na tym, że wiedzą, że są piękne, i ta wiedza czyni je pysznymi. Ja wolę kobietę, która nie zdaje sobie sprawy z własnej urody.

– Taka kobieta jest głupia – rzekł Tauwhare.

– Nie głupia – odpowiedział Clinch. – Skromna. Bezpretensjonalna.

– Nie wiem, co znaczą te słowa.

Clinch machnął ręką.

– Taka kobieta nie mówi wiele. Nie mówi o sobie. Wie, kiedy siedzieć cicho, a kiedy się odezwać.

– Jest przebiegła?

– Nie, przebiegła to nie. – Clinch pokręcił głową. – Nie jest ani przebiegła, ani głupia. Jest po prostu ostrożna i milcząca. I naiwna.

– A kim jest ta kobieta? – spytał chytrze Tauwhare.

– Nie... Nie mówię o żadnej konkretnej kobiecie – powiedział Clinch i nachmurzył się. – Mniejsza z tym.

– Czołem, Edgar. Masz chwilę?

Z tyłu podszedł do nich Löwenthal.

– Jak najbardziej – powiedział Clinch. – Przepraszam, panie Tauwhare.

Löwenthal zamrugał powiekami, bo dopiero teraz spostrzegł Tauwharego.

– Pracował pan pewnie przy wraku – powiedział. – Znalazł pan coś?

Tauwhare nie lubił, kiedy zwracano się do niego protekcjonalnie, jak do sługi, i nie potrafił wybaczyć Löwenthalowi, że tak go upokorzył wcześniej tego dnia.

– Nie – odpowiedział z pogardą. – Nic.

– Szkoda – rzekł Löwenthal, który już się odwracał.

– Co ci leży na wątrobie, Ben? – zapytał Clinch, kiedy zostali sami.

– Obawiam się, że pewne niedelikatne pytanie – odpowiedział Löwenthal. – Dotyczące dziecka Anny... Tego, które nigdy nie ujrzało światła dnia.

– W porządku – rzekł ostrożnie Clinch.

– Pamiętasz ten dzień, kiedy ją znalazłem... Po awanturze z Carverem.

– Oczywiście.

– Tego dnia Anna przyznała, że Carver był ojcem jej dziecka.

– Tak... Pamiętam.

– Chciałbym, żebyś mi powiedział, czy wtedy już o tym wiedziałeś, czy podobnie jak ja usłyszałeś o tej sprawie dopiero tamtego wieczoru – rzekł Löwenthal. – Proszę, wybac mi tę niedelikatność i zuchwałość.

Clinch milczał przez dłuższy czas.

– Nie – odparł wreszcie. – Wtedy Anna wspomniała o tym po raz pierwszy. Wcześniej nie poruszała tego tematu.

– Ale czy ty coś podejrzewałeś? – naciskał Löwenthal. – Domyślałeś się? Może sądziłeś, że to Carver jest... ach... ojcem?

Clinch wyglądał na zakłopotanego.

– Ojcem był jakiś facet z jej czasów w Dunedin – powiedział. – Wiedziałem tylko, że nie może to być nikt z Hokitika, bo wskazywał na to termin porodu.

– A Carver znał Annę z Dunedin.

– Przypląnęła tu na „Z Bogiem” – odparł krótko Clinch. – Poza tym nie umiem powiedzieć nic więcej. Do czego właściwie zmierzasz?

Löwenthal opowiedział mu, co zaszło po południu w redakcji „Czasu Zachodniego Wybrzeża”.

– Bo widzisz, może Anna nie powiedziała nam prawdy. Może usiłowała wystrychnąć nas na dudków. Oczywiście nigdy nie mieliśmy powodów, ażeby wątpić w jej słowa... Do tej pory.

Clinch popatrzył na niego spode łba.

– Ale kto to mógł być, jeśli nie Carver?

Löwenthal wyduł wargi.

– Nie wiem. Właściwie chyba każdy. Może ktoś, kogo nie znamy.

– Carver mówi jedno, a Anna drugie – powiedział rozgorączkowany Clinch. – Chyba nie stajesz po stronie Carvera z powodu jego jednej deklaracji? Każdy może zaprzeczyć, czemu tylko chce, wiesz. Zaprzeczenie nikogo nic nie kosztuje!

– Na razie nie staję po niczyjej stronie – odparł Löwenthal. – Ale naprawdę uważam, że moment, w którym doszło do tego wyznania ze strony Anny, może być istotny. Chyba tak.

Clinch zmarszczył brwi i wyciągnął rękę, żeby się pogłodzić po policzku. Kiedy to zrobił, Löwenthal poczuł woń jego wody kolońskiej i zrozumiał, że Edgar najwyraźniej zapłacił za golenie i pachnidła u fryzjera, zamiast użyć taniej pianki, którą na co dzień stosowali w większości mężczyźni w Hokitika. Ten domysł potwierdził się, kiedy Clinch odsunął dłoń i Löwenthal zobaczył czerwone ślady na podrażnionej skórze jego miękkich policzków. Dziennikarz przyjrzał się hotelarzowi od stóp do głów. Surdut Clincha był wyszczotkowany, a kołnierzyk wykrochmalony. Koszula, którą miał na sobie, wydawała się niezwykle biała, a czubki jego butów zostały świeżo poczernione. Och, ubrał się tak elegancko dla Anny, pomyślał z litością Löwenthal.

– Czyli że ujawniła tożsamość ojca dopiero po śmierci dziecka – powiedział w końcu Clinch bardzo ostrym tonem. – Oto honor dziwki i tyle.

– Może masz rację – przyznał już nieco uprzejmiej Löwenthal. – Zostawmy ten temat.

Φ

– Pan Walter Moody; pani Lydia Wells – powiedział Gascoigne. – Pan Moody przybył do Hokitika ze Szkocji, pani Wells, by zbić majątek w wąwozie. A pani Wells, jak trzeba panu wiedzieć, panie Moody, jest właścicielką tego zakładu i wielką entuzjastką zaświatów.

Lydia dygnęła pięknie, a Moody złożył jej niezbyt głęboki, lecz pełen szacunku ukłon oraz zwyczajowe wyrazy uszanowania, bardzo kwieciście dziękując gospodyni za wieczorne przyjęcie i wychwalając sposób, w jaki odnowiła stary hotel. Chociaż naprawdę się starał, jego komplementy wypadły niezwykle blado. Patrząc na Lydię, myślał wyłącznie o Lauderbacku i o Crosbiem Wellsie.

– Czy interesuje się pan okultyzmem, panie Moody? – zapytała Lydia, a Walter nie potrafił odpowiedzieć na to pytanie szczerze, nie ryzykując, że urazi wdowę.

Zastanawiał się jednak tylko przez krótką chwilę, zanim odpowiedział:

– Jest na tym świecie wiele rzeczy, które wciąż stanowią dla mnie tajemnicę, i mam nadzieję, że jestem człowiekiem obdarzonym ciekawością świata. Jeśli interesuję się tym, co na razie jest nieznaną, to tylko dlatego, że z czasem zdołamy poznać nowe prawdy. Czyli mówiąc prościej, dlatego że z czasem może mnie uda się je poznać.

– Widzę, że całkowicie swobodnie posługuje się pan czasownikiem „poznać” – odparła wdowa. – Co dla pana znaczy „poznać” coś, panie Moody? Sądząc po pańskim sposobie wyrażania się, mniemam, że pokłada pan spore zaufanie w wiedzy.

Moody uśmiechnął się.

– No cóż – odrzekł. – Wydaje mi się, że poznać coś znaczy widzieć to coś ze wszystkich stron.

– Widzieć coś ze wszystkich stron – powtórzyła wdowa.

– Przyznaję, że mnie pani zaskoczyła. Nie zastanawiałem się dłużej nad powyższą definicją poznania i nie chciałem słyszeć, jak ktoś mi ją przytacza. Przynajmniej dopóki nie poświęcę więcej czasu na zastanowienie się, jak mógłbym ją obronić.

– No tak, bo pańska definicja pozostawia wiele do życzenia – zgodziła się z nim wdowa. – Istnieje bowiem mnóstwo wyjątków od reguły! Na przykład jak ktoś mógłby zobaczyć ze wszystkich stron ducha? Sama myśl o tym jest nie do przyjęcia.

Moody ponownie złożył jej niezbyt głęboki ukłon.

– Ma pani całkowitą słuszność, wspominając o duchu jako o wyjątku, pani Wells. Obawiam się jednak, że nie sądzę, by ducha w ogóle można było poznać, a już na pewno nie wierzę, żeby można było go zobaczyć. W żadnym wypadku nie zamierzam podważać pani talentów, ale tak właśnie jest: w ogóle nie wierzę w duchy.

– A jednak zabiegał pan o bilet na dzisiejszy seans spirytystyczny – zauważyła wdowa.

– Bo wzbudził moją ciekawość.

– Czy może z powodu jakiegoś konkretnego ducha?

– Chodzi pani o pana Stainesa? – Moody wzruszył ramionami. – Nigdy go nie poznałem. Przybyłem do Hokitika mniej więcej dwa tygodnie po jego zniknięciu. Ale od tamtej pory oczywiście wielokrotnie słyszałem jego nazwisko.

– Pan Gascoigne mówi, że przyjechał pan do Hokitika zbić majątek.

– Tak. Taką mam nadzieję.

– A w jaki sposób zamierza pan tego dokonać?

– Spodziewam się, że wskutek ciężkiej pracy i dobrego planowania.

- Ale wielu bogaczy pracuje bardzo niewiele i niczego nie planuje.
- To są szczęściarze – odpowiedział Moody.
- A pan nie chciałby być szczęściarzem?
- Chciałbym móc powiedzieć, że zasłużyłem sobie na swój los – odparł ostrożnie Moody. – Natomiast szczęście jest z natury niezasłużone.
- Cóż za honorowa odpowiedź – stwierdziła Lydia Wells.
- Mam nadzieję, że jest również prawdziwa – odrzekł Moody.
- Ach – powiedziała wdowa. – Znowu wracamy do problemu „prawdy”.

Gascoigne przypatrywał się Lydii.

– Widzi pan, jak funkcjonuje jej umysł – odezwał się do Moody’ego. – Zaraz się rzuci na pana i zniszczy pańską argumentację. Niech się pan przygotowuje.

– Chyba nie umiałbym przygotować się na coś takiego – odpowiedział Moody.

Gascoigne miał słuszość. Wdowa podniosła głowę i zapytała:

– Czy jest pan człowiekiem religijnym, panie Moody?

– Jestem człowiekiem filozofii – odparł. – Niezwykle interesują mnie te aspekty religii, które można by nazwać filozofią, natomiast te, którym nie przysługiwałoby to miano, nie są dla mnie ciekawe.

– Rozumiem – powiedziała Lydia Wells. – Obawiam się, że w moim wypadku jest dokładnie odwrotnie. Interesuje mnie tylko taka filozofia, którą dałoby się nazwać religią.

Gascoigne szczerze roześmiał się na te słowa.

– To bardzo dobre – powiedział, kiwając palcem. – Naprawdę bardzo dobre.

Moody niejako wbrew sobie poczuł się rozbawiony bystrością umysłu wdowy, postanowił jednak, że nie pozwoli, żeby go pokonała.

– Wydaje mi się, że niewiele nas łączy, pani Wells – powiedział. – Mam jednak nadzieję, że brak wspólnych zainteresowań nie przeszkodzi nam w zawarciu przyjaźni.

– Nie zgadzamy się co do tego, czy można poznać duchy, to już ustaliliśmy – rzekła Lydia Wells. – Ale niech pan pozwoli, że zadam mu pytanie: A co z ludźmi? Z żywymi ludźmi? Czy wierzy pan, że da się „poznać” żyjącego człowieka, jeśli nie można „poznać” umarłego?

Moody z uśmiechem zastanawiał się nad odpowiedzią. Po chwili wdowa ciągnęła dalej.

– Czy sądzi pan na przykład, że kiedykolwiek zdołałby pan naprawdę „poznać” pańskiego przyjaciela, pana Gascoigne’a? Czy naprawdę widzi go pan ze wszystkich stron?

Gascoigne wyglądał na wielce rozdrażnionego, że został wykorzystany jako przykład

retoryczny, i głośno dał temu wyraz. Wdowa uciszyła go, po czym ponownie zadała Moody'emu to samo pytanie.

Moody spojrział na Gascoigne'a. Prawdę mówiąc, przez trzy tygodnie znajomości analizował jego charakter w najdrobniejszych szczegółach. Wydawało mu się, że rozumie zasięg i ograniczenia inteligencji urzędnika sądowego, jego emocje, a także ton wypowiedzi oraz naturę obyczajów. Ogólnie rzecz biorąc, uważał, że jest w stanie bardzo trafnie określić charakter Francuza. Wiedział jednak, że Lydia Wells zamierza zwabić go w pułapkę, i w końcu postanowił udzielić doprawdy bardzo nijakiej odpowiedzi: powtórzył więc, że przybył do Hokitika zaledwie przed trzema tygodniami, a zatem nie mógłby mieć nadziei na to, że zdąży w tak krótkim czasie trafnie ocenić Gascoigne'a jako człowieka. Tego rodzaju zadanie wymagałoby więcej aniżeli trzy tygodnie obserwacji.

– Pan Moody był pasażerem pana Carvera – wtrącił Gascoigne. – Przyplłynął tu na „Z Bogiem” tej nocy, gdy statek wszedł na mieliznę.

Na te słowa Moody poczuł niepokój. Wykupując bilet na „Z Bogiem”, posługiwał się fałszywym nazwiskiem, a biorąc pod uwagę to, co widział – albo co mu się przywidziało – na kilka godzin przed katastrofą, wcale nie chciał się chwalić, że przyplłynął do Hokitika na tym statku. Popatrzył na wdowę, poszukując w jej twarzy jakiegoś przeblýsku wątpliwości albo potwierdzenia, że wiedziała o krwawej zjawie w ładowni barku.

Ale Lydia Wells uśmiechała się.

– Doprawdy? – zapytała, spoglądając na Moody'ego uważnie. – A więc obawiam się, że pan Moody jest naprawdę bardzo przeciętnym człowiekiem.

– Co to ma znaczyć? – zapytał zimno Moody.

– Jest pan szczęściarzem, gardzącym pojęciem szczęścia – powiedziała ze śmiechem. – Obawiam się, panie Moody, że znam wielu panu podobnych mężczyzn.

Zanim Moody zdołał wymyślić na to jakąś odpowiedź, pani Wells podniosła srebrny dzwoneczek, gwałtownie zadzwoniła i dobrze słyszalnym półszepcetem oświadczyła, że wszyscy goście, którzy nie mają biletów, muszą natychmiast wyjść, albowiem seans za chwilę się rozpocznie.

WENUS W WODNIKU

Rozdział, w którym Sook Yongsheng zapomina o swoim szylingu, Lydia Wells wpada w histerię, a my dostajemy odpowiedź z zaświatów

Jak bardzo różniło się to zgromadzenie od tajnej narady, do której doszło przed trzema tygodniami w hotelu Korona! Brało w niej udział najpierw dwunastu, a po przyjeździe Moody'ego trzynastu mężczyzn, natomiast tutaj, we frontowym pokoju Fortuny Wędrowca, było ich jedenastu – i próbowali zawezwać dwunastego.

Zgodnie z poleceniem Josepha Pritcharda Charlie Frost nie spuszczał oka z Lydii Wells, gdy wprowadziła siedmiu posiadaczy biletów do salonu, w którym po obu stronach kominka siedzieli po turecku Ah Sook i Ah Quee. Ich twarze lśniły od szminki. Zasłony w oknach zostały zaciągnięte, a wszystkie lampy naftowe oprócz jednej zgaszone, w pokoju unosił się więc różowawy blask. Nad ową jedyną palącą się jeszcze lampą umieszczono na metalowym stojaku blaszane naczynie z olejkiem różanym, który łagodnie podgrzewany przez płomień wypełniał pokój przyjemnym zapachem kwiatów.

Pani Wells poprosiła gości, aby zajęli miejsca na krzesłach, które ustawiono w koło, podczas gdy inni uczestnicy przyjęcia opuszczali już Fortunę Wędrowca, rozchodząc się w mroku nocy. Panowała atmosfera pełna skrępowania i nerwowości. Jeden z biorących udział w seansie śmiał się piskliwie, a pozostali szczyrzyli zęby w uśmiechu i tręcali swoich towarzyszy pod żebra, lecz pani Wells nie zwracała na te wybryki najmniejszej uwagi. Zajęła się ustawianiem pięciu świec na talerzu w taki sposób, by utworzyły kształt gwiazdy, a potem kolejno je zapaliła. Gdy wszystkie już zapłonęły i fidybus został ugaszony, Lydia Wells w końcu usiadła, po czym głosem, który nagle stał się przyciszony i konspiracyjny, oświadczyła, że Anna Wetherell przez kilka ostatnich godzin przygotowywała się do bliskiej już komunii z umarłymi. Nie wolno się do niej odzywać, gdy wejdzie do salonu, ponieważ nawet najmniejszy niepokój mógłby wpłynąć na stan jej umysłu, a co za tym idzie, zakłócić kontakt wdowy z zaświatami. Czy obecni zgadzają się, aby nie zwracać uwagi na Annę, gdy wejdzie do salonu?

Wszyscy wyrazili zgodę.

Czy zgadzają się dopomóc wdowie w kontakcie z tamtym światem, zachowując stan czujności umysłowej podczas całego seansu? I czy zgadzają się zachować chłodny i otwarty umysł, rozluźnić mięśnie, oddychać głęboko i rytmicznie i skupić się całkowicie na seansie niczym mnich na modlitwie?

Goście zapewnili ją, że tak.

– Nie umiem wam powiedzieć, co wydarzy się dzisiaj w tym pokoju – ciągnęła wdowa, wciąż konspiracyjnym tonem. – Mogą poruszać się meble. Może kiedy zaniepokoią duchy, poczujemy tchnienie wiatru. Wiatru z tamtego świata, jak zapewne nazwą to niektórzy. Być może umarli będą do nas przemawiać przez usta żywych albo ujawnią się za pośrednictwem

znaków.

– Jakie znaki ma pani na myśli? – zapytał jeden z kopaczy.

Lydia Wells zwróciła spokojne spojrzenie na pytającego.

– Czasami z nieznanym nam powodów umarli nie mogą nic mówić – powiedziała cicho. – Wtedy postanawiają porozumiewać się z nami w inny sposób. Uczestniczyłam kiedyś w seansie w Sydney, gdy do tego doszło.

– I co się wtedy stało?

Wzrok pani Wells zrobił się szklisty.

– Pewna kobieta zginęła we własnym domu w dość tajemniczych okolicznościach... A kilka miesięcy po jej śmierci zebrała się tam grupa wybranych spirytystów, by się z nią skontaktować.

– W jaki sposób zginęła?

– Należący do jej rodziny pies oszalał – powiedziała Lydia Wells. – Bestia zupełnie straciła panowanie nad sobą, zaatakowała kobietę i rozerwała jej gardło.

– Ohyda.

– Makabra.

– Okoliczności śmierci ofiary były podejrzane nie tylko dlatego, że pies został zastrzelony, zanim stróże prawa zdążyli ustalić, czy rzeczywiście był agresywny – ciągnęła wdowa. – Sprawa została jednak zamknięta, a oszalały z rozpaczy mąż zmarłej porzucił dom i popłynął w świat. Kilka miesięcy później zatrudniony w owym domu sługa zwrócił uwagę medium na tę sprawę i urządziliśmy seans w tym samym pokoju, w którym została zabita owa kobieta. Pewien dżentelmen z naszej grupy, wprawdzie nie medium, tylko cieszący się wielkim uznaniem spirytysta, miał przy sobie tego wieczoru zegarek kieszonkowy. Spoczywał on w kieszonce kamizelki, dewizkę zaś spirytysta miał przypiętą na piersi. Zapewniał nas później, że nakręcił zegarek, zanim przybył do domu, a jego mechanizm był precyzyjny. No i wieczorem, już w czasie seansu, z kamizelki tego dżentelmena dobiegł nas dziwny szmer. Słyszeliśmy go wszyscy, chociaż nie wiedzieliśmy, co to jest. Spirytysta wyjął swój chronometr, po czym ku swojemu zdumieniu stwierdził, że wskazuje trzy minuty po pierwszej. Powtarzał z uporem, że nakręcił zegarek o szóstej, a kiedy go wyciągnął podczas seansu, nie minęła jeszcze dziewiąta. Nie było żadnej możliwości, aby wskazówki przesunęły się same, a właściciel nie mógł przecież przekręcić ich przypadkowo! Spróbował poruszyć koronkę i okazało się, że jest zablokowana. Zepsuła się. Prawdę mówiąc, zegarka nigdy już nie udało się naprawić.

– Ale co to miało znaczyć? – spytał ktoś. – Te trzy minuty po pierwszej?

Wdowa ściszyła głos.

– Mogliśmy tylko przypuszczać, że duch zmarłej próbował nam coś powiedzieć. Może wskazywał czas jej śmierci? A może chciał nas ostrzec? Przed inną, dopiero zbliżającą się śmiercią?

Charlie Frost stwierdził, że z trudem łapie powietrze.

– Co było potem? – szepnął Nilssen.

– Postanowiliśmy pozostać w salonie do godziny pierwszej trzy w nocy – powiedziała Lydia Wells. – Myśleliśmy, że może duch prosi nas, abyśmy nie opuszczali pokoju do tej pory, bo wtedy coś się wydarzy. Czekaliśmy, aż zegar wybił pierwszą; czekaliśmy w milczeniu przez minutę... Dwie... Trzy... I wówczas, dokładnie w tym momencie, rozległ się straszny trzask: to spadł obraz z haka. Odwróciliśmy się i zobaczyliśmy dziurę w ścianie, którą ten obraz zasłaniał. No, wtedy kobiety z naszej grupy zaczęły przeraźliwie krzyczeć, podniosła się wrzawa i chyba możecie sobie wyobrazić, do jakiego zamieszania doszło. Ktoś znalazł nóż, wyciął kawałek tynku i naszym oczom w ścianie ukazała się kula.

Frost i Nilssen wymienili szybkie spojrzenia. Opowieść wdowy zaczęła przypominać im o kuli, która zniknęła z sypialni Anny Wetherell na piętrze w hotelu Ruszt.

– Czy sprawa została w końcu rozwiązana? – spytał ktoś.

– Och tak – odrzekła wdowa. – Nie będę wchodzić w szczegóły, jest ich bowiem zbyt wiele, ale jeżeli jesteście ciekawi, można znaleźć wszystkie informacje na ten temat w gazetach. Bo widzicie, okazało się, że kobieta wcale nie została zaatakowana przez psa. Zamordował ją jej mąż, który najpierw poderżnął żonie gardło, a potem zastrzelił psa, by ukryć swoją zbrodnię.

W pokoju rozległy się pełne udręki pomruki.

– Tak – powiedziała Lydia Wells. – Cała ta historia jest tragiczna. Kobieta miała na imię Elizabeth, lecz nie pamiętam, jakie nazwisko nosiła. No cóż, dobra wiadomość brzmiała natomiast tak, że kiedy sprawa została otwarta na nowo, śledczy mieli dwa tropy: po pierwsze, wiedzieli, że ofiara zginęła od kuli z wojskowego colta, a po drugie, że stało się to dokładnie trzy minuty po pierwszej w nocy.

Wdowa zamikła na chwilę, a potem wybuchnęła śmiechem.

– Ale nie przyszliście tu dzisiaj, żeby wysłuchiwać moich opowieści! – Wstała z krzesła i kilku mężczyzn, chcąc zachować się po dżentelmeńsku, poszło za jej przykładem, lecz ona podniosła rękę, żeby ich powstrzymać. – Przykro mi to mówić, ale na świecie mamy wielu sceptyków, a na każdego człowieka o dobrym sercu przypada dziesięciu niegodziwców. Mogą znajdować się wśród was osoby, które spróbują zanegować wszystko, co może się dzisiaj stać, albo będą usiłowały mnie zdyskredytować. Dlatego proszę, byście się rozejrzeli i przekonali, że nie stosujemy żadnych sztuczek, pułapek ani oszustw. Wiem równie dobrze jak wy, że sztuką przepowiadania przyszłości zajmuje się wielu hochsztaplerów, zapewniam was jednak, że ja się do nich nie zaliczam. – Rozpostarła ramiona i dodała: – Jak widzicie, niczego

nie ukrywam. Nie bójcie się, możecie mi się dobrze przyjrzeć.

Po tych słowach rozległy się chichoty i szuranie, a goście zaczęli się rozglądać i przyglądać sufitowi, krzesłom, lampie naftowej na stole, świecom oraz dywanowi. Charlie Frost nie spuszczał oka z Lydii. Nie wyglądała na spiętą. Obróciła się jak fryga, pokazując, że nie ukrywa niczego pod spódnicą, a potem bardzo swobodnie usiadła, uśmiechając się do wszystkich. Wyskubała z rękawa wyprutą nitkę i odczekała, aż goście się uspokoją.

– Doskonale – rzekła, gdy wszyscy znów skupili uwagę na niej. – Skoro jesteśmy już usatysfakcjonowani i gotowi, zgaszę lampę i zaczekamy na przybycie Anny.

Pochyliła się i zgaszyła płomień, pograżając wszystkich w półmroku światła świec. Po kilku chwilach ciszy rozległo się pukanie do drzwi salonu i Lydia Wells, wciąż manipulując coś przy lampie, zawołała:

– Wejść!

Drzwi się otworzyły, a siedmiu mężczyzn odwróciło głowy. Frost, który na chwilę zapomniał o poleceniach Pritcharda, też spojrział w tamtą stronę.

Anna stała w progu z wyrazem upiornej pustki na twarzy. Wciąż miała na sobie tę żalobną kreację, którą podarował jej Aubert Gascoigne, ale jeśli suknia już przedtem źle na niej leżała, to teraz wyglądała wprost żałośnie – zwisała z ramion dziewczyny jak z wieszaka i chociaż najwyraźniej została zwężona, była luźna w pasie, a wystrzępiony kołnierzyk zasłaniał niemal wklęsłą pierś. Panna Wetherell miała bardzo blade i ponure oblicze. Nie patrzyła na twarze zebranych. Ze wzrokiem wbitym przed siebie podeszła powoli naprzód, po czym zapadła się w pusty fotel, który stał naprzeciwko Lydii Wells.

Ależ Anna została tu po prostu zagłodzona! – pomyślał Frost. Zerknął na Nilssena, chcąc go złowić wzrokiem, lecz agent handlowy ze zmarszczonym czołem i miną znamionującą posępne zdumienie przypatrywał się pannie Wetherell. Frost przypomniał sobie o swoich zobowiązaniach za późno i dopiero teraz odwrócił się ku wdowie, która w tej krótkiej chwili, gdy oczy wszystkich zwrócone były na drzwi, coś zrobiła. Tak: zrobiła coś, na pewno, albowiem wyglądała właśnie suknię z samozadowoleniem, a wyraz jej twarzy nagle się ożywił. Co takiego zrobiła? Jakiej zmiany dokonała? I w czym? Frost nie mógł już zobaczyć tego w półmroku i przeklinał się w duchu za to, że spuścił ją z oka. Zastosowała fortel, jak to przewidział Pritchard, i Frost poprzysiągł sobie, że nie odwróci wzroku po raz wtóry.

W kątach pokoju zaległa teraz całkowita ciemność. Światło dawały jedynie stojące na środku migotliwe świece, a jedenaście otaczających je twarzy przybrało szary, widmowy wygląd. Nie odrywając wzroku od twarzy wdowy, Frost zauważył, że krąg krzesel nie ma idealnie kolistego kształtu: przypominał raczej elipsę, której dłuższa oś wskazywała drzwi. Lydia siedziała na jej drugim, przeciwległym końcu. Ustawiając krzesła w ten sposób, pani Wells zyskała pewność, że wszystkie głowy zwrócą się ku drzwiom – czyli odwrócą się od niej – kiedy Anna wkroczy do pokoju. No, pomyślał Frost, tę sztuczkę, do której uciekła się

Lydia w owej krótkiej chwili, gdy Anna stanęła w drzwiach, musieli jednak widzieć przynajmniej Chińczycy. I zakarbował sobie w myślach jeszcze jedno: żeby ich o to zapytać po seansie.

Na polecenie wdowy uczestnicy wzięli się za ręce, a Lydia westchnęła głęboko, uśmiechnęła się w roztrzepotanym świetle płomyków świec i przymknęła oczy.

Zapowiedziany gość wdowy nie spieszył się z przybyciem. Wszyscy siedzieli w całkowitym milczeniu przez blisko dwadzieścia minut, bez ruchu, oddychając miarowo i czekając na jakiś znak. Charlie Frost obserwował panią Wells, która w końcu zaczęła wydawać gardłowy, cichy i mrukliwy odgłos. Pomruk przybierał na sile i wkrótce dało się już rozpoznać poszczególne słowa – jedne nonsensowne, a inne brzmiące znajomo jedynie dzięki swej formie, pojedynczym sylabom, które gęstniały w zdania, zaklęcia i polecenia. W końcu pani Wells wygięła grzbiet i zwróciła się z prośbą do świata umarłych, aby wydali jej cień Emery’ego Stainesa.

To, co stało się teraz, Frost opisywał później rozmaicie, jako „atak”, „paroksyzm” lub „długotrwałe konwulsje”. Wiedział, że te określenia nie są trafne, bo żadne dobrze nie oddawało wyrafinowanej gry aktorskiej ze strony Lydii Wells ani skrajnego zakłopotania Frosta, który ją oglądał. Pani Wells raz po raz wołała Stainesa po nazwisku z intonacją rzucającej się w przepaść kochanki – a ponieważ nie otrzymywała odpowiedzi, zdenerwowała się. Dostała skurczy i powtarzała pojedyncze sylaby niczym gaworzące dziecko. Potem spuściła głowę na piersi, podniosła ją i znowu opuściła. Po chwili konwulsje Lydii zaczęły dochodzić do czegoś w rodzaju punktu kulminacyjnego, oddychała bowiem coraz szybciej, lecz później nagle ustały. Wtedy wdowa raptownie uniosła powieki.

Charlego Frosta przebiegł zimny dreszcz niepokoju: Lydia Wells patrzyła prosto na niego i miała taką twarz, jakiej nigdy jeszcze u niej nie widział: zeszywniałą, bezkrwistą i okrutną. Po chwili jednak płomienie świec zachwiały się, podskoczyły i Frost zobaczył, że Lydia nie patrzy na niego, lecz dalej, ponad jego głowę, tam gdzie siedział po turecku Ah Sook. Frost nawet nie mrugnął i nie odwrócił wzroku. Potem Lydia Wells wydała dziwny dźwięk. Przewróciła oczami, a mięśnie na jej szyi zaczęły pulsować. Dziwnie poruszyła szczękami, jak gdyby przeżuwała powietrze, po czym nie swoim głosem powiedziała:

– *Ngor yeu nei wai mut haak ngor dei gaa zuk ge ming sing tung wai waai ngor ge sing yu fu zaak. Mou leon nei hai bin, dang ngor co yun gaam cut lai, ngor yat ding wui wan dou nei. Ngor yeu wan nei bou sou...*

Zadrzała potężnie i przewróciła się na bok, na podłogę. W tym samym momencie (Frost dyskutował o owym niewytłumaczalnym zdarzeniu jeszcze przez kilka tygodni) lampa naftowa na stole gwałtownie przechyliła się i upadła na stojący obok talerz ze świecami. Wydawałoby się, że skutkiem takiego wypadku można było z dużą łatwością zapobiec, albowiem szklany klosz lampy nie pękł, a nafta się nie rozlała, ale natychmiast rozległ się szum i krąg gości został w jednej chwili zalany światłem: cały stół stanął w płomieniach.

Chwilę potem wszyscy gwałtownie ożyli. Ktoś krzyknął, że trzeba zdusić ogień. Jeden z kopaczy odciągnął wdowę na bok, a dwaj inni zrzucili wszystko z kanapy. Ogień został zdławiony szalami i kocami. Ktoś odtrącił lampę, a wszyscy mówili jeden przez drugiego. Charlie Frost, kręcąc się w nieoczekiwanej ciemności, zauważył, że Anna Wetherell nie poruszyła się, a wyraz jej twarzy nie uległ najmniejszej zmianie, jak gdyby nagły wybuch ognia ani trochę jej nie zaniepokoił.

Jeden z uczestników seansu zapalił lampę.

– Czy to już? To właśnie miało się zdarzyć?

– Co ona powiedziała?

– Posuńcie się, dobrze?

– Rety... Aleśmy się wszyscy rozjarzyli w tych płomieniach!

– To jakiś prymitywny...

– Sprawdźcie, czy oddycha.

– Muszę przyznać, że się nie spodziewałem...

– Myślicie, że to coś znaczy? To, co powiedziała pani Wells. Czy może to raczej...

– To na pewno nie był Emery Staines, jak mi...

– Jeszcze jeden duch? Próbował się przedostać...

– Żeby lampa poruszyła się tak bez powodu!

– Trzeba zapytać żółtków. Czołem! Czy to był język chiński?

– Myślisz, że on rozumie, co do niego mówisz?

– Czy Lydia Wells przed chwilą mówiła po chińsku?

Wydawało się jednak, że Ah Quee nie rozumie pytania. Jeden z kopaczy nachylił się nad nim i klepnął go po ramieniu.

– Co to było? – odezwał się. – Co ona powiedziała? Mówiła po chińsku? Czy w jakimś innym języku?

Ah Quee posłał mu w milczeniu tępe spojrzenie. Zamiast niego odpowiedział Ah Sook.

– Lydia Wells mówić po kantońsku.

– Tak? – spytał skwapliwie Nilssen, odwracając się. – A co takiego powiedziała?

Ah Sook przyjrzał mu się.

– Ja pewnego dnia wrócić i cię zabić. Ty zabić człowieka. On umrzeć, więc i ty umrzeć. Pewnego dnia ja wrócić i zabić ciebie.

Nilssen szeroko otworzył oczy, a kolejne pytanie zamarło mu na ustach. Zwrócił się do Anny, która patrzyła na Aha Sooka, a na jej twarzy malowało się teraz lekkie zdziwienie. Charlie Frost zmarszczył czoło.

– Gdzie jest w tym wszystkim Staines? – dopytywał się jeden z kopaczy.

Ah Sook pokręcił głową.

– To nie być Staines – powiedział cicho. Nagle wstał z poduszki i podszedł do okna, splatając ramiona na piersi.

– To nie był Staines? – powtórzył kopacz. – Więc kto?

– Francis Carver – odpowiedział Ah Sook.

W pokoju rozległy się głosy oburzenia.

– Francis Carver? I to ma być seans spirytystyczny? Przecież on żyje. Sam mógłbym z nim porozmawiać. Wystarczyłoby zapukać do jego drzwi!

– Przecież Carver mieszka w hotelu Pałac – powiedział ktoś inny. – Pięćdziesiąt jardów stąd.

– Nie w tym rzecz.

– Chodzi mi o to, że nie da się zaprzeczyć, że stało się coś dziwnego...

– Sam mógłbym sobie porozmawiać z Carverem – powtórzył z uporem kopacz. – Medium nie jest mi do tego potrzebne.

– A jednak co z tą lampą? Jak wytłumaczysz to, co się stało z lampą?

– Przeskoczyła przez pokój!

– Unosiła się w powietrzu.

Ah Sook zeszywniał.

– Francis Carver – powiedział, kierując swoje pytanie do Haralda Nilssena. – W hotelu Pałac?

Nilssen zmarszczył brwi. Przecież Ah Sook na pewno o tym wie!

– Tak, Carver mieszka w hotelu Pałac – stwierdził. – Na ulicy Revella. To dom z takim błękitnym szlaczkiem, wie pan. Koło sklepu żelaznego.

– Od jak dawna? – spytał Ah Sook.

Nilssen sprawiał wrażenie jeszcze bardziej zdezorientowanego.

– Jest tu od trzech tygodni – odpowiedział, zniżając głos. – Od tamtego wieczoru... To znaczy od dnia, kiedy „Z Bogiem” wszedł na mieliznę.

Pozostali goście nadal się spierali.

– Jeżeli nie rozmawia się z umarłymi, to nie jest żaden seans spirytystyczny.

– Nie... Ale kto gada z Carverem, ten sam ginie!

Wszyscy się roześmiali na te słowa, po czym odezwał się kolega kopacza.

– Myślisz, że to lipa? Jakieś szachrajstwo?

Uparty kopacz wyglądał tak, jak gdyby miał przytaknąć, ale rzucił spojrzenie Lydii Wells. Wdowa była nadal nieprzytomna i bardzo blada. Miała lekko otwarte usta, za którymi było widać błyszczący ząb i wyschnięty język. Jej gałki oczne poruszały się nieznacznie i chaotycznie pod powiekami. Jeżeli udaje, pomyślał kopacz, to robi to doskonale, on jednak zapłacił za kontakt z Emerym Stainesem, nie za to, żeby usłyszeć potok chińskich sylab, a potem patrzeć, jak kobieta mdleje. Ba, czy w ogóle mógł być pewien, że to naprawdę był chiński? Wdowa mogła przecież po prostu bredzić! Ten Chińczyk może być z nią w zмовie, a Lydia Wells płaci mu za to, żeby potwierdził jej kłamstwo.

Kopacz jednak był z natury tchórzem i nie wypowiedział swoich podejrzeń na głos.

– Wolałbym nie odpowiadać na to pytanie – odezwał się w końcu, choć wciąż wyglądał na nadąsanego.

– No cóż, spytamy ją, kiedy dojdzie do siebie.

– Czy Frank Carver zna chiński? – spytał inny gość głosem pełnym niedowierzania.

– Ciągłe pływa do Kantonu, czyż nie?

– Urodził się w Hongkongu.

– Tak, ale żeby znać ten język tak dobrze jak Chińczycy!

– To stawia Carvera w zupełnie innym świetle.

W tym momencie kopacz, którego posłano do kuchni, wrócił ze szklanką wody i wylał ją Lydii na twarz. Odetchnęła głęboko i odzyskała przytomność. Mężczyźni podeszli bliżej, niespokojnie pytając ją chórem, jak się czuje i czy nic jej nie jest, minęło więc kilka chwil, zanim miała okazję odpowiedzieć. Nieco oszołomiona pani Wells popatrywała to na jednego, to na drugiego gościa, a po chwili udało się jej nawet słabo roześmiać. W śmiechu wdowy brakowało jednak zwykłej pewności siebie, a kiedy przyjmowała od stojącego u jej boku mężczyzny szklaneczkę andaluzyjskiej brandy, jej ręka widomie zdrząła.

Wypiła i zaraz potem goście zaczęli jej zadawać najróżniejsze pytania: Co widziała? Co pamięta? Z kim się skontaktowała? Czy udało jej się nawiązać kontakt z Emerym Stainesem?

Odpowiedzi Lydii były rozczarowujące. Od momentu kiedy wpadła w trans, niczego nie mogła sobie przypomnieć – co było dziwne, jak powiedziała, zazwyczaj bowiem pamięta swoje wizje naprawdę bardzo dobrze. Mężczyźni zachęcali ją, by się zastanowiła, ale bezskutecznie – po prostu niczego sobie nie przypominała. Kiedy jej powiedzieli, że mówiła w obcym języku zupełnie płynnie i przez dłuższy czas, wyglądała na autentycznie zdziwioną.

– Ale ja nie znam ani słowa po chińsku – powiedziała. – Jesteście tego pewni? I żółtki to potwierdziły? Rodowici Chińczycy? Naprawdę jesteście pewni?

Mocno podnieceni i zdumieni goście udzielili jej odpowiedzi twierdzącej.

– A co ma znaczyć ten bałagan? – Lydia Wells zrobiła słaby ruch ręką, wskazując na nadpalony stół i ślady ognia.

– Lampa się po prostu przewróciła – odpowiedział jeden z kopaczy. – Przewróciła się, ot, tak, bez niczyjej pomocy.

– Więcej: unosiła się w powietrzu.

Lydia przez chwilę przyglądała się lampie i wyglądało na to, że przytomnieje.

– No tak! – Uniosła się nieco na kanapie. – Czyli że wywołałam ducha jakiegoś Chińczyka!

– Ja nie płaciłem za żadnego Chińczyka – odezwał się uparty kopacz.

– Nie – odpowiedziała pojednawczo Lydia Wells. – Nie... Oczywiście, że nie. Oczywiście, że musimy zwrócić wam wszystkim za bilety... Ale powiedzcie mi, o czym mówiłam w transie?

– Chodziło o jakieś morderstwo – odrzekł Frost, który nadal obserwował ją bardzo uważnie. – I o zemstę.

– Ach tak! – powiedziała pani Wells. Sprawiała wrażenie, jak gdyby jej to zaimponowało.

– Ah Sook twierdzi, że ma to coś wspólnego z Francisem Carverem – powiedział Frost.

Pani Wells zbladła i zaczęła wstawać.

– Jak dokładnie brzmiały te słowa? Moje słowa?

Kopacze rozejrzeli się i popatrzyli na Aha Quee’ego, który odpowiedział im tylko kamiennym spojrzeniem.

– On nie zna angielskiego.

– A gdzie jest ten drugi?

– Dokąd poszedł?

Kilka minut wcześniej Ah Sook odłączył się od grupy i wyszedł z pokoju do foyer tak cicho, że nikt tego nie zauważył. Wiadomość, że Francis Carver powrócił do Hokitika – bawi w mieście od trzech tygodni – wzbudziła w nim wielkie osobiste emocje i nagle zapragnął być sam.

Oparł się o poręcz na ganku i patrzył w stronę nabrzeża ponad długim ramieniem ulicy Revella. Długi szereg wiszących w górze latarni tworzył podwójny ścieg światła, który

zbiegał się w żółtej mgiełce jakieś dwieście jardów dalej na południe. Było tak jasne, że wydawało się, iż na wzniesieniu ulicy nastąpiło południe, a kontrastujące z nim zaułki stają się z tego powodu jeszcze czarniejsze. Obok przeszło chwiejnie dwóch pijaków, obejmujących się nawzajem w pasie. W drugą stronę zdażała jakaś dziwka, podciągając spódnice wysoko nad kolana. Spojrzała na niego ciekawie i Ah Sook po chwili niezrozumienia przypomniał sobie, że nadal ma mocno umalowaną twarz, kąciaki oczu wydłużone antymonem, policzki zaś zaokrąglone bielidłem. Zawołała do niego, ale Chińczyk pokręcił tylko głową, poszła więc dalej. Gdzieś w pobliżu rozległ się nagły wybuch śmiechu i oklaski.

Ah Sook zagryzł wargi. A więc Francis Carver powrócił do Hokitika raz jeszcze. Kapitan z pewnością nie zdawał sobie sprawy, że jego dawny pracownik mieszka w chacie w Kaniere, niecałe pięć mil stąd! Carver nie należał do ludzi, którzy byliby gotowi podjąć jakieś ryzyko, jeżeli mogą je całkowicie obejść. W takim wypadku, pomyślał Ah Sook, może to ja mam przewagę. Znowu przygryzł wargę, a potem, po chwili, pokręcił głową – nie. Lydia Wells rozpoznała go dzisiaj i na pewno natychmiast przekazała Carverowi informację o ich spotkaniu.

Wrócił myślami do Fortuny Wędrowca i tej lampy naftowej – do sztuczki, która nie zrobiła na nim najmniejszego wrażenia. Lydia Wells po prostu owinęła lampę nitką, kiedy gasiła płomień. Nitka była w kolorze jej sukni, a drugi koniec wdowa trzymała w ręce. Wystarczyło, że szarpnęła ostro prawą dłońią, by lampa przewróciła się na świecę. Stolik, na którym stały, został natarty wcześniej olejem parafinowym, mającym te zalety, że był zarówno bezwonny, jak i bezbarwny, toteż osobom niewtajemniczonym stół wydawał się najwyżej czysty – zapalił się jednak przy pierwszym kontakcie z ogniem. Wszystko to były sztuczki i oszustwa. Pani Wells w żaden sposób nie porozumiała się ze światem umarłych, a jej słowa nie były słowami zmarłego. Ah Sook dobrze o tym wiedział – były to bowiem jego słowa.

Dziwka zatrzymała się na ulicy. Teraz zawołała coś do mężczyzn na werandzie w domu naprzeciwko, unosząc falbany sukni jeszcze wyżej. Mężczyźni odpowiedzieli jej krzykiem, a jeden z nich skoczył, żeby się z nią podroczyć. Ah Sook przypatrywał się im z nijakim wyrazem twarzy. Dziwował się niezwykłej mocy kobiecej hysterii – temu, że Lydia Wells tak dokładnie pamiętała jego słowa przez te wszystkie lata. Nie znała kantońskiego. Jak to możliwe, żeby zdołała tak dobrze przypomnieć sobie to, co wtedy mówił, nawet jego akcent? Ah Sook pomyślał, że to niesamowite, gdyż na podstawie jej wypowiedzi w „transie” mógłby ją wziąć za rodowitą mieszkankę Kantonu.

Mężczyźni na ulicy liczyli swoje szylingi, a uliczna dziwka stała nieopodal. Z okolic nabrzeża dobiegł donośny gwizd, potem zaś rozbrzmiał ostrzegawczy okrzyk dyżurnego policjanta i zbliżające się kroki biegnącego człowieka. Ah Sook patrzył, jak mężczyźni się rozchodzą, i podjął w duchu pewne postanowienie.

Wróci do Kaniere jeszcze dzisiaj wieczorem, zabierze wszystkie rzeczy z domku i wyruszy w góry, gdzie zajmie się wyłącznie poszukiwaniem złota. Zaoszczędzi każdą drobinę kruszcu, jaką znajdzie, i będzie żył tak spartańsko, jak tylko zdoła, aż uzbiera pięć uncji złota. Ani razu

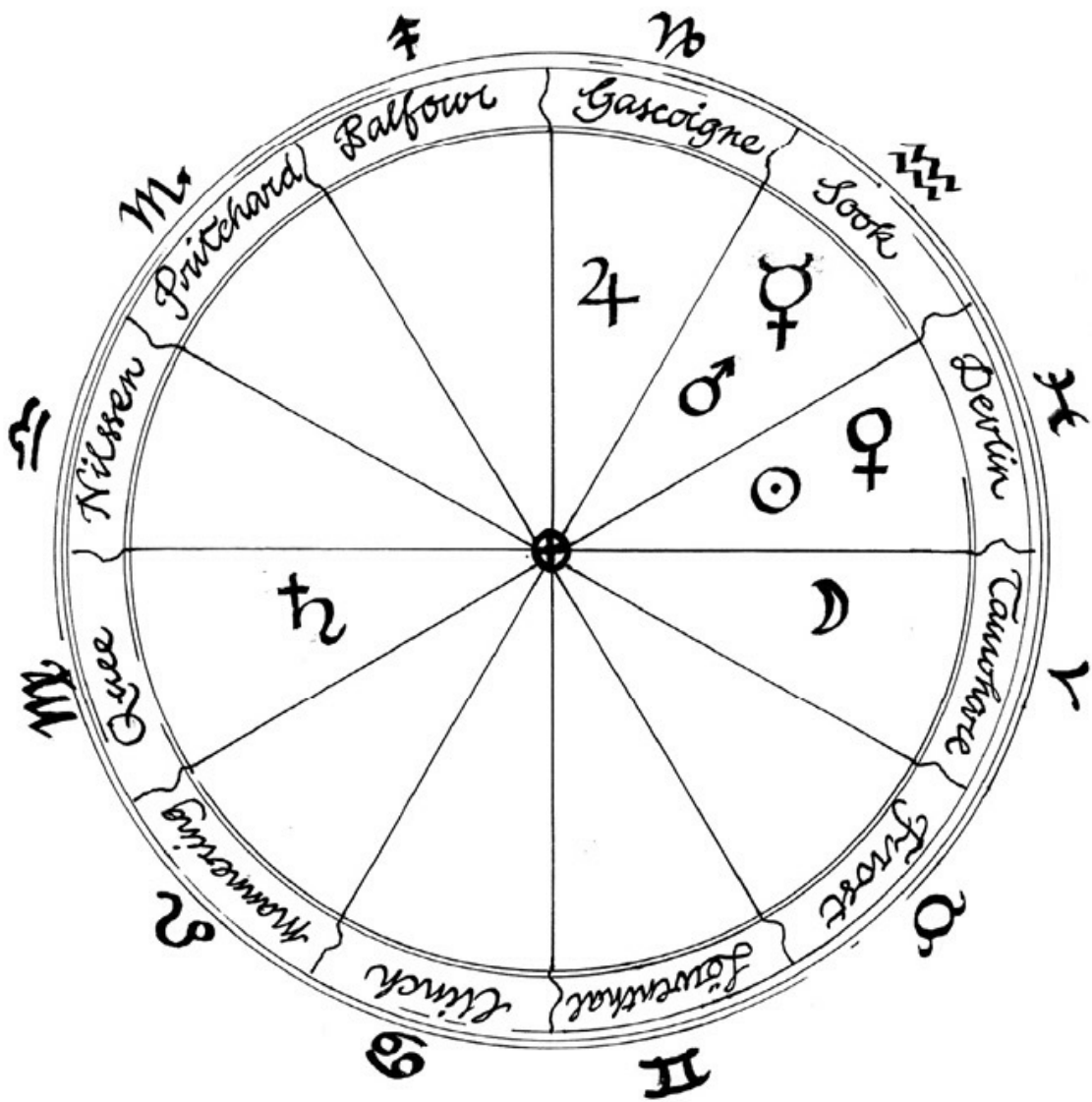
nie zażyje opium, dopóki nie będzie miał tego kruszcu w garści. Nie będzie pił. Nie będzie uprawiał hazardu. Będzie kupował najtańsze i najzwyklejsze jedzenie, ale kiedy tylko osiągnie swój cel, wróci do Hokitika. Wymieni złoto na pieniądze w banku Grey i Buller. Potem przejdzie na drugą stronę ulicy do sklepu Tiegreena. Położy banknot na kontuarze. Kupi pudełko nabojów, puszkę prochu i rewolwer. Pójdzie do hotelu Pałac, otworzy drzwi do pokoju Carvera i odbierze mu życie. A potem? Ah Sook znowu odetchnął głęboko. Potem już nic. Potem jego życie zatoczy koło i w końcu będzie mógł spocząć.

CZĘŚĆ TRZECIA

Dom samozniszczenia

20 marca 1866

42°43'0" S / 170°58'0" E



MERKURY W WODNIKU

Rozdział, w którym Moody przekazuje pewne bardzo ważne informacje, a Sook Yongsheng daje mu prezent

Rankiem 20 marca Walter Moody wstał przed świtem, zadzwonił na służbę, by przyniesiono mu gorącą wodę, a potem umył się, stojąc przy oknie, wychodzącym na okoliczne dachy, gdy granatowe jeszcze niebo tuż przed wschodem słońca zblakło w szarość, następnie przybrało kolor jasnoniebieski, a w końcu wspaniale żółty niczym żółtko jajka. Wtedy jednak Moody był już ubrany, schodził po schodach i wołał, żeby posmarować jego grzanki masłem, a jajka ugotować na twardo. W drodze do jadalni zatrzymał się w korytarzu i przyłożył ucho do drzwi zamkniętego pokoju u stóp schodów. Nasłuchiwał przez chwilę i zaraz usłyszał jakby ziarnisty, rytmiczny szmer, po czym poszedł dalej, zadowolony, że ten lokator jeszcze smacznie śpi.

Jadalnia hotelu Korona była pusta, jeśli nie liczyć wchodzącego i wychodzącego z niej kucharza, który stłumił najpierw jedno ziewnięcie, gdy przyniósł Moody'emu czajnik z herbatą, a potem drugie, kiedy podawał mu poranne wydanie „Czasu Zachodniego Wybrzeża”, o stronicach lekko zawilgoconych od chłodu nocy. Moody przeglądał gazetę w trakcie jedzenia. Na pierwszej stronie znajdowały się głównie ogłoszenia. Banki oferowały konkurencyjne oprocentowanie, obiecując najlepsze ceny za złoto. Hotelarze zachwalali najrozmaitsze walory swoich hoteli. Sklepikarze i właściciele hurtowni wyliczali wszystkie dostępne u nich towary, a wiadomości żeglugowe podawały nazwiska pasażerów, którzy ostatnio odплыnęli z Hokitika albo przeciwnie, dopiero co przyплыnęli. Drugą stronę dziennika zajmowała długa i raczej złośliwa recenzja najnowszego przedstawienia w Operze Księcia Walii („Tak słabe, że nie można go opisać, jest bowiem poniżej krytyki”) i kilka plotkarskich listów od spekulantów złotem, nadesłanych z północy. Moody przeszedł do rubryki towarzyskiej, kończąc drugie jajko, a wtedy jego wzrok spoczął na dwóch dobrze znanych mu nazwiskach. Zaplanowano skromną uroczystość, ale nie podano jeszcze daty. Podróż poślubnej nie będzie. Kartki okolicznościowe i inne wyrazy powinszowania należy kierować do przyszłego pana młodego, mieszkającego w hotelu Pałac.

Moody złożył „Czas”, zmarszczył brwi, otarł usta i wstał od stołu – jednak to nie zaręczyny ani ich ogłoszenie zajmowały jego myśli, kiedy wracał na górę po kapelusz i płaszcz, lecz adres podany do korespondencji.

Wiedział bowiem doskonale, że Francis Carver nie mieszka już w hotelu Pałac. W jego tamtejszym pokoju nic się nie zmieniło, frak kapitana wisiał w szafie, kufer stał pod łóżkiem, a pościel była zmięta i rozrzucona. Każdego ranka Carver wciąż łamał post w hotelowej jadalni, wieczorem zaś pił whisky w hotelowym salonie. Nadal co tydzień płacił za pokój i wyżywienie zarządcy hotelu Pałac, który, jak udało się ustalić Moody'emu, nie miał pojęcia, że jego najbardziej niesławny gość wydaje dwa funty tygodniowo na mieszkanie, którego nie zajmuje. To, że Carver pod osłoną nocy zmienił miejsce stałego pobytu, nie było powszechnie

wiadome, a gdyby nie ich przypadkowe spotkanie, Moody mógłby także nie wiedzieć, że od dnia seansu spirytystycznego u wdowy Carver nocuje w hotelu Korona, w pokoiku przylegającym do kuchni, z którego roztaczał się niczym nieprzesłonięty widok na porytą koleinami Drogę do Kaniere.

O siódmej trzydzięci Moody dotarł już na Nabrzeże Gibsona i ruszył na wschód. Był w szarym australijskim kapeluszu, żółtych moleskinowych spodniach, skórzanych butach do kolan i ciemnym, wełnianym płaszczu, pod którym miał koszulę z szarej serży. Chodził teraz w tym stroju sześć dni w tygodniu, ku rozbawieniu Gascoigne'a, który pytał go niejednym razem, dlaczego nie chce skorzystać też z pirackiej chusty, bo ona przecież doskonale uzupełniałaby jego kreację.

Moody wytyczył swoją działkę na tyle blisko Hokitika, aby móc nadal mieszkać w hotelu Korona. Taki układ dość mocno nadszarpywał jego cotygodniowe dochody, wolał jednak to, niż spać w namiocie pod gołym niebem, bo choć próbował tego dotąd tylko raz, było mu wyjątkowo niewygodnie. Droga z Hokitika na działkę zajmowała mu godzinę i dwadzieścia minut pieszo, a zatem codziennie rano, nim wybijała dziewiąta, Walter stał już z płuczką nad brzegiem strumienia, dźwigał wiadra z wodą, pogwizdywał i przekopywał piasek.

Prawdę mówiąc, nie był szczególnie dobrym poszukiwaczem i miał nadzieję raczej na samorodki niż na złoty piasek. Złotodajny żwir zbyt często wypadał przez siatkę na spodzie płuczki i porywała go woda, toteż czasami adwokat dwukrotnie opróżniał płuczkę, nie natrafiając ani na ziarnko kruszcu. Znajdował, jak mówili kopacze, „piasek na bieżące wydatki”, co oznaczało, że jego tygodniowe dochody wystarczały z grubsza na pokrycie ekspensów, nie mógł jednak dłużej tak funkcjonować. Wiedział, że powinien był posłuchać dość powszechnie udzielanych mu rad i wejść w spółkę z innym poszukiwaczem albo z ich całą grupą. Szansa natrafienia na złotą żyłę podwajała się w spółce dwuosobowej, a w większej grupie, złożonej z pięciorga, siedmiorga albo dziewięciorga poszukiwaczy zwiększała się jeszcze bardziej. Moody'emu nie pozwalała na to jednak duma. Trwał zatem sam, w każdej godzinie wyobrażając sobie samorodek, dzięki któremu mógłby sobie kupić nowe życie. Jego nocne sny zaczynały błyszczeć, a Moody widywał blask kruszcu w najbardziej nieprawdopodobnych miejscach, musiał więc przyglądać mu się raz jeszcze, mrugać powiekami albo zamykać oczy.

Przekraczając niewielki strumień, który stanowił północną granicę jego działki, ze zdziwieniem ujrzał pośród zarośli blady kształt namiotu, a przy nim pozostałości wygaszonego ogniska. Zatrzymał się raptownie. Kopacze z Hokitika zazwyczaj spędzali weekendy w mieście i nie wracali na pola wcześniej niż w poniedziałek późnym przedpołudniem. Dlaczego ten poszukiwacz nie dołączył do kolegów? I co robił na cudzej działce?

– Halo! – zawołał Moody, chcąc zbudzić mieszkańca namiotu. – Halo!

W namiocie od razu rozległo się stęknienie, a także szmery i szelesty poruszającego się człowieka.

– Przepraszam – powiedział ktoś. – Bardzo przepraszam... Bardzo przepraszam...

W wejściu do namiotu pojawiła się wymięta od snu twarz Chińczyka.

– Nie chceć kłopotu... – powiedział. – Bardzo przepraszam.

– Pan Sook? – spytał Moody.

Ah Sook spojrzał na niego spod przymrużonych powiek.

– Jestem Walter Moody. – Moody położył sobie rękę na sercu. – Czy pan... Ach... Czy pan mnie pamięta?

– Tak, tak – Ah Sook przetarł oczy knykciami palców dłoni, zaciśniętej w pięść.

– To bardzo się cieszę – odpowiedział Moody. – Bo widzi pan, to moja działka. Od tego strumienia po tamte żółte paliki po południowej stronie.

– Bardzo przepraszam – powtórzył Ah Sook. – Nie stać się nic złego.

– Nie, oczywiście, że nie. W każdym razie miło mi pana widzieć, panie Sook. Wielu ludzi, w tym ja, zauważyło, że zniknął pan z Kaniere. Bardzo mi miło pana widzieć, wcale się nie gniewam. Obawialiśmy się, że coś się panu stało.

– Nie chceć kłopotu – odparł kapelusznik. – Tylko namiot. Nie chceć kłopotu. – W tym momencie Ah Sook zniknął Moody’emu z oczu.

– Widzę, że nie robi mi pan żadnych kłopotów – powiedział Moody. – Wszystko jest w porządku, panie Sook, nie jestem zdenerwowany, że rozbił pan tutaj obóz! Wcale nie.

Ah Sook wygramolił się z namiotu, obciągając przy okazji tunikę. – Ja pójść – powiedział. – Pięć minut. – Podniósł w górę pięć palców.

– Wszystko w porządku – odpowiedział Moody. – Może pan tu spać, jeżeli pan chce, mnie to w niczym nie przeszkadza.

– Tylko wczorajsza wieczora – powiedział Ah Sook.

– Tak, ale jeśli chciałby pan biwakować tutaj również i dziś, to nie miałbym nic przeciwko temu – odrzekł Moody, którego zachowanie wahało się między nieszczerym zadowoleniem i niezdarną protekcjonalnością, jak gdyby rozmawiał z cudzym dzieckiem.

– Dziś nie – rzekł Ah Sook i zaczął zwijać namiot.

Ściągając ciągle mokre od rosy płótno namiotowe z liny, na której zostało rozwieszony, odsłonił płaski spłacheć ziemi w miejscu, gdzie spędził noc: zmięty, zwinięty wełniany koc z odcisniętym, splątanym zarysem jego ciała, dalej pełen piasku garnek, skórzana sakiewka, płuczka, sznurowa torba z herbatą, mąką i kilkoma pomarszczonymi ziemniakami oraz typowy tobołek, używany przez górników i poszukiwaczy złota. Moody poczuł się dziwnie wzruszony na widok tego skromnego dobytku.

– A niech mnie – powiedział. – Ale gdzie pan się podziewał przez ostatni miesiąc, panie Sook? Bo od seansu spirytystycznego minął cały miesiąc, a nikt w tym czasie nie miał od pana żadnej wiadomości!

– Kopałem – powiedział Ah Sook.

– Zniknął pan tak szybko po seansie – ciągnął Moody – że właściwie myśleliśmy, że spotkał pana taki sam los jak zacnego, biednego pana Stainesa! Nikt nie miał pojęcia, jak to się stało, że przepadł pan w ten sposób.

Ah Sook, który właśnie składał płachtę namiotu na czworo, znieruchomiał.

– Pan Staines powrócić?

– Obawiam się, że nie – odpowiedział Moody. – Wciąż go nie ma.

– A Francis Carver?

– Nadal jest w Hokitika.

Ah Sook skinął głową.

– W hotelu Pałac.

– No, właściwie to nie – odrzekł Moody, który ucieszył się, że ma sposobność, żeby poplotkować. – Teraz sypia potajemnie w hotelu Korona. Nikt nie wie, że tam mieszka. Udaje, że nocuje wciąż w hotelu Pałac, dalej płaci zarządcy i utrzymuje pokoje, jak dawniej. Ale sypia w hotelu Korona. Przychodzi tam dobrze po zmroku i wcześniej wychodzi. Wiem o tym tylko dlatego, że wynajmuję pokój bezpośrednio nad nim.

Ah Sook zmierzył Moody’ego badawczym spojrzeniem.

– Gdzie?

– Pyta pan o mój pokój? Czy Carvera?

– Carvera.

– Nocuje w pokoiku przy kuchni, na parterze – odrzekł Moody. – Okna wychodzą na wschód. To bardzo blisko palarni, w której się poznaliśmy.

– Skromny pokój – powiedział Ah Sook.

– Bardzo – zgodził się z nim Moody. – Ale roztacza się stamtąd bardzo dobry widok na całą Drogę do Kaniere. Bo rozumie pan, Carver ma się na baczności. Przed panem.

Walter Moody nie wiedział właściwie nic o znajomości Aha Sooka z Francisem Carverem, albowiem Ah Sook nie miał okazji, żeby opowiedzieć tę historię bardziej szczegółowo w hotelu Korona, a nikt nie widział go od tamtej pory, jeśli nie liczyć wizyty Chińczyka w Fortunie Wędrowca przed miesiącem. Moody bardzo chciał się dowiedzieć czegoś więcej, lecz chociaż starał się inwigilować i wypytywać swoich interlokutorów, jak

mógł – stał się mistrzem w dyskretnym zmienianiu tematu rozmowy z obojętnego na prowokacyjny – nie poznał więcej szczegółów ponad to, czego dowiedział się w palarni hotelu Korona, czyli że znajomość Carvera i Aha Sooka wiąże się z opium, morderstwem i zapowiedzią zemsty. Ah Quee był jedynym człowiekiem, któremu Ah Sook opowiedział o tym wszystko, nie znał jednak dość dobrze angielskiego, by zwierzyć się z tego jakimkolwiek ze swoich anglojęzycznych znajomych.

– Każda noc w hotelu Korona? – spytał Ah Sook. – Dzisiaj?

– Tak, dzisiaj też tam będzie – odparł Moody. – Chociaż dopiero dobrze po zmroku, jak panu powiedziałem.

– Nie w Pałacu.

– Nie, nie w Pałacu – odrzekł Moody.

– Tak – odparł ponuro Ah Sook. – Rozumiem. – Podszedł rozluźnić węzeł liny namiotowej, przywiązanej do drzewa.

– Kim był zamordowany? – spytał Moody.

– Moim ojcem – odrzekł Ah Sook.

– Pańskim ojcem – powiedział Moody, a po chwili dodał: – W jaki sposób zginął? To znaczy... Proszę mi wybaczyć, ale... Co się stało?

– Dawno temu – rzekł Ah Sook. – Przed wojną.

– Zanim zaczęły się wojny opiumowe – podpowiedział Moody.

– Tak – odrzekł Ah Sook, ale urwał i zaczął zwijać linę na przedramieniu.

– Więc co się stało? – zapytał znowu Moody.

– Zyski – wyjaśnił lakonicznie Ah Sook.

– Jakiego rodzaju?

Ah Sook najwyraźniej sądził, że to bardzo głupie pytanie, i widząc jego minę, Moody pospiesznie zadał mu następne.

– To znaczy, chodzi mi o to, czy... Czy pański ojciec też handlował opium, jak pan?

Ah Sook nie odpowiedział. Wysunął rękę spod zwojów liny, którą splótł w ósemkę i przywiązał do tobołka. Usiadł w kucki, przez chwilę chłodno przyglądał się swojemu rozmówcy, a potem pochylił się i z pełną premedytacją splunął na ziemię.

Moody cofnął się.

– Proszę mi wybaczyć – mruknął. – Nie powinienem być taki wścibski.

Walter Moody nie powiedział absolutnie nikomu, że Crosbie Wells był pochodzącym

z nieprawego łoża przyrodnim bratem Alistaira Lauderbacka, polityka. Już kilka godzin po tym odkryciu postanowił, że nie będzie się nim dzielił z nikim. Powody zatajenia tej informacji tkwiły głęboko w jego sercu, Moody jednak nie artykułował ich wyraźnie. Człowiek nie powinien odpowiadać za grzechy swoich rodziców i krewnych. Nie wolno ujawniać prywatnej korespondencji bez zgody autora i adwokat nie chciał sam zdemaskować Crosbiego Wellsa. Jednak wszystkie te przyczyny, nawet jeśli wziąć je pod uwagę łącznie, właściwie nie składały się na całą prawdę, która wyglądała tak, że Moody przez ostatni miesiąc porównywał się zarówno do Lauderbacka, jak i do Wellsa, oraz odczuwał z nimi głębokie pokrewieństwo, choć z każdym z nich w inny sposób – z bastardem ze względu na jego desperację, a z politykiem z uwagi na jego dumę. To podwójne porównanie stało się zwyczajowym tematem jego codziennych medytacji, kiedy stał w zimnej wodzie, przesypując w palcach grudki ziemi i kruszcu.

Ah Sook wcisnął swoje pozostałe rzeczy do tobołka, a potem usiadł na nim, by zasznurować buty.

Moody nie mógł już tego dłużej wytrzymać.

– Wie pan, że pana powieszają. Jeśli zabije pan Carvera, pozbawią pana życia, panie Sook, bez względu na pańskie motywacje.

– Tak – odrzekł Ah Sook. – Rozumiem.

– A proces nie będzie bezstronny. Nie dla pana.

– Nie – zgodził się Ah Sook. Perspektywa stronniczości sądu nie wydawała się go niepokoić.

Przyklęknął przy ognisku, wziął patyk i zamieszał nim w wilgotnej ziemi, którą zasypał wieczorem węgle. Pod spodem były jeszcze ciepłe i ciemne jak zakrzepła krew.

– Co zamierza pan zrobić? – powiedział, obserwujący go Moody. – Zastrzelić go?

– Tak – odrzekł Ah Sook.

– Kiedy?

– Dziś wieczorem. W hotelu Korona.

Wyglądało na to, że Ah Sook szuka czegoś pod węglami w ognisku. Po chwili natrafił patykiem na coś twardego, po czym używając go jak dźwigni, wydłubał tajemniczy przedmiot i wyjął go na trawę. Było to małe blaszane pudełko po herbacie, czarne od sadzy i najwyraźniej wciąż gorące, bo Chińczyk najpierw owinął je rękawem, a dopiero potem podniósł.

– Niech nam pan pokaże swoją broń – powiedział Moody.

Ah Sook spojrział na niego.

– No już, niech pan pokaże, jaką ma pan broń – powiedział Moody, któremu nagle krew

uderzyła do głowy. – Rewolwer rewolwerowi nierówny, panie Sook. Trzeba wiedzieć, jaki proch ma się do dyspozycji, jak mawiał mój ojciec.

Rzadko cytował słowa swojego ojca w towarzystwie, albowiem wyrażenia, często używane przez Adriana Moody'ego, nie nadawały się raczej do wykorzystania w eleganckiej rozmowie, a poza tym Walter w ogóle niechętnie się na niego powoływał.

– Ja kupić broń – powiedział Ah Sook.

– To dobrze – rzekł Moody. – A gdzie ona jest?

– Jeszcze nie – odpowiedział Ah Sook.

– Jeszcze jej pan nie kupił?

– Dzisiaj – rzekł Ah Sook. Otworzył puszkę i wysypał na dłoń garść złotych płatków. Moody zrozumiał, że Sook zakopał puszkę pod ogniskiem, bojąc się, aby ktoś go w nocy nie obrabował.

– A jaką broń chce pan kupić?

– U Tiegreena. – Ah Sook sięgnął wolną ręką po sakiewkę.

– Chodzi mi o producenta. O markę.

– U Tiegreena – powtórzył Ah Sook. Otworzył sakiewkę jedną ręką, by włożyć do niej złoto.

– To nazwa sklepu – odpowiedział Moody. – A jaką broń chce pan nabyć? Zna się pan na broni?

– Żeby zabić Francisa Carvera.

– Sklep Tiegreena nie za bardzo się dla pana nadaje – rzekł Moody, kręcąc głową. – Tam można kupić broń myśliwską... Albo jakiś karabin... Ale nie dostanie pan u nich rewolweru. Panu jest potrzebna broń wojskowa. Nie każdą kulą można zabić człowieka, rozumie pan, a z pewnością nie chciałby pan wykonać tej roboty połowicznie. Na litość boską, panie Sook! Rewolwer nie jest po prostu kawałkiem żelaza, tak jak koń nie jest tylko... środkiem transportu – powiedział, dość kulawo kończąc to porównanie.

Ah Sook nie odpowiedział. Wybrał sklep Tiegreena z dwóch powodów: po pierwsze, dlatego że znajdował się w pobliżu hotelu Pałac, a po drugie, właściciel był miły dla Chińczyków. Pierwszy z tych powodów oczywiście już się nie liczył, ale drugi był ważny: Ah Sook zamierzał poprosić pana Tiegreena o naładowanie broni od razu w sklepie, by mógł wprowadzić swój plan w czyn jeszcze tego samego dnia. Nigdy w życiu nie strzelał z rewolweru, znał jednak podstawowe zasady budowy tej broni i domyślał się, że strzelanie nie jest sztuką, która wymagałaby zbyt wielkich umiejętności.

– Niech pan idzie do sklepu z galanterią na ulicy Obozowej – powiedział Moody. – Tuż koło Deutsches Gasthaus. To ten budynek, którego czubek dachu wystaje zza rzeźni. Szyld nie

został jeszcze namalowany, ale właściciele to Brunton, Solomon & Barnes, a drzwi powinny być otwarte. Kiedy pan będzie na miejscu, niech pan poprosi o rewolwer Kerr Patent i niech pan nie da sobie wcisnąć niczego innego. To brytyjski rewolwer używany w wojsku, bardzo dobry, i nadaje się do tej roboty. Kosztuje równe pięć funtów. Jeśli zażądamy chociaż pensa więcej, to znaczy, że chcą pana wykołować.

– Pięć funtów? – Ah Sook spojrzał na złoto w swojej sakiewce. Nie miał pojęcia, że można nabyć rewolwer za tak rozsądną cenę! Podawano mu sumę dwukrotnie wyższą. – Kerr Patent – powtórzył, żeby zapamiętać. – Ulica Obozowa. Dziękuję, panie Moody.

– A co pan zrobi, jak już będzie po wszystkim? – spytał Moody. – Kiedy Carver zginie? Odda się pan w ręce sprawiedliwości? Czy będzie pan próbował uciekać? – Moody poczuł się nagle absurdalnie podekscytowany.

Ale Ah Sook jedynie pokręcił głową. Zamknął sakiewkę, po czym owinał ją mocno w kawałek tkaniny. W końcu wstał, zarzucił sobie tobolek na plecy i bardzo starannie wcisnął owiniętą sakiewkę do kieszeni.

– Ta działka – powiedział z szerokim gestem. – Tylko piasek na bieżąca wydatki. Bardzo mało złoto.

Moody machnął ręką.

– Tak. Wiem.

– Tu nie być „bilet do domu” – rzekł Ah Sook.

– Tak, tu nie zarobi się na powrót do kraju – odpowiedział Moody, kiwając głową. – Nie musi pan wykładać kawy na ławę, panie Sook, wiem, jak wygląda prawda.

Ah Sook przyjrzał mu się.

– Jechać na północ – powiedział. – Czarnoziem. Dużo szczęścia na północy. Tu nie ma samorodków. Za blisko miasta.

– Charleston – powiedział Moody. – Tak. W Charleston można zbić fortunę.

– Czarnoziem – powtórzył Ah Sook i skinął głową.

Podszedł bliżej i Moody zauważył, że Chińczyk podsuwa mu pocerniałą od sadzy puszkę. Zdziwiony Moody wyciągnął ręce, by przyjąć od niego ten dar. Ah Sook nie wypuścił go z dłoni od razu: pokłonił się przed nim nisko, a Moody, naśladując go, także się uklonił.

– *Juk neih houwahn* – powiedział Ah Sook, ale nie przetłumaczył swoich słów, a Moody go o to nie poprosił. Wyprostował się, trzymając blaszane pudełko, i patrzył, jak kapelusznik odchodzi.

SŁOŃCE W RYBACH

Rozdział, w którym Anna Wetherell zostaje dwukrotnie zaskoczona, Cowell Devlin robi się podejrzliwy, a akt darowizny nabiera nowego znaczenia

To, co pojawiło się na chwilę w Wodniku – co było przedmiotem wiary i zwątpienia, wyobrażeniem, przepowiednią i przestrogą – manifestuje się w Rybach. Te samotne wizje, które zaledwie przed miesiącem należały wyłącznie do śniącego, teraz oblekają się w formę i substancję realności. Sami się stworzyliśmy i sami zgotujemy sobie koniec.

A po Rybach? Wynijdź z łona, krwawe dziecię. Nie podążamy tym śladem: nie możemy przejść od końca do początku. Baran nie przyjmuje kolektywnego punktu widzenia, Byk zaś nie zrezygnuje z subiektywnego. Kodeks etyczny Bliźniąt jest jedyny w swoim rodzaju. Rak poszukuje źródła, Lew celu, a Panna planu, lecz ich działania są podejmowane w pojedynkę. Zaczniemy się pojawiać dopiero w drugim akcie zodiaku: w Wadze jako pojęcie, w Skorpionie jako jakość, a w Strzelcu jako głos. W Koziorożcu uzyskamy pamięć, a w Wodniku wzrok. Dopiero w Rybach, w ostatnim i najstarszym znaku zodiakalnym, uzyskujemy coś w rodzaju jaźni, jakąś pełnię. Ale jego dwie ryby, lustrzane odbicie jaźni i świadomości, to Uroboros umysłu – wola przeznaczenia i przeznaczenie woli – a dom samozniszczenia jest więzieniem, zbudowanym przez więźniów, pozbawionym zarówno powietrza, jak i drzwi, i zamurowanym od wewnątrz.

Te zmiany przychodzą na nas nieodwołalnie niczym wskazówki na tarczy zegarowej.



Lydia Wells nie zorganizowała drugiego seansu spirytystycznego. Dobrze знаła motto szarlatanów, głoszące, że nigdy nie należy powtarzać tej samej sztuczki przed tymi samymi widzami, ale kiedy właśnie z tego powodu została oskarżona o szarlatanerię, tylko się roześmiała. W otwartym liście do „Czasu Zachodniego Wybrzeża” przyznała, że jej próba nawiązania kontaktu z cieniem pana Stainesa była nieudana. Jak twierdziła, takie niepowodzenie zdarzyło się w jej zawodowej karierze po raz pierwszy, i ta anomalia według niej oznaczała, że zaświaty raczej nie mogły, niż nie chciały im pokazać Emery’ego Stainesa. Napisała również, że na tej podstawie może sądzić tylko, że pan Staines jednak nie umarł, i zakończyła list, wyrażając pełną ufności nadzieję, że młodzieniec mimo wszystko się odnajdzie.

Takie oświadczenie mocno zbiło z tropu mężczyzn z hotelu Korona – podobnie jednak jak wszystkie działania wdowy, przyniosło skutek w postaci podniesienia wartości jej przybytku, bo wkrótce po opublikowaniu listu w „Czasie” właścicielce Fortuny Wędrowca zaczęło się dobrze powodzić. Zakład był otwarty codziennie od siódmej rano do dziesiątej wieczorem i oferował brandy w niskich cenach, a także intelektualne rozmowy. Wróżenie odbywało się popołudniami, wyłącznie w czasie wcześniej umówionych, prywatnych sesji. Anna Wetherell, podobnie jak wcześniej, nie pokazywała się publicznie.

Wychodziła z Fortuny Wędrowca tylko na codzienny spacer. Towarzyszyła jej niezmiennie pani Wells, która zdawała sobie sprawę z mnóstwa korzyści, jaką daje codzienna przechadzka, i często powtarzała, że nie ma nic lepszego od spaceru. A zatem każdego ranka przechadzały się razem, ramię w ramię, po ulicy Revella, kierując się najpierw na północ, a potem wracając drugą stroną. Po drodze przystawały przed każdą wystawą, kupowały mleko i cukier, kiedy można było dostać te produkty, i pozdrowiały mieszkańców Hokitika doprawdy bardzo bezbarwnie i obojętnie.

Tego ranka panie wybrały się na spacer wcześniej niż zwykle, bo wdowa była umówiona o dziewiątej w sądzie. Została tam zaproszona w związku z posiadłością swojego zmarłego męża, Crosbiego Wellsa, a treść wezwania wskazywała na to, że czekają ją raczej dobre wieści. Dziesięć minut przed dziewiątą otworzyły się drzwi Fortuny Wędrowca i wyszła z nich na słońce Lydia Wells, której miedziane włosy lśniły wspaniale, kontrastując z ciemnoniebieską suknią.

Cowell Devlin patrzył, jak wdowa opuszcza hotel i schodzi po schodach na ulicę, ciasno owijając się szalem wokół ramion i uśmiechając do mężczyzn, którzy przerywali swoje codzienne czynności, żeby na nią popatrzeć. Oczekał, aż pani Wells zniknie w tłumie przechodniów, a potem na wszelki wypadek jeszcze pięć minut. Później przeszedł na drugą stronę ulicy, wbiegł na schody, prowadzące na werandę Fortuny, odwrócił się, by zerknąć na pustą fasadę gmachu sądu, i zapukał do drzwi. Do piersi przyciskał swoją wyświechtaną Biblię.

Drzwi otworzyły się niemal od razu.

– Panno Wetherell – powiedział, zdejmując kapelusz wolną ręką. – Proszę pozwolić, że się przedstawię. Nazywam się Cowell Devlin, jestem kapelanem więziennym w Hokitika i znajduję się w posiadaniu dokumentu, który moim zdaniem wielce panią zainteresuje. Dlatego mam nadzieję, że będziemy mogli porozmawiać o nim na osobności.

– Pamiętam księdza – rzekła Anna. – Był ksiądz przy mnie, kiedy straciłam przytomność i ocknęłam się w więzieniu.

– Tak – odpowiedział Devlin.

– Modlił się wtedy ksiądz za mnie.

– I jeszcze wiele razy od tamtej pory.

Anna zrobiła zdumioną minę.

– Naprawdę?

– Bardzo żarliwie – potwierdził kapelan.

– Co ksiądz powiedział, że czego sobie życzy?

Devlin powtórzył, po co do niej przyszedł.

– A o jaki dokument księdzu chodzi?

– Wolałbym nie pokazywać go tutaj. Mogę wejść?

Zawahała się.

– Pani Wells nie ma w domu.

– Tak, wiem – odparł Devlin. – Prawdę mówiąc, widziałem przed chwilą, jak wchodzi do sądu, i pospieszyłem do Fortuny Wędrowca właśnie dlatego, że miałem nadzieję porozmawiać z panią w cztery oczy. Wyznaję, że czekałem na taką sposobność już od pewnego czasu. Mogę wejść?

– Nie wolno mi przyjmować gości pod jej nieobecność.

– Mam do pani tylko jedną sprawę – odparł spokojnie Devlin. – Należę do stanu duchownego, a godzina jest przecież przyzwoita. Czy pani Wells odmówiłaby pani takiej drobnostki?

Pani Anny Wetherell z pewnością odmówiłaby dziewczynie nie tylko takiej drobnostki, ale znacznie więcej, bo nigdy nie godziła się na jakiegokolwiek odstępstwa od zasad, ustanawianych przez siebie pod wpływem kaprysu. Po chwili jednak Anna postanowiła zaryzykować.

– Niech ksiądz wejdzie – powiedziała. – Zaparzę nam herbaty.

– To bardzo miło z pani strony.

Devlin poszedł za nią korytarzem do kuchni na tyłach domu, gdzie czekał – wciąż na stojąco – żeby Anna napełniła czajnik i postawiła go na piecu. Bez wątpienia niesłuchanie schudła. Dziewczyna miała zapadłe policzki, a jej cera wyglądała jak z wosku. Była tak wynędzniała, że można ją było uznać za niedożywioną, a poruszała się z drżeniem i sprawiała wrażenie wyczerpanej, jak gdyby nie zjadła porządnego posiłku od kilku tygodni. Devlin szybko rozejrzał się po kuchni. Na tacy schły ustawione w stos naczynia śniadaniowe i kapelan zauważył, że była to zastawa na dwie osoby, obejmująca też dwa ceramiczne kieliszki do jajek, ozdobione wypukłym deseniem w jeżyny. Jeżeli Lydia Wells nie gościła nikogo dzisiaj rano – a zapewne nie – to Anna musiała zjeść przynajmniej śniadanie. Na desce leżało pół bochenka chleba, owiniętego w lnianą ściereczkę, a maselnica nie została jeszcze odstawiona na miejsce.

– Zje pan herbatnika do herbaty?

– To bardzo miło z pani strony – powiedział znów Devlin, a potem zakłopotany, że powtarza ten frazes, dodał pospiesznie: – Dowiedziałem się z zadowoleniem, że udało się pani uwolnić od chińskiego narkotyku.

– Pani Wells nie pozwala go używać w swoim domu – powiedziała Anna, odgarniając z twarzy kosmyk włosów, po czym zdjęła z półki w spiżarni pudełko herbatników.

– Ma rację, że jest surowa, ale to pani należą się gratulacje – powiedział Devlin. –

Odzwyczajając się od nałogu, musiała się pani wykazać niezwykle siłą woli. Znam wielu dorosłych mężczyzn, którym nie udało się ta sztuka.

Gdy Devlin był zdenerwowany, wyrażał się niezwykle formalnie i poprawnie.

– Po prostu przestałam palić – powiedziała Anna.

– Tak – odrzekł Devlin, kiwając głową. – Rzucić nałóg od razu to jedyna droga, ma się rozumieć. Na pewno jednak walczyła pani z pokusami przez całe dni i tygodnie.

– Nie – odparła Anna. – Po prostu opium przestało mi być potrzebne.

– Jest pani nazbyt skromna.

– Mówię, jak jest – powiedziała Anna. – Paliłam jeszcze trochę, dopóki nie skończyły mi się zapasy. Wypaliłam wszystko, ale po prostu nie czułam już działania narkotyku.

Devlin przyjrzał się jej badawczo.

– Czy odkąd przestała pani zażywać opium, stan pani zdrowia znacznie się poprawił?

– Spodziewam się, że tak – odpowiedziała Anna, rozkładając herbatniki w wachlarzyk na talerzu. – Czuję się całkiem dobrze.

– Przykro mi się pani sprzeciwić, panno Wetherell, ale wcale nie wygląda pani zdrowo.

– Chodzi księdzu o to, że jestem chuda.

– Jesteś bardzo chuda, moja droga.

– Zimno mi – rzekła Anna. – Ostatnio zawsze mi zimno.

– Zapewne dlatego, że jesteś tak wychudzona.

– Tak – odpowiedziała. – Ja też tak myślę.

– Zauważyłem – odezwał się Devlin po chwili – że osoby o niskim morale, zwłaszcza niedoszli samobójcy, często tracą apetyt.

– Ja mam apetyt – odpowiedziała Anna. – Odżywiam się normalnie, tylko że jakoś nie mogę przybrać na wadze.

– Jada pani codziennie?

– Trzy posiłki na dzień, w tym dwa gorące – odrzekła. – Gotuję dla nas obu.

– Pani Wells musi być pani za to bardzo wdzięczna – powiedział Devlin tonem, z którego wynikało jasno, że nie dowierza pannie Wetherell.

– Tak – odpowiedziała wymijająco. Odwróciła się, żeby wziąć filiżanki i spodeczki z półki wiszącej nad suszarką do naczyń.

– Czy pozostanie pani na swoim obecnym stanowisku po ślubie pani Wells? – zapytał Devlin.

– Chyba tak.

– Mniemam, że pan Carver tu zamieszka.

– Owszem, wydaje mi się, że ma taki zamiar.

– Ich zaręczyny zostały ogłoszone w „Czasie Zachodniego Wybrzeża” dziś rano. Ogłoszenie było bardzo niepozorne, można by nawet powiedzieć, że ubogie, ale ślub to zawsze szczęśliwe wydarzenie.

– Uwielbiam śluby – powiedziała Anna.

– Tak – odrzekł kapelan. – Szczęśliwe wydarzenie, bez względu na okoliczności.

Po skandalu wywołanym przed miesiącem listem George’a Sheparda do wydawcy „Czasu Zachodniego Wybrzeża” zaczęło się mówić, że tylko ponowne zamążpójście może naprawić szkody, jakich doznała reputacja wdowy. Moralne prawo pani Wells do spadku po Crosbie Wellsie zostało poważnie nadszarpnięte, kiedy wyszło na jaw, że przed śmiercią męża przyprawiała mu rogi, a jej pozycja uległa dalszemu osłabieniu wskutek obszernej i niezwykle szczerej spowiedzi Alistaira Lauderbacka. Odpowiadając publicznie George’owi Shepardowi, Lauderback przyznał, że ukrywał swój romans z Lydią przed wyborcami, za co przeprosił ich z całego serca. Napisał, że jeszcze nigdy bardziej się nie wstydził, że przyjmuje pełną odpowiedzialność za wszystkie konsekwencje swojego postępowania i aż do śmierci będzie żałował, że przybył do domku pana Wellsa o pół godziny za późno, aby prosić go o przebaczenie. To wyznanie przyniosło pożądany skutek – a co więcej, sądząc na podstawie późniejszych licznych wyrazów współczucia i podziwu, niektórzy sądzili nawet, że wyborcy mają teraz o Lauderbacku lepszą opinię niż przedtem.

Anna ustawiła spodki i filiżanki.

– Chodźmy do salonu – powiedziała. – Usłyszę, kiedy zagotuje się woda w czajniku.

Zostawiła tacę i podreptała korytarzem do salonu, przygotowanego na popołudniowe spotkanie u wdowy. Dwa największe fotele stały przysunięte bardzo blisko siebie, a zasłony były zaciągnięte. Devlin zaczekał, aż Anna usiądzie, otworzył Biblię, wyciągnął z niej nadpalony akt darowizny i bez słowa podał go pannie Wetherell.

Dnia dzisiejszego, 11 października Roku Pańskiego 1865, PAN EMERY STAINES, niegdyś mieszkaniec Nowej Południowej Walii, przekazuje kwotę dwóch tysięcy funtów PANNIE ANNIE WETHERELL, niegdyś mieszkance Nowej Południowej Walii, czego świadkiem jest PAN CROSBIE WELLS, spisujący umowę.

Anna miała nieco szklisty wzrok, gdy brała akt do ręki: nie bardzo umiała czytać i nie sądziła, że uda jej się zrozumieć treść dokumentu, tylko na niego zerknąwszy. Znała alfabet i potrafiła odcyfrować litery drukowane, jeśli czytała bardzo powoli i przy bardzo jasnym

świetle, było to jednak dla niej trudne zadanie i często się myliła. Mimo to po chwili z okrzykiem zdumienia przysunęła sobie kartkę do oczu.

– Wiem, co tu jest napisane – powiedziała niemal szeptem.

Devlin nie zdawał sobie sprawy, że Anna nigdy nie uczyła się czytać, dlatego jej słowa nie były dla niego zaskoczeniem.

– Znalazłem ten dokument w piecu Crosbiego Wellsa dzień po jego śmierci – powiedział. – Jak pani widzi, opiewa na niezwykłą kwotę, tym bardziej że chodzi o darowiznę, i muszę przyznać, że nie bardzo wiem, jak go rozumieć. Muszę też od razu panią uprzedzić, że z prawnego punktu widzenia dokument nie jest wiążący. Pan Staines go nie podpisał, co unieważnia podpis pana Wellsa, albowiem świadek nie może podpisać aktu darowizny przed darczyńcą.

Anna nie odpowiedziała. Wciąż wpatrywała się w kartkę.

– Czy widziała pani kiedyś ten dokument?

– Nie.

– A wiedziała pani o jego istnieniu?

– Nie!

Devlin zaniepokoił się, bo Anna niemal wykrzyczała te słowa.

– Co się stało? – zapytał.

– Ja tylko... – Podniosła rękę do szyi. – Czy mogę o coś zapytać?

– Oczywiście.

– Czy ksiądz kiedyś... To znaczy, czy kiedyś się księdzu zdarzyło... – Urwała, przygryzła wargę i zaczęła od nowa. – Czy ksiądz wie, jak to możliwe, że umiem to przeczytać?

Devlin szukał wzrokiem jej oczu.

– Obawiam się, że nie rozumiem.

– Ja się nigdy nie uczyłam czytać – wyjaśniła Anna. – Jak należy. To znaczy... Potrafię składać litery... Znam napisy na naklejkach i szyldach, ale raczej je zapamiętuję, niż czytam, bo widzę je codziennie. Nie potrafiłabym przeczytać gazety, nie od deski do deski. Trwałoby to całymi godzinami. Ale wiem, co tu jest napisane... Potrafię przeczytać ten akt bez wysiłku. W mgnieniu oka.

– Niech pani przeczyta go na głos.

Anna płynnie przeczytała tekst.

Devlin zmarszczył brwi.

– Jest pani całkiem pewna, że nigdy nie widziała tego dokumentu?

– Absolutnie.

– A czy wiedziała pani, że pan Staines zamierzał pani podarować dwa tysiące funtów?

– Nie – odrzekła.

– A pan Wells? Czy kiedykolwiek rozmawiała pani o tym z panem Wellsem?

– Nie. Jak już mówiłam, pierwszy raz widzę ten dokument.

– A może... – powiedział Devlin – ktoś pani o nim powiedział, ale pani zapomniała...

– Nie zapomniiałabym o tak obrzydliwie wielkiej fortunie – odrzekła Anna.

Devlin przez chwilę przyglądał się jej w milczeniu, a potem powiedział:

– Słyszy się czasami takie historie o dzieciach, wychowywanych przez nianie z Kontynentu. Pewnego dnia budzą się i zaczynają biegle mówić po holendersku, francusku, niemiecku czy w jakimś innym języku...

– Nigdy nie miałam niani.

– ...ale jeszcze nie słyszałem, żeby ktoś ni stąd, ni zowąd sam nauczył się czytać – dokończył. – To bardzo dziwne.

W głosie Devlina dał się słyszeć sceptycyzm.

– Nigdy nie miałam niani – powtórzyła Anna.

Devlin pochylił się naprzód.

– Panno Wetherell, pani nazwisko jest łączone z bardzo wieloma nierozwiązanymi zagadkami natury kryminalnej, w tym być może z morderstwem, i jestem pewien, że nie muszę pani przekonywać, jak poważną sprawą jest proces przed Sądem Najwyższym. Porozmawiajmy otwarcie... I w zaufaniu. – Kapelan wskazał akt darowizny, który Anna trzymała w ręku. – Ten dokument został sporządzony trzy miesiące przed zniknięciem pana Stainesa, opiewa zaś dokładnie na połowę spadku po panu Wellsie. Pan Wells umarł w dniu, w którym pan Staines zniknął, a ja rankiem następnego dnia znalazłem ten papier w piecu pana Wellsa. Te wydarzenia najwyraźniej są ze sobą powiązane i jeśli nawet ja nie potrafię ich ze sobą połączyć, uczyni to jakiś adwokat. Jeżeli znajduje się pani w trudnej sytuacji, może będę w stanie pani pomóc, nie zdołam jednak nic zrobić, jeśli mi pani nie zaufa. Dlatego proszę, żeby zechciała mi pani powiedzieć wszystko, co wie.

Anna zmarszczyła czoło.

– Ten dokument nie ma nic wspólnego ze spadkiem po Wellsie – powiedziała. – Tu idzie o pieniądze Emery’ego, nie Wellsa.

– Ma pani słuszość, należy jednak wątpić, czy złoto znalezione w domku pana Wellsa

należało do niego – odpowiedział Devlin. – Widzi pani, nie znaleziono bowiem czystego kruszcu. Złoto zostało przetopione na coś w rodzaju sztabek. Widnieje na nich nazwa, na podstawie której bank zdołał ustalić, że kruszec pochodził z jednej z działek pana Stainesa. Z Aurory.

– Z czego? – spytała Anna.

– Z „Aurory” – odpowiedział Devlin. – Tak się nazywa ta kopalnia złota.

– Aha – powiedziała Anna, najwyraźniej zmieszana. Devlinowi zrobiło się jej żal, wytłumaczył jej więc tę kwestię jeszcze raz, tylko wolniej. Teraz zrozumiała. – Czyli że ten majątek przez cały czas należał do Emery’ego?

– Być może – odparł ostrożnie Devlin.

– I Emery chciał mi dać połowę!

– Ten dokument niewątpliwie wydaje się sugerować, że pan Staines zamierzał pani podarować dwa tysiące funtów. I że pan Wells, przynajmniej od jedenastego października, wiedział o tym pomysle, a nawet go popierał. Ale jak już powiedziałem, dokument nie jest ważny, bo pan Staines go nie podpisał.

– A gdyby złożył swój podpis?

– Obawiam się, że dopóki nie znajdziemy pana Stainesa, nic się nie da zrobić – rzekł Devlin. Przyglądał się przez chwilę Annie, a potem dodał: – Bardzo długo trwało, zanim powiadomiłem panią o tym dokumencie, panno Wetherell, i z tego powodu proszę o wybaczenie. Po prostu czekałem na jakąś okazję, by porozmawiać z panią w cztery oczy, a jak pani wie, takich sposobności nie było wiele.

– Kto o tym wie? – zapytała nagle Anna. – Oprócz księdza i mnie?

Devlin zawahał się.

– Naczelnik Shepard – odparł, postanawiając powiedzieć Annie prawdę, ale nie całą. – Rozmawiałem z nim o tej sprawie może miesiąc temu.

– I co powiedział?

– Sądził, że to jakiś żart.

– Żart? – panna Wetherell wyglądała na zbitą z tropu. – Jaki żart?

Devlin wziął Annę za rękę i delikatnie ścisnął jej palce ze współczuciem.

– Nie powinna pani czuć się rozczarowana, moja droga. To ubodzy duchem są błogosławieni, a każdy z nas oczekuje znacznie większego spadku niż ten, którego wartość można wyrazić w złocie.

Z kuchni dobiegł ostry gwizd, a potem syk, kiedy wrzątek wylał się na żeliwną płytę pieca.

– To nasz czajnik – powiedział z uśmiechem Devlin.

– Czy ksiądz nie miałby nic przeciwko temu, żeby nalać herbaty? Czuję się trochę dziwnie i chciałabym na jakiś czas zostać sama.

– Oczywiście – odparł uprzejmie Cowell Devlin, po czym opuścił pokój.

Kiedy tylko wyszedł, Anna wstała i dwoma długimi krokami przeszła na drugą stronę salonu, ciągle trzymając w ręku nadpalony akt darowizny. Serce biło jej szybko. Przez chwilę stała bez ruchu, zbierając się na odwagę, a potem jednym płynnym ruchem zbliżyła się do biurka wdowy, położyła na nim dokument, otworzyła kałamarz, wzięła pióro pani Wells, umoczyła stalówkę, pochyliła się i napisała: „Emery Staines”.

Nigdy nie widziała podpisu Stainesa, ale wiedziała bez najmniejszych wątpliwości, że podrobiła go wprost idealnie. Litery w nazwisku młodzieńca zmniejszały się niedbale, a te, które tworzyły jego imię, wyglądały na radośnie nieczytelne. Podpis wyglądał na złożony pewną ręką, a zarazem niestaranny i podkreślony swobodnie oraz gustownie, co miało świadczyć o tym, że składano go już tyle razy, iż nie da się dowieść jego nieautentyczności wskutek jakiegoś drugorzędnego szczegółu. Przed E widniał charakterystyczny podwójny zakręt, a litera S była nieznacznie spłaszczona.

– Co pani zrobiła?

W progu stał Devlin. Trzymał tacę z herbatą, miał groźną minę oraz ostrzegawcze spojrzenie. Odstawił tacę na kredens, aż zastukały naczynia, i podszedł do Anny, wyciągając rękę. Dziewczyna w milczeniu podała mu dokument, który duchowny niemal wyrwał jej z dłoni. Ogarnęło go takie oburzenie, że na chwilę oniemiał, ale opanował się i bardzo cicho powiedział:

– To jest fałszerstwo.

– Możliwe – odrzekła Anna.

– Co?! – wrzasnął nagle rozwścieczony Devlin, napierając na nią. – Co pani powiedziała? Spodziewał się, że Anna położy uszy po sobie, ale tak się nie stało.

– To jego podpis – odparła. – Darowizna jest ważna.

– To nie jest jego podpis – rzekł Devlin.

– Jest.

– To przestępstwo – warknął duchowny. – Dopuszcza się pani przed chwilą przestępstwa.

– Zdaje się, że nie wiem, o czym pan mówi – powiedziała Anna.

– Pani bezczelność jest niedopuszczalna. Czy do oszustwa chce pani dodać krzywoprzysięstwo?

– Zdaje się, że nie wiem o żadnym oszustwie.

– Prawda wyjdzie na jaw – odezwał się Devlin. – Są tacy specjaliści, panno Wetherell, którzy odkryją podrobiony podpis na pierwszy rzut oka.

– Nie w tym wypadku.

– Niech się pani nie łudzi – powiedział Devlin. – Powinna się pani wstydzić.

Ale Anna nie miała poczucia, że się łudzi, i nie wstydziła się. Prawdę mówiąc, już od miesięcy nie czuła się równie dobrze. Akt darowizny nie był nieważny, odkąd pojawił się na nim podpis Emery’ego Stainesa, a na podstawie tego dokumentu pan Emery Staines musi dać pannie Annie Wetherell dwa tysiące funtów. Darowizna została podpisana, a podpis darczyńcy jest nie do zakwestionowania. Kto mógłby podważyć jej słowo, kiedy jeden z sygnatariuszy aktu zniknął, a drugi nie żyje?

– Czy mogę zobaczyć ten dokument raz jeszcze? – spytała, a czerwony ze złości kapelan podał jej papier. Gdy dziewczyna wzięła go do ręki, odbiegła na bok, rozluźniła guziki stanika sukni Agathe Gascoigne i wsunęła sobie akt darowizny za dekollet. Przyłożyła ręce do stanika; przez chwilę stała, dysząc i szukając wzrokiem Devlina, który nie ruszył się z miejsca. Dzieliła ich odległość dziesięciu stóp.

– To wstyd – powiedział cicho Devlin. – Proszę się wytłumaczyć.

– Po prostu chcę zasięgnąć jeszcze jednej opinii, to wszystko.

– Przed chwilą sfałszowała pani akt darowizny, panno Wetherell.

– Nie da się tego udowodnić.

– Da się, jeśli ja przysięgnę, że tak było.

– A co mnie powstrzyma przed złożeniem przysięgi, że tego nie zrobiłam?

– To byłoby kłamstwo – odrzekł Devlin. – I to bardzo poważne, gdyby złożyła pani takie zeznanie w sądzie, a na pewno musiałyby pani tak zrobić. Niech pani nie będzie głupia.

– Zasięgnę jeszcze jednej opinii w sprawie podpisu – powiedziała znowu Anna. – Pójdę do sądu i poproszę, by wypowiedział się na ten temat sędzia.

– Niech się pani uspokoi, panno Wetherell. Niech pani pomyśli. Słowo duchownego przeciwko słowu dziwki.

– Ja już się nie prostytuuję.

– Byłej dziwki – rzekł Devlin. – Proszę mi wybaczyć.

Zrobił krok w jej stronę i Anna cofnęła się. Wciąż trzymała otwartą dłoń, przyciśniętą do piersi.

– Jeśli ksiądz podejdzie chociaż o krok bliżej, zacznę krzyczeć, rozerwę stanik i powiem, że to ksiądz mi to zrobił. Usłyszają mnie przechodnie na ulicy i wpadną do domu.

Devlina jeszcze nigdy nikt nie szantażował w ten sposób.

– Nie podejść bliżej – odpowiedział z godnością. – Przeciwnie, wycofam się, i to natychmiast. – Wrócił na krzesło, które zajmował poprzednio, i usiadł. – Nie chcę awantury – odezwał się już cicho. – Ale pragnę zadać pani kilka pytań.

– Proszę – odpowiedziała Anna, ciągle dysząc ciężko. – Niech ksiądz pyta.

Devlin zdecydował się na podejście bezpośrednie.

– Czy wiedziała pani, że używane suknie, które kupiła pani ostatniej zimy, należały kiedyś do Lydii Wells?

Anna wybałuszyła na niego oczy.

– Uprzejmie proszę, żeby odpowiedziała pani na moje pytanie – powiedział Devlin. – Chodzi mi o te pięć sukien, które wykorzystała pani Wells, żeby z pomocą Francisa Carvera przekupić Alistaira Lauderbacka.

– Co?

– Każda z tych sukni kryła małą fortunę w czystym kruszcu, wszytym w podszewkę, wokół stanika i w lamówkę – ciągnął dalej Devlin. – Jedna z nich była z pomarańczowego jedwabiu, a cztery pozostałe z muslinu: kremowego, szarego, jasnoniebieskiego oraz różowego w paski. Te cztery suknie znajdują się obecnie w pudle pod schodami w hotelu Ruszt, a pomarańczowa jest własnością pana Auberta Gascoigne’a i została ukryta w jego domu.

W tym momencie Devlin rozbudził zainteresowanie dziewczyny.

– Skąd pan o tym wie? – szepnęła.

– Postarałem się dowiedzieć o pani jak najwięcej. A teraz proszę odpowiedzieć na moje pytanie.

Anna zbladła.

– Złoto było tylko w pomarańczowej sukni – powiedziała. – W pozostałych czterech znalazłam jedynie ołowiane ciężarki.

– Wiedziała pani, że te suknie należały kiedyś do Lydii Wells?

– Nie. Nie byłam tego pewna.

– Ale podejrzewała pani, że tak.

– Słyszałam... Słyszałam coś o tym. Wiele miesięcy temu.

– Kiedy odkryła pani po raz pierwszy, co one zawierają?

– Następnego wieczoru po zniknięciu Emery’ego.

– Czyli kiedy trafiła pani do więzienia za usiłowanie samobójstwa?

– Tak.

– A pan Gascoigne uiścił za panią kaucję, wierząc pani na słowo, po czym razem rozpruliście tę pomarańczową suknię w jego domku na ulicy Revella i ukryliście jej strzępy pod łóżkiem.

– Skąd...? – szepnęła. Wyglądała na przerażoną.

Devlin nie przerwał swojej opowieści.

– Gdy wróciła pani do hotelu Ruszt tamtego wieczoru, zapewne od razu otworzyła pani szafę i sprawdziła, czy złoto znajduje się również w czterech pozostałych sukniach.

– Tak – powiedziała Anna. – Ale nie rozprułam ich, tylko obmacałam szwy. Nie wiedziałam, że to, co wyczuwam pod palcami, to ołów. Myślałam, że to też złoto.

– W takim razie na pewno sądziła pani, że nagle stała się bajecznie bogata.

– Tak.

– Ale nie rozpruła pani szwów w tych sukniach, by wykorzystać skarb i spłacić swoje długi u Edgara Clincha.

– Zrobiłam to później – powiedziała Anna. – W następnym tygodniu. I wtedy znalazłam ołów.

– Ale nawet wówczas nie powiedziała pani Gascoigne’owi o swoich podejrzeniach, tylko udawała pani bezradność i niewiedzę. Twierdziła pani, że nie ma pieniędzy, i błagała go o pomoc!

– Skąd pan to wszystko wie? – spytała Anna.

– Ja tu zadaję pytania i proszę mi nie przerywać – odrzekł Devlin. – Dlaczego natychmiast nie rozpruła pani też tamtych czterech sukni?

– Chciałam je schować na później – odparła Anna. – Na zapas. Poza tym nie miałam gdzie ukryć kruszcu. Myślałam, żeby poprosić o to Emery’ego, bo do nikogo poza nim nie miałam zaufania, ale on wtedy już zniknął.

– A Lydia Wells? – spytał Devlin. – Co z Lydią Wells, która przysłała do hotelu Ruszt tego samego popołudnia? Która spłaciła pani dług u pana Clincha i która od tej pory okazuje pani życzliwość na wszelkie możliwe sposoby?

– Nie... – odpowiedziała teraz bardzo cicho Anna.

– Nie powiedziała jej pani o tych sukniach?

– Nie.

– Bo podejrzewała pani, że kiedyś należały do niej.

– Coś na ten temat słyszałam. Nigdy nie wiedziałam tego na pewno, chociaż domyślałam

się, że coś w tym musi być, bo ona bardzo chciała je odzyskać.

Devlin skrzyżował ręce na piersiach. Anna najwyraźniej bała się, że kapelan wie o niej za dużo, i niepokoiło ją, skąd ma te informacje. Sprawilo mu to przykrość, ale zdał sobie sprawę, że biorąc pod uwagę zaistniałe okoliczności, lepiej utrzymywać Annę w strachu, niż zaryzykować, że znowu nabierze śmiałości. Nie mógł pozwolić, żeby wymachiwała na prawo i lewo dokumentem ze sfalszowanym podpisem.

– Gdzie jest pan Staines? – zapytał.

– Nie wiem.

– Myślę, że pani wie.

– Nie – odpowiedziała.

– Przypominam, że popełniła pani poważne przestępstwo, fałszując podpis nieżyjącego człowieka.

– On żyje.

Devlin skinął głową. Miał nadzieję na konkretną odpowiedź.

– Skąd pani o tym wie?

Anna milczała, więc Devlin powtórzył pytanie.

– Skąd pani o tym wie, panno Wetherell?

– Dostaję wiadomości – odparła w końcu Anna.

– Od pana Stainesa?

– Tak.

– Jakie wiadomości?

– Prywatne.

– W jaki sposób Staines je pani przekazuje?

– Nie słowami.

– Więc jak?

– Ja po prostu wyczuwam jego obecność.

– Wyczuwa pani jego obecność?

– W mojej głowie.

Devlin odetchnął głęboko.

– Pewnie mi ksiądz nie wierzy – powiedziała Anna.

– Oczywiście, że nie – odparł Devlin. – Obawiam się, że to, co pani mówi, pasuje do pani wizerunku oszustki.

Anna uderzyła się otwartą dłonią w dekolt, za którym ukryła akt darowizny.

– Trzymał go ksiądz u siebie przez bardzo długi czas – powiedziała.

Devlin zmierzył ją gniewnym spojrzeniem. Otworzył usta, aby zareplikować, ale zanim znalazł odpowiednie słowa, usłyszał żwawe kroki na ganku, szcęk klamki i nieoczekiwany gwar uliczny, bo drzwi się otworzyły i ktoś wszedł do środka. Anna spojrzała na kapelana przerażonymi oczami. To wdowa wróciła z sądu i ją wołała.

SATURN W PANNIE

Rozdział, w którym George Shepard nie mianuje swojego zastępcy, Quee Long zostaje wzięty za kogoś innego, a Dick Mannering mówi „dość”

George Shepard spędził ranek 20 marca na terasie Pejzaż Morski, nadzorując dostawy materiałów budowlanych i narzędzi na plac budowy przyszłego więzienia, które po dwóch miesiącach od rozpoczęcia robót codziennie wyglądało bardziej imponująco. Ściany pięły się w górę, wymurowano przewody kominowe, a w głównej rezydencji wstawiono w stalowe framugi już wszystkie wzmocnione drzwi. Oczywiście wciąż pozostawało jeszcze wiele prac wykończeniowych: trzeba było sprowadzić lampy, w więziennej kuchni brakowało pieca, w oknach domku naczelnika nie było na razie szyb, a pod szafotem wciąż nie wykopano dołu – ale dzięki czterystufuntowej „dotacji” od Haralda Nilssena i wypłaconym wreszcie dodatkowym funduszom z Komisji Robót Publicznych Westlandu, Rady Miejskiej Hokitika i Zarządu Miasta robota mimo wszystko posuwała się cudownie szybko. Shepard przewidywał, że skazańców będzie można sprowadzić z Miasteczka Policyjnego do nowego więzienia już pod koniec kwietnia, a kilku z nich nawet nocowało już na terasie pod opieką Sheparda, który teraz kiedy więzienie było na ukończeniu, też wolał sypiać tutaj i jadać zimne kolacje.

Gdy w kaplicy wesleyańskiej uderzył dzwon, Shepard znajdował się na terenie przyszłego przytułku, gdzie kopał zapasowy dół obok latryny. Na dochodzące z położonego niżej miasta bicie dzwonu brygadzysta zarządził przerwę dla więźniów. Shepard odłożył szpadel, otarł czoło rękawem i wygramolił się z dołu. Wtedy zauważył, że za żelazną bramą stoi rudowłosy młodzieniec, który zagląda przez kraty i najwyraźniej pragnie się z nim zobaczyć.

– Panie Everard... – powiedział Shepard, podchodząc bliżej.

– Naczelniku Shepard...

– Co pana sprowadza do Pejzażu Morskiego? Myślę, że nie czczy ciekawość.

– Chciałem prosić szanownego pana o chwilę rozmowy.

– Mam nadzieję, że nie czekał pan długo.

– Ależ skąd.

– Chce pan wejść? Mogę zawołać, by otworzyli bramę. – Shepard ciągle pocił się z wysiłku i po raz drugi otarł czoło rękawem.

– Nie trzeba – odrzekł Everard. – Mam tylko wiadomość dla pana.

– W takim razie słucham – powiedział Shepard, biorąc się pod boki.

– Przychodzę w imieniu pana Barnes'a. Z firmy Brunton, Solomon & Barnes.

– Nie znam żadnego z tych panów.

– To dostawcy galanterii. Właściciele nowej hurtowni – odparł Everard. – Na ulicy Obozowej. Tylko że jeszcze nie wymalowali szyldu... Szanowny panie – dodał pośpiesznie posłaniec.

– Proszę mówić dalej – rzekł Shepard, trzymając się wciąż pod boki.

– Dwa miesiące temu dał pan do zrozumienia, że byłby bardzo wdzięczny, gdyby ktoś zechciał mieć na oku pewnego Chińczyka.

Wyraz twarzy Sheparda natychmiast się wyostrzył.

– Ma pan dobrą pamięć.

– Przyszedłem więc powiedzieć, że jakiś Chińczyk zakupił dziś rano rewolwer.

– Jak rozumiem, w sklepie pana Barnes'a.

– Tak, szanowny panie.

– A gdzie jest teraz ten Chińczyk?

– Tego nie wiem – odrzekł Everard. – Widziałem przed chwilą Barnes'a, który powiedział mi, że dzisiaj rano sprzedał rewolwer Kerr Patent jakiemuś Chińczykowi, przychodząc więc prosto do pana. Nie wiem, czy ów Chińczyk jest tym, o którego panu chodzi... Ale pomyślałem sobie, że tak czy inaczej dobrze będzie panu o tym powiedzieć.

Shepard nie podziękował ani nie pogratulował Everardowi.

– Kiedy dokładnie doszło do sprzedaży tej broni?

– Co najmniej dwie godziny temu. Może więcej. Barnes powiedział, że klient na pewno korzystał z czyichś rad, bo nie chciał zapłacić za rewolwer więcej niż pięć funtów. „Równe pięć funtów”, powtarzał, jak gdyby ktoś mu podpowiedział tę cenę. Wiedział, jaką sumę wyłożyć, żeby nie przepłacić.

– Czym mianowicie zapłacił?

– Papierowym banknotem.

– Ma pan dla mnie coś jeszcze?

– Tak – odrzekł Everard. – Naładował broń w sklepie.

– Kto?

– Barnes. Na prośbę tego Chińczyka.

Shepard skinął głową.

– Bardzo dobrze – powiedział. – A teraz niech pan mnie uważnie posłucha, panie Everard. Wróci pan do Hokitika i powie każdemu, kogo pan spotka, że George Shepard poszukuje Chińczyka nazwiskiem Sook. Niech wszyscy wiedzą, że ktokolwiek spotka się dzisiaj

w mieście z Johnnym Sookiem, nieważne po co i nieważne gdzie, powinien mnie natychmiast powiadomić.

– Czy wyznaczy pan nagrodę za jego schwytanie?

– Proszę nic nie mówić o nagrodzie, ale gdyby ktoś pytał, niech pan nie zaprzecza, że ją wyznaczyłem.

Młodzieniec wyprostował się.

– Zostanę pańskim zastępcą?

Shepard nie odpowiedział od razu.

– Powiem tylko tyle – odezwał się w końcu. – Jeżeli spotka pan Johnny'ego Sooka i znajdzie jakiś sposób, żeby go zatrzymać, nie wywołując większego zamieszania, to przymknę oko na każdą metodę, jakiej pan użyje.

– Rozumiem, szanowny panie.

– Jest jeszcze coś, co mógłby pan dla mnie zrobić – rzekł Shepard. – Wie pan, jak wygląda niejaki Francis Carver?

– Ma bliznę na twarzy.

– Tak – odpowiedział Shepard. – Chciałbym, żeby przekazał mu pan wiadomość ode mnie. Znajdzie go pan w hotelu Pałac.

– Jak ma brzmieć ta wiadomość?

– Proszę mu powiedzieć dokładnie to, co właśnie powiedział pan mnie. A potem niech pan doda, żeby przypiął pas z bronią.

Everard lekko się przygarbił.

– A zatem to on jest pańskim zastępcą?

– Nie mam żadnego zastępcy – odparł Shepard. – Niech pan już idzie. Porozmawiamy później.

– Dobrze.

Shepard uniósł ramiona, oparł się o kraty bramy i przyglądał odchodzącemu młodzieńcowi, a potem zawołał:

– Panie Everard!

Młody człowiek przystanął i odwrócił się.

– Tak, proszę pana.

– Czy chciałby pan zostać stróżem prawa?

Twarz Everarda pojaśniała.

– Mam nadzieję, że kiedyś nim zostanę, szanowny panie.

– Najlepsi policjanci potrafią bronić prawa nawet bez odznaki – oświadczył Shepard, przyglądając mu się chłodnym wzrokiem zza krat. – Niech pan o tym pamięta.

Φ

Emery Staines zniknął już ponad osiem tygodni temu i sąd w Hokitika uznał, że to wystarczy, by unieważnić jego prawo własności do złotodajnych ziem. Dlatego na mocy postanowienia sądu wszystkie kopalnie i działki, będące własnością pana Stainesa, wróciły do Korony Brytyjskiej, do czego formalnie doszło w ostatni piątek. Naturalnie Aurora była jedną z tych działek, które przejęło państwo, toteż Quee Long został w końcu zwolniony ze swoich bezowocnych obowiązków wobec tego jałowego kawałka ziemi. Wyruszył do Hokitika wczesnym rankiem już w poniedziałek, chcąc się dowiedzieć, gdzie zostanie teraz przydzielony i u kogo podejmie dalszą pracę.

Ah Quee bardzo nie lubił odwiedzać biur Kompanii, ponieważ nigdy go tam dobrze nie traktowali i zawsze kazali mu czekać. Szyderstwa oficjeli znosił jednak z godnością i udawał, że nie widzi, jak młodszy urzędnicy strzelają do niego obślinionymi papierowymi kulkami lub zatykają nosy, przechodząc obok krzesła, na którym siedział. W końcu poproszono go, żeby wyłożył swoją sprawę jakiemuś biurokracie. Po kolejnej dłuższej zwłoce, której przyczyn nikt mu nie wyjaśnił, dostał przydział na inną działkę w Kaniere oraz pisemne zaświadczenie o przeniesieniu, po czym wysłano go w drogę. W tym czasie jednak rudowłosy pan Everard już wrócił do Hokitika i przekazywał wiadomość od George'a Sheparda, komu tylko mógł.

Kiedy Ah Quee wyszedł z biur Kompanii przy ulicy Rezedowej, ściskając w dłoni swój przydział, usłyszał wołanie. Zdezorientowany podniósł wzrok i przestraszył się, widząc, że z lewej i prawej strony podbiegają do niego jacyś ludzie. Krzyknął i wyrzucił rękę w górę, ale po chwili leżał już na ziemi.

– Gdzie masz rewolwer, Johnny Sooku?

– Gdzie rewolwer?

– Sprawdźcie za paskiem.

Poczuł na sobie dotyk obcych rąk. Obmacywały go i zadawały mu ciosy. Ktoś kopnął go w żebra, a wtedy Ahowi Sookowi zabrakło tchu.

– Pewnie go gdzieś schował.

– Co tam masz? Papiery kulisa?

Ktoś wyrwał mu przydział z ręki, przejrzał go pobieżnie i odrzucił na bok.

– I co teraz?

– No i co teraz powiesz, panie Sook?

– Ah Quee – powiedział Ah Quee, któremu wreszcie udało się odezwać.

– Więc jednak ma język w gębie?

– Będziesz gadał po angielsku albo wcale.

Kolejny kopniak w żebra. Ah Quee jęknął z bólu i zwinął się w kłębek.

– To nie ten – zauważył jeden z napastników.

– A co to za różnica? – odparł drugi. – Tak czy owak to śmierdzący Chińczyk.

– Nie ma rewolweru – zauważył pierwszy.

– Wyda nam Sooka. Oni się wszyscy znają.

Ah Quee znów dostał kopniaka, tym razem w pośladki. Mężczyzna szpicem buta trafił w kość ogonową i kręgosłup ofiary przeszył gwałtowny ból, sięgający aż szczęki.

– Znasz Johnny’ego Sooka?

– Widziałeś go?

– Chcemy rozmawiać z Johnnym Sookiem.

Ah Quee jęknął. Spróbował oprzeć się na rękach i wstać, ale osunął się z powrotem na ziemię.

– Nie będzie sypał – zauważył pierwszy mężczyzna.

– Poczekaj. Odsuń się trochę...

Drugi napastnik nieco się oddalił lekkim, tanecznym krokiem, a potem ruszył biegiem w stronę Aha Quee’ego niczym rugbista, chcący kopnąć piłkę. Ah Quee zauważył go w ostatniej chwili i zaczął się szybko toczyć w jego stronę, żeby złagodzić siłę uderzenia. Ból w żebrach był nie do zniesienia, ranny oddychał tylko z najwyższym trudem i bardzo płytko. Mężczyźni wybuchnęli śmiechem, a ich głosy jakby się oddaliły, tworząc pulsującą mgiełkę dźwięku.

Potem z drugiej strony ulicy rozległ się głos:

– Dopadliście niewłaściwego człowieka, przyjaciele.

Napastnicy odwrócili się. Otwarte drzwi kafejki na Rezedowej wypełniała potężna postać miejscowego bogacza, Dicka Manneringa. Stał z założonymi na piersiach rękami i przedstawiał imponujący widok, chociaż był bez broni, a napastnicy, gdy tylko go ujrzeli, natychmiast odsunęli się od Quee’ego Longa.

– Dostaliśmy polecenie zatrzymania kitajca o nazwisku Sook – powiedział pierwszy napastnik, wciskając ręce do kieszeni jak chłopiec.

– Ten człowiek nazywa się Quee – powiedział Mannering.

– Nie wiedzieliśmy o tym, prawda? – odezwał się drugi mężczyzna, który również schował ręce do kieszeni.

– To polecenie od naczelnika więzienia – uzupełnił pierwszy.

– Niejaki Johnny Sook grasuje gdzieś w tej okolicy – poinformował drugi.

– Ma rewolwer.

– Jest uzbrojony i niebezpieczny.

– No tak, ale dopadliście niewłaściwego człowieka – powtórzył Mannering, schodząc po schodach na ulicę. – Wiecie już o tym, bo ja wam to mówię, i to po raz ostatni. Ten człowiek nazywa się Quee.

Mannering sprawiał tym groźniejsze wrażenie, że zbliżał się do napastników, którzy na ten widok wreszcie ustąpili.

– Nie chcieliśmy żadnych kłopotów – mruknął pierwszy. – Musieliśmy się upewnić.

– Kochaś żółtków – wymamrotał pierwszy, ale po cichu, tak, że Mannering go nie usłyszał.

Bogacz odczekał, aż odejdą, a potem spojrzął na Aha Quee'ego, który przewrócił się na bok. Mannering sprawdził, czy ofiara nie ma połamanych żeber, po czym Ah Quee z trudem dźwignął się na nogi, podnosząc swój zdeptany przydział i otrzepując go z piasku. Miał ściśnięte gardło.

– Dziękuję – powiedział, gdy wreszcie złapał oddech.

Mannering sprawiał wrażenie zirytowanego tym wyrazem wdzięczności. Zmarszczył brwi, zmierzył Chińczyka spojrzeniem od stóp do głów i zapytał:

– Co to za historia z Sookiem i rewolwerem?

– Nie wiedzieć – odrzekł Ah Quee.

– Gdzie on jest?

– Nie wiedzieć.

– Widziałeś go? Tu czy tam?

Ah Quee nie widział Aha Sooka od miesiąca, od dnia seansu spirytystycznego u wdowy. Gdy późną nocą wrócił z Fortuny Wędrowca, Ah Sook właśnie podjął nieodwołalną decyzję – spakował swój skromny dobytek i po chwili zniknął w szeleszczącej nocy.

– Nie – odpowiedział.

Mannering westchnął.

– Pewnie gdzieś cię przenieśli, skoro Aurora przeszła na własność banku – powiedział po chwili. – No to przyjrzyjmy się temu dokumentowi i zobaczmy, gdzie cię umieścili. Daj go.

Wyciągnął rękę po przydział. Dokument był krótki i został sporządzony bez konsultacji z Ahem Queem. Podawał jego wiek tylko „w przybliżeniu”, a nie dokładnie – macierzysty port statku, na którym przybył do Nowej Zelandii, nie zaś miejsce jego urodzenia w Kantonie, i wymieniał krótką listę cech Quee’ego jako pracownika. Przydział opatrzony został wielką cyfrą 5, co miało oznaczać, że Ah Quee będzie pracował w nowym miejscu przez pięć lat, oraz pieczęcią Kompanii. Mannering przebiegł dokument wzrokiem. W ramach oznaczonych podpisem „obecne miejsce zatrudnienia” wymazano niedawno nazwę „Aurora” i zastąpiono ją nazwą „Sen o Anglii”.

– Nie masz szczęścia, co? – spytał Mannering. – Ta działka należy do mnie! To jedna z moich działek. Jest moja. – Postukał się w pierś. – Znowu pracujesz dla mnie, Johnny Quee. Jak za dawnych dobrych czasów, kiedy latałeś wokół mnie z tym swoim cholernym tygłem i doiłeś Annę Magdalenę, kradnąc jej złoty piasek.

– Dla pana – odpowiedział Ah Quee, rozmasowując sobie żebra.

– Więc znowu jesteśmy razem – stwierdził ponuro Mannering. – Sen o Anglii, akurat. To raczej Angielski Koszmar.

– Pechowo – rzekł Ah Quee.

– Dla ciebie czy dla mnie?

Ah Quee nie odpowiedział na to pytanie, bo go nie zrozumiał, a Mannering nagle się roześmiał i pokręcił głową.

– Niestety, praca przydziałowa z natury polega na tym, że podpisując umowę, rezygnujesz z przychylności losu, z szansy na pomyślność. Na tym polega każda umowa. Bo rozumiesz, umów trzeba dotrzymywać. Umowa prędzej czy później musi się wypełnić. Zawsze mówiłem, że szczęściarzem jest ten, komu kiedyś raz dopisało szczęście, a potem nauczył się czegoś o inwestycjach. Szczęście przychodzi właśnie tylko raz i zawsze przypadkowo, a umowy wracają. Umowy to inwestycje, zobowiązania. To papierkowa robota. To interesy. Powiem ci, co jeszcze chętnie powtarzam. Jeżeli człowiek chce spróbować zbić majątek, nigdy nie podpisze się na żadnym dokumencie, którego nie sporządził osobiście. I tego właśnie się trzymam, Johnny Quee. Nigdy nie podpisałem żadnej umowy, której nie ułożyłem samodzielnie.

– Bardzo dobrze – odparł Ah Quee.

Mannering obrzucił go gniewnym spojrzeniem.

– Nie przypuszczam, żebyś był taki głupi, by znowu spróbować wykręcić mi jakiś numer. Już dwa razy usiłowałeś działać na moją niekorzyść: w sprawie Aurory i Anny. Umiem liczyć.

– Bardzo dobrze – powiedział znów Ah Quee.

Mannering oddał mu dokument.

– No, nie wątpię, że z przyjemnością odwrócisz się plecami do Aurory. A o Sen o Anglii nie musisz się martwić. Ta działka jest kwitnąca.

– Nie być pusta? – zapytał chytrze Ah Quee.

– Nie – odparł Mannering. – Na to daję ci słowo. Na Śnie o Anglii zarobisz przyzwoicie. Oczywiście samородki już z niego wybrano, ale pozostało jeszcze dużo piasku. Dla kogoś takiego jak ty, kto ma oczy otwarte, to idealne miejsce. Nie zbijesz wielkiego majątku na tej działce, Johnny Quee, ale czy któremuś z waszych kiedyś się to uda?

Ah Quee pokiwał głową.

– Zabieraj się z powrotem do Kaniere – powiedział w końcu Mannering i wrócił do kafejki.

WENUS W RYBACH

Rozdział, w którym kapelan traci cierpliwość, a wdowa przegrywa spór

– Ale kogo ja widzę? – powiedziała Lydia Wells. – Sługę bożego?

Stała w progu z półuśmiechem na ustach, skubiąc kolejno czubki palców lewej dłoni, by ściągnąć z niej rękawiczkę. Anna i Devlin w odpowiedzi spojrzeli na wdowę z milczącym przerażeniem, jak przydybani na lubieżnych pieszczotach – choć Anna stała przy oknie, ciągle przyciskając rękę do piersi, a Devlin siedział na kanapie, z której się właśnie poderwał, okropnie czerwony na twarzy.

– Wielki Boże – powiedziała Lydia Wells, wysuwając mlecznobiałą dłoń z jednej rękawiczki i wciskając ją sobie pod łokieć, by zacząć zdejmować drugą. – Ładna z was para owieczek.

– Dzień dobry, pani Wells – odpowiedział Devlin, który w końcu odzyskał mowę. – Nazywam się Cowell Devlin. Jestem kapelanem w powstającym właśnie więzieniu na terenie Pejzaż Morski.

– Urocze powitanie – odparła Lydia Wells. – Co ksiądz robi w moim salonie?

– Prowadziliśmy... dysputę teologiczną – powiedział Devlin. – Przy herbacie.

– Wygląda na to, że o niej zapomnieliście.

– Jeszcze się parzy – odpowiedziała Anna.

– I owszem – rzekła Lydia Wells, nie patrząc na tacę. – No cóż, w takim razie zjawiłam się w samą porę! Anno, leć po trzecią filiżankę. Dołączę do was. Ogromnie lubię dysputy teologiczne.

Rzuciwszy Devlinowi rozpaczliwe spojrzenie, Anna skinęła głową, pochyliła się i wymknęła z pokoju.

– Pani Wells – szepnął szybko Devlin, kiedy kroki Anny zaczęły się oddalać w korytarzu. – Skoro zostaliśmy sami, czy mogę zadać pani bardzo dziwne pytanie?

Lydia Wells uśmiechnęła się.

– Ja żyję z odpowiedzi na dziwne pytania – odparła. – Poza tym kto jak kto, ale ksiądz powinien wiedzieć, że wcale nie jesteśmy sami.

– No tak – rzekł Devlin, który poczuł się nieswojo. – Więc oto moje pytanie. Czy panna Wetherell potrafi czytać?

Lydia uniosła brwi.

– To rzeczywiście bardzo dziwne pytanie, chociaż nie ze względu na odpowiedź. Ciekawi mnie, dlaczego ksiądz chce to wiedzieć.

Anna wróciła z filiżanką i spodkiem, które postawiła na tacy obok naczyń, przygotowanych już dla niej i kapelana.

– A jak brzmi odpowiedź? – zapytał cicho Devlin.

– Ty nam dziś matkuj, Anno – powiedziała dźwięcznie Lydia Wells. – Niechaj ksiądz usiądzie. O tak, właśnie. Jak to miło gościć duchownego na herbacie! Dzięki temu naprawdę czuję się kobietą kulturalną. Chyba zjem herbatnika i poproszę o cukier.

Devlin usiadł.

– O ile mi wiadomo, to odpowiedź na pytanie księdza brzmi „nie” – odparła wdowa, która też usiadła. – A teraz ja zadam księdzu dziwne pytanie. Czy fałszywe świadectwo, złożone przez osobę duchowną, należy do jakiejś innej klasy kłamstwa niż zwykłe?

Devlin najeżył się.

– Nie rozumiem, dlaczego pani o to pyta.

– Ależ ksiądz nie gra fair – powiedziała wdowa. – Ja odpowiedziałam, nie pytając o powód, dla którego ksiądz zadał mi swoje pytanie, nie pojmuję zatem, dlaczego ksiądz teraz nie chce mi się zrewanżować.

– A o co ksiądz panią pytał? – wtrąciła Anna, rozglądając się, lecz Devlin i wdowa nie zareagowali.

– A więc czy jeśli osoba duchowna mówi fałszywe świadectwo, to jest to kłamstwo jakiegoś innego rodzaju, niż kiedy posługuje się nim zwykły śmiertelnik? – ciągnęła wdowa.

Devlin westchnął.

– Byłoby tak tylko wtedy, gdyby duchowny wykorzystywał swój autorytet w jakimś niegodnym celu. Jeżeli natomiast jego fałszywe świadectwo nie ma związku z funkcją duszpasterską, wtedy żadna różnica nie zachodzi. Wszyscy jesteśmy równi w oczach Boga.

– Aha – odpowiedziała wdowa. – Dziękuję. No tak. Powiedział ksiądz przed chwilą, że rozmawialiście o teologii. Czy zechciałby zatem ksiądz włączyć mnie do dyskusji?

Devlin oblał się rumieńcem. Otworzył usta, ale się zawahał: nie przygotował sobie żadnego alibi.

Z pomocą przyszła mu Anna.

– Kiedy ocknęłam się tamtego dnia w więzieniu, był przy mnie wielebny Devlin. Modlił się za mnie i modli do tej pory.

– Czyli że rozmawialiście o modlitwie? – zapytała wdowa, nadal zwracając się tylko do Devlina.

Kapelan odzyskał spokój.

– I o innych sprawach – powiedział. – Mówiliśmy również o aktach opatrności i o nieoczekiwanych prezentach.

– To fascynujące – rzekła Lydia Wells. – A czy ma ksiądz w zwyczaju wpadać w odwiedziny do młodych kobiet, gdy ich opiekunowie są zajęci, aby roztrząsać problemy teologiczne bez obecności przyzwoitki?

Devlin był oburzony tym oskarżeniem.

– Nie jest pani opiekunką panny Wetherell – odpowiedział. – Mieszkała samotnie wiele miesięcy przed pani przyjazdem do Hokitika, dlaczego więc nagle miałyby potrzebować opiekuna?

– W mojej opinii bardzo go potrzebuje – odrzekła Lydia Wells – biorąc pod uwagę, jak była dotąd wykorzystywana w tym mieście.

– Zastanawiają mnie te słowa, pani Wells! Chce pani przez to powiedzieć, że panna Wetherell nie jest obecnie wykorzystywana?

Lydia Wells jak gdyby zeszywniała.

– Być może nie cieszy się ksiądz, że ta młoda kobieta nie sprzedaje już wieczorami swojego ciała – odparła zimno. – Że nie grożą jej różne formy przemocy i nie odurza się codziennie godnym pogardy narkotykiem. Być może ksiądz wolałby, żeby wróciła do swojego dawnego życia.

– Co to znaczy „być może”? – Devlin zaczął wpadać w gniew. – To tania retoryka. Pani postępowanie jest godne tyrańcy, a ja nie zgodzę się na żadną tyrańcę. Nigdy!

– Zdumiewa mnie to oskarżenie – powiedziała Lydia Wells. – Niby dlaczego miałabym być tyrańcą?

– Na litość boską, zabrała pani tej dziewczynie wolność! Sprowadziła pani tu Annę wbrew jej woli i trzyma ją na najkrótszej ze wszystkich możliwych smyczy!

– Anno – powiedziała Lydia Wells, wciąż patrząc na Devlina. – Czy zamieszkałaś w Fortunie Wędrowca wbrew swojej woli?

– Nie, proszę pani – odpowiedziała Anna.

– Dlaczego tu zamieszkałaś?

– Bo złożyła mi pani taką propozycję, a ja ją przyjąłem.

– Jak brzmiała moja propozycja?

– Postanowiła pani w całości spłacić mój dług u pana Clincha i powiedziała, że mogę u pani zamieszkać jako dama do towarzystwa, jeśli zgodzę się pomagać pani w prowadzeniu interesu.

– Czy dotrzymałaś słowa?

– Tak – odrzekła żalonym głosem Anna.

– Dziękuję – powiedziała wdowa, która nie spuszczała oka z Devlina i nawet nie tknęła swojej herbaty. – A co do długości smyczy tej dziewczyny, to wydaje mi się cudowne, że ponad surowy i cnotliwy żywot przedkłada ksiądz... Jak to się ksiądz wyraził? Wolność? A o jaką właściwie wolność księdzu chodzi? O wolność do bratania się z tymi mężczyznami, którzy dawniej ją hańbili i wykorzystywali? Czy o wolność do upalania się do nieprzytomności w knajpie jakiegoś Chińczyka?

Devlin nie mógł się oprzeć riposćcie na te słowa.

– Ale dlaczego złożyła jej pani tę ofertę, pani Wells? Dlaczego zaproponowała pani, że spłaci długi Anny Wetherell?

– Oczywiście dlatego, że się o nią martwiłam.

– Opowiada pani androny.

– Bardzo przepraszam – powiedziała Lydia Wells. – Ja naprawdę troszczę się o Annę.

– Niech pani na nią spojrzy! Biedaczka jest dzisiaj o połowę chudsza niż przed miesiącem, temu pani nie zaprzeczy. Jest zagłodzona. Pani ją głodzi.

– Anno – rzekła Lydia, jak gdyby wypluwając jej imię. – Czy ja cię głodzę?

– Nie – odrzekła Anna.

– A czy twoim zdaniem ty głodujesz?

– Nie.

– Niech mi pani oszczędzi tego przedstawienia – powiedział Devlin, który znowu zaczynał wpadać w złość. – Ta dziewczyna nic pani nie obchodzi. Nie dba pani o nią bardziej niż o innych, a z tego, co słyszałem, to o pani troskliwości na pewno nie można powiedzieć niczego dobrego.

– Kolejne straszne oskarżenie. I to rzucone ni mniej, ni więcej, tylko przez kapelana więziennego! Sądzę, że w tej sytuacji powinnam oczyścić swoje imię. Anno, powiedz wielebnemu, co zrobiłaś w Dunedin.

Zapadła cisza. Devlin zerknął na Annę i stracił pewność siebie.

– Powiedz mu, co zrobiłaś – powtórzyła Lydia Wells.

– Byłam jak wąż w pani domu – odparła Anna.

– Co to ma znaczyć? Powiedz księdzu dokładnie, co zrobiłaś.

– Kładłam się z pani mężem.

– Tak – powiedziała Lydia Wells. – Uwiodłaś mojego męża, pana Wellsa. A teraz powiedz wielebnemu, jak ja ci odpłaciłam.

- Odprawiła mnie pani. Odesłała mnie pani do Hokitika.
- W jakim stanie?
- Byłam brzemienna.
- Proszę, powiedz, czyje to było dziecko?
- Pani męża – wyszeptała Anna. – To było dziecko Crosbiego.

Devlin się zdumiał.

– Więc odprawiłam cię – powiedziała wdowa, kiwając głową. – Czy nadal utrzymuję, że postąpiłam właściwie?

– Nie – powiedziała Anna. – Żałowała pani swojego postępku. Błagała mnie pani o przebaczenie. Niejeden raz.

– Jesteś tego całkowicie pewna? – spytała pani Wells, udając zdumienie. – Jak twierdzi nasz zacny ksiądz, ja wcale nie troszczę się o innych, tym bardziej więc o kobietę, która była kusicielką pod moim dachem! Jesteś zupełnie pewna, że w ogóle zdobyłabym się na to, aby prosić cię o przebaczenie?

– Dość tego – powiedział Devlin, podnosząc ręce. – Dość.

– To prawda – rzekła Anna. – To prawda, że pani Wells prosiła mnie o wybaczenie.

– Dość.

– A teraz, kiedy wątpiąc w moją uczciwość, obraził mnie ksiądz właściwie w każdy możliwy sposób – odezwała się wdowa, podnosząc wreszcie swoją filiżankę – czy mógłby mi ksiądz powiedzieć, tylko tym razem bez mydlenia oczu, co robi w moim salonie?

– Przyszedłem przekazać panie Wetherell pewną poufną wiadomość – odparł Devlin.

Wdowa zwróciła się do Anny.

– Jaką?

– Nie musi jej pani mówić – powiedział szybko Devlin, patrząc na Annę. – Jeżeli pani nie chce. Nie musi pani mówić ani jednego słowa.

– Anno – zaczęła groźnie Lydia Wells – jak brzmiała ta wiadomość?

– Wielebny pokazał mi pewien dokument, na mocy którego połowa fortuny, znalezionej w domku Crosbiego, należy do mnie – odrzekła Anna.

– Ach tak. – Lydia mówiła spokojnie, ale Devlin zauważył przeblýsk strachu w jej oczach. – A do kogo należy druga połowa?

– Do pana Emery’ego Stainesa – powiedziała Anna.

– Gdzie jest ten dokument?

- Schowałam go.
- To idź i przynieś go tu – warknęła Lydia.
- Niech pani tego nie robi – wtrącił szybko Devlin.
- Nie zrobię – powiedziała Anna, która nie wykonała najmniejszego ruchu, by dotknąć swojego stanika.
- Moglibyście przynajmniej wyświadczyć mi tę grzeczność i powiedzieć całą prawdę – rzekła Lydia. – Oboje.
- Obawiam się, że nie możemy tego zrobić – odpowiedział Devlin, zanim Anna zdążyła się odezwać. – Te informacje odnoszą się bowiem do pewnego przestępstwa, które nie zostało jeszcze dokładnie zbadane. Chodzi między innymi o szantaż, którego dopuszczono się na osobie niejakiego Alistaira Lauderbacka.
- Słucham? – powiedziała Lydia Wells.
- Co takiego? – powiedziała Anna.
- Obawiam się, że nie mogę zdradzić niczego więcej – rzekł Devlin, który ku swojemu zadowoleniu stwierdził, że wdowa zbladła jak ściana. – Anno, jeśli chce pani od razu udać się do sądu, to osobiście tam panią odprowadzę.
- Naprawdę? – zapytała Anna, obrzucając go uważnym spojrzeniem.
- Tak.
- A jak ci się wydaje, na Boga, co będziesz robić w sądzie? – spytała Lydia Wells.
- Poszukam porady prawnej. Mam do tego prawo jako obywatelka.
- Pani Wells wpatrywała się enigmatycznie w Annę.
- Uważam, że to bardzo nieładna odpłata za moje dobre serce – odezwała się w końcu cicho.
- Anna podeszła do Devlina i wzięła go pod rękę.
- Pani Wells – powiedziała – to nie za pani dobre serce zamierzam pani odpłacić.

JOWISZ W KOZIOROŻCU

Rozdział, w którym Aubert Gascoigne jest bardzo rozbawiony, Cowell Devlin rezygnuje z przyjęcia odpowiedzialności na siebie, a Anna Wetherell popełnia błąd

Gmach sądu w Hokitika, gdzie rezydował sędzia grodzki, był miejscem ważnego, choć w znacznej mierze zaimprovizowanego posiedzenia. Sala sądowa została otoczona linami, przypominała więc zagrodę do strzyżenia owiec, a okręgowi dostojnicy siedzieli za ustawionymi w szeregu biurkami, oddzielającymi ich od kłębiącego się tłumu. W czasie obrad sądu biurka stanowiły coś w rodzaju zapory między urzędnikami oraz publicznością, która musiała stać. Fotel sędziego, w tej chwili jeszcze pusty, był po prostu ustawionym na podium krzesłem kapitańskim, wyłożonym jednak owczymi skórami, aby nadać mu bardziej godny wygląd. Obok na trochę za niskim stojaku tkwiła trochę za duża flaga brytyjska, która sięgnęłaby zakurzonej podłogi, gdyby ktoś przewidujący nie pomyślał, żeby ustawić stojak na pustej beczce po winie – choć raczej osłabiało to, aniżeli wzmocniało uroczystą atmosferę, jaką miała wywoływać flaga.

Dla sądu był to pracowity poranek. Wniosek pani Wells o unieważnienie sprzedaży posiadłości Crosbiego Wellsa został wreszcie rozpatrzony pozytywnie, co oznaczało, że majątek Wellsa, przechowywany dotąd w depozycie w Banku Rezerw, został przekazany do kasy sądu. Podobna decyzja nie zapadła jednak w sprawie czterystu funtów prowizji dla Haralda Nilssena, a to z dwóch powodów: po pierwsze, dlatego że suma ta stanowiła legalne wynagrodzenie za prawidłowo wykonaną usługę, a po drugie, została w całości przekazana na budowę nowego więzienia na terasie Pejzaż Morski. Sędzia oświadczył, że nie wypada unieważniać darowizny, zwłaszcza jeśli dar jest tak znaczny i bezinteresowny, i pochwalił nieobecnego na sali Nilssena za wielkoduszność.

Trzeba było jeszcze podliczyć wiele innych kosztów sądowych, z których większość była wynikiem długich urzędowych poszukiwań świadectwa urodzenia zmarłego pana Wellsa. Te koszty miano także pokryć ze spadku, należnego pani Wells, który po odliczeniu podatków i opłat oraz dokonaniu wszystkich licznych korekt wynosił teraz nieco ponad trzy i pół tysiąca funtów. Suma ta miała zostać wypłacona pani Wells w dowolnej formie przez bank po dokonaniu rozliczeń. Czy pani Wells ma coś do powiedzenia? Nie miała – ale uśmiechnęła się bardzo szeroko do Auberta Gascoigne'a, gdy majestatycznym krokiem wychodziła z sądu. Gascoigne zauważył, jak błyszcząły jej oczy.

– Hej... Gascoigne!

Francuz wpatrywał się przed siebie. Zamrugął powiekami.

– Tak?

W drzwiach stał jego kolega, Burke, który trzymał w ręku grubą papierową kopertę.

– Jimmy Shaw powiedział mi, że znasz się na ubezpieczeniach żeglugowych.

– Tak jest – odparł Gascoigne.

– A czy nie miałbyś nic przeciwko temu, żeby zająć się jeszcze jedną sprawą? Właśnie coś dostaliśmy.

Gascoigne zmarszczył brwi i spojrzał na kopertę.

– Co to jest?

– List od Johna Hinchera Garrity’ego – odpowiedział Burke, podnosząc kopertę. – W sprawie jednej z katastrof na naszej mieliźnie. Chodzi o statek o nazwie „Z Bogiem”.

Gascoigne wyciągnął rękę.

– Przyjrzę się temu pismu.

– Porządny z ciebie facet.

Koperta nosiła stempel z Wellington i była już rozcięta. Gascoigne otworzył ją i wyjął zawartość. Pierwszym znajdującym się w środku dokumentem był krótki list od Johna Hinchera Garrity’ego, posła z okręgu wyborczego Heathcote w Canterbury. Polityk ów udzielił plenipotencji przedstawicielowi sądu w Hokitika do podjęcia działań w celu wybrania funduszy z konta Grupy Garrity’ego w Banku Nowej Zelandii. Uważał, że załączone dokumenty dostatecznie wyjaśniają sprawę, i z góry dziękował pełnomocnikowi za jego wysiłki. Gascoigne odłożył list na bok i przeszedł do kolejnego dokumentu. Był to drugi list, adresowany do Grupy Garrity’ego.

Hokitika, 25 lutego 1866

Szanowni Państwo,

piszę, aby poinformować Was o pożarowania godnej katastrofie barku „Z Bogiem”, którego dowódcą do niedawna byłem. Do wypadku doszło na zdradliwej łasze piaskowej w Hokitika. Właściciel statku, pan Crosbie F. Wells, właśnie zmarł, załatwiam więc rozmaite formalności jako jego pełnomocnik. Rozumiem, że nabywając „Z Bogiem”, pan Crosbie F. Wells przejął wszystkie wygasłe ubezpieczenia od poprzedniego właściciela, A. Lauderbacka, członka Grupy Garrity’ego, a zatem, że „Z Bogiem” pozostaje pod jej ochroną i jest objęty ubezpieczeniem przez tę organizację. Aktualnie staram się wypłacić wszystkie fundusze wpłacone przez pana Lauderbacka, aby ułatwić wydobycie wraku. Załączam całą dokumentację, obejmującą wszystkie wydatki, umowy kupna-sprzedaży, rachunki, ceny, spisy inwentaryzacyjne &c, i pozostaje z szacunkiem

FRANCIS W.R. CARVER

Gascoigne zmarszczył czoło. O co chodzi Carverowi? Przecież Crosbie Wells z pewnością nie kupił „Z Bogiem”; to on, Carver, nabył ten statek, posługując się nazwiskiem Wells. Gascoigne zaczął przerzucać pozostałe papiery, które Carver najwyraźniej przesłał panu Garrity’emu, aby dowieść zasadności swoich roszczeń. Przejrzał zaświadczenie

o katastrofie, wydane przez kapitanat w Hokitika, bilans wszystkich zaciągniętych długów, a także rozmaite rachunki i zaświadczenia, aż wreszcie na końcu znalazł kopię – zapewne należącą do Carvera – umowy kupna „Z Bogiem”. Gascoigne wziął ją do ręki i uważnie przyjrzał się podpisowi. Umowa została podpisana przez Francisa Wellsa! Co ten Carver knuje? Przyglądając się podpisowi nieco dłużej, Gascoigne zauważył, że spory zakrętas przy literze F może oznaczać C... Ależ tak! A między tym C i F jakimś szczęśliwym trafem znalazła się nawet kropka. Im dłużej Gascoigne się w nią wpatrywał, tym lepiej pojmował niejasność tego podpisu: widocznie Carver użył fałszywego nazwiska, bo z góry sobie to wszystko zaplanował. Francuz pokręcił głową, a potem się roześmiał.

– Co cię tak bawi? – spytał Burke, podnosząc wzrok.

– Och – odrzekł Gascoigne. – Nic ważnego.

– Przed chwilą się zaśmiałeś – powiedział Burke. – Co cię rozśmieszyło?

– Nic – odparł Gascoigne. – Po prostu wyrażałem swoje uznanie, to wszystko.

– Uznanie? Za co?

– Za dobrze wykonaną robotę – powiedział Gascoigne. Włożył listy z powrotem do koperty i wstał, zamierzając od razu zanieść pełnomocnictwo Johna Hinchera Garrity’ego do banku, ale gdy zmierzał do wyjścia, otworzyły się drzwi i wszedł Alistair Lauderback, za którym podążali krok w krok Jock i Augustus Smith.

– Ach – powiedział Lauderback na widok listu w dłoni Gascoigne’a. – A więc przybywam w samą porę. Tak, sam dostałem dziś rano wiadomość od Garrity’ego. Zaszło nieporozumienie i przychodzę, żeby je wyjaśnić.

– Pan Lauderback, jak mniemam – powiedział oschle Gascoigne.

– Chciałby porozmawiać na osobności z sędzią – powiedział Lauderback. – To pilne.

– Sędzia je właśnie lunch.

– Gdzie?

– Obawiam się, że nie wiem – odpowiedział Gascoigne. – Popołudniowe posiedzenie zaczyna się o drugiej, może więc pan poczekać do tej godziny, proszę uprzejmie. Przepraszam was, panowie.

– Zaczekaj pan – powiedział Lauderback, kiedy Gascoigne uklonił się i ruszył w stronę wyjścia. – Co pan robi? Dokąd pan się wybiera z tym listem?

– Do banku – odrzekł Gascoigne, który nie znosił takiej poniekąd urzędowej arogancji, którą wykazał się właśnie Lauderback. – Otrzymałem plenipotencje od pana Garrity’ego, mające ułatwić mi przeprowadzenie pewnej transakcji w jego imieniu. Proszę wybaczyć, ale muszę już iść.

I znowu ruszył do drzwi.

– Zaczekaj pan chwilę – powiedział Lauderback. – Zaczekaj pan jedną chwilę! Przychodzę na rozmowę do sędziego właśnie w tej sprawie, nie pójdzie pan więc do banku, dopóki nie powiem tego, co mam do powiedzenia!

Gascoigne przyglądał mu się ze spokojem. Lauderback chyba zdał sobie sprawę, że niefortunnie zaczął, i poprosił:

– Proszę mnie wysłuchać, dobrze? Jak się pan nazywa?

– Gascoigne.

– Gascoigne, ach tak. Owszem, wziąłem pana za Francuza.

Lauderback wyciągnął do niego rękę, którą Gascoigne uścisnął.

– Porozmawiam zatem z panem, skoro nie mogę się zobaczyć z sędzią.

– Tuszę, że wolałby pan przeprowadzić tę rozmowę na osobności – powiedział Gascoigne, wciąż niezbyt serdecznie.

– Tak, dobrze. – Lauderback zwrócił się do swoich asystentów. – Zaczekajcie tu – powiedział. – Wracam za dziesięć minut.

Gascoigne wprowadził gościa do gabinetu sędziego i zamknął drzwi. Usiedli na windsorskich krzesłach, stojących naprzeciwko sędziowskiego biurka.

– W porządku, panie Gascoigne – odezwał się od razu Lauderback, wychylając się do przodu. – Oto cała ta historia w dwóch słowach. To szwindel. Nigdy nie sprzedałem „Z Bogiem” człowiekowi nazwiskiem Crosbie Wells, tylko komuś, kto powiedział mi, że nazywa się Francis Wells, ale to nie było jego prawdziwe nazwisko. Wtedy jeszcze o tym nie wiedziałem. Ten człowiek to Francis Carver. To był on. Przybrał pseudonim, Francis Wells, i to jemu, Carverowi, posługującemu się fałszywym nazwiskiem, odsprzedałem statek. Bo widzi pan, Carver zachował swoje imię, zmienił jedynie nazwisko. Chodzi zatem o to, że podpisał umowę fałszywym nazwiskiem, a to jest wbrew prawu!

– Zaraz się przekonamy, czy dobrze pana rozumiem – odpowiedział Gascoigne, udając oszołomienie. – Francis Carver twierdzi, że statek „Z Bogiem” kupił Crosbie Wells... Natomiast pan utrzymuje, że to kłamstwo.

– Bo to jest kłamstwo! – odpowiedział Lauderback. – Jawny szwindel! Sprzedałem swój statek człowiekowi nazwiskiem Francis Wells.

– Który nie istnieje.

– Bo to było fałszywe nazwisko – powiedział Lauderback. – Ten człowiek nazywa się Carver, ale powiedział mi, że nosi nazwisko Wells.

– Francis Wells – zauważył Gascoigne. – Crosbie Wells miał na drugie imię właśnie Francis, a Crosbie Wells przecież istnieje... A raczej istniał. Może więc pomylił się pan co do

tożsamości nabywcy. Różnica między Francisem Wellsem i C. Francisem Wellsem nie jest zbyt wielka, jak widzę.

– O jakim C. pan mówi? – zapytał Lauderback.

– Przyjrzałem się nadesłanej do nas kopii umowy kupna-sprzedaży statku – odpowiedział Gascoigne. – Została podpisana przez niejakiego C. Francisa Wellsa.

– Na pewno nie!

– Obawiam się, że tak – powiedział Gascoigne.

– W takim razie została sfalszowana – stwierdził Lauderback. – I to już po fakcie.

Gascoigne otworzył kopertę, po czym wyjął z niej umowę.

– W pierwszej chwili myślałem, że tu jest napisane tylko „Francis Wells”. Dopiero kiedy przyjrzałem się dokumentowi bliżej, zauważyłem tę drugą, pochyłą literę, dotykającą F.

Lauderback przyjrzał się podpisowi, zmarszczył brwi i przypatrzył mu się uważniej raz jeszcze – a wtedy jego policzki i kark oblał głęboki rumieniec.

– Pochyła czy nie pochyła, C czy nie C, umowa kupna-sprzedaży została podpisana przez tego łotra, Francisa Carvera. Na własne oczy widziałem, jak ją podpisuje!

– Był przy tym jakiś świadek?

Lauderback nie odpowiedział.

– Jeśli przy transakcji nie było żadnych świadków, to będziemy mieli pańskie słowo przeciwko słowu Carvera, panie Lauderback.

– Będziemy mieli prawdę przeciwko kłamstwu!

Gascoigne nie odpowiedział. Włożył umowę z powrotem do koperty i wygładził ją na kolanie.

– To szwindel – powiedział Lauderback. – Podam Carvera do sądu. Obedrę go ze skóry.

– Na jakiej podstawie?

– Zarzucę mu, że przybrał fałszywą tożsamość, oczywiście – rzekł Lauderback. – Podszywanie się pod kogoś innego. Oszustwo.

– Obawiam się, że dowody będą świadczyć na pańską niekorzyść.

– Och... Naprawdę tego się pan obawia?

– Wymiar sprawiedliwości nie ma powodów, by wątpić w autentyczność tego podpisu – odpowiedział Gascoigne, wygładzając kopertę po raz drugi – bo po panu Crosbiem Wellsie nie zachowały się żadne inne dokumenty, urzędowe czy jakiegokolwiek inne, dzięki którym można by potwierdzić, że to jest jego charakter pisma.

Wydawało się, że Lauderback ma ochotę coś powiedzieć, bo otworzył usta, ale po chwili zamknął je i pokręcił głową.

– To był szwindel – wysyczał. – To był szwindel, od samego początku.

– Dlaczego sądzi pan, że pan Carver uważał za konieczne użyć fałszywego nazwiska, podpisując z panem umowę?

Odpowiedź polityka była zaskakująca.

– Dowiedziałem się tego i owego o Carverze – powiedział. – Jego ojciec był ważną osobistością w jednej z brytyjskich firm handlowych, Dent & Co. Może pan o nim słyszał, nazywał się William Rochfort Carver. Nie? No, mniejsza z tym. Otóż jakoś na początku lat pięćdziesiątych ojciec daje synowi statek, kliper „Palmerston”, a syn zaczyna przewozić nim chińskie towary na trasie do Kantonu i z powrotem pod flagą Dent & Co. Carver jest młodym, rozpieszczonym chłopakiem, bo w takim wieku rzadko kto zostaje kapitanem. No cóż, oto czego się dalej dowiedziałem. Wiosną tysiąc osiemset pięćdziesiątego czwartego roku „Palmerston” zostaje przeszukany, kiedy wychodzi z portu w Sydney. Była to zwykła, rutynowa kontrola, lecz okazało się, że Carver w kilku punktach złamał prawo. Chciał uniknąć zapłacenia cła, nie zadeklarował towarów, podlegających ocłeniu, i dopuścił się jeszcze paru wykroczeń. Na każde z nich z osobna sędzia mógłby przymknąć oko, ale takie zarzuty się sumują, a wówczas prawo musi wkroczyć do akcji. Carver dostaje dziesięć lat w zakładzie karnym w Cockatoo i ani roku mniej. Prawdziwy dyshonor. Ojciec wpada we wściekłość. Odzyskuje statek, wydziedzicza syna, a na dobitkę psuje mu opinię w każdym porcie i każdej stoczni na południowym Pacyfiku. Kiedy Francis Carver wychodzi z więzienia, cieszy się mniej więcej równie dobrą opinią, jak kapitan Kidd, przynajmniej w kręgach żeglarskich. Żaden armator nie wynajmie mu statku, nie przyjmie go żadna załoga.

– Dlatego przybrał fałszywe nazwisko.

– Zgadza się – powiedział Lauderback, rozsiadając się wygodnie.

– Ciekaw jestem jednak, dlaczego używał go tylko do transakcji z panem – powiedział swobodnie Gascoigne. – Zdaje się, że nie posługiwał się nazwiskiem Wells w żadnej innej sytuacji, tylko wtedy, kiedy kupował ten statek. Mnie na przykład przedstawił się jako Francis Carver.

Lauderback obrzucił Francuza gniewnym spojrzeniem.

– Czyta pan chyba gazety – powiedział. – Niech mi pan nie każe mówić wprost. Złożyłem już w tej sprawie publiczne przeprosiny i nie uczynię tego po raz drugi.

Gascoigne pochylił głowę.

– Aha – powiedział. – Carver przyjął nazwisko Francis Wells, by wykorzystać pański skomplikowany związek z panią Wells.

– Właśnie tak – zgodził się Lauderback. – Powiedział, że jest bratem Crosbiego. Że chce

wyrównać pewne rachunki w jego imieniu. Bo zrobiłem z jego żony ladacznicę. Była to taktyka, która miała mnie zastraszyć, i okazała się skuteczna.

– Rozumiem – odpowiedział Gascoigne, zastanawiając się, dlaczego Lauderback nie wytłumaczył tego równie rozsądnie Thomasowi Balfourowi.

– Niech pan posłucha. Gram z panem w otwarte karty, panie Gascoigne, i powiadam panu, że prawo stoi po mojej stronie. Spór Carvera z ojcem jest powszechnie znany. Francis miał tysiąc powodów, żeby ukrywać się pod fałszywym nazwiskiem. Ba, gdyby było trzeba, mógłbym się powołać na zeznania jego ojca. Ciekawe, czy Carverowi by się to spodobało?

– Myślę, że chyba nie bardzo.

– Nie! – zawołał Lauderback. – Na pewno nie bardzo!

Gascoigne'a zirytowała odpowiedź polityka.

– No cóż, życzę więc panu szczęścia w próbach doprowadzenia pana Carvera przed oblicze sprawiedliwości, panie Lauderback – powiedział.

– Niech mi pan oszczędzi tych pustych frazesów – warknął Lauderback. – Proszę mówić wprost.

– Jak pan sobie życzy – odrzekł Gascoigne, wzruszając ramionami. – Nie muszę panu mówić, że dowód na to, że ktoś ma pewne powody, by coś zrobić, to nie jest żaden dowód. Nie można skazać człowieka tylko za to, że da się udowodnić, że miał on dobre powody, aby popełnić przestępstwo.

Lauderback nastroszył się.

– Wątpi pan w moje słowo?

– Ależ skąd – odparł Gascoigne.

– Myśli pan po prostu, że podstawy moich oskarżeń są za słabe. Że nie mam się na czym oprzeć.

– Tak. Uważam, że wniesienie tej sprawy do sądu byłoby bardzo niemądre – powiedział Gascoigne. – Przepraszam, że wyrażam się tak obcesowo. Choć oczywiście współczuję panu kłopotów.

W rzeczywistości Gascoigne nie miał litości dla Lauderbacka. Współczucie zachowywał zwykle dla ludzi mniej uprzywilejowanych przez los niż on sam, a chociaż zgodziłby się, że sytuacja, w której znalazł się Lauderback, jest godna pożałowania, to uważał, że zamożność i pozycja społeczna polityka stanowią wystarczającą pociechę w obliczu tych problemów, z jakimi musi się borykać na krótką metę. Co więcej, odrobina niesprawiedliwości może przynieść Lauderbackowi pożytek! Może uczynić go lepszym politykiem, pomyślał Gascoigne, który przynajmniej w swoich prywatnych opiniach był kimś w rodzaju autokraty.

– Zaczekam na sędziego – powiedział Lauderback. – Zobacz, że moja wersja wydarzeń

jest sensowna.

Gascoigne wcisnął kopertę do kieszonki surduta, w której tkwiły już jego papierosy.

– Rozumiem, że Carver próbuje teraz wybrać pieniądze z konta waszej organizacji ubezpieczeniowej, aby spłacić długi, które musiał zaciągnąć wskutek katastrofy.

– Tak jest.

– A pan chce mu odmówić dostępu do pieniędzy.

– I znowu: tak.

– Na jakiej podstawie?

Lauderback zrobił się bardzo czerwony na twarzy.

– Na jakiej podstawie? – zawołał. – Ten człowiek mnie okantował, panie Gascoigne! Planował to od początku! Jest pan głupcem, jeśli pan uważa, że się z tym pogodzę bez oporów! Czy to chce mi pan powiedzieć? Żebym się z tym pogodził?

– Panie Lauderback – odpowiedział Gascoigne. – Nie jestem na tyle zarozumiały, aby dawać panu jakiegokolwiek rady. Uważam jednak, że nie zostało złamane żadne prawo. W liście do pana Garrity’ego pan Carver napisał bardzo jasno, że działa w imieniu pana Wellsa. Albowiem pan Wells, jak panu wiadomo, nie żyje. Wygląda na to, że Carver postępuje po prostu wielkodusznie, załatwiając te wszystkie sprawy w zastępstwie właściciela statku, który nie może tego zrobić osobiście. Nie wydaje mi się, by miał pan jakieś dowody, które wykazałyby, że jest inaczej.

– Ale to nieprawda! – wybuchnął Lauderback. – Crosbie Wells nie kupił tego statku! Francis Carver podpisał tę cholerną umowę w cudzym imieniu! To zwyczajne fałszerstwo!

– Obawiam się, że będzie je bardzo trudno udowodnić – zauważył Gascoigne.

– Dlaczego? – spytał Lauderback.

– Ponieważ, jak już panu powiedziałem, nie da się dowieść, że to jest autentyczny podpis Crosbiego Wellsa – rzekł Gascoigne. – W domku nie było żadnych dokumentów, a świadectwa urodzenia tego odludka i jego licencji na poszukiwanie złota nie można nigdzie znaleźć.

Lauderback otworzył usta, żeby zaripostować, i najwyraźniej znowu się rozmyślił.

– Och – odezwał się nagle Gascoigne. – Właśnie coś mi przyszło do głowy.

– Co? – spytał Lauderback.

– Jego świadectwo ślubu. Musi na nim widnieć podpis Wellsa, prawda?

– Ach – rzekł Lauderback. – Tak.

– Ale nie – Gascoigne zmienił zdanie. – To by nie wystarczyło. Żeby dowieść sfałszowania podpisu nieżyjącego człowieka, trzeba dysponować więcej niż jednym wzorem

jego podpisu.

– A ilu takich podpisów byłoby trzeba? – zapytał Lauderback.

Gascoigne wzruszył ramionami.

– Nie znam się na prawie, ale przypuszczam, że kilku, jeśli chcielibyśmy znaleźć różnice i udowodnić fałszerstwo.

– Kilka wzorów podpisu – powtórzył jak echo Lauderback.

– No cóż – rzekł Gascoigne, wstając. – Mam nadzieję, że uda się panu coś znaleźć, panie Lauderback. Tymczasem jednak obawiam się, że jestem prawnie zobowiązany wykonać polecenie pana Garrity’ego i zanieść te papiery do banku.

Φ

Po wyjściu z Fortuny Wędrowca kapelan nie odprowadził Anny Wetherell od razu do sądu, tylko zabrał ją do hotelu Pod Głową Garricka, gdzie zamówił jedną porcję zapiekanki z ryby, będącej tu odwieczną specjalnością w porze lunchu, i szklanek napoju cytrynowego. Kazał Annie usiąść, postawił przed nią talerz i poprosił, aby się posiliła, co uczyniła posłusznie i w milczeniu. Kiedy talerz był już czysty, Devlin podsunął jej ocukrzony napój i zapytał:

– Gdzie jest pan Staines?

Panna Wetherell nie wydawała się zaskoczona tym pytaniem. Wzięła szklanekę, pociągnęła łyk, skrzywiła się, bo napój był bardzo słodki, a potem siedziała przez chwilę, wpatrując się w kapelana.

– W głębi lądu – odezwała się w końcu. – Gdzieś w głębi lądu. Nie wiem dokładnie gdzie.

– Na północy czy na południu?

– Nie wiem.

– Czy jest przetrzymywany wbrew swojej woli?

– Nie wiem.

– Wiesz – odpowiedział Devlin.

– Nie. Nie widziałam go od stycznia i nie mam pojęcia, dlaczego zniknął. Wiem tylko tyle, że żyje i przebywa gdzieś w głębi wyspy.

– Bo dostaje pani od niego wiadomości. W głowie.

– Wiadomości to nie było odpowiednie słowo – odparła Anna. – To nie tak... To raczej coś jak... przeczucie. Wie ksiądz, jak kiedy próbujemy sobie przypomnieć sen i pamiętamy jego formę i znaczenie, ale żadnych szczegółów, nic pewnego. Im bardziej próbujemy sobie go potem przypomnieć, tym bardziej staje się mglisty.

Devlin zmarszczył brwi.

– A więc ma pani przeczucie?

– Tak – odrzekła Anna.

– Ma pani przeczucie, że pan Staines przebywa gdzieś w głębi wyspy i żyje.

– Tak – odrzekła Anna. – Nie potrafię podać żadnych szczegółów. Wiem, że jest w jakiejś błotnistej okolicy. Albo liściastej. Gdzieś w pobliżu wody, ale nie na plaży. Ta woda szybko się porusza. Płyne po kamieniach... Widzi ksiądz: kiedy tylko próbuję to ująć w słowa, obraz mi się wymyka.

– Wszystko to brzmi bardzo niejasno, moja droga.

– To nie jest niejasne – zaprzeczyła Anna. – Jestem tego pewna. Tak jak jesteśmy pewni, że coś nam się przyśniło... Wiemy, że mieliśmy sen... Ale nie jesteśmy w stanie przypomnieć sobie jego szczegółów.

– Od jak dawna ma pani te przeczucia? Te „sny”?

– Odkąd przestałam się prostytuować – odpowiedziała Anna. – Od dnia mojego omdlenia.

– Innymi słowy, odkąd zniknął Staines.

– Od 14 stycznia. To było wtedy.

– I zawsze jest tak samo? Woda i błoto. To stale ten sam sen?

– Nie.

Nie rozwinęła tematu, więc żeby jej pomóc, Devlin zapytał:

– No i co jeszcze?

– Och – odpowiedziała z zakłopotaniem. – To tylko przeczucia, naprawdę. Krótkie obrazy. Wyobrażenia.

– Jakie wyobrażenia?

Odwróciła się od niego.

– Wyobrażenia mnie.

– Obawiam się, że nie rozumiem.

Anna odwróciła dłoń.

– Chodzi mi o to, co on o mnie myśli. To znaczy pan Staines. Co sobie wyobraża, kiedy o mnie myśli.

– Widzi pani siebie, ale jego oczami.

– Tak – odparła Anna. – Właśnie.

- Czy mam z tego wnosić, że pan Staines wysoko panią ceni?
- On mnie kocha – powiedziała. Po chwili powtórzyła: – Kocha mnie.

Devlin przyjrzał się jej krytycznym okiem.

- Rozumiem – powiedział. – Czy wyznał pani miłość?
- Nie – odparła Anna. – Nie musiał. I tak wiem, że mnie kocha.
- Często miewa pani te przeczucia?
- Bardzo. Pan Staines myśli o mnie nieustannie.

Devlin skinął głową. Sytuacja wreszcie stawała się dla niego zrozumiała, ale wraz z jej narastającą jasnością zaczynało brakować mu odwagi.

- A czy pani kocha pana Stainesa, panno Wetherell?
- Rozmawialiśmy na ten temat – powiedziała. – Wieczorem tego dnia, kiedy zniknął. Mówiliśmy różne głupstwa, ja powiedziałam coś niemądrego o nieodwzajemnionej miłości, a on zrobił się bardzo poważny, powstrzymał mnie i powiedział, że nie ma czegoś takiego, że nieodwzajemniona miłość to nie byłaby miłość. Powiedział, że miłość należy hojnie dawać i brać, tak aby kochankowie łącząc się, stanowili dwie połówki całości.

- To spostrzeżenie pełne namiętności – rzekł Devlin.
- Wydawało się, że te słowa sprawiły dziewczynie przyjemność.
- Tak – odpowiedziała.
 - Ale nawet po tym wszystkim nie wyznał pani miłości.
 - Nie składał mi żadnych przysiąg, już mówiłam.
 - Pani jemu też nie.
 - Nie miałam już potem okazji. Tego wieczoru zniknął.

Cowell Devlin westchnął. Tak, wreszcie zrozumiał Annę Wetherell, ale nie był z tego powodu szczęśliwy. Znał wiele kobiet o nędznych perspektywach i skromnym majątku, dla których jedyną drogą ucieczki z żalosnej klatki nieszczęścia była wybijająca wyobraźnia. Tego rodzaju fantasmagorie miały nieodmiennie magiczny charakter: wsparcie ze strony aniołów, zaproszenia do raju – a w opowieści Anny, chociaż wruszającej, również znajdował się wątek fantastyczny. Co więcej, było boleśnie ewidentne, że dziewczyna fantazjuje! Czyżby najbardziej pożądanym kawalerem, którego znała, pokochał ją miłością tak głęboką i czystą, że unieważniała wszystkie inne dzielące ich różnice? A zatem Staines nie umarł, tylko zniknął? Przesyłał jej „wiadomości”, które dowodziły, jak głęboka jest jego miłość, i były to „wiadomości”, które mogła usłyszeć wyłącznie ona? Devlin uznał, że to wymysł dziewczyny. Emery Staines z całą pewnością nie żyje, nie może być inaczej.

– Chciałaby pani, żeby pan Staines bardzo panią kochał, prawda, panno Wetherell?

Anna wydawała się urażona tą sugestią.

– On mnie naprawdę kocha.

– Nie o to pytałem.

Spojrzała na niego spod przymrużonych powiek.

– Każdy chce być kochany.

– To bez wątplenia prawda – odparł ze smutkiem Devlin. – Każdy chce być kochany... I potrzebuje miłości, tak mi się wydaje. Człowiek bez miłości nie może być sobą.

– Myśli ksiądz podobnie jak pan Staines.

– Doprawdy?

– Tak – odrzekła Anna. – Powiedziałałby dokładnie coś takiego.

– Ten pani Staines jest prawdziwym filozofem, panno Wetherell.

– Wydaje mi się, że ksiądz powiedział właśnie komplement samemu sobie – odezwała się Anna z nieoczekiwanym uśmiechem.

Przez chwilę oboje milczeli. Anna znowu popiła swój słodzony napój, a Devlin w zamyśleniu rozglądał się po hotelowej jadalni. Chwilę później ręka Anny powędrowała na jej pierś, gdzie spoczywał sfalszowany akt darowizny.

Devlin zmierzył dziewczynę ostrym spojrzeniem.

– Ma pani sporo czasu, żeby zmienić zdanie.

– Ja tylko chcę zasięgnąć opinii prawnika.

– Ma pani już opinię duchownego.

– Tak – odrzekła Anna. – Błogosławieni ubodzy duchem.

Wydawało się, że niemal natychmiast pożałowała swojej arogancji. Jej twarz i szyję oblał gwałtowny rumieniec i odwróciła się. Nagle Devlin nie chciał mieć z nią więcej nic wspólnego. Odsunął krzesło od stołu i położył ręce na kolanach.

– Odprowadzę panią do sądu i ani kroku dalej – zapowiedział. – To, co pani robi z dokumentem, znajdującym się obecnie w pani posiadaniu, odtąd mnie nie obchodzi. Musi pani jednak wiedzieć, że nie będę kłamał, żeby panią osłonić. A już na pewno nie będę kłamał w sądzie. Jeśli ktoś mnie zapyta, nie zawaham się i powiem prawdę, która wygląda tak, że własnoręcznie sfalszowała pani akt darowizny.

– W porządku – powiedziała Anna, wstając. – Bardzo dziękuję za zapiekankę. I napój. I za to wszystko, co ksiądz mówił pani Wells.

Devlin też podniósł się z miejsca.

– Nie powinna mi pani za to dziękować. Obawiam się, że dałem się ponieść emocjom. Nie byłem sobą.

– Zachował się ksiądz wspaniale – odparła Anna. Podeszła do niego, położyła mu ręce na ramionach i w geście sympatii pocałowała go w policzek.

Φ

Kiedy Anna Wetherell weszła do gmachu sądu w Hokitika, Aubert Gascoigne udał się już do banku z listem od Johna Hinchera Garrity’ego umieszczonym w zaciszu wewnętrznej kieszeni surduta. Alistair Lauderback dawno już opuścił sąd. Annę przyjął czerwony na twarzy adwokat nazwiskiem Fellowes, którego nie знаła. Wskazał jej wnękę po drugiej stronie korytarza, gdzie usiedli naprzeciwko siebie przy zwyczajnym stole. Anna bez słowa podała mu nadpalony dokument. Prawnik położył go przed sobą, przysuwając brzeg równiutko do krawędzi stołu, po czym osłonił oczy dłońmi, żeby przeczytać treść aktu darowizny.

– Skąd pani to ma? – zapytał w końcu Fellowes, podnosząc wzrok.

– Dostałam – powiedziała Anna. – Nie wiem, od kogo.

– Kiedy?

– Dzisiaj rano.

– W jaki sposób?

– Ktoś wsunął mi go pod drzwi – skłamała Anna. – Kiedy pani Wells była w sądzie.

– Tu, u nas, w sądzie, gdzie dowiedziała się, że jej apelacja została ostatecznie uwzględniona – odpowiedział Fellowes ze sceptycznym naciskiem. Znów zaczął przeglądać dokument. – Crosbie Wells... A Staines to ten jegomość, z którym nikt nie ma kontaktu... A panna Wetherell to pani. To dziwne. Nie domyśla się pani, kto podrzucił ten dokument pod drzwi?

– Nie.

– Ani dlaczego to zrobił?

– Nie – odpowiedziała Anna. – Przypuszczam, że ktoś pragnął oddać mi przysługę.

– Ma pani na myśli kogoś konkretnego? Zechciałaby pani wysunąć jakieś domysły?

– Nie. Chcę tylko się dowiedzieć, czy ten papier jest ważny.

– Wydaje się w porządku – powiedział Fellowes, przyglądając się dokumentowi. – Ale taka umowa to nie to samo co czek bankowy, prawda? Nie w zaistniałej sytuacji. Minęło osiem tygodni, a pana Stainesa ciągle nie ma.

– Nie rozumiem.

– No cóż... Nawet jeśli ten akt darowizny jest ważny, to nasz zacny przyjaciel, pan Staines, nie dysponuje już dwoma tysiącami funtów do wydania. Wszystkie jego aktywa zostały przejęte przez Koronę z powodu jego zniknięcia, a decyzja w tej sprawie uprawomocniła się w piątek. Pan Staines będzie miał szczęście, jeśli uda mu się wykrobać chociaż kilkaset funtów z tego, co mu zostało.

– Ale darowizna jest wiążąca – powiedziała Anna. – Mimo wszystko.

Prawnik pokręcił głową.

– Powiadam ci, dziewczyno, że nasz pan Staines nie może podarować ci dwóch tysięcy funtów, chyba że jakimś cudem odnajdzie się żywy i będzie miał przy sobie wielką sumę pieniędzy. Jego działki zostały przejęte i wykupione przez nowych właścicieli.

– Ale darowizna jest wiążąca. Musi być.

Pan Fellowes uśmiechnął się.

– Obawiam się, że prawo nie działa w ten sposób. Proszę się zastanowić. Mógłbym w tej chwili wypisać pani czek na milion funtów, ale jeśli nie mam w kieszeni ani grosza i ani jednego żyranta, to nie wzbogaciła się pani o ten milion, prawda? Pieniądze zawsze ktoś musi wyjąć z kieszeni, a jeżeli wszystkie kieszenie są puste... No to wtedy nic już się nie da zrobić, bez względu na czyjekolwiek roszczenia.

– Pan Staines ma dwa tysiące funtów – powiedziała Anna.

– No tak... Cóż, gdyby je miał, to byłaby inna historia.

– Nie. Powiadam panu, że pan Staines ma dwa tysiące funtów.

– Jak to możliwe?

– Złoto znalezione w domku Crosbiego Wellsa należało do niego.

Fellowes milczał. Przypatrywał się dziewczynie przez kilka chwil, a potem zupełnie innym głosem zapytał:

– Można to udowodnić?

Anna powtórzyła, co powiedział jej dziś rano Devlin – że złoto zostało przetopione i oznaczone nazwą, dzięki której można było określić jego pochodzenie.

– Z której kopalni zostało wydobyte?

– Nie pamiętam – odparła Anna.

– Kto pani o tym powiedział?

Zawahała się.

– Wolałabym o tym nie mówić.

Fellowes wyglądał na zaintrygowanego.

– Moglibyśmy sprawdzić, czy to prawda. Ostatecznie złoto stanowiło część majątku Wellsa, zatem gdzieś w banku powinny być na to jakieś dokumenty. Zastanawiam się, dlaczego ta sprawa nie wypłynęła wcześniej. Może ktoś w banku wstrzymuje informacje na ten temat.

– Jeżeli to prawda, to znaczy, że część majątku jest moja, mam rację? Część majątku warta dwa tysiące funtów na mocy tego aktu darowizny.

– Panno Wetherell, takie pieniądze niełatwo przechodzą z rąk do rąk – odpowiedział Fellowes. – Obawiam się, że to nie takie proste jak wypisanie czeku. Przyznaję jednak, że przyszła pani do nas w samą porę, bo apelacja pani Wells została niedawno uznana, a proces uwolnienia należnego jej spadku właśnie się rozpoczął. Z łatwością mogę go powstrzymać, a my w tym czasie zastanowimy się, co począć z tym dokumentem.

– Tak – odpowiedziała Anna. – Zrobi pan to?

– Jeśli zgodzi się pani, żebym został pani adwokatem, to uczynię wszystko, co w mojej mocy, aby pani pomóc – oświadczył Fellowes, opierając się plecami o oparcie krzesła. – Moje honorarium wynosi dwa funty tygodniowo i obejmuje koszty własne. Oczywiście żądam zapłaty z góry.

Pokręciła głową.

– Nie mogę zapłacić z góry. Nie mam ani grosza.

– Więc może powinna pani zaciągnąć jakąś pożyczkę – podsunął nieśmiało Fellowes, odwracając wzrok. – Niestety, jestem bardzo skrupulatny w sprawach finansowych. Nie robię wyjątków i niczego nie przyjmuję na słowo. Osobiście nie mam nic przeciwko pani, moje nastawienie wynika z odpowiedniego przygotowania zawodowego, to wszystko.

– Jeśli zgodzi się pan mnie reprezentować, zapłacę panu potrójnie, kiedy dostanę pieniądze.

– Potrójnie? – Fellowes uśmiechnął się łagodnie. – Procesy sądowe często ciągną się bardzo długo, panno Wetherell, a czasami nie przynoszą rezultatów. Nie ma żadnej gwarancji, że w ogóle dostanie pani te pieniądze. Rozpatrzenie apelacji pani Wells trwało dwa miesiące, a pani sama jest żywym dowodem na to, że sprawa jeszcze się nie zakończyła!

– Potrójne wynagrodzenie, podwyższając je nawet do stu funtów – powiedziała stanowczo Anna. – Ale jeśli zdobędzie pan dla mnie te pieniądze w dwa tygodnie, zapłacę panu dwieście funtów gotówką.

Fellowes uniósł brwi.

– O rety – odpowiedział. – To bardzo odważna oferta.

– Wynika z mojego odpowiedniego przygotowania zawodowego – odpowiedziała Anna.

Tu jednak panna Wetherell popełniła błąd. Pan Fellowes otworzył szeroko oczy, a potem

gwałtownie drgnął. Ależ to przecież dziwka, pomyślał, i dopiero potem wróciła mu pamięć – to ta sama kurwa, która próbowała odebrać sobie życie na Drodze do Kaniere, w dniu, kiedy zniknął Staines i umarł Wells! Fellowes mieszkał w Hokitika od niedawna: nie znał Anny Wetherell z widzenia i nie od razu skojarzył jej nazwisko. Dopiero po tej jej zuchwałej uwadze zorientował się nagle, z kim ma do czynienia.

Anna uznała jego zakłopotanie za zwykłe wahanie.

– Zgadza się pan na moje warunki, panie Fellowes?

Fellowes spojrział na nią uważnie.

– Zasięgnę języka w Banku Rezerw w sprawie rzekomego zatajenia informacji przez bank – odpowiedział. – Jeżeli plotka, którą pani słyszała, znajdzie potwierdzenie, to podpiszemy umowę, a jeśli nie, to boję się, że nie będę mógł pani pomóc.

– Jest pan bardzo miły – powiedziała Anna.

– Nic podobnego – odparł szorstko Fellowes. – Gdzie mógłbym panią znaleźć, powiedzmy, za trzy godziny?

Anna zawahała się. Tego popołudnia nie mogła wrócić do Fortuny Wędrowca. Nie ma przy sobie pieniędzy, ale może poprosi jakiegoś dawnego znajomego, żeby postawił jej drinka w którejś z tawern przy ulicy Revella.

– Ja po prostu wrócę – powiedziała. – Wrócę do sądu i spotkamy się tutaj.

– Jak pani sobie życzy – powiedział Fellowes. – Weźmy pod uwagę możliwe opóźnienia i umówmy się, powiedzmy, o piątej.

– O piątej – powiedziała Anna. Wyciągnęła rękę po nadpalony dokument, ale Fellowes otwierał już pugilares, by wsunąć do niego papier.

– Może jednak ja to zatrzymam – powiedział. – Na razie, oczywiście.

ROSNĄCY KSIĘŻYC W BARANIE

Rozdział, w którym Te Rau Tauwhare dokonuje zdumiewającego odkrycia

Te Rau Tauwhare przeskakiwał z kamienia na kamień przez płycizny rzeki Arahura, kierując się w stronę plaży. Był bardzo zadowolony. Ostatni miesiąc spędził z grupą geodetów w Dolinie Mylnej i miał pełną kabzę, a poza tym tego ranka natrafił na cudowny łupek *kahurangi pounamu*, tak ciężki, że torba z każdym krokiem obijała mu się o plecy.

W Mawhera byłaby już pora na wykopki kumary, o czym wiedział na podstawie wyglądu *Whanui* na północnym niebie; gwiazda wisiała nisko na horyzoncie, wschodziła dobrze po północy i zachodziła na długo przed świtem. Jego lud nazywał ten miesiąc *Pou-tu-te-rangi*, czyli Pał, który podnosi niebo, bo nocami *Te Ikaroa* tworzyła mleczny łuk, biegnący z północy na południe przez czarną kopułę niebios. Wisiała między *Whanui* na północy i *Autahi* na południu i przechodziła przez czerwony klejnot *Rehua*, znajdujący się dokładnie nad głową Maorysa. Każdej nocy niebo stawało się na chwilę idealnym kompasem, którego igłę stanowił mglisty pas gwiazd. Wraz ze wschodem *Whanui* wykopywano plony z ziemi; potem przychodził miesiąc *Paenga-wha-wha*, kiedy bulwy układano w stosy na skrajach pól, by można je było podzielić i policzyć, a potem przenieść do ziemianek i magazynów, gdzie trzymano zapasy na zbliżającą się zimę. Po *Paenga-wha-wha* rok dobiegał końca – albo, jak ujmował to *tohunga*, „dobiał kresu swojego żywota”.

Te Rau Tauwhare obszedł zakole rzeki, wyszedł z wody i wdrapał się na brzeg. Domek Crosbiego Wellsa z każdym dniem wyglądał coraz gorzej. Błaznany dach zarzewiał i nabrał płonącopomarańczowej barwy, a zaprawa zmieniła kolor z białego na jasnozielony. Rośliny w ogródku, założonym przez Wellsa, już dawno wydały nasiona. Tauwhare ruszył ścieżką, z żalem przyglądając się tym oznakom zniszczenia – a potem nagle przystanął.

Ktoś był w środku.

Powoli podszedł bliżej i zajrzał przez otwarte drzwi w półmrok izby. Postać, którą wcześniej zauważył, leżała zwinięta w kłębek na podłodze, martwa albo pogrążona we śnie. Był to mężczyzna. Spoczywał na boku, kolana miał podciągnięte niemal pod brodę, a twarz odwróconą od drzwi. Tauwhare podszedł jeszcze bliżej. Zauważył, że nieznajomy jest w surducie i spodniach, a nie w moleskinowym stroju kopacza. Tkanina, okrywająca żebra leżącego, poruszała się bardzo nieznacznie, podnosząc się i opadając z każdym oddechem. A więc ten człowiek śpi...

Tauwhare wszedł, starając się, żeby jego cień nie padł na mężczyznę i nie obudził go. Poruszając się z wolna, obszedł śpiącego od strony ściany domku, by spojrzeć na jego twarz. Mężczyzna był bardzo młody. Miał przetłuszczone i prawie czarne od błota włosy, jego twarz wydawała się więc niemal biała. Można byłoby ją nazwać przystojną, gdyby nie była tak strasznie wychudzona. Na powiekach nieznajomego widać było fioletowe plamki, a pod oczami ciemne sińce. Oddychał niespokojnie i nieregularnie. Tauwhare przyjrzał mu się.

Ubranie młodzieńca było niemal w strzępach i najwyraźniej niezmiennie od wielu tygodni, pokrywała je bowiem gruba warstwa różnobarwnego błota i ziemi. Bez wątplenia jednak surdut nieznanego był kiedyś piękny, podobnie jak sztywny od błota fontaż w modnym fasonie.

– Pan Staines? – szepnął Tauwhare.

Młodzieniec otworzył oczy.

– Dzień dobry – odpowiedział. – Witam.

– Pan Staines?

– Tak, to ja – odpowiedział chłopak wysokim i bardzo pogodnym głosem. Podniósł głowę. – Przepraszam. Przepraszam. Czy znajduję się na ziemi Maorysów?

– Nie – odrzekł Tauwhare. – Od dawna pan tu jest?

– To nie jest ziemia Maorysów?

– Nie.

– Muszę się dostać na ich terytorium – powiedział młodzieniec, usiłując usiąść. Lewą rękę trzymał jakoś dziwnie na wysokości piersi.

– Dlaczego?

– Zakopałem tam coś – odpowiedział Staines. – Pod drzewem. Ale dla mnie wszystkie drzewa wyglądają tak samo i boję się, że wpadłem w niejaką kabałę. Dzięki Bogu, że pan się pojawił, jestem bardzo wdzięczny.

– Pan zniknął – powiedział Tauwhare.

– Może na jakieś trzy dni – odparł młodzieniec, osuwając się z powrotem na podłogę. – Wydaje mi się, że to było trzy dni temu. Straciłem poczucie czasu i nie jestem w stanie go uporządkować. Kiedy człowiek jest sam, nie zauważa, jak upływa czas. Na honor: mógłby pan to obejrzeć? Bardzo proszę.

Obciągnął kołnierzyk koszuli i Tauwhare zobaczył, że ciemna plama na fontaziu to w istocie lepki strup skrzepłej krwi. Nad obojczykiem Stainesa widniała rana i nawet z odległości kilku stóp Maorys zobaczył, że jest bardzo poważna. Zaczęła ropieć. Środek rany był czarny, a otaczały go układające się promieniście paluchy czerwieni, wyglądające jak włócznie. Tauwhare widział czarne cętki prochu strzelniczego, majaczące ciemno na białym tle piersi młodzieńca, i domyślił się, że może to być tylko rana po kuli. Najwyraźniej jakiś czas temu ktoś strzelił do Emery'ego Stainesa z bardzo bliska.

– Potrzeba panu lekarstwa – powiedział.

– Właśnie – odrzekł Staines. – Właśnie tak. Mógłby mi je pan przynieść? Byłbym panu nad wyraz zobowiązany. Niestety, nie znam pańskiego nazwiska.

– Nazywam się Te Rau Tauwhare.

– Jesteś pan Maorysem! – odpowiedział Staines, mrugając powiekami, jak gdyby dopiero teraz zobaczył Tauwharego. Oczy rozbiegły mu się na boki i jego wzrok odzyskał ostrość dopiero po chwili. – Czy to ziemia Maorysów?

Tauwhare wskazał na wschód.

– Terytorium maoryskie jest tam – powiedział.

– Tam? – Staines spojrział w kierunku, który wskazywał Tauwhare. – To dlaczego pan jest tutaj, jeżeli pańska ziemia leży tam?

– To dom mojego przyjaciela – odparł Tauwhare. – Crosbiego Wellsa.

– Crosbie, Crosbie – powiedział Staines, zamykając oczy. – To ten, którego wykiwali, nie? Boże, ile on może wypić. Ma potwornie mocny łeb. No to gdzie on jest? Kręci się po lesie?

– Nie żyje – odparł Tauwhare.

– Ogromnie mi przykro to słyszeć – wymamrotał Staines. – To straszliwy cios. A pan był jego przyjacielem... Bardzo dobrym przyjacielem! I Anna... Mam nadzieję, że przyjmie pan moje kondolencje... Ale ja już zapomniałem, jak pan się nazywa.

– Te Rau – powiedział Tauwhare.

– No tak. No tak. – Staines urwał na chwilę, żałośnie wyczerpany, a potem dodał: – Nie miałbyś nic przeciwko temu, żeby mnie tam zaprowadzić, stary? Nie miałbyś nic przeciwko temu?

– Dokąd?

– Na ziemi Maorysów – odpowiedział Staines, znów zamykając oczy. – Widzisz, zakopałem tam bardzo dużo złota i jeśli mi pomożesz, nie odmówię ci jego drobnej części. Dam ci, ile zechcesz. Ile zechcesz. Dobrze pamiętam to miejsce: tam rośnie drzewo. Złoto jest pod drzewem. – Otworzył oczy i posłał Tauwharemu prośące, zamglone spojrzenie.

Tauwhare spróbował raz jeszcze.

– Gdzie się pan podziewał, panie Staines?

– Szukałem swojej bonanzy. Wiem, że jest na ziemi Maorysów... Ale nie ma żadnych znaków, wytyczających jej granice, prawda? Żadnego płotu granicznego. Ludzie zawsze mówili, że na Zachodnim Wybrzeżu nie można się zgubić, bo z jednej strony rozciągają się góry, a z drugiej morze... Ale wydaje mi się, że trochę się plączę, Te Rau. Nazywasz się Te Rau, nie? Tak. Tak. Zgubiłem się.

Tauwhare podszedł bliżej i ukląkł. Rana Stainesa z bliska wyglądała jeszcze gorzej. Na środku czarnej przestrzeliny widniał gruby strup, spod którego połyskiwała żółcień ropy. Maorys wyciągnął rękę i dotknął policzka młodzieńca, żeby sprawdzić, czy ma temperaturę.

– Jest pan chory. Ma pan gorączkę – powiedział. – To bardzo ciężka rana.

– Kompletnie mnie zaskoczyli – powiedział Staines, wpatrując się w Tauwharego. – Dopiero co zszedłem ze statku i byłem jeszcze bardzo łatwowierny. Niczego tak dobrze nie widać po mężczyźnie, jak braku doświadczenia. Kompletnie mnie zaskoczyli. Wielkie nieba, jak to dobrze cię widzieć! Strasznie przepraszam, że mówię tak chaotycznie. Bardzo mi przykro, że twój druh Crosbie odszedł. Naprawdę. Co powiedziałaś, że jakie masz dla mnie lekarstwo?

– Przyniosę je panu – powiedział Tauwhare. – Proszę tu zaczekać.

Nie wyglądało na to, żeby Maorys miał nadzieję na poprawę stanu zdrowia Stainesa. Młodzieniec bredził i na pewno nie zdołałby sam wrócić do Hokitika. Trzeba będzie zanieść go do miasta na noszach albo przewieźć na wozie, a Tauwhare znał już szpital w Hokitika na tyle, żeby wiedzieć, że ludzie idą tam na śmierć, a nie po to, by odzyskać zdrowie. Szpital był kryty brezentem, ściany zaś miał zbite z surowych desek. Ostry wiatr tasmański wciskał się w ich szpary, z każdym kolejnym powiewem wywołując nową kakofonię kaszlu i rżenia. W środku śmierdziało brudem i chorobą. Nie było świeżej wody i pościeli, utrzymywano tylko jeden oddział. Pacjenci musieli spać w ciasnocie, jeden obok drugiego, a czasami nawet dzielić łóżko.

– Pół na pół – mówił młodzieniec. – Wydawało mi się to uczciwe. Połowa dla ciebie, połowa dla mnie. „No to co? – odpowiedział. – Będziemy współnikami”.

Tauwhare zastanawiał się, jak daleko jest z domku do Hokitika. Mógł szybko pobiec do miasta, zaalarmować doktora Gilliesa, wynająć furę albo wózek konny i wrócić za nie mniej niż trzy godziny... Ale czy za trzy godziny nie będzie za późno? Czy młodzieniec do tego czasu nie umrze? Siostra Tauwharego zmarła na febrę i tuż przed śmiercią zachowywała się bardzo podobnie do Stainesa – miała błyszczące, bystre, a zarazem nieruchome spojrzenie, mówiła od rzeczy i bezładnie. Tauwhare go zostawi, a wówczas młodzieńcowi grozi śmierć... Co jednak może zrobić, jeśli przy nim zostanie? Maorys nagle podjął decyzję i pochylił głowę, aby odmówić *karakia* w intencji wyzdrowienia młodego człowieka.

– *Tutakina i te iwi* – powiedział. – *Tutakina i te toto. Tutakina i te iko. Tutakina i te uaua. Tutakina kia u. Tutakina kia mau. Tenei te rangi ka tutaki. Tenei te rangi ka ruruku. Tenei te papa ka wheuka. E rangi e, awhitia. E papa e, awhitia. Nau ka awhi, ka awhi.*

Podniósł głowę.

– To jakiś wiersz? – zapytał, wpatrując się w niego Staines. – Co to znaczy?

– Prosiłem, żeby twoja rana się zagoiła – odrzekł Tauwhare. – A teraz przyniosę lekarstwo. – Zdjął sakwę, wyciągnął manierkę i wcisnął ją młodzieńcowi w dłoń.

– Czy to opium? – spytał chłopak, drżąc lekko. – Nigdy nie paliłem, ale wiem, jak opium kąsa człowieka... Jakbyś miał ciernie w palcach i skrępowane sznurem serce... Opium zawsze się czuje. Nie daje ci spokoju. Nie daje spokoju. Dałbyś mi trochę zapalić. Wiem, że tak.

Porządny z ciebie gość.

Tauwhare zrzucił wełniany płaszcz i położył go na nogach chłopca.

– Dopóki nie znajdę tego drzewa na maoryskiej ziemi – powiedział młodzieniec. – Dostaniesz tyle uncji, ile będziesz chciał. Ale ja szukam tylko dobrego towaru. Idziesz do aptekarza? Mam otwarte konto u Pritcharda. Pritchard jest w porządku. Poproś go. Nigdy wcześniej nawet nie tknąłem fajki.

– To woda – powiedział Tauwhare, wskazując manierkę. – Wypij.

– Jakie to niebywale miłe z twojej strony – odpowiedział młodzieniec, zamykając oczy.

– Zostań tutaj – polecił mu stanowczym głosem Tauwhare i wstał. – Idę do Hokitika i powiem, gdzie jesteś. Zaraz będę z powrotem.

– Troszeczkę dobrego towaru – dodał wciąż z zamkniętymi oczami Staines, kiedy Tauwhare już wychodził z domu. – A kiedy wrócisz, pójdziemy poszukać tego całego złota. Albo zaczniemy od dymka... Tak. Zrób to jak należy. Ależ to pragnienie jest jak nieodwzajemniona miłość! Tylko czy to może być miłość, skoro jest nieodwzajemniona? Wielki Boże. Lekarstwo, powiada. A przecież to Maorys!

MARS W WODNIKU

Rozdział, w którym Sook Yonsheng odwiedza przyjaciela z bardzo dawnych lat, a Francis Carver udziela pewnej rady

Po dokonaniu rankiem swojego zakupu za pięć funtów w firmie Brunton, Solomon & Barnes Sook Yongsheng natychmiast zaczął się ukrywać. Sprzedawca, który naładował mu broń, najwyraźniej odnosił się do niego bardzo podejrzliwie, chociaż przyjął banknot bez oporów. Odprowadził Aha Sooka do drzwi sklepu, a Ah Sook, który dwukrotnie odwrócił się przez ramię, widział go, jak stoi z założonymi na piersiach rękami i patrzy w ślad za nim spode łba. Chińczyk kupuje rewolwer za gotówkę, wyklada ją całą od razu, nie chce zapłacić więcej niż pięć funtów i prosi, żeby broń naładowano w sklepie? Podejrzeń w takiej sprawie nie można zachować dla siebie. Ah Sook bardzo dobrze wiedział, że zanim dotrze na róg Weld i Tancred, młyn plotek będzie już się kręcił, i to szybko. Musi znaleźć jakieś miejsce, żeby gdzieś się schować do zachodu słońca – a potem pod osłoną nocy zapuści się do najdalszej sypialni na parterze hotelu Korona.

W Hokitika nie było nikogo, komu Ah Sook mógłby zaufać na tyle, żeby poprosić o pomoc. Na pewno nie zwróci się do Anny – już nie. Ani do Manneringa. Ani do Pritcharda. Nie utrzymywał kontaktów z żadnym innym uczestnikiem narady w hotelu Korona, z wyjątkiem Aha Quee'ego, który oczywiście jest w Kaniere i szuka złota. Yonsheng zastanawiał się przez chwilę, czy nie wynająć pokoju w jednym z cieszących się najgorszą opinią hoteli we wschodniej części miasta, może nawet płacąc za tydzień z góry, żeby zamaskować swoje intencje... Ale nawet tam nie mógłby sobie zagwarantować anonimowości. Nie miał żadnej gwarancji, że właściciele nie będą o nim plotkować. Już sama jego obecność w Hokitika w poniedziałek rano rzuciła się w oczy, nie trzeba było nawet mielących języków. Lepiej nie ufać cudzej dyskrecji, pomyślał. Postanowił pójść na uliczkę, biegnącą równoległe do ulic Revella i Tankreda. Była to wyboista droga między parcelami, znajdującymi się na tyłach magazynów i hoteli na Revella, oraz parcelami leżącymi na tyłach chat przy Tankreda, frontami zwróconych na wschód. Ah Sook miał tu do dyspozycji wiele kryjówek, a uliczka była tak położona, że z każdej strony dałoby się na nią swobodnie wejść i z niej uciec. Najlepsze było jednak to, że rzadko pojawiali się tutaj przechodnie, a jeżeli już, to tylko handlarze oraz pocztylioni obsługujący hotele.

Sook Yongsheng schował się na podwórzu za składem win i wódek. Kawałek blachy falistej, oparty o ustęp, tworzył coś w rodzaju otwartej z dwóch stron przybudówki. Od strony alejki osłaniał ją duży krzak lnu, a od strony magazynu kupieckiego pompa do ustępu. Ah Sook wczuł się w trójkąt między kawałkiem blachy i wychodkiem i usiadł, krzyżując nogi. Siedział wciąż w ten sposób trzy godziny później, kiedy po ulicy Revella przebiegł pan Everard, krzycząc do wszystkich boyów hotelowych, że George Shepard wydał nakaz aresztowania pewnego Chińczyka.

Na słowa pana Everarda Aha Sooka przebiegł dreszcz. Teraz miał już pewność, że Francis

Carver został ostrzeżony. Ah Sook miał nad nim jednak pewną przewagę, czego Carver nie mógł podejrzewać: dzięki poufny informacjom od Waltera Moody'ego wiedział dokładnie, gdzie i kiedy może znaleźć kapitana. George Shepard może i już wydał nakaz, ale jeszcze go nie aresztował! Ah Sook nasłuchiwał, dopóki krzyk rozbrzmiewający na ulicy nie ucichł, a potem, uśmiechając się lekko, zamknął oczy.

– Co ty tu robisz?

Ah Sook drgnął. Z ręką wspartą o drzwi ustępu stał nad nim jakiś umorusany, może dwudziestopięcioletni młodzieniec w workowatym płaszczu i koszuli bez kołnierzyka.

– Wiesz, nie wolno tutaj tak koczować – odezwał się, marszcząc brwi. – To teren prywatny. Należy do pana Chesneya. Nie możesz tak po prostu mieszkać sobie na dziko, gdzie ci się podoba.

Ze składu win i wódek dobiegł inny głos:

– Z kim tam rozmawiasz, Ed?

– Jest tu jakiś żółtek... Po prostu sobie siedzi. Przed ustępem.

– Kto?

– Chińczyk.

– Korzysta z ustępu?

– Nie – zawołał młodzieniec. – Po prostu siedzi obok.

– No to powiedz mu, żeby sobie poszedł.

– Idź stąd – powiedział młodzieniec, łagodnie poszturchując Aha Sooka czubkiem buta. – Idź stąd. Nie możesz tu zostać.

Ze składu znów dobiegł głos.

– Jak powiedziałeś? Co on tam robi, Ed?

– Nic – odkrzyknął młokos. – Po prostu siedzi. Ma rewolwer.

– Co?

– Mówię, że rewolwer.

– I co z nim robi?

– Nic. Jeżeli dobrze widzę, nie sprawia żadnych kłopotów.

Cisza. Po chwili:

– Poszedł już sobie?

– Idź – powiedział znowu Ed do Aha Sooka z szerokim gestem. – Idź stąd.

Zmuszony się wreszcie poruszyć, Ah Sook wyślizgnął się spod blachy falistej i odszedł pospiesznie, czując na plecach pytający wzrok młodego człowieka. Schylił się pod sznurem do bielizny i wszedł do pachnących owsem stajni na tyłach hotelu Imperialnego. Zwiesił głowę, mocno przyciskając rewolwer do piersi. Oprócz parskania i tupania koni słyszał, że tamci dwaj ciągle pokrzykują do siebie, rozmawiając o nim. Wiedział, że wkrótce zacznie się pościg, musiał się więc gdzieś schować, i to szybko, nim ktoś podniesie alarm. Przebiegł przez stajnię i wyrzwał na zewnątrz nad wahadłowymi drzwiami. Przyjrzał się szeregowi parceli oraz widocznym dalej kuchniom w przybudówkach, obitym rypsem drzwiom dla handlarzy, wychodkom i dołom na śmieci. Gdzie będzie najbezpieczniej? Jego wzrok spoczął na zabudowaniach, składających się na Miasteczko Policyjne, i na będącym jego częścią drewnianym domku, w którym mieszkał George Shepard. Serce nagle mocniej zabiło mu w piersi. A dlaczego nie? – pomyślał w nagłym przyptywie odwagi. To ostatnie miejsce w Hokitika, w którym komuś przysłoby do głowy mnie szukać.

Ruszył krótką ścieżką, dzielącą stajnie od płotu, okalającego Miasteczko Policyjne, podszedł do drzwi kuchni George'a Shepada i raptownie zapukał. Czekał na odpowiedź, rozglądał się ukradkiem, ale uliczka była zupełnie pusta, a na podwórku po jego lewej i prawej ręce nie było nikogo. Jeżeli nie obserwowano go z jednego z hoteli – a było całkiem możliwe, że ktoś go jednak widzi, bo marszczone szyby nie pozwalały mu zobaczyć z zewnątrz, co dzieje się w środku – to nikt inny nie zauważyłby Aha Sooka, stojącego w cieniu przybudówki domku George'a Shepada z rewolwerem w dłoni.

– Kto tam? – zza drzwi dobiegł go kobiecy głos. – Kto tam?

– Dla Margaret – powiedział Sook Yongsheng, niemal dotykając ustami drewnianych drzwi.

– Kto?

– Dla Margaret Shepard.

– Ale kto tam? Kim pan jest?

Wydawało mu się, że ona też przysunęła się blisko drzwi; może nawet opiera się o nie z drugiej strony.

– Sook Yongsheng – powiedział. I po chwili, w narastającej ciszy: – Proszę.

Drzwi otworzyły się i jego oczom ukazała się Margaret Shepard.

– Margaret – powiedział przepelnięty serdecznością Ah Sook. Skłonił się.

Dopiero kiedy podniósł głowę, pozwolił sobie przyjrzeć się jej bliżej. Margaret, podobnie jak Lydia Wells, też wydawała mu się właściwie niezmienną od czasu ich ostatniego spotkania w sądzie w Sydney, kiedy zgłosiła się, by złożyć zeznania – fałszywe! – które ocaliły życie Ahowi Sookowi. Wprawdzie na czubku głowy pani Shepard było teraz widać smugę siwizny, jej włosy stały się łamliwe, a kilka kosmyków, wymykających się spod siatki

na włosy, tworzyło coś w rodzaju mgiełki wokół twarzy, lecz poza tą skromną oznaką postępującej starości rysy Margaret wydawały się Chińczykowi mniej więcej takie jak dawniej: miała te same, przestraszone i wodniste oczy, krzywy, szeroki u nasady nos, niewyraźnie zarysowane wargi i wejrzenie pełne przestraszonego zdumienia oraz niepokoju. Widok znajomej twarzy wyjątkowo pobudza naszą pamięć! Ah Sook w jednej chwili zobaczył, jak Margaret siada w fotelu dla świadków, spleta na kolanach dłonie w rękawiczkach, pomrukuje powiekami, patrząc na prokuratora, kaszle raz czy dwa w batystową chusteczkę, którą wsuwa w mankiet rękawa sukni, i znowu spleta ręce. A potem kłamie, by uratować mu życie.

Wpatrywała się w niego, po czym wybuchnęła śmiechem, który niemal przypominał czkawkę.

– Panie Sook, co... co pan, na Boga, tu robi? – parsknęła. – Nie wie pan, że wydano na pana nakaz aresztowania? Wystawił go George!

– Czy mogę wejść? – spytał Ah Sook. Trzymał rewolwer na biodrze, odwracając się bokiem, żeby go zasłonić, i Margaret na razie nie zauważyła, że Yongsheng ma broń.

Przez otwarte drzwi wpadł do środka wiatr, a wewnętrzne ściany domku zatrzęśły się i zatrzęszczały. Było widać, jak wiatr przesuwają się po napiętym perkalu.

– Szybko – powiedziała. – Szybko, już.

Wciągnęła go do domku i zamknęła drzwi.

– Po co pan przyszedł? – wyszeptała.

– Pani być bardzo dobra kobieta, Margaret.

Zmarszczyła twarz.

– Nie – powiedziała. – Nie.

Ah Sook pokiwał głową.

– Pani być bardzo dobra.

– Stawia mnie pan w strasznej sytuacji. Skąd pan wie, że nie zawiadomię George'a? Powinnam to zrobić! Jest na pana nakaz... A ja nawet nie wiedziałam, nie wiedziałam, że pan tu jest, usłyszałam o tym dopiero dzisiaj rano. Po co pan przyszedł?

Ah Sook powolnym ruchem wyciągnął rewolwer zza pleców.

Margaret podniosła rękę do ust.

– Pani mnie ukryć – powiedział.

– Nie mogę – odrzekła pani Shepard, trzymając wciąż dłoń przy ustach. Wpatrywała się w rewolwer. – Nie wie pan, o co pan prosi, panie Sook.

– Pani mnie ukryć do zmroku – powiedział Ah Sook. – Proszę.

Poruszyła nieznacznie ustami, jak gdyby gryzła palce, a potem zapytała:

– A dokąd pan pójdzie po zmroku?

– Odebrać życie Carverowi.

– Carver...

Jęknęła i szybko odbiegła, wykonując ręką taki gest, jak gdyby chciała mu pokazać, żeby odłożył broń, schował ją.

Ah Sook nie drgnął.

– Proszę, Margaret.

– Nawet mi się nie śniło, że jeszcze cię kiedyś zobaczę – powiedziała. – Nawet mi się nie śniło...

Przerwało jej energiczne pukanie: tym razem do drzwi frontowych, po drugiej stronie domku.

Margaret Shepard omal nie zadławiła się własnym oddechem i Ah Sook przez moment myślał, że żona naczelnika zwymiotuje. Po chwili podbiegła do niego i przycisnęła dłonie do jego piersi.

– Idź – szepnęła gorączkowo. – Tam. Wejdz pod łóżko. Znikaj. Idź. Idź. Idź.

Wepchnęła go do sypialni, którą dzieliła z naczelnikiem. Pokój był bardzo schludny, stały w nim dwie komódki i łóżko z żelazną ramą, nad którego zagłówkiem wisiał przypięty bieżnik. Ah Sook nie miał czasu, żeby się rozglądać. Padł na kolana i wślizgnął się pod łóżko, nadal trzymając w ręce rewolwer. Drzwi się zamknęły, w pokoju zrobiło się ciemno. Ah Sook usłyszał kroki w korytarzu, a potem odgłos podnoszonego haczyka. Obrócił się na bok. Widział przez perkalową ścianę, jak poszerza się kwadrat światła, a potem wkroczyła w niego łata mroku, przyćmiewając jasność pośrodku pokoju. Ah Sook poczuł nagle chłód wiatru.

– Dzień dobry, pani Shepard. Szukam pani męża. Jest w domu?

Ah Sook zeszywniał. Znał ten głos.

Margaret Shepard chyba pokręciła głową, bo Francis Carver powiedział:

– A zechciałaby mi pani powiedzieć, gdzie mógłbym go znaleźć?

– Na budowie, szanowny panie. – Margaret mówiła niewiele głośniej niż szeptem.

– Czyli na terasie Pejzaż Morski?

– Tak, szanowny panie.

Ah Sook ścisnął w dłoniach rewolwer Kerr Patent. Nic łatwiejszego, jak wyślizgnąć się

spod łóżka, wstać i przytknąć lufę do ściany. Kula przebija perkalowe przepierzenie z łatwością. Czy może być jednak pewien, że nie zrani pani Shepard? Spojrzał na plamę ciemności, usiłując zobaczyć, gdzie kończy się cień Carvera, a gdzie zaczyna się cień pani Shepard.

– Ogłoszono alarm – mówił Carver. – Shepard właśnie wydał nakaz aresztowania. W mieście bawi nasz dawny znajomy, Sook. Jest uzbrojony i kręci się w okolicy.

Żona naczelnika nie odpowiedziała. Ah Sook zaczął wyczołgiwać się spod łóżka w sypialni.

– Poluje na mnie – dodał Carver.

Nie było odpowiedzi: być może Margaret skinęła tylko głową.

– No cóż, pani małżonek oddał mi przysługę, wszczynając alarm – ciągnął Carver. – Niech pani powie mężowi, że jestem mu za to wdzięczny.

– Dobrze.

Carver sprawiał takie wrażenie, jakby się ociągał.

– Słyszałem plotki, że on mieszka w Hokitika od roku – powiedział. – Znaczy nasz wspólny przyjaciel. Na pewno go pani widziała.

– Nie – szepnęła w odpowiedzi.

– Nie widziała go pani? Czy nie wiedziała pani, że jest w mieście?

– Nie wiedziałam... – odparła. – Aż do dzisiejszego ranka.

Ah Sook, wciąż mierząc z rewolweru do cienia na perkalu, ukląkł, a potem wstał. Zaczął się przysuwać do ściany. Gdyby przechylił broń... Jeśli strzeli z ukosa, a nie na wprost...

– No cóż, George wiedział – rzekł Carver. – Już od pewnego czasu. Miał go na oku. Nie mówił pani o tym?

– Nie – szepnęła pani George.

Znowu zapadła cisza.

– To chyba zrozumiałe – powiedział Carver.

Ah Sook dotarł do drewnianej framugi drzwi sypialni. Znajdował się jakieś sześć stóp od kwadratu jasności, czyli od frontowych drzwi – od Carvera dzieliły go jedynie dwie warstwy perkalu. Czy Carver był uzbrojony? Yonsheng nie mógł tego wiedzieć, chyba że otworzyłby drzwi i stanął z nim twarzą w twarz – ale gdyby tak zrobił, straciłby kilka bezcennych sekund oraz przewagę, którą mu dawało zaskoczenie. Mimo to nadal nie miał odwagi strzelić, ponieważ bał się, że zrani panią Shepard. Przyglądał się kształtom na tkaninie, chcąc zobaczyć, gdzie dokładnie stoi Margaret. A te drzwi otwierają się na prawo czy na lewo?

Czerń cienia na perkalu jak gdyby lekko zgęstniała.

– Ciągle pani płaci za tamto, prawda? – zapytał Carver.

Cisza.

– I ciągle za mało.

Cisza.

– On nie chce pani pokuty – odezwał się znów Carver. – Proszę zapamiętać moje słowa, pani Shepard. To, czego pani mąż od pani chce, to nie jest pokuta. On chce czegoś dla siebie. George Shepard łaknie zemsty.

Margaret nareszcie odpowiedziała.

– George brzydzi się zemstą – odparła. – Mówi, że zemsta jest prymitywna. To akt zazdrości, nie sprawiedliwości.

– Ma słuszość – powiedział Carver. – Ale każdy z nas jest o coś zazdrosny.

Plama czerni w drzwiach zblakła i rozplynęła się, a Ah Sook usłyszał oddalające się kroki Carvera. Zabrzmiał chrzęst metalu, gdy pani Shepard ryglowała drzwi i zamykała je na łańcuch. Rozległy się cichsze kroki, coraz bliżej, i otworzyły się drzwi do sypialni. Pani Shepard spojrzała ze zdumieniem na Aha Sooka, a potem na rewolwer, który trzymał w ręku.

– Ty głupcze – powiedziała. – W biały dzień!

Ah Sook nie odpowiedział. Znów wydawało mu się, że pani Shepard dostała czkawki. Jej głos nabrał wysokiej barwy i przypominał szept, ale zarazem przeraźliwy krzyk.

– Jesteś przy zdrowych zmysłach? Jak myślisz, co by się ze mną stało, właśnie ze mną, gdybyś zabił tego człowieka na progu mojego domu? Jak mogłeś... Co ty sobie myślisz... Dyżurny policjant jest o pięć kroków stąd... Bez... I George! Co ty, na Boga, robisz!

Ah Sook zawstydził się.

– Przepraszam – odpowiedział, opuszczając rękę.

– Powiesiliby mnie – rzekła Margaret Shepard. – Zostałabym powieszona. Już George by tego dopilnował.

– Nic się nie stało – zauważył Ah Sook.

Kobieca histeria zmieniła się natychmiast w rozgoryczenie.

– Nic się nie stało – powtórzyła pani Shepard.

– Bardzo przykro, Margaret.

I rzeczywiście było mu bardzo przykro. Może stracił okazję, żeby zabić Carvera. Pewnie teraz pani Shepard wypędzi go na ulicę, zadzwoni po męża albo wezwie policjanta... Wtedy

Ah Sook zostanie schwyty, a Carver odejdzie wolno.

Margaret podeszła bliżej i wyjęła mu rewolwer z ręki. Trzymała go tylko przez chwilę, a potem ostrożnie odłożyła na bok, na sekretarzyk, uważając, aby lufa była odwrócona od niej i Aha Sooka. Wahała się przez chwilę, nie patrząc na niego, i odetchnęła głęboko kilka razy. Czekał.

– Zostaniesz tutaj do zmroku – odezwała się w końcu po cichu, nadal nie spoglądając na Chińczyka. – Zostaniesz pod łóżkiem do zapadnięcia ciemności, kiedy będziesz mógł bezpiecznie odejść.

– Margaret – powiedział Ah Sook.

– Co? – szepnęła, cofając się i rzucając szybkie spojrzenie na obudowę lampy, a potem na zagłówek łóżka. – Co?

– Dziękuję – powiedział Ah Sook.

Spojrzała na niego, po czym przez chwile zatrzymała wzrok na jego piersi i brzuchu.

– W tej tunice za bardzo rzucasz się w oczy – mruknęła. – Wyglądasz po prostu jak Chińczyk. Zaczekaj tutaj.

Wróciła dziesięć minut później z surdudem i spodniami, przewieszonymi przez ramię, a w rękę trzymała kapelusz o miękkiej główce.

– Przymierz to – powiedziała. – Przerobię spodnie, żeby na ciebie pasowały. Możesz też sobie pożyczyć koszulę z więzienia. Wyjdiesz stąd, wyglądając jak Anglik, panie Sook, albo nie wyjdiesz wcale.

Rozdział, w którym pan Staines zażywa lekarstwo, a panna Wetherell się przewraca

Te Rau Tauwhare dotarł do Salonu Aptecznego Pritcharda o wpół do czwartej. Gdy wybiła czwarta, Maorys i Pritchard siedzieli już na wynajętym wozie, pędząc na północ w dwa konie z taką szybkością, na jaką tylko pozwalała konstrukcja pojazdu. Pritchard stał na mocno ugiętych nogach, z gołą głową, i nie bacząc na nic, popędzał batem konie, którym aż leciała piana z pysków. Kieszeń surduta aptekarz miał wypchaną: była w niej szklana fiolka z laudanum, w której przelewał się gęsty, rdzawy płyn, pozostawiający na ściankach od wewnątrz oleisty osad, na przemian rozrzedzający się i gęstniejący za każdym razem, kiedy wóz podskakiwał na wybojach. Tauwhare trzymał się siedzenia obiema rękami, ze wszystkich sił starając się opanować mdłości.

– I powiedział, że chce, żebym to ja przyjechał – mówił do siebie uradowany Pritchard. – Nie lekarz, tylko ja!



Charlie Frost, wypytywany przez Fellowesa, adwokata, powiedział prawdę. Tak, majątek znaleziony w posiadłości Crosbiego Wellsa został już wcześniej przetopiony przez chińskiego złotnika, Quee'ego Longa, który do tamtego ranka był jedynym kopaczem, zatrudnionym przez pana Stainesa na działce o nazwie Aurora. Pan Fellowes zapisał to w swoim notesie i bardzo uprzejmie podziękował młodemu bankowcowi za pomoc. Potem wyciągnął nadpalony akt darowizny, który dała mu Anna, i bez słowa podsunął go Charliemu.

Ten spojrział na niego i zdumiał się.

– Jest podpisany – stwierdził.

– Słucham? – powiedział Fellowes.

– Emery Staines podpisał ten dokument w ciągu ostatnich dwóch miesięcy – odparł stanowczym głosem Frost. – Chyba że ten podpis został sfałszowany, oczywiście... Ale ja znam podpis pana Stainesa: to jego ręka. Co prawda, kiedy poprzednio widziałem ten akt darowizny, obok nazwiska „Staines” widniało puste miejsce. Nie było żadnego podpisu.

– A zatem pan Staines żyje? – spytał adwokat.



Skrecając w ulicę Collingwooda, Benjamin Löwenthal zdumiał się, widząc, że Salon Apteczny Pritcharda stoi zamknięty na cztery spusty, a na wystawie wisi kartka, informująca, że zakład jest nieczynny. Wydawca obszedł dom i na jego tyłach spotkał pomocnika aptekarza, chłopaka imieniem Giles, czytającego gazetę na werandzie.

– Gdzie jest pan Pritchard? – spytał.

– Wyszedł – odparł chłopak. – Czego pan sobie życzy?

– Pigulek na wątrobę.

– Kupował je już pan u nas?

– Tak.

– W takim razie ja mogę pana obsłużyć. Proszę wejść tylnymi drzwiami.

Chłopak odłożył gazetę i Löwenthal wszedł za nim. Przez laboratorium Pritcharda dostali się do sklepu.

– Jo rzadko opuszcza biuro w poniedziałkowe popołudnia – powiedział Löwenthal, podczas gdy chłopak wypełniał jego zamówienie.

– Wyszedł z takim jednym tubylcem.

– Z Tauwharem?

– Nie wiem, jak go nazywają – odrzekł chłopak. – Wpadł do nas bardzo zaaferowany. Niecałe dwie godziny temu. Przekazał panu Pritchardowi jakąś wiadomość, a potem pan Pritchard wysłał mnie, żebym wynajął dla nich obu wóz, i od razu pognali do Arahura na złamanie karku.

– Ach tak. – Löwenthal był zaniepokojony. – I nie dowiedziałaś się dlaczego?

– Nie – odrzekł chłopak. – Ale pan Pritchard wziął ze sobą całą fiolkę laudanum i garść proszku. Ten tubylec powiedział: „Potrzeba mu lekarstwa”. Słyszałem, jak to mówił. Ale nie powiedział, o kogo chodzi, a pan Pritchard powtarzał coś, czego nijak nie mogłem zrozumieć.

– Co powtarzał? – spytał Löwenthal.

– „Kula kurwy” – odparł chłopak.

Φ

– Ach... Anna Wetherell!

Głos Clincha świadczył o tym, że hotelarz jest bardziej wstrząśnięty niż zdziwiony.

– Witaj, Edgarze.

– Co ty tu robisz? Oczywiście, jesteś u mnie bardzo mile widziana! Ale co tu robisz? – Clinch wyszedł zza biurka.

– Muszę się gdzieś przechować – odpowiedziała dziewczyna. – Do piątej. Czy mogę nadużywać twojej gościnności przez tych kilka godzin?

– Nadużywać... Niczego nie nadużywasz! – zawołał Clinch, podchodząc bliżej, by ująć jej dłonie. – Ależ... Tak... Oczywiście, oczywiście! Wejdz do mojego biura! Napijemy się

herbaty? I zjemy herbatniki? Jak to dobrze cię widzieć. Jak cudownie! Gdzie twoja pani? I dokąd się wybierasz o piątej?

– Mam spotkanie w sądzie – powiedziała Anna Wetherell, cofając się i grzecznie wysuwając dłonie z jego uścisku.

Uśmiech natychmiast zniknął Clinchowi z twarzy.

– Dostałaś wezwanie? – zapytał niespokojnie. – Masz stanąć przed sądem?

– Nie, to nic takiego. Po prostu wynajęłam adwokata, to wszystko. Idę tam z własnej woli.

– Adwokata!

– Tak – odrzekła Anna. – Zamierzam podważyć roszczenia wdowy.

Clinch był zdumiony.

– No! – powiedział, znowu się uśmiechając, żeby pokryć swoje oszołomienie. – No! To musisz mi o tym wszystkim opowiedzieć, Anno... Napijemy się herbaty. Bardzo się cieszę, że przyszałaś.

– Miło mi to słyszeć. Bałam się, że możesz się na mnie gniewać.

– Nigdy nie mógłbym się na ciebie pogniewać! – zawołał Clinch. – Nigdy... Ale dlaczego?... – Po chwili zrozumiał. – Chcesz podważyć roszczenia wdowy co do tego złota.

Skinęła głową.

– Jest pewien dokument, który ustanawia mnie jego właścicielką.

– Czyżby? – spytał, krzywiąc się, Clinch. – Podpisany i w ogóle?

– Znaleziono go w piecu. W piecu Crosbiego Wellsa. Ktoś usiłował go spalić.

– Ale czy jest podpisany?

– Chodzi o dwa tysiące funtów – powiedziała Anna. – Och, zawsze byłeś dla mnie jak ojciec, Edgarze, więc nie mam nic przeciwko temu, żeby ci powiedzieć. To miał być prezent! Dwa tysiące funtów w prezencie, cała suma naraz. On mnie kocha. Zakochał się we mnie od pierwszego wejrzenia.

– Kto? – spytał kwaśno Edgar Clinch, ale już znał odpowiedź.

Φ

Kiedy Löwenthal wracał do redakcji na Rezedowej, usłyszał, że ktoś go woła. Odwrócił się i zobaczył idącego w jego stronę Dicka Manneringa, który trzymał pod pachą złożoną gazetę.

– Mam dla ciebie arcyciekawą wiadomość, Ben – powiedział Mannering. – Chyba że już ją znasz. Czy chcesz usłyszeć arcyciekawą wiadomość?

Löwenthal zmarszczył brwi w roztargnieniu.

– O co chodzi?

– Krąży plotka, że naczelnik Shepard wydał nakaz aresztowania pana Sooka. Najwyraźniej pan Sook pojawił się dziś rano w Hokitika i kupił za gotówkę wojskową broń! Co ty na to?

– Ma zamiar jej użyć?

– A po co ktoś miałby kupować broń, jeżeli nie chciałby jej wykorzystać? – odpowiedział wesoło Mannering. – Śmiem twierdzić, że możemy się spodziewać strzelaniny na głównej ulicy. Strzelaniny w amerykańskim stylu!

– Ja też mam pewną wiadomość – rzekł Löwenthal, kiedy skręcili w Revella i skierowali się na południe. – Jest to kolejna plotka, wcale nie mniej intrygująca od twojej.

– Dotyczy pana Sooka?

– Dotyczy pana Stainesa – odparł Löwenthal.

Φ

Quee Long kroił właśnie warzywa na zupę w swojej chacie w Chinatown, kiedy usłyszał zbliżający się tętent końskich kopyt, a potem ktoś zawołał: „Dzień dobry!”. Podeszedł do drzwi i jedną ręką odsunął pofałdowaną zasłonę.

– Ty tam – powiedział mężczyzna, który przed chwilą zsiadł z konia i stanął na progu – zostałeś wezwany przed oblicze wymiaru sprawiedliwości. Mam cię doprowadzić do sądu w Hokitika.

Quee Long podniósł ręce.

– Nie Ah Sook – odrzekł. – Ah Quee.

– Wiem, do cholery, kim jesteś, i to o ciebie mi chodzi – odparł nieznajomy. – Zbieraj się, i to zaraz. Czeka na ciebie powozik. Chodź.

– Ah Quee – powtórzył Ah Quee.

– Wiem. Wezwanie ma związek ze złotem, które znalazłeś na działce Aurora.

– Arahura? – spytał Ah Quee, który się przesłyszał.

– Tak jest – odparł mężczyzna. – A teraz ruszaj się. Zostałeś wezwany przez pana Johna Fellowesa w imieniu sądu grodzkiego.

Φ

Po wyjściu z Banku Rezerw pan Fellowes złożył wizytę Haroldowi Nilssenowi w firmie Nilssen & Co. Zastał agenta w biurze – przygotowywał właśnie bilans dla George’a Sheparda. Była to nudna i mozolna robota, dlatego Nilssen z przyjemnością się od

niej oderwał. Był zadowolony z niespodziewanej wizyty, owszem – ale tylko dopóty, dopóki adwokat nie wręczył agentowi nadpalonego aktu darowizny z podpisami Emery’ego Stainesa i Crosbiego Wellsa. Nilssen natychmiast zbladł.

– Widział pan już kiedyś ten dokument? – spytał Fellowes.

Nilssen był jednak człowiekiem, który uczy się na swoich błędach.

– Zanim odpowiem, chciałbym się dowiedzieć, kto pana tutaj przysłał i czego pan ode mnie chce.

Adwokat pokiwał głową.

– Tak, to uczciwe postawienie sprawy – powiedział. – Ta dziewczyna, Wetherell, uzyskała ten papier dziś rano z jakiegoś anonimowego źródła. Został wsunięty pod drzwi, kiedy jej pani nie było w domu. To okrągła sumka i jak pan widzi, wszystko wskazuje na to, że trafi do kieszeni panny Anny. Ale to cuchnie szwindlem. Nie wiemy, kto dostarczył jej ten papier ani po co.

Nilssen już raz zdradził Cowella Devlina i nie zamierzał tego uczynić po raz drugi.

– Rozumiem – odpowiedział, zachowując obojętny wyraz twarzy. – A zatem pracuje pan dla panny Wetherell.

– Nie zadaję się z dziwkami – odparł ostro Fellowes. – Po prostu trochę się rozglądam, to wszystko. Próbuję się rozeznać w sytuacji.

– Oczywiście – mruknął Nilssen. – Proszę mi wybaczyć.

– To pan porządkował posiadłość Crosbiego Wellsa – ciągnął Fellowes. – Ja chcę jedynie wiedzieć, czy ten dokument znajdował się wśród jego rzeczy osobistych, kiedy wezwano pana do zrobienia porządku w posiadłości.

– Nie – odrzekł zgodnie z prawdą Nilssen. – A ogołociliśmy ten domek ze wszystkiego, ma pan na to moje słowo.

– W porządku – odpowiedział Fellowes. – Dziękuję.

Wstał, podobnie jak Nilssen. W kaplicy wesleyańskiej właśnie uderzył dzwon – był kwadrans na piątą.

– Nawiasem mówiąc, przekazał im pan bardzo piękną darowiznę – powiedział Fellowes, szykując się do wyjścia. – Mówię o pańskim wsparciu dla budowy więzienia na terasie Pejzaż Morski. To bardzo wspaniałomyślny gest.

– Dziękuję – odpowiedział cierpko Nilssen.

– Tak wielkodusznych ludzi naprawdę rzadko się spotyka w naszych czasach – zauważył adwokat. – Składam panu wyrazy uznania.

– Panie Staines?

Młodzieniec zatrzepotał rękami i otworzył oczy. Jego wzrok był zamglony, szybko się jednak wyostrzył i spoczął na Josephie Pritchardzie, który przykucnął i pochylił się nad rannym.

– Ależ to Pritchard – odezwał się Staines. – Aptekarz.

Pritchard ostrożnie wyciągnął rękę i odsunął kołnierzyk jego koszuli, aby odsłonić poczerńiałą ranę. Ranny nie protestował. Szukał oczami twarzy Pritcharda, kiedy ten oglądał jego ranę.

– Udało się panu wskrobać chociaż trochę towaru? – szepnął.

Oblicze Pritcharda pozostało poważne.

– Jakiego towaru?

– Odrobinę opium – odpowiedział chłopak. – Powiedział pan, że mi go trochę da.

– Przywiozłem coś na złagodzenie bólu – odparł krótko Pritchard. – Obudził się w panu głód opiumowy, co? Ma pan paskudną ranę.

– Głód – powiedział młodzieniec. – Mówiłem, że jest jak cierń. Nawet nie słyszałem strzału, wie pan. Leżałem wtedy w trumnie.

– Od dawna pan tu jest? Kiedy pan ostatnio jadł?

– Przed trzema dniami. Czy na pewno przed trzema? To bardzo miło z pana strony. Nad wyraz. Wydaje mi się, że dochodziła północ. Zachciało mi się wyjść na spacer.

– Gada od rzeczy – rzekł Pritchard.

– Tak – odparł Tauwhare. – Umrze?

– Nie wygląda na zbyt wychudzonego – zauważył Pritchard, dotykając policzka i czoła Stainesa grzbietem dłoni. – Przynajmniej ktoś go karmił... Albo udawało mu się znaleźć coś do zjedzenia, gdziekolwiek się podziewał. Chryste! Osiem tygodni. Przy życiu trzyma go coś więcej niż modlitwa.

Spojrzenie Stainesa przesunęło się ponad ramieniem Pritcharda na Tauwharego, który stał za aptekarzem.

– Maorysi to najlepsi przewodnicy – powiedział z uśmiechem młodzieniec. – Spiszesz się na medal.

– Niech pan posłucha – powiedział Pritchard do Stainesa, zakrywając mu ranę kołnierzykiem. – Musimy przenieść pana na wóz. Zabierzemy pana z powrotem do Hokitika, żeby doktor Gillies wyjął panu tę kulę z ramienia. Kiedy znajdzie się pan na wozie, podam

panu środek przeciwbólowy. Zgoda?

Młodzieńcowi głowa opadła na piersi.

– Hokitika – wymamrotał. – Anna Magdalena.

– Anna jest w Hokitika i czeka na pana – powiedział Pritchard. – A teraz chodźmy. Im szybciej, tym lepiej. Dowieziemy pana do miasta przed zmrokiem.

– Napisał dla niej arię – odpowiedział młodzieniec. – Na pamiątkę. A ja nie wyznałem, że ją kocham.

Pritchard uniósł zdrowe ramię Stainesa, zarzucił je sobie na szyję i wstał. Tauwhare objął młodzieńca w pasie, po czym razem z aptekarzem wynieśli go z domku i wciągnęli na wóz. Chłopak wciąż coś mamrotał. Był cały śliski od potu i bardzo rozpalony. Ułożyli go w taki sposób, żeby obaj mogli siedzieć po jego bokach i pilnować, aby się nie zsunął, a Tauwhare okrył nogi rannego swoim wełnianym płaszczem. W końcu Pritchard wyciągnął z kieszeni fiolkę z laudanum i odkorkował ją.

– Niestety, jest bardzo gorzkie, ale złagodzi ból – powiedział, podtrzymując Stainesa za kark jedną ręką, a drugą przykładając mu fiolkę do ust. – Proszę – powiedział. – Proszę. Gładko wchodzi, prawda? Jeszcze jeden łyk. Proszę. Jeszcze jeden. A teraz niech się pan odpręży, panie Staines, i zamknie oczy. Zaśnie pan w mgnieniu oka.

Φ

Po wyjściu z gmachu sądu Alistair Lauderback natychmiast udał się do biura agenta żeglugowego, Thomasa Balfoura. Rzucił swoją kopię umowy kupna „Z Bogiem” na jego biurko, usiadł bez zaproszenia i zawołał:

– A ten ciągle swoje, Tom! Francis Carver wciąż swoje! Będzie mnie doił aż do dnia mojej śmierci, niech to diabli porwą!

Bardzo długo trwało, zanim Balfour zrozumiał owo teatralne oświadczenie i w pełni pojął, na czym polega program Asekuracji i Ubezpieczenia, którym został objęty bark „Z Bogiem”, po czym wystąpił wreszcie z własną opinią, że może Lauderback powinien uznać się za pokonanego, przynajmniej w tej rundzie. Wydawało się bowiem, że Francis Carver jest górą. Dwuznaczny podpis był sprytnym pomysłem i Lauderbackowi nie przyszłoby go łatwo zakwestionować, jeżeli chodzi zaś o kwestię polityki ubezpieczeniowej w sprawie statku, to kapitan miał prawo wypłacić te fundusze, a pan Garrity uznał już za stosowne zatwierdzić transakcję. Polityk nie chciał jednak skorzystać z rozsądnej rady Balfoura; wzdychał uporczywie, rwał sobie włosy z głowy i przeklinał Francis Carvera. O piątej po południu cierpliwość agenta spedycyjnego już dawno się wyczerpała.

– Nie jestem właściwą osobą, z którą powinieneś rozmawiać – odezwał się w końcu. – Nie znam się ani w ząb na kruczkach prawnych, nie powinieneś więc mówić o tym ze mną.

– To z kim?

- Idź do komisarza.
 - Wyjechał z miasta.
 - A sędzia?
 - Tuż przed wyborami?! Oszalałeś?
 - To z Shepardem. Pokaż to George’owi Shepardowi i dowiedz się, co on o tym myśli.
 - Nie pozostaję w przyjaznych stosunkach z panem Shepardem.
 - No dobrze – odparł zniecierpliwiony Balfour – ale Shepard nie pozostaje też w przyjaznych stosunkach z Carverem, nie zapominaj o tym! I może właśnie dlatego udzieli ci wsparcia.
 - A co ma Shepard do Carvera? – spytał Lauderback.
- Balfour zmarszczył brwi i zmierzył go wzrokiem.
- Carver siedział kiedyś u Sheparda – powiedział. – Był jego więźniem. Shepard pracował jako funkcjonariusz służby więziennej na Wyspie Cockatoo w Porcie Jackson, a tam Carver odsiadywał wyrok.
 - Aha – powiedział Lauderback.
 - Nie wiedziałeś o tym?
 - Nie – odparł Lauderback. – Skąd miałbym o tym wiedzieć?
 - Po prostu myślałem, że może wiesz – rzekł Balfour.
 - George Shepard obchodzi mnie tyle, co zeszłoroczny śnieg – stwierdził kategorycznie Lauderback. – Ja go właściwie nie znam.

Φ

Aubert Gascoigne załatwił swoje sprawy w Banku Rezerw późnym popołudniem. Gdy zegar wybił piątą, wrócił do sądu, gdzie zajął się układaniem harmonogramu posiedzeń dla potrzeb „Czasu Zachodniego Wybrzeża”. Zdziwił się, kiedy otworzyły się drzwi do westybulu i weszła Anna Wetherell.

Przywitała się z nim jednak tylko w przelocie, podchodząc do pana Fellowesa, by mu uścisnąć rękę. Zamienili kilka słów, których Gascoigne nie słyszał, a potem adwokat wskazał Annie swój prywatny gabinet i zamknął drzwi.

– Co ona tam robi z Fellowesem? – Gascoigne zwrócił się do Burke’a, swojego kolegi z pracy.

– Nie mam zielonego pojęcia – odpowiedział Burke. – Była tu już wcześniej, kiedy poszedłeś do banku. Chciała rozmawiać z jakimś prawnikiem w sprawie osobistej.

– Dlaczego nic mi o tym nie powiedziałaś?

– Bo co to za wiadomość, do cholery? – odparł Burke. – O, jest naczelnik Shepard.

George Shepard nadchodził w ich stronę.

– Dzień dobry, panie Gascoigne – powiedział. – Dzień dobry, panie Burke.

– Dzień dobry.

– Przyszedłem odebrać nakaz aresztowania tego Chińczyka.

– Jest gotów, szanowny panie.

Burke poszedł po nakaz. Shepard czekał, starając się nie okazywać niecierpliwości. Trzymał ręce na biodrach i nerwowo poruszał palcami. Gascoigne wpatrywał się w drzwi gabinetu Fellowesa. Nagle dobiegł zza nich stłumiony rumor, jak gdyby ktoś spadał ze schodów, a po chwili rozległ się krzyk Fellowesa:

– Pomocy! Pomóżcie nam!

Gascoigne przebiegł przez hol do gabinetu adwokata i otworzył drzwi. Anna Wetherell leżała bezwładnie na podłodze, miała zamknięte oczy i rozchylone wargi. Fellowes klęczał obok i szarpał ją za rękę.

– Klasyczny nokaut – powiedział Fellowes. – Nieoczekiwanie ugięły się pod nią nogi i runęła na stół, a potem na podłogę! – Adwokat zwrócił się proszącym tonem do Gascoigne'a. – Ja nic nie zrobiłem! Nawet jej nie tknąłem!

Z tyłu podszedł do nich naczelnik.

– Co tu się dzieje?

Gascoigne przyklęknął i nachylił się nad panną Wetherell.

– Oddycha – powiedział. – Podnieśmy ją. – Podciągnął Annę do pozycji siedzącej, dziwiąc się, jak bardzo jest wychudzona i wynędzniała. Głowa opadła jej w tył, Gascoigne podtrzymał ją zgiętym w łokciu ramieniem.

– Uderzyła się w głowę?

– Nic podobnego – odparł Fellowes, który wyglądał na bardzo wystraszonego. – Po prostu runęła na bok. Wygląda jak pijana, ale kiedy tu weszła, nie wydawało mi się, by znajdowała się w stanie upojenia alkoholowego. Przysięgam, że ja jej nawet nie dotknąłem.

– Może zemdląca.

– Zastanówcie się – powiedział Shepard. – Nawet z tej odległości czuję zapach laudanum.

Gascoigne też poczuł teraz jego zawieszistą, gorzką woń. Wsunął Annie palec do ust i rozchylił je.

– Nie ma żadnych plam – powiedział. – Gdyby to było laudanum, miałyby brązowy język, nie? I plamy na zębach.

– Zabierzcie ją do więzienia – powiedział Shepard.

Gascoigne zmarszczył czoło.

– Raczej do szpitala.

– Do więzienia – rzekł Shepard. – Mam już dość tej dziwki i tych jej wyskoków. Zabierzcie ją do Miasteczka Policyjnego i przykujcie do ściany. Tylko posadźcie ją prosto, żeby mogła oddychać.

Fellowes kręcił głową.

– Nie wiem, co się stało – powiedział. – Najpierw była całkowicie przytomna, potem nagle zrobiła się jakby senna, a potem...

Znów otworzyły się drzwi do westybulu.

– Jakiś pan Quee do pana Fellowesa! – rozległo się wołanie.

Z tyłu podszedł Burke.

– Przepraszam, panie Shepard – powiedział. – Oto nakaz aresztowania pana Sooka.

– Pan Quee? – powiedział Gascoigne, odwracając się. – A co on tutaj robi?

– Zabierzcie stąd tę dziwkę – rozkazał naczelnik.

Φ

Sook Yongsheng leżał na gołych deskach pod łóżkiem George'a Sheparda i słuchał, jak dzwon w kaplicy wesleyańskiej wybija wpół do szóstej, kiedy znów rozległo się pukanie do drzwi. Odwrócił głowę na bok i nasłuchiwał kroków Margaret Shepard. Cicho przeszła przez korytarz, podniosła haczyk i odciągnęła zasuwę, a potem kwadrat światła na perkalowej ścianie znowu się powiększył i Sook poczuł chłodny powiew wiatru. Światło było teraz bardziej niebieskie i mniej intensywne, a cień w drzwiach miał kolor matowej szarości.

– Pani Shepard, jak mniemam.

– Tak.

– Pragnąłbym zamienić słowo z pani mężem. Czy jest w domu?

– Nie – odpowiedziała Margaret Shepard, już drugi raz tego dnia. – Poszedł do sądu w sprawach służbowych.

– Jaka szkoda. Mogę na niego zaczekać?

– Byłoby lepiej, gdyby umówił się pan na wizytę – powiedziała.

– Wnoszę, że prawdopodobnie nie wróci.

– Często nocuje na terasie Pejzaż Morski – odparła. – I czasami grywa w bilard w mieście.

– Rozumiem.

Sook Yongsheng nie znał Alistaira Lauderbacka, ale jego ton i gromki głos pozwoliły mu się domyślić, że gość jest kimś ważnym.

– Proszę mi wybaczyć, że zakłócam spokój – ciągnął Lauderback. – Może zechciałaby mi pani oddać przysługę i powiedzieć mężowi, że wpadłem go odwiedzić.

– Tak, oczywiście.

– Wie pani, kim jestem, prawda?

– Pan Lauderback – szepnęła.

– Doskonale. Proszę powiedzieć panu Shepardowi, że chciałbym porozmawiać z nim o naszym wspólnym znajomym. Nazywa się Francis Carver.

– Powtórzę mu.

Ten człowiek zginie, zanim nadejdzie ranek, pomyślał Sook Yongsheng.

Drzwi znowu się zamknęły; w sypialni pociemniało.

Φ

Cowell Devlin przygotował Annie Wetherell miejsce w kącie więzienia w Miasteczku Policijnym, rozmyślając przy tym, że dziewczyna prezentuje się znacznie gorzej niż przed dwoma miesiącami, kiedy usiłowała odebrać sobie życie. Nie miała gorączki jak wtedy, nie mruzczała przez sen i nie rzucała się – ale właśnie dlatego wyglądała teraz jeszcze żałośniej, gdy spała bardzo spokojnie, odziana w swoją czarną, żałobną suknię. Była przeraźliwie chuda. Devlin skuł ją z ogromnym żalem i najluźniej, jak mógł. Poprosił panią Shepard, żeby przyniosła koc, który mógłby podłożyć Annie pod głowę, a Margaret spełniła tę prośbę w milczeniu.

– Co to ma znaczyć? – kapelan spytał Gascoigne’a, kiedy składał koc w kostkę. – Widziałem Annę dziś rano, sam ją odprowadziłem do sądu! Czyżby poszła stamtąd prosto do Pritcharda, by kupić fiołkę laudanum?

– Apteka Pritcharda jest zamknięta – odparł Gascoigne. – I była zamknięta przez całe popołudnie.

Devlin najpierw wsunął pod głowę Anny swoją dłoń, a potem koc.

– No to skąd wytrzasnęła to laudanum, na litość boską?

– Może przez cały czas miała je przy sobie.

– Nie – odpowiedział Devlin. – Kiedy wychodziła dzisiaj rano z Fortuny Wędrowca, nie

widziałem przy niej żadnej torebki ani pugilaresu. Od kogoś musiała je dostać, ale dlaczego?

Gascoigne bardzo chciał wiedzieć, po co Cowell Devlin udał się rankiem do Fortuny Wędrowca i co tam zaszło – kiedy jednak zastanawiał się, jak o to uprzejmie zapytać, rozległ się turkot nadjeżdżającego wozu, a potem głos Pritcharda:

– Jest tam kto? Tutaj Jo Pritchard i Emery Staines!

Devlin zrobił tak zdziwioną minę, że wyglądał niemal komicznie, a zanim wstał, Gascoigne już wybiegł na zewnątrz. Kapelan pospieszył za nim i ujrzał na dziedzińcu Josepha Pritcharda, który zsiadł z kozła i prowadził konie, żeby przywiązać je do słupka przed więzieniem. Na ławeczce na wozie siedział Te Rau Tauwhare, podtrzymujący oburącz bladego młodzieńca o zapadniętych oczach. Devlin wpatrywał się w niego. To bezwładne coś, wyglądające jak śmierć na chorągwi – to ma być Emery Staines? Okazał się znacznie młodszy, niż wyobrażał sobie kapelan. No cóż, miał zaledwie dwadzieścia jeden lat, a może nawet mniej. Właściwie był jeszcze dzieckiem.

– Tauwhare znalazł go ukrywającego się w domku Crosbiego – oświadczył krótko Pritchard. – Jak ksiądz widzi, jest bardzo chory. Proszę nam pomóc zdjąć go z wozu.

– Nie zabieracie go chyba do więzienia! – powiedział Devlin.

– Oczywiście, że nie. Pojedzie do szpitala. Doktor Gillies powinien go zbadać jak najszybciej.

– Nie róbcie tego – powiedział Gascoigne.

– Czego? – spytał Pritchard.

– Jeśli zabierzecie go do szpitala, nie przeżyje tam nawet godziny – oświadczył Gascoigne.

– No cóż, nie możemy jednak zawieźć go do jego apartamentów – odparł Pritchard.

– To weźcie go do hotelu. Znajdźcie mu jakiś pokój. Wszędzie będzie miał lepiej niż w szpitalu.

– Pomóżcie nam – powiedział znowu Pritchard. – I niech ktoś pośle po doktora Gilliesa, skoro już o nim mowa. Niech on podejmie decyzję.

Pomogli znieść Emery'ego Stainesa z wozu.

– Panie Staines – powiedział Pritchard. – Wie pan, gdzie pan jest?

– Anna Magdalena – wymamrotał młodzieniec. – Gdzie jest Anna?

– Jest tutaj – odrzekł Cowell Devlin. – W środku.

Staines otworzył oczy.

– Chcę ją zobaczyć.

- Gada od rzeczy – zauważył Pritchard. – Nie wie, co mówi.
- Chcę zobaczyć Annę – powiedział Staines, któremu nagle rozjaśniło się w głowie. – Gdzie ona jest? Chcę ją zobaczyć.
- Moim zdaniem mówi całkiem składnie – powiedział Gascoigne.
- Wnieście go do środka – rzekł Devlin. – Musi tu zostać do przybycia lekarza. Chodźcie, on sobie tego życzy. Zanieście go do więzienia.

WIĘKSZE ZŁO

Rozdział, w którym Sook Yongsheng podsłuchuje początek rozmowy

Ah Sook siedział w kucki na podwórku za hotelem Korona, opierając się o jego drewnianą ścianę. Rewolwer marki Kerr Patent trzymał luźno w obu rękach. Chińczyk wyglądał teraz zupełnie inaczej, niż kiedy kupował tego ranka broń. Margaret Shepard obcięła mu warkoczyk i poczerowała podbródek oraz szyję pastą do butów, którą pogrubiała również jego brwi. Znalazła jakąś podniszczoną kurtkę, więzienną koszulę z twillu i czerwoną chustkę, którą zawiązała mu na szyi. Kiedy opuścił rondo kapelusza i postawił kołnierzyk, nie wyglądał ani trochę jak Chińczyk. Pokonując trzysta jardów, dzielące Miasteczko Policyjne od hotelu Korona, nie zwrócił niczyjej uwagi, a teraz, siedząc w kucki na podwórku, był właściwie niewidzialny w ciemności.

W hotelu rozmawiało dwoje ludzi, mężczyzna i kobieta. Ich głosy docierały do niego całkiem wyraźnie przez szparę między okiennicą i ramą.

– Wygląda na to, że się uda – mówił mężczyzna. – Jest i asekuracja, i ubezpieczenie.

– Ale sądząc po twoim głosie, ciągle się czymś martwisz – powiedziała kobieta.

– Tak.

– Skąd te wątpliwości? Właściwie masz już przecież pieniądze w ręku!

– Wiesz, że nie ufam ludziom nieustosunkowanym. Nie mogłem znaleźć nic na tego Gascoigne'a. Przyjechał do Hokitika niedługo przed Bożym Narodzeniem. Znalazł pracę w sądzie bez żadnych problemów. Mieszka sam. Nie ma żadnych godnych wzmianki znajomych. Ty twierdzisz, że to po prostu dandys i nic więcej, ale skąd mogę wiedzieć, że to nie jest człowiek Lauderbacka?

– On nie ma żadnych pleców. Przypominam sobie jednak, że na otwarcie Fortuny Wędrowca przyprowadził jakiegoś znajomego, który wyglądał na arystokratę.

– Jak się nazywa ten jego znajomy?

– Walter Moody.

– Chyba nie może być synem Adriana Moody'ego?

– To była pierwsza myśl, która i mnie przyszła do głowy. Mówił ze szkockim akcentem.

– No to masz ci los... Na pewno są spokrewnieni.

Rozległ się brzęk szklanek.

– Widziałem się z nim tuż przed wyjazdem z Dunedin – ciągnął mężczyzna. – Znaczy z Adrianem. Był pijany jak bela.

– I pewnie żądny krwi – zauważyła kobieta.

– Nie lubię ludzi, którzy tracą panowanie nad sobą.

– Ja też nie... – zgodziła się kobieta. – A Moody należy do awanturników najgorszego sortu. To człowiek, który uwielbia, kiedy się go obraża, bo wtedy może dać upust swojej złości, choć w innych sytuacjach zdaje sobie sprawę, że nie należy tego robić. Ale na trzeźwo jest całkiem przyzwoity.

– Ale tak czy owak jeśli ten Gascoigne działa w zмовie z kimś z rodziny Moody'ego, powinien być dla nas przydatny. Może nam udzielić dobrych rad.

– Rodzinne podobieństwo między nimi jest jednak wyjątkowo niewielkie. Widocznie Walter Moody jest bardziej podobny do matki.

Mężczyzna zaśmiał się.

– Ty zawsze masz coś do powiedzenia, Greenway, i masz swoje zdanie.

Znów nastąpiła cisza, po czym odezwała się kobieta.

– Prawdę powiedziawszy, przyplłynął tu na „Z Bogiem”.

– Moody?

– Tak.

– Nie. Niemożliwe.

– Nie spieraj się ze mną, Francis! Sam mi to powiedział tamtego wieczoru.

– Nie – odrzekł mężczyzna. – Na pokładzie nie było żadnego Moody'ego. Mieliśmy tylko ósmioro pasażerów, a przeglądałem też „Czas Zachodniego Wybrzeża”. Zapamiętałbym to nazwisko.

– Może je przeoczyłeś – odpowiedziała kobieta. – Wiesz, że nie cierpię, kiedy ktoś mi się sprzeciwia. Nie sprzeczejmy się.

– Jak mógłbym przeoczyć takie nazwisko jak Moody? To tak jak przeoczyć nazwisko Hanover... Albo Plantagenet.

Kobieta roześmiała się.

– Nie porównywałabym Adriana Moody'ego do członków rodzin królewskich!

Ah Sook usłyszał, jak pod ciężarem ciała, które zmieniało pozycję, skrzypią krzesło i deski podłogowe.

– Chodziło mi tylko o to, że zwróciłbym uwagę na takie nazwisko. Czy ty przeoczyłabyś nazwisko Carver?

Kobieta chrząknęła.

– Walter Moody na pewno mi powiedział, że przyplłynął do Hokitika na „Z Bogiem” –

odrzekła. – Dobrze to pamiętam. Rozmawialiśmy przez chwilę na ten temat.

– Coś tu nie gra – powiedział mężczyzna.

– No, a dysponujesz jeszcze listą pasażerów? Na pewno masz egzemplarz „Czasu” z tego dnia, gdy okręt wpłynął do portu. Może byś to sprawdził?

– Tak, racja. Zaczekaj chwilę. Pójdę i poszukam tej gazety w palarni. Mają tam stos starych dzienników i czasopism na sekreterze.

Drzwi otworzyły się, a potem zamknęły.

Φ

Lampa w sąsiednim pokoju zapaliła się, rozświetlając kąt podwórza matowym, żółtawym blaskiem. Carver był w palarni hotelu Korona – i nareszcie z daleka od Lydii Wells. Ah Sook podniósł się nieznacznie. Widział przez okno, że kapitan siedzi zwrócony tyłem do drzwi i przegląda prasę leżącą na sekreterze. W sypialni Lydia Wells zaczęła nucić pod nosem jakąś piosenkę.

Ah Sook wstał. Trzymając rewolwer na wysokości biodra i poruszając się jak najciszej w swoich butach kopacza na grubej podeszwie, zakradł się na tył budynku, pod wejście dla domokrażców. Skręcił w zaułek – i zamarł.

– Rzuć broń.

Po drugiej stronie, z twarzą skrytą w cieniu, trzymając w pogotowiu rewolwer o długiej kolbie, stał naczelnik więzienia, George Shepard. Ah Sook nie ruszył się. Spojrzał na rewolwer Sheparda, a potem znów na jego twarz.

– Rzuć to – powiedział Shepard. – Bo cię zastrzelę. Rzuć broń, ale już.

Ah Sook nie odpowiedział i nadal ani drgnął.

– Uklęknij i połóż swój rewolwer na ziemi – powiedział Shepard. – Zrób to w tej chwili albo zginiesz. Na kolana.

Ah Sook ukląkł, ale nie wypuścił rewolweru i mocniej nacisnął na kurek.

– Zastrzelę cię, zanim odwiedzisz kurek i wycelujesz – powiedział Shepard. – Możesz być tego pewien. Rzuć broń.

– Margaret – powiedział Ah Sook.

– Tak – odparł Shepard. – Zawiadomiła mnie.

Ah Sook pokręcił głową: nie mógł w to uwierzyć.

– To moja żona – stwierdził krótko naczelnik. – A przedtem była żoną mojego brata. Mniemam, że go pamiętasz. Bo powinienesz.

– Nie. – Palec Aha Sooka znów mocniej wpił się w kurek.

- Nie pamiętasz go? Czy może raczej uważasz, że nie powinieneś go pamiętać?
- Nie – odrzekł z uporem Ah Sook.
- Pozwól, że odświeżę ci pamięć. Zginął w Saloonie pod Białym Koniem w Porcie Darling od postrzału w skroń z bliskiej odległości. Teraz go sobie przypominasz? Nazywał się Jeremy Shepard.
- Pamiętam.
- To dobrze – rzekł naczelnik. – Ja też.
- Ja go nie zabiłem.
- Wciąż ta sama śpiewka, jak widzę.
- Margaret – powtórzył Sook Yongsheng, nadal na klęczkach.

Φ

- Francis!
- Bądź przez chwilę cicho. Cicho.
- Dlaczego tak nasłuchujesz?
- Cicho.
- Nic nie słyszę.
- Ja też nie. To dobrze.
- To było tak blisko.
- Moja biedna owieczka. Przestraszyłaś się?
- Tylko trochę. Myślałam...
- Mniejsza z tym. Najprawdopodobniej to tylko wypadek. Pewnie ktoś czyścił broń.
- Mimo woli pomyślałam sobie zaraz o tym strasznym Chińczyku.
- On nam nic nie zrobi. Pójdzie prosto do hotelu Pałac i zgarną go przed świtem.
- Bardzo się go boisz, Francis.
- Chodź tu.
- No dobrze, już dobrze. Doszłam już do siebie. Zobaczmy, co znalazłeś.
- Proszę. – Rozległ się jakiś szelest. – Patrz. McKitchen, Morely, Parrish. Widzisz? W sumie ośmioro pasażerów i żadnej wzmianki o Walterze Moodym.

Nastąpiła chwila ciszy, kiedy Lydia zaczęła przeglądać gazetę i sprawdzała datę jej wydania.

– To dziwne, żeby ktoś miał kłamać w takiej sprawie, zwłaszcza że kilka tygodni później jak grom z jasnego nieba pojawia się jego wspólnik i zaczyna mi gędzić o ubezpieczeniu, twierdząc, że jest tylko kimś, kto pokazuje ludziom różne kruczki prawne. Tak mi powiedział.

– Jedno z tych nazwisk musi być fałszywe. Jeżeli naprawdę miałeś ośmioro pasażerów, a Walter Moody naprawdę był wśród nich.

– Było ich ośmioro... I wszyscy się stawili. Wsiadli potem do szalupy, która zawiozła ich na brzeg... Sześć, może siedem godzin przedtem, nim się przewróciliśmy.

– W takim razie Moody podróżował pod fałszywym nazwiskiem.

– Dlaczego miałyby to robić?

– Więc może jednak kłamał, mówiąc, że przypłynął do Hokitika na „Z Bogiem”.

– Po co?

Najwyraźniej Lydia Wells na to pytanie też nie mogła znaleźć odpowiedzi, bo po chwili spytała:

– O czym myślisz, Francis?

– O tym, żeby napisać list do mojego starego przyjaciela Adriana.

– Tak, zrób to – powiedziała pani Wells. – A ja spróbuję dowiedzieć się czegoś na własną rękę.

– Pieniądze z ubezpieczenia jednak przyszły. Gascoigne miał rację.

– Chodźmy do łóżka – odezwała się po chwili Lydia.

– Miałaś ciężki dzień.

– Bardzo.

– W końcu wszystko obróci się na dobre.

– Ta kobieta dostanie to, na co zasługuje – rzekła pani Wells. – Ale ja też chciałabym dostać to, co mi się należy, Francis.

– To czekanie musi być dla ciebie straszne.

– Okropne.

– Mhm.

– A ty nie jesteś także tym zmęczony?

– No cóż... Nie mogę się tak chełpić tobą na ulicy, jak bym chciał.

– A jak byś się mną chełpił?

Carver nie odpowiedział.

– Już niedługo zostaniesz panią Carver – stwierdził po krótkiej chwili cichym głosem.

– Liczę na to – odrzekła Lydia Wells i później już żadne z nich nie odzywało się przez dłuższy czas.

ZRÓWNANIE DNIA Z NOCĄ

Rozdział, w którym kochankowie przesypiają wielkie zamieszanie

George Shepard nakazał przenieść ciało Sooka Yongshenga do swojego prywatnego gabinetu w Miasteczku Policyjnym i położyć je na podłodze. Po śmierci Chińczyka czernidło na jego podbródku i szyi sprawiało jeszcze bardziej makabryczne wrażenie. Kiedy wniesiono trupa, pani Shepard odetchnęła głęboko, jak gdyby chciała stawić czoło uderzeniu wiatru. Cowell Devlin, który przybył z więzienia, przyjrzał się zwłokom – wstrząśnięty, bo kapelusznik kropka w kropkę przypominał mu odludka, Crosbiego Wellsa, którego zwłoki ułożono tu w identycznej pozycji dwa miesiące temu, a nawet, prawdę mówiąc, na tym samym muślinowym prześcieradle. Trup miał lekko otwarte usta i widać było białko niedokładnie zamkniętego oka. Dopiero po chwili Devlin zdał sobie sprawę, kim faktycznie jest zmarły.

– To ja go zastrzeliłem – powiedział spokojnie Shepard. – Wyciągnął broń, żeby zabić Carvera. Chciał mu strzelić w plecy, przez okno. Dopadłem go w samą porę.

Devlin wreszcie odzyskał mowę.

– Nie mógł go pan rozbroić?

– Nie – odrzekł Shepard. – Nie w tym momencie. Albo on, albo Carver.

Z piersi Margaret Shepard wydarł się szloch.

– Czegoś tu nie rozumiem – odezwał się Devlin, zerkając na nią, a potem znów na Sheparda. – Dlaczego Ah Sook celował do Carvera?

– Może wyjaśnisz to kapelanowi, Margaret – zasugerował George Shepard, zwracając się do żony, która zaszlochała po raz drugi. – Będę prosił księdza o wykopanie kolejnego grobu.

– Ale jego ciało należałoby chyba odesłać do domu, do rodziny – odpowiedział Devlin, marszcząc brwi.

– On nie ma żadnej rodziny – stwierdził Shepard.

– Skąd pan o tym wie? – spytał kapelan.

– I tym razem powinien pan chyba zapytać moją żonę.

– Pani Shepard? – powiedział niepewnie Devlin.

Margaret Shepard zaczerpnęła tchu i zakryła sobie twarz dłońmi.

Shepard zwrócił się do niej.

– Uspokój się – powiedział. – Nie bądź dzieckiem.

Jego żona natychmiast opuściła ręce.

– Niech mi ksiądz wybaczy – szepnęła, nie patrząc na Devlina. Była bardzo blada.

– Nie ma za co – odparł duchowny ze zmarszczonym czołem. – Jest pani w szoku, to wszystko. Może powinna się pani położyć do łóżka.

– George... – szepnęła.

– Uważam, że dzisiaj postąpiłaś etycznie – rzekł, patrząc na nią, naczelnik. – Udzielam ci za to pochwały.

Na te słowa twarz pani Shepard wykrzywił grymas. Podniosła rękę do ust i wybiegła z pokoju.

– Proszę mi wybaczyć – zwrócił się naczelnik do Devlina. – Jak ksiądz widzi, moja małżonka jest dosyć impulsywna.

– Trudno mieć do niej o to pretensje – odparł Devlin. Stosunki między Shepardem i jego żoną wielce go niepokoiły, ale dobrze wiedział, że nie powinien wyrażać swoich obaw. – To całkiem naturalne, że w obecności zmarłych czujemy się poruszeni. Tym bardziej jeżeli łączyła nas z nimi osobista znajomość.

Shepard wpatrywał się w ciało Sooka Yongshenga.

– Napijesz się ze mną, Devlin? – zapytał po chwili, podnosząc wzrok.

Kapelan zdumiał się, bo naczelnik nigdy wcześniej nie zaproponował mu niczego podobnego.

– Będzie to dla mnie zaszczyt – odparł, wciąż starannie dobierając słowa. – Ale może powinniśmy wejść do salonu... Albo wyjść na ganek, gdzie nie będziemy przeszkadzać pani Shepard.

– Tak. – Shepard podszedł do swojego barku. – Chce ksiądz brandy czy whisky? Mam jedno i drugie.

– No cóż – odpowiedział znowu zdziwiony duchowny. – Od bardzo dawna nie miałem w ustach whisky, więc przyjemnie byłoby się jej napić.

– Mam kirklistona – oznajmił Shepard, wyciągając i podnosząc butelkę. – To znośna gorzala. – Wziął dwie szklanki, zagarnął je swoim wielkim łapskiem i pokazał Devlinowi gestem, żeby otworzył drzwi.

Dziedziniec Miasteczka Policyjnego był opustoszały, ciemny i zimny. Okna we wszystkich domach naprzeciwko miały pozamykane okiennice, a mieszkańcy już leżeli w łóżkach. Wiatr zelżał o zachodzie słońca i zapanowała niemal kompletna cisza; spokój, przywodzący na myśl powierzchnię stawu. Jedyne odgłosy wydawałyśmy, uderzające o szklany klosz, wiszący w obudowie przy drzwiach do domku. Za każdym razem, kiedy jakaś ćma spadała lotem wirowym w płomień, rozlegał się syk, a potem było czuć kwaśną, jakby zalatującą kurzem woń palonego owada.

Shepard ustawił szklanki na poręczy schodów i nalał whisky im obu.

– Margaret była najpierw żoną mojego brata – powiedział, podając jedną szklankę Devlinowi i opróżniając drugą. – Mój starszy brat nazywał się Jeremy. Kiedy zginął, ożeniłem się z Margaret.

– Dziękuję – mruknął Devlin, przyjmując szklankę i podnosząc alkohol do nosa. Naczelnik był zbyt skromny, bo whisky okazała się więcej niż znośna. Butelka kirklistona kosztowała w Hokitika osiemnaście szylingów, a tam gdzie było trudno o alkohol, dwa razy więcej.

– Saloon pod Białym Koniem – ciągnął naczelnik. – Tak nazywało się to miejsce. To taka tawerna w Porcie Darling. Dostał kulkę w skroń.

Devlin sączył whisky. Miała dymny, lekko pleśniowy posmak, który kojarzył mu się z wędlinami, nowymi książkami, stajniami i goździkami.

– No i ożeniłem się z wdową po nim – ciągnął Shepard, nalewając sobie następną kolejkę. – Tego wymagała ode mnie moralność. Mam inny charakter i gust niż mój brat. On był rozpustnikiem. Nie chcę się przechwalać ani wywyższać, ale ludzie często wspominali o różnicach między nami. Mówiono nam o tym od dziecka. O jego ślubie z Margaret nie wiedziałem właściwie nic. Była barmanką. Jak ksiądz wie, nie należała do piękności, ale pojąłem ją za żonę. To był mój obowiązek. Ożeniłem się z nią, otoczyłem ją opieką po stracie męża, a potem razem czekaliśmy na proces.

Devlin w milczeniu skinął głową, wpatrując się w swoją whisky i obracając szklaneczkę w dłoni. Myślał o Sooku Yongshengu, którego zimny trup spoczywał na podłodze – podbródek oraz szyję Chińczyk miał wysmarowane pastą do butów, podobnie jak brwi, wyglądał więc niczym klaun.

– Biedny był prymityw z tego mojego Jeremy’ego – ciągnął Shepard. – Nigdy go nie podziwiałem i o ile wiem, on nie podziwiał mnie. Był strasznym zabijaką. Spodziewałem się, że prędzej czy później jedna z bójek, w które często się wdawał, okaże się dla niego feralna, i kiedy usłyszałem, że został zamordowany, nie bardzo się zdziwiłem.

Znowu opróżnił szklankę i napełnił ją ponownie. Devlin czekał na dalszy ciąg opowieści.

– Zrobił to jakiś kitajec. Jeremy skopał go kiedyś na ulicy, pewnie upokorzył, a złotek wrócił potem w poszukiwaniu zemsty. Znalazł mojego brata, kiedy ten odsypiał pijaństwo w wynajętym pokoju nad tawerną. Chińczyk wziął rewolwer Margaret, leżący przy łóżku, przystawił Jeremy’emu lufę do skroni i było po wszystkim. Potem, ma się rozumieć, próbował uciekać, ale zachował się jak głupi i nie dotarł dalej niż na koniec nabrzeża. Policjant podstawił mu nogę i wtrącił go do więzienia jeszcze tej samej nocy. Proces miał się odbyć sześć tygodni później.

Shepard znów opróżnił swoją szklaneczkę. Devlin zdziwił się; nigdy wcześniej nie widział, żeby naczelnik pił, chyba że do posiłków albo w celach zdrowotnych. Być może śmierć Aha Sooka wytrąciła go z równowagi.

– Wydawało się, że proces będzie prosty – kontynuował Shepard, nalewając sobie

czwartą kolejkę. Zrobił się już mocno czerwony na twarzy. – Po pierwsze, oczywiście, podejrzany był żółtkiem. Po drugie, miał dobry powód, żeby źle życzyć mojemu bratu. Po trzecie, nie znał ani w ząb angielskiego i nie mógł się bronić. Nikt nie miał najmniejszych wątpliwości, że jest winny. Wszyscy słyszeli strzał. Widzieli, jak uciekał. Ale potem na miejsce dla świadków weszła Margaret Shepard, w tym czasie moja świeżo poślubiona małżonka, niech ksiądz o tym nie zapomina. Pobraliśmy się niecały miesiąc wcześniej. Siada i oto, co mówi, że jej mąż nie został zamordowany przez tego Chińczyka. Popełnił samobójstwo, a ona o tym wie, bo widziała to na własne oczy.

Devlin zastanawiał się, czy Margaret nie podsłuchuje ich rozmowy.

– Nie było w tym ani słowa prawdy – rzekł naczelnik. – Wszystko sfabrykowała. Skłamała. Pod przysięgą. Zbecześciła pamięć swojego zmarłego męża, nazywając go samobójcą... A wszystko po to, żeby uchronić tego bezwartościowego żółtka przed karą, na którą zasłużył. Bez wątpienia zadyndałby na stryczku. Powinien był wisieć. Popełnił zbrodnię, która nie została ukarana.

– Skąd może pan wiedzieć, że pańska żona nie mówiła prawdy? – spytał Devlin.

– Skąd mogę o tym wiedzieć? – Shepard ponownie sięgnął po butelkę. – Stąd, że mój brat nie był typem samobójcy. Napije się ksiądz jeszcze?

– Bardzo proszę – odpowiedział Devlin, wyciągając szklanekę. Rzadko miał okazję posmakować whisky.

– Widzę, że ksiądz ma wątpliwości – rzekł Shepard, nalewając alkohol. – Jednak nie mogę ująć tego inaczej. Jeremy nie był typem samobójcy. Nie bardziej niż ja.

– Ale z jakiego powodu pani Shepard miałyby kłamać pod przysięgą?

– Lubiała go – odparł krótko Shepard.

– Tego Chińczyka?

– Tak. Świętej pamięci pana Sooka. Znali się wcześniej. Może być ksiądz pewien, że na to nie wpadłem, a kiedy się o tym dowiedziałem, Margaret już była moją żoną.

Devlin znów popił whisky. Przez chwilę siedzieli w milczeniu, wyglądając na pogrążone w cieniu kształty budynków naprzeciwko.

Po chwili Devlin powiedział:

– Nie wspomniał pan nic o Francisie Carverze.

– Och... Carver – odrzekł Shepard, obracając szklaneczkę. – Tak.

– Co łączy go z panem Sookiem? – spytał Devlin, żeby go zachęcić.

– Znali się – odrzekł Shepard. – Była między nimi jakaś zła krew. Jakiś spór w interesach.

O tym Devlin już wiedział.

– Tak?

– Miałem Sooka na oku od czasów Portu Darling. Dziś rano dostałem wiadomość, że kupił rewolwer w sklepie na ulicy Obozowej, i natychmiast wystąpiłem o nakaz aresztowania.

– Byłby pan gotów zaaresztować człowieka tylko dlatego, że kupił sobie broń?

– Tak, gdybym wiedział, co planuje z nią zrobić. Sook poprzysiągł Carverowi śmierć. Poprzysiągł. Wiedziałem, że kiedy wreszcie go dopadnie, na pewno odbierze mu życie, więc gdy tylko doszły mnie słuchy o tym rewolwerze, wszcząłem alarm. Obstawiłem hotel Pałac i ostrzegłem Carvera, informując go, co się święci. Powiadomiłem też boyów hotelowych, żeby wykrzykiwali na ulicy wiadomość o nakazie aresztowania. Deptałem Sookowi po piętach aż do samego końca.

– A na końcu? – spytał po chwili Devlin.

Shepard wzbił w niego zimne spojrzenie.

– Powiedziałem już księdzu, co się stało.

– Na szali ważyło się jego życie oraz życie Carvera – rzekł Devlin.

– Działiałem w granicach prawa – odparł Shepard.

– Na pewno tak.

– Miałem nakaz jego aresztowania.

– Nie wątpię.

– Zemsta jest aktem zazdrości, a nie sprawiedliwości – powiedział stanowczo Shepard. – To samolubne wynaturzenie prawa.

– Zemsta jest na pewno samolubna – zgodził się Devlin. – Wątpię jednak, żeby miała wiele wspólnego z prawem.

Skończył swoją whisky, podobnie jak po dłuższej chwili Shepard.

– Bardzo mi przykro z powodu pańskiego brata, panie Shepard – powiedział kapelan, odstawiając szklaneczkę na poręcz balustrady.

– No tak, cóż... – odparł naczelnik, zakorkowując flaszkę. – To było wiele lat temu. Co się stało, to się nie odstanie.

– Są takie rzeczy, które nie mają końca – stwierdził kapelan. – Nigdy nie zapominamy tych, których kochaliśmy. Nie potrafimy ich zapomnieć.

Shepard przyjrzał mu się.

– Mówi ksiądz jak gdyby na podstawie własnego doświadczenia.

Devlin nie odpowiedział mu od razu.

– Jeżeli własne doświadczenie czegoś mnie nauczyło, to tego: zawsze miej na uwadze, jak niesłychanie trudno jest zrozumieć daną sytuację z cudzego punktu widzenia.

Naczelnik tylko chrząknął na te słowa. Patrzył, jak Devlin schodzi po stopniach w cień na dziedzińcu. Przy słupku dla koni kapelan odwrócił się i powiedział:

– Stawię się na terasie z samego rana, by zacząć kopać grób.

Shepard nie ruszył się.

– Dobranoc, Cowell.

– Dobranoc, panie Shepard.

Naczelnik patrzył, jak Devlin obchodzi więzienie, a potem zacisnął palce wokół pustych szklaneczek, wziął butelkę i wszedł do środka.

Φ

Drzwi więzienia były uchylone, a dyżurny policjant siedział tuż za nimi, trzymając na kolanach karabin. Podniósł brwi, jak gdyby pytając w ten sposób, czy kapelan chce wejść.

– Obawiam się, że wszyscy leżą już w łóżkach – powiedział cicho.

– Nie szkodzi – odrzekł Devlin, też po cichu. – Zabawię tu tylko chwilę.

Lekarz usunął Stainesowi kulę z ramienia, zszył ranę, rozciął jego zapaskudzone ubranie, zmył mu brud z twarzy i włosów, a potem ubrał go w moleskinowe spodnie i luźną koszulę, dostarczoną przez sklep Tiegreena, któremu obiecano, że jutro dostanie zapłatę. Podczas tych wszystkich zabiegów młodzieniec na przemian tracił i odzyskiwał przytomność, mamrocząc imię Anny. Jednak gdy zdał sobie sprawę, że lekarz zamierza położyć go w hotelu Kryterium w Miasteczku Policyjnym, raptownie otworzył oczy. Nie zostawi Anny. Nie pójdzie tam, gdzie jej nie będzie. Narobił w związku z tym takiego zamieszania, że w końcu lekarz ustąpił, żeby go uspokoić. Posłano mu łóżko w więzieniu, tuż koło łóżka dziewczyny, i postanowiono, że zostanie skuty jak inni więźniowie, żeby nie wprowadzać żadnego dysonansu. Młodzieniec bez sprzeciwu zgodził się na kajdanki, położył się i wyciągnął rękę, chcąc dotknąć policzka Anny. Po chwili zamknął oczy i zasnął.

Nie obudził się od tamtej pory. Leżeli z Anną zwrócenii do siebie twarzami, Staines na lewym, Anna na prawym boku, oboje z kolanami podciągniętymi niemal pod brodę. Młodzieniec wcisnął rękę pod swoje obandażowane ramię, a Anna wsunęła sobie dłoń pod policzek. W nocy najwyraźniej odwróciła się do Emery'ego, bo wyrzuciła lewe ramię przed siebie, wyciągając palce i odwracając rękę grzbietem do góry.

Devlin podszedł bliżej. Był przejęty, chociaż nie miał pewności, jakie ogarnęło go uczucie. Whisky George'a Sheparda rozgrzała mu pierś i brzuch – odczuwał niewyraźny ucisk pod czaszką i mgliste gorąco w oczach – ale po opowieści naczelnika ogarnęła go żałość i nawet dostał dreszczy. Być może zaraz się rozpłacze. Dobrze by było zapłakać. Co to był za

dzień. Serce mu ciążyło, nie miał sił w rękach i nogach. Spojrzał na zwróconych ku sobie Annę i Emery'ego. Wyglądali jak swoje lustrzane odbicia, oddychali rytmicznie i miarowo.

A zatem są kochankami, pomyślał, patrząc na nich. Mimo wszystko są kochankami. Domyślił się tego, widząc, w jakiej pozycji zasnęli.

27 kwietnia 1866
 42°43'0"S / 170°58'0"E Hokitika



PIERWSZY PUNKT W BARANIE

Rozdział, w którym do Portu Chalmers przybywa statek z Sydney, a dwoje jego pasażerów budzi się wcześniej od innych

Gdy Anna Wetherell przybyła do Nowej Zelandii, pierwszym widokiem, jaki otworzył się przed jej oczami, były skaliste łby cypla Otago: nakrapiane klify, opadające stromo do białej, spienionej wody, a ponad nimi pomięty płaszcz czesanych przez wiatr traw. Było tuż po wschodzie słońca. Znad oceanu wzbijała się blada mgła, zasłaniająca drugi koniec zatoki, gdzie góry stawały się błękitne, a dalej, w miejscu, w którym laguna zwięzała się i zamykała – fioletowe. Słońce ciągle wisiało nisko na wschodzie, rzucając gładź żółtego światła na wodę i barwiąc skały na zachodnim brzegu na pomarańczowo. Miasto Dunedin jeszcze się nie pojawiło, stało bowiem wciśnięte za łokieć zatoki, a na tym odkrytym pasie wybrzeża nie widziało się zabudowań ani zwierząt domowych, więc w pierwszej chwili Anna ujrzała tylko samotną gardziel wodną, czyste niebo i dziką, górzystą ziemię, pozbawioną wszelkich oznak życia i cywilizacji.

Po raz pierwszy zobaczyła tutejszy ląd w szarówce, poprzedzającej wschód słońca, nie ujrzała więc na horyzoncie smugi, która rosła i gęstniała w kształt półwyspu, kiedy parowiec zbliżał się do wybrzeża. Kilka godzin później zbudziła ją osobliwa kakofonia krzyków nieznanymi ptaków i na tej podstawie doszła do słusznego wniosku, że nareszcie zbliżają się do lądu. Wstała z koi, starając się nie zbudzić pozostałych pasażerek, i po ciemku poprawiła włosy oraz pończochy. Kiedy wyszła po żelaznej drabinie na pokład, otulając szalem ramiona, „Pomyślny Wiatr” opływał najdalsze przylądki zatoki i niemal ze wszystkich stron otaczał go półwysep. Dziewczyna odczuła nagłą i niespodziewaną ulgę po kilku długich tygodniach spędzonych na morzu.

– Są wspaniałe, nieprawdaż?

Odwróciła się. O reling dziobowy opierał się jakiś chłopak w pilśniowym kapelusiku. Wskazywał klify i Anna zobaczyła ptaki, których hałaśliwe nawoływania zbudziły ją z ciężkiego snu: wisiały niczym chmura nad urwiskiem, a kiedy krążyły i zawracały, odbijało się od nich światło. Podeszła do relingu. Jej zdaniem ptaki przypominały wielkie mewy. Skrzydła miały czarne u góry i białe pod spodem, łebki idealnie białe, a dzioby mocne i blade. Jeden z ptaków przefrunął nisko przed statkiem, muskając skrzydłem powierzchnię wody.

– Piękne – powiedziała. – To petrele czy głuptaki?

– Albatrosy! – rozpromienił się chłopak. – Prawdziwe albatrosy! Poczekaj tylko, aż ten tutaj wróci. Bo za chwilę wróci, krąży nad statkiem już od jakiegoś czasu. Dobry Boże, jakie to musi być uczucie: latać! Potrafisz to sobie wyobrazić?

Anna uśmiechnęła się. Patrzyła, jak albatros szybuje w dal, zawraca i zaczyna wzbijać się wyżej na wietrze.

– Albatros oznacza wielkie szczęście – ciągnął chłopak. – Poza tym te ptaki

niewiarygodnie dobrze fruwać. Słyszałem opowieści o albatrosach, które lecą za statkiem całymi miesiącami, i to bez względu na pogodę. Czasami przebywają w ten sposób pół świata. Bóg jeden wie, gdzie one przedtem były i co widziały.

Kiedy albatros przechylił się na bok, stał się prawie niewidzialny – igła bieli, blada na tle nieba.

– Tak niewiele ptaków to istoty naprawdę mityczne – mówił dalej młodzieniec, ciągle obserwując albatrosa. – To znaczy mamy na przykład kruki, a ty mi może powiesz, że duże znaczenie przypisujemy także gołębicę... Ale gołębicę nie są przecież ważniejsze niż sowy czy orły. A albatros to co innego. Ma niebywałe symboliczne znaczenie. Jest niemal anielskim ptakiem i nawet kiedy tylko wymawia się jego nazwę, człowieka przeszywa dreszcz. Strasznie się cieszę, że udało mi się go zobaczyć. Jestem niemal wzruszony. I jakie to cudowne, że one strzegą w ten sposób ujścia zatoki! To chyba dobry omen, zwłaszcza dla złotodajnego miasta! Usłyszałem ich nawoływania, to mnie obudziło, i wyszedłem na pokład, bo nie mogłem rozpoznać tych odgłosów. Z początku pomyślałem, że to świnię.

Anna spojrzała na niego z ukosa. Czyżby chłopak odgrywał uverturę do zawarcia przyjaźni? Wyrażał się tak, jak gdyby się dobrze znali, chociaż prawdę mówiąc, w czasie rejsu z Sydney wymieniali jedynie przelotne pozdrowienia. Anna trzymała się głównie kwatery dla kobiet, a chłopak dla mężczyzn. Nie wiedziała, jak się nazywa. Oczywiście widywała go z daleka, nie zrobił jednak na niej żadnego wrażenia, dobrego ani złego. Dopiero teraz zauważyła, że jest trochę ekscentrykiem.

– Mnie też obudziły ich krzyki – powiedziała, a po chwili dodała: – Powinnam chyba pójść obudzić pozostałych pasażerów. To zbyt piękny widok, żeby go przegapić.

– Nie rób tego – odpowiedział chłopak. – Och nie. Dobrze? Nie zniósłbym tu teraz tłumu przepychających się ludzi. Nie o tej godzinie. Ktoś na pewno powie: „I zamiast krzyża albatrosem szyję mą obarczono” albo: „Stary ten żeglarz zatrzymuje jednego z trzech”^[2], i dalszą część podróży zdominują sprzeczki. Wiesz, wszyscy zaczną próbować poskładać cały wiersz, pokłócą się, gdzie jest miejsce na taki czy inny cytat, a każdy będzie wygłaszać kolejny fragment i popisywać się, jaką ma dobrą pamięć. Cieszymy się tym widokiem sami. Świt to prywatna część dnia, nie wydaje ci się? To taka samotna godzina. Ludzie zazwyczaj kojarzą samotność z północą, ale mnie północ wydaje się niezwykle towarzyska, bo wtedy wszyscy jesteśmy razem i śpimy w ciemności.

– Obawiam się, że w takim razie zakłócę ci samotność – rzekła Anna.

– Nie, nie. Och nie. Samotność to taki stan, którym najlepiej cieszyć się w towarzystwie. – Chłopak uśmiechnął się do niej szeroko i szybko, a Anna odwzajemniła ten uśmiech. – Zwłaszcza w towarzystwie jednej osoby – dodał, odwracając się tyłem do morza. – To straszne czuć się samotnym i być naprawdę samemu, ale ja uwielbiam taki stan, zwłaszcza samotność wśród ludzi. Spójrz na niego... Jaki piękny! Za chwilę zrobi koło i zawróci.

– Ptaki zawsze kojarzą mi się ze statkami – powiedziała Anna.

Młodzieniec zwrócił się do niej z zainteresowaniem.

– Naprawdę? – zapytał.

Zarumieniła się pod jego baczny spojrzeniem. Szeroko otwarte oczy chłopaka były ciemnobrązowe. Miał gęste brwi i bardzo pełne usta. Na głowie nosił pilśniowy kapelusik z płaskim rondem, pod którym widać było jego ciemnozłote włosy, nieco niesforne tam, gdzie wiły się wokół skroni i nad uszami. Najwyraźniej kilka miesięcy temu zostały krótko obcięte, a nieznajomy od tamtej pory nie był u golibrody.

– To tylko taka myśl – odpowiedziała Anna, nagle onieśmielona.

– Ależ dokończ ją – poprosił chłopak. – Musisz! Mów dalej.

– Ciężkie statki mają tyle wdzięku na wodzie – powiedziała w końcu dziewczyna, odwracając wzrok. – To znaczy w porównaniu z lżejszymi jednostkami. Jeżeli statek jest za lekki i podskakuje na falach, to nie ma w tym żadnego wdzięku. Moim zdaniem tak samo jest z ptakami. Wiatr nie miota wielkimi ptakami w locie, dlatego zawsze wyglądają po królewsku. Jak ten albatros. Widzieć go w powietrzu to jak patrzeć na ciężki statek, prujący fale.

Przyglądali się albatrosowi, który zataczał koło, by znów podlecieć bliżej. Panna Wetherell zerknęła ukradkiem na buty młodzieńca – z brązowej skóry, mocno zasnurowane, niezbyt błyszczące i nieznoszone. Nie była w stanie się domyślić, skąd on pochodzi. Najprawdopodobniej płynął do Nowej Zelandii, żeby zbić fortunę na złotodajnych polach Otago, jak wszyscy pasażerowie na pokładzie.

– Masz całkowitą słuszność! – zawołał chłopak. – Tak, w rzeczy samej! To zupełnie inny widok niż wróbel, co? Albatros jest ciężki jak duży statek, dokładnie tak!

– Chciałabym go zobaczyć podczas burzy – oświadczyła Anna.

– Jakie dziwne marzenie – odpowiedział zachwycony młodzieniec. – Ale tak, teraz, kiedy o tym mówisz, mnie również nachodzi podobna chęć. Też chciałbym go zobaczyć podczas burzy.

Zapadło milczenie. Anna czekała, aż chłopak się przedstawi, ale on już się nie odezwał i po chwili ich samotność została zakłócona przez innych pasażerów, którzy weszli na pokład. Jej rozmówca uchylił kapelusza, a Anna dygnęła. Po chwili zniknął, a panna Wetherell odwróciła się z powrotem w stronę oceanu. Kolonia albatrosów pozostała z tyłu, a ich pojękiwania i piski ucichły całkowicie, zagłuszone basowym buczeniem parowca oraz potężnym rykiem morza.

MERKURY W RYBACH, SATURN W KONIUNKCJI Z KSIĘŻYCEM

Rozdział, w którym Cowell Devlin zwraca się z pewną prośbą, Walter Moody pokazuje swój temperament, a George'a Sheparda spotyka nieprzyjemna niespodzianka

Od dnia jesiennego zrównania dnia z nocą zarówno Anna Wetherell, jak i Emery Staines pozostawali pod kluczem w więzieniu w Miasteczku Policyjnym. Kaucja dla Anny została wyznaczona na osiem funtów, co było oburzającą kwotą, której w żadnym wypadku nie mogła mieć nadziei zapłacić bez pomocy z zewnątrz. Tym razem, oczywiście, nie miała zaszytego w suknię złota, które mogłaby wykorzystać jako zabezpieczenie, ani pracodawcy, który zgodziłby się za nią zapłacić. Wyłożyć pieniądze dla Anny mógłby Emery Staines, gdyby sam nie został zatrzymany. Rankiem, dzień po swoim powrocie, aresztowano go pod zarzutem oszustwa, małwersacji i porzucenia pracy. Jego kaucję wyznaczono na jednego funta i jednego szylinga, standardowo, Staines jednak postanowił jej nie płacić, bo wołał zostać z dziewczyną, czekając na wezwanie przed oblicze sądu.

Po ich ponownym spotkaniu zdrowie panny Wetherell niemal od razu zaczęło się poprawiać. Przybyło jej ciała wokół ramion, a policzki miała zaróżowione. Nie wyglądała już na wynędzniałą. Lekarz, doktor Gillies, który po równonocy odwiedzał więzienie niemal codziennie, odnotował tę poprawę z zadowoleniem. Odbył z Anną bardzo surową rozmowę na temat zagrożeń wynikających z używania opium i wyraził gorącą nadzieję, że jej ostatnie omdlenie będzie stanowić dla niej przestrożę, aby już nigdy więcej nie sięgała po fajkę. Dwukrotnie miała szczęście, nie powinna jednak się spodziewać, że los uśmiechnie się do niej po raz trzeci. „Szczęście, moja droga, ma to do siebie, że kiedyś się kończy”, powiedział lekarz. Przepisał jej też laudanum, którego dawkę miała stopniowo zmniejszać i dzięki temu powoli się uwolnić od nałogu.

Emery'emu Stainesowi Gillies zaordynował to samo: pięć miarek laudanum dziennie, co dwa tygodnie o jedną kroplę mniej, dopóki ramię zupełnie się nie zagoi. Rana wyglądała o wiele lepiej, odkąd została zszyta i opatrzona, a chociaż staw barkowy był ciągle bardzo sztywny i chłopak nie mógł jeszcze podnieść ręki nad głowę, stan jego zdrowia również się szybko poprawiał. Kiedy Cowell Devlin przychodził co wieczór do więzienia i przynosił laudanum, Staines przyglądał się skwapliwie, jak kapelan wlewa rdzawy płyn do dwóch blaszanych kieliszków. Młodzieniec nie był w stanie wytłumaczyć, skąd wziął się u niego ten nagły i nienasycony głód opium, Anna zaś najwyraźniej nie była zadowolona z codziennej dawki narkotyku: marszczyła nawet nos, czując jego zapach. Devlin mieszał roztwór z cukrem, a czasem ze słodką sherry, żeby złagodzić gorzki smak lekarstwa, potem zaś na wyraźne polecenie Gilliesa stał nad obydwójgiem osadzonych i pilnował, by wypili przeznaczone dla nich porcje. Opiat rzadko potrzebował dużo czasu, aby zacząć działać: po kilku minutach Anna i Staines wzdychali i zapadali w dziwne, szkarłatne sny, rozgrywające się jak gdyby w podwodnej, księżycowej scenerii.

Minęło tak kilka tygodni, które Anna i Staines przespali, a w tym czasie w Hokitika zaszły poważne zmiany. Pierwszego kwietnia Alistair Lauderback został wybrany posłem do parlamentu z ramienia nowo utworzonego okręgu wyborczego Westland, wygrywając triumfalną większością trzystu głosów. Przyjmując godność posła, wygłosił przemówienie, w którym wychwalał Hokitika, nazywając to miasto złotym samorodkiem Nowej Zelandii. Następnie wyraził swój ogromny żal, że musi je opuścić tak szybko, i zapewnił wyborców, że będzie reprezentował interesy przeciętnego poszukiwacza złota w nowej stolicy kraju już od przyszłego miesiąca, tam bowiem miał spędzić swoją kadencję parlamentarną jako lojalny przedstawiciel Westlandu. Po przemówieniu sędzia bardzo ciepło uścisnął Lauderbackowi dłoń, a komisarz trzykrotnie wzniósł okrzyk „Hurra!”.

Dwunastego kwietnia stanęły wreszcie ściany nowego więzienia i przytułku. Więźniowie, w tym Anna i Emery, zostali przeniesieni z tymczasowej siedziby w Miasteczku Policyjnym do nowego budynku na terasie Pejzaż Morski, gdzie naczelnik już zainstalował panią Shepard jako gospodynię. Od śmierci Aha Sooka miała ręce pełne roboty: obrębiała koce, szyła mundury, gotowała, przygotowywała spis zapasów i wydawała tygodniowe racje tytoniu oraz soli. Chociaż trudno to sobie wyobrazić, widywano ją jeszcze rzadziej niż przedtem. Wieczory spędzała na cmentarzu na terasie, noce zaś samotnie w nowej rezydencji.

Szesnastego kwietnia Francis Carver i Lydia Wells wzięli wreszcie ślub wśród tłumu gości, „których strój, liczba i postawa były stosowne do uroczystości zaślubin niedawno owdowiałej panny młodej”, jak napisano w rubryce towarzyskiej „Czasu Zachodniego Wybrzeża”. Następnego dnia pan młody otrzymał dużą wypłatę w gotówce od Grupy Garrity’ego, dzięki czemu spłacił co do grosza wszystkich swoich dłużników. Ponadto z kadłuba „Z Bogiem” wyrwane zostały ostatnie miedziane płyty, a szczątki statku oddano w końcu na złom. Carver nie mieszkał już w hotelu Pałac i przeprowadził się do swojej małżonki, do Fortuny Wędrowca.

W tym czasie bardzo wielu ludzi wydeptało ścieżkę na terasę Pejzaż Morski, by prosić o widzenie z Emerym Stainesem. Cowell Devlin na wyraźny rozkaz naczelnika odsyłał ich wszystkich z kwitkiem, zapewniając, że owszem, Staines żyje, dochodzi do siebie po bardzo poważnej chorobie i zostanie w odpowiednim czasie zwolniony z więzienia w oczekiwaniu na sądowy wyrok w swojej sprawie. Kapelan zrobił wyjątek tylko dla Te Raua Tauwharego, z którym przez ostatni miesiąc Staines niezwykle blisko się zaprzyjaźnił. Tauwhare rzadko zabawiał dłużej w więzieniu, ale jego wizyty tak dobrze działały na nastrój i zdrowie Stainesa, że Devlin też wkrótce zaczął wyczekiwać ich z niecierpliwością.

Kapelan przekonał się, że Staines jest dobrodusznym, łatwowiernym, chętnie uśmiechającym się chłopakiem, pełnym naiwnej życzliwości dla ułomności świata, w którym żyje. Niewiele mówił o długich tygodniach swojej nieobecności, powtarzał tylko, że był bardzo chory i ogromnie się cieszy z powrotu do Hokitika. Kiedy Devlin zapytał go ostrożnie, czy pamięta spotkanie z Walterem Moodym na pokładzie „Z Bogiem”, młodzieniec zmarszczył brwi i pokręcił głową. Bardzo wiele zapomniał z tego okresu – jak zorientował się Devlin,

jego wspomnienia składały się z impresji podobnych do snów, z doznań zmysłowych i przebłysków jasności umysłu. Nie pamiętał, kiedy wszedł na statek, i nie przypominał sobie katastrofy, chociaż wydawało mu się, że pamięta, jak morze wyrzuciło go na brzeg, krztuszącego się wodą morską i obejmującego beczułkę z soloną wołowiną. Pamiętał, jak zbliżał się do domku Crosbiego Wellsa, pamiętał, że mijał grupkę kopaczy, siedzących przy ognisku, pamiętał liście i płynącą wodę, zbutwiały kadłub porzuconego czółna, wąż o stromych ścianach i czerwone oko ptaka, zwanego weka. Pamiętał również swoje conocne sny o kartach tarota, obszyte złotem gorsety i ukryty w worku na mąkę majątek pod łóżkiem.

– Wszystko jest okropnie niewyraźne – powiedział. – Chyba wyszedłem w nocy i straciłem orientację w buszu... A potem nie umiałem znaleźć drogi powrotnej. Kochany Te Rau Tauwhare to prawdziwy zuch, bo w końcu mnie odnalazł!

– A jednak byłoby o wiele lepiej, gdyby znaleziono pana wcześniej – powiedział Devlin, wciąż starannie dobierając słowa. – Gdyby wrócił pan zaledwie trzy dni wcześniej, pańskie działki nie zostałyby zajęte. Stracił pan wszystkie swoje aktywa, panie Staines.

Młodzieniec wydawał się tym wcale nie martwić.

– Zawsze można znaleźć więcej złota – powiedział. – Pieniądze to tylko pieniądze, a bieda dobrze robi człowiekowi, jeśli dotyka go od czasu do czasu. Tak czy owak mam zapasowy skarb, ukryty w Dolinie Arahura. Jest wart wiele tysięcy. Jak tylko wyzdrowieję, pojedę i go wykopię.

Oczywiście minęło wiele czasu, zanim ta sprawa została wyjaśniona.

W trzecim tygodniu kwietnia w „Czasie Zachodniego Wybrzeża” opublikowano harmonogram posiedzeń sądu.

Zarzuty postawione panu Emery’emu Stainesowi brzmią następująco: po pierwsze, w styczniu 1866 roku sfalszował raport kwartalny; po drugie, ukradł kruszec, zgodnie z prawem przekazany do banku na konto kopalni Aurora, a znaleziony później w posiadaniu świętej pamięci pana Crosbiego Wellsa z Doliny Arahura; po trzecie, w czasie nieobecności, wynoszącej z górą osiem tygodni, zaniedbał swoje obowiązki wobec działek i kopalni oraz inne prawne zobowiązania. Rozprawa zostaje wyznaczona na czwartek, 27 kwietnia w sądzie grodzkim o godzinie pierwszej po południu. Przewodniczyć będzie czcigodny pan sędzia Kemp.

Przeczytawszy tę informację w sobotę przy porannej kawie, Devlin niezwłocznie udał się do hotelu Korona.

– Tak, widziałem to ogłoszenie – powiedział Moody, spożywając śniadanie, na które składały się wędzone śledzie i grzanki.

– Z pewnością pojmuje pan wagę stawianych zarzutów.

– Oczywiście. Mam nadzieję, podobnie jak zapewne wielu naszych znajomych, że proces rozpocznie się szybko. – Moody nalał gościowi filiżankę kawy, rozsiadł się wygodnie

i grzecznie czekał, aż Devlin wyłuszczy powody swojej wizyty.

Kapelan położył rękę na blacie grzbietem do dołu.

– Ma pan wykształcenie prawnicze, panie Moody, a na tyle, na ile zdążyłem pana poznać, jest pan człowiekiem sprawiedliwym. Chcę przez to powiedzieć, że nie jest pan stronniczy. Zna pan fakty w tej sprawie tak, jak powinien je znać prawnik, czyli ze wszystkich stron.

Moody zmarszczył czoło.

– Tak, istotnie – odparł. – Co oznacza, że doskonale wiem, że złoto z domku pana Wellsa wcale nie pochodziło z Aurory, i jakkolwiek by na to patrzeć, nie należy do pana Stainesa. Chyba mnie ksiądz nie prosi, żebym wystąpił w sądzie.

– Proszę właśnie o to – powiedział Devlin. – W Hokitika brakuje adwokatów, a pan ma bystrzejszy umysł niż większość z nich.

Moody nie wierzył własnym uszom.

– To sąd cywilny – powiedział. – Czy wyobraża ksiądz sobie, co będzie, jeśli ujawnię całą tę historię, wciągając w nią was wszystkich co do jednego, nie licząc Lauderbacka, Sheparda, Carvera i Lydii Wells?

– Teraz powinien pan powiedzieć: Lydii Carver.

– Proszę mi wybaczyć. Lydii Carver – rzekł Moody. – Nie rozumiem jednak, na co mógłbym się przydać w sądzie grodzkim. Nie wiem też, kto by skorzystał na bezlitosnym ujawnieniu całej tej historii. Musiałbym opowiedzieć o sukniach, szantażu, życiu osobistym Lauderbacka, o wszystkim.

Moody myślał również o bastardzie, Crosbiem Wellsie.

– Nie proponuję, żeby wszystko bezlitośnie ujawnić – odpowiedział kapelan. – Proszę tylko, aby zechciał pan wystąpić jako obrońca panny Wetherell.

Moody zdziwił się.

– Myślałem, że panna Wetherell ma już adwokata.

– Obawiam się, że pan Fellowes okazał się mniej życzliwy, niż można by sądzić po jego nazwisku^[3] – powiedział Devlin. – Po tej aferze z laudanum w gmachu sądu miesiąc temu odmówił reprezentowania Anny.

– Jaki podał powód?

– Najwyraźniej boi się kary grzywny za przekupstwo. Anna zaproponowała, że zapłaci jego honorarium, czerpiąc pieniądze z tego samego majątku, do którego domaga się praw, co biorąc pod uwagę wszystkie okoliczności, było z jej strony raczej niezbyt rozsądne.

Moody zrobił niezadowoloną minę.

– A czy nie dostanie adwokata z urzędu?

– Adwokat z urzędu został wyznaczony, to niejaki pan Harrington, ale wszystkie wróble ćwierkają, że on siedzi bardzo głęboko w kieszeni sędziego. Jeżeli chcemy uratować Annę od procesu przed Sądem Najwyższym, Harrington nie wystarczy.

– Rozprawa przed Sądem Najwyższym? Ksiądz raczy żartować – powiedział Moody. – Wszystko rozstrzygnie się przed sądem grodzkim, w dodatku jestem pewien, że w ekspresowym tempie. Nie chciałbym, żeby to, co teraz powiem, ksiądz odebrał jako wyraz protekcjonalności z mojej strony, ale jest wielka różnica między prawem karnym i cywilnym.

Devlin zmierzył Moody'ego dziwnym spojrzeniem.

– Czytał pan dzisiejszy harmonogram posiedzeń sądu w porannej gazecie?

– I owszem.

– Od początku do końca?

– Chyba tak.

– To może powinien pan spojrzeć na niego jeszcze raz.

Moody z marsem na czole otworzył gazetę na trzeciej stronie, wygładził ją i po raz drugi rzucił okiem na harmonogram. Na samym dole kolumny znalazł taką zapowiedź:

Zarzuty postawione pani Annie Wetherell brzmią następująco: po pierwsze, fałszerstwo; po drugie, publiczne pojawienie się w stanie odurzenia narkotykowego, prowadzącego do nieprzystojnego zachowania; po trzecie, napaść na pana Stainesa i spowodowanie u niego ciężkich obrażeń ciała. Rozprawa odbędzie się w czwartek, 27 kwietnia w sądzie grodzkim o godzinie dziewiątej rano. Przewodniczyć będzie czcigodny pan sędzia Kemp.

Moody zdumiał się.

– Napaść i spowodowanie ciężkich obrażeń ciała?

– Doktor Gillies potwierdził, że kula, którą wyjął z ramienia Stainesa, pochodziła z damskiego rewolweru – odpowiedział Devlin. – Niestety, ta informacja wymknęła mu się, kiedy siedział w towarzystwie lokaja z hotelu Ruszt. Lokaj przypomniał sobie o styczniowych strzałach w pokoju Anny i połączył oba te zdarzenia. Natychmiast wysłano funkcjonariusza do hotelu Ruszt i pan Clinch musiał przekazać mu rewolwer Anny jako dowód w sprawie. Stwierdzono, że kula pochodziła z broni dziewczyny.

– Ale to na pewno nie pan Staines wniósł zarzut przeciwko Annie – powiedział Moody.

– Nie, to nie był Staines – przyznał Devlin.

– A zatem kto za tym stoi?

Devlin zakaszłał.

– Niestety, pan Fellowes wciąż jest w posiadaniu tego nieszczęsnego aktu darowizny, na mocy którego Staines daje Annie dwa tysiące funtów, a który spisał kiedyś pan Crosbie Wells. Fellowes powiedział o tym naczelnikowi Shepardowi, ten zaś, jak pan pamięta, widział ów dokument po raz pierwszy, kiedy jeszcze nie był podpisany. Shepard poprosił, żebym powiedział prawdę... Musiałem więc przyznać, że podpis Stainesa został sfałszowany... I to ręką Anny.

– O rety.

– Osaczyli ją – powiedział Devlin. – Jeżeli dziewczyna przyzna się do napaści, będą twierdzić, że było to usiłowanie morderstwa. Mogą wykorzystać też akt darowizny, by udowodnić, że miała powody, aby życzyć mu śmierci, rozumie pan.

– A jeśli się nie przyzna?

– To i tak ją dopadną pod zarzutem fałszerstwa. Jeżeli zaprzeczy, że sfałszowała podpis, zaczną dowodzić, że jest obłąkana. Jak wszyscy wiemy, Shepard od dawna trzyma tego asa w rękawie. Boję się, że naczelnik i Fellowes bardzo mocno zwarli szyki przeciwko niej.

– Oczywiście pan Staines będzie zeznawał na jej korzyść.

Devlin skrzywił się.

– Tak – odpowiedział – ale obawiam się, że on niezupełnie pojmuje powagę sytuacji. Ma łagodny charakter, często wygłasza jednak dosyć głupawe opinie. Na przykład kiedy podniosłem kwestię domniemanego obłędu panny Wetherell, był zachwycony takim przypuszczeniem. Powiedział, że nigdy by mu się nie spodobała, gdyby miała inny charakter.

– A jaka jest opinia księdza w tej kwestii? Czy dziewczyna jest przy zdrowych zmysłach?

– Zdrowie umysłowe nie jest kwestią opinii – odparł przewrotnie Devlin.

– Niestety, wręcz przeciwnie – rzekł Moody. – Zdrowie umysłowe ocenia się na podstawie zeznań świadków. Prosił pan lekarza, żeby przygotował raport w tej sprawie?

– Miałem nadzieję, że to pan zwróci się do niego z taką prośbą – odpowiedział Devlin.

– Hm – mruknął Moody, wracając do gazety. – Jeśli mam zostać adwokatem panny Wetherell, to muszę też pomówić z panem Stainesem.

– Zorganizujemy to z łatwością. On i panna Wetherell są nierozłączni.

– Na osobności... A ta rozmowa będzie musiała trochę potrwać.

– Dostanie pan wszystko, co będzie panu potrzebne.

Moody złączył dłonie i postukał palcami jednej ręki o palce drugiej.

– Najpierw i przede wszystkim musimy dopilnować, żeby ich opowieści były ze sobą

zgodne.

Φ

Ranek 27 kwietnia w Hokitika wstał jasny i bezchmurny. Walter Moody zerwał się o świcie i poświęcił mnóstwo czasu na zabiegi toaletowe. Ogolił się, uczesał i posmarował włosy pomadą, a potem skropił się wodą kolońską za uszami. Wcześniej pokojówka z Korony postawiła jego świeżo wypastowane buty pod drzwiami pokoju, a na sekretarze położyła burgundową kamizelkę, szary krawat i kloszowaty kołnierzyk o spiczastych końcach. Wyszczotkowała i wyprasowała mu frak, po czym powiesiła go w oknie, żeby się nie wygniół przez noc. Moody ubierał się niezwykle starannie – do tego stopnia, że zszedł na śniadanie dopiero, kiedy kapliczny dzwon wybił ósmą. Poklepywał się po kieszeniach kamizelki, aby się upewnić, że dobrze przyczepił łańcuszek do zegarka. Pół godziny później szedł już na północ po ulicy Revella. Na głowie miał równiutko włożony cylinder, a w ręce skórzaną teczkę.

Zbliżając się do gmachu sądu, odniósł wrażenie, że na poranne posiedzenia wybrało się całe miasto. Kolejka do wejścia ciągnęła się przez pół długości ulicy, a rozochociony tłum na ganku wstrzymywał oddech. Moody dołączył do przesuwających się z wolna ludzi i po pewnym czasie został wprowadzony do budynku przez dwóch dyżurnych policjantów o ponurych obliczach, którzy szorstko przykazali mu, by trzymał ręce przy sobie, nie odzywał się niepytany i zdjął kapelusz, gdy sędzia wejdzie na salę. Moody przepchnął się przez galerię, trzymając teczkę przy piersi, a potem przeszedł przez linę, odgradzającą miejsca dla publiczności, i usiadł na ławce dla adwokatów, obok prawników, którzy reprezentowali oskarżonych.

Jako adwokat, Moody otrzymał listę świadków, wezwanych przez powoda trzy dni przed procesem. Nazwiska zostały uporządkowane w kolejności, w której mieli zeznawać: pan Joseph Pritchard, pan Aubert Gascoigne, wielebny Cowell Devlin i naczelnik George Shepard. Ten zestaw pozwolił Moody'emu domyślić się, jaką taktykę najprawdopodobniej przyjmie prokurator w sprawie przeciwko Annie. Lista świadków na posiedzenie popołudniowe była znacznie dłuższa – w sprawie Okręgu Westland przeciwko panu Emery'emu Stainesowi prokurator wezwał do złożenia zeznań: pana Richarda Manneringa, pana Johna Longa Quee'ego, pana Benjamina Löwenthala, pana Edgara Clincha, pana Haralda Nilssena, pana Charlesa Frosta, panią Lydię Carver i kapitana Francisa Carvera. Otrzymawszy te dokumenty przed rozprawą, Moody od razu usiadł, żeby doszlifować swój dwuczęściowy plan strategiczny, wiedział bowiem bardzo dobrze, że wrażenie, jakie zrobi rano, silnie wpłynie na wyrok, który sąd miał wydać po południu.

W końcu zegar wybił dziewiątą i ci, którzy siedzieli, zostali poproszeni o powstanie. Publiczność ucichła, kiedy wszedł czcigodny sędzia Kemp. Wkroczył po schodkach na podwyższenie, usiadł ciężko, machnął ręką w stronę reszty składu sędziowskiego na znak, by też usiedli, i bez ceregieli przystąpił do załatwienia niezbędnych formalności. Był czerwonym na twarzy, gładko ogolonym mężczyzną o grubych palcach, z szopą sztywnych, dziwnie

przystrzyżonych włosów, które sterczały mu kępą nad uszami, a na czubku głowy przylegały do niej niemal płasko.

– W imieniu oskarżonej występować będzie pan Walter Moody – odezwał się sędzia, odcytując nazwiska z leżącej przed nim księgi – a w imieniu prokuratury pan Lawrence Broham, któremu asystować będą panowie Roger Harrington i pan John Fellowes z sądu grodzkiego. Panie Moody, panie Broham.. – sędzia zerknął na nich znad binokli i wbił wzrok w ławkę obrony. – Mam do was dwie uwagi, zanim zaczniemy. Pierwsza jest taka, że doskonale zdaję sobie sprawę, że tłum publiczności nie zebrał się w tej sali z miłości do prawa, naszym zadaniem jest jednak zadośćuczynić sprawiedliwości, nie chuciom, bez względu na to, kto akurat znajduje się na mównicy, i bez względu na zarzuty. Będę wdzięczny wam obu, jeśli zechcecie utrzymać pytania do panny Wetherell oraz wszystkich jej znajomych w granicach przyzwoitości, a odnosząc się do jej dawnego zajęcia, będziecie używać takich terminów, jak „ulicznica”, „kobieta pracująca nocą” albo „przedstawicielka najstarszego zawodu świata”. Czy wyrażam się w tej kwestii jasno?

Prawnicy zamruczeli potakująco.

– To dobrze – rzekł sędzia Kemp. – Drugi problem, który chciałem poruszyć, omawiałem już z wami na osobności, powtarzam się więc na użytek publiczności. Tych sześć zarzutów, które dziś usłyszymy – na porannej rozprawie przeciwko pannie Wetherell: o fałszerstwo, nadużywanie narkotyków oraz napaść, a na rozprawie popołudniowej przeciwko panu Emery’emu Stainesowi: o oszustwo, kradzież i zaniedbanie obowiązków – łączy się ze sobą w wielu swoich aspektach, o czym, jestem pewien, wie już każdy umiejący czytać mieszkaniec Westlandu. Biorąc pod uwagę taką współzależność, wydaje mi się rozsądne poczekać z wyrokiem w sprawie przeciwko pannie Wetherell do zakończenia rozprawy z udziałem pana Stainesa, abyśmy mogli zobaczyć jeden proces, by tak rzec, w świetle drugiego. Czy wszystko jest jasne? To dobrze. – Sędzia skinął na woźnego. – Proszę wezwać podsądną.

Kiedy przyprowadzono Annę, na sali rozległy się szepty. Moody odwrócił się, by obserwować jej wejście, i ucieszył się z wrażenia, jakie jego klientka zrobiła na publiczności. Nie była już przeraźliwie chuda i wynędzniała, ale kobieco szczupła, i wyglądała raczej na kruchą niż niedożywioną. Znowu miała na sobie czarną suknię, która należała kiedyś do zmarłej żony Auberta Gascoigne’a, a włosy uczesała bardzo zwyczajnie – zebrała je w prosty kok na karku. Woźny zaprowadził ją na zaimprovizowane miejsce dla świadków i Anna podeszła bliżej, aby położyć dłoń na sądowej Biblii. Przysięgę złożyła cicho i bez emocji, po czym odwróciła się do sędziego. Twarz dziewczyny pozostawała bez wyrazu, dłonie miała luźno splecione.

– Panno Anno Wetherell – odezwał się sędzia – staje pani przed tym sądem, aby odpowiedzieć na trzy zarzuty. Po pierwsze, chodzi o sfalszowanie podpisu na akcie darowizny. Przyznaje się pani do winy?

– Nie, wysoki sędzie.

– Po drugie, jest pani oskarżona o to, że 20 marca bieżącego roku w godzinach popołudniowych pod wpływem narkotyków dopuściła się pani zakłócenia porządku publicznego. Przyznaje się pani do winy?

– Nie, wysoki sędzie.

– I po trzecie, jest pani oskarżona o napaść na pana Emery’ego Stainesa i zadanie mu ciężkich obrażeń ciała. Przyznaje się pani do winy?

– Nie, wysoki sędzie.

Sędzia zanotował jej odpowiedzi, po czym ponownie zabrał głos.

– Niewątpliwie zdaje sobie pani sprawę, panno Wetherell, że ten sąd nie ma uprawnień do orzekania w sprawach kryminalnych.

– Tak, wysoki sędzie.

– Trzeci zarzut przeciwko pani może spowodować, że sprawa zostanie skierowana do sądu wyższej instancji. Jeżeli do tego dojdzie, to pozostanie pani w więzieniu, dopóki nie uda się zorganizować posiedzenia z udziałem sędziego Sądu Najwyższego oraz ławy przysięgłych. Rozumie pani?

– Tak, wysoki sędzie. Rozumiem.

– To dobrze. Proszę usiąść.

Dziewczyna usiadła.

– Panie Broham – powiedział sędzia Kemp. – Sąd wysłucha teraz pańskiego oświadczenia.

– Dziękuję, wysoki sędzie. – Broham był szczupłym mężczyzną z rudym wąsem i o przenikliwie patrzących, choć wodnistych oczach. Wstał, układając papiery równo z brzegiem stołu.

– Panie sędzio, członkowie składu sędziowskiego, panie i panowie – zaczął. – Wszyscy przyzwoici obywatele powinni mieć świadomość, że dym ze zbrylonego wyciągu z maku jest narkotykiem powodującym prymitywny nałóg, szkodliwym w działaniu i zasługującym na potępienie z uwagi na społeczne i historyczne szkody, które przynosi. Zbadamy dzisiaj pewną żalną sprawę młodej kobiety, której słabość do wspomnianego narkotyku kładzie się cieniem nie tylko na publicznym wizerunku Hokitika, ale i na obliczu naszego nowo ustanowionego Okręgu Westland...

Oświadczenie Brohama było rozwlekłe. Przypomniwał członkom składu sędziowskiego, że Anna już raz targnęła się na swoje życie, i wskazał na związek pomiędzy tamtym nieudany samobójstwem oraz jej omdleniem po południu 20 marca. „Oba te przypadki – dodał z cynicznym naciskiem – wzbudziły zainteresowanie publiczne”. Prokurator poświęcił też wiele czasu sfalszowaniu podpisu na akcie darowizny, podając w wątpliwość ważność tego

dokumentu i podkreślając, jak wiele Anna mogła zyskać na takim fałszerstwie. Kiedy przeszedł do oskarżenia o napaść, mówił ogólnie o tym, jak niebezpieczni i nieprzewidywalni bywają ludzie uzależnieni od opium, a potem opisał ranę Stainesa tak realistycznie i szczegółowo, że pewną panią, siedzącą na galerii, trzeba było wyprowadzić z sali. Na zakończenie Broham poprosił obecnych, aby zechcieli sobie wyobrazić, ile opium można kupić za dwa tysiące funtów, a następnie zadał retoryczne pytanie, czy pogodziliby się z tym, że tak znaczna ilość narkotyku trafiłaby w ręce takiej zaburzonej emocjonalnie, obracającej się w podejrzanych kręgach osoby jak panna Wetherell, będąca niegdyś kobietą pracującą nocą.

– Panie Moody – powiedział sędzia, kiedy Broham usiadł. – Proszę o oświadczenie w imieniu obrony.

Moody natychmiast wstał i zwrócił się do sędziego.

– Dziękuję, wysoki sędzie. Będę się streszczał. – Trzęsły mu się ręce, toteż szeroko rozczapierzył palce na stole, by je unieruchomić, a potem zaczął mówić głosem, w którym było więcej pewności niż w jego sercu.

– Zacznę od przypomnienia panu Brohamowi, że panna Wetherell uwolniła się już od nałogu, zyskując dzięki temu mój najszerszy podziw i szacunek. Oczywiście, jak to opisał wam pan Broham z taką przyjemnością, charakter panny Wetherell czyni ją potencjalną ofiarą niezliczonych narkotykowych pokus. Ja sam nigdy nie paliłem opium, podobnie jak pan Broham, który was o tym zapewnił, i zaryzykuję twierdzenie, że jednym z powodów tej naszej abstynencji jest strach. Strach przed tą władzą, którą narkotyk mógłby nad nami sprawować, strach przed jego uzależniającą mocą i przed tym, co moglibyśmy zobaczyć albo zrobić, gdybyśmy poddali się jego efektom. Czynię tę uwagę, aby podkreślić, że słabość panny Wetherell w tym względzie nie jest niczym wyjątkowym i dotyczy wszystkich opiumistów, powtórzę więc w tym miejscu, że podziwiam ją za to, że ze wszystkich sił starała się zmienić na lepsze. Jednak niezależnie od tego, do czego chciałby was przekonać pan Broham, nie jesteśmy tu po to, żeby osądzać charakter panny Wetherell ani wydawać na niego wyrok. Jesteśmy tu po to, żeby ocenić, jak najlepiej zadośćuczynić sprawiedliwości w odniesieniu do tych trzech zarzutów: fałszerstwa, nieprzystojnego zachowania i napaści. Nie sprzeciwiam się panu Brohamowi, który powiedział, że fałszerstwo jest poważnym przestępstwem, i nie widzę niczego niewłaściwego w jego stwierdzeniu, że napaść i spowodowanie ciężkich obrażeń ciała ocierają się już o zabójstwo. Jak jednak wkrótce dowiodę, panna Wetherell jest niewinna wszystkich trzech zarzutów. Nie popełniła fałszerstwa, w żaden sposób nie zamierzała zaatakować pana Emery'ego Stainesa, a jej omdlenia po południu 20 marca raczej nie można nazwać zakłóceniem porządku publicznego, tak jak nie należałoby użyć tego określenia w stosunku do owej damy, którą wyprowadzono z tej sali dziesięć minut temu. Nie mam najmniejszych wątpliwości, że zeznania świadków wykażą niewinność mojej klientki, i to bardzo szybko. Wysoki sędzie, szacowni członkowie składu sędziowskiego, panie i panowie, w oczekiwaniu na to szczęśliwe zakończenie nie waham się oddać sprawy w dobre ręce wymiaru sprawiedliwości.

Moody usiadł z mocno bijącym sercem. Podniósł wzrok na sędziego w nadziei na jakąś oznakę aprobaty z jego strony, ale sędzia Kemp pochylał się nad księgą i robił notatki. Broham odwrócił głowę w bok i przypatrywał się Moody'emu z bardzo nieprzyjemnym wyrazem twarzy. Fellowes, który siedział obok oskarżyciela, szepnął mu coś do ucha, a po chwili Broham uśmiechnął się i odpowiedział mu również szeptem.

– Dziękuję, panie Moody – odezwał się wreszcie sędzia, podkreślając zamasyście to, co przed chwilą zapisał, i odkładając pióro. – Oskarżona, proszę wstać. Panie Broham, teraz pańska kolej.

Broham podniósł się i podziękował sędziemu po raz drugi.

– Panno Wetherell – powiedział, odwracając się do Anny – jak zarabiała pani na życie do wieczora 14 stycznia?

– Panie Broham! – warknął natychmiast sędzia. – Co ja przed chwilą powiedziałem? Panna Wetherell jest przedstawicielką najstarszego zawodu świata. Niech to nam wystarczy.

– Tak jest, wysoki sądzie – odpowiedział Broham i zaczął jeszcze raz. – Panno Wetherell, w nocy 14 stycznia podjęła pani pewną decyzję dotyczącą pani profesji. Czy to prawda?

– Tak.

– Jaka to była decyzja?

– Rzuciłam swój zawód.

– Co pani ma na myśli, mówiąc „rzuciłam”?

– Że przestałam się prostytuować.

Sędzia westchnął.

– Proszę kontynuować – odezwał się zrezygnowanym tonem.

– Czy od razu podjęła pani nową pracę? – spytał Broham, ciągnąc przesłuchanie.

– Nie – odrzekła Anna. – Ale kiedy pani Wells przyjechała do miasta, sprowadziła mnie do Fortuny Wędrowca, gdzie zamieszkałam. Zaczęłam się uczyć tarota i tabel astralnych, myśląc, że będę jej pomagać stawiać horoskopy. Miałam nadzieję, że będę mogła się utrzymać jako jej asystentka.

– Kiedy zegnała się pani ze swoją dawną profesją, czy miała już pani na oku pracę asystentki pani Wells?

– Nie – odparła Anna. – Wtedy nawet nie wiedziałam, że pani Wells przyjedzie do Hokitika.

– A zatem z czego zamierzała pani żyć przed jej przybyciem do miasta?

– Nie miałam żadnego planu, jeśli o to chodzi.

– Żadnego?

– Żadnego, szanowny panie.

– Nie miała pani nic odłożonego na czarną godzinę? Albo jakiejś innej formy zabezpieczenia?

– Nie, szanowny panie.

– W takim razie zdecydowała się pani na niezwykle radykalny krok – oświadczył Broham z sympatią w głosie.

– Panie Broham! – warknął ponownie sędzia.

– Tak, wysoki sędzie?

– Proszę nam powiedzieć, do czego pan zmierza.

– Oczywiście. Ten akt darowizny – Broham zaprezentował go obecnym – wskazuje panią, panno Wetherell, jako osobę szczęśliwie obdarowaną dwoma tysiącami funtów, a nosi on datę 11 października ubiegłego roku. Darczyńca, pan Emery Staines, zniknął bez śladu 14 stycznia, dokładnie tego dnia, kiedy pani, jako osoba szczęśliwie obdarowana tą niezwykłą sumą, postanowiła zaprzestać pracy na ulicy i zacząć godniejsze życie. Decyzję tę podjęła pani bez powodu i nie mając żadnych planów na przyszłość. Otóż...

– Sprzeciw – powiedział Moody, wstając. – Pan Broham nie wykazał, że panna Wetherell nie miała powodu, aby zmienić zawód.

Sędzia podtrzymał sprzeciw i zirytowany Broham musiał zadać Annie następujące pytanie:

– Czy miała pani jakiś konkretny powód, panno Wetherell, by podjąć taką decyzję i przestać się prostytuować?

– Tak – odpowiedziała Anna i ponownie spojrzała na Moody'ego, który nieznacznie skinął głową, zachęcając ją do dalszych wyjaśnień. Odetchnęła głęboko i kontynuowała: – Zakochałam się. W panu Stainesie. Noc 14 października była pierwszą, którą spędziliśmy razem, i... No cóż, potem nie chciałam już dłużej żyć jak dziwka.

Broham zrobił niezadowoloną minę.

– Tej samej nocy została pani aresztowana za próbę samobójstwa, czyż nie?

– Tak – odrzekła Anna. – Myślałam, że on mnie nie kocha... Że nie może mnie kochać... Nie potrafiłam sobie z tym poradzić... I zrobiłam coś strasznego.

– Czy zatem przyznaje się pani, że tamtej nocy targnęła się na swoje życie?

– Chciałam się odurzyć – powiedziała Anna. – Ale ani przez chwilę nie zamierzałam wyrządzić sobie żadnej większej krzywdy.

– Kiedy była pani sądzona w tej samej sali za podjęcie próby samobójczej, odmówiła pani

zeznań. Dlaczego zmieniła pani decyzję w tej kwestii?

Było to pytanie, którego Moody i Anna nie przewidzieli, i Walter bał się przez chwilę, że jego klientka straci rezon, odpowiedziała jednak spokojnie i zgodnie z prawdą.

– Pan Staines był wtedy jeszcze uznany za zaginionego – odparła. – Myślałam, że może udał się w górę rzeki albo do wąwozu, a to by znaczyło, że czyta lokalną prasę. Nie chciałam powiedzieć nic, o czym mógłby się dowiedzieć z gazet, a co sprawiłoby, że może zacząłby źle o mnie myśleć.

Broham zakaszłał sucho, zasłaniając usta grzbietem dłoni.

– Proszę opisać, co stało się wieczorem 14 stycznia. Po kolei i własnymi słowami.

Anna skinęła głową.

– Spotkałam pana Stainesa w Złotym Samorodku około siódmej. Wypiliśmy razem drinka, a potem pan Staines zaprowadził mnie do swojego mieszkania przy ulicy Revella. Około dziesiątej wróciłam do hotelu Ruszt i zapaliłam fajkę. Czułam się nieco nieswojo, jak już mówiłam, i zażyłam trochę większą dawkę niż zwykle. Zapewne wyszłam z hotelu, kiedy wciąż znajdowałam się pod wpływem opium, bo potem pamiętam już tylko, że obudziłam się w więzieniu.

– Co pani ma na myśli, mówiąc, że czuła się pani nieswojo?

– Och, tylko tyle, że byłam w melancholijnym nastroju.. A zarazem bardzo szczęśliwa i niepokieszona. Pomieszanie z poplątaniem, nie potrafię tego dokładnie opisać.

– W pewnym momencie tej samej nocy zniknął pan Staines – zauważył Broham. – Wie pani, dokąd się udał?

– Nie – odrzekła Anna. – Widziałam go ostatnio w domu na Revella. Spał. Najprawdopodobniej zniknął jakiś czas po moim wyjściu.

– Innymi słowy, po dziesiątej wieczorem.

– Tak – odparła Anna. – Czekałam, aż wróci, ale on nie wracał. Mijały kolejne dni, a po panu Stainesie nie było ani śladu. Kiedy pani Wells zaproponowała mi mieszkanie w Wędrowcu, pomyślałam, że najlepiej będzie przyjąć tę propozycję. Tylko na pewien czas. Wszyscy mówili, że pan Emery Staines z pewnością nie żyje.

– Czy widziała go pani między 14 stycznia a 20 marca?

– Nie, szanowny panie.

– Korespondowała pani z nim?

– Nie, szanowny panie.

– Jak pani myśli, gdzie przebywał w tym czasie?

Anna otworzyła usta, żeby odpowiedzieć, ale Moody szybko wstał i wtrącił:

– Zgłaszam sprzeciw. Nie można prosić podsądnej, by snuła domysły podczas składania zeznań.

Sędzia i tym razem podtrzymał sprzeciw Moody'ego, po czym poprosił Brohama, żeby kontynuował.

– Kiedy pan Staines został odnaleziony 20 marca po południu, miał kulę w ramieniu – powiedział. – Czy w czasie waszej randki 14 stycznia pan Staines był ranny?

– Nie – odparła Anna.

– A czy został zraniony tamtego wieczoru?

– Nic mi o tym nie wiadomo. Kiedy widziałam go po raz ostatni, był cały i zdrowy. Spał.

Broham wziął do ręki damski rewolwer, leżący na ławce.

– Poznaje pani tę broń, panno Wetherell?

– Tak – odpowiedziała Anna, przyglądając się rewolwerowi spod zmrużonych powiek. – Jest mój.

– Nosi go pani przy sobie?

– Nosiłam, kiedy pracowałam na ulicy. Chowałam go za dekoltem.

– Czy miała go pani przy sobie w nocy 14 stycznia?

– Nie. Zostawiłam go w hotelu Ruszt. Pod poduszką.

– Ale w nocy 14 stycznia pracowała pani na ulicy, czyż nie?

– Byłam z panem Stainesem – rzekła Anna.

– Nie o to panią pytałem – powiedział Broham. – Czy pracowała pani w nocy 14 stycznia?

– Tak – odrzekła Anna.

– A jednak twierdzi pani, że pozostawiła rewolwer w domu.

– Tak.

– Dlaczego?

– Nie sądziłam, że będę go potrzebować.

– Ale to był wyjątek. Normalnie miałyby go pani przy sobie.

– Tak.

– Czy jest ktoś, kto mógłby potwierdzić, gdzie znajdował się ten rewolwer 14 stycznia wieczorem?

– Nie. Chyba że ktoś zaglądał mi pod poduszkę.

– Kula znaleziona w ramieniu pana Stainesa została wystrzelona z takiego rewolweru – powiedział Broham. – Czy to pani go postrzeliła?

– Nie.

– A czy wiadomo pani, kto to zrobił?

– Nie, szanowny panie.

Broham znów odkaszlnął, zasłaniając usta.

– Czy w nocy 14 stycznia zdawała sobie pani sprawę, ile jest wart majątek pana Stainesa, poszukiwacza złota?

– Wiedziałam, że pan Staines jest bogaty. Wszyscy o tym wiedzieli.

– Czy tamtej nocy albo w jakimkolwiek innym terminie rozmawiała pani z panem Stainesem o złocie, znalezionym w domku pana Crosbiego Wellsa?

– Nie. Nigdy nie rozmawialiśmy o pieniądzach.

– Nigdy? – zapytał Broham, unosząc brew.

– Panie Broham... – odezwał się znużonym głosem sędzieja.

Broham pochylił głowę.

– Kiedy po raz pierwszy dowiedziała się pani o zamiarach pana Stainesa, wyrażonych w akcie darowizny?

– Rankiem 20 marca – powiedziała Anna. Trochę się rozluźniła, bo na to pytanie miała już przygotowaną odpowiedź. – Kapelan więzienny przyniósł ten dokument do Fortuny Wędrowca, żeby mi go pokazać, a ja od razu zniosłam go do sądu, chcąc się dowiedzieć, co to może znaczyć. Naradzałam się z panem Fellowesem, który potwierdził, że akt darowizny jest legalny i wiążący. Powiedział, że coś w tym wszystkim może być... To znaczy, że być może mam prawo do tego majątku. A potem zgodził się zanieść akt do banku, działając w moim imieniu.

– Co było później?

– Powiedział, żebyśmy się spotkali znowu w sądzie o piątej po południu. Dlatego wróciłam tu o tej godzinie i usiedliśmy, żeby porozmawiać jak poprzednio. Ale potem zemdlałam.

– Z jakiego powodu?

– Nie wiem.

– Czy była pani wówczas pod wpływem jakiegoś narkotyku albo alkoholu?

- Nie – odparła Anna.
- Czy ktoś może zaręczyć, że tego dnia nie zażywała pani narkotyków?
- Wielebny Devlin był ze mną rano, a popołudnie spędziłam z panem Clinchem w hotelu Ruszt.
- W swoim raporcie dla sądu naczelnik Shepard wspomniał, że kiedy straciła pani przytomność, w powietrzu unosiła się silna woń laudanum – rzekł Broham.
- Może naczelnik Shepard się pomylił.
- Jest pani uzależniona od opiatów, czyż nie?
- Nie paliłam opium, odkąd zamieszkałam z panią Wells – odpowiedziała stanowczo Anna. – Rzuciłam narkotyk, kiedy zaczęłam nosić żałobę, w dniu, gdy zwolniono mnie z więzienia.
- Proszę mi pozwolić postawić sprawę jasno: twierdzi pani, że nie tykała opium pod żadną postacią, odkąd przedawkowała je pani 14 stycznia?
- Tak – powiedziała Anna. – Tak jest.
- I pani Carver może to potwierdzić?
- Tak.
- A czy może pani powiedzieć sądowi, co się stało po południu 27 stycznia, zanim pani Carver przybyła do hotelu Ruszt?
- Siedziałam w swoim pokoju i rozmawiałam z panem Pritchardem – wyrecytowała Anna. – Rewolwer miałam za dekoltem, jak zawsze. Nagle do pokoju wszedł pan Gascoigne i przestraszyłam się, dlatego wyciągnęłam rewolwer, który przypadkowo wypalił. Nikt z nas nie mógł zrozumieć, co się stało. Pan Gascoigne myślał, że może broń jest niesprawna, kazał mi ją więc naładować jeszcze raz, a potem oddał drugi strzał w poduszkę, chcąc się upewnić, że wszystko dobrze działa. Następnie oddał mi rewolwer, a ja schowałam go z powrotem do szuflady i od tamtej pory już go nie dotykałam.
- Innymi słowy, tamtego popołudnia padły dwa strzały.
- Tak.
- Druga kula utkwiała w poduszce – powiedział prokurator. – A co się stało z pierwszą?
- Zniknęła – powiedziała Anna.
- Zniknęła? – spytał Broham, unosząc brew.
- Tak – powiedziała Anna. – Nigdzie jej nie znaleźliśmy.
- Czy może było wtedy otwarte okno?

– Nie. Padał deszcz. Nie wiem, gdzie podziąła się ta kula. Żadne z nas nie mogło tego zrozumieć.

– Kula po prostu... zniknęła.

– Tak jest – odpowiedziała Anna.

Broham nie miał więcej pytań. Usiadł, uśmiechając się nieco szyderczo, a sędzia poprosił Moody'ego, by teraz on zaczął przesłuchiwać oskarżoną.

– Dziękuję, wysoki sędzie – powiedział Moody. – Panno Wetherell, wszystkie dzisiejsze zarzuty postawił pani pan George Shepard, naczelnik więzienia Hokitika. Czy zna go pani osobiście?

Tę wymianę zdań ćwiczili przed procesem wielokrotnie. Anna odpowiedziała bez wahania.

– Absolutnie nie.

– A jednak nie licząc wniesionych dzisiaj oskarżeń, naczelnik Shepard czynił też rozmaite aluzje co do stanu zdrowia pani umysłu, czy tak?

– Tak... Pan George Shepard utrzymuje, że jestem obłąkana.

– Czy kiedykolwiek rozmawiała pani z naczelnikiem Shepardem?

– Nie.

– Czy prowadziła pani z nim jakieś interesy?

– Nie.

– Czy według pani wiedzy naczelnik Shepard ma jakieś powody, żeby źle pani życzyć?

– Nie. Nic mu nie zrobiłam.

– Rozumiem jednak, że macie wspólnego znajomego – rzekł Moody. – Nie mylę się?

– Nie – odpowiedziała Anna. – Aha Sooka. To Chińczyk. Prowadził palarnię opium w Kanierie i był moim bardzo bliskim przyjacielem. Dwudziestego marca został zastrzelony... przez naczelnika Sheparda.

Broham podskoczył, aby zgłosić sprzeciw.

– Naczelnik Shepard miał nakaz aresztowania tego człowieka – powiedział – i jako policjant działał zgodnie z prawem. Pan Moody ucieka się do rzucania kalumni.

– Wiem o nakazie aresztowania, panie Broham – odezwał się Moody. – Podnoszę tę kwestię, ponieważ uważam, że wspólny znajomy oznacza ważny związek między powodem i podsądną.

– Proszę kontynuować, panie Moody – nakazał sędzia i zrobił marsową minę.

Broham usiadł.

– Skąd naczelnik Shepard znał pana Sooka? – Moody zwrócił się do Anny.

– Ah Sook został oskarżony o zamordowanie brata naczelnika Sheparda – powiedziała wyraźnie Anna. – W Sydney. Przed piętnastu laty.

Na sali sądowej zapadła nagle cisza.

– Jaki zapadł wyrok w tamtej sprawie? – spytał Moody.

– Ah Sook w ostatniej chwili został uniewinniony – odparła Anna. – Wyszedł z sądu jako wolny człowiek.

– Czy pan Sook kiedykolwiek rozmawiał o tym z panią? – powiedział Moody.

– Nie znał zbyt dobrze angielskiego, ale często używał takich słów, jak „zemsta” i „morderstwo”. Czasami mówił przez sen. Wtedy nie wiedziałam jeszcze, o co mu chodzi.

– Jaki wydawał się pani pan Sook w czasie waszych spotkań, o których pani wspomniała?

– Czasem bywał gniewny – odrzekła Anna. – Może przestraszony. Wtedy się nad tym nie zastanawiałam. O zamordowaniu brata naczelnika Sheparda dowiedziałam się dopiero po śmierci Aha Sooka.

Moody zwrócił się do sędziego, trzymając w górze kartkę papieru.

– Obrona pragnie zwrócić uwagę wysokiego sądu na stenogram z tamtego procesu, opublikowany w „Heroldzie z Sydney” 9 lipca 1854 roku. Oryginał znajduje się w Archiwum Antypodów na ulicy Nadbrzeżnej, gdzie można się z nim zapoznać, tymczasem jednak wręczam sądowi poświadczoną notarialnie kopię.

Moody podał kopię stenogramu siedzącym na ławie członkom składu sędziowskiego, żeby przekazali ją sędziemu, a potem zwrócił się z powrotem do Anny.

– Czy naczelnik Shepard zdawał sobie sprawę, że pani i pan Sook jesteście bardzo bliskimi przyjaciółmi?

– To nie była żadna tajemnica – oświadczyła Anna. – Bywałam w tej palarni prawie codziennie, a jest to jedyna palarnia opium w Kaniere. Powiedziałabym, że wiedzieli o tym niemal wszyscy.

– Dzięki wizytom w palarni przyłgnęło nawet do pani pewne przezwisko, prawda?

– Tak – powiedziała Anna. – Wszyscy nazywali mnie Anną Chińczyka.

– Dziękuję, panno Wetherell – odpowiedział Moody. – To by było wszystko. – Ukłonił się sędziemu, przeglądającemu stenogram z „Herolda”, a potem usiadł.

Broham, dla którego wzmianka o związku Anny z Ahem Sookiem stanowiła bardzo nieoczekiwaną niespodziankę, poprosił, żeby pozwolono mu ponownie przepytac Annę

w kwestii, którą podniosła obrona, ale sędzia Kemp odrzucił jego prośbę.

– Zebraliśmy się tu dzisiaj rano po to, żeby rozważyć trzy zarzuty – powiedział, starannie odkładając opis uniewinnienia Aha Sooka na bok i splatając dłonie. – Pierwszy dotyczy fałszerstwa, drugi odurzenia narkotykowego i zakłócenia spokoju, a trzeci napaści. Odnotowałem, że związek panny Wetherell z panem Sookiem miał osobiste znaczenie dla powoda, nie sądzę jednak, żeby te nowe fakty wymagały ponownego zadawania pytań oskarżonej. Ostatecznie nie jesteśmy tu po to, żeby zastanawiać się nad postępowaniem pana Sheparda, lecz panny Wetherell.

Broham sprawiał wrażenie bardzo zdenerwowanego, a Moody spojrzął na Annę i posłał jej uśmiezek, który serdecznie odwzajemniła. To było ich zwycięstwo.

Pierwszym świadkiem wezwanym przed oblicze sądu był Joseph Pritchard, który indagowany przez Brohama, powtórzył opowieść Anny o tym, co stało się 27 stycznia w hotelu Ruszt. Pierwsza kula, wystrzelona, kiedy rewolwer przypadkowo wypalił, zniknęła, a druga utkwiała w poduszce Anny po strzale oddanym przez Gascoigne'a na próbę.

– Panie Pritchard – odezwał się Moody, kiedy sędzia poprosił go, by zaczął zadawać pytania. – W jakim celu chciał pan rozmawiać z panną Wetherell 27 stycznia po południu?

– Przypuszczałem, że za jej rzekomą próbą samobójczą kryje się coś innego – odrzekł Pritchard. – Myślałem, że może opium Anny zostało zatrute albo ktoś dodał do niego jakiejś innej substancji, i chciałem przeprowadzić analizę narkotyku.

– Czy zgodnie z pana życzeniem udało się panu przeprowadzić takie badanie?

– Tak.

– I czego się pan dowiedział?

– Na podstawie oględzin fajki doszedłem do wniosku, że ktoś bardzo niedawno jej używał – rzekł Pritchard. – Ale na pewno nie była to Anna Wetherell. Tamtego popołudnia była trzeźwa jak gwizdek. Poznałem to po jej oczach: nie tykała narkotyku od kilku dni, a może nawet od czasu przedawkowania.

– A samo opium? Czy je także pan zbadał?

– Nie mogłem go znaleźć – odpowiedział Pritchard. – W jego poszukiwaniu przetrząsnąłem szufladę, ale bryłka opium zniknęła.

Moody uniósł brwi.

– Zniknęła?

– Tak – odpowiedział Pritchard.

– Dziękuję, panie Pritchard. To wszystko.

Pochylony nad swoją księgą Harrington pisał coś zawzięcie. Po chwili wyrwał kartkę

i rzucił ją na ławę swoim kolegom. Jak zauważył Moody, Broham już nie uśmiechał się szyderczo.

– Proszę wezwać następnego świadka – nakazał sędzia, który też robił notatki.

Następnym świadkiem był Aubert Gascoigne, którego zeznanie potwierdziło, że broń wypaliła przypadkiem, kula zniknęła, natomiast po drugim strzale, oddanym już nieprzypadkowo, nabój utkwiał w zagłówek łóżka Anny. Indagowany przez Brohama Francuz przyznał, że nie podejrzewał, iż Emery Staines mógł być obecny w hotelu Ruszt 27 stycznia po południu. Przepytany przez Moody'ego, zgodził się jednak, że było to całkiem możliwe. Gascoigne wrócił na swoje miejsce poniżej podium, a kiedy usiadł, sędzia wezwał kapelana więziennego, Cowella Devlina.

– Wielebny księżę Devlin – powiedział Broham i podniósł akt darowizny, kiedy tylko duchowny został zaprzysiężony. – W jaki sposób ten dokument trafił po raz pierwszy w ręce księdza?

– Znalazłem go w domku Crosbiego Wellsa rankiem po jego śmierci – odpowiedział kapelan. – Pan Lauderback przywiózł do Hokitika wiadomość o zgonie Wellsa, a ja zostałem wyznaczony przez naczelnika Sheparda, żeby pojechać do domku i pomóc w sprowadzeniu jego zwłok do miasta.

– Gdzie dokładnie spoczywał ten dokument?

– Znalazłem go w szufladzie na popiół, na spodzie pieca. W domku panował wyjątkowo smutny nastrój, a dzień był bardzo wilgotny, postanowiłem więc rozpalić ogień. Otworzyłem szufladę i wtedy zobaczyłem ten dokument, spoczywający w palenisku.

– Co ksiądz zrobił potem?

– Zabrałem go – odparł Devlin.

– Dlaczego?

– W akcie darowizny chodziło o duże pieniądze – odpowiedział spokojnie kapelan – a ja uznałem za rozsądne, żeby nie rozpowszechniać tej informacji, dopóki nie poprawi się zdrowie panny Wetherell, którą poprzedniej nocy przywieziono do Miasteczka Policyjnego, podejrzewając ją o *felo de se*, było więc całkiem jasne, że nie jest w odpowiednim stanie na takie niespodzianki.

– Czy to był jedyny powód, dla którego ksiądz zabrał ten dokument?

– Nie – odpowiedział Devlin. – Jak wyjaśniłem później naczelnikowi Shepardowi, nie wydało mi się, by było warto dzielić się tym dokumentem z policją, albowiem darowizna była wówczas nieważna.

– Dlaczego?

– Pan Staines nie podpisał się, więc nie zautoryzował darowizny – odpowiedział Devlin.

– A jednak dokument, który trzymam w ręku, nosi podpis pana Stainesa – rzekł Broham. – Proszę wyjaśnić sądowi, jak to się stało, że został podpisany.

– Niestety, nie mogę tego uczynić – odrzekł Devlin. – Nie byłem świadkiem złożenia tego podpisu.

Broham zawahał się.

– A kiedy dowiedział się ksiądz, że akt jednak został podpisany?

– Rankiem 20 marca, kiedy zaniósłem go panie Wetherell do Fortuny Wędrowca. Rozmawialiśmy o innych sprawach i właśnie w trakcie tej rozmowy zauważyłem, że na akcie darowizny pojawił się podpis.

– Czy widział ksiądz, jak panna Wetherell podpisuje dokument?

– Nie, nie widziałem.

Ta odpowiedź najwyraźniej wprawiała Brohama w zakłopotanie.

– O czym rozmawialiście? – zapytał, chcąc odzyskać równowagę.

– Temat naszej konwersacji tamtego ranka stanowi z mojego punktu widzenia tajemnicę kapłańską – odpowiedział Devlin. – Nie może mnie pan prosić, żebym powtórzył teraz treść tej rozmowy albo zeznawał przeciwko panie Wetherell.

Broham zdumiał się. Devlin był jednak w prawie i po długich protestach oraz sprzeczkach prokurator, wyglądający na bardzo zdenerwowanego, przekazał świadka Moody'emu, który jeszcze przez chwilę porządkował swoje papiery, a dopiero potem zaczął.

– Wielebny panie Devlin – powiedział. – Czy pokazał ksiądz ten akt darowizny naczelnikowi Shepardowi od razu, kiedy trafił w pańskie ręce?

– Nie, nie zrobiłem tego.

– Skąd zatem naczelnik Shepard dowiedział się o jego istnieniu?

– Zupełnie przypadkowo – odparł Devlin. – Przechowywałem ów dokument w mojej Biblii, żeby się nie pogniótł, i naczelnik Shepard znalazł go przypadkiem, przeglądając Pismo Święte. Zdarzyło się to jakiś miesiąc po śmierci pana Wellsa.

Moody skinął głową.

– Czy pan Shepard był sam, kiedy znalazł dokument?

– Tak.

– Co zrobił potem?

– Poradził mi, żebym go pokazał panie Wetherell, co też uczyniłem.

– Bez zwłoki?

– Nie, odczekałem jeszcze kilka tygodni. Chciałem porozmawiać z nią na osobności, bez wiedzy pani Carver, a niewiele było po temu okazji, zważywszy, że obie damy mieszkały pod jednym dachem i rzadko się rozstawały.

– Dlaczego chciał ksiądz porozmawiać o tym z panną Wetherell bez wiedzy pani Carver?

– Sądziłem jeszcze wtedy, że pani Carver jest prawną spadkobierczynią majątku znalezionej w domku pana Wellsa – odparł Devlin. – Nie chciałem wbijać klina między nią i panną Wetherell z powodu tego dokumentu, bo nie wiedziałem przecież, czy nie jest to na przykład jakiś żart. Rankiem 20 marca, jak pewnie pan pamięta, pani Carver została wezwana do sądu. Dowiedziałem się o tym wezwaniu z porannej gazety i wówczas bezzwłocznie udałem się do Fortuny Wędrowca.

Moody skinął głową.

– Czy dokument pozostawał przez ten czas w Biblii księdza?

– Tak – odrzekł Devlin.

– Czy po tym pierwszym odkryciu aktu darowizny przez pana Sheparda naczelnik miał jeszcze okazję, aby przeglądać Biblię księdza na osobności?

– Miał ich wiele – rzekł Devlin. – Każdego ranka zabieram Pismo Święte do Miasteczka Policyjnego i często zostawiam ją w więziennym biurze, kiedy zajmuję się innymi sprawami.

Moody urwał na chwilę, by efekt tej wypowiedzi zapadł słuchaczom w pamięć, a potem zmieniając temat, zadał inne pytanie:

– Od jak dawna zna ksiądz pannę Wetherell?

– Poznałem ją osobiście dopiero rankiem 20 marca, gdy złożyłem jej wizytę w Fortunie Wędrowca. Ale od tamtej pory panna Wetherell znajdowała się pod moją opieką w więzieniu, dlatego widywałem ją codziennie.

– Czy w tym czasie miał ksiądz jakąś sposobność, żeby ją obserwować i z nią rozmawiać?

– Wiele razy.

– Czy może ksiądz powiedzieć, jaką ogólną opinię wyrobił sobie o podsądnej?

– Mam o niej dobre zdanie – odrzekł Devlin. – Oczywiście, panna Wetherell była wykorzystywana i miała burzliwą przeszłość, trzeba jednak bardzo dużo odwagi, żeby się zmienić, a wysiłki, jakie podjęła w tym kierunku, są w moim przekonaniu zadowalające. Na początek uwolniła się od uzależnienia i postanowiła już nigdy nie sprzedawać swojego ciała mężczyznom. Za to należy jej się ode mnie pochwała.

– A co ksiądz sądzi o stanie jej umysłu?

– Och, Anna Wetherell bez wątpienia jest przy zdrowych zmysłach – odpowiedział Devlin, mrugając powiekami. – Nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości.

– Dziękuję księdzu – powiedział Moody i natychmiast zwrócił się do sędziego: – Dziękuję, wysoki sędzie.

W następnej kolejności zeznawał biegły, czyli doktor Gillies. Potem przyszła pora na niejakiego doktora Sandersa, wezwanego z Kumara, żeby wygłosić drugą opinię lekarską na temat stanu zdrowia umysłowego Anny, i wreszcie na pana Walshama, inspektora policji z Greymouth.

Powód, czyli George Shepard, składał zeznania jako ostatni.

Zgodnie z oczekiwaniami Moody’ego naczelnik rozwodził się nad słabością charakteru Anny Wetherell i przywoływał jej uzależnienie od opium, obrzydliwą profesję oraz wcześniejszą próbę samobójczą na dowód jej bezecności i podłości. Opisał szczegółowo, jakie koszty poniosła policja wskutek jej zachowania i w jaki sposób Anna naruszała społeczne normy przyzwoitości, po czym domagał się, by osadzono ją w nowo wybudowanym przytułku dla obłąkanych na terasie Pejzaż Morski. Moody jednak dobrze zaplanował sobie linię obrony: po rewelacjach dotyczących Aha Sooka i zeznaniach Devlina przygany Sheparda brzmiały złośliwie, a nawet małostkowo. Moody pogratulował sobie w duchu za to, że podniósł problem rzekomego obłądzenia Anny, zanim uczynił to powód.

Kiedy Broham wreszcie usiadł, sędzia spojrzął na ławę dla obrońców i powiedział:

– Pański świadek, panie Moody.

– Dziękuję, wysoki sędzie. – Moody odwrócił się do naczelnika. – Czy na pana oko podpis Emery’ego Stainesa na tym akcie darowizny jest ewidentnym fałszerstwem?

Shepard uniósł głowę.

– Powiedziałbym, że jest to dość udana kopia podpisu pana Stainesa.

– Przepraszam bardzo... Dlaczego „dość udana”?

Shepard przybrał zirytowany wyraz twarzy.

– Jest dobra – poprawił się.

– Czy można by powiedzieć, że jest to wierna kopia podpisu pana Stainesa?

– Na ten temat powinni wypowiedzieć się eksperci – odrzekł Shepard, wzruszając ramionami. – Nie jestem znawcą tego rodzaju fałszerstw.

– Naczelniku Shepard – powiedział Moody. – Czy udało się panu znaleźć jakąkolwiek różnicę pomiędzy tym podpisem i podpisami na innych dokumentach, które bez wątplenia podpisywał pan Staines, a których znaczną liczbą dysponuje Bank Rezerw?

– Nie – odrzekł Shepard.

– A zatem na jakiej podstawie opiera pan swoje twierdzenie, że ten podpis został sfałszowany?

– Widziałem ów akt w lutym, kiedy nie był jeszcze podpisany – odpowiedział Shepard. – Ale gdy panna Wetherell przyniosła dokument do sądu 20 marca po południu, to wówczas podpis już na nim figurował. W tej kwestii istnieją tylko dwa wytłumaczenia. Albo, jak przypuszczam, sfałszowała go sama panna Wetherell, albo działała w zмовie z panem Stainesem w czasie jego nieobecności. Jeżeli tak, to jest winna krzywoprzysięstwa przed obliczem sądu.

– Prawdę mówiąc, istnieje jednak jeszcze trzecia możliwość – zauważył Moody. – Jeżeli ten podpis faktycznie jest sfałszowany, o czym tak żarliwie nas pan zapewnia, to mógł go złożyć ktoś inny, a nie Anna. Ktoś, kto wiedział, że dokument znajduje się w posiadaniu kapelana i kto z takich czy innych powodów bardzo chciał zobaczyć pannę Wetherell na ławie oskarżonych.

Shepard obrzucił Moody'ego zimnym spojrzeniem.

– Wypraszam sobie takie insynuacje.

Moody sięgnął do portfela i wyciągnął z niego skrawek papieru.

– Mam tu przed sobą weksel, datowany na czerwiec zeszłego roku, który otrzymałem od pana Richarda Manneringa, opatrzony podpisem panny Wetherell. Czy pan naczelnik dostrzega coś niezwykłego w jej podpisie?

Shepard przyjrzał się kartce.

– Podpisała się krzyżykiem – odezwał się w końcu.

– Dokładnie tak: podpisała się krzyżykiem – rzekł Moody. – A skoro nie potrafi nawet napisać własnego imienia i nazwiska, naczelniku Shepard, to jak to możliwe, na Boga, że zgodnie z tym, co pan twierdzi, umiałaby tak doskonale sfałszować cudzy podpis?

Oczy wszystkich obecnych zwróciły się na Sheparda, który nadal przyglądał się wekslowi.

– Dziękuję, wysoki sędzie – Moody zwrócił się do sędziego. – Nie mam więcej pytań.

– W porządku, panie Moody – odezwał się sędzia głosem, który mógł równie dobrze wyrażać rozbawienie, jak i dezaprobatę. – Może pan wrócić na miejsce.

WENUS TO GWIAZDA PORANNA

Rozdział, w którym pojawia się pewna zakamuflowana pokusa

Kiedy „Pomyślny Wiatr” zacumował w Porcie Chalmers i ze statku zrzucono na nabrzeże trapy dla pasażerów, Anna musiała stanąć w kolejce z innymi kobietami, aby poddać się badaniom lekarskim. Z izolatki przeszła do urzędu celnego, gdzie podstemplowano i sprawdzono jej dokumenty. Kiedy zakończyła te formalności, skierowano ją do magazynu po odbiór kuferka (był bardzo mały, niewiele większy od pudła na kapelusze – właściwie mogła nosić go pod pachą). Tam jednak czekała ją kolejna zwłoka, albowiem kuferek został przez pomyłkę załadowany do powozu jakiejś damy, a kiedy naprawiono ten błąd i odzyskano bagaż Anny, było już dobrze po południu. Gdy dziewczyna wreszcie wyszła z magazynu, rozejrzała się z nadzieją w poszukiwaniu złotowłosego młodzieńca, który rano sprawił jej taką przyjemność na pokładzie, ale nie zobaczyła żadnej znajomej twarzy – jej towarzysze podróży dawno już rozproszyli się w zatłoczonym mieście. Postawiła kuferki na nabrzeżu i przez chwilę poprawiała rękawiczki.

– Przepraszam, panienko – usłyszała i odwróciła się. Ujrzała miedzianowłosą, pulchną kobietę o nieskazitelnej cerze, pięknie wystrojoną w suknię z zielonego brokatu. – Przepraszam – powtórzyła nieznajoma – ale czy pani nie przybyła niedawno do miasta?

– Tak, proszę pani – odparła Anna. – Dopiero co przyплыnęłam. Dzisiaj rano.

– Zechce mi pani powiedzieć, na jakim statku?

– Na „Pomyślnym Wietrze”, szanowna pani.

– Tak – odrzekła kobieta. – Tak... No cóż, w takim razie może mogłaby mi pani pomóc. Czekam na młodą kobietę nazwiskiem Elizabeth Mackay. Jest mniej więcej w pani wieku, niezbyt wykształcona, szczupła, ubiera się jak guwernantka, podróżuje sama...

– Niestety, nie widziałam jej – odparła Anna.

– W sierpniu skończy dziewiętnaście lat – ciągnęła kobieta. – Elizabeth Mackay, kuzynka mojej kuzynki. Nigdy jej nie widziałam, ale wszyscy twierdzą, że jest zadbana i całkiem ładna. Nie widziała jej pani?

– Bardzo mi przykro, ale nie.

– Jak nazywał się ten pani statek? „Pomyślny Wiatr”?

– Tak jest.

– Gdzie pani wsiadła na pokład?

– W Porcie Jackson.

– Tak – powiedziała kobieta. – To był ten statek. „Pomyślny Wiatr”, płynął z Sydney.

– Przykro mi to mówić, ale na pokładzie „Pomyślnego Wiatru” nie było żadnych młodych

dam – powiedziała Anna, lekko mrużąc oczy. – Płynęła ze mną niejaka pani Paterson, która podróżowała z mężem, pani Mader, pani Yewers i pani Cooke, ale wszystkie one moim zdaniem były już raczej zdecydowanie po czterdziestce. Nie widziałam nikogo, kto mógłby uchodzić za dziewiętnastolatkę.

– Ojej – powiedziała kobieta, przygryzając wargę. – Ojej, ojej, ojej.

– Ma pani jakiś kłopot?

– Och – odparła nieznajoma, wyciągając rękę, by uścisnąć dłoń Anny. – Jak to miło z pani strony, że pani o to pyta. Otóż widzi pani, prowadzę stancję dla dziewcząt tutaj, w Dunedin. Kilka tygodni temu dostałam od panny Mackay list, w którym się przedstawiła, zapłaciła za pobyt z góry i obiecała, że przyjedzie dzisiaj! Proszę. – Kobieta wyciągnęła pomięty list. – Jak pani widzi, podała dzisiejszą datę.

Anna nie wzięła listu do ręki.

– Przykro mi – powiedziała, kręcąc głową. – Jestem pewna, że się nie pomyliła.

– Och, naprawdę bardzo przepraszam – odpowiedziała kobieta. – Pani nie umie czytać.

Anna zarumieniła się.

– Nie za dobrze.

– Mniejsza z tym, mniejsza z tym – powiedziała nieznajoma, wsuwając list z powrotem do rękawa. – Ale szalenie się martwię o tę moją biedną pannę Mackay. Jestem okropnie zdenerwowana! Co to może znaczyć? Przecież zapowiedziała, że przyplynie dzisiaj na tym statku, a jednak, jak sama pani zaświadcza, nawet na niego nie wsiadła! Jest pani tego absolutnie pewna? Jest pani pewna, że na pokładzie nie było żadnych innych młodych kobiet?

– Jestem pewna, że istnieje jakieś proste wytłumaczenie nieobecności owej młodej damy – odrzekła Anna. – Może zachorowała w ostatniej chwili. Albo wysłała do pani list z przeprosinami, który przekazano na niewłaściwy adres.

– Jaka pani dobra, że mnie tak pociesza – rzekła kobieta, ściskając znów rękę Anny. – I ma pani słuszność; powinnam zachować rozsądek i nie pozwolić, żeby ponosiła mnie wyobraźnia. Jeżeli zacznę myśleć, że coś jej się stało, będę się tylko martwić.

– Nie mam wątpliwości, że wszystko będzie dobrze – odpowiedziała Anna.

– Słodkie dziecko – odparła kobieta, poklepując pannę Wetherell po ramieniu. – Jakże się cieszę, że mogę poznać taką ujmującą i ładną dziewczynę. Nazywam się Wells. Pani Lydia Wells.

– A ja jestem panna Anna Wetherell – przedstawiła się Anna, dygając.

– Ale spójrz tylko na mnie: przejmuję się jedną dziewczyną, która podróżuje sama, a rozmawiam z drugą – odrzekła pani Wells, uśmiechając się. – Jak to się stało, że podróżujesz bez przyzwoitki, panno Wetherell? Jest pani zaręczona z jakimś tutejszym poszukiwaczem

złota!

– Nie jestem zaręczona – odrzekła Anna.

– Więc może przybywa tu pani na czyjeś wezwanie? Ojca albo jakiegoś innego członka rodziny, który już tutaj mieszka i teraz po panią przysłał...

Anna pokręciła głową.

– Przyjechałam zacząć życie od nowa.

– Cóż, w takim razie wybrała pani idealne miejsce – odrzekła pani Wells. – W tym kraju wszyscy zaczynają nowe życie, tutaj po prostu nie da się inaczej! Jest pani całkiem sama?

– Nie mam nikogo na świecie.

– W takim razie jest pani wyjątkowo odważną kobietą, panno Wetherell... Niebywale odważną! Cieszę się, że nie szukała pani damskiego towarzystwa w podróży, ale teraz już bez zwłoki chciałabym się dowiedzieć, czy wynajęła pani sobie mieszkanie w Dunedin. Mamy tu wiele hoteli o podejrzanym reputacji, więc ktoś tak urodziwy jak pani na pewno bardzo potrzebuje dobrej rady w tym względzie od kogoś dobrze poinformowanego.

– Dziękuję uprzejmie, że tak się pani o mnie troszczy – odpowiedziała Anna. – Zamierzałam się zatrzymać u pani Penniston i tam właśnie chcę się udać dzisiaj po południu.

Pani Wells zrobiła przerażoną minę.

– U pani Penniston!

– Ktoś mi polecił to miejsce – rzekła zafrasowana Anna. – Czy pani by mi je odradziła?

– Niestety... – odparła pani Wells. – Gdyby wspomniwała pani jakiś inny pensjonat w naszym mieście... Ale pani Penniston! To bardzo pospolita kobieta, panno Wetherell. Bardzo pospolita. Od takich jak ona powinna się pani trzymać jak najdalej.

– Och – powiedziała zaskoczona Anna.

– Proszę mi powiedzieć jeszcze raz, po co przyjechała pani do Dunedin – poprosiła ciepło pani Wells.

– Przyjechałam z powodu gorączki złota – odrzekła Anna. – Wszyscy mówią, że więcej złota można znaleźć w obozowiskach niż w ziemi, pomyślałam więc, że będę pracować w obozie.

– Czy to znaczy, że chce pani znaleźć zatrudnienie na przykład jako barmanka?

– Mogę stać za barem – odrzekła Anna. – Pracowałam kiedyś w hotelu. Mam pewną rękę i jestem uczciwa.

– Ma pani referencje?

– Bardzo dobre, proszę pani. Z hotelu Imperium przy ulicy Unii w Sydney.

– Doskonale – powiedziała z uśmiechem pani Wells, uważnie przyglądając się Annie.

– Jeżeli nie może pani polecić pensjonatu pani Penniston... – zaczęła Anna, ale pani Wells wpadła jej w słowo.

– Och! – zawołała. – Mam doskonałe wyjście z sytuacji, które rozwiąże zarówno pani, jak i moje problemy! Właśnie przyszło mi to do głowy! Moja panna Mackay zapłaciła za mieszkanie za tydzień z góry, lecz nie ma jej tu, nie może więc zająć opłaconego pokoju. Pani musi go wziąć. Musi pani zamieszkać u mnie i zostać moją panną Mackay, zanim znajdzie pani jakąś pracę i stanie na nogi.

– To bardzo miło z pani strony, pani Wells – powiedziała Anna, cofając się – ale nie mogłabym przyjąć takiej wspaniałomyślnej... Nie chciałabym nadużywać pani wielkoduszności.

– Och, przestań mi się sprzeciwiać – odrzekła pani Wells, ujmując Annę pod łokieć. – Kiedy zostaniemy już bliskimi przyjaciółkami, panno Wetherell, będziemy wracać pamięcią do tego dnia i nazwiemy go niespodziewanym, aczkolwiek szczęśliwym zbiegiem okoliczności, dzięki któremu mogłyśmy się poznać. Ja bardzo wierzę w takie przypadki! I w wiele innych rzeczy. Ale co ja robię, po co tyle gadam? Na pewno umiera pani z głodu i do bólu pragnie gorącej kąpieli. Proszę ze mną. Zajmę się panią troskliwie, a kiedy pani odpocznie, znajdę pani jakąś pracę.

– Nie chciałabym prosić o jałmużnę – powiedziała Anna. – Nie przyjechałam na żebry.

– Ale przecież o nic nie zebrałaś – powiedziała Lydia Wells. – Jakie z ciebie słodkie dziecko. Bagażowy... Tutaj!

Podbiegł do nich chłopak z perkatym nosem.

– Proszę zanieść kuferek panny Wetherell na ulicę Cumberland 35 – powiedziała pani Wells.

Na te słowa chłopak wyszczerzył zęby w uśmiechu – odwrócił się do Anny, zmierzył ją badawczym spojrzeniem, a potem z przesadną grzecznością podniósł rękę do czoła na znak szacunku, jak gdyby salutował. Lydia Wells nie skomentowała tego bezczelnego zachowania, tylko wbiła w bagażowego niezwykle surowy wzrok, podając mu sześciopensówkę, wyjętą z pugilaresu, po czym otoczyła Annę ramieniem i odprowadziła ją do miasta.

EGZALTACJA W BARANIE

Rozdział, w którym oskarżony zaczyna filozofować, pan Moody triumfuje, Lauderback wygłasza przemówienie, a państwo Carverowie zostają przyłapani na kłamstwie

Popołudniowe posiedzenie sądu rozpoczęło się punktualnie o godzinie pierwszej.

– Panie Staines – odezwał się sędzia, kiedy młodzieniec został zaprzysiężony. – Postawiono panu trzy zarzuty: pierwszy z nich dotyczy sfałszowania raportu kwartalnego w styczniu 1866 roku. Przyznaje się pan do winy?

– Tak, wysoki sędzie.

– Drugi zarzut dotyczy defraudacji kruszcu, legalnie złożonego przez pańskiego pracownika, pana Johna Longa Quee’ego, na koncie kopalni Aurora, a następnie znalezionego w domku, należącym do świętej pamięci pana Crosbiego Wellsa z Doliny Arahura. Przyznaje się pan do winy?

– Tak, wysoki sędzie.

– I ostatni zarzut, który dotyczy zaniedbania obowiązków wobec pańskich działek i kopalni, wymagających codziennego nadzoru, w okresie pańskiej nieobecności w Hokitika, wynoszącej ponad osiem tygodni. Przyznaje się pan do winy?

– Tak, wysoki sędzie.

– Jest pan zatem winny wszystkich wymienionych przestępstw – rzekł sędzia, opierając się wygodnie na krześle. – W porządku. Może pan na chwilę usiąść, panie Staines. Obrońcą oskarżonego jest jak poprzednio pan Moody, a prokuratorem znów pan Broham, któremu asystują panowie Fellowes i Harrington z sądu grodzkiego. Panie Broham, prosimy o złożenie oświadczenia.

Podobnie jak na porannym posiedzeniu sądu, Broham starał się zdyskredytować oskarżonego w swoim wystąpieniu i niemal tak samo jak rano – przemawiał bardzo rozwlekłe. Wyliczył wszystkie problemy, których przysporzył społeczeństwu pan Staines swoim zniknięciem, a skupił się przede wszystkim na wdowie po panu Wellsie, którą przedstawił jako postać tragiczną, albowiem jej nadzieje zostały fałszywie rozbudzone przez widoki na niespodziewanie spadający jej z nieba majątek, jako że Lydia Wells mylnie, aczkolwiek rozsądnie mniemała, iż jest on częścią schedy po jej zmarłym mężu. Prokurator mówił dalej o tym, że bogactwo z natury psuje ludzkie charaktery, i wspominał zarówno o fałszerstwie, jak i defraudacji jako o „przestępstwach popełnianych z premedytacją, z zimną krwią”. Oświadczenie Moody’ego, kiedy je w końcu złożył, ograniczyło się po prostu do stwierdzenia, że Staines doskonale zdaje sobie sprawę z kłopotów, których przysporzył społeczeństwu swoim długim zniknięciem, i z największą chęcią zapłaci za wszystkie szkody, jakie mieszkańcy ponieśli z jego powodu, albo spłaci długi, które musieli przez niego zaciągnąć.

– Pański świadek, panie Broham – powiedział sędzia Kemp, kiedy adwokat skończył.

Broham wstał.

– Panie Staines. – Prokurator podniósł kartkę papieru takim gestem, jak gdyby to był nakaz aresztowania. – Mam tutaj pewien dokument, wystawiony przez firmę handlową Nilssen & Co., zawierający spis przedmiotów znalezionych w domku zmarłego pana Crosbiego Wellsa. Jak zanotował pan Nilssen, znajdowała się wśród nich znaczna ilość złota, wycenionego później przez bank na dokładnie cztery tysiące dziewięćdziesiąt sześć funtów. Co może mi pan powiedzieć o tej bonanzie?

Staines odpowiedział bez wahania.

– Ten kruszec został znaleziony na działce znanej jako Aurora, która do niedawna należała do mnie. Złoto zostało wydobyte przez mojego pracownika, pana Quee’ego, w połowie zeszłego roku. Pan Quee przetopił je na kwadratowe sztabki, jak to miał w zwyczaju, a potem przekazał je mnie jako legalny zysk. Kiedy otrzymałem ten skarb, nie złożyłem go w banku na koncie Aurory, do czego zobowiązywało mnie prawo, tylko schowałem złoto do sakwy, zabrałem je do Doliny Arahura i zakopałem.

Młodzieniec mówił spokojnie, bez żadnej chępliwości.

– Dlaczego akurat w Dolinie Arahura? – spytał Broham.

– Bo na ziemiach Maorysów nie wolno szukać złota, a większość tej doliny należy właśnie do nich – odparł Staines. – Pomyślałem, że złoto będzie tam najbezpieczniejsze, przynajmniej przez pewien czas, dopóki nie wrócę i go nie wykopię.

– Co zamierzał pan zrobić z tą bonanzą?

– Zamierzałem podzielić ją na dwie równe części i jedną zatrzymać dla siebie – odpowiedział Staines. – A drugą chciałem podarować panie Wetherell.

– Dlaczego miałby pan chcieć zrobić coś takiego?

Staines wyglądał na zdezorientowanego.

– Obawiam się, że nie rozumiem pytania, szanowny panie.

– Co zamierzał pan osiągnąć, panie Staines, obdarowując pannę Wetherell taką sumą pieniędzy?

– Absolutnie nic – odpowiedział chłopak.

– Nic nie chciał pan przez to osiągnąć?

– Właśnie, nic – odpowiedział Staines, rozchmurzając się nieco. – Inaczej nie byłby to podarunek, prawda?

– To złoto zostało później znalezione w domku należącym do zmarłego Crosbiego Wellsa – powiedział Broham, podnosząc głos ponad rozlegające się tu i ówdzie śmiechy. – Jak do tego

doszło?

– Nie wiem na pewno. Przypuszczam, że Wells je znalazł, wykopał i sobie przywłaszczył.

– Jeżeli faktycznie tak było, to jak pan sądzi, dlaczego pan Wells nie zaniósł złota do banku?

– Czy to nie oczywiste? – spytał Staines.

– Niestety, nie – odparł Broham.

– Naturalnie dlatego, że zostało ono wcześniej przetopione i na każdej sztabce widniała nazwa Aurora, wybita przez mojego pracownika, pana Quee’ego! Wells nie mógłby więc udawać, że znalazł to złoto w ziemi.

– A czemu pan nie złożył złota do banku na koncie Aurory, do czego zobowiązywało pana prawo?

– Pięćdziesiąt procent udziałów w Aurorze należało do pana Francisa Carvera – odrzekł Staines. – Nie mam zbyt dobrej opinii o tym człowieku i nie chciałem, by czerpał jakieś zyski z tego skarbu.

Broham zmarszczył brwi.

– Nie złożył pan złota na koncie Aurory, bo nie chciał pan wypłacać prawnie należnej panu Carverowi dywidendy od połowy skarbu, ale zamierzał pan dać część tegoż majątku pani Wetherell, czy tak?

– Zgadza się.

– Proszę mi wybaczyć, jeśli powiem, że uważam pańskie motywację za nieco nielogiczne, panie Staines.

– Co w tym nielogicznego? – spytał chłopak. – Chciałem, żeby dolę Carvera dostała Anna.

– Z jakiej przyczyny?

– Bo jej się należała, on zaś zasłużył na to, żeby ją stracić – odparł Emery Staines.

Znowu rozbrzmiały śmiechy, tym razem liczniejsze. Moody zaczynał się denerwować; ostrzegał Stainesa, żeby nie wyrażał się w zbyt wyszukany ani impertynencki sposób.

Gdy znów zapadła cisza, głos zabrał sędzia.

– Nie wydaje mi się, panie Staines, żeby miał pan prawo oceniać, na co ktoś zasługuje albo nie zasługuje. Na przyszłość proszę ograniczyć się do faktów.

Staines z miejsca oprzytomniał.

– Rozumiem, wysoki sędzie.

Sędzia kiwnął głową.

– Proszę kontynuować, panie Broham.

Prokurator nieoczekiwanie zmienił temat.

– Nie było pana w Hokitika przez dwa miesiące – powiedział. – Co spowodowało pańską nieobecność?

– Wstyd mi o tym mówić, ale znajdowałem się pod wpływem opium, szanowny panie – odparł Staines. – Po powrocie nie posiadałem się ze zdumienia, że minęły już przeszło dwa miesiące.

– Gdzie pan wtedy był?

– Wydaje mi się, że większość czasu spędziłem w palarni opium w Kaniere, w tamtejszym Chinatown. Ale nie jestem tego całkiem pewny.

Broham zawahał się.

– W palarni opium – powtórzył.

– Tak, szanowny panie. Jej właścicielem był człowiek nazwiskiem Sook. Ah Sook.

Broham nie chciał rozwodzić się nad Ahem Sookiem.

– Znaleziono pana 20 marca w domku, należącym dawniej do Crosbiego Wellsa. Co pan tam robił?

– Sądzę, że szukałem swojego skarbu – powiedział Staines. – Tylko że byłem trochę zamroczony... Źle się czułem... I nie mogłem sobie przypomnieć, gdzie go zakopałem.

– Kiedy uzależnił się pan od opium, panie Staines?

– Po raz pierwszy zażyłem ten narkotyk 14 stycznia.

– Innymi słowy, tej nocy, gdy umarł Crosbie Wells.

– Tak powiadają.

– To dosyć dziwny zbieg okoliczności, nie sądzi pan?

Moody zgłosił sprzeciw.

– Śmierć pana Wellsa nastąpiła z przyczyn naturalnych – zauważył. – Nie rozumiem, dlaczego jakiegolwiek tego rodzaju zjawisko, do którego doszło akurat w tym czasie, mogłoby mieć dla nas znaczenie.

– Rzecz w tym – odparł Broham – że w czasie sekcji zwłok w żołądku pana Wellsa znaleziono niewielką ilość laudanum.

– Niewielką ilość – powtórzył Moody.

– Proszę kontynuować zadawanie pytań, panie Broham – odezwał się sędzia. – A pan niech usiądzie, panie Moody.

– Dziękuję, wysoki sędzie – odpowiedział Broham i odwrócił się z powrotem do Stainesa. – Czy przychodzi panu do głowy jakiś powód, panie Staines, dla którego pan Wells mógłby zażyć nawet najmniejszą dawkę laudanum, spożywając przy tym znaczne ilości whisky?

– Być może dokuczał mu ból.

– Co go bolało?

– To tylko moje domysły – oświadczył Staines. – Niestety, w tej materii mogę wyłącznie zgadywać. Nie znałem zbyt dobrze zwyczajów pana Wellsa i nie przebywałem tego wieczoru w jego towarzystwie. Chodziło mi tylko o to, że laudanum zażywa się często jako środek przeciwbólowy lub nasenny.

– Ale nie po wypiciu flaszki whisky.

– Osobiście nie odważyłbym się na takie połączenie. Nie odpowiadam jednak za pana Wellsa.

– Zażywa pan laudanum, panie Staines?

– Tylko na receptę, nie nałogowo.

– Czy dysponuje pan obecnie laudanum na receptę?

– Teraz tak – odrzekł Staines. – Ale przepisano mi je bardzo niedawno.

– Czyli kiedy?

– Po raz pierwszy dostałem laudanum 20 marca, jako środek przeciwbólowy. Razem z preparatem mającym mi pomóc uwolnić się z nałogu.

– Czy kiedykolwiek przed 20 marca kupił pan fiolkę laudanum w aptece pana Pritcharda na ulicy Collingwooda lub wszedł pan w posiadanie tego specyfiku w jakikolwiek inny sposób?

– Nie.

– A w domku Crosbiego Wellsa kilka dni po jego śmierci znaleziono właśnie fiolkę laudanum – powiedział Broham. – Wie pan, skąd się tam wzięła?

– Nie.

– Czy według pana wiedzy pan Wells był uzależniony od opiatów?

– Wiem tylko, że był pijakiem – powiedział Staines. – To wszystko.

Broham przyjrzał mu się uważnie.

– Proszę powiedzieć sądowi, jak spędził pan wieczór i noc z 14 na 15 stycznia, po kolei i własnymi słowami.

– Spotkałem się z Anną Wetherell w Złotym Samorodku około siódmej – odpowiedział Staines. – Wypiliśmy drinka, a potem wróciliśmy do mojego mieszkania przy ulicy Revella. Zasnąłem, a gdy się obudziłem, chyba około dziesiątej trzydzieści, Anny już nie było. Nie miałem pojęcia, dlaczego tak nagle zniknęła, wyszedłem więc, żeby jej poszukać. Udałem się do hotelu Ruszt. W recepcji nikogo nie było, podobnie jak na schodach, a drzwi do jej pokoju zastałem otwarte. Wszedłem i zobaczyłem ją na podłodze, a obok fajkę, bryłkę opium i lampę. No cóż, nie mogłem dobudzić panny Wetherell, czekając więc, aż się ocknie, przyklęknąłem, aby przyrzeć się jej narkotykowemu oprzyrządowaniu. Wcześniej nigdy nie tykałem opium, ale zawsze chciałem go spróbować. Wie pan, w tym narkotyku jest coś mistycznego, a dym opiumowy jest taki śliczny i gęsty. Fajka wciąż była ciepła, lampa jeszcze się paliła i wszystko to zdało mi się... jakimś takim niespodziewanym i szczęśliwym zrzędzeniem losu. Pomyślałem sobie, że może trochę spróbuję. Anna wyglądała na absolutnie szczęśliwą, nawet się uśmiechała.

– Co było potem? – spytał Broham, kiedy Staines urwał.

– Oczywiście odurzyłem się – odparł młodzieniec. – Było mi cudownie.

Broham wyglądał na zirytowanego.

– A później?

– No, pociągnąłem sobie porządnie z fajki, a potem położyłem się na łóżku i zasnąłem na chwilę... Chociaż może pogrążyłem się w marzeniach, bo to właściwie nie był sen. Kiedy wstałem, lampa już ostygła, a Anny nie było. Wstyd powiedzieć, ale nie myślałem o niej nawet przez chwilę, chciałem tylko jeszcze raz zażyć opium, które zawładnęło mną od pierwszego razu – odczuwałem straszny głód. Wiedziałem, że nie spocznę, dopóki znów nie spróbuję narkotyku.

– I to wszystko „od pierwszego razu” – powiedział sceptycznie Broham.

– Tak – odparł Staines.

– I co pan wtedy zrobił?

– Natychmiast poszedłem do palarni w Chinatown. Było wcześnie, dopiero co wstało słońce. Nie widziałem na drodze nikogo.

– Jak długo zabawił pan w palarni w Kaniere?

– Myślę, że dwa tygodnie, ale trudno mi to sobie dokładnie przypomnieć, bo każdy dzień przechodził niewyraźnie w następny. Ah Sook był dla mnie bardzo, bardzo dobry. Przyjął mnie do siebie, karmił mnie i pilnował, żebym nigdy nie wypalił za dużo. Wszystkie moje długi zapisywał kredą na małej tablicy.

– Widywał się pan w tym czasie z kimś jeszcze?

– Nie – odrzekł Staines. – Ale ja naprawdę niewiele pamiętam z tego okresu.

– A co było potem?

– Obudziłem się pewnego dnia i Aha Sooka nie było. Bardzo się tym zmartwiłem. Zabrał ze sobą opium. Zawsze tak robił, kiedy opuszczał palarnię, a ja wywróciłem cały domek do góry nogami w poszukiwaniu narkotyku i ogarniała mnie coraz większa rozpacz. Potem przypomniałem sobie o zapasach panny Wetherell i rozgorączkowany wyruszyłem natychmiast do Hokitika. Tamtego ranka strasznie lało i na drodze nie było wielu ludzi, dotarłem więc do miasta, nie spotkawszy nikogo znajomego. Wszedłem do hotelu Ruszt tylnymi drzwiami i udałem się na górę po schodach dla służby. Oczekałem, aż Anna zejdzie na dół na lunch, po czym wślizgnąłem się do jej pokoju i znalazłem opium oraz fajkę w szufladzie. Wtedy jednak zostałem uwięziony, bo ktoś zaczął z kimś rozmawiać na korytarzu i nie mogłem wyjść. A potem Anna wróciła z lunchu, usłyszałem ją i znowu wpadłem w panikę, schowałem się więc za zasłoną okienną.

– Za zasłoną?

– Tak – odrzekł Staines. – Tam właśnie stałem ukryty, kiedy trafiła mnie kula z rewolweru Anny.

Broham zaczął się czerwienić.

– Jak długo został pan za tą zasłoną?

– Przez kilka godzin. Gdybym miał zgadywać, powiedziałbym, że mniej więcej od dwunastej do trzeciej, ale tylko tak mi się wydaje.

– Czy panna Wetherell wiedziała, że był pan tego dnia w jej pokoju?

– Nie.

– A pan Gascoigne... Albo pan Pritchard?

– Nie – odrzekł znowu Staines. – Byłem bardzo cicho i stałem nieruchomo. Jestem pewien, że żadne z nich nie wiedziało, że tam jestem.

Fellowes szeptał coś skwapliwie do ucha Harringtona.

– Jak się pan zachował, gdy został pan postrzelony? – spytał Broham.

– Siedziałem cicho – powiedział znowu Staines.

– Siedział pan cicho?

– Tak.

– Panie Staines – odezwał się Broham jak gdyby karcącym głosem. – Czy chce pan powiedzieć sądowi, że został pan postrzelony bez jakiegokolwiek ostrzeżenia, i to z bardzo bliskiej odległości, i nie krzyknął pan, nie poruszył się i nie narobił hałasu, który mógłby zdradzić pańską obecność trzem świadkom?

– Tak – odparł Staines.

– Jak to możliwe, że pan nie krzyknął z bólu?

– Nie chciałem zrezygnować z tego opium – odpowiedział Staines.

Broham przyglądał mu się, a podczas chwili ciszy Harrington podał mu kartkę, na którą Broham szybko zerknął, po czym podniósł wzrok i powiedział:

– Czy uważa pan za możliwe, panie Staines, że panna Wetherell wiedziała o pana obecności w jej pokoju tamtego popołudnia 27 stycznia i mogła celowo strzelić w tę zasłonę po to, aby zrobić panu krzywdę?

– Nie – odpowiedział Staines. – Nie wydaje mi się to możliwe.

Na sali sądowej zapadła głucha cisza.

– Dlaczego nie?

– Bo ja jej ufam – odpowiedział Staines.

– Pytam, czy pana zdaniem byłoby to możliwe, a nie prawdopodobne – zauważył Broham.

– Rozumiem pytanie, ale nie zmieniam swojej odpowiedzi.

– Co pana skłoniło, żeby zawierzyć pannie Wetherell?

– Nic nie może człowieka skłonić, żeby obdarzył kogoś zaufaniem! – wybuchnął młodzieniec. – Po prostu ufamy komuś albo nie, bez powodu! Jak, na litość boską, mógłbym odpowiedzieć na tak postawione pytanie?

– Uproszczę je – odrzekł prokurator. – Dlaczego ufa pan pannie Wetherell?

– Ponieważ ją kocham – odparł Staines.

– A jak to się stało, że ją pan pokochał?

– Pokochałem ją, albowiem jej zaufałem, oczywiście!

– Broni się pan, stosując tautologię.

– Tak, ponieważ nie mam innego wyjścia! – zawołał młodzieniec. – Prawdziwa miłość jest zawsze tautologiczna... Tautologiczna albo paradoksalna, po prostu dlatego, że jej przyczyna i skutek to dwie połówki jednej całości! Nie da się sprowadzić uczucia do katalogu jego przyczyn, tak jak z katalogu tych przyczyn nie wyprowadzi się uczucia. Każdy, kto się ze mną nie zgadza, nigdy nie kochał naprawdę.

Po tych słowach nastąpiła kompletna cisza. W przeciwległym kącie sali rozległ się cichy gwizd, a po chwili w odpowiedzi stłumiony śmiech.

Broham był wyraźnie wzburzony.

– Proszę mi wybaczyć, panie Staines, ale chyba rzadko się zdarza, by człowiek kradł opium osobie, którą jak twierdzi, kocha.

– Wiem, że postąpiłem bardzo nieładnie – odrzekł Staines. – I bardzo się wstydzę tego, co zrobiłem.

– Czy ktoś może potwierdzić, co pan robił przez ostatnie dwa miesiące?

– Może za mnie poręczyć Ah Sook.

– Pan Sook nie żyje. Ktoś jeszcze?

Staines myślał przez chwilę, po czym pokręcił głową.

– Nikt inny nie przychodzi mi na myśl.

– Nie mam więcej pytań – rzucił krótko Broham. – Dziękuję, wysoki sędzie.

– Pański świadek, panie Moody – odezwał się sędzia.

Moody także podziękował sędziemu. Poświęcił chwilę na uporządkowanie swoich notatek i odczekał, aż w sali ucichną szepty, a potem powiedział:

– Zeznał pan, panie Staines, że jest niepochlebnego zdania o panu Carverze. Z czego ono wynika?

– Carver rzucił się kiedyś na Annę – odpowiedział Staines. – Pobił ją, z zimną krwią, a była wówczas brzemienna. Poroniła.

W sali natychmiast zapadła cisza.

– Kiedy doszło do tej napaści?

– W zeszłym roku, 11 października po południu.

– Jedenastego października – powtórzył jak echo Moody. – Był pan świadkiem tego zdarzenia?

– Nie, nie byłem.

– Skąd się pan o nim dowiedział?

– Od pana Löwenthala, później tego samego dnia. To on znalazł poobijaną i zakrwawioną Annę na drodze. I może potwierdzić, w jakim była stanie, kiedy się na nią natknął.

– W jakiej sprawie spotkał się pan z panem Löwenthalem tamtego popołudnia?

– Niezwiązanej z tą – odpowiedział Staines. – Wpadłem do niego, bo chciałem dać ogłoszenie do gazety.

– W sprawie...?

– Zakupu całej skrzyni płuczek do płukania złota.

– Czy był pan zdziwiony, dowiedziawszy się, że panna Wetherell została zaatakowana przez pana Carvera?

– Nie. Wiedziałem już, że Carver to bestia, i dziesięć razy zdążyłem pożałować, że się znamy. Gdy przyjechałem pierwszy raz do Dunedin, zaproponował, że zostanie moim współinwestorem. Tak go poznałem, wie pan, zaraz po zejściu na ląd, tego samego dnia. Byłem wtedy jeszcze bardzo naiwny. Uścisnęliśmy sobie ręce w dobrej wierze i na tym się skończyło, ale wkrótce zaczęły mnie dochodzić plotki o nim i o pani Carver: że pracują w duecie, ma się rozumieć. Kiedy się dowiedziałem, co zrobili panu Wellsowi, byłem przerażony. Pomyślałem wówczas, że współpracuję z oszustem czystej wody.

Młodzieniec uprzedzał wypadki i Moody zakaszłał, żeby mu przypomnieć o uzgodnionej z nim kolejności zeznań, po czym powiedział:

– Wróćmy do wieczoru 11 października. Co pan zrobił, kiedy pan Löwenthal poinformował pana, że panna Wetherell została pobita?

– Natychmiast udałem się do Doliny Arahura, żeby przekazać tę wiadomość panu Wellsowi.

– Dlaczego uważał pan, że będzie to informacja istotna dla pana Wellsa?

– Ponieważ to on był ojcem tego dziecka, które nosiła w łonie panna Wetherell – odpowiedział Staines. – Dlatego pomyślałem, że pewnie chciałby wiedzieć, że ktoś pozbawił je życia.

W sali sądowej panowała już taka cisza, że Moody słyszał odległy gwar uliczny.

– I jak pan Wells zareagował na wieść, że jego nienarodzone dziecko nie żyje?

– Był bardzo spokojny – odrzekł Staines. – Wcale nie mówił dużo. Napiliśmy się i posiedzieliśmy trochę. Zostałem u niego do późna.

– Rozmawiał pan tego wieczoru z panem Wellsem także o innych sprawach?

– Wspomniałem o tym złocie, które zakopałem niedaleko jego domku. Powiedziałem, że jeśli Anna przeżyje, została bowiem pobita bardzo dotkliwie, to dam jej tę część majątku, która należała do Carvera.

– Czy ten pański plan przybrał tamtej nocy formę pisemną?

– Wells sporządził akt darowizny, ale ja go wtedy nie podpisałem – odpowiedział Staines.

– Dlaczego?

– Tak dokładnie to już nie pamiętam. Piłem, a zrobiło się nagle bardzo późno. Być może rozmowa zesłała na inne tory, a może chciałem podpisać ten akt, ale zapomniałem. W każdym razie trochę się przespałem, po czym wróciłem do Hokitika wczesnym rankiem, by sprawdzić, czy panna Wetherell wraca do zdrowia. Pana Wellsa już więcej nie widziałem.

– Czy powiedział pan Wellsowi, gdzie zakopał kruszec?

– Tak – odparł Staines. – Opisałem mu z grubsza miejsce ukrycia skarbu.

Następnie sąd wysłuchał zeznań Manneringa, Quee’ego, Löwenthala, Clincha, Nilssena i Frosta – wszyscy opisali, jak znaleziono i przewieziono złoto odkryte w domku Crosbiego Wellsa, rzekomo przekonani, że przetopiony kruszec został naprawdę znaleziony w Aurorze. Mannering opowiedział, w jakich okolicznościach doszło do sprzedaży Aurory, Quee opisał zaś, jak przetapiał złoto. Löwenthal przedstawił szczegółowo swoją rozmowę z Alistairem Lauderbackiem w nocy 14 stycznia, kiedy dowiedział się o śmierci Crosbiego Wellsa. Clinch zeznał, że kupił posiadłość następnego ranka. Nilssen wyjaśnił, gdzie zostało ukryte złoto w domku Crosbiego Wellsa, a Frost potwierdził, jaką miało wartość. Nie wspomnieli ani słowem o sukniach Anny, o katastrofie barku „Z Bogiem” ani o żadnym z tych problemów i odkryć, które doprowadziły do tajnej narady w hotelu Korona przed trzema miesiącami. Przesłuchania świadków minęły bez żadnych incydentów i na pozór nie minęło wiele czasu, zanim sędzia wezwał na salę panią Lydię Wells.

Była w czarnej, pasiastej sukni, na którą narzuciła elegancką kurtkę do konnej jazdy z bufiastymi rękawami. Cudownie jasne, miedziane włosy miała upięte wysoko na czubku głowy, a kok podtrzymywała przepaska z czarnego aksamitu. Kiedy Lydia przeszła energicznie koło ławy dla prawników, Moody wyczuł zapach kamfory, cytryn i anyżku – silną woń, która przez chwilę przypominała mu przyjęcie w Fortunie Wędrowca, poprzedzające seans spirytystyczny.

Pani Carver niemal zwawo weszła po schodkach na podium dla świadków, ale kiedy zobaczyła Emery’ego Stainesa, siedzącego za liną dla publiczności, można było odnieść wrażenie, że się zawahała. Trwało to jednak krótko i wdowa szybko się opanowała. Odwróciła się plecami do Stainesa, uśmiechnęła do woźnego i podniosła swoją mleczną dłoń, żeby złożyć przysięgę.

– Pani Carver – rzekł Broham, kiedy woźny cofnął się i oddalił od podium – czy zna pani oskarżonego, pana Emery’ego Stainesa?

– Niestety, nigdy nie miałam przyjemności poznać człowieka nazwiskiem Emery Staines – odparła pani Carver.

Moody zerknął na niego i stwierdził ze zdziwieniem, że młodzieniec się rumieni.

– A jednak słyszałem, że w nocy 18 lutego urządziła pani seans spirytystyczny, aby nawiązać z nim kontakt – rzekł Broham.

– To prawda.

– Dlaczego wybrała pani akurat pana Stainesa na bohatera seansu?

– Obawiam się, że moja motywacja była dość interesowna – powiedziała pani Carver, uśmiechając się nieznacznie. – W tym czasie o jego zniknięciu mówiło całe miasto i miałam nadzieję, że to nazwisko przyciągnie wielu ludzi. To wszystko.

– Czy reklamując swój seans, wiedziała pani, że majątek znaleziony w domku pani zmarłego męża pochodzi z kopalni Aurora?

– Nie, o tym nie wiedziałam – odparła pani Carver.

– Czy miała pani powody, aby domniemywać, że pan Staines i pani mąż prowadzili jakieś interesy?

– Żadnych. Pan Staines był dla mnie jedynie nazwiskiem. Wiedziałam o nim tylko tyle, że zniknął z wąwozu i zostawił po sobie znaczny majątek.

– Nie słyszała pani, że pani mąż, pan Carver, miał udziały w kopalni pana Stainesa?

– Och – odpowiedziała Lydia. – Nie rozmawiam z Francisem o jego inwestycjach.

– Kiedy po raz pierwszy dowiedziała się pani o prawdziwym pochodzeniu skarbu?

– Pod koniec marca, gdy Bank Rezerw opublikował w gazecie oświadczenie, że złoto zostało przetopione i można ustalić jego pochodzenie.

Broham zwrócił się do sędziego.

– Proszę, aby wysoki sąd zwrócił uwagę, że to ogłoszenie ukazało się w „Czasie Zachodniego Wybrzeża” 23 marca bieżącego roku.

– Sąd już skrzętnie odnotował ten fakt, panie Broham.

Broham zwrócił się z powrotem do pani Carver.

– Przybyła pani do Hokitika w czwartek, 25 stycznia 1866 roku na parowcu „Waikato” – powiedział. – Zaraz po zejściu na ląd udała się pani do sądu, by unieważnić sprzedaż domku i ziemi pani zmarłego męża. Czy to prawda?

– Tak.

– Skąd wiedziała pani o śmierci męża?

– Pan Carver przekazał mi tę wiadomość osobiście – rzekła pani Carver. – Naturalnie udałam się więc do Hokitika najszybciej, jak tylko mogłam. Chciałam wziąć udział w pogrzebie, ale niestety, przyjechałam za późno.

– Czy kiedy opuszczała pani Dunedin, wiedziała pani, że lwią część spadku po panu Wellsie stanowi skarb niewiadomego pochodzenia?

– Nie. Dowiedziałam się o tym dopiero po przybyciu do Hokitika, z artykułu w „Czasie Zachodniego Wybrzeża”.

– Rozumiem, że przed wyjazdem z Dunedin sprzedała pani jednak swój dom i kasyno.

– Owszem – odrzekła pani Carver. – Ale nie było to radykalne posunięcie, jak mógłby pan przypuszczać. Pracuję w rozrywce, a publiczność w Dunedin nie dopisywała już tak jak kiedyś. Od miesięcy zastanawiałam się nad wyprowadzką na Zachodnie Wybrzeże i bardzo uważnie czytałam „Czas” właśnie z tego względu. Kiedy dowiedziałam się o śmierci Crosbiego, uznałam, że to doskonała sposobność. Mogłam zacząć nowe życie tam, gdzie

interes na pewno szedłby dobrze... I mogłabym być blisko grobu Crosbiego, czego bardzo pragnęłam. Nie mieliśmy okazji, żeby pojednać się przed jego śmiercią, a nasza separacja boleśnie mnie dotknęła.

– Pani i pan Wells mieszkaliście osobno, kiedy on umarł, czy tak?

– Tak.

– Od dawna?

– Wydaje mi się, że od jakichś dziewięciu miesięcy.

– Jaki był powód waszego rozstania?

– Pan Wells nadużył mojego zaufania – odrzekła pani Carver.

Nie kontynuowała tego wątku, więc Broham rzucił sędziemu nerwowe spojrzenie i zapytał:

– Czy mogłaby pani wyjaśnić nam to bliżej?

Pani Carver odrzuciła głowę do tyłu.

– Miałam pod opieką pewną młodą kobietę, którą pan Wells ohydnie wykorzystał – powiedziała. – Crosbie i ja strasznie się o nią pokłóciliśmy i wkrótce potem on wyjechał z Dunedin. Nie wiedziałam dokąd i nie miałam od niego żadnych wiadomości. Dopiero kiedy pan Carver powiedział mi o jego śmierci, dowiedziałam się, gdzie mieszkał.

– A ta młoda kobieta, o której pani wspomniała...

– To panna Anna Wetherell – rzuciła szorstko pani Carver. – Potraktowałam ją wielkodusznie, bo zabrałam ją do siebie, za co, jak mówiła, była mi bardzo wdzięczna. Pan Wells splamił moją wielkoduszność, a panna Wetherell jej nadużyła.

– Czy panna Wetherell utrzymywała kontakt z panem Wellsem po ich wyjeździe do Hokitika?

– Nie mam zielonego pojęcia – odpowiedziała pani Carver.

– Dziękuję. Nie mam więcej pytań.

– Dziękuję, panie Broham – odparła pogodnie Lydia.

Moody odsuwał już krzesło, ale czekał, aż sędzia go poprosi, żeby wstał.

– Pani Carver – odezwał się od razu, gdy sędzia już to uczynił. – W marcu 1864 roku pani mąż, Crosbie Wells, trafił na złotą żyłę w Dolinie Dunstan, czy tak?

Pani Carver była wyraźnie zaskoczona tym pytaniem, ale milczała tylko przez chwilę, zanim odpowiedziała:

– Tak, to prawda.

– Ale pan Wells nie zgłosił skarbu do banku, czy to też jest prawdą?

– Tak – odpowiedziała pani Carver.

– Wynajął natomiast prywatną eskortę, by przetransportować kruszec z Dunstan z powrotem do Dunedin, gdzie odebrała go pani, jego małżonka.

Przez twarz pani Carver przemknął błysk niepokoju.

– Tak – odpowiedziała ostrożnie.

– Może pani opisać, jak zostało zapakowane to złoto?

Zawahała się, ale pytania Moody’ego najwidoczniej wprawiały ją w zakłopotanie i nie miała dość czasu, by wymyślić jakiś wykręt.

– Zapakowano je do biurowego sejfu – odrzekła w końcu. – Sejf został załadowany do powozu, który uzbrojona eskorta odprowadziła oczywiście do Dunedin. Tam odebrałam sejf, zapłaciłam przewoźnikom i od razu napisałam do pana Wellsa, by go poinformować, że sejf bezpiecznie dotarł na miejsce. Wtedy mąż przysłał mi klucz.

– Czy tę eskortę wybierała pani, czy pan Wells?

– Strażników umówił pan Wells – odrzekła pani Carver. – Byli bardzo sprawni i nie przyczynili nam najmniejszych problemów. To była prywatna firma. Gracewood i Synowie czy coś w tym rodzaju.

– Gracewood i Spears – poprawił ją Moody. – Firma przeniosła się później do Kaniere.

– Rzeczywiście – przytaknęła pani Carver.

– Co zrobiła pani ze skarbem, kiedy już bezpiecznie znalazł się w Dunedin?

– Złoto schowałam do sejfu, który zamontowałam w naszej rezydencji przy ulicy Cumberland i który tam pozostał.

– Dlaczego nie oddała pani kruszcu do banku?

– Bo cena złota codziennie się zmieniała, a rynek był bardzo nieprzewidywalny – odrzekła pani Carver. – Myśleliśmy, że najlepiej będzie poczekać, aż przyjdzie odpowiedni moment, żeby je sprzedać.

– Sądząc po takiej ostrożności, zaryzykowałbym twierdzenie, że wartość tej bonanzy była znaczna.

– Tak. Przypuszczaliśmy, że wynosi kilka tysięcy funtów. Nigdy nie wyceniliśmy tego złota.

– Czy po odkryciu skarbu pan Wells pozostał na złotodajnych polach?

– Tak. Szukał złota jeszcze przez rok, aż do wiosny. Sukces dodał mu pewności siebie i wydawało mu się, że może szczęście uśmiechnie się do niego po raz drugi... Ale się nie

uśmiechnęło.

– Gdzie jest teraz ten skarb?

Pani Carver znów się zawahała.

– Został skradziony – odparła po chwili.

– Współczuję – powiedział Moody. – Na pewno byliście załamani tą stratą.

– Owszem – odpowiedziała pani Carver.

– Jak przypuszczam, mówi pani za siebie i za pana Wellsa.

– Oczywiście.

Moody znowu zamilkł na chwilę, a potem powiedział:

– Złodziej pewnie zdobył ten klucz do sejfu.

– Zapewne. A może zamek okazał się wadliwy. To był nowoczesny sejf, a jak nam wszystkim wiadomo, nowoczesne technologie nie są niezawodne. Możliwe też, że ktoś bez naszej wiedzy dorobił drugi klucz.

– Czy domyślała się pani, kto mógł ukraść to złoto?

– Absolutnie nie.

– Zgodziłaby się pani, że musiał to być ktoś, z kim utrzymywała pani bliskie kontakty?

– Niekoniecznie – odrzekła pani Carver, odrzucając głowę do tyłu. – Mógł nas zdradzić któryś z członków eskorty. Wszyscy strażnicy przecież dobrze wiedzieli, że pod numerem trzydziestym piątym na ulicy Cumberland spoczywa majątek w czystym złocie, a ponadto znali miejsce zamontowania sejfu. To mógł być każdy z nich.

– Czy często otwierała pani sejf, by sprawdzić jego zawartość?

– Nie, nie robiłam tego systematycznie.

– A kiedy zorientowała się pani, że złoto zniknęło?

– Kiedy rok później Crosbie wrócił do Dunedin.

– Czy może pani opisać, co się stało, gdy dokonała pani tego odkrycia?

– Pan Wells powrócił ze złotodajnych pól i usiedliśmy razem, żeby podliczyć nasze zasoby finansowe. Otworzył sejf i zobaczył, że jest pusty. Może pan być pewien, że wpadł w niepohamowaną wściekłość, podobnie zresztą jak ja.

– Jaki to był miesiąc?

– Och, nie wiem – odpowiedziała pani Carver, nagle rozzłoszczona. – Może kwiecień. Albo maj.

– Kwiecień albo maj 1865 roku. Czyli doszło do tego zdarzenia rok temu.

– Tak – odrzekła Lydia.

– Dziękuję, pani Carver – odpowiedział Moody, a potem zwrócił się do sędziego. – Dziękuję, wysoki sędzie.

Kiedy usiadł, odczuł, że atmosfera na sali gęstnieje. Harrington i Fellowes przestali szeptać między sobą, a sędzia już nie robił notatek. Wszystkie oczy skierowane były na panią Carver, kiedy schodziła po schodkach z podium dla świadków, a następnie usiadła na swoim miejscu.

– Sąd wzywa pana Francisa Carvera.

Carver wyglądał przystojnie w ciemnozielonym surducie i spiętym szpilką fontaziu. Złożył przysięgę ze swoim ciężkim akcentem, po czym z bystrym wyrazem twarzy odwrócił się w stronę ławy dla prawników.

Broham podniósł głowę znad notatek.

– Panie Carver – powiedział – proszę opisać sądowi, jak i gdzie poznał pan pana Stainesa.

– Poznałem go w Dunedin – odrzekł Carver. – Mniej więcej równo rok temu. Właśnie przyплыł z Sydney i chciał się zająć poszukiwaniem złota. Zaproponowałem, że zostanę jego współinwestorem, a on się zgodził.

– Jakie zobowiązania nakładała na panów ta umowa?

– Miałem mu pożyczyć dość pieniędzy, żeby mógł rozpocząć poszukiwania, a on w zamian dał mi połowę udziałów w swoim pierwszym przedsięwzięciu, z którego dochody miałem otrzymywać bezterminowo.

– Jaki był dokładnie pański wkład?

– Kupiłem mu sprzęt i zapasy. Zapłaciłem za jego bilet na Wybrzeże. Pan Staines miał ponadto dług hazardowy w Dunedin, który również spłaciłem.

– Czy mógłby pan oszacować wartość tych inwestycji?

– Przypuszczam, że dałem mu około ośmiu funtów. Mniej więcej tyle. On uzyskał krótkoterminowe wsparcie, a ja miałem czerpać z tego długoterminowe zyski. O to chodziło.

– Jakie było pierwsze przedsięwzięcie pana Stainesa?

– Kupił dwa akry ziemi milę od Kaniere – odpowiedział Carver. – Działka ta była znana jako Aurora. Pan Staines napisał do mnie z Hokitika po jej zakupie i przesłał całą dokumentację z banku.

– Jak wypłacał panu dywidendy z Aurory?

- Przekazem pocztowym, wysyłanym na adres Banku Rezerw.
 - A jak często dokonywał wypłat?
 - Co kwartał.
 - Ile wyniosła dywidenda, którą otrzymał pan w październiku 1865 roku?
 - Osiem funtów i jakieś drobne.
 - A dywidenda za styczeń 1866 roku?
 - Równe sześć funtów.
 - Czyli w okresie dwóch kwartałów ubiegłego roku dostał pan około czternastu funtów dywidendy.
 - Tak jest.
 - W takim razie dochody netto z Aurory musiały wynieść mniej więcej dwadzieścia osiem funtów za pół roku.
 - Tak.
 - Czy pan Staines wspominał panu kiedykolwiek o skarbie odkrytym w Aurorze przez Chińczyka nazwiskiem Quee?
 - Nie.
 - A czy zdawał pan sobie wtedy sprawę, że pan Staines fałszuje kwartalne raporty z Aurory?
 - Nie.
 - Kiedy po raz pierwszy dowiedział się pan, że skarb odkryty w domku zmarłego pana Wellsa pochodzi z tej działki?
 - Wtedy, kiedy wszyscy – odrzekł Carver. – Gdy bank opublikował swoje dane w gazecie i oświadczył, że kruszec został znaleziony już po przetopieniu i sztabki zostały oznaczone.
- W tym momencie Broham skinął głową i zakaszłał lekko, zmieniając temat.
- Pan Staines zeznał, że ma o panu niepochlebne zdanie, panie Carver.
 - Może i tak – rzekł Carver. – Chociaż sam nigdy nie wspomniał mi na ten temat ani słowem.
 - Czy tak jak sugeruje pan Staines, 11 października pobił pan pannę Wetherell?
 - Uderzyłem ją w twarz – powiedział Carver. – To wszystko.
- Moody usłyszał dochodzący z galerii cichy pomruk dezaprobaty.
- Co pana sprowokowało, żeby ją uderzyć? – spytał Broham.

– Była bezczelna – odrzekł Carver.

– Zechciałby pan to bliżej wytłumaczyć?

– Spytałem ją o drogę, a Anna zabawiła się moim kosztem, więc ją uderzyłem. Był to pierwszy i ostatni raz, kiedy jej dotknąłem.

– Czy może pan opisać to spotkanie tak, jak je pan pamięta?

– Przyjechałem do Hokitika w interesach i pomyślałem, żeby udać się do Kaniere i rzucić okiem na Aurorę. Właśnie przyszedł kolejny kwartalny raport, na którego podstawie zorientowałem się, że działka nie przynosi wiele złota, chciałem więc sprawdzić dlaczego. Spotkałem pannę Wetherell przy drodze. Była kompletnie odurzona opium i wygadywała różne głupstwa. Nie byłem w stanie nic z niej wyciągnąć, wsiadłem więc z powrotem na konia i ruszyłem dalej.

– Pan Staines zeznał, że panna Wetherell straciła tego dnia dziecko.

– Nic na ten temat nie wiem – oświadczył Carver. – Kiedy ją widziałem po raz ostatni, ciągle się śmiała i chwiała na nogach. Może wpadła w jakieś tarapaty, kiedy odjechałem.

– Pamięta pan, o co ją pan pytał tamtego popołudnia?

– Tak. Chciałem znaleźć Wellsa.

– Dlaczego szukał pan informacji na jego temat?

– Miałem z nim do omówienia pewną prywatną sprawę – rzekł Carver. – Nie widziałem go od maja i nie wiedziałem, gdzie go znaleźć ani kogo o niego zapytać. Jak już mówiła Lydia, tamtej nocy opuścił Dunedin. Nie mówiąc nikomu, dokąd się wybiera.

– Czy panna Wetherell zdradziła panu wtedy, gdzie mieszka pan Wells?

– Nie – odrzekł Carver. – Tylko się ze mnie śmiała. Dlatego ją uderzyłem.

– Czy sądzi pan, że panna Wetherell wiedziała, gdzie pan Wells przebywa, i nie chciała panu o tym powiedzieć z jakiegoś konkretnego powodu?

Carver zastanawiał się przez chwilę, ale pokręcił głową.

– Nie wiem. Nie chciałbym się wypowiadać na ten temat.

– A o czym chciał pan rozmawiać z panem Wellsem?

– O ubezpieczeniu – odrzekł Carver.

– W jakim celu?

Kapitan wzruszył ramionami, co miało oznaczać, że odpowiedź na to pytanie jest bez znaczenia.

– Bark „Z Bogiem” należał do niego – odrzekł. – A ja byłem kapitanem tego statku. Nie

chodziło mi o nic pilnego, po prostu chciałem z nim przedyskutować kilka spraw.

– Czy pozostawał pan w dobrych stosunkach z panem Wellsem?

– W dość dobrych – odrzekł Carver. – Tak bym je określił. Nie jest żadną tajemnicą, że podkochiwałem się w jego żonie i szybko się po nią zgłosiłem, kiedy zszedł z tego świata, ale nigdy nie stanąłem między nimi. Traktowałem go przyzwoicie, podobnie jak on mnie.

– Dziękuję, wysoki sędzie – Broham zwrócił się do sędziego. – Dziękuję, panie Carver.

– Pański świadek, panie Moody.

Moody natychmiast wstał.

– Panie Carver, kiedy po raz pierwszy spotkał pan panią Carver?

– Znamy się od prawie dwudziestu lat.

– Inaczej mówiąc, znaliście się przez cały czas jej małżeństwa ze zmarłym panem Wellsem.

– Tak.

– Zastanawiam się, czy mógłby pan przybliżyć nam okoliczności pańskich zaręczyn z panią Carver.

– Poznałem Lydię, kiedy byłem jeszcze młodym człowiekiem, i zawsze myśleliśmy, że się pobierzemy – odpowiedział kapitan. – Ale potem dostałem wyrok dziesięciu lat więzienia na Wyspie Cockatoo i Lydia w tym czasie zakochała się w Wellsie. Kiedy zostałem zwolniony, byli już małżeństwem. Nie mogłem mieć o to do niej żalu. Dziesięć lat to dużo czasu, jeśli się na kogoś czeka. Nie mogłem mieć pretensji także do niego. Wiem, jakiego kalibru kobietą jest Lydia, powiedziałem sobie jednak, że jeśli to małżeństwo zostanie kiedyś rozwiązane, to będę następny w kolejce.

– Pobraliście się zaraz po śmierci pana Wellsa, czy tak?

Carver zmierzył Moody'ego przeciągłym spojrzeniem.

– Nie ma w tym nic niestosownego – odrzekł.

Moody pochylił głowę.

– Jestem pewien, że nie. Przepraszam, jeśli moja wypowiedź sugerowała coś innego. Proszę mi jednak pozwolić cofnąć się trochę w czasie. Kiedy został pan zwolniony z więzienia?

– W czerwcu sześćdziesiątego czwartego – odrzekł Carver. – Już prawie dwa lata temu.

– Co pan zrobił po zwolnieniu z Wyspy Cockatoo?

– Wyjechałem do Dunedin – powiedział Carver. – Znalazłem pracę na statku pływającym po Morzu Tasmana. Był to właśnie bark „Z Bogiem”.

- A pan był jego kapitanem?
- Najpierw członkiem załogi. Ale po roku zostałem kapitanem.
- Pan Wells szukał w tym czasie złota na polach w Dunstan, czy tak?

Carver zawahał się.

- Tak – odrzekł.
- A pani Carver, ówczesna małżonka pana Wellsa, mieszkała w Dunedin.
- Tak.
- Czy często widywał się pan z panią Wells w tym czasie?

– Wpadałem niekiedy napić się czegoś u niej – odrzekł Carver. – Prowadziła tawernę na ulicy Cumberland. Ale przebywałem głównie na morzu.

– Crosbie Wells wrócił do Dunedin w maju tysiąc osiemset sześćdziesiątego piątego roku – powiedział Moody. – Jak rozumiem, przeprowadził tę transakcję właśnie wtedy.

Carver doskonale wiedział, że Moody chce go zwabić w pułapkę, nie mógł jednak nic na to poradzić.

– Tak – odrzekł krótko. – Wtedy kupił „Z Bogiem”.

– To imponujący zakup – powiedział Moody, kiwając głową. – Także z tej przyczyny, że doszło do niego tak nagle. Zastanawiające jest również to, że zdecydował się zainwestować właśnie w statek, a nie w coś innego. Ciekawe, czy pan Wells interesował się żeglugą już wcześniej?

– Nie umiem panu na to odpowiedzieć – rzekł Carver. – Ale chyba tak, skoro dokonał takiego zakupu.

Moody milczał przez chwilę, a potem powiedział:

- Rozumiem, że umowa kupna-sprzedaży znajduje się obecnie w pańskim posiadaniu.
- Tak jest.
- A proszę nam powiedzieć, w jaki sposób trafiła w pańskie ręce?
- Powierzył mi ją pan Wells.
- Kiedy?
- W dniu sprzedaży.
- Czyli...
- W maju – powiedział Carver. – W zeszłym roku.
- Innymi słowy, tuż zanim pan Wells wyjechał z Dunedin i przeniósł się do Doliny

Arahura.

Carver nie mógł temu zaprzeczyć.

– Tak – odrzekł.

– Jakie powody miał pan Wells, żeby powierzyć panu tę umowę? – spytał Moody.

– Chodziło mu o to, żebym mógł działać jako jego pełnomocnik.

– Na wypadek kalectwa – zauważył Moody. – Albo śmierci.

– Tak – odparł Carver.

– Aha. Przekonajmy się, czy dobrze pana rozumiem, panie Carver. Na początku ubiegłego roku pan Wells był prawnym właścicielem złotego kruszcu, wartego kilka tysięcy funtów, znalezionego na działce w Dolinie Dunstan. Złoto zostało złożone w sejfie w rezydencji Wellsa w Dunedin, gdzie mieszkała jego małżonka, a pana dawna i bardzo bliska pańskiemu sercu znajoma. W maju pan Wells powrócił do domu, do Dunedin, ze złotodajnych pól w Dunstan, a następnie, nie zawiadamiając swojej żony, opróżnił sejf i natychmiast wydał cały skarb na zakup barku „Z Bogiem”. Powierzył panu ten statek i przekazał panu dowództwo nad nim, po czym wyjechał zaraz do Hokitka, nie mówiąc nikomu, dokąd ani po co się wybiera. Oczywiście ja tylko się domyślam – dodał Moody – że to pan Wells, a nie ktoś inny zabrał kruszec z sejfu... Ale gdyby tego nie zrobił, jak mógłby kupić „Z Bogiem”? Nie miał obligacji ani udziałów w żadnym przedsięwzięciu, tego jesteśmy całkowicie pewni, a w zawiadomieniu o zmianie właściciela, opublikowanym w „Świadku Otago” 14 maja tego roku, wyraźnie stwierdza, że statek kupiono za złoto.

Carver spoglądał na niego spode łba.

– Nie wspomina pan nic o tej dziwce – powiedział. – A to przez nią Wells wyjechał z Dunedin. To z jej powodu poróżnił się z Lydią.

– Może i tak... Muszę jednak skorygować pańską wypowiedź, albowiem panna Wetherell nie pracowała wtedy w najstarszym zawodzie świata – odrzekł Moody. – Ten weksel, sporządzony przez pana Richarda Manneringa, który przekazałem dzisiaj rano sądowi, wyraźnie stwierdza, że panna Wetherell ma otrzymać odpowiednią suknię, damski rewolwer, perfumy, halki i wszystkie inne przedmioty osobistego użytku, „których aktualnie jej brakuje”. Dokument ten jest datowany na czerwiec zeszłego roku.

Carver nie odpowiedział.

– Proszę mi wybaczyć – odezwał się Moody po chwili – jeśli zauważę, że pan Wells, w odróżnieniu od pana, nie skorzystał zbyt wiele na wydarzeniach, które rozegrały się w Dunedin w maju zeszłego roku.

Sędzia Kemp odczekał, aż Carver zasiądzie koło swojej żony, zanim ostro przywołał do porządku publiczność na sali.

– No dobrze, panie Moody – rzekł, splatając dłonie. – Widzę, dokąd pan zmierza, i pozwolę panu kontynuować tę linię obrony, chociaż muszę powiedzieć, że chyba dość znacznie zboczyliśmy z kursu wyznaczonego w porannym biuletynie. A teraz idźmy dalej: podał pan sądowi nazwiska dwóch świadków obrony.

Moody skłonił się.

– Tak, wysoki sędzie.

– Jeśli o nich chodzi, to pan Moody będzie im zadawał pytania jako pierwszy, a pan Broham w następnej kolejności – powiedział sędzia. Zerknął do swojej książki, po czym podniósł wzrok znad binokli i powiedział: – Pan Thomas Balfour.

Przyprowadzono pana Thomasa Balfoura.

– Panie Balfour – odezwał się Moody po zaprzysiężeniu. – Pracuje pan w spedycji żeglugowej, czy tak?

– Od blisko dwunastu lat, panie Moody.

– Prowadzi pan, jak rozumiem, interesy pana Lauderbacka.

– W rzeczy samej – odparł radośnie Balfour. – Jestem jego przedstawicielem od 1861 roku.

– Czy mógłby pan opisać ostatnią transakcję przeprowadzoną przez pana Lauderbacka i firmę Spedycja Balfoura?

– Ależ oczywiście – powiedział Balfour. – Kiedy pan Lauderback po raz pierwszy przyjechał w styczniu do Hokitika, dotarł do nas przez Alpy, jak pan zapewne pamięta, a jego kufer oraz niektóre rzeczy osobiste podróżowały drogą morską. Pan Lauderback wysłał swoją skrzynię z Lyttelton do Portu Chalmers, a gdy się tam znalazła, poleciłem, aby jeden z moich statków, „Cnota”, zabrał ją na pokład i przewiózł na Wybrzeże. I owszem, „Cnota” dotarła do Hokitika ze skrzynią pana Lauderbacka 12 stycznia, dwa dni przed nim. Następnego dnia wyładowano ją i pozostawiono na nabrzeżu z resztą ładunku, ja zaś podpisałem dokumenty, na mocy których miała zostać przetransportowana do mojego magazynu, skąd po przyjeździe odebrałby ją właściciel. Do tego jednak nie doszło, ponieważ skrzynia została ukradziona i nigdy nie trafiła do magazynu.

– Czy zidentyfikowano tę skrzynię jako własność pana Lauderbacka?

– O tak – rzekł Balfour. – Na pewno widział pan skrzynie stojące na nabrzeżu. Nie można byłoby ich od siebie odróżnić, gdyby nie listy przewozowe. Dzięki nim wiadomo, czyją są własnością, kto je przewozi i tak dalej.

– Co się stało, kiedy odkrył pan brak skrzyni pana Lauderbacka?

– Może pan być pewien, że rwałem sobie włosy z głowy, kiedy jej szukałem. Nie miałem pojęcia, gdzie mogła się podziać. No cóż, dwa tygodnie później na mieliźnie rozbił się bark

„Z Bogiem”, a kiedy wydobyto z niego ładunek, okazało się, że skrzynia Lauderbacka była na jego pokładzie! Wygląda na to, że została załadowana na „Z Bogiem”, kiedy ten statek ostatni raz wypłynął z Hokitika.

– A zatem stało się to bardzo wczesnym rankiem 15 stycznia.

– Tak jest.

– A co było potem, kiedy w końcu znaleziono tę skrzynię?

– Zacząłem trochę węszyć – odpowiedział Balfour. – Wypytywałem załogę i marynarze powiedzieli mi, jak doszło do pomyłki. Oto co się stało. Jeden z marynarzy zobaczył list przewozowy z napisem „pan Lauderback, właściciel” i przypomniał sobie, że ich kapitan, to znaczy Carver, poszukiwał takiej skrzyni rok wcześniej. Zauważyli ją na nabrzeżu czternastego w nocy i pomyśleli, że nadarza się sposobność, żeby wkraść się w łaski kapitana, otwierają więc skrzynię z czystej ciekawości. W środku jest kufer, dwie torby podróżne i niewiele więcej. Przedmioty nie wyglądają na zbyt wartościowe, ale marynarze myślą, że nigdy nic nie wiadomo. Idą szukać kapitana Carvera, lecz nigdzie nie mogą go znaleźć. Nie ma go w pokoju hotelowym ani w żadnym barze, nigdzie. Postanawiają poczekać z tą sprawą do rana i kładą się spać. Tymczasem Carver przybiega strasznie zaaferowany z nabrzeża, wygania wszystkich z hamaków i powiada, że „Z Bogiem” wyjdzie z portu o pierwszym brzasku, zaledwie za kilka godzin. Nie chce powiedzieć dlaczego. Tak czy inaczej chłopcy podejmują decyzję. Mocują z powrotem wieko i wnoszą skrzynię szybko i bez problemów na pokład, więc kiedy „Z Bogiem” podnosi kotwicę, własność pana Lauderbacka jest już w ładowni.

– Czy kapitan Carver został poinformowany o tym dodatku do swojego ładunku?

– O tak – odpowiedział z uśmiechem Balfour. – Marynarze cieszyli się jak dzieci, bo rozumie pan, myśleli, że dostaną jakąś nagrodę. Zaczekali, aż „Z Bogiem” postawił żagle, i dopiero wtedy zawołali kapitana na dół. Carver tylko spojrział na list przewozowy i zaraz zauważył, że spaprali robotę. „Spedycja Balfoura? – powiada. – Skrzynia, którą zgubiłem, była w gestii firmy Spedycja Danforth. Zabraliście niewłaściwą skrzynię, do cholery, i teraz mamy na pokładzie kradziony towar”.

– Czy możemy z tego wnosić, że kapitan Carver zgubił kiedyś skrzynię należącą do Alistaira Lauderbacka, a przewożoną przez firmę Spedycja Danforth, w której znajdowało się coś, co miało wielką wartość dla kapitana?

– Wszystko na to wskazuje.

– Dziękuję bardzo za poświęcony nam czas, panie Balfour.

– Cała przyjemność po mojej stronie, panie Moody.

Broham, który najwyraźniej nie miał pojęcia, do czego zmierza Moody, zrezygnował z prawa do zadawania pytań świadkowi obrony, a sędzia zanotował to sobie i wezwał drugiego świadka.

– Czcigodny pan Alistair Lauderback.

Alistair Lauderback pokonał całą szerokość sali w pięciu krokach.

– Panie Lauderback – zaczął Moody, kiedy polityk został zaprzysiężony. – Był pan właścicielem barku „Z Bogiem”, czy tak?

– Tak – odrzekł Lauderback. – Tak jest.

– Zgodnie z umową kupna-sprzedaży sprzedał pan ten statek 12 maja 1865 roku.

– Tak.

– Czy człowiek, któremu sprzedał pan bark, znajduje się dziś na sali?

– Tak.

– Czy może pan nam go wskazać? – spytał Moody.

Lauderback gwałtownie wyprostował ramię i wycelował palcem prosto w twarz Carvera.

– To on – odpowiedział, zwracając się do Moody’ego. – To ten człowiek, tam.

– Czy to możliwe, aby zaszła pomyłka? – spytał Moody. – Bo widzę, że akt kupna, który pan Carver osobiście przekazał sądowi, został podpisany przez niejakiego pana „C. Francisa Wellsa”.

– To jawne fałszerstwo – odparł Lauderback, który nadal wskazywał Carvera palcem. – Ten człowiek powiedział mi, że nazywa się Crosbie Wells, podpisał umowę tym nazwiskiem, a ja sprzedałem statek, sądząc przez cały czas, że nabył go ode mnie Crosbie Wells. Dopiero osiem czy dziewięć miesięcy później zdałem sobie sprawę, że zostałem wystrychnięty na dudka.

Moody nie śmiał spojrzeć w oczy Carverowi, który nieznacznie zeszywniał, słysząc kłamstwo Lauderbacka. Adwokat kątem oka zauważył, że pani Carver wyciągnęła swoją białą rękę, żeby powstrzymać męża – i zacisnęła palce na jego nadgarstku.

– Czy może pan opisać, co się stało? – poprosił Moody.

– Udawał porzuconego małżonka – odpowiedział Lauderback. – Wiedział, że spotykałem się z Lydią, wiedzą o tym wszyscy w tej sali. Wyznałem prawdę w „Czasie”, a Carver dostrzegł sposobność, żeby na tym skorzystać. Powiedział mi, że nazywa się Crosbie Wells i że ja spotykam się z jego żoną. Nigdy mi się nawet nie przyśniło, że może kłamać w żywe oczy. Pomyślałem, że go skrzywdziłem i sprowadziłem jego żonę na złą drogę.

Carverowie nie poruszali się. Nadal na nich nie patrząc, Moody zapytał:

– Czego od pana zażądał?

– Statku – odpowiedział Lauderback. – Chciał statku i dostał go. Ale on mnie szantażował. Sprzedałem go pod przymusem, nie dobrowolnie.

– Czy może pan wyjaśnić charakter tego szantażu?

– W czasie trwania naszego romansu dbałem o to, żeby Lydia chodziła modnie ubrana – odrzekł Lauderback. – Co miesiąc posyłałem jej stare suknie do przeróbki do Melbourne, skąd wracały ozdobione najnowszymi kryzami, falbankami albo czymś w tym rodzaju. Ten transport, wysyłany na moje nazwisko, przemierzał Morze Tasmana na „Z Bogiem”, bo korzystałem, rzecz jasna, z tego statku. No, ale on kiedyś przejął moją własność. To znaczy Carver. Otworzył kufer, wyjął suknie i ukrył w nich mały skarb. Proszę pamiętać, że na kufrze widniało moje nazwisko i to ja wszedłem w porozumienie z krawcem w Melbourne. Gdyby złoto Carvera wylądowało w porcie, zaraz byłoby po mnie: zostałbym pisemnie oskarżony o kradzież, niezapłacenie cła i w ogóle. Kiedy zorientowałem się w pułapce, którą Carver na mnie zastawił, pojąłem, że nic nie da się zrobić. Musiałem mu oddać statek. Uścisnęliśmy więc sobie ręce po męsku i przeprosiłem go raz jeszcze, a on brnął dalej w ten swój szwindel i podpisał się na umowie jako Wells.

– Czy po tym spotkaniu pan Carver alias Wells jeszcze się kiedyś z panem kontaktował?

– Ani razu.

– Czy potem widział pan jeszcze swój kufer?

– Nie.

– A tak na marginesie... – powiedział Moody. – Jak nazywała się firma przewozowa, która zajmowała się transportem sukni pani Carver do i od krawca z Melbourne?

– Spedycja Danfortha – powiedział Lauderback. – Korzystałem z usług Jema Danfortha.

Moody zamilkł na chwilę, żeby publiczność na galerii mogła pojąć wszystkie implikacje wynikające z tego oświadczenia, po czym zapytał:

– A kiedy odkrył pan prawdziwą tożsamość pana Carvera?

– W grudniu – odparł Lauderback. – Pan Wells... To znaczy, powinienem powiedzieć, prawdziwy pan Wells... napisał do mnie niedługo przed swoją śmiercią. Jako wyborca, który przedstawia się swojemu politycznemu reprezentantowi, tylko o to mu chodziło. Ale na podstawie tego listu zmiarkowałem od razu, że pan Wells nie ma pojęcia o mnie i o Lydii... Dodałem wtedy dwa do dwóch i zrozumiałem, że mnie oszukano.

– Czy ma pan przy sobie tę korespondencję od pana Wellsa?

– Tak. – Lauderback sięgnął do kieszonki na piersi i wyciągnął z niej złożoną kartkę.

– Proszę, aby wysoki sąd zechciał zauważyć, że dokument znajdujący się w posiadaniu pana Lauderbacka nosi stempel z datą 17 grudnia 1865 roku – powiedział Moody.

– Sąd już to odnotował, panie Moody.

Moody zwrócił się z powrotem do Lauderbacka.

- Czy zechciałby pan odczytać nam ten list?
- Naturalnie. – Lauderback podniósł kartkę, odkaszlnął, a potem przeczytał:

Zachodnie Canterbury, grudzień 1865.

Szanowny panie,

zauważyłem w „Czasie Zachodniego Wybrzeża”, że zamierzasz podróżować do Hokitika łądem & będziesz przejeżdżał przez Dolinę Arahura, chyba że celowo wybierzesz raczej jakąś okrężną drogę. Mam prawo głosu i jako wyborca byłbym zaszczycony, mogąc powitać polityka w moim skromnym domu. Opiszę ci go, żebyś mógł mnie odwiedzić albo ominąć moją posiadłość, jak będziesz sobie życzył. Dom jest kryty blachą & stoi trzydzieści jardów od brzegu rzeki Arahura, po stronie południowej, na polance, a tartak zbudowałem jakieś dwadzieścia jardów dalej na południowy wschód. Dom jest niewielki, z oknem & kominem z wypalanej cegły. Poza tym wygląda zwyczajnie. Może zobaczę, jak przejeżdżasz, nawet jeśli się nie zatrzymasz. Nie będę się ciebie spodziewał ani miał choćby nadziei na spotkanie, ale życzę ci przyjemnej podróży na zachód i zwycięskiej kampanii wyborczej, i zapewniam, że pozostaję z największym podziwem

CROSBIE WELLS

Moody podziękował i zwrócił się do sądu:

– Proszę, aby wysoki sąd zechciał zauważyć, że podpis na prywatnym liście do pana Lauderbacka wygląda dokładnie tak, jak podpis na owym akcie darowizny, spisany przez pana Crosbiego Wellsa 11 października 1865 roku, zgodnie z którym to dokumentem pan Emery Staines zobowiązuje się w obecności świadka, pana Crosbiego Wellsa, do przekazania panie Annie Wetherell dwóch tysięcy funtów. Podpis ten przypomina także do złudzenia podpis na świadectwie ślubu pana Wellsa, złożonym przed dwoma miesiącami przez panią Lydię Carver, dawniej Wells, w sądzie grodzkim. Proszę również, aby wysoki sąd zechciał ponadto zauważyć, że oba wspomniane podpisy w żaden sposób nie przypominają podpisu widniejącego na umowie kupna-sprzedaży barku „Z Bogiem”, przedłożonej sądowi przez pana Francisca Carvera. To chyba wystarczy, by dowieść, że podpis na tej umowie istotnie jest sfałszowany.

Broham przypatrywał się Moody’emu z otwartymi ustami.

– Co chce pan przez to powiedzieć, panie Moody? – spytał sędzia.

– Po prostu tyle, że pan Carver wszedł w posiadanie barku „Z Bogiem” w drodze wymuszenia, oszustwa i podszywając się pod kogoś innego – odrzekł Moody. – Tę samą taktykę zastosował również, przywłaszczając sobie warty wiele tysięcy funtów majątek pana Wellsa w maju ubiegłego roku, czego najprawdopodobniej udało mu się dokonać z pomocą pani Carver, zważywszy na to, że jest ona obecnie jego żoną.

Broham, który wciąż usiłował poukładać sobie w głowie wydarzenia z ostatnich pięciu minut, poprosił o przerwę, ale jego prośby prawie nie było słyhać w gwarze, który podniósł

się na galerii. Sędzia Kemp, podniósłszy głos do krzyku, zażądał, aby pan Broham i pan Moody natychmiast stawili się w jego gabinecie. Następnie nakazał, żeby wszystkich świadków umieszczono w areszcie, i odroczył rozprawę.

DOM WIELU ŻYCZEŃ

Rozdział, w którym Lydia Wells dotrzymuje słowa, Annę Wetherell odwiedza nieoczekiwany gość, a my dowiadujemy się prawdy o Elizabeth Mackay

Widziany od strony ulicy fronton domu numer 35 przy ulicy Cumberland prezentował się przechodniom dziwnie nieciekawie: wyblakły drewniany szalunek ścian, okno wystawowe podzielone słupkami i zasłonięte papierem pakowym, a na piętrze dwa okna z zaciągniętymi zasłonami. Sąsiednie domy – pod numerem 37 mieścił się zakład szewski, a pod 33 firma przewozowa – wzniesiono bardzo blisko, przez co z ulicy nie było widać ich wewnętrznych proporcji. Każdy, kto tędy przechodził, mógłby uznać budynek za niezamieszkały, bo nad wejściem nie było żadnego szyldu ani wywieszki, podobnie jak na ganku, a w ramce nad kołatką brakowało wizytówki z nazwiskiem lokatora.

Pani Wells otworzyła drzwi własnym kluczem. Poprowadziła Annę zacisznym korytarzem na tyły domu, skąd wiodły wąskie schodki na piętro. Na górnym podejściu, równie czystym i nieciekawym jak dolny, wyciągnęła z torebki drugi klucz, otworzyła kolejne drzwi i z uśmiechem pokazała Annie gestem, by weszła do środka.

Ktoś bardziej bywały w świecie niż panna Wetherell mógłby od razu dojść do określonych wniosków na widok tego wnętrza: ciężkie koronkowe firany, przesadnie bogate obicia, oszalałymi zapach alkoholu oraz perfum, a także portiera z paciorków, przywiązanych do framugi drzwi i odsłaniających leżącą dalej, słabo oświetloną sypialnię. Anna nie była jednak kobietą światową i jeśli zdziwił ją widok tych słodko pachnących, miękkich luksusów w pensjonacie dla dziewcząt, to nie powiedziała tego głośno. W drodze z nabrzeża na ulicę Cumberland pani Wells zademonstrowała dziewczynie swój szeroki wachlarz wyrafinowanych gustów i wyjątkowych opinii, a kiedy dotarły do miejsca przeznaczenia, Anna była więcej niż szczęśliwa, że może je zaakceptować – bo w porównaniu z nimi własne przekonania wydały jej się nagle niezwykle blade i słabe.

– Ja widzisz, bardzo dbam o swoje dziewczęta – powiedziała gospodyni. Anna odparła, że pokój jest niezwykle piękny, a po tych zachęcających słowach pani Wells zaproponowała, żeby go obejrzeć, zwracając po drodze uwagę na kilka przemyślnych ozdób i miejsc ich ekspozycji, by mogła potem ukonkretnić swoje komplementy.

Kuferek Anny dostarczono zgodnie z obietnicą – stał już koło łóżka, co dziewczyna uznała za znak, że będzie tutaj spać. Łóżko miało piękne wezgłowie, a drewniana rama kryła się niemal w całości pod ogromnym kopcem białych poduszek, ułożonych w stosy po trzy. Było znacznie szersze i wyższe niż łóżeczko, na którym dziewczyna sypiała zwykle w domu. Zastanawiała się, czy będzie je musiała z kimś dzielić, bo wydawało się zdecydowanie za duże dla jednej osoby. Naprzeciwko łóżka stała obwieszona ręcznikami wysoka, miedziana wanna, a obok zwisał ozdobiony kutasem ciężki sznur. Po chwili pani Wells pociągnęła go i na dole zabrzmiał stłumiony głos dzwonka. Kiedy pojawiła się pokojówka, pani Wells kazała jej przynieść z kuchni gorącą wodę, a potem lunch. Pokojówka prawie nie spojrzała na Annę,

która bardzo się ucieszyła, że dziewczyna nie zwraca na nią uwagi, i odczuła ulgę, gdy wyszła, żeby zagrzać dla niej wodę na piecu w kuchni.

Lydia Wells odwróciła się do Anny, uśmiechnęła raz jeszcze i przeprosiła ją, albowiem musiała wyjść.

– Mam kilka umówionych spotkań w mieście i muszę się na nich stawić, ale wrócę w porze kolacji i chciałabym, abyśmy zjadły ją razem. Możesz prosić Lucy dosłownie o wszystko. Jeśli gdzieś można znaleźć to, czego zapragniesz, to ona ci to znajdzie. Siedź w wannie, jak długo zechcesz, i używaj wszystkiego, co znajdziesz na półeczce kąpielowej i na co tylko będziesz miała ochotę. Nalegam, żebyś pod każdym względem czuła się u nas jak u siebie w domu.

I Anna zastosowała się do tego życzenia. Umyła włosy lawendowym szamponem, wyszorowała każdy skrawek ciała kupnym mydłem i przesiedziała w wodzie prawie godzinę. Kiedy się ubrała – wywróciwszy pończochy na lewą, czystsza stronę – spędziła sporo czasu przed lustrem, układając fryzurę. Na półeczce kąpielowej stało kilka buteleczek perfum: powąchała je kolejno wszystkie, po czym wróciła do pierwszej i zaaplikowała sobie kilka kropli pachnidła na przegubach rąk i za uszami.

Pokojówka zostawiła jej zimny lunch na stoliku pod oknem, na przykrytym ściereczką talerzu. Anna zdjęła ją i jej oczom ukazała się góra bardzo ładnie pokrojonej szynki, gruby kawałek chyba smażonego puddingu grochowego, żółty placuszek z masłem i dżemem oraz dwa marynowane jajka. Usiadła, chwyciła przygotowany dla niej nóż i widelec i rzuciła się na jedzenie, rozkoszując się nim po tylu pozbawionych smaku posiłkach na morzu.

Kiedy talerz był już pusty, siedziała, zastanawiając się przez kilka minut, czy nie powinna zadzwonić na służbę, żeby posprzątała. Będzie to aroganckie? W końcu postanowiła nie dzwonić. Wstała, podeszła do okna i z wielkim ukontentowaniem przez chwilę obserwowała ruch uliczny. Potem zaciągnęła zasłony. Zegar wybił trzecią, zanim usłyszała pierwsze dźwięki z dołu: nieoczekiwane głosy w korytarzu, zbliżające się na schodach kroki, a w końcu energiczne pukanie.

Ledwo zdążyła wstać, gdy drzwi się otworzyły i do pokoju wszedł jakiś wysoki, bardzo brudny mężczyzna, ubrany w żółte moleskinowe spodnie i spłowiały płaszcz. Na widok Anny przystanął jak wryty.

– Och – powiedział. – Przepraszam.

– Dzień dobry – powiedziała Anna.

– Jesteś dziewczyną Lydii?

– Tak.

– Nową?

– Przyjechałam dzisiaj.

– Ja też – powiedział mężczyzna. Miał piaskowe włosy i nieco płaczącą minę. – Dzień dobry pani.

– W czym mogę panu pomóc?

Wyszczерzył zęby w uśmiechu.

– To się jeszcze zobaczy. Szukam gospodyni. Jest tu gdzieś?

– Ma kilka spotkań w mieście.

– Kiedy wróci?

– Mówiła, że na kolację.

– No tak... A czy ty jesteś z kimś wcześniej umówiona?

– Nie – odrzekła Anna.

– To dobrze. Pozwolisz, że następny taniec zarezerwuję u ciebie?

Anna nie wiedziała, co na to odpowiedzieć.

– Nie wiem, czy powinnam przyjmować gości, gdy nie ma pani Wells.

– Pani Wells – odpowiedział mężczyzna i roześmiał się. – W twoich ustach brzmi to prawie szlachetnie. – Wyciągnął rękę i zamknął za sobą drzwi. – Nazywam się Crosbie, a ty?

– Jestem panna Anna Wetherell – odparła z rosnącym niepokojem dziewczyna.

Crosbie już podchodził do kredensu.

– Masz ochotę na kropelkę czegoś mocniejszego, panno Anno Wetherell?

– Nie, dziękuję.

Crosbie wziął butelkę i przechylił ją w stronę dziewczyny.

– „Nie”, ponieważ nie lubisz alkoholu, czy „nie”, bo chcesz być grzeczna?

– Dopiero co przyjechałam.

– Już mi to raz powiedziałaś, dziewczyno, a poza tym to nie jest odpowiedź na moje pytanie.

– Nie chciałabym nadużywać gościnności pani Wells – odrzekła Anna z lekką nutą dezaprobaty w głosie, jak gdyby zamierzała zakomunikować, że Crosbie też nie powinien tego robić.

Odkorkował flaszkę, powąchał jej zawartość i wsadził korek z powrotem.

– Och, nic takiego jak gościnność nie istnieje – oświadczył, odstawiając butelkę z powrotem na tacę i wybierając inną. – Dostaniesz rachunek za wszystko, czego dotkniesz w tym pokoju, i to zanim się obejrzysz. Zapamiętaj moje słowa.

– Nie – odparła Anna. – Wszystko jest zapłacone, a pani Wells była cudownie gościnna. Mieszkam tu na jej osobistą prośbę.

Crosbiego rozbawiła ta odpowiedź.

– Ach tak? Jesteś jej miła i bliska, czy tak? Stara znajoma?

Anna zmarszczyła brwi.

– Poznałyśmy się dzisiaj po południu na nabrzeżu.

– Zapewne przypadkowo.

– Tak. Pewna młoda kobieta, niejaka panna Mackay, spóźniła się na statek. To kuzynka kuzynki pani Wells. Dlatego kiedy panna Mackay się nie pojawiła, pani Wells zaprosiła mnie, żebym zajęła jej miejsce. Pokój i wyżywienie są opłacone z góry.

– Aha – powiedział Crosbie, nalewając sobie pełną szklanę.

– Czy przyjechał pan ze złotodajnych pól? – zapytała Anna, żeby zyskać na czasie.

– Tak – odpowiedział Crosbie. – Z daleka, z gór. Wróciłem dzisiaj rano. – Napił się, odetchnął, po czym powiedział: – Nie, nie mogę ci o tym nie powiedzieć, to byłoby niegodziwe. Zostałaś oszwabiona.

– Co?

– Oszwabiona.

– Nie wiem, co to znaczy, panie Crosbie.

Uśmiechnął się, słysząc, że omyłkowo wzięła jego imię za nazwisko, ale nie skorygował tego błędu.

– Zawsze jest gdzieś jakaś panna Mackay – wyjaśnił. – To taka bajeczka, którą opowiada pani Wells, żeby dziewczyna jej uwierzyła i poszła z nią do domu, a potem zanim się obejrzy, już jest jej dłużniczką. A co, nie jesteś jej nic winna? Daje ci dobry posiłek, gorącą kąpiel i jest nad wyraz serdeczna, a co ty dajesz jej? Och – tu Crosbie pogroził jej palcem – ale będziesz musiała jej coś dać, panno Anno Wetherell. Znajdzie się coś, co mogłabyś jej dać. – Zauważył chyba niepokój Anny, bo już łagodniejszym tonem dodał: – Powinnaś o czymś wiedzieć. W złotym mieście nie ma wielkoduszności ani miłosierdzia. Jeżeli ci się wydaje, że to jest wielkoduszność, przyjrzyj się jej jeszcze raz.

– Och – zaniepokoiła się Anna.

Crosbie osuszył i odstawił szklanę.

– Chcesz się czegoś napić czy nie?

– Dzisiaj nie, dziękuję.

Sięgnął do kieszeni, wyjął z niej coś i trzymał w zaciśniętej ręce.

- Wiesz, co tam mam?
- Nie.
- No już, spróbuj zgadnąć.
- Monetę?
- Coś lepszego. Zgadnij jeszcze raz.
- Nie jestem w stanie myśleć – odpowiedziała w panice.

Crosbie otworzył dłoń, na której spoczywał złoty samorodek wielkości i kształtu kasztana. Zaśmiał się, widząc minę Anny, a potem rzucił jej złoto. Chwyliła je w dłonie.

– To wystarczy, żeby kupić wszystkie butelki na tej tacy, i zostanie jeszcze niejeden funt reszty – powiedział. – Ta bryłka będzie twoja, jeżeli dotrzymasz mi towarzystwa do powrotu gospodyni. Co ty na to? Będziesz miała czym zacząć spłacać swoje długi, kiedy się zaczną sumować.

– Nigdy nie miałam w ręku złota – odpowiedziała Anna, obracając samorodek w palcach. Był cięższy, niż sądziła, i wbrew jej oczekiwaniom przypominał raczej zwykły kamień. Miała wrażenie, że matowieje w jej dłoniach.

– Chodź tu – powiedział Crosbie. Wziął butelkę brandy, usiadł na kanapce i poklepał ręką miejsce obok siebie. – Napij się ze mną, dziewczyno. Wędrowałem pieszo przez dwa tygodnie, cholernie chce mi się pić i mam ochotę popatrzeć na coś ładnego. Chodź tutaj. Opowiem ci wszystko, co powinnaś wiedzieć o pani Lydii Wells.

KRZYŻ POŁUDNIA

Rozdział, w którym zostają wydane dwa wyroki, a sędzia dopasowuje kary do przestępstw

Te Rau Tauwhare nie został poproszony o złożenie zeznań w żadnym z dwóch procesów. Przypatrywał się rozprawom, siedząc w głębi sali z poważną miną, oparty plecami o ścianę. Kiedy sędzia Kemp zarządził ostatnią przerwę, nakazując zatrzymać wszystkich świadków w areszcie, Tauwhare wyszedł z sądu jak reszta publiczności. Na ulicy zauważył opancerzony powóz, mający przewieźć zatrzymanych z powrotem do więzienia, i podszedł, żeby przywitać się z dyżurnym policjantem, który czekał nieopodal.

– Witam, panie Tauwhare – powiedział policjant.

– Witam.

– Jak tam pański przyjaciel Staines? Dobrze się bawi?

– Tak – odrzekł Tauwhare.

– Wsunąłem głowę do środka, ale niewiele słyszałem. Ciekawe przedstawienie, co?

– Bardzo ciekawe – odpowiedział Tauwhare.

– Naczelnik Shepard dostał rano po łapach, nie?

– Tak.

– Bardzo chciałbym to zobaczyć – oświadczył policjant.

W tym momencie otworzyły się tylne drzwi budynku i pojawił się w nich woźny.

– Drake! – zawołał.

– Tak, proszę pana – odpowiedział policjant, stając na baczność.

– Sędzia życzy sobie, aby Francis Carver został odstawiony pod eskortą do więzienia na terasie – oznajmił woźny. – To specjalny rozkaz. Masz zawieźć Carvera na wzgórze, a potem zaraz wrócić.

Drake podbiegł do otwartych drzwi powozu.

– Mam odwieźć tylko jego?

– Tak – odparł woźny. – I pilnuj się, żebyś zdążył na wydanie wyroku. Jedź prosto na terasę i natychmiast wracaj.

– Robi się.

– Tylko szybko. Już idzie.

Francis Carver został wyprowadzony na dziedziniec i wepchnięty do powozu. Ręce miał skute na plecach. Już w powozie Drake zdjął przytroczoną do pasa drugą parę kajdanek

i przypiął ręce więźnia do żelaznego kółka, umocowanego na ścianie, za miejscem dla woźnicy.

– Tego się nie da wyrwać – oznajmił wesoło, pobrzękując kółkiem, aby podkreślić znaczenie swoich słów. – Od świata dzieli pana żelazna ściana o grubości cala, panie Carver! Ho, ho! Co pan takiego zrobił, że panu nie ufają i nie chcą pana trzymać z innymi więźniami? Kiedy ostatnio zaglądałem do sądu, był pan świadkiem, do cholery, a chwilę później zakuli pana w kajdanki!

Carver nie odpowiedział.

– Masz godzinę – powiedział woźny do policjanta i wszedł do gmachu sądu.

Drake wyskoczył z powozu i pozamykał drzwiczki.

– Czółem, panie Tauwhare – pozdrowił Maorysa, zamykając zasuwę na drzwiach pojazdu. – Masz pan ochotę na szybką wycieczkę na wzgórze i z powrotem? Zdąży pan wrócić na ogłoszenie wyroku.

Tauwhare zawahał się.

– Co pan na to? – nalegał policjant. – Piękny dzień na przejażdżkę. A w drodze powrotnej będzie nam się jechać trochę szybciej.

Tauwhare nadal się wahał, wpatrzony w zasuwę na drzwiach.

– No to jak?

– Nie – odpowiedział w końcu Maorys.

– Jak pan chce – odparł Drake, wzruszając ramionami. Wdrapał się na kozioł, chwycił lejce, popędził konie i powóz odjechał z hurkotem.

Φ

– Panie Emery Staines, przyznał się pan, że sfałszował dokumenty kopalni Aurora, aby nie wypłacić panu Francisowi Carverowi należnej mu dywidendy w wysokości pięćdziesięciu procent rocznych dochodów oraz żeby nie wypłacić premii należnej Johnowi Longowi Quee’emu w nieznanej nam wysokości. Ponadto przyznał się pan, że zdefraudował znaczną ilość czystego złota, znalezionego przez Johna Longa Quee’ego na działce Aurora i wycenionego na cztery tysiące dziewięćdziesiąt sześć funtów. Powiedział pan, że ukradł to złoto z Aurory i zakopał skarb w Dolinie Arahura, aby go ukryć. I wreszcie przyznał się pan do zaniedbania swoich obowiązków i oświadczył, że przez ostatnie dwa miesiące był niezdolny do pracy wskutek nadużywania opium.

Sędzia odłożył papiery na bok i splótł dłonie.

– Pański obrońca, panie Staines, bardzo dobrze się spisał, odmalowując dzisiaj pana Carvera w wielce niekorzystnym świetle – powiedział. – Jednak bez względu na jego

wystąpienie pozostaje faktem, że mieć motyw do złamania prawa to nie to samo, co mieć do tego prawo. Pańska niska ocena pana Carvera nie daje panu prawa do wyrażania opinii o tym, na co pan Carver zasługuje bądź nie. Nie był pan świadkiem jego napaści na pannę Wetherell i chyba zresztą nikt nie widział tego zdarzenia, dlatego nie może pan twierdzić bez cienia wątpliwości, że to pan Carver pobił pannę Wetherell ani że w ogóle ktoś ją pobił. Oczywiście, śmierć dziecka jest tragedią, a tragedii nie umniejszają żadne okoliczności. Oceniając jednak pańskie występki, panie Staines, musimy odsunąć na bok tragiczny charakter tego wydarzenia i uznać je wyłącznie za motyw, i to pośredni, jak powinienem powiedzieć, stojący za pańskim bardziej zimnokrwistym przestępstwem defraudacji i oszustwa, które miało być odwetem na panu Carverze. Tak, miał pan powody, aby go nie lubić, gniewać się na niego, a nawet nim pogardzać, sądzę jednak, że wskazuję coś bardzo oczywistego, mówiąc, że mógł pan zgłosić swoje pretensje na policję w Hokitika i zaoszczędzić nam wszystkim w ten sposób licznych kłopotów. To, że przyznał się pan do winy, jest godne pochwały. Okazał pan również grzeczność i pokorę, odpowiadając na pytania prawników. To wszystko sugeruje, że odczuwa pan skruchę i godzi się na odpowiednie zastosowanie przepisów prawa. Jednakże skierowane przeciwko panu zarzuty dowodzą, że okazuje pan egoistyczne lekceważenie dla odpowiedzialności wynikającej z umów, że ma pan chimeryczny i dekadenski charakter i zaniedbuje pan swoje obowiązki nie tylko wobec własnych działek, ale i wobec bliźnich. Pańska negatywna opinia o panu Carverze, choćby i zupełnie dobrze uzasadniona, kazała panu wziąć prawo w swoje ręce więcej niż jeden raz i to pod więcej niż tylko jednym względem. W świetle powyższych stwierdzeń uznaję, że odłożenie pańskiej górnołotnej filozofii na bok na pewien czas i wejście w cudzą skórę bardzo dobrze panu robią. Pan Carver był udziałowcem w Aurorze przez dziewięć miesięcy. Wypełnił swoje zobowiązania wynikające z umowy i został za to skrzywdzony. Emery Stainesie, z tej przyczyny skazuję pana na dziewięć miesięcy więzienia i przymusowych robót.

Twarz młodzieńca nie wyrażała żadnych uczuć.

– Tak, wysoki sędzie.

Po chwili sędzia zwrócił się do Anny.

– Panno Anno Wetherell – powiedział. – Nie przyznała się pani do żadnego z postawionych pani zarzutów, a w cywilizowanym sądzie wyznajemy zasadę, że człowiek jest niewinny, dopóki wina nie zostanie mu udowodniona. Zdaję sobie sprawę, że podejrzenia, które pan Moody rzucił na naczelnika Sheparda, to tylko podejrzenia, zostały one jednak skrzętnie odnotowane przez sąd i mogą okazać się przydatne w trakcie śledztwa, które rozpocznie się wkrótce w sprawie naczelnika oraz innych osób. Tymczasem nie widzę dowodów, na podstawie których można by wykazać pani winę, zostaje więc pani uwolniona od wszystkich zarzutów i zwolniona z więzienia ze skutkiem natychmiastowym. Ufam, że będzie pani dalej kroczyć słuszną ścieżką ku trzeźwości, czystości i innym cnotom cywilizowanego człowieka. Nie muszę chyba dodawać, że nie chcę więcej pani widzieć w tym sądzie pod żadnym zarzutem, a zwłaszcza zakłócenia spokoju publicznego i zażywania

narkotyków. Czy wyrażam się jasno?

– Tak, wysoki sędzie.

– To dobrze. – W następnej kolejności sędzia zwrócił się do prawników. – A zatem... – odezwał się ociężale, ale nie zdążył już powiedzieć nic więcej, bo na ulicy rozległy się krzyki, później straszny huk i przenikliwe rzenie przerażonych koni, a po nim straszliwe walenie do drzwi budynku sądu, jak gdyby ktoś próbował je wyważyć.

– Co tam się dzieje? – spytał sędzia, marszcząc brwi.

Moody już wstał... Słyszał okrzyki na ganku i donośny stukot.

– Niech ktoś otworzy drzwi. Sprawdźcie, co tam się wyprawia – polecił sędzia.

Drzwi otworzyły się z rozmachem.

– Sierzancie Drake! – zawołał sędzia. – Co się stało?

Policjant miał obłęd w oczach.

– To Carver! – krzyknął.

– Co Carver?

– Nie żyje!

– Co takiego?

– W drodze stąd na terasę ktoś musiał wejść do powozu, a ja tego nie zauważyłem. Siedziałem na koźle. Kiedy otworzyłem drzwi, by wyprowadzić więźnia, on już tam leżał... Martwy!

Moody zaczął się gwałtownie rozglądać, spodziewając się na poły, że pani Carver zemdleje, Lydia zachowała jednak przytomność, zbladła i patrzyła na Drake'a. Moody szybko przyjrzał się otaczającym ją twarzom. W czasie przerwy wszyscy świadkowie siedzieli w areszcie, także ci, którzy zeznawali rano. Żaden z nich nie opuścił gmachu sądu. Byli tu Shepard, Lauderback, Frost, Löwenthal, Clinch, Mannering, Quee, Nilssen, Pritchard, Balfour, Gascoigne i Devlin. Kogo brakowało?

– Jest pod drzwiami! – zawołał Drake, wskazując ręką za siebie. – Znaczy ciało... Wróciłem... Nie mogłem... Nie było...

Sędzia podniósł głos, aby przekrzyczeć gwar.

– Odebrał sobie życie?

– Ależ skąd! – wykrzyknął Drake łamiącym się głosem. – Ależ skąd!

Publiczność zaczęła przepychać się przez drzwi obok policjanta.

– Sierzancie Drake! – zawołał sędzia. – Na litość boską, jak umarł Francis Carver?

Sierżant zniknął w tłumie, z którego po chwili dobiegł jego głos:

– Ktoś roztrzaskał mu głowę!

Sędzia zrobił się siny na twarzy.

– Kto! – ryknął. – Kto to zrobił?

– Powtarzam panu, że nie wiem!

Z ulicy dobiegł okropny, przeraźliwy krzyk, a potem wrzaski. Sala opustoszała, a pani Carver, która przyglądała się, jak ostatni gapie tłoczą się w drzwiach, podniosła rękę do ust.

VIA COMBUSTA

Rozdział, w którym pani Wells odnosi mylne wrażenie, a Francis Carver przynosi ważne wieści

Kiedy Anna Wetherell dotrzymywała towarzystwa „panu Crosbiemu” w Domu Wielu Życzeń na ulicy Cumberland, swoich klientów zabawiała również Lydia Wells. Popołudniami miała w zwyczaju zabierać almanachy i wykresy astrologiczne do hotelu Głóg na ulicy Króla Jerzego, gdzie zasiadała w kącie sali jadalnej i proponowała poszukiwaczom złota oraz nowo przybyłym do miasta podróżnym, że postawi im horoskop. Tego popołudnia jedynym klientem Lydii był jakiś złotowłosy chłopak w pilśniowym kapeluszu, który jak się okazało, też właśnie przypłynął do miasta na parowcu „Pomyślny Wiatr”. Był elokwentny i wydawał się zarówno zachwycony, jak i zafascynowany namiętnością pani Wells do nauk tajemnych. Jego entuzjazm pochlebiał jej i nakazał postawić mu korzystny horoskop. Kiedy sporządziła wykres natalny klienta, nakreśliła jego przeszłość i terażniejszość oraz przepowiedziała przyszłość, dochodziła czwarta.

Lydia podniosła wzrok i zobaczyła, że podchodzi do niej Francis Carver.

– Edwardzie – zwróciła się do złotowłosego młodzieńca – bądź taki kochany i poproś kelnera, by zapakował mi na wynos zapiekankę w cieście, dobrze? I powiedz, żeby dopisał ją do mojego rachunku. Zabiorę ją do domu na obiad.

Młodzieniec oddalił się, by spełnić tę prośbę.

– Właśnie dotarły do mnie dobre wieści – rzekł Carver, gdy chłopak zniknął.

– Jakież?

– Lauderback jest w drodze.

– Ach – powiedziała Lydia Wells.

– Pewnie zobaczył wreszcie fakturę Danfortha. Dowiedziałem się od Billy’ego Bruce’a, że Lauderback kupił bilet na „Aktywnego”, który wypływa z Akaroa. Ma przybyć tutaj 12 maja i już otrzymałem od niego list, żeby „Z Bogiem” nie podniósł kotwicy przed tą datą.

– To za trzy tygodnie.

– Mamy go, Greenway. Jak rybę w saku.

– Biedny pan Lauderback – zauważyła niejasno pani Wells.

– Mogłabyś wstąpić w tym tygodniu do klubu żeglugowego i złożyć chłopakom propozycję. Noc gry w kości za darmo, podwójna wygrana albo dziewczyna za każdy obrót koła fortuny. Coś, co ściągnie Raxworthy’ego ze statku tej nocy, żebym miał okazję zostać z Lauderbackiem sam na sam.

– Pójdę do klubu rano – odparła pani Wells, porządkując swoje książki i wykresy. – Biedny

pan Lauderback – powtórzyła.

– Jak sobie pościelił, tak się wyśpi – zauważył Carver, nie spuszczać z niej oka.

– Owszem, ale ty i ja ogrzaliśmy mu łóżko.

– Nie lituj się nad tchórzem – odpowiedział Carver. – Zwłaszcza nad takim, który ma dużo pieniędzy.

– Żal mi go.

– Dlaczego? Ze względu na bastarda? Prędzej jemu bym współczuł. Lauderback od początku do końca miał wyłącznie szczęście. Jest człowiekiem sukcesu.

– Tak, a jednak zasługuje na współczucie – powiedziała pani Wells. – On się tak okropnie wstydzi, Francis. Za Crosbiego, za swojego ojca, za samego siebie. Nie mogę nie litować się nad kimś, kto aż tak bardzo się wstydzi.

– Wells chyba nie pojawi się tu ni stąd, ni zowąd, co?

– Pytasz tak, jak gdybym była z nim blisko – warknęła pani Wells. – Nie mogę mówić za niego, a już na pewno nie jestem w stanie pilnować każdego jego kroku.

– Kiedy ostatnio był w mieście?

– Kilka miesięcy temu.

– Pisz do ciebie przed powrotem do domu?

– Dobry Boże – powiedziała pani Wells. – Nie, nie pisze.

– Możesz go jakoś utrzymać z dala od nas? Nie byłoby dobrze, gdyby spotkał się twarzą w twarz z Lauderbackiem. Nie za pięć dwunasta.

– Alkohol zawsze go skusi, bez względu na porę dnia.

Carver wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– To może pošlij mu skrzynkę trunków pocztą? Albo załatw mu kredyt w Herbie Kopaczy?

– Właściwie to niezły pomysł. – Lydia zauważyła, że młodzieniec wraca z kuchni z zapakowaną w papier zapiekanką, wstała więc od stołu. – Muszę już iść do domu. Zajrzę do ciebie jutro.

– Będę czekał – rzekł Carver.

– Dziękuję ci, Edwardzie – powiedziała pani Wells do chłopca, odbierając od niego pakunek. – I żegnaj. Mogłabym ci życzyć powodzenia, ale to nie miałyby sensu, bo i tak będziesz je miał, prawda?

Młodzieniec roześmiał się. Carver też się uśmiechnął.

– Czy to znaczy, że postawiłaś mu horoskop?

– O tak – odpowiedziała pani Wells. – Edward będzie wyjątkowo bogaty.

– Czyżby? Jak wszyscy?

– Nie jak wszyscy. Wyjątkowo. Do widzenia, Francis.

– Do zobaczenia – rzekł Carver.

– Do widzenia, pani Wells – powiedział chłopak.

Lydia energicznym krokiem wyszła z jadalni, a obaj panowie odprowadzili ją wzrokiem. Kiedy zniknęła, Carver przechylił głowę w stronę chłopaka.

– Nazywasz się Edward?

– Właściwie to... nie – odpowiedział młodzieniec z nieco zawstydzoną miną. – Można by powiedzieć, że zdecydowałem się podróżować incognito. Ojciec zawsze mi powtarzał, że jeśli chodzi o dziwki i wróżki, to nigdy nie należy im podawać prawdziwego nazwiska.

Carver kiwnął głową.

– To rozsądne.

– Nie wiem, jak jest z dziwkami – ciągnął chłopak. – Smuci mnie, że ojciec korzystał z ich usług... Na myśl o tym ogarnia mnie jakby wstręt, chyba z powodu lojalności wobec mamy, ale podoba mi się ta uwaga w stosunku do wróżek. Czuję dreszcz podniecenia, posługując się nie swoim imieniem. Dzięki temu w pewnym sensie byłem niewidzialny. Albo jak gdyby było mnie dwóch, jak gdybym się rozdwoił.

Carver zerknął na młodzieńca, a po chwili wyciągnął do niego rękę.

– Nazywam się Francis Carver.

– Emery Staines – odpowiedział chłopak.

MERKURY ZACHODZI

Rozdział, w którym na plaży w Hokitika ląduje nieznajomy, skarb zostaje podzielony, a Walter Moody wreszcie wyprowadza się z hotelu Korona

Nawet w najlepszym ubraniu, z uczesаныmi i wypomadowаныmi włosami, w wyglansowanych butach i z uperfumowaną chusteczką pan Adrian Moody był o wiele mniej przystojny niż jego młodszy syn. Na obliczu Adriana widać było ślady długoletniego nadużywania mocnych alkoholi – miał podbite oczy, opuchnięty nos i wiecznie czerwoną twarz – a poruszał się bez wdzięku i płynności. Chodził sztywny w biodrach, chwiejąc się na nogach, jego wzrok był niespokojny i ostrożny, a poplamione na żółto od nikotyny dłonie ciągle wsuwały się do jego kieszeni albo nerwowo skubały kłapy surduta.

Wygramoliwszy się z łódki, którą przepłynął z parowca na plażę, Moody senior przez chwilę prostował plecy, próbował pozbyć się bólów i skurczów oraz rozluźnić mięśnie. Nakazał przesłać swój bagaż do hotelu przy ulicy Obozowej, uściśnął dłoń stojącemu obok celnikowi, mrukliwie podziękował wioślarzom za ich usługi i dopiero potem ruszył ulicą Revella z założonymi na plecach rękami. Przeszedł ją całą tam i z powrotem, najpierw po jednej, potem po drugiej stronie, ze zmarszczonym czołem przyglądając się każdej mijanej wystawie, wpatrując się bardzo uważnie w twarze wszystkich przechodniów i do nikogo się nie uśmiechając. Po tłumie, który zebrał się pod budynkiem sądu, nie było już śladu, a opancerzony powóz z ciałem Francisa Carvera powrócił na terasę Pejzaż Morski. Podwójne drzwi sądu zostały tymczasem zamknięte i zaryglowane, a Moody senior ledwo rzucił okiem na budynek, kiedy przechodził obok.

W końcu wbiegł po schodach do gmachu poczty i stanął w kolejce do okienka poczmistrza. Czekaając, wyciągnął z portfela kartkę i rozłożył ją.

– Poszukuję pana Waltera Moody’ego – powiedział, kiedy przyszła jego kolej.

– Oczywiście – odpowiedział poczmistrz. – Wie pan, gdzie on mieszka?

Dzwon w kaplicy wybił właśnie piątą.

– Wiem tylko tyle, że od kilku miesięcy bawi w Hokitika – odparł Moody senior.

– Jest w mieście? Czy w wąwozie?

– W mieście.

– W hotelu czy w namiocie?

– Sądzę, że raczej w hotelu, ale nie wiem na pewno. Nazywa się Walter Moody.

– To pański kompan, tak?

– Mój syn.

– Każę asystentowi, żeby się rozejrzał, a opłata za całą usługę zostanie pobrana, kiedy go

znajdziemy – oświadczył poczmistrz, notując nazwisko. – Musi pan zostawić szylinga kaucji, ale jeśli zlokalizujemy adresata do jutra, najprawdopodobniej dostanie pan jeszcze sześć pensów reszty.

– W porządku.

– Woli pan kopertę czy pieczęć?

– Kopertę – odparł Moody. – Ale chwileczkę. Chciałbym jeszcze raz przeczytać swój list.

– W takim razie proszę odejść na bok i przyjść ponownie, kiedy pan będzie gotów. Okienko zamykamy za pół godziny.

Adrian Moody zastosował się do tego polecenia. Wygładził list na blacie i przesunął go palcem bliżej do światła.

Hokitika, 27 kwietnia 1866

Walterze,

blagam Cię, przeczytaj ten list do samego końca i dopiero potem mnie oceniaj. Zorientujesz się po stemplu, że jestem w Hokitika, podobnie jak Ty. Mam zamieszkać w hotelu Wstrzemięźliwość przy ulicy Obozowej, który to adres niewątpliwie trochę Cię zdziwi. Wiesz od dawna, że mam charakter epikurejczyka, ale teraz stałem się również stoikiem. Poprzysiągłem sobie, że nigdy już nie wezmę do ust ani kropli alkoholu, a odkąd złożyłem ten ślub, nie złamałem go. I właśnie w duchu pokuty spisuję tę krótką relację z dziejów moich intencji, które mój nałóg alkoholowy stępsiał, a nawet wynaturzał w ostatnich latach.

Opuściłem Wyspy Brytyjskie z powodu długu i tylko dlatego. Twój brat, Frederick, miał znajomego na złotodajnych polach w Lawrence, w Otago. Według jego doniesień widoki na zarobek były tam bardzo dobre i Frederick postanowił do niego dołączyć. Ty przebywałeś w Rzymie i chciałeś spędzić zimę na kontynencie. Postanowiłem odbyć podróż w tajemnicy, z nadzieją, że wrócę jako bogacz przed upływem roku. Przyznaję, że podjąłem tę decyzję z hańbiących powodów, było bowiem kilkoro ludzi w Londynie i w Liverpoolu, przed którymi bardzo chciałem uciec. Zanim wyjechałem, wysłałem żonie dwadzieścia funtów, stanowiących moje ostatnie oszczędności. Znacznie później dowiedziałem się, że to wsparcie nigdy do niej nie dotarło – zostało ukradzione, i to przez człowieka, który miał dostarczyć jej pieniądze (był to ten łajdak Piers Howland, oby żył w hańbie i umarł w biedzie). Kiedy się o tym dowiedziałem, byłem już w Otago, pół świata dalej. Co więcej, nie mogłem się skontaktować z żoną, nie ryzykując pościgu, a nawet kary więzienia za moje wykroczenia i niespłacone długi. I nie kiwnąłem palcem. Uznałem swoją żonę za kobietę porzuconą, modliłem się, żeby mi Bóg wybaczył, i dalej szukałem złota z Frederickiem.

W pierwszym roku poszukiwań w Otago znajdowaliśmy tylko tyle kruszcu, żeby pokryć koszty utrzymania. Podobno ludzie z wyższych sfer mają mniejsze szczęście jako poszukiwacze, bo nie potrafią znosić upodlenia, tak jak klasy niższe. W naszym wypadku na pewno była to prawda. Strasznie się męczyliśmy i często popadaliśmy w rozpacz, ale wytrwaliśmy – i siedem miesięcy temu Twój brat natrafił na samorodek wielkości pudełka na tabakę, tkwiący między dwoma głazami na łuku strumienia. Dzięki tej bryłce kruszcu mogliśmy wreszcie zacząć budować swój majątek.

Możesz zapytać, dlaczego nie wysłaliśmy tego samorodka do domu z przeprosinami i błogosławieństwem – byłoby to dobre pytanie. Twój brat, Frederick, od dawna chciał do Ciebie napisać. Nalegał też, abym się skontaktował z żoną, którą porzuciłem, a nawet zaprosił ją, by dołączyła do nas, lecz opierałem się przed tą decyzją. Opierałem się też jego namowom, żebym rzucił ten diabelski alkohol

i naprawił swoje życie. Często się kłóciliśmy na ten temat i wreszcie rozstaliśmy się niezbyt układnie. Z przykrością stwierdzam, że nie wiem, gdzie obecnie przebywa Frederick.

Ty zawsze byłeś uczonym w naszej rodzinie, Walterze. Wstydę się swojego życia pod wieloma względami, ale nigdy nie wstydzilem się Ciebie. Składając ślub abstynencji, stanąłem oko w oko ze swoją prawdziwą duszą. Naprawdę ujrzałem siebie jako człowieka słabego i tchórzliwego, łatwą ofiarę zła i wszelkiego grzechu. Ale jeśli jestem z czegoś dumny, to z tego, że moi synowie nie są do mnie podobni w tym zdeprawowanym względzie. To bolesna radość dla ojca powiedzieć o swoim synu: „Ten człowiek jest lepszy ode mnie”, zapewniam cię jednak, że odczuwałem ją więcej niż dwukrotnie.

Nie mogę uczynić nic więcej, niż prosić cię o przebaczenie, podobnie jak Fredericka, i obiecuję, że nasze następne spotkanie, jeśli się na nie zgodzisz, odbędzie się „na sucho”. Powodzenia, Walterze. Wiedz, że odkryłem swoją prawdziwą naturę i piszę te słowa jako człowiek trzeźwy. Wiedz także, że nawet najkrótsza odpowiedź wielce ucieszyłaby serce twojego ojca

ADRIAN MOODY

Pan Moody przeczytał list dwukrotnie, włożył go do koperty i dużymi literami napisał z przodu nazwisko syna. Kiedy nakładał osłonkę na pióro, drżała mu ręka.

Φ

– Jakiś pan Frost do pana Stainesa.

– Prosić – powiedział Devlin.

Charlie Frost trzymał w ręku kartkę.

– Wydatki – powiedział z przeproszającym wyrazem twarzy.

– Niech pan siada – powiedział Devlin.

– Jakie mamy straty, panie Frost? – spytał Staines. Wyglądał na bardzo zmęczonego.

– Duże, niestety – odparł bankowiec, przysuwając sobie krzesło. – Sędzia Kemp uznał, że dywidendę dla Francisa Carvera, wynoszącą dwa tysiące czterdzieści osiem funtów, trzeba wypłacić. Jest tu pewien kruczek: otóż Grupa Garrity’ego ma dostać zwrot wszystkich kosztów poniesionych z tytułu roszczeń za „Z Bogiem”, ale reszta trafi do pani Carver, do wdowy.

– Jak ona się miewa? – spytał Devlin.

– Zachowuje spokój – odpowiedział Frost. – Wydaje mi się, że opiekują się nią doktor Gillies i pan Pritchard, a kiedy ją ostatnio widziałem, towarzyszyli jej w drodze powrotnej do Fortuny Wędrowca. – Frost zwrócił się znów do Stainesa, wyglądając leżącą na biurku kartkę. – Czy mogę pokrótce wyliczyć dalsze koszty?

– Tak.

– Ponieważ został pan uznany winnym, musi pan pokryć wszystkie koszty sądowe, w tym te, które przez kilka ostatnich miesięcy ponosił pan Fellowes, a także zapłacić prowizję pana

Nilssena, zainwestowaną w budowę więzienia na terasie Pejzaż Morski. Jak pan zapewne pamięta, sąd wydał takie orzeczenie, ponieważ te pieniądze zostały wielkodusznie przekazane w akcie darowizny, którego nie można było unieważnić. W sumie wszystko to wynosi nieco ponad pięćset funtów.

– Najpierw połowa, a teraz połowa połowy – powiedział Staines.

– Tak. Obawiam się, że tak często bywa, jeśli chodzi o koszty sądowe. Ale to nie wszystko. O zwrot poniesionych strat zaskarżyło pana również wielu poszukiwaczy, zarówno z Kanierie, jak i z Wąwozu Hokitika. Nie mam jeszcze dla pana całej kwoty ich roszczeń, ale boję się, że idą w dziesiątki, może nawet setki funtów.

– Czy to wszystko?

– W kwestii kosztów urzędowych tak – powiedział Frost. – Ale do omówienia pozostało jeszcze kilka spraw nieoficjalnych. Czy mamy czas?

– Ile mamy czasu? – Staines zwrócił się do Devlina.

– Do przyjazdu powozu – odpowiedział kapelan.

– Zatem będę się streszczał – rzekł Frost. – Jak pan zapewne wie, złoto wyprute z pomarańczowej sukni Anny spoczywa nadal pod łóżkiem pana Gascoigne’a. Panna Wetherell jest winna blisko sto dwadzieścia funtów panu Manneringowi i przyszło jej do głowy, żeby je spłacić w czystym kruszcu z tej sukni. Ja jednak pomyślałem, że może pan wzięłby na siebie jej dług wobec pana Manneringa i nakazał wypłacenie mu odpowiedniej sumy z pańskiej części skarbu, wliczając ją w koszty sądowe. Wie pan, dzięki temu Anna będzie miała z czego żyć, gdy trafi pan do więzienia.

– Dobrze – powiedział Staines. – Tak, niech pan to zrobi. Tak jak pan powiedział.

Frost dobrze sobie to zapamiętał.

– Druga kwestia to premia dla pana Quee’ego. Bo widzi pan, musimy podtrzymywać złudzenie, że to złoto pochodziło z Aurory. A każdemu, kto znajduje skarb, należy się nagroda.

– Oczywiście – powiedział Staines. – Premia.

– Dano mi do zrozumienia, że pan Quee pragnie powrócić do Chin, kiedy wygaśnie jego kontrakt z Kompanią, a co więcej, że chce wrócić, mając w kieszeni dokładnie siedemset sześćdziesiąt osiem szylingów. Jak twierdzi pan Mannering, Quee już dawno zdecydował się na taką właśnie kwotę. Wydaje mi się, że ma ona dla niego jakieś osobiste albo duchowe znaczenie.

Taka ciekawostka w normalnych okolicznościach wielce zaintrygowałaby Emery’ego Stainesa, ale młodzieniec nawet się nie uśmiechnął. To Devlin zakrzyknął:

– Siedemset sześćdziesiąt osiem szylingów?!

– Tak – odrzekł Frost.

– Cóż to za kuriozalny pomysł – powiedział Devlin. – Wie pan, co się za nim kryje?

– Obawiam się, że nie – odparł Frost. – Ale jeśli mogę coś zaproponować – Frost zwrócił się znów do Stainesa – to może premia dla pana Quee’ego powinna być dość wysoka, by spełnić jego marzenie.

– A ile to będzie po przeliczeniu na funty?

– Trzydzieści osiem funtów i osiem szylingów – odpowiedział Frost. – Mniej więcej jeden procent od czterech tysięcy, a jeden procent to rozsądna wysokość premii za pracę na złotodajnych polach, szczególnie zważywszy, że pan Quee jest Chińczykiem. W geście dobrej woli może pan też się zastanowić, czy nie wykupić go z umowy z Kompanią i nie ułatwić mu w ten sposób powrotu do domu.

Staines pokręcił głową.

– W ogóle o nim nie myślałem, co?

– O kim? – spytał Frost.

– O panu Quee’em – rzekł Staines. – Po prostu wcale o nim nie myślałem.

– No cóż, oddał nam wszystkim ogromną przysługę dzisiaj po południu, dochowując naszej tajemnicy, a teraz mamy okazję mu się zrewanżować. Rozmawiałem już o tym z panem Manneringiem. Zgodzi się na wcześniejsze rozwiązanie umowy z panem Quee’em i na moją prośbę wycenił swoje straty. Jeśli pan wypłaci panu Quee’emu premię w wysokości sześćdziesięciu czterech funtów, powinno to pokryć wszystkie jego wydatki.

Staines potarł policzek ramieniem i westchnął.

– Dobrze – odpowiedział. – W porządku.

– A teraz ostatnia sprawa finansowa – Frost nieznacznie zakaszłał. – Kiedy... Ach... Znaleźliśmy to złoto, jeszcze w styczniu, pan Clinch dał mi w prezencie trzydzieści funtów. Niestety, wydałem je, a nie mam żadnej możliwości, by zwrócić chociażby pensa z tych pieniędzy. Zastanawiam się więc, czy mógłbym skorzystać z pańskiej uprzejmości i wciągnąć owe trzydzieści funtów na listę jako koszty bankowe. – Frost powiedział to wszystko bardzo szybko, po czym dodał: – Oczywiście będzie to pożyczka, którą spłacę, gdy zostanie pan zwolniony z więzienia.

– Jest powóz – powiedział Devlin, wstając.

– Dobrze – Staines zwrócił się do Frosta. – Proszę wypłacić tę kwotę, tak jak pan powiedział. To nie ma znaczenia.

– Dziękuję panu bardzo, panie Staines. – Frost odetchnął z ulgą i patrzył, jak Devlin wyprowadza Stainesa z celi. Kiedy doszli do drzwi, odezwał się lekko podniesionym głosem: – Jutro z samego rana przyślę panu szczegółowy rachunek.

Dzwon w kaplicy właśnie wybijał siódmą, kiedy Walter Moody skończył pakować swoją elegancką odzież do kufra, po czym zamknął wieko. Wstał, sprawdził, czy rozporek w żółtych moleskinowych spodniach ma zapięty, zaciągnął ciaśniej pasek, pogładził zawiązaną pod szyją czerwoną chustę, a w końcu sięgnął po płaszcz i kapelusz – zwykły wełniany płaszcz, sięgający prawie kolan, i ciężki kapelusz o miękkiej główce oraz szerokim, nawoskowanym rondzie. Włożył jedno i drugie, zarzucił torbę na ramię i wyszedł z pokoju, wyciągając klucz z zamka.

W czasie jego nieobecności kufer miał trafić na przechowanie do „Magazynu Clarka” na Nabrzeżu Gibsona, gdzie adwokat polecił również kierować korespondencją, jeśliby jakąś dostał. W celu pokrycia kosztów przeprowadzki zostawił w recepcji hotelu Korona, razem z kluczem, trzy srebrne szylingi. Czwartego szylinga wsunął pokojówce, przytrzymując jej drobną, żółtą dłoń w swoich rękach i dziękując bardzo ciepło za trzymiesięczne usługi oraz gościnność, którą mu okazała. Po wyjściu z hotelu skręcił na wąską ścieżkę, prowadzącą nad morze, i zaraz ruszył na północ. Tobołek podskakiwał mu na plecach, a namiot z każdym krokiem obijał się o nogi.

Znajdował się nie dalej niż dwie mile od Hokitika, kiedy zorientował się, że idzie w odległości około dziesięciu kroków przed jakimś innym, podobnie ubranym (w strój typowy dla poszukiwaczy złota) mężczyzną. Moody zerknął za siebie i pozdrowił nieznanego skinieniem głowy.

– Czołem – powiedział mężczyzna. – Idzie pan na północ?

– Tak.

– Na plażę, co? W stronę Charleston?

– Mam nadzieję. Czy wędrujemy zatem w tym samym kierunku?

– Na to wygląda – odrzekł nieznanomy. – Nie miałby pan nic przeciwko temu, żebym się przyłączył?

– Ależ skąd – powiedział Moody. – Miło mi będzie mieć jakieś towarzystwo. Nazywam się Walter Moody. Walter.

– Paddy Ryan – przedstawił się mężczyzna. – Mówisz ze szkockim akcentem, Walterze Moody.

– Nie da się temu zaprzeczyć.

– Nigdy nie miałem żadnych problemów ze Szkotem.

– A ja nigdy nie wadziłem się z Irlandczykiem.

– To jesteś wyjątkiem – odpowiedział z szerokim uśmiechem Paddy Ryan. – Ale to, że nigdy nie miałem zatargu z żadnym Szkotem, to prawda.

– Bardzo się z tego cieszę.

Przez pewien czas szli w milczeniu.

– Zdaje się, że obaj jesteśmy daleko od domu – odezwał się w końcu Ryan.

– Ja jestem daleko od miejsca, w którym się urodziłem – odpowiedział Moody, patrząc spod zmrużonych powiek na wielkie fale na otwartym morzu.

– No cóż – rzekł Paddy Ryan – jeśli miejsce, w którym się człowiek urodził, nie może być jego domem, to domem staje się miejsce, do którego zmierza.

– To ładny aforyzm – zauważył Moody.

Paddy Ryan kiwnął głową, najwyraźniej zadowolony.

– A zatem pragniesz pozostać w tym kraju, tak, Walterze? Kiedy już wytyczysz sobie działkę i zbierzesz furę złota?

– Sądzę, że odpowiedź na to pytanie będzie zależała od mojego szczęścia.

– Powiesz, że szczęście ci sprzyjało, jeśli zostaniesz, czy jeżeli wyjedziesz?

– Jeżeli będę mógł dokonać wyboru między pozostaniem tutaj a wyjazdem – rzekł Moody, sam się sobie dziwiąc, bo jeszcze przed trzema miesiącami nie odpowiedziałby na pytanie Irlandczyka w ten sposób.

Paddy Ryan spojrział na niego z ukosa.

– A może poopowiadamy o sobie? Dzięki temu droga wyda nam się trochę krótsza.

– O sobie? To znaczy o naszym życiu?

– Tak... Ale możesz mi też opowiadać historie zasłyszane albo co tylko chcesz.

– Dobrze – odpowiedział nieco sztywno Moody. – Chcesz być pierwszy czy to ja mam zacząć?

– Ty bądź pierwszy – zdecydował Paddy Ryan. – Podaruj nam jakąś opowieść i zacznij ją snuć, żebyśmy zapomnieli o zmęczonych nogach i o tym, że idziemy.

Moody milczał przez chwilę, zastanawiając się, jak powinien rozpocząć.

– Próbuję się zdecydować, czy mówić całą prawdę, czy tylko prawdę – odrzekł po chwili. – Obawiam się bowiem, że w mojej opowieści nie uda mi się zawrzeć obu.

– Ejże... Prawdy nie potrzeba nam wcale – rzekł Paddy Ryan. – Czy ktoś coś mówił o prawdzie? W tym kraju jesteś wolny, Walterze Moody. Możesz mi opowiadać takie banialuki, jakie tylko chcesz, a jeśli uda ci się je dociągnąć do rozstaju dróg w Kumara, to uznam, że wysłuchałem wspaniałej opowieści.

SŁOŃCE I KSIĘŻYC W KONIUNKCJI (KSIĘŻYC W NOWIU)

Rozdział, w którym pani Wells dokonuje dwóch bardzo ciekawych odkryć

Kiedy Lydia Wells wróciła do Domu Wielu Życzeń kilka minut po siódmej, pokojówka poinformowała ją, że podczas jej nieobecności Anna Wetherell przyjęła gościa, pana Crosbiego Wellsa, który nieoczekiwanie wrócił z gór Otago po długich miesiącach nieobecności. Pokojówka dodała, że pan Wells był umówiony wieczorem w jakiejś sprawie na ulicy Króla Jerzego, ale wychodząc, zapewnił, że wróci rano w nadziei na spotkanie z żoną.

Pani Wells przyjęła te wiadomości w zamyśleniu.

– Jak powiedziałaś, jak długo on tu zabawił, Lucy?

– Dwie godziny, proszę pani.

– Od której do której?

– Od trzeciej do piątej.

– A panna Wetherell?...

– Nie przeszkadzałam jej – odrzekła Lucy. – Nie dzwoniła na mnie, odkąd pan Wells wyszedł, a kiedy siedział u niej, nie zwracałam im głowy.

– Grzeczna dziewczynka – powiedziała pani Wells. – Posłuchaj, jeśli Crosbie przyjdzie jutro rano, a mnie z jakiegoś powodu nie będzie w domu, to zaprowadź go do panny Wetherell, jak dzisiaj.

– Tak, proszę pani.

– I lepiej złóż jutro z samego rana zamówienie w sklepie monopolowym. Skrzynka alkoholu powinna nam wystarczyć.

– Tak, proszę pani.

– Oto zapiekanka na kolację. Dopilnuj, żeby się dobrze podgrzała, a potem przyślij ją na górę. Sądzę, że zjemy o ósmej.

– Doskonale, proszę pani.

Lydia Wells, trzymając w ramionach starannie uporządkowane almanachy i wykresy gwiazdne, zerknęła krytycznym okiem do wiszącego w korytarzu lustra, a potem wspięła się po schodach do pokoju Anny, zapukała energicznie do drzwi i nie czekając na odpowiedź, weszła do środka.

– Czy nie lepiej być nakarmioną, suchą i czystą? – zadała jej pytanie, zamiast się przywitać.

Anna, która siedziała w wykuszu przy oknie, aż podskoczyła na widok pani Wells, zaczerwieniła się jak burak i powiedziała:

– O wiele lepiej, proszę pani. Jest pani dla mnie za dobra.

– Nie można być za dobrym – oświadczyła pani Wells, odkładając swoje książki na stół koło kanapy. Zerknęła szybko na kredens, by zapamiętać, jakie zostały na nim jeszcze butelki, a potem odwróciła się z uśmiechem do Anny.

– Ależ będziemy się dobrze bawić wieczorem! Postawię ci horoskop.

Anna skinęła głową. Wciąż była bardzo czerwona na twarzy.

– Zawsze stawiam horoskop wszystkim swoim nowym znajomym – ciągnęła pani Wells. – Będziemy się wspaniale bawić, przewidując, co kryje dla ciebie los. Przyniosłam nam też na kolację zapiekankę, najlepszą, jaką można dostać w Dunedin. Czy to nie cudownie?

– Bardzo – odparła Anna, wbijając wzrok w podłogę.

Pani Wells wydawała się nie dostrzegać jej zakłopotania.

– A teraz podaj mi swoją datę urodzenia – powiedziała, siadając na kanapce i przyciągając największą książkę do siebie.

Anna spełniła jej prośbę.

Pani Wells wzdrygnęła się i położyła rękę na sercu.

– Nie! – powiedziała.

– Co się stało?

– Jakie to strasznie dziwne!

– Co? – zapytała Anna z przestraszonym wyrazem twarzy.

– Urodziłaś się tego samego dnia co pewien młodzieniec, którego właśnie... – Lydia Wells urwała. – Ile ty masz lat, panno Wetherell? – zapytała nieoczekiwanie po chwili.

– Dwadzieścia jeden.

– Dwadzieścia jeden! I urodziłaś się w Sydney?

– Tak, proszę pani.

– W samym mieście?

– Tak.

Na obliczu Lydie Wells odmalował się zachwyt.

– A nie znasz przypadkiem dokładnej godziny swojego urodzenia?

– Wydaje mi się, że przyszłam na świat w nocy – odparła Anna, znowu się rumieniąc. –

Tak mi mówiła mama, ale dokładnej godziny nie znam.

– To zdumiewające! – zawołała pani Wells. – Jestem zadziwiona! Macie identyczne daty urodzenia! Może nawet przyszliście na świat pod tym samym niebem!

– Nie rozumiem – powiedziała Anna.

Cichym, konspiracyjnym tonem Lydia Wells wyjaśniła, o co jej chodziło. Popołudniami przesiadywała w hotelu przy ulicy Króla Jerzego, gdzie za niewielką opłatą stawiała horoskopy. Jej klientami byli w większości młodzi ludzie, którzy sądzili, że szybko się wzbogacą na złotodajnych polach. Dziś, kiedy Anna rozkoszowała się kąpielą, Lydia stawiała horoskop właśnie takiemu młodemu człowiekowi. Ten interesant (sama go tak nazwała) też miał dwadzieścia jeden lat i też urodził się w Sydney, tego samego dnia co Anna!

Anna nie mogła pojąć, dlaczego pani Wells jest taka podniecona.

– A co to znaczy? – zapytała.

– Co to znaczy? – głos Lydii Wells obniżył się do szeptu. – To znaczy, że prawdopodobnie dzielisz swój los z innym człowiekiem, panno Wetherell.

– Aha – powiedziała Anna.

– Możliwe, że masz astralnego towarzysza, którego droga przez życie stanowi dokładne odzwierciedlenie twojej!

Ta wiadomość nie zrobiła na Annie takiego wrażenia, na jakie miała nadzieję pani Wells.

– Aha – rzekła znów Anna.

– Coś takiego zdarza się bardzo rzadko – powiedziała Lydia.

– Ale ja miałam kuzyna, który urodził się tego samego dnia co ja – odparła Anna. – I nie możemy dzielić swojego losu, bo on już nie żyje.

– Nie wystarczy urodzić się w tym samym dniu – odrzekła pani Wells. – Trzeba przyjść na świat dokładnie w tej samej minucie oraz na tej samej długości i szerokości geograficznej, czyli dokładnie pod tym samym niebem. Tylko wtedy wasze horoskopy będą identyczne. Rozumiesz, bo nawet bliźnięta rodzą się w kilkuminutowych odstępach, a w tym czasie gwiazdy już zmieniają nieco położenie, mają więc inny układ.

– Nie znam dokładnej godziny i minuty, w której się urodziłam – powiedziała Anna, robiąc niezadowoloną minę.

– On też ich nie znał, ale założę się o każde pieniądze, że wasze horoskopy są identyczne, albowiem wiemy już, że macie ze sobą coś wspólnego.

– Co?

– Mnie – odparła triumfalnie pani Wells. – Oboje przybyliście do Dunedin 27 kwietnia i obojgu wam horoskopy natalne postawiła pani Crosbie Wells!

Anna podniosła rękę do szyi.

– Co? – szepnęła. – Pani... Jak?...

Lydia z nie mniejszym entuzjazmem ciągnęła dalej:

– A mamy jeszcze inne zbiegi okoliczności! On podróżował samotnie, jak i ty, i przyjechał dziś rano, również jak ty. Może poznał też kogoś przez przypadek jak ty, która poznałaś mnie!

Anna wyglądała tak, jak gdyby miała za chwilę zwymiotować.

– Nazywa się Edward, Edward Sullivan. Och, jak bardzo żałuję, że go tutaj nie przyprowadziłam.. Jak bardzo żałuję, że nie wiedziałam wcześniej! Czy nie umierasz z ciekawości, żeby go poznać?

– Tak, proszę pani – szepnęła dziewczyna.

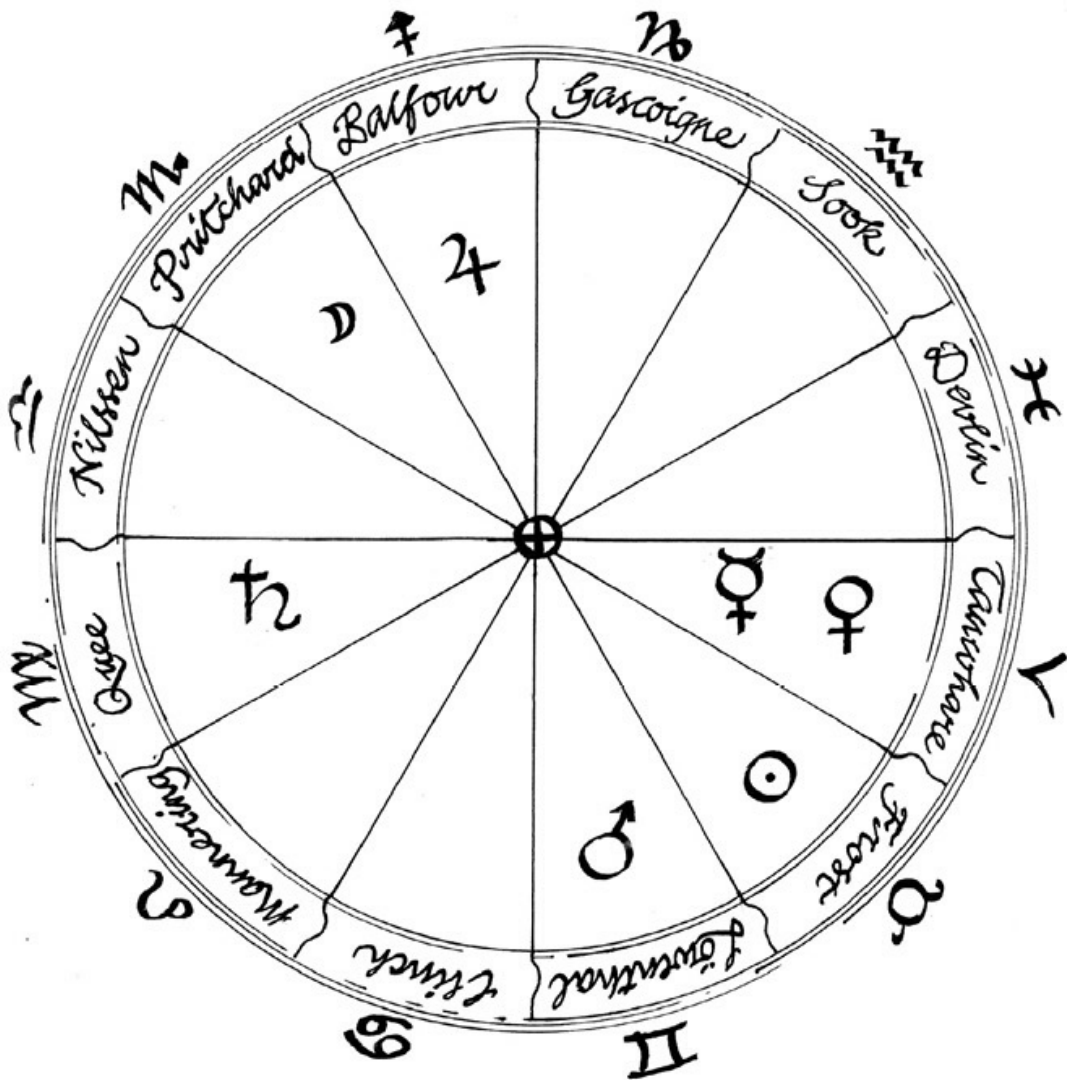
– Jakie to nadzwyczajne – powiedziała Lydia Wells, mierząc Annę wzrokiem. – Niebywale nieprawdopodobne. Ciekawa jestem, co będzie, jeśli faktycznie kiedyś się poznacie.

CZĘŚĆ PIĄTA

Szczypta kruszcu, towar i forsa

12 maja 1865 roku

45°52'0"S / 170°30'0"E Dunedin



SREBRO

Rozdział, w którym Crosbie Wells składa pewną prośbę, Lydia Wells zachowuje się niemądrze, a Anna Wetherell jest świadkiem dość ohydnej sceny

Upokorzenie, jakiego doznała Anna Wetherell, dowiedziawszy się, że mężczyzna, którego zabawiała przez całe popołudnie po przyjeździe do Dunedin, był w istocie panem tego domu, tylko się pogłębiło w kolejnych tygodniach. Crosbie Wells rezydował teraz w drugiej sypialni w domu przy ulicy Cumberland 35 i z tej przyczyny on i Anna widywali się codziennie.

Anna Wetherell była boleśnie, nieustannie świadoma wrażenia, jakie na nim wywarła, i dlatego na skutek rosnącego zakłopotania jej samoocena stała się niemal absurdalnie krytyczna. Była niepokieszona i miała poczucie, że widać w niej coś, czego ona sama nie dostrzega. Nie pomogły perswazja, komplementy, logiczne rozumowanie – niepokój nieustannie jej towarzyszył. Kiedy z kimś rozmawiała, była pewna, że niewypowiedziane opinie na jej temat, formułowane w duchu przez tych, którzy ją otaczali, są zarówno surowe, jak i całkowicie zasłużone – a ponieważ wstyd, który odczuwała z powodu takiej wyimaginowanej krytyki, był całkowicie realny, jeszcze bardziej starała się zasłużyć na życzliwość. Sądziła jednak, że nawet wówczas jej zamiary były aż za dobrze widoczne.

Uważała, że wszyscy mają o niej jak najgorszą opinię, i bardzo by się zdziwiła, gdyby wiedziała, że ludzie wcale jej nie oceniają jednoznacznie. Jej szczere wypowiedzi kazały niektórym mniemać, że dziewczyna ma własne zdanie niemal na każdy temat, a ponieważ wyrażała je otwarcie, wydawała im się jeszcze bardziej niepokojąco niekobieca. Inni sądzą, że w Annie nie ma ani trochę sztuczności, co wydawało im się ożywcze i świeże. Jedni uważali, że patrzy na świat spod przymrużonych powiek, bo się go boi, drudzy mniemali, że jest wyrachowana. Crosbie Wells myślał, że jest jedynie i po prostu słodka – a to, że często popadała w zakłopotanie, uznawał za bardzo zabawne, i niejedną raz jej o tym mówił.

– Świetnie byś sobie radziła w obozie, dziewczyno – powiedział kiedyś. – Przypominasz haust świeżego powietrza. Jesteś nieskażona. Nie istnieje nic gorszego niż kobieta, która na wszystko ma gotową odpowiedź, i kobieta, która już zapomniała, jak to jest się rumienić.

Lydia Wells – która miała wiele gotowych odpowiedzi i rumieniła się niezwykle rzadko – od dnia nieoczekiwanego powrotu jej męża pojawiała się w domu przy ulicy Cumberland 35 jedynie sporadycznie. Wychodziła przed południem i często nie wracała wcześniej niż po zmroku, kiedy otwierało się na noc kasyno. Podczas jej nieobecności Wells siedział głównie w buduarze na piętrze, gdzie codziennie na nowo napełniano karafki na kredensie. Crosbie Wells łagodził po alkoholu. Anna najbardziej lubiła się z nim spotykać późnym popołudniem, kiedy po trzech czy czterech szklaneczkach whisky popadał w zamyślenie, ale jeszcze nie robił się smutny.

Okazało się, że nie miał ochoty wracać na pola w Dunstan. Anna dowiedziała się, że w zeszłym roku trafił na wiele wartą złotą żyłę i teraz chciał jakoś wykorzystać ten skarb:

zastanawiał się nad rozmaitymi inwestycjami, zarówno w Dunedin, jak i dalej, i spędzał wiele czasu na lekturze miejscowych gazet, porównując ceny kruszcu i śledząc wzrosty oraz spadki cen różnych akcji.

– Podobałbym ci się bardziej jako pasterz czy właściciel tartaku, panno Wetherell? – zapytał pewnego razu, a potem bez najmniejszej żenady wybuchnął śmiechem, widząc, jak na policzki dziewczyny występuje rumieniec.

Anna nie wiedziała, czy pani Wells zdaje sobie sprawę, dlaczego jej podopieczna czuje się zakłopotana. Lydia wciąż była dla niej serdeczna i nadal traktowała ją konfidencjonalnie, jak w czasie pierwszego spotkania, ale dziewczynie wydawało się, że w zachowaniu pani Wells pojawiła się jakby powłoka rezerwy – jak gdyby w duchu przygotowywała się na nieuchronne ochłodzenie ich dobrych stosunków. Z podobnym dystansem podchodziła do swojego męża. Ilekroć Wells coś mówił, patrzyła tylko na niego bez uśmiechu, a potem zmieniała temat. Anna była zdruzgotana z powodu tych subtelnych oznak niełaski i dlatego jeszcze bardziej starała się zasłużyć na dobrą opinię u swojej gospodyni. Wiedziała już bardzo dobrze, że – jak to określił Crosbie Wells – została „oszwabiona”, ale energię, którą mogłaby poświęcić, próbując rozmówić się z gospodynią na temat nieistniejącej Elizabeth Mackay (pani Wells nie wspomniała tego nazwiska już nigdy więcej), Anna skierowała na pełną obrzydzenia do siebie samokrytykę. Poza tym w głębi duszy sądziła, że tylko ona może wynagrodzić Lydii to, co zrobiła wtedy z Crosbiem Wellsem.

Działalność Domu Wielu Życzeń odślaniano przed Anną łagodnie i stopniowo. Rankiem po jej przyjeździe do Dunedin pani Wells pokazała dziewczynie salon na dole i Anna natychmiast się w nim zakochała: obite aksamitem boksy, butelki z zielonego szkła za barem, stoliki do gier karcianych, koło fortuny i mały konfesjonał z wahadłowymi drzwiczkami jak w saloonie, gdzie pani Wells od czasu do czasu stawiała za opłatą horoskopy swoim klientom. Widziany w świetle dziennym pokój wydawał się jak gdyby zakonserwowany, a w drobinkach kurzu, uwięzionych przez promienie światła, które wpadały do wnętrza przez wysokie okna, kryły się jak gdyby cierpliwość i moc. Annie naprawdę się tu spodobało. Na zaproszenie gospodyni weszła na podium i zakręciła kołem fortuny; patrzyła, jak gumowy wskaźnik kłapie – klap, klap, klap – coraz bliżej głównej wygranej, lecz ostatecznie mija ją wraz z ostatnim uderzeniem.

Pani Wells nie od razu zaczęła zapraszać dziewczynę na wieczorne przyjęcia. Anna przyglądała się z okien swojej sypialni, jak przyjeżdżają goście, wysiadają z powozów, ściągają rękawiczki i podchodzą do drzwi, żeby zapukać. Wkrótce potem przez szpary w deskach podłogowych zaczynał rozchodzić się dym z cygar, nadający powietrzu kwaśny, ostry smak i zmieniający kolor światła lampy na szary. O dziewiątej szmer rozmów przechodził w gwar, przerywany od czasu do czasu wybuchami śmiechu i brawami. Anna słyszała tylko to, co dochodziło do niej spod podłogi, chociaż za każdym razem, gdy ktoś otwierał drzwi na korytarz na dole, hałas wzrastał się, a wówczas była w stanie rozpoznawać poszczególne głosy. Jej ciekawość została rozbudzona tak boleśnie, że po kilku dniach

z wielkim wahaniem i gęsto się tłumacząc, zapytała panią Wells, czy pozwoliłaby jej obsługiwać bar. Od tamtej pory stała za barem co wieczór, choć Lydia wprowadziła dwie zasady: nikomu z gości nie wolno było zwracać się bezpośrednio do Anny i nie wolno było jej z nikim tańczyć.

– W ten sposób Lydia podnosi twoją cenę – wyjaśnił Crosbie Wells. – Im dłużej klienci będą musieli czekać, tym większy przyniesiesz jej zysk, kiedy przyjdzie pora, żeby wyjść z tobą na rynek.

– Och, Crosbie – warknęła pani Wells. – Nikt nie będzie szedł na żaden rynek. Nie opowiadaj głupstw.

– Rolnictwo – powiedział Wells. – To jest interes. Mógłbym zostać rolnikiem, a ty byłabyś moją żoną, rolniczką. – Potem zwrócił się do Anny: – Nie przejmuj się. Moja kochana mama, niech spoczywa w pokoju, też była dziwką.

– On chce cię tylko nastraszyć – powiedziała pani Wells. – Nie słuchaj go.

– Ja się nie boję – rzekła Anna.

– Ona się nie boi – oświadczył Wells.

– Bo nie ma czego – odparła pani Wells.

Prawdę mówiąc, Anna uważała, że tancerki są naprawdę wspaniałe. Nie interesowały się nią, nazywały ją „Sydney” albo „Port Jackson”, jeśli w ogóle się do niej odzywały, ale Anna nie była na tyle dumna, żeby miało jej to sprawiać przykrość. W każdym razie w duchu chciała przybrać taką wyrafinowaną postawę pełną znudzonej obojętności, jaką odznaczały się tamte dziewczyny. Zbierały zamówienia od grających w karty dżentelmenów i czekały, aż Anna porzuci szklaneczki i naleje alkohol. Na whisky z wodą mówiły „kropelka z kapeczką”, a na samą whisky „mocna kropelka”. Kiedy drinki były już nalane, wspierały tace na biodrze albo wznosiły je wysoko nad głową i spokojnym krokiem ruszały z powrotem w tłum gości, pozostawiając za sobą przypominający woń pudru, mdlący zapach szminki oraz perfum.

Dwunastego maja mieszkańcy domu przy ulicy Cumberland wstali wcześnie. W Domu Wielu Życzeń wydawano tego wieczoru przyjęcie na cześć oficerów marynarki i „dżentelmenów o koneksjach morskich”, toteż było wiele do zrobienia w związku z przygotowaniami do tej wspaniałej uroczystości. Pani Wells wynajęła skrzypka i złożyła w sklepie zamówienie na cytryny, likier świerkowy, rum i kilkaset jardów sznura, który zamierzała pociąć na kawałki i spleść, by przybrać każdy stół ułożonym na środku wieńcem.

– Zrobię pierwszy na wzór, a ty zapleciesz resztę dzisiaj po południu – powiedziała Annie. – Pokażę ci krok po kroku, jak to się robi, i nauczę cię odpowiednio chować końce liny.

– To marnotrawstwo dobrego konopnego sznura – rzekł Wells.

Lydia ciągnęła dalej, puszczając słowa Crosbiego mimo uszu.

– Moim zdaniem wieńce wyglądają całkiem interesująco. Na przyjęciu tematycznym trudno jest przesadzić z ozdobami. Jeśli nam zostanie trochę liny, rozwiesimy ją za barem.

Jedli razem śniadanie, co nieczęsto się zdarzało, Wells bowiem rzadko wstawał przed południem, a kiedy Anna się budziła, Lydii zazwyczaj już nie było w domu. Pani Wells sprawiała wrażenie zdenerwowanej – może martwiła się, czy przyjęcie się uda.

– Wieńce będą wyglądały cudownie – powiedziała Anna.

– A co potem? – zapytał Wells, który był nie w humorze. – Przyjęcie dla kopaczy? Na każdym stole płuczka do złota i stały dopływ alkoholu z baru? Mogłabyś powiedzieć, że to na cześć zwykłego człowieka. Przyjęcie dla człowieka, który nie wyróżnia się niczym szczególnym. Dla dżentelmenów niemających żadnych koneksji. To byłby dobry temat.

– Dostałaś dość grzanek, Anno? – spytała pani Wells.

– Tak, proszę pani.

– Jeden z naszych dzisiejszych gości został odznaczony – mówiła pani Wells, zmieniając temat. – Co ty na to? Chyba pierwszy raz będę podejmować bohatera morskiego. Będziemy musiały o wszystko go wypytać, prawda, Anno?

– Tak.

– Nazywa się kapitan Raxworthy. Dostał Krzyż Wiktorii i mam nadzieję, że przyjdzie z orderem w klapie. Podaj mi masło, proszę.

Wells podał jej masło, a potem zapytał:

– Masz dzisiejsze wydanie „Świadka”?

– Tak, już je przeczytałam. Nie było nic ważnego – odpowiedziała pani Wells. – Piątkowe gazety zamieszczają zwykle łżejsze wiadomości.

– Gdzie ona jest? – spytał Wells. – Znacząca gazeta.

– Och... Spaliłam ją – odpowiedziała Lydia.

Crosbie przyglądał się żonie.

– Przecież jest dopiero rano – zauważył.

– Doskonale wiem, że jest dopiero rano, Crosbie! – odparła Lydia z lekceważącym śmiechem. – Użyłam „Świadka” do rozpalenia ognia w swojej sypialni, to wszystko.

– Jest dziewiąta rano – odpowiedział ze skargą w głosie Wells. – Nikt nie pali nowej gazety o tej porze. Nawet nie miałem jeszcze tego „Świadka” w ręku. Będę musiał wyjść i kupić drugi egzemplarz.

– Oszczędź swoje sześć pensów – powiedziała pani Wells. – To same plotki. Nie było nic ważnego, powiedziałam ci przecież. – Tu Lydia zerknęła na swój zegar podróży; jak

zauważyła Anna, już po raz drugi w krótkim czasie.

– Lubię plotki – powiedział Wells. – Poza tym wiesz, że szukam jakiejś inwestycji. Jak mam śledzić ceny na giełdzie bez gazety?

– Tak, no cóż, już jej nie ma, a zatem nic się stanie, jeśli zaczekasz do jutra. Dostałaś dość grzanek, Anno?

Anna lekko zmarszczyła brwi: pani Wells zadała jej to pytanie już wcześniej.

– Tak, proszę pani.

– To dobrze – powiedziała pani Wells, tupiąc nogą w podłogę. – Ależ będziemy się dzisiaj dobrze bawić! Uwielbiam oczekiwanie na przyjęcie. A ludzie morza mają w sobie tyle animuszu! I świetnie opowiadają. Ich opowieści nigdy nie są nudne.

Wells nadał się.

– Wiesz, że poranki spędzam nad gazetą. Robię to codziennie.

– Możesz poczytać „Przywódcę”. Albo „Czas Lyttelton” z ubiegłego tygodnia. Leżą na moim biurku.

– To dlaczego nie użyłaś tych gazet na podpałkę?

– Och, nie wiem, Crosbie! – warknęła pani Wells. – Jestem pewna, że nie stanie ci się nic złego, jeżeli zajmiesz się czymś innym. Przeczytaj jakąś broszurę dla osadników. Mam ich cały stos na biurku na dole.

Wells dopił kawę i odstawił głośno filiżankę.

– Potrzebuję klucza do sejfów – oświadczył.

Annie wydało się, że pani Wells na moment zeszywniała. Nie spojrzała na męża, w skupieniu smarując sobie grzankę masłem. Odezwała się dopiero po chwili:

– A to dlaczego?

– Jak to: dlaczego? Chcę obejrzeć swoje złoto.

– Uzgodniliśmy, że ze sprzedażą rozsądniej będzie poczekać na lepsze czasy – powiedziała pani Wells.

– Niczego nie sprzedaję, po prostu chcę się rozejrzeć w swoich sprawach, to wszystko. Przejrzeć swoje dokumenty.

– Nie nazwałabym ich dokumentami – powiedziała pani Wells, śmiejąc się z cicha.

– A jak?

– Och... Po prostu wyrażasz się o nich tak pompatycznie, to wszystko.

– Moja licencja górnicza. To jest dokument.

– A po co ci, na litość boską, licencja górnicza?

Wells popatrzył na Lydię spode łba.

– Co to ma być? Śledztwo?

– Oczywiście, że nie.

– To są dokumenty – stwierdził Wells. – I tyle. Poza tym mam tam jeszcze pewien list, który chciałbym dzisiaj przeczytać ponownie.

– Och, daj spokój – powiedziała pani Wells. – Czytałeś go już z tysiąc razy, Crosbie. Nawet ja znam go już na pamięć! „Drogi chłopcze... Nie znasz mnie...”

Wells uderzył pięścią w stół, aż podskoczyły naczynia.

– Zamknij się.

– Crosbie! – powiedziała przestraszona pani Wells.

– Żarty żartami, ale tym razem przesadziłaś – stwierdził jej mąż.

Przez chwilę wydawało się, że pani Wells zechce zareplikować, ale w porę się zreflektowała. Otarła usta chusteczką i odzyskała spokój.

– Wybacz mi – powiedziała.

– Wybaczanie nie zamyka sprawy. Chcę dostać ten klucz.

Lydia znów usiłowała się zaśmiać.

– Doprawdy, Crosbie, dziś nie jest dobry dzień, bo wieczorem mamy to morskie przyjęcie i tyle trzeba jeszcze przygotować. Odłóżmy to do jutra. Będziemy mogli razem usiąść i...

– Nie zamierzam niczego odkładać do jutra – odpowiedział Wells. – Dawaj klucz.

Pani Wells wstała od stołu.

– Obawiam się, że nie słyszałeś, co właśnie powiedziałam. Przepraszam, muszę już iść.

– Zaraz, zaraz. Obawiam się, że to ty nie słyszałaś, co ja powiedziałem – odrzekł Wells. Odsunął krzesło od stołu i także wstał. – Gdzie on jest? Masz go na szyi?

Lydia obeszła stół, żeby trzymać się jak najdalej od męża.

– Prawdę mówiąc, klucz leży w sejfie w banku – powiedziała. – Nie trzymam duplikatu w domu. Jeśli tylko zaczekasz...

– Psiakrew – powiedział Wells. – Masz go na szyi.

Cofnęła się jeszcze o krok, po raz pierwszy sprawiając wrażenie zaniepokojonej.

– Proszę cię, Crosbie, nie rób scen.

Zaczął się do niej zbliżać.

– Dawaj go.

Próbowała się uśmiechnąć, ale zadrżały jej usta.

– Crosbie – odezwała się znowu – bądź rozsądny. Mamy...

– Daj mi go.

– Robisz scenę.

– I zrobię jeszcze większą. Oddaj mi klucz.

Próbowała przedostać się do drzwi, ale Crosbie był szybszy. Jego ramiona wystrzeliły naprzód; chwycił ją i przyciągnął do siebie. Szamotali się przez chwilę, a potem Wells, jedną ręką szarpiąc żonę za stanik, znalazł to, czego szukał: cienki srebrny łańcuszek, z którego zwisał gruby, srebrny klucz. Wyciągnął go na wierzch, zaciskając na nim palce i starając się zerwać go z łańcuszka, który skaleczył Lydii skórę na szyi, ale nie pękł. Krzyknęła. Spróbował jeszcze raz, mocniej. Pani Wells biła go teraz pięściami po piersi. Postępując, Crosbie usiłował ją powstrzymać, trzymając wciąż łańcuszek w garści. Szarpnął go jeszcze raz.

– Crosbie... – wydyszała Lydia. – Crosbie.

W końcu łańcuszek pękł i klucz znalazł się w ręku pana Wellsa. Lydia załkała. Crosbie odwrócił się, posapując lekko, i podszedł do sejfu. Wsunął klucz do zamka, naciskając rączkę kilka razy, zanim mechanizm zaskoczył, a potem ciężkie drzwiczki się otworzyły.

Sejf był pusty.

– Gdzie moje pieniądze? – zapytał Crosbie Wells.

Pani Wells zachwiała się na nogach, obejmując się rękami za szyję. Oczy miała pełne łez.

– Jeżeli uspokoisz się na chwilę, wszystko ci wytłumaczę – powiedziała.

– Nie muszę się uspokajać – powiedział Wells. – Zadałem ci proste pytanie, to wszystko. Gdzie moja bonanza?

– Posłuchaj mnie, Crosbie – rzekła pani Wells. – Mogę go odzyskać. Ten skarb. Schowałam go tylko na pewien czas. W bezpiecznym miejscu. Mogę go odzyskać, ale nie wcześniej niż jutro. Dobrze? Dzisiaj przychodzi do nas wielu dystyngowanych dżentelmenów, a ja nie mam czasu... Żeby pójść tam, gdzie ukryłam złoto. Jest za dużo do roboty w domu.

– Gdzie dokumenty? – spytał Wells. – Moja licencja górnicza. Świadectwo urodzenia. List od mojego ojca.

– Tam gdzie twój skarb.

– Czyżby? Czyli gdzie?

– Nie mogę ci tego powiedzieć.

– Dlaczego nie, pani Wells?

- To skomplikowana sprawa – odrzekła.
- Tak mniemam.
- Odzyskam je dla ciebie.
- Na pewno?
- Jutro. Po przyjęciu.
- A czemu nie dzisiaj? Dlaczego nie dzisiaj rano?
- Przestań mnie terroryzować – odpowiedziała, wpadając w złość. – Po prostu dziś nie dam rady. Będzie to musiało poczekać do jutra.
- Prosisz mnie o czas – zauważył Wells. – Ciekawe dlaczego.
- Crosbie, mamy przyjęcie – odparła.

Wells przyglądał jej się przez dłuższą chwilę, a potem przeszedł przez cały pokój i mocno pociągnął za sznur. Po kilku chwilach zjawiała się pokojówka.

– Lucy, idź na Króla Jerzego i przynieś mi egzemplarz „Świadka Otago”. Pani Wells podobno przez pomyłkę spaliła naszą gazetę.

ZŁOTO

Rozdział, w którym Francis Carver otrzymuje wiadomość, a Staines zostaje sam

Napad kapryśnego dobrego humoru, który po południu w dzień przybycia do Dunedin kazał Emery'emu Stainesowi zamówić swój horoskop natalny u pani Lydii Wells, medium i spirytystki, wzmógł się tylko jeszcze dzięki przepowiedni, która była korzystna w każdym szczególe i napełniła go taką radością, że miał ochotę to uczcić. Następnego dnia obudził się z okropnym bólem głowy i poczuciem, że jest komuś coś winien. Gdy zgłosił się do hotelarza, ku swojemu zaniepokojeniu odkrył, że ma u niego dług w wysokości ośmiu funtów, całe swoje dwutygodniowe przychody wydał bowiem na grę w tryszaka, a przegrał wszystko i jeszcze pięć funtów więcej. Sytuacja, w której zadłużył się aż tak potężnie, jawiła mu się w pamięci dosyć mgliście, ubłagał więc hotelarza, aby ten dał mu filiżankę kawy na kredyt, bo chciał przez chwilę posiedzieć i zastanowić się, co robić dalej. Jego prośba została spełniona i Staines ciągle jeszcze siedział przy barze mniej więcej czterdzieści pięć minut później, kiedy pojawił się Francis Carver, trzymając w ręku umowę inwestycyjną.

Carver złożył mu ofertę prostym językiem i bez żadnych wstępów. Da mu odpowiednio duży kapitał, by Staines mógł sobie pozwolić na licencję poszukiwacza złota, tobolek z wyposażeniem i bilet do najbliższych złotodajnych pól. Kapitan beztróska dodał, że chętnie spłaci także wszystkie długi, które Staines mógł zaciągnąć w Dunedin od swojego przyjazdu poprzedniego dnia. W zamian za to młodzieniec miał się zgodzić na przekazanie Carverowi połowy udziałów w swojej pierwszej działce i bezterminowe wypłacanie mu z niej dywidendy. Pieniądze te miały trafiać prywatną pocztą na konto Carvera w Dunedin.

Emery Staines od razu się domyślił, że został wyprowadzony w pole. Pamiętał na tyle dużo z wczesnych godzin poprzedniego wieczoru, by zdawać sobie sprawę, że Carver był wobec niego uprzedzająco grzeczny i pilnował, aby bez przerwy miał pieniądze na grę, wesołe towarzystwo oraz pełną szklankę. Staines żywił również mroczne poczucie, że został w jakiś sposób zmuszony do zaciągnięcia długu karcianego, albowiem jego słabość do kart miała bardzo zwyczajny i łagodny charakter i nigdy wcześniej nie wyrzucił na grę tak znacznej sumy pieniędzy jednego dnia. Bawiło go jednak to, że dał się oszukać tak szybko, zaraz po rozpoczęciu swojej przygody, a to rozbawienie wzbudziło w nim nawet coś w rodzaju czułości dla Carvera, jaką odczuwa się dla przebiegłego przeciwnika w szachach. Postanowił uznać całą tę historię za życiową naukę i przyjął warunki inwestycji Carvera w charakterystycznym dla siebie dobrym nastroju, choć postanowił w duchu, że w przyszłości zachowa większą czujność. Ciekawie było dać się raz wywieść w pole, poprzysiągł sobie jednak, że nie pozwoli na to po raz drugi.

Staines nieszczęśliwie dobrze znał się na ludziach. Uwielbiał, kiedy go oczarowywano, dlatego często ciągnęło go do ludzi, których otaczała aura tragedii, romantyczności albo legendy. Jeśli podejrzewał, że w Carverze było coś bardzo podłego, to wyobrażał go sobie

w bardzo fantastycznym, pirackim świetle i gdyby poszedł dalej za tym wrażeniem, okazałoby się, że jest zachwycony kapitanem. Carver, muskularny brunet, był przeszło dwadzieścia lat starszy od niego. Staines zaś odznaczał się szczupłą budową ciała i miał jasne włosy. Kapitan zachowywał się tak, jak gdyby w każdej chwili gotów był zrobić komuś krzywdę, wyrażał się gburowato i niezwykle rzadko się uśmiechał – Staines uważał jednak, że jest cudowny.

Gdy podpisali umowę, Carver zrobił się jeszcze bardziej grubiański. Twierdził, że złotodajne pola w Otago najlepsze czasy mają już za sobą, Staines postąpiłby więc znacznie lepiej, gdyby wyjechał do nowego miasta na zachodzie kraju, do Hokitika, gdzie jak głosiła plotka, można było zbić majątek w ciągu jednego dnia. Podejście do tamtejszego portu cieszyło się jednak złą sławą jako wyjątkowo zdradzieckie i rozbiły się tam już dwa parowce – dlatego Carver upierał się, by Staines popłynął na Zachodnie Wybrzeże na żaglowcu, nie na jednostce parowej. Jeśli młodzieniec zgodzi się pójść z nim, po pierwsze, do urzędu celnego, po drugie, do sklepu przy ulicy Książąt, a po trzecie, do Banku Rezerw, to wkrótce sfinalizują umowę. Staines zgodził się i po trzech godzinach miał już licencję poszukiwacza złota, tobołek, sprzęt oraz bilet do Hokitika na szkunerze „Blanche”, który miał wypłynąć z Portu Chalmers dopiero rankiem 13 maja.

Przez następne dwa tygodnie Staines i Carver widywali się bardzo często. Carver miał miesiąc urlopu, bo bark, na którym pływał, przechodził remont i kalfataż. Podobnie jak Staines, kapitan zamieszkał w hotelu Głóg przy ulicy Króla Jerzego. Często jedli razem śniadanie, a gadatliwy Staines od czasu do czasu towarzyszył Carverowi, który załatwiał różne sprawy i odbywał spotkania w mieście. Carver nie zniechęcał młodzieńca i chociaż sam nie uzewnętrzniał wiele więcej niż tłumiony i nieustanny niepokój, Staines pochlebiał sobie, przekonany, że jego towarzystwo dostarcza mu satysfakcjonującej i bardzo potrzebnej rozrywki.

Emery Staines wiedział doskonale, że robił wyjątkowe wrażenie na wszystkich, którzy go znali. Świadomość ta z czasem przerodziła się w oczekiwanie, w związku z czym jego wyjątkowość stała się jeszcze wyraźniejsza. W zachowaniu młodzieńca dało się zauważyć dziwną mieszkankę tęsknoty i entuzjazmu, przez co chcemy powiedzieć, że jego entuzjazm zawsze był pełen zadumy, a tęsknota pełna entuzjazmu. Zachwycało go wszystko, co nieprawdopodobne albo niepraktyczne, a szukał tego z naiwnym zadowoleniem rozbawionego dziecka. Wypowiadał się w sposób oryginalny, w męczarniach idealizmu, na które nie uśmiechali się tylko jego najbardziej zatwardziali krytycy. Kiedy milczał, przyglądając mu się, można było odnieść wrażenie, że wyobraźnia Stainesa mimo wszystko pożytecznie pracuje, albowiem często się uśmiechał albo kiwał głową, jak gdyby zgadzając się z jakimś rozmówcą, którego nie widział nikt poza nim.

Miał, jak się wydawało, niezłomnie pogodny charakter, ale jego postawa nie wynikała z przyjęcia jakichś określonych zasad moralnych. Ogólnie rzecz biorąc, wyznawał raczej intuicyjne niż rygorystyczne albo stałe poglądy i nie był zbyt wybredny w wyborze towarzystwa – gdyż intuicja podpowiadała mu, że każdy myślący człowiek powinien być

otwarty na ludzi, sytuacje i różne punkty widzenia. Staines wiele czytał, a chociaż najwyżej cenił romantyków i nigdy nie nudziła go dyskusja o różnych aspektach wzniosłości, to w żadnym wypadku nie był zagorzałym wyznawcą romantyzmu ani żadnej innej szkoły literackiej. Dzieciństwo spędził samotnie i bez nadzoru, głównie w bibliotece swojego ojca, co przygotowało go na wiele różnych dróg życiowych, z których nie faworyzował żadnej. Równie dobrze można było go zastać w porannym dezabilu, rozprawiającego o Cyceronie i Senece, jak i w butach z cholewami i wełnianych spodniach, wdrapującego się na jakiś szczyt w poszukiwaniu pięknego widoku – bo zarówno dyskusja, jak i wspinaczka dostarczały mu wielkiej przyjemności.

W dniu dwudziestych pierwszych urodzin Emery'ego ojciec zapytał go, dokąd chciałby pojechać, na co natychmiast odrzekł, że do Otago – wiedział bowiem, że w stanie Wiktorii gorączka złota osłabła, a jemu od dawna podobał się pomysł prowadzenia życia poszukiwacza kruszcu, gdyż jego zdaniem łączył elementy donkiszoterii i alchemii. Widział błyszczący metal, niedostrzeżony, nieodkryty, na jakimś samotnym brzegu nieznanego lądu; widział żółty, wschodzący księżyc w pełni nad otwartym morzem; widział siebie, jak przejeżdża konno w galopie przez płycizny strumienia, śpi na gołej ziemi, płucze złoto w drewnianym korytku i okleja patyk tak zwanym ciastem kopacza, by upiec je nad ogniskiem. Myślał, jak wspaniale byłoby powiedzieć, że jego skarb jest starszy niż rodzaj ludzki i historia, że znalazł go przypadkiem i wyrwał kruszec z ziemi gołymi rękami.

Jego życzenie zostało spełnione: szybko kupił bilet na zmierzający do Portu Chalmers parowiec „Pomyślny Wiatr”. W dniu wyjazdu ojciec powiedział mu, żeby miał oczy otwarte, był dobry dla innych i powrócił do domu, gdy pozna już świat na tyle, aby wiedzieć, gdzie jest na nim jego miejsce. Podróże kształcą najlepiej, stwierdził pan Staines, a zobaczyć i zrozumieć świat jest obowiązkiem każdego dżentelmena. Kiedy uścisnęli sobie ręce, wręczył synowi kopertę pełną banknotów, poradził mu, żeby nie wydał wszystkiego od razu, i pożegnał się z nim, jak gdyby chłopak wychodził jedynie na spacer i miał wrócić do domu na obiad.

– Co robi twój ojciec? – spytał Carver.

– Jest sędzią – odparł Staines.

– Dobrym?

Młodzieniec westchnął, lekko odrzucając głowę do tyłu.

– Och... Tak, chyba dobrym. Jak miałbym namalować portret mojego ojca? Jest czytany i cieszy się sporym uznaniem w swoim zawodzie, ale dziwnie podchodzi do niektórych spraw. Na przykład powtarza, że w spadku dostanę wyłącznie jego skrzypce i brzytwę, uważa bowiem, że mężczyzna, który chce odnieść sukces, potrzebuje tylko gładko się ogolić oraz instrumentu, na którym mógłby grać. O ile wiem, taki właśnie zapis umieścił w testamencie, a resztę majątku przeznaczył dla mojej matki. Jest po trosze dziwakiem.

– Hm – mruknął Carver.

Po raz ostatni jedli razem śniadanie w hotelu Głóg. Następnego ranka szkuner „Blanche” miał wypłynąć z Hokitika, podobnie jak kilka godzin później świeżo uszczelniony i wyposażony bark „Z Bogiem”, zmierzający do Melbourne.

– Wie pan, że odkąd wylądowałem w Dunedin, pierwszy raz ktoś mnie zapytał, co robi mój ojciec? – dodał Staines, opukując swoje jajko na twardo. – Ale gdzie zamierzam zbić majątek, pytano mnie już co najmniej kilkanaście razy. Proponowano mi też wiele wspólnych inwestycji i nie zliczę pytań o to, co zrobię ze swoim skarbem, kiedy będę już mógł żyć dostatnio! Jakie to osobliwe słowo: „dostatek”. Moim zdaniem bardzo pomniejsza ono wielkość skarbu.

– Tak – odpowiedział Carver, wbijając wzrok w „Świadka Otago”.

– Czeka pan na kogoś? – spytał Staines.

– Co? – zapytał Carver, nie podnosząc wzroku.

– Chodzi mi o to, że od dziesięciu minut studiuje pan wiadomości żeglugowe – odparł Staines. – I prawie pan nie tknął śniadania.

– Na nikogo nie czekam – rzekł Carver. Przewrócił stronicę gazety i zaczął czytać wiadomości ze złotodajnych pól.

Na jakiś czas popadli w milczenie. Carver nie odrywał wzroku od gazety, a Staines skończył swoje jajko. Już miał wstać od stołu, przeprosić Carvera i odejść, gdy otworzyły się drzwi i wszedł pocztynion miejski.

– Pan Francis Carver! – zawołał.

– To ja – powiedział Carver, podnosząc rękę.

Rozerwał kopertę i szybko przebiegł wzrokiem list. Papier był cienki i Staines widział pod światło, że treść zawarto tylko w jednej linijce.

– Mam nadzieję, że nie są to złe wiadomości – powiedział.

Carver nie poruszał się przez dłuższą chwilę, po czym zgniótł kartkę w dłoni i odrzucił ją na bok, do ognia. Sięgnął do kieszeni po jednopensówkę, a kiedy pocztynion spiesznie wyszedł, zwrócił się do Stainesa i zapytał:

– Co byś powiedział na złotego suwerena?

– Na ogół nie rozmawiam z monetami – zażartował Staines.

Carver wbił w niego wzrok.

– Potrzebuje pan pomocy? – zapytał Staines.

– Tak. Chodź ze mną.

Staines udał się ze swoim wspólnikiem na górę. Zaczekał, aż Carver otworzy drzwi

swojego pokoju, a potem wszedł za nim do środka. Nigdy wcześniej tu nie był. Pokój był znacznie większy niż jego kwatery, ale podobnie umeblowany. Wciąż unosiła się w nim stęchła, jakby cielesna woń snu, a na łóżku leżała zmięta pościel. Na środku pokoju stał obity żelazem kufer z przyklejonym do wieka złotym konosamentem:

NADAWCA: ALISTAIR LAUDERBACK

PRZEWOŹNIK: SPEDYCJA DANFORTH

TRANSPORT: „Z BOGIEM”

– Chciałbym, żebyś tego popilnował – powiedział Carver.

– Co jest w środku?

– Nie twoja sprawa. Po prostu masz go pilnować, dopóki nie wrócę. Może za jakieś dwie godziny. Trzy. Mam coś do załatwienia w mieście. Dostaniesz za to suwerena.

Staines uniósł brwi.

– Całego suwerena za pilnowanie kufra przez trzy godziny? Jak to? Dlaczego?

– Oddasz mi przysługę – odpowiedział Carver. – A ja nie zapominam o przysługach.

– Ten kufer musi być bardzo wiele wart – zauważył Staines.

– Dla mnie tak – rzekł Carver. – Chcesz tę robotę?

– No... Zgoda – odparł Staines z uśmiechem. – Oddam panu tę przysługę. Z przyjemnością.

– Powinieneś mieć broń – oświadczył Carver, podchodząc do biurka.

Stainesa tak to zdumiało, że aż się roześmiał.

– Broń? – zapytał.

Carver wyjął z szuflady jednostrzałowy rewolwer, wysunął bębenek, zajrzał do środka, kiwnął głową, wsunął bębenek na miejsce i podał broń Stainesowi.

– Czy mam się spodziewać, że będę musiał go użyć? – zapytał Staines, obracając rewolwer w dłoni.

– Nie – odpowiedział Carver. – Pomachaj nim tylko, jeśli ktoś tu wejdzie.

– Mam nim pomachać?

– Tak.

– A kto tu wejdzie?

– Nikt – odrzekł Carver. – Nikt nie wejdzie.

– Co jest w tym kufrze? – zapytał znowu Staines. – Naprawdę chyba powinienem wiedzieć. Umieć dochować tajemnicy.

Carver pokręcił głową.

– Im mniej będziesz wiedział, tym lepiej.

– Nie chodzi o to, że wiem mniej, tylko że nic nie wiem! Czy jestem pańskim wspólnikiem w jakimś przestępstwie? Czy to kradziony kufer? Naprawdę, panie Carver, nie zdradzę sekretu.

– Jest jeszcze jedna sprawa – rzekł Carver. – Dziś nie nazywam się Carver, tylko Wells. Francis Wells. Jeżeli ktoś przyjdzie o mnie pytać, jestem Francis Wells. Nieważne dlaczego.

– Dobry Boże – odpowiedział młodzieniec.

– Co?

– Nic. Tylko że jest pan okropnie tajemniczy.

Carver nagle podszedł bardzo blisko do niego.

– Jeżeli uciekniesz, złamiesz naszą umowę. Będę miał podstawy, by żądać od ciebie zadośćuczynienia w sposób, jaki uznam za stosowny.

– Nie ucieknę – odpowiedział młodzieniec.

– Miej oko na ten kufer, dopóki nie wrócę, a odejdiesz stąd z funtem w kieszeni. Jak się nazywam?

– Pan Wells – odrzekł Staines.

– Zapamiętaj to sobie. Wracam za trzy godziny.

Kiedy Carver wyszedł, Staines odłożył broń na biurko, odwracając ją lufą od siebie, i przykłęknął, by obejrzeć kufer. Zatrzask był dodatkowo zabezpieczony kłódką. Młodzieniec podniósł ją, chcąc przyjrzeć się dziurce od klucza, i ku swojemu zadowoleniu stwierdził, że zamek jest wyjątkowo prostej konstrukcji. Nagle uśmiechnął się, wyciągnął scyzoryk, otworzył ostrze i wsunął jego czubek w dziurkę. Dłubał w niej prawie minutę, zanim mechanizm zaskoczył.

MIEDŹ

Rozdział, w którym podejrzenia Wellsa pogłębiają się, Anna zaczyna się niepokoić, a do Domu Wielu Życzeń przychodzi paczka zaadresowana do pani Wells

Crosbie Wells przeczytał „Świadka Otago” od deski do deski i w całkowitym milczeniu. Kiedy skończył, strzepnął gazetę, złożył ją energicznie wzdłuż zagięcia i wstał z krzesła. Pani Wells siedziała naprzeciwko niego z obojętnym wyrazem twarzy. Crosbie podszedł do niej, rzucił gazetę na jej kolana (w tym momencie Lydia wzdrygnęła się nieznacznie), a potem podparł się pod boki i zmierzył ją wzrokiem.

– Moją uwagę zwróciły statki, przyplływające do portu – powiedział.

Pani Wells nic nie odpowiedziała.

– Zwłaszcza jeden. Parowiec nazywa się „Aktywny”. Przybędzie wraz z przyplływem, czyli kiedy? O zachodzie słońca.

Lydia wciąż milczała.

– Wydaje mi się dziwne, że nic mi o tym nie powiedziałaś – rzekł Wells. – Czekałem na to zaledwie... Ile? Dwanaście lat. Dwanaście lat i żadnej odpowiedzi. Przez te wszystkie lata mieszkałem w górach, poszukując złota, a teraz ten człowiek we własnej osobie przyplwya do miasta, ty o tym wiesz i nic mi nie mówisz. Nie, nie chodzi tylko o milczenie; zrobiłaś coś gorszego. Próbowалаś mnie oszukać. Spaliłaś tę gazetę w kominku, do cholery. To zwyczajne oszustwo, pani Wells. Oszustwo z zimną krwią.

Pani Wells zachowała spokój.

– Masz całkowitą rację – powiedziała. – Nie powinnam była cię oszukiwać.

– Dlaczego spaliłaś gazetę?

– Nie chciałam, żeby ta wiadomość zepsuła nam przyjęcie – powiedziała. – Gdybyś się dowiedział, że on dzisiaj przyjeżdża, pewnie poszedłbyś na nabrzeże, on mógłby cię potraktować ze wzgardą, a ty byś się pewnie zdenerwował.

– Ale tego właśnie nie rozumiem, pani Wells.

– Czego? – zapytała.

– Tego przyjęcia.

– To jest po prostu przyjęcie.

– Czyżby?

– Crosbie – powiedziała Lydia. – Nie bądź głupi. Jeżeli będziesz szukał spisku, to go znajdziesz. To tylko przyjęcie i koniec.

– „Dżentelmeni o koneksjach morskich” – przedrzeźniał żonę Wells. – Ludzie morza. A co ciebie obchodzą ludzie morza?

– Obchodzi mnie to, że są gośćmi o wysokiej randze społecznej i poważnych wpływach, bo dbam o swój interes, a to przyjęcie na pewno mu dobrze zrobi. Wszyscy lubią przyjęcia tematyczne. Motyw tematyczny dodaje smaku każdemu wieczorowi.

– Ciekaw jestem, czy pan Alistair Lauderback dostanie zaproszenie.

– Oczywiście, że nie – odrzekła pani Wells. – Dlaczego miałabym go zapraszać? Nigdy w życiu go nie widziałam. Poza tym, jak już ci mówiłam, spaliłam poranną gazetę właśnie dlatego, że nie chciałam, abyś się zdenerwował. Masz całkowitą rację: nie powinnam była tak postąpić i jest mi bardzo przykro, że cię oszukałam. Zapewniam jednak, że to po prostu przyjęcie.

– A co ze skarbem? – zapytał Wells. – I moimi dokumentami? Jaką rolę one grają w tym wszystkim?

– Obawiam się, że żadnej – powiedziała pani Wells.

– Zaczynam mieć ochotę na spacer do Portu Chalmers – odpowiedział Crosbie. – Mniej więcej o zachodzie słońca. Będzie ładny wieczór na przechadzkę. Może trochę chłodny.

– Ależ idź, jak najbardziej – rzekła pani Wells.

– Oczywiście wtedy zabrakłoby mnie na przyjęciu.

– To byłaby szkoda.

– Naprawdę?

Westchnęła.

– Crosbie, zachowujesz się jak wielki głuptas.

Pochylił się nad nią.

– Gdzie są moje pieniądze, pani Wells?

– W skarbcu Banku Rezerw.

– Kłamiesz. Gdzie moje pieniądze?

– W skarbcu Banku Rezerw.

– Gdzie moje pieniądze?

– W skarbcu Banku Rezerw.

– Kłamiesz.

– Obelgi – powiedziała pani Wells – nie zmienią...

Uderzył ją mocno otwartą dłońią w twarz.

– Jesteś wstrętną kłamczuchą i nikczemną złodziejką, a zanim z tobą skończę, obrzucę cię gorszymi wyzwiskami.

Zapadła głucha cisza. Pani Wells nie wyciągnęła ręki, aby dotknąć policzka, w który uderzył ją Crosbie. Kompletnie znieruchomiała – a nagle rozzłoszczony Wells odwrócił się od żony i podszedł do kredensu, na którym na srebrnej tacy stały karafki i butelki. Nalał sobie jedną porcję, wypił i nalał drugą. Anna nie spuszczała oczu ze sznurowego wieńca, który tracił kształt w jej drżących palcach. Nie miała śmiałości spojrzeć na panią Wells.

W tym momencie ktoś raptownie zapukał do drzwi, a potem rozległo się wołanie:

– Paczka dla pani Lydii Wells!

Lydia chciała wstać, ale Crosbie krzyknął:

– Nie! – Zrobił się bardzo czerwony na twarzy. – Zostaniesz tutaj. – Ręką, w której trzymał szklankę, wskazał Annę. – Ty – powiedział. – Idź i zobacz, o co chodzi.

Poszła. Odebrała sporą butelkę, owiniętą w brązowy papier, opatrzony znakiem firmowym apteki z ulicy Króla Jerzego.

– Co to jest?! – zawołał z góry Wells.

– Przesyłka z apteki! – odkrzyknęła Anna.

Na chwilę zapadła cisza, a potem pani Wells powiedziała wyraźnie:

– Och, wiem, co to takiego. Odżywka do włosów. Zamówiłam ją w ubiegłym tygodniu.

Anna wróciła na górę z paczką w ręku.

– Odżywka do włosów – powiedział Wells.

– Doprawdy, Crosbie, popadasz w paranoję – rzekła pani Wells, po czym zwróciła się do Anny: – Możesz to postawić w moim pokoju. Na nocnym stoliku, proszę.

Crosbie wciąż przyglądał się żonie spode łba.

– Nie ruszysz się stąd – powiedział. – Dopóki nie powiesz mi prawdy. Zostaniesz tu, gdzie mogę cię mieć na oku.

– W takim razie czeka mnie bardzo nudne popołudnie – odparła Lydia.

Jej mąż zareagował gniewnie na tę odpowiedź, a potem kłócili się dalej. Anna ucieszyła się, że ma pretekst, by opuścić pokój, i z butelką owiniętą w papier wyszła na korytarz, po czym znalazła się w wyciszonej ciemności sypialni pani Wells. Już miała postawić flaszkę na nocnym stoliku, kiedy coś na nim zwróciło na jej uwagę: była to buteleczka z odżywką do włosów, o połowę mniejsza od butelki, którą trzymała w dłoni, i całkowicie innego kształtu. Marszcząc brwi, spojrzała na pakunek, po czym pod wpływem impulsu wetknęła palce pod papier i zsunęła go. Na butelce z apteki nie było żadnej nalepki – została zakorkowana, korek zaś zalano stearyną. Anna podniosła butelkę pod światło. W środku przelewał się gęsty,

melasowaty płyn koloru rdzy.

– Laudanum – wyszeptać.

WU XING

Rozdział, w którym Emery Staines spełnia prośbę Carvera, a Ah Sook zostaje skutecznie zmylony

Staines podniósł suknię do światła i zastanawiał się. W sumie było pięć sukni – jedna z pomarańczowego jedwabiu, pozostałe z muslinu – ale poza nimi kufer nie krył niczego więcej. Co to miało znaczyć? Może te suknie mają dla Carvera jakąś wartość sentymentalną... Ale jeżeli tak, to dlaczego dał mu broń, żeby ich strzegł? Może są kradzione, chociaż wcale nie wyglądały na cenne... A może, pomyślał Staines, Carver popada w obłąd. Ta myśl go rozweseliła; zachichotał, po czym kręcąc głową, odłożył suknie z powrotem do kufra.

Rozległo się natarczywe pukanie do drzwi.

– Kto tam? – spytał Staines.

Nie było odpowiedzi, ale po chwili ktoś zastukał ponownie.

– Kto tam? – zapytał znów Staines.

Pukanie zabrzmiało po raz trzeci, jeszcze natarczywiej. Stainesowi mocno zabiło serce. Podszedł do biurka i wziął z niego rewolwer, a potem opierając go o udo, zbliżył się do drzwi, odsunął zasuwę i wyjrzał przez szparę.

– Tak? – zapytał.

W korytarzu stał mniej więcej czterdziestoletni Chińczyk. Miał na sobie tunikę i wełnianą czapkę.

– Francis Carver – powiedział Chińczyk.

Staines przypomniał sobie polecenie kapitana.

– Niestety, nie ma tu nikogo o takim nazwisku – odrzekł. – Nie chodzi panu przypadkiem o pana Wellsa? Francisa Wellsa?

Chińczyk pokręcił głową.

– Carver – powiedział.

Wyciągnął kawałek papieru z kieszonki na piersi i podsunął go młodzieńcowi. Zaintrygowany Staines wziął kartkę. Był to list z Zakładu Karnego na Wyspie Cockatoo, którego autor dziękował panu Yongshengowi za zainteresowanie i informował go, że po zwolnieniu z więzienia pan Francis Carver popłynął na pokładzie parowca „Sparta” do Dunedin w Nowej Zelandii. Na dole znacznie ciemniejszym atramentem ktoś dopisał jeszcze „Hotel Głóg”. Staines długo przypatrywał się listowi. Nie wiedział, że Carver był karany. Ta wiadomość zrobiła na nim wrażenie, ale po dłuższym zastanowieniu doszedł do wniosku, że nie jest całkowicie zaskakująca. W końcu pokręcił głową z wielką niechęcią.

– Przykro mi – powiedział, oddając kartkę Chińczykowi i uśmiechając się

przepraszająco. – Nie ma tu nikogo nazwiskiem Francis Carver.

ŻELAZO

Rozdział, w którym Crosbie Wells dodaje dwa do dwóch

Popołudnie w domu przy ulicy Cumberland 35 ciągnęło się w nieskończoność. Pod czujnym okiem Wellsa, który pił zawzięcie i nie odzywał się, Anna wraz z panią Wells splotyły piętnaście wianków i powiesiły je w salonie na dole. Za podium zaimprovizowały grotzagieli z wiosła i białego prześcieradła, które przewięzały szpagatem, a za barem rozwiesiły flagi admiralicji. Kiedy wieńce zostały już przygotowane, panie wyciągnęły cytryny i likier z pędów świerkowych, przycięte świece oraz wypucowane szklanki, napełniły paliwem lampy spirytusowe i odkurzyły pokój – starając się przeciągać wykonanie każdej z tych czynności możliwie jak najdłużej i wykorzystując każdy pretekst, aby powędrować na chwilę na piętro oraz do kuchni, byle uciec od straszliwego milczenia, które zapanowało po kłótni Crosbiego z Lydią.

Niedługo po czwartej ciszę przerwało różne pukanie do drzwi.

– Kto to może być? – zapytała pani Wells, robiąc niezadowoloną minę. – Dziewczyny mają przyjść dopiero o siódmej, a ja nigdy nie przyjmuję gości o tej porze.

– Ja otworzę – rzekł Wells.

Na progu stał jakiś Chińczyk w tunice i wełnianej czapce.

– Kogo my tu mamy? – odezwał się Crosbie Wells. – Nie jesteś człowiekiem morza.

– Dzień dobry – odrzekł Chińczyk. – Szukać Francisa Carvera.

– Co? – spytał Crosbie Wells.

– Ja szukać Francisa Carvera.

– Carvera, powiadasz?

– Tak.

– Nigdy nie słyszałem o kimś takim.

– On tu mieszkać – odrzekł Chińczyk.

– Niestety, nie, przyjacielu. Ten dom należy do pani Lydii Wells, a szczęściarz, z którym rozmawiasz, czyli ja, to jej mąż. Nazywam się Crosbie.

– Nie Carver?

– Nie znam nikogo o takim nazwisku – odpowiedział Wells.

– Francis Carver – podsunął Chińczyk.

– Niestety, nie mogę ci pomóc.

Chińczyk spojrzał na niego krzywo. Sięgnął do kieszeni, wyciągnął ten sam list, który

pokazywał Emery'emu Stainesowi mniej więcej dwie godziny wcześniej, i podał go Wellsowi. Słowa „Hotel Głóg” zostały wydrapane, a niżej ktoś napisał innym charakterem pisma „Dom Wielu Życzeń, Cumb'd-st.”.

– Ktoś podał ci ten adres? – spytał Wells.

– Tak – odrzekł Chińczyk.

– Kto?

– Komendant portu.

– Obawiam się, że mylnie cię poinformowałem, przyjacielu – odrzekł Wells, oddając mu list. – Pod tym adresem nikt taki nie mieszka. Czego od niego chcesz?

– Oddać w ręce sprawiedliwości – odrzekł Chińczyk.

– Sprawiedliwości... – powiedział Wells, uśmiechając się szeroko. – W porządku. Cóż, mam nadzieję, że ten człowiek sobie na to zasłużył. Powodzenia.

Zamknął drzwi – a potem nieoczekiwanie znieruchomiał z ręką na framudze. Odwrócił się nagle i przeskakując po dwa stopnie na raz, wrócił na górę do buduaru, gdzie na biurku leżał „Świadek Otago”. Chwycił gazetę i przeglądał ją przez kilka minut, po czym wśród powiadomień o planowanych wyjazdach zauważył następującą notatkę:

Szalupa numer cztery: „Z Bogiem”, port docelowy: Port Phillip. Załoga: J. RAXWORTHY (kapitan), P. LOGAN (pierwszy oficer), H. PETERSEN (drugi oficer), J. DRAFFIN (steward), M. DEWEY (kucharz), W. COLLINS (bosman), E. COLE, M. JERISON, C. SOLBERG, F. CARVER (marynarze).

– Kto to był?

Anna podeszła z tyłu do Crosbiego. W rękach trzymała mosiężne świeczniki.

– Czy to może Lucy wróciła ze sklepu? Pani Wells jej potrzebuje.

– To był jakiś Chińczyk – odpowiedział Wells.

– Czego chciał?

– Szukał kogoś.

– Kogo?

Wells zmierzył ją badawczym spojrzeniem.

– Znasz kogoś, kto odsiadywał wyrok na Wyspie Cockatoo?

– Nie.

– Ja też nie.

– Tam są ciężkie roboty – powiedziała Anna. – Na wyspie siedzą więźniowie skazani na ciężkie roboty.

– Tak, to chyba nie jest więzienie dla zajętych serc.

– Kogo ten człowiek szukał?

Wells zawahał się, ale odpowiedział po chwili.

– Słyszałaś o niejakim Francisie Carverze?

– Nie.

– A widziałaś kiedyś byłego skazańca?

– Skąd miałabym wiedzieć, kto jest byłym skazańcem?

– No tak, nie mogłabyś tego wiedzieć.

Na chwilę zapadła cisza, a potem odezwała się Anna:

– Mam powiedzieć o tym pani Wells?

– Nie – odrzekł Crosbie. – Zaczekaj chwilę.

– Miałam tu przyjść tylko po to – powiedziała Anna, podnosząc świeczniki. – Naprawdę powinnam już wracać.

Wells zwinął „Świadka Otago” w rulon.

– Ta kobieta jest bez serca, Anno. W pani Lydii Wells nie ma ani odrobiny ludzkich uczuć: dla pieniędzy sprzeda własną matkę. Zabrała moje pieniądze i zabierze twoje. Zostaniemy zrujnowani, oboje. Zrujnowani.

– Tak – odpowiedziała żałośnie Anna. – Wiem.

Wells machnął zwiniętą gazetą.

– Wiesz, co tu jest napisane? Że jakiś człowiek nazwiskiem Carver należy do załogi prywatnego statku czarterowego. Wypływają jutro o świcie. Innymi słowy, jest to człowiek morza.

– Przypuszczam, że w takim razie będzie na przyjęciu – powiedziała Anna.

– I jeszcze jedno: kapitanem statku jest niejaki Raxworthy.

– Pani Wells wspominała o nim przy śniadaniu.

– Owszem – powiedział Wells, uderzając się gazetą o udo. – Wszystko zaczyna się układać, chociaż nie widzę jeszcze całej łamigłówki.

– Co zaczyna się układać?

– Zastanawiałem się przez cały dzień nad jednym – wyjaśnił Wells. – Po co, na Boga, są

jej potrzebne moje dokumenty? Moja licencja poszukiwacza złota i świadectwo urodzenia. Nie mam wątpliwości, że je ukradła, tak jak ukradła moje złoto, ale nie zawracałaby sobie głowy niczym, czego nie mogłaby jakoś wykorzystać. A jak mogłaby wykorzystać dokumenty starego człowieka? Pomyślałem, że nie mogą jej się na nic przydać, a w takim razie musiała je gdzieś przekazać, dać je komuś. Ale komu? Kto mógłby potrzebować cudzych dokumentów? I wtedy mnie olśniło: ktoś, kto ucieka przed swoją przeszłością, pomyślałem. Ktoś o splamionej czci, kto chce zacząć wszystko od nowa, występując pod fałszywym nazwiskiem. Ktoś, kto pragnie zamknąć jakiś rozdział swojego dawnego życia.

Anna czekała, marszcząc brwi.

– Niech to diabli, to pewne – dodał Wells, podnosząc zwiniętą gazetę niczym berło. – Nie wiem, w jaki sposób, i nie wiem, dlaczego ani po co, ale powiem ci tu i teraz, moja mała Anno, że dzisiaj wieczorem poznam pana Francisa Carvera osobiście.

CYNA

Rozdział, w którym Carver występuje pod innym nazwiskiem, a Lauderback składa podpis

– Wells – powiedział zaskoczony Lauderback, stając jak wryty.

– Dobry wieczór – odparł Francis Carver. Siedział na krześle, zwrócony twarzą do schodni, łączącej dwa pokłady statku. W ręku trzymał rewolwer.

– Co to ma znaczyć? – spytał Lauderback.

– Proszę bardzo, niech pan wejdzie.

– Co to ma znaczyć? – powtórzył polityk.

– Musimy porozmawiać – odparł Carver.

– Ale o czym?

– Proponuję, żeby wszedł pan do kabiny, panie Lauderback.

– Po co?

Carver nie odpowiedział, tylko lufa jego rewolweru drgnęła lekko.

– Nie widziałem jej od naszej ostatniej rozmowy – powiedział Lauderback. – Daję słowo honoru. Kiedy kazał mi się pan wycofać, panie Wells, to się wycofałem. Ostatnie dziewięć miesięcy spędziłem w Akaroa. Wróciłem do miasta dopiero dzisiaj wieczorem, właściwie dosłownie przed chwilą. Trzymałem się od niej z daleka, jak mnie pan o to prosił.

– Mam na to tylko pańskie zapewnienie – rzekł Carver.

– Tak, zapewniam pana! Wątpi pan w moje słowo?

– Nie.

– Więc dlaczego pan mówi, że ma pan tylko moje zapewnienie?

– Bo dokumenty świadczą o czymś innym.

Lauderback zawahał się.

– Nie mam zielonego pojęcia, o jakich dokumentach pan mówi – odparł po chwili. – Ale ośmielę się wysunąć przypuszczenie, że nawiązuje pan do listu przewozowego z firmy Danforth.

– Właśnie tak – rzekł Carver.

Zerkając szybko przez ramię, Lauderback wszedł do kabiny i zamknął za sobą drzwi.

– W porządku – powiedział. – Coś się święci. Albo już się coś stało.

– Tak – odparł Carver.

– Czy chodzi o Crosbiego? – zapytał Lauderback. – Czy sprawa ma z nim coś wspólnego?

– Wie pan, martwię się o naszego kochanego Crosbiego...

Carver urwał.

– Naprawdę? – zapytał po chwili Lauderback przerażonym głosem.

– Tak, naprawdę – odpowiedział Carver. – Biedaczysko pewnego dnia zapije się na śmierć.

Lauderback zaczął się pocić.

– Gdzie jest Raxworthy? – zapytał.

– Sądzę, że upija się na ulicy Cumberland.

– A Danforth?

– Też – odrzekł Carver.

– Ma ich pan w garści, co?

– Nie. Mam pana w garści.

SMOŁA

Rozdział, w którym Carver przychodzi dokończyć dzieła, Crosbie Wells przeprowadza kontratak, a laudanum zaczyna działać

Kiedy mniej więcej dwie godziny później Francis Carver zapukał energicznie do drzwi domu przy ulicy Cumberland 35, morskie przyjęcie trwało jeszcze w najlepsze – słyszał rytmiczne oklaski, tupanie i chrapliwe śmiechy. Zapukał ponownie, głośniejszym głosem. Pokojówka Lucy zjawiała się za czwartym razem – ujrawszy, że to Carver, zaprosiła go do środka i pobiegła korytarzem zawołać panią Wells.

– Och, Francis – powiedziała Lydia na jego widok. – Dzięki Bogu.

– Udało się – powiedział Carver i poklepał się po piersi, gdzie w wewnętrznej kieszeni spoczywała umowa kupna „Z Bogiem”. – Wszystko jest podpisane, wchodzi w życie od dzisiaj. Znalazłem pewnego chłopaka, który będzie miał oko na Lauderbacka do rana. Wątpię jednak, żeby zaczął gadać.

– Nie zrobiłeś mu krzywdy, co?

– Nie... Po prostu bardzo użala się nad sobą i to wszystko. A co się tutaj dzieło?

Zniżyła głos do szeptu.

– No cóż, po tej straszliwej awanturze dziś rano i ogólnie paskudnym dniu spotkało nas niewiarygodne szczęście. Crosbie związał się z moją nową dziewczyną. Może chciał mi zrobić na złość, zaciągając ją do łóżka... Chociaż trudno mi nawet sobie wyobrazić, że bym mogła pragnąć czegoś więcej, niż mieć ich oboje z głowy na ten wieczór. Jak tylko zostali sami, posłałam tam zaraz Lucy z pełną karafką.

– Wzmocnioną?

– Oczywiście.

– Jak bardzo?

– Dołałam pół butelki.

– Z jakim skutkiem?

– Nie słyszałam stamtąd ani pisku – odparła. – Żadnych odgłosów.

– W porządku – odpowiedział Carver. – Pójdę na górę. Potrzeba mi kwadransa.

– Crosbie jest bardzo zagniewany. Wie o złocie, jak już ci mówiłam, i dowiedział się, że do miasta przyjechał Lauderback. Musisz uważać.

– Nie będę musiał uważać, jeżeli jest odurzony.

– Nie zastrzelisz go? Prawda, Francis?

- Niech cię o to głowa nie boli.
- Chcę wiedzieć.
- Stuknę go w łeb – powiedział Carver. – To wszystko.
- Nie tutaj!
- Nie... Nie tutaj. Zabiorę go gdzie indziej.
- Wiesz, ta dziewczyna też wciąż jest na górze. Może straciła przytomność razem z nim, tego nie wiem.
- Zajmę się nią. Każę jej wyjść, zanim cokolwiek się stanie. Nie martw się.
- A co ja mam robić?
- Wracaj na przyjęcie. I nalej Raxworthy'emu kolejnego drinka.

Φ

Carver przyłożył ucho do drzwi; nic nie było słyhać. Cichutko nacisnął klamkę. Drzwi otworzyły się bezszelestnie. W pokoju panowała ciemność, ale w położonej dalej sypialni paliła się lampka. Ktoś leżał w łóżku – pościel była skotłowana i Carver dostrzegł ciemne włosy, rozsypane na poduszce. Położył rękę na biodrze, po czym powoli wślizgnął się do pokoju.

Usłyszał świst jakiegoś ciężkiego przedmiotu, przecinającego powietrze, i już miał się odwrócić, kiedy został uderzony w tył głowy i osunął się na kolana. Obrócił się, zaciskając dłoń na rękojeści rewolweru, ale Crosbie Wells raz jeszcze zamachnął się pogrzebaczem i trzasnął go najpierw w dłoń, a potem w szczękę. Carver zwinął się z bólu. Instyktownie podniósł ręce do góry, żeby zasłonić twarz. Czwarte uderzenie trafiło go w łokieć, a piąte tuż powyżej skroni. Upadł bezwładnie na bok.

Wells rzucił się naprzód i wolną ręką spróbował wyrwać mu rewolwer zza pasa. Carver chwycił go za ramię i szamotali się przez chwilę, dopóki Wells nie trzasnął go znów pogrzebaczem w bok głowy. Marynarz rozluźnił uścisk i upadł, a Wells w końcu chwycił i wyrwał mu rewolwer. Kiedy miał już broń w rękę, odwiódł kurek i wymierzył Carverowi w twarz. Przez chwilę stał tak, dysząc. Carver stęknął i ponownie podniósł ręce do twarzy. Był oszołomiony: światła w pokoju zaczęły jak gdyby pulsować.

– Kim jesteś?

Carver zmierzył go wzrokiem. Poczł smak krwi w ustach.

Wells trzymał rewolwer w lewej, a pogrzebacz w prawej ręce i podniósł ją, jakby grożąc Carverowi, że jeszcze raz go uderzy.

– Ty jesteś Francis Carver? Mów albo cię zabiję. Nazywasz się Carver?

– Kiedyś tak się nazywałem.

– A teraz?

Carver uśmiechnął się szeroko, odsłaniając zakrwawione zęby.

– Crosbie Wells – powiedział.

Wells podszedł bliżej.

– Zabiję cię.

– No to już – odrzekł Carver i zamknął oczy.

Wells znowu podniósł pogrzebacz.

– Gdzie mój skarb?

– Zniknął.

– Pytałem, gdzie moje złoto?

– Wywiezione.

– Kto je wywiózł? Ty?

Carver otworzył oczy.

– Nie – odparł. – Ty.

Wells uderzył go z góry pogrzebaczem, który aż odbił się od skroni Carvera. Ranny stracił przytomność. Wells odczekał chwilę, żeby się przekonać, czy nie symuluje, ale Carver najwidoczniej naprawdę zemdlał. Widać było białka jego oczu, jedna ręka drżała spazmatycznie.

Wells położył pogrzebacz poza zasięgiem ramienia Carvera i przełożył rewolwer do prawej ręki. Potem niepewnie wcisnął kapitanowi lufę w policzek i szturchnął go. Głowa rannego przesunęła się bezwładnie na bok.

– Nie żyje? – zapytała Anna, stając w progu sypialni. Miała bladą twarz.

– Żyje. Oddycha.

Wells lewą ręką wyjął zza cholewy nóż myśliwski i obnażył ostrze.

– Zabijesz go? – szepnęła Anna.

– Nie.

– To co zrobisz?

Wells nie odpowiedział. Przytrzymując rewolwerem głowę Carvera, wcisnął czubek noża tuż poniżej zewnętrznego kącika jego lewego oka. Krew buchnęła natychmiast, spływając gęstą strugą po policzku. Nagłym ruchem nadgarstka Wells przekręcił ostrze i przeciął

Carverowi policzek od oka po podbródek. Crosbie odskoczył, ale ranny nie ocknął się, tylko jakby zagulgotał. Policzek spływał krwią, która ściekała z podbródka i wsiąkała w kołnierzyk.

– C jak Carver – powiedział cicho Wells, przypatrując mu się. – Teraz jesteś człowiekiem, którego nie da się nie zapamiętać, Francisie Carverze. Jesteś człowiekiem z blizną.

Podniósł wzrok i zauważył spojrzenie Anny. Zakrywała dłońmi usta, wyglądała na przerażoną. Crosbie ruchem głowy wskazał karafkę na kredensie.

– Napij się – powiedział. – Za minutę zaśniesz, tylko wypij szybko.

Anna zerknęła na karafkę. Laudanum bardzo nieznacznie zabarwiło whisky, nadając jej odcień miedzi.

– Ile mam wypić? – spytała.

– Ile zdołasz – odpowiedział Wells. – A potem połóż się na boku, nie plecach, bo inaczej udusisz się własnymi wymiocinami.

– Jak długo to potrwa?

– Nawet się nie spostrzeżesz – odparł Wells. Wytarł nóż o dywan, schował go do pochwy i wstał, gotów do wyjścia.

– Zaczekaj. – Anna wbiegła do sypialni, a kilka chwil później wróciła z samorodkiem, który Wells dał jej tamtego popołudnia, gdy się poznali. – Proszę – powiedziała, wciskając mu w garść złoto. – Weź to. Będziesz mógł za to uciec.

DOKŁADKI DO WAGI

Rozdział, w którym Crosbie Wells prosi o pomoc, a celnik wpada w złość i przypomina sobie o pewnym liście przewozowym

– Pst... Bill!

Celnik podniósł wzrok znad gazety.

– Kto tam?

– Wells. Crosbie Wells.

– Podejdź bliżej, żebym mógł cię zobaczyć.

– Jestem. – Crosbie wszedł w krąg światła, podnosząc ręce do góry.

– Co ty wyprawiasz? Dlaczego tak się skradasz po ciemku?

Wells zrobił jeszcze krok naprzód i wciąż trzymając uniesione ręce, powiedział:

– Potrzebuję pomocy.

– Ach tak?

– Z pierwszym brzaskiem muszę się dostać na statek.

Oczy celnika zwęziły się w szparki.

– Dokąd płyniesz?

– Nieważne. Wszystko mi jedno. Po prostu muszę zniknąć stąd cichaczem.

– A co ja z tego będę miał?

Wells rozwarł palce lewej dłoni – trzymał w niej bryłkę złota, którą zwróciła mu Anna. Celnik spojrzał na niego, szacując w myślach jego wartość, po czym odparł:

– A policja?

– Jestem po jej stronie – odparł Wells.

– Więc kto ci depcze po piętach?

– Człowiek nazwiskiem Carver.

– Co on na ciebie ma?

– Ma moje dokumenty – odpowiedział Wells. – I mój majątek. Ukradł mi złoto z sejfu.

– A kiedy ty zbiłeś majątek?

– W Dunstan – powiedział Wells. – Mniej więcej rok temu. Może przed piętnastoma miesiącami.

– Nie pisałeś o tym ani słowa, do cholery.

– Oczywiście, że nie. Nie powiedziałem nikomu, tylko Lydii.

Celnik roześmiał się.

– W takim razie był to twój pierwszy błąd.

– Nie – odrzekł Wells. – Ostatni.

Przyjrzeni się sobie wzajemnie, a Bill po chwili powiedział:

– Może się nie opłacać. Jeżeli chodzi o mnie.

– Dziś w nocy wchodzę na pokład, ukrywam się i wypływam z samego rana. Ty zachowujesz to złoto, a ja życie. To wszystko. Nie musisz wprowadzać mnie na statek. Wystarczy, że powiesz, która jednostka wypływa z samego rana, i przymkniesz oko, kiedy cię będę mijał.

Celnik nie wiedział, co zrobić. Odłożył gazetę i pochylił się, by sprawdzić rozkład rejsów, przypięty na ścianie nad biurkiem.

– O pierwszym brzasku wypływa jakiś szkuner do Hokitika. Nazywa się „Blanche”.

– Powiedz mi, gdzie cumuje – powiedział Wells. – Daj mi szansę. To wszystko, o co proszę, Bill.

Celnik wydał wargi i zamyślił się. Spojrzał ponownie na rozkład, jak gdyby najlepsze wyjście z sytuacji mogło mu się objawić na piśmie. Po chwili jego wzrok się wyostrzył.

– Zaraz, zaraz... Wells!

– Co?

– Z naszego rejestru wynika, że podpisałeś jakiś list przewozowy.

Wells zrobił niezadowoloną minę i podszedł bliżej.

– Pokaż.

Ale Bill przysunął księgę do siebie, żeby Crosbie nie mógł jej dosięgnąć.

– Mamy tu skrzynię, która płynie do Melbourne – powiedział celnik, przyglądając się odpowiedniej pozycji w rejestrze. – Została załadowana na „Z Bogiem” i to ty podpisałeś ten dokument. – Nagle rozzłoszczony Bill podniósł głowę. – Co to ma znaczyć?

– Nie wiem – powiedział Wells. – Mogę zobaczyć?

– Chcesz mnie wystrychnąć na dudka.

– Nieprawda – odparł Wells. – Nie podpisywałem tego cholernego listu.

– W tej skrzyni jest twój majątek – odpowiedział Bill. – Wysyłasz złoto z kraju i chcesz prysnąć do Hokitika, żeby zatrzeć ślady, a kiedy twój kruszec będzie już bezpieczny, przeprawisz się przez Morze Tasmana i zaczniesz prowadzić wygodne życie, nie zapłaciwszy

ani grosza cła.

– Nie – odpowiedział Wells. – To nie ja podpisałem ten list.

Celnik machnął ręką z obrzydzeniem.

– Idź stąd i zatrzymaj ten swój cholerny samorodek. Nie przyłożę ręki do oszustwa.

Wells milczał przez chwilę. Wpatrywał się w ciemne kształty statków, stojących na kotwicy, w popękane igły światła na wodzie i wiszące latarnie, które skrzypiały na wietrze, a potem wycedził wyraźnie:

– To nie ja podpisałem ten dokument.

Bill popatrzył na niego spode łba.

– Nie. Nie zaczynaj. Nie zrobisz ze mnie głupka.

– Moje zaświadczenia... – powiedział Wells. – Moja licencja poszukiwacza złota... Moje dokumenty... Wszystko to leżało w sejfie przy ulicy Cumberland. Przysięgam. Ten Carver to były więzień, siedział na Cockatoo. To on mi wszystko zabrał. Nie mam teraz nic oprócz koszuli na grzbiecie, Bill. Francis Carver podszywa się pode mnie.

Bill pokręcił głową.

– Nie – odpowiedział. – Ta skrzynia nie wyjdzie z portu. Rano wycofam zlecenie.

– Zrób to teraz, od razu – poprosił Wells. – Zabiorę ją ze sobą do Hokitika. W ten sposób skrzynia nie opuści kraju, prawda? Wszystko będzie legalne.

Celnik popatrzył na list przewozowy, a potem znów na Wellsa.

– Nie będę maczać palców w żadnym krętactwie.

– Ale ty przecież nie zrobiłbyś nic złego – przekonywał go Wells. – Absolutnie nic. Wypuścisz skrzynię z portu bez kontroli celnej, ale to drobiazg, a ja ci się nawet podpiszę na zleceniu. Podpiszę wszystko, co zechcesz.

Bill nie odzywał się przez dłuższą chwilę. Wells wiedział, że się namyśla.

– Nie mogę załadować jej na „Blanche” – odparł w końcu celnik. – Szkuner wypływa o świcie, a Parrish podpisał już listę przewozową. Nie mamy na to czasu.

– No to wyślij ją później, a ja podpiszę ci zlecenie już teraz. Błagam cię.

– Nie musisz mnie błagać – odparł Bill, marszcząc czoło.

Wells podszedł bliżej i położył samorodek na biurku. Złoto przez chwilę wydawało się drgać niczym igła kompasu.

Celnik przez dłuższy czas wpatrywał się w kruszec, a potem podniósł wzrok i rzekł:

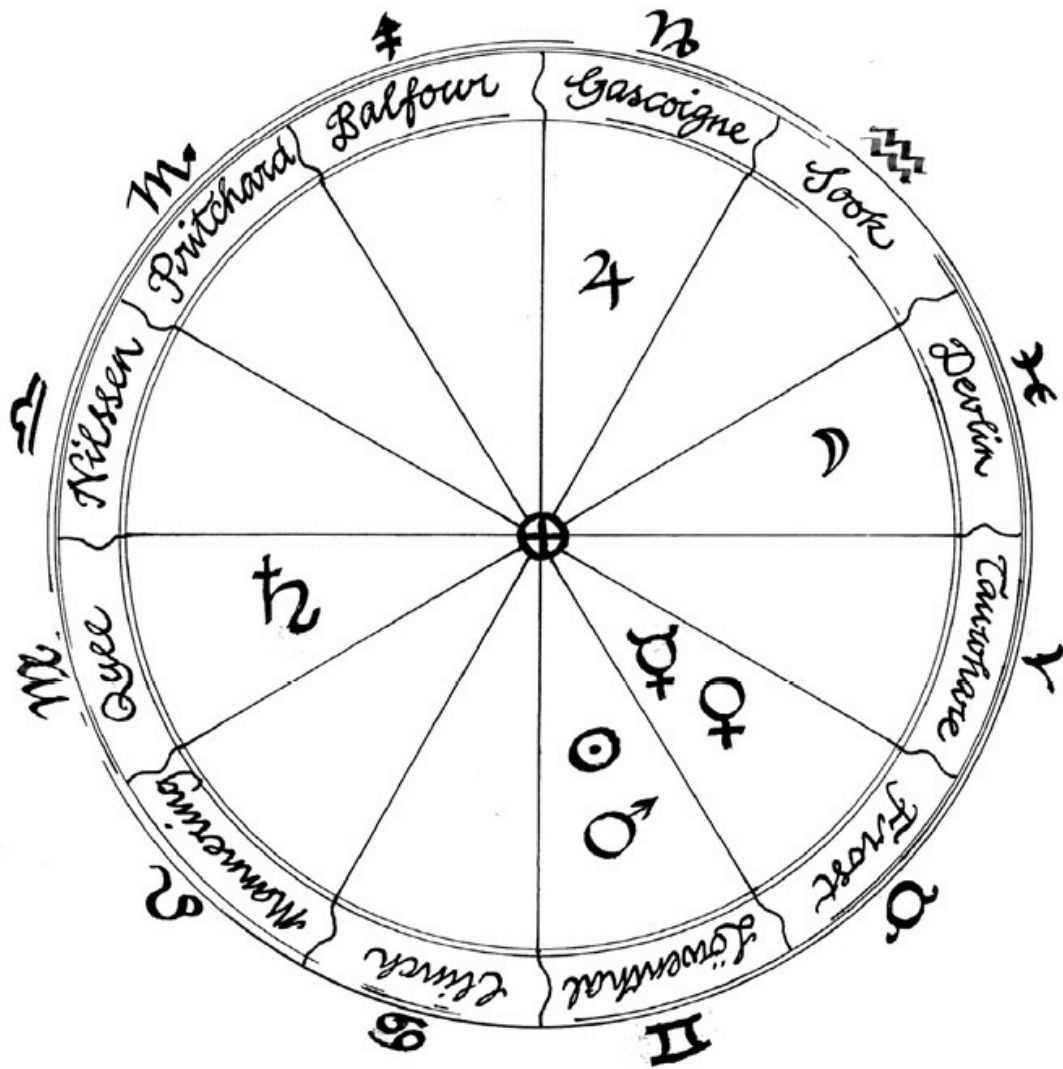
– Nie. Zatrzymaj ten samorodek, Crosbie Wellsie. Nie przyłożę ręki do oszustwa.

CZĘŚĆ SZÓSTA

Wdowa i żałoba

18 czerwca 1865 roku

42°43'0" S / 170°58'0" E Hokitika



STAŁA ZIEMIA

Rozdział, w którym Emery Staines zanosi złoto do banku, Crosbie Wells proponuje oszustwo, a Staines o wiele za późno zaczyna wątpić w swoje pierwsze wrażenie

Emery Staines miał dopiero trafić na swoją złotą żyłę w Hokitika. Nie znalazł jeszcze takiego kawałka ziemi, który spodobałby mu się na tyle, by zechciał go ogrodzić, ani takich kopaczy, którzy tak przypadliby mu do gustu, by zechciał do nich dołączyć. Wprawdzie zgromadził już niewielki „dostatek” w postaci złotego piasku, lecz to złoto pochodziło z różnych miejsc, z plaż leżących zarówno po północnej, jak i południowej stronie rzeki, oraz z niewielkich żlebów po drugiej stronie Wąwozu Hokitika: dopływ kruszcu był zatem nieregularny, a jego lwia część już dawno została wydana. Staines miał skłonności do szastania pieniędzmi, jeżeli czas i fundusze, które marnował, należały do niego – o wiele bardziej wolał spać i jeść w towarzystwie niż sam w swoim namiocie pod gwiazdami, które jak się przekonał, wydawały się romantyczne tylko za pierwszym razem. Nie był przygotowany na ostrą zimę w zachodnim Canterbury i deszcz bardzo często zapędzał go pod dach. Usprawiedliwiając się kiepską pogodą, pił co wieczór wino, zajadał soloną wołowinę i grał w karty, a rano udawał się znów na poszukiwania, żeby na nowo wypełnić złotym piaskiem chusteczkę do nosa. Gdyby nie umowa z Francisem Carverem, zapewne dalej wiódłby takie bezplanowe życie, składające się z dwóch występujących naprzemiennie faz ekscesów i regeneracji – nie zapomniał jednak o warunkach umowy, która musiała go wkrótce zobligować do „zarzucenia kotwicy”, jak mawiali kopacze, i dokonania jakiejś inwestycji.

Rankiem 18 czerwca Staines obudził się wcześnie. Spał w noclegowni w Kaniere, w długiej, niskiej, zbitej z desek chacie z kuchnią w przybudówce i hamakami przybitymi do ścian. W powietrzu panował wilgotny chłód, a kiedy Staines się ubierał, z jego ust unosiła się para. Wyszedł, zapłacił pół pensa za talerz owsianki, którą nalano mu chochlą z parującego kotła, i jadł na stojąco, kierując wzrok na wschód, gdzie na horyzoncie majaczyły ostrymi kształtami na tle nieba łańcuch wysokich Alp. Opróżniwszy talerz, zwrócił go do okienka, uchylił kapelusza na pożegnanie i ruszył do Hokitika, bo przed zakupem działki zamierzał spotkać się tam z jakimś handlarzem złotem.

Gdy obszedł zakole rzeki i znalazł się na cyplu, zauważył statek, dostojnie wpływający do wejścia do portu. Jednostka weszła na redę i wydawała się kołysać w miejscu, zwrócona burtą do rzeki na głębinię po drugiej stronie piaszczystej łachy. Był to piękny trójmasztowiec, niezbyt duży, z figurą dziobową w kształcie krzyżącego orła o szeroko rozwartym dziobie i rozpostartych skrzydłach. Na prawej burcie przy relingu spostrzegł kobietę – z tej odległości nie mógł rozpoznać jej twarzy, a tym bardziej miny, ale wydawało mu się, że jest pogrążona w zadumie, bo stała całkowicie nieruchomo, trzymając się relingu obiema rękami. Suknia powiewała jej wokół nóg, a tasiemki czepka chłostały pierś. Zastanawiał się, nad czym tak rozmyśla: czy coś rozpamiętuje, na przykład jakąś scenę, czy raczej wybiega w przyszłość ku czemuś, czego pragnie albo czego się boi.

W Banku Rezerw wyciągnął swój woreczek z kózlej skóry, w którym trzymał złoto, i na prośbę kasjera wysypał jego zawartość, by można było obejrzeć i zważyć kruszec.

– Zaczekaj no, chłopcze.

Staines odwrócił się. Na schodkach wiodących do banku siedział jakiś płowowłosy mężczyzna, około pięćdziesięcioletni, który właśnie podnosił się na nogi. Miał ogorzałą cerę i bardzo czerwony nos. Twarz pokrywał mu tygodniowy zarost, w przeważającej części siwy.

– W czym mogę panu pomóc? – zapytał Staines.

– Możesz mi odpowiedzieć na kilka pytań. Oto pierwsze z nich. Pracujesz dla Kompanii?

– Nie.

– W porządku. A oto drugie. Szczerość czy lojalność?

– Proszę?

– Szczerość czy lojalność? – powtórzył mężczyzna. – Co cenisz sobie wyżej?

– To ma być jakaś sztuczka?

– Pytam serio. Zechciej odpowiedzieć, proszę.

– No cóż – odparł Staines, nieznacznie marszcząc brwi. – Trudno mi orzec, którą z tych wartości należy doceniać bardziej. Szczerość czy lojalność. Z pewnego punktu widzenia można by powiedzieć, że szczerość jest czymś w rodzaju lojalności... Lojalności wobec prawdy... Chociaż z drugiej strony lojalności nie nazwalibyśmy szczerością! Przypuszczam, że przyparty do muru... Gdybym musiał wybierać między nieszczerością a lojalnością albo nielojalnością a nieszczerością, to stanąłbym raczej po stronie moich podwładnych, mojego kraju albo mojej rodziny, nie przy prawdzie. Przypuszczam więc, że jeśli chodzi o mnie... to wybrałbym lojalność. Lecz co do innych ludzi... W nich raczej ceniłbym tę drugą cechę. O wiele bardziej wolę szczerego przyjaciela niż przyjaciela, który jest tylko lojalny wobec mnie. I o wiele bardziej wolałbym być lojalny wobec szczerego przyjaciela niż wobec wazeliniarza. Powiedzmy zatem, że moja odpowiedź jest warunkowa: w sobie wyżej cenię lojalność, a w innych szczerość.

– To dobrze – powiedział mężczyzna. – To bardzo dobrze.

– Doprawdy? – zapytał Staines, uśmiechając się. – Czyżbym zdał jakiś egzamin?

– Właściwie tak – odparł nieznajomy. – Potrzebuję pomocy. W dobrej wierze... I na twoich warunkach. Popatrz...

Sięgnął do kieszeni i wyciągnął bryłkę złota wielkości małego cygara. Podniósł ją do góry, żeby odbiło się od niej światło.

– Ładna, prawda?

– Bardzo – powiedział Staines, a uśmiech zniknął z jego twarzy.

– Znalazłem złoto w Dolinie Clutha – ciągnął mężczyzna. – W Otago. Noszę ten samorodek przy sobie mniej więcej od miesiąca, nawet dwóch, ale wiesz, chcę kupić za niego ziemię... Już sobie upatrzyłem taki kawałek... Ale pośrednik w agencji nie chce tknąć niczego poza papierowymi pieniędzmi. A problem polega na tym, że zostałem okradziony i nie mam żadnego dowodu tożsamości. Dokumentów, licencji poszukiwacza złota. Wszystko to zniknęło, nie mogę więc sam zanieść tego złota do banku.

– Aha – powiedział Staines.

– Dlatego potrzebuję pomocy. Zanieś to złoto do banku i powiedz, że jest twoje. Że znalazłeś je w ziemi należącej do Korony i wymień je dla mnie na banknoty. Wszystko razem nie zajmie ci więcej niż pół godziny. Podaj swoją cenę.

– Rozumiem – odpowiedział niepewnie Staines. Wahał się przez chwilę. – Ale przecież może pan po prostu wytłumaczyć pracownikom banku, co się stało. Może im pan powiedzieć, że został pan okradziony, jak powiedział pan to przed chwilą mnie.

– Nie mogę tego zrobić.

– Zawsze są jakieś archiwa – zauważył Staines. – Nawet jeżeli nie ma pan dokumentów, istnieją inne sposoby, żeby ustalić pańską tożsamość. Wiadomości żeglugowe i tak dalej.

Mężczyzna pokręcił głową.

– Miałem licencję z Otago i nie przeszedłem przez kontrolę celną, kiedy tu przyjechałem. W tym mieście nie ma po mnie żadnego śladu w archiwach.

– Aha – powiedział Staines, który zaczynał się czuć wielce zakłopotany.

Mężczyzna podszedł bliżej.

– Mówię ci całą prawdę, chłopcze. Ten samorodek jest mój. Znalazłem go w Dolinie Clutha. Narysuję ci gdzie. Narysuję ci mapkę, do cholery. Gadam prawdę.

Staines ponownie spojrział na grudkę kruszcu.

– Czy jest ktoś, kto może to potwierdzić? – spytał.

– Nie chodziłem po mieście, wymachując tym złotem na prawo i lewo – warknął mężczyzna, potrząsając zaciśniętą pięścią. – Czy miałoby to sens? Już raz mnie okradziono, a drugi raz na to nie pozwolę. Jest tylko jedna osoba, która dotykała tego samorodka. Młoda kobieta nazwiskiem Anna Wetherell. Mogłaby zaświadczyć, że mówię prawdę, ale tak się składa, że ona mieszka w Dunedin, a ja nie mogę tu stać i czekać na pocztę.

Nazwisko „Anna Wetherell” nic nie znaczyło dla Stainesa, który zarejestrował je tylko niewyraźnie, zastanawiając się, jak najzręczniejszym sposobem odmówić nieznajomemu. Jego opowieść nie brzmiała ani trochę przekonująco (Staines był przekonany, że samorodek jest kradziony i złodziej, obawiając się schwytania, usiłuje teraz zatrzeć ślady, szukając naiwniaka, który zamieni dowód w jego sprawie na gotówkę, ponieważ jej pochodzenia nie da się potem

ustalić), a oblicze mężczyzny nie dodawało mu wiarygodności. Miał zmęczone, przekrwione oczy człowieka zniszczonego przez alkohol. Nawet z odległości kilku kroków Staines wyczuwał woń wczorajszej whisky na jego ubraniu i w oddechu. Grając na zwłokę, zapytał:

– Mówił pan o pośredniku w agencji handlu ziemią?

Nieznajomy kiwnął głową.

– Jest taki kawałek ziemi, który chciałbym kupić. W Arahura. Zaczęlbym handlować drewnem, bo z poszukiwaniem złota już skończyłem. Zdobyłem skarb, który właśnie wyparował, więc jeśli chodzi o mnie, to już koniec zabawy. A drewno to uczciwa praca.

– Jak pan się nazywa?

– Crosbie Wells.

Staines zamarł.

– Wells? – zapytał.

– Tak jest – odparł mężczyzna i nagle spojrział na młodzieńca spode łba. – A tobie co do tego?

Staines przypomniał sobie dziwne polecenie, które przed miesiącem wydał mu Francis Carver w hotelu Głóg na ulicy Króla Jerzego: „Dziś nie nazywam się Carver, tylko Wells”. Francis Wells, tak powiedział.

– Crosbie Wells – powtórzył Staines.

– Tak jest – odparł nadal nachmurzony Wells. – Nie mam drugiego imienia, przydomka ani pseudonimu, nazywam się zwyczajnie, Crosbie Wells, od dnia, w którym przyszedłem na ten świat. Oczywiście nie mogę tego dowieść. Niech to diabli porwą, niczego nie mogę dowieść bez dokumentów.

Staines znów się zawahał. Po chwili wyciągnął rękę i przedstawił się:

– Emery Staines.

Wells przełożył złoto do lewej ręki i uścisnął młodzieńcowi dłoń.

– Zechce pan mi podać swoją cenę, panie Staines? Byłbym panu bardzo zobowiązany.

– Niech pan posłucha – odezwał się nagle młodzieniec. – Czy nie zna pan przypadkiem... To znaczy, proszę mi wybaczyć, ale... Czy nie zna pan przypadkiem człowieka nazwiskiem Francis Carver?

Chłopak wciąż bowiem nie wiedział o wszystkim, co wydarzyło się w dniu poprzedzającym jego wyjazd z Dunedin, czyli z miasta, do którego tamtego popołudnia wypłynął Carver. Nie wiedział, dlaczego Carver zdecydował się przyjąć fałszywe nazwisko i przywiązywał taką wagę do niewielkiego kufra, zawierającego tylko pięć zupełnie zwyczajnych sukni.

Wells zeszywniał.

– Dlaczego pan o to pyta? – zapytał gniewnie.

– Bardzo przepraszam, może to nieistotne – odparł Staines. – Pytam wyłącznie dlatego, że mniej więcej miesiąc temu człowiek nazwiskiem Carver przyjął pańskie nazwisko, tylko na jeden dzień, i nie powiedział mi, po co ani dlaczego.

Wells zacisnął pięści.

– Kim jest dla pana Carver?

– Nie znam go dobrze – powiedział Staines, cofając się o krok. – Po prostu dał mi trochę pieniędzy, to wszystko.

– Jakich pieniędzy? Ile?

– Osiem funtów.

– Ile?

– Osiem – odpowiedział Staines, a po chwili powtórzył: – Osiem funtów.

Wells podszedł do niego bliżej.

– To twój koleżka, co?

– Ani trochę – odparł Staines, ponownie się cofając. – Dowiedziałem się później, że to były więzień... Odsiedział dziesięć lat, skazany na ciężkie roboty... Ale wtedy było już za późno, złożyłem bowiem podpis.

– Na czym?

– Na umowie o wspólnej inwestycji.

– I podpisał się na niej moim nazwiskiem.

– Nie – odpowiedział Staines, podnosząc rękę. – Tylko się nim przedstawiał... To znaczy pańskim nazwiskiem... Ale nie wiem, w jakim celu. Proszę posłuchać, naprawdę bardzo przepraszam, że pana zdenerwowałem...

– To właśnie on – powiedział Crosbie Wells. – To on ukradł moje dokumenty i mój złoty skarb. Przez niego przeciwko mnie zwróciła się własna żona. Zabrał mi nazwisko i pieniądze i nawet próbował mnie zabić, tylko że ta robota mu się nie udała, co? Wywinałem się i jeszcze żyję. Pracuję za psi grosz, ledwo wiązę koniec z końcem, chodzę ze spuszczoną głową i co chwila oglądam się za siebie. Zaczynam już naprawdę tracić zmysły. Zostało mi tylko to – powiedział, pokazując samorodek.

– Dlaczego nie doniesie pan na niego na policję? – spytał Staines. – To wszystko, co pan mówi, chyba wystarczy jako dowód.

Well nie odpowiedział od razu.

- Gdzie on teraz jest? – spytał po chwili.
 - Wydaje mi się, że nadal w Dunedin.
 - Jest pan tego pewien?
 - O tyle o ile – odrzekł Staines. – Mam jego adres. Powinienem do niego napisać, kiedy tylko kupię pierwszą działkę.
 - Jest pan jego wspólnikiem. – Wells wypluł to ostatnie słowo.
 - Nie. Po prostu mam wobec niego pewne zobowiązania. Dał mi osiem funtów, a ja w zamian muszę dokonać za niego inwestycji.
 - Jesteś jego wspólnikiem. Jego człowiekiem.
 - Niech mnie pan posłucha, panie Wells – powiedział znowu zaniepokojony Staines. – Cokolwiek zrobił panu Carver i bez względu na to, z jakiego powodu, ja nic o tym nie wiem. Naprawdę. No bo przecież... Gdybym cokolwiek wiedział na ten temat, to nie wymieniłbym jego nazwiska w naszej rozmowie, prawda? Trzymałbym gębę na kłódkę.
- Wells nie odpowiedział. Wpatrywali się w siebie, próbując coś wyczytać nawzajem ze swoich twarzy, a potem Staines powiedział:
- Zrobię to. Zaniosę ten pański samorodek do banku.

MARS W RAKU

Rozdział, w którym Carver zaczyna poszukiwania Crosbiego Wellsa, Edgar Clinch oferuje swoje usługi, a Anna Wetherell umacnia się w swoim postanowieniu

„Z Bogiem” przepłynął nad łachą w Hokitika na najwyższej fali. Manewrowanie w otoczeniu innych jednostek w ujściu rzeki zajęło kapitanowi Carverowi prawie godzinę, bo kilka statków wypływało właśnie z portu, a on musiał poczekać na sygnał z nabrzeża, nim mógł podpłynąć bliżej. Anna Wetherell, która stała samotnie na pokładzie, miała dość czasu, by przyjrzeć się tutejszemu widokowi. Hokitika była mniejszym i bardziej odsłoniętym miastem, niż sądziła. W porównaniu z Dunedin, schowanym przytulnie w zgięciu długiego ramienia zatoki Otago i otoczonym ze wszystkich stron górami, Hokitika wydawało się stać niemal przerażająco blisko oceanu. Zaniedbane domy sprawiały na dziewczynie ponure wrażenie, a nawet wyglądały nieco żałośnie ze względu na rzędy ozdobnych, czerwonych i żółtych flag, skrzyżowanych tu i tam nad dachami, jak również markizami nadbrzeżnych hoteli.

Nagły hałas zwrócił uwagę dziewczyny – na brzegu stał jakiś rudowłosy wążacz, który machał mosiężnym dzwonkiem i krzyczał pod wiatr. Mężczyzna najwyraźniej coś zachwalał, ale litanię jego pochwał całkowicie zagłuszał odgłos dzwonka, którego wieniec był tak szeroki, że pomieściłby bochenek chleba, serce zaś grubością i ciężarem przypominało sztabę złota. Dzwonek wydawał bolesny, nieubłagany dźwięk, tłumiony przez odległość oraz wiatr.

Podróż z Dunedin była pierwszym rejsem „Z Bogiem” pod wodzą Francisa Carvera, który był tak osłabiony wskutek licznych obrażeń, jakich doznał wieczorem 12 maja, że nie zdążył już wypłynąć do Melbourne po południu następnego dnia – i z tej przyczyny nie miał też okazji poinformować kapitana Raxworthy’ego, że bark zmienił właściciela. Raxworthy był z natury punktualny i nie tolerowałby opóźnienia w wypłynięciu statku z powodu opieszałości byle marynarza, dlatego ruszył zgodnie z rozkładem, chociaż bardzo bolała go głowa. Kiedy więc „Z Bogiem” podniósł kotwicę i opuścił Port Chalmers, Carver nie mógł zrobić nic innego, jak czekać na powrót jednostki. Przez następne cztery tygodnie kurował się pod okiem zmartwionej pani Wells, która nie mogła patrzeć spokojnie na jego oszpeconą twarz. Rana została zaszyta, a kiedy zdjęto szwy, ukazała się ohydna, lekko różowa pręga, gruba niczym kawałek sizalowej liny i pomarszczona z dwóch stron. Carver często dotykał szramy palcami i nabrał zwyczaju zakrywania jej ręką, kiedy z kimś rozmawiał.

Gdy 14 czerwca „Z Bogiem” powrócił z Portu Phillip, Carver spotkał się z Jamesem Raxworthym, by go poinformować, że jego służba na mostku kapitańskim dobiegła końca. Bark został sprzedany bez wiedzy kapitana, a na mocy polecenia nowego właściciela statku, niejakiego pana Wellsa, to właśnie Carver został mianowany dowódcą, i ten awans dał mu prawo do odprawienia załogi Raxworthy’ego i zebrania własnej. Spotkanie Carvera z jego dawnym kapitanem trwało długo i nie było ani trochę serdeczne, a kiedy Carver odkrył, że przed miesiącem z listy przewozowej „Z Bogiem” zniknęła jedna pozycja, ich stosunki jeszcze się pogorszyły. Zwrócił się w tej sprawie z pytaniem do Raxworthy’ego, który tylko wzruszył

ramionami: jego zdaniem w związku z wycofaniem kufra z pokładu statku nie zostały naruszone żadne procedury ani przepisy prawne. Wtedy wściekłość Carvera ustąpiła miejsca udręce. Szukał zguby w komorze celnej, we wszystkich firmach przewozowych na nabrzeżu i noclegowniach w dzielnicy marynarskiej, ale bezskutecznie. Ślęcząc później tego wieczoru nad wiadomościami żeglugowymi w „Świadku Otago”, odkrył, że nie licząc „Z Bogiem”, 13 maja z Portu Chalmers wypłynął jeszcze tylko jeden statek: szkuner „Blanche”, którego portem docelowym było Hokitika.

– To właściwie nie jest nawet żaden trop – powiedział do pani Wells – ale przecież nie mogę siedzieć beczynnie. Jeżeli czegoś nie zrobię, to oszaleję. Ostatecznie wciąż mam jego świadectwo urodzenia i licencję poszukiwacza złota. Powiem, że nazywam się Crosbie Wells i zgubiłem skrzynię przewozową; wyznaczę też nagrodę za jej zwrot.

– A co z Crosbiem? – spytała pani Wells. – Jest taka możliwość, że...

– Jeśli jeszcze kiedyś się spotkamy, to go zabiję.

– Francis...

– Zabiję go.

– Będzie się spodziewał, że ruszysz za nim w pościg. Nie da się zaskoczyć... Nie po raz drugi.

– Ja też nie.

Dzień przed wypłynięciem „Z Bogiem” Anna Wetherell została wezwana do salonu na dole, gdzie czekała na nią pani Wells.

– Pan Carver wrócił do zdrowia – oświadczyła Lydia – mogę więc zająć się teraz mniej pilnymi sprawami, jak kwestia twojej przeszłości. Nie możesz zostać w moim domu ani chwili dłużej, panno Wetherell, i dobrze wiesz dlaczego.

– Tak, proszę pani – wyszeptała Anna.

– Mogłam przymknąć oko na twoją zdradę – ciągnęła pani Wells – i cierpieć w milczeniu, bo taki jest kobiecy los, nie mogę jednak przejść do porządku dziennego nad pobiciem pana Carvera. Twój związek z moim mężem nie jest już nikczemnością, lecz stał się czystym złem. Pan Carver został trwale oszpecony. Prawdę mówiąc, miał szczęście, że uszedł z życiem, odniósł bowiem bardzo poważne obrażenia. Blizna na twarzy pozostanie mu na zawsze.

– Ja wtedy spałam – odpowiedziała Anna. – Nie widziałam, jak to się stało.

– Gdzie jest pan Wells?

– Nie wiem.

– Mówisz prawdę, panno Wetherell?

– Tak. Przysięgam.

Pani Wells wyprostowała się.

– Jak wiesz, pan Carver wypływa jutro na Zachodnie Wybrzeże – powiedziała Lydia, zmieniając temat. – A tak się składa, że mam pewnego znajomego w Hokitika. Nazywa się Dick Mannering. Urządzi cię w tym mieście po swojemu: zamieszkasz w obozowisku, jak początkowo chciałaś, a nasze ścieżki więcej się nie skrzyżują. Pozwoliłam sobie pokrywać wszystkie twoje wydatki przez ostatnie dwa miesiące i przekazałam Manneringowi dług, jaki u mnie zaciągnęłaś. Widzę, że jesteś zdziwiona. Pewnie wydaje ci się, że alkohol rośnie na drzewach. Naprawdę tak uważasz?

– Nie, proszę pani – wyszeptała dziewczyna.

– Najwyraźniej nie jesteś aż tak głupia, jak podła – powiedziała pani Wells – chociaż biorąc pod uwagę zakres i stopień twojej niegodziwości, nie jest to zbyt duże osiągnięcie intelektualne. Powinnam cię poinformować, że pan Mannering nie ma żony, a zatem nie istnieje niebezpieczeństwo, że sprowadzisz hańbę na jego dom, jak sprowadziłaś na mój.

Anna zakrztusiła się – nie była w stanie mówić. Kiedy pani Wells ją odprawiła, pobiegła do buduaru, podeszła do biurka, wyciągnęła zatyczkę z karafki whisky, do której dolano laudanum, i wypła ją dwoma rozpaczliwymi, żalonymi haustami. Potem rzuciła się na łóżko i płakała, dopóki opium nie zaczęło działać.

Doskonale wiedziała, co czeka ją w Hokitika, ale poczucie winy i wyrzuty, jakie sobie czyniła, uodporniły dziewczynę na wszystko, co mogło ją spotkać, niczym przechodnia na porywy wiatru. Mogła sprzeciwić się jednemu albo wszystkim pomysłom pani Wells, mogła uciec pod osłoną nocy lub opracować własny plan na przyszłość. Nie miała już jednak najmniejszych wątpliwości co do stanu, w jakim się znajdowała, i wiedziała, że wkrótce urośnie jej brzuch. Musiała jak najszybciej zniknąć z tego domu, zanim pani Wells odkryje jej sekret, i była gotowa skorzystać z każdej okazji, która mogła się jej po temu nadarzyć.

Nad Nabrzeżem Gibsona nisko i powoli przeleciała mewa. Kiedy dotarła nad cypel, zawróciła i zaczęła się wspinać na wznoszącym prądzie powietrznym, aby raz jeszcze pokonać tę samą drogę. Anna mocniej otuliła się szalem. W tym czasie „Z Bogiem” dostał zgodę, by stanąć na kotwicy. Rzucono cumy na brzeg, a żagle zostały zwinięte i związane na polecenie Carvera. Bark powoli sunął w stronę nabrzeża, gdzie zebrała się już grupka sztauerów do pomocy, i Anna, która nagle zaczęła szybko mrugać powiekami, zorientowała się, że kilku z nich pokazuje ją palcami i wymienia uwagi, zasłaniając sobie usta dłońmi. Kiedy zauważyli, że dziewczyna na nich patrzy, uchyliłi kapeluszy, ukłonili się i roześmiali, podciągając spodnie za sprzączki pasków. Anna spłoniła się, przybrała nieszczęśliwą minę, przeszła przez pokład na sterburtę, chwyciła się relingu i oddychając głęboko, spojrzała nad wysokim klifem cypla tam, gdzie wielkie fale wyrzucały drobniutki, biały pył wodny, zamazując linię horyzontu. Stała tak, dopóki Carver nie upomniał jej szorstko, każąc zejść dziewczynie na ląd. Niejaki pan Edgar Clinch, pełniący obowiązki kierownika hotelu Ruszt, zaproponował, że wynajmie Annie pokój, a kapitan przyjął tę ofertę w jej imieniu.

Rozdział, w którym Crosbie Wells wyrusza do Doliny Arahura, a parowiec „Tytania” rozbija się na mieliźnie

Samorodek Wellsa, który Staines zaniósł do banku, przyniósł ponad sto funtów w gotówce. Kiedy kupujący kończył wyceniać złoto, a bankowiec, pan Frost, robił swoje notatki, wiele osób wypytywało Stainesa o pochodzenie bryłki. Odpowiadał mgliście, machając ręką i wskazując na wschód, a także wymieniając mało konkretne punkty topograficzne, jak „wąwóz” albo „wzgórze”, ale jego wysiłki, zmierzające do zbagatelizowania wartości samorodka, okazały się płonne. Kiedy wypisano cenę złota na tablicy nad biurkiem kupującego, bankowiec zaczął klaskać, a kopacze wykrzykiwali nazwisko Stainesa.

– Jeżeli pan chce, możemy zrobić jego odlew, zanim zostanie przetopiony – powiedział pan Frost, kiedy Staines skierował się do wyjścia. – Mógłby pan pomalować go na złoto i schować albo posłać go do kraju, na pamiątkę dla wybranki pańskiego serca. To piękny okaz.

– Nie potrzebuję odlewu – odpowiedział Staines. – Ale dziękuję.

– Może będzie pan chciał zapamiętać ten dzień – dodał bankowiec. – Najszczęśliwszy dzień pańskiego życia.

– Mam nadzieję, że najszczęśliwszy dzień mojego życia jeszcze jest przede mną – odparł Staines, co wywołało kolejny aplauz i większy podziw, a także przyniosło propozycje wejścia z nim w spółkę od co najmniej sześciu poszukiwaczy. Kiedy Staines wreszcie wyrwał się z tłumu i wyszedł, był mocno zirytowany.

– Zostałem uznany za największego szczęściarza w Hokitika – powiedział, podając kopertę Crosbiemu Wellswi. – Życzono mi więcej szczęścia, jak również żebym się podzielił nim z innymi, żebym zdradził, skąd się ono wzięło i sam już nie wiem, co jeszcze... Wydaje mi się, że to, co mi pan opowiedział, panie Wells, wcale nie było prawdą. Po prostu wiedział pan, czego może się spodziewać człowiek, który będzie dość głupi, aby o tej godzinie wkroczyć do Banku Rezerw z tak wielką grudką złota.

Wells uśmiechał się szeroko.

– Największy szczęściarz w Hokitika – powiedział. – Niezłe określenie. Ufam, że uda się je panu podtrzymać.

– Zrobię, co w mojej mocy – odparł młodzieniec.

– Cóż, jestem panu bardzo zobowiązany – oświadczył Wells, szybko przeliczając banknoty, a potem chowając kopertę do kieszeni kamizelki. – Chcę kupić ziemię w Dolinie Arahura, około dziesięciu mil stąd, na północy. Rzeka przecina tam plażę, nie można nie zauważyć tego miejsca. Będzie pan u mnie zawsze mile widziany, bez względu na powód wizyty.

– Zapamiętam – powiedział Staines.

Wells zamilkł na chwilę.

– Nadal nie bardzo mi pan wierzy, prawda, panie Staines?

– Obawiam się, że nie, panie Wells.

– Pewnie opowie pan o wszystkim swojemu kompanowi, Carverowi.

– Carver nie jest moim kompanem.

– Ale może wymieni pan moje nazwisko. Mimochodem. Tylko po to, żeby się przekonać o prawdziwości moich słów.

– Nie uczynię tego.

– Równie dobrze mógłby mnie pan od razu zamordować, panie Staines. Carver ma ze mną rachunki do wyrównania. Pragnie mojej śmierci.

– Potrafię dochować tajemnicy – powiedział Staines. – Nikomu nic nie powiem.

– Wierzę panu – odrzekł Wells i wyciągnął rękę. – Powodzenia.

– Tak... Powodzenia.

– Może jeszcze kiedyś się spotkamy.

– Może.

Kiedy Crosbie Wells zszedł na ulicę, Staines jeszcze długo stał na schodach banku. Przyglądał się, jak Wells lawiruje między przechodniami, zmierzając w stronę biura pośrednika agencji handlu ziemią. Zdjął kapelusz i wkroczył do środka, nie oglądając się za siebie. Minęło piętnaście minut. Wsparty łokciami o balustradę Staines patrzył wciąż na ulicę.

– Katastrofa! Katastrofa! Katastrofa na mieliznie!

Młodzieniec obserwował zbliżającego się doń obwoływacza.

– Jak się nazywa ten statek?

– „Tytania” – odparł. – To parowiec. Wszedł na mieliznę.

Staines nie znał takiego statku.

– Skąd płynął?

– Przez Auckland z Dunedin. – Staines kiwnął głową na znak, że może odejść, a wtedy chłopak znowu zaczął swoje: – Katastrofa! Katastrofa! Katastrofa na mieliznie!

Minęło sporo czasu, drzwi biura otworzyły się w końcu i wyszło z niego dwóch mężczyzn: Crosbie Wells i jakiś nieznajomy, zapewne pośrednik, który właśnie wkładał płaszcz. Stali na ganku i rozmawiali przez kilka minut. Potem zza węgła wyjechał z turkotem dwukonny powóz, który zatrzymał się, żeby Wells i pośrednik mogli do niego wsiąść. Gdy zajęli już miejsca

i zamknęli drzwiczki, woźnica zawołał: „Wio!”, po czym hurkoczący pojazd potoczył się na północ.

PRZYPADKOWA GODNOŚĆ

Rozdział, w którym spotyka się dwoje przygodnych znajomych, a Edgar Clinch jest bardzo niezadowolony

Pan Edgar Clinch okazał się zarówno troskliwym, jak i sumiennym przewodnikiem. W czasie krótkiego spaceru z Nabrzeża Gibsona nieustannie i barwnie komentował wszystko, co mijali: każdą wystawę, magazyn, stragan, każdego konia, wóz i plakat. Anna odpowiadała z rzadka i cichutko, ale kiedy zbliżali się do Banku Rezerw, przerwała gadaninę hotelarza nagłym okrzykiem zdziwienia.

– O co chodzi? – zapytał zaniepokojony Clinch.

O balustradę ganku opierał się złotowłosy chłopak z „Pomyślnego Wiatru”, który spojrzał na Annę z takim samym zaskoczeniem jak ona na niego.

– To ty! – zawołał.

– Tak – odrzekła Anna. – Tak.

– Albatrosy!

– Pamiętam.

Przyglądali się sobie, zawstydzeni.

– Jak to dobrze znowu cię zobaczyć – powiedziała dziewczyna po chwili.

– To wyjątkowo szczęśliwy zbieg okoliczności, bez wątpienia – odparł młodzieniec, schodząc po schodkach na ulicę. – Wyobraź sobie tylko, oto spotykamy się ponownie! Oczywiście bardzo tego pragnąłem, lecz były to próżne nadzieje. Wiesz, takie, o których myśli się w stanie zamroczenia, mimo woli. Dobrze pamiętam twoje słowa, kiedy o świcie opływaliśmy portowe cyple. „Chciałabym zobaczyć go podczas burzy”, tak powiedziałaś. Od tamtej pory często do nich wracałem, bo była to zachwycająca, absolutnie oryginalna przemowa.

Anna oblała się rumieńcem. Nie słyszała dotąd, aby ktoś uznał, że jest oryginalna, a już na pewno nie podejrzewała, że można jej uwagi uznać za przemowy.

Clinch czekał, aż Anna przedstawi go swojemu znajomemu. Odchrząknął.

– Od dawna jesteś w Hokitika? – spytał chłopak.

– Przyjechałam dziś rano. Właściwie dopiero przed chwilą. Rzuciliśmy kotwicę niecałą godzinę temu.

– Tak niedawno! – Chłopak zdawał się jeszcze bardziej zdumiony, jak gdyby ich spotkanie wydawało mu się tym dziwniejsze, że dziewczyna dopiero co zeszła na ląd.

– A ty? – spytała Anna. – Jesteś tu od dawna?

– Ponad miesiąc – odpowiedział młodzieniec i nagle się rozpromienił. – Jak dobrze cię zobaczyć... Jak cudownie. Minęło wiele czasu, odkąd widziałem jakąś znajomą twarz.

– Jesteś... Mieszkasz w obozowisku? – zapytała panna Wetherell, znowu się rumieniąc.

– Tak. Przyjechałem zbić majątek lub go po prostu znaleźć. Przyznaję, że właściwie nie bardzo wiem, na czym polega różnica. Och! – Zerwał kapelusz z głowy. – Ależ ja jestem niegrzeczny. Nie przedstawiłem się. Nazywam się Staines. Emery Staines.

Clinch skorzystał z okazji, żeby się wtrącić.

– I jak się panu podoba w Hokitika, panie Staines?

– Bardzo – odparł chłopak. – To istny tygiel sprzeczności! Macie lokalną gazetę, ale nie macie kawiarni, gdzie można by ją przeczytać. Macie aptekarza, który realizuje recepty, ale nigdy nie można znaleźć doktora, a wasz szpital nie zasługuje właściwie na tę nazwę. W sklepie ciągle brakuje butów albo skarpet, chociaż nigdy jednych i drugich jednocześnie, a hotele przy ulicy Revella serwują wyłącznie śniadania, tyle że przez cały dzień!

Anna uśmiechała się. Otworzyła usta, żeby odpowiedzieć, uprzedził ją jednak Clinch.

– W hotelu Ruszt podajemy gorące obiady – powiedział. – Mamy zestawy za trzy i za sześć pensów, a zestaw sześciopensowy obejmuje piwo.

– Gdzie jest hotel Ruszt? – spytał Staines.

– Na ulicy Revella – odparł Clinch, jak gdyby ta informacja mogła wystarczyć.

Staines zwrócił się znów do Anny.

– Co cię sprowadza na Zachodnie Wybrzeże? Przyjechałaś tu na czyjąś prośbę? Zamierzasz podjąć jakąś pracę? Zostaniesz?

Anna nie chciała wymieniać nazwiska Manneringa.

– Zamierzam zostać – odparła ostrożnie. – Na uprzejmą prośbę pana Clincha zamieszkać w hotelu Ruszt.

– To ja – odezwał się Clinch, wyciągając rękę. – Clinch. Na imię mam Edgar.

– Miło mi pana poznać – odpowiedział Staines, wymieniając krótki uścisk dłoni z hotelarzem, a potem odwrócił się z powrotem do Anny: – Wciąż nie wiem, jak masz na imię... Ale może nie będę cię jeszcze o to pytał. Zechcesz zachować swoje imię w tajemnicy? Bo wtedy będę musiał się o ciebie wypytywać, jeżeli zechcę cię znaleźć.

– Nazywa się Anna Wetherell – powiedział Clinch.

– Och – odrzekł chłopak. Na jego twarzy odmalowało się zdumienie. Przypatrywał się Annie bardzo dziwnie, jak gdyby jej nazwisko coś dla niego znaczyło, chociaż z niewiadomego powodu nie mógł o tym mówić.

– Powinniśmy już iść – rzekł Clinch.

Staines odskoczył na bok.

– Och tak... Oczywiście. Powinniście już iść. Życzę wam obojgu bardzo dobrego dnia.

– Miło było znowu cię zobaczyć – powiedziała Anna.

– Czy będę mógł cię odwiedzić? – spytał Staines. – Kiedy już się urządzisz?

Anna zdziwiła się i podziękowała mu. Może powiedziałyby coś więcej, ale Clinch już ją prowadził dalej. Chwycił dziewczynę za rękę, którą wsunęła mu pod łokieć, i stanowczym ruchem przyciągnął ją bliżej do piersi.

BARAN RZĄDZONY PRZEZ MARSA

Rozdział, w którym Francis Carver prosi Te Raua Tauwharego o informację, ale Tauwhare, który nie zna jeszcze pana Crosbiego Wellsa, nie może mu pomóc

Maorys nosił przytroczoną do biodra pałkę z zielonego kamienia, jak gdyby to był harap albo rewolwer. Wycięto ją w kształt wiosła i wypolerowano na błysk. Kamień miał barwę marmurkowej, oliwkowej zieleni, przetykanej żółtymi smugami, co wyglądało tak, jakby ktoś przetopił maleńkie girlandy kwiatów kowhai, a potem zalał je szkłem.

Carver, który powiedział już to, co miał powiedzieć, zamierzał się właśnie pożegnać, kiedy światło odbiło się od kamienia i jak gdyby nagle go rozjarzyło. Zaintrygowany, wskazał pałkę i spytał:

– Co to jest? Wiosło?

– *Patu pounamu* – odpowiedział Tauwhare.

– Niech pan pokaże – poprosił Carver, wyciągając rękę. – Niech pan mi pozwoli ją potrzymać.

Tauwhare wyciągnął pałkę z za pasa, ale nie podał jej Carverowi. Stał w całkowitym bezruchu, wpatrując się w niego i luźno ją trzymając, po czym nieoczekiwanie skoczył naprzód i udał, że uderza Carvera w szyję, a po chwili w pierś. W końcu podniósł broń wysoko nad głową i opuścił ją bardzo powoli, zatrzymując się, gdy kamień miał już dotknąć skroni Carvera.

– Twardszy niż żelazo – powiedział.

– Naprawdę? – spytał Carver, nie mrugnawszy okiem. – Ten kamień jest twardszy niż żelazo?

Tauwhare wzruszył ramionami. Cofnął się i wcisnął pałkę z powrotem za pas. Przez dłuższą chwilę przyglądał się dumnie Carverowi, z zaciśniętymi szczękami, a potem uśmiechnął się zimno i odwrócił, by odejść.

SŁOŃCE W BLIŹNIĘTACH

Rozdział, w którym Benjamin Löwenthal zauważa błąd, a Staines działa pod wpływem impulsu

– Do licha – rzekł Löwenthal, chmurnie przyglądając się kaszcie i czytając tekst od prawej do lewej i do góry nogami, bo druk był odwrócony aż na dwa sposoby. – Mam samotnika.

– Co? – zapytał Staines, który wszedł właśnie do środka.

– Samotnika. To termin typograficzny. Mam o jedno słowo za dużo, które nie mieści się w kolumnie, i takie właśnie nadmiarowe słowo nazywa się samotnikiem. Do licha, do licha, do licha. Tak bardzo się spieszyłem dzisiaj rano... Pozwoliłem klientowi zapłacić za dwucalowe ogłoszenie, nie licząc, ile jest w nim liter, a teraz tekst nie chce się zmieścić w dwucalowej ramce. Ach! Muszę je odłożyć i spojrzeć na nie wypoczętymi oczami później. Nic innego nie da się zrobić, gdy człowiek wpadnie w taką kabałę. Czym mogę panu służyć, panie Staines? – Löwenthal odsunął kasztę i z uśmiechem sięgnął po szmatę, by wytrzeć palce z farby.

Staines wyjaśnił, że rankiem wymienił w banku złoto na gotówkę.

– Zamierzałem zainwestować w jakąś działkę – tłumaczył – ale nie chcę tego robić. Jeszcze nie... Ciągle się waham co do wielu spraw. Chciałbym się najpierw dowiedzieć, co jest do kupienia w obozowisku. Hotele, jadłodajnie, magazyny, sklepy... Interesuje mnie wszystko, co tylko jest na sprzedaż.

– Oczywiście – odparł Löwenthal. Podeszedł do szafki, otworzył najwyższą szufladę i zaczął przeglądać akta. Po chwili wyciągnął jakąś kartkę i podał ją Stainesowi. – Proszę.

Chłopak przebiegł dokument wzrokiem. Kiedy dotarł na koniec listy, mięśnie jego twarzy nieznacznie się rozluźniły, miał zdziwione spojrzenie.

– Hotel Ruszt – powiedział.

Löwenthal rozłożył ręce.

– To taki sam dobry interes jak każdy inny – odrzekł. – Aktualnym właścicielem jest niejaki pan Maxwell, a obowiązki kierownika pełni pan Clinch. To porządni ludzie.

– Kupię ten hotel – oświadczył Staines.

– Ach tak? – powiedział Löwenthal. – Czy mam poinformować pana Maxwella, że chce pan obejrzeć dom?

– Nie chcę go oglądać – odpowiedział Staines. – Zapłacę z góry, natychmiast.

SKORPION RZĄDZONY PRZEZ MARSA

Rozdział, w którym Francis Carver zawiera nową znajomość w hotelu Imperialnym

Carver nie robił sobie większych nadziei, że ogłoszenie, które zamieścił rankiem w „Czasie Zachodniego Wybrzeża”, przyniesie jakieś owoce. Wątpił, aby ktokolwiek był na tyle głupi, żeby oddać poszukiwany kufer, nie otwierając go, tym bardziej że za jego zwrot wyznaczona została nagroda w wysokości pięćdziesięciu funtów. Mógł najwyżej liczyć na to, że znalazca otworzy kufer, przejrzy jego zawartość i uzna, że suknie mają dla właściciela wartość jedynie sentymentalną. W tym wypadku – jeśli znalazca czytał „Czas” i wiedział o nagrodzie – mógłby odzyskać kufer, ale taki zbieg okoliczności, nieprawdopodobny już sam w sobie, zależał od jeszcze mniej prawdopodobnego zrządzenia losu, a mianowicie od tego, że kufer musiałby trafić do zachodniego Canterbury, a nie do żadnego innego miejsca na świecie! Nie – to, że kufer został wycofany z ładowni „Z Bogiem” w nocy 12 maja, mogło znaczyć tylko jedno: ktoś musiał wiedzieć, że w środku znajduje się ogromna fortuna. Raczej nie wycofanoby go w ostatniej chwili tylko po to, by wysłać go gdzie indziej na los szczęścia. Jeśli to Crosbie Wells wycofał kufer tuż przed odpłynięciem statku – co Carverowi wydawało się zdecydowanie najbardziej prawdopodobne – to niewątpliwie jak najszybciej wyjechałby z kraju, używając złota na łapówkę dla celników albo żeby kupić od kogoś nowe dokumenty czy nazwisko. Skarb zniknął na dobre. Carver zaklął głośno, a chcąc podkreślić, jak bardzo jest zdenerwowany, głośno odstawił szklankę na bar.

– Amen – powiedział mężczyzna, siedzący najbliżej niego.

Carver odwrócił się, chcąc zmierzyć go gniewnym spojrzeniem, lecz nieznajomy kiwnął na barmana.

– Proszę nalać temu panu jeszcze jednego drinka – powiedział. – I mnie też. Na mój rachunek.

Barman odkorkował butelkę brandy i ponownie napełnił szklankę Carvera.

– Nazywam się Pritchard – przedstawił się mężczyzna, patrząc, jak barman nalewa.

Carver zerknął na niego.

– Carver – powiedział.

– Wziąłem pana za marynarza – rzekł Pritchard. – Ma pan sól na kurtce.

– Jestem kapitanem – odpowiedział Carver.

– Kapitanem... Cóż, to gratuluję. Osobiście cierpię na chorobę morską. Inaczej pewnie wróciłbym już do domu, ale powstrzymuje mnie właśnie myśl o podróży. Wolę umrzeć tutaj, niż znowu tak cierpieć. Jesteśmy tu w dupie świata, co?

Carver chrząknął i obaj panowie wypili.

– Więc jest pan kapitanem – rzekł po chwili Pritchard. – To pięknie.

– A pan? – spytał Carver.

– Ja jestem aptekarzem.

Carver zdumiał się.

– Aptekarzem?

– Jedynym w tym mieście – powiedział Pritchard. – Prawdziwy jednak ze mnie.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu. Gdy opróżnili szklanki, Pritchard ponownie dał znak barmanowi, który znów je napełnił. Nagle Carver przysunął się do Pritcharda i zapytał:

– Ma pan trochę opium? Jakiś zapas pod ręką?

– Obawiam się, że nie mogę panu pomóc – odparł Pritchard, kręcąc głową. – Nie mam nic oprócz laudanum, to wszystko. W dodatku roztwór jest słaby. Słabszy niż whisky, a głowa boli po nim dwa razy mocniej. Na południe od Grey nic pan tu nie znajdzie, jeżeli dręczy pana prawdziwy głód narkotykowy. Niech pan jedzie na północ.

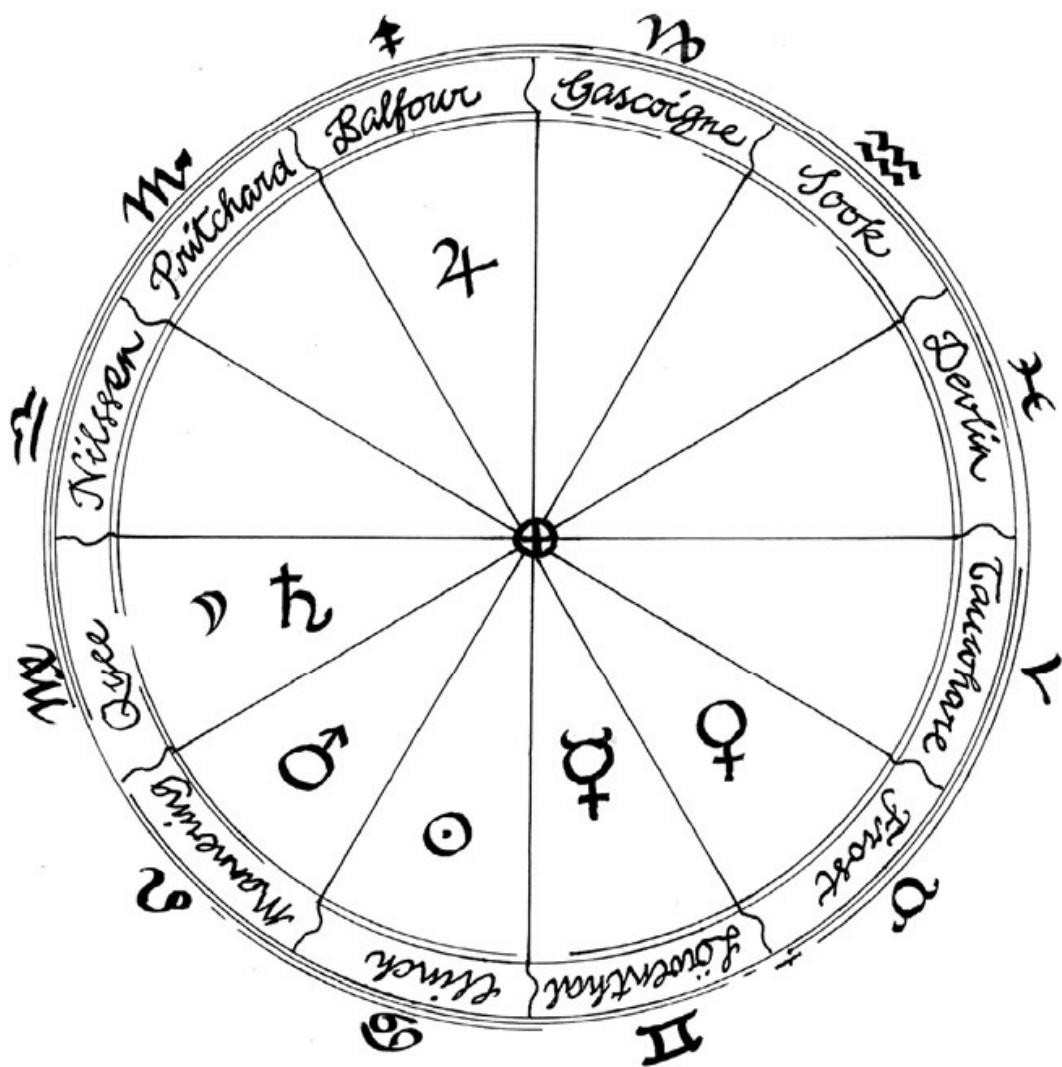
– Ja nie kupuję opium – odparł Carver.

CZĘŚĆ SIÓDMA

Miejsce stałego pobytu

28 lipca 1865 roku

42°43'0" S / 170°58'0" E Hokitika



RAK I KSIĘŻYC

Rozdział, w którym Edgar Clinch próbuje wykorzystać swój autorytet, domyśliwszy się, że niedawne pogorszenie stanu zdrowia Anny ma związek z uzależnieniem narkotykowym, które aprobeuje jej chlebodawca, pan Mannering, nawet ją do niego namawiając – i w którym Anna Wetherell okazuje się bardziej uparta od Clincha i nie ulega mu

– Nie mam nic przeciw Chińczykom – powiedział Clinch. – Po prostu nie podoba mi się, jak to wygląda, i tyle.

– Co ma do tego wygląd?

– Nie podoba mi się, jak to wszystko pachnie, to miałem na myśli. Całą tę sytuację.

Anna wygładziła kremową spódnicę swojej sukni – była z muslinu, miała szydełkowy stanik i należała do tych pięciu sukien, które kupiła od handlarzy starzyzną po katastrofie „Tytanii” przed kilkoma tygodniami. Dwie z nich były już upstrzone czarną pleśnią, która nie schodziła po żadnym praniu. Wszystkie były bardzo ciężkie i miały potężnie wzmocnione gorsety, co dziewczyna uznała za sygnał, że pochodzą z dawniejszych, bardziej pruderyjnych czasów. Pakując suknie w papier, sprzedawca poinformował ją, choć było to bardzo dziwne, że w dniu katastrofy „Tytanii” nie przewoziła żadnych pasażerek, a co jeszcze dziwniejsze, że kiedy ładunek wydobyto ze statku, nikt się nie zgłosił po kufer z tymi sukniami. Żadna firma spedycyjna nic o nim nie wiedziała. List przewozowy został zniszczony przez wodę, a skrzynia nie była wymieniona w rejestrze. Niewątpliwie była to zagadka, wywnioskował handlarz, który wyraził nadzieję, że Anny z powodu tych sukni nigdy nie spotka żaden wstyd ani kłopot.

– Jak zdołasz zachować przytomność umysłu pod wpływem narkotyku? – naciskał Clinch. – Jak będziesz się bronić, jeśli... jeśli... No cóż, jeśli zagrozi ci coś... niestosownego?

Anna westchnęła.

– Nie twoja sprawa.

– A właśnie, że moja, bo dla mnie jest jasne jak słońce, że on ma władzę nad tobą i wykorzystuje cię w nikczemnych celach.

– On zawsze będzie miał nade mną władzę, panie Clinch.

Clinch zaczął tracić cierpliwość.

– Skąd wziął się ten twój głód narkotykowy? Odpowiedz mi na to pytanie! Czy sama pewnego dnia po prostu sięgnęłaś po fajkę i to wystarczyło? Dlaczego to zrobiłaś, jeśli nie zmusił cię do tego pan Mannering? On dobrze wie, co robi: nie chce zostawić ci ani trochę swobody, o to mu chodzi. Myślisz, że nie znam tej metody? Inne dziewczyny nie tykają opium i on o tym wie. Ale wypróbował je na tobie. Zastawił na ciebie pułapkę. I złapał cię w nią.

– Edgarze...

– Co? – spytał Clinch. – Co?

– Proszę, daj mi spokój – powiedziała Anna. – Nie mogę tego znieść.

SŁOŃCE LWA

Rozdział, w którym Emery Staines rozkoszuje się długim lunchem z bogaczem Manneringiem, od miesiąca ze wszystkich sił starającym się zdobyć jego przyjaźń i zachowującym się władczo, tak jak lubi, jak gdyby miał prawo oceniać i komentować wszystkie triumfy na złotodajnych polach

– Jest pan człowiekiem chodzącym w glorii sukcesu niczym w opończy, panie Staines – powiedział Mannering. – Lubię takie stroje.

– Obawiam się, że opowieści o moim szczęściu są mimo wszystko mocno przesadzone.

– Przemawia przez pana skromność. Wie pan, że ta bryłka to cholernie wielkie znalezisko. Widziałem raport bankowy. Ile pan za nią dostał, ze sto funtów?

– Mniej więcej – odparł zakłopotany Staines.

– I powiedział pan, że znalazł ją w wąwozie!

– W pobliżu wąwozu – poprawił go Staines. – Nie pamiętam tak dokładnie gdzie.

– No cóż, bez względu na to, gdzie pan ją znalazł, miał pan ogromne szczęście – stwierdził Mannering. – Skończy pan te mule czy już przejdziemy do serów?

– Przejdźmy do serów.

– Sto funtów! – powiedział Mannering, pokazując kelnerowi, żeby podszedł i sprzątnął brudne talerze. – To znacznie więcej, do diabła, niż cena za hotel Ruszt, chociaż nie wiem dokładnie, ile pan zapłacił. A ile?

Staines skrzywił się.

– Za Ruszt?

– Z jakieś dwadzieścia funtów, co?

Staines nie mógł uchylić się od odpowiedzi.

– Dwadzieścia pięć.

Mannering uderzył otwartą ręką w stół.

– No właśnie. Siedzi pan na forsie, a od czterech tygodni nie wydał pan ani pensa. Dlaczego? Co pan kombinuje?

Staines nie odpowiedział mu od razu.

– Zawsze uważałem, że jest wielka różnica między zachowaniem własnej i cudzej tajemnicy – odezwał się w końcu. – Tak wielka, że żałuję, że nie możemy posługiwać się dwiema przysięgami. Jedną składalibyśmy, żeby dotrzymać własnego sekretu, a drugą, aby dochować tajemnicy, której sami nie sprokurowaliśmy i może nawet nie chcieliśmy znać, ale

którą jednak ktoś nam powierzył. Moim zdaniem podobnie jest z miłością: istnieje olbrzymia różnica między miłością, którą dajemy lub chcemy komuś dać, a miłością, której pragniemy albo którą dostajemy.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu, a potem Mannering odezwał się gburowato:

- Chcesz mi pan powiedzieć, że za tym wszystkim kryje się coś więcej.
- Za szczęściem zawsze kryje się coś więcej – odpowiedział Staines.

WODNIK I SATURN

Rozdział, w którym Sook Yongsheng, od niedawna zamieszkały w Kaniere, w tamtejszym Chinatown, wybiera się po zakupy do sklepu żelaznego w Hokitika, gdzie zauważa go naczelnik George Shepard, znany mu jako brat mężczyzny, o którego zamordowanie Sook został oskarżony, oraz jako mąż Margaret, faktycznej morderczynie

Margaret Shepard stała w drzwiach sklepu, czekając, aż jej mąż skończy robić zakupy i zapłaci. Nie widziała Sooka Yongshenga, bo zasłaniała go szafka z artykułami sypkimi. Shepard wyszedł zza niej i zauważył go pierwszy. Przystanął natychmiast i zrobił groźną minę, odezwał się jednak zupełnie zwyczajnym głosem.

– Margaret.

– Tak, mój mężu.

– Wracaj do domu – powiedział naczelnik, nie spuszczać oczu z Sooka Yongshenga. – W tej chwili.

Nie zapytała dlaczego, tylko bez słowa odwróciła się i wybiegła. Kiedy zatrzasnęły się za nią drzwi, prawa dłoń Sheparda bardzo powoli poruszyła się i spoczęła na kaburze z bronią. W lewej ręce naczelnik trzymał papierową torebkę z rolką papieru, dwoma zawiasami, kłębkiem szpagatu i pudełkiem gwoździ o wydrążonych łebkach. Sook Yongsheng klęczał przy puszkach z naftą do lamp i liczył coś na palcach. Swoje paczki położył obok na podłodze.

Shepard niewyraźnie zdawał sobie sprawę, że w sklepie zapadła głucha cisza. Ktoś stojący za jego plecami zapytał:

– Czy coś się stało, szanowny panie?

Naczelnik nie odpowiedział od razu.

– Wezmę to – rzekł po chwili. Podniósł papierową torebkę i czekał. Po chwili usłyszał szepty, potem zbliżające się niepewne kroki, a później sprzedawca wyjął mu torebkę z ręki. Minęła prawie minuta. Sook Yongsheng wciąż liczył, nie podnosząc wzroku, a potem ten sam sprzedawca powiedział niemal szeptem: – To będzie szyling i sześć pensów, szanowny panie.

– Proszę to zapisać na rachunek więzienia – odparł Shepard.

DŁUGIE KRÓLOWANIE JOWISZA

Rozdział, w którym Alistair Lauderback, sądząc, że jego brat przyrodni, Crosbie Wells, jest też ze strony matki bratem przyrodnim łotra Francisa Carvera, a w związku z tym mniemając, iż Crosbie Wells uczestniczył w jakiś sposób w szantażu, zmuszającym go do oddania ukochanego barku „Z Bogiem”, zdumiewa się, kiedy dostaje ostemplowany w Hokitika list, wynika bowiem z niego jasno, że jego podejrzenia były całkiem fałszywe, a to odkrycie skłania go po długim i poważnym namyśle do napisania własnego listu

Byłoby przesadą twierdzić, że nowa korespondencja od pana Crosbiego Wellsa stanowiła wyłączny powód, dla którego Alistair Lauderback postanowił ubiegać się o mandat parlamentarny z okręgu Westland – list ten przechylił jednak szalę na korzyść tej decyzji. Lauderback przeczytał go dokładnie sześć razy, a potem westchnął, rzucił go na biurko i zapalił fajkę.

Zachodnie Canterbury, czerwiec 1865

Szanowny panie,

jak zauważysz po stemplu, nie jestem już mieszkańcem prowincji Otago, bo jak to się mówi, wziąłem tyłek w troki. Ty zapewne nie miałeś specjalnych powodów, żeby się zapuszczać na zachodnią stronę gór, więc powiem ci, że zachodnie Canterbury bardzo się różni od trawiastego południa. Wschód słońca nad brzegiem morza to szkarłatne чудо & ośnieżone szczyty mają kolor nieba. Krzewy są wilgotne & splątane & woda bardzo biała. To samotne miejsce, chociaż niezupełnie, bo ciągle śpiewają ptaki & to jest bardzo przyjemne, taka niezmienność. Jak już się pewnie domyślasz, dawne życie pozostawiłem za sobą. Z żoną żyję w separacji. Powinienem ci powiedzieć, że ukrywałem wiele w listach do ciebie, bo bałem się, że gdybyś poznał gorzką prawdę o moim małżeństwie, mógłbyś źle o mnie myśleć. Nie będę cię kłopotał szczegółami mojej ucieczki w to miejsce, gdyż to żalosna opowieść & przypominam ją sobie ze smutkiem. Dmuchałem na zimno, bom sparzył się dwa razy i chociaż inni mężczyźni mogą się pochwalić lepszymi wynikami, mnie to wystarczy i mogę powiedzieć, że dostałem nauczkę. Ale dość na ten temat, wolę mówić o tym, co jest teraz & o przyszłości. Nie zamierzam już dłużej szukać złota, chociaż zachodnie Canterbury aż łśni od kruszcu & ludzie codziennie zbijają tutaj fortuny. Nie, nie będę już poszukiwaczem & nie pozwolę, żeby znów mi ukradziono majątek. Spróbuję za to zająć się handlem drewnem. Poznałem wspaniałego człowieka, Maorysa nazwiskiem Terou Tow-Faray. W jego ojczystym języku to znaczy Gminny Dom Lat. Jakie nieciekawe nazwiska mamy my, Brytyjczycy, w porównaniu z nimi! Wydaje mi się, że mogłaby to być linijka z jakiegoś wiersza. Tow-Faray to szlachetny dzikus pierwszej klasy & szybko się zaprzyjaźniamy. Wyznaję, że ponowne przebywanie wśród ludzi podnosi mnie na duchu. Twój &c

CROSBIE WELLS

PRZYRODZONA GODNOŚĆ

Rozdział, w którym Emery Staines składa wizytę Annie Wetherell w hotelu Ruszt i po krótkim wstępie błaga ją, by przedstawiła mu swoją wersję historii ucieczki Crosbiego Wellsa, a Anna, zaintrygowana gwałtownością i szczerością jego prośby, nie widzi powodu, by nie opowiedzieć mu wszystkiego

Emery Staines nie rozpoznał sukni Anny, choć była jedną z tych pięciu, których miał pilnować z rewolwerem w dłoni w hotelu Głóg 12 maja po południu. Wprawdzie kiedy przyjrzał się jej pierwszy raz, zwrócił uwagę, że suknia jakoś dziwnie na niej leży – została ewidentnie skrojona na kobietę o znacznie bujniejszym biuście – zaraz jednak odsunął od siebie tę myśl. Przywitali się serdecznie, choć z obopólną niepewnością, i po niezręcznej pauzie Anna zaprosiła go do salonu, gdzie zasiedli przed kominkiem na krzesłach o prostych oparciach.

– Panno Wetherell – powiedział od razu Staines. – Chciałbym cię o coś zapytać... Co prawda, będzie to wielka impertynencja z mojej strony i powinnaś od razu mnie ofuknąć, jeśli nie zechcesz odpowiedzieć na moje pytanie... Choć może powinienem raczej powiedzieć, jeśli z jakiegokolwiek powodu nie zechcesz mi zrobić tej łaski...

– Och... – powiedziała Anna, a potem odetchnęła głęboko, jak gdyby zbierając się na odwagę, i odwróciła twarz.

– Co się stało? – spytał Staines i drgnął.

Anna raptownie podniosła się i przeszła przez pokój. Przez chwilę stała, oddychając głęboko, zwrócona twarzą do ściany.

– To głupie – powiedziała głuchym głosem. – To głupie. Nie zwracaj na mnie uwagi, zaraz dojdę do siebie.

Zdumiony Staines także wstał.

– Czy sprawiłem ci przykrość? – spytał. – Jeśli tak, to bardzo cię przepraszam. Ale co się stało? Co to może być?

Anna otarła twarz dłonią.

– Nic – odpowiedziała, wciąż odwrócona tyłem. – Po prostu mnie to zaskoczyło i tyle. Ale byłam głupia, nie pomyślałam o tym. To nie twoja wina.

– Co cię zaskoczyło? – spytał Staines. – O czym nie pomyślałaś?

– Po prostu o tym, że ty...

– Tak? Proszę, powiedz mi, bym mógł naprawić swój błąd. Proszę.

Opanowała się w końcu i odwróciła.

– Zadaj mi swoje pytanie – powiedziała, uśmiechając się z trudem.

– Jesteś całkiem pewna, że nic ci nie jest?

– Absolutnie – powiedziała Anna. – Proszę, pytaj.

– No dobrze – powiedział Staines. – Proszę bardzo. Chodzi mi o człowieka nazwiskiem Crosbie Wells.

Żal na twarzy Anny ustąpił miejsca zdumieniu.

– Crosbie Wells?

– Wydaje mi się, że to nasz wspólny przyjaciel. A przynajmniej ja darzę go zaufaniem, sądzę jednak, że ty też.

Dziewczyna milczała. Przez chwilę przyglądała się młodzieńcowi spod zmrużonych powiek, po czym zapytała:

– Skąd go znasz?

– Nie mogę ci opowiedzieć o tym szczegółowo – odrzekł Staines. – Poprosił mnie, abym to zachował w tajemnicy. To znaczy miejsce jego pobytu i okoliczności, w jakich się poznaliśmy. Wymienił jednak twoje nazwisko w związku ze złotym samorodkiem, człowiekiem nazwiskiem Francis Carver i jakąś kradzieżą. Jeśli nie uważasz, że jestem zbyt arogancki... A jestem, wiem, że jestem... To bardzo chciałbym usłyszeć całą tę historię od ciebie. Nie mogę twierdzić, że to sprawa życia i śmierci, albowiem tak nie jest, i nie mogę twierdzić, że wiele zależy od tego, co mi odpowiesz, bo właściwie od tego nic nie zależy. Tyle tylko, że wszedłem z panem Carverem w coś w rodzaju spółki. Zachowałem się jak głupiec, teraz o tym wiem, i mam poczucie, okropne, że pomyliłem się co do niego i jest on mimo wszystko złoczyńcą.

– Czy on tu przyjechał? – spytała dziewczyna. – Crosbie... Jest w Hokitika?

– Niestety, tego też nie mogę ci powiedzieć – odrzekł Staines.

Ręce Anny przesunęły się na brzuch.

– Nie musisz mi mówić, gdzie Crosbie mieszka – odparła. – Ale chcę, żebyś przekazał mu wiadomość. Ważną wiadomość... Ode mnie.

ASCENDENT

Rozdział, w którym Te Rau Tauwhare nie chce wspomnieć Crosbiemu Wellsovi o Francisie Wellsie, a tym bardziej przedstawić mu okoliczności ich krótkiego spotkania sprzed miesiąca, co wynika w równym stopniu ze skrytości ducha Tauwharego, jak i z jego niejakiej przebiegłości w sprawach finansowych; Maorys uważa bowiem, że gdy następnym razem spotka Carvera, łatwo zarobi szylinga, a może nawet więcej

Crosbie Wells kupił szyby do podzielonego na cztery części okna, lecz musiał je jeszcze przyciąć i wstawić parapet, tymczasem więc szkło stało oparte o ścianę, słabo odbijając migotliwe światło lampy oraz kwadratową kratkę pieca.

– Znałem pewnego człowieka, który stracił rękę podczas powodzi w Dunstan – mówił Wells. Leżał na sienniku, trzymając na piersi butelkę whisky. Tauwhare siedział naprzeciwko niego ze swoją flaszką. – Wpadł do rzeki, do bystrzyny, rozumiesz, a ręka uwięzła mu pomiędzy skałami i nie mogli jej już uratować. Nosił jakieś pospolite nazwisko, Smith, Stone czy coś takiego. W każdym razie chodzi o to, że opowiadał o tym później, znaczy o tym wypadku, i powiedział, że najbardziej żał mu tej ręki, dlatego że miał na niej tatuaż, przedstawiający statek pod pełnymi żaglami. Zrobił sobie tę ozdobę w prezencie, po przepłynięciu przylądka Horn, i strasznie ubolewał, że ją stracił. Nie wiem dlaczego, ale zapamiętałem tę historię o utracie tatuażu. Poradziłem mu, żeby wytatuował sobie statek na drugiej ręce, ale on dziwnie na to zareagował: „Tego nie zrobię. Nigdy”.

– To boli – zauważył Tauwhare. – *Ta moko*.

– Czy czasami jak widzisz swoje odbicie, nie jesteś zaskoczony? – zapytał Wells, przyglądając się Maorysowi. – Wiesz, kiedy przez dłuższy czas nie miałeś pod ręką lustra. Czy człowiek zapomina wtedy, że ma tatuaże?

– Nie – odparł Tauwhare. – Nigdy. – Jego twarz spowijał cień, a światło podkreślało zmarszczki wokół ust, nadając im poważny, groźny wyraz.

– Ja chyba bym zapomniał.

– Mamy takie powiedzenie – rzekł Tauwhare. – *Taia a moko hei hoa matenga mou*.

– Ja kiedyś pociąłem jednemu gościowi twarz nożem – odpowiedział Wells, wciąż uważnie przyglądając się swojemu rozmówcy. – Teraz ma bliznę, o tutaj. Od oka do ust. Krwawił jak wieprz. Twoja rana też tak bardzo krwawiła?

– Tak.

– Zabiłeś kiedyś człowieka, Tauwhare?

– Nie.

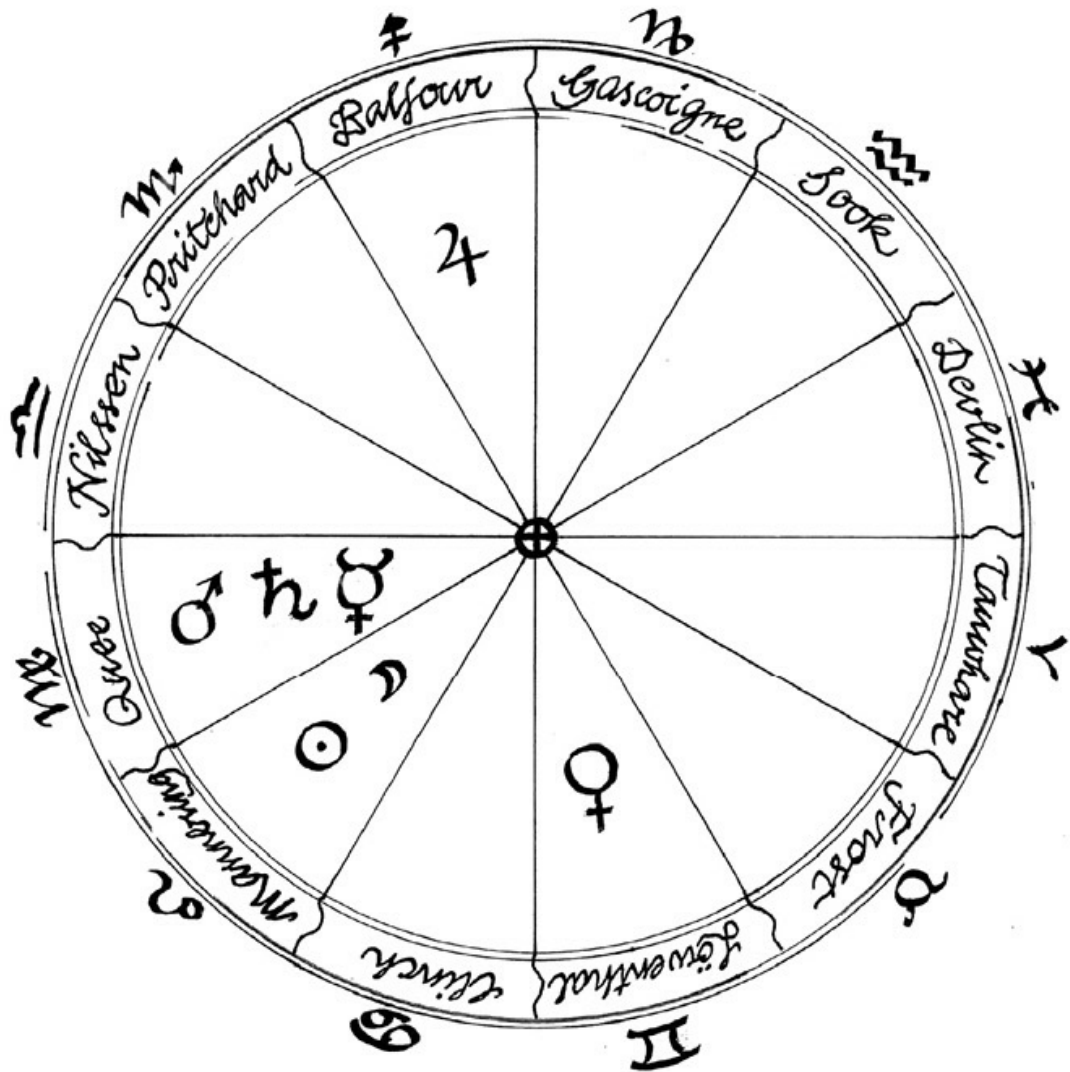
– Nie – odrzekł Wells, wracając do swojej butelki. – Ja też nie.

CZĘŚĆ ÓSMIA

Prawda o Aurorze

22 sierpnia 1865 roku

42°43'0" S / 170°58'0" E



SATURN W PANNIE

Rozdział, w którym Quee Long wnosi skargę na policję, a George Shepard, którego nienawiść do Sooka Yongshenga z czasem urosła, by objąć wszystkich Chińczyków, nie przyjmuje jego wniosku i ani w tym momencie, ani później nie odczuwa żadnych wyrzutów sumienia z powodu swojej niesprawiedliwości

– Nie rozumiem, o co panu chodzi.

Ah Quee westchnął. Po raz trzeci wskazał swoją umowę o pracę, leżącą między nimi na biurku Sheparda. W miejscu oznaczonym jako „aktualne zatrudnienie” widniała nazwa; „Aurora”.

– Pusta działka – wyjaśnił. – Aurora być pusta działka.

– Aurora to pusta działka, a ty na niej pracujesz. Tak, to rozumiem.

– Mannering – powiedział Ah Quee. – Mannering z pusta działka zrobić działka niepusta.

– Mannering zrobić działka niepusta – powtórzył Shepard.

– Bardzo dobry – odpowiedział Ah Quee, kiwając głową. – Bardzo zły człowiek.

– No to jaki on jest, dobry czy zły?

Ah Quee zmarszczył brwi, a potem odrzekł:

– Bardzo zły człowiek.

– A jak on zmienia pustą działkę w niepustą? Jak? No jak?

Ah Quee wyjął swoją sakiewkę i podniósł ją. Bardzo powoli, żeby Shepard wszystko dokładnie widział, wyciągnął srebrnego pensa, a potem przełożył go do lewej kieszeni. Odczekał chwilę, po czym włożył monetę z powrotem do sakiewki.

Shepard westchnął.

– Panie Quee, widzę, że pańska umowa o pracę wygaśnie dopiero za ładnych kilka lat, ale moja cierpliwość skończyła się już przed kilkoma minutami. Nie mam środków ani zamiaru, by rozpoczynać śledztwo w sprawie dochodów pana Manneringa na podstawie nieporadnie wyartykułowanego donosu. Proponuję, by wrócił pan do Aurory i uważał się za szczęściarza, że w ogóle ma pan pracę.

JOWISZ W STRZELCU

Rozdział, w którym Alistair Lauderback, ogłosiwszy oficjalnie, że będzie kandydować z okręgu Westland na posła w nowozelandzkim parlamencie czwartej kadencji, dzięki czemu oprócz dalszego rozwoju swojej wspaniałej kariery politycznej przeprawi się w najbliższych miesiącach przez Alpy do Westlandu i będzie mógł odbyć rozmowę ze swoim bratem z nieprawego łoża, o którą ten prosił go od bardzo dawna, zwraca się myślami ku sprawom praktycznym, a ściśle rzecz biorąc, prosi swojego dawnego współpracownika, by zajął się pewnymi kwestiami natury praktycznej w jego, czyli Lauderbacka, imieniu

Akaroa, 22 sierpnia

Mój drogi Tomie,

tuszę, że już wiesz, iż zamierzam kandydować na posła z okręgu Westland, ale jeśli ta wiadomość Cię dziwi, to załączam artykuł z „Czasu Lyttelton”, który wyjaśnia moją decyzję i powody jej podjęcia bardziej szczegółowo, niż mógłbym to zrobić tutaj. Możesz być pewien, że bardzo chcę zobaczyć na własne oczy piękne pejzaże zachodniego Canterbury. Planuję przybyć do Hokitika przed 15 stycznia, co będzie zależało od pogody, odbędę bowiem podróż drogą lądową, nie morską, żeby przejechać się po przyszej Drodze do Christchurch i przyjrzeć się jej. Jak wiesz, lubię podróżować bez większej ilości bagażu, dlatego dałem zlecenie, by kufer z moimi rzeczami osobistymi dostarczono z Lyttelton pod koniec grudnia. Czy „Cnota” mogłaby go zabrać z Dunedin przed wypłynięciem 10 stycznia i przetransportować na Wybrzeże? Jako przybysz nieznaną zachodniego Canterbury, zdam się na Twoją doskonałą znajomość Hokitika w kwestii mieszkania, wyżywienia, wynajęcia powozu, przynależności do klubów &c. Całkowicie ufam Twojemu dobremu smakowi i umiejętnościom i pozostaję twój, &c

A. LAUDERBACK

NÓW – KSIĘŻYC W LWIE

Rozdział, w którym Mannering, wioząc Annę Wetherell do Kaniere, dostrzega w niej coś nowego, jakby nieczułość i coś w rodzaju rezerwy; ta obserwacja wzrusza go w duchu i robi mu się żal dziewczyny, choć gdy się do niej odzywa po mniej więcej trzech milach, nie robi tego po to, by dodać jej otuchy, albowiem czas, który minął od tamtej chwili, i jego uczynił nieczułym

– Nie możemy sobie pozwolić na nieszczęście. Nieszczęście źle odbija się na interesach, bez względu na to, jakie one są. Ludzie nie będą stawiać na nieszczęście ani przeciwko niemu, a w naszej branży muszą obstawiać za albo przeciw czemuś, rozumiesz?

– Tak – odpowiedziała Anna. – Rozumiem.

Odwoził pannę Wetherell do Chinatown, gdzie czekał na nią Ah Sook z opium.

– Nigdy nie kazałem zamordować ani nawet pobić żadnej dziewczyny – powiedział.

– Wiem.

– Dlatego możesz mi zaufać.

SŁOŃCE W LWIE

Rozdział, w którym Staines zwierza się Manneringowi na tyle, aby przyznać, że podpisał umowę o wspólnej inwestycji z panem Francisem Carverem, i wyjaśnia, że jego pierwsza opinia o charakterze i opowieści Carvera była i jest bardzo mylna, teraz bowiem sądzi, iż Carver jest łajdakiem, absolutnie niezastępowalnym na jakikolwiek uśmiech losu – na co Mannering, chichocząc z cicha, proponuje dosyć wstrząsające, bo tchórzliwe rozwiązanie

– Na złotodajnym polu można popełnić tylko jedno prawdziwe przestępstwo – rzekł Mannering do Stainesa, kiedy przedzierał się przez krzaki ku południowemu krańcowi Aurory. – Nie przejmuj się pan morderstwem, kradzieżą ani zdradą. Nie: tutaj zbrodnią nad zbrodniami jest oszustwo. Rozumie pan, łudzenie kopaczy nadzieją. A nadzieja to wszystko, co ma poszukiwacz. Oszukać kopacza można na dwa sposoby. Pierwszym jest dosypywanie na działkę złota pochodzącego z innych źródeł, a drugim ogłoszenie działki pustą.

– A które oszustwo uważane jest za poważniejsze?

– To zależy od tego, co pan rozumie przez „powagę” – odpowiedział Mannering, rozgarniając jakieś pnącza. – Jeśli będzie pan dosypywał złoto na działkę i ktoś pana na tym przyłapie, to mogą pana zamordować w pańskim własnym łóżku, a jeśli ogłosi pan, że działka jest pusta i zostanie pan przyłapany na kłamstwie, to mogą pana zlinczować. Z zimną krwią albo pod wpływem impulsu, do wyboru.

Staines uśmiechnął się.

– Czy będę robić interesy z człowiekiem, mającym zimną krew?

– Niech pan sam odpowie sobie na to pytanie – rzekł Mannering, gwałtownie zatrzymując się i wyciągając rękę. – Oto i ona: Aurora.

– Ach – odrzekł Staines, również przystając. Obaj panowie lekko dyszeli po wyczerpującym marszu. – No cóż... To bardzo dobrze.

Przyglądali się działce. Staines zauważył Chińczyka, który siedział w kucki jakieś trzydzieści jardów od nich z płuczką w rękach.

– Co jest przeciwieństwem „biletu do domu”? – spytał po chwili Mannering. – Działka, dzięki której nigdy do domu nie wrócę? Z winy pana Carvera?

– Kto to jest? – spytał Staines.

– To Quee – odparł Mannering. – On tu zostanie.

Staines ściszył głos.

– Czy ten człowiek wie?

Mannering wybuchnął śmiechem.

- „Czy ten człowiek wie?” A co ja panu przed chwilą powiedziałem? Nie mam ochoty zostać zamordowany w swoim własnym łóżku, dziękuję bardzo.
- Na pewno uważa, że to strasznie kiepski interes.
- Nie mam zielonego pojęcia, co on myśli – odpowiedział z pogardą Mannering.

INNY ŚWIT

Rozdział, w którym Ah Quee dotyka pancernego szwu stanika Anny i dokonuje dziwnego odkrycia, choć jego znaczenie pozna w pełni dopiero osiem dni później, gdy obejrzy dokładnie wszystkie cztery muślinowe suknie dziewczyny i zorientuje się, jaką fortunę kryją, nie licząc, oczywiście, złotego piasku zaszytego w sukni z pomarańczowego jedwabiu, której Anna nigdy nie nosi w Kaniere

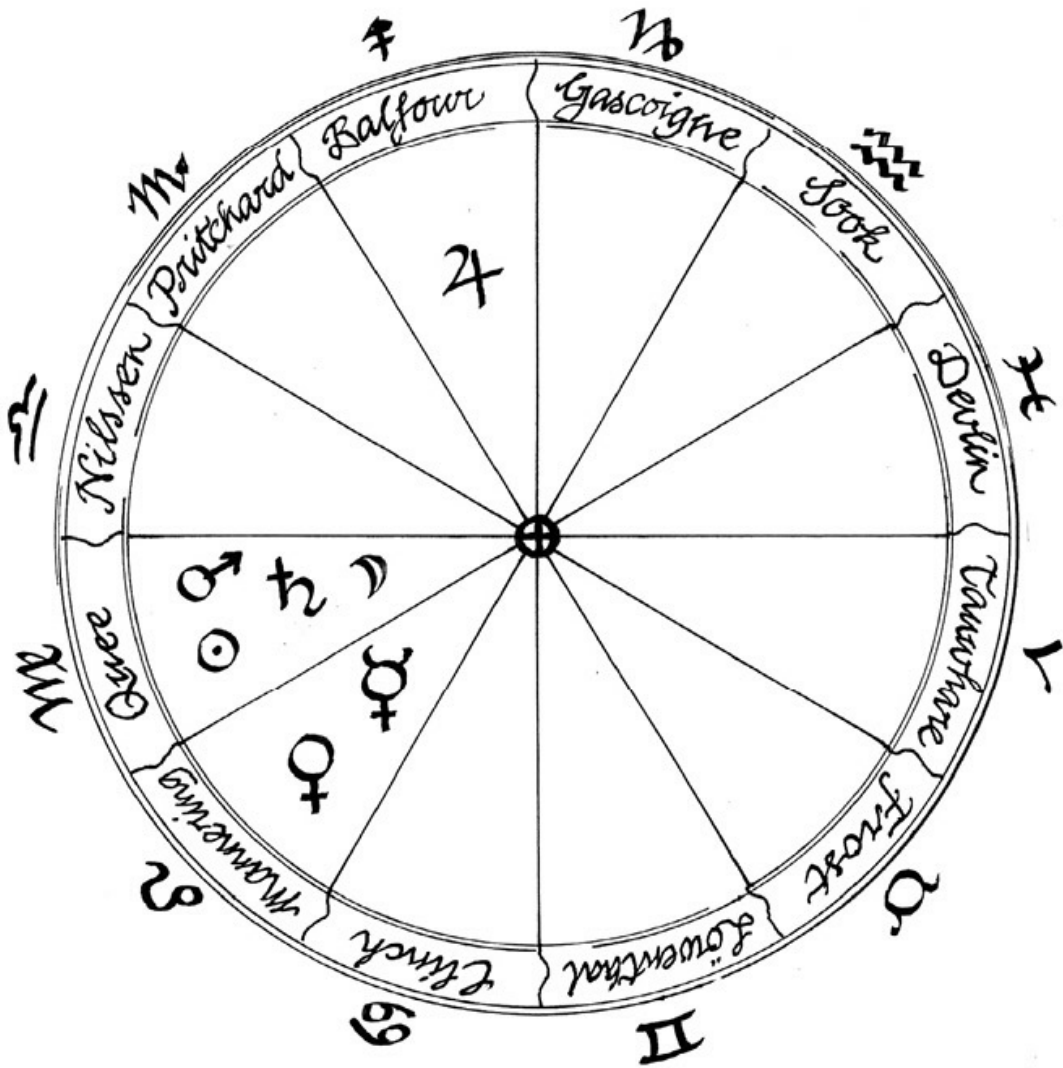
Panna Wetherell leżała całkiem nieruchomo, z zamkniętymi oczami, kiedy Ah Quee dotknął dłonią jej sukni. Opukał palcami każdy cal gorsetu, obmacał każdą falbankę. Podniósł ciężki rąbek i przesunął go w palcach. Jego metodycznie pracujące dłonie wydawały się zatrzymywać Annę w czasie i przestrzeni. Uznała, że Ah Quee musi najpierw dokładnie obmacać jej suknię, zanim dotknie jej ciała, i ta pewność napełniła ją jasnym, potężnym spokojem. Gdy wsunął jej ręce pod pachy, by ją przewrócić na brzuch, poddała się bez słowa, podnosząc bezwładne dłonie do ust niczym dziecko i odwracając twarz w kierunku kufra.

CZĘŚĆ DZIEWIĄTA

Zmienna Ziemia

20 września 1865 roku

42°43'0" S / 170°58'0" E



DRUGA KWADRA – KSIĘŻYC W PANNIE

Rozdział, w którym Ah Quee wypełnia palenisko węglem drzewnym, by przetopić resztę złota, wyprutego z sukni Anny, i opatrzeć sztabki nazwą złotodajnej działki, na której pracuje – Aurora, a strapiona Anna pomrukuje przez sen i przyklada rękę do policzka, jak gdyby próbując zatamować krew z rany

Kiedy się obudziła, było już rano. Stwierdziła, że Ah Quee przeniósł ją w kąt chaty. Podsunął dziewczynie pod głowę złożony w kostkę koc i okrył ją swoją wełnianą peleryną. Po przebudzeniu domyśliła się, że mówiła przez sen, bo czuła się rozpalona i zaniepokojona, miała mokre włosy i rumieńce na twarzy. Ah Quee jeszcze nie zauważył, że Anna już nie śpi. Leżała nieruchomo i patrzyła, jak Chińczyk krząta się, robiąc sobie śniadanie, ogląda swoje paznokcie, kiwa głową, mruczy i schyla się, żeby rozgarnąć węgle.

SŁOŃCE W PANNIE

Rozdział, w którym Emery Staines, dowiedziawszy się od Crosbiego Wellsa, jak okpił go Francis Carver – albowiem Staines i Wells zdążyli się już obdarzyć zaufaniem i przyjaźnią – nieoczekiwanie postanawia sfałszować raport kwartalny, usuwając z rejestrów Aurory wszelkie ślady po skarbie, i całkowicie zapomina przy tym o zawziętym robotniku, Quee'em, który zgodnie z prawem i bez względu na charakter swojej umowy o pracę zasługuje na premię

Wszedłszy do filii bankowej w obozowisku, Emery Staines zauważył ze zdziwieniem, że na skrytce Aurory pojawiła się flaga, co oznaczało, że ktoś złożył w niej kruszec. Młodzieniec poprosił, by strażnik otworzył skrytkę. W środku leżała starannie ułożona koronka złotych sztabek i Staines wziął do ręki jedną z nich.

– Ile by pan zażądał, gdybym poprosił, aby odwrócił się pan na chwilę, podczas gdy ja przeniosę zawartość tej skrytki gdzie indziej? – spytał po chwili.

Strażnik zastanawiał się przez pewien czas, przebiegając palcami po lufie karabinu.

– Zrobię to za dwadzieścia funtów – powiedział. – Sztetlingów. Nie za złoto.

– Dam panu pięćdziesiąt – odpowiedział Staines.

CZĘŚCIOWE ZAĆMIENIE SŁOŃCA

Rozdział, w którym Emery Staines wędruje do Doliny Arahura z torbą w ręku i zamiarem zakopania skarbu na jakiś czas na ziemi Maorysów, nie biorąc pod uwagę tego, że Francis Carver może wkrótce powrócić do Hokitika, by sprawdzić, dlaczego tak obiecująca inwestycja jak kopalnia Aurora stała się naprawdę pustą działką

Siedzący w kępie lnu, na wysokości ramienia Stainesa, ptak tui pochylił dziób, wydając charakterystyczny, grzechotliwy krzyk, który zabrzmiał w uszach młodzieńca tak, jak gdyby do wtóru granej na trzciniowym gwizdku melodii ktoś przeciągał kijem po wbitych w ziemię kołkach. Jaki to cudownie niezwykły dźwięk! Chłopak wyciągnął rękę i dotknął woskowatych łodyg lnu, z przyjemnością zauważając ich jaskrawe kolory: fiolet na brzegach przechodził na środku w rozbieloną zieleń.

Ptak odleciał z łopotem skrzydeł i zapadła cisza. Staines schylił się i podniósł sztabki złota. Umieścił je starannie na dnie dołu, który wykopał już wcześniej. Kiedy zasypał je ziemią, ułożył na niej kilka płaskich kamieni w taki sposób, by móc rozpoznać to miejsce, po czym zatarł nogą ślady swoich stóp.

PAPA-TU-A-NUKU

Rozdział, w którym mniej więcej pół mili w dół rzeki od miejsca, gdzie niedawno zostało zakopane złoto, Crosbie Wells i Tauwhare zasiadają do hangi, potrawy przygotowanej w zasypnym ziemią gorącym popiele, i właśnie rozwijają mięso z liści, aby rozpocząć ucztę, na którą składa się wilgotne, bogato przyprawione pieczone, przesycone wonią dymu i taniny oraz żyznym, gliniastym posmakiem ziemi

– Chodzi mi o to, że nie ma w tym nic niezwykłego. Wy handlujecie kamieniem, a my złotem. Równie dobrze mogłoby być na odwrót. Moglibyśmy mówić o gorączce zielonego kamienia. Czy o zielonej gorączce.

Tauwhare zastanawiał się nad tym, nie przerywając jedzenia. Po chwili przełknął i pokręcił głową.

– Nie – odparł.

– Nie ma żadnej różnicy – upierał się Wells, sięgając po kolejny kawałek mięsiwa. – Może ci się to nie podobać, ale musisz przyznać, że to prawda. Twój kamień i nasze złoto pochodzą z ziemi. Jedno i drugie to skała.

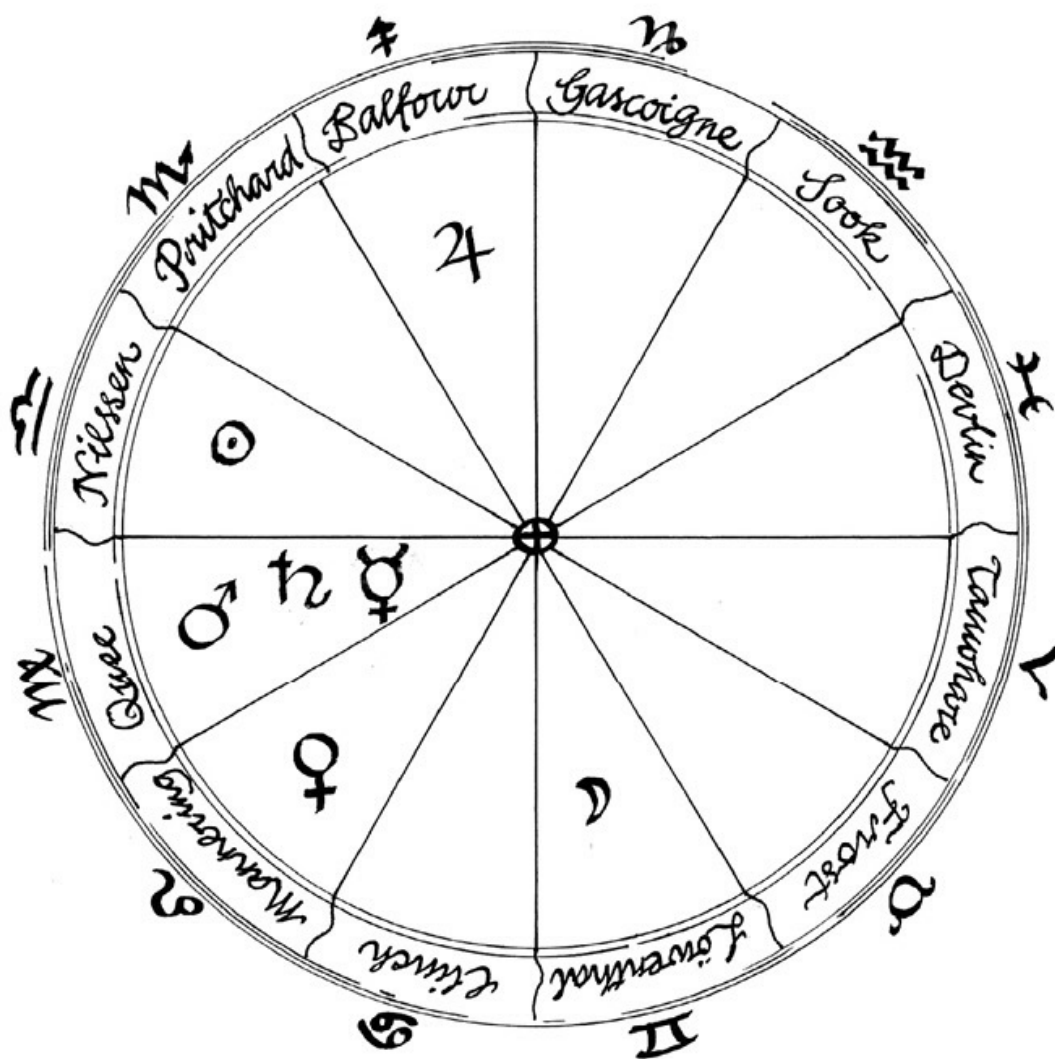
– Nie – odparł Tauwhare, który wyglądał na rozgniewanego. – To nie jest to samo.

CZEŚĆ DZIESIĄTA

Kwestie sukcesji

11 października 1865 roku

42°43'0"S / 170°58'0"E



KRZYWDA

Rozdział, w którym Anna Wetherell z przerażającą, chorobliwą dokładnością przypomina sobie bójkę, do jakiej doszło w Dunedin, w buduarze w Domu Wielu Życzeń pamiętnej nocy 12 maja, albowiem codziennie dręczy ją to wspomnienie; a udręki nie łagodzi świadomość, że jej współudział w owym wydarzeniu, chociaż milczący, pomógł niewinnemu człowiekowi wyjść z opresji bez szwanku – dlatego nieoczekiwane spotkanie z oszpeconym Carverem ją zaskakuje i Anna w chwili słabości się zapomina

Francis Carver jechał właśnie w stronę gór Drogą do Kaniere, gdy zauważył przy gościńcu znajomą postać. Ściągnął cugle, zsiadł z konia i podszedł do dziewczyny, widząc, że jej chód jest niepewny, a twarz mocno zarumieniona i uśmiechnięta.

– Uciekł – mruzczała Anna. – Pomogłam mu.

Carver podszedł bliżej. Wsunął dziewczynie palec pod brodę i odchylił jej głowę do tyłu.

– Komu?

– Crosbiemu.

Carver natychmiast zeszywniał.

– Wellsowi – powiedział. – Gdzie on jest?

Anna czknęła i nagle zrobiła przerażoną minę.

– Gdzie?

Carver cofnął się i mocno uderzył dziewczynę w twarz.

– Odpowiadaj. Jest tutaj?

– Nie!

– W Otago? W Canterbury? Gdzie?

Zrozpaczona Anna odwróciła się, chcąc uciec. Carver chwycił ją za ramię i szarpnął... ale w tym momencie gdzieś w pobliżu rozległ się strzał...

– Och! – krzyknął Carver, odwracając się błyskawicznie...

A jego koń stanął dęba...

UPADEK

Rozdział, w którym Anna Wetherell kłamie, by chronić Crosbiego Wellsa, i tym spóźnionym aktem lojalności próbuje odpokutować swoją wcześniejszą zdradę, której mgliste wspomnienie zmienia się w jej głowie i niepewnie oddala, albowiem umysł dziewczyny został potrójnie zaćmiony, najpierw przez opium, potem wskutek przemocy, a w końcu opiatami, zaaplikowanymi przez doktora Gilliesa przed wyjątkowo nieprzyjemnym zabiegiem, w trakcie którego Anna szlochała, jęczała i drapała się, wpadając w taką rozpacz, że lekarz musiał poprosić o pomoc, aby ją powstrzymać, a Löwenthal, człowiek zazwyczaj dzielnie się trzymający w sytuacjach burzliwych i kryzysowych, płakał jak dziecko, gdy przytrzymywał jej rękę

Kiedy Anna otworzyła oczy, Löwenthal pochyłał się nad nią z białą ściereczką w jednej ręce i fiolką laudanum w drugiej. Obok aptekarza stał blady Edgar Clinch.

– Ocknęła się – rzekł Clinch.

– Anno – odezwał się Löwenthal. – Anno. Serce ty moje.

– Mmm...

– Powiedz nam, co się stało. Powiedz, kto to był.

– Carver – odparła niskim głosem.

– Tak? – powiedział Löwenthal, pochylając się nad nią.

Nie może zdradzić Crosbiego Wellsa. Przysięgła, że go nie zdradzi. Nie wolno jej wymienić jego nazwiska.

– Carver... – powtórzyła, skupiając myśli, a potem popadając znowu w roztargnienie.

– Tak?

– ...był ojcem – powiedziała Anna.

DESCENDENT

Rozdział, w którym Emery Staines, dowiedziawszy się od Benjaminia Löwenthala o pobiciu Anny, natychmiast siodła konia i jedzie do Doliny Arahura, zaciskając zęby i roniąc łzy, będące zewnętrzną oznaką rozstroju nerwowego, chociaż przez cały czas podróży na północ nie przyznaje się do jego prawdziwej przyczyny, a tym bardziej nie próbuje jej wyartykułować, albowiem osoba cierpiąca nie może od razu wypowiedzieć ani zrozumieć żadnej silnej emocji, a młodzieniec tak się przestraszył widoku krwi, płamiącej fartuch Löwenthala od piersi po biodra, oraz jego sugestywnej opowieści o obrażeniach, jakich doznała Anna, że zapomniał w stajni zarówno swojego pugilaresu, jak i kapelusza, a kiedy wyjeżdżał, o mało nie stratował Haralda Nilssena, wychodzącego ze sklepu Tiegreena z papierową torbą pod pachą

Wells otworzył drzwi. Na progu stał zgięty wpół Emery Staines.

– Dziecko umarło – zaszlochał młodzieniec. – Twoje dziecko nie żyje.

Wells pomógł mu wejść do środka i wysłuchał jego opowieści. Potem przyniósł butelkę brandy i napełnił dwie szklaneczki. Wypili. Wells nalał następną kolejkę, a potem trzecią.

Kiedy butelka była już pusta, Staines powiedział:

– Dam jej połowę. Podzielę się z nią. Mam sekretny skarb, zakopany w ziemi. Wykopię go.

Wells wpatrywał się w niego. Po pewnym czasie zapytał:

– A ile jest warta połowa?

– No cóż – mruknął Staines. – Jakieś dwa tysiące. – Położył głowę na stole i zamknął oczy.

Wells przyniósł blaszane pudełko z półki, otworzył je, wyciągnął z niego czystą kartkę i wieczne pióro, a potem napisał:

Dnia dzisiejszego, 11 października Roku Pańskiego 1865, PAN EMERY STAINES, niegdyś mieszkaniec Nowej Południowej Walii, przekazuje kwotę dwóch tysięcy funtów PANNIE ANNIE WETHERELL, niegdyś mieszkance Nowej Południowej Walii, czego świadkiem jest PAN CROSBIE WELLS, spisujący umowę.

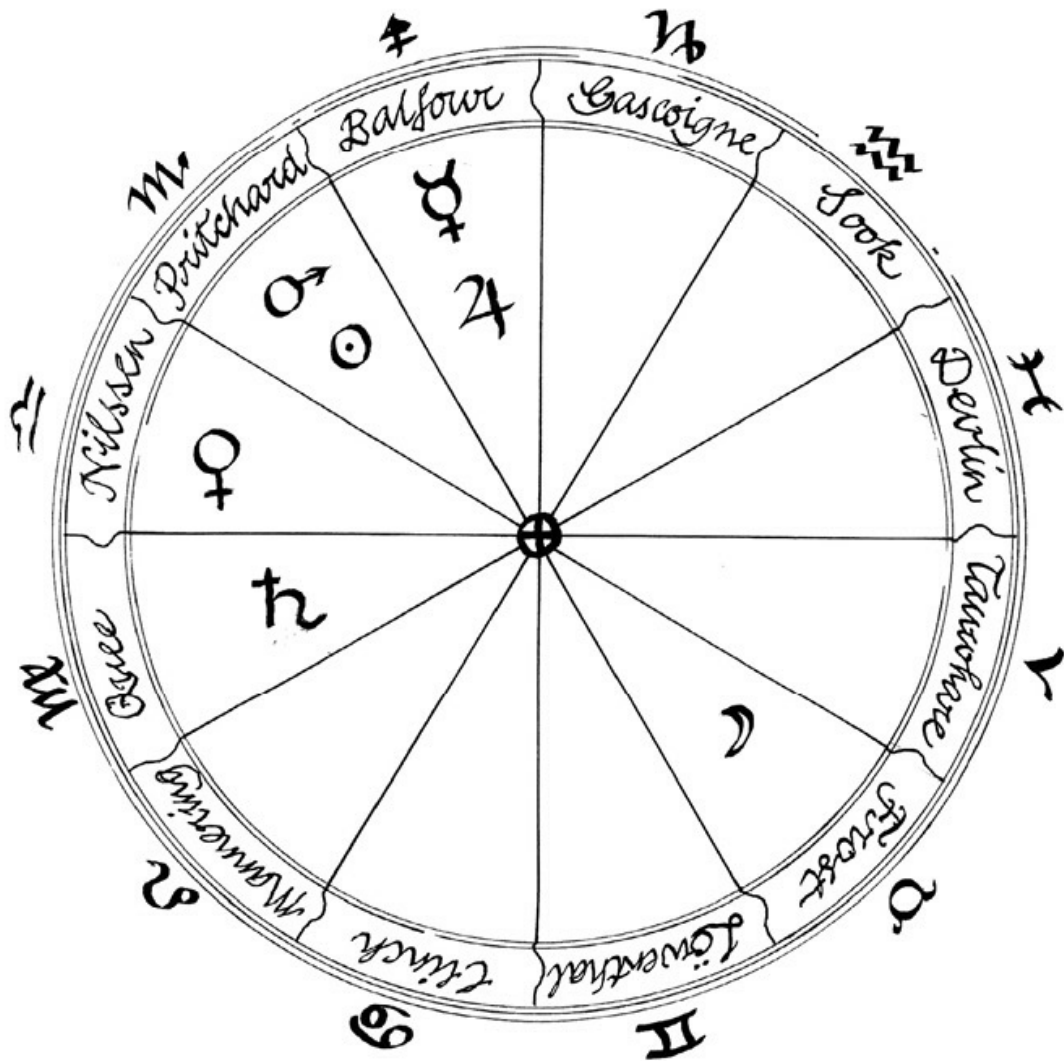
– Już – powiedział Wells. Podpisał się i podsunął kartkę Stainesowi. – Podpisz.

Ale młodzieniec zasnął.

CZĘŚĆ JEDENASTA

Orion zachodzi, kiedy wschodzi Skorpion

3 grudnia 1865 roku
42°43'0" S / 170°58'0" E



KSIEŻYC W BYKU (W ZASIĘGU ORIONA)

Rozdział, w którym pogrążona w zadumie Anna Wetherell podlicza swoje długi i popada w takie strapienie, że – by tak powiedzieć – odwraca od niego oko swojego umysłu i rozgląda się za innym, lżejszym tematem, zatrzymując się nieuchronnie na uśmiechniętym, jasnookim Emerym Stainesie; zaczęło jej bowiem zależeć na jego dobrej opinii bardziej niż na zdaniu jakichkolwiek innych jej znajomych, a tłumiała to pragnienie równie często, jak je wyrażała, wiedząc, że Staines stoi znacznie wyżej od niej w hierarchii społecznej i ma przed sobą wiele jasnych perspektyw, ona zaś zaledwie kilka mrocznych, oraz zakładając, że także jego uczucia różnią się diametralnie od żywionych przez nią wobec niego, o czym była przekonana, mimo że od czasu, kiedy wyzdrowiała, Staines odwiedził ją trzykrotnie, a ostatnio podarował jej butelkę andaluzyjskiej brandy, jedyną pozostałą w całym Hokitika, chociaż kiedy wyjmowała ją z jego rąk, wystraszył się nagle i powiedział błagalnie, że jednak ją zabierze i wróci z jakimś innym, stosowniejszym prezentem, na co Anna odpowiedziała szczerze, że bardzo pochlebia jej to, iż otrzymała dar, który w żaden sposób nie może być stosowny, a poza tym jest to ostatnia butelka tego trunku w mieście, stanowi zatem rzadszy i bardziej wyjątkowy prezent niż jakakolwiek oddana jej kiedyś przysługa czy błyskotka

Dług Anny u Manneringa podwoił się przez ostatni miesiąc. Sto funtów! Spłacenie takiej sumy zajęłoby jej dziesięć lat, a może nawet więcej, jeśli wziąć pod uwagę oprocentowanie u lichwiarzy oraz cenę opium – a także to, że wartość Anny zacznie w końcu nieubłagane spadać. Jej oddech osiadł kroplami w kącie okna; wyciągnęła rękę, żeby ich dotknąć. W głowie dziewczyny kołatał się jakiś cytat, maksyma: „Upadła kobieta nie ma przyszłości, natomiast mężczyzna, który podniósł się z upadku, zostawił przeszłość za sobą”. Czy gdzieś to usłyszała, czy może sama ułożyła te słowa?

SŁOŃCE W SKORPIONIE

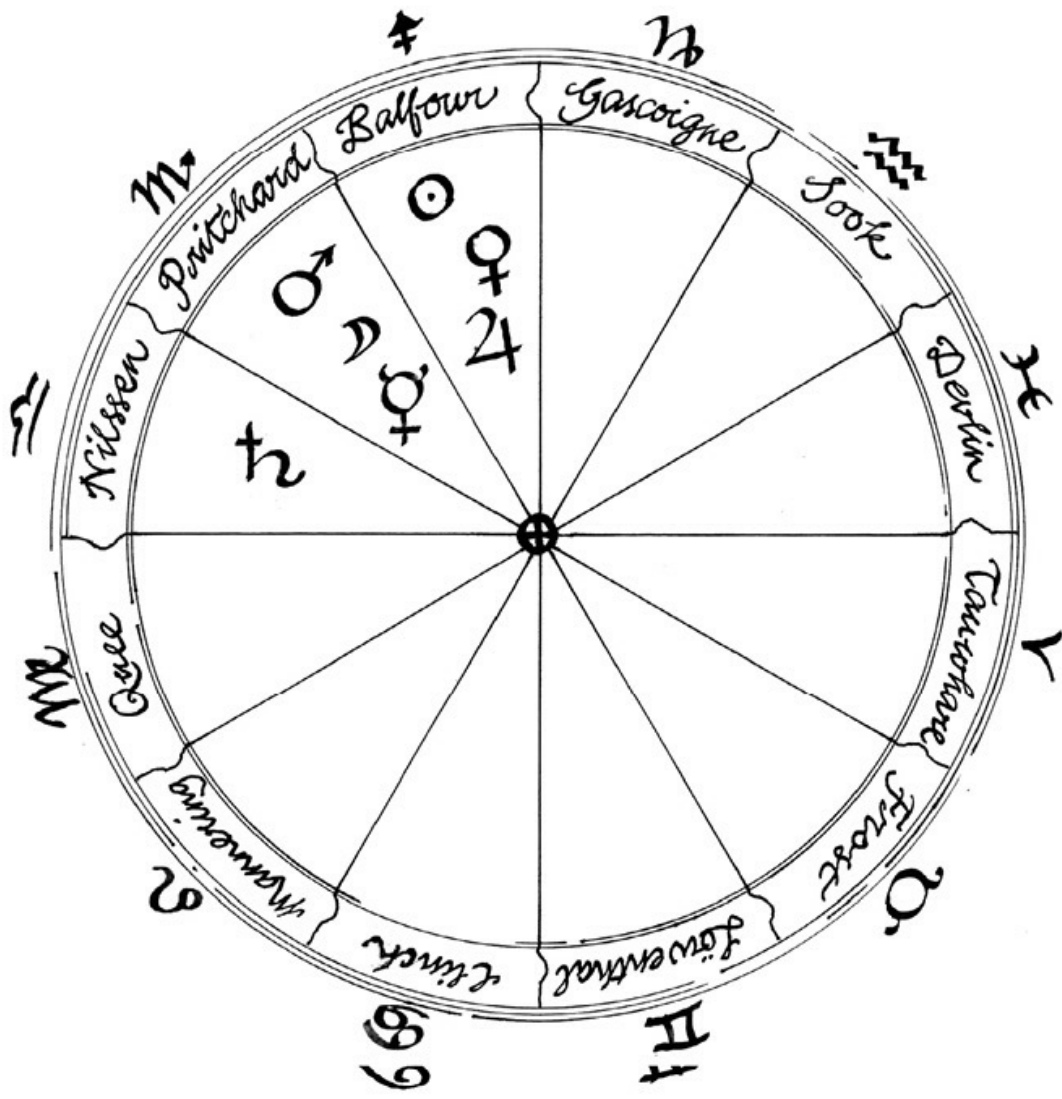
Rozdział, w którym zadumany Emery Staines wątpi w swoje intencje, gdyż wskutek wrodzonej szczerości niezwykle łatwo zaakceptował dręczące go pożądanie, a jego zachwyty oraz znaczna łatwość, z jaką może je zaspokoić, nie budzą w nim wstydu, każą mu się jednak zastanowić, albowiem bez względu na różnice w ich pozycji społecznej młodzieniec odczuwa pewną więź z Anną Wetherell, chociaż czuje się właściwie mniej niż bardziej dopełniany przez nią w tym sensie, że jej usposobienie, jednocześnie sprzeczne i podobne do jego usposobienia, wydaje się oświeślać takie wewnętrzne aspekty jego charakteru, których Staines nie ujawnia albo nie może ujawnić, a zatem czuje się jakby przepołowiony i podwojony zarazem albo, inaczej mówiąc, czuje się podwojony, kiedy znajduje się w obecności Anny, i przepołowiony, gdy jej przy nim nie ma; w rezultacie zaś zaczyna nagle wątpić w szczerść i dobrotliwą ciekawość, które normalnie popchnęłyby go do działania bez zwłoki i zwątpienia, lecz te jego rozmyślania przerywane są co chwila słowami Josepha Pritcharda: „Gdyby nie jej długi i uzależnienie, mężczyźni ciągle by się jej oświadczali”, kłopotliwie i niezmiennie powracającymi w jego myślach

Może mógłby ją kupić na noc. Rankiem zabrałby ją do Arahura i pokazał skarb, który zakopał w dolinie. Mógłby wyjaśnić, że chciał jej dać dokładnie połowę złota. Czy jego dar straciłby na wartości, gdyby zapłacił już wcześniej za rozkosz jej towarzystwa? Być może. Ale czy zdoła wytrzymać myśl o tym, że inni mężczyźni znali ją w taki sposób w jaki on, Staines, jeszcze jej nie poznał? Nie wiedział, jaka będzie odpowiedź na to pytanie. Rozgniół na dłoni liść, a potem podniósł ją do nosa, żeby powąchać soki.

CZĘŚĆ DWUNASTA

Stary Księżyc w objęciach młodego

14 stycznia 1866 roku
42°43'0" S / 170°58'0" E



GWIAZDY ZODIAKU

Rozdział, w którym Anna Wetherell zostaje kupiona na noc, Alistair Lauderback przyjeżdża na spotkanie ze swoim bratem z nieprawego łoża, Francis Carver wybiera się do Doliny Arahura, ponieważ dostał cynk, Walter Moody ląduje na nowozelandzkiej ziemi, Lydia Wells kręci kołem fortuny, George Shepard siedzi w budynku więzienia z karabinem na kolanach, na Nabrzeżu Gibsona zostaje otwarta skrzynia przewozowa, kochankowie kładą się ze sobą, Carver otwiera fiolkę laudanum, Moody podnosi oczy na nieznane niebo, kochankowie zasypiają, Lauderback powtarza w myślach swoje przeprosiny, Carver znajduje wykopany skarb, Lydia ponownie obraca kołem fortuny, Emery Staines budzi się w pustym łóżku, Anna Wetherell w poszukiwaniu pocieszenia zapala fajkę, Staines przewraca się i uderza w głowę, Anna jest półprzytomna, oszołomiony Staines wychodzi w noc, półprzytomna Anna też, Lauderback dostrzega z górskiej grani domek brata, Crosbie Wells wypija pół fiolki laudanum, Moody melduje się w hotelu, Staines potyka się i przewraca na Nabrzeżu Gibsona, Anna potyka się i przewraca na Drodze do Christchurch, wieko skrzyni zostaje przybite, Lydia Wells śmieje się długo i wesoło, Shepard zdmuchuje płomień swojej lampy, a duch odludka opuszcza go bardzo spokojnie i rozpoczyna samotną podróż w niebo, by znaleźć miejsce ostatniego spoczynku pośród gwiazd

- Dzisiejszy wieczór to będzie prawdziwy początek.
- To był początek?
- Będzie. Dla mnie.
- Dla mnie wszystko zaczęło się od albatrosów.
- To dobry początek. Cieszę się, że jest twój. A dzisiaj wieczorem wszystko zacznie się dla mnie.
- Czy powinniśmy mieć różne początki?
- Różne początki? Chyba musimy.
- Będzie ich więcej?
- Znacznie więcej. Masz zamknięte oczy?
- Tak. A ty?
- Tak. Chociaż jest tak ciemno, że właściwie nie ma żadnej różnicy, kiedy je otwieram.
- Czuję się... kimś więcej niż tylko sobą.
- A ja się czuję tak, jak gdyby w moim sercu otworzyła się nowa komora.
- Posłuchaj.

– Co się stało?

– Deszcz.

PODZIĘKOWANIA

Za wsparcie i zachętę do pracy nad tą książką jestem niezmiernie wdzięczna New Zealand Arts Foundation, spadkobiercom Louisa Johnsona, Creative New Zealand, New Zealand Society of Authors, rodzinie Taylor-Chehak, rodzinie Schultzów, Iowa Arts Foundation, Katedrze Anglistyki na University of Canterbury, Michael King Writer's Centre, Katedrze Anglistyki na University of Auckland, Wydziałowi Creative Arts w Manukau Institute of Technology oraz moim kolegom i wykładowcom z Iowa Writer's Workshop. Jestem też bardzo szczęśliwa, że znalazłam przystań w wydawnictwie Granta w Wielkiej Brytanii, w wydawnictwie Little, Brown w USA i w wydawnictwie Victoria University Press w Nowej Zelandii.

Moja książka nie opowiada o prawdziwych wydarzeniach, chociaż zaciągnęłam pewien dług u Colina Townsenda, sięgając do jego powieści o więzieniu na terasie Pejzaż Morski [Seaview] pod tytułem *Misery Hill*, a także u Stevana Eldreda-Grigga, który spisał dzieje gorączki złota w Nowej Zelandii w książce *Diggers, Hatters and Whores*. Jestem również dłużniczką archiwum prasowego w National Library of New Zealand (paperspast.natlib.govt.nz), obszernych i czasami przezabawnych źródeł astrologicznych, znajdujących się pod adresem www.astro.com, a także astrologów Stelli Starsky i Quinna Coxa. Wyznaczając pozycje gwiazd i planet, posługiwałam się interaktywną mapą nieba, dostępną pod adresem www.starandtelescope.com, a także aplikacją *Stellarium*, stosowaną na komputerach McIntosh.

Serdeczne pozdrowienia i podziękowania zechcą przyjąć: Max Porter, Sara Holloway, Fergus Barrowman, Phillip Gwyn Jones, Reagan Arthur, Caroline Dawnay, Olivia Hunt, Jessica Craig, Linda Shaughnessy, Sarah Thickett, Zoe Ross, Sophie Scard, a także oczywiście Emma Borges-Scott, Justin Torres, Evan James, Katie Parry oraz Thomas Fox Parry, których przyjaźń i komentarze inspirowały mnie na niezliczone sposoby. Szczerze dziękuję również XuChong Judy Guan, która przełożyła fragmenty książki na fonetyczny kantoński, Christine Lo, Sarah Bance, Ilonie Jasiewicz i Anne Meadows, które pracowały nad redakcją tekstu, Barbarze Hilliam, która tak pięknie narysowała wykresy astrologiczne, Philippowi Cattonowi, który opowiadał mi o gwiazdach, planetach i „złotym podziale”, a także Joan Oakley, która przesyłała mi wiadomości żeglugowe przez ocean.

A wreszcie i nade wszystko dziękuję Stevenowi Toussaintowi, który stał obok mnie podczas każdej koniunkcji, opozycji i o każdym świcie, który był zarówno Najzewewnętrzniejszy, jak i Najwewnętrzniejszy, i który wierzył w nasz związek i dzielił się ze mną tą wiarą. Nie potrafię ocenić Twojego udziału w tym przedsięwzięciu. Dziękuję – ja Tobie.

PRZYPISY

[1] Dick (Richard) Whittington – bohater angielskiej bajki z XIV wieku, ubogi sierota, wędrowiec, który staje się najpierw zamożnym kupcem, a potem nawet lordem i burmistrzem Londynu, co w dużej mierze zawdzięcza swojemu łownemu kotu (wszystkie przypisy tłumacza).

[2] S.T. Coleridge, *Pieśń o starym żeglarzu*, tłum. Zygmunt Kubiak, Warszawa 2002.

[3] Nazwisko „Fellowes” sugeruje, że chodzi o „kompana, kolegę, towarzysza”.